

Larry Bond

Kocioł

TLUMACZYŁ PIOTR SIEMION
WYDAWNICTWO Adamski i Bieliński
WARSZAWA 1993

Tytuł oryginału CAULDRON
Copyright © 1993 by Larry Bond and Patrick Larkin
Redaktor Franciszek Marchel
Konsultant Jerzy Gawlicki

Opracowanie graficzne,
skład i łamanie

FELBERG

For the Polish edition Copyright © 1993 by Wydawnictwo Adamski
i Bieliński Wydanie I

ISBN 83-85593-18-7

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Warszawa 1993

ark. wyd. 41, ark. druk. 45

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 7881/93

Wszystkim czterem parom naszych dziadków, a więc

Ruth i Deweyowi Bondom,

Donowi i Beth Larkinom,

L. A. i Mildred Petersonom

oraz Lawrence'owi i Irenę Thorntonom

Autorzy

Podziękowania

W pisaniu tej książki dopomogło nam wiele osób. Naszą szczególną wdzięczność zaskarbili sobie: Chris Carlson, Don Hill, Jason Hunter, Ferdinand Irizarri, ppłk. Jerzy Janas z Wojska Polskiego, Don i Marilyn Larkinowie, Duncan i Chris Larkinowie, Erin Larkin-Foster, Marshall Lee, Gary Morgan, John Moser, Bili Paley i Briget Rivoli, Barbara Patrick, Tim Peckinpaugh i Pat McKinney-Peckinpaugh, Laurel Piippo, Steve St. Claire, Pat Slocomb, Thomas T. Thomas, George Thompson i Dr Tom Thompson (choć nie krewni), a także Leonard Wong. Wszyscy oni przyczynili się do tego, że

książka odniosła sukces, lecz nie będą mieli nic wspólnego z jej ewentualną porażką.

Stachowi Wólbchowskiemu

Tłumacz

Nota autora

„Kocioł” jest trzecią książką, jaką ja i Patrick Larkin napisaliśmy wspólnie od początku do końca, od pierwszego zarodka pomysłu aż po ostateczny, poprawiony maszynopis. Mówi się, że nie ma gorszej rzeczy niż zbiorowe autorstwo - naszym zdaniem, zupełnie niesłusznie. Podczas dwuletniej pracy, wspólnie nakreśliliśmy zasadnicze wątki, stworzyliśmy główne postaci i postaraliśmy się, aby ożyły. Choć style pisarskie każdego z nas często odbiegają od siebie, obaj znamy się na tym rzemiośle na tyle, że potrafimy połączyć nasze umiejętności, a także wzajemnie uzupełniać nasze braki. Każdy z nas ma swoje ulubione typy sytuacji, każdy też zna się na innych dziedzinach wojskowości i polityki. Podobno są ludzie, którzy piszą książki w pojedynkę. Naszym zdaniem, powinni się oni dobrze zastanowić czy ich metoda jest aby słuszna. Pat i ja naganiamy się wzajemnie do pracy, przerzucamy się pomysłami, pomagamy sobie nawzajem prostować zbyt zagmatwane wątki. W tym przedsięwzięciu Pat jest nie tylko moim współnikiem, lecz także przyjacielem. Dla uproszczenia, w angielskim tekście uprościliśmy pisownię części obcych nazwisk i nazw miejscowości. Z tych samych względów nie zawsze używamy polskich i rosyjskich nazw sprzętu wojskowego, posługując się często nomenklaturą NATO.

Dramatis personae

Amerykanie

Kapral Tim Adams, wojska lądowe USA - łącznościowiec kompani A z 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty, 101. Dywizja Lekka

(Desantowa) Alex Banich, alias Nikołaj Uszenko - oficer tajnych służb CIA z placówki w Moskwie Podpułkownik Jeff Colby, wojska lądowe USA - dowódca 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty, 101.

Dywizja Lekka (Desantowa) Starszy sierżant Andy Ford „Zimny”,

wojska lądowe USA - szef kompanii A z 3 batalionu 187 Pułku

Piechoty, 101 Dywizja Lekka (Desantowa) Generał Reid Galloway,

wojska lądowe USA - szef Połączonych Sztabów USA Mikę Hennessy - agent CIA z placówki w Moskwie

Joseph Ross Huntington ID - doradca prezydenta USA

Podpułkownik Ferdinand Irizarri, wojska lądowe USA - amerykański oficer łącznikowy przy polskiej 11. Dywizji Zmechanizowanej
Pułkownik Gunnar Iverson, wojska lądowe USA - dowódca 3. Brygady w 101. Dywizji Lekkiej (Desantowej)
Len Kutner - szef placówki CIA przy ambasadzie USA w Moskwie
John Lucier - sekretarz obrony USA

Erin McKenna - analityk i specjalny ekspert amerykańskiego Departamentu Handlu (biuro kontroli eksportu), oddelegowana do ambasady USA w Moskwie.
Walter Quinn - dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej

Kapitan Mike Reynolds, wojska lądowe USA - dowódca kompani A z 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty, 101. Dywizja Lekka (Desantowa)
Graton Scofield - sekretarz Departamentu Energii USA

Generał dywizji Robert J. Thompson „Sutch”, wojska lądowe USA - dowódca 101. Dywizji Lekkiej (Desantowej)
Harris Thurman - sekretarz stanu USA

Stuart Vance - agent wywiadu przydzielony do placówki CIA w Berlinie
Wiceadmirał Jack Ward, marynarka wojenna USA - dowódca amerykańskiej II Floty, później dowódca połączonych sił morskich USA, Wielkiej Brytanii i Norwegii.

Niemcy

Pułkownik Georg Bremer - dowódca 19. Brygady Grenadierów Pancernych ze składu 7. Dywizji Pancерnej
Major Feist - oficer sztabowy 7. Dywizji Pancерnej

Major Max Lauer - dowódca batalionu rozpoznawczego 7. Dywizji Pancерnej
Generał Karl Leibnitz - dowódca 7. Dywizji Pancерnej
Jurgen Lettow - niemiecki minister obrony

Podpułkownik Klaus von Okien - dowódca 192. Batalionu ze składu 19. Brygady Grenadierów Pancernych
Specjalny komisarz Werner Rehling - oficer inspekcyjny Konfederacji Europejskiej przy komendzie głównej policji węgierskiej
Heinz Schraeder - kanclerz Niemiec

Podpułkownik Wilhelm von Seelow „Willi” - oficer operacyjny, a później dowódca 19. Brygady Grenadierów Pancernych
Podpułkownik Otto Yorck - dowódca 191. Batalionu ze składu 19. Brygady Grenadierów Pancernych

Francuzi

Nicolas Desaix - dyrektor DGSE (francuskich służb specjalnych), później minister spraw zagranicznych Francji
Major Paul Duroc -

agent DGSE do zadań specjalnych

Generał Claude Fabvier - dowódca IV. Korpusu wojsk Konfederacji

Europejskiej Admirał Henri Gibierge - szef sztabu francuskiej

marynarki wojennej Michel Guichy - minister obrony

Generał Etienne Montagne - dowódca II. Korpusu wojsk Konfederacji

Europejskiej Jacques Morin - wicedyrektor, a następnie dyrektor

DGSE

Michel Woerner - agent DGSE do zadań specjalnych

Węgry

Generał brygady Imre Dozsa - naczelny komendant policji

węgierskiej Pułkownik Zoltan Hradetsky - komendant policji na

okręg Sopran, później odkomenderowany do komendy głównej w

Budapeszcie Oskar Kiraly - szef ochrony Włada Kusina VTad Kusin -

przywódca opozycji węgierskiej Bela Silvanus - dyrektor

administracyjny w komendzie głównej policji w Budapeszcie Polacy

Major Marek Malanowski - dowódca 411. Batalionu Zmechanizowanego

ze składu 4. Dywizji Zmechanizowanej Generał dywizji Jerzy

Nowaczuk - dowódca 5. Dywizji Zmechanizowanej Major Mirosław

Prażmo - dowódca resztek 314. Batalionu Zmechanizowanego ze

składu 11. Dywizji Zmechanizowanej Generał armii Wiesław Staroń -

minister obrony narodowej

Porucznik Tadeusz Wójcik „ład” - urodzony w Ameryce pilot

myśliwców F-15, służący w 11. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego we

Wrocławiu Generał broni Ignacy Zdański - szef sztabu generalnego

Wojska Polskiego Rosjanie

Marszałek Jury Kaminow - szef sztabu generalnego armii rosyjskiej

Pułkownik Walentin Sołowiew - zaufany adiutant marszałka Kaminowa

Paweł Sorokin - dyrektor pionu zaopatrzenia przy Ministerstwie

Obrony

* * *

Prolog

Listopad 1993 - „Widmo kolejnego krachu

finansowego krąży po Europie”

pisze „Wall Street Journal”

Wobec gwałtowności, z jaką rozwarstwiają się wartości podstawowej

stopy procentowej walut poszczególnych państw, a także w obliczu

coraz bardziej pesymistycznych prognoz na temat światowej

gospodarki, przez cały wczorajszy dzień narastała panika na

wszystkich europejskich rynkach finansowych. Mimo usilnych

interwencji ze strony banków centralnych w obu krajach, kurs brytyjskiego funta i włoskiego lira wobec marki niemieckiej i franka francuskiego obniżał się w katastrofalnym tempie. Wymiana agresywnych not między przedstawicielami rządów w Londynie, Rzymie, Berlinie i Paryżu spotęgowała tylko obawy, że obecnej fali chaosu nie da się opanować bieżącymi środkami...

Styczeń 1994 - „Washington Post” pisze

o „fali rasistowskich zamieszek w największych miastach Europy”

Ugrupowania neofaszystów, skinów i nacjonalistycznych ekstremistów, od dawna przeciwne przyjmowaniu kolejnych fal uchodźców z ogarniętej nędzą Europy Wschodniej i Afryki Północnej, zorganizowały serię krwawych manifestacji w kilku przemysłowych miastach całej zachodniej części kontynentu. Bilans całodniowych zamieszek to kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych i znaczna liczba rannych...

Lipiec 1994 - przed „ostрым kryzysem w handlu międzynarodowym” ostrzega „Los Angeles Times”

W opiniach polityków waszyngtońskich, ostatnie poczynania władz Francji i Niemiec, chroniące rodzimy przemysł tych krajów przed zdrową konkurencją producentów zagranicznych, stawiają Amerykę wobec widma globalnej wojny handlowej. Obecnie przewodniczący obu partii w Kongresie USA wspólnie opracowują projekt ustawy o odwetowych cłach i restrykcjach importowych w stosunku do wyrobów z obu państw zachodnioeuropejskich...

Grudzień 1994 - „Europa Wschodnia idzie pod młotek”, artykuł redakcyjny w „The Economist”

Aby zapewnić swoim krajom pomoc finansową i dostawy żywności niezbędne dla przetrwania nadchodzącej zimy, grupy wojskowych, które w ostatnim okresie objęły władzę w paru państwach na wschodzie Europy podpisały nowe porozumienia, których efektem będzie faktyczne przekazanie niemieckim i francuskim koncernom przemysłowym kontroli nad całą wymianą handlową i rozwojem gospodarczym w tych krajach. Wśród pierwszych sygnatariuszy porozumień przekazujących suwerenność gospodarczą w ręce Paryża i Berlina znalazły się tak zwane Rządy Ocalenia Narodowego na Węgrzech, w Chorwacji, Serbii i Rumunii...

Luty 1995 - o „ostatecznym rozpadzie struktury wojskowej NATO” donosi „Baltimore Sun”

Bezprecedensowa w historii świata epoka międzynarodowej

współpracy wojskowej dobiegła dzisiaj końca w atmosferze swarów, podejrzeń i kłótni. Nie mogąc się pogodzić z prorecesyjną polityką Francji i Niemiec, kraje szczególnie dotknięte trwającym kryzysem gospodarczym, w tym Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Włochy, Holandia, Hiszpania i Norwegia oficjalnie poinformowały o wystąpieniu ze struktur Paktu Północnoatlantyckiego...

Wrzesień 1996 - „światowy dołek gospodarczy zamienia się w przepaść” informuje dziennik „Dallas Morning News”

Wobec całkowitego zastoju w wielu dziedzinach międzynarodowej wymiany handlowej, w ubiegłym miesiącu nadal powiększała się globalna recesja gospodarcza. Wobec faktu, że w wielu krajach uprzemysłowionych wskaźniki bezrobocia biją kolejne smutne rekordy, a w państwach Trzeciego Świata rozszerza się klęska głodu, wielu ekonomistów zaczyna otwarcie stosować w obecnej sytuacji od dawna zapomniane określenie „kryzys”...

Komentarz dnia z sieci telewizyjnej ABC

Nędza i rozpacz. Coraz większa nienawiść wobec obcych. Strach. Tak przedstawia się w naszych czasach europejska rzeczywistość. Grobowym tonem w głosie komentatora towarzyszyły kolejne migawki filmowe: kilometrowa kolejka po zasiłki dla bezrobotnych, grupka wynędzniałych dzieci o policzkach zapadniętych z niedożywienia, bezwładne ciała rozrzucone pośród zabudowań płonącej wioski.

Europa w ruinie, bez nadziei, bez perspektyw, bez radości.

Podzielony kontynent, na którym odżywają dawno pogrzebane przez świat, niebezpieczne ambicje. Tym razem słowom towarzyszył materiał archiwalny, na którym coraz to nowe flagi narodowe falowały nad kolejnymi zdjęciami wzburzonego tłumu. W głosie sędziwego, doświadczonego dziennikarza pojawiła się z kolei nuta smętnej zadumy: Kiedy zimna wojna przyniosła nam zwycięstwo nad komunizmem, demokratyczne kraje świata na krótko stanęły wobec szansy trwałego pokoju, opartego na wolnym handlu i dobrobycie. To, że zmarnowaliśmy tę okazję nie było kwestią pecha czy przypadku. Dziś widać, że zmarnowaliśmy taką szansę rozmyślnie.

1

Prowokacja

1 sierpnia 1997 - Zakłady Wytwórcze Wirników Śmigłowcowych na przedmieściach miasta Sopron na Węgrzech, własność koncernu EUROCOPTER

Dwie postacie, które zaległy na krzaczastym stoku wzgórza górującego nad obiektem, zachowywały zupełne milczenie. Po nocnym niebie nad okolicą przesuwały się coraz gęstsze chmury. Deszcz powinien spaść jeszcze przed świtem. Chociaż dolinę zalegała jeszcze głębsza ciemność, w żółtym pobrzasku lamp niewyraźnie majaczyły zarysy budynków - rozległych składów ze ścianami z aluminiowej blachy, hal produkcyjnych, pawilonów biurowych z betonu i szkła. Na bocznicę widać też było sznur pustych wagonów. Inny, nierówny rząd lamp wyznaczał bieg metalowego ogrodzenia wokół zakładów. Drogi dojazdowej od strony granicy austriackiej i autostrady Wiedeń-Budapeszt strzegł pojedynczy, drewniany barakowóz straży przemysłowej. Noc pogrążyła wszystko w bezruchu. Dla wycieńczonej kryzysem europejskiej gospodarki pieniądze i energia stanowiły wartości zbyt cenne, by marnować je na utrzymywanie trzeciej zmiany. Dotyczyło to nawet wyrobów tak zaawansowanych i nowoczesnych jak śmigłowcowe wirniki i głowice z wybudowanych za francuski kapitał zakładów w Sopron. Major Paul Duroc zerknął na swojego kompana. - Jak tam, Michel? Gotowy? - Jasne. - Po gardłowym akcencie można było domyślić się w zwalistym agencie Alzaczyka. Woerner rzeczywiście urodził się w północnej z dwóch prowincji, które Francuzi i Niemcy wydzielali sobie z rąk od długich stuleci. Agent był o pół głowy wyższy i co najmniej dziesięć kilo cięższy od Duroca. Dodatkowe centymetry i waga przydawały się, gdy przychodziło brać się za mniej wyrafinowane składniki planu. Woerner nasunął na oczy gogle noktowizyjne i prędko omiótł wzrokiem teren zakładów. - Ciągle czysto. - Duroc dwukrotnie stuknął paznokciem w mikrofon radiotelefonu, który miał przy uprząży. Odpowiedzią w słuchawkach były również dwa krótkie, niegłośne stuknięcia. - Znak, że reszta grupy czuwa na stanowiskach. Doskonale. Duroc również nasunął na oczy gogle noktowizyjne, podniósł się i ruszył w dół stoku. Michel Woerner maszerował tuż za nim i mimo zwalistej sylwetki stapał miękko jak kot. Obaj agenci bez trudności omijali drzewa, kępy koleczastych zarośli i omszałe pniaki. Optyka gogli wzmacniała każdy padający na nie odblask, zmieniając mroczny świat w przedziwny korowód wyraźnych, niebieskozielonych konturów i kształtów. Na skraju zagajnika Duroc przystanął i ostrożnie rozejrzał się po wąskim pasie otwartego terenu, jaki go dzielił od ogrodzenia zakładów. Nie

doszukał się jednak znaków, każących przypuszczać, że soprońska straż przemysłowa zamontowała na tym odcinku ogrodzenia nowe wykrywacze ruchu, kamery wideo czy inne czujniki. Jedyna kamera pilnująca tego sektora terenu wokół zakładów obracała się powoli i jednostajnie w prawo i w lewo, zawsze w tym samym rytmie. Jeśli się zawczasu zmierzyło ten ruch stoperem, można było w mgnieniu oka przemknąć aż pod ogrodzenie, cały czas w martwym polu kamery. Po szczupłej twarzy Duroca przebiegł uśmiech, choć wcale nie dlatego, by agent się z czegoś cieszył. Był po prostu zadowolony, że choć raz udało się prawidłowo zaplanować akcję. Zresztą do zakładów koncernu Eurocopter mógł wejść, kto tylko zechciał. Ogrodzenie, latarnie i cała reszta mogły może utrudnić życie złodziejom, ale nie zawodowcom, dysponującym w dodatku szczegółowymi informacjami o systemie zabezpieczeń i posterunków wokół fabryki. Powtórne spojrzenie upewniło agenta, że cały teren wygląda dokładnie tak jak na starannie przestudiowanym przez grupę planie. Zakłady trwały niczym wyspa w pierścieniu oślepiającego światła, dzięki czemu można było się upewnić co do rozkładu budynków za kolczastym drutem. Kilka kamer telewizji przemysłowej strzegło zakładów w sposób tak regularny, że tylko ułatwiały zadanie. Duroc kiwnął na Woernera i sam puścił się pędem przez pas odkrytego terenu. Tuż przy drutach rzucił się plackiem na ziemię. Sekundę później dobił do niego Woerner, w biegu sięgając do tej kieszeni kamizelki szturmowej, w której znajdowały się nożyce saperskie. Duroc zacisnął ostre jak brzytwa krawędzie własnych nożyc na najniższym z drutów i odczekał, aż to samo zrobi podwładny. Sześć prędkich cięć zlikwidowało trzy odcinki drutu, akurat, by agenci mogli się prześliznąć przez wąski przełaz. Pierwsza zaporą pokonana. Para agentów podniosła się i chyłkiem przemknęła w pobliże zaciemnionych budynków. Choć nic nie mąciło nocnej ciszy, nadal poruszali się z najwyższą ostrożnością, omijając oświetlone miejsca i unikając miejsc widocznych z wartowni przy bramie głównej. Obaj mieli na koncie kilkanaście „akcji specjalnych” w szeregu obcych państw na całym świecie. Zawodowcy nie puszczają się na niepotrzebne ryzyko. Duroc znów ruszył pierwszy, obierając okreśną marszrutę wokół sztucznego labiryntu magazynów, linii produkcyjnych i ramp załadunkowych. Każdy kolejny krok agenta był wynikiem długich godzin prześlęzonych nad szczegółowym planem i zdjęciami

obiekty. Dziesięć minut od przecięcia ostatniego drutu, przykucnięci za potężnymi kołami TIR-a Francuzi lustrowali już zakładowy parking i pusty trawnik wokół zakładowego biurowca i przyległej stołówki. Duża, podświetlana tablica przy głównej drodze wewnętrznej upominała po francusku, niemiecku i węgiersku, by dbać o bezpieczeństwo pracy. Duroc skrzywił się. Zgadzał się z tą dewizą prawie w stu procentach. Po dolinie rozniósł się daleki łoskot pociągu, a potem jękliwy sygnał lokomotywy. Odgłosy zwiastowały przejazd towarowego ekspresu, regularnie o północy mijającego Sopron w drodze do Wiednia. Wszystko przebiegało zgodnie z harmonogramem. Duroc znów postukał w nadajnik. Kiedy usłyszał odzew, musiał oderwać się od kontroli sprzętu. Radio zastukało trzy razy. Pozostali członkowie grupy oznajmiali gotowość do drugiej fazy akcji. Duroc zerknął prędko na Woenera, napotykać w odpowiedzi obojętne spojrzenie bladoniebieskich oczu. Wokół zabudowań było tak jasno, że właściwie mogli się obyć bez noktowizorów. Duroc zsunął gogle na czoło, opuścił rękę i skrzywił się na widok smugi czarnej farby maskującej na opuszkach palców. Z irytacją wytarł dłoń w rękaw bluzy. Noc była przecież chłodna, skąd nagle pot na czole? Wziął głęboki oddech i odczekał chwilę zanim uczynił wydech. - Teraz - wyszeptał. Podkradli się wzdłuż burty ciężarówki i puścili biegiem przez trawnik, omijając łukiem oświetlony pas chodnika i trzymając się strefy cienia pod ścianą biurowca. Duroc czuł, jak serce zaczyna mu się tłuc w tym samym tempie, w jakim uderzają w ziemię jego stopy. Każdy hałas wydawał mu się setki razy za głośniejszy. Pogłos własnych kroków na miękkim, mokrym od rosy trawniku przypominał mu tupot słonia rwącego przez suchy zagajnik. Każdy stłumiony, zdyszany oddech ze świstem rozcinał martwe, nocne powietrze. Znów zanurzyli się w cień i przystanęli, niepewnie czekając, aż rozlegną się okrzyki, a wycie syreny oznajmi wszem i wobec, że ich nakryto. Nic, cisza. Tylko z końca doliny dolatywało coraz słabsze dudnienie pociągu towarowego. Duroc poczuł, że znów zwalnia mu tętno. Przełknął ślinę, by pozbyć się kwaśnego smaku w ustach i potrząsnął głową, zły na siebie za te kolejne oznaki lęku. Może już nie te lata na osobisty udział w nocnych zabawach? Duroc nie raz widział, jak kończą się agenci tajnych służb. Każdy specjalista nosi w sobie skończony zapas odwagi, a kiedy go zużyje, cześć pracy. Resztę życia można już spokojnie i

bezużytecznie przesiedzieć za biurkiem. Parsknął cicho, gdyż poczuł na ramieniu dotknięcie ręki Woernera. Uciekały im kolejne drogocenne sekundy, a on tu tymczasem zabawia się w psychologa! Nie ma lepszego lekarstwa na strach niż działanie. Niezawodna recepta. Skuleni, aby nie wpaść w oko żadnego przypadkowego obserwatora z okien na parterze biurowca, przemknęli za narożnik budynku. Duroc po cichu liczył kolejne okna. Trzecie. Czwarte. Przystanął. Architekci, których dziełem był ultranowoczesny kompleks biurowy zakładów w Sopron mieli na względzie bardziej estetykę niż bezpieczeństwo. Dzięki oknom na całą ścianę, wszystkie pomieszczenia hali wydawały się od środka znacznie większe i jaśniejsze, zwłaszcza w słoneczne dni. Ceną zaś tej zalety było to, że dla ewentualnych intruzów okna stanowiły bardziej zaproszenie niż przeszkodę. Zgodnie z zapamiętanym rozkładem budynku, czwarte okno prowadziło prosto na korytarz wiodący do celu akcji, czyli do zakładowego ośrodka obliczeniowego. Trudno było sobie wymarzyć lepszą furtkę. Duroc rzucił okiem w stronę niedalekiej stołówki zakładowej. Jak na jego gust, trochę za blisko. Cóż, mówi się trudno... Agent wzruszył ramionami. Zmiana planów w ostatniej chwili to najlepszy sposób, żeby sobie napytać biedy. Trasa była wprawdzie ryzykowna, ale za to dogodna i szybka. Woerner zdążył już się zabrać do dzieła, tak sprawnie, że jego grube, nawykłe do podobnych zadań paluchy, tylko migają. Z kieszeni kamizelki szturmowej wydobył najpierw zakrzywiony metalowy uchwyt w kształcie litery U i posmarował oba końce szybkoschnącym klejem. Po chwili przyklepił końce zakrzywionej metalowej sztaby do powierzchni okna i przycisnął do szyby, czekając aż klej dobrze złapie. Gdy się to stało, zadowolony odstepił na bok, robiąc miejsce przełożonemu. Duroc przysunął się bliżej, ściskając w prawej ręce diamentowy przecinak do szkła. Metalowa klamka już czekała, teraz pozostało tylko dorobić do niej drzwi. Agent przesunął diamentowym ostrzem po powierzchni szyby, robiąc w niej cztery nacięcia - dwa w poziomie, dwa w pionie. Sapał cicho, bo wysiłek okazał się spory. Kiedy skończył, Woerner złapał oburącz za metalowy uchwyt i szarpnął nim do siebie, wyjmując z okiennej tafli prostokątną płytę. Nie czekając, aż zwalisty Alzarczyk odłoży szklany balast na trawę, Duroc rozwinął czarną płachtę i ułożył ją w przełazie. Wplecione w materiał a także w rękawice agentów stalowe włókna

chroniły ręce i nogi przed skaleczeniem podczas forsowania okna. Woerner wiedział, co ma robić dalej: przykleknął na ziemi i splótł dłonie, czyniąc oparcie dla stopy partnera. Duroc wspiał się do góry i uczeplił dolnej krawędzi szklanej tafli. Alzacyjny z wolna windował go wyżej. Duroc zdołał wreszcie podciągnąć nogę i oprzeć ją na chronionej czarną płachtą krawędzi, podciągnął tułów w głąb otworu... Tuż za nimi z trzaskiem otwarły się jakieś drzwi. Duroc obejrzał się w stronę stołówki tak raptownie, że omal nie stracił równowagi. Od niedalekich drzwi gapił się na nich strażnik w granatowym mundurze. W ręku trzymał kubek parującej kawy. Zaskoczenie i strach sprawiły, że dla agenta pojedyncza sekunda zdawała się rozciągać w nieskończoność - w całą złodowaciałą wieczność. Złudzenie przerwał natychmiast sam strażnik, który cisnął kubek i zaczął wyłuskiwać z kabury pistolet. - Stać! - usłyszeli wreszcie obaj agenci. Duroc zaklął w duchu. Rozciągnięty w oknie jak rozgwiazda, nie mógł nawet sam sięgnąć po broń. Również Michel Woerner przy całej krzepie i masie nie był w stanie nic zdziałać. Gdyby którykolwiek z pary agentów choćby drgnął, tworzona przez nich ludzka piramida odchyliłaby się od pionu i runęła. Strażnik oburącz ścisnął pistolet i przybliżył się nieco. Kiedy się zorientował w sytuacji, wyraźnie przybyło mu pewności siebie. Duroc skupił cały wysiłek na tym, by nie patrzeć na lufę, którą miał wycelowaną w żołądek.

Strażnik okazał się młody, prawie smarkacz, wbrew wrażeniu, jakie zapewne chciał sprawić zapuszczając sobie parę marsowych wąsów. Musiał niedawno wyjść z wojska i mimo odbytej służby nadal rwał się do bojowych wyczynów. Czyli kolejny kłopot. Z kimś starszym dałoby się może pertraktować czy próbować go zastraszyć. Młodym o wiele bardziej niż na życiu zależało na zdobyciu sławy. - Nie ruszać się bo ja strzelać.

Duroc zacisnął zęby na te słowa, wypowiedziane niezdarnym, podręcznikowym węgierskim. Usłuchał oczywiście i zamarł ze stopami w splecionych dłoniach Woenera. W myślach modlił się, by strażnik zrobił jeszcze parę kroków. No, jeszcze kawałeczek. Jeszcze troszkę. Młody strażnik odstąpił wreszcie od drzwi stołówki i rzeczywiście ruszył przez trawnik ku miejscu, skąd łatwiej mu było trzymać obu jeńców na muszce. W marszu oderwał dłoń od broni i sięgnął po dyndający u pasa radiotelefon. Duroc

zesztywniał jeszcze bardziej. Alarm popsułby cały misterny plan. Trzask.

Klatka piersiowa strażnika eksplodowała gejzerem krwi i odłamków kości. Trafiony prosto w plecy pociskiem kalibru 7,62 mm człowiek zwalił się bezwładnie na trawę. Ciało drgnęło jeszcze i znieruchomiało. Duroc z wysiłkiem wypełził z otworu w szybie, zeskoczył na ziemię i uklęknął przy zwłokach, szukając tętna. Nie znalazł. Zerknął na oddalony o trzysta metrów stok i przycisnął guziczek mikrofonu przy nadajniku. - Potwierdzam.

W słuchawkach odpowiedziało mu dwukrotne stuknięcie: znak, że snajper zacząjony na stoku wzniesienia odebrał wiadomość. Duroc wyjął pistolet z dłoni zabitego i podniósł się na nogi. - Który to?

- „Monnet Jacques” - przesylabizował Woerner, sprawdzając zakrwawiony identyfikator na mundurze strażnika.

Duroc smętnie pokręcił głową, gdyż pamiętał to nazwisko. Monnet miał tej nocy pilnować głównej bramy zakładów. Gdyby dureń czuwał tam, gdzie mu przykazano, włos by mu nie spadł z głowy. Cóż, widać nie mógł się z tą swoją kawą doczekać do zmiany warty. Dureń, w dodatku nieżywy dureń. Trochę szkoda. Śmierć strażnika mogła wszystko niepotrzebnie skomplikować. - Dawaj go - rzucił do partnera, patrząc w prostokąt okna. Woerner odchrząknął tylko i pochylił się nad zwłokami. Wspólnie przesadzili ciało strażnika przez otwór w szybie i zwalili je na posadzkę korytarza. Duroc skrzywił nos i wciąż czując zapach krwi oraz fekaliów wytarł rękawice o trawę. Rzut oka na zegarek upewnił go, że spóźniają się coraz bardziej. Nie szkodzi, nadal mieścili się spokojnie w przewidzianym zapasie czasu. - Dobra, Michel. Kończmy tę robotę i lulu, co?

- Oui, m'sieu - Na topornej twarzy drugiego agenta zamigotał posepny uśmiezek. - Wystarczy tych nocnych atrakcji.

Trzydzieści sekund później Duroc sunął już bezszelestnie wzdłuż ciemnego hallu. Woerner został na dworze, by w razie czego osłaniać odwrót. Jego przełożony także miał dosyć przykrych niespodzianek. Wejścia do ośrodka obliczeniowego zakładów broniły pancerne, ognioodporne drzwi z hartowanej stali. Na umieszczonej przy framudze tabliczce z numerowanymi przyciskami mrugała rytmicznie czerwona dioda. Strażnicy mieli prawo leniuchować w innych punktach zakładu w Sopron, lecz na pewno nie tutaj.

Komputery wytwórni stanowiły skarbnicę informacji, za które amerykańscy i japońscy konkurenci koncernu Eurocopter gotowi byli zapłacić bajeczne kwoty: harmonogramy i kosztorysy produkcji, dokładne dane na temat kompozytowych elementów wirników, raporty dotyczące ultranowoczesnych konstrukcji w stadium projektu oraz tysiące innych faktów i liczb stanowiących krwiobieg każdego wielkiego koncernu przemysłowego. Duroc skupił promień kieszonkowej latarki na przyciskach i starannie wystukał zapamiętany uprzednio sześciocyfrowy kod. Wczorajszy kod, nie dzisiejszy. Dokładnie tak, jak się tego spodziewał, uparte drzwi ani drgnęły. Doskonale. Agent powtórnie wystukał tę samą serię cyfr. Tym razem przestała migotać czerwona dioda. Jeszcze lepiej. Prostoduszny komputer strzegący przejścia zapisał w pamięci, że dwukrotnie próbowano sforsować przejście za pomocą wczorajszego kodu. Zaledwie kilka godzin wcześniej próba okazałaby się skuteczna. Duroc przesunął przycisk i wcisnął swoją paluszkową latarkę z powrotem do właściwej kieszonki. Pora na duże bum - duże, ale stosunkowo niegroźne. Agent pospiesznie rozwałkował porcję plastycznego materiału wybuchowego i przylepił ją wokół tabliczki z guzikami. Następne kęsy plastiku powędrowały tam, gdzie musiały się znajdować zawiasy pancernych drzwi. Francuz odstąpił wreszcie i fachowym okiem z zadowoleniem zlustrował własne dzieło. Druty z wciśniętych w materiał wybuchowy zapalników biegły do niewielkiego, staromodnego, elektronicznego zegarka na rękę. Wybuch miał nastąpić za dwie godziny. Duroc pokiwał głową. Wrażenie było dokładnie takie, jak trzeba. Skuteczna robota amatorów. Nawet materiał wybuchowy pasował do takiego opisu. Niedysiejsze komunistyczne władze Czechosłowacji hojną ręką rozdały terrorystom wszystkich krajów całe tony bezwonnego, niewykrywalnego Semtexu. Duroc cofnął się w głąb korytarza. Pora na końcową kosmetykę. Zdjął pokrywkę z puszki czerwonej farby w aerozolu, potrząsnął pojemnikiem i nie żałując lakieru, metrowymi literami wypisał na jednej ze ścian „Francuzi na salami” i „Niewoli nie, swobodzie tak!”. Hasła nie były przypadkowe: Duroc wybrał je z repertuaru krążącego wśród węgierskich nacjonalistów. Również krój pisma zgadzał się z wzorami z miejscowych murów. W tego typu zadaniach ważny jest najdrobniejszy szczegół. Napisy miały wskazywać, że zamachu dokonali domorośli węgierscy terroryści, w proteście przeciwko

francuskiemu „kolonializmowi gospodarczemu”. Woerner czekał pod oknem.

- Dalej cisza - szepnął.

- Do czasu. - Duroc zeskoczył na trawę i odczekał, aż podwładny zwinie czarną płachtę i pieczołowicie umieści szklaną tafłę z powrotem tam, skąd ją wyciął. Potem agenci zawrócili i pędem ruszyli w stronę stoku wzgórza mającego nad terenem zakładów. Zegarek sprzężony z bombą odliczył kolejną minutę. Kiedy kryształki cyferblatu pokazały zero, Duroca i resztę zespołu dzieliło od zakładów dobre czterdzieści kilometrów. Soproński biurowiec zatrząsł się w posadach i osiadł, rozdarty potężnym wybuchem. Na ułamek sekundy we wszystkich oknach parteru zajaśniało oślepiająco białe światło, lecz fala uderzeniowa natychmiast zmeła szyby na proszek. W ślad za falą powietrza przez otwory okienne wylała się lawica ognia i przegrzanego powietrza, zabijając na miejscu piątkę węgierskich konserwatorów, którzy zaczęli zmianę i obracając w żagiew wszystko, co palne. Nim jeszcze nad zakładami Eurocopter rozniosło się wycie syren alarmowych, w całym zgruchotanym biurowcu roztańczyły się języki ognia.

2 sierpnia - Zakłady Wytwórcze Wirników Śmigłowcowych
EUROCOPTER

W dziwnie bladym słonecznym świetle widać było, jak niewiele dzieli całą scenę od pogrążenia się do reszty w chaosie. Skorupę rozszonego bombą biurowca ze wszystkich stron otaczały zaparkowane bezładnie wozy strażackie i karetki, których koła rozryły osmalony, zasypany gruzem trawnik. Robotnicy wyciągający z wnętrza resztki mebli i sprzętu biurowego zderzali się co rusz ze skonanymi strażakami, inżynierami budowlanymi i grupką wystraszonych administratorów. Dookoła wysadzonego biurowca i przed główną bramą wściekle krążyli strażnicy, zamiast zwykłych pistoletów dzierżąc broń automatyczną. W nieruchomym, upalnym powietrzu unosiła się sina zasłona dymu i woń zwęglonych papierzysek. Stalowe drzwi i system automatycznych gaśnic halonowych zdołały uchronić zakładowe centrum obliczeniowe przed zagładą, lecz okazały się bezsilne wobec pożaru, który strawił całą resztę pomieszczeń na parterze. Krępy, puciołowaty mężczyzna, stojący parędziesiąt metrów od biurowca, po cichu kipiał z wściekłości. Nawet gdy wszystko układało się pomyślnie, pułkownik

Zoltan Hradetsky z miejscowej policji i Francois Geliard, dyrektor soprońskiej filii koncernu Eurocopter, nie darzyli się nadmiarem sympatii. Francuz wobec pyzatego Węgra okazywał niezmienną wyniosłość i arogancję - zresztą nie tylko wobec niego, bo swym chudym i długim nosem nieustannie kręcił na wszystko, co węgierskie, wliczając w to i Węgrów. Po katastrofie najgorsze we Francuzie cechy spotęgowały się po tysiącokroć. - Ostatni raz powtarzam, pułkowniku, że zabraniam panom samodzielnego śledztwa - cedził teraz, splatając ramiona. - Panów obecność nie jest wcale konieczna. Ba, nie jest nawet pożyteczna. - Nie pożyteczna? Co chce pan... - Hradetsky zdołał przełknąć cisnącą mu się przez gardło wiązaną przekleństw. - Musiał mnie pan źle zrozumieć, monsieur Gellard. To sprawa dla policji - pułkownik wycelował palcem w zrujnowany biurowiec. - Pożar, nie przypadkowa śmierć pięciu Węgrów, mało panu? Śledztwo to nie żadna usługa wobec pana, tylko mój psi obowiązek, mówię to jako najwyższy rangą policjant w okręgu.

- Nic z tego - zbył go Gellard. - Niech pan pamięta, pułkowniku, że pańska jurysdykcja kończy się przed główną bramą zakładów. Może powinien pan sobie odświeżyć w pamięci ustalenia kontraktu między moją firmą a węgierskim rządem? Jak by na to nie patrzeć, stoi pan na francuskim terytorium. Terrorysty wymierzili akcję we francuski koncern. Co za tym idzie, do Francji należy także śledztwo.

Zasrany kontrakt! Hradetsky najchętniej zazgrzytałby zębami. Nie potrzebował wcale czytać dopisków do klauzul kontraktu, by zdać sobie sprawę, że francuski dyrektor może robić, co mu się tylko spodoba. Kiedy budowano soprońskie zakłady, pozbawiona sojuszników węgierska junta wojskowa dosłownie skamlała o niemiecką i francuską pomoc finansową. Odstąpienie Francuzom całkowitej kontroli nad zakładami i zwolnienie Eurocoptera z jakichkolwiek podatków wydawało się budapeszteńskim generałom śmiesznie niską ceną za nowe miejsca pracy i towarzyszący inwestycji napływ nisko oprocentowanych kredytów. Taki sam status junta przyznała zresztą dziesiątkom innych firm z Niemiec i Francji. Policjant pokręcił tylko głową. Owszem, popierał powstały dwa lata wcześniej Rząd Ocalenia Narodowego, uznając juntę za środek przykry lecz niezbędny w sytuacji, gdy rozdarła podziałami i słaba postkomunistyczna demokracja przestała sobie

radzić z zapaścią gospodarczą i z katastrofą w rolnictwie. Nie tylko jemu wojskowe rządy silnej ręki wydawały się czymś mimo wszystko lepszym od bezhołowia zaprowadzonego prędko przez niedouczonego i skłóconego politykierów. Teraz jednak Hradetsky zaczynał po cichu żałować decyzji. Wykorzystując chwilowe poparcie, generałowie, by nakarmić wzburzony tłum, który ich wyniósł do władzy, zastawili niepodległość kraju w paryskim lombardzie. Po czterdziestu pięciu latach wojskowej i politycznej dominacji ze strony Moskwy, małe Węgry trafiły w ręce nowych wielkorządców - Francji i Niemiec, pary największych europejskich mocarstw wojskowych i gospodarczych. - No, więc słucham, pułkowniku?

Hradetsky wyprostował się.

- Zgodnie z literą prawa ma pan rację, ale moim zdaniem palnie pan głupstwo, rezygnując z naszej pomocy. - Policjant silił się na spokojny i rozsądny ton. - Jeżeli w naszym okręgu rzeczywiście grasują terroryści, zgodzi się pan chyba, że łatwiej będzie nam ich wytropić połączonymi siłami, nie osobno?

- Co to znaczy Jeżeli grasują tu terroryści"? - odął się Gellard.

- Ładne mi Jeżeli"! Nie tylko grasują, lecz co więcej czynią to bezkarnie, wspierani przez elementy spośród miejscowej załogi zakładów. To dla mnie jasne, że mogli liczyć na pańskich rozleniwionych, rozpuszczonych ziomków. - Francuz zmarszczył czoło i ciągnął: - A skoro tak się sprawy mają, pułkowniku, nawet idiota jest w stanie pojąć, dlaczego nie możemy powierzyć śledztwa panu i pańskim ludziom. Węgrzy mieliby ścigać Węgrów? Śmieszny pomysł.

Na te słowa irytacja Hradetskiego przerodziła się we wściekłość. Zgoda, pułkownik mógł ścierpieć czyjaś arogancję, ale umiał też poznać, że ktoś go jawnie próbuje obrazić. Uczynił krok w stronę Gellarda, z którego pociągłej, arystokratycznej twarzy w sekundzie zniknęła cała pewność siebie. - Powinien pan starannie dobierać wyrażenia, monsieur. Inaczej ktoś z moich ziomków może uznać, że taki ostry język jak pański należy trochę przytemperować. Albo przyciąć nożem. Czy wyrażam się jasno? Dyrektor zbladł, świadomy, że się posunął za daleko.

- Nie miałem wcale na myśli tego... Że tego... Ja tylko...

Wyjąkiwane przeprosiny przerwał mu grzmot śmigłowca tuż nad głowami. Francuz i Węgier odwrócili się w stronę maszyny,

która zatoczyła półkole, zawisła i z klekotem usiadła pośrodku parkingu przy biurowcu. Hradetsky skrzywił się paskudnie na widok niebiesko-biało-czerwonej kokardy na belce ogonowej śmigłowca. Francuski rząd rzeczywiście palił się do tego, by wściubić nos w kompetencje węgierskiej policji. Ze śmigłowca wysiadła trójka mężczyzn i chyląc głowy przed coraz wolniej kręcącym się wirnikiem podeszła bliżej. Dwaj spośród przybyłych, obstawa, wyróżniali się tylko potężną posturą. Trzeci, który miał na sobie popielaty cywilny garnitur i dźwigał wypchaną, skórzaną teczkę, zbliżał się krokiem kogoś, kto przywykł, że to on wydaje rozkazy. Gdy Hradetsky przeniósł wzrok z powrotem na Gellarda, Francuz zdążył już odzyskać równowagę ducha. - O, proszę, to właśnie ekspert od tych spraw z naszej ambasady, pułkownika. Specjalista od terroryzmu i taktyki anty terrorystycznej. W przyszłości przyjdzie zapewne panom się jeszcze zetknąć.

Węgierski policjant zmierzył wzrokiem niewysokiego, ponurego z wejrzenia faceta, który maszerował w ich stronę po asfalcie. Coś szepnęło mu w duchu, że spotkanie nie okaże się ani miłe, ani szczególnie owocne. - Kto to taki?

Gellard zaszczyił Węgra chłodnym uśmiechem.

- Major Paul Duroc, pułkownika.

2

Menuet

4 sierpnia - plac Du Palais-Royal w Paryżu

Pod bezchmurnym rozświetlonym niebem Paryż wydawał się niewiarygodnie spokojny. Niewiarygodnie, bo na szerokich, wysadzanych drzewami bulwarach i pod parasolami ulicznych kawiarni ziało pustką. Sierpień to wprawdzie dla paryżan tradycyjny okres wakacji, parotygodniowego odpoczynku od rządowych posad, hal fabrycznych i szkół, lecz tym razem zabrakło również turystów, zawsze dotychczas ściągających tłumnie latem do metropolii. Przyjezdnych zniechęcały jednak coraz bardziej restrykcje wizowe, drożyzna i rozmaite administracyjne szykany, będące częścią wojny gospodarczej toczonej na całym świecie. W stolicy pozostały więc na lato jedynie rosnące armie bezrobotnych i kloszardów - tych zaś zamiast spacerów po wyludnionych, eleganckich dzielnicach bardziej zajmowała pogoń za jakimkolwiek płatnym zajęciem czy strawą. Plac du Palais-Royal wyglądał tyleż na bezludny, co na zapuszczony. Zamknięto na głucho sklepiki i

kioski, w których zagraniczni goście kupowali dawniej kartki pocztowe i plany metra. Zamiast tasiemcowych ogonków, w których mieszały się grupy turystyczne i rozszczebiotane szkolne wycieczki z prowincji, północną bramę Luwru przekraczała ledwo garstka miłośników sztuki, wyraźnie przytłoczonych szarym masywem muzeum. Grupka znudzonych taksówkarzy kręciła się koło ruchomych schodów przy stacji metra, w sianej papierosowej chmurze wymieniając zaczepki i powtarzając sobie najświeższe plotki. Po drugiej stronie placu, gmach Palais-Royal trwał pogrążony w tym samym sierpniowym bezwładzie co reszta miasta. Żołnierze w galowych mundurach stali sztywno przy żelaznych wrotach, broniąc postronnym dostępem na dziedziniec i do głównego wejścia rezydencji. Inni, w lepszej formie, bo ubrani w mundury polowe i z bronią maszynową u boku, czuwali na swych posterunkach na dachu. Policjanci o kwadratowych szczękach krążyli parami wzdłuż ogrodzenia od strony jezdni, wypatrując rozrywki w postaci przypadkowych żebraków albo włóczących się wyrostków. Większość okien zwalistej budowli zasłaniały żaluzje albo ciężkie kotary. Na wewnętrznym dziedzińcu parkowało niewiele służbowych limuzyn, z których większość dla ochrony przed kurzem i miejskim brudem zakryto plandekami. Pasażerowie wyjechali widać na wakacje, zabierając ze sobą zaufanych kierowców. Pomimo ostrych środków bezpieczeństwa, Palais-Royal wydawał się równie wyludniony jak całe centrum miasta. Jak zwykle jednak, pozory mogły mylić. Wybudowany na początku siedemnastego wieku Palais-Royal służył zrazu jako siedziba słynnej Szarej Eminencji, kardynała Richelieu. U schyłku dwudziestego stulecia, zabytkowe pomieszczenia zajmował nie jeden, lecz kilku francuskich dostojników. Prywatny gabinet Nicolasa Desabc odznaczał się niepowtarzalnym charakterem i odzwierciedlał stylem charakter lokatora. Wyczuwało się tu dyskretną elegancję i oczywistą władzę. Parkiet zakrywał wielki dywan, podniszczony stuleciami użytkowania, lecz wciąż mieniący się bogatą mieszaniną błękitu i królewskiej purpury. Ścianę za wielkim dębowym biurkiem przyozdabiał arras zamówiony niegdyś osobiście przez Richelieuego, a pozostałe ściany służyły za tło serii malowideł, przedstawiających najznamienitsze triumfy francuskiego oręża. Obrazy stanowiły własność Luwru, który oddał je w bezterminowy depozyt. Jako zwierzchnik całej francuskiej służby wywiadowczej,

znanej jako DGSE, Desaix miał do dyspozycji jeszcze dwa biura - jedno bezpośrednio w Pałacu Elizejskim, tuż przy apartamentach prezydenta republiki, drugie zaś w gmachu swojego ministerstwa. Najważniejsze sprawy Desaix lubił jednak załatwiać w przesyconym historią gabinecie w Palais-Royal. Słabnące popołudniowe słońce wpadało smugami przez wysokie okna, rzucając na parkiet gabinetu serię rudawozłotych prostokątów. W pozostałej części wnętrza trwał cień. Alexandre Marchant przystanął w drzwiach, na mgnienie oślepiony tą serią ostrych, świetlnych kontrastów. - Mój drogi Marchand! - usłyszał. - Proszę wejść, cóż za ceregiele! Mówiąc to, Desaix powstał zza biurka i szybkim krokiem zbliżył się do gościa, prowadząc go w stronę ustawionej z boku gabinetu pary głębokich foteli. - Znakomicie pan wygląda - usłyszał jeszcze gość, który skwapliwie usiadł i co prędzej odrzekł: - Pan także, panie dyrektorze.

Zaproszenie, by spocząć, było jak najbardziej na miejscu, gdyż lata spędzone za biurkiem w połączeniu z doskonałym jedzeniem i zamiłowaniem do jeszcze lepszych win rozwinęły talię Marchanda w sposób godny najwyższego podziwu. Niewielu spośród dawnych szkolnych kolegów umiałoby rozpoznać w przybyszu niskiego i chuderlawego inżyniera lotnictwa, który za młodu marzył tylko o jednym, to jest, by skonstruować najnowocześniejszy samolot na świecie. Później przyszło się Marchandowi pożegnać z marzeniami - za dużo miał codziennych zmartwień z księgowością, kosztami produkcji i trudnym charakterem partnerów, z którymi wspólnie zawiadywał potężnym konglomeratem przemysłowym znanym pod nazwą Eurocopter. Człowiek, który zasiadł w fotelu naprzeciwko Marchanda, w krańcowy sposób różnił się od swego gościa powierzchownością i zachowaniem. Z powodu patykowatej sylwetki i pokaźnego nosa, Nicolas Desaix nieodmiennie kojarzył się innym Francuzom z ostatnim z wielkich przywódców kraju, Charlesem de Gaullem. Marchand gotów był się założyć, że szef wywiadu wcale nie tępi u podwładnych podobnych skojarzeń. - Czytał pan już wstępny meldunek majora Duroca?

Marchand przytaknął, przypominając sobie kamienny wyraz twarzy gońca na motocyklu, doręczającego mu w domu dokument. Goniec czekał, aż Marchand przeczyta całość, po czym zabrał mu kartki i zawiózł je do siedziby głównej DGSE, gdzie komisyjnie przepuszczono je przez niszczarkę. Sposób doręczenia przesyłki

jeszcze dobitniej niż chłodna, pełna suchych faktów treść unaoczniał Marchandowi, z jak okropnie tajną i poważną sprawą przyszło się borykać. To, co planowano jako zwykły akt sabotażu na własnym terenie, przeobraziło się w strzelaninę i przyniosło niepotrzebną śmierć. Desaix, który zdawał się czytać Marchandowi w myślach, ze smutkiem pokręcił głową i rzekł: - Przykro mi, że nastąpiły tak niefortunne... komplikacje, Alexandre. Zwłaszcza ta śmierć twojego strażnika. Podobno żonaty? - Tak. Żona mieszka w Lionie.

- Cóż, żal człowieka - Desaix westchnął i podniósł spojrzenie na gościa: - Zadbacie o nią?

- Naturalnie! - Marchand zaplótł dłonie na podołku. - Wszyscy nasi pracownicy są ubezpieczeni, a w tym szczególnym wypadku moi podwładni postarali się uruchomić specjalny fundusz na odszkodowanie.

- Doskonale - przytaknął tym słowom Desaix. - Francja musi pamiętać o wszystkich poległych dzieciach. Niezależnie od okoliczności zgonu. Prezes Eurocoptera zdumiał się, słysząc u rozmówcy nutę niekłamanego patosu. Kilka prostych, zdawałoby się, słów obróciło śmierć młodego Monneta w akt wzorowego obywatelskiego poświęcenia. Coś takiego! Gospodarz gabinetu miał więcej osobistego czaru i daru pozyskiwania słuchaczy niż prezydent i reszta ministrów razem wzięci. Marnował te talenty na obecnym stanowisku. Desaix jeszcze raz westchnął, by zaraz wzruszyć ramionami. - Z drugiej strony, trudno uniknąć podobnych tragedii. Takie już są realia naszego niedoskonałego świata. Świata, w którym aby osiągnąć cel, przychodzi nam nieraz się posłużyć niedoskonałymi narzędziami. - I podnosząc wzrok na Marchanda dodał: - Ale cel osiągnęliśmy niewątpliwie, czyż nie tak?

- Co do joty - potwierdził Marchand, czując, że znów zaczyna stąpać po pewnym gruncie. Gubił się przy szlochających wdowach, natomiast kwestiami siły roboczej, harmonogramów produkcji i zysków można było manipulować stosownie do potrzeb. Pochylił się w fotelu i wyjął: - Wasza bomba nie spowodowała większych zniszczeń, zgodnie z umową więc mimo wybuchu produkcja wirników prawie nie spadła. Jedyne kłopot to postawa moich dyrektorów. Proszę sobie wyobrazić, ciągle się nie mogą otrząsnąć z wrażenia, jak łatwo przyszło tym „węgierskim

terrorystom" rozwalić nam całe przedsięwzięcie.

Obaj rozmówcy uśmiechnęli się nieznacznie.

- A skoro tak, nie przewiduje pan również poważnych sprzeciwów wobec naszej propozycji podczas jutrzejszego posiedzenia?

Roztrząsań, pytań, i tak dalej?

- Ależ skądże - Marchand zaprzeczył ruchem głowy. - Mam w kieszeni wszystkie głosy, jakie nam będą potrzebne.

Desabc wyraźnie zadowolona ta odpowiedź. Na „akcję specjalną” majora Duroca zgodził się po to, by jedną małą detonacją rozwiązać dwa poważne problemy. Co więcej, Nicolas Desaix bardziej niż ktokolwiek lubił stwierdzać, że życie przyznaje mu słusność. Mimo ustępstw węgierskiej junty w kwestiach ulg podatkowych i płac, filia Eurocoptera w Sopron nadal zamiast zysków przynosiła Francji same straty. Wprawdzie na rynkach europejskich rządowe dotacje zapewniały węgierskim wirnikom zbyt we wszystkich firmach lotniczych, ale już eksport na inne obszary stanowił poważny problem. Ostra walka o rynki zbytu z amerykańskim Boeingiem i konkurentami z Japonii oznaczała, że nieprędko skończy się konieczność wspierania koncernu okazałymi subsydiami od rządu. W sytuacji, gdy cały świat pogrążył się na dobre w zastoju gospodarczym, francuskie firmy, które się znalazły w tej samej sytuacji co Eurocopter, na gwałt szukały sposobów, by obniżyć koszty własne. Trudno się dziwić, że cięcia płacowe wobec cudzoziemskich robotników na wschodzie Europy przyjmowano we Francji znacznie lepiej niż podobne posunięcia na własnym podwórku. Tak się jednak niestety składało, że węgierska załoga zakładów w Sopron odnosiła się coraz gorzej do francuskiego zarządu i brygadzystów. Przerwy w pracy, masowe zwolnienia chorobowe i pokątne pogróżki o strajku mąciły atmosferę w halach montażu wirników. Było jasne, że dalsze obniżki płac doprowadzą załogę do ostateczności, a co za tym idzie, natychmiast uderzą po kieszeni fabrykę, nie mogącą wywiązać się z zamówień. Także inne firmy prowadzące działalność czy to na Węgrzech, czy w Chorwacji albo Słowenii, zaczynały stawać wobec podobnej groźby. Tak przedstawiał się pierwszy z problemów.

Drugi problem również dotyczył cudzoziemców - ściślej mówiąc, cudzoziemców zamieszkałych we Francji. Podczas czterech powojennych dziesięcioleci setki tysięcy gastarbeiterów

przybywało tłumnie do Europy Zachodniej wraz z rodzinami z Algierii, Tunezji, Turcji, Portugalii i pół tuzina innych ubogich państw. W latach pięćdziesiątych czy siedemdziesiątych, gdy we Francji brakowało rąk do pracy, przydawali się doskonale, lecz obecnie stali się zbędnym bagażem. W sytuacji, gdy płatnej pracy brakowało dla milionów rdzennych Francuzów, „Arabów” traktowano jako zgraję brudnych i niebezpiecznych włóczęgów, których obecność psuje całą społeczną i polityczną harmonię. Opinia publiczna obarczała tę warstwę społeczeństwa winą za wzrost przestępczości, a także za choroby w rodzaju AIDS. Coraz częściej słyszało się też o krwawych wypadach skinów do zaniedbanych arabskich dzielnic na przedmieściach. Mówiąc bez ogródek, Francja chciała wyrzucić cudzoziemców za drzwi. W takich to okolicznościach Nicolas Desaix wymyślił skuteczne lekarstwo na wszystkie bolączki swego narodu. Dobroczynny wpływ leku miał również dopomóc potężnym imperiom przemysłowym, a jego samego wesprzeć w dalszej karierze politycznej - wszystko to za jednym zamachem. Najlepszym sposobem na obniżkę kosztów produkcji Eurocoptera i innych francuskich firm było zastąpienie niesfornych wschodnioeuropejskich robotników przesiedlonymi z Zachodu gasterbeiterami. Dzięki takiej operacji niepotrzebne stawały się rządowe dotacje, pozwalające sztucznie zaniżać cenę wyrobów. Co najlepsze, arabscy przesiedleńcy, jako posiadacze francuskich kart pobytu i takichże zezwoleń na pracę, płaciliby podatki od nowych zarobków bezpośrednio do opustoszałych skarbców Paryża. W myśl przepisów, pracując w zakładach takich jak te w Sopron, pozostawali oni także w dalszym ciągu na francuskim terytorium. Wystarczyło osiedlić ich w odosobnionych zakładowych osiedlach za drutami. Na papierze rozwiązanie prezentowało się wręcz genialnie. Akcja w Sopron stanowiła wstęp do urzeczywistnienia planu. Było jasne, że nie na żarty wystraszeni zamachem jako pierwszym objawem „kampanii terrorystycznej” przeciwko francuskim zakładom, inni producenci pójdą za przykładem Eurocoptera. Niemcy zapewne także skorzystają z okazji, by pozbyć się cudzoziemców, Marchand był o tym przekonany. Bosche nie od dziś przecież powtarzają: "Auslander raus! Węgry i inne państwa wiszące u paryskiej klamki z pewnością zaczną protestować przeciwko takim poczynaniom, lecz niewiele im z tego przyjdzie. Fakt pozostawał faktem: wszystkie kraje, bez

których Francja mogła się doskonale obejść, same nadal nie umiały sobie poradzić bez wsparcia ze strony francuskiego i niemieckiego kapitału, a także bez politycznego poparcia i dobrej woli Francji i Niemiec. Wystarczy więc zagrozić przerwaniem tej pomocy albo zamknięciem zakładów, a rządy położą uszy po sobie. Marchand miał przynajmniej nadzieję, że się tak stanie. Odchrząknął jednak i na wszelki wypadek zauważył.

- Niepokoi mnie tylko jedna sprawa.

- Co takiego? - Desaix nachmurzył się odrobinę.

- Chodzi mi o tego węgierskiego policjanta, o którym wspominał Duroc. O tego Hrad... - Marchand urwał, nie potrafiąc wykrztusić nieprawdopodobnego nazwiska funkcjonariusza.

- O tego tam? - Dyrektor DSGE parsknął nie bez pogardy i machnął ręką. - To pęta. Prowincjonalne zero bez najmniejszych wpływów w Budapeszcie. Nie warto tracić czasu na takich typków, proszę mi wierzyć, Alexandre. Jeżeli nadal będzie próbował mącić, zrobię z nim porządek.

Marchand ze zrozumieniem pokiwał głową. Francuskie służby specjalne włożyły wiele czasu, pieniędzy i wysiłku w szkolenie swoich węgierskich kolegów, dzięki czemu udało im się zdobyć mnóstwo tajnych i najzupełniej jawnych wpływów w tamtejszym aparacie państwowym. Obecni władcy Węgier zawdzięczali swoją pozycję wyłącznie Paryżowi, a jeśli o tym zapominali, Desaix i jego koledzy prędko odświeżali im pamięć. Polityk, który narażał się mocodawcom wojskowych władz kraju mógł nie liczyć na długą karierę. - W takim razie nie będę zabierał panu czasu. -

Marchand powstał, jak zwykle zdumiony, ile kosztuje go to wysiłku. - Po zwolę sobie nie nadużywać pańskiej gościnności.

- Ależ cóż znowu! Gościć pana to dla mnie prawdziwa przyjemność, Alexandre! Moje drzwi zawsze stoją dla pana otworem i proszę o tym pamiętać - uśmiechnął się uprzejmie Desabc, również powstając z fotela.

Prezes zarządu Eurocoptera zadarł głowę, by odczytać wzrok gospodarza. - Ogromnie dziękuję, monsieur. Panu, no i współpracownikom.

Obaj rozmówcy rozumieli się bez zbędnych słów.

O tym, że sędziwy i bardzo już niedołężny prezydent republiki lada dzień urządzi okresowe przetasowanie gabinetu, wiedziała z góry cała Francja. Poparcie ze strony kilku największych

przemysłowych gigantów kraju pozwalało Nicolasowi Desabc ubiegać się o tekę dowolnego ministerstwa. Marchand nie miał zresztą nic przeciwko takiej transakcji. W sytuacji, gdy wszystko się waliło nie tylko w Europie, ale w ogóle na całym świecie, Francja potrzebowała ludzi odważnych i szczwanych: takich, którzy umieli korzystać z najdrobniejszych okazji, jakie zsyła los. Imperia tworzy się śmiałym działaniem, nie tchórzliwym kunktatorstwem. 21 sierpnia - „Wędrówka euroludów”, artykuł w „The Economist” Nie czekając nawet, aż wyschnie atrament na publicznym oświadczeniu, jakie przedstawił Eurocopter, kilkanaście innych firm stanowiących własność francuskiego kapitału ogłosiło analogiczne plany zastąpienia dotychczasowych załóg we wszystkich filiach na wschodzie Europy. Zaskakujące posunięcie pojedynczego koncernu na naszych oczach przeradza się w powszechną modę. Najnowsze dane wskazują, że posunięcia te dotyczyć będą co najmniej 50 tysięcy miejsc pracy. Jeden z wysokich rangą urzędników w Paryżu ocenia, że liczba ta zacznie raptownie rosnać już w najbliższych dniach lub tygodniach, gdy kolejne francuskie i niemieckie koncerny dołączą do wyścigu o obniżkę kosztów produkcji. Inni eksperci szacują liczbę Algierczyków, Turków i Tunezyjczyków z Francji objętych przesunięciami na ponad ćwierć miliona osób. Do liczby tej należy dodać żony i dzieci robotników, które także muszą wziąć udział w tej współczesnej wędrówce ludów. Projekt wywołał bardzo ostre sprzeciwy na całym terytorium Węgier, Chorwacji i Rumunii - krajów najbardziej dotkniętych projektowanymi zmianami. Do najpoważniejszych wystąpień doszło w mieście Braszow na północ od Bukaresztu, gdzie rumuńscy robotnicy wdarli się do kwater dla cudzoziemców, zabijając trzynastu Arabów i raniąc kilkudziesięciu innych. Wśród ofiar śmiertelnych znalazło się także czterech rumuńskich robotników i kilku policjantów. W protestach biorą udział nie tylko grupy, którym przesunięcia mogą odebrać środki do życia. Wiele spośród tych akcji odbywało się pod hasłami nacjonalistycznymi. Dotyczy to zwłaszcza Francji, gdzie głośny jest przykład jednego z działaczy związkowych. Działacz ten demonstracyjnie opuścił niedawne zgromadzenie, krzycząc: „Miejsca pracy są dla Francuzów, nie dla arabskich kundli!” Również we Francji fala wystąpień przybrała gwałtowną postać, zwłaszcza w ubiegłą środę, kiedy falanga neofaszystowskich skinów i prokomunistycznych działaczy związkowych zaatakowała w Marsylii

dzielnicę zamieszkałą przez cudzoziemców. Kilkugodzinne walki uliczne, samosądy i podpalenia przyniosły żniwo w postaci sześciu ofiar śmiertelnych i pokaźnej liczby rannych. Świadkowie zajęć skarżyli się na policję, która według ich relacji nie uczyniła prawie nic, by położyć kres zamieszkom albo aresztować prowodyrów. Mimo tych sygnałów ostrzegawczych, francuskie elity przemysłowe i polityczne nie wykazują ochoty do zmiany podjętych decyzji. Niezależnie od tego czy za decyzjami stoi przeświadczenie o rasowej wyższości, czy też proza zrujnowanej gospodarki, wymuszone w ten sposób masowe przesiedlenia będą najprawdopodobniej kontynuowane...

30 sierpnia - Sopron, ruchomy punkt dowodzenia węgierskiej policji

Z trawiastego pagórka górującego nad autostradą Budapeszt-Wiedeń pułkownik Zoltan Hradetsky patrzył gniewnie na obraz żywcem wyjęty z najczarniejszych snów policjanta: na rozruchy, nad którymi nikt już nie jest w stanie zapanować. Z radiostacji w wozie dowodzenia dobywały się na przemian trzaski i bezradne krzyki - znak, że podlegli Hradetsky'emu młodszy oficerowie usiłują zaprowadzić porządek we własnych szeregach. Autostrada wyglądała jak pole średniowiecznej bitwy. Pośrodku widać było kilometrową, upakowaną zderzak w zderzak kolumnę autokarów z robotnikami cudzoziemskimi i ich rodzinami. Zatrzymane autokary zdążyły do zakładów Eurocoptera w Sopron. Spoza drucianych siatek przyspawanych w miejsce wybitych kamieniami szyb wyzierały na zewnątrz setki przerażonych twarzy. Nad całym terenem kłębił się czarny, gęsty dym z płonących opon samochodowych, tarasujących autostradę. Dym mieszał się z szarymi obłoczkami gazu łzawiącego, które polatywały nad falującą gromadą demonstrantów z kamieniami w rękach. Policjanci w maskach gazowych, z pałkami i plastikowymi tarczami rzucali się co rusz w stronę kolejnej bijatyki i ciosami pałek odpędzali demonstrantów próbujących siłą wedrzeć się do autokarów. Rząd blaszanych ciężarówek przeznaczonych do przewozu aresztantów nadal stał pusty. Nie było czasu na aresztowania. Cała policyjna akcja chwiała się, a sytuacja lada chwila groziła katastrofą. Hradetsky zaklął cicho. Niech szlag trafi Gellarda i jego zarozumiałych mocodawców w Paryżu! Nie pofatygowali się, żeby w porę powiadomić pułkownika. Raczyli się zgłosić dopiero

dziś rano, o wiele za późno, by dało się zgromadzić wystarczające środki i zapanować nad tłumem. Skutek był ten, że pierwsze pododdziały policji nie zdążyły zapobiec budowie barykad i pozwoliły się zgromadzić rozwścieczonym demonstrantom z zakładów. Wrzaski, krzyki i stłumiony huk kolejnych salw z miotaczy gazu łzawiącego niosły się aż na szczyt wzniesienia. Niebo zasnuło się nową chmurą dymu, tym razem od strony ogona unieruchomionej kolumny. Demonstrantom udało się odciąć konwojowi drogę odwrotu. Hradetsky odwrócił się na pięcie i ruszył z wolna w stronę grupki zafrasowanych oficerów cisnących się wokół wozu dowodzenia. - Łączyć się z Kapuvarem! Mają przysłać posiłki natychmiast, nie za tydzień! I dowiedzcie się wreszcie, gdzie utknęły armatki wodne! Jak tak dalej pójdzie, długo się nie utrzymamy.

- Niepotrzebnie wpada pan w panikę, pułkowniku - zauważył Francois Gellard, dyrektor zakładów, który stał z boku z rękoma założonymi na piersi i pomimo scen odgrywających się na autostradzie niewiele setek metrów od pagórka wydawał się autentycznie znudzony. Obok dyrektora przystanąła para jego własnych ochroniarzy z krótkimi karabinkami automatycznymi FAMAS* gotowymi do strzału.

- Ciekawe, skąd pan to wie?!

Francuz wykrzywił wargi w uśmiešku i wskazał na zachodnią część horyzontu.

* Objasnienie podstawowych terminów z zakresu techniki wojskowej i wojskowości znajduje się w słowniczku na końcu książki. - przyp wyd.

- Powziąłem już kroki, by prędko zakończyć tę farsę.

Hradetsky spojrział we wskazanym kierunku i rzeczywiście ujrzał blisko horyzontu trzy czarne kropki, zbliżające się z dużą prędkością. Śmigłowce ze znakami koncernu Eurocopter. Kilka chwil później maszyny przemknęły nad szczytem pagórka i ześliznęły się ponad stokiem w kierunku autostrady. W wizgu hamujących wirników otworzyły się boczne drzwi śmigłowców, a siedzący w środku ludzie wychylili się, lustrując tłum kłębiący się pięćdziesiąt metrów niżej. Śmigłowce z Eurocoptera, tym razem na wolnej prędkości, zaczęły się przesuwać wzdłuż autostrady w kierunku wschodnim. W ślad za nimi po ziemi szedł sznur białych rozbłysków i przeraźliwy huk granatów ogłuszających, ciskanych z kabin. Granaty rozrywały się w powietrzu i na ziemi, a ich eksplozjom

towarzyszyły okrzyki przerażenia. Wybuchy zwały z nóg zarówno demonstrujących jak i policjantów. Ci, którzy upadli, ginęli pod nogami tłumu, który zdjęty paniką uciekał byle dalej od autostrady. Wśród gwizdu turbinowych silników śmigłowce zatoczyły ciasny krąg i powtórzyły nalot. Uszy Hradetsky'ego rozdarły następne eksplozje. Kolejna grupa mężczyzn i kobiet padła w kałużach krwi na beton autostrady. Policjant odwrócił się nagle do Gellarda.

- Ty skurwysynu jebany, coś ty zrobił?! Jak śmiałeś wydać taki rozkaz! Masakra z powietrza, tak?! - palec Hradetskiego celował w bezwładne ciała, zaścierałając pobocza.

- Proszę spokojniej, pułkowniku. Większości tych ludzi nic nie będzie. Są tylko ogłuszeni, podduszeni... A poza tym - francuski dyrektor zakładów skinął w stronę krążących śmigłowców - poza tym pańska nieoceniona policja zaczynała brać nogi za pas, podczas gdy moje maszyny i moi ludzie umieli zaradzić złu. Nie sądzę, żeby pańskim przełożonym chciało się kwestionować moje decyzje. Hradetsky poczuł, że czerwienieje niczym zdjęty apopleksją. -A mnie głównie obchodzi, co sobie wyobraża to pańskie wazelinarstwo w Budapeszcie!!! To mój okręg, moje terytorium, a nie te pana głupie zakłady!

Krzycząc, przybliżał się do Gellarda. Dyrektor i obaj ochroniarze zeszywnieli, niepewni, jak daleko może się posunąć wściekły Węgier, - Dlatego jest pan aresztowany, mamieur. Zarzuty? Proszę bardzo! Morderstwo, napaść na funkcjonariuszy policji i na obywateli okręgu. Nikomu, słyszy pan, nikomu, choćby miał nie wiem jakie wpływy, nie pozwolę działać ponad prawem! Przynajmniej dopóki ja tu rządę. Gellard wzruszył ramionami.

- W takim razie długo pan tu nie porządzi, pułkowniku -mruknął i odwrócił się, zajęty obserwacją autokarów, powoli torujących sobie drogę przez opuszczone barykady. Pułkownik Hradetsky znów zaklął i ruszył w dół stoku. W marszu zaczął wydawać pierwsze rozkazy. Ktoś przecież musiał zaprowadzić porządek w krwawym piekle, jakie się rozpętało na drodze.

2 września - pilny telefax do komendy policji w Sopran

NADAWCA: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

ADRESAT: Płk. Zoltan Hradetsky, komendant okręgu policyjnego Sopran

1. W trybie natychmiastowym zwalnia się w/w ze wszystkich

obowiązków na dotychczasowym stanowisku. Odbiera się także w/w wszystkie dodatki funkcyjne i deputaty.

2. W trybie natychmiastowym nakazuje się w/w przerwać wszystkie będące w toku operacje i czynności śledcze do chwili przybycia nowego komendanta okręgu.

3. Udziela się w/w surowej nagany za sposób kierowania akcją w dniu 30 sierpnia br. Mimo trwających przesunięć załogi, zakłady Euro-copter w Sopran pozostają ważnym elementem gospodarki narodowej. Niegodne policjanta zachowanie w/w naraziło na szwank żywotne interesy kraju. Nagany udziela się z trwałym wpisaniem do akt personalnych.

4. Z dniem 5 września br. odkomenderowuje się w/w na stanowisko w Centralnym Archiwum Akt Kryminalnych w Budapeszcie. Z przyczyn obiektywnych etat i miejsce w siatce płac na nowym stanowisku odpowiadać będą randze kapitana. W dalszej przyszłości, w zależności od wyników pracy, możliwe będzie przydzielenie w/w etatu odpowiadającemu jego randze. Cen. Bryg. Imre Dozsa
Komendant Główny

3

Wartownicy

11 września - międzynarodowy port lotniczy Dulles w Waszyngtonie
W wizgu siłowników hydraulicznych potężny Boeing 747 wyszedł z zakrętu i wyrównał lot, a niski grzmot silników rozszedł się daleko ponad łąkami i lasami stanu Wirginia, sześć i pół tysiąca kilometrów od Londynu. Po prawie siedmiu godzinach w powietrzu, pasażerowie rejsu 128 linii American Airlines znajdowali się nad Waszyngtonem. W dole migały kolejne szeregi parterowych domków, białe strzeliste dzwonnice kościołów i płaskie dachy podmiejskich centrów handlowych. Wiele budynków ziało pustką lub stało niewykończone. Choroba światowej gospodarki dotknęła boleśnie nawet pas osiedli wokół amerykańskiej stolicy. Joseph Ross Huntington III (w myśl starego zwyczaju, rzymska trójka oznaczała, że te same imiona nosili jego ojciec i dziadek) oderwał wzrok od okienka i skrzywił się paskudnie. Gdzie człowiek nie spojrzał, wszędzie widać było oznaki zapaści gospodarczej - nawet tu, na pokładzie porannego rejsu z Londynu. Większość foteli stała pusta, a wśród pasażerów przeważali wymęczeni faceci w garniturach. Znać było po ich twarzach, że nie podróżują dla przyjemności. W sytuacji, gdy stopa bezrobocia w całym kraju

sięgała dwunastu procent, niewiele rodzin znajdowało pieniądze i ochotę na wakacje za granicą. Co więcej, powszechna wzdarga wobec „cudzoziemców” i tutaj osiągnęła dawno niespotykane rozmiary. Huntington pokręcił tylko głową. Może i tak nie było źle? Amerykanie mieli przynajmniej czym nakarmić rodziny. Szczęściarze, w porównaniu z większością innych państw na całej planecie. Afryka na przykład, tak samo jak Południowa i Środkowa Ameryka, tonęły pod ciężarem niespłaconych długów, śmiercionośnych epidemii, nędzy i politycznego chaosu. Również Azja - z wyjątkiem Japonii, Korei Południowej i jeszcze paru krajów - trzęsła się w posadach. Co najgorsze, nad przepaścią stanęły również dumne z przemysłowej tradycji, rozwinięte kraje Europy. Przed kataklizmem gospodarczym broniły ich tylko coraz większe dotacje rządowe, rozmaite subsydia i zwykła wiara w cuda. Dopiero mocny wstrząs i świst odwracanego ciągu w silnikach oderwały Huntingtona od ponurych myśli. Wylądowali. W głośnikach kabiny zagrzechotało.

- Panie i panowie witamy w międzynarodowym porcie lotniczym Dulles w Waszyngtonie. W imieniu kapitana samolotu i całej załogi... Huntington starał się nie słuchać stereotypowej formułki, którą częstowano go w życiu już kilkaset razy. Czekał cierpliwie, aż samolot zejdzie z pasa na drogę dojazdową ku słynnemu, strzelistemu pawilonowi ze stali i szkła: budynkowi dworca lotniczego. Cierpliwość stanowiła zaletę, którą przyszło mu sobie przyswoić dopiero w średnim wieku i dlatego często sam się dziwił, że tak spokojnie czeka na otwarcie drzwi. Było faktem, że ani dawni koledzy Huntingtona ani akcjonariusze firm, którymi zarządzał, nie posądziliby go o nadmiar cierpliwości. Przeciwnie. Gdyby ich o to zapytać, stwierdziliby zgodnie, że Huntington to facet, który się wszędzie wpycha, wszystkich zaczepia i prosto z mostu wali ludziom różne nieprzyjemne rzeczy. Opinie były najzupełniej zgodne z prawdą. Tygodnik „Business Week” pisał przecież, że w obowiązkach szefa pomagają Huntingtonowi trzy cechy: „ciało jak u obrońcy futbolowego, mózg godny geniusza i słownictwo jak u pijanego marynarza”. Trzy zalety, dzięki którym udało mu się uczynić z podupadających i niedoinwestowanych zakładów mechanicznych - własności rodziny - jedno z najbardziej dynamicznych przedsiębiorstw w skali kraju. Te same trzy cechy nieraz omal nie doprowadziły Huntingtona do

zawału. Kiedy miała mu stuknąć pięćdziesiątka, nadal tryskał energią i pomysłami, lecz urodziny przyszło mu obchodzić na oddziale intensywnej terapii. Ciągłe napięcie i nadmiar pracy przyniosły jednak skutek w postaci zawału. Rekonwalescencja wlokła się w nieskończoność, lekarze zaś nie ukrywali, co myślą o stylu życia Huntingtona. Miał do wyboru, natychmiast pójść na emeryturę albo żyć ze świadomością, że w każdej chwili może go ściąć następny zawał. Przerazenie wypisane na twarzy żony pomogło Huntingtonowi podjąć decyzję. Wycofał się z życia zawodowego, bezpośredni zarząd nad firmą przekazał najstarszej córce i zaczął sobie szukać jakiegoś spokojnego, cichego zajęcia. Znajomi, których dotknął podobny los, szukali spełnienia w brydżu, grze w golfa, w malarstwie sztalugowym. Huntingtona interesowały jednak inne sprawy. Na przykład polityka. Wyszedł przez otwarte wreszcie drzwi Boeinga jako jeden z pierwszych pasażerów. Podróżowanie pierwszą klasą ma jednak pewne zalety, to zwłaszcza że unika się wariackiego wyścigu do wyjścia zapchanym przez ręczny bagaż przesmykiem między fotelami. Dla Huntingtona liczył się też fakt, że w jedyńce człowiek może rozprostować nogi. Amerykanin liczył sobie prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i miał wszelkie powody przypuszczać, że fotele lotnicze projektuje się z myślą o karzełkach i rozwrzeszczanych dzieciach. A ponieważ Huntington był nie tylko wysoki, lecz dosyć majętny, wolał podróżować wygodnie. Wyszedł z rękawa do sali przylotów i już miał ruszyć ku stanowiskom służby imigracyjnej i celników, gdy zatrzymał go starszy mężczyzna w ciemnoszarym garniturze. - Huntington to pan? - Zgadza się - Amerykanin zwolnił kroku i kątem oka zerknął na intruza. - Chciał pan czegoś ode mnie, panie...? - Jestem Rawlins. Z Tajnej Służby - dodał mężczyzna i błysnął legitymacją w kształcie niewielkiego portfela. Huntington zatrzymał się pośrodku hali, podobny do skały wyszlifowanej przez omywający ją ze wszystkich stron tłum. Zdjęcie w legitymacji odpowiadało rysom Rawlinsa, a cały dokument wyglądał na autentyczny. Huntington oddał legitymację agentowi. -No? Rawlins wskazał mu boczne, pozbawione tabliczki drzwi. - Darujemy sobie odprawę celną. Dokumenty też wypełnione. Na dole czeka na pana samochód. Widać było, że komuś na gwałt potrzebna jest obecność

Huntingtona. Amerykanin zaklął, bo miał wielką ochotę zdrzemnąć się najpierw w swoim hotelu, albo przynajmniej wziąć prysznic. Dwadzieścia godzin nieustannej podróży potrafią wymęczyć każdego.

- A co z moim bagażem?

- Wszystko załatwione, niech mi pan wierzy. Nasi ludzie przywiozą go panu... - Rawlins zastanawiał się przez chwilę. - Ma pan tam coś, bez czego się pan nie obejdzie do wieczora?

Huntington zaprzeczył ruchem głowy. Wszystkie materiały miał albo w głowie, albo w podniszczonej, skórzanej teczce. Niestety, nie było tego wiele. Poleciał do Europy pełen nadziei i dobrych chęci, lecz czuł, że z powrotem przywiózł gówno w papierku.

Irytująca świadomość porażki towarzyszyła mu na schodach, a potem w rządowej limuzynie wiozącej go do Białego Domu.

Biały Dom

Poczekalnia przed Owalnym Gabinetem okazała się dziwnie pusta.

Zwykle roiło się tutaj od najrozmaitszych ludzkich typów:

fundatorów kampanii wyborczej, zawodników z mistrzowskich drużyn sportowych, czasem trafiała się nawet grupa skautów czyhających na okazję, by zrobić sobie zbiorowe zdjęcie z najważniejszą osobą w państwie. Tym razem jednak w pomieszczeniu była tylko osobista sekretarka prezydenta, zajęta jakimiś papierami oraz doradca wojskowy, sztywny, oficjalny i wbity w galowy mundur. Dopiero po dłuższej chwili Huntington uświadomił sobie, co oznacza ta pustka w sali. Prezydent odwołał wszystkie popołudniowe spotkania, by w spokoju móc wysłuchać raportu Huntingtona. No, świetnie.

Amerykanin wyprostował się i ruszył prosto ku drzwiom. Nawet starzy kumple muszą sobie czasem powiedzieć coś do słuchu.

Prezydent również tkwił po uszy w papierach. Po dwóch latach od rozpoczęcia kadencji nie utracił wprawdzie reszty energii i

optymizmu, którymi zaskarbił sobie głosy wyborców, lecz widać było, że i jemu obecne czasy dają się dobrze we znaki. Szerokie ramiona i muskularny kark, tak dobrze służące niegdyś

prezydentowi na futbolowym boisku, uginały się teraz - i to w dosłownym znaczeniu - od wysiłku, z jakim przychodziło staczać

kolejne kampanie z izolacjonistami. Ci zaś proponowali wciąż to samo. Ich porady sprawiły, że zaczynała się chylić gospodarka

kraju, a poprzednik obecnego gospodarza w Białym Domu po czterech latach musiał spakować manatki. W ciągu obecnego dziesięciolecia

już dwóch prezydentów USA musiało się pożegnać z myślą o drugiej

kadencji. Było jasne, że jeśli sytuacja prędko się nie zmieni, historia gotowa się powtórzyć. Prezydent potrafił jednak przyoblec kanciastą twarz pod szczytką siwiejących włosów w wyraz chłopięcego optymizmu. - Ross! Jak twój lot?

- Fajny, tylko za długi - Huntington opadł na fotel ustawiony przed wielkim biurkiem.

- No, cóż. Przepraszam, że cię tak tu przygnałem, ale sam wiesz, stary, chciałem się zaraz dowiedzieć, jak poszło. - Prezydent połączył się z sekretarką. - Maria? Zadzwoń w moim imieniu do Departamentu Stanu, poproś Thurmana, żeby zajrzał do mnie wieczorem? Nie, tak towarzysko. Napijemy się i pogadamy. Powiedz mu, że wrócił Ross Huntington. Thurman wie, o co chodzi. - Myślisz, że warto mu mówić? - Huntington posłał prezydentowi zdziwione spojrzenie. Harris Thurman, sekretarz stanu USA, jak mało kto umiał się czepiać protokołu i wszędzie wymagał przestrzegania właściwej procedury. W żadnym zaś wypadku nie pochwalał prezydenckiego pomysłu, by jako nieoficjalnego, prywatnego wysłannika Biały Dom wykorzystywał osobę prywatną, co z tego, że starego przyjaciela prezydenta i jego rodziny? Huntington pamiętał, że notę Departamentu Stanu w tej kwestii otwierały takie określenia jak „nieprzemyślana decyzja”, a końcowe zdania przewidywały smętnie, że „wszelkie amatorskie zabawy w dyplomację mogą jedynie pogorszyć trwający stan rzeczy”. Prezydent uśmiechnął się tylko, błyskając białymi zębami. - Mój nieoceniony sekretarz stanu już dawno się pokajał i wstąpił na ścieżkę cnoty. Masz w nim teraz najbardziej oddanego przyjaciela, stary.

- Nie gadaj.

Prezydent pokiwał głową.

- Dałem mu do przeczytania kopie listów, które zawiozłeś. Od razu zmiękł, mówię ci.

W to Huntington uwierzyłby już prędzej. Noty wymieniane między głowami państw zazwyczaj pełne były nader mętnych sformułowań na temat wzajemnego szacunku i niekłamanego zainteresowania.

Tymczasem napisany odręcznie list do francuskiego prezydenta zawierał zdania, których nie dało się określić jako dyplomatyczne

- podobnie jak przesłanie do kanclerza Niemiec. Thurman, niewątpliwie zdjęty zgrozą wobec takiego braku manier, mógł rzeczywiście dziękować niebiosom, że listy idą poza oficjalnymi

kanalami i bez wiedzy Departamentu Stanu. Huntington miał jednak kwaśną minę.

- Teraz wcale bym się nie założył, że Thurman się myli.

Daleko nie zawędrowałem z tymi listami.

- Dokładnie tak, jak się spodziewałem, Ross. - Prezydent lekko przekrzywił głowę i skinął w stronę zabytkowego globusa w jednym z kątów Owального Gabinetu. - Sam teraz widzisz do czego prowadzi w gospodarce polityka odwetu. Oni cła, my cła. Oni dotacje, my też... A skutek jest taki, że siedzimy na drzewie, Nauchwalaliśmy tyle tych taryf, kontyngentów, ceł od opłat i opłat od ceł, a teraz dziwimy się, że w handlu zagranicznym zastój. Cud, że w ogóle jeszcze handlujemy. Najgorzej, że nikt nie chce zmadrzeć. Wszystkie najsilniejsze rządy wyjechały do góry na obietnicach, że będą „bronić rodzimego rynku”: Francuzi, Niemcy, to samo w Japonii. To samo, kurwa, i u nas. Tylko że ta wojna handlowa, w którą się tak wplątaliśmy, jest nie do wygrania! Dla nikogo! - Prezydent potrząsnął głową z obrzydzeniem. - Tyle, że nikt się teraz nie będzie chciał pierwszy wycofać. Ładni mi światowi przywódcy, cholera im w bok! Kłóćmy się, kto pierwszy uderzył, jak jakaś zgraja gówniarzy w piaskownicy! - A ciebie to nie dotyczy?

- Mnie dotyczy najbardziej ze wszystkich, a co myślisz?! - parsknął prezydent. - Niech no tylko zaświta mi we łbie, żeby złagodzić te nasze zaporowe cła albo limity importowe, Kongres albo związki zaraz pokażą kły i potraktują mnie obcasem po żebrach! Myślisz, że dlaczego wysłałem do Paryża i Berlina właśnie ciebie, a nie kogoś z amerykańskim paszportem dyplomatycznym w zębach? Gdyby się zrobił smród, moglibyśmy twierdzić, że działałeś na własną rękę, ot, zatroskany o dobro kraju obywatel, który chciał się przekonać, jak wygląda życie dyplomaty.

Huntington uniósł brew.

- Ale sam mówisz, że nie miałeś złudzeń co do skutków tej podróży.

- Bo nie miałem. W sytuacji, jaka się porobiła w handlu, nawet takie szeptanki na osobności nic już nie pomogą. Po prostu - prezydent wycelował palcem w fotel Huntingtona - chciałem, żebyś się zorientował, z kim mam do czynienia. Opowiedz mi, jakie wrażenie zrobili na tobie ci faceci. Jacy byli? Co, twoim

zdaniem, zamierzają teraz zrobić?

- Nie masz już kogo zapytać?

- Ty się nadajesz najlepiej. Kogo mam pytać o takie sprawy, jak nie twardego skurwiela, który w dodatku nie będzie mi kręcił i mącił, tylko powie, jak jest? - Prezydent zmarszczył czoło. - Sam wiesz, Ross, co się wyrabia z wszystkimi analizami, zanim się je przyśle na moje biurko. CIA tu pochrząka, tam pomarudzi, tu coś poprawi, żeby dobrze wyglądało... Departament Stanu za bardzo się ogląda na Kongres, żeby mi przedstawić obiektywny obraz... A co do reszty tych moich tak zwanych ekspertów, jękają się, kiedy ich zapytać czy kawę chcą z cukrem, czy bez, a co dopiero, kiedy mają analizować rozwój wypadków w Europie! Huntington niespiesznie pokiwał głową. Sam wiedział, że biurokraci nie wychylają się ze szczerymi opiniami. Mężczyzna za biurkiem nie był pierwszym amerykańskim prezydentem, który szukał wyjścia w działaniach poza oficjalnymi kanałami i który posługiwał się w tym celu kimś, kogo znał i komu ufał. Woodrow Wilson, na przykład, ufał pułkownikowi Edwardowi House. Również Franklin Delano Roosevelt miał swojego Hanyego Hopkinsa... Huntingtona samego rozbawiły te porównania, bo choć z biegiem lat nauczył się tego i owego o polityce wewnętrznej i światowej ekonomice, stawianie własnej osoby na równi z House'm czy Hopkinsem byłoby zarozumiałstwem. House i Hopkins podczas obu wojen światowych umieli wpłynąć na bieg całej historii. On tymczasem, Huntington, zamiast zmieniać historię chciał po prostu posprzątać choć trochę gnoju, jaki się narobił w gospodarce. Historia sama już się sobą zajmie. Dlatego wzruszył ramionami i przyznał: - Rzeczywiście, tyle mogę jeszcze dla ciebie zrobić. Więc o czym najpierw opowiedzieć prezydentowi USA?

- Wal o Francji.

Prezydent rzeczywiście bardzo się interesował losami swojego francuskiego odpowiednika. Wszystkie nowe fakty dotyczące Europy wskazywały, że to właśnie Francja ma szansę stać się największym mocarstwem kontynentu. Z pozoru rzecz urągała zdrowemu rozsądkowi, bo Niemcy były bogatsze i liczyły sobie więcej ludności. Również Niemcy dysponowali najsilniejszym wojskiem. Polityka Berlina była jednak do tej pory bojaźliwa, tym bardziej że gospodarka we wszystkich krajach związkowych kulała, przemysł ledwo zipsał, a wszyscy zainteresowani bali się, że w Niemczech odżyją wspomnienia militarystycznej przeszłości. Francja

oczywiście również przeżywała kłopoty, lecz nie musiała przynajmniej odbudowywać połowy przemysłu. W lepszym stanie znajdowały się też francuskie finanse i kontakty handlowe ze światem. Co ważniejsze, Francja posiadała zarówno pokaźny arsenał atomowy, jak i prawo weta jako stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ. Dzięki temu Paryż mógł manipulować wydarzeniami nie obawiając się interwencji innych państw. Dlatego Berlin przynajmniej na razie musiał także iść kursem wytyczonym nad Sekwaną. Huntington odmalował swoją niedawną rozmowę z francuskim prezydentem. - Bonnard jest w tej chwili już tylko figurantem. Stary, schorowany, nie jest w stanie upilnować nawet własnych urzędników, a co dopiero kraju. Słyszałem, że od paru miesięcy pokazuje się publicznie tylko przy wielkich okazjach. - Huntington zrobił dziwną minę. - Wiesz, kiedy doręczałem twój list, sekretarze musieli mu go przeczytać ze trzy albo cztery razy, zanim w ogóle zrozumiał.

Nowina zaskoczyła prezydenta.

- Tak już z nim źle? Czytałem, że choruje, ale żeby aż tak... -

Poza obrębem Pałacu Elizejskiego w ogóle się o tym nie słyszy.

- Jak to możliwe?

- Przyczyny są dwie. Po pierwsze, większość władz robi wszystko, by nie odsłaniać słabych stron. Dla nich najgorszą rzeczą byłoby, gdyby opozycja zmusiła ich do rozpisania nowych wyborów. Nie chcą tego, przynajmniej nie w tej chwili.

- Nie dziwię się.

Uwaga prezydenta była całkiem na miejscu, bo nawet politykom o najbardziej kurzych mózdkach nie powstałoby w głowie kandydować pod wodzą schorowanego staruszka. Zwłaszcza w tak burzliwych czasach. - A drugi powód?

Huntington nachylił się bliżej.

- Umówmy się, że niektórzy członkowie gabinetu próbują rządzić Francją po swojemu.

Prezydent znów skinął głową, bo wiadomość pasowała do znanych faktów. Prócz tego od czasu Króla-Słońce, Ludwika XIV, Francuzi gustowali w rządach ludzi o silnej osobowości. Nawet za czasów republiki prezydenci zachowywali się jak koronowani (choć z wyboru) władcy, nie jak funkcjonariusze demokratycznego państwa. Prezydent USA nie dziwił się więc, że ambitni politycy z otoczenia prezydenta natychmiast skorzystali z szansy, by

zaprowadzić feudalne rządy w swych departamentach. - Konkretnie kto?

- Szef obrony - zaczął wyliczać na palcach Huntington. - Minister spraw wewnętrznych. Szefostwo wywiadu. No, w ogóle wszyscy. Każde większe ministerstwo ciągnie w swoją stronę. Tylko premier Bonnarda zszedł na drugi plan, prawie tak samo jak stary.

- Dobrze, ale kto ujada na czele całej sfory? Czy może ciągle się jeszcze gryzą o ten zaszczyt?

- Gryzą się i warczą. - Huntington zaśmiał się, ubawiony prezydenckim porównaniem, lecz zaraz spoważniał. - Obiło mi się o uszy, że tym równiejszym wśród równych chce być dyrektor wywiadu. Ten, wiesz, Nicolas Desaix.

Huntington pamiętał, z jaką czcią francuscy znajomi i ludzie, z którymi niegdyś prowadził interesy, wyrażali się w Paryżu o Desaix. W ich stosunku do szefa DGSE krył się strach zmieszany z wstydliwym podziwem. Jeśli choć połowa tego, co opowiadano o Desaix, odpowiadała prawdzie, dyrektor wywiadu był

superinteligentny, arcymięły, nadzwyczajnie pewny swoich racji i niewiarygodnie bezwzględny. - Myślisz, że zastąpi Bonnarda?

- E, wątpię - odrzekł bez wahania Huntington i pokręcił głową.

Wszystko, co słyszał o Desaix upewniało go, że szef DGSE najlepiej się czuje za kulisami władzy, ukryty za oparciem tronu.

Poza tym, cóż by przyszło dyrektorowi francuskiego teatryku politycznych marionetek z wystawiania się na widok publiczny? Tym razem to jemu przywiązano by do rąk sznurki i kazano tańczyć. - Tak czy owak, to właśnie z Desaix będziemy wkrótce mieli najbardziej do czynienia. Takie jest moje zdanie.

- Świetnie. - Prezydent zaniepokoił się nie na żarty. - Sam wiesz, jak lubię dogadywać się z kimś, kogo w ogóle nie widzę i nie znam. Cholera, mam taki zwyczaj, że jak kupuję konia, wolę wiedzieć, od kogo!

Huntington był tego samego zdania. Nawet w epoce analiz komputerowych i błyskawicznych połączeń między kontynentami, wciąż najbardziej się liczył osobisty kontakt. Połowa sukcesu w interesach polega na oszacowaniu, ile są wariacji konkurencji, pracownicy i klienci. Najłatwiej zaś przekonać się o czyichś mocnych stronach, słabościach, potrzebach i zachciankach podczas rozmowy twarzą w twarz. Huntington rozparł się w fotelu i zauważył:

- Bardzo się zdziwię, jeśli się okaże, że Desaix naprawdę zależy na wszczęciu negocjacji o wzajemnym handlu i tak dalej. - A to czemu?

- Bo to zakamieniały nacjonalista. Jeden z tych, którzy krzyczą „Francja dla Francuzów” i naprawdę w to wierzą. Podobno to właśnie on stoi za tym ich obłądnym planem przesiedlenia robotników cudzoziemskich.

- No, w ogóle bomba - westchnął zgnębiony do reszty prezydent. Wiadomości z Europy co dzień niosły kolejną falę przerażających obrazków: migawki z pociągami pełnymi wystraszonych ludzi, pilnowanymi przez strażników z psami, krwawe rozruchy w płonących dzielnicach nędzy i inne sygnały, że fala rasizmu i ksenofobii sięga w Starym Świecie zenitu. Próbując dogadać się z kimś, kto to wszystko organizuje, Ameryka skazywała się z góry na niepowodzenie.

Prezydent okręcił się w fotelu i wyjrzał za okno, jak gdyby widokiem cichego, skapanego w słońcu różanego ogrodu przy Białym Domu chciał uspokoić nerwy. Zaraz jednak westchnął ciężko i odwrócił się do przyjaciela. - Co w takim razie działałeś w Niemczech?

- Niewiele więcej. - Huntington przetarł zmęczone oczy i wdał się w szczegółowy opis spotkań, jakie odbył w Berlinie. Żadne z nich nie przyniosło lepszych skutków niż podobne rozmowy w Paryżu. Wprawdzie większy niż we Francji procent przemysłowców i polityków marzył po cichu o zakończeniu wyczerpującej wojny handlowej przeciwko USA, Wielkiej Brytanii i Japonii, lecz wszyscy ci ludzie twierdzili, że mają ręce związane wymogami polityki wewnętrznej. Krótkoterminowe zyski z nowo opanowanych rynków w Europie Wschodniej liczyły się bardziej niż dalsze perspektywy. Poza tym cała uwaga Niemiec skupiała się na narastających perturbacjach wewnętrznych, nie na kwestii powrotu do uczciwej konkurencji w handlu z mocarstwem, które z dawnego sojusznika stało się zazdrosnym rywalem. Było jasne, że aby z powrotem zaistnieć na międzynarodowej scenie, Niemcy muszą się najpierw uporać z przeraźliwym bezrobociem, nacjonalistyczną histerią i rozdartym podziałami życiem politycznym. W zachodnich krajach związkowych Niemiec wysokie podatki w połączeniu z utratą amerykańskich i azjatyckich rynków powoli rujnowały cały przemysł, i ten starszy, i ten najnowocześniejszy. Dzięki układom

ze związkami zawodowymi prawie nikt z już pracujących nie tracił zatrudnienia, lecz nowych miejsc pracy wcale przez to nie przybywało. Skutek był taki, że coraz więcej młodzieży nudziło się na koszt państwa - czy to na zasiłkach, czy jako wieczni studenci, zdobywający kolejne, nikomu niepotrzebne dyplomy. Tysiące młodych okazywało coraz bardziej radykalne sympatie i agresywne nastroje. Wschodnia część Niemiec miała się jeszcze gorzej, bo mimo że po zjednoczeniu wpompowano w dawne NRD grube miliardy, „ossies” ze wschodu nadal traktowano jak ubogich krewnych, nękanym wiecznym, wysokim bezrobociem i skazanych na życie w stanie permanentnej klęski ekologicznej. To ostatnie było skutkiem czterdziestu pięciu lat komunistycznej gospodarki. Coraz wyraźniej dawały tam o sobie znać dawne, groźne sentymenty - ci, którzy wychowywali się w jednym ustroju totalitarnym, głośno zaczęli się upominać o następny. Głosy te stanowiły na razie nikły procent ogółu, lecz i tak neofaszyści poczynali sobie we wschodnich landach coraz śmielej i coraz bezczelniej. W niektórych mniejszych miejscowościach i w nędzarskich blokowiskach wielkich miast bez żenady wywieszano flagi ze swastyką. Atakowany z lewa i z prawa koalicyjny rząd Niemiec czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Kanclerz i jego ministrowie byli zbyt pochłonięci gaszeniem cotygodniowych politycznych pożarów w Bundestagu, by marnować czas, energię i popularność na walkę o zniesienie taryf i ceł w handlu z zagranicą. Wiedząc o tym wszystkim, Huntington nie łudził się co do perspektyw ugody z Niemcami czy Francją. Zbyt wielu wpływowych europejskich polityków zainwestowało cały życiowy kapitał w prostacki gospodarczy szowinizm, zbyt głośno krzyczano w Europie o konieczności postawienia się Ameryce. Słuchając rzeczowego, ponurego wywodu Huntingtona, prezydent wyraźnie oklapł, i trudno mu się było dziwić. Żaden prezydent nie chce przejść do historii jako ten, za którego kadencji Ameryka i jej byli sojusznicy wspólnie pograżyli świat w kryzysie na skalę planety. Godzinę później, gdy sekretarka wniosła tacę z kawą, obaj mężczyźni nadal rozprawiali w najlepsze. Nie zauważyli też po następnej godzinie, że sekretarka zabiera puste filiżanki. Tym, co tak ich pochłoneło, było poszukiwanie sposobu na ocalenie gospodarki cywilizowanego świata przed nieodwracalnym kataklizmem.

16 września - Ministerstwo Obrony Republiki Rosyjskiej, Moskwa

Paweł Sorokin ze zgrozą spojrział na jasnowłosego typka, który rozsiadł się tak bezczelnie w fotelu po drugiej stronie biurka. Ot, macie. Sorokin sapnął i nagle wybuchnął: - Pięćdziesiąt tysięcy rubli?! Za jedną ciężarówkę? Wyście chyba z choinki spadli, Uszenko!

Człowiek, którego Sorokin znał jako Nikołaja Uszenkę, wzruszył ramionami. - Żywność wam potrzebna, ojczulku, produkty, powiadacie... Proszę, mam ile tylko chcecie. A że cena nie taka? Teraz, jak mamy wolny rynek, cena to nie byle co, tylko cała skomplikowana decyzja, Pawle Iliczu.

- A ja was pierdołę wzduż i w poprzek tego rynku, Uszenko! - zabulgotał Sorokin, który nie znosił kapitalistycznych nowinek i który, choć reformy wprowadzano już szósty rok, nadal nie wierzył w cały ten kapitalizm. - Bo i bzdury mówicie zamiast pogadać ze mną po ludzku, jak człowiek z człowiekiem. Co to, myślicie, że budżet mam z gumy? Wam zapłacę pięćdziesiąt, komu innemu pięćdziesiąt, a potem wszyscy szyszki będziemy jedli! Uszenko znów wzruszył ramionami, pokazując, ile go to wszystko obchodzi. - Ej, ojczulku. Namówicie jakoś tych waszych marszałków, żeby dorzucili rubelka do budżetu. Pięćdziesiąt za ciężarówkę i nie spuszczę nawet o kopiejkę! Jak wam śmierdzi moja wołowinka i mąka, wezmą chłopcy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na pniu, na piękne oczy, dawali mi czterdzieści tysiączków. - Takie swołocze? Obiecują, chociaż wiedzą, że ich nie stać. Co, może drukują te ruble u siebie w piwnicy? - zadrwił Sorokin, lecz w skrytości ducha zżymał się okropnie. Diabli z tym Ukraińcem! Nie dość, że się targuje, to jeszcze każde rosyjskie słowo sepleni i mamie po swojemu, aż słuchać przykro.

Paweł Sorokin dochrapał się posady głównego zaopatrzeniowca w Ministerstwie Obrony w latach, gdy każde takie stanowisko otwierało świetlane perspektywy tym, którzy się nie bali słowa „korupcja”. Wojskowi, wiadomo, ludzie z fantazją, gdzie im tam dusić i pilnować każdej kopiejki! Niestety, kiedy rozsypał się Związek Radziecki, zastąpiony dziwną wspólnotą na poły niepodległych republik, wszystko diabli wzięli. Ci oficerowie, którzy uniknęli przymusowego rozstania z odchudzaną armią, wobec pustki w budżecie rzeczywiście zaczęli się liczyć z wydatkami. Za to, co dawniej puszczano płazem jako zwykłe „niedostatecznie dbałe gospodarowanie majątkiem państwowym” (zwłaszcza, jeśli się

piastowało jakąś wyższą funkcję partyjną), teraz można było wylądować w celi, rzecz jasna z legalnego wyroku sądu. Wszystkie wojskowe zapasy, jakie Sorokin opychał na własny rachunek, trzeba było starannie księgować, wymyślać rozmaite „rozkurze” i „straty przy transporcie”, żonglować bilansem. Niby nic nowego, ale dawniej się żyło z tym wszystkim o wiele spokojniej. Dlatego Sorokin bezradnie rozłożył ręce.

- Opamiętajcie się, Uszenko, człowieku! Przecież nie do wroga przyszliście, tylko do Pawki Sorokina, jak przyjaciel do przyjaciela! Co tam dyplomaci, sypią wam piękne słówka, ale to niepoważni ludzie. Raz kupią, zapłacą, a tydzień później, bęc, drzwi pokażą i znajdą sobie innego dostawcę. Co innego my dwaj! Handlujemy przecież nie od dzisiaj, tylko ile to już czasu? Jak by nie patrzeć, już prawie sześć miesięcy! Wiadomo, że możemy sobie ufać, zgoda? Wiadomo, że z kim jak z kim, ale z Sorokinem człowiek nie zginie, zgoda? No, a skoro zgoda, to i z ceny wypadnie coś spuścić... Powiedzmy, zapłacę nie czterdzieści tylko trzydzieści pięć.

Uszenko zarechotał i wesoło mrugnął piwnym okiem.

- Ot, pyszny żarcik. Ale tak to nie pohandlujemy. Niżej czterdziestu pięciu nie zejdem, i już. Ja też muszę wyjść na swoje. Sorokin skrzywił się, bo diablo potrzebował tej dostawy. Jeśli marszałkowie, generałowie i pułkownicy nagle zostaną bez obiadu tylko dlatego że kantyna poskapła na zakupy, będą już wiedzieli, do kogo się zgłosić z pretensjami. Tymczasem o wygodne posady dla podstarzałych biurokratów z nadwagą zaczynało się robić coraz trudniej. Sorokin targnął za węzeł szarego, dzianego krawata i rozluźnił kołnierzyk. - Mówię jak człowiekowi, że tyle nie dam. Nie mogę! Nie mam pieniędzy, mogę dać czterdzieści, najwyżej. Dam więcej, wyleją mnie zaraz na pysk!

- Byłoby szkoda, Pawle Iliczu. No, przyjemnie się gwarzyło, ale na mnie pora - Uszenko wstał i sięgnął po podbitą futerką kurtkę. Po szerokich moskiewskich alejach zaczął już hulać lodowaty wiatr, zwiastujący nielekką zimą.

- Zaczekajże, gotubczik, zaczekaj! Gdzie ci się tak pali? -

Sorokin prawie wstał zza biurka, wściekły na siebie, że się tak podkłada byle ukraińskiemu bandycie. - Może się coś wymyśli. Mam tu w tym gmachu paru takich, którzy są mi coś niecoś winni. Dam czterdzieści i dopłacę w towarze.

Uszenko przez dłuższą chwilę stał w miejscu, jak gdyby nie mógł się zdecydować czy wyjść, czy zostać. Wreszcie jednak usiadł z westchnieniem. - A towar niby jaki? Bronią handlował nie będę, Pawle Iliczu, więc mi nie wpychajcie używanego czołgu czy innego draństwa. - Nie, jakie tam czołgi. - Sorokin uśmiechnął się słabo, by pokazać, że docenia żart Ukraińca. - Czołgi nie, ale może informacje?

- Jakie znów informacje?

Sorokin uczynił szeroki gest.

- Powiedzmy, że harmonogramy dyslokacji i nowe miejsca postoju trzech dywizji zmechanizowanych?

Uszenko parsknął gniewnie.

- A mnie to niby na co? Co mam z tym później zrobić, Amerykanom sprzedać? Może Niemcom? Za kogo wy mnie macie, za zdrajcę, szpiega?

- Skądże by znowu! Dlaczego zaraz zdrajcę? Co wy? - Sorokin zniżył głos. - Ale może trafi się kupiec, a wtedy informacyjka będzie jak znalazł! Wy przecież znacie różnych tam przedsiębiorców i kogo jeszcze. Takie ruchy wojsk to dla nich gratka. A to wozić trzeba żołnierzy, a to im budować... Zawsze warto o takich rzeczach wiedzieć zawczasu. Informacja to pieniądze. Ukrainiec nastawił uszu.

- Mówcie, mówcie, przecież słucham-powiedział już innym tonem.

Sorokin nie dał się długo prosić. Jeszcze przez dobrą godzinę kłócili się wściekle i przekrzykiwali, lecz zaopatrzeniowiec postawił w końcu na swoim. Kupił całą dostawę, i to za głupie czterdzieści tysięcy rubli od ciężarówki. Nie licząc dodatkowej opłaty w postaci fotokopii kilku teczek z dokumentami Ministerstwa Obrony. Alex Banich dziarskim krokiem opuścił mamucy gmach ministerstwa i nie krępując się wsiadł do czekającego przy krawężniku, błękitnego Mercedesa. Wystawiona za szybą auta przepustka na ministerialny parking głośno, że Mercedes należy do Nowego Kijowskiego Przedsiębiorstwa Handlowego. Jasnowłosa kierowca, Mike Hennessy, pstryknął niedopałkiem za okno i ruszył, wyjeżdżając na Twerską i cudem unikając przy tym czołowego zderzenia z ciężarówką. Pasażerowie Mercedesa nie przejęli się wcale rykiem klaksonu. Rosyjscy kierowcy żyją efektownie, ale krótko. Trudno, nie po to się jeździ, żeby uważać. - Jak poszło,

szefie?

- Nawet nieźle - Banich uśmiechnął się łagodnie. - Zgarniemy na czysto dziesięć tysięcy od ładunku, no i jeszcze to... -

Wyciągnął spod kurtki papiery. - Upominek od Sorokina. Paru fagasów w Langley się ucieszy. Będą mieli nad czym ślęczeć przez najbliższych parę tygodni.

Informacje o przemieszczeniach rosyjskich dywizji rzeczywiście mogły pomóc w Waszyngtonie zweryfikować wiedzę o wciąż potężnej armii rosyjskiej. Najważniejsze było jednak to, że sprzedając dokumenty, Paweł Sorokin wystawił się w sposób permanentny. Tajemnice, które przekazał, nie były może takie wielkie, ale w przyszłości można go było teraz nakłonić do dużo poważniejszych usług. Hennessy także się uśmiechnął.

- I co, facet dalej myśli, że ma do czynienia z poczciwym Nikołajem Uszenką, kupcem kolonialnym i bławatnym?

- A, gdzie tam - uspokoił go Banich i schował papiery do wewnętrznej kieszeni. - Wie doskonale, że ma do czynienia z Nikołajem Uszenką, szpiegiem-amatorem. Tyle że jego zdaniem pracuję dla paru nadzianych Ukraińców, więc można mi spokojnie opchnąć parę dokumentów.

Hennessy pokiwał głową. Większość Rosjan nadal traktowała inne państwa Wspólnoty, nawet takie jak Ukraina, jako lenno Moskwy, Nawet oficerowie armii czy sił bezpieczeństwa z ojcowskim rozczuleniem przyglądali się wysiłkom byłych republik, próbujących stworzyć własne armie i własne struktury wywiadu. Dlatego pomysł Banicha, by wcielić się w Uszenkę był przebłyskiem geniuszu. W postkomunistycznej Rosji w ludziach z CIA nadal widziało się filmowych szpiegów i oprawców - chytrych, niebezpiecznych i przewrotnych. Natomiast szpiedzy z Ukrainy? Ukraiński szpieg wydawał się postacią wyjętą wprost z komediowych seriali, których codzienne odcinki produkowały na wyścigi moskiewskie studia filmowe i telewizyjne. Szpieg z Ukrainy? Paradne! Alex Banich miał szczery zamiar skorzystać z takiej sposobności. Dzieciństwo u dziadków, emigrantów z Ukrainy, w połączeniu z latami intensywnych kursów językowych w CIA pozwalały mu płynnie i bez wysiłku przeskakiwać z angielszczyzny w potoczny rosyjski, a z rosyjskiego w bezbłędną, miękką mowę ukraińską, wszystko to w obrębie jednego zdania. Banich był w stanie się wcielić w każdą postać, od pazernego kombinatora do

pełnego powagi i godności milicjanta czy oficera armii. Dziesięć lat pracy w różnych krajach Europy Wschodniej pozwoliły Banichowi wyszlifować te i inne umiejętności do perfekcji. Bywały noce, kiedy nawet śnił po rosyjsku. A wszystko po to, by móc osiągnąć wymarzony szczyt zawodowej kariery: stać się jednym z najważniejszych ludzi w moskiewskiej rezydenturze CIA.

Uśmiechnięty dotąd Banich wykrzywił wargi, przypominając sobie, jak fatalnie ulokował swe ambicje. Gnany ciągłą potrzebą by być tym „najlepszym w branży”, ciężko harował, nadstawiał karku i rozwaliał własne małżeństwo, po to tylko, by kiedy się nareszcie znalazł w Moskwie, przekonać się, że znieawidzeni pogrobowcy Stalina zniknęli - przepadli w grobach i w więzieniach, albo po cichu nauczyli się budować kapitalizm. Dawniej tak potężne ZSRR stało się trupem, a garść republik, jaka pozostała po imperium, miała dosyć własnych kłopotów jak na to, by zadzierać z resztą świata. Placówkę w Moskwie, uważaną niegdyś za szczyt kariery w działalności operacyjnej w CIA, traktowano teraz jak posiadłość na głuchej prowincji. Prawdziwych, mocnych wrażeń szukało się obecnie gdzie indziej - na wschodzie i na zachodzie, w stolicach Europy i w chaosie Tokio, ale na pewno nie tutaj. Opiekunowie agencji w amerykańskim Kongresie domagali się bez przerwy nowych danych o Francuzach, Niemcach, Japończykach, lecz nie o Rosjanach. Nadażając za modą, waszyngtońska elita władzy zamiast o rakietach balistycznych i dywizjach czołgów rozprawiała teraz o bilansach obrotów handlowych i o poziomach dotacji. Skutki takiego stanu rzeczy wychodziły na jaw ilekroć w Langley uchwalano roczny budżet i rozdzielano etaty. Ilość funduszy i kadr dla placówki w Moskwie z roku na rok kurczyła się coraz bardziej. Banich potrząsnął głową, bo nie wyobrażał sobie, by CIA mogło nadal ograniczać środki bez szkody dla operacji w Moskwie. Owszem, centrala może sobie nadal oszczędzać, ale niech nie liczy na to, że nadal będzie uzyskiwać potrzebne informacje. Samobójczy finał dawnego ZSRR ułatwił wprowadzić na pewien czas zadanie wszystkim wywiadom, lecz łatwość nie szła w parze z ograniczeniami wydatków. Minęły dni, kiedy Rosjanie przekazywali Ameryce wojskowe i polityczne tajemnice powodowani nienawiścią do ustroju. Komunizm powędrował do muzeum, a tajemnice można było uzyskać nadal, ale za pieniądze - pieniądze potrzebne informatorom na jedzenie, opał, spłatę długów karcianych albo

pokrycie strat poniesionych na spekulacjach giełdowych. Krótkowzroczność narzucanego wciąż przez Kongres programu oszczędności drażniła Banicha ilekroć musiał się targować o cenę, przez co tracił szansę na pozyskanie nowego informatora. Wszystko to nie było takie zabawne, bo mimo wewnętrznych perturbacji, Rosja i sąsiednie republiki nadal dysponowały potężnym arsenałem atomowym, mnóstwem celnych pocisków międzykontynentalnych i nieprzebranymi zapasami broni konwencjonalnej. Banich nie miał też złudzeń co do faktu, że za zasłoną obieranych wciąż na nowo parlamentów i prezydentów nadal kryją się groźne postacie, marzące o odbudowaniu imperium. Ludzi tych trzeba było pilnować, a nie lekceważyć. Niestety, większość waszyngtońskich polityków krótkowzroczność wysłała z mlekiem matki i zapomniała natychmiast o krajach, których istnienie nie stanowiło bezpośredniego zagrożenia czy to dla USA, czy to dla ich własnych karier politycznych. Zasada była prosta: co zniknęło z porządku obrad Kongresu, zniknęło z budżetu. - Ty ogoliłeś Sorokina do czysta, a ja sprawdziłem pocztę. - Głos Hennessyego kazał Banichowi wrócić myślami do Moskwy.

- A, tak? - Banich nachylił się nad oparciem siedzenia i mimo pogrzebowego nastroju także zażartował: - Mają mi zmyć głowę? Młody kierowca skrzywił się paskudnie na tę fryzjerską aluzję. Szef nieczęsto bawił się w kalambury, i całe szczęście. - Przepraszam, to był żart.

- Aha - burknął Hennessy i cisnąc na gaz przemknął przez zakorkowane skrzyżowanie tuż przed maskami samochodów mknących z przeciwka. - Ale poważnie, Kutner chce cię widzieć w ambasadzie, i to nie jutro tylko najlepiej przedwczoraj... Wiesz, o czym mówię. - Wiem - skwitował nowinę Banich i zamyślił się. Moskiewski rezydent firmy, Len Kutner, niezmiernie rzadko przerywał trwające operacje. Wolał zawczasu podejmować decyzje co do projektowanych akcji i bronić każdego projektu przed zastrzeżeniami „fujar”, czyli siedzących w ambasadzie ludzi z Departamentu Stanu. Widocznie działo się coś niezwykłego. Banich domyślał się z góry, że niespodzianka nie będzie z tych przyjemnych.

Ambasada Stanów Zjednoczonych w moskiewskiej dzielnicy Presnia Para mundurowych milicjantów rosyjskich czuwająca opodal głównej bramy ambasady podeszła aż tak blisko wejścia nie po to, by

lepiej pilnować obiektu, tylko po to, by się trochę zagrzać przy ustawionej tuż za bramą budce, w której siedział amerykański żołnierz z piechoty morskiej. Nawet w środku dnia i na słońcu czuło się chłód, a teraz, pod wieczór, gdy od wschodu zamajaczył wał ciemnych chmur, temperatura zaczęła prędko spadać poniżej zera. Co bardziej pesymistyczni meteorolodzy przewidywali, że do jutra spadnie pierwszy tego roku śnieg. Banich nie zdążył jeszcze przejść na drugą stronę ulicy, gdy jeden z amerykańskich wartowników rozpoznał go i otworzył bramę. Wyższy z pary rosyjskich stróżów porządku przestał na chwilę chuchać w zziębnięte dłonie i pomachał na przywitanie. - Jak się mamy, mister Banich? - zapytał wcale niezłą angielszczyzną.

- Witam, Piotrze. Coście takiego zmajstrowali z Miską, że was wysłali na nocną służbę, i to od strony rzeki? Wyłomotaliście sierżantowi rodzoną babcię, czy jak?

Milicjanci zaśmiali się. W oddziale porządkowym strzegącym ulic wokół ambasady służyli od dawna. Ich kraj potrzebował amerykańskiego wsparcia i inwestycji, więc warto było zadbać o to, by dyplomaci mogli chodzić po pięknej Moskwie bez obawy, że utracą zegarek i portfel. Banich przestąpił bramę i ruszył prosto ku ceglanemu masywowi kancelarii. - Mister Banich, chwileczkę!

- Co znowu? - Odwrócił się przez ramię.

- Poradzi nam pan, jak inwestować?

Banich zastanawiał się przez sekundę, udając, że próbuje sobie przypomnieć rosyjskie określenia i z silnym angielskim akcentem oświecił milicjantów.

- Jasne. Kupujcie tanio... A sprzedawajcie drogo. Ot, i wszystko.

Milicjanci śmiali się jeszcze, kiedy ruszał ku drzwiom.

Cała rozmowa trafiła z pewnością na taśmę, prawdopodobnie zarejestrowana za pomocą mikrofonu kierunkowego w oknie jednej z kamienic naprzeciwko ambasady. Rosyjska Federalna Służba Dochodzeniowa nie była tak potężna ani tak bogata jak dawne KGB, lecz nadal czyniła wszystko, by uchronić ojczyznę przed obcą działalnością szpiegowską. Pamiętała też, że wywiad obcych państw działa przede wszystkim z terenu placówek dyplomatycznych.

Czułość FSD stanowiła jeszcze jeden powód dla którego Banich niezmiernie ostrożnie przeistaczał się z dyplomaty w Nikołaja Uszenkę i odwrotnie. Zwykle zatrzymywał się w tym celu na parę minut w mieszkaniu wynajętym w centrum miasta na nazwisko

Uszenki. I tym razem gruba ukraińska kurtka na futrze, brązowy sweter i para amerykańskich dżinsów powędrowały do szafy, zastąpione granatowym prochowcem firmy London Fog, ciemnopopielatym garniturem, białą koszulą i czerwonym jedwabnym krawatem. Nos Banicha zdobiła para szykownych okularów w rogowej oprawie, a przemiany dopełniało parę kropel dobrej wody kolońskiej na skórę i parę łyków Jacka Danielsa albo wina, doustnie. Z wyszczerzanego, chytrego kmiotka Banich zmienił się w rozpróżnionego i lubiącego się zabawić, początkującego dyplomata. Przez pierwsze tygodnie w Moskwie Banich czynił wszystko, by wzięto go za osobę, za którą się podawał: przeciętniaka na fotelu zastępcy attache handlowego, niezmiernie uważającego, by się przypadkiem za bardzo nie przepracować. Udając, że ocenia bieżące obroty i perspektywy inwestycji dla rozmaitych firm amerykańskich, Banich przez wiele tygodni włókł za sobą opiekunów z Federalnej Służby Dochodzeniowej, kiedy zwiedzał fabryki, brał udział w przeraźliwie nudnych konferencjach, albo z nowymi miejscowymi znajomymi walczył na barykadach nocnych lokali. Banich nie trzeźwiał przez ten czas ani na minutę, lecz opłacało mu się pocierpieć: ogonek wlokących się za nim agentów stawał się z dnia na dzień krótszy - dlatego że FSD uznało, że szkoda czasu na taką płotkę, a i z tej przyczyny, że przepici opiekunowie nie wytrzymywali już kondycyjnie. Skutek był taki, że FSD prawie w ogóle zrezygnowało ze śledzenia Banicha, Jeszcze sześć czy siedem lat wcześniej wszystko to byłoby nie do pomyślenia. KGB za nic w świecie nie spuściłoby oka z obcego dyplomaty, na dodatek jeszcze Amerykanina. Gdzieżby mógł sobie tak spacerować po Moskwie i okolicach! Za udział w puczu z sierpnia 1991 roku KGB zapłaciło jednak potężną cenę. Co więcej, pion, który dawniej zajmował się kontrwywiadem, obecna FSD, sporą ilość posiadanych środków poświęcał na działalność wewnętrzną, starając się wychwycić każdy najmniejszy przejaw twardogłowej opozycji wobec obecnych władz kraju. Krążyły pogłoski, że morale i skuteczność działania rozparcelowanego KGB nigdy jeszcze nie stały na tak mizernym poziomie jak teraz. Spokojny charakter działalności bynajmniej Banichowi nie przeszkadzał, bo choć w obecnym stanie rzeczy trudno było o filmowe przygody, Amerykanina cieszyło każde ułatwienie w pracy w zwariowanej Rosji. Banich miał i bez tego

dość emocji z huśtawką trwającą nadal w Waszyngtonie.

Len Kutner czekał już w ciasnym pokoiku Banicha, na szóstym piętrze i z oknem od podwórza. Jeszcze jedna cecha, za którą Banich tak lubił chudego, łysiejącego rezydenta: Kutner nie starał się pokazać, kto tu rządzi i nie wymagał, aby się meldować na dywaniku. - Cześć, Alex. Przepraszam, że ci wchodzę w paradę, ale wiesz... Wszystko gra?

Banich uściskał Kutnerowi dłoń i przytaknął.

- Jakoś leci. Hennessy już wysłała do Kijowa telefax z zamówieniem. A za fatygę dostaliśmy reklamówki - Banich podał Kutnerowi plik dokumentów z Ministerstwa Obrony.

Rezydent prędko przewertował papiery, marszcząc czoło, gdy przychodziło tłumaczyć na angielski rozmaite techniczne skróty. - Przemieszczają pełne trzy dywizje? Droga impreza, nie uważasz? - Pewno, że droga. - Banich zwrócił uwagę Kutnera na ostatnią stronę. - Popatrz tutaj. Z petersburskiego okręgu wojskowego przerzucają ich z powrotem na Białoruś.

- Czyli bliżej polskiej granicy? Dziw nad dziwy. - Kutner podniósł wzrok znad dokumentu. - Słyszałeś coś może o tym z innych źródeł? Od znajomych w parlamencie, i tak dalej?

- Ani słóweczka - pokręcił głową Banich. - Sam uważam, że to bardzo ciekawe.

- Bardzo. Może paru generałom wracają stare narowy, co?

- Właśnie.

- No, dobrze. Posiedź nad tym trochę, Alex... - Kutner urwał i zrobił zakłopotaną minę. - Byle nie za długo. Waszyngton przysłał nam przez Langley nowe wskazówki.

Banich spokojnie czekał, aż rezydent wyjaśni, o co chodzi. Zaraz okaże się, czemu tak prędko oderwano go od zadania. Kutner odłożył dokumenty na zawalone skoroszytami biurko podwładnego i spojrzał mu prosto w oczy. - Wygląda na to, że jeden z tych zespołów do koordynacji zadań postawił wreszcie na swoim. Chodzi o jakąś Grupę Do Spraw Handlu. Bóg wie, co to za jedni, ale mniejsza z tym. Rzecz polega na tym, że ich zdaniem za bardzo się skupiamy na sprawach politycznych i wojskowych, a za mało... Wiesz, na handlu, inwestycjach i tak dalej. Na sprawach, które określają tu jako „rzeczywistą miarę siły każdego państwa”.

- Chryste Panie!

Kutner przytaknął Banichowi, ale ciągnął dalej:

- Co o tym sobie tutaj myślimy, nikogo nie obchodzi. Pamiętaj Alex, ci panowie naprawdę mają chody w Kongresie. Tak samo jak w naszej Agencji.

Podał Banichowi przebitkę z wydrukiem wiadomości i wyjaśnił: - Przyszło dzisiaj rano przez satelitę, lista priorytetowych kierunków działalności, od najważniejszego w dół.

Banich czytał listę z coraz większym niedowierzaniem. Wielkość obrotów i ceny na francuskie i niemieckie obrabiarki i lekarstwa? Sprzedaż samochodów japońskich marek? Dowody na to, że rosyjskim handlowcom i politykom z rządu wręcza się „upominki!? Kategorie było kilkanaście, a wszystkie nader szczegółowe i niezmiernie trudne do sprawdzenia. Banich z gniewem spojrział na szefa. - Ta waszyngtońska zgraja żarty sobie robi! Mamy pilnować tuzina republik na dwóch kontynentach i jeszcze szukać tych wszystkich dupereli?

Kutner uczynił ostrzegawczy gest.

- Nie, to wcale nie żarty. Pamiętaj, Alex, że będę stawał na głowie, żeby to odwołali albo chociaż poskromili apetyty, ale na razie nie ma rady. Tak wyglądają nasze zadania, i kropka. - Po prostu wspaniale - zgodził się Banich, bezskutecznie próbując ukryć gorycz. - Może mi powiesz w takim razie, które kontakty mam zerwać, żeby się zająć tymi gównami? Czy te w Ministerstwie Obrony? Może mam dać sobie spokój z werbunkiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

- Zrób, ile się da. - Kutner potrząsnął głową. - Alex, nikt się po tobie nie spodziewa cudów.

- i bardzo dobrze, bo jak raz skończyły mi się chleb i ryby. - Banich wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. Nic mu nie przyjdzie z tego, że zdenerwuje Kutnera. Jeszcze tego brakowało, żeby robić sobie wrogów wśród przełożonych. - Słuchaj, Len - zaczął więc wreszcie. - Nie mam pojęcia, jak się dowiedzieć choćby połowy z tych rzeczy. Nie przy naszych obecnych środkach. Żeby się dobrze rozejrzeć, potrzeba nam więcej ludzi. - Zgoda. Zobaczą, co się da załatwić - rzucił chudy rezydent i klepiąc Banicha po ramieniu przecisnął się ku drzwiom. Banich tkwił za biurkiem aż do północy, gapiąc się w papiery i usiłując wymyślić jakiś sposób na przeorganizowanie całej wyspecjalizowanej siatki do nowych zadań bez totalnego rujnowania delikatnej struktury. Biedził się nad tym jeszcze w chwili, kiedy nad pustymi ulicami

Moskwy zawirowwały pierwsze płatki śniegu.

4

Katarakta

21 września - okolice Rue de Flandre w Paryżu

Tym razem Paryż tonął w mroku. Dosłownie, bo wskutek dzikiego strajku pracowników elektrowni całego regionu w mieście zgasły tego dnia światła. Jasne okna widać było tylko w gmachach rządowych i siedzibach wielkich firm, gdzie pracowały awaryjne generatory. Reszta metropolii musiała uciec się do sposobów starszych i bardziej prymitywnych. Płomienie lizały niebo nad 19. Dzielnicą, w niesamowitym tańcu pochłaniając kolejne rudery i walące się kamienice. Na tle wzniesionych pożarów rozwrzeszczane hordy mężczyzn i kobiet kłębiły się na ulicach, zasłanych wrakami samochodów, bezwładnymi ciałami i dymiącymi resztkami barykad. Niektórzy z ludzi wymachiwali okrwawionymi nożami i pałkami. Nie brakowało pijanych, oszołomionych mieszanką taniego wina i absolutną swobodą mordowania. Wszyscy ci ludzie byli nędzarzami, wprawdzie bez perspektyw na pracę ale za to z widokiem na wyrównanie rachunków z domniemanymi sprawcami swoich nieszczęść. Tłum polował na les Arabes. Czyli na Arabów - nieważne czy pochodzili z Algierii, Tunezji, Senegalu czy skąd tam jeszcze. Wszystkiemu byli winni Arabowie, roznoszący choroby i odbierający chleb uczciwym ludziom, emigranci stłoczeni w brudnych, cuchnących kamienicach na północnych i wschodnich przedmieściach. Nikt dokładnie nie wiedział, co - oprócz braku prądu oczywiście - spowodowało zamieszki. Może bójka na Rue de Flandre, a może wymiana rasistowskich wyzwisk na Place du Maroc. Nie miało to już znaczenia. Teraz liczył się tylko fakt, że rozruchy ogarniają wciąż nowe części emigranckich dzielnic, rozpływając się po mrocznych ulicach w orgii podpaleń, rabunków i morderstw. Południowego skraju dzielnicy arabskiej, tam gdzie u wylotu Place de Stalingrad znajdują się schody do idącego tu nad ziemią metra, strzegły dwa opancerzone samochody do rozpędzania demonstracji i cienki kordon ludzi w zielonych polowych mundurach i maskach przeciwgazowych. Mundurowi należeli do CRS, rządowych zmotoryzowanych sił porządkowych. Sprzęt, jakim dysponował oddział częściowo wyjaśniał, dlaczego CRS słynie we Francji z brutalności i ze skutecznego działania. Niektórzy policjanci z CRS mieli tylko pałki i przezroczyste plastikowe tarcze, lecz

pozostali ściskali nabite karabiny i karabinki automatyczne. Armatki w wieżyczkach obu wozów pancernych mogły razić tłum granatami ogłuszającymi albo zwykłym gazem łzawiącym. Do tej pory jednak CRS nie musiało jeszcze użyć broni, gdyż tłum szalejący wśród płonących slumsów na północ od placu nie odważył się ruszyć w stronę zamożniejszych dzielnic Paryża. Za bardzo pochłonęło wszystkich polowanie na prawdziwych i domniemyanych Arabów, rabowanie sklepików, sklepów z winem i aptek. Policja z kolei miała dotąd dość roboty z montowaniem kordonu ochronnego, by interweniować. Miało się to jednak lada chwila zmienić. - Tak jest. Zrozumiałem rozkaz! - Podporucznik Charles Guyon aż zaklął w zdumieniu, opuścił rękę z walkie-talkie i odwrócił się do stojącego za nim, ponurego sierżanta. - Nowe rozkazy. Mamy spacyfikować dzielnicę. Oczyszczyć ulice, zrobić porządek i tak dalej.

Zły głos, który odpowiedział z ciemności, zdawał się czytać w myślach podporucznika: - Na głowę, kurwa, upadli! Przecież nas tam powyrzynają! Guyon odwrócił się natychmiast.

- Który taki mądry?! - warknął, wpatrując się w twarze swoich nagle znieruchomiałych ludzi.

Odpowiedziała mu cisza.

Oficer dłuższą chwilę mierzył podwładnych wściekłym wzrokiem, po czym znów odezwał się do sierżanta: - Ruszamy za pięć minut.

Inne pododdziały mają iść równolegle z nami, część wzdłuż kanału a część po osi Rue de Tanger. Mamy prawo użycia środków przymusu, bez ograniczeń. Pytania?

Sierżant tylko pokręcił głową.

- W porządku. Proszę przygotować ludzi. Maski na twarz, ostra amunicja w każdym magazynku. - Guyon uczynił pauzę, świadomy, że słucha go w tej chwili cały pluton. - Od razu mówię... Żeby mi nikt, ale to nikt, nie ośmielił się strzelać bez mojego polecenia! Jasne?

- Jasne! - odwarknął sierżant takim tonem, jak gdyby miał ochotę powiedzieć coś więcej.

Guyon okręcił się na pięcie i nie czekając na wynurzenia sierżanta ruszył w stronę wozów pancernych. Chciał się upewnić, że załogi wiedzą, w jaki sposób mają ubezpieczać pieszą część plutonu przy szturmie przez płonące ulice. Pancerna masa pojazdów i lufy w obu wieżyczkach mogły się okazać niezbędne, gdyby tłum

podjął wyzwanie do walki. Kiedy podporucznik wrócił do miejsca zbiórki, pluton czekał na baczność, ustawiony według „specjalności”: na przodzie pałkarze, w drugim szeregu ludzie z karabinami i bronią maszynową. Mundury, maski przeciwgazowe i hełmy sprawiały, że wszyscy policjanci wyglądali tak samo i mało przypominali ludzi. Podporucznik zatrzymał się przed frontem plutonu. Nie włożył dotąd maski, która dyndała mu przy szyi. Grube, gumowe maski chroniły przed gazem łzawiącym, ale prawie nic nie było przez nie widać - zwłaszcza w nocy. Guyon musiał zaś dobrze się rozglądać, by widzieć co się dzieje. Maskę chciał włożyć później, kiedy już się nie da inaczej. Dochodziła wyznaczona godzina. Guyon oblizwał wargi, spękane i suche jak papier. Po ulicy przed frontem plutonu snuł się dym z kilkunastu płonących mieszkań i samochodów. Szare kłęby dolatywały aż na plac, a jako że ustał wiatr, gęstniały z każdą chwilą. Wśród kłębow dymu migwały ludzkie sylwetki. Ludzie dźwigali zrabowane telewizory, sprzęt stereofoniczny i meble, albo zwyczajnie wypatrywali kolejnych ofiar. Na bruku leżało kilka bezwładnych postaci. Ludzkie zwłoki dyndały też z dwóch latarni. Podporucznik przygryzł wargę. Akcja była naprawdę szaleństwem. Cały pluton mógł zniknąć bez śladu w szalejącym ludzkim tajfunie. Co innego rozbijanie pokojowych manifestacji politycznych, a co innego walka z oszalałym, rozjuszonym tłumem w ciasnych uliczkach. Guyon zaczynał żałować, że poprosił o przeniesienie do CRS. Umierać nie warto nawet dla dodatkowego żołdu i przydziałów, z których był tak dumny. Radio znowu zagrzechotało.

- Wszystkie pododdziały naprzód!

Rany boskie. Guyon przełknął ślinę, rozpiął kaburę i wyciągnął pistolet. - Jazda! Nasza kolej. Pluton, za mną!

Ruszył przed siebie powolnym krokiem, łudząc się, że podwładni odczują to jako oznakę pewności i zdecydowania, nie lęku. Nikt nawet nie drgnął.

Podporucznik obejrzał się z niedowierzaniem. Pluton nadal stał nieruchomo na skraju placu. Żaden z żandarmów nie poruszył się. - Co jest, kurwa! Był rozkaz! Kazałem za mną, a wy co? No, jazda!

Milczenie. W nagłej ciszy Guyon dosłyszał z ulic za plecami przeraźliwe krzyki mordowanych. Jezu Chryste. Czuł, jak zaczyna mu drżeć ręka z pistoletem. - Sierzancie Pasant!

Sierżant z ponurą gębą wystąpił z szeregu i stanął na baczność. -
Na rozkaz!

Guyon zniżył głos.

- Co to za idiotyczne zabawy, co? Może mi powiecie?

- Chłopaki nie chcą tam wchodzić... Melduję! - warknął Pasant, wskazując brodą na dzielnicę emigrantów. - Mamy bronić tych czarnuchów i szmaciarzy?

Zawtórował mu pomruk w szeregach plutonu. Wszyscy w pełni się zgadzali z sierżantem. Guyon postanowił przemówić ludziom do rozsądku. - Co, myślicie, kurwa, że mnie się podoba tam iść?

Dostaliśmy rozkaz. Albo go wykonacie albo sąd. To już nie są żadne żarty, sierżancie!

- Ale nikt się nie pcha do grobu... Panie poruczniku.

Guyon nachylił się do sierżanta i zniżył głos do ledwo słyszalnego pomruku.

- A wy wiecie, Pasant, że was mogę zmusić do posłuchu? Mówiąc to oficer odbezpieczył pistolet.

Sierżant nawet nie mrugnął.

- Może i tak. - Wzruszył ramionami i zauważył: - Będzie gorąco. Takie walki uliczne to niebezpieczna historia. Człowiek nigdy nie wie, z której strony dostanie kulkę... Panie poruczniku. Guyon poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach. Niegłośnej pogroźki sierżanta nie zrozumiałby tylko kretyn. Guyon mógł zmusić pluton do szarży, lecz najprawdopodobniej sam zapłaci za to życiem. Dłonie zadrżały mu bardziej niż przedtem. Kurwa. Nigdy nie uczono go na szkoleniach, co się robi w takiej sytuacji.

Jeszcze chwila, a zginie z ręki własnych podwładnych. W imię czego? Żeby wybawić z biedy paru przybłędów. Paru śmierdzących Arabów i Murzynów. Pokręcił głową. Dla kogoś takiego ryzykować życiem? Nie on. Innym razem. Przenigdy. Podporucznik na powrót zabezpieczył pistolet i westchnął. - Jak chcecie. Połączę się z dowództwem i zamelduję, że utknęliśmy w miejscu z powodu... Z powodu sytuacji. - Oficer spojrzał gniewnie na sierżanta. -

Zadowoleni?

- Tak jest!

- W takim razie proszę rozprowadzić ludzi i ustawić kordon przy placu. - Guyon chował już pistolet do kabury. - Jeżeli nie możemy nic zaradzić tam, pilnujmy chociaż, żeby całe to szaleństwo nie przeniosło się bliżej!

Pasant zasalutował i cofnął się do szeregu podwładnych, którzy rozsypali się i posłuszni komendom zajęli stanowiska na placu. Guyon przez chwilę śledził ich wzrokiem, a potem znów zaklął pod nosem i podniósł do ust mikrofon. Nie palił się do składania meldunku, który w myśl wszelkich znaków miał zakończyć jego policyjną karierę. Komu potrzebni oficerowie, których nie słucha własny pluton? Guyon już miał przycisnąć włącznik walkie-talkie, gdy z głośniczka rozległa się rozmowa sąsiadów. - Brona Dwa, powtarzam, macie rozkaz szarżować! Ruszcie się!

- Echo, tu Brona, nie możemy. Moi ludzie nie chcą iść. Proszę o posiłki.

Chwilową ciszę rozdarły trzaski i nowy głos:

- Echo, tu Brona Cztery. Utknęliśmy, nie możemy iść dalej na południe. Ulice zagrodzone pożarem. Ustawiłem kordon, zatrzymam zamieszki na linii kościoła...

Guyon z coraz większym zdumieniem słuchał kolejnych, prawie takich samych meldunków. Jego pluton nie był więc jedynym, który stanął na skraju buntu. Inne oddziały CRS miały równie mało ochoty na to, by przerwać krwawe, dzikie sceny w arabskich dzielnicach.

22 września - wiadomości serwisu światowego BBC

Satelity łącznościowe i potężne nadajniki naziemne rozprzestrzeniały wieczorny dziennik BBC po całym świecie. Dobry wieczór. Na wstępie najważniejsze wiadomości.

W Paryżu oddziały policji i strażaków nie ustają w wysiłkach, by opanować tragiczne skutki całonocnych zamieszek. Rzecznik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ocenił liczbę zabitych w rozruchach na ponad dwieście osób. Setki innych odniosło rany.

Lekarze w paryskich szpitalach twierdzą, że prawie wszyscy zabici i ranni to Algierczycy lub inni emigranci z krajów Afryki

Północnej. Tysiące innych ofiar zamieszek pozostało bez dachu nad głową wskutek pożarów, jakie ogarnęły piętnaście kwartałów mieszkalnych. Bezdomnych tymczasowo umieszczono w pobliskich szkołach i opróżnionych magazynach, lecz z niepotwierdzonych doniesień ze źródeł

oficjalnych wynika, że władze zamierzają przenieść tę część ludności do tworzonych w tym celu pod Paryżem „obozów przejściowych”. W związku z zajściami w Paryżu, rzecznik Pałacu

Elizejskiego przedstawił komunikat, w którym winą za, cytuję, „pożalowania godne incydenty” obciąża się, cytuję, „chuliganów i męty społeczne”. Jeden z wysokich rangą przedstawicieli rządu posunął się do stwierdzenia, że gwałtowność i skala zamieszek to najlepszy dowód, iż trzeba oczyścić Francję z „kłopotliwych elementów napływowych”. Francuski rząd nadal konsekwentnie zaprzecza uporczywym pogłoskom, jakoby oddziały policji odmówiły interwencji w ogarniętym zamieszkami mieście. Zwłokę w działaniach policji, jaką zaobserwowali świadkowie, władze składają na karb bliżej nie określonych „względów taktycznych”. Prezenter dziennika BBC uczynił pauzę i przeszedł do następnego punktu wiadomości. Wśród innych doniesień z Europy: neofaszystowski wiec w Dreźnie zgromadził około siedmiu tysięcy uczestników. Kilku policjantów nadzorujących przebieg demonstracji odniosło poważne obrażenia, kiedy próbowali wiecującym udaremnić rozwinięcie sztandarów ze swastyką...

25 września - międzynarodowy port lotniczy Roissy Charles-De-Gaulle w Paryżu

Pierwszy sygnał, że coś jest nie tak, przyniosła elektronika. Monitory telewizyjne informujące o bieżących przylotach i odlotach zamigotały, by po chwili zgasnąć zupełnie. Pasażerowie maszerujący przez lśniąca, ultranowoczesną halę dworca lotniczego, zaczęli się zbijać w grupki wokół pociemniałych ekranów. Większość była przekonana, że znów winne są wyłączenia prądu albo awaria. Podobnych wypadków zdarzało się mnóstwo: związki zawodowe energetyków nieustannie pomagały sobie w ten sposób w żądaniach podwyżek płac. Pasażerowie bardzo się mylili. Z lotniskowych głośników dobiegł ich przenikliwy gong. - Panie i panowie, prosimy o uwagę. Z żalem informujemy państwa, że wszystkie przyloty i odloty z Paryża zostały odwołane. Zmuszeni byliśmy podjąć tę decyzję wobec ogłoszonego właśnie, dwudziestoczworgodzinnego strajku krajowego związku zawodowego kontrolerów lotów. Wszystkie przyloty kierowane będą od tej chwili z powrotem do portów macierzystych lub na najbliższe czynne lotniska...

W ciągu godziny lotniczy ruch pasażerski, symbol nowoczesnego życia, ustał i zamarł nad całym obszarem Francji.

29 września - Niemcy, aleja Unter Den Linden w Berlinie

Dziesięć tysięcy skinów w skórzanych kurtkach i fanatyków w

brunatnych koszulach sunęło szeroką aleją przez centrum Berlina, wylewając się także na wysadzone drzewami chodniki. Ponad tłumem powiewały czarno-czerwono-białe chorągwie, a gardłowe, brutalne głosy łączyły się w rytmiczną, nieomal hipnotyczną pieśń marszową - „Horst Wessel Lied”. Pod gniewnym okiem kilkuset policjantów z tarczami i bronią palną, bezrobotna i niedouczona niemiecka młodzież szła szukać nowego natchnienia u starych nauczycieli i mistrzów. Trzysta metrów dalej, niewysoki, ciemnowłosy mężczyzna spoglądał na sunącą w jego stronę falangę neofaszystów. Berlińczyk patrzył na maszerujących w takim skupieniu, że zmrużył bladoniebieskie oczy. Z tej odległości trudno było precyzyjnie ocenić tempo marszu. Nie zmieniało to faktu, że Joachim Speh, przywódca berlińskiej bojówki Frakcji Armii Czerwonej, umiał po mistrzowsku wyczuć odpowiedni moment. Wsunął do kieszeni dłonią pieścił mały nadajnik radiowy. Chłodnym okiem ocenił, że to już niedługo... Bardzo niedługo. Maszerująca kolumna przecięła skrzyżowanie z Charlotten Strasse, po drodze mijając porzuconego przy krawężniku, pokiereszowanego Trabanta. Sflaczała opona i lewarek oparty o tylny zderzak informowały, dlaczego właściciel musiał zostawić niemodny pojazd w niedozwolonym miejscu. Część maszerujących na czele skinów skorzystała z okazji, by nie zwalniając kroku wybębnąć rytm na dachu i masce samochodu. Zbici w gromadę, zakrzyczeli i zawyli z radości. Policjanci, którzy ostrożnie, z boków towarzyszyli pochodowi, rozejrzeli się niespokojnie, niepewni czy mają powstrzymać oczywisty akt wandalizmu. Nareszcie. Speh uruchomił ukryty w kieszeni płaszczka przekaźnik. Bomba, którą ukrył z przodu, pod samym bakiem Trabanta, zadziałała jak trzeba - wybuchła na wszystkie strony kłębem czerwonorudego płomienia, dymu, strzępów dykty i ostrych jak żyłki odłamków metalu. Ci, którzy stali najbliżej samochodu, zginęli rozszarpani na strzępy albo oblepieni płonąca benzyna. Tych spośród maszerujących i policjantów, których nie sięgnął płomień, dosięgnęły rozgrzane do białości odłamki i sam impet wybuchu. Kiedy ucichły ostatnie echa eksplozji, ulica i chodnik przypominały wnętrze jatki. Osmalone chodniki i jezdnię Unter Den Linden zaścięłały ciała i pourywane kończyny. Ranni wili się z bólu i jękiem wzywali pomocy. Niektórzy palili się nadal. Joachim Speh spokojnie odwrócił się i poszedł w swoją stronę. W myślach układał już plan następnej akcji odwetowej.

2 października - Francja,
schody Pałacu Europejskiego w Strasburgu
Prawie sześćset pięćdziesiąt kilometrów od niespokojnej
niemieckiej stolicy pięciu mężczyzn z minami ludzi gotowych na
wszystko stanęło przed gąszczem wycelowanych kamer telewizyjnych
i mikrofonów. Za plecami piątki zimne słońce pobłyskiwało na
ścianach potężnej nowoczesnej budowli z rudego betonu, barwionego
na brązowo szkła i srebrzystej stali. W dawnych, radośniejszych
czasach Pałac Europejski mieścił sale posiedzeń Parlamentu
Europejskiego, jednego z pierwszych zgromadzeń, za pomocą których
próbowano urzeczywistnić polityczne zjednoczenie kontynentu. Dziś
budowla świeciła pustkami, pozbawiona resztek lokatorów. Cynicy
głosili, że Pałac to oczywisty symbol, iż niedowarzone pomysły
jednoczenia Europy należą już do historii. Dla osób zgromadzonych
u wejścia budowla symbolizowała jeszcze coś innego. Piątka mówców
obrała sobie Strasburg jako najlepsze miejsce do zademonstrowania
jedności i determinacji dwóch najpotężniejszych central
związkowych tej części świata. Dwóch spośród piątki delegatów
stało na czele największych federacji związkowych Francji.
Pozostała trójka reprezentowała interesy milionów robotników,
techników i urzędników z Niemiec. - Rodacy i koledzy związkowi!
Historia stawia nas dzisiaj na rozdrożu - przemówił w imieniu
pozostałych Markus Brunner, postawny brunet stojący na czele
Niemieckiej Unii Pracowników Naukowo-Technicznych. Niemiec
odczekał chwilę, świadomy, że jego głos dociera w tej chwili do
pięćdziesięciu milionów domów na całym kontynencie. - Jeżeli
będziemy nadal szli dotychczasową drogą, drogą obraną dla nas
przez aparat władzy, wówczas wszystkich nas, wszystkich
niemieckich i francuskich robotników, spotkać musi nędza i
upokorzenie. Wielkie koncerny i ich lokajskie rządy mają dziś
tylko jeden, jedyny cel; to mianowicie, żeby jeszcze bardziej
wyśrubować nieprzyzwoite zyski. Jakim
sposobem? Takim, że wyduszą nam te pieniądze z gardeł! Okradną
nas z pensji, odbiorą pracę, a miejsca przy maszynach oddadzą
cudzoziemskim niewolnikom! Nie zbywa im na bezczelności do tego
stopnia, że śmiały nas prosić o cierpliwość i dobrą wolę do czasu,
aż przyniesie pierwsze skutki rozbój, który nazywają
„restrukturyzacją"! Tu Brunner gniewnie potrząsnął pięścią.
- Czy pozwolimy im na to? Nie pozwolimy! Nie będziemy

przykładać ręki do własnej zguby! - Niemiec uczynił gest w stronę pozostałych związkowców. - I właśnie dlatego postanowiliśmy się tu dzisiaj spotkać. Spotkać po to, by się zjednoczyć przeciwko siłom, które chcą przekreślić wszystkie zdobycze ostatniego półwiecza.

- Co za tym idzie, wspólnie ustaliliśmy następującą listę bez warunkowych żądań. Żądań pod adresem zarówno koncernów przemysłowych, jak i władz obu naszych wielkich państw. - Brunner wyjął z kieszeni okulary w drucianej oprawie, rozłożył je i nasadził na nos, a potem odchrząknął i zaczął czytać podany przez doradcę dokument. - Po pierwsze, wzywamy do natychmiastowego zaprzestania wysyłki robotników cudzoziemskich do będących własnością Niemiec albo Francji zakładów w środkowej i wschodniej Europie. Wszystkie wolne miejsca pracy w tych zakładach muszą trafić w ręce prawdziwych niemieckich i francuskich robotników, a nie Turków i Algierczyków!

Niemiecki związkowiec potoczył groźnym wzrokiem po kamerach i ciągnął: - Po drugie, domagamy się natychmiastowego i powszechnego moratorium na wszystkie zwolnienia z pracy i redukcje, na czas trwania obecnego kryzysu w gospodarce. Po trzecie wreszcie, apelujemy do polityków w Paryżu i Berlinie, by przeznaczili fundusze na powszechny program robót publicznych, który da pracę naszym zwolnionym kolegom. Zyski, zarobki i budżety muszą zejść na plan dalszy wobec ważniejszych, ludzkich potrzeb!

Niemiec przestał czytać i spojrzał prosto w obiektywy kamer. - Nie mamy złudzeń co do tego, że politycy i utuczeni naszym kosztem przemysłowcy zgodzą się na te żądania, bo tak każe zwykła uczciwość. Nie jesteśmy aż tak naiwni. Przeciwnie. Jeśli się więc to okaże niezbędne, zmusimy tych panów, aby przyjęli nasze sprawiedliwe i niewygórowane warunki.

Tym razem Brunner odczekał, aż odpowiednio wzrośnie na pięcie słuchaczy. - Biurokratom i plutokratom dajemy czas do 7 października. Mają więc pięć dni na to, by się zgodzić na nasze żądania - żądania bezwarunkowe i ostateczne. Jeśli się na to nie zdecydują, nasi ludzie co do jednego wyjdą z fabryk i zaczną szukać sprawiedliwości na ulicach. Tłumek dziennikarzy i operatorów kamer zafalował, zaskoczony ostatnimi słowami. Piątka stojących przed pałacem działaczy reprezentowała pokaźny odsetek

wszystkich zatrudnionych w obu krajach. Jakakolwiek akcja w wykonaniu pięciu central związkowych musiała przynieść poważne skutki gospodarcze. - Tak, właśnie! - przytaknął Brunner, rozczapierając dłoń. - Zgadza się! Stawiamy ultimatum! Albo rządy i koncerny przystaną na nasze żądania, albo ogłaszamy strajk generalny! Mają pięć dni. Jeśli przez te pięć dni nie posłuchają naszych żądań, szóstego dnia staną pociągi, staną samoloty na lotniskach, a ciężarówki nie dowiozą żywności do miast. Staną wszystkie fabryki, a statki z towarem dla zagranicy utkną w portach!

Nikt spośród słuchaczy nie miał wątpliwości, że Markus Brunner i jego koledzy traktują te słowa śmiertelnie serio.

3 października - Paryż, Pałac Elizejski

Ósemka obradująca w pałacowej sali posiedzeń gabinetu prawie niknęła pod wysokimi sufitami i pośród masywnego umeblowania. Każdy z ośmiu mężczyzn stał na czele najważniejszego ministerstwa kraju, a tym samym należał do elitarnego kręgu władzy. Ósemka na dobrą sprawę trzymała w ręku wszystkie decyzje należące do francuskiego rządu. Pusty był tylko fotel schorowanego prezydenta republiki. - Strajk generalny? W takiej chwili? To pewnie jakieś żarty? - Henri Navarre, minister spraw wewnętrznych, wydawał się ogłuszony nowiną.

Pozostali ministrowie również nie mogli się otrząsnąć z wrażenia. Ich partia od dziesięciu lat utrzymywała się przy władzy właśnie dzięki poparciu ze strony central związkowych. W każdych niepewnych wyborach głosy robotników posłusznych swoim federacjom zapewniały partii bezpieczny, zwycięski margines. Nie trzeba dodawać, że niepewne były wszystkie wybory z ostatnich lat. - Wygląda, że naprawdę nie żartują - oznajmił spokojnie, wręcz beznamiętnie Jacques Morin, nowy dyrektor DGSE. - To samo mówią wszystkie meldunki naszych wtyczek. Zaczęli już przygotowania do strajku generalnego. Podobnie widzą tę sprawę nasi koledzy z Niemiec. Zgadza się, panie ministrze?

Nowy francuski minister spraw zagranicznych, Nicolas Desaix, skinieniem potwierdził, że owszem, i że pochwała raport.

Osobiście zadbał o mianowanie dawnego zastępcy nowym dyrektorem naczelnym wywiadu. Dzięki temu mógł de facto kierować całym DGSE i stowarzyszonymi organizacjami. Desaix nachylił się nad stołem i kolejno spojrzał w oczy członkom gabinetu. - Rzeczywiście jest

tak, jak mówi Morin. A ja nie sędę, że byśmy cokolwiek zyskali chowając głowę w piasek. Ci ekstremiści nie bawią się w czcze pogróżki.

- To może... Może warto zacząć jakieś negocjacje... Pójść na ugodę... - Navarre urwał, widząc zmarszczkę na czole Desabc. Prestiż cherlawego, przygarbionego ministra spraw wewnętrznych w ostatnich tygodniach chylił się katastrofalnie, choćby dlatego że Navarre coraz mniej panował nad poczynaniami policji i sił porządkowych.

- Usiąść do rozmów? Niemożliwe! - Desaix z pogardą potrząsnął głową. - Ich żądania to coś absurdalnego. Po prostu zniewaga! Jeśli się zgodzimy nawet na najskromniejszy z warun ków, zbankrutują nasze najlepsze i najbardziej dochodowe przedsiębiorstwa. Poza tym nie widzę najmniejszego pożytku z oddania steru państwa gromadzie mechaników i brygadzystów! - W takim razie cóż nam pan proponuje, Nicolas? - zapytał zwalisty minister obrony, Michel Guichy, i dla większego efektu palnął dłonią w stół. - Jeśli żandarmeria i CRS już dziś nie dają sobie rady z sytuacją, co dopiero będzie jeśli dojdzie do strajku? Wielkie nieba, przecież większość tych darmozjadów sama jest w jakichś związkach!

Pozostali zebrani zaczęli mówić jeden przez drugiego, popierając twarde pytanie ministra obrony. Posiedzenia gabinetu bywały burzliwe nawet w najspokojniejszych czasach, a cóż dopiero w dniach, kiedy wszyscy mieli nerwy napięte do ostateczności. Na barki ministrów zwała się w ostatnim miesiącu lawina strajków, rozruchów i innych objawów gospodarczego chaosu. Wszyscy poza tym zwyczajnie się bali tego, co miało nastąpić. Francja nie mogła sobie pozwolić na strajk generalny - ani też nie mogła spełnić niebotycznych żądań central związkowych. Mimo potężnych dotacji rządowych, krajowy przemysł wciąż stał na skraju bankructwa. Desaix starał się zachować kamienną twarz. Nie mógł okazać irytacji. Za długo się męczył, by stworzyć sobie wśród tych ludzi kapitał zaufania, by teraz stracić wszystko z powodu jednego wybuchu. Prócz tego w obecnym kryzysie wietrzył dla siebie nową perspektywę - na tyle atrakcyjną, że warto było nawet dla jej urzeczywistnienia podsycić kryzys. W duchu wzruszył więc ramionami. Dla wszystkich stawało się coraz bardziej jasne, że jego plan przesiedlenia robotników cudzoziemskich przynosi skutki

odwrotne od zamierzonych. Desaix spodziewał się masowych wystąpień i protestów na wschodzie Europy - nie rzezi na własnym podwórku. Sytuacja miała mimo to pewne plusy. Do starcia ze związkami zawodowymi Francja dojrzewała od dawna. Od dawna też rosła powszechna nienawiść do cudzoziemców. Pierwsza koncepcja rozwiązania obu kwestii naraz, rozpoczęta tajną akcją w Sopron, przyniosła więcej szkody niż pożytku. Desaix uznał, że w tym stanie rzeczy warto ukłębnić obu kwestiom łeb raz na zawsze. Upiec dwie pieczenie na raz jednym pieczywem.

Zwłaszcza że w ten sposób można było stworzyć silniejszą, bardziej niż dotąd, zjednoczoną Francję. Desaix wbił wzrok w ministra obrony. Nowy plan zależał głównie od poparcia ze strony Guichy'ego. - Środki, które chcę zaproponować, przyjacielu, są równie poważne jak groźba, przed którą stoimy. - Desaix zmrużył oczy i dodał: - Drastyczne środki.

Przemawiając z całkowitym przekonaniem i żelazną siłą argumentów, Desaix nakreślił plan, który miał ocalić Francję przed katastrofą. Kłótnia, jaka się następnie wywiązała, zakończyła się dopiero nad ranem.

4 października - lotnisko Le Bourget w Paryżu

Żołnierze w polowych mundurach, z bronią i w pełnym oporządzeniu otaczali kręgiem mały pasażerski odrzutowiec, stojący na skraju głównego pasa startowego Le Bourget. Kordon stanowił tylko jedno, ostateczne zabezpieczenie wokół lotniska. Władze podjęły wszelkie środki, aby zapobiec komplikacjom. W tym wypadku nikt i nic nie mogło opóźnić planowanego odlotu. - Baczość!

Żołnierze wyprężyli się, prezentując broń przed opływowym czarnym Citroenem, który wyprysnął z drogi dojazdowej i ze szmerem silnika zatrzymał się przy czekającym samolocie. Na czarnej masce samochodu furkotały trójkolorowe chorągiewki. Z otwartych, tylnych drzwi Citroena wysiadł wysoki, garbatonosy mężczyzna ze skórzaną teczką w ręku. Drugimi drzwiami wysiadł jego doradca - tylko jeden - dźwigając torbę na garnitury i zwinięty parasol.

Chmury gnały na zachód, pędzone naporem wyżu, który idąc znad Rosji groził na najbliższe parę dni opadami deszczu. Dowodzący kordonem kapitan nadal salutował, choć obaj pasażerowie Citroena wspięli się po składanych schodkach i zniknęli w słabo oświetlonej lecz wybitej pluszem kabinie. Dwa turbowentylatorowe silniki ożyły z gwizdem, w coraz głośniejszym poświście osiagając

pełną moc. Pięć minut później błyskający światłami nawigacyjnymi odrzutowiec zniknął na tle czarnego nieba, pod ostrym kątem unosząc Nicolasa Desaix z pasa startowego. Desaix - nie byle kto, bo jeden z najważniejszych członków wciąż utajnionego Nadzwyczajnego Komitetu Ocalenia Republiki - leciał na wschód, zdążając do Niemiec.

5

Strażnicy

6 października - sztab niemieckiej 19. Brygady Grenadierów Pancernych, koszary w Ahlen Podpułkownik Wilhelm von Seelow (mało kto zwracał się do niego inaczej niż „Willi”) wychylił się z okna sztabu, bo rejwach na koszarowym dziedzińcu nasilił się jeszcze. Cały plac zapchany był ludźmi i sprzętem. Pododdziały żołnierzy w szarzielonych mundurach znikwały za drzwiami magazynów, pobierając broń i amunicję. Inne grupy czekały na to samo w długich kolejkach. Wszyscy żołnierze mieli identyczne, ciemnozielone berety i srebrne odznaki ze skrzyżowaną parą karabinów- insygniami grenadierów pancernych, czyli niemieckiej piechoty zmechanizowanej. Gasnące światło popołudnia pod nieprzebitą zasłoną chmur wydawało się jeszcze bardziej szare. Rozproszone smugi padały na budynki i stalowe burty wozów bojowych Marder lecz zamiast błyszczeć, światło tonęło bez śladu w maskującej farbie i popekanych, betonowych murach koszar i garaży. Na terenie jednostki włączono już latarnie, lecz tak wczesną porą one także nie pomagały zorientować się, o co chodzi w całym tym zamieszaniu. Chaos na dworze był i tak niczym w porównaniu z tym, co się działo w zatłoczonym sztabie operacyjnym brygady. Dzwoniły wszystkie telefony na raz. Von Seelow co chwila słyszał, jak kolejny oficer domaga się przejętym głosem, żeby natychmiast ktoś coś zrobił z tym burdelem - może w przekonaniu, że nic tak nie pomaga w pracy jak awantura. Najwięcej zamieszania robił młodzieńcy kapitan. Von Seelow uznał, że tyle przynajmniej może zrobić dla ojczyzny. Odwołał więc kapitana na stronę, szepnął mu kilka dobitnych słów i z serią zadań wysłał go na dwór. Mała przechadzka w zimnym, przedwieczornym powietrzu powinna go trochę ostudzić i dać do myślenia reszcie sztabowców. Dobry żołnierz nie pokrzykuje bez sensu, nawet jeśli dookoła wszystko wali mu się na głowę. Reprimenda przyniosła natychmiastowy skutek. Korzystając z upragnionej ciszy, von

Seelow znów zabrał się do pracy. Usiłując jednocześnie pozbierać do kupy własne myśli i całą brygadę. Zważywszy, jak mało dostali czasu, było się nad czym głowić. Alarm w brygadzie był skutkiem nagłego rozkazu mobilizacyjnego ze sztabu 7 Dywizji Pancerniej w Munster: natychmiast postawić brygadę w stan gotowości bojowej, przewidywane działanie jako siły rozjemcze. Von Seelow osobiście odebrał telefon z dowództwa - nie od razu wprowadził, bo oficer dyżurny musiał go długo przekonywać, że to nie kawał.

Podpułkownik zrobił złą minę na samo wspomnienie. Jego rozmówca ze sztabu, major Feist, sprawiał wrażenie pewnego siebie i bardzo wystraszonego zarazem. Nie omieszkał też na samym wstępie uprzedzić wszystkie obiekcje Willego. - Niestety nie, panie pułkowniku. Naprawdę rozkaz dotyczy całej brygady. Tak, panie pułkowniku, doskonale wiemy, jak stoicie z paliwem. Owszem, o brakach w ludziach i sprzęcie wiemy także. Przykro mi, panie pułkowniku, ale nie ma mowy o odkomenderowaniu do was innych oddziałów. Sami mamy ten sam problem. O północy cała brygada ma już być w drodze do Dortmundu. Sytuacja? Fatalna. Anarchiści ufortyfikowali się w opuszczonych kamienicach.

Von Seelow wiedział, o które kamienice chodzi: kilka miesięcy wcześniej młodzi bezrobotni zajęli siłą całą grupę opuszczonych domów mieszkalnych, zmieniając je w zdobne kolorowym sprajem fortece. - Robią co chcą, rabują sklepy, podpalają domy w sąsiedztwie, tłuką się z innymi bandami, a potem chowają się w tych domach. Policja robi co może, ale co policja tak naprawdę może, to już sam pan wie. - Tą optymistyczną prognozą major Feist zakończył rozmowę i życząc powodzenia odłożył słuchawkę.

Von Seelow dobrze wiedział, jak fatalnie wyglądają sprawy w niemieckich miastach i miasteczkach, lecz do głowy by mu nie przyszło, że władze chcą rzucić do akcji regularne wojsko. Poczł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Kilka lat wcześniej naoglądał się różnych rzeczy jako żołnierz niemieckiego kontyngentu w siłach pokojowych ONZ w dawnej Jugosławii. Dlatego wiedział, co potrafi uczynić z narodem wojna domowa. Rozdzielenie walczących Serbów, Chorwatów, Bośniaków i całej reszty kosztowało wojska ONZ setki zabitych i miliardy marek. Von Seelow zapamiętał tamte miesiące jako niekończący się koszmar daremnych patroli i krwawych zasadzek. Najgorsza ze wszystkiego była nienawiść

miejscowych, no i to, że do żołnierzy ONZ strzelały bez skrpułów wszystkie strony. Dlatego bał się pomyśleć, że jego własny kraj także staje wobec podobnego koszmaru.

Doświadczenie bojowe z Bośni i Hercegowiny oraz Serbii przydało mu się oczywiście jako oficerowi. Jak w każdej armii w okresie pokoju, awanse nie zdarzały się zbyt często. Tymczasem Willi prędko przeskoczył z majora na podpułkownika. Wiedziano, że pod ogniem nie traci głowy i co do joty wypełnia rozkazy. Von Seelow nie miał złudzeń co do tego, że na inne drogi awansu nie ma co liczyć. Oficerskie szlify i wyszkolenie zdobywał przed zjednoczeniem, i to w Armii Ludowej NRD. Wprawdzie kwalifikował się świetnie na obecne stanowisko, lecz nowa Bundeswehra czyli Niemiecka Armia Federalna niezbyt chętnym okiem patrzyła na „ossich”. Większość dawnych kumpli Willego ze służby, jak on wychowanych na wschodzie, dawno poszła do cywila albo utknęła na biurowych stanowiskach, na których śmiercią walecznych umierało się najwyżej na hemoroidy. Zanosilo się na to, że za parę lat Willi skończy dokładnie tak samo jak oni. Wessie z dawnej Bundeswehry nie życzyli sobie oglądać pośród wyższej kadry czarnych owiec od Honeckera. Może jednak nie była to wcale taka zła perspektywa? Status oficera nie był już tym samym, co dawniej. Odkąd pazurom rosyjskiego niedźwiedzia zrobiono manicure, głównym zadaniem Bundeswehry stał się udział w misjach pokojowych. Połowa wyszkolenia dotyczyła teraz „spraw cywilnych”, a cała armia prędko przyswoiła sobie doświadczenia taktyczne z walk o Zagrzeb i Sarajewo. Alarmowy przerzut do Dortmundu stanowił zapewne przedsmak nowych atrakcji tego typu. Rozruchy i bitwy z policją stały się w niemieckich miastach widokiem nieomal codziennym. Bezrobocie dotknęło prawie dwudziestu procent ludności i wciąż rosło wraz ze stygnięciem gospodarki. Wśród najmłodszych odsetek ten był oczywiście jeszcze wyższy, lecz to nie bezrobocie stanowiło największe zagrożenie. Zagrożeniem były przede wszystkim napięcia na tle rasowym, potęgujące się tym bardziej, im więcej przemykało się do Niemiec przez zieloną granicę uchodźców z Europy Wschodniej, umykających przed skutkami tamtejszych, znacznie gorszych katastrof gospodarczych. Von Seelow pokręcił głową, bo trudno mu było sobie wyobrazić, że gdzie indziej może być jeszcze gorzej. Największe miasta Niemiec bez przerwy stawały się areną napadów i bijatyk. Watahy skrajnej

prawicy, czerwonych anarchistów i zwykłych bezrobotnych co rusz tłukły się między sobą, szamotały z policją albo atakowały sklepikarzy. Manifestanci żądali pracy i chleba -dwóch rzeczy, których brakowało najbardziej. Willi zdawał sobie co gorsza sprawę, że im dłużej to wszystko potrwa, tym trudniej będzie zaspokoić żądania - zwłaszcza jeśli rozszalałe związki zawodowe dotrzymają słowa i rzeczywiście ogłoszą strajk generalny. Obecne perypetie kraju były niczym w porównaniu z możliwymi skutkami protestu w skali całej gospodarki. Wszystko to wyglądało jak zły sen. Podczas kilku wypadów do najbliższego miasta, którym było Hamm, albo do Essen czy Dortmundu, Willi ze zgrozą spoglądał na cywili włączających się bez celu i żebrzących o datki czy chwilowe zajęcie. Na ulicach widziało się wszędzie łażęgów i zabite dyktą witryny. Nikogo też nie dziwiły policyjne roгатki, gdzie kontrolowano dokumenty. Wielkomijskie życie w ogóle bardzo przybladło, straciło impet. Po części winne były temu ostre przepisy o racjonowaniu benzyny, lecz tak naprawdę nad wszystkim i wszystkimi zaciążyła zmora recesji w skali kontynentu. Von Seelow nigdy nie oglądał czegoś podobnego. Na pewno nie w Lipsku, w latach przed zburzeniem berlińskiego muru. Przychodziły mu do głowy szydercze myśli, że dawni możnowładcy w NRD nigdy by do tego nie dopuścili. Umyślnie dopłacali z budżetu do cen żywności i pilnowali, żeby nie zabrakło piwa ani wódki. Rosyjska lekcja, dać trochę żarcia i dużo wódki. Podpułkownik odegnał od siebie te myśli, zły, że marnuje czas na roztrząsanie przeszłości. W dodatku przeszłości, za którą Niemcom Wschodnim przyszło słono zapłacić. W porównaniu z panującym w dawnym NRD „ładem i porządkiem" nowa republika federalna mogła się wydawać siedliskiem zdziczenia, lecz nadal pozostawała państwem demokratycznym - czyli takim, któremu człowiek się nie wstydzi służyć. Za oknem ujrzał tym razem ciemność. Szybą potrząsnął zimny, porywisty wiatr. Jesień była chłodniejsza niż zwykle, a deszcz i ostry wiatr przenikały do szpiku kości. Przepowiadano surową zimą. Willi także wiedział, że tym razem będzie kiepsko. Z trudnością oderwał się od kłopotów kraju i zabrał się za to, co powinien. Zostało mu niecałe sześć godzin na to, by uformować trzy i pół tysiąca ludzi na trzystu wozach bojowych w oddział porządkowy, który zapanuje nad miastem bez obrócenia wszystkiego w perzynę. Sprzętu do tłumienia

zamieszek wystarczyło w brygadzie tylko dla jednego z dwóch batalionów (w czasie wojny wzmocnianych trzecim). Tymczasem dywizja chciała rzucić do akcji całą brygadę w komplecie, a więc łącznie z batalionem czołgów i kompanią przeciwpancerną. Dobry Boże, skąd tu niby wytrzasnąć dla tych ludzi pałki i tarcze? I w ogóle, jakie im przydzielić zadania?

Nagły przeciąg kazał Willemu spojrzeć na drzwi. Na widok przybysza, podpułkownik zerwał się i stanął na baczność. Do pomieszczenia wszedł pułkownik Georg Bremer, odwołany telefonem od biesiadnego stołu w domu przyjaciół dwadzieścia kilometrów za Ahlen. Bremer, dowódca 19. Brygady Grenadierów Pancernych, wyglądał jak czołgista: był niski i krzepki, poruszał się mimo tuszy szybko i prężnie, i nawet jego ciemne włosy nie zdradzały, że Bremer skończył pięćdziesiąt sześć lat. Oficerowie prędko odkrywali, że jeśli w porę nie uskokoczyć Bremerowi z drogi, przetoczy się po nich jak czołg. Fizyczne przeciwieństwo między pułkownikiem i von Seelowem zakrawało na żart. Willi był tyczkowaty, za wysoki wręcz, by siedzieć pod pancernem. Z chudym tułowiem współgrała pociągła twarz o kwadratowej szczęce. Wysokie kości policzkowe, bardzo niebieskie oczy i krótko ostrzyżone, płowe, siwiejące już powoli włosy podpowiadały światu, że von Seelow nosi w sobie część feudalnego dziedzictwa, o jakim Niemcy bardzo chciały zapomnieć. Bremer jak zwykle ruszył prosto na podwładnego, w marszu rzucając w stronę reszty oficerów: - Siadać, panowie.

Nie usiadł tylko Von Seelow, który jako oficer operacyjny brygady odpowiadał za stan gotowości. W tym wypadku odpowiadał za to głową. - Znalazł się już ten Greif? - rzucił Bremer. Podpułkownik Greif był szefem sztabu jednostki i zwykle to on przejmował komendę pod nieobecność Bremera. Dzisiaj jednak wziął wyjątkowo urlop: przeprowadzał na wieś swoją rodzinę, która zaczęła się bać życia w Essen.

- Chyba już jest w drodze do jednostki. Prosiliśmy policję, żeby go pomogła szukać... Miał wrócić do koszar dopiero jutro rano - zameldował Willi.

Pułkownik sapnął tylko.

- Dobra, tymczasem ty go zastąpisz, Willi. Mów zaraz, jak stoimy.

Von Seelow znał na pamięć stan poszczególnych batalionów. - 191.

może ruszać już o północy, ale tylko połową stanu. To samo ze 192. Mamy biedę z paliwem dla 194. ale coś się znajdzie. Czołgi wyjadą tak jak w planie. Aha, Munster zabrało nam artylerię, to znaczy całą 195- bo całą żandarmerię wysłali na ulice, a ktoś musi im pilnować sztabu dywizji, Bremer bez słowa wysłuchał meldunku i przytaknął ostatniemu zdaniu.

- Niby szkoda, ale może i lepiej. Miejmy nadzieję, że obejdzie się bez armat. Tylko co z brakami w stanach?

Pytanie za dziesięć punktów.

Wszystkie bataliony w brygadzie miały stany dużo niższe od etatowych. Rezygnacja z powszechnej służby wojskowej pozwoliła Niemcom ostatecznie przekonać sąsiadów, że nie muszą się obawiać skutków zjednoczenia, lecz dla samej armii zmiana okazała się kataklizmem. Cięcia w budżecie federalnym sprawiły, że coraz trudniej było znaleźć pieniądze na żołd. Ten ostatni był zresztą coraz bardziej mizerny, a koszarowe warunki życia po prostu koszarne. Nic dziwnego, że we, wszystkich pododdziałach brakowało jednej czwartej ludzi. Ogólna bieda kazała też wielu żołnierzom zawodowej bądź co bądź armii szukać dodatkowego zatrudnienia albo chwycić się wieczorowych fuch po skończonej służbie. Z tej przyczyny wielu żołnierzy zamiast szykować się do wymarszu rozsypało się tego wieczora po całym obszarze od Essen aż po Dortmund i Gettersloh, by trochę dorobić do gołej wypłaty. Fuchy urągały wszelkim regulaminom, ale zarówno Bremer jak i von Seelow chowali głowę w piasek, wiedząc że podwładni muszą jakoś wyżywić rodziny. Von Seelow podpisał dziś całą masę przepustek, „w drodze wyjątku”, idąc na rękę tym spośród żołnierzy, którzy przeprowadzali swoje rodziny z Dortmundu, Essen czy dalszych miast. W miastach było wprawdzie łatwiej o pracę, ale dużo mniej bezpiecznie i trudniej o żywność niż na wsi. Gdyby sztab zaalarmował brygadę z parugodzinnym zapasem, von Seelow stanąłby na głowie, by wypuścić bataliony w komplecie. Telefon z Munster był jednak dopiero o wpół do szóstej, kiedy wielu szeregowców i podoficerów znalazło się już za bramą. Krótko mówiąc, alarm zaskoczył brygadę bez gaci. - Patrole ze wszystkich kompanii mają przeczesać okolice, każdą najmniejszą wioskę i znaleźć maruderów. Prosiłem policję, żeby kierowała do nas każdego żołnierza, jakiego zdybią. - Willi odchrząknął. - Poza tym porozumiałem się

z naszym radiem

i telewizją, ale nie chcą przekazać komunikatu. Mówią, żeby im najpierw powiedzieć, dlaczego ogłaszamy alarm.

Bremer zrobił straszną minę. Ostatnią rzeczą, jaka by mu przyszła do głowy, było informowanie cywili o zamiarach jednostki.

Odczekał jednak, aż von Seelow skończy meldować. - Żeby załatać te luki, radzę wysłać z brygadą wszystkie służby tyłowe i nasze kompanie przeciwpancerne. Jeśli dołączą do grenadierów, bataliony znów będą miały prawie normalną siłę.

Mamy w końcu tłumić zamieszki, a nie dowozić zaopatrzenie czy zwalczać czołgi rakietami. - Owszem - zgodził się Bremer. - Poza tym proszę wziąć czołgistów z dwóch kompanii, maszyny niech zostawią. Do tego zadania wystarczy nam jedna kompania czołgów. Wezwij dowódców i powiedz im, co się dzieje. W organizacyjnym ustalą tym czasem, jak tu wszystkich porozdzielać.

Von Sellow przytaknął Bremerowi, który patrzył już na zegar. Za kwadrans siódma. - O dziewiątej masz mi zameldować o stanie brygady. Zaraz się połączę z dywizją. Może się dowiem, co się za tym wszystkim kryje. Niech mi spróbują powiedzieć, że to tylko ćwiczenia! - Bremer uśmiechnął się drwiąco i spojrzał na swoich oficerów. - Ach, jakbym złapał tego idiotę, który wydał rozkaz, jakbym go wsadził w czołowy transporter...

Pułkownik zniknął u siebie, a von Seelow usiadł przy telefonie. Prawie wszyscy dowódcy batalionów bez szemrania przyjęli wiadomość o przetasowaniach, zadowoleni, że dostaną kogoś w miejsce brakujących ludzi. Prawie wszyscy, gdyż dowódca 192. uznał za stosowne głośno oświadczyć, że nowe rozkazy podobają mu się jak gęba cudzoziemca czy innej pokraki ze wschodu Niemiec. Czyli nie podobają mu się ani trochę. - Mnie potrzeba ludzi szkolonych na transporterach, nie jakichś zasranych czołgistów czy samochodziarzy! - usłyszał Willi od podpułkownika Klause von Oldena.

Willi chciał mu powiedzieć, gdzie może sobie szukać ludzi szkolonych na transporterach, lecz opanował się jeszcze. - Tacy też się panu przydadzą.

Podobnie jak von Seelow, Klaus von Olden wywodził się z rodziny pruskich junkrów, lecz jego rodzice pod koniec wojny w porę uciekli na zachód. Willi także szczycił się swoim rodowodem, lecz żyjąc w „bezklasowym” NRD nauczył się nim nie afiszować. Jego

ojciec, który sam był pułkownikiem Wehrmachtu, prędko zrezygnował z arystokratycznego „von” i stał się zwykłym Hansem Seelowem, zawód: pracownik fizyczny. Inaczej von Olden, który nieodmiennie puszył się i przechwalał, wierząc, że starodawne tytuły wciąż bardzo wiele znaczą-do tego stopnia, że odważył się wymalować rodowy herb na swoim wozie dowodzenia. Wywodził też nieustannie o „germańskości” rodzinnej krwi i głośno opowiadał, że trzeba zrobić porządek z cudzoziemcami i lewakami. Willi nie cierpiał tonu, jaki słyszał w tej chwili u von Oldena, który dociął:

- Może ty mi coś doradzisz. W końcu umiesz brać cywili za mordę. Masz trening z Jugosławii, no i z domu.

Willi udał, że nie słyszy zaczepki. Zdarzało mu się słyszeć gorsze rzeczy. - Jeśli weźmiesz tych ludzi, z jakim stanem możesz wyjść o północy?

- Będę miał ze siedemdziesiąt procent - poinformował von Olden, lekko rozczarowany, że wsadzona szpila przyniosła tak mizerną reakcję.

- No, to świetnie. Tymczasem. - Willi wyłączył się, wysiłkiem woli powstrzymując się, by nie trzasnąć słuchawką o biurko. Żarcik von Oldena nie był wcale aż tak zabawny, bo w wojsku w dawnym NRD nieraz przychodziło robić rzeczy, którymi nikt się nie lubił potem chwalić. Federalne Ministerstwo Sprawiedliwości do tej pory próbowało się dobrać do skóry byłym strażnikom granicznym, którzy zmienili berliński mur w prywatną strzelnicę. Niewiele godzin później Willi von Seelow i Bremer stali już przy wozie dowodzenia ustawionym obok głównej bramy koszar i patrzyli, jak ciężarówki i bojowe wozy piechoty Marder wytaczają się za szlaban. Jaskrawe lampy zmieniały noc w dzień, a ich blask omywał każdy kolejny pojazd, wypadający z łoskotem na główną drogę. Była za kwadrans dwunasta. Pierwsze pododdziały 19 Brygady Grenadierów Pancernych zaczynały marsz na Dortmund.

Zimny, mokry wiatr owionął oficerów wonią dieslowskich spalin. Czuli ten podmuch nawet przez zimowe mundury. W nocy mogli się spodziewać deszczu czy nawet deszczu ze śniegiem. Jazda w kolumnie to w takich warunkach męka, ale może przynajmniej nie dojdzie do zająć na ulicach. - Świetnie, Willi. Nieźle się spisał - zawołał Bremer, przekrzykując łomot silników. Von Seelowa ucieszyła oczywiście ta uwaga, lecz nie na tyle, by go

wyrwać z przygnębienia. Nawet laurka i dyplom od Bremera nie mogły mu pomóc w dalszej karierze wojskowej. Doświadczenie bojowe i umiejętności to jeszcze nie wszystko. Ktoś, kto się urodził w NRD, może sobie co najwyżej pomarzyć o awansie.

A poza tym, czy warto służyć w wojsku, które musi się tłuc z własnymi ziomkami? Von Seelow lubił otwarte przestrzenie i poligony. Mało który żołnierz nie boi się walki w mieście. Poza tym wojna domowa to nawet w miniaturowej skali wyjątkowo brudna historia. Na poligonie Willi wiedział przynajmniej, kim jest przeciwnik. Aha, skoro już o tym mowa...

- Pułkowniku, ten wymarsz zostawi nas bez paliwa na resztę kwartału. Znowu nic nam nie zostanie na ćwiczenia. Jak wrócimy do koszar, muszę obliczyć, ile poszło, ale już widzę, że trzeba będzie przeplanować „Białego Smoka”.

Na początku każdej zimy, kiedy sprzątnięte i zaorane pola skuwał mróz, brygada odbywała manewry, planowane miesiącami i zawczasu ćwiczone w szczegółach przez bataliony. „Biały Smok” stanowił dla brygady jedyną okazję, by się sprawdzić jako związek taktyczny. - Nic się nie martw, Willi. Plan manewrów możesz spokojnie podrzeć i wyrzucić - Bremer w odpowiedzi na zdumione spojrzenie Willego mrugnął znacząco, a potem zerknął na zegarek. - Za dwanaście minut rząd federalny ogłosi w całych Niemczech stan wyjątkowy. To samo robią u siebie Francuzi. Na jakiś czas przyjdzie nam ćwiczyć na ulicach.

Von Seelow kiwnął tylko głową, oszołomiony tym, co usłyszał. Dokładnie to, czego się najbardziej obawiał. Niemiecka armia ruszała na wojnę - wojnę z Niemcami. Wsiadł za Bremerem do łazika. W gąsienicowym wozie dowodzenia byłoby cieplej, ale zato trzeba by się wlec w ogonie kolumny. Transporter miał jechać z tyłu, zbierając zepsute czy zabłąkane pojazdy brygady. Willi wolał jechać w przodzie, w łaziku na czele kolumny. W radiostacji trzeszczały najnowsze rozkazy i meldunki. Było tego tyle, że von Seelow sam nie wiedział, kiedy skręcili na Bundesstrasse. Zaczął kropić uporczywy, chłodny deszczyk, rozpryskując się świetlistymi kroplami na maskach i reflektorach pojazdów. Na przedmieścia Dortmundu dotarli o wpół do trzeciej nad ranem, lecz już od drugiej widzieli na tle czarnego horyzontu pomarańczową łunę pożarów. Czekala ich długa noc i jeszcze dłuższy dzień.

8 października - pozycje polskiej 5 Dywizji Zmechanizowanej pod

Świeckiem, nad granicą niemiecką
Dolinę Odry spowijała mgła, gęsta i unosząca się powolnymi
kłębami, w których prawie ginęły zarysy drzew i zabudowań na
drugim brzegu rzeki. Nawet oba mosty przerzucone nie opodał przez
Odrę - drogowy i kolejowy - zdawały się ulatywać w powietrzu.
Obie masywne konstrukcje ze stali i żelbetu spoczywały na
poduszce szarego, rzeczno oparu. Generał dywizji, Jerzy
Nowaczuk, opuścił lornetkę i potarł
krzaczaste brwi. Zimno. Diabli wiedzą, skąd biorą się takie
zmiany pogody. Gdzie ta polska jesień, ciąg chłodnych lecz
klarownych, bezchmurnych tygodni? Rok od samego początku był
jakiś nie taki. Listopadowe mgły i marznące mżawki tym razem
zawitały cały miesiąc wcześniej niż zwykle. Generał wzdrygnął się
i ciałniej otulił połą grubej kurtki polowej. Za plecami
Nowaczuka ktoś kichnął głośno. - Na zdrowie, Andrzejku. - Generał
odwrócił się w tamtą stronę.

- Dziękuję! - Dowódca pułku piechoty zmechanizowanej pospiesznie
wysmarkał nos i upchał chusteczkę do kieszeni. Nowaczuk przez
chwilę przyglądał się swojemu pułkownikowi. Oficer był skonany,
zziębnięty i przemoczony do nitki. Trudno się było dziwić, bo w
końcu przez ostatnie dwa dni tkwili wraz z resztą pułku pod gołym
niebem, za dnia skuleni w płytkich okopach, nocą usiłując spać
w zatłoczonych, zimnych pojazdach.

Generał przeniósł wzrok na las, którego linia porastała
niewysokie wzgórza wzdłuż polskiego brzegu rzeki. Nawet z tak
bliska bardzo trudno było dostrzec pośród drzew bure, groźne
kształty czołgów T-72 i bojowych wozów piechoty BWP-1, zastygłych
pod jesiennym kamuflażem siatek maskujących. Pułkowe sekcje
rakiet przeciwpancernych, stanowiska karabinów maszynowych i
strzelców wyborowych, wtopiły się w otoczenie. Wprawny obserwator
po pewnym czasie mógł dostrzec te pozycje i przekonać się, iż
polski pułk jest na miejscu, czuwa, a w razie czego odpowie
ogniem. Nowaczuk uśmiechnął się niewesoło. Dokładnie takie
wrażenie pułk miał wzbudzić u Niemców na lewym brzegu rzeki.
Wprawdzie wyborowe dywizje Bundeswehry miały w tej chwili huk
roboty z pałowaniem ludności we własnych kipiących miastach, ale
tylko dureń mógłby stąd wyciągnąć wniosek, że Polacy mogą
odetchnąć spokojnie. Historia zna aż nazbyt wiele przykładów
rządów, które aby oderwać myśli obywateli od kłopotów na własnym

podwórku, obiecywały łatwe i prawie że bezkrwawe podboje w sąsiedztwie. I właśnie dlatego generał dywizji, Jerzy Nowaczuk moknął i trząśniętym razem z resztą wojska w nadodrzańskim lesie. Obecność okopanego pułku miała niemieckim politykom oznajmić bez ogródek, że jakakolwiek nowa wojna z Polską nie będzie wcale bezkrwawa. Nowaczuk modlił się, by Niemcy wzięli sobie ten sygnał do serca.

6

Czystka

9 października - ambasada USA w Moskwie

Szarobure niebo nad stolicą Rosji doskonale harmonizowało z nastrojem Alexa Banicha, który przeciął dziedziniec od strony apartamentów mieszkalnych ambasady i zniknął w ceglany gmach kancelarii. Conocne przymrozki, pierwszy topniejący śnieg, a zwłaszcza siąpiąca tygodniami, marznąca mżawka, zmieniły trawniki ambasady w brązowe, przywiedły trzęsawisko. Jesienne i zimowe miesiące stanowią w Moskwie nieodmiennie ponury, martwy okres, lecz tak zły pogody nie pamiętano od dawna. Pogoda była taka sama jak wszystko.

W ciągu kilku tygodni, jakie minęły od dnia, gdy Len Kutner otrzymał z Langley nową listę najważniejszych zadań wywiadowczych, Banich i jego ludzie pracowali dzień i noc, starając się zdobyć nowe kontakty. Szło im to jak po grudzie. Znaleźć odpowiednich biurokratów na stanowiskach w rosyjskim aparacie handlu i przemysłu - odpowiednich oznaczało chętnych do współpracy - wcale nie było tak prosto. Każda próba pozyskania informatora wiązała się na domiar złego z ryzykiem. Nie było gwarancji, że werbowany w ostatniej chwili nie stchórzy albo nie przemieni się cudownym sposobem w oburzonego patriotę. Banich i jego ludzie działali z najwyższą ostrożnością, bo wpadka któregokolwiek z nich pozwoliłaby Federalnej Służbie Dochodzeniowej w mgnieniu oka rozwalić całą koronkowo udzierną siatkę. Ukoronowaniem złej passy były nowe kłopoty kijowskiej firmy, zapewniającej Banichowi alibi. Nawet w Kijowie nie można już było kupić hurtem żywności, a to z powodu katastrofalnych zbiorów na Ukrainie i w sąsiednich republikach. Częściowo zawiniła tegoroczna zwariowana pogoda, a częściowo fakt, że gospodarstwa rolne i sieć transportowa Wspólnoty po staremu tkwiły w socjalistycznym nieróbstwie i bałaganie. Przełamać

tradycję siedemdziesięciu lat niegospodarności wcale nie było tak łatwo. Nic dziwnego, że zboże nadal gniło niesprzątnięte na polach, a wieprzowina i wołowina psuły się w wagonach porzuconych na pierwszej lepszej bocznicy. Ciągłe braki odbijały się fatalnie także na stanie finansów moskiewskiej placówki CIA. Z zysków ze sprzedaży żywności pokrywało się dotąd mnóstwo codziennych wydatków-łapówki, niebotyczne czynsze za wynajęte mieszkania, i tak dalej. Jeszcze ważniejsza była siła przebicia. Mając w ręku tak przemożny atut jak żywność, Banich i jego ludzie mogli prawie bez przeszkód obracać się wśród rosyjskiej elity rządowej. W zamian za talerz zupy stołeczni generałowie, biurokraci i politycy skłonni byli przymknąć oko na rozmaite sprawy. Banicha kusiło przez jakiś czas, żeby brakujący towar sprowadzić przez Odessę z zagranicy, ale dał sobie spokój z pomysłem. Oprócz kapitału zakładowego - ten pochodził rzekomo od bogatego ukraińskiego emigranta - wszystko, czym obracało Nowe Kijowskie Przedsiębiorstwo Handlowe było miejscowym autentykiem. Ukraińscy pośrednicy skupowali ukraiński towar za ukraińską walutę, by później odsprzedać z zyskiem Rosjanom, Białorusinom, Ormianom i reszcie chętnych. Wycieczki po towar za granicę zwiększały ryzyko, że rosyjski kontrwywiad zacznie wściubiać nos w zyskową działalność wszędobylskiej firmy. Zamiast decydować się na import, lepiej już było wysłać na południe Hennessy"ego i resztę chłopaków. Może w ten sposób uda się wycisnąć trochę towaru z chomikujących zboże chłopów i ze spekulantów? Banich zżymał się, bo potrzebował tych ludzi na miejscu, w Moskwie, a mimo starań Kutnera, Langley uparcie odmawiało powiększenia moskiewskiego personelu. Podobno winien był Kongres, który znów obciął wydatki budżetowe na wywiad i obronność, żeby znaleźć środki na nadzwyczajny program zasiłków dla bezrobotnych i na organizację robót publicznych. Idioci. Z tą myślą Banich wszedł przez tylne wejście do kancelarii, skinął głową sierżantowi piechoty morskiej strzegącemu drzwi, wpisał się do księgi i schodami pomknął na szóste piętro. Większość personelu gardziła schodami i nawet z piętra na piętro jeździła windą. Banich mógł więc uniknąć rozmów z kimkolwiek, tym bardziej męczących, że w izolowanym środowisku ambasady każda konwersacja zmieniała się w ciąg złośliwych domysłów i plotek. Schody miały jeszcze jedną zaletę: pomagały utrzymać się w formie. Banicha zezłościła ta ostatnia myśl. Po

co się oszukiwać? Unikał rozmów w windzie dlatego że się znalazł na granicy wytrzymałości nerwowej. Gotów był wskakiwać na teren kancelarii przez płot, byleby uniknąć towarzystwa reszty dyplomatów. Czuł, że dni nieustannej pracy i zarwane noce zaczynają mu się już odbijać na zdrowiu, nie tylko na samopoczuciu. Oplącało się przyjść tak wcześnie. Na korytarzach i w pokojkach, które mijał po drodze, było jeszcze zupełnie pusto. Przed drzwiami Banich stanął jednak jak wryty na widok przytwierdzonej taśmą klejącą, różowej karteczki z wiadomością. Len Kutner wzywał go do siebie - tym razem nie zanosilo się, że szef pofatyguje się osobiście na szóste piętro. Rezydent placówki w Moskwie nie był sam. W fotelu przed jego biurkiem Banich ujrzał siedzącą beztrąsko, młodą kobietę. - A, jesteś, Alex. Prosimy. Jest tu ktoś, kogo ci chciałbym przedstawić - Kutner wstał z za biurka. Kobieta wstała również. - Panno McKenna, to właśnie Alex Banich, zwierzchnik mojego personelu operacyjnego. Będzie pani z nim współpracować przez najbliższych parę miesięcy. Pozwól, Alex. Przedstawiam ci Erin McKenna, nowego eksperta od wywiadu gospodarczego. Banich z ogromną ciekawością przyjrzał się kobiecie. Erin McKenna okazała się wyższa, niż wydawało mu się w pierwszej chwili. Miała długie nogi, smukłą, prawie chłopięcą sylwetkę i bladą twarz w oprawie kasztanowych włosów. Banich zdał sobie nagle sprawę, że McKenna przypatruje mu się równie uporczywie, a w jej błyszczących zielonych oczach pobłyskuje nieskrywana ciekawość. Banicha trochę to zmieszało. Żałował, że tego ranka nie ogolił się trochę staranniej niż zwykle. Z dużym wysiłkiem przyszło mu się skupić na treści spotkania, lecz z drugiej strony cieszył się, że liczygrosze z centrali dali się ubłagać i przysłali kogoś do pomocy. Banich chciał się tylko zorientować, jakie doświadczenie ma McKenna. Agentka czy zwykły ekspert od danych? Uśmiechnął się więc sympatycznie i zaczął: - Świetnie, że się pani zjawila. W Langley pracowała pani w operacyjnym czy w analitycznym?

- Ani tu, ani tam - McKenna zaprzeczyła ruchem głowy. -

W ogóle nie pracowałam w CIA, panie Barach.

Zaraz, jak to?

Kutner odchrząknął znacząco.

- Właśnie tak się mają sprawy, Alex. Pani McKenna pracuje dla

Departamentu Handlu USA.

- Dokładniej dla biura kontroli eksportu. W sekcji rozpoznania. Banich przyłapał się na tym, że marszczy brwi. McKenna była cywilem. Przysłano mu jakiegoś cholernego cywila! Pewnie jeszcze tej McKenna roi się, że zostanie Jamesem Bondem w spódnicy. Kurwa, a to go urządzili... - Goworicie po ruski? - szczechnął z akcentem prawdziwego mieszkańca stolicy Rosji.

- Dość płynnie. Dogadam się, jak będzie trzeba - odparła również po rosyjsku McKenna i przestawiając się z powrotem na angielski dodała: - Znam dość dobrze także francuski i niemiecki. I włoski, przynajmniej na tyle, żeby zrozumieć kartę dań w restauracji. Ostatnie słowa dopowiedziała z nikłym uśmieszkiem. Za to Banichowi wcale nie było do śmiechu. McKenna miała rzeczywiście niezłe słownictwo, ale ten akcent! W każdym zakątku Wspólnoty natychmiast poznają, że to cudzoziemka. Nie ma rady, trzeba zdusić aferę w zarodku i odesłać pannę McKenna na właściwe miejsce, czyli do Waszyngtonu. Banich zwrócił się więc do Kutnera: - Nic mi po niej, Len. Co z nią zrobię na ulicy? Prosiłem przecież o wyszkolonych ludzi.

W oczach kobiety błysnęła autentyczna złość.

- Chwileczkę, panie Banich! Proszę sobie nie wyobrażać, że nie czytałam tych pańskich petycji i skarg na brak ludzi. Wkurza się pan na nowe priorytety, śledzenie handlu, i tak dalej, więc proszę bardzo! Jestem! Handel to właśnie moja działka. - McKenna uczyniła krok w stronę Banicha. - Na pańskie szczęście dysponuję wiedzą i doświadczeniem, żeby interpretować dane, które mi przyniesiecie z terenu. Umiem poznać czy wpadliście na ciekawy trop, albo czy ktoś was robi w trąbę. A poza tym proszę sobie wybić z głowy, że przyjechałam do Moskwy, żeby się bawić w policjantów i złodziei. Jasne?

Banich przez chwilę miał wrażenie, że ktoś przyłożył mu do czaszki piłę łańcuchową. Chwycił się więc innego sposobu. - Osobiście nie mam wobec pani żadnych zastrzeżeń. Rzecz w tym, że wyłazimy tutaj wszyscy ze skóry, żeby wygrzebać dla Waszyngtonu te rozmaite duperele... Chciałem powiedzieć, informacje, i dlatego...

- Te, jak je pan nazywa, duperele - przerwała mu McKenna lodowatym głosem - to dla pańskich i moich pracodawców wcale nie duperele, tylko arcyważne dane. To też się może panu nie podoba?

Banich oczywiście podjął rękawicę,
- Owszem, wcale mi się to nie podoba. Grzebiemy w śmieciach, żeby ustalić, kto komu posmarował łapę w zamian za jakąś kretyńską koncesję importową, a nie mamy czasu się dowiedzieć rzeczy najważniejszych. Na przykład tego, kto naprawdę dowodzi rosyjskim wojskiem, albo jakie rodzaje nowego uzbrojenia weszły do produkcji. Tym razem w głosie Erin McKenna Banich dosłuchał się szyderstwa. - Chyba przegapił pan koniec zimnej wojny? Skończyła się sześć lat temu. Toczemy teraz zupełnie inną wojnę, panie Banich. Zamiast czołgów i bomb liczy się teraz inna broń: import i eksport, dotacje, cła zaporowe. Może pora się obudzić i zrozumieć, co się dzieje, bo inaczej będzie pan tak wojował do końca wieku. - Dotacjami czy tam cłami nikt nie zabija, ani nie podbija innych państw! Do tego nadal potrzeba czołgów i rakiet. Wielka szkoda, że pani z kolei woli o tym nie pamiętać, zamiast... - Spokój, spokój, moje dziatki - wtrącił się Kutner z jawną wesołością na twarzy. - Przestańcie się ciągać za włosy. Plećcie sobie, co chcecie, a i tak przyjdzie wam współpracować. Banich dostrzegł, że McKenna kwituje uwagę Kutnera wznosząc oczy do nieba. Zgadzał się, bo sam też wolał być traktowany jak dorosły. Trudno, może pośród obowiązków znajdzie się coś także dla Erin McKenna? Przynajmniej do czasu, aż uda się przekonać górę, że pomysł był kretyński i że trzeba przysłać kogoś innego? Doskonale, niech McKenna siada do pracy, niech się sama przekona, jak przyjemnie się służy wypełniając obłądne polecenia waszyngtońskich biurokratów. Z mniej już ponurą miną odwrócił się do Kutnera i oznajmił: - Dobra, niech będzie. Biorę ją do grupy. Na jakiś czas.
- Niechże Ci będą dzięki, o Carze Wszechrosji! - usłyszał na tychmiast od Erin McKenna.
Ech! Uwaga nie dość, że sarkastyczna to jeszcze wydukana podręcznikowym rosyjskim. Banich westchnął. - Jakie alibi dało jej Langley? Ma stanowisko w ambasadzie? Rezydent placówki w Moskwie wyszczerzył zęby jeszcze radośniej niż przedtem.
- Będiesz miał kolejny powód, żeby się grzecznie zachowywać, Alex. W papierach stoi, że panna McKenna to zastępca attache handlowego ambasady. Czyli twoja szefowa.
Banich poczuł w skroniach początki migreny. Zaczynał się kolejny pechowy dzień.

11 października - specjalny eszelon na linii kolei moskiewsko-petersburskiej, niedaleko miasta Twer

Porucznik Władimir Szujkow chwiejnie zerwał się z ławki, gdyż pociąg zadrżał i zaczął hamować w syku instalacji pneumatycznej i łożkocie wysokoprężnej lokomotywy. Kiedy porucznik wytknął głowę za okno znieruchomiłego wagonu, jego oddech w lodowatym powietrzu natychmiast zmienił się w parę. Co jest, do cholery?

Z widoku za oknem porucznik nie dowiedział się niczego mądrego, ot, tyle że zamiast na głównym torze stali na równoległej

boczniccy pośród gęstego, brzoźowego i świerkowego zagajnika. Na odcinku kilkuset metrów wzdłuż boczniccy biegła polna droga, która dalej zniknęła między drzewami. Las był tak gęsty i tak zarośnięty podszyciem, że nie sposób było stwierdzić, co rozciąga się za

kolumnadą milczących pni. Szujkow wzdrygnął się, bo ni stąd ni zowąd przypomniały mu się babcine bajki, a to o duchach, a to o leśnych wiedźmach. Wiadomo, las nic dobrego. Porucznik zasunął okno i odwrócił się do wnętrza przedziału. - Coś nie tak? -

zapytał nieduży sierżant z pałkowatymi nogami, zastępca Szujkowa jako dowódcy transportu. Sierżant czujnie trzymał dłoń na kaburze dziewięciomilimetrowego Makarowa. Większość podwładnych spała wyciągnięta na drewnianych ławach wagonu, ale tych paru, którzy się zbudzili, również złapało za automatyczne karabinki Kałasznikowa.

- A, kto ich wie! - burknął Szujkow, podniósł do ucha słuchawkę telefonu wewnętrznego i palnął parę razy w widełki. Maszynista z pomocnikiem na pewno wytłumaczą.

- Tu maszynista.

- A tu porucznik Szujkow! Gadajcie, co się dzieje!

- Trudno powiedzieć. Najpierw przetoczyli nas na bocznicę, a teraz znowu dali semafor, żeby czekać. Pewno w przodzie jakiś zator... Albo chcą puścić przodem ważny transport... Co mnie do tego?

Szujkow mógł przysiąc, że maszynista pokazuje mu w tym momencie wała. - Jasna sprawa - pomyślał ze złością. - Draniom wszystko jedno, płaci im się od godziny nie od transportu. Co im tam, że stoimy. Zadowoleni, licznik im tylko stuka. A, żeby tylko zadowoleni! Maszynista się jękał, sapał, zaraz widać, że zalany.

- Idę do was! - warknął więc Szujkow przez telefon.

- Zapraszamy, poruczniku, pięknie prosimy. - Maszynista

ziewnął głośno. - Ale coś mi się widzi, że postoiemy dłużej. Po co gdzieś tam chodzić, poruczniku, kiedy w wagonie cieplej? Szujkow bez słowa odłożył słuchawkę. Nie miał ochoty na uprzejmości. Przeciwnie, najbardziej pragnął wstać i porozstawiać towarzystwo po kątach. Skurwysyny! Dawniej to mieli więcej szacunku dla oficera! Porucznik rzucił okiem na sierżanta.

- Podobno zator na trasie. Zostań na miejscu, będziesz mnie zastępował, póki nie wrócę.

- Mam obudzić chłopaków?

- Po co? - Szujkow potrząsnął głową. - Na razie niech śpią. Jeśli utkniemy tu na dłużej, to owszem, rozstawimy posterunki. Rozsunął drzwi z przodu wagonu i znalazł się na pomoście przed następnym wagonem, towarowym. Już po paru krokach zadzwonił zębami. Rodzicielko Boża, drań maszynista nie kłamał. Ziąb taki, że chuch zamarza. Porucznik zeskoczył na tory i zaklął, bo para nowiusieńkich oficerek utkwiała po kostki w żwirze i na wpół zamarzniętym błocie. Rozejrzał się na obie strony i zlustrował drzwi wagonów. Wszystko wyglądało jak trzeba, od pordzewiałej lokomotywy spalinowej na czele aż po ostatni wagon z budką hamulcowego. Lokomotywa ciągnęła dwadzieścia wagonów towarowych, załadowanych żywnością i bronią, a oprócz tego także wagon osobowy z dziesiątką żołnierzy-konwojentów. Szujkow dobrze wiedział, czemu aż takich środków potrzeba do ochrony eszelonu z petersburskiej bazy zaopatrzenia do garnizonu niedaleko stolicy. W państwie nękanym nędzą i waśniami etnicznymi taka góra broni strzeleckiej, amunicji, granatników przeciwpancernych i rozmaitego dobra dla kasyna oficerskiego warta była dwudziestu wagonów złota. Tak naprawdę Szujkow obawiał się tylko robotników mających rozładować pociąg na moskiewskiej bocznicy, bo wiadomo, że złodzieje przeokropni. Co innego pojedyncze ciężarówki - te, owszem, znikwały czasem na trasie między jednym miastem a drugim, tym częściej, im śmielsi stawali się bandyci i rekiny czarnego rynku. Pociąg to jednak nie jakaś tam ciężarówka. Porucznik ruszył przez błocko w stronę lokomotywy, zły jak diabli na to nieprzewidziane opóźnienie. Liczył po cichu na to, że znajdą się w Moskwie przed zmrokiem. W ciemnościach złodziejom na towarowej rampie łatwiej będzie się zaklinać, że „zgubili” kolejną ceną pakę. Irytacja Szujkova przerodziła się w furję, gdy wspiął się do kabiny lokomotywy. Maszynista z pomocnikiem, zamiast pilnować

wielkiego diesla, rozwalili się na fotelach i dla rozgrzewki ciągnęli coś z manierek. Że są obaj pijani w dym poznałby nawet ślepy. - Kogo widzę! Witamy generała naszego! - Gruby maszynista machnął manierką w stronę porucznika. - Porucznik gołnie za nasze zdrowie! Wszystko, co najlepsze dla obrońców naszej bohaterskiej ojczyzny, dobrze mówię?

Szujkow z obrzydzeniem pociągnął nosem, bo od mikstury w manierce ciągnęło nie wódką, lecz płynem hamulcowym. - Zabrać mi to z oczu! - warknął.

- Zabieram, zabieram, o co te pretensje... - odął się grubas-maszynista. - Pożartowaliśmy, ot i wszystko. Dobrze mówię, Misza? Pomocnik dwa razy pokiwał ociężałą głową, ze wzrokiem tak szklistym, że Szujkow nie był nawet pewien czy rozumie, co się do niego mówi. - Co tu wyprawiacie, jeden z drugim! - ryknął zły już nie na żarty i zaczął przepychać się między pijaków. - Baczość, mówię! Gdzie wasze radio?!

Maszynista wskazał kąt kabiny, wychlapując przy okazji na stalową podłogę tajemniczy płyn z manierki. Szujkow spojrzął na kanciastą skrzynkę radiostacji i przekonał się, że wszystkie żaróweczki zgasły. Durnie! Wyłączyli radio, ale po co? Co się tu dzieje, do diabła? Domysły przerwał mu ostry dzwonek pociągowego telefonu. - Słucham, Szujkow.

- Przepraszam, ale to znów ja - usłyszał po drugiej stronie głos sierżanta.. - Jadą tu jacyś w naszą stronę. Całe mnóstwo ciężarówek.

- Już idę - Szujkow cisnął słuchawkę, zdumiony jeszcze bardziej niż dotychczas. Jak nie zator, to sraczka. Ależ dzień! Znów przepchnął się między dwójką kolejarzy, przykazując im:

- Przygotować transport do odjazdu! I włączyć mi radio, ale już! Na zewnątrz stwierdził, że chyba niepotrzebnie się bał. Pojazdy okazały się długą kolumną wojskowych Urali, prowadzonych błotnistą drogą przez wojskowy gazik. Proszę, proszę, wyglądało na to, że ktoś na górze połapał się w tym bałaganie i przysyła pomoc. Szujkow ruszył pędem w kierunku gazika, omal nie wywijając kozła na śliskim nasypie. Na polnej drodze przystanął, zasalutował i szczechnął do kapitana usadowionego w gaziku: - Porucznik Szujkow, dowódca eszelonu, melduje transport w marszu. Dobrze, żeście się zjawili - dorzucił.

Kapitan podniósł się, również zasalutował i wyskakując z wozu

rzucił: - Spocznij, poruczniku, spocznij.

Szujkow przekonał się, że oficer jest wysoki, ma szczupłą twarz i dziwnie wąskie wargi. Kto zacz? ~ Jestem Daniłow z 55 Dywizji Zmechanizowanej. Kolejarze, rozumiem, przekazali wam ostrzeżenie? Zdziwiony Szujkow tylko pokręcił głową.

- Nic nie mówili. Nie słyszałem ani słowa.

Kapitan zaklął barwnie pod adresem kolejarzy i już spokojniej dodał: - Jeden z moich patroli spostrzegł jakąś podejrzaną bandę przy torach, dziesięć kilometrów stąd. Chyba bandyci. Chodziła pogłoska, że miejscowi szykują większy skok. Na przykład na ten wasz pociąg.

Szujkow aż gwizdnął, ale zaraz uśmiechnął się promiennie. - No, chciałbym ja zobaczyć, jak jeden drań z drugim zadziera z wojskiem!

Daniłowa ubawiło to widocznie, bo zapytał z uśmiechem: - Naprawdę byście chcieli? - i już poważniej upewnił się: - Więc wszyscy wasi ludzie są w pasażerskim? Młody oficer przytaknął.

- Wspaniale - ucieszył się Daniłow, sięgnął po srebrny gwizdek i wydał trzy krótkie, przenikliwe sygnały. Zanim ucichł ostatni z nich, z trzech pierwszych ciężarówek wysypali się uzbrojeni ludzie. Uzbrojeni, ale bez mundurów, za to w najrozmaitszych cywilnych łachach, skórzanych kurtkach, dzinsach, cyklistówkach, niektórzy brodaci, inni wygoleni na gładko. W ciągu paru sekund rozstawili się wzdłuż pociągu, a dziesięciu z nich zaczęło się wspinać po nasypie, zacierając do wagonu wartowniczego. Szujkow zamarł. Wydawało mu się, że cała wieczność minęła, zanim sięgnął do kabury i zaczął się z nią szarpać, by wydobyć służbowy pistolet. - Tego bym nie robił, paniczku - niegłośnym słowem Daniłowa towarzyszył jeszcze cichszy trzask przesuwanego bezpiecznika. - Nie dość, że błąd, to jeszcze jaki głupi...

Szujkow odwrócił się bardzo powoli. Wyższy od niego Daniłow sam zdążył już dawno wyciągnąć pistolet i wycelować prosto w pierś jeńca. Boże, uchwaj! Szujkow podniósł ręce do góry, umyślnie pokazując puste dłonie. Ciszę przerwała seria z AK-74. Daniłow i Szujkow odwrócili się błyskawicznie w stronę wagonu wartowniczego. Biegący ku drzwiom bandyci padli plackiem na nasyp, albo uskoczyli za tylne wagony i leżąc na torach celowali w wagon. Mijały kolejne, coraz dłuższe sekundy.

Nagle na pomost między wagonami wychynął sierżant z pododdziału

Szujkowa. Za sobą włókł bezwładną, okrwawioną postać w zielonkawym wojskowym mundurze. - Nie strzelać, kutasy! - zawołał. - Co, Wańki nie poznajecie? Pochylił się, strącił zabitego żołnierza z pomostu na tory, wyprostował się, zdjął z ramienia swój AK-74 i czule poklepał składaną metalową kolbę. - Niestety, koledzy! - zaczął - szeregowy Kamiejskij postanowił zginać śmiercią bohatera. Może faktycznie dadzą mu na pogrzebie jakiś medal, co?

Bandyci roześmiali się zgodnie. Odprężył się także Daniłow, który machnął na sierżanta dłonią w rękawicy i wrzasnął: - Aleś mnie nastraszył, skurwysynu! Słowo daję, Wańka, małom się przez ciebie nie zesrał!

Krzywonogi sierżant rozpromienił się od ucha do ucha, zeskoczył na tory i podszedł do gazika. - Bez obrazy, towarzyszu Daniłow. O, i nasz dzielny dowódca się znalazł? - Zaszydził na widok Szujkowa.

- Przecież, że nie zginał. Sam przyszedł, a jaki grzeczny... Ze świecą takich szukać w całej armii. - Daniłow schował pistolet do kabury. - No, muszę popędzić chłopaków do roboty. Ładunku moc, a tu czas goni.

- Nie odważycie się... - Szujkow poczuł, że słowa więzną mu w gardle.

- Na co to się niby nie odważymy, młodzieńcze? - zapytał uprzejmie Daniłow. - Nie odważymy się obrobić transportu? Jasne, że się odważymy, żadne ryzyko - wytłumaczył z uśmiechem. - Nim się ktokolwiek zorientuje, że twój pociąg się zwyczajnie nie zepsuł w szczerym polu, wszyscy, bo i ja, i moi przyjaciele, i ładunek, któregoś tak dzielnie strzegł, będziemy już pod Moskwą. A Moskwa to piękne i duże miasto. Bardzo duże. Zdziwił byś się, jak łatwo w takim mieście znikają towary. Ludzie też znikają. Daniłow zerknął na niziutkiego sierżanta.

- Nie stój tak, Wania, tylko się zajmij naszym porucznikiem - przykazał mu z dziwnie zimnym wzrokiem. - Czyń honory, w moim imieniu, rozumie się.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę ciężarówek. - Dlaczego? Powiedzcie, dlaczego? - z goryczą spytał Szujkow sierżanta.

- Normalnie. Życ jakoś trzeba - oświecił go sierżant i zaśmiał się nieprzyjemnie. - Wpadnie mi dzisiaj więcej, niż bym zarobił

przez rok. A i oficerowi nie trzeba już butów lizać.

Na tę mądrość Szujkowowi zabrakło odpowiedzi. Milczał, patrząc jak bandyci z wycelowaną bronią wyganiają z wagonu kolejnych żołnierzy. Szeregowcy potykając się zbiegali po nasypie i ustawiali się z rękami na karku na drodze, bladzi ze strachu i poniżenia. Szujkow sam czuł, jak gotuje się w nim krew. Da Bóg, popędzi tych bandytów pod murek, jak się należy! Na początek dokładnie opisze służbie wewnętrznej obu drani, Daniłowa i zdrajcę sierżanta. Nie umkną, o nie. Dobrze sobie zakarbował w pamięci ich rozradowane twarze. Właśnie. Twarze... Szujkow wzdrygnął się nagle. Dlaczego pozwolili mu na siebie patrzeć? Sierżant czytał mu chyba w myślach, bo zaskrzeczał: - A, tak właśnie, poruczniku. Pospacerowaliśmy, i wystarczy. Mówiąc to, podnosił lufę beztrzesko dotąd niesionego automatu. Szujkow okręcił się przerażony i skoczył w stronę najbliższych drzew.

Sierżant odczekał, aż porucznik odbiegnie cztery metry i dopiero wtedy nacisnął spust. Szujkow poczuł trzy uderzenia, jak ciosy rozpalonym łomem. Padł plackiem w błoto i zaczął je rwać palcami, próbując się podźwignąć, złapać oddech... Dyszał jeszcze, gdy poczuł jak ostatni druzgocący cios spycha go w ciemną studnię.

14 października - miasto Jarosław

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Moskwy, rozlana szeroko Wołga zataczała krąg wokół kopulastych cerkwi i wystygłych kominów fabrycznych Jarosławia. Prąd unosił w dół rzeki czarną od przemysłowych zanieczyszczeń krę - widomy znak, że zima przyszła w tym roku wiele tygodni wcześniej niż zwykle. Gołoledź i nagłe, oślepiające zadymki czyniły z jazdy samochodem do Moskwy przedsięwzięcie niebezpieczne i niepewne. W Jarosławiu niepokoiły nie tylko wystygłe kominy. Równie ponury widok stanowiła kilometrowa kolejka wymęczonych staruszków, kobiet i dzieci z pustymi siatkami w rękach, wybiegająca z drzwi z szyldem państwowego sklepu mleczno-nabiałowego. Kolejka kończyła się na głównym placu miasta. W ogołoconym sklepie ponure ekspedientki w poplamionych, niegdyś białych fartuchach i w siatkach na włosach stały przy drewnianej ladzie w głębi sklepu, w ślimaczym tempie wydając paczuszki kartkowego mleka w proszku oraz spleśniały ser. Otepiałe ze zmęczenia twarze ludzi na czele kolejki stężały nagle, bo zza drzwi na zaplecze wychynał

poddenerwowany konwojent i zaczął poszeptywać z opasłym, brodatym kierownikiem sklepu. Żeby znaleźć się wewnątrz, ludzie z kolejki człapali przez wiele godzin, centymetr po centymetrze. Wszystkim kończyły się zapasy, nawet te na czarną godzinę. Dziwna, przedwczesna zima zdążyła zacisnąć wokół miasta lodowy pierścień.

- Przyjaciele! Uciszcie się na chwilę, mam komunikat! -

Kierownik sklepu pomagał sobie gestykulacją, chcąc uspokoić tłum. Potrząsając smętnie głową ciągnął: - Niestety, mam dla wszystkich smutną wiadomość. Z powodu niezwykle wysokiego popytu, zapasy żywności spadły poniżej normy. Część towaru musi zostać w magazynach, jako rezerwa na nieprzewidziane okoliczności. Dlatego muszę zamknąć sklep do czasu nadejścia nowej dostawy... Jutro, najdalej pojutrze, przyjdzie dostawa, otworzę. W cisnącym się tłumie zaczęły fruwać przekleństwa, a kilkoro dzieci, pewnie wystraszonych gniewem rodziców, zapłakało. Stojący tuż przy ladzie wielgachny robotnik z zakładów metalowych wyskoczył z kolejki i przecisnął się do kierownika. - A wiesz ty, gdzie sobie wsadź rezerwę na nieprzewidziane okoliczności, świnię spasa? Masz na zapleczu pełno mleka i sera. Dawaj towar, bo pogadamy inaczej!

- Obywatelu, wierzcie, nieba bym wam przychylił, słowo honoru - grube paluchy kierownika nerwowo dotknęły brody. - Ale co zrobić, kiedy przepisy...

- A chuj przepisy! - wrzasnął ktoś z tyłu. - Schowali mleko dla siebie i zamykają!

Reszta ściśniętego w sklepie tłumy odpowiedziała gniewnym pomrukiem na znak zgody i zaczęła cisnąć się do lady. Z przeraźliwym grzechotem na podłogę zwała się pusta półka i liczydła. Kierownik zbladł i zaczął cofać się ku tylnym drzwiom.

Nadal jednak wrzeszczał: - Co robicie?! Przestańcie, przyjaciele! Chcecie, żebym milicję zawołał, czy co?

Tym razem odpowiedzią był ogólny krzyk.

- Świnia! Spekulant! Krwiopijca!

Podburzani przez metalowca ludzie zaczęli wskakiwać na ladę, popychani przez stojących z tyłu. Ci bliżej okna dobrali się do szyb, rozbijając je w drobny mak. Na ulicę poleciało wyposażenie sklepu. Ci, którzy stali dalej, skandowali. - Chleba! Chleba!

Dawać chleba!

Ekspedientki zbiły się w grupkę przy końcu lady, broniąc dostępu

na zaplecze. Był to spory błąd, bo parę sekund później, w ślad za gwałtownymi słowami poszły czyny. Kierownik zwał się na ziemię pod lawiną ciosów i kopniaków. Deski wyrwane z połamanych półek zaczęły dudnić o głowy i grzbiety ekspedientek, a na żółte ściany i brudną podłogę sklepu trysnęła krew. Trzęsący się jak liść kierownik próbował uciekać, lecz czyjeś mocne ręce wczepiły mu się w tłuste ramię i wciągnęły z powrotem do sklepu. - O, nie, świnió! Tak łatwo się nie wymkniesz! - Twarz metalowca zmieniła się w nienawistną maskę.

Kierownik zakwiczał ze strachu. Kwilił jeszcze, gdy potężny robotnik cisnął go wprost w objęcia rozwścieczonego tłumu.

17 października - Moskwa, Kreml

Wielka czarna limuzyna marki Ził przemknęła nawet nie zwalniając obok wartowników strzegących Wieży Borowickiej. Po proporczykach na masce wozu widać było, kogo to wiozą, a żaden z żołnierzy nie miał ochoty zatrzymać marszałka Jurija Kaminowa w drodze na spotkanie z prezydentem Republiki Rosyjskiej. Ci oficerowie i żołnierze, którzy w swej głupocie podpadli słynnemu z humorów szefowi sztabu generalnego, wkrótce obejmowali nowe odpowiedzialne stanowiska w zapadłych, nędznych garnizonach niedaleko granicy z Kazachstanem. Zgrzytając biegami, czarny Ził wspiał się na stromy podjazd i przyspieszył, by mijając elegancką dziewiętnastowieczną fasadę zbrojowni wtoczyć się między wewnętrzne budynki Kremla. Wciąż z tą samą prędkością Ził przemknął obok kopulastych cerkwi, pałaców, starego budynku Rady Najwyższej ZSRR i gmachu rosyjskiego Senatu. Sprzed maski uskakiwały spłoszone ptaki i urzędnicy pod krawatami. Sztabowa limuzyna Kaminowa zatrzymała się wreszcie przed ceglana, żółtą bryłą Arsenału - niegdyś mieszczącego muzeum, obecnie przebudowanego na biura rosyjskiego prezydenta i jego doradców. Kierowca, młody sierżant w galowym mundurze, wyskoczył co tchu i otworzył od zewnątrz lewe tylne drzwiczki, po czym wyprężył się na baczność. Krępy, otyły marszałek o prostackiej, chłopskiej twarzy wygramolił się z limuzyny i łaskawie skinał sierżantowi. - Czekał ty tu na mnie, Iwanowskij. Długo nam nie zejdzie. - Tak jest!

Kolejny żołnierz, oficer, poprowadził marszałka ku drzwiom. Po trzech złotych gwiazdkach na naramiennikach można było poznać, że Walentin Sotowiew nosi stopień pułkownika sił zbrojnych Rosji.

Każdym szczegółem wyglądu, od jasnoblond włosów przez lodowato szare oczy, arystokratyczne kości policzkowe, nieskazitelnie dopasowany mundur i wyglansowane oficerki, Sołowiew krańcowo się różnił od starszawego i zaniedbanego Kaminowa. Z bramy Arsenału wypadł im na spotkanie dyżurujący sekretarz. - Prezydent już oczekuje marszałka. W prywatnym gabinecie, tak jak chcieliście. - No, i dobrze - burknął Kaminow. - Ten tu, znaczy się, pułkownik to mój doradca wojskowy. Pójdzie ze mną.

- Oczywiście - zgodził się natychmiast biurokrata, omiatając Sołowiewa wzrokiem. Zmiana protokołu w ostatniej chwili nie mieściła mu się w głowie, ale trudno. Trzeba będzie mieć na oku tego pułkownika. A może nawet trzeba się go będzie wystrzegać. Sekretarz uczynił gest ku drzwiom.

- Prosimy do środka.

Prywatny gabinet prezydenta Rosji okazał się pomieszczeniem niezbyt dużym i nie tyle umeblowanym, ile zawałonym różnymi gratami. Stało tu wielkie biurko z marmurowym blatem, kilka wyściełanych foteli i drugie, dużo bardziej funkcjonalne, nowoczesne biurko ze sprzętem komputerowym. Wszystkie te meble tłoczyły się na ręcznie tkanym, ormiańskim dywanie. Wielkie łukowe okno z widokiem na dziedziniec Arsenału przesłaniały grube kotary. Pozostałe trzy ściany zdobiło mnóstwo zdjęć przywódcy republiki: uśmiechniętego, siwowłosego, tryskającego energią podczas spotkań z głowami innych państw... Dopiero po baczym przyjrzeniu się postaci za biurkiem dałoby się w niej jednak rozpoznać duszę towarzystwa ze zdjęć na ścianach. Po prezydencie coraz bardziej było widać niesamowite obciążenie pracą. Z drugiej strony nie było nic dziwnego w fakcie, że tyle wysiłku kosztuje go rządzenie krajem, którym rządzić się po prostu nie da. Gęste, siwe włosy prezydenta przerzedziły się, a podbite oczy nabiegły krwią. Szerokie czoło przecinały nowe zmarszczki. Tych ostatnich przybyło także wokół ust prezydenta, co nadawało twarzy wyraz znużenia i zmęczenia. - Świetnie, żeś do mnie zajrzał, Jurij.

Ton, jakim prezydent wypowiedział słowa, był daleki od serdeczności. Kaminow kazał sobie drogo płacić za poparcie dla kolejnych reform gospodarczych i politycznych. Prezydent z kolei bardzo nie lubił mieć u nikogo długów. - Witam prezydenta, - Kaminow wskazał na Sołowiewa i dodał: - Nie znacie się chyba. To pułkownik Walentin Sołowiew. - Nie, nie miałem przyjemności... -

prezydent zawiesił głos, wyraźnie szukając czegoś w pamięci. Zmrużył oczy i wycedził: - Znać to się może i nie znamy, ale słyszeć, owszem, słyszało się to i tamto o takim młodym oficerze... Pierwsze miejsce w roczniku w Akademii imienia Frunzego, tak?

- Drugie, panie prezydencie - zaprzeczył ruchem głowy Sołowiew i uśmiechnął się z przymusem. - Ten z pierwszą lokatą nie wrócił z Afganistanu. A ja wróciłem.

Sołowiew bezwiednie ujrzał w pamięci obrazy zabitych i okaleczonych kolegów i płonących, obróconych w perzynę wiosek. Kolejne lata ciągłych walk, zasadzek i mordów. A wszystko na darmo. Prezydent przyglądał się pułkownikowi, jak gdyby czekał na ciąg dalszy, a potem ze zrozumieniem pokiwał głową. Niewielu weteranów wojny afgańskiej lubiło się chwalić tym, co tam porabiali. Zresztą trudno było o dobre wspomnienia z Afganistanu.

- Siadajmy, i do dzieła. Co wy na to? - wskazał gościom parę foteli.

Goście usiedli.

- No, więc słucham, marszałku. Jaka to pilna sprawa, z którą nie można czekać do następnego posiedzenia rady obrony?

- Jak to, jaka? Kraj się nam wali - wypalił Kaminow. - Taka to sprawa, i żadna inna. Musimy pogadać i coś postanowić.

- Ejże? - prezydent uniósł brew i położył rękę tuż przy słuchawce telefonu na biurku. Trudno się było spodziewać, że szef sztabu generalnego urzędu pucz mając do pomocy jednego jedyne go oficera, ale przez ostatnich kilka lat Rosja widziała już dziwniejsze rzeczy. - Może wytłumaczysz mi, co i jak?

- Już tłumaczę - burknął Kaminow. - Dziwne, że komuś trzeba jeszcze coś tłumaczyć, ale niech będzie. Każdy głupi widzi, że tej zimy już nie przetrzymamy. To jedno. - Odliczając na palcach marszałek ciągnął: Nie przetrzymamy, bo po pierwsze, nie będzie pomocy od Francuzów i Niemców, a już na pewno nie od Amerykanów. Za dużo mają swoich kłopotów, żeby się przejmować jeszcze nami. Zgoda?

- No, zgoda - zasepił się prezydent. - Gadałem z nimi, tłumaczyłem. Byli grzeczni, uczynni, ale Bóg świadkiem, sami nie mają z czego dać.

- Proszę, proszę - tym razem Kaminow wydawał się ucieszony, że prezydent nie oponuje. - Wniosek prosty: tym razem nie uda się

nam przeżyć na cudzym garnuszku. Musimy radzić sobie własnymi środkami. Wszystkimi środkami, jakie jeszcze ma do dyspozycji państwo. - Marszałek stuknął w blat biurka, przechodząc do ataku.

- Tak się jednak dziwnie składa, że wszystkie środki rozplývają się na naszych oczach. Macie przy sobie te meldunki, pułkowniku? Sołowiew bez słowa otworzył aktówkę i podał przełożonemu gruby plik papierów. Kaminow rozłożył je w wachlarzyk na blacie. -

Spójrz no tylko! Strajki milicji w St. Petersburgu, Wołgogradzie i Jekaterinburgu. W dwóch dywizjach zmotoryzowanych bunt, chcą większego żołdu! W dziesięciu innych jednostkach też bunt, wojsko morduje oficerów!

- Czytałem te meldunki, Jurij - mruknął prezydent, odsuwając od siebie papiery. Kaminow rzucił mu gniewne spojrzenie. - Czytałeś, to i pewnie wiesz, co to znaczy, że trzeba odzyskać panowanie nad siłami bezpieczeństwa. Tak samo jak nad koleją i resztą transportu. Wiesz, czy nie wiesz? Żeby kraj przetrwał zimę, musimy powziąć zdecydowane kroki, a nie jakieś takie... Musimy twardo, bez bawienia się w literę prawa i co tam jeszcze.

Marszałek zamilkł na chwilę, chcąc przydać wagi następnym słowom.

- Dlatego domagamy się, żebyś natychmiast ogłosił stan zagrożenia państwa.

- Co to znaczy „my”? Kto się domaga? Marszałek Kaminow i jego pułkownik? Czy może jest jeszcze ktoś, kto popiera tę... -

prezydent szukał neutralnego określenia. - Kto popiera ten twój plan. Marszałek ponuro skinął głową.

- Znajdą się tacy. Nawet ich całkiem sporo - zapewnił i podsunął prezydentowi przez blat pojedynczą kartkę. - Czytaj, bo ciekawe. Masz tu napisane w punktach, co trzeba zrobić, żeby na parę miesięcy wziąć wreszcie cały kraj za co należy. A jak przeczytasz, podpisz.

Sołowiew z coraz większym gniewem patrzył, jak prezydent przebiega kartkę wzrokiem, jak czyta kolejne punkty za których mętными formułami kryła się zwyczajna przemoc, jak pod koniec kartki zaczynają mu się trząść ręce. Dokument podpisało kilkunastu najwyższych rangą dowódców wojskowych, w tym pięciu zwierzchników rodzajów wojsk rosyjskiej armii. Kaminow starannie się przygotował do tej rozmowy. Wreszcie prezydent podniósł wzrok znad kartki i odłożył ją, a potem zgaszonym, umyślnie pozbawionym emocji głosem zapytał: - A jeżeli nie? Jeśli odmówię wprowadzenia

stanu wyjątkowego? Kaminow rozsiadł się wygodniej. Widać było, że bardzo mu ulżyło.

- Wtedy będę ci musiał przypomnieć, że Matka Rosja jest mi droższa niż jej służby.

Prezydent spurpurowiał, ale odrzekł tylko:

- Aha.

Był zły na siebie za to, że zapomniał o najważniejszej sprawie w całej polityce. Nie zawsze poznaje się zamach stanu po obecności czołgów na ulicach. Jak widać, istnieją subtelniejsze sposoby. Prezydent westchnął. Generałowie zostawiali mu tylko jedno wyjście, oprócz tych ostatecznych. Co gorsza, prezydent nie miał złudzeń co do wojskowego wyczucia nastrojów w kraju. Ludzie naprawdę mieli już dosyć chaosu i niepokoju. Naprawdę gotowi byli pójść ślepo za wojskiem. Prezydent sięgnął po pióro. Przynajmniej na pewien czas, rosyjska próba demokracji dobiegała końca.

19 października - Moskwa, Ministerstwo Obrony

Patrząc miało się wrażenie, że Paweł Sorokin zapisał się na jakiś rewelacyjny kurs odchudzania. Inna sprawa, że robił przy tym wrażenie zgnębionego, a nawet wystraszonego. - Nikołka! No, Bogu dzięki, żeś się zjawił. Już się bałem, że coś ci wypadło. -

Biurokrata na widok wysiadającego z windy Banicha ucieszył się jak dziecko. Banich ominął ponurawą parę czekających na windę majorów lotnictwa i ze zdziwieniem spojrział na Sorokina.

Dotychczas nie było mowy o tym, by Sorokin wyszedł mu na przywitanie albo żeby chciał go natychmiast przyjąć. Coś musiało być nie tak. Być może owo coś miało

związek ze zwiększonym ruchem w podmoskiewskich jednostkach wojskowych? Niewykluczone.

- Nic mi nie wypadło, jestem. O co tyle gwałtu?

- Nie mam czasu ci tłumaczyć, Nikołka - Rosjanin zamachał rękami, prędko sprawdził, która godzina i zagryzł wargę. -Pędźmy, bo ktoś już na ciebie czeka.

Nie wychodząc ze zdumienia Banich pomaszerował za grubasem, który zdążył się już dobrze odsadzić w głąb korytarza. Szli przez tę część Ministerstwa Obrony, którą Banich widział pierwszy raz w życiu. Na ścianach w regularnych odstępach wisiały batalistyczne malowidła z dziejów Rosji, a z kolejnych gabinetów wymykali się kolejni, wysocy rangą oficerowie. Na widok tyłu generalskich

mundurów i orderów agent CIA zdał sobie nagle sprawę, że są z Sorokinem jedyną parą cywili w budynku. - Ano, tedy - Sorokin wskazał Banichowi drzwi przy samym końcu korytarza. Wewnątrz, przy biurku z komputerem osobistym i dwoma telefonami, siedział dyżurny - rumiany porucznik, który wpuścił ich za następne drzwi. Banich i Sorokin nie musieli czekać, w odróżnieniu od parunastu starszych oficerów z różnych rodzajów broni, czatujących na swoją kolejkę na krzesłach pod ścianami poczekalni.

Sorokin zachowywał się wobec porucznika z zadziwiającą uniżonością. - Przepraszam najmocniej - zaczął. - Proszę łaskawie powiedzieć pułkownikowi, że już jesteśmy, dobrze? Paweł Sorokin i Nikołaj Uszenko. Pułkownik wzywał nas na tę godzinę.

Porucznik przyjrzał się Sorokinowi niesłuchanie podejrzliwie, sprawdził godzinę, rzucił okiem do oprawnej w skórę księgę wizyt, po czym dopiero podniósł słuchawkę. - Pułkowniku? Przyszedł zaopatrzeniowiec i ten handlarz, tak, czekają. - I wysłuchawszy odpowiedzi, porucznik nieoczekiwanie wskazał na drzwi i mruknął: - Wchodzić.

Banich usłuchał. Dawno już nie miał się tak na baczności jak w tej chwili. Może za bardzo się rozpaskudził, bo wprawdzie robił co chciał z przekupnymi i nadętymi administratorami w rodzaju Sorokina, ale tym razem, jak się domyślał, żarty się skończyły. Lokator gabinetu nie wyglądał na żartownisia. Że tak jest w istocie, Banich przekonał się już na progu gabinetu. Było jasne, że facet za biurkiem będzie się co najwyżej śmiał ze sztuczek, od których Sorokin chodzi na tylnych łapach. - A, więc to wyście Uszenko, ukraiński hurtownik import-eksport? - Aroganckim tonem upewnił się pułkownik. Widać było, że nie zamierza długo czekać na odpowiedź i, jeśli trzeba, wycisnie ją sam. Oczywiście nie wstał nawet na przywitanie dwójki cywili.

- No, może i ja - burknął Banich, który w ułamku sekundy wybrał taktykę i postanowił zgrywać chama. Jako Uszenko miał prawo bimbać na mundury i ordery. - A wy, znaczy się, kto? - walnął pod adresem pułkownika.

Za plecami Banicha Sorokin zachłysnął się z wrażenia. Oficer nie obraził się jednak, patrzył tylko bacznie na Banicha-Uszenkę spojrzeniem spod jasnych, niemal niewidocznych brwi. Wyglądało wręcz, że bawi go cała sytuacja. - Mnie, obywatelu Uszenko, znają tutaj jako pułkownika Walentina Sołowiewa.

- Że pułkownik, to widzę, ale o co chodzi? - Banich rozejrzał się po wnętrzu, na próżno szukając krzesła.

- O co? A, choćby o to - Sołowiew podał Banichowi z biurka kartkę.

Banich rozpoznał firmówkę Nowego Kijowskiego Przedsiębiorstwa Handlowego i swój własny, nader grzeczny list, w którym odmawiał dalszych dostaw żywności dla Ministerstwa Obrony. Odpowiedział więc bez wahania: - Co tu niby wyjaśniać? Z byka mleka nie wyciśniesz, i tyle. Nie mam towaru, którego szukacie. Na pewno nie tyle, ile potrzeba. No, i na pewno nie za waszą cenę.

Sorokin miał na czole krople potu. Otarł je prędko i zaśmiał się nieszczercze, by zatuszować gafę.

- Nikołaj, co też ci strzeliło do łba, bzdury opowiadać pułkownikowi naszemu... Do tej pory zawsze znalazł towar, więc dlaczego...

Sołowiew przerwał mu jednym gniewnym spojrzeniem i znów skupił uwagę na Banichu. - Wiecie chyba, Uszenko, że ze mną się nie warto targować? Naprawdę wam się to nie opłaci. Jasne?

- Opłaci, nie opłaci, nie o to chodzi. Jeszcze by mi się chciało targować z pułkownikiem! - Banich wzruszył ramionami. - Mnie to na co? Chodzi tylko o to, że na rynku nie ma żywności. Idzie zima, dlatego.

- Bez was wiem, jak wygląda rynek i jaką mamy porę roku, Uszenko!

- nachmurzył się oficer. - Chcecie jaśniej, proszę, wyrażę się zupełnie jasno. Potrzebne są nam dodatkowe dostawy. Muszą do nas dotrzeć w ciągu paru najbliższych dni. A ja użyję wszelkich środków, żeby zdobyć tę żywność.

Banich nie ukrywał nawet, jak go to wszystko skołowało.

- Skąd ten pośpiech?! - zawołał. - Po co tak zaraz, natychmiast, już? I to aż tyle! Nie lepiej byłoby poczekać do wiosny? Wiosną i towaru więcej, i ceny spadną... W marcu, w kwietniu najdalej...

- Stąd pośpiech, że nie mogę czekać do wiosny! - Pułkownik zmierzył Banicha groźnym wzrokiem, lecz umilkł, a kiedy się znów odezwał, zabrzmiało to jak odczytywany z kartki komunikat, i to chyba mało dla pułkownika ciekawy: - Władze kraju ogłosiły alarmowe ćwiczenia wojskowe w celu doskonalenia przerzutu dodatkowej dywizji wojsk z zewnętrznych okręgów wojskowych do stolicy, na wypadek, gdyby w nadchodzących miesiącach niezbędne okazało się przywrócenie porządku. Z naszej

strony udział w ćwiczeniach polega na przerzucie wzmiankowanej dywizji kolejną i zorganizowaniu na terenie stolicy manewrów w celu skorygowania współdziałania wojska i milicji w wypadku zagrożenia wewnętrznego.

Sołowiew uśmiechnął się ironicznie i dokończył:

- Sami rozumiecie, że nie mam ochoty rzucić na ulice Moskwy tysiący wygłodniałych żołnierzy. Albo ich nakarmię, albo będę sobie musiał szukać innego zajęcia, a mnie się akurat w wojsku podoba.

Banich poczuł pod czaszką nagłą gonitwę myśli. Ćwiczenia wojskowe, dobre sobie! Nikt w świecie, wliczając nawet chylący się rząd rosyjski, nie przerzuca do własnej stolicy dziesięciu do piętnastu tysięcy żołnierzy dla kaprysu, tylko po to, by na zapas poćwiczyć tłumienie demonstracji. Nie ma wątpliwości, wojskowi szykują coś nowego. Banich zastanawiał się przez chwilę czy ktokolwiek spośród władz republiki ma blade pojęcie, co się szykuje. Cokolwiek się szykowało, warto było choćby spod ziemi wytrzasnąć towar dla Sołowiewa. Banich wiedział, że w przeciwnym razie straci kontakty w ministerstwie, a z nimi dostęp do cennych informacji o planach dyslokacyjnych i kadrowych wojska. Z rezygnacją rozłożył ręce. - Skoro tak... Trudno. Zobaczę, co się da zrobić, pułkowniku. Sorokin odetchnął z ulgą. Cieszył się jednak za wcześnie, bo Banich dorzucił:

- Ale tak się składa, że podskoczyła nam cena od tony. Za tyle, ile dajecie, towaru nie znajdę.

- Bez targów, Uszenko. Pamiętajcie, co mówiłem? Macie znaleźć ile trzeba, a my zapłacimy jak było umówione. Targujcie się, targujcie, a ja już dopilnuję, żeby wam odebrano zezwolenie na handel w całej republice. Tym razem jasne?

- Pewno - skrzywił się Banich. - Może mi jeszcze powiecie, jak na miłość boską się z tego wytłumaczę przed kierownictwem firmy? Narażam ich na straty, a dlaczego?

- Prosta odpowiedź - uśmiechnął się Sołowiew, jeszcze bardziej niż przedtem podobny do tygrysa bawiącego się zdobyczą. - Powiedzcie im, że tyle kosztuje moja dobra wola.

Mówiąc to, brodą wskazał cywilom, gdzie są drzwi.

21 października - Moskwa, ulica obok Parku Gorkiego

Godzinę po wschodzie słońca w stolicy Rosji nadal panowała głęboka, z pozoru niczym nie zmacona cisza. Erin McKenna biegła

na południe wzdłuż nabrzeża szarej rzeki Moskwy, długimi krokami bez wysiłku pokonując przestrzeń. Długie, kasztanowe włosy związała czarną wstążką w koński ogon. Nad rzeką oprócz Amerykanki nie było żywego ducha. Przynajmniej raz można się było cieszyć przepychem, jaki daje brak intruzów. Na brzęczyk zegarka na przegubie McKenna ze złością potrząsnęła głową. Pora wracać biegiem do ambasady, gdzie zacznie się kolejny dzień mozołu. Amerykanka skręciła w lewo, wbiegając między alejki Parku Gorkiego. Na wijących się ścieżkach i pod ogołocionymi drzewami leżały całe sterty różnobarwnych liści. Mimo że temperatura wahała się w okolicach zera, po raz pierwszy od wielu tygodni na bładoniebieskim niebie nie było widać ani jednej chmurki. Mimo pogody park wyglądał na zupełnie opustoszały. Jakoś mało kto z wygłodniałych mieszkańców miasta miał w tych ciężkich czasach energię albo ochotę na bieg po zdrowie.

Erin przysięgała sobie, że nigdy się nie doprowadzi do podobnego stanu. Bieganie pomagało jej utrzymać równowagę ducha, wymiatało z zakamarków psychiki wszystkie pajęczyny, jakie się tam gromadziły podczas godzin spędzanych na studiowaniu szczegółowych raportów i przetrząsaniu komputerowych kartotek. W czasie porannych biegów Erin nareszcie znajdowała także czas dla siebie - czas, który nauczyła się bardzo cenić. Mogła rozmyślać o czym jej się tylko podobało albo w ogóle nie myśleć, tylko pędzić przed siebie, długimi nogami wybijając szybki rytm. Dawniej biegała na czas i w szkole średniej, a potem na studiach, zdobyła kilka medali za zwycięstwa na długim dystansie, lecz teraz wystarczała jej sama przyjemność biegu. W braku innych przyjemności, dobre i to.

Od samego początku przydział do placówki CIA w Moskwie okazał się koszmarną eskapadą. Mimo najszczerszych chęci, ludzie Banicha przynosili Erin tylko oderwane strzępy i ochłapy informacji, choć i to nie zawsze - oderwane fakty i bujdy, których Amerykance nie chciało się nawet analizować i przysyłać do Waszyngtonu. Trochę lepiej szły jej własne próby nawiązania znajomości wśród stołecznej grupki zagranicznych biznesmenów, ale „trochę” nie oznacza jeszcze sukcesu. Szukając informacji na siłę, McKenna niepotrzebnie ryzykowała dekonspiracją. Nie było jej wcale na rękę wzbudzać podejrliwość wśród ludzi odpowiedzialnych za zachodni handel z Rosją i pozostałymi republikami Wspólnoty. Na

pomoc Alexa Banicha i Lena Kutnera również nie mogła liczyć, zwłaszcza odkąd dwa dni wcześniej obaj agenci zniknęli z horyzontu, zajęci widać jakąś własną akcją i prawie się nie wynurzali z bezpiecznej od podsłuchu części ambasady. Wypadali stamtąd tylko po to, by wysłać szyfrogram do Waszyngtonu albo przegryźć coś w kantynie. Agenci z miasta, z którymi Erin dotąd pracowała, również mieli teraz na głowie coś ważnego. Coś wisiało w powietrzu. Coś, przed czym nikt nie był jej uprzejmy przestrzec. Myśl bardzo rozeźliła Erin, która miała już serdecznie dosyć etykietek amatora i gapia. Ostatecznie miała takie samo jak Banich, oficjalne zezwolenie na pracę w wywiadzie, więc i taki sam dostęp do informacji. Najwyższa pora, by zaczęto ją traktować jak pełnoprawnego partnera. Erin uśmiechnęła się krzywo do tej ostatniej myśli, bo nie żywiła złudzeń, iż łatwo przyjdzie jej zyskać szacunek reszty grupy. Na razie kłócili się bez przerwy i zgadzali się tylko co do dwóch rzeczy: po pierwsze, że stolicą Rosji jest Moskwa, a po drugie, że polityk to taki typ, który nie potrafi sam sobie zawiązać butów. Erin nie wiedziała czy płakać, czy śmiać się z tego ostatniego spostrzeżenia. Jeszcze jako analityk danych w senackiej komisji do spraw handlu zdążyła sobie wyrobić mocno cyniczne zdanie na temat świętoszkowatej, waszyngtońskiej elity władzy. Dość było popatrzeć na senatorów, którzy w dzień opowiadają o równouprawnieniu, a wieczorem próbują łapać za siedzenia własne sekretarki. Opędzanie się od tych nieproszonych zalotów okazało się najtrudniejszą częścią obowiązków. Erin domyślała się jednak, że jeśli Banich podziela jej niechęć do polityków, to z innych przyczyn. Wybiegła z parku i skręciła na północ, na chodnik wzdłuż wielopasmowej alei zwanej dawniej Prospektem Lenina. Władze miasta dawno przywróciły arterii dawną nazwę Szosy Kałuskiej, lecz mimo zmiany ruch panował tu zwykle taki sam jak dawniej. Dzisiaj jednak jedna z głównych moskiewskich arterii ziała pustkami. Jeźdźnią przemykało zaledwie kilka samochodów, przeważnie taksówek. Kierowcy cisnęli gaz do dechy, zadowoleni, bo zwykle stało się tu w niekończących się korkach. Pustka na ulicach zdziwiła Erin. Może wreszcie i w stolicy dały znać o sobie braki benzyny, o których bez przerwy pisały gazety? A może źle opłacani pracownicy komunikacji ogłosili strajk, blokując jezdnie? Właściwą odpowiedź rychło

podsunął Erin coraz bliższy łoskot wysokoprężnych silników. Obok chodnika przemknęła z dużą szybkością kolumna transporterów opancerzonych. Wozy jechały na północ, w kierunku rzeki, Kremla i otaczającej centrum miasta, dwupasmowej obwodnicy. W otwartych włazach desantu stali żołnierze z automatami, obserwując okna domów po obu stronach jezdni. W ślad za Amerykanką posypały się z transporterów gwizdy i zaczepki. - Ej, ślicznotko! A węża widziałas?

- Masz ty cyc, malusia!

Erin zarumieniła się ze złości, lecz nie zwalniała biegu. Wiedziała, że musi jak najszybciej dostać się do ambasady i dowiedzieć się, co się u diabła dzieje. Jedno nie ulegało wątpliwości: rosyjska armia postanowiła pokazać pazury. By się o tym przekonać, wystarczyło policzyć mknące po asfalcie transportery. Po trzydziestym wozie Erin dała spokój rachunkom. Przy Placu Października długa kolumna wozów pancernych rozjechała się na dwie strony. Część transporterów obracając wieżami zakręciła, ruszając w obie strony obwodnicy. Inne wozy minęły bulwar i nadal rwały naprzód w stronę Mostu Kamiennego i Kremla. Trzy ostatnie pojazdy zwolniły i manewrując stanęły w poprzek Kałuskiej. Na gwizdek dowódcy, z wnętrza wysypali się żołnierze. Kilku zajęło pozycje strzeleckie u wejścia do Hotelu Warszawa, a reszta rozbiegła się po jezdni. Za nimi szli już następni, rozstawiając kozły najeżone drutem kolczastym. Erin wbrew sobie podziwiała sprawność całej akcji. Żołnierze w błyskawicznym tempie skutecznie zabarykadowali jezdnię. Niestety, przy okazji udało im się odciąć pewnej Amerykance dojście do niedalekiej stacji metra. Erin zwolniła kroku, przekonana, że nie warto wbiegać pędem między pluton niewyżytej rosyjskiej piechoty. Sięgnęła też do przypiętej do paska saszetki z dokumentami, wyjmując paszport dyplomatyczny i wypisaną po rosyjsku legitymację ambasady. Łudziła się, że przy odrobinie szczęścia żołnierze spojrzą po prostu na papiery i przepuszczą ją na drugą stronę. - Stać!

Cholera! Erin zatrzymała się posłusznie, czując przyspieszone bicie serca, by ujrzeć wycelowany w siebie tuzin luf i tyleż par oczu. Oficer, który do niej wrzasnął, podszedł bliżej w asyście dwóch piechurów. Miał szczupłą, złą twarz i wcale nie wyglądał dobrodusznie. No, to pięknie. Do Erin dotarła bolesna wiedza, że

nie tak łatwo będzie sforsować posterunek. - Dawaj dokumenty, ty taka jedna! Prędko! - Oficer strzelił nie cierpliwie palcami, lecz zamiast na paszport zagapił się na biust Erin. Dwaj stojący za oficerem szeregowcy zarechotali głośno. - Jestem dyplomatą z ambasady amerykańskiej. Nie macie prawa mnie zatrzymywać - powoli zaczęła Erin po rosyjsku, podając dokumenty. - Rozumiecie?

- Amerykanka?! - oficer wyrwał jej dokumenty, przekartkował paszport i niespiesznie pogładził się po brodzie. - A dokumenty nie fałszywe czasem?

- Co za bzdura! - wybuchnęła Erin. - Dosyć tego. Przestańcie chrzanić i pozwólcie mi przejść!

Krzycząc, popełniła błąd, a piękniś natychmiast skorzystał z okazji i uśmiechając się od niechcienia zauważył: - Więcej szacunku dla munduru, babo. Więcej szacunku, bo inaczej... - Odwrócił się do pary szeregowych i oświecił ich: - Za trzymana Amerykanka może być groźnym szpiegiem albo przestępczynią. Przeszukać na okoliczność przemytu. Przeszukać, ale dokładnie, rozumiecie?

Szeregowcy przytaknęli gorliwie, a jeden oblizwał nawet wargi. Erin zaklęła w duchu i zwinęła dłonie w pięści. Rozejrzała się na boki, wiedząc z góry, że i tak nie ucieknie. Cały uliczny posterunek bacznie patrzył, co będzie dalej. - Ruszaj, suko! Zaraz sprawdzimy, co masz pod tym dressem! - Oficer okręcił się w miejscu i wskazał na najbliższy transporter opancerzony. Nie obejrzał się nawet, by sprawdzić czy zatrzymana idzie za nim. Zatrzymał go jednak okrzyk z jezdni po drugiej stronie zapory. - Kapitanie!

Erin ujrzała, jak do drutów kolczastych zbliża się wielka, czarna limuzyna - amerykański Lincoln Continental na dyplomatycznych numerach. Tym razem ręce Erin zadrżały już nie ze strachu, lecz z ulgi. W ostatniej chwili zza pagórka wypadła kawaleria, jak na westernie. Pierwszy raz Erin doceniła irytujące obyczaje Banicha, który zawsze kazał jej zostawiać dokładny opis planowanej marszruty, ile razy wychodziła poza teren ambasady. Zmrużyła oczy, niepewna czy Banich nie miał jej przypadkiem na oku przez cały czas, na wszelki wypadek. A skoro tak, musieli z Kutnerem z góry wiedzieć, co się święci. Erin zmarszczyła brwi. Okazać Banichowi wdzięczność, że tak jej pilnuje, czy obrazić się, że

jej nie ostrzegł ani słowem? Z otwartych tylnych drzwiczek Lincolna rzeczywiście wyskoczył Alex Banich z twarzą ściągniętą gniewem na widok sceny, jaką miał przed oczami. Nie zatrzymując się ominął zagradzających mu drogę żołnierzy - machnął im tylko przed nosem legitymacją dyplomatyczną, niczym talizmanem do odpędzania złego - i stanął twarzą w twarz z rosyjskim kapitanem.

- Domyślam się, kapitanie, że chcieliście osobiście

przeprowadzić panią McKenna na drugą stronę zapory - zaczął, chowając legitymację do kieszeni marynarki. Wziął się pod boki i dodał: - Bo jeśli planowaliście co innego, narobiliście sobie cholernego kłopotu.

- Nie, my tu tylko...

- I bez kłamstw, proszę. Dobrze widzę, co „wy tu tylko” -przerwał Banich i wyzywająco spojrzął na kapitana. Ten zrobił wprawdzie dziwną minę, ale nie odważył się na nic więcej. Widać było, że szykany wobec samotnej Amerykanki są bardziej w jego guście niż dyplomatyczny incydent jak stąd do Kremla.

- Nic ci nie zrobili?

Erin zaprzeczyła ruchem głowy. Wciąż nie mogła wydusić z siebie słowa, a poza tym przysięgła sobie, że nie okaże po sobie słabości. Nie tutaj. - To świetnie. - Banich wyciągnął rękę po papiery i wyjął je z bezwolnej dłoni kapitana. - Jedźmy, bo pracy dzisiaj mnóstwo.

Pewnie się domyśliłaś, że władze ogłosiły stan wyjątkowy. No, chodź, nie mamy czasu na awantury z jakimś durnym, niedorobionym służbistą - dorzucił, pokazując palcem na Rosjanina. Tym razem kapitan, nie Erin, poczerwieniał z bezsilnej złości. Erin uśmiechnęła się czule i wsiadła do czekającego Lincolna. W myślach zaczęła już porządkować na swój użytek świat, który nagle stanął do góry nogami.

23 października - Miejsce Czaszek na Placu Czerwonym w Moskwie
Do czasów rewolucji bolszewickiej, okrągłe kamienne podwyższenie znane jako Łobnoje Miasto czyli Miejsce Czaszek słynęło jako widownia publicznych egzekucji. Później, jako że komuniści woleli dokonywać morderstw w tajemnicy przed światem, podwyższenie zmieniło funkcję, służąc jako postument turystom robiącym sobie pamiątkowe zdjęcie na tle dawnego GUM-u i cerkwi św. Bazylego. Dopiero nadzwyczajny rozkaz marszałka Kaminowa przywrócił Miejscu Czaszek dawne przeznaczenie: sceny, na której zabija się ludzi.

Na Placu Czerwonym stało już kilka tysięcy gapiów, wyciągając szyje, by lepiej widzieć podwyższenie. Tłum szeptał w podnieceniu, zwłaszcza kiedy z czekającej ciężarówki wywleczono piątkę skazańców z opaskami na oczach i popchnięto ich w górę kamiennych schodów. Skazańcy mieli związane na plecach ręce, a na szyjach zawieszono im tablice z napisami „spekulant” albo „złodziej”. Żołnierze w grubych zimowych szynelach obrócili skazańców twarzami w stronę placu i zmusili do ukłęknięcia na najwyższym ze stopni. Gdy skończyli, do grupy podeszła defiladowym krokiem piątka oficerów i ustawiła się za rządkiem klęczących więźniów. - Obywatele Matki-Rosji! - zatrzeszczał ostry głos z megafonów wokół placu. - Kryminaliści, których tu widzicie, od lat kradli wam chleb i tuczyli się na waszej niewoli! Ale teraz koniec! Koniec! Sprawiedliwości stanie się zadość.

Po tym zdaniu w tłumie rozległy się nikłe oklaski, lecz większość gapiów stała nieruchomo. - Ludzi, których tu widzicie, osądził i prawomocnym wyrokiem skazał na karę śmierci Specjalny Moskiewski Trybunał Wojskowy. Najwyższe władze kraju rozpatrzyły, a następnie odrzuciły prośbę o ułaskawienie.

Tłum na placu zakręcił się w miejscu, nie bardzo wiedząc, o jakich to „najwyższych władzach” mowa. Chociaż wszyscy obejrzeliby telewizyjne wystąpienie prezydenta, ogłaszającego stan wyjątkowy, komunikaty, jakie nastąpiły potem, przekazywali wyłącznie ludzie w mundurach. Wobec faktu, że całą prasę, programy radiowe i oczywiście telewizję objęto cenzurą, za diabła nie można było się zorientować, kto jest teraz kim w Moskwie i poza nią. - Żołnierze Republiki Rosyjskiej, czy jesteście gotowi wypełnić wasz święty obowiązek wobec ojczyzny? Piątka oficerów stanęła na baczność i skinęła głowami.

- Przystąpić do egzekucji!

Nad placem huknęło kolejno pięć wystrzałów pistoletowych, a ich echo wróciło odbite od kamiennych gmachów wokół Placu Czerwonego. Pięć trupów zważyło się na stopnie i ociekając jasnoczerwoną krwią stoczyło się na bruk. Kiedy ostatnie ciało legło u podnóża stopni, tłum westchnął. A potem znowu ożyły megafony. - Tak szczerzą wszyscy, którzy się odważą rabować i wyzyskiwać lud najświętszej matki Rosji! Obywatele, wracajcie do domów i fabryk. Wracajcie tam z wiarą, że jest ktoś, kto będzie strzegł was i

bronił!

Gapie rozchodzili się powoli, grupami opuszczając plac pod czujnym spojrzeniem batalionu gwardii i grupki siwowłosych oficerów ze złotymi epoletami i lawiną orderów na piersiach. W pobliskich ulicach czuwały kołowe transportery BTR-80 i długolufe czołgi T-80, niczym stalowa przestroga dla roztargnionych. - Pokazowa organizacja, pułkowniku! - pochwalił marszałek Kaminow, klepiąc Sołowiewa po ramieniu.

- Służba! - odpowiedział beznamiętnie Sołowiew i uśmiechnął się pod nosem. Marszałek osobiście nakreślił plan dzisiejszej egzekucji. Sołowiewowi pozostało dokładnie wykonać ten rozkaz. Wykonał.

- My, Rosjanie, prosty lud. Jak lekcja, to krótka i jasna. Dlatego ludzie szanują silniejszego. Szanują cię, jak masz silną rękę. Ot! - Kaminow zrobił gest w stronę miejsca, z którego uprzątao teraz zwłoki. - Pierwsza lekcja za nami, a będą następne. Czy tak?

Sołowiew skinął głową.

- I dobrze! - Po tych słowach Kaminow skinął na ciemnowłosego adiutanta w randze majora. Adiutant podszedł prędko, przynosząc grubą teczkę pełną dokumentów. - Nikolskij ma tu dla ciebie szczegóły nowego zadania.

Marszałek zniżył głos.

- Daję ci ważną robotę, Walentin, więc jej nie spapraj. Egzekucje publiczne dobra rzecz, oczyszczą społeczeństwo z elementu, ale jeszcze ważniejsze, to żeby oczyścić wojsko z ludzi chwiejnych, przypadkowych. W takich czasach Rosja musi mieć tarczę i miecz z prawdziwej stali!

Kaminow wziął od majora teczkę i podał ją Sołowiewowi.

- Masz tu, synku, listę. Czarną listę. Żał patrzeć, ilu tych niepewnych ludzi w korpusie oficerskim. Masz mi zorganizować sądy polowe. Niech czekają na polecenie. Sędziom powiedz, że mają wytepić robactwo, które plugawi mundur. Macie wyrzucić tych gnojków na pysk z wojska, niech płaczą z głodu na ulicy. Będzie druga lekcja, dla tych, co to zapomnieli, czyją ręką wykarmieni. Pułkownik znowu przytaknął, tym razem z namysłem.

- Rozkaz!

Kaminow spojrzał podwładnemu prosto w oczy.

- A nie zawieź ty mnie, synku, nie zawieź.

- Wiem, co do mnie należy, marszałku. - Sołowiew spojrzał równie twardo na Kaminowa.

- Jak wiesz, to i dobrze. Odmaszerować.

Sołowiew wyprężył się na baczność, zasalutował i ruszył do sztabowego auta, by wrócić nim do Ministerstwa Obrony. W marszu nie zwracał uwagi na żołnierzy, którzy pracowicie zmywali krew z szarych kamieni Miejsca Czaszek. W zaciszu gabinetu pułkownik prędko przebiegł wzrokiem gęste szeregi nazwisk na liście.

Stopień wojskowy, nazwisko, numer, stanowisko. Większość nazwisk należała do oficerów znanych z demokratycznych przekonań albo po prostu z niezależnego myślenia, lecz niektórych wybrano tylko ze względu na żydowskie, muzułmańskie czy w ogóle nierosyjsko brzmiące nazwiska. Pułkownik podniósł słuchawkę, wykręcił cztery kolejne cyfry i odczekał do chwili, gdy uzyskał połączenie, a potem odezwał się: - Mówi Sołowiew - i przez dłuższą chwilę słuchał rozmówcy, wciąż przerzucając stronicę z nazwiskami.

Wreszcie przytaknął do słuchawki. - Owszem. Zaczęło się.

Dokładnie, jak myśleliśmy.

Odłożył słuchawkę i kilka minut siedział bez ruchu, a potem znów ją podniósł i wydał pierwsze rozkazy w sprawie czystki nakazanej przez Kaminowa.

7

Nadzwyczajne środki

25 października - „Europejskie przesilenie”, specjalny program wieczornego dziennika sieci telewizyjnej ABC Tych widzów, którzy dotrwali do emitowanego przed północą programu, mogło oszołomić przede wszystkim tempo, z jakim do wtóru ściszonego komentarza pojawiały się na ekranie wciąż nowe, dramatyczne ujęcia. Część obrazów wyglądała znajomo, lecz i tak mroziła krew w żyłach.

Obiema stronami pustej, szerokiej alei sunęli żołnierze w bordowych beretach i oliwkowej barwy mundurach polowych. Można się było dokładnie przyjrzeć ich krótkim karabinkom automatycznym. Ilekroć na drodze patrolu pojawiali się wystraszeni cywile, żołnierze zatrzymywali ich, obszukiwali i odpychali na bok. Przez chwilę miało się wrażenie, że zdjęcia pochodzą z Belfastu, San Salvador czy innego miasta od lat nękanego wojną domową. Kamera przesunęła się jednak, łapiąc w obiektyw kasztanowce i przywiedłe klomby wzdłuż Pól Elizejskich. W oddali zamajaczyła kamienna bryła Łuku Triumfalnego. Stan

wyjątkowy w Paryżu.

Kolejna seria obrazów była zamazana i niewyraźna. Napisy na ekranie informowały, że amatorską taśmę wideo przemycono w zeszłym tygodniu z Niemiec, zmylając czujność celników. Łatwo się było zorientować, dlaczego Berlin tak nie chciał pokazać tych zdjęć światu. Ulicami Hamburga sunęły w kłokocie gaśnic transportery opancerzone, zbliżając się coraz bardziej do prowizorycznej barykady, pełnej krzyczących demonstrantów. Dopiero gdy tylko metry dzieliły wozy pancerne od zapory, z boku doskoczyły do transporterów grupki zamaskowanych mężczyzn z butelkami zapalającymi. Większość butelek chybiła, rozpryskując się po chodnikach w pomarańczowych jezorach płomienia i kłębach gęstego dymu. Któryś z benzynowych pocisków trafił jednak w wieżę pierwszego Mardera, rozlewając się płomienistą strugą po spawanym pancerzu - na oko bez większych skutków. Z burtowych strzelnic transporterów huknęły strzały. Jednocześnie wozy runęły poprzez dym i wbiły się w barykadę. Ukryci w środku żołnierze z desantu nie przestawali strzelać. Kilkoro trafionych z bliska demonstrantów padło na bruk jak okrwawione kukły. Inni zginęli pod resztkami barykady, zgniecenii na miazgę gaśnicami Marderoów. Przerażone krzyki mieszały się z trzaskiem wystrzałów. Rycząc silnikami, transportery przewalały się przez barykadę i rwały naprzód, zostawiając za sobą tylko strzaskane meble, rozgniecione samochody i bezwładne ludzkie ciała. W Niemczech trwają coraz bardziej zacięte starcia z prawicowymi i lewackimi bojówkami. Największe miasta kraju zmieniły się w krwawe pobojojowiska. W miejsce scen z Hamburga pokazywano teraz migawki nakręcone przez telewizję moskiewską podczas publicznych egzekucji na Placu Czerwonym. W Rosji wojsko nadal paraliżuje wszystkie dziedziny życia. Cały transport kolejowy i lotniczy, a także przemysł, znalazły się pod bezpośrednią kontrolą sił zbrojnych. Podobne środki podjęły władze w innych byłych republikach ZSRR, w tym także w Kazachstanie i na Białorusi. Obawiając się fali chaosu tuż za własną granicą, Ukraina postawiła własne siły zbrojne w stan pogotowia. Ekran ukazywał teraz komputerową mapę Europy. Ponad połowę terytorium kontynentu pokrywała czerwona plama. Barwą tą oznaczono państwa, które „tymczasowo” wprowadziły u siebie stan wyjątkowy. Innym kolorem zaznaczono Włochy i Hiszpanię, gdzie cywilne władze w ciągu ubiegłych tygodni

obsadziły wojskiem granicę w obawie przed zalewem uchodźców politycznych z północy. Dwudziesty wiek w męczarniach dobiegał końca, Europa zaś cofała się coraz prędzej, zmierzając z powrotem ku wojennej przeszłości sprzed lat.

27 października - Wielka Brytania, rezydencja Chequers
Chequers, wiejska rezydencja premierów Wielkiej Brytanii, leży u podnóża lesistych wzgórz Chiltern. Strugi słońca kładły się pośród smukłych, siwych bukowych pni i coraz bardziej rozmywały grupę obłoczków, od północy barwiących niebo ciemniejszym odcieniem. Kolorowe liście kontrastowały ostro z bladym błękitem jesiennego nieba. Przez ciche trawniki i ogrody wokół zabytkowej, gotyckiej rezydencji, szła spacerkiem trójka mężczyzn. Dwaj z nich byli szczupli i wysocy, trzeci trochę niższy i dużo cięższy. Wszyscy mieli na sobie ciepłe płaszcze, szaliki i rękawiczki, bo z północnym wiatrem tego dnia naprawdę nie było żartów. Joseph Ross Huntington głęboko odetchnął porannym powietrzem, rozkoszując się chłodnym, czystym aromatem. Ostatnio okropnie się nasiedział w ciasnych i dusznych salach posiedzeń albo w ciśnieniowych kabinach samolotów pasażerskich i dlatego nie tylko przez uprzejmość zauważył: - Strasznie miło, że chciało się wam mnie tutaj zaprosić. - Drobiazg, Ross - pokręcił głową premier Wielkiej Brytanii i zamrugał zza grubych szkielek okularów. - Jeśli zapraszaliśmy, to dla własnej korzyści, wierz mi. Zawsze uważałem, że warto mieć dobrze ustawionych przyjaciół. Nawet takich, których tytuły nic człowiekowi nie mówią. Huntington uśmiechnął się mimo woli. Nie bez przyczyny brytyjski premier słynął z wdzięku, a także z rozmyślnie szczerych opinii. Obie zalety pomogły mu przetrwać gospodarcze kataklizmy o skali, która by dawno zmiotła każdy z poprzednich brytyjskich rządów. - A poza tym, owszem, szukałem sposobności, żeby zapytać o parę spraw przed listopadowym szczytem. Czyż nie tak, Andy? - Premier przeniósł wzrok na idącego po lewej stronie, otyłego kompana. - Dokładnie tak się sprawy mają - potwierdził Andy Bryce, brytyjski minister obrony, który obecne stanowisko w Partii Konserwatywnej zawdzięczał wyłącznie sobie, nie zaś arystokratycznemu pochodzeniu. Kiedy mówił, nadal słyszało się w jego głosie północny, przaśny akcent Yorkshire. - Nie ma czasu na kanały dyplomatyczne i resztę bałaganu. Sami widzicie, co się wyrabia tuż za cieśniną, można powiedzieć, pod samym bokiem!

Huntington skinął głową, że rozumie cel spotkania. Rozmowy na szczycie pomiędzy szefami państw najczęściej były zwykłą formalnością - okazjami, by razem coś zjeść i zrobić sobie wspólne zdjęcie. Do prawdziwej wymiany zdań dochodziło przez telefon albo za zamkniętymi drzwiami, w rozmowach prowadzonych przez zaufanych podwładnych. Planowane na listopad brytyjsko-amerykańskie spotkanie na szczycie nie było tutaj wyjątkiem. Dlatego najważniejszą sprawą było z góry ustalić, co oba sprzymierzone państwa myślą o obecnej sytuacji, a potem sprawnie wypracować wspólne stanowisko i wspólną politykę na przyszłość. Trójka skrzywiła w zwirową alejkę. Milczeli przez dłuższą chwilę. Wreszcie premier zapytał:

- Wasz rząd najbardziej się pewnie niepokoi sytuacją w Rosji? -
Raczej tak. Przynajmniej większość - ostrożnie odrzekł Huntington i zerknął na premiera. Prezydent przykazał mu, by w rozmowach w Chequers niczego nie ukrywać, toteż dodał: - Szefowie Połączonych Sztabów domagają się zgody na powtórne wycelowanie w Rosję resztki naszych rakiet balistycznych. Chcą oprócz tego postawić w stan stałego pogotowia bombowce strategiczne.

Obaj Anglicy aż zagwizdali z wrażenia. Decyzja Stanów Zjednoczonych, by znieść odwieczne pogotowie w wojskach wyposażonych w broń jądrową przekonało swego czasu wszystkich niedowiarków, że zimna wojna to już przeszłość. Wieść o zmianie kursu o sto osiemdziesiąt stopni z pewnością wstrząśnie całym światem. - Do tej pory prezydent nie wyraził na to zgody. Nie mamy ochoty znowu się wdawać w kosztowny wyścig zbrojeń jądrowych, bo i po co? Na razie lepiej poczekać, aż wyjaśni się sytuacja w samej Rosji. Podobnie jak w Niemczech i Francji, skoro już o tym mowa. - Huntington skrzywił się i przyznał: - Inna rzecz, że strasznie na niego naciskają. Nie żartuję. Większość ludzi, którym prezydent choć trochę ufa, bez przerwy kładzie mu do głowy, że pora odtrąbić wsiadanego, bo inaczej rosyjscy generałowie lada dzień znów wycelują rakiety na zachód.

- Rozumiem, że pan sam nie podziela tej opinii?

- Nie do końca. - Huntington uczynił gest w kierunku lasu okalającego gazony i ogrody Chequers. - Jeśli o mnie chodzi, prędzej bym zamieszkał w koronach tych buków niż zaufał Kaminowowi i jego fagasom, ale naprawdę nie uważam, żeby w obecnej sytuacji byli nam w stanie poważnie zagrozić. Tak czy

owak, zostało nam dosyć atomówek, żeby wysłać całą Rosję na Księżyc i z powrotem. Tamci o tym wiedzą, tak jak wiedzą, że my o tym wiemy. Poza tym jeszcze jedno: prezydent na coś jednak zezwolił ludziom z Pentagonu. Rozmieszczamy wreszcie na orbicie system przeciwbalistyczny. Gwiezdne Wojny jak się patrzy. Prototypy sprzętu wchodzi już do produkcji.

Ostatnia wiadomość wyraźnie zaskoczyła brytyjskiego premiera. Od tyłu już lat odkładano wciąż w Ameryce plany programu SDJ, że wszyscy na dobre uznali Gwiezdne Wojny za ofiarę skapiradeł z Kongresu i ogólnego sceptycyzmu. Kiedy zawałił się dawny Związek Radziecki, badania nad tym programem trwały jedynie ze względu na ciągłą rozbudowę raketowych arsenałów w innych państwach świata. Zachodni naukowcy próbujący znaleźć sposób na zestrzeliwanie pocisków balistycznych zanim dotrą do celu popisali się nadzwyczajnie, lecz do tej pory brakowało w Waszyngtonie zarówno pieniędzy jak i zdecydowania, by wprowadzić system na orbitę. Wyglądało więc na to, że prezydent dokonał rzeczy niemożliwej. - Kiedy ruszacie?

- Mówiono mi, że pierwszą grupę urządzeń przechwytyjących wystrzelimy na orbitę na początku przyszłego roku. Na razie tyle, bo umieszczenie reszty systemu to zadanie na lata. - Huntington wzruszył ramionami i dorzucił: - Lepsze to niż nic. Premier przytaknął, świadomy, że w połączeniu z naziemnym arsenałem atomowym USA, nawet ograniczony system obrony orbitalnej stanowi świetny środek odstraszający. Wobec chmury krążących wokół ziemi niszczycieli rakiet, żaden przeciwnik nie mógł odtąd mieć gwarancji, ile z jego pocisków atomowych dotrze do celu. Dzięki temu nawet Kaminow i jego marszałkowie musieliby zwariować, by przeciwku bezpośredniej konfrontacji z USA albo z amerykańskimi sojusznikami. - Tylko czy aby rozwiązuje to kwestię wojny konwencjonalnej? W Moskwie nadal pod każdym drzewem parkuje masa czołgów i dział - wtrącił się do rozmowy Andrew Bryce, który mimo wszystko wydawał się wierzyć w zalety nowej amerykańskiej broni kosmicznej. Huntington domyślał się, że zwierzchnika brytyjskich sił zbrojnych ciekawi, czego tak naprawdę boją się Amerykanie. Minister dokończył tymczasem myśl: - Ostatecznie od czasu, jak nam padło NATO, nic nie powstrzymuje Rosjan przed wkroczeniem do Polski albo innych państw dawnego Układu Warszawskiego, prawda? Może by im się to nawet opłacało? Ot, żeby

ludzie zapomnieli o kłopotach na własnym podwórku?

Przed czymś takim już ich nie odstraszymy bronią strategiczną.

Kto w Moskwie uwierzy, że dla Polaków i całej reszty naprawdę zagrozimy użyciem broni jądrowej?

- Może i nikt, ale i tak nie będą chcieli ryzykować, Andy - stwierdził bez wahania premier. - Rosjanie dobrze wiedzą, że jednym takim posunięciem znów by się narazili całemu Zachodowi. Nie wiadomo nawet czy Ukraina i inne republiki nie przeszłyby wtedy na naszą stronę. Nie, naprawdę ich nie posądzam o taką głupotę.

- Na razie mają inne zmartwienia - zauważył Huntington, przypominając sobie przeczytane meldunki wywiadu. - CIA dowiedziało się o masowych czystkach w ich siłach zbrojnych. Pokazowe procesy, wyroki po uważaniu, jednym słowem po staremu.

- Nasz SiS meldował to samo.

- No, więc proszę. Jeżeli się chociaż trochę znam na historii Rosji, taka czystka zwiąże ich wojsku ręce na ładnych parę miesięcy, albo i dłużej. Poza tym Kaminow i spółka mają poparcie, ale tylko jeśli chodzi o działania wewnętrzne. Jeśli zachce im się podbojów, a te zawsze kosztują, wszyscy mogą znów się od nich odwrócić - mruknął Huntington, chowając ręce do kieszeni. Nawet w rękawiczkach czuł w kończynach przenikliwie zimno. Podniósł wzrok na parę Anglików i powtórzył: - Nie, Rosją bym się nie przejmował, przynajmniej na razie. Moim zdaniem o wiele gorsze historie dojrzewają tuż obok. Zawahał się, bo to, co chciał powiedzieć, rozmówcy mogli łatwo wziąć za przejaw głupoty albo rozczulającego braku rozeznania w realiach. Huntington doczekał się już podobnych reakcji ze strony ekspertów do spraw Europy w Departamencie Stanu. Inna rzecz, że znawcy przywykli przez lata do innej, wygodniejszej wizji Europy, w której wszystkie państwa należą do jednej albo do drugiej strony, i szlus. Po jednej stronie sprzymierzeni, po drugiej przeciwnicy. Kłopot tylko, że taka Europa już dawno nie istniała. - Co chciał pan przez to powiedzieć? - Premier i minister obrony bacznie spojrzeli na Huntingтона, który poczuł, że nadeszła jego godzina. Trudno, pora wyłożyć karty. Amerykanin wyprostował się i oświadczył bez ogródek:

- Martwi mnie nie Rosja, lecz to, co się w tej chwili dzieje we

Francji i w Niemczech. Na krótszą metę kłopotów można się spodziewać właśnie z ich strony, nie ze wschodu. Jeszcze nam zależą za skórę, w Europie czy gdzie indziej, wszystko jedno. -
A to dlaczego?

Huntington odetchnął z ulgą, widząc że premier nie wyśmiał go z miejsca ani nie wyzwał od paranoików. Czyżby Brytyjczycy po cichu myśleli to samo? Wykładając rozmówcom swe niezbyt przecież uzasadnione domysły, Huntington poczuł nowy przyływ odwagi. Rosja miała rację wprowadzając u siebie stan wyjątkowy, bo waliła jej się cała gospodarka i nikt nie panował nad krajem. Podobna decyzja nie była niczym chwalebny, ale od biedy dawało się ją zrozumieć. Demokratyczne rządy w miejscu, które tak niedawno stanowiło serce sowieckiego imperium, były w końcu rodzajem eksperymentu i trudno się dziwić, że nie przetrwały kolejnego groźnego kryzysu. Francuska i niemiecka decyzja o wprowadzeniu stanu wyjątkowego nie miała natomiast sensu - przynajmniej z pozoru, państwa same spowodowały większość politycznych i gospodarczych perturbacji, z którymi im się przyszło borykać, a co więcej, skala tych zaburzeń w żadnym wypadku nie usprawiedliwiała decyzji o wprowadzeniu dyktatury. Owszem, grożący strajk generalny mógł z pewnością przynieść opłakane skutki, lecz z drugiej strony ani jeden z rządów nie kiwnął palcem, by rozładować napięcie przystępując do rokowań. Władze Niemiec i Francji mogły też po prostu zacisnąć zęby i czekać, aż strajk wypali się sam, a zmęczeni ludzie zrozumieją, że nie tędy droga. Mogły, ale nie uczyniły tego. Przeciwnie, szeregiem decyzji zaprowadziły drakońskie rządy o niespotykanej brutalności, twierdząc w dodatku, że czynią tak w obronie porządku społecznego. Huntington mógł się tylko domyślać, o co tak naprawdę chodzi. Czym innym jest ustanowić dyktaturę dla ratowania kraju, czym innym zaś wprowadzić stan wyjątkowy, by zachować przy władzy własne ugrupowanie polityczne. Ludziom, którzy uważali to za normalny sposób zachowania władzy, można było zarzucić rozmaite rzeczy: na pewno krótkowzroczność, kto wie czy nie zachłanność, nie mówiąc już o zupełnym braku jakichkolwiek zasad. Co więcej, tacy ludzie stanowili potencjalną groźbę dla innych. Ktoś, kto odważył się wycelować broń we własny naród, z pewnością nie zawaha się strzelać do obcych. Wysłuchawszy tego wszystkiego, premier stwierdził krótko: -

Widzę, Ross, że jesteście podobnego zdania. Rozwiązywać wewnętrzny kryzys czołgami... - skrzywił się z obrzydzeniem. - Nie dość, że postępują ryzykownie, to jeszcze głupio.

- Nastraszyli naszych znajomych na kontynencie - dorzucił Bryce.

- Tak, wiem - uspokoił go Huntington, który przed wyjazdem miał w ręku pilne depeche z Warszawy, Pragi i Bratysławy, w których władze wszystkich trzech państw prosiły o pilną pomoc gospodarczą, a przede wszystkim wojskową. Polska i para jej południowych sąsiadów postanowiły nie uczestniczyć w protekcyjnej polityce Paryża i Berlina, a także pozostać w strefie wolnego handlu - w „wolnej strefie”. Skutek był na razie taki, że ze wszystkich stron zaczęli na Polskę, Czechy i Słowację napierać wrogo nastawieni sąsiedzi. Denerwowały się sytuacją również Włochy i Hiszpania, lecz tamtejsze rządy w mniejszym stopniu niż Polska i reszta korzystały ze wsparcia Waszyngtonu i Londynu.

Premier Wielkiej Brytanii westchnął boleśnie.

- No, i proszę. Znowu wracamy do celu pańskiej wizyty, prawda? Musimy zdecydować, jak się ustawić wobec tej całej awantury,

- Też mi się tak wydaje, panie premierze - zgodził się Huntington, który wciąż nie umiał się przyzwyczaić do swych coraz bardziej zdumiewających zadań. Naprawdę wolał występować jako nieoficjalny kurier prezydenta albo zbierać informacje na użytek Białego Domu niż decydować o amerykańskiej polityce zagranicznej. Za wysokie progi. Prócz tego mógł w ten sposób łatwo zaszkodzić prezydentowi. Nietrudno sobie wyobrazić, jaki wrzask mogła w każdej chwili podnieść prasa i waszyngtońscy kibice, dowiadując się o tego rodzaju amatorskich zabawach w dyplomację. Inna sprawa, że długoletnia przyjaźń z obecnym prezydentem pod pewnymi względami czyniła z Huntingtona wysłannika lepszego od waszyngtońskich zawodowców. Prezydent miał przynajmniej w jego przypadku gwarancję, że Huntington podejmuje się działań wiedziony lojalnością, a nie przez wzgląd na karierę czy podszepty któregoś ze stronnictw politycznych. W czasach, kiedy w oficjalnych instytucjach kłócono się i przepychano, Huntington zachowywał powściągliwość i gwarantował dyskrecję, co również się liczyło w oczach mężów stanu, z którymi rozmawiał. Wiedzieli oni, że mają do czynienia z autentycznym zausznikiem prezydenta USA - z kimś, kogo prezydent szanuje i słucha. - Cóż, moim zdaniem

pozostaje nam jedno. Musimy wydać wspólne oświadczenie i potępić te bzdurne zabawy w dyktaturę - oznajmił twardo premier. - Musimy powiedzieć światu, że co to, to nie. Powiedzieć krótko i jasno, tak żeby nas zrozumiał największy idiota w Paryżu, Berlinie i Moskwie.

- Pomysł nawet dobry, ale...

- Ale co dalej? - Premier roześmiał się. - Sam wiem, Ross, że słowa to jeszcze niewiele, ale od czegoś trzeba zacząć. Huntington w porę zrobił pokorną minę. Niepotrzebnie tak się wyrwał z oceną. Było jasne, że premier trzyma w zanadrzu coś jeszcze. - A co potem? To już trochę gorsza sprawa. - Po tych słowach sardoniczny uśmieszek brytyjskiego premiera zmienił się w grymas złości. - Rzecz w tym, że nie bardzo mamy ich jak ugryźć. Narobić hałasu, owszem, możemy, ale na tym koniec. Amerykanin pokiwał głową na znak, że zgadza się z tą trzeźwą oceną. Rząd innego kraju można zmusić do posłuszeństwa tylko na dwa sposoby - uciekając się do sankcji gospodarczych albo do jawnych gróźb użycia siły, czyli do interwencji wojskowej. Górnolotne i szlachetne przemówienia nie wystarczą, by obalić dyktaturę albo odeprzeć obcą agresję. W tym wypadku sankcje gospodarcze można było sobie darować, z tej prostej przyczyny, że Francuzi i Niemcy, podobnie jak ich państwa satelickie, od dawna nieomal zawiesiły handel z Wielką Brytanią i z USA. Co zaś do Rosjan, z posiadanymi zasobami gotówki Moskwa mogła sobie kupić co najwyżej sznurek. Potrząsanie szabelką mogło się wydawać równie złym rozwiązaniem: wraz z zakończeniem zimnej wojny amerykański Kongres zaczął równo ciąć wydatki budżetowe na zbrojenia, by tym sposobem wpompować więcej pieniędzy w i tak mocno rozdęte programy świadczeń socjalnych. Kolejni prezydenci i sekretarze obrony w administracji stawali na głowie, by mimo wszystko utrzymać w jakiejś takiej liczebności trzon sił zbrojnych i mieć czym bronić interesów USA za granicą, lecz nieliczne zwycięstwa w waszyngtońskich potyczkach niewiele zmieniały. Amerykańskie wydatki na zbrojenia osiągnęły najniższy poziom od 1939 roku. większość dywizji pancernych stacjonujących jako część sił NATO w Europie zwyczajnie rozwiązano albo przekształcono w jednostki kadrowe, rozrzucone po wygodnych bazach w różnych miastach Stanów Zjednoczonych. Marynarka wojenna dysponowała jedynie dwunastoma

grupami uderzeniowymi i miała na stanie zaledwie czterysta okrętów. Również w lotnictwie w porównaniu z okresem wojny w Zatoce Perskiej liczba myśliwców skurczyła się o jedną trzecią. Wprawdzie amerykańskie siły zbrojne wciąż uchodziły za najpotężniejsze na świecie, lecz prowadzenie dwóch wojen na raz - dawniej uznawane za możliwość zupełnie realną - przestało raczej wchodzić w grę. W nie lepszym stanie znajdowały się siły zbrojne Wielkiej Brytanii, ponieważ malejące wpływy budżetowe coraz bardziej ograniczały środki na utrzymanie Royal Navy i RAF. Brytyjskie okręty i samoloty mogły obecnie tylko marzyć o całkowitym panowaniu nad obszarami poza kanałem La Manche, przybrzeżnymi akwenami Morza Północnego i przestrzenią powietrzną bezpośrednio nad krajem. Co gorsza, w sytuacji gdy zawodowa armia lądowa musiała w dalszym ciągu stacjonować w Irlandii Północnej, na Falklandach i w pozostałych bazach zamorskich, Londyn w razie niebezpieczeństwa mógł skierować do akcji pojedynczą, wzmocnioną brygadę. Huntington nie miał zatem złudzeń co do skuteczności rozmów z pozycji siły. Z takimi argumentami nie da się skłonić Niemców i Francuzów, by odeszli od dyktatury. Huntington podzielił się tą opinią. - Może i racja - zgodził się premier, rozcierając zziębnięte dłonie. - Ale z drugiej strony możemy próbować coś zdziałać na innych frontach.

Tym razem Huntington zmilczał, czekając na ciąg dalszy,
- Jak się orientuję, i wy, i my szkolimy polskich, czeskich i słowackich oficerów? Obsługa sprzętu, taktyka, i tak dalej?
- Owszem.

Po rozpadnięciu się Układu Warszawskiego kraje dawniej nim związane rzeczywiście zaczęły nawiązywać z Zachodem współpracę wojskową i kupować zachodnią broń, tym bardziej że po druzgocącej klęsce Iraku nikt już nie miał złudzeń, ile warte jest uzbrojenie radzieckie. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania od pewnego czasu dostarczały więc trójce krajów w Europie Wschodniej sporo czołgów, dział i sprzętu technicznego. Amerykańscy i brytyjscy instruktorzy szkolący nową kadre mogli się naocznie przekonać, że większość uzbrojenia pochodzi jak na ironię z dawnych składów, utrzymywanych na terenie Niemiec na wypadek rosyjskiej inwazji. Współpraca rozwijała się powoli i opornie, choć najbardziej byli temu winni waszyngtońscy kongresmeni, skąpiący pieniędzy na pomoc wojskową dla zagranicy. Większość polskich i czeskich jednostek

musiała nadal obywać się starym, rosyjskiej i własnej produkcji uzbrojeniem, lecz powoli niekorzystny stan rzeczy zaczynał się zmieniać na lepsze. - Wydaje mi się, że powinniśmy poważnie zwiększyć skalę tej współpracy - zauważył brytyjski premier i uśmiechając się nieznacznie dodał: - A co więcej, nie powinniśmy ukrywać tych decyzji przed światem.

Pomysł był prosty i skuteczny, bo wzmacniając siły zbrojne trzech słabszych krajów na wschodzie odsuwało się groźbę awanturniczych działań ze strony Francji, Niemiec czy Rosji. Nowe dostawy broni i zwiększenie liczby instruktorów stanowiły widomy znak, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania ani myślą zostawiać samym sobie trzech ocalałych państw strefy wolnego handlu. Z drugiej strony, państwa na kontynencie nie musiały się bać takiego programu ani dopatrywać się w nim prowokacji, bo nawet przy pięciokrotnie większej pomocy amerykańsko-brytyjskiej Warszawa czy Praga nie były w stanie zagrozić sąsiadom. Nie mówiąc już o tym, że podejmując taką decyzję unikało się najbardziej kosztownego wyjścia w postaci obsadzenia na stałe polskiego i czeskiego terytorium jednostkami armii amerykańskiej. - Myślę, że i prezydent przykłaśnie takim pomysłem, panie premierze.

- Doskonale - ucieszył się tą oceną szczupły Anglik i zamyślając się dodał już mniej wesoło: - Zdaje pan sobie sprawę, Ross że nawet takie gesty to trochę mało. Może warto by w przyszłym roku urządzić jakieś wspólne manewry wojskowe? Przynajmniej pokażemy, że mamy jeszcze coś do powiedzenia w Europie - I uprzedzając gestem komentarz Amerykanina, premier powiedział: - Nie żeby wielkie ćwiczenia, ot, powiedzmy, odkomenderujecie dwie brygady z sił szybkiego reagowania, żeby wzięły udział w naszych letnich manewrach na Równinie Salisbury. Huntington obracał w myślach tę propozycję. Trochę kłopot, bo oznaczała ona dodatkowe wydatki. Przerzut dwóch brygad z całym sprzętem za Atlantyk to kosztowna wycieczka. Była jednak szansa, że szefowie Połączonych Sztabów zgodzą się, by po długiej przerwie przeciwiczyć desant na nowo. Nie mówiąc już o korzyściach natury politycznej. Po rozwiązaniu NATO nie organizowano już oczywiście corocznych manewrów „Reforger”. Co za tym idzie, od kilku lat amerykańskie wojska ćwiczyły operacje desantowe jedynie na niewielką skalę. Przerzucenie do wielkiej Brytanii paru brygad z 82 Dywizji Spadochronowej i 101 Dywizji Desantowej stanowiło

wymarzoną okazję, by sztabowcy z Pentagonu przeciwiczyli sobie wszystko jeszcze raz na wypadek ewentualnego kryzysu gdzieś daleko poza amerykańskim terytorium. Ross wolał tym razem nie wyrażać opinii. Nie był pewien, co powiedzą o propozycji w Waszyngtonie. Mógł natomiast ręczyć, że jako nieoficjalny i prywatny wysłannik nie ma żadnego prawa planować z Brytyjczykami ruchów amerykańskich wojsk ani obiecywać czegokolwiek w tym względzie. - O tym będę musiał dopiero pogadać z prezydentem, panie premierze - oznajmił więc tylko i wzruszył ramionami. - Rozumie pan, że ja tu tylko sprzątam.

- Jasna sprawa, Ross - uspokoił go premier i odwrócił się do ministra obrony. - To co, Andy, uczulisz swoich chłopaków, żeby coś takiego nam zaplanowali, zgoda? Byłoby dobrze, żeby nasz amerykański przyjaciel miał dla Waszyngtonu jakąś konkretniejszą propozycję.

- Nie ma obawy. Już ja ich uczulę! - przyobiegał Bryce z dziwną miną. Pomilczał chwilę, lecz nie wytrzymał i wybuchnął: -Tylko że znowu się zacznie! Labourzyści dostaną kota, jak się dowiedzą, że znowu lądują u nas Amerykanie. Wszystko jedno, na trochę czy na stałe, i tak narobią krzyku!

- Owszem, dostaną kota - znów uśmiechnął się premier. - Już choćby dlatego opłaca się nam urządzić te manewry.

Zaśmiali się całą trójką, zadowoleni, że znaleźli przynajmniej jedną wesołą stronę sytuacji, która stawała się coraz bardziej ponura.

2 listopada - Paryż, Pałac Elizejski

Nicolas Desabc krążył po zabytkowej sali, w której odbywały się teraz posiedzenia wszechmocnej Komisji Nadzwyczajnej, osamotniony i zły jak diabli. Puste filiżanki, wystygła kawa i pełne popielniczki stanowiły jedyny ślad posiedzenia, które po czterech godzinach ślamazarnych obrad utknęło w martwym punkcie. Mało kto z członków komisji rozumiał, skąd bierze się złość Desaix. Z czysto technicznego punktu widzenia stan wyjątkowy pozwolił wziąć w karby życie całej republiki. W każdej prowincji i w każdym większym mieście władze miały do dyspozycji oddane sobie wojsko, policję i urzędników, a w redakcjach wszystkich stacji telewizyjnych, dzienników i czasopism zasiedli rządowi cenzorzy. Kilkuset opozycyjnych polityków i działaczy związkowych przeciwnych nadzwyczajnym środkom wylądowało w więzieniach, a

pewna liczba pechowców utraciła życie. Bez przywódców, bez pomocy prasy i bez gwarancji legalności, strajk generalny załamał się już na samym początku. Co więcej, najnowsze ankiety wskazywały, że większość rdzennych Francuzów stoi murem za władzą, domagając się przywrócenia porządku i dyscypliny w kraju. Nikt już oczywiście nie pytał, co o tym porządku sądzą arabscy i murzyńscy emigranci. Desaix uważał, że wszystko to jeszcze za mało. Co z tego, że Komisja Nadzwyczajna rządziła całą republiką i tylko od zgody wśród jej członków zależały wszystkie kolejne decyzje? Desaix nie miał złudzeń, że zamiast marnować zdobyty kapitał polityczny, trzeba podjąć następne, równie dramatyczne kroki. Stan wyjątkowy pozwalał komisji rządzić nie przejmując się konstytucją czy opozycją parlamentarną - innymi słowy dawał władzę, dzięki której można było na dobre zmienić porządek w całym kraju i w Europie. Na co tu czekać? Trzeba przeć naprzód, skierować wysiłki i środki ku działaniom, które zapewnią Francji dobrobyt i należną pozycję. Dla Desaix było jasne, że kraj potrzebuje takich decyzji. Francja nie mogła się spodziewać niczego dobrego po Europie rozdartej między zwaśnione bloki gospodarcze. Nie można też było dłużej tolerować mrzonek o wolnym handlu, jakie szerzyli niektórzy nie-dowarzeni ekonomiści. Żaden rozsądny kraj nie rzuca własnej gospodarki na pastwę niczym nie skrepowanej konkurencji prywatnych przedsiębiorstw-a już na pewno nie Francja, gdzie od zawsze istniały partnerskie stosunki między władzami republiki i przemysłowcami. Republika i sfery gospodarcze wspierały się nie od dziś. Odstąpić od opieki nad rodzimym przemysłem równało się oddaniu dobrobytu i suwerenności Francji na łaskę silniejszych i bogatszych państw w rodzaju Stanów Zjednoczonych, Japonii i Niemiec. Perspektywa nie do przyjęcia! Absolutnie wykluczone! Desaix krzywił się na samą myśl, że jego kraj mógłby się znaleźć w podobnej sytuacji. Istniał tylko jeden sposób, by uniknąć upokorzenia. Francja musi stworzyć unię na skalę całej Europy, związek państw, w którym kraj dysponujący bronią jądrową oraz stałym członkostwem w Radzie Bezpieczeństwa ONZ stałby się naturalnym przewodnikiem dla mniejszych krajów - dla Niemiec zaś bliskim i liczącym się partnerem. Niestety, dla pozostałych członków komisji liczyły się tylko doraźne korzyści, nie zaś wielka misja, przed jaką stała Francja. Zamiast o przyszłości całego kraju, politycy woleli

rozprawiać o tym, jak się utrzymać na stołkach. Desaix ta tępa obojętność przyprawiała o furję.

Zegar wybił kolejną godzinę. Czas i sposobność umykały coraz prędzej. Desaix wiedział, że dłużej czekać po prostu nie można. Skoro komisja nie chce albo nie może działać, trzeba będzie samemu wszcząć dzieło zjednoczenia kontynentu. Trudno, postawi się mniej lotnych kolegów przed faktem dokonanym, i tyle. Desaix okręcił się na pięcie i wyszedł z sali. Grupka zaaferowanych sekretarzy i współpracowników stała już za drzwiami, oczekując nowych poleceń i zadań. Owszem, Desaix miał dla nich nowe zadania, i to nie jedno. - Girul! Niech pan natychmiast siada do pracy, chcę dokładnego studium sił zbrojnych i gospodarki Polski, Czech i Słowacji. Mocne strony, słabe strony, wszystko! Zwłaszcza słabe strony i miejsca, w których tamci mogą być podatni na naciski. A pan, Radet, niech mi zorganizuje spotkanie w cztery oczy z kanclerzem Niemiec. Za tydzień. Nie tu, tylko w Berlinie.

Trzy wymienione kraje coraz bardziej broniły się przed rosnącymi wpływami Francji i Niemiec, a tym samym dawały zły przykład reszcie Europy Wschodniej. Pora była położyć temu kres. Desaix ruszył korytarzem w asyście współpracowników, wydając im nową serię poleceń. - Teraz pan, Bisson! Proszę na jutro wieczór zaprosić do mnie na kolację rosyjskiego ambasadora. Aha, jeszcze dziś chcę znaleźć na biurku jego teczkę! Lassere! ile mamy pieniędzy na działania nadzwyczajne? Proszę mi przygotować meldunek w tej sprawie! Nicolas Desaix nie dążył do przejęcia władzy. Na razie wystarczały mu w zupełności teka ministra spraw zagranicznych i wpływy w wywiadzie. Nawet tego było przecież dosyć, by nakłonić skłóconą Europę do zgody - zgody, której tak potrzebowała Francja.

8

Zadania

3 listopada - przestrzeń nad bazą amerykańskich sił powietrznych Luke w Arizonie

Czwórka myśliwskich F-15 Eagle sunęła prosto w horyzont trzy tysiące metrów ponad skalistymi póstaciami Arizony. Pokryte szaro-popielatymi plamami kamuflażu samoloty wyglądały jak zawieszono nieruchomo w powietrzu, choć mknęły stałym kursem z prędkością ponad 900 kilometrów na godzinę. Litera „LA” na

podwójnych statecznikach pionowych każdego F-15 wskazywały, że samoloty należą do 405. Skrzydła Szkolenia Taktycznego z bazy lotniczej Luke niedaleko Phoenix w Arizonie. Zwyczajne wojskowe oznakowanie przynależności państwowej na skrzydłach i ogonie, numer samolotu i napis „U.S. Air Force” mogłyby wskazywać, że to normalne wojskowe myśliwce, gdyby nie dwa szczegóły. Pierwszym był biały orzeł na czerwonym polu, zdobiący chwyt powietrza na obu bokach każdej maszyny. By poznać drugi szczegół, trzeba było włączyć radio. Ten, kto przełączyłby się na częstotliwość klucza samolotów, zamiast angielskiego usłyszałby płynną polszczyznę. Czwórka lotników była oficerami polskiego lotnictwa, a przez ostatnie dni układała plany na przyszłość. Piloci mieli wkrótce zakończyć trzymiesięczny okres szkolenia. Trzech pierwszych miało tę pociechę, że choć opuszczają bajeczną Amerykę, wracają do domu. Dla czwartego pilota domem była jednak właśnie Ameryka. Lot ćwiczebny okazał się udany. Klucz trenował dzisiaj atak na cele naziemne. Wszystkie maszyny uniknęły pozorowanego ognia artylerii i rakiet przeciwlotniczych i umieściły atrapy bomb w celu. Najlepiej wypadł Paweł Błażyński, drugi pilot klucza. Reszta lotników musiała przez dobrą chwilę znosić przechwałki dumnego z siebie, młodziutkiego oficera. - Widzieliście? Prawda, jak świetnie? Każdą z tych bomb rozwaliłem Ruskim kompanię czołgów. Żadnemu ze starszych pilotów nie chciało się robić głupich uwag co do narodowości pozorowanego przeciwnika. Pamiętali przecież, że pierwsze kroki stawiali na radzieckich maszynach i według radzieckich zasad taktycznych. Stefan Michalak, który za sterami był może gorszy od Błażyńskiego, ale w gębie dużo od niego mocniejszy, zaraz przerwał tę tyradę swoją własną. - Nie podniecaj się tak, Pawełku. Do takich nalotów lepsze są bomby kasetowe. Jak załaduję pod skrzydła dwa zasobniki tych Rockeye, rozwalę całą ruską dywizję. Po jednym podpocisku na czołg. A ty co wolisz, Tad? - zapytał ze swojego miejsca w tyle klucza. Porucznik Tadeusz Wójcik leciał trzeci w szyku jako dowódca drugiej pary maszyn. Umiejętnościami ustępował w kluczu tylko dowódcy, którym był major Sokołowicz. Nie spieszył się z odpowiedzią, więc uprzedził go w niej Paweł. - Tad bombarduje tylko Niemców. Lubi łączyć przyjemne z pożytecznym.

Słuchawki wypełnił śmiech pilotów. Wójcik w duchu zgadzał się

jednak z docinkiem. Choć urodził się w Stanach Zjednoczonych, widać było w nim słowiański rodowód. Wójcik miał piaskowej barwy włosy, jasnoniebieskie oczy i dość bladą, okrągłą twarz. Był niezbyt dużego wzrostu, ale bardzo masywnej, prawie krępej budowy i znajdował się w świetnej formie. Jako pilot naddźwiękowego myśliwca musiał być zresztą w formie, i tyle. Jeśli chodzi o stosunek do Niemców, również było w nim więcej Polaka niż Amerykanina. O tym, jacy potrafią być Niemcy, nasłuchiwał się dosyć od ojca, a co więcej, zapamiętał te opowieści na resztę życia. Przekonał się zresztą, że jeszcze pięćdziesiąt lat po wojnie miasta w jego drugiej, przybranej ojczyźnie noszą ślady niemieckiej obecności. Podczas inwazji na Polskę w 1939 roku, Niemcy zabili dziadków Wójcika. Każde z rodziców pilota przeżyło okupację, lecz po wojnie znów musiało znosić rozmaite niedole w ogarniętym stalinizmem kraju. Życie nie było dla nich łatwe. Dopiero we wczesnych latach siedemdziesiątych udało się rodzinie matki Wójcika ściągnąć małżeństwo do USA. Wójcikowie zaczęli nowe, lepsze życie z takim impetem, że w 1976 roku urodził im się syn - sami nie wiedzieli, czy bardziej Tadzio czy Tad. Wójcikowie mimo emigracji nie zapomnieli o Polsce, tak jak nie zapomnieli o źródle polskich nieszczęść: o Niemcach, którzy zgnetli przedwojenną Rzeczpospolitą, ogołocili ją i bezbronną zostawili atakującym Rosjanom. Między innymi dlatego długo się zastanawiali czy wracać do kraju. Zdecydowali się na to ?'.,?????????w 1992 roku, licząc na to, że z odrobiną gotówki i amerykańskim doświadczeniem dopiero teraz uda im się rozwinąć skrzydła. Szesnastoletniego Tadeusza zabrali ze sobą, choć chłopak czuł się Amerykaninem, nie Polakiem. Nie żałował wcale tamtej decyzji rodziców, bo dziś, pięć lat po przyjeździe, mógł pilotować samoloty myśliwskie kraju, który z biegiem czasu zaczął kochać i cenić. Polska tymczasem, choć wyzwoliła się spod moskiewskiej dominacji, przechodziła trudny okres. Od pierwszych miesięcy po rozpadzie Układu Warszawskiego polskie sztaby wojskowe próbowały zmodernizować siły zbrojne, lecz w sytuacji, gdy cały kraj w bólach przechodził do systemu wolnorynkowego, było to zadanie na długie lata. Modernizacja armii była zaś niestety konieczna, bez względu na koszty. Na wschodzie, gdzie Polska miała do czynienia z Rosją, Białorusią, Ukrainą i resztą republik byłego ZSRR, bez przerwy trwały niepokoje i wojny

wewnętrzne. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że mimo to Rosjanie tylko marzą o tym, by na powrót odzyskać gospodarczą i wojskową kontrolę nad wschodnimi połaciami Europy. Układ Warszawski może się rozpaść, ale nie idea, która mu przyświecała. Idea ta mogła odżyć zwłaszcza teraz, gdy Rosją de facto zaczęli rządzić wojskowi. Zachodnim granicom Polski zagrażały zjednoczone Niemcy. Wprawdzie i Niemcy martwili się bardziej tym, jak wyciągnąć z dołka gospodarkę, a nie jak by tu podbić sąsiadów, lecz rozmaite prawicowe ugrupowania wciąż zgłaszały roszczenia do części polskiego terytorium. Co gorsza, większość państw byłego bloku wschodniego tak się uwikłała we współpracę z Niemcami i Francją, że decyzje w sprawach gospodarczych i politycznych praktycznie podejmowano za te kraje w Paryżu i Berlinie. Tylko Polska i para jej południowych sąsiadów uparcie odmawiały do tej pory zgody na podobną rolę. Przeciwnie, Polska, Czechy i Słowacja wołały w takim stanie rzeczy szukać sojuszników w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Oba kraje anglosaskie nie pozostały bierne i kierując się czy to tradycją dawnych sojuszy czy może chęcią ukrócenia wpływów Francji i Niemiec na wschodzie Europy, zaczęły dostarczać nowym klientom broń i szkolić ich wojska. Zastrzeżenia Niemiec i Rosji upadły wkrótce, gdyż amerykańska i brytyjska pomoc miała ograniczony charakter, a nadto poprawiała jedynie możliwości obronne trzech krajów, nie ich zdolność zaczepną. Większość przekazanego uzbrojenia pochodziła z niepotrzebnych już nikomu zapasów NATO. Na przykład pilotowany przez Wójcika F-15 Eagle, który mimo pojawienia się nowych typów myśliwców, nadal posiadał wielką wartość bojową. Tad na dobrą sprawę pokochał swój samolot. Nie działało się tak tylko przez normalny u Amerykanina sentyment do wszystkiego, co amerykańskie, bo inni piloci z grupy, którzy wylatali czasem tysiące godzin na samolotach rosyjskich, również nie narzekali na F-15. Nim rok wcześniej w bazach pojawiły się Eagle, najlepszym myśliwcem w polskim lotnictwie był rosyjski Mig-29. Tad zajął wysokie miejsce w szkoleniach (najpierw we wstępnym, potem w specjalistycznym) więc szybko przesiadł się właśnie na Mig-29, do których nie dopuszczano byle kogo. Rosyjskie myśliwce układem nawet przypominały F-15, bo także miały podwójny statecznik pionowy, dwa silniki i uzbrojenie złożone z pocisków raketowych z naprowadzaniem radarowym. Mig-29

był jednak mniejszy i zabierał mniej uzbrojenia, a jego aparatura radarowa nie dorastała amerykańskiej. Główną zaletą Migów była zwinność w walce powietrznej i takie szczegóły jak celownik zespolony z hełmem pilota czy wykrywacz na podczerwień, pozwalający oszukać aparaturę radiolokacyjną przeciwnika. Tad wolał jednak swojego Orła. Wszyscy polscy lotnicy marzyli o tym, by usiąść za sterami „gwiazdolotu”. F-15 dorobiły się takiego przezwiska ze względu na obfitość elektroniki. Dzięki bezbłędnej, amerykańskiej angielszczyźnie i wysokim umiejętnościom pilotażu również Wójcikowi udało się dostać do najnowszego pułku polskiego lotnictwa. - Podejście pięć mil.

Uwaga majora Sokołowicza zastąpiła wyszkolonym pilotom wszystkie inne wskazówki. Cztery samoloty zgrabnie porzuciły szyk, przechodząc z klina w rząd i schodząc w stronę początku pasa. Lądowanie było normalne, to znaczy perfekcyjne. Tad pogratulował sobie w duchu kolejnego udanego lotu. Latać uwielbiał, ale tak naprawdę uspokajał się dopiero po powrocie na ziemię. - Dobrze poszło. Raport za dziesięć minut - rozbrzmiał w słuchawkach głos majora Sokołowicza.

Tad skupił się na wskazówkach kontrolera lotów, który zezwolił na kołowanie. Ruszył po betonie w ślad za pierwszą parą samolotów. Czwórka maszyn musiała już na ziemi pokonać kręty szlak między otoczonymi przez mechaników innymi myśliwcami, wśród hangarów i innych budynków. Baza lotnicza Luke stanowiła największy ośrodek szkolenia lotniczego na świecie. Właśnie tutaj, wysoko nad pustyniami Arizony, brali pierwsze lekcje pilotażu i walki powietrznej wszyscy wojskowi piloci amerykańscy, a także pokaźna grupa lotników z państw zaprzyjaźnionych z USA. Poszczególne grupy szkolonych na F-15 cudzoziemców tworzyły 405. Skrzydło Szkolenia Taktycznego. Polacy dzielili więc kwatery z pilotami z Japonii i Arabii Saudyjskiej, co dodatkowo ubarwiało rozmowy w kasynie oficerskim. Tad zdusił gaz i zwolnił zamek osłony kabiny. Za sobą słyszał coraz powolniejszy świst silników w innych maszynach, a powietrze wypełnił znajomy, ostry zapach nafty i gorącego metalu. Pilot czekał cierpliwie, aż zdyszany żołnierz z obsługi naziemnej przystawi drabinkę do krawędzi kabiny F-15. Z radością rozpiął uprząż. Nareszcie można było rozprostować nogi. Odprawa podsumowująca lot odbywała się pod okiem amerykańskiego instruktora, majora Kendalla, który po

po polsku mówił prawie tak samo kiepsko jak co niektórzy ze szkolonych pilotów po angielsku. Chcąc nie chcąc, Tad co rusz musiał się bawić w tłumacza. Amerykanin kolejno omawiał taśmy wideo z poszczególnych maszyn, wskazywał szczegóły i porównywał dane z wynikami nalotu przekazanymi przez obsługę poligonu bombowego. Kiedy skończyli, Tad odbiegł myślami daleko od Arizony. Miał do załatwienia jeszcze parę spraw, a potem chciał się spotkać z Michalakiem, pilotem z którym latali w parze. Musieli dograć ostatnie szczegóły przed wyznaczonym na następny dzień lotem. Miał to być ich końcowy egzamin.

8 listopada

Ogólna odprawa dywizjonu rozpoczęła się o siódmej rano, po polsku i po angielsku, a prowadził ją major Sokołowicz. Amfiteatralne pomieszczenie zapełniło się ludźmi. Za fotelami pilotów stanęli nawet mechanicy, ciekawi szczegółów ostatniego już na kursie zadania, na którym, jak twierdzono, Jaja sobie można połamać". Obecni rozmawiali i śmiali się jeden przez drugiego. Piloci uwielbiają PWP, czyli pozorowaną walkę powietrzną, a świadomość, że dziś lot będzie szczególnie trudny, tylko zaostrzała im apetyt. Dotarło też do nich, że lada dzień wracają do domu - toteż w sali było wesoło i gwarno jak na pikniku. Instrukcja Sokołowicza okazała się krótka, niemal lakoniczna. Piloci dowiedzieli się tylko, że tego dnia instruktorzy „wycisną z nich wszystko". Oba klucze miały zademonstrować wymiatanie przeciwnika w obcej przestrzeni powietrznej, startując jeden po drugim pod kryptonimami „Niebieski" i „Zielony". Myśliwce miały oczyścić przedpole dla ciągnącej rzekomo za F-15 grupy bombowców. Tad usiadł trochę z boku, blisko mapy. Razem z Michalakiem chcieli oczywiście uczestniczyć w odprawie, ale warunki zadania znali już właściwie na pamięć. Obaj porucznicy do późnej nocy ślęczeli nad mapą topograficzną poligonu w poszukiwaniu rozmaitych możliwości taktycznych. Znowu przypadło im lecieć z Sokołowiczem, a ich nowymi kryptonimami były „Niebieski Trzy" i „Niebieski Cztery". Ciemnowłosa Michalak, chudy i wysoki jak na pilota, siedział bez ruchu, udając, że się nie denerwuje. Nie miał nic przeciwko roli podwładnego, tym bardziej że umiał o wiele mniej niż Tad. Na szczęście nie miał także nic przeciwko ryzykownym pomysłom. Major pospiesznie omówił szczegóły. Pod skrzydłami wszystkich ośmiu maszyn zawieszono makiety, imitujące pociski rakietowe klasy

powietrze-powietrze typu AIM-9M Sidewinder oraz nowsze AMRAAM, jak również gondole telemetryczne, mające pozwolić obserwatorom na ziemi na śledzenie lotu oraz ocenę trafień. Dzięki tym urządzeniom oraz zapisowi wskazań wyświetlacza danych na przedniej szybie HUD, można było po powrocie poznać i przeanalizować każdy wstydlivy szczegół kilkuminutowej walki. - Zadanie ma być trudne - tłumaczył Sokołowicz chropawą lecz zrozumiałą angielszczyzną. - Pamiętajcie o zasadach i o tym, jak to robiliście na ćwiczeniach, a wygramy.

Tad pokiwał głową. Kubek w kubek to samo major powtarzał podczas każdej odprawy. Miał oczywiście rację, tylko co z tego?

Sokołowicz zerknął tymczasem na Kendalla, który siedział bez słowa z boku, i patrząc na Amerykanina zapowiedział: - Gospodarz obiecał nam, że obmyśli coś ciekawego. Nie żadne ćwiczenie tylko autentyczny sprawdzian.

- Jak z Kobyashi Mam - zauważył żartem któryś z Amerykanów na sali. Polscy piloci, oprócz może majora, unieśli brwi. Zaśmiał się tylko Tad, który zresztą podejrzewał, że i Sokołowicz nie zna przygód filmowych bohaterów „Star Trek”, tylko umie się do tego nie przyznać.

Sokołowicz gestem uciszył salę i rzucił:

- Za piętnaście minut zapuszczamy silniki!

Jego rola w odprawie dobiegła końca. Major podszedł od niechcienia do przejścia, nachylił się prędko nad Wójcikiem i po polsku zapytał go szeptem: - Maszyny gotowe?

- Tak jest. Sprawdziliśmy tuż przed odprawą.

- Dobra jest. Jak zezwolą na kołowanie, wskakujcie na trzecią i czwartą pozycję w pierwszym kluczu.

- Rozkaz. - Tad sam wiedział, co do niego należy, ale skoro major uznał za stosowne przepowiedzieć z nim lekcję, proszę bardzo.

Sokołowicz i tak pokazał klasę zezwalając podwładnym na to, co wymyślili nocą. Jeśli wszystko się powiedzie... Dziesięć minut później polscy piloci i obsługa naziemna wysypali się na płytę lotniska. Prawie natychmiast powietrze rozciął ostry świst ruszających turbin. Tad puścił się pędem w stronę swojego hangaru, czując przyspieszenie tętna. Za nim tupał Michalak. We dwójkę wpadli przez drzwi, pilnowane przez polskiego sierżanta sztabowego. Podoficer zasalutował pilotom i w pędzie życzył im połamania karku. Po ostrym pustynnym słońcu, wspinającym się już

ponad horyzont, półmrok hangaru wydawał się atramentową ciemnością. Słońce zdążyło już nagrzać ściany. W dusznym, gorącym mroku wnętrza czekały dwa ciemne, wysmukłe F-15, gotowe do natychmiastowego startu. Samoloty wyglądały inaczej niż w ostatnich dniach. Wszystkie powierzchnie pokrywała brązowa i żółta, zmywalna farba. Nie zamalowano jedynie białych orłów na chwytach powietrza. Tad i jego partner rozbiegli się na dwie strony, by przygotować samoloty do startu. Z tak dobrymi mechanikami ostatnie oględziny stawały się właściwie formalnością, ale dobry pilot wszystko sprawdza po dziesięć razy, nawet gdy lot ma być tylko ćwiczebny. Poza tym bez sprawnego technicznie samolotu Tad ryzykował dziś życiem. Pieczołowicie sprawdził wyposażenie podwieszane pod skrzydłami. Oprócz dwóch symulatorów rakiet i gondoli telemetrycznej, u prowadnicy pod lewym skrzydłem wisiał biały zasobnik. Przedmiot przypominał nieco pocisk raketowy, choć pozbawiony stateczników i silnika. Zamiast nosa, zasobnik opatrzony był przezroczystym okulem. Tad przyklęknął, by sprawdzić czy działa umieszczony za szkłem czujnik promieniowania podczerwonego. Plan, jaki przedstawili z Michalakiem majorowi, był prosty, z wyłączonym radarem przytulić się blisko ziemi i we dwójkę przeszukiwać niebo wykrywaczami promieniowania cieplnego. Kiedy reszta dywizjonu będzie wyczyniać harce wysoko nad poligonem, oba F-15 miały szansę zniknąć nadciągającemu przeciwnikowi, by naraz zniemacka wskoczyć mu na ogon. Taktyki tej próżno byłoby szukać w podręczniku, lecz w walce powietrznej nie zawsze da się kurczowo trzymać reguł. Upewniwszy się, że wszystko gra, Wójcik wspiał się do kabiny i posprawdzał przyrządy. Podłączył słuchawki i zaraz usłyszał komendę „Silniki”. Co prędzej nacisnął starter, pamiętając, by machnięciem ręki dać znak obsłudze hangaru. Nawet z ochraniaczami na uszach mechanicy woleli wiedzieć, co się święci. Dwie pary potężnych silników odrzutowych ożyły, miotając dudniącym echem o ściany hangaru. Rozsuwające się przed nosem samolotu wrota wpuszczały coraz szerszą pręgę światła. - Klucze „Zielony” i „Niebieski”, zezwalam na start - poinformował znużonym głosem kontroler lotów. Trudno się mu było dziwić. Dzisiejszy start był dla niego jednym z tysiąca podobnych ćwiczeń. Tad zwolnił hamulce i popchnął manetki gazu trochę mocniej niż podczas zwykłego kołowania do startu. F-15 skoczył naprzód i wysunął się z

hangaru, a Tad przekonał się z zadowoleniem, że i tym razem udało mu się domyślić, co zrobi major. Sokołowicz rwał już po betonie drogi dojazdowej. Pierwsza para maszyn klucza „Zielonego” coraz bardziej przyspieszała i była już sto metrów przed Wójcikiem i Michalakiem. Zamiast czekać przed pasem dostali natychmiast zgodę na start i minutę później byli już w powietrzu, z rykiem silników wspinając się w poranne niebo. Zapowiadał się piękny lot.

9

Fala przyływu

15 listopada - Berlin,

międzynarodowy port lotniczy Tegel

Mrugający na szarym, zachmurzonym niebie rząd światełek wskazywał trasę, którą krążyły na niewielkiej mocy pasażerskie odrzutowce.

Piloci oszczędzali paliwo, czekając aż kontrola lotów zwolni główny pas, zarezerwowany dla startującej, pozarejsowej maszyny z francuskimi znakami. Miasto, nad którym krążyły samoloty, wydawało się ciemne, sparaliżowane zimą. Daleko pod skrzydłami odrzutowców przeraźliwie zimny, północny wiatr unosił pianę z powierzchni jeziora Tegel i gwizdał w gałęziach drzew dzielących akwen od terenu lotniska. Niesione podmuchami śnieżne płatki wirowały nad betonem pasów startowych, oblepiając szyby okrągłego dworca lotniczego i ściany kanciastych magazynów. Od południa śnieg roztapiał się i tonął w czarnej, oleistej toni Kanału Hohenzollernów. Wiatr czynił wszystko, by zedrzyć maskujące siatki z czołgów, transporterów opancerzonych i działek przeciwlotniczych, rozmieszczonych w odstępach wokół obrzeża lotniska. Kilka wozów pancernych stało na betonie pasów, inne wkopano w klomby i gazony pobliskiego parku Rehberge. Lufy sterujące z wieżyczek celowały w okna wieżowców i sklepów po wschodniej stronie pola wlotów. Na lotnisku Tegel obowiązywał stan wyjątkowy - podobnie jak w całych Niemczech. Inne, bo białoszare siatki maskujące rozciągnięto nad śmigłowcami wojskowymi przy oddalonym od budynków portu hangarze naprawczym. Specjalne uchwyty zabezpieczały wirniki przed podmuchami wiatru. Wśród śmigłowców widać było ostro nose PAH-2 do zwalczania czołgów, wspólne dzieło niemieckich i francuskich konstruktorów z koncernu Eurocopter, a także zwykłe UH-ID do transportu piechoty, produkcji Dorniera, który niegdyś kupił licencję na amerykańskiego Huey. UH-ID miały już

swoje lata, ale cóż - następca w postaci projektowanego ultranowoczesnego pionowzlotu wciąż pozostawał na papierze, w nękanych brakiem środków biurach zakładów Eurocopter. Wbrew deklaracjom polityków na temat znakomitych maszyn produkcji europejskiej, niemieccy komandosi i żołnierze wojsk desantowych woleli swoje staroświeckie śmigłowce amerykańskie, a co więcej, nie widzieli w tym nic śmiesznego. Natomiast żołnierze z kompanii honorowej nie widzieli nic śmiesznego w fakcie, że muszą stać na baczność na mrozie, oddając cześć spóźniającym się dygnitarzom. W szarych letnich mundurach, koszulach i krawatach do czarnych spodni i czerwonych beretów, żołnierze trzęśli się zwyczajnie z zimna. Na asfalt lotniska wyjechały z bramy trzy czarne Mercedesy i zatrzymały się obok hangaru. Z grzechotem metalu żołnierze prezentowali broń. Grupa polityków, która wysiadła z Mercedesów, ruszyła szybkim krokiem w stronę małego dwusilnikowego odrzutowca, ledwo widocznego za uchylonymi drzwiami hangaru. Para otwierająca pochód wyglądała na pogrążoną w zaciętej dyskusji. Wokół polityków szedł kordon cywili z obstawy. Nicolas Desaix wracał do Francji, kończąc drugą już w ostatnich dwóch tygodniach, błyskawiczną wizytę w Niemczech. - A więc doszliśmy do porozumienia, panie kanclerzu? Po wtarzam, sankcje gospodarcze, które proponujemy to nie tylko konieczność. W ten sposób jeszcze bardziej zbliżymy do siebie nasze kraje, zaczniemy ściślejszą współpracę... - Desaix naciskał do ostatniej chwili, chcąc przed powrotem do Paryża ujrzeć choćby jedną oznakę, że Niemcy ustępują. W takich chwilach jak obecna, zwykle niespieszne tempo rokowań dyplomatycznych wydawało mu się torturą. Desaix powtarzał sobie, że historia nie może czekać.

Heinz Schraeder, kanclerz Niemiec, spojrzał bacznie na Francuza. Dorównywał mu wzrostem, lecz znacznie przewyższał wagą, z racji masywniejszej budowy ciała. Rzednące ciemne włosy i obwisłe policzki nadawały mu wygląd melancholijnego buldoga. - Zgoda, panie ministrze, przynajmniej jeśli pyta pan o moje zdanie - przytaknął i wzruszył ramionami. - Oczywiście musi się na to zgodzić mój gabinet, ale... Zgodzi się, bo nie ma wyboru. Sam się pan przekona.

Przez kanclerza nie przemawiała wyłącznie pewność siebie gdyż rzeczywiście od niedawna miał w ręku wszystkie atuty Wyniesiony

do władzy na fali nienawiści wobec uchodźców i robotników cudzoziemskich, Schraeder opierał się z początku znikomej większości w Bundestagu, gdzie liberałowie co rusz próbowali obalić rządzącą koalicję. Teraz jednak, po wprowadzeniu stanu wyjątkowego, można było nareszcie się nie przejmować głosami opinii publicznej. - Doskonale! Wybornie. Następnym razem przywiozę ze sobą tekst porozumienia, jakie podpiszemy - zdecydował Desaix. Para polityków zniknęła we wnętrzu oświetlonego jarzeniówkami hangaru. Za Desaix i Schraederem przestąpili próg ich asystenci i ochroniarze. Pracownicy lotniska rozsunęli wielkie wrota na oścież, a dyżurni z ochronnymi słuchawkami na uszach rozstawili się na zewnątrz, by jak najszybciej skierować francuski odrzutowiec na pas. Zator w powietrzu nad Tegel zdążył przybrać takie rozmiary, że dla kontrolerów lotów liczyła się każda sekunda. - Przyjemnie było mi gościć u pana. Jak zresztą zawsze. Cóż, do następnego spotkania. - Desabc uściśnął dłoń Niemca i po składanych schodkach wbiegł do wnętrza samolotu, zza drzwi posyłając jeszcze ostatni kurtuazyjny gest. Asystenci, pomocnicy i ochrona wsiadła także, a francuska załoga przystąpiła do zamykania drzwi. Schraeder obserwował to wszystko z obojętną miną.

- Ciekawa postać ten Desabc, panie kanclerzu. Zaczynam rozumieć czar jego osobowości.

- Jaki czar? Czy wyście, Werner, z byka spadli? - warknął Schraeder i gniewnym spojrzeniem zmierzył osobistego sekretarza.

- Przeciwnie, dopiero teraz widać, jaka to wyszczekana, przewrotna świnią.

Sekretarz zrobił przerażoną minę, a rozbawiony Schraeder dokończył już spokojniej: - Nie ma najmniejszego znaczenia, co prywatnie sobie myślę o Desaix. Mniejsza o charakter, liczą się tylko jego pomysły. Dla czego? Bo my też możemy na nich skorzystać, nie tylko Francuzi. Poza tym nic się nie liczy. Kanclerz święcie wierzył w to, co mówi. W jego ocenie zbliżenie z Francją dawało najlepsze widoki na polityczne i wojskowe zjednoczenie kontynentu - na utworzenie mocarstwa, którego motorem stałby się niemiecki przemysł. Wcześniejsze wysiłki na rzecz zjednoczenia Europy rozbijały się dotąd o wiele nierozwiązywalnych kwestii. Każde państwo chciało zachować własną politykę gospodarczą, własną walutę, własną kulturę wreszcie

Dopiero teraz stało się jasne, jak absurdalne były zjednoczeniowe marzenia w sytuacji, gdy każdy ciągnął w swoją stronę - wysiłek był beznadziejny od samego początku.

Kanclerz parsknął gniewnie. Kto to widział, żeby dwa tak potężne państwa jak Niemcy i Francja tak się cackały z różnymi widzimisię małych, słabych państweczek? Nie tędy droga. Trzeba zacząć inaczej: słabsi powinni sami ruszyć za silniejszymi. Tylko w ten sposób uda się logicznie zorganizować cały kontynent. Kanclerz miał rozmaite zastrzeżenia co do Desaix, ale w tych kwestiach zgadzał się z Francuzem w zupełności. Nękaną waśniami etnicznymi i wojnami gospodarczymi Europie potrzebny był porządek. Ład, stabilizacja, a przede wszystkim dyscyplina. Tylko tą drogą Europie uda się zająć należne miejsce w świecie. A kto potrafi poprowadzić Europę w tę stronę? Jedyne Niemcy i Francja. Schraeder wolałby oczywiście nie dodawać „i Francja”, ale stać go było jeszcze na trzeźwą ocenę. Tylko bez głupich pomysłów! Świat za dobrze pamiętał wyczyny Trzeciej Rzeszy, by spokojnie zgodzić się na nową hegemonię Niemiec. Nawet obecne nieśmiałe i połowiczne kroki, jakie kraj Schraedera podejmował, by odzyskać dawne wpływy w środkowej i wschodniej części Europy obserwowano niesłychanie podejrzliwie. Co innego współpraca z Francją, bliska do tego stopnia, że postronnym będzie się wydawało, iż o wszystkim decyduje tak naprawdę Paryż. Tym sposobem obejdzie się bez krzyków i podejrzeń. Heinz Schraeder bezwiednie przytaknął własnym myślom. Przywódcy obu krajów od samego zakończenia drugiej wojny światowej próbowali, i to z niezłym skutkiem, wygasić niegdysiejsze niemiecko-francuskie antagonizmy. Wspólne spotkania na szczycie, wspólne manewry wojskowe, nieustanne deklaracje niemieckich kanclerzy i francuskich prezydentów o dozgonnej przyjaźni... Nic dziwnego, że w obu krajach zaczęto inaczej traktować sąsiadów. Przed Schraederem i Desaix stawała szansa skorzystania z tej wypracowanej przez tyle lat dobrej woli.

27 listopada - „Eurowaluta bliskim faktem”, wiadomość w „Wall Street Journal” Wczorajszy komunikat na temat bliskich planów utworzenia wspólnej niemiecko-francuskiej waluty oszołomił ekspertów od spraw polityki finansowej i zagranicznej. Mimo że centralne banki obu państw wciąż dopracowują szczegóły bezprecedensowego planu, francuski minister spraw zagranicznych,

Nicolas Desaix i kanclerz Niemiec, Heinz Schraeder, zdążyli już ogłosić, że nowa waluta, frankmarka (w skrócie FM) wejdzie w normalny obieg „w pierwszych miesiącach przyszłego roku”. Obaj politycy stwierdzili zgodnie, że porozumienie stanowi najistotniejszy krok na drodze ku planowanej od dawna, ogólnoeuropejskiej unii monetarnej. Optymizm ten wydaje się uzasadniony w świetle wypowiedzi polityków z takich państw jak Belgia, Austria, Węgry, Chorwacja, Słowenia oraz z kilku krajów bałkańskich. Wszystkie te państwa są żywotnie zainteresowane planami stworzenia nowej waluty. W przeszłości plany stworzenia wspólnej waluty w ramach dawnej Wspólnoty Europejskiej rozbiły się o nieuregulowane kwestie ceł handlowych i rządowych dotacji do przemysłu w poszczególnych krajach...

1 grudnia - „Orły nad Stonehenge”, artykuł w „International Defense Review” Kierownictwo Pentagonu potwierdziło nieoficjalne wiadomości, że oddziały 101 Dywizji Desantowej wezmą udział w planowanych na najbliższe lato manewrach armii brytyjskiej na Równinie Salisbury. Z przekazanych informacji wynika, że w ćwiczeniach w szybkim przerzucie wojsk za ocean, oznaczonych kryptonimem „Fala Atlantycka”, wezmą udział dwie spośród trzech dywizyjnych brygad desantowych, wsparte śmigłowcami szturmowymi i transportowymi oraz etatową artylerią. W czerwcowych manewrach weźmie udział ponad 30 tysięcy żołnierzy i lotników. Tym samym będzie to największa w ostatnich latach operacja amerykańskich sił zbrojnych. Niechętni decyzji Pentagonu politycy z Kongresu zdążyli już okrzyknąć plan manewrów „kolosalnym marnotrawstwem pieniędzy i czasu...”

11 grudnia - Paryż, Palais Royal

Nicolas Desaix wysłuchał raportu nadzwyczajnego wysłannika w milczeniu. Tylko zacięty wyraz twarzy ministra zdradzał, że Desaix w środku po prostu kipi. Desaix zaś kipiał, choć wiedział, że zawodowi dyplomaci z zasady unikają jasnych sformułowań - a już zwłaszcza wtedy, gdy przyjdzie im meldować o fiasku. Milczał jednak, czekając aż wysłannik przestanie pleść. - By podsumować wyniki naszych starań, panie ministrze: polski rząd wyraził zainteresowanie dalszymi konsultacjami na ten temat, choć zarazem zajął wyczekujące stanowisko wobec propozycji wszczęcia oficjalnych negocjacji. Wynikałoby stąd, że Warszawa przyznała doraźnej polityce wewnętrznej pierwszeństwo nad

bardziej perspektywiczną wizją współpracy.

- Kazali nam się pocałować...

Komentarz Desaix sprawił, że wysłannik zakreślił się nerwowo w fotelu. Dyplomatom nic tak nie utrudnia kariery jak publiczne przyznanie się do porażki. Dlatego wysłannik znów podchwycił poprzedni optymistyczny ton:

- Nie sformułowali tego w ten sposób, panie ministrze. To oczywiste, że tak skomplikowane sprawy wymagają nieraz dłuższego namysłu. Jestem przekonany, że drogą dalszych konsultacji zdołamy...

Urwał wreszcie, przygwożdżony lodowatym wzrokiem przełożonego. - Niech mi pan tu nie pieprzy trzy po trzy, Bourcet. Mnie pan nie zamydli oczu. Polska bezwarunkowo odrzuciła naszą propozycję! - Desaix zabębnił palcami po blacie, czekając na odpowiedź. - Odrzuciła, zgadłem? Czy tak?

- Tak, panie ministrze - wykrztusił wreszcie dyplomata.

- No, cóż. Jest pan wolny. Jutro rano chcę na biurku widzieć dokładny raport z przebiegu rozmów. Jasny i ze szczegółami. Żadnych krętaństw, bo ja tu nie mam czasu na zgadywanki! - dokończył Desaix, wertując stos dokumentów na biurku. Spasowiałego dyplomaty na odchodnym nie zaszczycił nawet spojrzeniem.

Obaj Francuzi wiedzieli, jaki będzie finał tej rozmowy. Desaix zakarbował sobie w pamięci, by dyplomatę wysłać przy najbliższej okazji w jakieś mało ciekawe strony. Możliwie daleko od Francji. Nie to, żeby Desaix zdumiała warszawska porażka wysłannika. Porażki należało się właściwie spodziewać, wiedząc z góry, że zawzięci i lekkomyślni Polacy nie będą chcieli dobrowolnie przystąpić do francusko-niemieckiej unii walutowej. De-saix rozgniewał przede wszystkim fakt, że Bourcet bezmyślnie próbuje ukryć prawdę za zasłoną dyplomatycznego bełkotu. De-saix wybaczał pechowcom, lecz nie tolerował ludzi, którzy go biorą za durnia. Minister prędko zapomniiał o Bourcecie, zaabsorbowany mnóstwem dużo ważniejszych spraw i kłopotów. Największą przeszkodą na drodze ku unii monetarnej i nowej Europie okazał się ośli upór niektórych państw. W ciągu kilku tygodni, jakie upłynęły od porozumienia Niemiec i Francji na temat wspólnej waluty, wysłannicy Desaix objechali cały kontynent, przypominając władzom krajów, których gospodarka zależała w dużym stopniu od Paryża i

Berlina, że pora zapomnieć o głupstwach i stanąć do szeregu. Wszystkie kraje wydawały się pogodzone z tą nieuniknioną perspektywą - to jest wszystkie, oprócz grupy zrzeszonej w „strefie wolnego handlu”. Grupa okazała się odporna na perswazję i kolejno odmówiła przejścia na stronę przeciwnika w trwającej na całym świecie wojnie handlowej. Desaix rozwścieczyła każda taka odmowa, lecz sprzeciw Polski, Czech i Słowacji odczuł jako osobistą zniewagę. Upór, z jakim trzy kraje trwały przy zasadach suwerenności i wolnego rynku dawał zły przykład agitatorom, podburzającym resztę państw Europy Wschodniej przeciwko bliższym związkom z Francją. Korzystając z poparcia Amerykanów, trzy państwa zaczynały się przeradzać w niechętny Francuzom organizm polityczny, mogący rozszerzyć wpływy na sąsiadów. Innymi słowy, trójka stawała się niebezpieczna. Desaix sam zdawał sobie doskonale sprawę, jak krucha będzie przez najbliższe miesiące czy lata montowana przez niego koalicja. Nowy ład w Europie mógł się rozsypać w gruzy przy lada starciu czy porażce, a wówczas - wówczas Francja musiałaby samotnie stawiać czoła wrogim sąsiadom. Potrzeba czasu, aby konfederacja założona przez nie lubiane, dyktatorskie rządy przerodziła się z mocny i trwały związek. Upór Polaków, Czechów i Słowaków mógł łatwo sprawić, że Desaix tego czasu zabraknie. Minister zasepił się jeszcze bardziej. Wiedział, że sytuacja staje się trudna. Skoro politycy wszystkich trzech krajów nie chcą dobrowolnie przystąpić do europejskiej federacji, przyjdzie ich do tego zmusić. Albo rządy Polski, Czech i Słowacji ugną się pod naciskiem, albo upadną, zmiecione przez własnych obywateli. Desaix rozchmurzył się stopniowo, lecz w jego uśmiechu było więcej drwiny niż wesołości. Ciemni Polacy i ich południowi sąsiedzi myślą, że nic im nie grozi, że odgradzili się od Europy cienką ścianą amerykańskiej i brytyjskiej pomocy wojskowej. Pora ich przekonać, że są w błędzie. Desaix podniósł słuchawkę sztyfrowego telefonu.

- Proszę mnie połączyć z ambasadą Rosji... Nie, od razu z ambasadorem.

21 stycznia 1998 roku - wolny od podsłuchu sektor ambasady USA w Moskwie Alex Banich pocieszał się, że wkłada głowę w paszczę lwicy na wyraźne życzenie tej ostatniej. - Dzwoniłaś do mnie?

- Aha. Chwila, coś tu jeszcze muszę sprawdzić... - przywitała go Erin McKenna nie odrywając wzroku od rozmigotanego ekranu

komputera. Jej palce migają po klawiszach trzymanej na podolku klawiatury, przynaglając do pracy już i tak ledwo dyszący pod lawiną danych procesor.

- Spokojnie, zaczekam. - Banich oparł się o futrynę, założył ręce na piersi i przez parę minut tłumiąc ziewanie przyglądał się temu, co robi Erin.

Również Erin wyglądała na niewyspaną: cienie wokół przekrwionych oczu i blada cera wskazywały, że ostatnie dni agentka Departamentu Handlu spędziła na odczytywaniu drobnego druku i śledzeniu niekończących się kolumn liczb na ekranie. Nawet długie, kasztanowe włosy Erin straciły połysk - kiedy nikt nie patrzył, owijała sobie ich kosmyki wokół palca albo przygryzała, pochłonięta zadaniem. Z faktów, pogłosek i czystych domysłów Erin McKenna próbowała przez ostatnie dni złożyć pewną logiczną hipotezę. Zwariowane dni na mieście i noce zarwane przed komputerowym ekranem stały się udziałem całego personelu od kilku miesięcy, to jest od dnia, w którym w Rosji wprowadzono stan wyjątkowy. Moskiewska placówka CIA cierpiała na niedobór personelu nawet w spokojniejszych czasach. Marszałek Kaminow i jego wesoła kompania dodatkowo skomplikowają wszystkim życie. Ambasady obcych państw otrzymały zakaz zatrudniania nowego personelu. Nie był to wcale jedyny nowy zakaz. W tej sytuacji trzeba się było dobrze uwijać. Banich i McKenna zwyczajnie nie mieli więc siły ani czasu na kłótnie. Nic dziwnego, że między parą wyczerpanych agentów nastąpiło w tej sytuacji coś w rodzaju niechętnego zawieszenia broni, opartego na ścisłym podziale obowiązków. Banich skupił całą uwagę na sytuacji politycznej i wojskowej Rosji, McKenna zaś wzięła na siebie wszystkie sprawy gospodarcze i handlowe. Wyszła na tym układzie lepiej niż Banich, bo udało jej się nawet wykryć to i owo. Jej informatorami w rosyjskich ministerstwach finansów i handlu zagranicznego byli liberałowie, którzy zamiast reform otrzymali w prezencie od władz stan wyjątkowy. Z ich biurka płynął do ambasady potok rozmaitych danych i informacji - tajnych, jawnych, a czasem rzadkich i nieoczekiwanych. Dużo gorzej szło Banichowi, który musiał wyłazić ze skóry, by podtrzymać fikcyjne istnienie Nikołaja Uszenki. Koszty działalności „ukraińskiego handlowca” wzrastały tymczasem w sposób astronomiczny, bo korzystając z nowej sytuacji, zaopatrywane przez Uszenkę ministerstwa domagały się coraz to

nowych dostaw po cenach dalekich od rynkowej. Banich nie mógł się nawet targować o dodatkowe ważne informacje, bo w każdej chwili i jego mógł objąć paragraf o walce ze spekulacją. Zyski malały, a wraz z nimi kurczyły się zasoby gotówki potrzebnej do tego, by kupować usługi coraz bardziej opornych informatorów. Ostatnio jednak nawet Banich odniósł pewien sukces, bo podobnie jak Erin zdołał nawiązać kilka nowych, ciekawych znajomości wśród cywilnych urzędników w rosyjskich agendach rządowych. Nawet w Ministerstwie Obrony znalazło się parę osób, którym nie w smak była wojskowa dyscyplina i próby nawrotu do stalinowskich planów pięcioletnich. Coraz częściej słyszało się plotki, że rosyjski prezydent - marionetka strzeżona dzień i noc przez GRU - nadal próbuje odzyskać władzę w państwie. Banich śmiał się z tych plotek, szerzonych chyba tylko przez naiwnych. Kaminow wykuł na pamięć podstawową zasadę rosyjskiej polityki mówiącą, że władzę dzierży ten, kto ma pepeszę z najdłuższą lufą. Kaminow i reszta generalicji zdążyli się okopać tak solidnie, że każda próba obalenia ich władzy była ryzykowna, a już z pewnością krwawa. Co gorsza, wobec podziałów jątrzących Zachód, nie sposób było marzyć o zmianie porządku w Rosji drogą nacisku z zewnątrz. Erin triumfalnie pacnęła w klawiaturę, włączyła drukarkę i określiła się razem z fotelem ku drzwiom. - Dzięki, że chciało ci się czekać. Musiałam sobie zapisać parę pomysłów zanim się rozwieją w siwej mgle - zaczęła i stukając się czoło pokazała, gdzie znajduje się największe skupisko mgły. - Drobiazg - bąknął Banich i przez chwilę zastanawiał się, czy warto się wyprostować. E, nie warto. W niczym człowiek nie znajdzie takiego oparcia jak w futrynie. - Co tam dla mnie wymyśliłaś? Mam porwać ministra handlu? Gwizdnąć klejnoty z carskiego skarbcza? A może masz dla mnie jakąś poważniejszą robotę? Wiem! Chcesz, żebym namówił Kutnera, żeby ci kupił lepszy komputer.

- Nie zgadłeś - McKenna uśmiechnęła się lekko, kącikami ust. - Fakt, że pomysły masz niezłe, ale to nie to. Chcę, żebyś ruszył dla mnie trochę głową - dodała poważniejąc.

- Ha, strzelaj.

- Nie mogę, nie wzięłam strzelby - Erin mrugnęła do Banicha udając, że nie słyszy jego jęku. Trudno, nie tylko Banichowi wolno robić kretyńskie żarciki. - Dobrze, już ci mówię. Wydaje mi się, że coś mi się zaczyna składać z tych wszystkich

informacji, ale może mi się tylko wydaje. Posłuchaj i sam powiedz czy nie majaczą. Akurat się nadajesz, jako urodzony cynik. - Ja i cynik!

- Przecież nie ja - zaśmiała się McKenna.

- Trudno. Słucham - zgodził się Banich, który nauczył się nie lekceważyć domysłów Erin. Ludzie z wywiadu bardzo zaczęli na ślepo wierzyć we własne domysły i teorie, co było ryzykowne, gdyż teorie te już z definicji wysnuwano na podstawie informacji niesprawdzonych, niekompletnych i nader często sprzecznych. Dobrego analityka poznaje się po tym, że nie boi się oddać swego ukochanego dzieła na pożarcie kolegom. - Albo lepiej pokaż - Banich oderwał się od futryny i przysiadł na krawędzi biurka Erin.

- Już się robi. Nie przejmuj się tylko, bo to dosyć poplątana historia - zaczęła Erin i wyciągając się w fotelu szukała właściwego początku. - Najpierw zdradzę ci pointę: Francuzi mocno zwiększyli swoją pomoc dla Rosji. I rządową, i tę na szczeblu przedsiębiorstw. Nie wiem natomiast, w zamian za co i dlaczego. Kiedy McKenna zaczęła wyliczać wnioski, zawsze zaznaczając, gdzie kończą się fakty, a zaczynają domysły, jej głos zmienił się dziwnie. Banich słuchał uważnie, czując że Erin coraz bardziej mu imponuje umiejętnościami. Potrafiła, jak się okazało, połączyć w jedną całość dziesiątki informacji. Część faktów była tak zagmatwana, że wykrycie ich graniczyło z cudem. McKenna pokazała na przykład Banichowi tajemnicze, krótkie dopiski na listach przewozowych, a także szyfrowane ślady transakcji w komputerowych archiwach centralnego banku Rosji. Czasem informacje pochodziły z prywatnych rozmów Erin z rosyjskimi przemysłowcami, czasem też z nasłuchu radiowego i podsłuchu satelitarnego Narodowej Agencji Bezpieczeństwa USA. Same w sobie wszystkie te informacje nie miały na dobrą sprawę znaczenia, jak osobne plamki farby na impresjonistycznym malowidle. Dopiero kiedy się odstało od płótna, różnobarwne ciapki zaczynały się składać w pewien obraz. Na szczęście Erin McKenna umiała odczytywać obrazy w kłębach pozornie oderwanych danych. Banich wysłuchał relacji do końca, a potem nachylił się nad biurkiem. - Chwileczkę, powiedz mi, czy dobrze cię rozumiem. Chcesz powiedzieć, że Francuzi uruchomili ogromną pomoc dla rosyjskich władz i dla przemysłu. Kredyty bez oprocentowania, po prostu darowizny, nowe wielkie dostawy maszyn

i urządzeń, części zamiennych, oprogramowania... Do użytku wojskowego albo cywilnego, jak kto chce. A wszystko to w okresie paru ostatnich tygodni. Czy tak?

- Dokładnie tak.

- No, dobrze, ale jaką mniej więcej wartość mają te dostawy? -

Z tego, co widziałam... - Erin pokiwała głową. - Chodzi o conajmniej dwa miliardy dolarów. Zgaduję, oczywiście, ale chyba się tak bardzo nie mylę, zobaczymy.

Banich gwizdnął zdumiony. Dwa miliardy dolarów pomocy zagranicznej w okresie pięciu czy sześciu tygodni nie miało precedensu. Cały roczny budżet pomocy USA dla reszty świata opiewał na piętnaście czy szesnaście miliardów. Roczny, nie miesięczny. - Co te żabiszony chcą osiągnąć, co?

- Też nie mam pojęcia - przytaknęła Erin. - Wszystkie dostawy i kredyty są utajnione, więc rzecz na pewno nie w tym, żeby rozkochać w sobie babcię-Rosję.

- Racja - Banich zaczął rozcierać obolały kark. - Ale nie wmówisz mi chyba, że Paryż szarpnął się na taki wydatek ot, dla kawału.

Żabiarze mają jakiś interes do Kaminowa i spółki. Po ważny interes. Waśnie... O co im chodzi?

- Na pewno o nic dobrego.

- Chyba nie. Nic, pora się rozmówić z Kutnerem - Banich wstał z blatu i od drzwi zauważył: - Jeśli nam uwierzy, rano pocztą dyplomatyczną wyślemy twoje meldunki do Waszyngtonu. Co z tego, że mało wiemy, sprawa jest za poważna, żeby kaligrafować im raport.

Erin ze znużeniem skinęła głową i znów pochyliła się nad klawiaturą. Banichowi zrobiło się jej żal: wiedział, że Erin całą noc będzie musiała siedzieć przy komputerze, ale nie było innej rady. Placówka w Moskwie to nie miejsce dla śpiochów. Zamykając drzwi, rzucił jeszcze: - McKenna?

Erin obejrzała się przez ramię.

- Dobra robota.

Erin przez chwilę miała ochotę dać mu w głowę teczką-dyplomatką. 23 stycznia - Polska, stacja kompresorowa w Hajnówce, na trasie gazociągu „Przyjaźń 2”

Stacja kompresorowa tłocząca rurociągiem ze wschodu gaz ziemny zajmowała ładnych parę hektarów tuż nad granicą białoruską.

Warsztaty, laboratoria, remizy strażackie i baraki administracji

otaczały długą, blaszaną halę z przyległą chłodnią kominową. Z wierzchołka chłodni ulatywała w bezchmurne niebo biała para. Choć na pobliskich polach leżało dobre dwadzieścia centymetrów śniegu, w obrębie ogrodzenia ziemia była czarna, rozjeżdżona spychaczami i kołami ciężarówek. Łopaty, lemiesz i ciepło dziesiątków potężnych maszyn stacji z łatwością dawały sobie radę z zimową przyrodą. Na hali głównego kompresora dwóch mechaników przycupnęło obok potężnej pompy zwrotnej - potwora napędzanego gazem, wysokiego na trzy metry i długiego na dziesięć.

Każdy z szesnastu cylindrów urządzenia był wielki jak beczka piwa. Maszyna była jednym z osiemnastu identycznych urządzeń, rozmieszczonych parami wzdłuż osi hali. Z każdego kompresora wybiegały wiązki rur, oznaczonych różnymi kolorami. Główny inżynier stacji, Tomasz Rożek, klepnął kolegę po ramieniu i przekrzykując niemilknący, przeraźliwy hałas urządzeń zawołał: - Pięknie, panie Staszku! Teraz tylko podociągać śruby, i wszystko gra! ,

Młodszy monter wyciągnął kciuk na znak, że naprawa rzeczywiście się udała, po czym znów przykucnął przy urządzeniu, przykręcając pokrywę nad zaworem dolotowym. Rożek podniósł się z wysiłkiem, w duchu klnąc zeszywniałe plecy i kolana. Gdzie te lata, kiedy się pierwszy wspinał na rusztowania i fikał wśród płataniny rur jak jakiś szympan! Szkoda gadać. Trzydzieści pięć lat harówki w przemyśle - najpierw w PRL-u, później w Rzeczypospolitej - i już mamy skutki. Pora na emeryturę. Inżynier doczłapał do grubych metalowych drzwi przy końcu hali, w marszu machinalnie sprawdzając, jak pracuje reszta gigantycznych kompresorów. Nadzór techniczny to nadzór. Załoga może sobie rzucać mięsem i pomstować na ciągłe oględziny, inżynier wiedział swoje. Jeśli dzięki temu da się w porę zapobiec grubszej awarii... Główny inżynier stacji umiał wpoić swoim pracownikom podstawowe zasady bezpieczeństwa, zwłaszcza że sam przestrzegał ich świątek i piątek. Gaz ziemny pod ciśnieniem to nie siki ciotki Weroniki. Raz człowiek czegoś nie dopatrzy, i już frunie do nieba. Stacja w Hajnówce była jednym z kilku zespołów kompresorów wzdłuż trasy gazociągu „Przyjaźń 2” wiodącego z Rosji, przez odgałęzienie białoruskie, do północno-wschodniej Polski, a stamtąd do Niemiec. Rozstawione co trzysta kilometrów stacje tłoczyły gaz przez parę rur metrowej średnicy, nadając mu właściwe ciśnienie - około 75 atmosfer. Z

wysokim ciśnieniem szła w parze wysoka temperatura. Nie da się stłoczyć rozpedzonych cząsteczek gazu w tak ciasnej przestrzeni nie rozgrzewając go porządnie. Naprawdę porządnie: gaz płynący przez rurociągi i kompresory stacji miał temperaturę ponad 350 stopni Celsjusza. Jedna mikroskopijna dziurka w rurociągu wystarczy, by z rury wytrysnęła ognista kula o dwudziestometrowej średnicy, płonąca dopóki nie zabraknie paliwa. Rożek naoglądał się w życiu zwęglonych zwłok tych, którzy o tym wszystkim zapomnieli. Nie miał ochoty wracać do tych widoków, więc pilnował wszystkiego i wszystkich.

Dyspozytornia na końcu hali wydawała się po tym wszystkim oazą względnej ciszy i spokoju. Gruba warstwa izolacji zmieniała ogłuszający ryk maszyn w niski, stały pomruk. Czwórka techników siedziała przy długiej tablicy rozdzielczej z rzędami wskaźników, sprawdzając odczyty przepływomierzy rozmieszczonych co trzydzieści kilometrów wzdłuż trasy gazociągu. Inżynier dobrze zamknął drzwi i wyjął z uszu ochronne zatyczki. - Jak tam rura?

- Lepiej niż własna, panie inżynierze.

- No, i dobrze - Rożek parsknął i dodał pod adresem dowcipniasia:

- Na przyszłość nie zabawiajcie się w złym towarzystwie. Pacnął ciężko na krzesło przy metalowym biurku. Z okna dyspozytorni widać było cały teren stacji. Rożkowi przysługiwał wprawdzie pokój w zacisznym baraku administracji, lecz inżynier wolał dyspozytornię, gdzie przynajmniej zawsze się coś działo. Z wygod pozwalał sobie tylko na miękki, obrotowy fotel - ten sam, w którym teraz rozsiadł się z westchnieniem i zaczął przerzucać stertę raportów technicznych, harmonogramów i zażaleń od związków zawodowych. Cokolwiek by się nie działo, papierków nigdy człowiekowi nie zabraknie. Rożek nie znosił papierków. Ze skupienia wyrwały inżyniera dopiero dzwonki alarmowe.

- Na jedynce i dwójce spada ciśnienie! Ale leci! Już tylko 67 atmosfer!

Matko Boska! Rożek określił się do okna, święcie przekonany, że na niebie nad okolicą ujrzy kłęb płomienia i dymu. Nie ujrzał jednak, toteż domyślił się, że pęknięcie musiało nastąpić gdzieś dalej. Ale zaraz, dlaczego w obu przewodach? Nitki gazociągu dzieliła od siebie kilkumetrowa warstwa ziemi, właśnie ze względu na niebezpieczeństwo pęknięcia. - 60 atmosfer! Ciśnienie dalej spada!

Inżynier zerwał się z fotela i podbiegł do tablicy rozdzielczej. Zupełnie jakoś zapomniał o obolałych plecach. Przez ramię dyżurującego technika spojrzął na staromodne, zegarowe wskaźniki. Dyspozytorni od dawna należały się nowe, elektroniczne przyrządy, ale na razie Warszawa nie miała funduszy na modernizację. Strzałki zegarów opadały nadal, sięgając już 57 atmosfer. W hali, do której przylegała dyspozytornia, miarowy grzmot kompresorów zmienił tonację i przyspieszył, reagując na spadek ciśnienia. Wizg maszyn sprawił, że po plecach Rożka przebiegł dreszcz. Silniki rozpędzały się nadmiernie. Lada chwila rozlecą się na części, rozrywając rury z łatwopalnym gazem! Inżynier sięgnął technikowi przez ramię i szarpnął przełącznikami, wyłączając pierwszą parę kompresorów.

- Wyłączać! Wyłączać wszystko, jak leci! Prędko!

Technicy rzucili się ku tablicy, wypełniając polecenie. Nie czekając, aż skończą, Rożek złapał za słuchawkę linii łączności z poprzednią stacją na trasie gazociągu - trzysta kilometrów na północny wschód, bliżej granicy Białorusi i Rosji. Słuchawkę podniósł tamtejszy dyżurny, rdzenny Rosjanin, sądząc po akcencie.

- Stacja kompresorowa numer sześć.

- Mówi główny inżynier z Hajnówki - zaczął Rożek, na chybił trafił szukając w pamięci rosyjskich słów. Nauczył się tego języka tylko tyle, na ile musiał, a już na pewno nie po to, by recytować Puszkina. - Wygląda u nas, że pękł rurociąg. Wyłączamy wszystkie kompresory.

- Co pękło? Nic nie pękło, inżynierze! - stwierdził zagadkowo Rosjanin na drugim końcu linii. '

- Nie? No, to co się dzieje, u Boga ojca?!

- Chwileczkę.

Rożek usłyszał, jak rozmówca przełącza go na inną linię. Zaraz potem w słuchawce rozległ się nowy głos, spokojny i odmierzony. - Główny inżynier z Hajnówki to wy?

- Ano, ja.

- Mówi pułkownik Wiktor Poljakow, komisarz wojskowy Wspólnoty na cały okręg. Przejeliśmy szóstą stację. Możecie wyłączyć kompresory i jechać na wakacje. - Rosyjski wojskowy umilkł, po czym wypalił: - Kazano mi was poinformować, że przerywamy wszystkie dostawy ropy i gazu dla waszego kraju. Od zaraz. Taki rozkaz.

Rożek mocniej ścisnął słuchawkę.

- Rozkaz? Czyj rozkaz? Co? Skąd?

- Z Moskwy - odpowiedział pułkownik i odłożył słuchawkę. Rożek stał jak ogłupiały z telefonem w ręku, rozważając w myślach skutki tego, co usłyszał, a potem szepnął:

- By cię szlag...

Odłożył czerwoną słuchawkę łączności alarmowej i podniósł inną, czarną, łącząc się z polskim Ministerstwem Przemysłu. -

Warszawa? Rożek mówi! Rożek, z Hajnówki! Połączcie szybko z ministrem. Jak to, co? No, straszna afera!

25 stycznia - Waszyngton, Biały Dom

Członkowie Narodowej Rady Bezpieczeństwa rozsiedli się tym razem w sali posiedzeń gabinetu w Białym Domu - z konieczności, jako że w piwnicznej sali sztabowej akurat trwał remont. Brygady monterów instalowały tam sprzęt wartości wielu milionów dolarów: sterowane komputerowo ekrany i szyfrowe urządzenia łączności, pozwalające prezydentowi w razie potrzeby porozumiewać się jednocześnie z własnymi sztabowcami i z przywódcami sojusznicznych państw. Oczywiście jak na złość remont urządzono w chwili, kiedy sala sztabowa zaczynała być naprawdę potrzebna. Ross Huntington pierwszy raz miał okazję brać udział w posiedzeniu Rady i wcale nie czuł się dobrze w tym towarzystwie. Zerkano na niego co rusz z foteli wokół ogromnego prostokątnego stołu, czasem z ciekawością, lecz najczęściej z wyrazem zawiści. Coraz więcej osób wiedziało, że Huntington to nieoficjalny zausznik prezydenta, a zatem ktoś, przed kim trzeba się mieć na baczności. Sam Huntington również wiedział, jak waszyngtońscy dostojnicy zazdroszczą mu wpływów w Owalnym Gabinetecie. Jedna nieostrożność, jeden błąd wystarczy, aby błysnęły noże w postaci złośliwych napaści w prasie, przecieków, pomówień. Politycy mają jedną wspólną cechę z resztą morskich drapiezców: rzucają się do walki, gdy tylko poczują wokół siebie najlżejszą woń krwi. Mimo to Huntington zmusił się, by skupić całą uwagę na wprowadzeniu, wygłaszanym przez Clintona Scofielda, miłego, rudowłosego sekretarza do spraw energii. - Zaznaczę od razu na wstępie, panie prezydencie, że Polacy władowali się w straszne szambo, a Czesi i Słowacy mają się niewiele lepiej!

Scofield, były gubernator Południowej Karoliny, słynął z ostrego języka. W Waszyngtonie często powtarzano, że

czterdziestopięcioletni wdowiec uwielbia piękne konie i szybkie kobiety. Prócz tego jednak Scofield znany był z ogromnej wiedzy fachowej, z tego, że w razie potrzeby pracuje dzień i noc i z tego wreszcie, że odznacza się całkowitą lojalnością. Te ostatnie cechy rozgrzeszały go w oczach Huntingtona ze wszystkich wad i win. - Polska musi importować ponad 98 procent ropy naftowej, z czego 90 procent kupowała w Rosji. Z gazem ziemnym wyglądają trochę lepiej, ale nie aż tak świetnie. W zeszłym roku syberyjski gaz pokrywał 60 procent ich potrzeb. Podobnie wygląda sytuacja w obu pozostałych krajach.

- Mają jakieś zapasy? - zaniepokoił się sekretarz stanu, Harris Thurman, bawiąc się wystygniętą fajką. W Białym Domu obowiązywał zakaz palenia. - Musieli chyba zostawić sobie jakieś rezerwy strategiczne?

- Niby tak, ale nie jest tego wiele - odrzekł Scofield. - Wystarczą im na dwa tygodnie normalnego zużycia. Góra miesiąc, po wprowadzeniu wszystkich oszczędności, jakie planują. Miesiąc ??najwyżej. Tak czy owak, do końca zimy zupełnie się im rozwali cała gospodarka. Ocena sekretarza zaskoczyła większość zebranych. Amerykańska rezerwa strategiczna stanowiła trzymiesięczny zapas ropy naftowej dla całego kraju. Czasem trudno było sobie wyobrazić, że inne, uboższe kraje nie mogą sobie pozwolić na taki luksus i obchodzą się mniejszym zapasem. - Może powinni poszukać innych źródeł dostaw? - wtrąciła ze znajomością rzeczy brunetka, która w obecnej administracji kierowała polityką finansową USA. Wyciągając biuletyn przygotowany przez biuro informacyjne departamentu energii kobieta zwróciła się już pod adresem Scofielda: - Sami tutaj piszecie, że na rynkach istnieje stała nadwyżka ropy i gazu ziemnego w stosunku do popytu. Jeśli to prawda, powinniśmy namówić tamtych, żeby zaczęli kupować ropę gdzie indziej, i po kłopotach.

Kilkoro członków gabinetu rządowego odchrząknęło z aprobatą. Huntingtona wcale nie dziwiło, że nawet ścisła elita władzy nie ma jednolitego zdania nawet co do podstawowych kwestii polityki kraju. Było nawet sporo takich, którzy otwarcie się sprzeciwiali nowym działaniom amerykańskim za oceanem. Bieżące potrzeby Ameryki wydawały się ważniejsze, toteż łatwiej było znaleźć na nie fundusze w budżetach poszczególnych departamentów. Grupie tej przyklaskiwali zwolennicy izolacjonistycznej polityki z Kongresu.

- Sprawa nie wygląda aż tak prosto - zaznaczył Scofield i również odchrząknął. - Nie da się kupić ropy na wolnym rynku bez twardej waluty, to znaczy bez dolarów, a tych akurat zaczęło brakować i Polakom, i Czechom czy Słowakom. Rosji płacili za ropę i gaz w towarze, posyłali swoje wyroby przemysłowe, maszyny, chemikalia, komputery i co tam jeszcze, ale trudno się spodziewać, że kraje OPEC pójda na podobną wymianę. Wszyscy zgodzili się przynajmniej z tą oceną. Światowe mocarstwa surowcowe nie bawiły się w końcu w filantropię. Prezydent po raz pierwszy wtrącił się do dyskusji i patrząc na siedzącego kilka miejsc dalej dyrektora CIA, Waltera Quinna, zapytał: - Nie ma wątpliwości, że to Francuzi stoją za tym nowym embargo?

- Najmniejszych.

- Paryż chce wciągnąć do swojej unii walutowej całą Europę Wschodnią, a opornych doprowadzić do bankructwa - sekretarz stanu również uznał za stosowne wtrącić własne zdanie.

Prezydent nieznacznie skinieniem głowy potwierdził, że zgadza się z Thurmanem, po czym znów odwrócił się do Quinna.

- Jedno mi się tutaj nie zgadza, Walt. Co na to wszystko Niemcy?

Przecież oni także brali tymi rurociągami ropę i gaz, prawda?

- Dokładnie tak. Na potrzeby fabryk i rafinerii we wschodniej części kraju. Oni też zdrowo zapłacą, żeby załatać dziurę zakupami na wolnym rynku.

Huntington zapisał w myślach nowy punkt na prezydenckim koncju.

Sam, przygotowując się pospiesznie do zebrania, kompletnie

zapomniał o Niemcach i ich roli. - W wypadku Rosji wiemy przynajmniej, że straty wynikłe z embarga w całości pokrywa im Paryż. Czy wobec Niemców są równie hojni?

Szef wywiadu zrobił niepewną minę. Ostatnio znajdował się poza zasięgiem krytyki - któż jeśli nie CIA potrafiło w porę uprzedzić prezydenta o puczu Kaminowa albo o francuskiej tajnej pomocy dla Rosji? Tym razem musiał jednak przyznać się do niewiedzy. - Może pokrywają straty i Niemcom, ale nam przynajmniej nic o tym nie wiadomo. Moim zdaniem tego nie robią, ale nie ma pewności czy tak, czy nie. Brak nam zaufanych źródeł w rządzie Schraedera...

Ostatnia wiadomość również nie zdziwiła Huntingtona. Niemcy były zaufanym sojusznikiem USA przez ponad pół wieku - bliskim partnerem w długich zmaganiach z komunistyczną Rosją.

Przestawienie CIA ze współpracy z Niemcami na mniej pokojowe tory musiało zabrać mnóstwo czasu. Inna sprawa, że najmniejszy choćby ślad, iż Francuzom nie chciało się uprzedzić Berlina o planowanych krokach, mógł oznaczać bardzo wiele. Być może kwitnąca przyjaźń francusko-niemiecka nie wyglądała aż tak różowo jak w relacjach rzeczników obu rządów. Warto było przyjrzeć się bliżej tej kwestii.

Prezydent miał chyba podobne zdanie, bo wycelował palcem w dyrektora CIA i polecił mu: - Przekop cały cmentarz, Walt. Musimy dokładnie wiedzieć, kto nakręcił to cholerne embargo.

Przesunął wzrokiem wokół stołu i podsumował:

- Cóż, moi państwo! Do rzeczy. Że nasi polscy i czescy przyjaciele wpakowali się w kabałę, to jasne. Dużo mniej jasne jest dla mnie, co konkretnie powinniśmy zrobić z tym wszystkim. -

A czy w ogóle coś musimy robić? - zapytała prosto z mostu szefowa Departamentu Skarbu. Wiedziała z doświadczenia, iż prezydent szczerze w opiniach ceni bardziej od potakiwania. - Nie bardzo sobie wyobrażam, co zyskujemy, decydując się na interwencję. Co nas niby obchodzi czy tamci płacą za ropę w złotych czy we frankmarkach? Ostatecznie zyski z naszych inwestycji w tamtych krajach nie wystarczą na spinacze biurowe dla Białego Domu, więc niby dlaczego... - Ale co chcesz nam konkretnie zaproponować, Katherine?

Mamy umyć ręce i udawać, że się nic nie stało?

- Oczywiście, że tak. Dlaczego? Są dwa proste powody - za czeła szefowa Departamentu tym samym równym, precyzyjnym tonem, z jakim urzędowała kongresmenom wykłady z podstaw ekonomii. - Po pierwsze: jeśli zagwarantujemy ciągłość dostaw paliw dla tych krajów, wkrótce zabraknie nam gotówki. Przecież to beczka bez dna. Nas na to po prostu nie stać. Poza tym, nie ma co się łudzić. Żaden Amerykanin nie zgodzi się płacić cudzych rachunków za prąd. Sami mamy dosyć kłopotów u siebie. Dobrze, a po drugie: niedobór ropy jest sztuczny, tak? Prędzej czy później Rosjanie będą musieli gdzieś tę ropę sprzedać. A zatem również embargo musi się skończyć. Musi, prędzej czy później! Jeżeli Warszawę, Pragę i Bratysławę uderzy to po kieszeni, trudno, ale dziury w niebie nie będzie.

Kilkoro spośród zgromadzonych znów przytaknęło. Inni mieli wyczekujące miny. W polityce zagranicznej najbardziej opłaca się

biernie czekać, co będzie dalej. Huntington sam nie wiedział, kiedy się wtrącił do dyskusji. Miał zamiar siedzieć cicho i słuchać, co mówią inni. - Z całym szacunkiem wobec przedmówców, panie prezydencie... Pozwolę sobie zauważyć, że sekretarz skarbu nie wie, co mówi. Nie wolno nam przymykać oczu na to, co się tam dzieje. Wszystkie pary oczu zwróciły się nagle w stronę Huntingtona. - Mamy do czynienia z klasyczną prowokacją. Francuzi idą o zakład, że nie zdecydujemy się wesprzeć tamtych krajów. Dla tego że nie chcemy, albo że nas na to nie stać, wszystko jedno. Jeżeli odwrócimy się od Polski i reszty, jeżeli nam zadrży ręka, możemy się na długie lata pożegnać z wolnym handlem z Europą. Za to Włosi, Holendrzy i Hiszpanie dowiedzą się nareszcie, że kiedy tylko Francuzi i Niemcy zaczynają naciskać, my składamy karty. Po takiej lekcji wszystkie normalne rządy w Europie na wyścigi pognają do Paryża. Poza tym wiadomo, że każdy, kto przystąpi do całej tej unii monetarnej z góry zgadza się na francusko-niemiecką politykę zaporowych ceł i dotacji. Co to znaczy? Znaczący to, że utracimy tam ostatnie rynki i przegwizdamy ostatnią szansę na zakończenie wojny handlowej. Znaczący to, że za parę lat ogłosimy bankructwo. Huntington spojrział prosto w oczy pani sekretarz skarbu.

- W tym jednym przypadku nie możemy pójść po najmniejszej linii oporu. Niestety, musimy działać.

Niespokojną ciszę, jaka zapanowała po tym gwałtownym wybuchu, przerwał dopiero mocny i zdecydowany głos prezydenta. - Ross ma absolutną rację. Nie mówiąc o tym, że nie wypada nam zostawiać tamtych na łaskę losu, skoro nam zaufali.

Prezydent odwrócił się do sekretarza stanu.

- Harris, chciałbym, żebyś mi zorganizował kilka spotkań. Muszę się porozumieć z premierami Wielkiej Brytanii i Norwegii, tak raz dwa. Najlepiej przez łącza satelitarne, ale jeśli będzie trzeba, sam tam polecę.

- Oczywiście - zgodził się Thurman, zapominając o wcześniejszych obiekcjach. Nie od dziś potrafił wyczuć, w którą stronę zmierza lokator Białego Domu.

Clinton Scofield nachylił się ponad stołem.

- Będziemy prosić Anglię i Norwegię o dostawy z Morza Północnego?

- Tak sobie to mniej więcej wyobrażam.

- Całkiem słusznie - przytaknął Scofield, który pamiętał, że

jeszcze w latach siedemdziesiątych, spodziewając się stałych dostaw libijskiej ropy, Polacy zbudowali w gdańskim Porcie Północnym dużą bazę przeładunku paliw. Rurociągi biegły stamtąd do Warszawy i innych większych miast, w tym także na południe, ku Czechom i Słowacji. Co najważniejsze, ogromne zasoby ropy i gazu pod dnem Morza Północnego dzieliło od Polski ledwo kilkaset kilometrów. Krótsze rejsy zbiornikowców pozwalały ograniczyć koszt przewozu.

- Dobrze, tylko w jaki sposób mamy zapłacić za tę naszą hojność? - zapytała wciąż nie przekonana zwierzchniczka Departamentu Skarbu.

- Polacy i Czesi zapłacą tyle, ile mogą. W dolarach i w towarze, ma się rozumieć, a co do reszty? - prezydent wzruszył ramionami.

- Za resztę dopłacimy sami. Przede wszystkim spróbujmy wycisnąć trochę środków w ramach poprawek budżetowych. Może uda nam się przekonać Kongres, że dla czegoś

takiego warto zrezygnować z paru innych przedsięwzięć na własnym podwórku - dodał prezydent bez przekonania, bo przecież sam od lat walczył z wszelkimi zbędnymi wydatkami. Fakt, że był skłonny odwrócić całą dotychczasową politykę o sto osiemdziesiąt stopni, bardziej niż wszystko inne świadczył, iż prezydent naprawdę postanowił walczyć o Europę Wschodnią. Potwierdziły to następne słowa;

- Jeśli nie znajdziemy nowych funduszy, zabierzemy część pieniędzy przewidzianych na pomoc zagraniczną.

Harris Thurman zbladł, wiedząc, że to on jako sekretarz stanu będzie musiał się tłumaczyć rozmaitym rządów z zerwanych obietnic. - Narobimy sobie wrogów w Kongresie - ostrzegła pani sekretarz skarbu.

- W Kongresie? Kongres, droga pani, najchętniej bym wysłał do...

Do Gdańska - dokończył prezydent z drapieżnym uśmiechem.

Huntington pokiwał głową. Prezydent powziął decyzję. Wszyscy wiedzieli, co się kryje za słowami o wspieraniu przyjaciół.

Ameryka przystępowała do walki o Europę Wschodnią.

10

Iskra

4 lutego 1998 - główne wiadomości dnia, codziny przerywnik programu CNN

Przeplływające po ekranie obrazy porażały niesamowitością, lecz

także swoistym pięknem. Gigantyczny, czerwonej barwy kadłub zbiornikowca bez najmniejszego szmeru wciskał się w cieśninę między Danią a Szwecją, z prędkością dziesięciu węzłów mijając kamienne falochrony, domy i dostojne wieże kościelne Kopenhagi. Statek przytłaczał swym ogromem sąsiednie jednostki - dwa holowniki i kuter pilota, czuwające nad przejściem zbiornikowca na Bałtyk. Trasę czerwonego kadłuba oblegało mrowie żaglówek, udrapowanych w transparenty protestacyjne i odpędzanych co chwila przez policyjne motorówki. Po wodzie niosły się dalekie dźwięki syren i echo skandowanych haseł. Na wstępie najważniejsza wiadomość dnia: Zachód rusza z pomocą energetyczną dla odciętej wskutek embarga polskiej gospodarki. W świetle faktu, że we wszystkich polskich rafineriach ostatecznie kończą się zapasy surowca, pierwszy rejs tankowca z dostawami ropy z Morza Północnego jest dla Warszawy i świata wydarzeniem szczególnie ważnym. Wzdłuż prawie całej trasy rejsu doszło do licznych wystąpień obrońców środowiska naturalnego. Duńska policja nie aresztowała nikogo z manifestantów, wbrew wcześniejszym pogłoskom, że kierowana przez ruch Greenpeace koalicja będzie próbowała zablokować statek na trasie do Gdańska. Migawki z odległej o tysiące kilometrów cieśniny zastąpił na ekranie obraz spokojnego, skupionego prezentera ze studia w Atlancie. A teraz reszta wiadomości z obszaru Europy. Francuski minister do spraw środowiska, Jean-Claude Martineau, wyraził poważne zaniepokojenie skalą planowanych dostaw ropy naftowej do polskiego portu. Minister przypomniał, że aby zaspokoić potrzeby kraju wielkości Polski, do Gdańska musiałoby rocznie zawijać prawie dwieście takich statków, nie licząc nawet idących przez Gdańsk dostaw ropy do Czech i Słowacji. Francuski minister stwierdził, że w sytuacji, gdy morskie szlaki na Bałtyku zatłoczone są do granic możliwości, bardzo łatwo może dojść do katastrofy mogącej, jak orzekł, „całkowicie zniszczyć kruchy system ekologiczny Bałtyku”. Z kolei w Waszyngtonie rzeczniczka prasowa Departamentu Stanu, pani Millicent Fanon, udzieliła druzgocącej odpowiedzi na uwagi francuskiego polityka, określając jego słowa jako „rozmyślne działanie, mające na celu wywołanie paniki wśród ludności krajów nadbałtyckich”...

6 lutego - sala posiedzeń amerykańskiej Izby Reprezentantów, Waszyngton Izba Reprezentantów obradowała normalnie, lecz

zdrowego rozsądku brakowało gremium bardziej niż kiedykolwiek. -
Panie przewodniczący, nasz prezydent nie ma zielonego
pojęcia, co się dzieje i co trzeba w związku z tym postanowić! -
oznajmił z mównicy wysoki, siwowłosy deputowany z Missouri,
uderzając pięścią w pulpit. Nieliczne gwizdy i syki słuchaczy z
lewej strony sali zupełnie mu nie przeszkadzały. - Bałagan z
Bałtykiem to jeszcze jeden dowód na to, że Biały Dom bardziej dba
o obce kraje i o własną politykę zagraniczną niż o dobro zwykłego
Amerykanina!

James Richard Pendleton („Dick” dla przyjaciół i dziennikarzy),
przywódca większości w Izbie, był tego dnia w doskonałej formie
i na użytek kamer wycelowanych w jego ostry, arcyamerykański
profil, dawał z siebie wszystko. Pendleton był mistrzem
błyskawicznego komentarza, politycznego oręża idealnie
dostosowanego do ery, w której telewizja stała się najważniejszym
narzędziem sprawowania władzy. Każdego więc dnia na początku
posiedzenia dziesiątki deputowanych do Izby Reprezentantów
kolejno zabierało głos, na krótkie sześćdziesiąt sekund kierując
uwagę słuchaczy na tematy, które mogły się spodobać redakcjom,
a tym samym zapewnić najważniejszą rzecz na świecie: czas na
antenie. Niezależnie od tego czy wystąpienie pokazywały stacje
ogólnokrajowe, czy tylko miejscowe, telewizja stanowiła
najpotężniejszą broń w polityce. - Powtórzę jeszcze raz, panie
przewodniczący! Dziesięć miliardów dolarów! Miliardów przez duże
„M”! Tyle przychodzi nam płacić za to, by Polacy mogli sobie
napęlić baki a Czesi ogrzać domy. Dziesięć miliardów dolarów z
naszych podatków! Zamiast nakarmić amerykańskie rodziny,
przydziać amerykańskie dzieci i stworzyć nowe miejsca pracy dla
Amerykanów, ciskamy te pieniądze we wschodnioeuropejskie błoto! -
Powiem bez ogródek, że to zła polityka. Zła, i kropka. W
obecnych, ciężkich czasach powinniśmy dbać przede wszystkim o
naszych obywateli, a nie trwonić miliardy na zabawy w Świętego
Mikołaja gdzieś za Atlantykiem. To Ameryce, nie obcym, należy się
absolutne pierwszeństwo, panie przewodniczący! Co za tym idzie,
Ameryce należy się prezydent, który umie ocenić, co ważne, a co
nie. Przywódca większości w Izbie doskonale zdawał sobie sprawę,
że wyborców świadomych faktu, iż atakowany tak wściekle
„monstrualny” program pomocy energetycznej to zaledwie pół
procenta całego budżetu federalnego, dałoby się policzyć na

palcach. W czasach, gdy wydatki budżetowe liczono w bilionach dolarów, mało kto z widzów odróżniał miliard od trylionu czy kwadrylionu. Schodząc z mównicy, Pendleton nie krył uśmiechu. Jedną krótką przemową odpracował swoje za cały dzień. Miliony Amerykanów obejrzą w wieczornych wiadomościach urywki wystąpienia, a skutek łatwo przewidzieć: znów spadnie poparcie dla prezydenta i jego partii. Nie żeby na łeb na szyję, nie, najwyżej o jeden czy dwa procenty, w zależności od tego, kto przeprowadzi ankietę. Pendleton uważał jednak, że liczy się każdy ułamek. Żeby wysadzić prezydenta z siodła, potrzeba czasu. Chociaż więc następne wybory wypadały dopiero za dwa lata, Pendleton już teraz zabrał się do dzieła. Miał szczerzy zamiar wygrać te wybory. Jak większość swych waszyngtońskich kolegów, deputowany nie zastanawiał się ani przez chwilę, jakie wrażenie wywrą jego gniewne i niewyszukane sformułowania poza granicami USA.

10 lutego - francusko-niemieckie spotkanie na szczycie, Palais De L'Europe w Strasburgu

Ostatnich pięć dni Nicolas Desaix, Schraeder i pozostali architekci nowego ładu w Europie spędzili prawie wyłącznie na rozmowach w pełnych przepychu salach posiedzeń starego budynku Parlamentu Europejskiego. Szczyt poprzedziły wielotygodniowe konsultacje na niższych szczeblach, lecz przywódcy Francji i Niemiec przyrzekli sobie tkwić w Strasburgu dopóty, dopóki ostatecznie nie wynegocjują podstawowych mechanizmów wojskowych, gospodarczych i politycznych, bez których nowy europejski sojusz musiałby pozostać na papierze. Dopiero kiedy uda się porozumieć w kwestiach podstawowych, można będzie zaproponować grę podobnych porozumień mniejszym krajom kontynentu, stawiając resztę Europy przed faktem dokonanym. Mniejsi partnerzy nie będą w stanie zmienić żadnego z warunków przystąpienia do unii. Co najwyżej mogą w ogóle odmówić udziału w nowej organizacji. Korzystając z popołudniowej przerwy w obradach, Nicolas Desaix i Michel Guichy, francuski minister obrony, wybrali się na przechadzkę po zasypanej śniegiem Oranżerii - jak zwano park przylegający do lśniącego miedzią, brązem i srebrem gmachu Pałacu Europejskiego. W dyskretnej odległości za parą polityków człapała przez zasypany gromadka adiutantów i sekretarzy. Asysta nie mogła dosłyszeć ani słowa z rozmowy, lecz na wszelki wypadek musiała

być pod ręką. - Nadal się nie mogę przekonać do twojego planu, Nicolas. - Michel Guichy z wolną pokręcił głową. - Takie zmiany w tak krótkim czasie to trochę nierozważny krok, nie sądzisz?

- Skoro się już dosiadło tygrysa, przyjacielu... - Nicolas Desaix nie dokończył barwnego porównania, gdyż rozmówca doskonale zdawał sobie sprawę, czym ryzykują. Francuzi wydawali się na razie pogodzeni z rygorami stanu wyjątkowego, lecz nastroje społeczne mogły ulec zmianie z pierwszym cieplejszym podmuchem wiosny. Wiosenne słońce i niepokoje społeczne zwykły, niestety, chadzać we Francji w parze. Co gorsza, Bonnard, zniedołężniały już do cna prezydent republiki, miał się coraz gorzej. Gdyby umarł, jego zgon odebrałby rządzącej Komisji Nadzwyczajnej ostatnie mizerne resztki legalności.

Desabc nie mógł się więc zgodzić z takim rozumowaniem. Nie było czasu na kalkulacje. Właśnie z tej przyczyny zdybał zwalistego ministra obrony przed wieczorną rundą negocjacji. Za wszelką cenę musiał zjednać sobie poparcie Guicy'ego dla traktatu, jaki wypichcili ze Schraederem. Jacques Morin, osobiście namaszczony przez Desabc na fotel następcy w DGSE, z góry zgadzał się na wszystko. Trójka Francuzów miała bezpośredni wpływ na najważniejsze sektory władzy w republice: wojsko, politykę zagraniczną i wywiad. W myśl obowiązujących we Francji dekretów o stanie wyjątkowym, cała trójka trzymała w ręku prawa decyzji w kwestiach wojny i dyplomacji zastrzeżone zwykle dla głowy państwa i dla zwierzchnika sił zbrojnych. Wspólnie Desaix, Guichy i Morin mogliby z łatwością zmusić resztę kadłubowego rządu do ślepego posłuszeństwa. Z pozoru zresztą władzę w projektowanej Konfederacji Europejskiej sprawowałaby Rada Narodów, złożona z polityków wszystkich państw członkowskich. Rada miała jednak obradować zaledwie dwa albo trzy razy do roku. Zarówno ten fakt jak i ogromny liczbowo skład rady gwarantowały w praktyce, że nowe ciało zmieni się po prostu w nader prestiżowy klub dyskusyjny. Zasadnicze, codzienne decyzje natomiast miał podejmować stały sekretariat Rady. Wybór zwierzchnika tego organu należał zaś wyłącznie do Francji i Niemiec. Kwestie wojskowe miała przejąć wspólna organizacja, wzorowana na dawnych strukturach NATO. Niemcy byli nawet skłonni zgodzić się na francuskie kandydatów na kluczowe stanowiska w wojsku i sprawach zagranicznych. Co więcej, nie mieli nic przeciwko połączeniu sił

zbrojnych obu państw, do szczybla dywizji włącznie. Przynajmniej ta część nowin spotkała się u Guichy'ego z pełną aprobatą.

Złączenie sił zbrojnych Francji i Niemiec w jedną potężną armię pozwalało przy okazji zabezpieczyć się na przyszłość na wypadek, gdyby Niemcom wzrosły apetyty terytorialne. Istniejące już łączone francusko-niemieckie związki taktyczne stanowiły dowód, że możliwa - jakkolwiek niełatwa - będzie współpraca również na pełną skalę. Najlepszy był jednak oczywiście fakt, że jedynym logicznym kandydatem na zwierzchnika wojsk Konfederacji był francuski minister. - Ale zaraz, dlaczego Bosche tak chętnie idą na ustępstwa? - zmarszczył nagle brwi minister. - Przecież Niemiec nawet ci się nie wysra bez pokwitowania?

- Pewnie, dobrze mówisz - Desaix pozwolił sobie na uśmiech.

Guichy'ego tak nudziło wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio z wojskiem i obronnością, że nie brał w ogóle udziału w pracach innych komisji. - Chcą w zamian gwarancji, że oddamy im stanowiska ministra finansów i zarząd nad przemysłem.

- A tyś się zgodził?

- Rzecz prosta - Desaix wzruszył ramionami. - Rozdzieliliśmy w końcu strefy wpływów w Europie Wschodniej, no i oczywiście mamy tam przemysł. Niemcy doskonale wiedzą, na ile będą sobie mogli pozwolić. Nawet jeżeli im przyjdzie do głowy, żeby dodrukować trochę banknotów i ustawić stopę procentową reszcie naszych „partnerów”, osobiście nie widzę tu najmniejszego problemu.

- Fakt. - Guichy pogładził podbródek. Przyznanie Niemcom formalnego prawa do decydowania o gospodarce oznaczało w praktyce wcale nie tak wiele. Francja od dawna nauczyła się ignorować układy i porozumienia, które były jej akurat nie na rękę. A poza tym, w tych czasach Niemcy rzeczywiście lepiej się sprawdzali jako bankierzy i przemysłowcy, niż jako żołnierze czy politycy. Nie bez podziwu Guichy dodał więc: - Zaczynam rozumieć, dlaczego tak ci ogromnie zależy na konfederacji. Sprytny z ciebie facet, Nicolas. - Nie sprytny, tylko ostrożny. Lubię hazard, ale tylko wtedy, kiedy znam karty przeciwnika.

- Nie musisz mi mówić - przytaknął minister obrony i zawahał się.

- A propos kart, jest jedna, której nie znasz. Co powiedzą Stany Zjednoczone? Sam wiesz, nie przypuszczam, żeby Amerykanom spodobała się nasza zjednoczona Europa.

- Amerykanom? - skrzywił się Desaix. - Co im do tego? I tak się

nie liczą. Dużo krzyczą, ale na tym się wszystko kończy. - No, ale te ich dostawy do Polski...

- Bzdura bez znaczenia, Michel. - Pogardliwym machnięciem ręki Desabc dał wyraz swojej opinii o amerykańskich dostawach ropy i gazu ziemnego. Owszem, jego także oszołomiły pierwsze meldunki służb wywiadowczych. Nigdy by nie przypuścił, że Waszyngton zdecyduje się przełamać paryskie embargo paliwowe. Na szczęście od tamtej pory Amerykanie - w Waszyngtonie i w całym kraju - sami zaczęli się zastanawiać czy aby nie palnęli głupstwa. Stany Zjednoczone uwielbiały szybkie i łatwe zwycięstwa, jak to w Zatoce Perskiej, ale w ostatnich czasach wyraźnie przeszła im ochota na jakiegokolwiek kosztowne i niepewne w skutkach kampanie.

Dostawy miały też pewien słaby punkt. Desaix miał to zamiar wykorzystać. Dlatego roześmiał się cierpko i strzelając palcami dorzucił: - Nawet ich własny Kongres próbuje się teraz wyplątać z tych dostaw. Najmniejsze niepowodzenie, i całe poronione przedsięwzięcie rozleci im się w strzępki, o tak! A wtedy, nawet się nie obejrzysz, kiedy Polacy i Czesi przyjdą do nas po prośbie. Desaix zauważył, że wojskowemu bardzo przypadł do gustu ten obraz. Minister obrony był człowiekiem dumnym, więc nic dziwnego, że bardzo uraził go wynik dwóch ostatnich prób, by sprzedać Polsce i Czechom francuską broń i zaoferować szkolenie wojskowe. Z meldunków wynikało jasno, że Polacy i Czesi zwyczajnie wyśmiali ofertę Guichyego i z własnej inicjatywy zgłosili się po sprzęt' wojskowy i instruktaż do Amerykanów i Brytyjczyków. Wymazać tę zniewagę mógł więc tylko widok wschodnioeuropejskich polityków błagających o dopuszczenie ich państw do nowej konfederacji. Ważny wzgląd stanowił także patriotyzm Guichy'ego, Odmalowana przez Desaix wizja kontynentu rządzonego przez Francję - rządzonego faktycznie, mimo rozmaitych pozorów, że jest inaczej - musiała go napełnić iskrą entuzjazmu.

Dwudziesty wiek

obszedł się z jego ojczyzną po macoszemu: wykrwawił ją do cna w pierwszej wojnie światowej i zdruzgotał w drugiej, skutkiem czego supermocarstwa prowadzące zimną wojnę miały Francję za nic.

Nareszcie jednak po stu latach udreń Francja miała szansę odzyskać dawną chwałę i należne jej poczesne miejsce. - I co powiesz, Michel? Pomożesz mi? - Desaix cierpliwie czekał, aż

wojskowy podejmie decyzję. Wprawdzie nie cierpiał o nic prosić, lecz umiał także ukryć irytację. Pokora stanowiła najlepszą taktykę, przynajmniej na razie.

Powoli i z wielkim namysłem, minister obrony przytaknął. Nicolas Desaix zyskał sobie sojusznika. Francja mogła odtąd pod nową nazwą zacząć wcielać w życie dawne imperialne marzenia. Heinz Schraeder i Jurgen Lettow - niemiecki minister obrony - stali przy oknie wychodzącym na Oranżerię i pilnie obserwowali spacer pary Francuzów. Lettow, niższy i oczywiście szczuplejszy niż przywódca kraju, skinął ręką w kierunku postaci Desaix i skrzywił się okropnie. - Temu człowiekowi nie można ufać, panie kanclerzu. Nie wiem, czy warto było iść wobec tych Francuzów na ustępstwa. Lettow miał swoje powody do kwasów. Negocjowane porozumienia mogły przynieść dla jego ministerstwa tylko jeden skutek, to jest zmienić je w niezbyt ważną przybudówkę konfederacyjnego sekretariatu obrony, zdominowanego oczywiście przez Francuzów. Francuscy generałowie będą dowodzić niemieckim wojskiem. Minister nachmurzył się jeszcze bardziej. Schraeder zupełnie nie zwrócił na to uwagi i obojętnie zauważył: - Jeśli Francuzi mają taką ochotę paradować w galowych mundurach, proszę bardzo. Proszę nie zapominać, Lettow, w jakich czasach żyjemy. Kto się dzisiaj odważy wojować? - Kanclerz uśmiechnął się leciutko. - Poza tym inne szczegóły porozumień są dla nas wyjątkowo pomyślne. Tak, do pewnego stopnia pozwalamy panu Desaix i jego kolegom zabawiać się najbardziej zdradliwą częścią polityki: wojaczką i dyplomacją. W zamian za to możemy decydować o tym, od czego naprawdę zależy każda władza: o przemyśle, finansach i handlu. Nie, Lettow. - Niemiecki kanclerz potrząsnął głową. - Pozwólmy Francji napawać się złudnym blaskiem, a sami bierzmy się do pracy. Europa i tak będzie nasza. Nawet wychodząc ze skrajnie odmiennych pobudek, dwa najsilniejsze państwa Europy zaczynały dochodzić do tych samych wniosków. 15 lutego - Komenda Główna Policji, gmach MSW, Budapeszt Pułkownik Zoltan Hradetsky starannie złożył gazetę i nie spiesząc się zdjął nogi z biurka. Potem jeszcze raz spojrzął na ścienny zegar. Dopiero wpół do trzeciej. Z biura będzie mógł wyjść nie wcześniej niż za półtorej godziny, i to jako pierwszy ze wszystkich pracowników ministerstwa. Fakt, że reszta kolegów z ministerstwa nie mogła narzekać na brak zajęcia. Hradetsky zaś

nudził się jak mops. Odkąd go wykopano z Sopron za zniewagę wyrządzoną funkcjonariuszom francuskiego koncernu Eurocopter, raz po raz zmieniano mu przydziały: z fatalnych na jeszcze gorsze. Dlatego musiał teraz tkwić w pokoiku bez okna, w którym odłaząca z lamperii olejna zielona farba ze starości zdążyła dawno nabrać odcienia głębokiej szarości. Dlatego też dzień w dzień przekładał papiery z miejsca na miejsce. Nie dość, że z pasjonującej pracy w terenie odesłano go za biurko, to jeszcze skazano na przymusową bezczynność. Co z tego, że nazwa etatu mogła robić wrażenie na nie wtajemniczonych? Na myśl o tym, że jest „inspektorem ministerialnym do spraw szkolenia kadr” Hradetsky uśmiechnął się niewesoło. Mniej imponujący od tabliczki na drzwiach był już fakt, iż jedynym zadaniem „inspektoratu” było śledzenie liczby nowych kadetów szkolonych we wszystkich placówkach na Węgrzech. Co dzień Hradetsky wypełniał więc stosowny formularz i odsyłał do kancelarii swego bezpośredniego zwierzchnika. Mógł również iść śmiało o zakład, że generał brygady Dozsa co dzień skrupulatnie podpisuje meldunek i nie czytając go, odsyła na wieczne zapomnienie do archiwum. Ile razy jednak pułkownik próbował na nowych etatach zająć się czymś bardziej pożytecznym, zaraz dostawał po łapach. Dozsa, komendant główny policji, nie próbował nawet kryć swej niechęci. Podczas pierwszego i jedyne do tej pory spotkania z pedantycznym, ubranym w nieskazitelny mundur generałem, Hradetsky dowiedział się, że i tak powinien się cieszyć z obrotu rzeczy. - Wyświadczam panu koleżeńską przysługę, pułkowniku. Kosztował nas pan niemało kłopotów. Jeszcze raz się pan tak wychyli, a proszę mi wierzyć, osobiście dopilnuję, żeby karnie wylano pana ze służby. Hradetsky bezwiednie zacisnął pięści i zmiażdżył gazetę w papierowy kłęb. Na samo wspomnienie tamtej rozmowy robił się natychmiast wściekły, a cały pozorny spokój brali diabli. Za Franza Josefa można było pomścić taką plamę na honorze jednym cięciem szabli, lecz we współczesnym świecie pojedynki wyszły jakby z mody. Poza tym, co tu kryć, z obecnymi zwierzchnikami Hradetsky'ego trudno było dyskutować o honorze. Trudno, taka służba. W rzeczywistości Hradetsky nie miał innego wyjścia, jak tylko tkwić gdzie mu kazano. Zupełnie sobie nie wyobrażał życia w cywilu, a poza tym, wobec ogólnoswiatowej zapaści gospodarczej, nie mógł nawet marzyć o znalezieniu innego zajęcia. W dodatku wraz z etatem w policji wiązały się kartki

żywnościowe i opałowe - może niewiele, ale dosyć na to, by przetrwać zimę, najgorszą od dziesiątków lat. Fala mrozów i brak żywności spowodowany nieurodzajem sprawiły, że dla przeciętnego Węgry życie stało się nie do wytrzymania. Najgorzej układało się bezrobotnym. Pierwszeństwo przy rozdzielaniu żywności mieli ludzie ze stałym zatrudnieniem. Zoltan Hradetsky miał oczywiście jeszcze jeden powód, by trwać na posterunku. Powód dość staromodny: poczucie obowiązku. Hradetsky pamiętał treść przysięgi i miał zamiar nadal strzec i bronić swoich rodaków. Niezależnie od tego, na jaką biurokratyczną mieliznę chcieli go zepchnąć zwierzchnicy z ministerstwa, nikt nie zwalniał pułkownika z tej przysięgi. Gnębiony własną wściekłością i poczuciem obowiązku, a także coraz bardziej głodny, Hradetsky dzień po dniu gnął za biurkiem i biernie patrzył, co się dzieje w jego kraju. Zima zmieniła Węgry w żebraka w dziurawej kapocie. Drakońskie środki przymusu w połączeniu z darami żywności z zagranicy zapobiegły wprawdzie klęsce głodowej, lecz mimo to kilka ostatnich miesięcy zmieniło się w jeden niekończący się koszmar. Godzina policyjna, kartki żywnościowe i doraźne, pokazowe egzekucje na złodziejach i innych przestępcach sprawiały, że kraj wyglądał jak ogarnięty wojną, choć jedynymi wrogami Węgier były dziś głód i ziąb. I tej pary wrogów było aż nadto. Coraz mniejsze racje żywnościowe nie pozwalały przetrwać najstarszym, najmłodszym i chorym. Zrozpaczeni rodzice patrzyli bezsilnie na wynędzniałe, zapadnięte buzie swoich dzieci. Padły dotychczasowe rekordy śmiertelności z powodu zapalenia oskrzeli, zapalenia płuc i zwykłej grypy. Rekordowy poziom osiągnęło też wzburzenie ludności. Hradetsky nachmurzył się. Tego ostatniego faktu nie wyczytał w rządowej prasie, objętej ścisłą cenzurą. Miał jednak dość okazji, by poznać najnowsze statystyki przestępczości. Tylko bezceremonialne zabiegi statystyków sprawiały, że tak niewiele osób znało prawdę. Coraz bardziej szerzyły się morderstwa, napady rabunkowe, znęcanie się nad dziećmi. Co więcej, pierwszy raz od czasów obalenia dawnego postkomunistycznego rządu zaczęła dawać o sobie znać opozycja polityczna, przeciwna władzy wojskowych. Na ulicach Budapesztu widywało się coraz częściej „wywrotowe” gazetki, przyklajstrowane do słupów albo rozrzucone na klatkach schodowych. Krążyły pogłoski, że pozostający na wolności

członkowie starego rządu założyli tajne ugrupowanie opozycyjne. Węgry mieli już wszystkiego dosyć. Nie wiedzieli tylko, w jaki sposób wyładować gniew. Wiedział to jednak doskonale pułkownik Hradetsky.

Pomoc żywnościowa, chroniąca Węgry przed stoczeniem się w przepaść, szła z Francji i Niemiec. Pomoc ta ledwo wystarczała, a co więcej, za każdą kolejną dostawę trzeba było słono płacić - w niewymiernej walucie, bo płacono suwerennością kraju. Z tygodnia na tydzień Węgry pułkownika Hradetsky'ego dobijały się statusu satelickiego państewka Francji i Niemiec. Pułkownik miał jeszcze w centrali paru starych kumpli. Niektórzy z nich odważali się z nim nawet rozmawiać, choć wiedzieli, że mają do czynienia z pariasem. Hradetsky nie mógł narzekać na brak czasu na lektury czy snucie refleksji. Zawsze znajdował też czas, żeby usłyszeć czy dowiedzieć się czegoś nowego. Nawet z ciasnej klitki w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych można było się dowiedzieć o sprawach najzupełniej sprzecznych z tak zwaną „obowiązującą linią”. Można też było to i owo zobaczyć. Widziało się na przykład anonimowych, buńczucznych gości, którzy bez zapowiedzi wpadali na chwilę do gabinetu ministra. Przychodzili, siedzieli po parę godzin, a potem wracali z powrotem do Paryża i Berlina. Krążyły plotki, że zagraniczni goście sprawdzają, czym się zajmuje węgierska policja i składają rządowi swoich krajów meldunki, jak sprawuje się węgierski aparat państwowy. Jeśli tak rzeczywiście było, wizyty musiały wprawiać ministerstwo w niezły popłoch. Wszyscy wyżsi urzędnicy centrali, od generała broni Racza po ostatniego z jego pomocników, zaczęli się niezmiernie interesować sprawami kadrowymi i wtrącali się w nie nawet, gdy nominacje dotyczyły poślednich stanowisk w prowincjonalnych okręgach policji. Aby ograniczyć kontakty z krajami „wolnej strefy” zamykano albo obsadzano wojskiem przejścia graniczne na Słowację. Każde polecenie trzeba było potwierdzać w Budapeszcie. Racz, Dozsa i reszta towarzystwa na wyścigi zbierali także materiały na temat wszystkich, którzy w przeszłości mieli choćby najbardziej błahe kontakty z opozycją - czy to uczestników rozruchów głodowych, manifestacji robotniczych czy osób nielegalnie zgromadzonych w kawiarni, bez różnicy. Generałowie chcieli się dowiedzieć ze szczegółami, kim są „wichrzyciele”. Im bardziej zaś gasło społeczne poparcie dla

Rządu Ocalenia Narodowego, tym silniej dawały o sobie znać działania właściwe każdej tyranii. Hradetsky'emu najtrudniej było się pogodzić właśnie z naciskami, by rozpracowywać opozycję polityczną. Podczas pierwszych, oszałamiających lat po przełomie tyle się przecież na-biedzili z młodszymi kolegami, by zmienić Policję Narodową w zwyczajną organizację do zwalczania przestępczości. Nowa policja miała być wolna od korupcji, sprawna - przede wszystkim zaś miała stronić od brudnej i brutalnej roboty, jakiej niegdyś wymagali od niej komuniści. Oto jednak za podszeptem zagranicy władze kraju zaczęły nawracać do dawnych grzeszków. Hradetsky wiedział, że jeszcze trochę, a będzie się musiał wstydzić, że nosi mundur. Wazelinarstwo i ślepe posłuszeństwo wobec Francji i Niemiec zaczynały się liczyć o wiele bardziej niż znajomość fachu. Pułkownik skrzywił się straszliwie. Wiedział, że może sobie wybić z głowy pomysły, że sam tu cokolwiek zaradzi. Generałowie zabrnęli w gnój za głęboko. Podobnie jak rządy sąsiednich państw, podpisywali każdy świstek, jaki im doręczano z obu europejskich stolic. Układy o wspólnej walucie. Układy o połączeniu poszczególnych systemów prawnych i przepisów o gospodarce w jeden wszech europejski monolit. Dostawy broni i wspólne ćwiczenia wojskowe, lista ciągnęła się w nieskończoność, za to tempo zmian okazało się po prostu zawrotne. Pułkownik domyślał się, że narzucono je nie bez przyczyny. Hradetsky wiedział, że zabawa nie potrwa długo. Jeśli się pozostawi generałom wolną rękę, Węgry znikną z mapy kontynentu, połknięte przez większe państwa, głoszące potrzebę wspólnoty lecz zajęte własnym interesem. Pułkownik zagryzł wargę. Na każdą myśl o tym, że przyjdzie mu służyć władzom w Paryżu i Berlinie, zwyczajnie chciało mu się rzygać.

18 lutego - reda Portu Północnego w Gdańsku

Tylko po ognikach świateł pozycyjnych można było na ciemnym tle morza poznać miejsce, gdzie siedem mil morskich od smaganego wiatrem wybrzeża Bałtyku kilka morskich kolosów czekało na wejście do portu. Kolejka zbiornikowców i gazowców czuwała cierpliwie, aż zwolni się miejsce przy pękających w szwach nabrzeżach. Na tle szumu fal rozpryskujących się o poszycie, z kabin załogi słychać było muzykę i strzępy filmowych dialogów. Noc sprawiała, że odgłosy niosły się daleko w morze. Pordzewiały, pokiereszowany w sztormach kuter rybacki dryfował na łasce

słabych prądów i pływów o pięć mil od kotwicowiska na redzie. Załoga w zimowych sztormiakach i rękawicach zbiła się w gromadkę na rufie jednostki i postępując z wysiłku kończyła właśnie wciągać na pokład ciężką, nadmuchiwana łódź desantową typu Zodiak. Czwórka innych mężczyzn trzęsła się z zimna obok zaciemnionej sterówki, na wyścigi ściągając z siebie kombinezony piankowe, maski i butle. Ich twarze kryła warstwa czarnej farby maskującej, lecz widać było, że są wszyscy młodzi i wysportowani. Niski, jasnowłosy szyper kutra, starszy niż reszta załogi lecz równie sprawny, wyjrzał przez drzwi sterówki. - Były kłopoty? - Najmniejszych - uspokoił go jeden z płetwonurków i pokręcił głową. - Wszystko zgodnie z planem.

Szyper klepnął go w ramię i zwracając się do sternika rzucił: - Dobra jest. Wyrwijmy stąd wreszcie. Ćwiarteczką, cała na przód. - Robi się.

Dieslowski silnik kutra ożył nagle i zastukotał niegłośno, a wirująca śruba spieniła wodę za rufą. Nadal bez żadnych świateł kuter okrążył Hel i przyciskając się do polskiego wybrzeża ruszył na zachód.

Na pokładzie gazowca „North Star”

„North Star” kołysał się łagodnie na kotwicy.

Kapitan Frank Calabrese wychylił się za reling pomostu, czując jak kubek kawy mile grzeje mu dłonie. Przed nim jak okiem sięgnąć rozciągał się pokład jego statku, specjalnego zbiornikowca do przewozu skroplonego gazu. Jednostka miała trzysta metrów długości i pokład szerokości czterdziestu pięciu metrów od burty do burty - innymi słowy, była wielka jak lotniskowiec i prawie tak samo zwalista. Nad pokładem „North Star” górowały cztery baniaste półkule izolowanych zbiorników, podobne do gigantycznych białych piłek golfowych. W czterech chłodzonych komorach mieściło się 786 tysięcy baryłek skroplonego gazu ziemnego, utrzymywanego w temperaturze minus 160 stopni Celsjusza. - Podobno jestem potrzebny, kapitanie? - Charles MacLeod, pierwszy oficer gazowca, stanął obok Calabresego na odkrytym mostku. Kapitan upił łyk kawy i przytaknął.

- Faktycznie cię szukałem, Charlie. Dostaliśmy przed chwilą depezę z kapitanatu portu. Równie o dziewiątej rano mamy zacząć rozładunek.

- Sukinsyny łaskę robią. Najwyższa pora!

- Amen, jak powiadają w moim miasteczku. - Kapitan nie mógł się powstrzymać od śmiechu, widząc niecierpliwość pierwszego oficera. Sam zresztą dobrze rozumiał jego irytację. W Stavanger, macierzystym porcie „North Star”, czekała na MacLeoda ciężarna żona. Każdy dzień zwłoki w rejsie sprawiał, że pierwszy oficer dopisywał nowe bajońskie sumy do rachunku za połączenia radiotelefoniczne z domem.

Tymczasem od ponad czterdziestu ośmiu godzin tkwili na redzie polskiego portu, czekając aż inne zbiornikowce przepompują na brzeg drogocenny ładunek. Mimo pracy na trzy zmiany, załoga gdańskiej rafinerii, podobnie jak obsługa rurociągu, notowała coraz większe opóźnienia. Próba przetoczenia tak ogromnej masy potrzebnej Polsce ropy i gazu przypominała podlewanie Sahary ogrodowym węzłem. Calabrese puścił reling i wyprostował się z wysiłkiem.

- Polacy przyślą do nas pilota bladym świtem, więc proszę zadbać, żeby o piątej wszyscy byli na nogach. Nie ma czasu. - Zajmę się tym - uspokoił kapitana MacLeod. - Im prędzej zawiniemy, tym szybciej będzie można wypłynąć. Poza tym nie sądzę, żeby chłopakom było aż tak tęskno na gdański brzeg. Złożona z Amerykanów, Brytyjczyków i Norwegów załoga gazowca miała już za sobą jeden podobny rejs. Wobec faktu, że dla oszczędności przymusowo wyłączano w całym mieście wszystkie światła, nocne życie Gdańsk mogło się podobać tylko nietoperzom. Poza tym załoga „North Star” nie myślała o rozrywkach. Wszyscy wiedzieli, że kiedy zacumują, nie będzie ani chwili czasu na spódniczki. - Coś jeszcze, kapitanie?

Calabrese pokręcił głową.

- Nie. Przynajmniej nie w tej chwili - odrzekł i gestem nakazał pierwszemu, by wracał do kabiny. - Nie masz co tutaj ze mną marznąć, Charlie. Lepiej się wyśpij, bo jutro nie będzie czasu - dodał i znów podniósł do ust kubek z gorącą kawą. Sto metrów przed nadbudówką przyciśnięta do kadłuba „North Star” mina magnetyczna eksplodowała nagle, wyrывая dziurę w podwójnym kadłubie i ciskając do środka falę słonej wody, rozgrzanego powietrza i gorących stalowych odłamków. Odłamki przebiły warstwy izolacji i naruszyły wewnętrzną ścianę drugiego z potężnych, chłodzonych zbiorników z gazem. Najpierw zasyczało. Przez kadłub przebiegł wstrząs, a cały statek zakolebał się jak

gdyby wpadł na podwodną skałę. Kapitan Frank Calabrese zrobił wielkie oczy i mrucząc - Co, do cholery...? - znowu uchwycił się relingu. - Charlie, idź sprawdzić... Ostatnie słowa utonęły w nagłym jęku syren, ostrzegających przed wyciekiem. Gdzieś głęboko przy zęzach „North Star” jęzor skroplonego gazu ziemnego pod ciśnieniem wyrwał się z rozdartego zbiornika i w zetknięciu z ciepłym, natlenionym powietrzem, zaczął wracać do naturalnego stanu skupienia. Gaz zakipiał i zmienił się w lotną, łatwopalną chmurę. Jeszcze kilka sekund i kipiący obłok dotknął przewodu pod napięciem, przerwano go wybuchem miny. Gazowiec eksplodował. Calabrese, MacLeod i czterdziestu siedmiu pozostałych członków załogi „North Star” straciło życie w ułamku sekundy - spłonęli, ogarnięci skłębioną, ognistą kulą, która rozświetliła nagle nocne niebo w promieniu setek kilometrów. Nie oni jedni zginęli. Gnana przerażającym ciśnieniem i temperaturą wybuchu fala uderzeniowa zaczęła rozbiegać się na wszystkie strony od oślepiającej kolumny płomienia, dziurawiącej niższe warstwy atmosfery. Powietrzna pięść trafiła i zgmiotła dwa zbiornikowce zakotwiczone w pobliżu, zatapiając je i chmurą rozżarzonych odłamków zapalając ich ładunek, rozpylony po morzu podmuchem o prędkości prawie stu metrów na sekundę. Tych spośród marynarzy, którzy znajdowali się na pokładzie, fala uderzeniowa zmiotła do wody albo zgruchotała o stal nadbudówek i rurociągów. Reszta, uwięziona pod pokładem utonęła albo spłonęła żywcem. Dwanaście kilometrów od miejsca eksplozji fala wybuchu uderzyła z huraganową siłą w ulice Gdańska, wywracając drzewa w Trójmieście. Wszystkie szyby w oknach od strony wybuchu zmieniły się w rozpryskujące się po wnętrzach chmury śmiertelnych odłamków. Trafieni szklanymi lawinami mężczyźni, kobiety i dzieci - wszyscy, którzy znaleźli się przypadkiem na drodze eksplozji - z krzykiem padali na ziemię, okaleczeni i broczący krwią. Wiele osób zginęło w pożarach, jakie wybuchły od iskier poprzerywanych przewodów energetycznych. Kilka starszych domów i źle zaprojektowanych bloków od strony zatoki rozsypało się w gruzy, grzebiąc mieszkańców pod zwałami cegieł i pokruszonego betonu. Gdy umilkł pierwszy ogłuszający grzmot, tysiące odrętwiałych Polaków wyległo przed uszkodzone budynki i w przerażeniu zwróciło oczy tam, gdzie nad północnym horyzontem pełgała niesamowita, pomarańczowa poświata.

20 lutego - plaża w pobliżu Grand Hotelu, Sopot
Ross Huntington bez większej ochoty człapał po nadmorskim piasku w ślad za przewodnikiem, krępawym i dość otyłym oficerem w granatowym mundurze polskiej marynarki wojennej. Po czterech paskach na naramiennikach oficera Amerykanin poznał, że ma do czynienia z komandorem. Pułkownikowska ranga była polskim odpowiednikiem stopnia capitain we flocie amerykańskiej. Za polskim oficerem i Huntingtonem szła czwórka żołnierzy w pełnym oporządzeniu i z karabinkami AKM. Błękitne tarcze z białą kotwicą na rękawach mundurów oznaczały, że żołnierze są z 7. Dywizji, czyli z wojsk obrony wybrzeża. Inni żołnierze z tej samej formacji uwijali się przy działach przeciwlotniczych, okopanych wzdłuż brzegu. Na morzu na wszystkie strony rozpościerała się aż po horyzont czarna gładź rozlanej ropy naftowej. Kilka kilometrów od brzegu płomienie i gęsty dym nadal unosiły się nad zbiornikowcem, który się zajął od eksplozji „North Star”. Drugi ze statków najbliższych nieszczęsnego gazowca leżał przewrócony na burtę na płyciźnie. Z przedziurawionych pokryw jego zbiorników buchały kaskady ropy naftowej. Wokół obu wraków krążyły mniejsze jednostki - okręty pożarnicze i statki ratownicze z urządzeniami do zbierania ropy, próbujące opanować wyciek. Zbiornikowce i gazowce, które przetrwały wybuch, kotwiczyły teraz daleko na morzu, ledwie widoczne za sinoszarą zasłoną dymu i porannej mgły. Wokół kotwicowiska powoli krążyły patrolowe okręty wojenne, a nad zatoką i wzdłuż wybrzeża bez przerwy przemykały śmigłowce. Czteroosobowe zespoły przeczesywały zlepiony ropą piasek przy samym brzegu. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy przyklekał, by przyjrzeć się bliżej kolejnemu bezkształtnemu znalezisku, odkrytemu pośród zdechłych ryb i zdychających ptaków. W maskach chirurgicznych, gumowych rękawicach i nylonowych kombinezonach ochronnych ratownicy wyglądali jak przybysze z innej planety. Huntington zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się poszukiwaniom. Kiedy podniósł wzrok, okazało się, że polski komandor stoi nieruchomo tuż obok. - Czego tak szukają? Śladów zamachu?

Niewysoki komandor potrząsnął głową.

- Nie śladów, tylko szczątków, mister Huntington. Fala co rusz wyrzuca coś nowego. A to rękę, a to nogę.

Huntington poczuł skurcz w żołądku, choć wstępne dane na temat

rozmiarów tragedii poznał jeszcze zanim przyleciał tu z Waszyngtonu, by w myśl polecenia dokonać oględzin na miejscu. Wybuch objął nie tylko port, ale całe wielkie miasto. Spośród mieszkańców zginęły czterdzieści dwie osoby, w tym kobiety i wiele dzieci. Sześćdziesięciu jeden marynarzy uznano za zaginionych. Mało kto jakoś wierzył, że się odnajdą. Relacje świadków nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że nikt na pokładzie „North Star” ani w pobliżu statku nie miał szans przeżyć eksplozji. Ponura statystyka okazała się jednak czymś niezmiernie bezpiecznym i nierzeczywistym w porównaniu z widokiem na wydmach. Kiedy patrzyło się, jak żołnierze i sanitariusze szukają ludzkich szczątków wzdłuż poczerniającej plaży, rozmiar tragedii zaczynał po prostu paraliżować. Huntington odwrócił głowę i zapatrzył się w wody zatoki. Tyle się naużerał w Waszyngtonie, żeby uzyskać zgodę na dostawy ropy i gazu do Gdańska. Pamiętał, że przełamanie embarga wydawało mu się wtedy jedynym logicznym posunięciem w bezkrwawej lecz bezlitosnej wojnie gospodarczej, jaką Ameryka prowadzi z Francją i Niemcami. Skutkiem posunięcia okazała się śmierć setki osób. Choć Huntington powtarzał sobie, że wcale tak nie jest, nie mógł się opędzić od myśli, że to on pośrednio spowodował masakrę. Był winien tej masakry dlatego że się przeliczył. Przeciwnicy w Paryżu i Berlinie okazali się o wiele bardziej bezlitośni, niż się ktokolwiek spodziewał. - Nadal żadnych śladów sabotażu? - zapytał, odwracając się do polskiego oficera.

- A, skąd! - Polak z rezygnacją pokręcił głową. - Nie znaleźliśmy i nie znajdziemy. Nie po takim fajerwerku. Huntington przytaknął ze zrozumieniem. Wstępne obliczenia wskazywały, że uwięziony w zbiornikach „North Star” ciekły gaz eksplodował z siłą równą 16 tysiącom ton trotylu. Wybuch miał więc prawie taką samą moc jak bomby atomowe, które zmiotły Hiroszimę czy Nagasaki. Z całego ogromnego statku pozostały miliony kęsów metalu, rozrzucone w promieniu wielu kilometrów po dnie Bałtyku. Mimo to nie trzeba było wcale geniusza, żeby wyobrazić sobie przyczynę tragedii i domyślić się, kim są sprawcy. Huntington wzdrygnął się. Chłodny powiew zawirował wokół niego piachem. Kawalek na wschód od miejsca, gdzie stali z komandorem, widać było Westerplatte - piaszczysty półwysep, strzegący wejścia do starego portu. Dawna nadmorska łacha zyskała

sobie ponurą sławę w podręcznikach historii. To tutaj niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein” oddał salwę, od której zaczęła się druga wojna światowa. Salwa z pancernika miała tylko zmusić do uległości niewielki polski garnizon na półwyspie, lecz wojna, która nadeszła w ślad za wystrzałem, na sześć długich lat pograżyła planetę w morzu ognia i krwi. Huntington znów przeniósł wzrok na morze. Naprawdę bał się w tej chwili, że historia może się powtórzyć.

21 lutego - Paryż

Nicolas Desabc z zasady nie oglądał telewizji, ale tego wieczora uczynił wyjątek. Usiadł samotnie w prywatnym gabinecie, przykuty do fotela widokiem serii obrazów z polskiego wybrzeża. Nie wiadomo oczywiście, jak doszło do nieszczęścia na pokładzie gazowca „North Star”. Zaniedbanie ze strony załogi? Sabotaż zdesperowanych obrońców środowiska? Dziś nikt się już tego nie dowie. Dla ekspertów jedno tylko najzupełniej nie ulega wątpliwości. Katastrofa mogła się okazać jeszcze gorsza w skutkach. Znacznie gorsza! Desaix nie ukrywał zadowolenia. Komentator telewizji francuskiej zachowywał się tak, jak gdyby tekst napisano mu w jednym z gabinetów ministerstwa. Gdyby w chwili wybuchu statek „North Star” cumował przy nabrzeżu, z Gdańska pozostałyby tylko gruzy. Dziesiątki tysięcy mieszkańców wyloby się w agonii lub straciło życie na miejscu - dziesiątki tysięcy, nie setka, która zginęła trzy dni temu. Piekielny sztorm ogniowy, podsycany ropą i gazem, szalałby w całej północnej Polsce, zasnuwając dymem niebo nad Europą. Nie ulega wątpliwości jeszcze jedno: że nie wolno pozwolić Polsce i Czechom, by dla własnej wygody narażały Europejczyków na tak straszliwe ryzyko. Epoka nacjonalizmu minęła. Europa musi się zjednoczyć, by wspólnymi siłami budować pokój i dobrobyt na całym kontynencie. Zjednoczyć się, lub zhańbić na zawsze, kapitulując przed bezlitosnymi wyzyskiwaczami. Z Gdańska mówił dla państwa Raoul Peree.

Desaix pstryknął pilotem, wyłączając telewizor. Rzucił okiem na zegarek i wystukał na klawiaturze szyfrowego telefonu właściwy numer.

Nowy szef DGSE także czuwał w swoim biurze, toteż natychmiast podniósł słuchawkę. - Tak, panie ministrze?

- Dobrześ się spisał, Morin. Doskonała robótka. Proszę złożyć

komandorowi Regierowi i jego ludziom moje serdeczne gratulacje.

- Oczywiście, panie ministrze.

Desaix odłożył słuchawkę. Teraz wiedział, że udało się złamać Polskę, Czechy i Słowację, zmusić je, by także zaczęły budować nowy europejski ład. Cały gmach ich niepodległości runął, i to za sprawą jednej, niewielkiej lecz precyzyjnie podłożonej bomby.

11

Konfederacja

23 lutego - Camp David

Śnieg stawał się rzadszy, lecz nadal spływał z ołowiano-szarego nieba na okalające Camp David strome, lesiste wzgórza stanu Maryland. Miękkie białe płatki osiadały na ścieżkach wokół górskiej rezydencji prezydenta, a z tafli rześście oświetlonego, podgrzewanego basenu unosiły się w powietrze obłoki pary. Za jej jaśniejącą zasłoną przemykały wśród drzew ludzkie sylwetki.

Agenci Tajnej Służby jak zwykle patrolowali teren. Gdzieś daleko zaszczekały psy. Ledwo słyszalne echo ujadania prędko rozmyło się w zimowej ciszy, która zdawała się trwać nad całym światem. -Co z tobą, Ross!?

Huntington powoli odwrócił się od okna i spostrzegł, że przyglądają mu się bacznie prezydent, Harris Thurman i cała reszta towarzystwa stłoczonego w wykładanym boazerią niewielkim salonie pałacyku Aspen. Niech to cholera! Kto to widział tak się zagapić! Prezydent potrzebuje ludzi przytomnych, a nie marzycieli, którzy na dodatek padają na nos ze zmęczenia. Zdobył się na niewyraźny uśmiech i odrzekł prędko:

- Nic, naprawdę nic mi nie jest. Trochę mało ostatnio sypiam, i dlatego...

Huntington niezupełnie kłamał czy raczej niechcący powiedział prawdę. Bezustanne podróże, napięcie nerwowe i ciągła troska o rozwój wypadków w Europie zaczynały się fatalnie odbijać na zdrowiu Amerykanina. Pierwszy raz od czasu, kiedy przed dwoma laty wyszedł ze szpitala, Huntington czuł w klatce piersiowej znajome objawy - głosy przestrogi, których tym razem nie mógł zlekceważyć. Na przykład drętwy ból w prawej ręce i w żuchwie. Na przykład zadyszka, i to przy każdym na głym wysiłku.

Huntington czuł się wypompowany nawet kiedy przychodziło się wspiąć po paru schodkach. Dobrze wiedział, że zauważyli to także inni. Na twarzy żony znów zagościł ten sam wyraz lęku. Żona

bardzo namawiała Huntingtona na badania, na rozmowę z lekarzem, ale na razie nie miał na to czasu, a przynajmniej tak twierdził. Lekarz kazałby Huntingtonowi natychmiast zmienić nerwowy tryb życia, oderwać się od obowiązków, uspokoić nerwy. Tylko jak? Czas Huntingtona należał w całości do Stanów Zjednoczonych, a konkretnie do prezydenta kraju. Skoro głowa państwa tak sobie ceni porady i wysiłki przyjaciela, rozmaite względy osobiste muszą zejść na plan dalszy. Huntington w duchu doskonale wiedział, że wcale tak nie jest. Prezydent, zaufanie, głównie prawda. Sam przed sobą próbował przecież ukryć, że w rzeczywistości to on sam nie chce rezygnować z czegokolwiek. Wysłany po pierwszym zawale na przymusową emeryturę, Huntington czuł się przeraźliwie zagubiony i niepotrzebny. Doszedł do siebie tak naprawdę dopiero wówczas, gdy został zaufanym doradcą prezydenta. Gdyby znów przyszło mu tkwić w domu albo się szwędzać po polu golfowym, prędko umarłby - z nudów. Prócz tego była to jak najgorsza chwila, żeby się wycofywać. Huntington wiedział, że to nie żarty: polityka zagraniczna, jaką pomógł wypracować w Waszyngtonie, zdawała się nieodwołalnie zmierzać ku ostatecznej katastrofie. Na całym świecie nadal nie milknęły polityczne echa gdańskiej eksplozji gazowca. Wspomagani i finansowani przez Francuzów obrońcy środowiska domagali się, by w obliczu kataklizmu po wybuchu „North Star”, całkowicie zakazać zbiornikom rejsów na Bałtyk. Nawet neutralne i ugodowo nastawione rządy Danii, Szwecji, Finlandii i republik bałtyckich czuły z zewnątrz wyraźne naciski, by również otwarcie wystąpić przeciwko amerykańsko-brytyjskim dostawom morskim. Wśród waszyngtońskich polityków nadal nie było zgody co do kwestii czy Stany Zjednoczone nie palnęły aby głupstwa, decydując się pomóc Europie Wschodniej w przełamaniu embarga. Chwiejna koalicja kierowana przez sekretarzy Departamentu Energii, Obrony i Departamentu Stanu nadal popierała plan, lecz coraz większy posłuch zdobywali również przeciwnicy prezydenckiego programu - także ci ze szczybli ministerialnych. Do podobnego zdania powoli zaczynała się przychylić opinia publiczna. Tak przynajmniej wynikało z ankiet. Prezydent umiał zapanować nad tymi dążeniami i nadal opowiadał głośno o swej nieugiętej woli niesienia pomocy przyjaciołom USA z Polski, Czech i Słowacji, a spierający się o celowość nowych dostaw broni eksperci kłócili się we własnym

gronie, lecz wszystko to mogło się zmienić dosłownie z dnia na dzień: wystarczyłaby najmniejsza oznaka, iż prezydent zaczyna się wahać.

Huntington doskonale zdawał sobie sprawę, jak łatwo ulega się pozorom. Niezależnie od tego, czy rację mieli politycy przeciwni obecnym wysiłkom prezydenta i nazywający Huntingtona jego „złym duchem”, poddać się w takiej chwili i spakować walizki „z powodu złego stanu zdrowia” oznaczałoby zrujnować wszystko, co udało się dotąd osiągnąć. Intrygi i zawiść przeniosłyby się z waszyngtońskich kularów na czołówki gazet. Izolacjoniści z Kongresu, a z nimi czereda dziennikarskich sępów, krążyli już czujnie, czekając na podobną okazję. Było jasne, że kiedy tylko w łonie prezydenckiego gabinetu dojdzie do ostrzejszego starcia, zaatakują natychmiast. I właśnie ten fakt w oczach Huntingtona decydował o wszystkim innym. Za kulisami czekały też Francja i Niemcy, wypatrując chwili, kiedy znużona zimną wojną Ameryka machnie ręką na Polskę, Czechy i Słowację, zostawiając całą trójkę na łasce losu, a właściwie na łasce Paryża i Berlina. Ross Huntington wiedział, że prędzej zje własny krawat niż dopuści do takiej sytuacji. Oddać całą Europę bez walki? Żarty! Kwestia przyszłych stosunków z państwami Europy wykraczała poza zwykłą wojnę podjazdową waszyngtońskich biurokratów, toczoną na okólniki i zebrania. Nie chodziło o stronicie papieru, lecz o rzędy ciał w gdańskiej kostnicy. Ludzie, którzy przymocowali bombę pod dnem gazowca „North Star” musieli wiedzieć, że w ten sposób wypowiedają wojnę także Stanom Zjednoczonym. Prezydent miał dokładnie takie samo zdanie w tej kwestii - co wyjaśniało, dlaczego w trybie pilnym zwołał dzisiejsze posiedzenie w Camp David. Huntington przyjrzał się ludziom zbitym w grupkę przy kamiennym kominku. Jak zwykle, najbliżej prezydenta stał Harris Thurman, spowity aksamitnym obłokiem dymu z ulubionej fajki. Thurman wcale jednak nie wyglądał na odprężonego, przeciwnie. Jako sekretarz stanu musiał nieustannie wysłuchiwać pretensji w sprawie pomocy paliwowej dla Polski, więc też miał się czym denerwować. Sekretarz Departamentu Energii, Clint Scofield wyglądał znacznie pogodniej: stał sobie pod ścianą i z założonymi rękoma czekał na ciąg dalszy, mając obok siebie sekretarza obrony w osobie Johna Luciera. Lucier był o pół głowy niższy od wszystkich, a jego inteligentne, niebieskie oczy ginęły za

przegrodą grubych okularów w rogowej oprawie. Ostatnią osobą z najbliższego otoczenia prezydenta był dyrektor CIA, Walter Quinn, rozparty na fotelu tuż przy palenisku. Od czasu do czasu dyrektor ocierał z łysiejącej czaszki krople potu, lecz dzielnie tkwił na posterunku. Całymi dniami siedział za biurkiem, cierpiał na nadwagę i bardzo nie lubił się gimnastykować, więc nic dziwnego, że zamiast miejsca przy ścianie wybrał fotel. Gorąco zupełnie mu nie przeszkadzało. W końcu nie do takich temperatur zdążyły go przyzwyczać letnie waszyngtońskie upały. Wszyscy dali sobie dziś spokój z garniturami, wkładając na siebie zamiast nich zwyczajne dżinsy albo sztruksowe spodnie, pulowery, kamizelki myśliwskie, porozpinane kurtki narciarskie. Podobną jednomyślność wykazywali dotąd tylko w jednej kwestii: czy kontynuować amerykańską pomoc dla państw na wschodzie Europy. Rzecznik prasowy Białego Domu przekazał już prasie, że członkowie gabinetu przyjechali do Camp David, by się pościgać na nartach biegowych. Prasa z kolei zdążyła uznać komunikat za zawracanie dupy. Narciarstwo biegowe dziwnym trafem nie interesowało tych członków gabinetu, którzy sprzeciwiali się dalszej pomocy dla Polski. Prezydent chciał więc przedyskutować najnowsze wydarzenia bez wszczynania nowej dyskusji między zwolennikami pomocy a tymi, którzy pomoc dla Europy Wschodniej uważali za marnowanie czasu i pieniędzy. Huntington oderwał się wreszcie od okna i podszedł bliżej. W głowie czuł taką pustkę, że naprawdę wolał zająć się czymś konkretnym. Na przykład ilością opcji, jakie pozostały jeszcze prezydentowi. Nie przyjechał do Camp David po to, żeby się gapić na płatki śniegu. Na temat opcji spierali się od dobrych paru godzin.

Scofield posunął się, robiąc Huntingtonowi miejsce przy kominku i podjął kwestię: - Chcę tutaj zaznaczyć, panie prezydencie, że jeżeli się w te pędy nie weźmiemy do roboty, i to porządnie, całe gdańskie przedsięwzięcie leży. Koniec i bomba.

- Chodzi o te stawki ubezpieczeniowe?

- Właśnie. - Sekretarz przecesał dłonią kędzierzawe, rude włosy.

- Dwa dni temu Loyd razem z resztą firm ubezpieczeniowych podkreślił stawkę za rejsy zbiornikowców na Bałtyk o trzysta czy czterysta procent. Co to oznacza? Ani nas, ani Polaków nie stać na pokrycie takich kosztów, bo zwyczajnie rozleci nam się budżet. A poza tym - polityk zmarszczył brwi. - Poza tym co chwila

dzwonią do mnie armatorzy, przewoźnicy, nafcjarze i kogo tam jeszcze wciągnęliśmy do zabawy. Mówią, że dziękują, wystarczy. Do widzenia, pożartowaliśmy, ale już wystarczy. Wszyscy powtarzają, że w umowie nie było ani słowa o tym, co zrobiono z „North Star”,

- Ależ gnój! - Prezydent poskrobał się po brodzie i z nową nadzieją zapytał: - Ale tam, na miejscu, zostały im chyba zapasy?

- Nie za duże - uciął ponurym głosem Scofield. - Nawet kiedy na okrągło woziliśmy im tę ropę, ledwo wystarczało. Moi ludzie donoszą, że wszystkie trzy kraje mają zapas na dziesięć dni.

Nawet mniej, jeżeli nadal będzie tak fatalnie z pogodą.

O, rany. Huntington poczuł suchość w ustach. Dziesięć dni, i to w sytuacji, kiedy Polacy, Czesi i Słowacy dawno wprowadzili niesłychanie drastyczne przepisy o oszczędzaniu energii... W całej trójce krajów nie sposób było kupić litra benzyny do prywatnego samochodu, a w miastach przez większość dnia i przez całą noc wyłączano prąd. W dziesiątkach fabryk uruchamiano maszyny jedynie sporadycznie, co pozbawiło zajęcia dziesiątki tysięcy wykwalifikowanych robotników. Przymierzano się do przeprosin z węglem. Obywatele Europy Wschodniej ujrzeli w czarnych barwach nie tylko przyszłość, lecz także mroczną, mroźną i mizerną teraźniejszość. Co do przyszłości, Huntington miał jak najgorsze przeczucia. Wiedział, że jeszcze trochę, a we wszystkich trzech krajach upadną rządy. Było jasne, że podobnego zdania jest też Scofield, a z nim Thurman i reszta prezydenckiej ekipy. Wystarczyło spojrzeć na ich spochmurniałe twarze.

Prezydent zapatrzył się w ogień na kominku, obracając w myślach wszystkie te niewesołe fakty. Z przygarbionych ramion i zgniebionej twarzy dało się nagle odczytać, ile naprawdę lat ma człowiek tak na codzień słynący z młodego wyglądu i tryskający energią. Energia powróciła jednak, gdy tylko prezydent znowu się odezwał. - Cóż, panowie, próbowaliśmy wyciągnąć przyjaciół z kabały i sami dostaliśmy po łbie. Pytanie, co dalej?

- Bo wycofywać się nie będziemy, tak? - upewnił się po cichu Scofield.

- Nie będziemy.

- Skoro dostaliśmy, musimy się pozbierać - Scofieldowi wyraźnie ulżyło po ostatnich słowach prezydenta. - Pozbieramy się, otrząśniemy i sami przyfasolimy. Najważniejsza sprawa to

wznówić dostawy do Gdańska. Nie ma rady, musimy sami ubezpieczyć te statki. Od powietrza, ognia, wojny...

- Może mi ktoś powie, za co? - Harris Thurman nie próbował nawet ukryć sceptycyzmu. - Zastanów się, co mówisz, człowieku. Sam słyszałem, że kiedy już wszystko podliczą, rachunek za „North Star” może przekroczyć miliard dolarów. Co będzie, znowu coś wybuchnie? Tak samo, albo jeszcze gorzej? Poza tym nijak nie nazbieramy tych dodatkowych pieniędzy. Musielibyśmy się zwrócić do Kongresu, więc...

- O, właśnie - Scofield uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem. - I dlatego właśnie trzeba zadbać, żeby na przyszłość obyło się bez tak zwanych nieszczęśliwych wypadków. Kto najlepiej o to za nas zadba? Marynarka wojenna. Dobrze mówię, John? - zwrócił się do niskiego sekretarza obrony.

- Dokładnie tak się sprawy mają. - Mówiąc to szef Pentagonu zbliżył się do kominka i odwracając się do prezydenta uściślił: - Rozmawiałem już z kierownictwem sztabu operacji morskich. Za tydzień mogą dla nas przygotować flotyllę eskortową. Może nawet wcześniej, jeżeli Brytyjczycy podejmą się współpracy. Wystarczy razem z tymi zbiornikowcami posłać trochę okrętów i samolotów, a na pewno dopłyną bez przygód.

- Trochę, to znaczy grupę uderzeniową z lotniskowcem?

- Niekoniecznie, panie prezydencie. Na Morzu Północnym lotniskowiec może by się nawet przydał, ale chodzi zwłaszcza o mniejsze jednostki: fregaty, niszczyciele i tak dalej. Większym okrętom będzie na Bałtyku po prostu za ciasno. - Lucier poprawił okulary i przypomniał sobie coś jeszcze: - Moim zdaniem nie byłoby źle rozstawić wokół tamtego portu parę baterii rakietowych. Trochę Patriotów i Hawków, na przykład. - By pokazać, że i on ma poczucie humoru, sekretarz obrony rozciągnął wargi w cienki uśmiech i dodał: - To tak, na wszelki wypadek, gdyby jakiś pomylenieć załadował bombami awionetkę, żeby sobie pofruwać nad Polską.

- Pomysł rozsądny - zgodził się prezydent i zamilkł na chwilę z rękami w kieszeniach. - Zgoda, niech będzie. Proszę opracować plan i przedstawić mi go do wglądu. Najlepiej jutro z samego rana.

- Chwileczkę, nie rozmawiamy chyba poważnie? - zdenerwował się już nie na żarty Harris Thurman. - Mamy wysłać nasze siły pod

nóż? Żeby się biły o cudzą ropę naftową? Kongres eksploduje jak petarda, kiedy to usłyszysz. Wade i reszta towarzystwa dobiorą ci się do tyłka za to, że narażasz naszych żołnierzy gdzieś za oceanem.

Prezydent okręcił się w miejscu i spojrzał ostro na sekretarza stanu. - Mogą sobie mówić co chcą, Harris, ale na razie to ja tutaj jestem najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych. To ja, a nie oni, odpowiadam przed wyborcami za obronę amerykańskich interesów, zgoda? Ja, a nie Jack Wade czy przywódca większości w Senacie! Umówmy się, do cholery, że jeśli się ludziom nie spodoba to, co robię, zawsze mogą mnie wywalić na pysk w następnych wyborach. Jasne?

- Oczywiście, oczywiście - zapewnił go Thurman, który jednak wcale nie miał zamiaru się poddawać. - Idzie mi tylko o to, czy czasem nie przesadzamy z tymi środkami ostrożności. Boimy się komandosów, terrorystów, ale właściwie dlaczego? Dla czego nie mówimy, że to, co się stało z „North Star”, naprawdę mogło się zdarzyć wskutek wypadku, błędu...?

- Bo nie mogło. Co do tego nie miejmy złudzeń - znów włączył się do dyskusji Scofield. - Eksperci z mojego departamentu i z koncernów gazowych zbadali każdy strzęp metalu z tego statku. Sprawdzaliśmy, jaka była tamtej nocy pogoda, wiatr, jaka pozycja statku. Stopień wyszkolenia załogi, dzienniki napraw i diabli wiedzą co jeszcze. Nie znalazł się taki ekspert, który by miał inne wytłumaczenie niż zamach. Takie awarie nie zdarzają się nagle.

Prezydent zatrzymał wzrok na Huntingtonie.

- O, właśnie, Ross. Przecież sam byłeś tam, na miejscu. Czy Polacy nadal utrzymują, że był to rozmyślny sabotaż?

- Owszem - zapewnił go Huntington. - I nadal szukają dowodów, jakichkolwiek śladów, żeby udokumentować podejrzenia. Policja i wywiad wojskowy przesłuchują wszystkich, którzy mogli zauważyć coś podejrzanego wokół kotwicowiska. Na razie bez skutku - dodał zgaszonym głosem.

- Trudno się dziwić - zauważył Walter Quinn. - Moim zdaniem mogą sobie darować to śledztwo.

- Jak to?

- Tamci na pewno nie chcieli ryzykować minowania, kiedy statek stał już na redzie. Gdyby ktoś krążył wokół redy pełnej

zbiornikowców, na pewno zaraz by go przepytano, po co te spaceruje. Nie, panowie - potrząsnął głową dyrektor CIA - Zawodowcy nie spacerują po linie bez siatki. Moim zdaniem podłożyli tę bombę dużo wcześniej, w jakimś dużym porcie, gdzie zawsze jest ruch, statki z całego świata, no i gdzie każdy może się wśliznąć, a w razie potrzeby raz dwa uciec.

Quinn znów otarł pot i z wysiłkiem odsunął nieco fotel od kominka. - I właśnie dlatego jesteśmy prawie pewni, że minę przyczepiono dużo wcześniej, zanim „North Star” dotarł do Gdańska. Na przykład podczas załadunku w Stavanger, albo już w trakcie rejsu, przy przechodzeniu przez Skagerrak albo Kattegat. - Dyrektor CIA wzruszył ramionami. - Problem jest tylko jeden, a mianowicie, że bardzo trudno nam to sprawdzić. Rozesłałem agentów po całym obszarze, tak samo zresztą jak Brytyjczycy i Norwegowie, ale wiadomo, że szukamy igły w stogu siana. I to niewidzialnej igły.

Prezydent, Thurman i pozostali doskonale rozumieli, na czym polega trudność. Bez namacalnych śladów, pozwalających wykryć typ miny albo rodzaj zapalnika czy choćby bez dokładnej znajomości miejsca, w którym umieszczono ładunek, agenci Quinna stawali przed herkulesowym zadaniem: skąd mieli wiedzieć czy ładunek podłożył doker zwerbowany przez czyjś wywiad, brodaty obrońca środowiska w żaglówce, czy może wyszkolona ekipa komandosów w miniaturowej łodzi podwodnej? Huntington poczuł nagłe ożywienie, gdyż przypomniał sobie coś, o czym się dowiedział w gdańskim porcie. Podniósł rękę i gestem przerwał w pół słowa perorę szefa CIA. - Chwileczkę, Walt. Wolno nam założyć, że ta cała mina czy tam bomba miała wybuchnąć o ustalonym czasie, tak?

- Całkiem możliwe - przytaknął Quinn. - Tamci nie zaryzykowałiby chyba zdalnego odpalenia ładunku, a już zwłaszcza przez wodę albo stalowy kadłub. W obu ośrodkach fale radiowe giną, rozmywają się... Tak, najlepszy wynik gwarantował zapalnik czasowy.

- Właśnie! I dlatego możemy mieć pewność, że ładunek podłożono już na redzie Gdańska! - Huntington rozejrzał się po saloniku. - Wiadomo, że gazowiec miał opóźnienie w rozładunku. Sam to od was słyszałem. Z tym tylko że absolutnie nikt nie mógł zawczasu przewidzieć opóźnienia. Zgoda? - I nie czekając na odpowiedź Huntington ciągnął: - To jasne. Kiedy „North Star” stanął na redzie, Gdańsk przyjmował statki jak leci. Niektóre zbiornikowce

szły do rozładunku od razu, inne musiały czekać, zależy jak wypadło. Parę statków czekało kilka dni i dłużej. - Nie rozumiem, o co ci chodzi - Quinn zmarszczył czoło.

- Sam pomyśl! - Huntington poczuł, że wraca mu życie. Podobne ożywienie czuł zawsze, ilekroć udawało mu się rozwiązać problem gnębiący firmę albo dostać do ręki pokerową kartę-nóż. -Gdyby tamci podłożyli minę grubo wcześniej, to uwzględniając opóźnienie bomba wysadziłaby „North Star” nie na redzie, lecz w porcie. Na cumach kilometr od centrum miasta, a nie gdzieś daleko na morzu. Pierwszym, który zrozumiał, w czym rzecz, był Scofield.

- No, pewnie! Nawet te skurwysyny z Paryża i Berlina nie zniszczyłyby całego miasta tylko po to, żeby odciąć Polskę od dostaw ropy.

Prezydent spojrzał pytająco na dyrektora CIA,

- Coś mi się wydaje, Walt, że znaleźliśmy tę twoją niewidzialną igłę. Polacy rzeczywiście wiedzieli, gdzie jej szukać. -

Niewykluczone - odrzekł oficjalnym tonem Quinn, wściekły - i zawstydzony, że wyręczył go w pracy zupełny amator. Huntington mógł się z góry domyślić, jaką wiązanekę usłyszą podwładni Quinna po jego powrocie do Langley. Dyrektor CIA miał i tak szczęście, gdyż prezydenta bardziej od przeszłych grzechów i win interesowała przyszłość. - W porządku, Walt. Masz mi pokazać komplet meldunków:

wszystko, ale to dosłownie wszystko, co zaobserwowaliście w pobliżu Gdańska. Zdjęcia satelitarne. SIGINT. Wszystko, powtarzam. Niech twoi ludzie skontaktują się z Polakami, niech współdziałają. Muszą się znaleźć jakieś dowody! Nie wiem gdzie, nie wiem jakie, ale muszą! Cokolwiek, co nam udowodni, że sprawcy to Francuzi i Niemcy. Chcę dostać taki dowód do ręki. Jasne? - Tak. Jasne.

- To dobrze, że jasne. - Prezydent podszedł do okna, za którym gęstniał zmierzch. - Podstawowa sprawa: jeżeli Jack Wade albo inna wywłoka z Kongresu zacznie znowu pisać, że pompujemy za dużo pieniędzy w Polskę, muszę mieć coś, czym mu zamknę twarz.

- Ryzykowna taktyka - przestrzegł Thurman. - Jeżeli cała Ameryka się dowie, że to niemieccy i francuscy agenci zgładzili załogę „North Star”, zacznie się normalne piekło. Możemy stracić wpływ na to, co się będzie działo.

- Mamy udawać, że wszystko jest w porządku, tak?

Thurman pomilczał chwilę, zajęty zapalaniem fajki, po czym skinął głową i zauważył:

- A czy to pierwszy raz?

Huntingtona nie zaskoczyły te słowa. W latach zimnej wojny Rosjanie kilkakrotnie strącali amerykańskie samoloty rozpoznawcze - niektóre nad Morzem Japońskim, inne bliżej rosyjskich wybrzeży. I nic. Cicho było też o sprawie okrętu rozpoznania elektronicznego „Liberty”, podczas wojny sześciodniowej w 1967 roku zmienionego przez izraelskie bombowce w płonący wrak. Za każdym razem Stany Zjednoczone nie decydowały się na odwet, a często ukrywały całą sprawę przed prasą i telewizją.

Waszyngtońskie elity chciały za wszelką cenę uniknąć nowego kryzysu i konfrontacji. - Naprawdę sędzę, że ciche, nieoficjalne rozmowy z Paryżem... Zwłaszcza jeśli zdobędziemy dowody...

Prezydent odwrócił się. Na widok jego ściągniętej twarzy Thurman zamilkł w pół zdania, - Najpierw znajdźcie mi te dowody, co? A jak znajdziecie, sam już będę umiał zadecydować, co dalej.

Po tych słowach prezydent znów zapatrzył się w krajobraz za oknem. Wokół Camp David płonęło coraz więcej lamp. Zaczynała się kolejna, długa, zimowa noc.

25 lutego - Rada Europejska, Pałac Europejski w Strasburgu
Nicolas Desaix zatrzymał się przy wejściu do dawnej sali posiedzeń starego Parlamentu Europejskiego, obserwując towarzyskie płasy dostojników z państw połowy kontynentu. Każdemu z polityków towarzyszyło stadko tłumaczy i asystentów, toteż potężna sala wyglądała niczym sfalowane, popielate morze - odmęt szarych garniturów, szpakowatych włosów i poszarzałych, wymęczonych twarzy. Małpy w szarych kubraczkach! Desaix nie miał do tych ludzi cierpliwości. Myśl, że przez następnych parę dni nie będzie się można opędzić od kolejnych grup dzikusów z tuzina państweczek, bynajmniej nie zachwyciła Desaix. Godził się z nią jednak, świadomy, że za tę cenę uda mu się ostatecznie zrealizować dawne marzenia o Europie zjednoczonej pod przewodnictwem Francji i Niemiec. Konferencja w Strasburgu stanowiła konieczny krok na tej drodze. Państweczka miały okazję puszyć się, przechwalać, ubiegać o względy silniejszych partnerów - wszystko to w oczekiwaniu na chwilę, kiedy przyjdzie się podpisać pod umowami wiążącymi już Niemcy i Francję. W świecie

międzynarodowej dyplomacji właściwe pozory liczą się znacznie bardziej od konkretów. Trudno. Trzeba się będzie pomęczyć. Desaix przyoblekł twarz w sympatyczny uśmiech i powoli ruszył przez tłum, wymieniając słowa przywitania ze znajomymi i lekko się kłaniając nieznanym postaciom. Pantomima okazała się wyczerpująca, jako że delegaci z Austrii, Belgii, Chorwacji i wreszcie Węgier kolejno obstępowali francuskiego ministra, by wyłożyć swoje ciche prośby i zorientować się co do przychylności Paryża. Żegnając się z Desaix, kolejni politycy czuli się tak oczarowani słowami Francuza, że dopiero po chwili świtało im w głowie, iż w rzeczywistości nic u niego nie wskórali. Za Węgrami ustawili się już tymczasem Serbowie, Rumuni i Bułgarzy, którym także należało się parę minut.

Desaix przechodził od grupy do grupy, uważając by się w porę ukłonić także przybyłym do Strasburga obserwatorom z państw neutralnych. Nadarzała się doskonała okazja, by poczynić wstępne kroki wobec Rosji, Ukrainy i Danii. Gdyby tylko udało się je wciągnąć do Konfederacji... Nowy związek państw rozciągałby się od tej pory od Atlantyku aż za Ural. Choć oczywiście w środku Europy nadal ziałaby dziura.

Desaix udawał, że nie dostrzega nieobecności delegacji z Warszawy, Pragi i Bratysławy, lecz na serio zaczął się niepokoić tą demonstracją. Zmusił się do uśmiechu w rozmowie z którymś z Rosjan, wściekły, że wschodnioeuropejska trójka okazuje się znacznie bardziej uparta, niż się tego spodziewano w Paryżu.

Trzeba zmusić ją do uległości. Tylko jak? - Panie ministrze!

Desaix odwrócił się prędko i natychmiast skrzywił, gdyż wołał go po prostu jeden z osobistych sekretarzy. - O co chodzi, Girul?

Młody asystent pospiesznie podał Desaix wydruk z dalekopisu. - Amerykanie, panie ministrze! I Brytyjczycy! Wznawiają dostawy ropy i gazu do Gdańska! Każdy zbiornikowiec będzie miał eskortę okrętów wojennych!

- Nie może być! - Desaix nie potrafił ukryć zdumienia.

- Godzinę temu amerykański sekretarz stanu wydał oświadczenie w tej sprawie - Girul wskazał na pomietą kartkę w dłoniach Desaix.

- W Waszyngtonie mówią już o operacji „Dylizans”. Minister spraw zagranicznych przebiegł depeşe wzrokiem. Im dłużej czytał, tym mocniej zaczynały mu drżeć mięśnie w zaciśniętej szczęce. Wbrew wszelkim przewidywaniom Amerykanie i ich angielscy pucybuci

trwali w zamiarze przełamania rosyjskiego embarga. Nie dość, że trwali, to jeszcze podwoili stawkę. Wprowadzenie okrętów wojennych na Bałtyk oznaczało, że oba kraje anglosaskie nie mają zamiaru rezygnować z dotychczasowej roli w Europie. To zaś z kolei oznaczało kłopoty. Przede wszystkim należało się spodziewać, że Polacy, Słowacy i Czesi na dobre wzgardzą teraz dyplomatycznymi inicjatywami Francji. Po drugie, dalsze mieszanie się USA i Wielkiej Brytanii w wydarzenia na kontynencie mogło podburzyć tę część Europy, której i bez tego nie podobały się coraz silniejsze wpływy Paryża i Berlina w mniejszych państwach. Desaix wepchnął zmiętoszoną depeszę do kieszeni i wziął sekretarza pod łokieć. - Girul, ma pan natychmiast znaleźć kanclerza Schraedera i przysłać go do mnie. Na jednej nodze. Proszę mu powiedzieć, że muszę z nim poważnie porozmawiać. W cztery oczy, naturalnie.

Młody sekretarz skinął głową i natychmiast zniknął za drzwiami sali. Desaix odprowadził go spojrzeniem, a potem okręcił się i ruszył ku gościom. W myślach układał już sposób przyspieszenia obrad całej konferencji. Przy odrobinie szczęścia Amerykanie i Brytyjczycy ani się spostrzegą, kiedy ich okręty będą zmuszone się przemykać pod boki nowego, zjednoczonego europejskiego mocarstwa.

26 lutego - Narodowy Ośrodek Rozpoznania Fotograficznego, budynek 213 na terenie waszyngtońskiego wydziału Marynarki Wojennej Narodowy Ośrodek Rozpoznania Fotograficznego - NORF -mieścił się w jednym z dużych, pozbawionych okien budynków na terenie zajmowanym w Waszyngtonie przez instytucje podległe Marynarce Wojennej USA. Ośrodkiem kierowało CIA, choć kilka tysięcy specjalistów z NORF-u odpowiedzialnych za analizę zdjęć z orbitalnych satelitów szpiegowskich pracowało też na rzecz innych agencji wywiadowczych USA. Od czasów prezydenta Kennedy'ego wszyscy lokatorzy Białego Domu korzystali z umiejętności i wiedzy tych ludzi - zwłaszcza, kiedy dochodziło do kryzysu. Obecny prezydent nie był tutaj wyjątkiem.

Naczelnym analitykiem zdjęć z terenu północnej Europy mianowano niedługo przedtem Billa Reilly'ego, który długie lata prześlęczał nad satelitarnymi fotografiami głównych baz morskich Układu Warszawskiego, lotnisk i umocnień lądowych od plaż nad Bałtykiem aż po Półwysep Kola. Reilly doszedł w tym zajęciu do takiej

wprawy, że często żartował w pracy, iż ulice Murmańska zna lepiej od własnego podwórka, choć tylko z wysokości trzystu kilometrów. Współpracownicy nazywali go między sobą Orbitalnym Skrzatem, bo faktycznie Rilley był mizernego wzrostu i nawet wbity w najlepszy garnitur wyglądał jak po noclegu w składzie opałowym. Sterczące kępami siwe włosy i chrypliwy głos dodatkowo utwierdzały analityków w przekonaniu, że dyryguje nimi złośliwy krasnal. Krasnal od dłuższego czasu siedział zgarbiony nad panoramicznym monitorem, wgłębiając się w zdjęcia zrobione niewiele dni wcześniej nad Gdańskiem. Obrazy z orbity utrwalano natychmiast w postaci kodu na dyskach kompaktowych dużej pojemności. Obecną serię zrobił satelita typu KH-11, skierowany nad polskie wybrzeże z innego punktu orbity tuż po eksplozji „North Star”. Komputeryzacja całego systemu pozwalała nie tracić czasu na grzebanie się w kartotekach. Łatwiej też było powiększać zdjęcia i przywoływać je na ekran. Reilly skupił się zwłaszcza nad serią zdjęć w podczerwieni, rejestrujących ciepło oddawane przez rozmaite przedmioty i elementy terenu. Satelity typu KH-11 mogły robić zdjęcia w podczerwieni dopiero od niedawna. Dzięki temu można było obserwować dany obszar nie tylko za dnia, lecz również w nocy. Gdyby zapytać o zdanie samego Skrzata, odburknąłby, że dawno już trzeba się było zdecydować na taką modernizację. Wiadomo, złodzieje lubią działać pod osłoną ciemności. - O, dzień dobry! - rzucił nagle Reilly pod adresem przedmiotu na ekranie i oderwał dłoń od komputerowej myszy, którą przesuwiał kolejne, powiększone zdjęcia. Raz już przeglądał tę samą serię, zaraz po tym, kiedy nadeszła z orbity, przekazana za pośrednictwem sieci MILSTAR do bazy rozpoznania orbitalnego w Fort Belvoir w stanie Wirginia, a stamtąd do waszyngtońskich komputerów. Najważniejsza lekcja dla nowicjuszy w sztuce rozpoznania fotograficznego głosi, że za pierwszym podejściem i tak nic się nie zobaczy. Zresztą poprzednim razem Reilly przeglądał pierwsze zdjęcia z orbity po to, by ocenić siłę i skutki kataklizmu, a nie po to, by szukać przyczyn. Nawet jednak za pierwszym razem nie zobaczył nic szczególnego. Potworna bania ciepłego powietrza, buchająca znad płonących zbiornikowców, skutecznie zamazała większość szczegółów. Za drugim podejściem Reilly miał przed sobą obrazy już po obróbce komputerowej, oczyszczone ze skaz, przetworzone na ciągi sygnałów

i punkt po punkcie „wyprane” tak, by uzyskały ostre kontury. Jeszcze bardziej liczyło się, że tym razem analityk mniej więcej wiedział, czego szuka. Reilly szukał dziwnych szczegółów i anomalii. Jakichkolwiek anomalii na redzie Portu Północnego w Gdańsku. Znalazł dokładnie to, czego chciał.

Kursor komputerowej myszy zatoczył naraz krąg wokół niewyraźnego obiektu pośrodku ekranu. Kilka sekund później pracownicy NORF-u mogli się napawać niezwykle rzadkim widokiem: ich szef w samych skarpetkach pędził korytarzem w stronę gabinetu szefa.

2 marca - ambasada USA w Berlinie

- Jak to? Takie będę miał zadanie czy jak? - Stuart Vance wbił wzrok w kartkę z ołówkowym szkicem, przedstawiającym stary, rozpadający się kuter rybacki, od strony burty, od przodu, od rufy, z góry...

- Właśnie. Masz nam znaleźć ten kuter - powtórzył nie spiesząc się szef Vance'a, rezydent CIA w Berlinie.

- Ale po co, dlaczego? - Na widok purpurowiejącej twarzy szefa Vance poprawił się prędko: - To znaczy, dlaczego chodzi akurat o ten kuter? - Dlaczego? Dlatego, że zdaniem dyrekcji mogło się zdarzyć, że to właśnie załoga tego kutra posłała jeden cholerny gazowiec między aniołki. - Rezydent podniósł z biurka własny egzemplarz szkicu i dodał tytułem wyjaśnienia: - Podobno znaleźliśmy tę łajbę na zdjęciach satelitarnych tuż po wybuchu. Vance przygryzł dolną wargę, lecz w końcu, wciąż nie przekonany, wzruszył ramionami. - Dobra, chociaż za Boga nie wiem, o co tyle szumu. Wielkie rzeczy, kuter rybacki na Bałtyku! Mało ich? Na pewno znajdą się tysiące, nie?

- Pewnie tak. Ale w tym wypadku nie zgadza się parę szczegółów. Raz, że w Zatoce Gdańskiej dawno wyzdychały wszystkie ryby. Przy takim zatruciu nikt o zdrowych zmysłach nie wypływa tam na połów. Najpierw komuniści puszczała tam ścieki z całego kraju, teraz znów nowy rząd nie ma pieniędzy na ochronę środowiska... Wszystko jedno, ryb tam ani widu. Druga sprawa: kuter płynął poza wytyczonym torem żegludowym, za to tuż przy płyciznach. Głupota, jeśli się jest szyprem od śledzi, ale wcale nie głupota, jeśli chce się uniknąć radarów obrony wybrzeża.

Rezydent zamilkł, a potem odgiął kolejny palec.

- A po trzecie? Po trzecie, wszystko to wygląda na czary-mary.

Polacy zaklinają się, że nikt, ale to dosłownie nikt, żywa dusza nie widziała u nich tego kutra. Dotarł pod Gdańsk nocą, bez świateł, i nocą odpłynął w siną dal. Co z tego wynika? Nie wiem, czego tam pana uczono na wydziale prawa na Yale, ale pewnie umie pan dodać dwa i dwa, co?

Vance poczerwieniał. Przełożony nie omieszkiał mu przypomnieć, że sam ukończył Harvard. Ha, trudno. - Dobrze, rozumiem - bąknął i rozłożył bezradnie ręce. - Jest tylko jedno „ale”. Te zdjęcia zrobiono dziesięć dni temu, tak? Przez ten czas kuter mógł odpłynąć Bóg wie gdzie!

- Słusznie. - Starszy oficer uśmiechnął się zimno do wysokiego, jasnowłosego Vance'a i wyjaśnił: - I właśnie dlatego wszyscy nasi ludzie od Berlina po Oslo będą mieli co robić przez najbliższe tygodnie.

Podszedł do mapy ściiennej.

- Zacznie pan w Heringsdorf, panie Vance. O, tu! - Rezydent wskazał mikroskopijny punkcik tuż nad polską granicą. - Stamtąd ruszy pan na zachód, w kierunku Kilonii. Ma pan przepatrzyć każdą dziurę, każdą wioseczkę, w której jest choćby jedno dziurawe molo. Proszę się dowiadywać czy w ostatnim czasie cudzoziemcy nie wynajmowali albo nie próbowali kupić takiego kutra jak na rysunku. Jeżeli miejscowi pamiętają coś takiego, ma pan z nich wycisnąć, kim byli ci obcy albo za kogo się podawali. -i już z prawdziwym uśmiechem szef placówki dodał: - Satelity satelitami, a swoje trzeba odpracować. Kto nie ma w głowie, ten musi mieć w nogach. Vance miał wrażenie, że lada chwila pęknie. Pierwsze zadanie w CIA, tak? Przepatrzyć tuzin śmierdzących dorszem osad rybackich w dawnym NRD! Posłusznie jednak złożył szkic we czworo i wyszedł. Nie miał złudzeń, że robota okaże się czymś więcej niż poniżającą, bezsensowną męczarnią, która na domiar złego nie przyniesie żadnych skutków. W korytarzu napotkał wzrok innych młodych agentów, czekających na swoją kolejkę u szefa. Widać inne owieczki także miały się wyprawić tropem lwa.

4 marca - doniesienie „Washington Post”

STRASBOURC (Inf. wł.) - Ministrowie spraw zagranicznych państw europejskich zebrani na trwającej konferencji zaskoczyli wszystkich obserwatorów, podpisując serię szeroko zakrojonych porozumień. Umowy te mają na celu utworzenie ogólnoeuropejskiego związku państw o nazwie Konfederacji Europejskiej. Jeżeli dojdzie

do ratyfikacji porozumień przez poszczególne rządy, nowa organizacja zjednoczy prawie cały kontynent. Przewiduje się wprowadzenie jednolitej waluty dla wszystkich państw członkowskich, utworzenie wielonarodowych sił zbrojnych pod wspólnym, połączonym dowództwem, powiązanie ze sobą organizacji policyjnych i organów wymiaru sprawiedliwości w poszczególnych krajach, a także zintegrowanie całej polityki celnej, handlowej i zagranicznej. Pierwszym krokiem w kierunku utworzenia Konfederacji ma być ogłoszony przez Francję i Niemcy plan pełnego zintegrowania armii, służb wywiadowczych i oddziałów policji obu państw. To samo muszą uczynić inne kraje, mające się przyłączyć do Konfederacji. Decyzji na ten temat należy się spodziewać już w najbliższych tygodniach...

12

Sygnaly zagrożenia

9 marca - Ahlen, koszary niemieckiej 19. Brygady Grenadierów Pancernych

Nowy ład w Europie rozciągnął już władzę jeśli nie nad całym kontynentem, to na pewno nad niemieckim wojskiem. W ślad za nowymi porządkami nadciągała także wiosenna ulewa. Kiedy podpułkownik Willi von Seelow stanął na skraju pułkowego lądowiska dla helikopterów, połami jego oficerskiego płaszcza targnęła chłodny, przesycony wilgocią powiew. Sztabowcy z brygady, grupki dowódców oddziałów i podoficerowie sztabowi, rozmawiali wszyscy cicho między sobą, jak gdyby w obawie, że dostojny gość już z powietrza może dosłyszeć, co o tym wszystkim myślą. Willi przestąpił z nogi na nogę i skrzywił się, czując jak grząskie błoto rozstępuje mu się pod butami. W bok od lądowiska rozciągał się na obie strony zapasowy plac ćwiczeń brygady, trawiasty i rozmokły po wczorajszym deszczu. Dodatkowe błotne koleiny wryły w darni gąsienice wozów bojowych 191 batalionu grenadierów pancernych. Poszczególne kompanie i plutony ustawiły jak pod sznurek swoje Mardery- czterdzieści dwa bojowe wozy piechoty plus dwa również gąsienicowe wozy dowodzenia. Dalsze szeregi tworzyły samobieżne haubice kalibru 120 mm, ciężarówki i reszta samochodowej drobicy. Kuląc się pod ciężarem pełnego wyposażenia, a także po prostu z zimna, pięciuset żołnierzy i oficerów batalionu tak samo jak sztab brygady czekało na zapowiedzianą chwilę. 191 batalion stanowił dumę von Seelowa,

który lata wcześniej, w kilka miesięcy po przenosinach z rozwiązywanej wówczas Armii Ludowej NRD, objął w nim dowództwo kompanii. Dawni towarzysze broni ze 191 pokazali tej zimy, co potrafią. Mimo marnego żołądka, słabej liczebności, a także mimo nienawiści wielu rodaków, batalion uczynił co tylko mógł, by stan wyjątkowy nie pozostał jedynie na papierze. Służba na ulicach oduczyła grenadierów poligonowej taktyki, lecz zahartowała ich i zespoliła. Żołnierze 191 widzieli tej zimy, jak umierają koledzy, jak sanitariusze wynoszą rannych spod ognia. Z pokojowej armii stali się prawdziwym wojskiem. Von Seelow podniósł wzrok na oficera, który stanął obok.

- Sam się przekonasz, Willi, że mam rację. Żeby Francuz dowodził niemiecką brygadą... Przecież to kompromitacja! - zachnął się podpułkownik Otto Yorck, nieco niższy od von Seelowa i przy swojej jasnobłond czuprynie i niebieskich oczach bardziej podobny do alpejskiego instruktora narciarstwa, niż do czołgisty. Von Seelow tylko się uśmiechnął. Jako dowódca 191 batalionu, Yorck słynął z otwartych poglądów. Więcej, nie umiał się powstrzymać od komentarzy nawet kiedy mógł sobie nimi tylko zaszkodzić. Willemu to nie przeszkadzało, przeciwnie - lubili się z Yorckiem, który w gronie oficerów brygady jako jeden z nielicznych nie zwracał uwagi na wschodniemiecki rodowód von Seelowa. W skrytości ducha Willi w pełni podzielał uczucia kolegi. Jemu także nie w smak były najnowsze aneksje do umowy o Konfederacji Europejskiej, w myśl których niemieckie i francuskie siły zbrojne miały udawać syjamskie bliźniaki, zrosnięte we wspólną, wielonarodową armię. Nowy II Korpus EuroConu składał się teraz na przykład nie tylko z niemieckiej 7. Dywizji Pancerniej i 2 Dywizji Grenadierów Pancernych, lecz także z francuskiej 5. Dywizji Pancerniej - tej samej, która w latach zimnej wojny stacjonowała w niemieckim Landau. W samej rzeczy, współpraca wojskowa między parą dawnych sojuszników z NATO nie była niczym nowym. Niemieckie i francuskie dywizje powietrzno-desantowe od 1963 roku przeprowadzały rok w rok wspólne manewry „Koliber”, a w początkach lat dziewięćdziesiątych, trochę dla eksperymentu, utworzono wspólny niemiecko-francuski korpus armijny, mający symbolizować nowe, „europejskie” podejście do spraw bezpieczeństwa na kontynencie. Korpus traktowano głównie jako ciekawostkę, lecz teraz przyszła pora, by zmienić nastawienie.

Obecny proces okazał się zupełnie różny od dawnych prób integracji, a także o wiele bardziej skomplikowany. Oba państwa postanowiły połączyć dwie struktury dowodzenia, łączności, rozpoznania i zaopatrzenia, zmieniając je w bezszmerowo działającą maszynę. Wszystko to w ciągu kilku zaledwie miesięcy. Tym czasem sama tylko bariera językowa po obu stronach nastęrczała ogromnych trudności, nie mówiąc już o różnych stylach dowodzenia i rozbieżnych schematach organizacyjnych. By wziąć pierwszy z brzegu przykład, niemiecka 7. Dywizja Pancerna w pełnym składzie mogła rzucić w bój ponad trzysta czołgów Leopard 2, dwieście gąsienicowych wozów piechoty Marder i siedemnaście tysięcy ludzi. Dla porównania, analogiczna jednostka francuska w postaci 5. Dywizji Pancerniej była niemal dwa razy słabsza. Karkołomny wyścig zjednoczeniowy trwał jednak czy wręcz nabierał coraz szybszego tempa. Słowo „zjednoczenie” nie oddawało istoty rzeczy o tyle, że większość stanowisk oficerskich w korpusie i na wyższych szczeblach dowodzenia przypadła Francuzom. Niektórym z nich specjalnie w tym celu przyspieszono awans. Dlatego nawet II Korpus ze swymi dwiema niemieckimi dywizjami otrzymał francuskiego dowódcę. W szeregach wyrażano się dość dosadnie na temat Schraedera i pozostałych członków niemieckich władz, a co bardziej konserwatywni oficerowie mówili wręcz, iż rząd sprzedał własną armię. Willi także nie czuł zbyt wielkiego entuzjazmu na myśl o przymierzu z Francuzami - sojusznikami wprawdzie, lecz sojusznikami od wcale nie tak dawna. Co gorsza, Francuzi próbowali z miejsca pokazać, kto tu teraz rządzi. Willi mało nie splunął z obrzydzenia, pewien, że jego ojciec - pułkownik Hans von Seelow i jego dziadek, niegdyś generał Reichswehry, przewracają się, albo może wręcz wirują w grobach. Małe radio u pasa zatrzeszczało:

- Brygada, tu szeregowy Neumann. Śmigłowce w polu widzenia. Von Seelow dał znak pułkownikowi Bremerowi. Na całym placu oficerowie dali komendę: - Stand auf!

Wokół wozów bojowych zakłębiło się od sylwetek w mundurach. W brzęku ekwipunku i mlaskaniu błota pod butami grenadierzy pancerni ustawili się w karny czworobok. Von Seelow potwierdził odbiór meldunku i sam zajął miejsce w szyku. Nad placem zaległa cisza. Niektórzy żołnierze trzęśli się z zimna, bo w nieruchomej formacji nie było jak się schronić przed chłodnym, dokuczliwym

wiatrem. Na szczęście batalion nie czekał długo. Dosłownie minutę po tym, jak żołnierze batalionu i sztabu brygady stanęli w szyku, nad horyzontem wykwitła ciemna kropka, która prędko przybierała postać śmigłowca pomalowanego w szaro-zielone, maskujące łaty. Maszyna w klekocie wirnika przemknęła nad placem i zataczając łuk spłynęła na wyznaczone miejsce. Na wszelki wypadek sztab brygady ustawił się daleko od lądowiska, ale i tak Willi musiał się dobrze pilnować, by nie zwałił go z nóg podmuch potężnego wirnika Pumy. Transportowy śmigłowiec zawisł w powietrzu i ciężko opadł, podnosząc z ziemi obłok wilgotnych kropel. Turbiny zwolniły, a wraz z nimi osłabł hałas łopat wirnika. Kiedy wirnik zatrzymał się, przez odsunięte boczne drzwi Pumy wyskoczył na trawę sam dowódca korpusu: generał de Corps d'Armee, Etienne Montagne. W tym samym momencie oficerowie batalionu krzyknęli: - Achtung! Kątem oka von Seelow obserwował, jak cały 191 równa szereg. Bardziej jednak ciekawił Willego nowy dowódca korpusu. Montagne okazał się wysoki, i to tak bardzo, że musiał się mocno schylić w drzwiach śmigłowca. Na ziemi wyprostował się natychmiast i sztywno ruszył naprzód. Dobiegał chyba sześćdziesiątki, a jego włosy pod oficerskim kepi były prawie zupełnie siwe. Von Seelow sam nie wiedział, jakie uczucia wzbudza w nim widok nakrycia głowy generała. Cylindryczna czapka z małym daszkiem była w tym wypadku granatowa i ozdobiona podwójnym rzędem złotych liści dębowych, czterema generalskimi gwiazdkami i cienką czerwoną obwódką wokół runda. Francuski korpus oficerski nosił kepi od ponad stu lat. Także pod Verdun i nad Marną. Kolejny oficer, który wysiadł ze śmigłowca, był niższy i bardziej śniady. Von Seelow rozpoznał w nim generała Alfreda Wismara, Niemca, czołgistę. Wismar dowiedział się niedawno, że ma służyć jako zastępca dowódcy II Korpusu i wcale nie wydawał się zachwycony taką rolą. Za dwójką zwierzchników postępował generał Karl Leibnitz, dowódca 7. Dywizji Pancерnej. Pułkownik Bremer zatrzymał się przed gośćmi i zasalutował. Montagne odpowiedział mu i przywitał się. Dwójka niemieckich generałów trzymała się na razie z tyłu. Bremer i Montagne zamienili kilka słów, po niemiecku. Francuski generał mówił oczywiście z akcentem, ale znał język podwładnych. Willi dosłyszał kilka słów zanim jeszcze Bremer zaczął prowadzić wysokiego Francuza w stronę oficerów ze sztabu brygady. Witając się ze sztabowcami, Montagne starannie

wymawiał poszczególne nazwiska. Kiedy nadeszła pora na von Seelowa, Francuz uściśnął mu mocno dłoń. Spojrzenie pary ciemnych oczu okazało się przychylnie, wręcz przyjazne. Willi poczuł, że zaczyna mu wracać optymizm. Być może nowy system nie okaże się aż tak straszną pomyłką?

W asyście starszych oficerów i bandziorowatego sierżanta, który sporządzał notatki, Montagne dokonał pobieżnego przeglądu batalionu. Pewnym, nieomal aroganckim krokiem generał przeszedł przed frontem szyku, zatrzymując się tu i tam, by zamienić kilka słów z oficerami albo przyjrzeć się żołnierzom i ich broni. Pierwsze, korzystne wrażenie, jakie zrobił na von Seelowie Francuz, rychło się zatarło gdy generał poprosił jednego z grenadierów o karabinek - G3A3 - i zaczął nad nim wybrzydzać. Automatyczne karabinki brygady były rzeczywiście długie, cięższe i starsze od ultranowoczesnych MAS-ów, w jakie wyposażono siły francuskie. O tym, że G3A3 są przestarzałe, wiedziała cała Bundeswehra, podobnie jak o tym, że cięcia budżetowe w początkach lat dziewięćdziesiątych opóźniły produkcję nowej generacji broni strzeleckiej dla piechoty, w postaci automatycznych karabinów Heckler & Koch Gil. Inna rzecz, że G3 stanowił broń niezawodną i wypróbowaną, sprawującą się bez zarzutu w rękach wyszkolonych żołnierzy. Montagne nie miał więc powodu, by aż tak wybrzydzać. Francuz wcisnął broń z powrotem w ręce milczącego grenadiera, a po chwili rzucił kolejny komentarz, tym razem na temat batalionowych Marderów, jak twierdził, „dobrze już wysłużonych”. Biorąc pod uwagę, że francuskie bojowe wozy piechoty, AMK-10P zaprojektowano prawie równocześnie z Marderami, uwagi wydawały się co najmniej nieuzasadnione. Dokończywszy przeglądu, Montagne wrócił na niewielkie podium z mikrofonem, ustawione w pobliżu śmigłowca. Za nim podreptała milcząca grupka niemieckich oficerów. - Żołnierze 19 Brygady Grenadierów Pancernych, czołem! Dzisiejszy dzień przejdzie do historii Europy jako jedna z najbardziej chwalebnych chwil w dziejach kontynentu! W dziejach Francji! I w dziejach Niemiec!

Von Seelow zaczął się wiercić w miejscu. Generał przemawiał w chropawej niemczyźnie, lecz w swej teatralności perora była czysto francuska. Oficerowie Bundeswehry, pomni na absurdalną operetkowość wojskowych ceremonii z czasów Hitlera, od defilad i przemówień woleli zawodowe konkrety. - Sam także patrzę w

nadchodzące lata z nadzieją i ufnością. Wasz związek wraz z całą resztą dywizji rokuje wielkie nadzieje. Jestem przekonany, że uporczywa praca i wierne oddanie służbie uczynią z was znakomitych żołnierzy - armię przyszłości.

Zza pleców Francuza Willi mógł się zorientować, że ostatnie słowa zostały bardzo źle przyjęte w szeregach. Wśród sztabowców także. Patrzcie, znalazł się generał od pouczania! Nie przemawia do kotów z poborowego rocznika, tylko do ochotników służących w zawodowej armii! - W nadchodzących miesiącach będę razem z całym sztabem wprowadzał stopniowo serię udoskonaleń w waszej doktrynie taktycznej. Wiadomo, że trudno się wyzwolić ze starych nawyków, ale obiecuję wam solennie, że zmiany wyjdą wam tylko na dobre. Sami wkrótce się zorientujecie, że to prawda, i to wszyscy - od pułkownika do ostatniego ciury! Wraz z nową taktyką wzrośnie wasza zdolność bojowa i morale!

Willi nie dziwił się już, że Wismar chodzi z tak skwaszoną miną. Najwyraźniej ktoś się uparł, żeby uczyć własnego ojca dzieci robić. Francuzi chcieli wpajać Niemcom właściwą doktrynę działania wojsk pancernych! Świat się kończy! Rany koguta, przecież 7. Pancerną dowodził niegdyś nie kto inny jak Rommel! Niewyraźne podejrzenia przeobraziły się w myślach von Seelowa w przerażenie, gdy Montagne nakreślił wreszcie batalionowi obraz świetlanej przyszłości, jaka czeka połączone siły Francji i Niemiec. Otto Yorck miał niestety rację. Katastrofa! Pointa nastąpiła, kiedy francuski generał przeszedł do kwestii „kilku zabiegów administracyjnych”, z kabotyńską przeistaczając się nagle w mętne biurokrate. - Rozumie się, że nowa struktura sił zbrojnych i nowe zadania wymagają także zmiany miejsca stacjonowania. W związku

z tym Rada Narodów naszej Konfederacji zatwierdziła przegrupowania niektórych jednostek i związków taktycznych, wliczając w nie także waszą brygadę. Kiedy w początkach przyszłego miesiąca nowy II Korpus zacznie przybierać konkretny kształt, przejmie on na siebie zadania obronne w okręgu Cottbus.

W związku z powyższym, w przyszłym tygodniu 7. Dywizja Pancerna wyśle w tamten rejon niektóre ze swych pododdziałów. Pierwsze bataliony zostaną przekwaterowane pod Cottbus w drugiej połowie miesiąca. Spodziewam się, że nie dalej niż za pół roku cały II Korpus stanie na straży naszych wschodnich granic.

Willemu odjęło mowę. W ciągu sześciu miesięcy chciano przenieść trzy dywizje aż pod przeciwległą granicę, po przekątnej mapy? Przerzut ludzi i sprzętu był oczywiście kwestią paru dni, lecz tym razem chodziło o całkowitą redyslokację związku. W tym celu należało zlikwidować, przenieść i ponownie rozwinąć wszystkie składy amunicyjne, magazyny MPS i zapasy części zamiennych, warsztaty, zaopatrzenie... Kilka tysięcy pojazdów pancernych nie może działać bez stałego zaplecza technicznego. A skąd wziąć budynki na koszary i mieszkania dla pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy z rodzinami? I to w jakimś zabitym deskami miasteczku, daleko na wschodzie? Co gorsza, Willi von Seelow dokładnie pamiętał niemieckie i rosyjskie koszary na terenie byłego NRD. Nie nadawały się do zamieszkania już w chwili budowy, a z biegiem lat zmieniły się w ruinę. Co powiedzieć ludziom, jak im to wszystko wytłumaczyć? Czyj to pomysł, do... Von Seelow spostrzegł nagle, że Leibnitsa i Bremera nowina zaskoczyła w takim samym stopniu, co wszystkich. Czyżby nikt nie wiedział, co się święci? Von Seelow zerknął na generała Wismara, który nadal stał bez słowa, z jeszcze kwaśniejszą miną niż dotąd. A właściwie... Jaki cel miała redyslokacja? Cała obecna Bundeswehra składała się raptem z trzech korpusów armijnych. I Korpus (w którego skład wchodziła 7. Dywizja) rozciągnięty po północnych Niemczech odpowiadał za bezpieczeństwo całej północnej i północno-zachodniej połaci terytorium. Dlaczego więc tydzień po zawarciu Konfederacji Europejskiej nowe władze uparły się, by wszystkie te czołgi i lufy stłoczyć na niewielkim odcinku nad polską granicą? Von Seelow czytał w prasie artykuły o narastających w Polsce niepokojach społecznych i coraz większym kryzysie paliwowym. Owszem, ale nawet największy kryzys to jeszcze nie powód, by przerzucać nad granicę tyle wojska. Polacy nie zagrażali Konfederacji militarnie. To samo dotyczyło Rosjan, którzy utkwili na dobre w błędnym kole następujących po sobie demokratyzacji, czystek i dekretów o stanie wyjątkowym. Niemiec z wolna pokręcił głową. Cokolwiek tutaj planowano, sprawa śmierdziała na odległość.

13 marca - Polska, sala odpraw

11 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego we Wrocławiu

Porucznik Tadeusz Wójcik zauważył zmianę nastrojów, gdy tylko z wilgotnego poranka wszedł na sztabowy korytarz. W całym budynku

czuło się atmosferę cichego napięcia i koncentracji. Długi, żelbetowy gmach stanowił ośrodek nerwowy trzech dywizjonów tworzących 11 Pułk Lotnictwa Myśliwskiego. Oprócz biur i kancelarii pułku, w specjalnie zabezpieczonym podziemnym bunkrze w piwnicach mieściły się tu sale kontroli radarowej i radiowej na całą przestrzeń powietrzną wokół Dolnego Śląska, w tym granicę z Czechami i Niemcami. Za pasami startowymi majaczyły zamaskowane bunkry dowodzenia i koszary 3. Korpusu Obrony Powietrznej Kraju. Sztabowcy i oficerowie korpusu strzegli południowo-zachodniej części terytorium państwa, mając pod sobą oprócz 11 Pułku także kilka innych związków lotniczych oraz rozmaite baterie rakiet przeciwlotniczych - rozmaite, bo do starych radzieckich pocisków SA-2 i SA-3 doszły niedawno przeciwlotnicze rakiety amerykańskie. W sali odpraw i w przedsionkach kipiało zwykle jak w ulu, lecz dziś akurat wszyscy mieli grobowe miny. Tad zatrzymał pierwszego napotkanego pilota, podporucznika Gawlika i na widok jego ściągniętej, ostronosej twarzy zapytał wprost: - Staszek, gadaj, co się stało! Ktoś miał wypadek, tak? Lotnicy skrzętnie unikali słów typu „ktoś się rozbił”, jak gdyby w ten sposób można było zapobiec nieszczęściu.

- Nie, nie - uspokoił Wójcika kolega. - Co, nie popatrzyłeś na tablicę? Konfederacja wprowadza nowe jednostki do enerdówka. Z czołgami, samolotami i czym tam jeszcze. Francuzi i Niemcy twierdzą, że chodzi o normalne „przetaszowania”.

- Już oni nam przytasują! - skrzywił się Wójcik. - Nawet się im nie chciało wymyślać pretekstu, co? Zapowiedzieli, że będą nas cisnąć, no i cisną.

- Niech sobie cisną. - Gawlik wzruszył ramionami. - I tak wszyscy widzą, co się dzieje na Węgrzech, jak wzięli za twarz Rumunów i całą resztę. Kolonializm gospodarczy, bracie. Chcieli się zapisać, to się zapisali, a teraz tyrają w cudzych zakładach.

Marionetkowe rządy, tajna policja... Już to przerabialiśmy, nie po to, żeby się znów ładować w takie gówno - dorzucił Gawlik, czyniąc cienką aluzję do powojennej historii kraju. Jego następne słowa nie brzmiały jednak dziarsko ani wesoło:

- Najpierw to pieprzone embargo, teraz pogróżki, wojska... Cisną, i to ze wszystkich stron. Rząd ma dziś wystosować oficjalny protest, prezydent z premierem będą przemawiać po Wiadomościach TV, tylko powiedz mi, Tadek, co z tego? Kto nam teraz pomoże?

Ameryka? Anglicy? Będą te nowe dostawy, czy nie, jak myślisz? W całym pułku powszechnie uważano, że z racji amerykańskiego pochodzenia Tad najlepiej wie, czego należy się spodziewać po sojusznikach zza morza. - Nic nie myślę, bo nie wiem. W każdym razie nie słyszałem, żeby się coś szykowało.

Wójcik rzeczywiście nie był pewien czy para odległych sojuszników Polski może cokolwiek wskórać. Owszem, zachodnie zbiornikowce - tym razem pod eskortą amerykańskich i brytyjskich okrętów wojennych - na wyścigi dostarczały do polskich portów ropę i gaz, a kilkudziesięciu doradców wojskowych i instruktorów pomagało siłom zbrojnym przestawić się na amerykańską taktykę i sprzęt, ale cóż więcej mogły zdziałać oba państwa? Wysłać do Polski amerykańskie dywizje? Gawlika tylko przez chwilę zmartwił ten brak nowin.

- Lepiej rzuć okiem na plan, stary. Masz dzisiaj lot. Nie tylko ty, my wszyscy.

Porucznik spojrział na zegarek.

- Sam lecę za godzinę. To co, złamania karku! - Wbrew wyświechtanej formułce, Gawlik powiedział to zupełnie szczerze. Z planu lotów wynikało jasno, że od dzisiejszego dnia pary polskich F-15 będą przez całą dobę na okrągło patrolować przestrzeń wzdłuż zachodniej granicy. Nowe strefy patrolowania pokazano także na mapie. 11 Pułk Lotnictwa Myśliwskiego miał dozorować dwustukilometrowy odcinek od Kostrzyna na północy aż po „worek bogatyński” na południu. Tad zdziwił się nawet, bo trasę dozoru wyznaczono tuż przy granicy, zamiast parędziesiąt kilometrów od niej - jak nakazywały normy czasu pokoju. Przy byle skrucie na zachód piloci ryzykowali, że znajdą się w obcej przestrzeni powietrznej. Brak miejsca na manewr oznaczał, że samoloty mają „murować granicę”, dając niemieckim i francuskim przyjemniaczkom do zrozumienia, że polskie siły powietrzne nie żartują i nie pozwolą nikomu wtargnąć nad własne terytorium. Przemóżna chęć, by usiąść za sterami, była u Wójcika zupełnie zrozumiała. Przy trwających obostrzeniach w zużyciu paliwa, piloci 11 Pułku tylko co dwa, trzy dni mieli okazję znaleźć się w powietrzu. Nareszcie będzie można latać codziennie, tuż nad niemiecką granicą! Mimo że nie było wcale powodów do wesołości, Wójcik dziwnie poweselał. Za drzwiami stołówki Tad napotkał swego skrzydłowego w osobie porucznika Sylwestra Zawadzkiego. Po

krótkim badaniu lekarskim obaj z mapami i wykresami pod pachą pomaszerowali do pułkowej sali odpraw. W pomieszczeniu było tłoczno od pilotów i oficerów sztabu, którzy rozsiedli się na rozchwierutanych, drewnianych krzesłach wzdłuż ściany z mapami albo cofnęli się aż pod przeciwległą, pustą ścianę. Z boku czekali na swoją kolejkę oficer operacyjny pułku, szef służby meteorologicznej i oficer służby rozpoznania. Odprawę osobiście prowadził puciołowaty i niziutki dowódca 11 Pułku, otoczony wianuszkami pilotów, którzy przed chwilą powrócili z lotu. Na widok Wójcika i Zawadzkiego pułkownik Kadłubowski przywołał ich do siebie. Wyglądał na zmęczonego, i miał po temu powody: sam zdążył już odbyć od świtu dwa loty. Pułkownik klepnął Tadeusza w ramię, skinął Zawadzkiemu głową i zapytał: - Panów kolej, zgadza się?

- Tak jest.

- Doskonale. Po pierwsze, panowie, ostrożnie. Po drugiej stronie granicy okropny ruch. Wojny to mi może nie wywołujcie, ale przez granicę też nie puszczajcie. Ani na centymetr!

- Tak jest.

Pułkownik ustąpił miejsca oficerowi operacyjnemu, któremu towarzyszyło dwóch nieznanym lotników, kapitan z majorem. Piloci myśliwscy przedstawili się nieznanym dwójce, powożące - jak się okazało - specjalnym An-26 „ze sprzętem radiowym”. Wójcik zauważył, że para pilotów nie nosiła na mundurach plaketek z nazwiskiem ani odznak pułkowych. Nieznajomi przywitali się zdawkowo, jak gdyby chcieli powiedzieć: „O nic nas nie pytajcie, bo i tak nie odpowiemy”. Bezimienny major miał dowodzić lotem zza sterów Ana. Para Eagle leciała jako eskorta. Oficer operacyjny podał wszystkim ustalone częstotliwości radiowe, kryptonimy i resztę szczegółów. Lecieli jako Żółci, przy czym myśliwce nosiły odtąd oznaczenia Żółty Pięć i Żółty Sześć. W strefie dozoru mieli zluzować Żółtego Siedem i Osiem. An-26 figurował w spisie kryptonimów jako Czarny. Od oficera rozpoznania dowiedzieli się tylko, że tuż nad granicą widziano niemieckie samoloty. - Na pewno będą chcieli wam się przyjrzeć, więc się panowie nie zdziwcie.

Oficer przypomniał im przede wszystkim, by dobrze ustawili - urządzenia identyfikacyjne „swój-obcy”. Polskie baterie rakiet typu Patriot i Hawk rozstawiały się wzdłuż zachodniej granicy

państwa w pospiesznym tempie i stale ich tam przybywało. Pociski ziemia-powietrze nie zostawiają czasu na długie wyjaśnienia. Wójcik, Zawadzki i para „woźniców” wyszła szybkim krokiem z budynku, zmierzając na pobliskie miejsce postoju maszyn. An-26 czekał niedaleko pary myśliwców. Piloci zatrzymali się i przyjrżeli staremu samolotowi, zwanego przez niektórych „autokarem”. Dwusilnikowy, turbośmigłowy w zielone i brązowe maskujące łaty miał długie, proste skrzydła i wysoki statecznik pionowy. Na co dzień nieliczne maszyny tego typu służyły jako transportowce, zabierając czterdziestu spadochroniarzy albo sześć ton ładunku. W tym jednak przypadku ładownię Ana w całości wypełniał sprzęt elektroniczny i konsole operatorów. Na kadłubie widać było tu i tam dziwne placki izolatorów, a na brzuchu maszyny widniał długi metalowy występ, żywo przypominający dno kajaka. Nawet nos samolotu różnił się od seryjnych egzemplarzy. Niektóre placki szarej izolacji wyglądały na zupełnie świeże. Tad podejrzewał, że wśród ostatnich dostaw amerykańskiego sprzętu znalazło się też parę urządzeń nasłuchu dla samolotów dozoru radioelektronicznego - takich jak ten właśnie. Nieznajoma para bez słowa ruszyła w kierunku utajnionego samolotu. Tad i jego skrzydłowy uśmiechnęli się do siebie krzywo. Trudno, szpiedzy mają inne pojęcie o dobrych manierach. Oba F-15 czekały już na skraju betonu. Po minucie trzy samoloty - An-26 w przodzie, za nim myśliwce - pokołowały na początek kilometrowego pasa. Dzień był dość chłodny, a na dodatek wietrzny, z gęstymi chmurami sunącymi po niebie na pułapie kilku tysięcy metrów. Na zlanym nocną ulewą pasie startowym widniały jeszcze tu i ówdzie kałuże. Na wilgotnym betonie wyraźnie odcinały się kontury sześciokątnych, betonowych klocków nawierzchni. Pas zbudowano według norm radzieckich, w taki sposób, by łatwo dało się naprawić powierzchnię zrytą nieprzyjacielskimi bombami. W razie potrzeby każdy sześciokątny blok można było raz dwa wyciągnąć dźwigiem i zastąpić nowym, nieuszkodzonym. Inna sprawa, że podczas startu i lądowania samolotem rzucało jak diabli. An-26 skreślił z drogi dojazdowej na pas i przystanął na zablokowanych kołach. Oba silniki zwiększyły obroty do pełnej mocy, aż zatrzęśły się skrzydła maszyny. Jeszcze kilkanaście sekund, a wibracje przeniosły się na cały kadłub. Pilot zwolnił hamulce i z rykiem turbośmigłowych silników rozpędził samolot po pasie. W

połowie betonowej wstęgi An oderwał się od ziemi. Nawet z balastem paliwa i rakiet para F-15 potrzebowała mniej pasa niż większy i powolniejszy An. Samolot Wójcika oderwał się od betonu i błyskawicznie nabrał prędkości, zostawiając z tyłu „autokar”, przy kamuflażu na skrzydłach nieomal niewidoczny na tle pól szarzejących w dole. Ociężały transportowiec leciał o połowę wolniej niż para zwinnych myśliwców, bo wyciągał najwyżej 450 kilometrów na godzinę. Tad zdusił obroty prawie do zera, wysunął klapy i spróbował się odprężyć. Przelot z Wrocławia nad granicę zabrał około dwudziestu minut. Wójcik i Zawadzki krążyli przez cały ten czas w pobliżu samolotu rozpoznania elektronicznego, usiłując nie tracić się nawzajem z oczu. Tad skupił wzrok na wskazaniach przyrządów pokładowych, zwłaszcza radarowych urządzeń ostrzegawczych. Przed startem ustawił radarowego stróża na odbiór wyłącznie sygnałów z cudzych rakiet i celowników, czyli tych, które oznaczały bezpośrednie zagrożenie. Nawet przy tym stanie rzeczy odbiorniki jego F-15 wychwytywały tych impulsów mnóstwo. Swoi? Gdzie tam? Namiary i kody migające na ekranie wyświetlacza HUD wskazywały, że wszystkie sygnały pochodzą z obcych maszyn. Rany boskie! Na niebie było w tym sektorze tak gęsto od ech radarowych, że na uparte go dałoby się wsiąść i przespacerować po wiązkach fal. Świetnie, nie ma co. Jeśli Niemcy będą szukali Wójcika i Zawadzkiego, nie zabierze im to wiele czasu. - Żółci, tu Żółty Pięć. - Porucznik przerwał wreszcie ciszę radiową.

- Odebrałem. Żółci, mamy was na pięćdziesięciu kilometrach, kurs jeden dwa pięć - rozbrzmiał w słuchawkach znajomy głos Gawlika. Dwa dozorujące do tej pory F-15 znajdowały się pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od zmienników.

Pora była włączyć własne radary. Wójcik zatoczył łuk w stronę skrzydłowego i przełączył urządzenia radiolokacyjne na odbiór. Ekran rozjaśnił się, ukazując dwie kropki z kodami, które oznaczały własne maszyny. Radar, APG-70, skupił się na bliższym samolocie. Na przejrzystym ekranie HUD-a przed twarzą Wójcika zapaliła się kwadratowa świetlista obwódka, ukazując sektor nieba, w którym należało szukać niewidocznej gołym okiem, bliźniaczej polskiej maszyny. Prosta linia kończąca się wewnątrz kwadratu wskazywała Wójcikowi najlepszy kurs na przechwycenie, a liczby migające na ekranie radiolokatora ujawniały trasę,

prędkość, pułap i szybkość zbliżania się drugiego F-15.

Radiolokator służył głównie do wykrywania i zestrzeliwania samolotów przeciwnika, lecz czasami niesłychanie ułatwiał luzowanie własnych maszyn, kończących patrol. Spojrzenie na ekran radiolokatora kazało Wójcikowi powtórnie przenieść wzrok na wskazania urządzenia ostrzegawczego. Zza rzeki obserwowało ich coraz więcej obcych radarów, na razie tylko śledząc lot polskiej trójki. Nikt nie celował w F-15 Wójcika, nie zapalało się też złowrogie światelko alarmu, błyskające kiedy przeciwnik odpala rakietę powietrze-powietrze. Tada poderwał samolot i przez niskie chmury przebił się w przestrzeń pod bladobłękitnym i słonecznym niebem. - Żółty Siedem, zbliżam się.

Dopiero gdy odległość spadła do sześciu kilometrów Wójcik dostrzegł pośrodku świetlistego kwadratu małą, szarą kropkę. F-15 należał do dużych samolotów myśliwskich. Mniejszą maszynę, w rodzaju Miga-29 byłoby zauważyć jeszcze trudniej, nie mówiąc już o tym, że bez pomocy elektronicznego wyświetlacza HUD byłoby to zupełnie niemożliwe. Świetlny kwadrat wskazywał, gdzie należy patrzeć. W pierwszej chwili Wójcik nie wiedział nawet czy naprawdę coś widzi, więc na wszelki wypadek sprawdził odczyty. Kolejno omiół wzrokiem tablicę przyrządów, wyświetlacz HUD na przedniej szybie, niebo po lewej stronie, niebo po prawej...

Wreszcie wykręcił szyję i zerknął za siebie. Kiedy znów przeniósł wzrok w przód, kropka zdążyła przybrać kształt samolotu ze znajomym, podwójnym usterzeniem pionowym. - Mam kontakt wzrokowy.

Żółty Siedem, czyli samolot podporucznika Gawlika zakręcał w tym momencie na północ, powoli, bo z prędkością 470 kilometrów na godzinę, oddalając się od F-7 5 Wójcika. Żółty Osiem, skrzydłowy Gawlika, leciał po prawej stronie, na nieco niższym pułapie.

Wójcik delikatnie przesunął drążek sterowy, wyrównując lot na poziomie pary dozorujących F-7 5. - Tu Żółty Pięć, przejmuję dozór.

Dwa pierwsze myśliwce zawróciły błyskawicznie, na pół sekundy zwróciły się bokiem do maszyny Wójcika, a potem zanurkowały w prawo i nabierając prędkości zniknęły po wschodniej stronie nieba. Ciągający za Tadem An-26 w dalszym ciągu zachowywał ciszę radiową, ale nie miało to znaczenia. Piloci usadowili turbośmigłowy „autokar” na maksymalnym pułapie ośmiu kilometrów

i weszli na trasę wzdłuż granicy. Para lecących wyżej F-7 5 zaczęła krążyć wokół Ana i co rusz przecinała trasę jego lotu. Elektroniczna aparatura nasłuchowa na pokładzie transportowca pozwalała przechwycić wszystkie sygnały radiowe, echa radiolokatorów, a nawet rozmowy z radiolinii mikrofalowych. Specje od rozpoznania elektronicznego potrafili tą drogą zidentyfikować wszystkie radary przeciwnika, ich typy, położenie i moc. Dobrzy analitycy potrafili wręcz poznać, że dany radar otrzymał niedawno nowe części. Nasłuch radiowy i mikrofalowy pozwalał z kolei zorientować się dokładnie w dyslokacji nowych oddziałów wojsk lądowych i lotnictwa Konfederacji nad polską granicą. Wójcikowi wydawało się przy tej wysokości, że nurt Nysy widać dokładnie pod brzuchem myśliwca, lecz przyrządy nawigacyjne pozwalały utrzymać się dokładnie po własnej stronie rzeki. O pomyłkę było nietrudno, gdyż krajobraz po obu brzegach Nysy wyglądał dokładnie tak samo. Przez poszarpane, szare chmury prześwitywał płaski pejzaż, upstrzony gdzieniegdzie plamami lasów. Rolnicze ziemie. Wśród majaczącej szachownicy brunatnych, żółtych i zielonkawych plam tu i tam odcinały się niewyraźnie szosy i większe miejscowości. Rejs po okrężnej trasie od Bogatyni do Kostrzyna zabierał około czterdziestu pięciu minut, ale już po dwudziestu minutach Wójcik mógł się zorientować, że bezimienny major i jego załoga nie próżnują. Sam odbierał na ekranie systemu ostrzegawczego mnóstwo ech, pojawiających się i znikających w opętanczym tańcu. Jeżeli kryła się tu jakaś metoda, pilot F-15 nie umiał się w niej połapać. Dotarli wreszcie do północnego krańca marszruty i zawrócili na południe - przynajmniej myśliwce, bo powolniejszy An-26, dwa tysiące metrów w dole i trzydzieści kilometrów z tyłu, nadal kierował się na północ. Tada przepatrywał horyzont, kiedy przerwał mu głos majora: - Żółci, tu Czarny! Mam echo pokładowego radaru kontroli ognia, moc osiem i wzrastająca! Namiar dwa osiem zero. Tada natychmiast spojrzął na swój ekran. Akurat w martwym polu. A niech to! - Sylwek, przyskamy na boki, już! - polecił skrzydłowemu, zwracając nos maszyny prosto na zachód. Wykrywacz radiolokatorów w F-15 działał tylko w sektorze stu dwudziestu stopni przed dziobem samolotu. Na szczęście układ identyfikacyjny IFF wychwycił obce echo i oznaczył je na ekranie jako „NN”. Pamięć pokładowego komputera nie zawierała takiego sygnału.

Tak blisko granicy Tad miał od zachodu bardzo ograniczone pole manewru, więc w skrytości ducha liczył na pomoc Zawadzkiego, który uskakując prędko na wschód, robił mu miejsce, a jednocześnie ubezpieczał. Dzięki niewielkiej szybkości Tad chciał się położyć w ciasny zakręt, nawrócić, oświetlić intruza radarem i sprawdzić, kto zacz. Przez ten czas skrzydłowy mógł odskoczyć na bezpieczną odległość - gdyby doszło do otwarcia ognia. Szybkim ruchem porucznik zmienił zakres pracy radaru. Nieznajomy koleś pojawił się zupełnie nagle, a także, sądząc po sile sygnału, bardzo blisko. F-15 położył się w ciasnym skręcie w prawo. Jak to możliwe, że nie zauważyli obecności intruza jeszcze kiedy lecieli na północ? Nareszcie. Pokładowy radar mógł w tym położeniu wyłapać obce echo. Spojrzenie na ekran nic jednak nie pomogło. Zero. Tad jeszcze dwukrotnie omiótł horyzont radarową wiązką, bez skutku. Kolejna zmiana zakresu. Nic. W tym momencie Zawadzki zameldował przez radio: - Siedem, mam pusty ekran. Można więc było wykluczyć awarię systemu pokładowego. Tad z roztargnieniem dwa razy pstryknął guzikiem nadawania, potwierdzając obbiór. - Żółci, obcy sygnał ma moc dziewięć, echo zmieniło częstotliwość na namierzanie - poinformował ich z pokładu Ana-26 major. Mówił teraz spokojniejszym głosem, w którym jednak wyczuwało się napięcie. Obcy pilot brał namiar ogniowy na polskie F-15, być może przygotowując się do odpalenia rakiet. - Zawracam na wschód - oznajmił jeszcze major, kierując swój naszpikowany elektroniką samolot w głąb własnej przestrzeni powietrznej, byle dalej od granicy. Wójcik zdawał sobie sprawę, że choć An-26 nurkuje i przechodzi na najwyższe obroty, przy swojej masie i małej zwrotności będzie potrzebował dłuższej chwili, by odskoczyć od niebezpieczeństwa. Na ekranie nadal pusto. Kurczę, nie ma rady, trzeba się połączyć z Anem. - Czarny, tu Żółty Pięć. Daj mi pułap echa. - Pięć, cel pod tobą, stały azymut dwa siedem pięć. Tad zatoczył półboczki i napał na drążek sterowy, a potem zdusił gaz i włączył hamulce aerodynamiczne. Zwykle wołał dodawać gazu niż zwalniać, lecz tym razem nie potrzebował prędkości. Chciał na jak najkrótszym odcinku wytracić wysokość. Wysokościomierz posłusznie informował, że F-15 opada. Tad nie spuszczał oka ze sztucznego horyzontu i z ekranu IFF z tajemniczym echem „NN”. Wiedział, gdzie szukać intruza. Dokładnie na zachód od siebie.

Osiem tysięcy metrów, siedem, sześć... Pośród szarego pejzażu mignęła popielata kropka, wyraźniejsza odkąd wyszła ponad linię horyzontu. Intruz leciał teraz nieco wyżej niż polski F-15, toteż łatwiej go było dostrzec na tle jaśniejszego nieba. Niewiele sekund później punkt zmienił się w zarys, a potem w wyraźną sylwetkę myśliwca. Intruz zakręcił nagle i ruszył na południe tym samym kursem, co Wójcik. - Złapałem twój namiar, Czarny. Obcy myśliwiec - zameldował Tad, walcząc z absurdalną chętką, by ostro zawrócić na zachód i zewrzeć się z przeciwnikiem. Tak podpowiadał mu instynkt, kwestia długich dni ćwiczeń taktycznych w powietrzu. - Odebrałem. Piąty, potwierdź, że go masz. Tad dwukrotnie pstryknął mikrofonem i nadal bacznie obserwował intruza. Zupełnie nie potrafił zidentyfikować obcego myśliwca, od którego w dalszym ciągu dzieliło go pięć czy sześć kilometrów. Zadarty statecznik pionowy, skrzydła typu delta, w porządku, ale gdzie się podziały stateczniki poziome? Samolot przypominał trochę Mirage, a trochę nie wiadomo co. Przytrzymując prawą ręką - drążek, lewą Wójcik sięgnął do schowka i wydobyl lekką lornetkę 7x35. Wozil ją trochę niepotrzebnie, bo w walce powietrznej lornetka przydawała się mniej więcej tak samo jak szyszak, ale w poziomym locie ze stałą prędkością pozwalała na skuteczną obserwację celu. Tad jeszcze raz sprawdził własny kurs i pozycję, po czym podniósł szkła. Najpierw złapał w okular tylko nos obcego, więc przesunął lornetkę i spróbował jeszcze raz. Obcy pilot jak na zamówienie utrzymywał tę samą prędkość i równoległy kurs, lecąc nos w nos z F-15. Nos obcej maszyny okazał się długi ostry, a tuż za kabiną, widać było małe płaty, podobne do przednich sterów wysokości w samolotach o układzie „kaczka”. Również chwyt powietrza do silników były mniejsze niż w Mirage i umieszczone bliżej brzucha, a nie po bokach kadłuba. Podobny układ miał tylko jeden samolot myśliwski na świecie: Rafale. Tad gwizdnął z przejęcia, bo też podczas żadnej z odpraw oficerowie wywiadu nie ostrzegali przed ewentualnością takiego spotkania. O Rafale szeptali między sobą wszyscy piloci, choć tylko niewielu z nich mogło się pochwalić, że widzieli myśliwiec na własne oczy. A tu, proszę! Maszyna leciała jak po sznurku, tak blisko, że widać było nawet szarą maskującą farbę i rakiety powietrze-powietrze pod skrzydłami. Po trójkolorowej kokardzie na kadłubie można było poznać, że to myśliwiec francuski. Pilot F-15

westchnął. Naprawdę wolałby ujrzeć w tamtym miejscu czarny krzyż maltański, znak, że intruz to Niemiec. Siedzący Wójcikowi na skrzydle Rafale był nowiuteńki, przepiękny, lecz także obcy, a więc niebezpieczny. Samoloty tego typu były trudno wykrywalne przez radary, co wyjaśniało, dlaczego Francuz tak nieoczekiwanie, bez ostrzeżenia wyrósł na polskich ekranach. Z doniesień wynikało, że Rafale mogą walczyć z kilkoma samolotami jednocześnie i w tym celu zostały wyposażone w samonaprowadzające się pociski rakietowe nowego typu, działające w systemie „wyceluj, wystrzel, zapomnij”. Francuska maszyna była też podobno niesłychanie zwrotna i przewyższała pod tym względem zarówno F-15 Eagle jak i MiG-29. Tada korciło, by się przekonać czy to prawda. Wystarczyłoby przełożyć drążek, położyć samolot w skręt i gazem ruszyć przed siebie... Uśmiechnął się na tę myśl, lecz sprawa wyglądała całkiem poważnie. W końcu nie kto inny jak Francuz doskoczył do samej granicy i radarem kontroli ognia napędził stracha załódze 26. Chce się zabawić, prosimy bardzo! Przyjmie się go po polsku. Tada przycisnął guzik mikrofonu.

- Żółty Sześć, tu Pięć. Kryj Czarnego, ja się tu trochę pokręcę.

- I już sam do siebie, porucznik mruknął: - Ano, zobaczymy, co ten gnojek ma w środku. Prędko schował lornetkę na miejsce i dociągając uprząż poprawił się na fotelu. Jak tylko mógł najprędzej zdusił obroty w obu silnikach i otworzył hamulce aerodynamiczne, tracąc prędkość, a gdy tylko ujrzał, że Rafale wyskakuje naprzód, pokiwał nosem F-15 w dół i w górę, by zwolnić jeszcze bardziej. Jednocześnie popchnął w skrajne prawe położenie celownik od pierwszego pocisku typu Sidewinder. F-15 skręcił na zachód, sięgając tak blisko granicy, jak tylko pilot mógł sobie na to pozwolić obserwując wskazania przyrządów nawigacyjnych. Za chwilę powinien zabrznieć brzęczyk, sygnalizujący, że Sidewinder naprowadził się na cel. Mając Rafale w przodzie, Wójcik mógł mu spokojnie puścić prosto w siedzenie pierwszy z naprowadzanych na podczerwień pocisków. Hurra! Nie, żeby zaraz porucznik miał ochotę strzelać, chodziło prędzej o to, by pokazać, kto teraz jest górą. Wójcik obserwował Rafale w kwadracie wyświetlacza HUD na przedniej szybie. Francuz spostrzegł wreszcie, co się stało i zadarł nos samolotu do góry. Za późno, przyjacielu. Rafale znajdował się teraz zaledwie o trzydzieści stopni w prawo od polskiego samolotu, a więc w zasięgu celowników rakiety. Dlaczego

brzęczyk milczy? Awaria celownika? Wójcik miał w słuchawkach tylko szum. Może awaria pocisku? Wójcik przesunął nos samolotu jeszcze odrobinę w prawo i nadal czekał na brzęczyk. Nic. Co z drugim Sidewinderem? Też gównu! Oj, niedobrze. Dysze silników Rafale musiały być specjalnie zabezpieczone, redukując emisję ciepłą do poziomu poniżej progu wrażliwości obcych rakiet. Co gorsza, aparatura pokładowa informowała Wójcika, że zaplątał się niebezpiecznie blisko granicy. Niech to cholera! Zaczynało się robić gorąco. Porucznik na powrót zmienił kurs bardziej na wschód, odsuwając się od Rafale. Nos francuskiego myśliwca nadal wspinał się w górę. Wójcik był przekonany, że intruz chce zrobić pętlę, ale zamiast wznieść się wyżej, Rafale nadal leciał prosto. Tylko nos samolotu stopniowo wspinał się aż do pionu, i dalej, przechylając się wręcz do tyłu. Rosjanie, którzy wymyślili tę figurę akrobacji lotniczej, nazywali ją „kobrą”. Wójcik pierwszy raz w życiu widział „kobrę” w normalnym locie, nie na pokazach. Manewr był dziwaczny, lecz niesłychanie skuteczny: Rafale w mgnieniu oka stracił całą przewagę prędkości nad F-15 i po sekundzie sam znalazł się z tyłu. Już prawie za plecami Wójcika Francuz gładko obniżył dziób swojego myśliwca i leciutko zakręcił w stronę F-15, nacelowując własne rakiety. Wójcik wiedział, że ciepło z silników Eagle zostawia w powietrzu aż nazbyt wyraźny ślad. Trzeba się było natychmiast zbierać, żeby samemu nie dostać pod ogon pociskiem raketowym naprowadzanym na podczerwień. Porucznik szarpnął drążkiem ku sobie, zataczając piękną pętlę. Horyzont zniknął, natychmiast zastąpiony barwną skalą z wyświetloną wysokością i kątem lotu. Nawet w tej pozycji Wójcik starał się trzymać maszynę równoległą do linii granicy państwowej. Wobec tyłu wrogich oczu i radarów, naruszenie niemieckiej przestrzeni powietrznej - co z tego, że nieumyślne? - zwyczajnie nie wchodziło w rachubę. Przełożeni chętnie wysłuchają meldunku na temat manewrowości i samej obecności Rafale, ale tylko pod warunkiem, że Wójcik nie spieprzy zadania i nie spowoduje incydentu o międzynarodowych reperkusjach. Tysiąc metrów powyżej wyjściowego pułapu, u szczytu pętli, zwrócony twarzą na północ i głową w dół Wójcik rozejrzał się w poszukiwaniu Francuza. - Gdzieś mi się schował, skurwielu?

Z arcy niewygodnej pozycji pilot przepatrzył teren po prawej i po

lewej stronie, starając się nie zwracać uwagi na pulsowanie krwi i nacisk upręży na ramiona. Nic. Ani śladu ruchu, żadnego błysku skrzydła. Może nad horyzontem? Właśnie! Rafale leciał teraz znowu nos w nos z F-15- także na północ i także do góry brzuchem. Obcy musiał odczekać pół sekundy i również, zatoczyć pętlę po swojej stronie granicy. Niczego sobie, koleś. Tad pocieszył się myślą, że przynajmniej się wyrwał z pola celowników Francuza. Równoległy lot miał tę zaletę, że u podstawy pętli żadna ze stron nadal nie mogła wystrzelić pocisku rakietowego. Obie maszyny zaczynały wyrównywać lot. Tad gorączkowo planował następny manewr, bacząc zarazem na własną pozycję i na to, co robi przeciwnik, gdy nagle spostrzegł kątem oka, że Rafale nie zmieniając prędkości zwraca nos w jego stronę. Idiota! Przekreślony o 45 stopni nos francuskiego myśliwca celował teraz prosto w F-15. Przy tej prędkości facet przekroczy linię granicy w ciągu paru sekund! Wójcik zacisnął zęby, pewien już, że Francuz zamierza wtargnąć w polską przestrzeń powietrzną. Po co? Dlaczego? Na złość? Żeby wypróbować obronę? A może to wojna? Przesunął obie dźwignie gazu w przód, wyrrywając się z pętli.

Przeciążenie wcisnęło go w fotel, a wewnątrz kabiny na mgnienie powlekła szarość. Wyświetlacz HUD wskazywał przeciążenie wielkości pięciu g. Szybkie spojrzenie w prawo, tam gdzie powinien się teraz znajdować intruz. Sidewinderem czy z działka? Ale zaraz... Chwileczkę, jak to? Rafale znajdował się zupełnie gdzie indziej niż przewidywał Wójcik. Zamiast się przybliżyć, francuski myśliwiec nadal zachowywał tę samą odległość, lecąc na południe po własnej stronie granicy. Nie dość tego, nos Rafale nadal celował w maszynę Wójcika! Usterzenie typu „kaczka”, w porządku, ale żeby zaraz latać bokiem? Tad nie miał już wątpliwości, kto wygrał tę potyczkę. Na przyszłość postanowił uważać na samoloty, które lecą w jedną stronę, a celują nosem w inną. Jak tu się przyłożyć do takiego klienta? Nie zwracając dłużej uwagi na obcy myśliwiec, Polak zawrócił na południe, wracając na trasę dozoru. Było jasne, że Rafale nie próbuje go zestrzelić, a tylko bawi się w kotka i myszkę. Od pierwszego kontaktu Francuz przepuścił już trzy okazje do pewnego strzału. Nie wiedząc czy w tej sytuacji można jeszcze mówić o eskortowaniu Ana-26, Wójcik połączył się z majorem i doradził mu zajęcie nowej pozycji, wiele kilometrów w głębi polskiego terytorium. Decyzja

oznaczała, że dozór radioelektroniczny będzie o wiele mniej skuteczny niż dotąd, ale tylko w ten sposób można było zapewnić bezpieczeństwo załodze. Wójcik dałby sobie głowę uciąć, że Francuz w kabinie Rafale zaśmiewa się do łez. Sam czuł dziwne pieczenie w okolicy serca. Żaden pilot myśliwski nie lubi przegrywać, nawet gdy obie strony tylko pozorują walkę. Pajac będzie teraz przez tydzień powtarzał, jak wykołował Polaka z F-15! Bo też tak się dać otumanić! Porucznik skupił całą uwagę na przyrządach i na ekranie radaru, chociaż wiedział, jak mało znaczą ich wskazania. Do głowy cisnęły mu się najrozmaitsze myśli, lecz z refleksjami trzeba było poczekać do chwili lądowania i meldunku z lotu. Wójcika dręczyły jednak nadal dwa podstawowe pytania: po pierwsze, jak zestrzelić Rafale i po drugie, ile podobnych maszyn znajduje się już w siłach EuroConu? Budapeszt, węgierskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

Tego dnia lektura gazety mogła człowieka wprawić w równie świetny nastrój, co pogrzeb przyjaciela zakończony dzikim skandalem. Nagłówki przez całą szerokość szpalty trąbiły, że **PRZYSTĘPUJĄ DO KONFEDERACJI!!!**". Pułkownika Zoltana Hradetsky'ego wprawdzie trochę mdliło, lecz sumiennie przeczytał cały rządowy dziennik, powtarzając sobie, że trzeba poznać wszystkie szczegóły. Na kolejnych stronach gazety, autorzy kolejnych artykułów wychwalali kolejne zalety zjednoczenia: a to polityczne, a to gospodarcze, obronne wreszcie. W myśl oficjalnego - a więc jedynie słusznego - poglądu, przystąpienie do Konfederacji powinno przynieść Węgrom obfitość dóbr i mnóstwo nowych miejsc pracy, a wszystko to bez najmniejszego uszczerbku dla suwerenności kraju czy dla praw jego obywateli. Decydując się na dobrosąsiedzką, bliską współpracę, Węgry zapewniają sobie świetlaną przyszłość... Hradetsky cisnął gazetę na biurko, zły, bo nie tak dawno miał okazję oglądać skutki dobrosąsiedzkiej, bliskiej współpracy z Niemcami i Francuzami. Dziwnym trafem, korzyści płynęły tutaj niezmiennie w jedną i tę samą stronę. Czy banda półgłówków zwana Rządem Ocalenia Narodowego nie wie, do czego to wszystko prowadzi? Może wie, ale nie ma wyjścia? Węgry zaczęły się już zadłużać u nowych sojuszników, a wszystko w myśl precyzyjnie obmyślonych i już obowiązujących porozumień. Jak górnicy, którzy nie mogą wybrnąć z długów, bo wolno im się zaopatrywać tylko w kopalnianym sklepie... Do pokoiku

Hradetsky'ego zapukał goniec, młody kapral, i z pogardliwą miną cisnął na biurko okólnik. Było jasne, że odsunięci w niełaske pułkownicy to łatwy żer dla całej policyjnej hierarchii bez wyjątku. Jeszcze jedna oznaka, do czego człowiek może się doprowadzić. Rozgoryczony Hradetsky uświadomił sobie, że nie tak dawno ten sam zaduwały szczeniak wyszedłby z pokoju dopiero z rozkwaszonym nosem albo bez naramienników. Z nudów pułkownik spojrzął na nowy okólnik.

W ramach integracji struktur państwowych Węgier z instytucjami Konfederacji Europejskiej, z dniem jutrzejszym obejmie w ministerstwie obowiązki Specjalny Komisarz Werner Rehling, poprzednio oficer niemieckiego Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (BN). Komisarz Rehling będzie organizatorem współpracy między naszą Policją Narodową a sekretariatem spraw wewnętrznych EuroConu, a także osobą odpowiedzialną za wszystkie sprawy wykraczające poza gestię miejscowych służb policyjnych. Apeluje o godne przywitanie komisarza Rehlinga w naszych szeregach. Okólnik nosił podpis komendanta Policji Narodowej, generała brygady Dozsy. Załączony szkic przedstawiał nowy schemat organizacyjny ministerstwa. Na samej górze widniały dwa identyczne prostokąty, jedno z literami „Rehling”, drugi zaś „Dozsa”. Wszystkie połączenia z niższych szczebli zbiegały się u góry, po czym rozgałęziały na dwie odnogi. Pierwsza, oznaczona słowami „sprawy lokalne” biegła do Dozsy. Druga, zaznaczona jako „wszystkie inne sprawy” kończyła się w prostokątku Rehlinga. Mało brakowało, a Hradetsky zmiąłby obie kartki. Wiadomość przerastała wszystko, czego dowiedział się do tej pory. Zamiast nadal mieszać się w węgierskie sprawy, Francuzi i Niemcy ustanowili w ministerstwie własną, osobną hierarchię! Co gorsza, było jasne, że Rehling to nie zwyczajny niemiecki policjant, tylko tajniak. BfV było w końcu nazwą niemieckiej służby bezpieczeństwa. Węgry poddały się bez walki. Dla chleba? Żeby utrzymać miejsca pracy?

16 marca

Przybycie Rehlinga do ministerstwa nie uśmierzyło coraz większych obaw Hradetsky'ego. Przeciwnie, wzmogło je tylko, co omal nie doprowadziło do wybuchu. Pułkownik zacisnął zęby na samo wspomnienie postaci „ambasadora” Konfederacji. Spotkał Rehlinga trzy dni wcześniej na specjalnej akademii powitalnej. Niemiec

okazał się dosyć nijaki. Miał okrągłą twarz bez wyrazu i krótko przystrzyżone, szpakowate włosy. Wszystko, co się działo, nie robiło na nim najmniejszego wrażenia - nawet umizgi Dozsy i reszty oficjeli, którzy zalali Niemca potokiem wiernopoddańczych przemówień. Rehling wysłuchał tego wszystkiego bez uśmiechu, pomilczał i wyszedł. Hradetsky był zły, że tak bierze sobie to wszystko do serca, lecz nie mógł ścierpieć widoku Dozsy i spółki, skaczących dookoła powściągliwego Niemca. Jak stado nadgorliwych kamerdynerów, gotowi byli czyścić Rehlingowi buty w nadziei, że nabiją sobie w ten sposób u niego parę punktów. Hradetsky nie był taki pewien, czy im się to uda i dlatego wciąż krzywił się straszliwie na samo wspomnienie. Resztę przedpołudnia musiał spędzić na policyjnej strzelnicy, bo akurat wypadła kolej corocznego sprawdzianu. Z dużą uciechą ładował pistoletowe pociski w tarcze, zadowolony, że przynajmniej w ten sposób może dać upust złości. Złość wcale mu jednak nie przeszła, toteż zamiast siedzieć w swojej norze bez okien, postanowił wpaść na chwilę do Beli Siivanusa, jednego z nielicznych przyjaciół, jacy mu jeszcze pozostali w ministerstwie. Silvanus był biurokratą z krwi i kości, i wcale tego nie ukrywał. Palił jednego papierosa za drugim, więc nic dziwnego, że wyglądał o wiele starzej niż powinien. Silvanus i Hradetsky byli niegdyś w tym samym roczniku w akademii MSW, lecz różnica temperamentów kazała jednemu szlifować bruki, drugiemu zaś zakotwiczyć się za biurkiem. Awansowali w podobnym tempie, toteż co rusz wpadali na siebie, choć coraz rzadziej. Dopiero ostatnio, po przeniesieniu Hradetsky'ego do Budapesztu, widywali się regularnie i chociaż mieli sobie to i owo do zarzucenia, to przynajmniej Silvanus nie bał się rozmawiać z pułkownikiem. Bywało, że Hradetsky wyciągał administratora z za biurka i prowadził go na kielicha. Tym razem chciał po prostu wywalić wszystko, co miał na wątrobie. Gabinet Silvanusa mieścił się na najwyższej kondygnacji ministerstwa - tej dla ludzi najlepiej ustawionych, zwłaszcza jak na obecne czasy. Silvanus urządził się bez przepychu, nie chcąc nikogo kłuć w oczy. Po co robić sobie wrogów? Zasadą administratora było żyć za pan brat z całym światem, a nie drzeć koty tylko dlatego że się wstawiło do gabinetu nowy dywan. Dywan był więc stary, za to biurowe meble nowe, ściany świeżo pomalowane, a i osobisty komputer niczego sobie. Oficjalne fotografie, państwotwórcze

malowidła i orzechowe meble dopełniały korzystnego wrażenia. Goście wychodzili stąd w przeświadczeniu, że mają do czynienia z energicznym lecz skromnym aparaczką, nie z kieszonkowym dyktatorem. Jeśli można było coś zarzucić temu wnętrzu, to tylko zastały smród gęstego dymu z papierosów. Silvanus siedział akurat przy komputerze i odpalał kolejnego papierosa. Słyszając pukanie zaklął i odwrócił się ku drzwiom. Na widok gościa zły grymas przeszedł w uśmiech, a pulchny, niski biurokrata rozchmurzył się w mgnieniu oka. - Zoltan! Siadajże, chłopie. Nareszcie będę miał z kim ponarzekać! Nie masz pojęcia, co się dzieje. Hradetsky, choć był w podłym nastroju, także się uśmiechnął i usiadł w głębokim, skórzanym i niewygodnym fotelu. - Normalny burdel, jak to w firmie, co, Bela?

- A, gdzie tam normalny! Dziesięć razy gorszy niż zwykle - sapnął Silvanus z gestem rozpaczy, omal nie strącając popielniczki. Nachylił się ku pułkownikowi i wyznał zupełnie szczerze: - Stary, są takie chwile, kiedy żałuję, że nie ganiam z pałką po ulicy za włamywaczami i resztą menażerii. Naprawdę, czasem lepsi już włamywacze i zboczeńcy! Gniew opuścił go nagle. Silvanus sflaczał i melancholijnym tonem wyznał: - Sam wiesz, Zoltan, jak lubię tę pracę. Kręciłem całą tą budą dla komunistów, dla demokratów, teraz dla Rządu Ocalenia...

Wiem, gdzie coś śmierdzi, wiem, kto pracuje, a kto się tylko opierdala... O siebie też zadbałem przy okazji... Zaciekawiony Hradetsky czekał, co będzie dalej. Znał Silvanusa z nieposkromionego optymizmu i niepospolitych talentów administracyjnych. Nikt nie umiał lepiej od niego pozyskiwać sobie ludzi czy zaskarbiać sobie u nich wdzięczność. Udało mu się przetrwać trzy polityczne trzęsienia ziemi, a co więcej, awansować przy każdym kolejnym przesileniu. Lubili go wszyscy, a przynajmniej ci, z którymi nie miał na pieńku. Skąd więc ta nagła melancholia? - Tobie, Zoltan, mogę powiedzieć, ale naprawdę tylko tobie jednemu. Reszta tylko się uśmiecha i potakuje. Boją się, że stracą deputaty i kartki żywnościowe! - Biurokrata westchnął. - Nie oni jedni, bo ja też się tego boję. Wiesz co? Zamknij na chwilę drzwi. Hradetsky usłuchał i zamknął je dokładnie, a Silvanus zaciągnął się papierosem i zaczął swoje gorzkie żale. - Ten Szwab, Rehling, zaczął mi wydawać jakieś

polecenia. Wyobrażasz sobie? Nie tylko mnie. Ale za to jakie!

- No, jakie?

- Wszystkie sprawy dotyczące cudzoziemców mamy odtąd kierować wyłącznie do jego pionu. Pion już się tworzy, jeśli o to chciałeś zapytać. Rehling ściąga z rozpoczętych spraw najlepszych ludzi, mundurowych, wywiadowców, dosłownie wszystkich. Mają od tej pory pilnować francuskich i niemieckich handlowców, tak samo jak ich firm. W Budapeszcie połowa wywiadowców ma się zająć tropieniem „elementów wywrotowych” wśród robotników.

- Ale zaraz, jak to? - Hradetsky nie krył zaskoczenia. Zamknięty w swojej dziupli zupełnie nie słyszał, na co się zanosi. - Ktoś tu chyba zwariował!

- Zwariował? Ba, oszalał! Wpieprzyli mi się dokładnie w budżet. - Silvanus zrobił śmieszna minę i z udawanym niemieckim akcentem zaczął recytować: - Pan zapomnieć o przepisy! Przepisy, przepisy! Pan wziąć pieniądze ze służb liniowych! Pan je przelać na fundusz „wywiad” i na fundusz „bezpieczeństwo”, ja? Silvanus zniżył głos jeszcze bardziej.

- Obcięli nawet pieniądze na szkolenie. Od jesieni będziemy mieli mniej kandydatów.

- Co to znaczy „mniej”? Ilu? - zapytał Hradetsky.

- Stary, czy to ważne, ilu? Ważne, że nasi ludzie zamiast łapać złodziei będą pilnowali jakichś niemieckich przemysłowców. - Ale po co? - Hradetsky w dalszym ciągu nie rozumiał. - Po co kierować środki na tych tam zmyślonych wywrotowców? Od zamachu w Sopron nie słyhać o żadnych akcjach terrorystycznych przeciwko cudzoziemcom czy ich zakładom. Co, pojawiła się jakaś nowa grupa?

- Ja tam nie słyszałem - pokręcił głową Silvanus. - A sam pojmujesz, przyjacielu, że kto jak kto, ale ja wiem, gdzie przyłożyć ucho. I jeszcze jedno... - Biurokrata zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Zoltan... Niedługo zaczną się redukcje. Normalna czystka.

- Skąd wiesz? - zapytał zeszywniały Hradetsky. Wiedział, że będzie pierwszym kandydatem na liście zbędnych pracowników. Jakiego zajęcia może się chwycić zwolniony ze służby pułkownik policji?

- Stąd wiem, że w małej poligrafii dostali pilne zamówienie na blankiety zwolnień ze służby. Skądinąd pamiętam, że mieliśmy ich

roczny zapas.

- Więc pewnie także wiesz, kogo chcą zwolnić?

Silvanus przytaknął i podał Hradetsky'emu z szuflady kilka kartek. - Mam nawet listę. Tylko nie pytaj, skąd ją wziąłem. Aha, i nie bój się. Twojego nazwiska nie znalazłem.

Hradetsky mocno się zdziwił. Zapewne wyraz ulgi i zdumienia na jego twarzy sprawiły, że Silvanus dorzucił: - Nie pytaj mnie, dlaczego. Zresztą łatwo zgadnąć. Siedzisz w tej swojej kanciapie i łatwo cię mieć na oku.

Hradetsky parsknął z niedowierzaniem. Czyżby się go bano? Dozsa i reszta dyrekcji cyrku nie wyglądała wcale na zdeprymowanych obecnością pułkownika. Prędzej już zapomnieli, że ktoś taki jak Hradetsky w ogóle istnieje. Pułkownik przerzucił listę zwolnień, spostrzegając sporo znajomych nazwisk. Emil Komai, z wydziału zabójstw. Imre Zarek z dochodzeniówki. Kogo zwalniano? Na oko wszystkich jak leci. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że wśród redukowanych znalazło się sporo pierwszorzędnych gliniarzy. Jakimi kryteriami kierowali się autorzy listy, skoro zdecydowali się pominąć jego, Hradetsky'ego? Silvanus odgadł pytanie pułkownika.

- Nie, stary, nie wiem, z jakiego względu wybrali właśnie tych. Wiem tyle, że rozkaz w tej sprawie ma podpisać Rehling, a nie Dozsa. Sam powiedz, tylu fachowców! - dopowiedział zdenerwowanym głosem.

Ktoś dwukrotnie zapukał do drzwi i otworzył je. Hradetsky i Silvanus spojrzeli na chudego blondyna o ostrej twarzy, który po węgiersku, lecz z silnym obcym akcentem powiedział: - O, przepraszam. Nie przeszkadzam, przyjdę później.

Kiedy drzwi znów się zamknęły, Hradetsky pytająco uniósł brew. - Niemiec?

- Niemiec - przytaknął Silvanus. - Jeden z chłopaków Rehlinga. Przyszedł powęszyć. Nie bój się, nie wróci. Chciał tylko sprawdzić, z kim rozmawiam.

- Narobię ci tylko kłopotów, Bela. Pójdę już, co?

- Ależ, co ty opowiadasz! - Silvanus nonszalancko machnął ręką. - Bez przesady. Zamieniliśmy już ze Specjalnym Komisarzem kilka ciepłych słów. Rehling wie, że nie może mnie tknąć, przynajmniej na razie. Beze mnie wszystko się tu zawali, ludziom zabraknie spinaczy i w ogóle.

Hradetsky wyczuł jednak w żarcikach Silvanusa niepewność. Sam nie wiedział, co zaniepokoiło go bardziej: nowe porządki wprowadzane przez ludzi z Konfederacji czy też fakt, że nawet Silvanus, przezywany Człowiekiem z Gumy, najwyraźniej boi się Rehlinga. Co teraz? Nie można było przecież tak wszystkiego zostawić?

Konfederacja rozrastała się w organizmie Węgier niczym komórka rakowa. Działać należało natychmiast, zaraz, zanim nowotwór rozszerzy się na wszystkie strony. Hradetsky nie wahał się dłużej. Miał przed sobą kilka rozmaitych wyjść, w tym jedno oczywiste. Może uda się nakłonić macierzystą instytucję do zmiany polityki? Zniżył więc głos i oznajmił: - Posłuchaj, Bela, potrzebuję jakichś dowodów na to, coś mi tu opowiedział. Wiesz, dokumentacji tych zwolnień, dokumentów na temat rozmaitych dziwnych spraw. Muszę dostać coś, co będę mógł pokazać.

- Po co? - Silvanus wyprostował się w fotelu.

- Widzisz, wydaje mi się, że wiem, z kim porozmawiać na temat tego całego Rehlinga.

17 marca - Budapeszt, ulica w pobliżu Placu Wolności

Kopuły i gotyckie wieże budapesztańskich kościołów odcinały się ostro na tle bladego, wiosennego nieba. Słoneczne promienie rozbłyskiwały w nurcie Dunaju, rzucając długie cienie na szerokie aleje Pesztu i średniowieczne, wąskie i strome uliczki Budy.

Pierwsze, delikatne liście zaczynały się rozwijać na tych drzewach, które nie poszły na opał. Po okropnościach długiej zimy Budapeszt znów budził się do życia. Na ulice wylegli też gromadnie mieszkańcy miasta. Niektórzy, bezrobotni, krążyli od dzielnicy do dzielnicy w poszukiwaniu pracy. Inni robili zakupy, to znaczy sprawdzali czy do stołecznych sklepów nie rzucono czasem jedzenia, odzieży, czy innych towarów, tak hucznie obiecywanych przez rząd. Na każdym rogu

ulicy widziało się żołnierzy i policjantów. Wojskowe władze kraju chciały pokazać obywatelom, że wiosna czy nie wiosna, porządek musi być. Hradetsky z łatwością przemykał między przechodniami. Instynktów urodzonego budapeszteńczyka nie zabiły w nim nawet długie lata służby na prowincji. Nie mógł jednak nie zauważyć wrogich spojrzeń i min, jakie ludzie robili na widok jego niebiesko-szarego policyjnego munduru. Policja znów zaczynała się wszystkim źle kojarzyć. Pułkownik lubił chodzić ulicami, ot, żeby zażyć ruchu, ale dzisiejszy spacer nie był zwykłą przechadzką.

Przeciwnie, miał się stać początkiem niebezpiecznego zadania. Celem przechadzki Hradetsky'ego był gmach prokuratury generalnej, stojący parę przecznic od budynków MSW. Kilka lat wcześniej pułkownik poznał bliżej jednego z wysokich urzędników prokuratury - Anthala Barthę. Bartha zaimponował mu wręcz fachowością, energią i oddaniem, z jakimi pełnił obowiązki. Jeśli sam także zapamiętał Hradetsky'ego, nadarzała się szansa szczerzej rozmowy z osobą z wyższego szczebla aparatu państwowego. Być może uda się nawet uzyskać zgodę na rozmowę z samym prokuratorem generalnym? W odróżnieniu od urzędników amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, prokuratura generalna Węgier nadzorowała całość spraw kryminalnych na terenie kraju. W świetle konstytucji, urząd prokuratora strzegł także legalności wszystkich decyzji rządu. Hradetsky łudził się, że przy tym stanie rzeczy prokuratura będzie władna powstrzymać Rehlinga, który wyraźnie próbował wziąć za twarz całą krajową policję. W sąsiedztwie zgrabnych secesyjnych kamienic, gmach prokuratury generalnej wyglądał jak nieproszony gość. Brzydka, banalna, żelbetowa fasada górowała nad okolicą w miejscu, w którym po zakończeniu II wojny światowej rosyjscy saperzy wyburzyli domy zrujnowane podczas walk o miasto. Hradetsky snuł czasem przypuszczenia, że komunistyczne władze umyślnie zakwaterowały swą prokuraturę w budynku, który sam stanowi symbol bezdusznej, anonimowej przemocy. Komunistyczne porządki dawno się wprowadzić skończyły, lecz biurokratyczny bezwład nadal kazał prokuraturze trwać na starym miejscu. W westybulu było bardzo rojno: adwokaci i aplikanci krążyli od drzwi do drzwi, przenosili dokumenty i krzatali się, popatrując na mundurowego policjanta. Hradetsky zdołał się przepchać do okienka portiera i wydebić stamtąd numer pokoju mecenasa Barthy. Skrzypiąca winda, obsługiwana przez babinę w półkożuszku, wwozła Hradetsky'ego na właściwe piętro. Pułkownik ruszył malowanym na olejno korytarzem. Dla oszczędności wykrecono co drugą świetlówkę, toteż idący zanurzali się w kolejne plamy cienia. Półmrok sprawił, że Hradetsky zaniepokoił się i jeszcze raz zastanowił czy aby dobrze robi. A nuż ktoś weźmie jego poczynania za zdradę stanu? E, co za bzdury! Owszem, to co w tej chwili robił stanowiło oczywiste pominięcie drogi służbowej, ale przecież pomysł, by zwrócić się z interwencją do tego kretyna Dozsy był śmiechu warty. Hradetsky zatrzymał się przed

staroświeckimi drzwiami z matową szybą. Czarne litery na szkle informowały, że w pokoju urzęduje „Anthal Bartha, Zastępca Prokuratora Miasta Budapeszt”. Pułkownik zapukał, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do środka. Mężczyzna za biurkiem był kilka lat młodszy od policjanta, ale jego czarne dawniej włosy okazały się teraz prawie całkiem siwe. Bartha był też wyższy od pułkownika, ale to akurat dawno przestało Hradetsky'ego zaskakiwać w ludziach. Na widok gościa na szczupłej twarzy prokuratora pojawiło się zdziwienie. - Słucham? O co chodzi? - Prawnik zatrzymał wzrok na naramiennikach Hradetsky'ego i poprawił się: - O co chodzi, pułkowniku?

- Nie wiem, czy mnie pan pamięta, panie mecenasie. Jestem Zoltan Hradetsky. Parę lat temu spotkaliśmy się w Sopron przy pewnej okazji. Pamięta pan sprawę Andorki?

- Andorki? Ach, rzeczywiście! - I zupełnie już innym tonem adwokat zwrócił się do pułkownika: - Witam!

- To ja może usiądę, co? - Hradetsky wskazał jedyne wolne krzesło.

- Ależ proszę, proszę. Hmm. Cóż więc sprowadza pana do mnie po tylu latach? Bo chyba nie tylko miłe wspomnienia? Hradetsky odchrząknął, bo za to, co chciał powiedzieć, można było beknąć. - Zanim powiem, muszę pana o coś poprosić, panie mecenasie. - Naturalnie.

- Czy jest pan gotów mi przysięgnąć, że to co powiem pozostanie między nami? - Zdanie zabrzmiało jak wyjęte z melodramatu, ale Hradetsky naprawdę nie widział tu innego sposobu, tym bardziej że ryzykował nie tylko własną karierą i skórą. Dociekliwi łatwo mogli odgadnąć, z czyjej szuflady pochodzą papiery w teczce pułkownika.

- Oczywiście, że tak - zapewnił Bartha, mocno już zaciekawiony. - Poufne sprawy to dla mnie ostatecznie nic nowego. -

- Obawiam się, że nie aż tak poufne - przerwał Hradetsky. - Przychodzę do pana z prośbą o pomoc. Posiadam pewne informacje, to jest, chciałem powiedzieć, dokumenty, które muszą trafić w absolutnie właściwe ręce. Rzecz w tym, że pełnomocnik EuroConu w naszej policji, Rehling, próbuje przekształcić cały aparat w nowe AVH! W bezpieczeń!

Bartha uniósł brwi, słysząc nazwę zniechęconej tajnej policji z czasów Stalina. Awosze dławili na Węgrzech każdy przejaw

sprzeciwu wobec komunistycznej władzy, a w dniach powstania w 1956 roku bez wahania strzelali do Węgrów. - Generał Dozsa nie kiwnął dotąd palcem, żeby interweniować w tej sprawie, a ja sam też jestem bezradny. Przy mojej pozycji w ministerstwie... No, szkoda słów.

- Jak to? Przecież jest pan pułkownikiem! Starszym oficerem z latami stażu i doświadczenia. Co to znaczy?

Hradetsky opisał w paru słowach swoją soprońską scysję z Francuzami i banicję w biurokratycznych otchłaniach MSW. Wspomnienie poniżających chwil z ostatnich miesięcy tak go wyprowadziło z równowagi, że ostatnie słowa prawie wykrzyczał w gniewie: - I co? Nagle pojawia się jakiś Rehling i zaczyna się rządzić jak u siebie. Jeśli się go nie powstrzyma, niedługo kryminaliści zaczną robić co chcą na ulicach, a policja będzie się bawić w cieciov pilnujących obcych fabryk i willi! Znów nasyłają nam tu jakichś opryszków. Kto się sprzeciwi, zaraz dostaje w łeb! - dodał, pomny własnych doświadczeń z Sopron. Zatraskany Bartha przytaknął parokrotnie i zapytał:

- Zdaje się, że wspominał pan o jakichś dokumentach na poparcie tych zarzutów?

Hradetsky podał mu zdobyte w ministerstwie wydruki i w milczeniu czekał, co prokurator powie po ich lekturze. Bartha spokojnie przejrzał dokumenty, zwrócił je i pokręcił smętnie głową. - To już wszystko? Wszystko, czym pan dysponuje?

- A co, mało panu?

- Mnie może wystarczy, ale -już nie moim przełożonym.

Owszem, owszem - dodał Bartha na widok miny Hradetsky'ego. -Nie przeczę, naruszono parę zasad służbowych, lecz wszystko to należy do wewnętrznych spraw policji. To decyzje organizacyjne, a nie przestępstwa czy wykroczenia.

- Nie chodzi mi wcale o to, żeby podać tych ludzi do sądu - fuknął Hradetsky. - Chciałem pokazać to ludziom, którzy byliby w stanie odkręcić to wszystko, a przy okazji zmyć głowę temu Niemcowi. Dozsa nie wchodzi, niestety, w rachubę.

- Niestety. Ani Dozsa, ani nikt w tym budynku, pułkowniku.

Mogę panu od razu powiedzieć, że moi przełożeni wyrzucą pana za drzwi. Widzi pan... Nie tylko pański komendant ma pietra. Nikt nie chce podpaść naszym nowym sojusznikom, rozumie pan?

- Nie mam nic do stracenia.

- Owszem, ma pan. Może pan na przykład stracić wolność

- oświadczył twardym głosem Bartha i zniżył głos do szeptu, -
Co, myśli pan że w prokuraturze generalnej nie zdarzają się podobne sytuacje? To się pan myli. Kilka tygodni temu władze wydały nowe, tajne dekrety. Wolno teraz aresztować wszystkich podejrzanych o „działalność wywrotową”. Proszę nawet nie pytać o podstawy prawne. Jako adwokat nie mogę się z tym zgodzić. Na szczęście nikt mi na razie nie kazał wprowadzać tych dekretów w życie. Sam pan rozumie... W tych czasach trudno liczyć, że Sąd Najwyższy zajmie inne stanowisko niż władze.

- Czyli nie ujmie się za nami dokładnie nikt, tak?

- Może i tak, nie wiem. Wiem natomiast, że najlepiej byłoby panu się wstrzymać z protestami, przeczekać. Zobaczymy, jak się będzie układać sytuacja. Co pan osiągnie przez to, że da się pan aresztować? - Bartha wstał po tych słowach, na znak, że rozmowa skończona. Odprowadził pułkownika do drzwi, sam je otworzył i prędko rozejrzał się po korytarzu.

Widząc lęk prokuratora, Hradetsky omal się nie załamał do reszty. A więc nawet najwyżsi urzędnicy... Prędko pożegnał się i wyszedł z budynku. Dokumenty od Silvanusa nadal tkwiły w teczce. Trudno. Spacer z powrotem do ministerstwa pozwalał zastanowić się spokojnie nad tym, co dalej. Hradetsky nie czuł nawet zimnego wiatru, zacinającego znad Dunaju. W prokuraturze generalnej działało się dokładnie to samo, co w MSW. Czyli gnój. Może nawet gorszy niż w policji. Nie dość, że przepisy stanu wyjątkowego zmieniły prawo w pośmiewisko, zanosilo się na to, że nowe porozumienia na trwałe zmienią Węgrów w pańszczyźnianych chłopów EuroConu. Władze nie zechcą rozmawiać? Trudno, świetnie.

Hradetsky omal nie splunął na wspomnienie przyjacielskiej porady, by „przeczekać”. Może już dosyć pokornego czekania na rozwój sytuacji, co? Pułkownik zmienił nagle kierunek marszu i ruszył żwawo przed siebie. Spacer miał być tym razem dłuższy, lecz i nowy plan wymagał długiego namysłu. Nie było rady: ktoś musi przecież coś z tym wszystkim zrobić!

13

Objawienia

21 marca - Niemcy, miasto Wismar

Vance poczuł zapach morza, gdy tylko otworzył drzwiczki

wynajętego Audi. Zaczynał już mieć serdecznie dosyć tej woni. Co gorsza, przy tym zadaniu nijak nie mogły mu się przydać ani dzieciństwo w zamożnej, willowej okolicy stanu Connecticut, ani studia na prestiżowym uniwersytecie, ani nawet wstępne szkolenie w CIA. Vance trafił na pierwszą placówkę do Niemiec, a runda po bałtyckich portach miała być jego pierwszą samodzielną akcją. Jak na początkującego szpiega przystało, od trzech tygodni Vance przemierzał kolejne rybackie miasteczka i osady, często po parę dniennie. Nie były to wcale wakacje na Riwierze: dziurawe i źle oznakowane szosy zmieniały nawet najkrótszą jazdę w niekończące się pasmo udręki. Co gorsza nad Bałtykiem lał deszcz, zupełnie nie jak na Riwierze. Pasma czarnych, wykrzywionych sosen, słone rozlewiska, zimne plaże i piaskowe urwiska co rusz kryły się za kurtyną deszczu i mgły - tak gęstą, że cała okolica przypominała chwilami płaską i zalaną wodą równinę. Podobno w marcu, w okresie między ostatnim śniegiem i pierwszymi wiosennymi ulewami, padało tutaj rzadko, ale nawet jeśli Meklemburgia słynęła podobno z nieustannej suszy, ten rok przeczył wszystkim opowieściom. Nad wybrzeżem przeciągała jedna ulewa za drugą, zmieniając polne drogi w trzęsawiska, a asfaltowe szosy w śliskie i karkołomne tory przeszkód. Jeszcze trudniejsze od znalezienia poszczególnych miejscowości okazywało się wyciśnięcie z miejscowych choćby strzępka użytecznej informacji. Doświadczenia dziesiątków lat pod rządami komunistów nauczyły tutejszych Niemców trzymać język za zębami, zwłaszcza w obecności ciekawskich intruzów, którzy mają kłopot z rozumieniem niespiesznego, dolnoniemieckiego dialektu. Dla miejscowych superpoprawna niemczyzna znamionowała gogusia z Berlina lub, co gorsza, rządowego szpicla, który wybrał się na przeszpiegi. Wysokie da i restn importowe sprawiły, że północne Niemcy znów zaczynały się stawać rajem dla przemytników. Pierwszą zasadą rasowego szmuglera jest dyskrecja. Nic dziwnego, że mało kto chciał w ogóle rozmawiać z Vancem, nie mówiąc już o pomocy w poszukiwaniach jednego, jedyne go spośród setek kutrów rybackich w portach wybrzeża. Vance szybko połapał się w błądziej. Tylko na samym początku nawiedzał wszystkie nadmorskie szynki i mordownie w nadziei, że uda mu się podsłuchać trochę plotek i nawiązać potrzebne znajomości. Próżne nadzieje. Zamiast pogawędek spotykały go te same obojętne, niezbyt przyjazne spojrzenia, a nazajutrz piwny kac i wstrętny

posmak śledzia w śmietanie - przystawkę tę Vance zdążył już znienawidzić do końca życia. Przyszło więc zmienić taktykę i każdą wizytę w nowym mieście zaczynać od oględzin portu. Jeśli któryś z kutrów mniej więcej odpowiadał opisowi, Vance zapisywał sobie nazwę jednostki i ruszał na poszukiwanie właściciela, udając że „ma do niego interes”. Vance przestał też udawać Niemca, gdyż jak na ironię bałtyccy marynarze i rybacy bardziej niż ich ziomkowie z głębi łądu ufali podejrzanym cudzoziemcom z kieszeniami pełnymi gotówki i z bagażnikami kontrabandy. Nic nie było jednak w stanie pocieszyć skwaszonego Vance'a, który w kolejnych miastach dowiadywał się wciąż tyle samo. Gówno na patyku. Co z tego, że się naoglądał kutrów i trawlerów, starych balii, które ledwie pływały i nowiutkich jednostek, rybackich tylko z nazwy, za to wyposażonych w potężne silniki i najnowszy sprzęt nawigacyjny? Żaden ze statków i stateczków nie był tym, który kamery satelity KH-11 wypatrzyły pod Gdańskiem. Vance westchnął, przeciągnął się ostrożnie, czując ból w plecach, a potem sprawdził czy dobrze zamknął drzwiczki. Wismar liczył sobie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców i był miejscowością znacznie większą od tych, które agent zwiedzał do tej pory. Im większe miasto, tym częściej w nim kradną - po co więc zwracać na siebie uwagę policji skargami typu „ukradziono mi Audi”? Nie mówiąc już o tym, że z natury mało sympatyczni księgowi w Agencji dostaliby strasznej piany na widok rachunku za utratę wynajętego wozu. Vance przerzucił przez ramię pasek od aparatu fotograficznego i ruszył dziarsko wzdłuż nadbrzeży. Po jednej ręce miał rząd kutrów i łodzi, przycumowanych do rozpadającego się nadbrzeża i kołysanych lekką falą. Po drugiej stronie stał szereg pustych magazynów, poznaczonych śladami odłamków z czasów alianckich nalotów w ostatnich tygodniach drugiej wojny światowej. Vance mógł się nie przejmować spojrzeniami gapiów. Prócz niego nikt w całym Wismarze nie pałał chęcią spacerowania po pustym porcie pod igłami lodowatej mżawki. Nawet stocznia, największy zakład w mieście, wydawała się opustoszała, a za zamkniętą na kłódkę bramą harcowało między niewykończonymi kadłubami stadko marcujących kotów. Sto metrów od samochodu Vance przystanął i z krawędzi nad brzeża przyjrzał się rzędom kutrów. Starał się dokonać dokładnych oględzin, lecz przychodziło mu to coraz trudniej. Przez ubiegłe tygodnie tyle się naoglądał podobnych

widoków, że nawet we snach widział kutry rybackie. Zerknął na kolejny kadłub, na następny... Wrócił wzrokiem ku poprzedniej jednostce, gdyż coś w jej wyglądzie wydało mu się znajome. Może kanciasta sterówka? Może rozmieszczenie starych opon, służących jako odbijacze burtowe? Albo widział już ten kuter w którymś z poprzednich portów, albo też... Agent CIA wstrzymał oddech i wbił wzrok w stary, porzewiały kuter. Niemożliwe! Sięgnął prędko do kieszeni wiatrówki, szukając rysunków, jakie mu wręczono w Berlinie, a potem rozpostarł szkic i ruszył wzdłuż basenu portowego. Podobieństwo było uderzające. Więcej: nawet w słabym przedwieczornym świetle widać było, że kuter ze szkicu jest identyczny z tym w wismarskim porcie. Vance wycelował teleobiektywem w kadłub, próbując dojrzeć nazwę albo numer burtowy kutra. Na rufie rzeczywiście widniały na czarnym kadłubie pożółkłe litery. „Hexmadchen”. Czyli Wiedźmulka. Ależ nazwa! Prawie tak brzydka jak sam kuter! Z kilku punktów nadbrzeża Vance pstryknął parę zdjęć, by analitycy danych w Agencji mogli porównać kuter z tym ze zdjęć satelitarnych i wykluczyć możliwość pomyłki. Nie to, żeby agent miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, że znalazł to, czego szukał. Ten sam tajemniczy kuter nie tak dawno krążył po wodach Zatoki Gdańskiej. Amerykanin poczuł falę animuszu. Odwrócił się od basenu i ruszył z powrotem do miasta, postanawiając w duchu zatrzymać się w pierwszej rybackiej speluncie. Tutejsi na pewno wiedzą, co się ostatnimi czasy działo z „Wiedźmulką”... Albo kto jest jej szyprem. W porównaniu z pustym, zapuszczonym portem, miejska część Wismaru prezentowała się o wiele korzystniej. Na wscho dzie, nad krytymi dachówką kamieniczkami górowała ceglana wieża katedry, a w jej sąsiedztwie, od południa, przy samym rynku widać było jeszcze dwie ceglane ruiny po zbombardowanych przed pół wiekiem kościołach.

W najstarszym budynku w Wismarze Vance znalazł przybytek, którego szukał. Tawernę „Pod Starym Szwedem” zbudowano przed prawie sześciuset laty, o czym zaświadczały wąskie drzwi, belkowana powała i poczerńiałe drewno stolarki. Dźwięk potrącanych kufli i pijacki gwar wskazały Vance'owi drogę do szynkwasu. Agent zatrzymał się jednak na progu. W „Starym Szwedzie” był komplet. Tłum marynarzy, szyprów i zwykłych mieszczuchów kłębił się wokół baru, przy stołach i na każdym pozostałym skrawku powierzchni.

Dalsze kąty ciasnej sali ginęły w oparach dymu z papierosów i fajek. Oczy Vance'a natychmiast zapiekły i zaczęły łzawić. Część bywalców odwróciła się w stronę przybysza, który uczynił kilka kroków w coraz większej, a wreszcie ogólnej ciszy. Pod niechętnymi spojrzeniami gości Vance wspiał się po parze kamiennych schodków i znalazł się przy szynkwasio. - Jedno piwo, proszę - zamówił, zmuszając się do amerykańskiego akcentu, choć na codzień mówił po niemiecku jak berlińczyk. Bufetowy zmierzył Vance'a wzrokiem, lecz posłusznie szurnął mu przed nos pełnym kuflem. Amerykanin wiedział, co oznacza takie spojrzenie: obcym od nas wara. Nie przejął się nim zupełnie i upił łyk piwa. - Szuka pan czegoś w Wismarze, mein Herr?

Vance podniósł wzrok na grubasa o czerwonej gębie, wbitego w brązowy wełniany sweter. Tłuste plamy na wełnie wskazywały, że grubas musi być mechanikiem albo niezłym żarłokiem. Albo jednym i drugim. - Chodzi mi o właściciela kutra.

- Coś takiego! - małeńkie oczka grubasa zniknęły w fałdach rozradowanej twarzy. - Trzeba powiedzieć, że dobrze trafił, przyjacielu. Co nie, chłopcy?!

Tłum bywalców zarechotał głośno. Vance z miłym uśmiechem odczekał, aż rozgwar ucichnie, a potem nadał pewnym głosem zapytał: - Chodzi mi o konkretny kuter. Nazywa się „Hexmadchen”. Mam dla szypra... Mam taki jeden interes. Mały rejs, coś w tym stylu.

Grubas przemawiał chyba za ogólną zgodą w imieniu wszystkich, bo znowu się zaśmiał, po czym upewnił się: - Kuter starego Hummla? Spóźniłeś się, przyjacielu.

- Jak to?

- Ano, tak to. Ktoś już cię wyprzedził. W dodatku zapłacił tennu pierdzielowi Hummlowi od ręki, bęc i masz! - dodał grubas, gestykułując kuflem. - Hummel, ma się rozumieć, zgarnął forszę - i zniknął, a łajba stoi jak stała. Co mu tam! Gdzie jest, nie wiadomo, nikt go ostatnio nie widział! - Nam też był winien forszę, ten skurwysyn! - zauważył któryś z marynarzy.

- Żeby tam tylko wam! Wisiał z forszą połowie miasta! Teraz możecie się wszyscy ugryźć, tyle jest warty ten jego kuter! - Niemiec dopił piwo i z chytrym spojrzeniem odwrócił się w stronę Amerykanina: - Pewnie cię konkurencja ubiegła, co, przyjacielu? - Pewnie tak - odburknął Vance możliwie obojętnym tonem

i wzruszył ramionami. - Jak to Szwedzi, pazerni na pieniądze. - Ci, co rozmawiali z Hummlem, to nie byli żadni Szwedzi. - Grubas roześmiał się i stuknął wielką łapą w blat. - Szwedów to my tutaj znamy, nie bój się!

Agent CIA skinął głową, że rozumie, bo rzeczywiście z jednego z przewodników dowiedział się, iż właśnie Wismar stanowił dawniej główny szwedzki przyczółek w Niemczech - i to, o ile dobrze pamiętał, aż do pierwszych lat dwudziestego stulecia. Vance umyślnie rzucił słówko „Szwedzi”, by skierować rozmowę na cudzoziemców. Miał wielką ochotę przycisnąć rozmówcę, zapytać z miejsca, kto taki odkupił kuter, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. Drażnienie nieufnych rybaków kolejnymi pytaniami mogło się okazać czymś w rodzaju spacerku po polu minowym. Powoli, nie ma co się spieszyć. - Pić się człowiekowi chce. Jeszcze po jednym? - zaproponował Vance, podnosząc kufel.

- Piękne dzięki - Niemiec uśmiechnął się z zadowoleniem. Vance rozejrzał się za bufetowym i zmarszczył brwi, nie widząc go za barem. Gdy rozmawiali z grubasem, bufetowy gdzieś się ulotnił, zastąpiony przez spłoszonego pomocnika. Pewnie nie mógł ścierpieć, że przyszło mu obsługiwać Amerykanina. Nic, kij mu w oko. Vance stuknął kuflem w szynkwias, przywołując pomocnika. - Jeszcze po piwku. Dla mnie jedno, reszta dla sympatycznej kompanii.

Kilka dotychczas ponurych twarzy rozpromieniło się nagle. Jednak dopiero po pół godzinie, czyli po paru następnych kolejkach, Vance'owi udało się skierować rozmowę na nowych właścicieli „Wiedźmulki”. - Co, tamci? A, jacyś Francuzi. Nie przedstawiali się, gdzie tam, ale my i tak wiemy. Skryci, jak nie wiem - Niemiec mrugnął porozumiewawczo, otarł usta grzbietem dłoni i pociągnął nowy haust piwa - Jacyś ważniacy, albo takich strugają, co nie, chłopcy? Reszta piwoszy pokiwała głowami na znak zgody.

- Ale na pewno? To znaczy, czy to na pewno Francuzi?

- Jak babcię kocham! - sapnął grubas. - Żabojady. Forsy dużo, za to z mózgiem nietego. Takie jest moje zdanie.

- Ach, tak? Dlaczego?

- Jak to, dlaczego? Trzeba naprawdę durnia, żeby zapłacić Hummlowi tyle forsy za kuter, a potem zostawić łajbę. Jeden rejs, i szlus! Od tamtej pory kuter stoi na cumach...

Vance najspokojniej w świecie pił piwo. Czekał na te informacje od tygodni. - Jeden rejs?

- Ja. Miesiąc temu, czy jakoś tak - Niemiec uśmiechnął się sprytnie. - Właśnie, skoro się o rejsach zgadało... Ciekawe, co tamci chcieli przewieźć za sadzawkę. Nieocloną whisky? Albo parę kartonów innego dobra? Ale na przykład co?

Vance słuchał jednym uchem, jak rybacy wynajdują coraz bardziej fantastyczne domysły na temat lewego ładunku „Hexmadchen”, i układał w myślach następne posunięcie. Drażnić sprawę dalej czy od razu walić z powrotem do Berlina? Do Berlina. Zebrane dowody stanowiły bardziej poszlaki, lecz i one wystarczą, by śledztwo mogli przejąć bardziej doświadczeni ludzie. Vance wyszukał miasto, o które chodziło i kuter ze zdjęcia. Na razie dobre i to. Kiedy USA i Wielka Brytania rzucą do Wismaru najlepszych speców, w międzynarodowej prasie zrobi się taki szum, że Francuzi nie zdążą już pozacierać śladów. Najpierw trzeba telefonicznie przekazać wstępny meldunek. Od Berlina dzieliło Vance'a wiele kilometrów, a ponadto, by zebrać odpowiedni zespół, zwierzchnicy potrzebowali więcej czasu. Vance podniósł się spomiędzy zajętych dyskusją piwoszy, którzy całkiem fachowo rozprawiali o przebicciu, jakie się ma ze szmuglu alkoholu w porównaniu z inną kontrabandą. Bufetowy zdążył wrócić na stanowisko, chociaż na oko przerwa wcale mu nie poprawiła humoru. - Gdzie tutaj jest telefon? - zapytał go Vance.

- W korytarzu. - Bufetowy wskazał ku drzwiom, za którymi sam przedtem zniknął. - Koło pisuaru.

Amerikanin podziękował skinieniem głowy i cisnął na szynkwaskę plik nowiuteńkich frankmarek. - Jeszcze po kufelku dla mojej kompanii - polecił, pomachał rybakom i ruszył szukać telefonu. Dokładnie, jak się tego spodziewał, usłyszał od berlińskiego rezydenta, że ma natychmiast wracać do Berlina. Nie rano, natychmiast. W Waszyngtonie i Londynie na zdjęcia kutra z Wismaru ostrzyło już sobie zęby kilkunastu ekspertów.

Pożegnanie z rybakami przeciągnęło się jednak. Bywalcy „Starego Szweda” nie chcieli tak łatwo puścić hojnego przybysza. Vance wyrwał im się wreszcie obiecując, że wróci, gdy tylko się naradzi z rzekomymi „wspólnikami”. Gdy Vance wyszedł przed knajpę, nad Wismarem zapadła już noc. Amerikanin zadrżał, zdjęty nieprzyjemnym chłodem. Pocieszał się myślą, że przynajmniej

przestało tymczasem tak mżyć. Zasuwał zamek wiatrówki, wcisnął rękę w kieszenie i szybkim krokiem ruszył do samochodu. Kręciło mu się w głowie, trochę od wypitego piwa, ale najbardziej z radości, że tak się udało. Mimo tylu przeszkód i komplikacji wywiązał się z pierwszego zadania po prostu świetnie. Idąc, nie zauważył nawet pary postaci, wynurzających się z bocznego zaułka. Pierwszy z pary Francuzów przyklęknął nad Amerykaninem i wprawnie go obszukał. Drugi agent cicho gwizdnął na palcach, przyzywając zza rogu popielatą furgonetkę, a potem również zajął się pojmanym. - Żyje?

- Pewno. Stuknąłem go tylko w czaszkę - zapewnił pierwszy Francuz prostując się, po czym podał zwierzchnikowi kluczyki od Audi. - Mamy co trzeba.

- Pysznie.

Furgonetka zatrzymała się przy leżącym, a z odsuniętych bocznych drzwi wyskoczyła następna dwójka agentów. Błyskawicznie podnieśli nieprzytomnego Amerykanina z chodnika, wrzucili go do samochodu i sami już w biegu wskoczyli do środka, z hukiem zatrzaskując drzwi. Kiedy światła furgonetki zatarły się w dali, pierwszy Francuz odwrócił się do podwładnego. - Działaj. Instrukcja ta, co zwykle. Aha, i zapłać bufetowemu jak było umówione, a potem zawieź do nas Audi, niech chłopaki sobie obejrzą cały wóz.

- A ty?

- Niedługo do was dołączę. Najpierw muszę zadzwonić do dyrektora, powiedzieć mu, że mamy kłopot - odrzekł Francuz i skrzywił się lekko, bo z góry mógł się domyślić rozkazu z Paryża. Szef DGSE nie cierpiał, gdy jego ludzie niepotrzebnie zostawiają ślady.

23 marca - Berlin

Richard Strozier, rezydent CIA na obszar Berlina, przyjrzał się uważnie znalezisku i ponuro przytaknął.

- To on. Vance.

Odwracając spojrzenie od zmasakrowanych zwłok rozejrzał się po wnętrzu kostnicy. Zbierało mu się na wymioty. - Na pewno? Z twarzy prawie nic nie zostało, więc może... - To na pewno Vance, do diabła! Ile razy mam wam powtarzać?! - wybuchnął Strozier pod adresem kapitana niemieckiej policji.

- Już dobrze, dobrze, Herr Strozier. Wierzmy pańskiemu zdaniu - uspokoił go drugi Niemiec, szczuplejszy i w cywilnym

ubraniu. - Zakryć! - polecił parze posługaczy w białych kitlach.

- Jak to się stało?

- Wypadek samochodowy pod Wismarem. Dwa dni temu.

Tamtej nocy strasznie lało, jechał po ciemku. Szosy śliskie... - kapitan wzruszył ramionami, gdyż podobnych wypadków widział całe setki. - Poza tym był pijany.

- Gównu, nie pijany.

- Wiem, co mówię, Herr Strozier - westchnął cywil. - Może pan mieć inne zdanie, ja powtarzam to, co stwierdzono przy sekcji. Ten pański Vance miał we krwi dosyć alkoholu, żeby chuchem powalić słonia. Świadcowie w Wismarze widzieli, jak pił tuż przed wypadkiem. - I rozkładając ramiona Niemiec dodał: - chyba, że ma pan jakieś inne wytłumaczenie.

Strozier spojrział groźnie na oficera łącznikowego BfV. Znał Helmuta Zieglera na tyle, by poznać, kiedy Niemiec rozmyślnie udaje durnia. Ogłupiał na wyraźny rozkaz przełożonych. Przypadek wcale nie tak rzadki. - Gdzie jego rzeczy?

- W depozycie. O, proszę. - Policjant podał Strozierowi zapieczętowany plastikowy worek. - Niech pan tylko pokwituje, może je pan zabrać do ambasady.

Strozier wysypał zawartość worka na najbliższy stół. Portfel. Grzebień. Paszport. Scyzoryk. Tylko aparatu brak. I nic dziwnego. Podniósł wzrok na Zieglera. - Chciałbym obejrzeć miejsce tego wypadku.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- A to dlaczego?

Ziegler uśmiechnął się przepaszajaco.

- Wybrzeże bałtyckie ogłoszono strefą zamkniętą, Herr Strozier. Ostatnio dochodziło tam do rozmaitych zaburzeń. Do strajków, zamieszek, i tak dalej. Z uwagi na okoliczności, rząd mojego kraju postanowił zamknąć cały obszar dla cudzoziemców. Na wszelki wypadek, bo nie możemy tam nikomu zagwarantować bezpieczeństwa.

Święte słowa. Strozier skamieniał w niemej pasji i dopiero po dłuższej chwili wykrztusił: - Nasz ambasador złoży protest w tej sprawie. Ostry protest. - Jego prawo. - Ziegler odwrócił się do śledzącego tę scenę policjanta: - Mam wrażenie, że zrobiliśmy, co do nas należało, kapitanie. Proszę sprawdzić, czy mój kierowca już się zjawił, dobrze?

- Już sprawdzam.

Amerikanin i Niemiec odprowadzili kapitana wzrokiem, a kiedy zamknęły się za nim drzwi na korytarz, dokończyli rozmowy.

Pierwszy wybuchnął Stozier. - Co tu się dzieje, do kurwy nędzy! Helmut, na Boga, przecież wiesz tak samo dobrze, jak ja, że ktoś tego chłopaka zamordował! - Pewno, że wiem - przytaknął smętnie Ziegler i wskazał na stół ze zwłokami. - Uwierz mi, Richard, że to nie nasza robota. Zniżając głos Niemiec ciągnął:

- Sam dobrze nie wiem, w co wdepnęli twoi ludzie, ale na pewno w nic bezpiecznego. Rozkazy, żeby odizolować cały Wismar i okolicę też nie wyszły od mojego rządu, tylko z góry. - Z EuroConu?

- Z sekretariatu spraw wewnętrznych. - Pociągłą twarz Zieglera wykrzywił nowy grymas. - Dlatego mówię ci, Richard, żebyś uważał co robisz. Nie wysyłaj nikogo do Wismaru, bo jeszcze przyjdiesz do tej kostnicy. Ci Francuzi naprawdę się nie patyczkują. Gdy Stozier wrócił już do ambasady, czekała już na niego Kazia Malinowska. Major Kazimiera Malinowska, szczuplutka i mizerna, przybyła z Warszawy, by mieć oko nad niemiecką częścią śledztwa w sprawie eksplozji „North Star”. - I jak tam? Wszystko tak, jak się pan obawiał?

- Może tak, a może jeszcze gorzej.

Stozier wtajemniczył Polkę w popołudniowe rozmowy.

- Zaczynam rozumieć. Nie wiem tylko, co chce pan z tym teraz zrobić?

- Ja też nie mam pojęcia - pokręcił powoli głową berliński rezydent CIA. - Co teraz? Co dalej? Wiemy tylko jedno: że bombę podłożyli Francuzi. Znamy nazwę kutra, którym się posłużyli. Nawet więcej, bo wiemy, że to oni zgładzili Vance'a, żeby zatrzeć ślady. Brak nam tylko najmniejszych dowodów, że to prawda. - A nie wystarczą same zdjęcia satelitarne?

- Gdzie tam! - Stozier wzruszył ramionami. - Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby Waszyngton zgodził się ujawnić zdjęcia. Z własnej inicjatywy potrafią tylko wspaniale udawać, że o niczym nie wiemy. Można i tak.

-- Z czego wynika, że pańscy zwierzchnicy nie kiwną palcem? - dokończyła ze złością Malinowska.

- Kiwną albo nie kiwną, nie o to chodzi - mruknął Stozier, rozcierając sobie skronie. - Naprawdę nie wiem, co bym zrobił na

ich miejscu. Nie mamy zdjęć, które zrobił Vance, nie mamy dostępu do Wismaru... Koniec, ślepa uliczka!

Niebieskie oczy polskiej agentki poszarzały.

- Pewnie ma pan rację. Chyba, żeby jej pan nie miał...

Strozier nawet nie próbował rozszyfrować znaczenia tych słów.

28 marca - Moskwa, Ministerstwo Handlu

Pierwsze oznaki nadciągającej burzy Erin McKenna zwietrzyła podczas kolejnego spotkania z weteranami rosyjskiej biurokracji, a konkretnie w rozmowie z panią wiceminister handlu. - Powiem wprost, pani wiceminister, że Honeywell nie zainwestuje ani centa w nowe maszyny dla zakładów w Tule, jeśli nie otrzyma gwarancji, że pani rząd nie nosi się z zamiarem powtórnego upaństwowienia tej fabryki. - Uśmiech na twarzy Erin miał w zamyśle trochę złagodzić słowa, jakie musiały teraz paść w rozmowie. -

Ostatecznie nie wyklada się na stół najlepszych sreber, kiedy złodzieje krążą pod oknami.

- To amerykańskie przysłowie? - zaintrygowana się pani wiceminister, lecz nadal wcale się nie uśmiechała. Autorzy rosyjskiego stanu wyjątkowego sami nie bardzo wiedzieli, co począć z prywatnym sektorem gospodarki, a ich zmienne nastroje skutecznie odstraszały zagranicznych inwestorów i handlowców. Kaminowowi i reszcie generalicji nie mieściło się w głowie, że każda kapryśna zmiana przepisów przynosi coraz gorsze i nader wymierne skutki gospodarcze. Żaden przemysłowiec nie wpakuje kapitału w kraj, którego władze podejmują decyzje ekonomiczne wyłącznie na podstawie konsultacji z kataryniarzem i małpą. Erin uważnie śledziła reakcję Rosjanki. Zależało jej na tym, by wysondować rządowe plany w kwestii Tuły z dwóch różnych przyczyn. Po pierwsze, amerykański koncern Honeywell posiadał obecnie 49 procent udziałów w zakładach i zamroził w nich wielomilionowy kapitał. Pomoc dla amerykańskich firm szukających drogi przez typowo rosyjski labirynt splecionych przepisów, intryg i ministerialnych wojen podjazdowych należała do podstawowych obowiązków Erin - jako zastępcy attache handlowego, oczywiście. Jeszcze ważniejsza była druga przyczyna. Produkowane w Tule mikroprocesory komputerowe mogły znaleźć zastosowanie zarówno cywilne jak i wojskowe. Jeżeli władze chcą przejąć zakłady, może to oznaczać, że Rosja znów przymierza się

do wyścigu zbrojeń. Rosjanka zdecydowała się zagrać w otwarte karty.

- Zapewniam panią, pani McKenna, że...

W tejże sekundzie ktoś natarczywie zapukał do drzwi.

- O co chodzi?

- Galino Ostapowna, pozwólcie na minutkę! - poprosił z drugiej strony osobisty sekretarz Rosjanki. - Nadzwyczaj pilna sprawa!

- Już idę, Witia! - Dopiero gdy wiceminister handlu podniosła się z za biurka, Erin spostrzegła jej mizerny wzrost. - Przepraszam, sekundeczkę!

- Naturalnie, proszę.

Para Rosjan wyszła, zamykając drzwi. Zostawiona samej sobie w gabinecie, Erin omiotła wzrokiem mniejsze biurko, na którym stał biurowy komputer ministerstwa. Kusiło ją, żeby przebiec wzrokiem po co bardziej utajnionych plikach danych, lecz powstrzymała się przed podobnym głupstwem. Obiecała Banichowi, że pod żadnym pozorem nie będzie się wtrącać w zadania operacyjne. Tylko za cenę takiej obietnicy Banich zgodził się, by „amatorka” - jakkolwiek utalentowana - krążyła samopas po ulicach i ministerialnych gabinetach Moskwy. Rosjanka wkrótce powróciła, dziwnie powściągliwa i najwyraźniej czymś wystraszona. - Muszę się z panią pożegnać, pani McKenna. I to natychmiast. Niestety, nie możemy dokończyć rozmowy.

Erin poczuła nieprzyjemny chłód. Czyżby zapowiadała się kolejna czystka? Może coś jeszcze gorszego? Wstała posłusznie i zagadnęła: - Może w takim razie jutro? Przelóżmy tę rozmowę na inną okazję, dobrze? - Nie wiem, czy... - Rosjanka zawiesiła głos i szeptem dodała: - Naprawdę nie wiem, czy jeszcze będzie okazja. Proszę zadzwonić w tej sprawie do mojego sekretariatu. Musiało więc chodzić o czystkę. Kaminow zabrał się najwidoczniej za porządkowanie ministerstw, oczyszczając je z reformistów i innego „chwiejnego elementu”. Erin nie przekonywał jednak ten domysł, albo nie do końca. Rosjanka rzeczywiście się bała, lecz nie bała się czegoś, tylko raczej kogoś. Konkretnie bała się właśnie jej, Erin. Wrażenie, że coś jest nie tak, spotęgowało się jeszcze, gdy McKenna wyszła z bramy Ministerstwa Handlu, by przy jednym z samochodów ambasady ujrzeć Mike'a Hennessy'ego. Erin jeździła wszędzie metrem, zwłaszcza gdy wybierała się na jakąś oficjalną rozmowę. Tak było wygodniej, szybciej, a już na pewno

dyskretniej. Hennessy zdażył już otworzyć tylne drzwiczki Lincolna i uruchomić silnik. Erin wyplątała się nareszcie z obrotowych drzwi ministerstwa i zapytała zdyszana: - Co się dzieje?

- Sam dobrze nie wiem. Alex mnie pogonił, żebym cię ściągnął z tych rozmów i wiozł prosto do ambasady.

- Pokazał, że to on tu rządzi?

- Słuchaj, on tu naprawdę rządzi - uciał Hennessy, przerzucając dźwignię automatycznej skrzyni biegów w pozycję „na przód”. Przez resztę niedługiej drogi do ambasady obydwójce milczeli. Alex przywitał Erin z ulgą i zaskoczeniem na twarzy.

- Już jesteś? Bałem się, że narobisz Mike'owi większego kłopotu - wyznał, ustępując Erin miejsca na jedynym fotelu.

- Pewnie bym mu się opierała, gdyby nie to, że jedna moja znajoma zdażyła mnie już uprzedzić... - Erin zmarszczyła brwi. - Coś się dzieje, zgadłam?

- Zgadłaś - przytaknął Banich, zadowolony, że skończyło się na strachu.

- Następna czystka?

- Nie zgadłaś. - Banich spojrział na zegarek i machnął ręką. - Zbieraj się. Pewnie dawno nie oglądałaś telewizji, akurat zapowiedzieli ciekawy program.

Bez dalszych wyjaśnień poprowadził kipiącą Erin do małej salki konferencyjnej, gdzie stał kolorowy telewizor. W połowie urwanego zdania dotarł do nich głos prezentera wiadomości na kanale CNN: ... oskarżyły rządy Francji i Niemiec o rozmyślne spowodowanie eksplozji zbiornikowca z gazem, która w ubiegłym miesiącu spustoszyła Gdańsk. Rzecznik prasowy polskiego rządu stwierdził ponadto, iż w miasteczku Wismar w północnych Niemczech zgładzono w ostatnich dniach wysłannika amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej, który badał udział wywiadów Francji i Niemiec w katastrofie „North Star”. Erin aż gwizdnęła, słysząc ostrość sformułowań. Tylko co ma piernik do wiatraka, a Wismar do zagadkowej sceny, jakiej doświadczyła w moskiewskim Ministerstwie Handlu? Odwróciła się do Banicha. - Słuchaj, ale dlaczego...

- Sama posłuchaj - uciał Banich, wskazując na telewizor.

Zapytany przez dziennikarzy zagranicznych o dowody na poparcie tych oskarżeń, polski rzecznik, pan Wiatr, wyjaśnił, iż doniesienia amerykańskiego wywiadu z Moskwy wskazują na

bezpośredni związek między francuską pomocą gospodarczą i finansową dla Rosji, a embargiem paliwowym, jakim władze w Moskwie objęły Polskę i sąsiednie kraje. Wysoko postawieni informatorzy z kręgów polskiego wywiadu potwierdzili informacje rzecznika... Piekło i sztuczna noga! Erin wiedziała, że to już nie żarty. Nic dziwnego, że Galina Ostapowna i jej sekretarz przyglądali się jej z taką podejrzliwością. Polakom udało się zdemaskować nie tylko Francuzów i Niemców. O, rany... .. że zapewne na skutek wypowiedzi rzecznika, rozwścieczony tłum zaatakował placówki dyplomatyczne Konfederacji Europejskiej w Warszawie, Krakowie i Gdańsku. Policja musiała użyć gazu łzawiącego i armatek wodnych, by ochronić konsulaty. W walkach ulicznych, jakie się wywiązały, kilkadziesiąt osób odniosło obrażenia, w tym kilka osób poważne. By przywrócić porządek publiczny, prymas Kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce wezwał do zachowania spokoju i do modlitwy za... Wzburzona Erin prawie nie patrzyła na mrożące krew sceny, jakie przepływały po ekranie. Zrobiło jej się słabo. Akurat, kiedy wszystko zaczynało się już układać, taka kraksa! Czując na sobie współczujący wzrok Banicha, odważyła się wreszcie zapytać: - I co teraz? Rosjanie mnie deportują?

- Wątpię - pokręcił głową Banich. - Jeżeli cię stąd wykopią, znów będą się musieli głowić, kto zbiera dla nas informacje. Po co mają sobie organizować dodatkową robotę? Wystarczy, że cię teraz dobrze przypilnują.

Erin zgodziła się z oceną. Rosjanie rzeczywiście woleli oswojonych szpiegów od nieznanomych. Na tym jednak nie kończyły się kłopoty. - A co z moimi informatorami? Co z nimi teraz zrobią?

I tym razem Banich niczego przed nią nie ukrywał. Bajki i pogaduszki wytaczał jedynie przeciwko wrogom swego kraju. - Normalnie, dostaną w tyłek. Ruskie psy mogą prędko odtworzyć każdy krok, jaki zrobiłaś od przyjazdu do Moskwy. Każdy, kto zamienił z tobą choćby słowo, automatycznie ląduje na liście podejrzanych, a jeżeli FSD znajdzie dowody, że przekazywał informacje, sama wiesz... ~ Banich wykrzywił usta. - Za szpiegostwo i zdradę stanu nadal mają w Rosji tylko jedną karę. Erin zakrzuszyła się łzami. Spełniał się oto najgorszy z możliwych koszmarów. Zaufano jej, ona zaś odpłaciła się zdradą.

Banich pogłaskał Erin po policzku. - Naprawdę nie twoja wina. Nic na to nie mogłaś poradzić - westchnął. - Każdy robi tak, jak mu wygodniej. Dlatego czasem dochodzi do przecieków, przypadkiem albo rozmyślnie. Albo dlatego że inaczej się nie da. Czasem też dlatego że komuś na wysokim stołku popieprzą się notatki. Nieważne, i tak za każdym razem płacą za to żywi ludzie. Banich otarł z policzka Erin jedną, jedyną łzę.

- Nic na to nie poradzisz, więc nie rób sobie wyrzutów. Erin odetchnęła z wysiłkiem. Czy Banich zdawał sobie sprawę, jaka będzie reakcja na jego słowa?

- Dobrze, ale co ja mam teraz zrobić?

Banich uśmiechnął się cierpko.

- Zejść z widoku. Jeśli się da, w ogóle nie wychodzić z ambasady.

- Ale...

- Nie masz wyjścia - uciszył ją Banich. - Federalna Służba Dochodzeniowa na razie nie dorasta do pięt KGB, ale w razie czego poprosi o przysługę tych samych oprychów. Mogą cię chcieć sprowokować albo wykorzystać, by pogrążyć kogoś ze swoich - nie wiem, na przykład jakiegoś liberała, którego Kaminow chce się pozbyć...

- Ale co z moją pracą?

- Z tym będzie większy kłopot - przytaknął Banich. - Hennessy i cała reszta, ja zresztą także, postaramy się wznowić część kontaktów, ale sama wiesz, ile możemy. Nadal masz dostęp do państwowej sieci komputerowej?

- Na razie tak. Chyba, że zmienią hasła i szyfry na wejściach - odrzekła już spokojniej Erin, próbując wziąć się w garść i zacząć planować przyszłość. - Zresztą nawet jeśli zmienią, powinno mi się udać prześliznąć do środka.

- To już coś. - Banich wstał i dużo bardziej oficjalnym tonem podsumował: - Trudno, panno McKenna, jakoś się z tego pozbieramy. Najważniejsze, że nadal możemy działać. Sprawdź od razu, które z dojsć komputerowych są nadal aktualne, i daj mi znać. Muszę zawiadomić Langley, sama rozumiesz.

- Już się do tego biorę.

Erin spojrzała w ślad za odchodzącym Banichem, znów oficjalnym i lodowato uprzejmym. Tym razem wiedziała, że to tylko pozory. Za przepracowaną mrówką z CIA krył się normalny człowiek. Człowiek, z którym się nawet dawało pogadać.

29 marca - Budapeszt

Dziesięciopiętrowy blok mieszkalny z wielkiej płyty zaprojektowano pod dyktando dawnych węgierskich władz, czyli byle jak. Nic dziwnego, że dziesiątki lat ciasnoty i zaniedbań zmieniły budynek w rodzaj pionowego slumsu. Pułkownik Zoltan Hradetsky wspiał się w półmroku schodów aż na siódme piętro, precyzyjnie przycisnął się obok rowerów przykutych do poręczy i ruszył ciasnym, okradzionym z żarówek korytarzykiem. Spękane, brudne ściany i kwaśny smród przeludnionych wnętrz, do których rzadko dociera bieżąca woda, w normalnym kraju zwiastowałyby dzielnicę nędzy, lecz w Budapeszcie mieszkała w takich warunkach ogromna większość ludności. Pułkownik przystanął przed drzwiami mieszkania 75 i obrzucił spojrzeniem korytarz. W porządku, nikt nie zerkał przez szparę w uchylonych drzwiach. Pułkownik wybrał się tutaj po cywilnemu, lecz wprawne oko potrafi zawsze rozpoznać gliniarza. Hradetsky'emu przyszła do głowy ponura myśl, że niedługo i jemu przyjdzie wyrobić sobie podobne nawyki. Kiedy Hradetsky wyszedł z gabinetu mecenasa Barthy, chciał zaraz, natychmiast działać i szukać kontaktu, lecz znalezienie człowieka, o którego mu chodziło, pochłonęło mnóstwo czasu. Mimo że Władza Kusina znało całe miasto, jego telefonu próżno było szukać w spisach, nawet tych najnowszych, a adres nie figurował w żadnym oficjalnym rejestrze meldunkowym. Nawet najbardziej znana twarz potrafi się rozpuścić pośród dwóch milionów innych - zwłaszcza z pomocą licznych przyjaciół i zwolenników. Dokładnie z tej przyczyny po dwóch tygodniach bicia głową w mur ludzkich wykrętów i tępych spojrzeń, Hradetsky postanowił zaryzykować i udać się prosto do mieszkania żony Kusina. Byłej żony, bo oficjalnie opozycjonista i jego małżonka żyli w separacji, uwikłani w skandaliczną, niekończącą się sprawę rozwodową. Hradetsky miał jednak przecucie, że cały ten rozwód i separacja stanowią zwykłą zasłonę dymną, dzięki której lokatorka mieszkania numer 75 unikała zbyt drobiazgowego nadzoru i wizyt policji. Postanowił więc sprawdzić, czy się nie pomylił. Zastukał krótko do drzwi.

- Pani Kusin?

Drzwi uchylły się natychmiast, a Hradetsky skinął głową. Miał przed sobą tę samą kobietę, którą zapamiętał ze zdjęcia w policyjnej kartotece. - To ja. Mara Kusin - usłyszał. Mara Kusin

była niska, o tęgiej figurze, i jak na matkę dwójki nastolatków wyglądała zadziwiająco młodo.

Udawać montera z gazowni nie miało żadnego sensu.

- Jestem Hradetsky. Pułkownik Zoltan Hradetsky z policji. Mara Kusin skrzywiła się i powoli skinęła głową. Widać było, że wizyta policji to dla niej nie pierwszozna.

- Mogę wejść?

Kobieta wydawała się zaskoczona tym pytaniem. Policja rzadko się fatygowała, by pukać, a co dopiero prosić o wpuszczenie.

Hradetsky zrobił dwa kroki i znalazł się w ciasnym, zaniedbanym przedpokoju. Pani Kusin stała nieruchomo i z założonymi rękami czekała na ciąg dalszy. Hradetsky zamknął za sobą drzwi. Miał nadzieję, że w ten sposób uniknie podsłuchu, przynajmniej ze strony ciekawskich sąsiadów. Pytania w rodzaju "A gdzie to się podziewa mąż" również można sobie było darować. Jeśli nawet Mara Kusin znała jego adres, nie był to jeszcze powód, by wyjawiać go pułkownikowi policji. - Przychodzę do pani, hmm... Prywatnie. Chodzi o to, że mam pilną wiadomość, bardzo ważną wiadomość dla Vlada Kusina. Muszę z nim koniecznie porozmawiać.

- Ale skąd ja mam wiedzieć, gdzie...

- Nikt nie twierdzi, że pani wie, gdzie jest mąż - uspokoił ją Hradetsky. - Proszę tylko o to, że... Gdyby się pojawił... Proszę mu to przekazać ode mnie.

Pułkownik podał Marze Kusin kopertę. W środku było streszczenie informacji, jakie przekazał Bela Silvanus i lista kilku punktów miasta, w których przez najbliższe trzy dni można było spotkać pułkownika. Kobieta wzięła kopertę do ręki, a Hradetsky poczuł, jak w szyi zaczynają mu pulsować żyły. Stało się. Teraz nie było już jak się wycofać. Z rozmowy z mecenasem Barthą dałoby się jeszcze wytłumaczyć, nałgać, że dla dobra macierzystej organizacji, zdjęty obywatelską troską... Ale jak tu się wytłumaczyć z prób kontaktu z aktywistami nielegalnej węgierskiej opozycji?

1 kwietnia - Budapeszt, Plac Bohaterów

Hradetsky rozsiadł się na parkowej ławce i mrużąc oczy udawał, że się rozkoszuje wiosennym słońcem, lecz w środku cały aż się trząsł. Trudno, nerwy. Południowa sjesta na ławeczce przed neoklasycystycznym gmachem muzeum sztuk pięknych stanowiła ostatni kontakt z listy, którą dostała Mara Kusin. Czyżby tamci

machnęli ręką, uznając Hradetsky'ego za pospolitego prowokatora? Lub może, co gorsza, wiadomość dostała się w niepowołane ręce? Oficjalny pełnomocnik Konfederacji Europejskiej, Rehling...

Rehling i jego węgierscy podwładni coraz baczniej się przyglądali poczynaniom policji. Kto wie, czy między innymi nie mają na oku nawet kogoś tak nieważnego jak Hradetsky. Pułkownik przyjrzał się spacerowiczom, zachodząc w głowę, ilu spośród ludzi na placu może się okazać aniołkami z kontrwywiadu, lecz zaraz dał spokój temu zajęciu i wzruszył ramionami. Rozbawiły go na dobrą sprawę te początki manii prześladowczej, bo też naprawdę sprawa wyglądała beznadziejnie. Korzystając z wyśmienitej pogody, na plac wylały się całe tłumy ludzi. Nawet wokół trzydziestosześcioletniej kolumny ze skrzydlatym posągami archanioła Gabriela siedziało ich dobrych kilka setek. Wybierając miejsce na spotkanie Hradetsky rozumował bardziej jak policjant niż jak konspirator. Nadal nie mógł się przyzwycząć do tego, że to nie on obserwuje teren ukrytą kamerą, lecz że przeciwnie, to jego mogą obserwować. Miał już się podnieść i ruszyć w swoją stronę, kiedy na ławkę opadł młody, potężnie zbudowany blondas z chlebakiem. Blondas otworzył pakunek, położył coś na ławce między sobą i Hradetsky'm, a potem mruknął: - Chyba pan coś zgubił, pułkowniku.

Hradetsky spojrział w tamtą stronę i przekonał się, że na ławce leży ta sama szara koperta, którą wręczył żonie Kusina. -

Rzeczywiście, moja - zauważył, chowając znalezisko.

- No, to świetnie - ucieszył się blondas i znów otworzył chlebak.

- Może jabłuszko? Pochrupiemy, porozmawiamy sobie... Hradetsky nadgryzł jabłko i cierpliwie słuchał serii trudnych pytań.

Blondas chciał koniecznie wiedzieć, co Hradetsky robił w policji za czasów Kadara, co podczas przełomu, a co w następnych latach.

Czym się zajmuje obecnie? A tak w ogóle, to do czego mu potrzebny Vlad Kusin? W oczach przechodniów para na ławce gawędziła sobie niewymuszenie, ucieszona widać wiosenną aurą i obfitością jabłek

- rzadkich w epoce wymarżniętych sadów. Pułkownik nie miał jednak złudzeń co do celu „pogawędki”. Tamci sprawdzali go i przeświecali. W porządku, byle by go dopuścili do Kusina.

Hradetsky sam przesłuchiwał już w życiu parę osób, więc dokładnie wiedział, do czego zmierza blondas. Rozmówca okazał się inteligentny i zupełnie niełatwowierny. Jedyłą radą było

odpowiadać na jego pytania natychmiast i bez wykrętów.

Przesłuchujący samym sposobem zadawania pytań pozwalają często się rozszyfrować, lecz tym razem nie było o tym mowy Blondas pytał krótko i konkretnie, nie dając Hradetsky'emu najmniejszego wglądu w charakter i plany swojej grupy. Po fryzurze i wyglądzie, a także po niektórych zwrotach można się było jednak domyślić, że blondas musiał służyć w wojsku, może nawet jako oficer? Blondas nagłym ruchem sięgnął po chlebak i wstał, oświadczając: - Na razie tyle. Muszę się porozumieć, z kim trzeba.

Hradetsky także wstał. Ruszyli spacerkiem w stronę pobliskiej stacji metra, znikając w ulicznym tłumie. Hradetsky także chętnie zadałby kilka pytań, ale wiedział, że na razie może sobie to wybić z głowy. Spróbował z innej beczki: - Proszę powtórzyć Kusi...

Blondas spojrział nań ostro, ukrócając pytanie.

- W takim razie - spróbował znów Hradetsky - proszę powtórzyć komu trzeba, że zostało bardzo mało czasu.

Blondas wykrzywił się pogardliwie.

- To samo powtarzamy nie od dziś takim jak pan - warknął, lecz rozchmurzył się zaraz i ciągnął innym tonem: - Jeżeli jest pan faktycznie tym, za kogo się pan podaje, pułkowniku, może się pan bardzo przydać. Tyle że same dobre chęci nie wystarczą. Trzeba konkretnie.

Mówiąc to, podał Hradetsky'emu kartkę z czyimś nazwiskiem. - Musi pan znaleźć w policyjnej kartotece teczkę tej osoby i skopiować.

Spotkanie za dwa dni w barku Central. W południe, tak jak dzisiaj. Ma pan przecież wtedy jakąś przerwę? Dwa dni to dosyć? Hradetsky mruknął, że tak, choć wcale go nie zachwyciła nowa perspektywa. - Świetnie. - Blondas przystanął i obrzucił wzrokiem rzędy ludzi wylewające się z ruchomych schodów stacji. - A na przyszłość proszę ostrożniej. Włokłem się za panem od samego ministerstwa jak pies za suką, a pan nic. Dobrze, że to byłem ja, a nie ktoś inny.

Hradetsky spurpurowiał na tę uwagę, lecz tylko przytaknął.

Młodemu człowiekowi brakowało może manier, ale na pewno nie rozsądku. Kiedy się żyje i działa poza prawem, trzeba się nauczyć tego i owego. Dwa dni później Hradetsky znalazł miejsce przy stoliku w zatłoczonej kawiarni i zamówił filiżankę espresso.

Łokciem lewej ręki przyciskał do blatu tę samą szarą kopertę, co przedtem, lecz. z inną zawartością. Sam dziwił się, że tak łatwo udało się skopiować zawartość tajnej teczki. Przepracowani archiwiści i zerowy system zabezpieczeń w obrębie komendy policji znacznie ułatwiły zadanie, nie mówiąc już o tym, że etatowi funkcjonariusze jak Hradetsky mieli wolny dostęp do rozmaitych dokumentów. Chodziło tylko o to, by zajrzeć do archiwum bez zwracania na siebie uwagi i bez zostawiania pisemnych śladów wizyty.

Zgoda, znalazł teczkę, odbił zawartość na kopiarce, przyniósł. Nie wiedział natomiast, dlaczego ludziom Kusina tak zależało akurat na tym, a nie innym nazwisku. Człowiek, dla którego policja założyła teczkę, działał w demokratycznej opozycji od bardzo dawna, jeszcze za komunistów. Teraz również był zamieszany w demonstracje przeciwko radzie wojskowej. Może grupa chciała sprawdzić, jak dokładnie policja obserwuje opozycję? A może tamci znali już zawartość teczki z innego źródła i chcieli się przekonać czy Hradetsky nie przynosi im fałszywki? Jedno nie ulegało wątpliwości: podejmując się zadania, pułkownik miał udowodnić, że ma dobre chęci i że umie się sprawdzić. Dobre chęci i tak dalej - dla Kusina i jego ludzi liczyły się konkretne fakty. Fałszywa teczka oznaczałaby, że Hradetsky"ego podstawiła policja. Gdyby zaś ktoś na policji przyuważył machinacje z teczką, znaczyłoby to, że Hradetsky po prostu się nie nadaje, do widzenia, panu już dziękujemy. Hradetsky zaczął się wiercić na krzeselku. Źle się czuł w roli podwójnego agenta. Przez całe życie był gliną. Łapał złodziei, wlepił mandaty, pilnował prawa i porządku. Do głowy by mu nie przyszło, że tak łatwo znaleźć się po drugiej stronie - co z tego, że dla słusznej sprawy? Z drugiej strony prywatne odczucia nie miały nic do rzeczy. Hradetsky przysięgał służyć Węgrom, a nie władzy, wszystko jedno, cywilnej czy wojskowej. W rocie przysięgi nie było ani słowa o generałach na francuskim i niemieckim żołdzie. Popędzić tych durni nie będzie łatwo, ale siedzieć i biernie czekać, co dalej, też nie wypada... Ten sam blondas, co wtedy, przysiadł się na wolne krzesło i spytał przyjacielskim głosem: - Szanowanie, pułkowniku. Przyniosło się?

Hradetsky przesunął kopertę po blacie. Blondas pobieżnie sprawdził zawartość i bez słowa oddał kopertę pułkownikowi. -No,

to w drogę.

Hradetsky wyszedł w ślad za blondasem z kawiarni i ruszył okreśną trasą przez zatłoczone ulice centrum. Zatrzymali się dopiero przed niewielką, starą kamienicą przy jednej z lepszych ulic Budapesztu. Z tylnego podwórka weszli na klatkę schodową, wspięli się na wyższe piętro i zatrzymali przed drzwiami, na których nie było numeru ani wizytówki. Blondas jeszcze raz sprawdził schody i zastukał trzy razy, a potem popchnął pułkownika w otwarte drzwi.

W eleganckim, staroświeckim wnętrzu zastali dwóch mężczyzn. Starszy spośród nich wstał na widok gości i przedstawił się pułkownikowi. - Vlad Kusin.

Hradetsky zdziwił się bardzo, bo Kusin okazał się przeraźliwie blady i chudy, prawie anemiczny. Ubrany był byle jak, co tu gadać, ubogo. Choć dobiegał sześćdziesiątki, wyglądał dziesięć lat starzej i był zupełnie siwy. Rok w celi z pewnością nie poprawił mu cery. W latach po obaleniu komunistów, przed puczem, Kusina wybrano na przewodniczącego rady w jednej z dzielnic Budapesztu. Wojskowy Rząd Ocalenia Narodowego zdelegalizował radę, a Kusina wsadził do paki pod zarzutem „agitacji”, cokolwiek oznaczało to słowo. Pułkownik wiedział skądinąd, że mianem agitatorów określano wszystkich, którzy odważali się głośno powiedzieć, co myślą o nadzwyczajnych dekretach nowej władzy. Kusin był może krasomówcą w rozmowach z zachodnimi dziennikarzami, lecz najwidoczniej dał się przegadać prokuraturze wojskowej, która wsadziła go na sześć miesięcy do więzienia i uwolniła dopiero, gdy Kusin stracił wszystkich zwolenników i rozchorował się, a zatem przestał stanowić zagrożenie.

Prokuratura mocno się omyliła w tych rachubach. Więzienie i choroba niczego widać nie nauczyły Kusina, który zaczął z ukrycia publikować i przemycać w świat raporty o przestrzeganiu praw człowieka, o niemieckim i francuskim interwencjonizmie politycznym i gospodarczym, a także o mnóstwie innych spraw. Hradetsky słyszał o tej działalności i właśnie dlatego postanowił nawiązać z Kusinem kontakt. Podczas miesięcy, jakie upłynęły od wstąpienia przez Węgry do Konfederacji Europejskiej, Kusin zmienił ton i oprócz obiektywnych raportów zaczął rozpowszechniać ulotki. Wzywał w nich do zniesienia stanu wyjątkowego i do wystąpienia z Konfederacji. Nie były to może odkrywczyste pomysły,

ale na pewno czyniły z Kusina kogoś w rodzaju przywódcy całej krajowej opozycji. - Bez przygód? - zwrócił się Kusin do blondasa, który przy prowadził pułkownika.

- Nie, spokój. Wygląda, że na razie cisza. Chłopcy mają na wszystko oko, więc w razie czego...

Kusin spostrzegł zdziwienie na twarzy pułkownika i wyjaśnił: - Oskar Kiraly trochę mnie pilnuje, pułkowniku. On, i jeszcze paru jego znajomych.

Po prostu. Policjant baczniej się przyjrzał nowemu znajomemu. Przyjaciół Kusina był tutaj szefem ochrony. Być może Hradetsky nie docenił w pierwszej chwili talentów organizacyjnych tych ludzi? Starszy pan poprosił, by przeszli do sąsiedniego pokoju - ni to sypialni, ni to gabinetu pełnego książek i papierzysk.

Usiedli we dwóch na fotelach, a Kiraly przystanął przy drzwiach.

- Niech pan z łaski swojej jeszcze raz pokaże to, o co prosił Oskar.

Hradetsky znów wyciągnął przed siebie szarą kopertę i drugą paczuszkę, z dokumentami od Beli Silvanusa. Patrząc, jak Kusin przegląda kserokopie, nie wytrzymał i zapytał: - Tylko skąd pan wie, że to nie fałszywka?

- Mam nadzieję, że nie, bo inaczej nasza znajomość będzie krótka - ostrzegł Kusin, przenosząc wzrok na Kirarego. Pułkownik poczuł łaskotanie między łopatkami, lecz zmusił się do spokoju. Trudno, skoro już się w to wpakował, trzeba brnąć dalej. Starszy pan przejrzał stronicę kserokopii, a potem rozerwał drugą paczkę dokumentów. Na widok papierów Silvanusa podniósł białe krzaczaste brwi i zauważył: - Fascynujące, pułkowniku. Zaraz widać, że świetnie się pan nadaje na szpiega.

Hradetsky musiał zrobić bardzo dziwną minę, bo Kusin dodał pospiesznie: - Nie to, że chcemy z pana zrobić szpiega, o nie.

Najpierw sam musi nam pan powiedzieć, z czym pan przychodzi. Dlaczego mnie pan szukał? - Kusin przerzucił listę przesunięć i dymisji. - Po to, żeby mi pokazać garść plotek? A może ma pan ważniejszą sprawę?

Hradetsky westchnął, wiedząc, że nadeszła chwila szczerości. Nie było rady: z reformisty musiał na chwilę stać się rewolucjonistą.

- Na początku chodziło mi zwyczajnie o to, co wyrabia z policją ten cały Rehling. Przecież to chore pomysły! Ale teraz widzę, że nie o niego chodzi. Żeby w ogóle coś zmienić, trzeba najpierw

zmienić rząd.

- Właśnie! - przytaknął Kusin i perorował prędko: - Rehling i jemu podobni to głupstwo, zgoda, ale zarazem są oni oznaką choroby, jaka draży kraj. Samowładcy Niemiec i Francji przysyłają nam tutaj takich ludzi, bo nasi generałowie uważają, że bez doradców EuroConu nie utrzymają się przy władzy. Wojskowe myślenie. Generałowie nie wiedzą albo nie chcą wiedzieć, że chwilowi sojusznicy mogą stać się panami, a oni niewolnikami. Nie tylko oni, my wszyscy także.

- Rozumiem, rozumiem - wtrącił Hradetsky, z trudem powściągnąwszy zniecierpliwienie. Z elokwentnego Kusina wyszedł nagle polityk. Polityk, to znaczy gaduła. - Tylko co możemy na to poradzić? - Oprócz rozrzucania ulotek, ma się rozumieć? - Starszy pan roześmiał się z cicha. - Nie tylko pan tak myśli, pułkowniku. Sam znam wielu takich, którzy zgodzili się na rządy wojskowych, a teraz boją się wpływów Konfederacji. Naszym zadaniem jest pozyskać wszystkich niezadowolonych. Rozszerzymy organizację. Byłoby wspaniale, gdyby udało się nawiązać współpracę z niektórymi policjantami z tej pańskiej listy. A jeśli Francuzi i Niemcy zaczną na nas naciskać, będziemy walczyć - dodał Kusin nieoczekiwanie zaciętym głosem.

Hradetsky upewnił się, że Kusin nie żartuje. Sam zresztą także poczuł dreszcz. Chciał walczyć, a przynajmniej nie siedzieć zamknięty całymi dniami w pakamerze ministerstwa. - No, więc jaka będzie moja rola?

- Pan potrafi dowodzić ludźmi, pułkowniku. Dowodzić, a także kierować tłumem. Takie umiejętności niedługo bardzo nam się mogą przydać. - Kusin nachylił się bliżej. - Co pan powie na małą manifestację? Weźmiemy dziesięć tysięcy ludzi i pójdziemy na parlament z żądaniami reform. Co? Pan pomoże zorganizować pochód. Kusin wyprostował się w fotelu i chłodnym wzrokiem zapatrzył się wścianę gdzieś nad głową Hradetsky'ego. - I co dalej?

- Dalej? - Kusin uśmiechnął się niewesoło. - Cóż, zobaczymy, jak daleko mogą się posunąć ci debile z Paryża i Berlina.

5 kwietnia - Waszyngton, sala sztabowa Narodowej Rady Bezpieczeństwa w Białym Domu

Wiadomości z Europy nie napawały otuchą. Przeciwnie.

- Jest więc jasne, panie prezydencie, że Niemcy i Francuzi nadal koncentrują wojska nad granicą Polski i Czech. Są nawet

powody, by przypuszczać, że przyspieszyli te działania. Cały pas nadgraniczny powoli zmienia się w beczkę prochu - ciągnął szef połączonych sztabów, generał Reid Galloway z podwyższenia obok ściennego ekranu wideo. Fakt, że raport składał osobiście dowódca całości amerykańskich sił zbrojnych, podkreślał powagę sytuacji za Atlantykiem. Że to nie żarty można się było również zorientować po zmęczeniu i trosce na tak zwykle wesołej i pogodnej twarzy prezydenta.

Ross Huntington w pełni podzielał pogrzebowy nastrój generała. Mszcząc się za zorganizowane przez Francuzów embargo paliwowe i wysadzenie „North Star” Polska, Czechy i Słowacja zerwały stosunki dyplomatyczne z Konfederacją Europejską. Wobec uporczywości Francuzów, którzy odmówili jakiegokolwiek pomocy w śledztwie po katastrofie, również Wielka Brytania i Norwegia czasowo odwołały z Paryża swoich ambasadorów - na „konsultacje”, jak się to określa w języku dyplomacji. Opinia publiczna w samych Stanach Zjednoczonych uznała to za znakomity pomysł i zaczęła naciskać na Waszyngton, by postąpił podobnie. Kryzys gospodarczy przerodził się więc w polityczny, a ten lada chwila mógł zmienić się w otwartą wojnę. Huntington kilkakrotnie zacisnął i otworzył lewą dłoń, w nadziei, że w ten sposób uda mu się rozładować ból głęboko pod mostkiem. Galloway tymczasem pokazał na ekranie serię zdjęć, zakreślając specjalnym wskaźnikiem najważniejsze fragmenty kolejnych obrazów. Niektóre zdjęcia satelitarne przedstawiały rzędy odrzutowców bojowych, zaparkowanych na pasach przed bunkrami. Na innych dało się rozpoznać w szarym polu opodal niemieckich wsi i miasteczek kolejne rzędy czołgów i transporterów opancerzonych. - Z rozpoznania fotograficznego jasno wynika, że EuroCon przerzuca poważne siły powietrzne i lądowe do nowych baz we wschodniej części Niemiec. Istotny jest fakt, że zupełnie nie próbują maskować tych przemieszczeń. - A czy to w ogóle możliwe przy tej skali? - rzucił ze swego fotela prezydent.

- Oczywiście! - pospieszył z odpowiedzią Galloway. - Sztaby EuroConu znają ze szczegółami orbity wszystkich naszych satelitów rozpoznawczych. Gdyby tylko chcieli, mogliby przerzucać sprzęt w godzinach, kiedy mamy pustkę na ekranach, a potem maskować sprzęt, chować między budynkami i tak dalej. Jasne, że trochę byśmy wtedy wykryli, ale na pewno nie wszystko, no i nie tak

prędko.

- Zatem waszym zdaniem rzecz wygląda na manewr polityczny, tak? Chcą w ten sposób nacisnąć na Polaków i Czechów, ale nie, żeby zaraz szykowali się do wojny?

- Dokładnie tak, panie prezydencie. - Szef połączonych sztabów wyłączył monitor i rozjaśnił lampy pod sufitem. - Co nie znaczy, że nasi sojusznicy będą chcieli ryzykować. Nie mają innego wyjścia, jak tylko rozmieścić na granicach własne siły. Zwłaszcza Polacy. Wprawdzie nadal nie wiedzą, jak się potoczą sprawy z Rosją, ale na razie bardziej martwi ich EuroCon. Dotychczas rozmieścili przy granicy z Niemcami cztery z dziewięciu czynnych dywizji, jakie teraz mają. Dwie dalsze trzymają w odwodzie. Dzisiaj rano dzwoniłem do ich ministra obrony, do generała Starania. Przekazał mi, że ich prezydent zamierza wzmocnić do pełnego stanu jedną z ich dywizji rezerwowych na wschodzie. Podobnie chcą u siebie zrobić Czesi i Słowacy. Huntington poczuł jeszcze ciaśniejszy ucisk wokół żeber. Niedobrze, niedobrze. Same koszty powołania rezerwistów... Fakt, że aż dwa państwa Europy Wschodniej zdecydowały się na to, mając i bez tego poważne trudności gospodarcze oznaczał, że kończą się żarty. Galloway również pełen był najczarniejszych przeczuć.

- Kiedy naprzeciwko siebie stają dziesiątki tysięcy żołnierzy z ostrą amunicją, a samoloty obu stron omal nie wpadają na siebie w trakcie patroli, wystarczy byle drobiazg, żeby się zaczęło. Byle drobiazg!

- Nieźle - skwitował tę ocenę prezydent i okręcił się w stronę Harrisa Thurmana.

- Jakież nowiny z cichego frontu? Jak tam twoi dyplomaci? - Żadnych nowin - stwierdził przepraszającym tonem sekretarz stanu.

- Ani jedna ze stron nawet nie drgnęła, nic.

- Dobra, zacznijmy w takim razie myśleć. Wszyscy! Czekam na pomysły. Jakie właściwie mamy opcje? - Prezydent postukał w blat długopisem. - No, słucham? Co mi proponuje armia, co dyplomaci? Sekretarz obrony namyślał się przez chwilę.

- Szef połączonych sztabów, tak samo jak ja, uważa, że musimy jeszcze bardziej zwiększyć pomoc wojskową dla Polski i pozostałej dwójki. Mamy w zapasach trochę sprzętu, można by im...

- Co, podesłać jeszcze więcej czołgów? - Thurman osłupiał. - Generał Galloway ma rację: cały obszar nadgraniczny to jeden

obóz warowny. Co to zmieni, że pošemy tam wiêcej broni?

- Same czołgi to jeszcze za mało, żeby wywołać wojnę, panie prezydencie. Ważniejsze są zamiary, no i to, jak je widzą inni. - Lucier nie spuszczał wzroku z prezydenta.

Huntington pokiwał głową sam do siebie. Niziutki, przygarbiony sekretarz obrony miał chyba rację. Spece od kontroli zbrojeń woleli zawsze trzymać się liczby sprzętu, osiągow, danych technicznych. W myśl takiej logiki ogromny program zbrojeń w hitlerowskich Niemczech i aliancka rozbudowa sił zbrojnych, jaka potem nastąpiła, jednakowo destabilizowały sytuację w przedwojennej Europie. - Jest jasne, że EuroCon uważa Polskę i Czechy za przeciwnika słabego militarnie, a co za tym idzie, podatnego na argument siły. Oba kraje doskonale zdają sobie sprawę, ile warta jest ich przestarzała broń. Żeby chociaż trochę wyrównać rachunek

sił, wprowadzają więc u siebie coraz ostrzejsze pogotowie bojowe.

Normalne, że kiedy druga strona ma przewagę, rzuca się na pierwszą linię wszystkie czołgi, samoloty i ludzi. Lucier spojrział na sekretarza stanu zza grubych szkieł okularów w rogowej oprawie. - Sam wiesz, Harris, że jeśli tamci uznają Polskę za słabego przeciwnika, kryzys się tylko zaostrzy. Co innego, jeśli na siłę odpowie się siłą. Dlatego powinniśmy zwiększyć pomoc wojskową, z dwóch przyczyn. Po pierwsze, pokażemy przywódcom

Konfederacji, że nie daliśmy się zastraszyć, a po drugie, ostatecznie przekonamy do siebie Polaków i Czechów. Jeżeli będą mieli pewność, że im pomożemy, o ile w razie czego przetrzymają pierwszy napór EuroConu, odsuną swoje siły od granicy i obniżą pogotowie bojowe. I spokój.

Wszyscy zamilkli na te słowa, a prezydent zmarszczył nos, nie bardzo wiedząc, który kurs okaże się lepszy. Przebiegł wzrokiem po twarzach wokół stołu i zapytał: - A jak zareaguje EuroCon, jeżeli zatwierdzę tę dodatkową pomoc?

- Paryż i Berlin szlag trafi - odrzekł niezbyt entuzjastycznym tonem Thurman. - Wiadomo, dla nich cała Europa Wschodnia to na dobrą sprawę własne podwórko. Każdą dostawę broni uznają za kolejną prowokację.

Prezydent pokiwał głową i znów rozejrzał się po twarzach wokół stołu. - Zgoda, Harris, ale jak się w tym daleko posuną, co?

Przyjmując najbardziej pesymistyczny wariant... Czy Konfederacja zechce ryzykować konfrontacją zbrojną? O to pytam!

- Mało prawdopodobne, panie prezydencie - wtrącił Galloway. - Im chodzi tylko o to, żeby zastraszyć Polaków i spółkę, nie o to, żeby się łądować w otwartą wojnę z USA.

- Nie myślcie sobie czasem, że EuroCon weźmie ogon pod siebie - przestrzegł Huntington. - Francji i Niemcom za bardzo zależy na tym, żeby wessać Polskę i Czechy. Tak łatwo nie ustąpią. Podniosą wrzask, zasypią nas protestami... Obawiam się, że mogą ponowić zamachy. Nie wiem, może znów wymierzą je w Polaków, a może i w nas.

Prezydent i pozostali członkowie Narodowej Rady Bezpieczeństwa zgodzili się z taką oceną. Choć nadal brakowało na to konkretnych dowodów, nikt spośród obecnych nie miał złudzeń co do tego, kto spowodował wybuch gazowca w Gdańsku i kto zgładził amerykańskiego agenta. Nowe akty sabotażu ze strony EuroConu narzucały się same jako perspektywa.

- Co ty na to, Walt? - zwrócił się prezydent do dyrektora CIA. - Sprawa wydaje mi się w sam raz dla twoich brygad antyterrorystycznych, co? Dacie sobie z tym radę?

- Jasne - uspokoił prezydenta Quinn. - Nie trzeba mi powtarzać, że idealnie szczelna ochrona to bajki, ale zaznaczam, że odkąd znamy przeciwnika, jest nam dużo łatwiej walczyć z takimi pomysłami.

- Racja. Mówiłem już, że wyślemy ze zbiornikowcami eskortę okrętów wojennych - poparł Quinna Galloway, który z błyskiem w oku dorzucił: - Ale nie mówiłem, że chcemy na każdy zbiornikowiec czy frachtowiec idący na Bałtyk wsadzić specjalną grupę z Delta Force i grupę pływonurków z szóstego oddziału SEAL Z taką obstawą gwarantuję, że wyślemy wpływ do nieba każdego skurwysyna, który znów spróbuje podłożyć jakąś minę pod kadłub.

Huntington zauważył, że prezydent tym razem prawie nie słuchał pomocników. Miał powody, by nie podzielać ich optymizmu, lecz z drugiej strony musiał coś postanowić. Bierność mogła tutaj przynieść przypadkową wojnę na obsadzonej wojskami granicy albo coś jeszcze gorszego: kres amerykańskich wpływów w całej Europie, zdominowanej przez francusko-niemiecką koalicję. Prezydent podniósł wreszcie głowę.

- Dobrze. Wyślijmy im ten sprzęt, ile tylko trzeba, albo i

więcej. Uwagi? Komentarze?

- Tak, ja mam uwagę - ożywił się Thurman, który nie zamierzał tak łatwo oddać inicjatywy. - Może przynajmniej, zanim wyślemy to żelastwo do Polski, upewnimy się, że reszta Europy dobrze rozumie nasze intencje! Duże dostawy uzbrojenia, i to nagle... Europa gotowa się wystraszyć. Bóg wie, jak zareagują, jeżeli ich nie uprzedzimy. Czy warto ryzykować?

- Zgoda. Jak mamy ich uprzedzić?

- No, właśnie... - Sekretarz stanu kręcił w palcach fajkę, nie bardzo wiedząc, jak zacząć. - Najlepiej byłoby wydać publiczne oświadczenie. Albo, powiedzmy, porozmawiać z francuskim ambasadorem. W końcu to on reprezentuje tutaj interesy EuroConu.

- Nic z tego - uciał prezydent i zmrużył oczy. - Nie mogę się spotykać z kimś, kto reprezentuje terrorystów. Nie po tym, jak EuroCon zamordował amerykańskich obywateli i wysadził amerykański statek.

Wśród dyskutantów podniósł się pomruk aprobaty. Może w takim razie sami wyślijmy ambasadora do... - Żadnych oficjalnych kontaktów na wysokim szczeblu, Harris

- przypomniał prezydent. - Nie zapominaj, że ci sami ludzie wydali nam normalną, skrytą wojnę. - To jak się dogadamy z EuroConem?

- Jak? Nieoficjalnie. Od podwórka, Harris, albo kuchennymi schodami, jak wolisz.

Widok poirytowanej twarzy Thurmana ostatecznie utwierdził Huntingtona we wcześniejszych domysłach. Napuszony zwierzchnik Departamentu Stanu myślał cały czas głównie o swojej pozycji wśród członków gabinetu i pośród waszyngtońskich elit, a skuteczną politykę miał na dobrą sprawę gdzieś. Ale zaraz... Jeżeli prezydent nie chciał skorzystać z kanałów dyplomatycznych, mógł się uciec tylko do jednego sposobu... Do jednego wysłannika. Huntington wyprostował się, wiedząc z góry, co usłyszy od prezydenta. Miał tylko nadzieję, że inni nie zauważą, jak bardzo jest skonany. - Podjąłbyś się tego, Ross?

- Tak. Co tam, mogę się jeszcze raz przelecieć!

10 kwietnia - Polska, poligon 5. Dywizji Zmechanizowanej pod Cajcem Generał dywizji, Jerzy Nowaczuk, zdążył już dobrze zdrętwieć w okopie obserwacyjnym. Zaslaniając się dłonią przed pierwszym blaskiem słońca nad horyzontem, patrzył na wschód, w

kierunku skraju lasu nad samą niemiecką granicą. Siłą powstrzymał się od kolejnego spojrzenia na zegarek. O świcie zawsze najtrudniej skoordynować ćwiczące oddziały. Opieprzać sztabowców nie miało jednak sensu - krzyk mógł tu niewiele pomóc, a po co niepotrzebnie deprymować ludzi? Stado ptaków, spłoszonych nagłym hałasem w gęstwinie, z furkotem skrzydeł wyskoczyło ponad korony drzew. A więc to już! W poświęście turbin z lasu wytoczyło się czternaście czołgów M1 Abrams i równym szeregiem ruszyło z pełną szybkością przez pole. Za nimi z klekoczących gąsienic tryskały w powietrze fontanny błota. Nawet z tej odległości Nowaczuk mógł rozróżnić głowy dowódców we włazach niskich, kanciastych wież. Ucieszyło go, że zamiast cisnąć się w środku, dowódcy maszyn wystawiają się na ogień snajperów i odłamki, przepatrując teren ataku. Tak łatwo ulec pokusie, by schować się w kryjówce pod bezpiecznym pancernem... Generał wiedział, jak groźne bywają takie pokusy. Z zaryglowanymi włazami załoga jest wewnątrz czołgu głucha i ślepa, zwłaszcza podczas przemarszu przez las. Nie ma zaś łatwiejszego celu niż oślepiiony czołg.

Kiedy czternastka M1 przekraczała skraj lasu, jeden ze sztabowców Nowaczuka krzyknął do mikrofonu radiostacji: - Postaw cele! Pół kilometra przed linią szarżujących czołgów wyrosło z ziemi kilka rzędów drewnianych tarcz. Niektóre z celów przedstawiały sylwetki Leopardów 2, inne przypominały bojowe wozy piechoty Marder. Jak większość polskich oficerów, generał nie bawił się w określenia typu „prawdopodobny czołg przypuszczalnego przeciwnika”. Żołnierze i tak wiedzieli, do kogo w razie potrzeby będą strzelać. Cele podnosiły się jeszcze, gdy drgnęły pierwsze lufy. Wieże pędzących czołgów zaczęły się obracać w prawo i w lewo, nakierowując armaty kalibru 105 mm na tarcze. Cała czternastka czołgów wykrciła łukiem na północ, nie zwalniając prędkości, która dochodziła już do 60 kilometrów na godzinę. Trzasnął pierwszy strzał. M1, który go oddał, zniknął na sekundę w chmurze dymu z własnej armaty i poprzez opar skoczył naprzód. Strzelały teraz wszystkie czołgi, ładując pocisk za pociskiem w majaczące w przodzie cele. Salwa zakończyła się zanim jeszcze nad poligonem umilkło echo pierwszego wystrzału. Szereg M1 powtórnie zmienił kurs, odchodząc na zachód. Nowaczuk podniósł do oczu lornetkę i zaczął przepatrywać strzelnicę. Wynik był fantastyczny: wszystkie drewniane cele zniknęły, wgniecione

pociskami w zrytą od eksplozji ziemię. - Panie generale, melduję koniec ćwiczenia!

- Widzę, Heniu, widzę! - Nowaczuk uśmiechnął się do młodego oficera odpowiedzialnego za strzelanie i zupełnie bez przekąsu dorzucił: - Ładnie, ładnie!

Było się z czego cieszyć. System prowadzenia ognia w amerykańskich M1 stawiał te czołgi o całe lata świetlne przed starymi T-72 i T-55, w które wyposażona była reszta dywizji. Niestety, 5. Zmechanizowana (dawna 5. Saska Dywizja Pancerna z Gubina) miała na stanie zaledwie garść amerykańskich wozów bojowych, w sam raz dla jednego, nie dla pięciu batalionów pancernych, jakie posiadała po reorganizacji. Chodziły słuchy, że Amerykanie mają wkrótce przysłać więcej sprzętu, lecz Nowaczuk specjalnie się nie łudził, że tak będzie. Gdyby przez przypadek albo i nie przez przypadek wybuchła tego roku wojna, dywizja musiałaby posłać w pole bataliony rozmaicie uzbrojone i szkolone według dwóch różnych systemów taktycznych. - i co pan powie, majorze? - zwrócił się Nowaczuk do niziutkiego, czarnowłosego mężczyzny w mundurze amerykańskiego majora.

Major Bili Takei podczas półrocznej służby w Polsce przyswoił sobie miejscowy język na tyle, by spokojnie odpowiedzieć: - Dobry pokaz, panie generale. Uczą się i uczą. Aż sam nie nadążam uczyć.

- No, to dobrze - Nowaczuk przyjrzał się... Amerykaninowi? Japończykowi? Majorowi Takei, zdecydował wreszcie. Instruktor wyłaził ze skóry, żeby dobrze wyszkolić sztabowców i samych czołgistów. Widać i on wierzył, że kiedyś, być może bardzo niedługo, sprzęt i wyszkolenie mogą się bardzo, ale to bardzo przydać.

Plakietka „Hell on Wheels” na rękawie munduru majora oznaczała, że Amerykanin na codzień służy w „Ruchomym Piekło”, tej samej słynnej dywizji pancerniej, która wzięła nader czynny udział w operacji „Pustynna Burza”. Ilekroć Takei się uśmiechał, prawy policzek wykrzywiał mu się dziwnie, w miejscu, gdzie tkanekę przecinała cienka blizna, ciągnąca się od szyi aż pod samo oko. Trochę nieswojo było wydawać rozkazy komuś, kto rzeczywiście walczył na wojnie, nie tylko dowodził czołgami na poligonach. Takich Amerykanów jak Takei było w polskich wojskach lądowych i lotnictwie coraz więcej. Wszyscy mieli ten sam kłopot: w jaki

sposób połączyć amerykańską taktykę i sprzęt ze starszym uzbrojeniem oraz zasadami radzieckimi, pozostałością dawnych czasów, tak aby jak najlepiej dostosować całość do specyficznych polskich warunków. W otoczeniu stadka sztabowców i obserwatorów z okręgu, Nowaczuk i Takei ruszyli przez błotniste, rozryte czołgowisko w stronę kolumny zaparkowanych UAZów i Hummerów. Wyciągając podeszwy z lepkiej mazi, Nowaczuk nadal się zastanawiał czy w ogóle można porównywać wojnę Takeiego, czas piaskowych burz, błyskawicznych manewrów oskrzydających i płonącej ropy, z kampanią, jaką być może przyjdzie toczyć wśród zielonego, ciasnego, miękkiego pejzażu Niziny Północnoeuropejskiej. Na pustyni było jednak łatwiej. Wojna tutaj musiałaby się okazać o wiele bardziej wyczerpująca i krwawa. Zwłaszcza krwawa

14

O mały włos

15 kwietnia - główne wiadomości sieci telewizyjnej CNN

W skrócie popołudniowych wiadomości z sieci CNN dominowały oczywiście doniesienia z Europy. Dając wyraz niezadowoleniu wobec planów Waszyngtonu na temat nowych dostaw broni do Polski i Czech, niedawno zawiązany główny sekretariat nowej Konfederacji Europejskiej wystosował bardzo ostre oświadczenie na ten temat na pospiesznie zwołanej konferencji prasowej. Obraz przeniósł się z biurka prezentera CNN w Atlancie na migawkę nakręconą niewiele godzin wcześniej przed francuskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Pod osłoną parasoli, chroniących obecnych przed wiosenną ulewą, nie wymieniony z nazwiska urzędnik ministerstwa odczytywał po francusku komunikat. Głos o brytyjskim akcencie tłumaczył płomienny tekst na użytek telewidzów z USA. Konfederacja stanowczo potępia władze w Waszyngtonie za ich najnowsze cyniczne próby wtrącania się w wewnętrzne sprawy Europy. W okresie narastającego napięcia międzynarodowego, za szaleństwo należy uznać nowe dostawy broni do najbardziej przezbrojonego rejonu świata. Jeśli pożałowania godna polityka konfrontacji przyniesie tragiczne skutki w postaci ogólnego wybuchu, Stany Zjednoczone będą mogły winić tylko siebie. To one bowiem dostarczyły Europie Wschodniej lont i zapalki... W telewizorach pokazano z kolei lotnisko wojskowe - w „północnych Niemczech”, jak informował napis na ekranie. Widać było załogi,

uwijające się wokół kilku samolotów pokrytych kamuflażem. W tle kołowały po pasie następne odrzutowce, a terenu przy ogrodzeniu z drutu kolczastego strzegły wojskowe patrole z psami.

Dziennikarz komentujący tę scenę spoza kadru informował: Konfederacyjny sekretariat do spraw obrony poszedł dalej niż europejscy dyplomaci. CNN dowiedziało się z poufnych źródeł, że Konfederacja postawiła swoje jednostki lotnicze w stan ostrego pogotowia. Wysoki funkcjonariusz sekretariatu określił to posunięcie jako „rozsądny krok zapobiegawczy”, motywując je dużą ilością amerykańskich okrętów wojennych u północnych wybrzeży Niemiec.

24 kwietnia - na pokładzie USS „Leyte Gulf, Morze Północne Osiem jednostek szło z dużą szybkością na południowy wschód, rozcinając idące ku wschodowi, szarozielone fale. Za rufą, po zachodniej stronie horyzontu ciemniała długa linia chmur - przedni skraj frontu burzowego, przez który eskadra zdążyła już się przebić, okrążając północny cypel Szkocji. Czterema spośród jednostek konwoju były statki kontenerowe typu SL-7, które mimo trzystumetrowej długości potrafiły wyciągnąć 33 węzły. Pod ich pokładami znajdował się zapas czołgów M1 Abrams, bojowych wozów piechoty M2 Bradley, dział, śmigłowców, części zamiennych i amunicji dla całej polskiej brygady zmechanizowanej.

Kontenerowcom towarzyszyły cztery smukłe, najeżone antenami okręty wojenne: dwa krążowniki rakietowe z przeciwlotniczą aparaturą Aegis, USS „Leyte Gulf i USS „Monterey”, a oprócz nich niszczyciel rakietowy klasy Burke USS John Barry” oraz USS „Conolly”, zmodernizowany niszczyciel klasy Spruance. Grupa Bojowa 22.1 stanowiła dla czterech transportowców nader okazałą eskortę, silniejszą niż by to dyktowała zwykła doktryna działań morskich. Wobec coraz większego napięcia w Europie, Waszyngton chciał jednak zademonstrować rządowi w Paryżu i Berlinie, że Ameryka nie zamierza opuścić polskich i czeskich sojuszników. Naciski Konfederacji w niczym tego nie zmieniały. Wiceadmirał Jack Ward opuścił lornetę, zadowolony z widoku, jaki się rozpościerał ze skrzydła pomostu nawigacyjnego „Leyte Gulf. Od chwili sformowania konwoju pośrodku Atlantyku, admirał nieustannie ćwiczył współdziałanie okrętów i statków, przygotowując je na wszelkie możliwe sytuacje. Wysilek zaczynał się nareszcie opłacać, bo nawet cywilne załogi kontenerowców

nauczyły się trzymać miejsce w szyku z niemal wojskową precyzją. Admirał był średniego wzrostu. Dzięki szerokim barom i długim rękom jako kadet Akademii Marynarki Wojennej wygrał wiele pojedynków bokserskich. O tym, że boks to już odległa przeszłość, zaświadczała siwa czupryna admirała nad opaloną twarzą o masywnej szczęce. Opalenizna ustępowała krwistej czerwieni tylko wówczas, gdy admirał miał ochotę rozszarpać kogoś na kawałki. Nie zdarzało się to tak często, ale się zdarzało - toteż podwładni wiedzieli, że z Wardem nie ma żartów. Od czasu pierwszych kroków we flocie, w połowie lat sześćdziesiątych, Jack Ward awansował regularnie, choć na pewno nie błyskawicznie. Po drodze zdążył ukończyć wszystkie niezbędne akademie sztabu i dowodzenia, dowodził kilkoma okrętami i kilkoma placówkami na lądzie, a przy okazji tak umiał wszystkim zakręcić, że koniec końców spędził na morzu znacznie więcej czasu niż ktokolwiek z jego rocznika. Dla Warda admirałska ranga oznaczała przede wszystkim nową okazję, żeby sobie popływać, i to okrętem wojennym po oceanach, nie fotelem na kółkach po dywanowej wykładzinie biur Pentagonu. Tym razem kazano mu dowodzić Grupą Uderzeniową 22, flotyllą amerykańskich okrętów wydzieloną do eskorty zbiornikowców i gazowców, bez których zamarłaby tego roku gospodarka Polski, Czech i Słowacji. Grupa Bojowa 22.1 stanowiła tylko część flotylli, podzielonej na kilka podobnych ugrupowań pod wspólnym dowództwem Warda. Krążowniki, niszczyciele i fregaty admirała od sześciu tygodni pełniły nieprzerwaną służbę, strzegąc gigantycznych pływających bomb na trasach ze Szkocji i Norwegii przez Cieśniny Duńskie do Gdańska. Z początku jedynym przeciwnikiem dla floty amerykańskiej okazali się aktywiści ruchu „Greenpeace”, którzy przykuwali się do zbiornikowców albo tworzyli na trasie barykady z łańcuchów żaglówek. Od pewnego czasu jednak dowódcy okrętów coraz częściej donosili o ruchach floty oraz lotnictwa Francji i Niemiec na podejściach do Bałtyku. Ward nie bardzo wiedział, czym różnią się te „ruchy” od czystej prowokacji. Tym razem można się było spodziewać czegoś jeszcze gorszego, bo popychani przez polityków dowódcy sił zbrojnych Konfederacji coraz częściej wyładowywali tę złość w nader konkretny sposób. Od kilku dni, na przykład, wzmocnili patrole bojowe nad Atlantykiem i Morzem Północnym, postawili w stan pogotowia kilka dywizjonów lotnictwa morskiego i wysłali w morze niespotykaną liczbę okrętów podwodnych, zarówno

atomowych jak i klasycznych. Wszystko to stanowiło taką samą próbę zastraszenia przeciwnika, do jakiej uciekła się Konfederacja wobec konwojów z ropą i gazem ziemnym. Ward miał przynajmniej nadzieję, że to tylko próby. Wiedział, że jest się czym martwić, chociaż sam nie był z tych, których łatwo zastraszyć. Nie miał oczywiście zamiaru ułatwiać życia pajacom z Konfederacji i dlatego, między innymi, skierował konwój okrężną drogą wokół Szkocji zamiast przez kanał La Manche. Transportowce SL-7 były tak szybkie, że nawet nakładając drogi nie traciło się na czasie. Północna trasa miała także tę zaletę, że omijała wybrzeża Francji, co utrudniało zadanie francuskim i niemieckim samolotom rozpoznawczym. Ward podniósł wzrok na najbliższy niszczyciel, "John Barry", z którego pokładu zaczęto nadawać sygnał świetlny. Dwunasta w południe. Na pewno podają pozycję konwoju. Staroświecki sposób łączności - kodem flagowym albo migaczem - okazał się niezastąpiony, gdyż w Grupie Bojowej 22.1 obowiązywała pełna cisza radiowa. Wyłączono też radiolokatory, czyniąc konwój jeszcze trudniejszym do znalezienia. Im mniej Francuzi i Niemcy wiedzieli na temat pozycji, kursu i prędkości grupy, tym bardziej poprawiał się humor admirała Warda. Oczywiście bliżej wąskiego lejka cieśniny Skagerrak można było sobie darować dyskrecję, ale nie było to już takie ważne. Dania i Szwecja wiedziały, że stawką jest ich własny handel międzynarodowy i dlatego wprowadziły ścisłe ograniczenia dla ruchu okrętów wojennych i samolotów w Cieśninach Duńskich. A ponieważ Skandynawię usiłowali sobie zjednać zarówno dyplomaci USA jak i Konfederacji, było jasne, że rejs przez wody Danii i Szwecji minie spokojnie. Nie, jedyny obszar, na którym mogło być mało śmiesznie, to Morze Północne. Akwen, który właśnie przemierzali. Ward wciągnął w płuca rześkie, przesycone solą powietrze i zszedł z mostka, kierując kroki do centrali bojowej „Leyte Gulf”. Pora była się zabrać do roboty. Kiedy Ward szedł korytarzem, dogonił go okrzyk bosmana: - Admirał skończył wachtę! Dawno minęły czasy, gdy walczące okręty ścierały się bukszpryt w bukszpryt. Współczesne bitwy morskie dowódcy toczą na odległość setek kilometrów, i nie z pomostów bojowych, lecz z zaciemnionych, klimatyzowanych kabin, pełnych komputerowych ekranów. Centrala bojowa mieściła się na dolnym pokładzie, za drzwiami opatrzonymi szyfrowym zamkiem. Mosiężna tablica

uwieczniała tu nazwę okrętu, stocznię, datę wodowania i datę wejścia do służby. Admirał wystukał właściwą kombinację cyfr, pchnął drzwi i natychmiast znalazł się w innym świecie. Całe obszerne pomieszczenie zajmował sprzęt elektroniczny. Rzędy konsoli i ekranów zainstalowano tutaj tyle, że trudno się było z początku zorientować w pokaźnych rozmiarach centrali. Przez całą jej długość ciągnęły się dwie „alejki” urządzeń, a pod przeciwległą ścianą stały cztery główne pulpity, dwa środkowe dla Warda i dla dowódcy „Leyte”, dwa boczne zaś dla oficerów wachtowych. Sprzęt zajmował nie tylko pokład, bo i z sufitu zwieszały się ekrany telewizyjne, które zastąpiły dawny stół z mapą i wykresem. Z ekranów można było odczytać pozycję okrętu, kontakty, stan systemu obronnego Aegis i inne niezbędne informacje. Zamontowane na dziobie i rufie kamery telewizyjne przekazywały obraz horyzontu wokół „Leyte Gulf. Wolną jeszcze przestrzeń pod sufitem zapełniały nastawne reflektorki, klimatyzatory i tajemnicze szare pudła aparatury elektronicznej. Choć logicznie rozplanowana, centrala była tak zapchana urządzeniami, że Ward miał z początku wrażenie, iż niechętnie sam wszedł do wnętrza wielkiego komputera. Admirał skinął głową sztabowcowi pełniącemu wachtę - był nim komandor porucznik Miller - a potem oficerowi taktycznemu okrętu. Przy ich stanowiskach wachta trwała nieustannie. Właśnie ta dwójka miała za zadanie w wypadku nagłego ataku wziąć na siebie cały ciężar walki. Ward spojrział na wskazania przyrządów na obu stanowiskach, próbując zorientować się w sytuacji, po czym zasiadł przy własnej konsoli. Z sufitu przed czterema stanowiskami dowodzenia zwieszały się cztery wielkie ekrany komputerowe, każdy o wymiarach sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów. Można było na nich wyświetlić mapę dowolnej części świata. Tym razem ekrany były prawie puste - efekt narzuconej ciszy w eterze i na falach radarowych. Ukazywały więc tylko komputerową mapę Morza Północnego i domniemane pozycje lotniczych, nawodnych i podwodnych jednostek przeciwnika. Ósemce punktów pośrodku każdego z ekranów towarzyszył znak „GB 22.1”. Kilku oficerów i marynarzy nieustannie uaktualniało te dane, korzystając z wyników obserwacji wzrokowej i dalekich ech, łapanych przez hydrolokatory. Część spośród tych danych pochodziła z pasywnych czujników na pokładach okrętów. Grupa Warda sama zachowywała

wprawdzie ciszę, lecz wszystkimi antenami nasłuchiwała sygnałów z zewnątrz. Analiza transmisji z samolotów i okrętów Konfederacji pomagała ustalić kurs, a nawet tożsamość przeciwnika. Dane z nasłuchu były zwykle niedokładne, ale zawsze lepsze niż nic. John Barry" miał nawet na rufie specjalną nadbudówkę ze sprzętem do nasłuchu elektronicznego. Co działo się w jej wnętrzu, nie wiedział dokładnie nawet Ward, któremu wystarczała wiedza, że w razie potrzeby za pomocą sprzętu z nadbudówki da się podsłuchiwać nawet pogwarki małych zielonych ludzików na Marsie. Większość zebranych informacji szła z niszczyciela prosto do szefostwa Połączonych Sztabów. Pentagon ciekawiło zwłaszcza, jak układa się współpraca Francuzów i Niemców. Czy nie dochodzi do tarć? W którym języku prowadzą łączność na szczeblu taktycznym? Czy siły Konfederacji nadal stosują dawną taktykę NATO, czy też próbują uciec się do nowych metod? Reszta danych pochodziła z przeczesujących rejon okrętów brytyjskiej Royal Navy i samolotów RAF. Te ostatnie wypatrywały francuskich i niemieckich konkurentów i czyniąc w powietrzu sztuczny tłok, dostarczały dozorem Konfederacji dodatkowego zajęcia. Admirał opadł na fotel, nałożył słuchawki i przysłuchując się spokojnej, pełnej szczegółów technicznych rozmowie, przyjrzał się ekranom. W pozornie chaotycznym ruchu samolotów oraz okrętów nawodnych i podwodnych Konfederacji szukał pewnego porządku. Był przekonany, że to, co dzieje się nad Morzem Północnym, jest nieprzypadkowe. Przeciwnie. Sprawną akcją przeszukiwania akwenu planuje się długo i w bólach - jak choreografię baletu, w której trzeba uwzględnić różnice prędkości i zasięgu poszczególnych uczestników, wrażliwość aparatury i wreszcie pogodę. Gdyby udało się przewidzieć następne figury tego skomplikowanego tańca, mogłoby to pomóc Grupie Bojowej 22.1 i jej czterem transportowcom prześliznąć się przez lukę w sieci. Gdyby zaś się to nie udało, można by samemu rozerwać sieć, posyłając ją w zupełnie inne miejsce grupę okrętów brytyjskich. Wszystko zaczynało się powoli układać w logiczną całość. Konfederacja skupiła większość sił morskich daleko na południu, na podejściach do kanału La Manche. Akwen między Wielką Brytanią i Norwegią przeciwnik przeszukiwał jedynie z powietrza, a i to niezbyt regularnie, od czasu do czasu. Dziwne... Marynarz obsługujący konsolę zagłuszania elektronicznego wyprostował się nagle i trochę drżącym, lecz

odmierzonym głosem zakomunikował: - Szумы z kursu jeden sześć pięć. Przypuszczalnie radiolokator lotniczy typu Iguana. Moc sygnału - duża. Czas - 12:19. Na ekranie pokazał się nowy znaczek. Ward przyjrzał się i stwierdził, że jego pozycja pokrywa się z kierunkiem, z którego aparatura „Leyte Gulf” wykryła obcy radar. Nie było jasne, jak

??daleko znajduje się samolot z radiolokatorem, ale przy tej sile sygnału trzeba było założyć, że blisko. Za blisko. Siedzący po lewej ręce admirała Miller spojrzął na własny ekran i potwierdził: - Francuz, panie admirale. Atlantique.

Niech to cholera! Francuskie Atlantique były samolotami patrolowymi dalekiego zasięgu, podobnymi do Orionów P-3C amerykańskiej Marynarki Wojennej. Ward sprawdził konsolę. Żadnych nowych sygnałów. Poprzednie echa radarowe także nie pokrywały się z namiarem. Zupełnie, jak gdyby Francuz spadł z nieba. Musiał od samego początku lecieć tuż nad falami. W innych warunkach admirał podziwiałby taki wyczyn, dowodzący wielkiego kunsztu pilota.

Teraz zapytał jedynie: - Spostrzegł nas?

- Pewnie tak, panie admirale. Sygnał ciągle się nasila.

W słuchawkach dał się słyszeć głos innego dyżurnego.

- Panie admirale, złapaliśmy transmisję radiową na wysokiej częstotliwości. Ten sam namiar, co przedtem radar.

Ward zaklął. Wszystko wskazywało na to, że Atlantique podaje meldunek o zauważonym konwoju. Ładny gnój! Koniec podchodów. Ward jeszcze raz spojrzął na wykres. Skoro francuski samolot znalazł się tak blisko, musiał nadlecieć z kierunku, na którym przedtem w patrolach Konfederacji ziała kusząca luka. Albo sztab rozpoznania marynarki nie doceniał francuskiej aparatury poszukiwawczej, albo też sztabowcy przeciwnika umieli czytać w myślach admirała. Nieważne, później będzie czas się nad tym zastanawiać. Na razie trzeba zapolować na francuską zwierzynę, a przynajmniej poświęcić jej latarką w ślepią. Napotykać pytający wzrok oficera taktycznego, Ward przyzwalająco skinął głową. - Zgoda, Jeny, przyświeć im. Niech wszystkie okręty włączą radary i łącza komputerowe. Zobaczmy, z kim mamy przyjemność. - Rozkaz! - potwierdził komandor podporucznik i wypowiedział parę cichych słów do mikrofonu, przekazując polecenie reszcie formacji. Ward dosłyszał też, jak oficer przekazuje wiadomość o zmianie planów dowódcy „Leyte Gulf”.

Ekran ożyły, ożywiła się też atmosfera w centrali bojowej. Główny ekran zappełnił się nagle setkami namiarów morskich i powietrznych, identyfikowanych błyskawicznie przez komputery pokładowego systemu Aegis. Większość samolotów cywilnych miała na pokładach zwykle identyfikatory radiowe, natomiast u własnych maszyn bojowych dawało się odróżnić nie tylko typ, lecz również numer taktyczny. W identyfikatory IFF, ->A7 „swój-obcy” były też wyposażone samoloty wojsk Konfederacji, lecz aparatura ta działała na osobnych, zaszyfrowanych częstotliwościach. Łąca komputerowe między okrętami stanowiły dla Grupy Bojowej 22.1 element równie ważny jak radary. Dzięki łączom, komputery poszczególnych okrętów mogły porównywać dane i dzielić się zadaniami przy obserwacji celów i prowadzeniu ognia. Łąca pracowały oczywiście na falach radiowych, więc przez ostatnie godziny milczały, by uniemożliwić wykrycie konwoju. Kiedy je uruchamiano, krążowniki i niszczyciele z flotyli osobnych okrętów stawały się jedną, zintegrowaną, pływającą twierdzą. Ward skupił uwagę na głównym ekranie i poszukał na nim szpicla, który ich wykrył. Mały znak w kształcie odwróconego „v” wskazywał dokładną pozycję Atlantique, a wybiegająca w przód kreska symbolizowała kurs i prędkość samolotu. Atlantique leciał sześćdziesiąt mil morskich od konwoju, po okrężnej trasie i na średniej wysokości. W warunkach wojennych Ward mógłby go strącić w ciągu parunastu sekund, lecz cóż... Pozostawało przyglądać się biernie, jak Francuz obserwuje konwój, liczy statki, klasyfikuje okręty i przekazuje to wszystko do bazy. Ward znów odwrócił się do sztabowca.

- Przydałoby się dowiedzieć czegoś więcej. Może byśmy tak wysłali w przód parę śmigłowców, co?

Kilka minut później trzy śmigłowce morskie Seahawk SH-60 (połowa maszyn, jakimi dysponowała grupa) w klekocie wirników zniknęły kolejno po wschodniej, południowo-wschodniej i południowej stronie horyzontu. Po osiągnięciu wyznaczonych pozycji, piloci mieli ruszyć ławą przed siebie, trzymając się osiemdziesiąt mil przed konwojem, a później zawrócić i uzupełnić paliwo. Chodziło o to, że pokładowy radar SPY-1, jakim dysponował „Leyte Gulf”, wykrywał duże cele na dużych wysokościach w promieniu kilkuset mil, lecz mniejsze cele i nisko nadlatujące rakiety rejestrował dopiero kiedy się znalazły ponad horyzontem, a więc w odległości

zaledwie pięćdziesięciu mil morskich. Nawet impulsowe radary wojskowe nie mogły się przewiercić przez krzywiznę planety, toteż wysyłając przodem śmigłowce z łączami komputerowymi, aparaturą nasłuchu elektronicznego i bystrooką załogą, konwój w razie ataku zyskiwał więcej drogiego czasu. - Zawiadomić dowództwo Floty Atlantyckiej, że ktoś nam depcze po piętach. Aha, to samo powiedzcie Brytyjczykom. Może niech wykombinują dla nas jakiś parasol.

Ward wolałby oczywiście mieć nad głową eskortę amerykańskich myśliwców morskich, które potrafiły współdziałać z okrętami sprzężonymi systemem Aegis, lecz jak na złość pod ręką nie było ani jednego Tomcata F-14 czy Horneta F-18. Najbliższy amerykański lotniskowiec nadal tkwił pośrodku Oceanu Atlantyckiego, prawie tysiąc mil morskich od Grupy Bojowej 22.1. Nie chcąc dodatkowo zaognić sytuacji, Waszyngton wykluczył skierowanie na Morze Północne grupy uderzeniowej z lotniskowcem. Ward mniej więcej rozumiał te skrupuły, ale bez eskorty lotniczej czuł się dziwnie łyso. Przypomniało mu się, że ma dla komandora Millera jeszcze jedno polecenie. - Do całej formacji. Obsadzić stanowiska bojowe! Kilka chwil później na wszystkich okrętach rozdzwięczały się syreny i bosmańskie gwizdki.

Seahawk 202

Kapitan Dan Maguire, obsługujący wykrywacze na pokładzie Seahawka numer 202, ziewnął przeciągle zadowolony, że odgłos ginie w warkocie i dygotaniu śmigłowca. Nawet w alarmowej sytuacji, podczas długiego patrolu nad oceanem, można się setnie wynudzić. Przez godzinę śmigłowiec odsadził się o siedemdziesiąt mil morskich od Grupy Bojowej 22.1. Maguire był niewysoki, żyłasty i pełen energii. Miał dwadzieścia pięć lat, z których dwa spędził na morzu. Mały wzrost miał tę zaletę, że nie trzeba się było cisnąć w wygodnej lecz niskiej kabinie Seahawka. Kruczoczarne włosy kapitana i smagła, typowo irlandzka twarz, zniknęły pod hełmem z zaciemnioną przyłbicą. Maguire przebiegł wzrokiem rząd rozświetlonych ekranów, prędko i w tej samej kolejności co zawsze. Seahawk był tyleż śmigłowcem, co latającym radarem - ręką, okiem i uchem jednostek amerykańskiej floty wojennej. Oprócz radiolokatora do przeszukiwania powierzchni morza, na pokładzie znajdował się wykrywacz anomalii magnetycznych, przydatny przy tropieniu zanurzonych okrętów podwodnych, a także

urządzenie ostrzegawcze ESM, informujące zawczasu o kierunku działania i typie aktywnych obcych radarów. - Masz coś ciekawego?

Maguire podniósł głowę. Pilot maszyny numer 202, kapitan Peter Chen sam również zajął się sprawdzaniem przyrządów. Prowadził więc śmigłowiec z jednym okiem na instrumentach pokładowych, a z drugim na morzu i niebie dookoła maszyny. - E, nie bardzo.

Pełno ech na powierzchni, ale to same kutry i frachtowce.

Ostrzegacz też pokazuje zwykłe radary nawigacyjne.

- A co z naszym Atlantique?

- Krąży tam, gdzie przedtem. - Maguire wskazał ruchem pod bródką w lewo. - Mniej więcej tutaj, będzie z dziesięć mil od nas. Z tak dużej odległości dwusilnikowy francuski samolot zmienił się w ledwo widoczny punkcik. Kiedy zataczał kolejny niespieszny zakręt, błysnęło odbite od powierzchni skrzydeł słońce. Maguire i Chen latali w jednej załodze od pół roku i obaj byli zadowoleni z przydziału. Maguire doskonale znał się na swojej druciarni, i całe szczęście, bo Chen nieustannie zasypywał go pytaniami.

Maguire mógł sobie doskonale wyobrazić Chena w innej epoce, na koniu, skradającego się przez step albo w galopie. Dokładnie w ten sam sposób Chen pilotował śmigłowiec - prędko i czujnie, to tu, to tam. Fakt, że Chen sam się przechwalał, iż po matce w jego żyłach płynie mongolska krew. Maguire powrócił do swojej aparatury. Ekran radiolokatora nadal pokazywał te same echa powolnych frachtowców. Czyżby? Maguire zamarł. Przy samej krawędzi ekranu wyrósł rój zupełnie nowych kropek, które bardzo szybko zbliżały się do śmigłowca. Kapitan prędko przełączył mikrofon. - „Leyte Gulf”, tu Seahawk 202. Grupa bandytów idzie na dużej szybkości z kursu jeden siedem sześć, odległość czterdzieści mil, pułap zero!

W słuchawkach rozległ się głos koordynatora obrony przeciwlotniczej. Na krążowniku potwierdzono odbiór meldunku i kazano sprawdzić, czy radiolokator działa prawidłowo. Owszem, działał. Dzięki łączom, ludzie w zaciemnionej centrali Grupy Bojowej 22.1 widzieli na ekranach dokładnie to samo co załoga śmigłowca. - Bandyci nadal na kursie jeden siedem sześć.

Odległość trzydzieści pięć. Prędkość ponad tysiąc kilometrów na godzinę. Seahawk zrobił zwrot i zmniejszył pułap, opadając ku powierzchni morza. Nadlatujące samoloty w drodze nad konwój

musiały przelecieć tuż obok. Przy odrobinie szczęścia dwaj lotnicy mieli szansę sprawdzić gołym okiem, z kim mają do czynienia. Maguire wbił wzrok w ekran, podając głośno kolejne dane. Odległość malała, kurs nadal pozostawał ten sam. Chen wyrównał lot sto sześćdziesiąt metrów nad falami i zapatrzył się w południową część horyzontu. - Odległość sześć. Jak tam, widzisz?

- Nie... Tak, widzę!

Chen rzeczywiście dostrzegł trzy klucze, po cztery samoloty w każdym. Samoloty leciały niżej niż śmigłowiec i z sekundy na sekundę wydawały się coraz większe.

- Rany boskie, Dan, normalnie się przykleili do tego morza... - 202, rozpoznaliście te maszyny? - zapytał koordynator z centrali „Leyte Gulf”.

- Jeszcze nie. Zaraz, bo... Bandydzi zwiększają pułap. O, rany... Rwąc pełnym ciągiem silników, odrzutowce Konfederacji przemknęły tuż pod śmigłowcem - minęły go jak pociski w odległości zaledwie trzydziestu metrów. Osiem samolotów miało duże stateczniki pionowe, dwuosobowe kabiny, niemieckie krzyże maltańskie na kadłubach, a pod skośnymi skrzydłami białe pociski rakietowe. Cztery ostatnie maszyny nosiły na kadłubach trójkolorowe kokardy. Chen szamotał się ze sterami, bo złapany w turbulencję Seahawk zaczął miotać się na wszystkie strony, a potem raptownie opadł ku powierzchni morza. Maguire jedną ręką chwycił się uprząży, a drugą co prędzej przycisnął klawisz mikrofonu. - Bandydzi to grupa Tornado i Rafale. Tornado są uzbrojone. Powtarzam, Tornado niosą rakiety!

Kapitan nadal trzymał się pasów i patrzył w ślad za eskadrą, nie zwracając uwagi na znaki skaczące po ekranach. Atakujące niemieckie samoloty kojarzyły mu się dotąd wyłącznie z filmami wojennymi. Czyżby Berlin nabrał ochoty na powtórkę?

„Leyte Gulf

Na głównym ekranie centrali widać było wyraźnie dwanaście pełnących strzałek. Niemieckie myśliwce bombardujące i francuska eskorta weszły wreszcie w obręb horyzontu systemu Aegis. Od konwoju dzieliło je już tylko 66 mil morskich. Na myśl o zbliżających się samolotach, Ward poczuł na karku zimny pot. - Ostrzeżenie radarowe! Aktywność na częstotliwości Ku, niemiecki jeden siedem sześć!

Zanim nawet oficerowie w centrali pojęli, że wiązka promieni radarowych dobiega z tego samego kierunku, z którego ciągną nad konwój myśliwce, dyżurny przy konsoli walki elektronicznej dorzucił: - Aktywność ustała!

Jednocześnie marynarz przy konsoli radaru SPY oznajmił:

- Nie mam danych o wysokości. Zeszli do martwej strefy! Czyli znów gówno. Ward popatrzył na mały, boczny ekran, który ukazywał dane z pokładu Seahawka 202. Samoloty Konfederacji nadal ciągnęły prosto nad konwój, mknąc z prędkością dźwięku tuż ponad falami. Dzięki temu, że radar Seahawka nie utracił kontaktu, komputery wiedziały jednak, gdzie umieścić na ekranach nadlatującą eskadrę.

Ward dobrze wiedział, co znaczy cała ta sytuacja Niemieckie Tornado wyskoczyły do góry i włączyły na chwilę radary, tylko po to, by odnaleźć konwój i stosownie do tego zaprogramować celowniki rakiet pod kadłubami. Potem znów zeszły tuż nad wodę, skąd nie zagrożone mogły odpalić wszystkie swoje pociski. Admirał nie spuszczał z oczu dwóch par znaków, za którymi kryły się dwa klucze Tornado. Na szczęście udało się dokładnie wyłapać dane na temat prowadzącej maszyny: jej prędkość, kurs, a co najważniejsze odległość od konwoju. Pozioma linia nad każdą ze strzałek oznaczała, że komputery systemu Aegis również widzą eskadrę i na każdy z jej samolotów przeznaczyły osobny pocisk raketowy klasy woda-powietrze. Nim Grupa Bojowa 22.1 połączyła się z czwórką transportowców, Waszyngton - zgodnie z prawem międzynarodowym - zdążył ustanowić wokół każdego z konwojów „strefę zamkniętą”. Każdy samolot, który zbliżał się do formacji na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt mil morskich, mógł zostać zestrzelony bez ostrzeżenia. Niemieckie Tornado dzieliło w tej chwili od okrętów tylko sześćdziesiąt mil. Przy tej prędkości samoloty pokonywały w ciągu minuty dziesięć mil. Admirałowi szybko kończył się czas na podjęcie decyzji. Wnosząc ze sposobu przeprowadzenia akcji - na daleką odległość i na bardzo niskim pułapie - każdy z niemieckich samolotów mógł nieść pod kadłubem po dwie rakiety Kormoran 2 do zwalczania jednostek nawodnych. Z tak bliskiej odległości, walka z szesnastoma pociskami naraz przekraczała możliwości nawet tak doskonałego systemu obrony jak Aegis. Pociski Kormoran 2 miały zasięg trzydziestu mil morskich. Antyrakiety z pokładu „Leyte Gulf”, „Monterey” czy z wyrzutni

pocisków SM-2 na pokładzie Johna Barry" potrzebowały minuty, by pokonać taką odległość. Wystrzelenie dostatecznej ilości rakiet w niemieckie samoloty z Kormoranami zajęłoby następne pół minuty. W chwili, kiedy Tornado przekroczyły granicę pięćdziesięciu mil, admirał Ward miał dokładnie trzydzieści sekund na decyzję czy ma rozpocząć wojnę. Pięćdziesiąt pięć mil. Ward poczuł suchość w ustach. Odwracając się, dostrzegł zgiętego nad konsolą oficera od wyrzutni, który spodziewał się już tylko jednego rozkazu. Pięćdziesiąt trzy mile. Jeszcze tylko parę sekund.

Na głównym ekranie centrali, strzałki oznaczające kurs i prędkość niemieckich Tornado skurczyły się nagle. Eskadra Konfederacji zawracała. Strzałki odwróciły się od konwoju, najpierw trochę, a potem już o całe dziewięćdziesiąt stopni. Ward popatrzył na mniejszy ekran na pulpicie. Samoloty rzeczywiście zawracały i zwalniały. Znow pokazały się na ekranach radaru SPY, co oznaczało, że Tornado i Rafale z eskorty wchodzą na wyższy pułap. Eskadra zawróciła! Ward mógł nareszcie odetchnąć. Chwila zasłużonego odpoczynku? Tak, bo na całe szczęście samoloty EuroConu urządziły sobie tylko ćwiczenia. Dla obu stron był to manewr nękający, lecz także znakomity trening. Panowie z Paryża i Berlina nie zdecydowali się więc jeszcze na wojnę - przynajmniej na razie.

28 kwietnia

Mapy nawigacyjne i ekrany radiolokatorów „Leyte Gulf” wskazywały, że od polskiego portu dzieli konwój już tylko dziewięćdziesiąt mil morskich. Grupie Bojowej 22.1 i jej czterem kontenerowcom zostało do Gdańska zaledwie cztery godziny żeglugi. Ward upił łyk piekielnie gorącej kawy, już piątej od początku wachty, czyli od pięciu godzin, i zastanowił się głęboko nad sytuacją. Od chwili pierwszego - pozorowanego - nalotu, sztaby Konfederacji rzuciły na konwój cały posiadany arsenał: następne samoloty, małe okręty podwodne, kutry torpedowe, śmigłowce szturmowe, a potem wręcz flotyllę niemieckich niszczycieli i fregat. Admirałowi wszystko to przypominało lata sześćdziesiąte i początek siedemdziesiątych, kiedy na Morzu Śródziemnym amerykańska Szósta Flota bawiła się w nieustanne podchody z radziecką Piątą Eskadrą. Chodziło o to, jak dalece da się sprowokować przeciwnika. Tym razem tę samą grę podjęli dawni sojusznicy. Admirał musiał przyznać, że Konfederacja zna się na rzeczy, może nawet lepiej, niż niegdyś

Rosjanie. Nieustanne starcia na pewno się przydały niewyspanym załogom. W sytuacji, gdy resztki dawnej radzieckiej floty wojennej trzymały się kurczowo własnych wybrzeży, amerykańskie okręty mogły wyczyniać na morzach i oceanach praktycznie co tylko chciały, i to już od ładnych paru lat. Każde jeżące włos starcie z domniemanym przeciwnikiem wyzwalało w załogach nowe umiejętności, a także przypominało, że wszystko może się jeszcze zdarzyć. Czterodobowa niby-bitwa nauczyła Warda, że największym zagrożeniem są okręty podwodne Konfederacji. Przy odpowiednio wczesnym ostrzeżeniu i z wystarczającym polem manewru, uzbrojone w system Aegis okręty spokojnie mogły dać sobie radę z większością ataków lotniczych bądź raketowych. Olbrzymi kłopot był natomiast z wykryciem i zniszczeniem jednostek podwodnych na płycznach i w cieśninach tego akwenu. Nowoczesne okręty podwodne budowano z myślą o uczynieniu z nich niewidzialnych i niesłyszalnych maszyn do zabijania. Idąc ich tropem, trzeba było oddzielić podwodne szmery śrub napędowych od innych hałasów i szumów. Morze Północne i Bałtyk były ponadto tak płytkie, że nawet niewielka fala powierzchniowa wznosiła szumy tła do poziomu, który uniemożliwiał poszukiwania. By już nie wspomnieć o hałasie okrętów i statków na tych samych wodach, a także o odgłosach morskich ssaków i ławic ryb. Na płycznach nie dawało się holować za sobą precyzyjnych hydrolokatorów, toteż akustycy flotylli upodobnili się do gromady głuchych, którzy próbują dosłyszeć szelest węża pełznącego przez warsztat blacharski. Nie było żartów - nie wykryty w porę okręt podwodny mógł z bliskiej odległości rozłożyć konwój kierowanymi torpedami albo odpalonymi spod wody pociskami raketowymi. Skutek był taki, że ilekroć oficer zwalczania okrętów podwodnych meldował o podejrzanym echu z hydrolokatorów, Ward nakazywał całej flotylli zmianę kursu. Zygzakowali więc z dużą szybkością, marnując wiele godzin. Admirał nie żałował wcale tego czasu. Najlepszym sposobem uniknięcia ataku spod wody jest nie dopuścić przeciwnika na odległość skutecznego strzału. Ward zajeździł prawie na śmierć szóstkę śmigłowców, zmuszając pilotów do ciągłych patroli przeciwpodwodnych i zrzucania coraz to nowych boi z echosondami. Słyszając pisk echosondy tuż nad głową, kapitan wykrytego okrętu podwodnego będzie się martwił o to, jak by tu uciec, a nie o to, z której strony wypuścić torpedy. Zdaniem Warda połączenie

manewru i aktywnych patroli przeciwpodwodnych zdało egzamin. Żaden francuski czy niemiecki podwodniak nie zdołał zbliżyć się do konwoju. - Panie admirale, nowe echa samolotów. Z kursu dwa pięć pięć! Odległość osiemdziesiąt, malejąca.

Po czterech dniach nieustannego napięcia głos szefa sztabu brzmiał ochryple i bardzo nerwowo. Ward prędko dopił resztkę kawy i skupił się na ekranach. Znaki ukazywały nowe samoloty Konfederacji, a także grupę polskich Migów-29, próbujących przechwycić intruzów. - Co jeszcze?

- Sierra Foxtrot mówi, że bandyci to francuskie Mirage 2000 przemieszane z Tornado z Luftwaffe. Skierował w ich stronę Polaków, może ich odstraszą.

Admirał wiedział oczywiście, że „Sierra Foxtrot” to kryptonim wywoławczy amerykańskiego samolotu AWACS E-3, krążącego nad Zatoką Gdańską. AWACS przyleciał z bazy w Wielkiej Brytanii, by koordynować działania eskorty lotniczej nad konwojem po wpłynięciu na Bałtyk. Ward odruchowo przeniósł spojrzenie na młodego oficera z ciemnoblond czupryną, stojącego niepewnie w jednym z nielicznych wolnych kątów centrali. Majora w nieznanym, stalowoszarym mundurze polskiego lotnictwa dostarczył na pokład „Leyte Gulf polski śmigłowiec. Polak miał służyć na pokładzie krążownika jako oficer łącznikowy między Grupą Bojową 22.1, a dowództwem polskiej floty. Ward i podwładni śledzili akcję przechwytyjącą na ekranach i na przydzielonych Polakom i ich koordynatorom z AWACS-a kanałach łączności radiowej. W głośnikach nieustannie trzeszczały zniekształcone przeciążeniem głosy z kabin odrzutowców, zataczających coraz ciaśniejsze kręgi. Obie grupy samolotów zbiły się nad Bałtykiem w jedną, wściekle wirującą kulę. Sytuacja podobała się admirałowi coraz mniej, bo jakkolwiek polscy piloci robili co do nich należało, odpędzając myśliwce bombardujące EuroConu i ich eskortę coraz dalej od konwoju, sami puszczali się na ogromne ryzyko. Na ekranach widać było, jak samoloty zagradzają sobie nawzajem drogę i do ostatniej chwili mkną wprost na siebie, czasem mając dosłownie parę metrów na unik. Obie strony zapomniały o normalnych zasadach bezpieczeństwa. Ward przywołał do siebie koordynatora obrony powietrznej. - O, kurwa! - wyrwało się kilku oficerom na raz.

Ward co prędzej odwrócił się do ekranu, na którym sekundę

wcześniej złączyły się nagle dwa znaki - jeden symbolizujący polskiego Miga, drugi zaś francuskiego Mirage. Obie maszyny zderzyły się i w splątanej masie spadały do morza. W głosach słyszalnych na częstotliwości samolotu rozbrzmiała rozpaczliwa nuta. Krzyczano po polsku, a także po angielsku, z pokładu E-3. - Zielony Dwa, tu Sierra Foxtrot! Skacz! Skacz, kurwa twoja...! Echa obu samolotów zniknęły z radarów „Leyte Gulf. - Zieloni, tu Sierra Foxtrot! - odezwał się łamiącym się głosem kontroler lotów. - Czy widzicie Zielonego Dwa! - Nie widzimy, Foxtrot! - odpowiedział zły głos o twardym nieangielskim akcencie. - Upadł w woda. Bez spadochronu. - A ten Mirage?

- Też zleciał. Spadochronu nie widać.

Ward zeszywniał. Pozorowany atak Konfederacji przyniósł nagle śmiertelne żniwo. W eterze tymczasem dał się słyszeć nowy gniewny głos, domagający się czegoś po polsku. Ward zauważył, że polski oficer łącznikowy blednie. - Co się tam dzieje, majorze? Prędko, do cholery!

Młody major poruszył grdyką i odrzekł:

- Dowódca Zielonych prosi o zezwolenie na otwarcie ognia! -

Chryste Panie! - Ward złapał koordynatora za ramię. - Łączyć z szefem Sierra Foxtrot! Niech natychmiast wycofuje te Migi!

Natychmiast!

- Tak jest!

Nie warto było wszczynać wojny o jedno zderzenie w powietrzu. Mirage i Tornado także zmieniały kurs, kierując się z powrotem w stronę baz w Niemczech. Odpowiednik Warda po stronie Konfederacji musiał dojść do podobnego wniosku. Cztery godziny później Grupa Bojowa 22.1 znalazła się na polskich wodach wewnętrznych. Jack Ward stał na pomoście „Leyte Gulf, ciężko wsparty o reling. Pordzewiałe żurawie portowe i stoczniove pochylnie Gdańska wydawały mu się najpiękniejszym widokiem na świecie. Udało mu się wywiązać z zadania bez oddania jednego strzału. Przynajmniej tym razem.

15

Wyrok śmierci

1 maja - wieczorny dziennik „News Hour” publicznej sieci telewizyjnej PBS

Jak zwykle, po błyskawicznym skrócie najważniejszych wydarzeń

dnia, komentarz przejął waszyngtoński redaktor programu „News Hour”: Dziś, w piątek, chcemy zacząć od wydarzenia, które zdominowało wszystkie inne. Tytuł reportażu to „Pierwsze kwiaty budapeszteńskiej wiosny”, zaś autorem jest Paul Hamilton z Independent Television News, który mimo przeszkód w postaci cenzury przemycił ten materiał filmowy za granicę. Kamera w mgnieniu oka przeniosła obraz ze studia w Waszyngtonie na sfilmowane tego samego dnia, lecz wiele godzin wcześniej, ulice węgierskiej stolicy. Materiał był o niebo lepszy od pierwszych amatorskich taśm wideo, przeschmuglowanych na Słowację i stamtąd łączami satelitarnymi rozpowszechnionych po całym świecie. Tym razem zdjęcia okazały się ostre, kręcone ze statywu i doskonale zmontowane, co mogło tylko oznaczać, że poczynająca sobie coraz śmieiej węgierska opozycja zdobyła sojuszników w państwowej sieci telewizyjnej. Na tle strzelistych, neogotyckich wieżyczek, kamiennych łuków i ogromnej kopuły gmachu parlamentu, tłum wypełniający plac zmienił się w morze czerwono-biało-zielonych flag narodowych. W różnych punktach placu skandowano coś, głośno i rytmicznie, a echo niesło się ponad całym miastem. Po raz pierwszy węgierska opozycja wyszła dziś z ukrycia. Wyszła dosłownie, gdyż takiego tłumy nie widziano na ulicach od czasu demokratycznych wyborów w 1990 roku, kiedy udało się odsunąć komunistów od władzy. Dwadzieścia tysięcy demonstrantów wykorzystało pierwszomajową datę, by się zgromadzić na placu Lajosa Kossutha. Zażądali zniesienia stanu wyjątkowego i przywrócenia demokracji. Wybór daty i skala manifestacji najwyraźniej zaskoczyły wojskowe władze Węgier... Zbliżenie ukazało widzom szczupłą, siwowłosą postać, przemawiającą z szerokich, kamiennych schodów parlamentu. Nagłośnienie pochodziło z megafonów na dachach zarekwirowanych policyjnych radiowozów. Porywające wystąpienie Vlady Kusina, przywódcy nielegalnego Forum Demokratycznego, trwało całe dwadzieścia minut. Kusin zaapelował o natychmiastowe przywrócenie wszystkich praw człowieka i obywatela, wezwał do rozpisania wolnych wyborów i do wycofania się Węgier ze zdominowanej przez Francję i Niemcy Konfederacji Europejskiej. Kamera powtórnie odjechała od schodów, skupiając się na rozkrzyczanych, radosnych twarzach manifestantów. Tysiące ludzi na placu kołysało się do wtóru hymnu narodowego Węgier. Mimo że

godzinna manifestacja stanowiła naruszenie przepisów o stanie wyjątkowym, węgierskie siły porządkowe nie interweniowały, co zaskoczyło wielu obserwatorów. Policja nie próbowała też dokonać prewencyjnych aresztowań... Tym razem kamera ukazała grupki policjantów, rozstawione na obrzeżach wiwatującego tłumu. Większość funkcjonariuszy chowała twarze przed kamerą, a inni patrzyli na operatora z niewyraźnymi minami. Miało się wrażenie, że policjanci wstydzą się własnych mundurów. Także wśród policji byli i tacy, którzy dokonali dzisiaj wyboru... Telewidzowie ujrzeli mundurowych policjantów śpiewających hymn wraz z manifestantami. Niektórzy mundurowi mieli na policzkach łzy. Nie jest na razie jasne, jak się potoczą dalsze losy odrodzonej węgierskiej opozycji. Jedno natomiast nie ulega wątpliwości: kampania na rzecz przywrócenia na Węgrzech demokracji dopiero się zaczyna...

6 maja - Budapeszt

Spotkanie zwołano w nowej kryjówce Kusina - trzeciej w ciągu ostatnich trzech tygodni. Mieszkanie tym razem rzeczywiście wyglądało jak melina: było ciasne, a sądząc po kuchennej woni odnosiło się wrażenie, że na codzień mieszkańcy odżywiają się wyłącznie zepsutą rybą. Pułkownik Hradetsky znacznie lepiej czuł się w poprzednich gościnnych progach, użyczonych opozycjonistom przez węgierskiego przemysłowca, którego firmę zrujnowała konkurencja niemieckich koncernów chemicznych. Przemysłowiec miał w swojej willi nawet salę konferencyjną i normalnie wyposażone biuro. Tym razem musiało im wystarczyć ubogie mieszkanie w jednej z najgorszych dzielnic miasta - dwa pokoiki ze ślepą kuchnią. Do łazienki, jedynej na całym pięttrze, szło się korytarzem. Małżeństwo, które uyczyło Kusinowi swojego lokum, samo wyprowadziło się na jakiś czas do rodziny. Jednak mimo wszystkich niedogodności, częste przeprowadzki i konspiracja stały się naprawdę niezbędne. W Budapeszcie nie próżnowali zarówno ludzie Rehlinga z EuroConu, jak i oddane im tajne służby węgierskie. Hradetsky nie kryjąc zniecierpliwienia gapił się na zamknięte drzwi do mniejszego pokoju. Na dworze robiło się ciemno. Zjawił się w mieszkaniu dobrą godzinę temu, lecz Kusin był zajęty rozmową z grupką nieznajomych i prosił, by Hradetsky zaczekał. Nie chodziło o późną porę, bo służbowa legitymacja Hradetsky'ego pozwalała mu poruszać się po mieście w czasie

godziny policyjnej. Po co jednak pchać się w łapy patroli? A nuż ktoś się zainteresuje, gdzie to i po co wałęsa się nocą pułkownik policji? - Długo jeszcze potrwa to „ważne spotkanie”?

Oskar Kiraly, szef obstawy Kusina, uśmiechnął się nieznacznie. Bardzo nieznacznie. - Potrwa tyle, ile musi. Kusin wie, co robi.

Hradetsky dowiedział się więc dokładnie tyle, ile od konferujących w drugim pokoju nieznanym, czyli nic - dokładnie jak się tego spodziewał. Wiedzieć jak najmniej było i jest podstawową zasadą konspiracji. Im mniej się znało faktów, tym mniej mogli ich poznać na przesłuchaniu panowie Rehling i Dozsa. Kiraly poczęstował pułkownika mocną, gorzką kawą. Usiedli w ciasnej kuchni, gdzie tkwiło jeszcze dwóch konspiratorów. Sekretarz Kusina stuknął w klawisze trzymanego na kolanach Notebooka. Sceneria była tak znajoma, że wręcz koła Hradetskyemu nerwy. W towarzystwie opozycjonistów obu płci nareszcie czuł się potrzebny. Brakowało mu takiego poczucia celu od chwili karnej degradacji i przenosin do Budapesztu. W Sopronie dowodził ludźmi. Tutaj także. Nowe zajęcie odpowiadało mu doskonale. Nic tak nie poprawia samopoczucia jak zdrowa walka o władzę we własnym kraju. Hradetsky czuł, jak stopniowo opuszczają go zmęczenie i zniechęcenie, które się w nim nagromadziły przez zimowe miesiące. Jako policjant gardził zawsze politykami, lecz gotów był przyznać, że w pewnych okolicznościach nic nie liczy się bardziej od polityki. Kiraly przyjrzał mu się, popijając kawę.

- Znowu mamy przez ciebie kłopoty, Zoltan - oznajmił z udawaną powagą.

- A to dlaczego?

- Napędziłeś do nas dwa razy więcej sympatyków niż potrzeba. Pchają się drzwiami i oknami.

Hradetsky rozpromienił się, bo w samej rzeczy, pierwsza manifestacja, jaką zorganizował, udała się nadzwyczajnie - bardziej, niż się tego po cichu spodziewał. Wieść o nielegalnej manifestacji rozeszła się błyskawicznie po całym kraju, w postaci plotek, artykułów w podziemnych gazetkach, a także audycji w węgierskich programach radiowych i telewizyjnych, nadawanych z terytorium Polski, Czech i Słowacji. W innych miastach, na przykład w Győr, Debreczynie i Pecs, miały miejsce podobne, spontaniczne wiece. I tym razem policja nie interweniowała.

Widocznie generałowie bali się iść na konfrontację. Być może zaczęli zdawać sobie sprawę, jak łatwo mogą utracić władzę. Drzwi mniejszego pokoju otworzyły się wreszcie.

Hradetsky i pozostała trójka wstali, gdy Kusin odprowadzał swoich gości do drzwi. Nieznajomych była czwórka, wszyscy w średnim wieku, lecz szczupli i wysportowani. Pułkownik przyjrzał się im spod oka. Kimkolwiek byli goście Kusina, cywilne ubrania pasowały im jeszcze gorzej niż jemu, Hradetsky'emu. Kiedy ruszali ku drzwiom, czuło się, że lada sekunda zaczną maszerować w nogę. Ot, żołnierskie przyzwyczajenia. Kusin zamknął za gośćmi drzwi i wrócił do kuchni. Z wesołym wzrokiem i rozjaśnioną twarzą wydawał się o całe lata młodszy niż w rzeczywistości. - Ha, przyjaciele! Pora działać. Idziemy na całość!

- Na co? - zapytał w imieniu zamilkłych konspiratorów Kiraly, wymieniając z Hradetsky'm zaniepokojone spojrzenie.

- Nadarza się sposobność, żeby trochę popchnąć nasze sprawy - odrzekł Kusin i prostując się zagrzmiał: - Zimę oddaliśmy generałom. Byli silni, a my słabi i głodni! Zimno, upokorzenie i strach złamały ludzi. Poszli za tymi, którzy obiecywali ich nakarmić i obronić, poszli nie zważając na cenę. Zawiedli się i dlatego wiosna należy do nas. Wiosna będzie nasza! Wiosna przyniesie nam wolność!

Na widok zaskoczonych min konspiratorów Kusin zachichotał i przerwał prorocтва.

- Nie bójcie się, kochani, jeszcze nie upadłem na głowę. Plote, ale jest w tym pewna metoda - dodał i beznamiętnym głosem, jak przystało na zawodowego polityka, tłumaczył: - Faktem jest, że musimy znowu wyjść na ulicę, ale naprawdę wszyscy. Takim tłumem, żeby tamci nie mogli udawać, że nas nie widzą. Na przygrywkę dobrze byłoby urządzić w mieście strajk generalny. Chodzi o to, żeby w pochodzie poszli nie tylko bezrobotni. Robotnicy muszą pójść razem z nami!

- Ostatnim razem mieliśmy po prostu szczęście - przestrzegł Hradetsky. - Ale strajk generalny? Pochód? Moim zdaniem tego już nam się nie uda zmontować. Na pewno nie po cichu.

- Właśnie! - rozpromienił się Kusin. - Tym razem nie będziemy ukrywać przygotowań. Rozpowiemy w całym mieście, gdzie, kiedy... Zawiadomi się prasę, ekipy telewizyjne. Musimy narobić szumu na cały świat.

Kiraly pokiwał głową i wtrącił nie bez pesymizmu w głosie: - Da się zrobić. Z tym, że w ten sposób zawiadomimy też EuroCon razem z wojskowymi. Może wyjść taka zadyma, że nie wiem.

- Myślałem o tym. Chyba nie zaszkodzi spróbować - odrzekł Kusin.

- Pora cisnąć naszym generałom rękawicę. Najwyżej polecą na skargę do francuskich i niemieckich nadzorców.

Hradetsky zacisnął dłonie, w których poczuł nerwowe drżenie.

Najważniejsze, to nie tracić głowy. Kusin może sobie opowiadać o rękawicach, ale czy sam wie, na co się porywa? - Czy na pewno chcemy im napluć do zupy? Stać nas na to?

- Moim zdaniem tak - odezwał się Kusin. - Ludzie pójdą z nami, zobaczycie. Robotnicy, prasa. Wojskowi trzymają się słabiej niż ktokolwiek przypuszcza. Pewno sami nie wiedzą, jak słabo.

8 maja - Paryż, Palais Royal

- Sprawdziłeś te pogłoski? - Nicolas Desaix postukał w rozpieczętowaną teczkę ze ściśle tajnym meldunkiem. - Może tamci panikują? Zobaczyli na ulicy paru brodatych typów z transparentem i w bek! Co?

- Nie wydaje mi się, panie ministrze - sprzeciwił się ostrożnie Jacques Morin, który, choć miał teraz pod sobą zarówno DGSE jak i sekretariat spraw wewnętrznych Konfederacji, pamiętał komu to wszystko zawdzięcza. - Z naszych danych wynika, że to potwierdzone informacje.

Desaix nachmurzył się, bo też w samej rzeczy mocno go zaskoczył nagły opór Węgrów wobec wojskowej władzy i coraz szerszych wpływów Francji i Niemiec w Budapeszcie. Do tej pory prawie całkowicie pochłaniała go coraz bardziej zażarta dysputa z Polską, Czechami, Słowacją i parą ich anglosaskich sojuszników. W porównaniu z tym, co się zaczynało dziać na Morzu Północnym i wzdłuż wschodniej granicy Niemiec, odosobnione incydenty w niewielkim kraju na peryferiach Konfederacji wydawały się bzdurą, lecz teraz Desaix zaczynał żałować, iż na tak długo spuścił Węgry z oczu. Trzeba było zdusić tamtejsze wystąpienia w zarodku, zamiast pozwalać wichrzycielom działać bezkarnie. Dla Desaix nie ulegało wątpliwości, że węgierskie incydenty to część tej samej kampanii, co embargo paliwowe. Polacy i ich sąsiedzi podsycali wewnętrzne niepokoje na Węgrzech, mszcząc się za sankcje Konfederacji. Przypominało to walkę pchły ze słoniem, ale nawet pchle ukąszenia potrafią się jątrzyć i dokuczać. Zwłaszcza, jeśli

się tej pchły w porę nie rozduś. No, właśnie. Desaix jeszcze raz przekartkował raport, wracając do śródtytułów i do podsumowania. Węgierska policja rozpadała się w oczach. Co prawda jej oddziały nie sprzymierzyły się otwarcie z opozycją, lecz także nie uczyniły nic, by rozprężyć nielegalne manifestacje. Naloty na tajne drukarnie i rewizje w prywatnych domach przynosiły nikłe rezultaty - i nic dziwnego, przy tej liczbie sympatyków, jaką cieszyła się opozycja w aparacie bezpieczeństwa. Nie dość na tym: z Węgier docierały uporczywe pogłoski o niezadowoleniu w szeregach wojska - zwłaszcza wśród młodszych oficerów i zwykłych żołnierzy. Władze Węgier czuły, że grunt usuwa im się spod nóg. Złość Desaix wzbudziła zwłaszcza informacja, że niektórzy spośród generałów po cichu przesunęli pokaźne kwoty z banków w Budapeszcie do bezpiecznych skarbców Szwajcarii. Tchórze! Nie dość, że tchórze, to jeszcze głupi tchórze! Skoro o tych operacjach mógł się dowiedzieć Paryż, na pewno wiedziała też o nich opozycja. Kusina i jego sympatyków mogła tylko ośmielić wiadomość, że junta po cichu przygotowuje się do ucieczki za granicę. Desaix zatrzasnął okładki dokumentu i odsunął go jak najdalej od siebie. - Powiada pan, że te męty szykują nową awanturę?

Morin przytaknął i zmarszczył wysokie czoło.

- Na szesnastego Kusin i inni nawołują do strajku generalnego, do pochodu i do nowego wiecu w centrum Budapesztu.

- Rozumują zupełnie prawidłowo - przyznał Desaix, świadomy, że przechodząc do jawnego działania, opozycja zmusza generałów do starcia, którego wynik wcale nie jest taki pewny. - Zgoda na strajk i marsz protestacyjny zaogni tylko sytuację, ale jeśli generałowie rzucą na ulice niepewne oddziały policji, skutki mogą się okazać tragiczne - tragiczne dla generałów.

Desaix okręcił się w obrotowym fotelu i spojrzał na panoramę miasta. Nisko ponad dachami i zabytkowymi gmachami Paryża krążyły wojskowe śmigłowce, patrolując stolicę. Mimo kilku miesięcy względnego spokoju, w Paryżu nadal obowiązywała większość przepisów o stanie wyjątkowym. Wszystkich ważniejszych skrzyżowań strzegły posterunki wojskowe, a na ulicach po zmierzchu mogli chodzić tylko upoważnieni. Z orgii świateł nocny Paryż zmienił się w ciemne trzęsawisko. Za dnia grupy francuskich i cudzoziemskich robotników żądały pracy, szamotały się między sobą

albo zgodnie rabowały jedzenie z półek kolejnego nieszczęsnego sklepikarza. Większość paryżan miała na szczęście co jeść, choć nie za wiele, i mogła liczyć na jakieś zajęcie, lecz liczba bezrobotnych nadal rosła. Coraz więcej ludzkiej złości przy coraz mniejszej ilości miejsc pracy zmieniało miasto w beczkę prochu. Niestety, gospodarce nie można było pomóc bardziej niż dotychczas. Taryfy, cła i inne ograniczenia sprawiły, iż życie gospodarcze, od którego zależały losy Europy, praktycznie zamarło. Gospodarki Niemiec i Francji, dwóch najsilniejszych krajów na kontynencie, nie załamały się, lecz i one mocno podupadły. W następnych latach trudno było się spodziewać jakiegokolwiek poprawy - zwłaszcza odkąd Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zaczęły rękoma Europy Wschodniej zwalczać niemiecko-francuskie wysiłki na rzecz utworzenia zjednoczonego i samowystarczalnego rynku w skali kontynentu. Desaix wiedział, że trzeba brnąć dalej. Tego samego zdania był cały komitet, zwłaszcza odkąd jego członkowie przekonali się, o ile łatwiej jest rządzić za pomocą grubej pałki, jaką są siły zbrojne. Widok patrolujących śmigłowców przypominał jednak ministrowi, jak kruche i niepewne są nadal podstawy obecnego porządku. Desaix był ogromnie dumny z obecnej pozycji Francji w nowej Konfederacji Europejskiej, lecz zarazem zdawał sobie sprawę, iż EuroCon to twór zupełnie świeży i wrażliwy na wstrząsy. Mimo rządowych obietnic, iż unia wszystkim przyniesie pokój i dobrobyt, mało kto w nowych krajach członkowskich pogodził się bez reszty z utratą dawnej suwerenności. Dlatego upadek profrancuskich władz na Węgrzech mógł łatwo pociągnąć za sobą całą serię identycznych kataklizmów w innych państwach. Na takie zaś ryzyko Desaix nie mógł sobie po prostu pozwolić.

Coraz bardziej zły, odwrócił się od okna i rzekł pod adresem Morina: - Proszę mnie posłuchać, i to uważnie. Jeżeli Węgrzy nie po trafią sobie sami poradzić z tą błazenadą, musimy im trochę pomóc. Jasne?

- Tak, panie ministrze. Czy znów ma się tym zająć Specjalny Komisarz Rehling?

- O, nie! - Desaix stuknął dłonią w blat biurka. - Darujmy sobie Niemców. Nam trzeba kogoś twardego, a nie służbistów, którzy na każdym kroku będą się zasłaniać przepisami. Daliśmy już Rehlingowi wolną rękę, i co? Nie, musimy naprawdę znaleźć kogoś,

kto byłby bardziej... Bardziej bezwzględny, Morin. Kogoś, kto nie będzie się bał ryzykować. Sam pan wie, że czasem się nie obejdzie bez mokrej roboty. Rozumie pan chyba?

- Może w takim razie major Duroc...?

Desaix uśmiechnął się, powoli i niezbyt szczerze.

- Owszem. Paul Duroc. Doskonały kandydat.

12 maja - Budapeszt,

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

Kiedy pułkownik Zoltan Hradetsky zapukał do uchylonych drzwi gabinetu Beli Silvanusa, kluchowaty urzędnik z niechęcią podniósł wzrok znad papierów i dopiero na widok gościa uśmiechnął się słabo. - Chodź, chodź. Aha, i zamknij drzwi.

- Znalazłem kartkę od ciebie. Co słyhać?

- Ano, nic dobrego. - Silvanus zapalił papierosa, zaciągnął się i skinął w stronę fotela po drugiej stronie biurka.

- Siadaj, Zoltan, nie stój tak.

Coraz bardziej zaciekawiony Hradetsky usiadł. Wiedział, że choć Silvanus nie pyta, dokąd wędrują wszystkie dokumenty z jego biurka, na pewno się domyśla, iż pułkownik zważał się z opozycją. Na szczęście dyskrecja była jedną z głównych zalet administratora, który teraz niegłośnie i poważnie oświadczył: - Znosi się na straszną rozróbę, przyjacielu. Pomyślałem, że lepiej będzie cię uprzedzić.

- O co chodzi? O mnie, czy o firmę? - Hradetsky wyszczerzył zęby, przekonany że Dozsa i jego ekipa postanowili dobrać mu się wreszcie do skóry.

- Chodzi o EuroCon, kolego. O Konfederację i o jakiś marsz protestacyjny, o którym ktoś mi mówił.

Hradetsky poprawił się w fotelu. Sam zastanawiał się od dłuższego czasu, kiedy wreszcie Rehling uzna za stosowne wtrącić się do skądinąd nieco chwiejnych przygotowań, jakie prowadzono w ministerstwie przed majowym marszem. Generał Dozsa i szefowie pionów zaczęli już na wyścigi ściągać do Budapesztu oddziały do tłumienia demonstracji, lecz nastroje, z jakimi Hradetsky spotykał się wśród kadry oficerskiej, były co najmniej dwuznaczne. Ośmieleni pojawieniem się politycznej alternatywy wobec władz, oficerowie którzy jeszcze parę miesięcy temu stali murem za Konfederacją - albo tak przynajmniej twierdzili - teraz na wzmiankę o Rehlingu zaczęli robić dziwne miny. Co ciekawsze,

ludzie, którzy dawniej omijali Hradetsky'ego jak trędowatego, teraz przy każdej okazji witali się serdecznie i ściskali dłoń. - Gadaj, co słyszałeś - poprosił.

- Słyszałem nie tak wiele - Silvanus wzruszył ramionami, zdusił papierosa w pełnej popielniczce i przetaił zmęczone oczy. - Na pewno nic ciekawego, tyle ci powiem. Od paru dni mam huk roboty. Załatwiam bilety, rezerwacje, hotele. Wiesz, przyjeżdżają do nas ważni goście.

Hradetsky cierpliwie czekał, aż administrator przejdzie do rzeczy. Słuchało się go przyjemnie, owszem, ale czasami Silvanus za dużo gadał. - Wyobraź sobie, że będziemy gościć w naszym pięknym mieście kilka grup turystów zagranicznych. Dla każdej musiałem pozałatwiać przywitanie na lotnisku, wynajem samochodów, hotele i tak dalej. Ciekawi ci zagraniczni goście, swoją drogą: wszyscy młodzi i wszyscy z samego Paryża. Aha, musiałem im jeszcze załatwić specjalne legitymacje i zezwolenia na broń. Sam widzisz, jaka to ważna delegacja.

- A czy liczna?

- Ba, pięćdziesięcioosobowa!

Hradetsky miał się nad czym zastanawiać. Z jednej strony obecność nawet pięćdziesięciu agentów nie stanowiła jeszcze wielkiego zagrożenia, lecz z kolei nawet tak nieliczna grupa mogła wskutek zbiegu okoliczności pokrzyżować opozycji wszystkie plany. - Kto ma być ich przewodnikiem? Nasz Niemiec?

- Rehling nie wchodzi w grę. Sekretariat spraw wewnętrznych obiecał przysłać kogoś naprawdę ekstra. Słyszałeś o takim Francuzie, który się nazywa Duroc?

- Słyszałem, owszem - pokiwał głową Hradetsky z miną naprawdę niewesołą i poczuł chłód w całym ciele. Najpierw w Sopron, teraz w Budapeszcie... Gdziekolwiek pojawiał się Duroc, zawsze szła za nim śmierć. Wyglądało na to, że Konfederacja zdecydowała się powiedzieć Węgrom „dosyć zabawy”. Trzeba koniecznie ostrzec Kusina i innych. Jeszcze dziś wieczór, o ile się uda. Hradetsky podniósł się z fotela. - Dzięki, Bela. Niby głupstwo, a nie wiadomokiedy taka wiado mość może się przydać. Jestem ci coś winien, z tym, że niestety... - Nic mi nie jesteś winien - Silvanus machnął ręką. - Nie masz u mnie żadnych długów.

- Mam. Wychylałeś się w końcu...

- Głupstwo, przyjacielu. Tak czy siak, idę na dłuższy urlop. Dla

poratowania zdrowia, oczywiście. Niemcy coś chyba zwąchali, zresztą dosyć mam tego nadskakiwania Rehlingowi. Idąc na zieloną trawkę zadam bolesny cios ciemieżcom Węgier, nie uważasz? Niech spróbują połapać się beze mnie w tym, co tu się dzieje!

Hradetsky uśmiechnął się rozbawiony.

- Kiedy odchodzisz?

- Generał znajdzie podanie na biurku jutro rano. Nieważne, i tak nie będzie nas z żoną w mieście, skoro świt wyjeżdżamy do naszej daczy. Mamy taki domek w górach Matra, odludzie po prostu, ani telewizora, ani telefonu. Nic człowieka nie rozprasza, można sobie spokojnie czytać albo ryby łowić. O, właśnie. Jeszcze jeden powód, żeby z tobą pogadać. Wpadło do mnie kilku znajomych, pożegnać się, i tak się jakoś zgadało... - Silvanus przestał się uśmiechać. - Sam też byś dobrze zrobił, gdybyś wyjechał. Mam przeczucie, że w Budapeszcie może już niedługo zrobić się bardzo niezdrowo.

- Przeczucia chyba cię nie mylą - oświadczył Hradetsky i na pożegnanie uścisnął rękę administratora.

- Aha, Zoltan!

Hradetsky zamarł z ręką na klamce.

Silvanus sięgnął do szuflady biurka i rzucił pułkownikowi trójkolorową opaskę w barwach węgierskiej flagi narodowej. - Weź sobie, może wiesz, kto zgubił. Podobno ktoś rozdawał na mieście, wariat jakiś, a już na pewno ktoś nieostrożny. Generałowie sami się dziwili, kto to taki, więc lepiej niech uważa. Hradetsky z poważną miną pokiwał głową i schował opaskę do bocznej kieszeni.

- Dobra, powiem mu, żeby uważał.

Wyglądało na to, że Kusin i pozostali zaczynają być popularni.

I to nawet w najmniej oczekiwanych miejscach.

16 maja - Budapeszt, aleja odchodząca od Placu Bohaterów

Na szczęście pogoda dopisała. Na szczęście, bo maj to w Budapeszcie zwykle najbardziej deszczowy miesiąc. Dziś jednak ranek był słoneczny i bezchmurny. Synoptycy twierdzili wręcz, że będzie gorąco. Pułkownik Zoltan Hradetsky stał obok Kusina i Kiraly'ego, spoglądając na ciągnące ze wszystkich stron na plac gromady ludzi. Dziesiątki tysięcy? Nawet więcej. Strajk generalny zdążył już ogarnąć całe miasto. Większość urzędów i fabryk stanęła, czasem z woli patriotycznej dyirekcji, lecz częściej z woli patriotycznej załogi, która o nic nie pytając wybrała się

na wiec. Stała cała komunikacja miejska, oprócz tych autobusów i pociągów metra, które dowoziły ludzi na miejsce manifestacji. Działacze z opaskami ustawiali tłum w regularne grupy, rozstawiając je wzdłuż szerokiej alei. Inni rozdawali flagi i transparenty. Hradetsky mimochodem dotknął trójkolorowej opaski na rękawie niebieskiego munduru. To Kusin zaproponował, by zamiast po cywilnemu, pułkownik wziął udział w demonstracji w mundurze, żeby pokazać ludziom, iż nie są sami - że wraz z nimi maszerują nawet pracownicy służb państwowych. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli władze zdecydują się zdławić strajk i uliczną manifestację, na oficera policji mogą zacząć polować obie strony, lecz Hradetsky wzruszył tylko ramionami. Miał serdecznie dosyć podwójnej gry. Znów przesunął wzrokiem po coraz liczniejszej ludzkiej gromadzie. Ha, przynajmniej nie będzie uciekał w pojedynkę: w pierwszych szeregach manifestantów stało jeszcze kilku policjantów, ba, nawet oficerów wojska. A wszyscy w mundurach. No, no. Inna sprawa, że umundurowani demonstranci wierzili się i kręcili nerwowo, ale też trudno im się było dziwić. Nie mieli tyle czasu, co Hradetsky, by się przyzwyczaić do myśli, że przysięgę o służbie dla ojczyzny można interpretować na bardzo różne sposoby. Na ulicy widziało się też inne postacie w mundurach. Na pobliskich skrzyżowaniach, lecz w bezpiecznej odległości, rozstawiły się grupki policjantów z grup zabezpieczenia miasta. Demonstranci co rusz podchodzili do nich i namawiali do przyłączenia się do marszu. Czasami namowy skutkowały. Na oczach Hradetsky'ego kilka policyjnych pododdziałów naciągnęło na rękawy trójkolorowe opaski na znak, że są z opozycją. Nadal ani śladu rządowych oddziałów do walki z demonstracjami, ani śladu także ludzi Duroca. Zapewne rozstawili się gdzieś dalej, między budynkami na trasie pochodu i czekają teraz na sygnał do akcji. Tylko o jaką akcję może chodzić? - Mówię ci, żebyś nie robił głupstw - zwrócił się jeszcze raz do Kusina. - Jeżeli się uparłeś, żeby iść, to idź z tyłu. My z Oskarem poprowadzimy kolumnę jak trzeba. - Vlad, posłuchałbyś raz pułkownika - poparł Hradetsky'ego Kiraly. Po co masz się narażać tu, na przodzie. To naprawdę niepotrzebne ryzyko...

- Ryzyko? - powtórzył Kusin. - Pewnie, że ryzyko. Nie tylko dla mnie, dla wszystkich, których tu widzicie. Trzeba pokazać

ludziom, że się nie boimy nadstawić karku.

Na widok zrozpaczonych min obu współpracowników Kusin roześmiał się szczerze i stukając się w pierś dodał: - Dajcie spokój, kochani. I tak mnie nie upilnujecie. Nie wystarczy, żeście mnie ubrali w ten kaftanik?

Rzeczywiście, godząc się na nalegania Kirah'ego, Kusin pod garniturem miał dzisiaj kamizelkę kuloodporną. Na wszelki wypadek, to znaczy na wypadek zamachu czy strzału snajpera. Był to jedyny kompromis, do jakiego udało się go skłonić, bo na nowe nalegania Hradetsky'ego i ochroniarza, by nie wychylać się bez potrzeby, Kusin oznajmił po prostu: - Panowie, nie można okazywać słabości, kiedy się idzie prosto w paszczę przeciwnika. Albo pójdę na czele, albo wcale. Marsz przybrał dla Hradetsky'ego zupełnie nieoczekiwany charakter. Wyglądało na to, że z manifestacji siły pochód upodobnia się coraz bardziej do zabawy zapamiętanej ze starych amerykańskich filmów, w której dwa samochody pędzą wprost na siebie z maksymalną prędkością. Chodziło o to, który z kierowców pierwszy stehórzy i skręci w bok, unikając kolizji. Kusin spojrzał na zegarek, głęboko westchnął i podniósł wesołą, pomarszczoną twarz. - Pora ruszać, panowie. Oskar, bądź tak dobry i daj znak, co? Kiraly skinął głową i za pomocą komórkowego telefonu zaczął wydawać polecenia swoim ludziom, rozstawionym we wciąż rosnącym tłumie. Aparaty i łącza bezprzewodowe stanowiły prezent od sympatyków ruchu z miejskiej centrali telefonicznej. Kolumna ruszyła powoli, utykając raz i drugi, lecz wkrótce marsz nabrał tempa, a tłum rozlał się na całą szerokość alei. Kilka minut później stutysięczna manifestacja zmierzała rażno w stronę brzegu Dunaju i dzielnicy gmachów rządowych wokół parlamentu. Nad maszerującymi kołysały się flagi narodowe i transparenty, wzdymając się w lekkim, zachodnim wietrze. Na samym przodzie szła grupka najtwardszych ludzi Kirayego. w tym byli policjanci i wojskowi. Kije od transparentów, jakie nieśli, były dziwnie grube i masywne. Tuż za czołówką szli Kusin, Kiraly, Hradetsky i reszta opozycyjnej elity. Ci, których poszukiwano listami gończymi, nie kryli się wcale - przeciwnie, nieśli wielkie tablice z hasłami „ścigany za patriotyzm”.

Z tyłu ciągnęli budapeszteńscy, w zorganizowanych grupach albo i spontanicznie. Urzędnicy w garniturach szli ramię w ramię z

robotnikami w kombinezonach i kaskach ochronnych. Z boku kroczyli policjanci, niektórzy z opaskami na rękawach, matki z dziećmi w wózkach, sąsiedzi, znajomi, nieznajomi... Organizatorzy rozstawili nawet wzdłuż trasy marszu kilka orkiestr dętych, żeby rozruszać pochód i trochę rozweselić demonstrantów. Maszerując obok Kusina, pułkownik przyglądał się twarzom w tłumie. W ludzkiej gromadzie czuło się zawziętość i wielką radość, nie czuło się natomiast nienawiści. Pochód zapowiadał się naprawdę wspaniale.

Punkt dowodzenia Akcją Specjalną

W innym obserwatorze ten sam tłum wzbudzał krańcowo odmienne uczucia. Major Paul Duroc wychylił się tak daleko, że nosem prawie dotykał szyby. Obserwował marsz z wychodzącego na aleję okna na drugim piętrze biurowej kamieniczki. Wypożyczył te pomieszczenia od dyrektora francuskiej firmy - niedołęgi, który ciągle powtarzał, jak tęskni za domem. Biuro nadawało się idealnie na punkt dowodzenia. Sztab Duroca był nader nieliczny, gdyż składał się tylko z radiowca i podoficera dyżurującego przy telefonie. Nawet w trójkę można było bez trudności dyrygować specplutonami węgierskiej policji i agentami francuskimi. W razie potrzeby Duroc mógł jednym telefonem wezwać posiłki. Dyrektor DGSE kilkakrotnie podkreślił, że węgierski rząd spełni każdą prośbę Duroca, gdyby tylko zachodziła taka potrzeba. Generałowie, przerażeni sytuacją, która wymykała im się z rąk, gotowi byli chwycić się brzytwy. Gdyby to zależało od Duroca, Kusin i jego współpracownicy na długo przed manifestacją wylądowaliby w areszcie prewencyjnym. Niestety, niezgułowatość i bezmyślność węgierskich władz uniemożliwiły taką akcję. Nie da się w końcu aresztować ludzi, których nie udało się zlokalizować. Duroc zrobił złą minę na widok ogromnego tłumu, walącego całą szerokością alei. Liczebność o niczym jeszcze nie przesądzała. Siły bezpieczeństwa miały w ręku dość atutów - a co ważniejsze, dość przytomności umysłu - by stłumić demonstrację. Stłumić marsz siłą potrafi każdy głupi. Rzecz w tym, by uderzyć szybko i brutalnie, oszołomić i ogłuszyć przeciwnika, nie pozwolić mu się zorganizować i poderwać do walki. Ambicje Duroca sięgały jednak znacznie dalej. Przełożeni w Paryżu uważali, że samo przywrócenie porządku na ulicach Budapesztu to o wiele za mało. Duroc otrzymał polecenie, by raz na zawsze zdławić

węgierską opozycję polityczną. Nic prostszego. Kusin maszerował na samym przodzie, a wraz z nim reszta ludzi z czarnej listy Duroca. Opozycjoniści nie kryli się, opuścili swoje meliny, odsłonili się nareszcie. Odwaga? Prędzej już głupota. Łatwo ich będzie wszystkich wybrać z tłumu. Lata służby nauczyły Duroca przygotować się na wszelką ewentualność, toteż na klatce schodowej biurowca czuwał Michel Woerner i pięciu agentów z bronią automatyczną. Na wszelki wypadek, gdyby sprawy się skomplikowały albo gdyby ktoś próbował się wdrzeć do budynku. Duroc znów przytulił czoło do szyby.

Pierwsze szeregi idiotów tak dziarsko maszerujących na rzeź znalazły się już prawie w przygotowanej pętli. Kusin i jego ludzie wkraczali na Rondo Kodaly'ego - jedno z głównych skrzyżowań, otoczone gmachami, których fasady zakrzywiały się tworząc krąg wokół placu. Sąsiednie ulice zajmowały sklepy, hoteliki i labirynt kamienic mieszkalnych. U wylotów ulic czekały już grupki wysportowanych mężczyzn. Agenci nie kryli się po bramach, choć przystanęli raczej w cieniu, przy ścianach domów, próbując się nie rzucać w oczy. Mieli na sobie zwykłe ubrania, ale trudno ich było wziąć za cywili: milczeli wszyscy i zgodnie na coś czekali. Za nimi, poza zasięgiem wzroku, czekały już suki i opancerzone wozy pełne policjantów w hełmach i z tarczami w ręku. Plan przewidywał, że kiedy francuscy agenci aresztują przywódców marszu, węgierskie siły porządkowe wezmą się za płotki i rozbiją pochód. Bez przywódców tłum powinien się rozbiec jak stado baranów. Maszerujący byli coraz bliżej. Duroc rozróżniał poszczególne sylwetki, lecz gdyby go zapytać czy widzi przed sobą ludzi, wzruszyłby ramionami. Tłum to tłum, przeszkoda, którą trzeba pokonać, by wypełnić zadanie. Dwa piętra w dole rząd węgierskich flag wylał się na śródmiejskie rondo. Teraz! Duroc odwrócił się do łącznościowca. - Zaczynać pierwszą fazę!

Rondo Kodaly'ego

Hradetsky zaklął, bo faceci, którym przyglądał się podejrzliwie od dłuższej chwili, poderwali się do akcji. Spod ich kurtek i płaszczy wyrosły nagle pałki i gazrurki. Trzydziestu czy czterdziestu napastników utworzyło trzy kliny i pędem ruszyło na manifestantów. Z tyłu ubezpieczali ich inni, uzbrojeni w ręczne wyrzutnie granatów łzawiących, z których zaraz też skorzystali, oddając salwę w tłum. Pułkownik okręcił się w miejscu, by ostrzec

towarzyszy. Za późno. Granaty łzawiące zawirowały nad głowami i pacnęły w maszerującą gromadę, rozpylając obłoki białego, duszącego dymu. W dalszych szeregach, oślepionych unoszonym przez wiatr trującym dymem, wybuchła panika. Ludzie przewracali się i próbowali uciekać, płakali i wymiotowali, oszołomieni duszącym gazem. Kilkanaście sekund później Hradetsky, Kusin, Kiraly i kilkuset innych pozostali na rondzie zupełnie sami, odcięci od pochodzącej białą ścianą gazu. Tajniacy podnieśli pałki i starli się z pierwszym szeregiem. Flagi zafalowały i padły, a uciekający ludzie trzymali się za okrwawione twarze. Trzeszczały łamane żebra, ramiona i nogi. Coraz więcej podartych flag padało na asfalt. Nad walczącymi niesły się gardłowe krzyki - węgierskie, a także francuskie. Pierwsi Francuzi przedarli się przez szereg i dysząc rzucili się na Kusina. Dwóch pomocników Kiraly'ego, którzy próbowali ich zatrzymać, padło na ziemię pod ciosami pałek. Zabić skurwysynów! Hradetsky pędem ruszył naprzód, czując że za nim biegną inni. Jeden z pary Francuzów zauważył to i machnął pałką. Hradetsky uskoczył, pochwycił wyciągnięte ramie i wykręcił je, zwalając Francuza z nóg. Agent trzasnął potylicą o bruk. Hradetsky dla porządku kopnął go w żebra i rozejrzał się w poszukiwaniu drugiego napastnika. Rondo Kodaly'ego zmieniło się w ring bokserski. Na asfalcie zaroilo się od ciał, wijących się, a czasem zupełnie bezwładnych. Z ulic na drugim końcu ronda zaczęły wyjeżdżać osiatkowane ciężarówki Csepel, pełne policjantów w hełmach. Kątem oka Hradetsky dostrzegł siwą głowę Kusina pośrodku kłębowiska klnących, szamoczących się ludzi. Kiraly próbował odciągnąć starszego pana na bok i osłonić go od ciosów, jakie padały teraz ze wszystkich stron. Na drodze pułkownika stanął wysoki, masywny Francuz i drapieżnie wyszczerzając zęby zamachnął się okrwawioną gazrurką. Pułkownik znowu uskoczył, zadał cios w odsłonięty żołądek agenta, chybił i odstąpił wstecz. Dwaj przeciwnicy zaczęli krążyć wokół siebie, wypatrując sposobności do ataku. Duroc miał dość kwaśną minę, kiedy patrzył na szaleństwo na placu. Nie docenił talentów taktycznych Węgrów, którzy nadal stawiali zaciekle opór. Czas zaś uciekał. Przepędzone gazem dalsze szeregi demonstrantów znowu zawróciły w stronę ronda, rozwścieczone i gotowe z nową siłą uderzyć na tajniaków. Do cholery, gdzie ten Kusin, gdzie reszta tych głupków? Mając w rękę

wszystkich przywódców opozycji, tajniacy mogli się wycofać, zostawiając pole do popisu specjalnym grupom policji, zaczajonym w bocznych ulicach. Jeśli aresztowanie nie dojdzie do skutku, wszystko na nic. - Panie majorze! Kapitan Miklos prosi o zezwolenie na szarżę! Duroc z pociemniałą od gniewu twarzą odwrócił się od okna. - Niech czeka! Żeby mi nawet nie drgnął! Duroc zapamiętał sobie Miklosa, młodego bruneta, który wraz z paroma innymi oficerami trafił tego dnia pod francuską komendę. Durocowi węgierski kapitan wydawał się niepewny. Podejrzenia te uzasadniało kilka donosów w teczce kapitana. Miklos przy kolegach krytykował węgierskie władze, a co gorsza także i Konfederację. Jednak w obliczu wyzwania, jakie stanowił ruch Kusina, generałowie musieli zdać się nawet na tak słabych oficerów jak Miklos. Duroc miał tego dosyć. Zaczynało do niego docierać, że nie bardzo wie, co się tak naprawdę dzieje. Tymczasem na rondzie Hradetsky odniósł kolejny sukces: wziął na lewe przedramię cios Francuza i nie zważając na przeraźliwy ból w całej ręce, trzasnął agenta kantem dłoni w szyję. Francuz zwalił się na kolana, kurczowo obejmując zgniecioną tchawicę. Co dalej? Kusina ani Kiraly'ego ani śladu. Krzyczeć i nawoływać ich nie miało sensu w ogólnym zamieszaniu. Na rondo wysypywało się coraz więcej demonstrantów, szukających zemsty na ludziach, którzy pokojową manifestację zmienili w krwawą łaźnię. Francuzi z wyrzutniami granatów przerwali ogień i przyłączyli się także do bijatyki, idąc w sukurs kolegom. - Zoltan!

Hradetsky spojrział w stronę, skąd dobiegł go krzyk, by ujrzeć jak Kiraly pada pod ciosami kilku pałkarzy. Wielki Boże! Pułkownik zrobił dwa kroki i nagle poczuł, że potylica rozpada mu się na kawałki. Bóć okazał się tak okropny, że Hradetsky opadł na czworaki. Tajniak zadał nowy cios, tym razem celując w żebra ofiary. Ciemność i skowyczący ból na mgnienie rozmyły całą rzeczywistość. Na szczęście któryś z ludzi Kiraly'ego rzucił się na tajniaka. Pomogło mu pięciu czy sześciu następnych demonstrantów.

Hradetsky patrzył spod przymkniętych powiek, jak cywile i policjanci w opaskach biją i kopią nieprzytomnego Francuza. Sam niepewnie pozbierał się z jezdni i zachwiał się, czując zawrót głowy. Przy każdym oddechu czuł w boku przeszywający, ostry ból. Wiedział, że ma złamane a może tylko potłuczone żebra - i sam

dziwił się, że w takiej chwili, w tak wielkim szoku potrafi zdobyć się na chłodną, kliniczną ocenę sytuacji. - Maja Kusina!

Czyjś rozpaczliwy krzyk przedarł się przez adrenalinowy spokój, sprawiając, że pułkownik szeroko otworzył oczy. Garść Francuzów, jacy stali jeszcze na nogach, rzeczywiście zaczęła się wycofywać, unosząc ze sobą grupkę jeńców. Większość tych ostatnich stanowili opozycjoniści z tekturowymi tablicami „poszukiwany za patriotyzm”, lecz dwóch tajniaków wlokło między sobą siwowłosego przywódcę demonstracji. Głowa wleczonego z wysiłkiem Kusina kołysała się bezwładnie, co oznaczało, że starszy pan nie żyje albo stracił przytomność. Pasja Hradetsky'ego po wielu miesiącach znalazła wreszcie ujście i eksplodowała kaskadą białego żaru. Pułkownik wyprostował się, zachwiał na miękkich nogach, zebrał w sobie i odzyskał oddech. Po sekundzie gnał już w ślad za Francuzami, a za nim biegła reszta tłumu. Ludzki krąg zacieśniał się z każdą chwilą wokół agentów Duroca, otoczonych teraz falującą barykadą ze splecionych ramion. Ilekroć Węgrzy i Francuzi zderzali się ze sobą, dochodziło do zażartej bijatyki. Bito się na oślep, zębami i pazurami, na nic już nie zwracając uwagi. Hradetsky'ego od ludzi Duroca dzieliło już tylko parę metrów. Wreszcie prześliznął się pod żywym kordonem tajniaków. Francuzi zaczęli machać rękami w stronę oddziałów szturmowych policji, które stały biernie w odległości zaledwie stu kroków. Było jasne, że osłabiona grupa lada chwila wpadnie w panikę. Chociaż cel był już blisko, ucieczka nie mogła się udać. Największy osiłek od Kiraly'ego, niedźwiedziowaty były sierżant węgierskiego wojska, wdarł się głęboko we francuską falangę, podniósł i odrzucił na bok tajniaka wlokącego Kusina i z radosnym okrzykiem zabrał się za następnego prześladowcę. Hradetsky z odległości paru kroków widział wszystko jak na zwolnionym filmie. Zamiast odskoczyć od napastnika albo puścić Kusina, drugi Francuz wsunął dłoń do kieszeni kurtki, błyskawicznie wyszarpnął pistolet i natychmiast wsadził dwa pociski w klatkę piersiową sierżanta. Węgier padł na wznak, prysnęła krew, a Hradetsky, który sam sięgał po pistolet, wrzasnął: - Padnij! Wszyscy padnij! Pozostali Francuzi w przekonaniu, że to już koniec, również sięgnęli po broń. Pułkownik rozpoznał niemieckie pistolety maszynowe MP5K w specjalnej krótkolufowej wersji, w sam raz do

ukrycia pod kurtką. Agenci otworzyli ogień celując prosto w otaczający ich tłum. Nie oddali ostrzegawczych strzałów w powietrze. Było jasne, że chcą ołowiem utorować sobie drogę ucieczki. Tuziny demonstrantów padły pod kulami. Inni, którzy uniknęli dziewięciomilimetrowych pocisków, upadli pośród zabitych i rannych, by ocalić życie. Hradetsky przyklęknął na jedno kolano, mierząc z trzymanego oburącz służbowego pistoletu. Za cel obrał tego samego agenta, który zastrzelił węgierskiego sierżanta. Dwukrotnie nacisnął spust. Pierwszy pocisk trafił Francuza w ramię i prawie go zwałił z nóg. Drugi przedziurawił mu czoło, pozostawiając w skórze czerwony otworek. Pułkownik prędko rozejrzał się za następnym celem, przeklinając pod nosem demonstrantów, którzy co rusz przesłaniali mu linię strzału. Mierzył to tu, to tam, czekając aż w ludzkim kłębowisku otworzy się luka. Miał zaledwie ułamek sekundy na decyzję. Czy strzelać do tajniaków wlokących Kusina w stronę szpaleru policji z tarczami? Czy też w pierwszego Francuza, który zwróci lufę ku demonstrantom? Jeden z ludzi Duroca rzeczywiście wymierzył broń w tłum i oddał kilka krótkich serii między rozkrzyczanych mężczyzn i kobiety. Z tej odległości nie mógł chybić. Na asfalt zwały się kolejne ofiary. Hradetsky zmrużył oko i posłał kolejną kulę. Francuz zatoczył się i upadł twarzą na bruk, w ślad za ludźmi, których zastrzelił. Z jego pleców ciurkała strużka krwi. Inni francuscy agenci oddalali się, przeskakując przez rzędy ciał i strzelając do wszystkich, którzy stali na ich drodze. Dwóch odwróciło się jeszcze i zaczęło strzelać w tłum wylewający się z alei na rondo, by powstrzymać pogoń. W powietrzu nad głową Hradetsky'ego zatrzeszczały kule. Pułkownik padł plackiem, kryjąc głowę za zwłokami jednego z zastrzelonych Francuzów. Od strony tłumy dobiegały go krzyki i jęki trafionych. Podniósł głowę i prędko rzucił okiem przed siebie. Agenci Duroca zdążyli już dobiec w bezpieczne miejsce, czyli do szpaleru policjantów w hełmach i z tarczami. Policjanci, którym przyszło biernie obserwować całą masakrę, mieli pobladłe twarze. Na Francuzów czekał już rząd ciężarówek i pojazdów pancernych. Agenci odsadzili się poza zasięg strzału. Z tej odległości zabłąkana kula mogła trafić Kusina albo któregoś z węgierskich policjantów.

Hradetsky'emu chciało się płakać z bezsilnej złości. Przegrali!

W tej samej chwili cały świat stanął do góry nogami. Kapitan Ferenc Miklos z niedowierzaniem w oczach gapił się na coraz bliższą gromadkę Francuzów i ich posiniaczonych jeńców. Czy ci ludzie naprawdę myślą, że po tym co zrobili, schowają się za oddziałami policji? Po tym, jak kazali Miklosowi przyglądać się masakrze Węgrów? Kapitan zagryzł wargę do krwi. Rondo Kodaly'ego przypominało rzeźnię. Zabici i ranni leżeli jedni na drugich tam, gdzie dosięgnęły ich pociski i pałki. W przewróconym wózku kwiliło niemowlę. Obok leżała matka, wpatrzona w niebo szklistym, nieruchomym wzrokiem. Kapitan słyszał coraz głośniejsze pomruki w szeregach podkomendnych. Nikt spośród nich nie spodziewał się takich scen - podobnie jak sam Miklos, który pamiętał treść przysięgi składanej przez kadetów. Policja miała strzec prawa i porządku, zgoda, ale czyjego prawa? Czyjego porządku? Prawa Węgier czy praw Francji i Niemiec? Porządku, w myśl którego byle demonstracja stawała się aktem zdrady stanu? Praw, które pozwalały mordować na oślep? Francuzi byli tuż tuż. Za sobą wlekli pojmanych, ponaglając ich ciosami kolb. Pierwszy z agentów, o ostrych, aroganckich rysach twarzy, machnięciem pistoletu maszynowego rozkazał Miklosowi i jego ludziom, by uczynili przejście. W niskim, ciemnowłosym policjancie coś nagle pękło. Wiedział, że musi coś postanowić, coś zrobić, nawet jeśli przyjdzie mu samemu zaaresztować Kusina i pozostałych. Dlatego zastąpił Francuzowi drogę i krzyknął: - Stać!

Arogancja na twarzy agenta zmieniła się w strach. Zanim Miklos zdążył się nacieszyć tym widokiem, już po sekundzie, Francuz wsadził mu lufę w żołądek i nacisnął spust. Węgierski kapitan policji umarł śmiercią męczennika zanim zdążył się zdecydować, po czyjej właściwie jest stronie. Hradetsky pozbierał się z ziemi zanim umilkło ostatnie echo serii. Czy Duroc i jego ludzie oszaleli? Pięćdziesiąt metrów przed pułkownikiem szpaler policjantów wbił wzrok we francuskich agentów, a potem w rozciągnięte na ulicy ciało kapitana Miklosa. Potem podniosły się pałki i cały szereg runął na Francuzów. Znowu zastukotały pistolety maszynowe, znów zaczął się krwawy chaos. Węgierscy policjanci padali od wystrzelonych z bliska serii, lecz pod ciosami migających pałek padli także pierwsi agenci Duroca, Kiedy Hradetsky biegł w tamtą stronę, spostrzegł, że do walczących policjantów przyłączają się nowe pododdziały,

okrażając Francuzów. Demonstrantów policja zostawiła w spokoju. Ocalała grupa agentów uciekała, lecz bynajmniej nie w stronę przygotowanych specjalnie dla Francuzów ciężarówek. Tajniacy umykali w stronę jednej z dwupiętrowych kamienic przy rondzie. Kiedy znikali za drzwiami, nadal dźwigali bezwładnego Kusina. Kilku policjantów w hełmach zaczęło się szarpać z drzwiami, lecz w tejże chwili padli na ziemię, zwaleni z nóg seriami z automatu. Strzelano ze środka. Policjanci rozstawili się za barykadą z ciężarówek i wozów pancernych. Za nimi stanęli kręgiem manifestanci. Hradetsky chyłkiem, aby nie stanowić łatwego celu, przeciskał się między skulonymi szeregami, szukając najstarszego rangą oficera. Major, którego w końcu znalazł, klęczał przy ciężko rannym kapralu. - To wasi ludzie?

- A czyi, kurwa, jak nie moi! - warknął major i podniósł na Hradetsky ego nieprzytomny wzrok. Na widok dystynkcji na naramiennikach Hradetsky'ego otworzył oczy jeszcze szerzej. - Przejdzie pan pod moje rozkazy?

Major przesunął wzrokiem po trójkolorowej opasce na rękawie policyjnego munduru Hradetsky'ego, wyprostował się i spojrzał na konającego, dyszącego ciężko kaprala. Kiedy znów podniósł oczy, jaśniało w nich nowe zdecydowanie. - Przejdę, panie pułkowniku. Ja i reszta ludzi.

- To dobrze.

- Zoltan! - rozległo się znowu.

Hradetsky ujrzał, jak kuśtyka ku nim Oskar Kiraly. Blondas chwiał się na nogach i wydawało się, że zaraz zemdleje z bólu. Z otwartej rany nad okiem spływała mu po całej twarzy krew. - Gdzie jest Kusin?!

- Tam, w środku. - Hradetsky wskazał drzwi kamieniczki. - Francuzi wzięli go ze sobą.

- Niemożliwe! Boże, niemożliwe! - Kiraly walnął pięścią w stalową burtę ciężarówki. Obok krwi po twarzy ściekały mu teraz łzy. - Ale dałem dupy! Przecież go miałem pilnować!

Pułkownik złapał go za nadgarstek i odciągnął od ciężarówki, a potem niezbyt głośno lecz dobitnie powiedział: - Nikt z nas nie mógł nic poradzić. Nikt, słyszysz? Ale jeszcze nie koniec, więc się opanuj. Chcesz się mazać? Proszę bardzo, ale później. Na razie jesteś potrzebny, więc weź się w garść, chłopie!

Puścił rękę Kirayego i zostawił go na chwilę, by blondas sam

doszedł do siebie. Na plac wlewały się tymczasem nowe tysiące ludzi. Część próbowała opatrywać rannych albo w przerażeniu przyglądała się straszliwej masakrze. Większość ciągnęła jednak nieustępliwie w kierunku centralnych dzielnic i tamtejszych budynków rządowych. Manifestanci zapomnieli o pokojowych hasłach. Domagali się natychmiastowej zemsty za to, co się wydarzyło na rondzie. Pozostali przy życiu ochroniarze Kiraly'ego strzegli oddziałów policji, osłaniając je przed atakiem demonstrantów. Inni szli wzdłuż szpaleru policjantów, rozdając wszystkim opaski. Zwyczajna zadyma zaczynała się przeradzać w otwartą rebelię. Hradetsky zastanawiał się przez chwilę czy wszystko to ma jakąkolwiek szansę powodzenia, a potem wzruszył ramionami. Czasem zamiast dyktować własne warunki trzeba nadać za sytuacją. Ludzie zamierzali wziąć władzę w swoje ręce. Hradetsky mógł tylko dopilnować, by rewolta odbyła się możliwie szybko, stanowczo i bezboleśnie. Poszukał wzrokiem oficera, z którym rozmawiał przed chwilą. - Panie majorze, proszę nawiązać łączność radiową z wszystkimi komendami policji i jednostkami wojskowymi w mieście. Proszę wszystkim przekazać wiadomość o masakrze. Ze szczegółami! Rozumie pan?

Major prędko przytaknął, zadowolony, że pierwszy rozkaz może wykonać w zupełnej zgodzie z sumieniem, i prędko odszedł w stronę ciężarówki z anteną. Pułkownik odwrócił się do Kiralyego, który zdążył się już trochę uspokoić i choć nadal chwiało się na nogach, wydawał się przytomniejszy. - Oskar, chcę żebyś dowodził oddziałami na rondzie. Zbierz ludzi, niech otoczą tych skurwysynów. - Kiedy wskazywał na dwupiętrowy budynek, pochylił głowę, bo gdzieś niedaleko trzasnęła nowa seria z automatu.

- Co, mam ich zaatakować?

- Skąd! Gołymi rękoma, bez broni? Duroc i jego ludzie mają tam na pewno cały arsenał.

Na znak, że Hradetsky się nie myli, chodnik przed bramą wejściową budynku dziobnęły kolejne pociski. Policjanci i cywile, którzy szykowali się do następnej próby, uskoczyli za ciężarówkę, - A ty? Nie zostajesz z nami?

- Ja? Idę na parlament! - warknął Hradetsky. - Ty tylko przytrzymaj mi te świnię pod kluczem. Musimy wyłapać prawdziwych sprawców tej rzeźni. A jak już wyłapiemy...

-Kiraly przytaknął ponuro. Za odsprzedanie kraju obcym

mocarstwom, wojskowe władze powinny zapłacić głową. ?

Punkt dowodzenia Akcją Specjalną

Major Paul Duroc najchętniej rozszarpałby podwładnych na strzępy.

Od dobrej godziny gromadka ocalałych agentów tkwiła w przeklętym biurówcu jak w pułapce, uwięziona w płonącym, ogarniętym rozruchami mieście. Z klatki schodowej znowu dobiegły ich wystrzały. Woerner i jego ludzie odpierali kolejny atak tłumu. - Panie majorze! Straciliśmy łączność z MSW! Parlament też nie odpowiada! Telefony tak samo...

Duroc westchnął i przeniósł wzrok ponad dachy Budapesztu. Gdzieś z centrum miasta biły w niebo kolumny dymu - białe chmury gazu łzawiącego mieszały się z czarnymi kłębam, buchającymi z podpalonych budynków i pojazdów. Przez rondo co chwila przelatywała z rykiem motorów nowa kolumna policyjnych suk. Cywile i policjanci wewnątrz wozów wznosili do góry zaciśnięte pięści, a na antenach ciężarówek furkotały trójkolorowe proporczyki. Duroc przegrał - przegrał przez tchórzostwo własnych ludzi, choć głównie dlatego że zdradziła go węgierska policja.

Kolejne okno rozprysnęło się po wnętrzu ławicą szklanych odłamków. Snajperzy w oknach po drugiej stronie ronda poczynali sobie coraz śmieiej. Naprawdę pora była się zbierać. Duroc dał znak łącznościowcowi przy radiostacji. - Depesza do ambasadora. Niech natychmiast ewakuuje placówkę. - A kiedy wystraszony radiowiec sięgał po mikrofon, Duroc dorzucił: - Potem łącz się zaraz z kapitanem Gille. Ma w tej chwili przysłać śmigłowce!

? Rondo Kodaly'ego

Oskar Kiraly z gorzkim smakiem porażki w ustach patrzył, jak drugi przeciążony śmigłowiec typu Puma odrywa się z wysiłkiem od dachu i wykręca na południowy wschód, w kierunku międzynarodowego lotniska. Było jasne, że Francuzi zdołają uciec z kraju.

Pospiesznie zebrane siły rebeliantów nie wskórały dokładnie nic w starciu z wyszkolonymi komandosami, a policyjne pistolety i parę strzelb myśliwskich w porównaniu z tą ilością broni maszynowej wzbudzały tylko śmiech. O skutkach starcia najlepiej zaświadczały liczne ciała węgierskich policjantów i cywili, zaścielające ulicę i klatkę schodową budynku. Duroc i jego ludzie uciekali z Węgier, unosząc ze sobą do Paryża jeńca - Władę Kusina.

Gmach Parlamentu, Biuro Premiera Rządu

Pułkownik Zoltan Hradetsky zgarbił się nad planem miasta, jedną ręką zaznaczając najważniejsze pozycje a drugą przyciskając do ucha słuchawkę telefonu. - Dokładnie tak, jak powiedziałem, kapitanie. Macie patrolować całą szosę M1. Jeżeli wasi ludzie spostrzegą jakieś podejrzanе ruchy, nie wiem, kolumnę czołgów, transporterów czy choćby jedną zasraną ciężarówkę z wojskiem, niech zaraz dadzą znać. Czy to jasne? Ach, jasne? Świetnie. Wykonać rozkaz, no i powodzenia. Odłożył słuchawkę i zakreślił na drugiej mapie kolejną linię. Szosa M1 biegła z Budapesztu na zachód, w stronę Győr, Sopron i granicy austriackiej. Przy szosie M1, siedemdziesiąt kilometrów od Budapesztu, leżała też miejscowość Tata, a w niej sztab najpotężniejszego korpusu pancernego węgierskiej armii. Jeśli wojsko postanowi zdławić rebelię siłą, pierwsze czołgi zwrócą lufy ku miastu właśnie z tego kierunku. Hradetsky miał nadzieję, że obejdzie się bez interwencji wojska. Od kilku godzin budapeszteńska telewizja na wszystkich programach nadawała zdjęcia nakręcone na rondzie, w tym sceny, na których agenci EuroConu bez ostrzeżenia i nie zaczepiani mordują pełniących służbę policjantów. Po obejrzeniu paru takich migawek nikt już nie pytał, dlaczego budapeszteńczycy wzięli w swoje ręce nie tylko władzę ale także wymiar sprawiedliwości. Pułkownik dokończył pracy nad mapą i rozejrzał się po gwarnym gabinecie. Umundurowani policjanci urzędowali ramię w ramię z cywilami w garniturach albo w dżinsach, próbując zaprowadzić w mieście jaki taki porządek. Wszyscy mieli na rękawach trójkolorowe opaski i wszyscy walili się z nóg ze zmęczenia. Hradetsky czuł, że łzawią mu oczy. Nawet tutaj, w biurach rządu, czuło się w powietrzu woń gazu łzawiącego i dymu - świadectwo starć, które trwały aż do późnego popołudnia. Wspierany przez policję tłum bez większych trudności wdarł się do parlamentu i do poszczególnych ministerstw. Większość nielicznych sił policji i bezpieczeństwa, które zamiast się przyłączyć do rebelii, pozostały wierne generałom, straciła życie albo ukrywała się po piwnicach. Ich mocodawcy, przerażeni pierwszymi doniesieniami o masakrze na rondzie, uciekli tą samą trasą, co specjalny komisarz Konfederacji, ambasadorzy Francji i Niemiec, a także cała masa rządowych płotek. Oczywiście nie wszystkim udało się w porę zbiec. W przedpokojach biura czekało

pod zbrojną strażą kilku przerażonych więźniów, wśród których znajdował się niewysoki mężczyzna w pomiętoszonym i podartym, dawniej tak nieskazitelnym mundurze. Pułkownik w skrytości ducha cieszył się jak dziecko, że wśród pojmanych znalazł się właśnie generał brygady Imre Dozsa. Na razie jednak pułkownik podszedł do osamotnionego w kącie i wciąż przygnębionego Oskara Kiraly'ego. Rozrachunki z Dozszą musiały poczekać. Teraz Hradetsky miał przed sobą ważniejsze i pilniejsze sprawy. - Oskar, musisz znowu zwołać ludzi i coś dla mnie zrobić. Jeszcze tej nocy.

Kiraly podniósł się, sycząc z bólu. Rana na czole otworzyła mu się znowu. - Zrobię, co zechcesz, tylko mi powiedz co.

- Macie odszukać wszystkich waszych przywódców, którzy są na wolności i przeżyli rondo. Sprowadź ich tutaj jak się tylko da najszybciej.

- Dlaczego?

- Dlatego - Hradetsky wskazał na miasto za oknem. Całe dzielnice trwały ogarnięte ciemnością, gdyż w chaosie i przy trwających pożarach ustał dopływ prądu do stolicy. Na tle czarnego nieba gorzały czerwone łuny od płonących budynków.

- Dlatego że rano, kiedy kraj się obudzi, musimy już mieć nowy rząd.

-

16

Kurs na zderzenie

18 maja - Paryż

Nicolas Desaix z nieukrywaną pogardą spojrział na rządęk węgierskich generałów, przekraczających próg gabinetu. Sekretarze pospiesznie usadzili gości w fotelach naprzeciwko biurka. Desaix nie uznał nawet za stosowne przywitać się z przybyłą grupą. Zebracy i niezguły nie zasługują na normalne traktowanie. Na grzeczność trzeba sobie zapracować. Tymczasem Węgrzy zamiast się bronić czmychnęli z własnej stolicy, zawiedli zaufanie Konfederacji i postawili europejską unię w obliczu kryzysu, którego można było uniknąć. Minister prawie minutę trzymał przybyłych w napięciu, po czym oświadczył: - Panowie, będę brutalny w sformułowaniach. Większość moich kolegów uważa, że powinniśmy was odesłać waszym wrogom i za tą cenę szukać kompromisu z rebeliantami, którzy opanowali Budapeszt.

Urwał, czekając aż tłumacz wyjaśni generałom kwestię. Wyglądało na to, że mało który z nich znał francuski. Troglodyci!

Zaniepokojeni surowym tonem i ostrymi słowami ministra, wojskowi odruchowo skierowali spojrzenia ku przywódcy komitetu, którym był generał Laszlo Bruk. Wysoki, siwiejący oficer zdążył w ciągu niewielu lat przedzierzgnąć się z komunisty w socjaldemokratę, z socjaldemokraty w liberała, z liberała w naczelnika junty wojskowej, a wreszcie z dyktatora w uchodźcę politycznego. Generał Bruk trzymał się nieodmiennie jednej zasady, to jest, by nie dać się prześcignąć w oportunizmie. Teraz również poderwał się z fotela i wyrzucił z siebie: - Spieszę pana zapewnić, panie ministrze...

- Niepotrzebne mi pańskie zapewnienia, generale. Mnie są potrzebne konkrety.

Bruk sztywno skinął głową.

- Naturalnie, panie ministrze. Sam osobiście...

- Osobiście zapewnił pan moich podwładnych, że nadal macie za sobą wojsko. Czy to prawda?

- Oczywiście - odrzekł Bruk i prędkim spojrzeniem omiótł resztę oficerów. Żaden na szczęście nie próbował zaprzeczać. Na pewno nie w obecności rozeźlonego francuskiego polityka. - Rozmawiałem właśnie z dowódcą naszego I Korpusu, jest przekonany, że zgniecenie tej rebelii to kwestia paru dni. Tygodnia najdalej.

- Czyżby? - Desaix uniósł brew.

- Kiedy padnie Budapeszt, prowincja podporządkuje się legalnej władzy - rzekł z przekonaniem Bruk.

W to Desaix było już łatwiej uwierzyć, gdyż Budapeszt od zawsze stanowił ośrodek nerwowy całych Węgier - największe skupisko przemysłu, centrum administracji i kultury. Odbicie stolicy bez wątpienia złamałoby kręgosłup całej parodniowej rebelii. Desaix nachylił się ponad biurkiem. - W takim razie proszę bardzo.

Macie panowie tydzień czasu, żeby doprowadzić kraj do poprzedniego stanu. Siedem dni. Jeżeli znów się wam nie uda, mój rząd rozpatrzy inne, o wiele mniej przyjemne środki. Czy wyrażam się w sposób zrozumiały?

Bruk milczał. Desaix nie spuszczał z niego wzroku.

- No, słucham?

- Wyraża się pan jasno, panie ministrze.

- Doskonale - Desaix nacisnął jeden z guzików na blacie. W

odpowiedzi do gabinetu wszedł asystent i otworzył na oścież drzwi. - W takim razie nie ma tu już nic do dodania. Przynajmniej na razie. Życzę wam miłego dnia, panowie.

Po tych słowach Desaix zagłębił się w papierach, nie zwracając uwagi na opuszczających gabinet zmieszanych wojskowych. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, podniósł jednak słuchawkę i zażądał: - Łączyć z sekretariatem obrony. Chcę rozmawiać osobiście z Guichy.

Węgierscy wojskowi raz już zawiedli Konfederację. Desaix wcale by się nie zdziwił, gdyby zdarzyła im się druga podobna porażka.

19 maja - Budapeszt, gmach Parlamentu

Pułkownik Zoltan Hradetsky zmrużonymi oczami obserwował łaciate śmigłowce szturmowe, które krążyły nad dachami stolicy na podobieństwo leśnych drapieżców. Po trzech dniach rewolty życie w Budapeszcie wracało prędko do normy. Ugaszono większość pożarów, wznowiono dostawy prądu, zaczęła działać poczta i centrala telefoniczna. Otworzyły też podwoje sklepy i zakłady, przynajmniej te węgierskie. Po dniach chaosu i walk ulicznych, wszystkim pilno było wrócić do upragnionej normalności. Było jednak jasne, że cisza nie potrwa długo.

Tuż za miastem czuwało wojsko. Wszystkich dróg dojazdowych strzegły plutony pojazdów pancernych i czołgów. Główne siły, w postaci trzech brygad z I Połączonego Korpusu Armijnego, okopały się dalej od miasta, na okalających Budapeszt od zachodu wzgórzach. Do tej pory wojsko pozostawało głuche na wszystkie próby rokowań i pertraktacji ze strony rządu tymczasowego- Hradetsky doskonale wiedział, że zmasowane pod stolicą oddziały z łatwością przebiją się przez barykady. Tych ostatnich bronili lekko uzbrojeni policjanci, żołnierze z brygady artylerii, którzy przyłączyli się do rewolty, a także jedna jedyna bateria raketowych pocisków przeciwlotniczych z wojsk obrony powietrznej. Naprzeciwko barykad stały zaś czołgi i dobrze wyćwiczone oddziały. Jeśli armia zdecyduje się ruszyć przeciwko Węgrom, kolejna budapeszteńska próba demokracji mogła się zakończyć bardzo szybko.

Wysunięte stanowisko dowodzenia

I Połączonego Korpusu Armijnego pod Budapesztem

Stanowisko dowodzenia w stu procentach odpowiadało regulaminowym normom na ten temat. Prawidłową długość miały nawet paliki, na

których rozwieszono siatkę maskującą. Pozycję wkopano w przeciwstok wzgórza, z którego widać było w oddali stolicę. Siatki maskujące i gałęzie zapewniały ochronę przed wykryciem pozycji z powietrza, co było najzupełniej zbytecznym środkiem ostrożności. Lotnictwo węgierskie nadal zastanawiało się, co dalej, wskutek czego buntownicy nie dysponowali ani jednym samolotem bojowym. Regulamin mówił jednak swoje. Generał broni, Emil Lakos, dowódca I Korpusu, godzinę przed świtem przybył na wzgórze na pokładzie śmigłowca. Nie wyróżniał się posturą, lecz znano go z tego, że gdziekolwiek wetknął puciołowate oblicze, natychmiast zaczynał się czepiać każdego szczegółu, i to z energią często godną lepszej sprawy. Podobnie było i teraz. Wszyscy obecni na stanowisku oficerowie sztabowi i żołnierze truchleli na myśl, że za chwilę stary może im wyrosnąć za plecami i po przyjacielsku zacznie szukać dziury w całym. Mało kto dbał o regulamin równie ściśle jak Lakos.

Jak na wysunięty, prowizoryczny punkt dowodzenia, wkopany w stok wzgórza sztab imponował rozmachem. W osobnych ziemiankach mieściły się tu stanowisko łączności radiowej, pozycje obserwatorów artyleryjskich, bunkry dla koordynatorów działań lotnictwa i broni specjalnej, a także pomieszczenia noclegowe dla sztabu i wzmocnione schrony na wypadek „nieprzyjacielskiego nalotu”. Najdalej do przodu wysunięto pozycję obserwatora artyleryjskiego. Okop obserwatora miał w dodatku daszek, użyczający miłego cienia. Generał Lakos uznał, że z takiego okopu prowadzenie wojny to sama przyjemność. Z wysuniętego stanowiska widać było przedmieścia Budapesztu. Centrum miasta skrywała jeszcze mgła, w której przebłyskiwała tylko srebrzysta wstążka Dunaju. Nawet w obszernym okopie generał i dowódca jego artylerii zajmowali mnóstwo miejsca. Dyżurny obserwator i dwójka jego pomocników musieli się tłoczyć w jednym końcu wykopu, lecz trudno - Lakos chciał przedstawić swój plan na modelu pogładowym, jakim było żywe miasto na horyzoncie. Tubalnym głosem wywodził właśnie: - Tamci mogą obrócić przeciwko nam najwyżej artylerię. Reszta się nie liczy. Zanim na nich ruszymy, zrobimy porządne przygotowanie artyleryjskie, ale takie, żeby ich wgniotło w ziemię! Aha, trzeba będzie też rozwalić im tę baterię rakiet przeciwlotniczych. Śmigłowce muszą swobodnie latać nad miastem. A więc popatrzmy... - Lakos stuknął palcem w kilka punktów na

mapie. - Ich baterie okopały się tu, tu, i tutaj. W pierwszej fazie przygotowania skupimy na nich cały ogień. Niech pan zadba, żeby strzelać na zmianę odłamkowymi i burzącymi.

Dowódca artylerii w I Korpusie, pułkownik Kemeny, nie potrzebował tych pouczeń. Był wyższy, bardziej smagły i dziesięć lat młodszy od generała. Co więcej, nie podobał mu się bez troski ton, z jakim przełożony mówił o ciężkim ostrzale miasta. - Ależ panie generale, rebelianci mają raptem parę dział, nie wiele amunicji i zerowy system prowadzenia ognia. Założę się, że nie znajdują wyszkolonych obserwatorów...

Lakos udał, że nie słucha i już chciał podjąć przerwana kwestię, gdy pułkownik zebrał się w sobie i przerwał mu raz jeszcze: - Między budynkami będą mieli bardzo ograniczone pole ostrzału. Możemy z góry wyliczyć, gdzie są martwe pola i zaatakować właśnie tamtędy, a kiedy wojsko wejdzie do miasta, ogniem bezpośrednim...

- Chwileczkę, pułkowniku! - uciął Lakos - Umówmy się z góry, że kiedy ruszymy na miasto, rebeliantom nie może zostać - ani jedno dział. Nie obchodzi mnie czy ich baterie mogą nam zaszkodzić mocno, czy tylko trochę. Nie będę narażał ani jednego żołnierza. Korpus ruszy do szturmowania dopiero wtedy, kiedy artyleria i śmigłowce zniszczą wszystkie pozycje rebeliantów. - Panie generale, nawała ogniowa spowoduje straty wśród ludności, to pewne! - Kemeny spróbował z innej beczki. - Co będzie z miastem? Jeden zabłąkany pocisk i pozbędziemy się zabytków. Co będzie, jeśli trafię w Św. Stefana? To miasto już się parę razy paliło, więc po co... Moim zdaniem największe zagrożenie to policjanci okopani na przedmieściach. Ich też łatwo zmieciemy, położymy zasłonę dymną, a potem...

Rysy generała stwardniały, a w głosie rozbrzmiała bardzo zła nuta. - Jeżeli powie pan jeszcze jedno słowo, pułkowniku, odsunę pana od dowodzenia i każę zamknąć - Lakos znacząco postukał się po kaburze, a szef sztabu i dwójka jego pomocników widząc to podeszli natychmiast bliżej.

Kemeny zamilkł, usiłując nie wybuchnąć. Następne słowa generała wcale go nie uspokoiły. - Rozumiem pańskie obiekcje, ale zależy mi na tym, by z buntownikami rozprawić się szybko i skutecznie. Władze powierzyły mi zadanie przywrócenia porządku. Potrzebne mi absolutne posłuszeństwo, nie dyskusje. Ja też nie

chcę długich walk w mieście. Mamy wkroczyć do Budapesztu jako zwycięzcy, nie najeźdźcy. Dlatego proszę o pańskie oficcerskie słowo honoru, że wykona pan mój każdy rozkaz. Daje pan słowo? Kemeny z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Tak jest.

- W takim razie do dzieła. Nie możemy dłużej się cackać, pułkownik. Za godzinę otwiera pan ogień.

- Rozkaz.

Lakos przyjrzał się jeszcze raz podwładnemu i najwyraźniej uspokojony skinął głową. Trzeba umieć sobie radzić z szemraniem w szeregach. Generał odwrócił się i również opuścił okop, maszerując do ziemianki z radiostacją. Trzeba było jak najszybciej zawiadomić Bruka i resztę czekających w Paryżu kolegów. Osamotniony nagle Kameny z niedowierzaniem kręcił głową. Jeszcze raz spojrzął na miasto mające na horyzoncie, a potem na trzymany w ręku szkic z zadaniem ogniowym. Pułkownik miał pod sobą ponad sto armat i haubic. Całodobowy ostrzał, jaki wymyślił Lakos, musiał zmienić Budapeszt w płonąca ruinę, a ilość ofiar cywilnych mogła pójść w setki albo i tysiące. Kameny wiedział, że właśnie on sam będzie miał śmierć tych ludzi na sumieniu. Tyle krwi... Pułkownik wzdrygnął się i podniósł wzrok na przyglądających mu się z dziwnymi minami artylerzystów. W ich spojrzeniu było coś, co kazało Kamenemu powiedzieć: - Proszę uważnie słuchać, kapitanie! Rozkaz o otwarciu ognia przyjmie pan tylko i wyłącznie ode mnie. Ode mnie i od nikogo innego, zrozumiano!?

- Tak, panie pułkowniku.

Kemeny złożył szkic i schował go do kieszeni. Wiedział, że godzina to niewiele czasu jak na kilka czekających go dość niebezpiecznych rozmów. Generał broni, Emil Lakos, siedział w namiocie sztabowym, skrupulatnie sprawdzając każdy szczegół rozkazów bojowych, jakie miały trafić do rąk czołgistów i dowódców piechoty zmotoryzowanej. Ze skupienia wyrwał go dopiero daleki łoskot silników wysokoprężnych - znak, że wozy bojowe zmieniają pozycję na bardziej dogodną. Hałas jednak, zamiast słabnąć, nasilał się z każdą chwilą. Generał podniósł głowę. Coś za dużo tych silników... Chyba cała kompania czołgów. Zdenerwowany Lakos podniósł się znad mapy. Zabronił przecież przemieszczania oddziałów za dnia. Nie w tak bliskiej odległości

od przeciwnika, no i na litość boską, nie w pobliżu sztabu! Kogoś trzeba będzie opieprzyć jak burą sukę, nie ma rady! Lakos pochwycił stalowy hełm i odchylił połę namiotu. Popołudniowe słońce oślepiło go na chwilę, więc w pierwszej chwili nie mógł się zorientować, czego chcą żołnierze, którzy wyskakują z transporterów opancerzonych. Piechurzy rozsypali się po całym stanowisku dowodzenia, każdy z bronią gotową do strzału. Ki diabeł? Kto kazał wzmocnić pododział wartowniczy, i po co? Kto wpadł na taki głupi pomysł, co? - Fenrec! Gdzie pułkownik Fenrec! - Lakos zaczął przyzywać swojego szefa sztabu. Fenreca ujrzał w otoczeniu innych oficerów. Szef sztabu był dziwnie blady. Wśród oficerów znajdował się także Kemeny. Żeby artylerzysta tak wymachiwał karabinkiem AKM? Generał rozpoznał wśród grupy także innych oficerów z korpusu - dowódców brygad i batalionów. Oficerów było łącznie ze dwudziestu. Generał ruszył im na spotkanie, dusząc w sobie serię pytań i przekleństw. Kiedy dzieliło ich już tylko kilka kroków, oficerowie zaszalutowali z szacunkiem. Nie zmieniało to faktu, że jeden z nich dźgał Fenreca w żebra lufą pistoletu. Zdrada! Nawet w chłodnym wietrze Lakos poczuł na czole krople potu i zachwiał się na nogach. Słowa jednego z dowódców brygad rozkleiły go do reszty. - Panie generale, został pan pozbawiony dowództwa. Przeze mnie osobiście. Nie możemy się zgodzić na takie rozkazy. Nie będziemy strzelać do Węgrów tylko za to, że się domagają wolności. Dlatego nie ma dyskusji. Ci oficerowie, którzy chcą się do nas przyłączyć, niech się decydują od razu. Kto nie chce się przyłączyć, jest wolny. To znaczy niezupełnie - poprawił się oficer z dziwną miną. Lakos rozejrzał się po twarzach sztabowców, którzy wylegli przed ziemianki. Kilku siedziało na ziemi z rękoma na karku, pod strażą, lecz większość odnosiła się do zdrajców całkiem przyjaźnie. Jak gdyby dla podkreślenia, że to nie żarty, nad sztabem zatoczyły powolny krąg dwa śmigłowce szturmowe, a ich działka celowały w kolejne schrony. - Niech pan zapomni o Rządzie Ocalenia Narodowego, generale, bo wyląduje pan tam, gdzie i oni. Lakos zachłysnął się i wbił wzrok w Kemeny'ego. - Gdzie pańska lojalność?! Dał mi pan oficerskie słowo honoru! Kemeny uśmiechnął się niewyraźnie.

- No tak, ale kłamałem.

Węgierskie siły zbrojne podjęły decyzję.

21 maja - górka rozrządowa w Wiedniu, posterunek manewrowy IV Korpusu Konfederacji Europejskiej - Baczość!

Obcasy wojskowych butów trzasnęły o beton podłogi. Obsada posterunku, zaimprovizowanego w kolejowym magazynie, zerwała się z miejsc i zamarła. W ciszy słyhać było nawet cichutki szum komputerów na poszczególnych stołach. Generał Claude Fabvier obszedł pomieszczenie. W ślad za nim szła asysta francuskich i niemieckich oficerów w połowych mundurach i z bronią u boku. Fabvier oprócz szczupłej budowy odznaczał się przede wszystkim śniadą cerą, spieczoną na brąz podczas lat służby w Czadzie i na Bliskim Wschodzie. Sztabowcy odetchnęli dopiero, gdy ruchem ręki zezwolił im usiąść. - Spocznij, spocznij panowie. Nie odrywajcie się od pracy, bo chyba nie narzekacie na brak zajęcia, co?

Odpowiedział mu niepewny śmieszek podwładnych. Sam generał także uśmiechnął się dobrotliwie i pod adresem niemieckiego pułkownika dowodzącego posterunkiem rzucił: - Jak ci idzie, Joachim? Są kłopoty?

- Najmniejszych, Herr General.

Niemiec poprowadził gościa ku serii map topograficznych, przyszpilonych do zaimprovizowanego przepierzenia. Każda ćwiartka mapy ukazywała inny odcinek pogranicza Austrii i Węgier w okolicach miasta Sopron, mniej więcej czterdzieści kilometrów na południe od Wiednia. - Wszystkie grupy kwatermistrzowskie z dywizji, brygad i batalionów wybrały i oznaczyły miejsca ześrodkowania - poinformował pułkownik, zakreślając czerwoną kredką poszczególne punkty.

Fabvier rzucił okiem na dzieło Niemca. Wyglądało na to, że stanowiska wybrano prawidłowo - daleko od ciekawskich oczu po drugiej stronie granicy, osłonięte przed atakiem z powietrza i lądu, a także niezbyt oddalone od dróg wiodących ku granicy. -

A jak tam harmonogram przerzutu?

- Prawie opracowany. - Pułkownik wskazał na piętrzący się na jego biurku, gruby plik wydruków komputerowych. Przerzucenie kolejną trzech pełnych dywizji z tysiącami sztuk ciężkiego sprzętu i dziesiątkami tysięcy ton zapasów, i to z kilku różnych punktów Francji i Niemiec, było zadaniem przerażająco skomplikowanym,

zwłaszcza że planiści dostali tak mało czasu. - Pod wieczór powinny ruszyć pierwsze składy.

Fabvier spróbował odcyfrować pierwszą stronicę wydruku, lecz umowne znaki, skróty i symbole były czytelne jedynie dla sztabowych speców od logistyki. Prędko dał więc temu spokój i zapytał: - Jednym słowem 27 maja cały korpus znajdzie się na pozycjach wyjściowych?

- Tak, panie generale.

- Doskonale. Pięknie się spisaliście! - Fabvier nie szczędził pochwał, pod warunkiem, że ktoś autentycznie na nie zasłużył. Pogoniana poleceniami Nicolasa Desaix Konfederacja Europejska koncentrowała wielkie siły tuż nad węgierską granicą. Z godziny na godzinę przybywało do Austrii coraz więcej żołnierzy, czołgów i samolotów bojowych. Obecność czterdziestotysięcznego korpusu miała skłonić węgierskich buntowników do rozwagi. Argument powinien ich trochę ostudzić w zamiarach wyłamania się z Konfederacji i zerwania umów gospodarczych, których tak uroczyście zobowiązał się przestrzegać ich kraj.

25 maja - Waszyngton, Biały Dom

Za oknami Ovalnego Gabinetu błysnęło. Następna błyskawica rozdarła atramentowe, burzowe niebo, a basowe, huczące echo grzmotu rozniosło się daleko nad opustoszałymi ulicami i rządowymi budynkami centrum Waszyngtonu. Burza przyniosła ze sobą ulewę - prawdziwy wodospad, który przewalając się przez ogrody Białego Domu zrywał liście i odzierał z wszystkich płatków kwiaty na klombach. Prezydent patrzył w zamyśleniu na zielonkawy półmrok za szybą.

- Sam mi powiedz, Ross, miałem w końcu rację uznając ten nowy rząd w Budapeszcie czy nie miałem? Może mnie tylko poniosło, żeby się odegrać na Francuzach, co?

Ross Huntington wzruszył ramionami.

- Nie mów mi czasem, że miałeś wybór. Razem czytaliśmy meldunki z Węgier. To, co się tam stało, to prawdziwa rewolucja, spontaniczna, demokratyczna i jaka tam jeszcze.

Huntington na mgnienie stracił oddech i zachłusnął się od nagłego bólu w piersi. W duchu gratulował sobie, że prezydent patrzy w okno i nie widzi, co się dzieje. - Poza tym dla nas jest to pierwsze pęknięcie w Konfederacji. Moim zdaniem powinniśmy drażyć tę szczelinę.

- Racja. - Prezydent odwrócił się wreszcie. - Łatwiej utłuc młode szczenię niż dużego wilka.

- Może nieładnie, ale łatwiej na pewno - zgodził się Huntington. Prezydent uśmiechnął się pod nosem i żywszym głosem zauważył: - Wiesz, nie trząsłbym się tak nad tym wszystkim gdyby nie ta koncentracja wojsk w Austrii. Za każdym razem na zdjęciach z satelity widać nowe oddziały. Z Niemiec, z Francji...

Huntington był święcie przekonany, że francusko-niemieckie demonstracje to tylko jeszcze jeden powód, by opłacało się poprzeć nowy rząd na Węgrzech. Poparcie dla rewolucji w Budapeszcie w połączeniu z dostawami broni i umowami o wolnym handlu z Polską, Czechami i Słowacją powinny stanowić dla Berlina i Paryża wyraźny sygnał, że Stany Zjednoczone nie rezygnują z prawa decyzji na temat losów Europy. Zaświergotał jeden z telefonów na biurku. Prezydent płynnym ruchem podniósł słuchawkę i w dziwnym milczeniu odebrał wiadomość. Kiedy odkładał słuchawkę na miejsce, na jego twarzy znów malowało się przygnębienie. - Dzwonił Thurman. W tej chwili rozmawiał z naszym nowym ambasadorem w Budapeszcie.

Huntington zdziwił się, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa ambasador dopiero co wylądował w stolicy Węgier. Sprawa musiała być naprawdę pilna. - Zdaje się, że tamci wysmażyli Węgrom niezły gulasz. Paryż i Berlin chcą wznowić stosunki dyplomatyczne, ale tylko po spełnieniu pewnych warunków. - Niemożliwych do spełnienia, tak?

- Trafiłeś, Ross. Konfederacja uzna rząd tymczasowy, jeżeli Budapeszt pozostanie członkiem EuroConu i będzie honorował wszystkie umowy, jakie pozawierali wojskowi. Sam rozumiesz, o co im chodzi. Rebelianci mają robić to samo, co junta, nadszkarzać Konfederacji jak przedtem generałowie, a w nagrodę Paryż i Berlin łaskawie się zgodzą na zmianę warty.

- A jeżeli Budapeszt odmówi?

- W ultimatum jest coś o „trudnych do przewidzenia konsekwencjach” ale nic konkretnego.

- Ależ syf!

- Zgadza się z przedmówcą. - Prezydent skrzywił się ponuro i wcisnął przełącznik telefonu. - Maria? Zadzwoń w moim imieniu w parę miejsc. Niech Thurman, John Lucier, Galloway i Quinn zjawią się u mnie, ale biegiem!

26 maja - Paryż

Nocny Paryż po dawnemu olśniewał elegancją, lecz Nicolas Desabc nie miał najmniejszej ochoty na kontemplację piękna wieczornego miasta i umyślnie odwrócił fotel od okna gabinetu. Jeśli Desaix miał na coś ochotę, to na awanturę. - Odrzucili naszą propozycję? Przy tak świetnych warunkach? - Niestety, panie ministrze - potwierdził dyplomata oddelegowany niewiele wcześniej do Budapesztu jako specjalny wysłannik. Dyplomata miał powody, by kurczyć się w fotelu. Czar i wdzięki Nicolasa Desaix na jego oczach przerodziły się we wściekłość już na początku rozmowy. Któż chciałby w tych warunkach dodatkowo zaognić sytuację? - Proszę wyjść.

- Oczywiście, panie ministrze.

Desabc odczekał, aż dyplomata pospiesznie zniknie za drzwiami, a potem zaklął, raz a dosadnie. Wstał z fotela i zaczął krążyć po gabinecie, by chociaż w ten sposób trochę rozładować irytację. Zgodził się zaproponować Węgrom nowy układ tylko dlatego że nalegano na to w Berlinie. Desaix zawsze podejrzewał, że Niemcy to fajtlapy. Teraz przekonał się o tym na własnej skórze. Węgrom nie podobała się przede wszystkim francusko-niemiecka kontrola nad gospodarką ich kraju. Panowanie nad obcymi gospodarkami stanowiło jednak fundament całej polityki zagranicznej Paryża i Berlina. W tej sytuacji nie sposób było liczyć na żaden trwały kompromis.

Desaix zaplótł dłonie na plecach. Doskonale sobie zdawał sprawę, że na wiadomość o decyzji upartych Węgier, podobne nastroje odżyją w innych krajach członkowskich Konfederacji. Taki obrót rzeczy był po prostu nieunikniony. Chyba że... Desaix wyprostował się. Widział tylko jedno wyjście. Węgry bądź co bądź nadal posiadały legalny rząd, choć na emigracji. Natomiast Francja i Niemcy posiadały trzy dywizje zgrupowane na granicy Austrii z Węgrami. Węgierscy buntownicy nawarzyli sobie piwa. Najwyższa pora, by zaczęli je chleptać.

27 maja - pluton zwiadu węgierskiej 1. Brygady Pancерnej, okolice Sopron

Podporucznik Stefan Tereny leżał plackiem i przez lornetkę obserwował przeciągającą w oddali kolumnę czołgów. Miłosiernym zrządzeniem losu Tereny zaległ w jedynym suchym miejscu w okolicy, toteż nie mógł narzekać - w odróżnieniu od reszty

plutonu, która taplając się w błocie, wyklinała bez ustanku na wszystkich oficerów, wszystkich sierżantów, wszystkich Niemców, Francuzów i cały ten zasrany deszcz. Tereny'emu to nie przeszkadzało. Dopóki ludzie klną, wszystko jest w porządku. Zapadli w błoto kilometr od granicy państwowej, wyznaczonej rzędem słupków z porzewiałym drutem. Dawne zasięki zniknęły ze spokojnej, węgiersko-austriackiej granicy wiele lat wcześniej. Tym razem jednak Austria z pokojowego sąsiada stała się współnikiem Konfederacji. Wspólnikiem, ale w czym? W niczym przyzwoitym, to pewne. Tereny widział ze swego stanowiska, jak odległą o parę kilometrów szosą suną kanciaste, ciemne sylwetki pojazdów. Inne wozy ciągnęły przez zagajniki i łąki. Czołgi były francuskie, i to najnowocześniejsze, typu LeClerc. Oprócz czołgów widać było bojowe wozy piechoty AMX-10. Francuzi wcale się w dodatku nie kryli. Tereny obserwował ich z zamaskowanej pozycji tylko dlatego że tak kazała mu zawodowa duma. Żabojady najwyraźniej chciały pokazać, jacy są silni. Nie spiesząc się, podporucznik zaczął rachunki. W polu widzenia miał teraz trzy grupy, po trzynaście czołgów w każdej, ustawione jak pod sznurek. Z tyłu jechały jeszcze dwa czołgi i kilka samochodów terenowych - grupa dowodzenia. Zwiadowca miał zatem przed sobą pełny francuski pułk pancerny, odpowiednik batalionu pancernego w innych armiach, i to na dodatek skupiony na wąskim odcinku granicy. W sąsiedztwie widać było także inne, podobne oddziały. Tereny polecił sierżantowi zrobić serię zdjęć, a sam zaczął się rozglądać w poszukiwaniu następnego ukrycia dla plutonu. Podczas przemarszu na nowe miejsce podporucznik chcąc nie chcąc miał okazję zastanowić się nad sytuacją. Węzła drogowego w Sopron, oczywistego celu dla atakujących wojsk, broniła tylko i wyłącznie 1. Brygada Pancerna. Co z tego, że podwładni Tereny'ego byli bitni i - jak sobie powtarzał - mieli niezłego dowódcę? Węgierska armia była nieliczna, pozbawiona zaplecza, bez zapasów amunicji i sprzętu. Podporucznik nie miał żadnych wątpliwości co do tego, co uczyni jeśli Francuzi i Niemcy przekroczą granicę. Będzie się bił. Skutecznie? Tego Tereny nie był już wcale taki pewien.

28 maja - Grosshoflein w Austrii,

Kwatera Główna IV Korpusu Konfederacji

Generał Claude Fabvier przekrzywił głowę, wsłuchany w bębnienie deszczu o aluminiowy pancierz wozu dowodzenia. Przydałaby się

lepsza pogoda, ale mówi się trudno. Generał sam się uśmiechnął na myśl, że tak grymasi. Kiedy się prowadzi wojnę, deszcz i błoto to rzecz tak samo normalna jak spiekota. Inaczej mógł myśleć tylko ktoś, kto karierę oficerską zaczynał w Afryce... Wzrok generała znów zatrzymał się na odszyfrowanej depeszy, przypiętej do stołu z mapami. ROZKAZ WSTĘPNY ODBIORCA: Dowódcy IV Korpusu

NADAWCA: Sekretariat Obrony DOTYCZY: działań bojowych na Węgrzech

Sekretariat Obrony Konfederacji Europejskiej polecił wszcząć interwencję wojskową w celu przywrócenia na Węgrzech legalnej władzy i zapobieżenia dalszym zamieszkom. W związku z tym poleca się przygotować korpus do walki z jednostkami rebelianckimi na terenie Węgier. Celem operacyjnym działań IV Korpusu jest Budapeszt.

17

Ofensywa

29 maja - pluton zwiadu węgierskiej 1. Brygady Pancерnej pod Sopron

Znowu zaczęło padać. Lesiste wzgórza nad granicą austriacką zatarły się pod kozuchem mżawki. Podporucznik Stefan Tereny skulił się jeszcze bardziej pod plastikową płachtą, bez powodzenia szukając suchego skrawka miejsca w błotnistym, płytkim ukryciu, jakie zwiadowcy wygrzebali dla siebie na stoku wzniesienia ponad szosą na Wiedeń. Nocna burza mogła może ucieszyć miejscowych rolników, ale na pewno nie Tereny"ego. W ciemnościach i deszczu widzialność spadała właściwie do zera, uniemożliwiając dozór - i to w takiej chwili. Dwunastu zwiadowców z trzema lekko opancerzonymi wozami BRDM-2 rozsypało się po dwukilometrowym odcinku granicy i dobrze zamaskowało poszczególne czaty. Na skrzydłach czuwały inne plutony, a główne siły brygady, w postaci batalionów pancernych i zmotoryzowanych cofnęły się na dalekie zaplecze, aż do przedmieść Sopron i na górujące nad miastem wzgórza Karoly. Podporucznik podniósł do oczu pasywny noktowizor, starając się nie zamoczyć cennego instrumentu. Czarnozielone kształty, jakie ujrzał, rozmywały się w chmarze kropek padającego deszczu. Tereny wiele by dał za przenośny termowizor do obserwacji nocnej, taki jak te, które miał na wyposażeniu przeciwnik. Pocieszał się myślą, że podczas wiosennej

ulewy nawet najlepszy sprzęt noktowizyjny można sobie powiesić na sęczku. Niedobrze, że taki deszcz! Sztab ostrzegął przecież, że siły Konfederacji mogą przekroczyć granicę dosłownie w każdej chwili. Choćby i tej nocy, za minutę. Gdyby się tak stało, obowiązkiem Terencyego było podnieść alarm. Zniechęcony podporucznik opuścił noktowizor. O obserwacji granicy nie było mowy - pole widzenia sięgało zaledwie skraju szosy. Terency odwrócił się do dwójki zwiadowców skulonych obok niego - kaemisty i łącznościowca. Kierowca BRDM-a czekał parę metrów z tyłu, we wnętrzu czterokołowego wozu.

- Zbierać się, chłopaki. Podejźmy trochę bliżej.

Kaemista, w randze kaprała, trącił nagle Tereny"ego w ramię i szepnął:

- Chwileczkę, panie poruczniku! Chyba coś słyhać!

Tereny zamarł w pół kroku i wyteżył słuch. Z początku dochodziło do niego tylko kapanie deszczu w listowiu i bicie własnego serca. Potem rzeczywiście usłyszał nowy odgłos - niski, stłumiony łoskot wysokoprężnego silnika, i to dość blisko. Podporucznik znów spojrział przez noktowizor, łudząc się, że patrzy w dobrą stronę. Deszcz zacierał nie tylko wizję, lecz także kierunek, z którego dochodziły dźwięki. Jednego był natomiast zupełnie pewien: kimkolwiek byli nocni goście, to na pewno nie Węgrami. Tak blisko granicy nie kręciły się żadne pododdziały węgierskiej armii. Również ruch cywilny w pasie przygranicznym ograniczono do zera nawet za dnia. Kiedy się już wiedziało, czego nasłuchiwać, łatwiej dawało się wychwycić odgłos silników. W stronę czaty ciągnęły dwa pojazdy, powoli wymacując przejście przez zlany deszczem zagajnik. Tereny trącił łącznościowca w bok. -

Melduj do sztabu brygady: słyhać ruch pojazdów na naszym przedpolu.

Łoskot silników przybrał na sile. Tereny zeszywniał, pewien, że tamci zaraz rozjadą posterunek, i prędko przeładował swój AKR, krótkolufową wersję rosyjskiego karabinka AK-74. To samo uczynił radiowiec, kaemista zaś odbezpieczył i załadował granatnik przeciwpancerny, nowiuteńki RPG-16. Trójka żołnierzy przyłgnęła do grząskiej ściółki. Z przodu zaklekotały gaśienice. Tam! Podporucznik obrócił noktowizor i ujrzał wyłaniającą się spośród ciemności i deszczu sylwetę sześciokołowego transportera z wieżą opatrzoną potężną lufą. Z prawej strony wychynał spomiędzy drzew

drugi, identyczny transporter. Pierwszy wóz zwolnił, próbując wykłócić między drzewami. Tereny nareszcie rozpoznał obcy transporter. Miał przed sobą francuski wóz rozpoznawczy AMX-10RC, uzbrojony w 105 milimetrową armatę. Konfederacja wysłała własną szpicę rozpoznawczą, próbując wybadać słabsze punkty węgierskiej linii obronnej. Porucznik szepnął wprost do ucha radiowca:

- Nadawaj: „Dwa AMX-W jadą na wschód. Zatrzymam i zniszczę”.
Gazem! - A kiedy szeregowiec przekazywał meldunek, dowódca odwrócił się do kaprała z granatnikiem. - Nie możemy ich tak przepuścić. Zresztą za późno, żeby się dało stąd spieszyć.

Rozumiemy się?

Kapral przytaknął chętnie, bo pamiętał, co mówiono plutonowi na temat AMX-10 podczas szkolenia. Spośród wszystkich wozów rozpoznania, właśnie francuskie miały najlepszy system prowadzenia ognia. Uciekać przed armatą z laserowym dalmierzem, komputerem balistycznym i systemem telewizyjnych, nocnych celowników było pewnym samobójstwem. Nawet pod osłoną deszczu już po pięćdziesięciu metrach tamci wykryliby ich, wycelowali broń i wysłali do Bozi. - Dobra. Odczekaj trzydzieści sekund, a potem przydzwoń w tego po prawej.

Kapral próbował odszepnąć „tak jest!”, lecz za bardzo dzwoniły mu zęby. Tereny wysliznął się spod płachty i podniósł, korzystając z osłony, jaką dawał pień drzewa. Potem między drzewami ruszył po stoku i wspiął się na pancierz zamaskowanego BRDM-a. Wozy zwiadowcze tego typu miały w wieży jedynie wielkokalibrowy karabin maszynowy, lecz z tak bliskiej odległości nawet takim pociskiem można było przebić boczny pancierz francuskich transporterów. Tereny podciągnął się i zanurkował przez właz dowódcy. Błady i przerażony kierowca przyskoczył do niego natychmiast: - Jezus Maria, panie poruczniku! Co zrobimy, co my zrobimy...?

- Postrzelamy sobie - odwarknął Tereny, moszcząc się w ciasnej wieżyczce wozu. Wymacał uchwyty wkm-u i na wyścigi za czął kręcić korbą, by obrócić wieżę. Zostało mu już tylko parę sekund...

Nocną ciemność rozdarła smuga ognia. W błysku granatnika dokładnie widać było oba francuskie transportery, odwrócone burtami do czaty. Terencyemu mignęło to wszystko przed oczami w ułamku sekundy, zanim granat kumulacyjny z RPG-16 nie rozdarł cienkiego pancerza u podstawy wieży prawego AMX-10. Płomienista

kula eksplozji wypełzła na wszystkie strony z kadłuba, ogień z płonącego paliwa i amunicji trysnął także przez otwarte włazy. Las zaroił się od migotliwych cieni, płomyków i rozbłysków. Tereny nie zwlekał ani chwili. Wycelował w drugi AMX i przycisnął spusty. Wielkokalibrowy KPW ożył i wypluł w kierunku francuskiego transportera serię pocisków smugowych. Z trafionego kadłuba i wieży Francuza sypnęły iskry. Aluminiowe pancerze AMK chroniły przed ogniem broni strzeleckiej piechoty i odłamkami, lecz nie przed serią 14,5 milimetrowych pocisków. Francuski wóz zatrzymał się i znieruchomiał. Uszczęśliwiony podporucznik wypuścił z rąk uchwyty KPW i niezdarnie przeskoczył z powrotem na przednie siedzenie. Wystawił głowę przez właz i zawołał do kaemisty: - Bierz Markosa, lećcie sprawdzić, czy nie został tam ktoś żywy! Kapral i radiowiec posłusznie wypełzli z ukrycia i podbiegli chyłkiem do pary rozprutych transporterów. Obaj trzymali broń gotową do strzału. Radość ze zwycięstwa skończyła się bardzo prędko, bo w stok wzgórza powyżej BRDM-a wyrznął pierwszy pocisk artyleryjski. Wiedząc, że ich wykryto, Francuzi zamiast się maskować, postanowili pokazać pazury. Za pierwszym pociskiem poleciały następne, łamiąc drzewa i rozsyłając na wszystkie strony śmiertelne odłamki. Pora była się zbierać. Tereny nie mógł się opędzić od myśli, że niechcący rozdeptał gniazdo szerszeni. Zdjął hełm, nasadził hełmofon i podłączył się do radiostacji BRDM-a. - Uwaga, wszystkie sekcje Sandor, tu Sandor Alfa! Wycofywać się na rubież Bocar! Powtarzam, wycofywać się na rubież Bocar! Odzewy z dwóch pozostałych wozów pancernych mieszały się na tej samej częstotliwości z meldunkami o kontakcie z przeciwnikiem i prośbami o wsparcie ogniowe. Z jazgotu w eterze można było wywnioskować, że Francuzi przekroczyli granicę w wielu punktach naraz, i to na dużej szerokości. Tereny dał nura do włazu, gdyż następny pocisk artyleryjski rozerwał się zaledwie pięćdziesiąt metrów od wozu. Po blachach BRDM-a zagrzechotały odłamki. Podporucznik musiał jednak znów się wychylić i wypatrywał w ciemnościach kaemisty i radiooperatora. Przechadzki sobie urządzą, czy co, u licha?! Wysoko na niebie rozbłysnął pocisk oświetlający i opadając na spadochronie omył cały lesisty stok i dolinę białą, niesamowitą poświatą. Kiedy raca spływała w strugach deszczu ku ziemi Tereny dostrzegł wreszcie dwójkę

zwiadowców. Wspinali się ile sił po błotnistym zboczach, wlokąc między sobą rannego Francuza. Tereny ponaglił ich gestem i wychylił się z włazu, gotów w razie potrzeby przyjść z pomocą i wciągnąć jeńca do środka. Kiedy spojrzął na dno doliny, skamieniał. - O, Boże!

Szosa ciągnęły nowe transportery opancerzone i czołgi - nie kilka, lecz całe dziesiątki. Można było zapomnieć o przygranicznej potyczce. Konfederacja najechała na Węgry. Tereny wciągnął rannego, krwawiącego jeńca przez otwarty właz BRDM-a i usunął się pospiesznie, robiąc miejsce kaemiście i radiowcowi. Podwładni wtarabanili się do wozu, zatrzasnęli właz i z lekkim obłędem w oczach spojrzeli na Terencego, który zakrzyczał do kierowcy:

- Gazu! Wyrywamy!

Gnani dzwoniącym w uszach łoskotem padających pocisków, węgierscy zwiadowcy ile sił pędzili w stronę własnych linii, pewni, że znajdą za nimi bezpieczną osłonę.

Lotnisko wojskowe Tokol pod Budapesztem

Lotnictwo Konfederacji potrzebowało około dwudziestu minut, by zmienić lotnisko Tokol w dymiącą ruinę. Pod osłoną myśliwców, nad węgierskim lotniskiem przewaliły się trzy kolejne fale szturmowych Mirage i Tornada, które praktycznie mogły robić co chciały. Obrońcy zdążyli wysłać w powietrze jedynie dwa stareńkie MiG-21, strącone pociskami raketowymi zanim jeszcze węgierscy piloci w ogóle dostrzegli przeciwnika. Zawracając do baz, niemieckie i francuskie odrzutowce zostawiły za sobą tylko zgliszcza. We wszystkich pasach startowych ziały rzędy dziur, wyrwanych specjalnymi francuskimi bombami Durandal.

Tysiąckilogramowe, naprowadzane laserem bomby zmieniły szeregi żelbetowych schronów w usypiska kamienia i pokręconej stali. Na poznaczonym odłamkami betonu pasów dopalały się wraki samolotów, które atak zaskoczył na polu wzlotów, a ze zdruzgotanych pociskami raketowymi baterii przeciwlotniczych i instalacji radarowych biły w niebo kolumny dymu. Pułkownik Zoltan Hradetsky ocieźlał wysiadł z samochodu i podszedł do grupki ponurych oficerów lotnictwa, oceniających dzieło zniszczenia. Za pułkownikiem szło czterech najlepszych ochroniarzy od Oskara Kiraly'ego, rozglądając się każdy w inną stronę. Kiraly wolał nie ryzykować po tym, jak w porę nie dopilnował Kusina. Lotnicy

stanęli na baczność i zsalutowali Hradetsky"emu. Pułkownik oficjalnie był tylko policjantem, ale jako doradca rządu tymczasowego do spraw bezpieczeństwa znaczył teraz bardzo wiele.

- Niedobrze, co? - zapytał bez ogródek, wskazując na pożary. Musiał jak najszybciej przedstawić ministrom konkretny materiał przed podjęciem nowych decyzji.

- Nie „niedobrze”, gorzej! - z goryczą odrzekł generał brygady, który przejął dowodzenie nad wojskami lotniczymi Węgier. - W ciągu jednej godziny zbombardowali nam wszystkie czynne lotniska. Wiedzieli, gdzie ile czego mamy, więc łatwo im poszło.

Hradetsky dobrze rozumiał gniew lotnika, gdyż wśród członków „rządu emigracyjnego”, jaki się utworzył pod protektoratem Konfederacji, znajdowało się czterech wysokich rangą oficerów lotnictwa. Paryż dowiedział się od nich wszystkiego na temat węgierskich baz, systemów obrony przeciwlotniczej i taktyki. - Jak wyglądają nasze straty?

- Zostaliśmy bez lotnictwa. - Generał machnął dłonią w kierunku zdruzgotanych hangarów. - Takie obrazki są dosłownie wszędzie. Ze wstępnych meldunków wynika, że straciliśmy ponad połowę myśliwców przechwytyjących i szturmowych, a do tego trzydzieści, czterdzieści procent śmigłowców. I tych transportowych, i szturmowych. Trafili też w składy amunicji, bomb, no i w warsztaty, więc z reszty samolotów też nie będzie wielkiego pożytku.

Hradetsky zaniemówił na wiadomość, że w ciągu sześćdziesięciu minut Francuzi i Niemcy zniszczyli co najmniej osiemdziesiąt Migów-21 i Migów-23, a ponadto piętnaście śmigłowców Mi-24A zwanych „latającymi czołgami”. Węgierskie lotnictwo rzeczywiście przestało istnieć bez oddania choćby jednego strzału.

Konfederacja uzyskała całkowite panowanie w powietrzu. Było jasne, że bezbronne wobec lotnictwa wroga, wycofujące się znad granicy jednostki węgierskie nie poradzą sobie bez wsparcia sojuszników z północy. O ich pomoc trzeba było prosić natychmiast.

30 maja - klucz „Niebieskich” nad węgierskim miastem Veszprem Przez nocny przestwór mknęła czwórka myśliwców z podwójnym usterzeniem pionowym. Maszyny leciały z wyłączonymi światłami nawigacyjnymi, tylko w czasie pokoju zapewniającymi bezpieczeństwo w locie. Tym razem polskie F-15 Eagle otrzymały

zadanie bynajmniej nie pokojowe. Siedząc w kabinie prowadzącego myśliwca, porucznik Tadeusz Wójcik marzył o tym, by do oporu popchnąć manetki ciągu i dopaść formację szturmową EuroConu zanim ta zdąży zaatakować cel. Niestety - okoliczności postawiły całą sytuację na głowie. Dziurawe systemy węgierskiej obrony powietrznej wykryły wrogą formację dopiero, gdy ta znalazła się w połowie drogi nad cel. Tym ostatnim była baza śmigłowców wojskowych w Veszprem, miasteczku położonym wśród wzgórz Bakony, niedaleko jeziora Balaton. Następne drogocenne minuty zmarnowano przekazując wiadomość wzdłuż kolejnych ogniw łańcucha dowodzenia. Tad i jego trzech koledzy pół nocy tkwili więc przypięci pasami w kabinach, daremnie czekając na sygnał do startu. Kiedy nareszcie otrzymali zadanie i wyprysnęli w powietrze, było już o wiele za późno, aby w porę przechwycić szturmowce Konfederacji. Zamiast tego, polskie myśliwce miały dopaść i zniszczyć przeciwnika w drodze powrotnej znad Veszprem. Dywizjon Wójcika otrzymał rozkaz przelotu do czeskiej bazy pod Brnem dosłownie w parę godzin po tym, jak władze w Warszawie zgodziły się pomóc demokratycznemu rządowi Węgier. Z Brna dywizjon miał już wprowadzić tylko sto kilometrów do Wiednia i położonych wokół austriackiej stolicy baz lotniczych EuroConu, ale polskim i czeskim samolotom wolno było prowadzić jedynie ograniczone działania obronne. Wójcik miał prawo strzelać do francuskich i niemieckich maszyn wyłącznie w przestrzeni powietrznej Węgier. To samo dotyczyło wypraw bombowych przeciwko siłom lądowym Konfederacji. Gdyby jednak zasady uległy zmianie, baza w Brnie stałaby się idealnym punktem wypadowym, z którego łatwo można by wskoczyć na kark przeciwnikowi. Wójcik zerknął na przypiętą do uda podkładkę z mapą, próbując określić własną pozycję do wtóru instrukcji kontrolerów z ziemi, dyktujących kolejne zmiany kursu. Obsługa centrali radiolokacyjnej początkowo wysłała klucz myśliwców na wschód, a później niemal wprost na południe. Czwórka F-15 miała w ten sposób zająć formację przeciwnika z prawej flanki i oszczędzić sobie długiego pościgu. Staranne naprowadzanie na cel, choć zapewniało sukces, nie podobało się Wójcikowi jako taktyka - było czasochłonne i kosztowało zbyt dużo paliwa. Jediną zaletą zajścia przeciwnika z boku była możliwość wczesnego wykrycia jego maszyn. Niemieckie Tornado miały chwyt powietrza pokryte specjalną substancją

antyradarową i osłonę kabiny pilota powleczonej warstewką złota, co od przodu czyniło je niemal niewidoczne dla radiolokatorów - ale właśnie tylko od przodu. Z boku, co innego. Tam upewnił się co do ilości paliwa. Nawet z podczepianymi zbiornikami musiał oszczędzać każdą kroplę, jeśli chciał dotrzeć z powrotem do Brna. Zatankować mógł wprawdzie w każdej węgierskiej bazie, tyle że wówczas przeciwnik mógł go ustrzelić na ziemi jak kaczkę. Nawet w powietrzu nad Węgrami było niezbyt bezpiecznie, a cóż do piero w bombardowanych bazach...

Wójcik przeniósł wzrok kolejno na nocne niebo, znaki na wyświetlaczu HUD, i wreszcie na przyrządy pokładowe. Nawet podczas pościgu, z widokami na pewną walkę powietrzną, trzeba było uważać na najmniejszy szczegół, trzymać się instrukcji, myśleć, myśleć i jeszcze raz myśleć. W pierwszym, prawdziwym locie bojowym nie było miejsca na tremę.

Czwórka F-15 Wójcika miała pod skrzydłami po cztery pociski rakietowe powietrze-powietrze Sparrow i cztery pociski Sidewinder. Na środkowym zaczepie pod kadłubem każdy samolot dźwigał dodatkowy zbiornik paliwa. Eagle można było wprawdzie uzbroić w nowocześniejsze i bardziej skuteczne rakiety AM-RAAM, lecz polskie lotnictwo otrzymało ich dotąd bardzo niewiele.

Oszczędzano te cudeńka z myślą o obronie polskiego terytorium. Decyzja sztabu miała dla Wójcika pewien sens, choć wiele by dał za pocisk pozwalający bronić ruchomego kawałka Polski, który pilotował. Klucz mknął na południe z prędkością prawie 1400 kilometrów na godzinę - 750 węzłów według nomenklatury amerykańskiej. Ciągnęli na dziesięciu tysiącach metrów, wysoko ponad nieprzebitą warstwą chmur. Pod chmurami deszcz i marna widzialność komplikowały zadanie bombowcom, natomiast dla myśliwców przechwytyjących pogodę okazała się wprost wymarzona. Polskie samoloty leciały na wyłączonych radarach, aby nie uprzedzać przeciwnika o swej obecności. Wójcik sam nie wiedział czy radarowe oczy są mu aż tak potrzebne. Na razie i tak lecieli zbyt daleko od uciekających tuż nad powierzchnią ziemi intruzów, by dało się ich dostrzec za pomocą sprzętu pokładowego. -

Niebiescy, formacja bombowa siedemdziesiąt kilometrów od was, namiar jeden siedem pięć - dobiegł Wójcika przerażająco spokojny głos kontrolera lotu. Pilot poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Lada chwila można będzie włączyć radary, bo za trzydzieści

kilometrów - przy tej prędkości, za kilka minut - przeciwnik znajdzie się w zasięgu pocisków. Zasada głosiła, że trzeba włączyć radary, błyskawicznie naprowadzić celowniki i odpalić pociski Sparrow zanim niemieckie Tornada zdążą w ogóle zareagować. Nawet salwa na granicy zasięgu rakiet musiała rozproszyć Niemców, zmusić ich do uników i marnowania paliwa. Nieprzyjacielscy piloci byli zmęczeni, wracali do bazy, chcieli jak najszybciej opuścić wrogie terytorium, być może kończyło im się nawet paliwo albo przeszkadzały uszkodzenia. Innymi słowy, łatwo ich było zaskoczyć. Fakt, że ma do czynienia z Niemcami, stanowił dla Wójcika dodatkową atrakcję. Mijały kolejne minuty, coraz wolniej, w miarę jak w krwiobiegu pilota zaczynała krążyć adrenalina. Wójcik spojrzął na zegar na tablicy przyrządów, upewnił się co do czasu. Chyba już. Urządzenie ostrzegawcze nadal jednak milczało, toteż Wójcik nie przerywał ciszy radiowej. Im bliżej przeciwnika, tym lepiej. Zaryzykował i spojrzął za siebie, lecz rozrzucone w pięćsetmetrowych odstępach pozostałe F-15 skryła ciemność. Z każdą minutą przybliżali się o kilkanaście kilometrów do domniemanej pozycji przeciwnika, czyli bardzo, bardzo blisko. Zadowolony Wójcik włączył mikrofon. - Niebiescy, włączyć radary - rozkazał. Odpowiedziały mu trzaski przełączników mikrofonu z kabin kolegów. Pierwsze impulsy radarowe wykryły chmurę ech, wśród których pokładowe komputery F-15 na próżno usiłowały rozróżnić szum obiektów na ziemi i efekty pogody. Za to przy trzeciej serii impulsów Wójcik dostrzegł regularną formację kropek. Nareszcie! W dole leciały trzy pary samolotów, a nieco dalej za nimi, jeszcze jedna, osamotniona maszyna. W dalekiej, kierowanej radarami salwie najważniejsze jest, by nie marnować większej ilości rakiet na jeden i ten sam samolot. Wójcik wyznawał tu zasadę, o której twierdził, że jest prosta jak budowa cepa: pierwszy samolot klucza od lewej miał zaatakować skrajną maszynę przeciwnika, następny następną, i tak dalej. Skrzydłowy Tada, bardzo jeszcze zielony Alek Mrozek, leciał z lewej strony, nieco z tyłu, więc właśnie na niego przypadało ostatnie niemieckie Tornado. Dla Wójcika celem miał być drugi od lewej samolot nieprzyjacielskiej formacji. Długie godziny ćwiczeń zmieniły celowanie w serię odruchów, przy których można się było obejść bez czasochłonnych ustaleń przez radio. Wójcik nadusił umieszczony na drążku sterowym przycisk, obierając jeden z

niemieckich samolotów jako cel. Na ekranie radaru wokół kropki oznaczającej Tornado pojawił się kwadrat. Nieprzyjacielski samolot był zbyt daleko, by komputery wskazały jego pozycję na wyświetlaczu HUD, lecz niczego to nie zmieniało. Wójcik odczekał kilka sekund, dając wycelować pozostałym pilotom i przycisnął spust. Przenikliwy świst i nagła smuga płomienia z dyszy pocisku raketowego pod prawym skrzydłem podpowiedziały, że wszystko poszło jak trzeba. Kątem oka Wójcik zauważył płomień po prawej stronie, w miejscu, z którego odpalił swój pocisk trzeci samolot klucza. Jako mały chłopiec, w Ameryce, Tad uwielbiał fajerwerki na święto 4 lipca, toteż korciło go, by prowadzić pociski wzrokiem. Oczywiście musiał się skupić na wskazaniach radaru, w samą porę zresztą, bo ostrzeżone wreszcie niemieckie samoloty rozproszyły się na wszystkie strony. Komputer kierowania ogniem wybrał już i sprawdził gotowość następnego pocisku. Tad znów nacisnął spust, a spod skrzydła wyskoczył drugi Sparrow.

Wystrzelenie pary pocisków było normalną procedurą i zwiększało szansę trafienia. Czujny i dobrze

wyszkolony przeciwnik mógł uniknąć pierwszej rakiety, lecz przeważnie nie miał nawet czasu dostrzec tej następnej. Daleko przed polskimi myśliwcami pociski zaczęły iść łukiem w górę, ku coraz rzadszym warstwom atmosfery. Gnały z czterokrotną prędkością dźwięku, a kiedy wypaliło się im paliwo, zniknęły w ciemnościach, przechodząc w lot balistyczny. Przeciwnik miał zostać trafiony z góry, przy maksymalnej prędkości. Tad powtórnie pstryknął włącznikiem mikrofonu.

- Prędkość kursowa - poleciał i sam zmniejszył ciąg, nie tylko po to, by zaoszczędzić paliwa, lecz przede wszystkim aby opóźnić zbliżanie się do przeciwnika. Choć pod innymi względami doskonałe, pociski typu Sidewinder miały dość podstawową wadę - atakujący musiał podczas lotu „oświetlać” im cel własnym radarem, nie zmieniając kursu. W przeciwnym razie pociski nie wiedziały, gdzie szukać przeciwnika. Chodziło dosłownie o minutę lotu, lecz w walce powietrznej minuta to cała wieczność. Przez taką wieczność czwórka polskich F-15 musiała lecieć w prostej linii, nie zmieniając pułapu. Taktyka dała się stosować tylko wobec przeciwnika pozbawionego własnej eskorty myśliwców. Na ekranie radiolokatora znowu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Piloci niemieckich Tornado próbowali stosować zakłócanie i manewrować,

wyrywając się z radarowego stożka. Kwadracik wokół celu Wójcika zamigotał i nagle zniknął. Polak bluznął przekleństwami, lecz zamilkł, bo pół sekundy później zniknęła również kropka oznaczająca cel. Nie kierowany już radarem lecz wciąż aktywny Sparrow dotarł widać dostatecznie blisko Tornado, by zadziałał zapalnik zbliżeniowy. Wójcik poczuł pierwsze uniesienie. Dużo wysiłku kosztowało go powtórne skupienie się na przyrządach. Bądź co bądź stracił swój pierwszy samolot - w dodatku niemiecki. Tylko dwanaście kilometrów dzieliło Niebieskich od kluczących Niemców. Uszykowane parami Tornado zareagowały na salwę rozmaicie. Pierwsza dwójka zwiększyła po prostu ciąg, usiłując odsadzić się od zasadzki. Następna czwórka zawróciła w stronę napastnika w nadziei, że uda się przemknąć między Polakami zanim ci zdążą wycelować nowe pociski. Było jasne, że za sekundę polecą tutaj pierze. Kiedy Tad przygotowywał do odpalenia pierwszego Sidewindera, z ekranu zniknęły jeszcze dwie kropki. Doskonale! Przy tej odległości utrata kontaktu była właściwie równoznaczna z trafieniem. Trzech Niemców już się pożegnało, jeszcze tylko czterej... Wójcik uśmiechnął się pod maską tlenową. Następny do golenia!

Bez przyrządów, gołym okiem, na niebie nie dało się zaobserwować ani swoich, ani przeciwników. Za to na ekranie tuż przed Wójcikiem wyrosła nowa niemiecka maszyna. Dobrze i to. - Parami na bok, w lewo! - rozkazał i położył myśliwiec w zakręcie, popychając drążek. Zanim uda się wycelować Sidewindery, trzeba znurkować pod te sakramenckie chmury...

Tuż obok prawego skrzydła samolotu przemknęła ognista smuga. O, kurwa! Wójcik natychmiast popchnął drążek w prawo i pokonując opór uprząży wykręcił szyję. Nic tam oczywiście nie zobaczył. - Myśliwce z tyłu. Odskok w prawo!

W tejże chwili ciemność rozciął następny pocisk, tym razem z lewej strony. Zamiast zniknąć, eksplodował, a Wójcik przez mgnienie dojrzał spadający w dół, płonący F-15. Druga rakietka trafiła skrzydłowego. - Niebieski dwa, skacz!

Odpowiedzią z płonącego myśliwca był jedynie szum w słuchawkach. Jezus Maria! Wójcik prędko przełknął ślinę czując, że zbiera mu się na wymioty. Trafili Alka Mrożka! Nadal nurkował w ciasnym skręcie. Chmury zamiast przeszkodą wydawały mu się teraz wybawieniem. Jedną ręką zdusił ciąg, jeszcze bardziej

zmniejszając własny ślad w podczerwieni, a drugą przycisnął wyzwalacze dipolów i rac. W ślad za F-15 rozsypały się po niebie paczki aluminiowych pasków i świetlne race, mające zmylić kolejne zbliżające się pociski. Niebiescy Trzy i Cztery na wyścigi informowali, że nie widzą nowych kontaktów i manewrują w poszukiwaniu myśliwców, które tak ich zaszły od tyłu. Wójcik wciąż nie wyprowadzał swojego Eagle z korkociągu, spadając w stronę coraz bliższej, siwej masy chmur. Pilot próbował odgadnąć, kim jest niewidzialny przeciwnik. Urządzenie ostrzegawcze nie wykryło obcych radarów. Stąd wniosek, że po tym, jak Polacy włączyli radary, przeciwnik posłużył się wykrywaczem promieni podczerwonych. Bierny atak, tak? Wójcik zaczynał się domyślać, jak się to wszystko stało. Wykrywacze podczerwieni miały jedynie Migi-29. Niemieckie lotnictwo po zjednoczeniu odziedziczyło dwa pełne dywizjony tych maszyn. Czarny humor, nie ma co. Wójcik sam nie wiedział czy się śmiać z tego, że jako pilot dawnego lotnictwa Układu Warszawskiego, startł się na amerykańskim myśliwcu z niegdysiejszymi pilotami NATO na radzieckich Migach. Żeby się móc dobrze pośmiać, trzeba jednak najpierw wyjść z życiem. Urządzenie ostrzegawcze milczało. Niemcy nie włączyli na razie własnych radarów. F-15 Wójcika zniknął nareszcie w chmurach i wyrównał lot głęboko w ich czeluści. W chmurach wykrywacze podczerwieni nie działały. Aby znaleźć polski samolot, Niemcy musieli włączyć radiolokatory. Wójcik mknął na północny wschód, w zupełnej ciemności zdążając w stronę, skąd odpalono pociski - ten, który chybił i ten, którym strącono Mrożka. F-15 trzął się i kołysał, miotany na wszystkie strony burzową turbulencją. Nareszcie. Na ekranie wykwitły dwa punkciki, dokładnie przed dziobem, coraz bliższe. Aparatura pokładowa nie rozpoznała sygnału „swoj”. Obcy. Obcy w zasięgu strzału. Kiedy Wójcik programował celownik, włączyło się także pokładowe urządzenie ostrzegawcze, uprzedzając o pracy radarów z kierunku, który pokrywał się z pozycją przeciwnika. Częstotliwość odpowiadała radarom Migów-29. Niemcy włączyli aparaturę, szukając F-15, który zginął im w podczerwieni. Inna sprawa, że trochę się spóźnili. Tad przycisnął spust na drążku sterowym. Trzeci Sparrow odpadł od skrzydła, wystrzelił płomieniem silnika i zniknął, zostawiając w chmurze świetlistą smugę. Pilot zwiększył ciąg, pędząc wprost na niemieckiego Miga, i nie czekając dłużej uaktywnił

Sidewindera. Gdy pierwszy pocisk wypadł ponad chmurę, Niemiec w popłochu zakreślił i poszedł świecą w górę. Można i tak. Wójcik również wziął drażkę na siebie. F-15 wyskoczył nagle w bezchmurny przestwór. Warkot w słuchawkach potwierdzał, że wystrzelony Sparrow nadal „widzi” cel. Niemiecki Mig umykał pełną mocą - może nawet na dopalaczu - kiedy Polak wysłał za nim następną rakietę. Naprowadzany na podczerwień pocisk zeskokczył z prowadnicy i wystrzelił w stronę odległego zaledwie o trzy kilometry niemieckiego myśliwca. Na wyświetlaczu wokół sylwetki umykającego Miga znowu rozbłysł jasny kwadracik, przecięty natychmiast płomieniem rakiety przed dziobem. Punkcik zmienił się w pomarańczowy kłęb ognia. Trafienie! Ze środka eksplozji wystrzeliły na wszystkie strony dymiące szczątki Miga. Wójcik zatoczył krąg, rozglądając się bez powodzenia za drugim Niemcem. Zniknął, i to zarówno z pola widzenia jak z radaru. Zniknęła też czwórka ocalałych Tornado. Najgorsze ze wszystkiego było to, że Wójcik stracił kontakt z Niebieskimi Trzy i Cztery. Nadaremnie wywoływał ich przez radio, coraz bardziej ochrypłym głosem. Cisza. Sam jeden, nad obcym krajem ogarniętym wojną, Wójcik uznał, że pora się zbierać do domu. Zamiast strzelać do Niemców jak do kaczek Polacy musieli naraz sami walczyć o życie. Wójcik od dzieciństwa bał się zasadzek. Najwyższa pora zmienić taktykę - nawet dwa nocne zwycięstwa nie mogły wynagrodzić utraty młodego skrzydłowego.

Sala sztabowa w Waszyngtonie

Zwołani na drugie w ciągu ostatnich dwóch dni nadzwyczajne posiedzenie, członkowie Narodowej Rady Bezpieczeństwa USA nadal z zupełnym niedowierzaniem spoglądali na Rossa Huntingtona.

Huntington wcale im się nie dziwił. Sam także, mimo wcześniejszych ostrzeżeń i ruchów wojsk Konfederacji, dałby sobie głowę uciąć, że Berlin i Paryż nie zdecydują się na interwencję zbrojną na Węgrzech. Generał Reid Galloway schował kieszonkowy telefon i zwrócił się wprost do prezydenta kraju. - Dzwonił Tom Foss, nasz oficer łącznikowy w polskim lotnictwie. Potwierdził tamte doniesienia. Polskie samoloty z baz w Czechach i na Słowacji naprawdę starły się nad Węgrami z lotnictwem EuroConu. - Boże święty! - wykrztusił poblady Thurman. - Czy mamy w tych bazach nasz personel?

- Nie, skądże - Galloway wzruszył ramionami. - Posłaliśmy do

Polski wyłącznie instruktorów, i to tylko do niektórych baz. W tym także do macierzystych baz dywizjonów, które działają z Czech i Słowacji.

Najwyraźniej czymś przerażony sekretarz stanu zatrzymał wzrok na prezydencie. - Musimy tych ludzi ewakuować, i to natychmiast! Nie ma na co czekać!

- A to dlaczego? - zapytał niegłęboko prezydent, który spośród wszystkich obecnych wyglądał na najmniej zaskoczonego rozwojem wypadków.

Thurman aż się zachłysnął.

- Jak to, dlaczego? Przecież to oczywiste, że jeśli tam zostaną, Francuzi i Niemcy mogą nas oskarżyć o aktywny udział w tej wojnie!

- Sami ją wywołali - przypomniał z boku Huntington, który zaczął już dostawać białej gorączki na widok pompatycznego sekretarza stanu. Thurman nawet na niego nie spojrział. Zależało mu na zdaniu tylko jednej osoby.

- Panie prezydencie, widzę tylko jedno mądre rozwiązanie. Musimy natychmiast oznajmić całemu światu, że wycofujemy wszystkich amerykańskich wojskowych z Polski, Czech i Słowacji. Inaczej tamci mogą i nas wciągnąć w to wszystko, i co wtedy?

- Jak sobie wyobrażasz, co powie na takie oświadczenie Konfederacja? - odpowiedział pytaniem na pytanie prezydent. - Że już nie wspomnę o reszcie sojuszników? Uznają z miejsca, że umyślamy ręce od Polski. Że wystarczy tupnąć, żebyśmy się schowali za Atlantykiem! W naszej sytuacji trudno o gorszy sygnał. Więcej, w naszej sytuacji na agresję EuroConu możemy odpowiedzieć tylko wzmocnioną obecnością wojskową w Polsce. Chyba że znudziła nam się Europa - i odwracając się do Gallowaya, prezydent polecił: - Niech generał Foss i jego ludzie siedzą tam i czekają na dalsze rozkazy. Huntington skinął głową, bo decyzja prezydenta miała ręce i nogi. Pozostawała nadzieja, że władcy kontynentu w Paryżu i Berlinie jeszcze nie stracili resztek rozsądku.

31 maja - wysunięte stanowisko dowodzenia IV Korpusu Konfederacji w pobliżu Fertod na Węgrzech Wytworny, zbudowany na planie podkowy Pałac Esterhazych, przed dwustu laty był siedzibą węgierskich książąt i domem ich nadwornego kompozytora, Josepha Haydna. Tym razem, zamiast powozów na brukowanym dziedzińcu i w pałacowych ogrodach pełno było gąsienicowych i kołowych

transporterów najeżonych antenami radiowymi. Oficerowie sztabowi w niemieckich i francuskich mundurach polowych rozmawiali między sobą, stojąc na tle biało-żółtej, barokowej fasady. IV Korpus Konfederacji dokonując inwazji obrał jako wysuniętą kwaterę sztabu zabytek powszechnie zwany węgierskim Wersalem. Generał Claude Fabvier zatrzymał się przy pałacowej bramie z kutego żelaza i wypatrywał czegoś na alei prowadzącej od głównej szosy. W wysokiej, nie strzyżonej trawie po obu stronach bramy stały kolejne wozy bojowe - kanciaste, mocarne czołgi LeClerc z 10. Pułku Dragonów i gaśienicowe transportery AMX-10P należące do 51. Pułku Piechoty. Rozebrani do pasa żołnierze wylegiwali się w cieniach pojazdów albo wysokich drzew, którymi obsadzona była aleja. Oba francuskie pułki mogły wreszcie odpocząć: przez kilka ostatnich dni szły w szpicy nacierających wojsk Konfederacji. Nowa awangarda generała Fabviera, w postaci czołgów i zmechanizowanych jednostek niemieckiej 10. Dywizji Pancерnej, toczyła walki na przedpolach wioski Szarfold, dwadzieścia kilometrów na wschód od pałacu w Fertod. Horyzont po tamtej stronie szpeciły kolumny dymu z płonących czołgów i zabudowań. Generał słyszał jednostajny, niezbyt daleki pomruk własnej artylerii, która próbowała zmiękczyć węgierskie pozycje wzdłuż szosy numer 85. Każda oznaka zaciekłości walk na nowo irytowała Fabviera, który po dwudniowym boju granicznym, siłami czterech dywizji wdarł się na terytorium Węgier na głębokość pięćdziesięciu kilometrów. Mimo zwawego tempa natarcia, kampania okazała się trudniejsza niż myśłano. Oczywiście zabytkowe czołgi 7=55 i transportery PSZH-N, jakimi dysponowali Węgrzy, nie były w stanie powstrzymać czterystu LeClerców i Leopardów 2IV Korpusu - zwłaszcza w starciu na dalszą odległość - że tak jest, zaświadczały wszem i wobec kolumny dymiących wraków na poboczach dróg od strony Sopron. Węgrzy gdzie tylko się dało stawiali jednak zażarty opór. Wymiatanie ich fizylierów z kolejnych zagajników i wiosek w pobliżu szosy oznaczało konieczność walki wręcz, a więc wyższe straty własne. Od chwili przekroczenia granicy francuski dowódca miał przed oczami wciąż nowe wozy sanitarne, jadące nieodmiennie na zachód. Sanitarki zbierały zabitych i rannych żołnierzy Konfederacji. Oddziały warsztatowe nie nadążały ze ściąganiem i naprawą uszkodzonych czołgów i

transporterów. Fabvier zmarszczył czoło. Uciążliwych walk dałoby się oczywiście uniknąć, gdyby tym ofermom lotnikom udało się uzyskać stuprocentowe panowanie w powietrzu, jak to obiecywali. Francuska i niemiecka flota powietrzna po zdławieniu pierwszej nocy lotnictwa przeciwnika miała czuwać nad frontem i rozbijać w puch węgierskie kolumny, usiłujące zagrozić drogę IV Korpusowi. Inne dywizjony według tych samych planów powinny towarzyszyć francuskim pułkom desantowym w rajdach na dalekie zaplecze węgierskiej armii. Na razie trzeba było się z tym wstrzymać. Powód był jeden: interwencja czeskiego i polskiego lotnictwa. W obawie przed myszkującymi F-15 i Migami, szefostwo wojsk lotniczych Konfederacji odmówiło lotów bombowych bez starannych przygotowań i silnej eskorty. Nic dziwnego, że dywizjony przerzucone do Austrii latały rzadziej i z opóźnieniem wchodziły do akcji, pozwalając się wymknąć i zamaskować węgierskim kolumnom zmotoryzowanym. Zamiast ginąć od bomb kasetowych i ognia działek, przeciwnik docierał na pierwszą linię nieomal bez szwanku. Nie brakowało też oznak, że Polska, za cichą zgodą Czechów i Słowaków, może się włączyć do bitwy lądowej. Fabviera niepokoiły doniesienia wywiadu, z których wynikało, że Słowacy ściągnęli pod Bratysławę, a więc tuż nad granicę Węgier, swoje obie

dywizje pancerne. Fabvier miał się nad czym zastanawiać, bo gdyby mimo dawnych animozji Słowacy przyszli Węgrom z pomocą, IV Korpus musiałby prosić o dodatkowe wsparcie. Zresztą nawet gdyby dywizje nie przekroczyły granicy, trzeba by je mieć nieustannie na oku podczas natarcia na Budapeszt. To zaś oznaczało, że aby ochronić lewą flankę, trzeba osłabić część własnych sił głównych. - Panie generale!

Po brukowanej alei zastukały żołnierskie buty.

Fabvier odwrócił się, poznając głos adiutanta, majora Castellane.

- Co tam znowu?

- Rochonvillers prosi, żebyśmy się pospieszyli. Mówią, że spóźnimy się z natarciem już kilka godzin, i że opóźnienie rośnie. Próbowałem tłumaczyć, jaką mamy sytuację, ale chcą z panem porozmawiać osobiście.

Castellane mówił to tak, jak gdyby przepraszał, że żyje. W Rochonvillers pod Metz mieściła się podziemna kwatera główna francuskich sił zbrojnych. Major poznał, że jeszcze chwila, a

dowódcę IV Korpusu utłucze apopleksja. Generał nie cierpiał tyłowych geniuszy i cywil-bandy, od której się roiło na neonowych korytarzach podziemnego sztabu. Uważał ich za frajerów bez żadnego pojęcia o sztuce wojennej. Celując palcem w adiutanta oznajmił powoli: - Proszę powiedzieć ministrowi Guichy i reszcie tych drani, że nie mam czasu. Tu jest wojna, a nie telefon zaufania! Proszę im powiedzieć, że nie zwiększę tempa, dopóki mi nie oczyszczą nieba z tych cholernych Polaków i Czechów! Niech coś z nimi zrobią, do cholery, bo inaczej dalej będziemy tak dreptać! Major zasalutował i ruszył do wozu łączności z szyfrową radiostacją. Nie przyszło mu do głowy, że gniewne słowa generała Fabviera wywołają skutki, jakich na razie nikt sobie nawet nie wyobrażał.

1 czerwca - Komitet Konfederacji Europejskiej Do Spraw Obrony, Rochonvillers we Francji

Wokół wielkiego, okrągłego stołu, który zajmował prawie całą podziemną salę sztabową, zasiadło jedenastu mężczyzn. Nie było między nimi ani jednej kobiety, za to z tyłu usadowili się liczni adiutanci, gotowi spełnić kolejne polecenia albo tłumaczyć rozmowę. Sześciu spośród jedenastki wokół stołu miało na sobie niemieckie i francuskie mundury wojskowe. Oprócz dowódców poszczególnych rodzajów sił zbrojnych wokół stołu zasiadło także pięciu cywili.

Mimo że system wentylacyjny pracował na najwyższych obrotach, pod sufitem sali wciąż wisiał papierosowy dym. Ścisłe kierownictwo komitetu do spraw obrony prowadziło nadzwyczajne obrady od samego rana. - Nie ulega wątpliwości, moi panowie, że pora przestać sobie wyobrażać tę kampanię jako szybki i bezbolesny zabieg chirurgiczny - zmęczonym głosem odezwał się Jurgen Lettow, niemiecki minister obrony. - Nie wiem, czy nie powinniśmy się zastanowić nad możliwością podjęcia rokowań. Zakończmy ten kryzys, zanim się pogłębi. Moim zdaniem, ta szwajcarska oferta pośrednictwa mogłaby... Nicolas Desaix słuchał tego wszystkiego z rosnącym rozdrażnieniem, bo skoro Konfederacja zdecydowała się na wojnę, trochę za późno na zastanawianie się czy aby na pewno trzeba było użyć siły, by przywrócić na Węgrzech władzę legalnego rządu. Kiedy padły pierwsze strzały, można było myśleć wyłącznie o tym, jak zwyciężyć, i to jak najszybciej. Brak rozstrzygającego zwycięstwa musiał zachwiać Konfederacją, zawiązaną takim nakładem

starań. Mniejsze kraje, w tym także Austria, coraz mniej chętnie honorowały postanowienia traktatów federacyjnych. Austriackie oddziały, które zgodnie z planem miały się zająć ochroną linii komunikacyjnych IV Korpusu na Węgrzech, pozostały koniec końców na własnym terytorium. Austria tłumaczyła to „względami bezpieczeństwa narodowego”. Francuski minister spraw zagranicznych okręcił się niecierpliwie w fotelu. Nie znosił takich nasiadówek i w ogóle konieczności zbiorowego prowadzenia wojny. Refleksje i kompromisy stanowiły z natury przeciwieństwo szybkich, zdecydowanych kroków, jakich wymagała sytuacja. Gdyby się dało zwyciężyć samym tylko gadaniem, francuskie i niemieckie czołgi wjechałyby do Budapesztu już dwa dni temu. Lettow miał natomiast rację co do jednej kwestii: początkowe oceny i harmonogramy działań okazały się hurra-optimistyczne. Planując interwencję, sztabowcy posłuchali generałów z rządu imigracyjnego twierdzących, że armia węgierska odmówi walki za nowe władze. Węgierska generalicja bardzo się pomyliła, nie po raz pierwszy zresztą. Z meldunków wywiadu można było wnosić, że niemal wszystkie brygady pancerne i zmotoryzowane w całym kraju stanęły murem po stronie rewolucjonistów z Budapesztu. Największą i najmniej przyjemną niespodzianką sprawiło jednak pojawienie się polskich i czeskich samolotów nad polem bitwy. Działające z nietykalnych baz na własnym terytorium myśliwce bombardujące tych państw narobiły sporego zamieszania. Więcej niż zamieszania, jeśli wierzyć raportom generała Fabviera. Desabc musiał przyznać, że nie przyszło mu jakoś do głowy, iż państwa wschodnioeuropejskiej „wolnej strefy” znajdą dla Węgier coś więcej niż wsparcie moralne. Ich śmiałość - ba, bezczelność - brała się zapewne z poczucia bezpieczeństwa pod opiekuńczym skrzydełkiem USA i Wielkiej Brytanii. Desaix sprawdził, jaką minę ma Schraeder. Ciekawe, czy niemiecki kanclerz podziela spóźnione rozterki Lettowa? Trudno powiedzieć. Kanclerz siedział z miną zupełnie bez wyrazu i prawie się nie odzywał. Desaix pamiętał jednak, że za młodu Schraeder studiował historię. Rozterki rozterkami, ale na pewno pamiętał, iż politycy, którzy wysyłają kraj na przegraną wojnę, długo nie zagrzewają miejsca na urzędzie. Schraeder nie mógł się już wycofać. Desaix nachylił się nad blatem i przerwał Lettowowi, zauważając: - Szwajcarom przyświecają zapewne szlachetne intencje, Herr Lettow, ale to

jeszcze nie powód, żeby się tak nad tym rozwodzić!

Następne słowa Desaix były już wymierzone w kanclerza.

- Naszym celem jest pomóc legalnym władzom Węgier, kraju, który jest pełnoprawnym członkiem naszej Konfederacji. Wszystko, co uczyniliśmy i uczynimy, by przywrócić tam porządek i prawowitą władzę, wynika z postanowień prawa międzynarodowego i naszych zobowiązań traktatowych wobec Węgier.

Jeżeli ktoś ma tu pierwszy ustąpić, to nie my - w głosie Desaix zabrzmiały stalowe nuty. - Nie my, lecz Polska i jej sojusznicy! Sformułowanie było ostre, lecz wielu obecnych najwyraźniej się z nim zgadzało. Schraeder niechętnie przytaknął i tylko Lettow zrobił zgorszona minę. - Zgoda, tylko w jaki sposób mamy im przemówić do rozsądku, Nicolas? Poślemy im notę dyplomatyczną? - zakpił Michel Guichy. Spośród obecnych właśnie on, jako sekretarz do spraw obrony, miał najwięcej do stracenia w wypadku, gdyby wyprawa na Węgry zakończyła się fiaskiem czy choćby krwawym, pyrrusowym zwycięstwem.

- Skądże znowu! - zaprotestował Desaix. - Słowa niewiele znaczą, kiedy z nieba spadają na nas bomby. Miałem na myśli bardziej, że tak powiem, konkretne argumenty. Coś, co dałoby Warszawie i spółce do zrozumienia, że nie pozwolimy im się mieszać w sprawy Węgier. A przynajmniej, że muszą nam za to słono zapłacić.

- Minister odwrócił się z kolei do niskiego, opalonego dowódcy francuskich sił powietrznych. - Generał Vichery lepiej ode mnie umie przedstawić panom wojskowy aspekt zagadnienia. Generale, prosimy!

- Oczywiście, panie ministrze! - Vichery pośpiesznie wstał i podszedł prędko do wielkiej mapy na jednej ze ścian sali sztabowej. Rzędy znaków wskazywały na niej rozmieszczenie wszystkich własnych i obcych jednostek lądowych i lotniczych wzdłuż wschodniej granicy Konfederacji. Vichery wskazał kolejno trzy lotniska, dwa w Polsce i jedno w Czechach.

- Oto główne ośrodki kampanii, jaką w nas wymierzyło lotnictwo tych krajów. Od razu dodam, że stanowią bardzo łatwe cele. Możemy je wyłączyć z akcji jednym dobrze skoordynowanym uderzeniem.

- Pan tego nie mówi serio, Desaix! - wtrącił się nagle Lettow. - Przecież w tych bazach kwaterują amerykańscy doradcy i specjaliści!

- I cóż z tego? - zapytał chłodno Desaix. - Wprawdzie Polska

i Czechy nie wypowiedziały nam oficjalnie wojny, ale tak się właśnie przedstawiają fakty, nie inaczej, Herr Lettow! Z baz, które był nam uprzejmy wskazać generał Vichery, startują samoloty, od których ognia giną piloci i żołnierze Konfederacji. Amerykanie sami mieszają się w tę wojnę, chociażby dlatego że nie wycofali swojego personelu i doradców z Polski. A skoro pomagają w wojnie, to wiedzą, czym ryzykują. Panowie, pora uświadomić Amerykanom, a zwłaszcza ich Kongresowi, jak niebezpieczną grę prowadzi ich prezydent. Grę, za którą Amerykanie mogą zapłacić życiem!

Lettow poruszył grdyką.

- A ryzyko wojny z USA...?

- Minimalne - dokończył za niego Desaix. - Oprócz paruset techników i instruktorów Amerykanie nie mają w Europie ani jednego żołnierza. Nie mają też środków, by na czas przerzucić wojsko do Polski, a co więcej... - Desaix wzruszył ramionami. - Nie zdecydują się na wojnę na naszym terytorium i w takiej odległości od własnego zaplecza. Moim zdaniem Waszyngton bardzo prędko przekona się, że popełnił błąd. Nie zdecydują się na wojnę, która dla nich jest nie do wygrania.

Minister z nadzieją spojrział na Schraedera i pozostałych członków komitetu. - Musimy więc sobie odpowiedzieć na pytanie: czy pozwolić Polakom i Czechom bezkarnie nas bombardować? Czy też powinniśmy na siłę odpowiedzieć siłą i w ten sposób zakończyć ten nonsensowny spektakl? Słucham?

Jeden po drugim, politycy zaczęli wyrażać zgodę na proponowane ataki odwetowe. Jedynie Lettow przecząco pokręcił głową. Nicolas Desaix słuchał dalszych wywodów generała Vichery piąte przez dziesiąte, bo przeraźliwie nudziły go litanie szczegółów na temat ładunków bombowych, koordynat celów i tras przelotu. Liczył się wyłącznie skutek. Polska i jej partnerzy mieli się wkrótce dowiedzieć, jak drogo kosztują zatargi z Konfederacją.

2 czerwca - nad Niemcami

Od pasa starej radzieckiej bazy lotniczej w Jeterbogu oderwało się z hukiem sześć par Mirage F1E ze skośnymi skrzydłami i pojedynczym statecznikiem pionowym. Start nastąpił w regularnych odstępach, a maksymalny pułap, na jaki weszły samoloty nad krainą sfalowanych pól i lasów nie przekroczył pięciuset metrów. Mirage F1E zaprojektowano jako myśliwce przechwytyjące, lecz

udoskonalony sprzęt radiolokacyjny i komputery zmieniły te maszyny w doskonałe samoloty szturmowe, zdolne do działania przy dowolnej widzialności. Piloci tym razem mieli za zadanie dowieść, że to prawda. Wszystkie Mirage miały pod skrzydłami po dwa długie, graniaste pociski - rakiety samosterujące Apache. Pociski Apache stanowiły jedną z najnowszych odmian broni we francuskim arsenale. Były niewidzialne dla radaru i leciały tuż nad powierzchnią ziemi, unikając ognia środków przeciwlotniczych przeciwnika. Dwunastka FI zbiła się w trzy klucze, znurkowała jeszcze niżej i skręciła prosto we wschodzące słońce. Po uprawnych polach pod skrzydłami przemknęły cienie, każdy z prędkością 925 kilometrów na godzinę. Mirage leciały na wschód.

? Baza lotnicza we Wrocławiu

Starszy sierżant amerykańskiego lotnictwa, Jim Frewer, stał tuż przy pancernych drzwiach żelbetowego schronu i bacznie obserwował zmagania kapitana polskiego lotnictwa z anteną radaru APG-70 w nosie jednego z F-15. Naprawę trzeba było wykonać jak najlepiej i jak najprędzej, bo za kilka godzin myśliwiec miał się zameldować w Brnie, a stamtąd wyruszyć w lot bojowy nad Węgrami. Żeby dostać się do anteny, musieli zdjąć cały spiczasty nos F-15 i odchylić go do góry. Na wózku z częściami zamiennymi i narzędziami piętrzyły się stosy amerykańskich instrukcji naprawczych, przemieszane z odbitymi pospiesznie kartkami z przekładem na polski.

Frewer był nawet zadowolony. Jego podopieczny, kapitan Aleksander Giertych, prędko się uczył, choć angielska terminologia techniczna wciąż płała mu rozmaite figle. Poza tym nawet po kilku miesiącach służby w charakterze doradcy z Grupy Ekspertów Wojskowych USA na Polskę, sierżant wciąż nie mógł się nadziwić, że musi nadzorować oficerów. W Stanach przy podobnej naprawie pracowaliby szeregowcy. Ale cóż, różne szkoły, różne przyzwyczajenia. Jest wiele sposobów, żeby oskórować kota.

Sierżant przywoływał w myślach to powiedzonko nie raz, obserwując jak polscy lotnicy i obsługa naziemna przesiadają się powoli z rosyjskich Migów na amerykańskie F-15. Polskie siły powietrzne odziedziczyły system rosyjski, w którym wszystkie zadania natury technicznej przypadają oficerom. Szeregowcom z poboru wolno było co najwyżej pozamiatać hangar. Z biegiem czasu miało się to zmienić, ale cóż - właśnie z biegiem czasu. Na razie sierżant i

tak musiał przyznać, że polscy oficerowie techniczni nie zadzierają przed nim nosa. Przeciwnie, słuchali jego wykładów z przejęciem skautów, którym trafił się nowy instruktor. Polacy potrafili nie tylko słuchać. Zaprzyjaźnili się i mimo różnicy rangi zapraszali Frewera do domów, przedstawiali rodzinom, jednym słowem przyjęli go w 11. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego jak swego. Frewer także myślał o nich „chłopaki”, a o samoloty pułku dbał jak o własne. Polska zupełnie wprawdzie nie przypominała Minnesoty, skąd pochodził sierżant, ani tym bardziej terenu jego ostatniej jednostki, którą była baza lotnicza Langley w stanie Wirginia. Frewer polubił jednak nowy kraj i ludzi. Poza tym obowiązki miał tutaj dokładnie takie same jak w Stanach. Na razie trzeba sobie było dać spokój z zajęciami teoretycznymi. W całym pułku ogłoszono pogotowie bojowe i na okrągło przygotowywano do lotów nad Węgrami drugi, kolejny dywizjon. Sierżant cały czas służby spędzał przy samolotach, sprawdzając systemy pokładowe i dokręcając przysłowiowe ostatnie śrubki. Sześciomiesięczne szkolenie techniczne nie nauczyło mechaników 11. Pułku wszystkiego, a sierżant Frewer nie był z tych, którzy wypuszczają nie przygotowane samoloty do walki. F-15, nad którym się biedzili, należał do tych właśnie przypadków. Jak tu lecieć, kiedy radar nawala, i to bez przerwy? Maszyna oznaczona jako Czerwony 201 musiała zostać w hangarze. Sierżant przysunął się bliżej, gotów doradzić Giertychowi, gdyby kapitan chciał o coś zapytać. Wciąż jednak trzymał się blisko drzwi, przez które wpadało światło i świeże powietrze. Sierżantowi brakowało ostatnio jednego i drugiego. Zima okazała się długa i dokuczliwa. Na szczęście zaczynało się już na dobre robić cieplej, wręcz przyjemnie. Dla Frewera najtrudniejsze do zniesienia w Polsce były właśnie miesiące zimnej i wilgotnej pogody. Ale może za bardzo się przyzwyczyił do gorącego, suchego jak pieprz powietrza w bazie lotniczej Nellis, daleko na pustyniach Nevady, na północ od Las Vegas... Nad lotniskiem rozniósł się przenikliwy, falujący ton syren alarmowych. Ostrzeżenie przed nalotem! Frewer i Giertych spojrzeli na siebie w popłochu i natychmiast odskoczyli od maszyny. Giertych zakrzyczał po polsku do żołnierzy z obsługi hangaru. Kapral odkrzyknął coś, okręcił się w miejscu i przycisnął guzik na tablicy sterującej głównych drzwi. Z hurgotem wulkanu, który właśnie ożył, grube pancerne drzwi zasunęły się

gładko, zostawiając wewnątrz w półmroku. Trzask zatrzasujących się stalowych płyt był tak głośny, że prawie utonął w nim huk pierwszej eksplozji na dworze. Frewer pobiegł za Giertychem w stronę bocznych drzwiczek w ścianie betonowego ukrycia. Do diabła z regulaminem! Trzeba sprawdzić, co się właściwie dzieje. Z jednego z kątów lotniska buchał dym - dokładnie z punktu, gdzie mieścił się ośrodek dowodzenia. Kiedy Polak i Amerykanin wystawili głowy na zewnątrz, betonowym podłożem zatrząsał nowy niski pomruk, a po nim grzmot, na znak, że to jeszcze nie koniec. Odwrócili się w tamtą stronę, by ujrzyć płomienistą kulę i gruz, wyrzucony w powietrze. Po niebie przemknął ciemny, niewielki przedmiot, który zanurkował w miejsce, gdzie nastąpił wybuch. Lotniskiem wstrząsnęła następna eksplozja. Wielki Boże! Frewer zdał sobie sprawę, że patrzy w miejsce, gdzie stały warsztaty naprawcze. Jego koledzy pełnili tam dziś służbę! Niewiele myśląc, ruszył biegiem przed siebie. Giertych także pognał za Amerykaninem. Od warsztatów dzieliło ich prawie pół kilometra, lecz nawet z tej odległości dostrzegli pośród kłębow dymu pomarańczowe języki płomieni. Nad dachami zdążyło już przemknąć następne cygaro. Tym razem widać było wyraźnie, że to pocisk samosterujący. Francuski albo niemiecki, domyślił się sierżant - rosyjski nadleciałby chyba z innego kierunku. Pocisk rozsypał się jeszcze w locie - rozpadł się na setki prawie niewidocznych kropek. Frewer znał ich właściwą nazwę: nie kropki, tylko podpociski. Trzask setki mikrowybuchów przewalił się nad rzędami hal warsztatowych, które we wrocławskiej bazie, w odróżnieniu od ukryć na samoloty, nie miały wzmocnionych stropów i ścian. Tysiące rozszarpanych do białości odłamków przebiło cienkie aluminiowe dachy i rozsypało się po wnętrzach. Frewer wiedział, co potrafią takie podpociski. Lotnictwo USA także miało na uzbrojeniu bomby kasetowe, z których w powietrzu wysypywały się setki mniejszych ładunków, niewiele większych od piłki tenisowej. Każda z bombek ważyła raptem kilogram, lecz potrafiła przebić pancierz, porazić odłamkami ludzi, czy nawet wzniecić spory pożar. Było jasne, że dokładnie to samo potrafią podpociski Konfederacji. Dobiegając do płonących warsztatów, Amerykanin przeklinał w duchu własną techniczną wiedzę. Nie miał złudzeń co do losu uwięzionych w środku kolegów. Przeklinał też ludzi, którzy wystrzelili pociski - urywanym głosem, bo szybki

sprint i kłęby dymu sprawiły, że zabrakło mu powietrza w płucach. Giertych i Frewer zatrzymali się może sto metrów od warsztatów. Bliżej nie dało się podejść ze względu na gęsty dym i gorąco pożaru. Przez płomienie próbowali już się przebijać strażacy, niektórzy w srebrnych azbestowych kombinezonach. Trudziło się właściwie niepotrzebnie, bo z warsztatów nie zostało prawie nic. Frewer rozglądał się rozpaczliwie, szukając kolegów. Nie znalazł nikogo, oprócz zwłok leżących na trawie. Nikt ich jeszcze nie zdążył nawet przykryć. Niektórzy z zabitych mieli na sobie szare mundury polskiego lotnictwa. Inni - jakże wielu - granatowe, amerykańskie. Sierżant czuł, że rozpacz i gniew zaduszą go za chwilę. Często zastanawiali się z kolegami, w jaki sposób Konfederacja zareaguje na polską pomoc dla Węgrów, lecz nikomu z nich nie przyszło do głowy, że Francuzi i Niemcy zaatakują polskie bazy lotnicze, bez ostrzeżenia, bez postawienia ultimatum. Frewer pierwszy wyśmiałby takie pomysły jako brednie. Frewer dopiero teraz zrozumiał, że mylił się, tak samo jak wszyscy. Nie ulegało wątpliwości, że pociski samosterujące, broń o niesamowitej precyzji rażenia, rozmyślnie nacelowano na budynki pełne amerykańskiego personelu technicznego. Konfederacja wiedziała, na co się decyduje! Konfederację głównie obchodziło, ilu Amerykanów zginie podczas nalotu! Sierżanta Frewera obchodziło to znacznie bardziej, zwłaszcza teraz. Miał w tej chwili szczerzy zamiar przystąpić do wojny, w imieniu całej Ameryki. Niechętnie, prawie z przymusem podszedł do rzędu zwłok. Pierwszym zabitym, jakiego rozpoznał, był Mike Cummings. Następnego też chyba znał, choć trudno było rozpoznać zmasakrowane, spalone ciało, Giertych mamrotał coś do siebie i próbował opanować łzy.

Frewer czuł, że za chwilę także się rozpłaczę. Odwrócił wzrok od ciał przyjaciół i kolegów i rozejrzał się po terenie bazy. Pociski EuroConu trafiły prawie we wszystkie budynki. Dookoła szalały pożary. Trafiono ośrodek bojowy, warsztaty, a oprócz nich podziemne zbiorniki paliwa i składy bomb. Słup dymu unosił się także z miejsca, gdzie przedtem stał ośrodek kontroli lotów. Nietknięte były tylko betonowe schrony z samolotami i pas startowy. Amerykański sierżant ze zrozumieniem pokiwał głową. Po co marnować pociski na każdy samolot z osobna, kiedy można załatwić ośrodek dowodzenia, zapasy i zaplecze techniczne? Bez utraty jednej maszyny 11. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego utracił

całą zdolność bojową, przynajmniej na pewien czas. Utracił także amerykańskich doradców.

Waszyngton, Biały Dom

Pierwsze meldunki o atakach rakietowych Konfederacji obudziły ludzi w Waszyngtonie o najgorszej możliwej porze, to znaczy przed świtem. Dziennikarze wysłani spieszenie pod Biały Dom informowali, że za zasłoniętymi oknami wschodniego i zachodniego skrzydła rezydencji palą się wszystkie światła. Coraz więcej oświetlonych okien widać też było na fasadach Pentagonu i Departamentu Stanu. O piątej rano pod wysokie, smukłe kolumny portyku Białego Domu zaczęły zajeżdżać czarne limuzyny. Mężczyźni i kobiety, niewyspani, z zaciętymi twarzami, przybywali na alarmowe posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Mimo napięcia i troski, jakie się dawało wyczuć w podziemnej sali sztabowej Białego Domu, Ross Huntington sam czuł się dziwnie lekko, zupełnie jak gdyby nagle mu ulżyło. Wrażenie było dość niesamowite: ciało robiło zupełnie co innego, niż podpowiadał mózg. Huntington przysiągł sobie w duchu, że tym razem naprawdę umówi się na wizytę u lekarza. Wiedział z góry, że za chwilę zapomni o postanowieniu. Wir wydarzeń nie pozwalał na głupstwa, na przykład w postaci troski o własne, kiepskie zdrowie. Huntington przysunął krzesło bliżej stołu i wsłuchał się w sprawozdanie, jakie składał Radzie przewodniczący Połączonych Sztabów. Dotychczas wiadomo było o trzech niezależnych od siebie atakach rakietowych na trzy bazy lotnicze - dwie w Polsce i jedną w Czechach. Wszystkie pociski samosterujące wystrzelono mniej więcej równocześnie, z samolotów, które wystartowały z baz w Niemczech. Ataki spowodowały wielkie straty w ludziach i sprzęcie. Nie dosyć na tym: zginęło w nich lub odniosło ciężkie obrażenia co najmniej dwudziestu pięciu doradców amerykańskich. W miarę napływania nowych meldunków liczba ta mogła się jeszcze zwiększyć. Generał Reid Galloway, tak zwykle pogodny, był tym razem purpurowy z gniewu. - Panie prezydencie, jest jasne, że ataki miały pozbawić życia maksymalną ilość ludzi. Wliczając w to nasz personel.

- Jest pan pewien?

- Jestem pewien! - przytaknął z miejsca Galloway. - Gdyby Konfederacja chciała po prostu uszkodzić bazy, mogła wypuścić rakiety nocą, kiedy w hangarach są tylko dyżurne służby. Z

wojskowego punktu widzenia miałyby to nawet większy sens, bo obserwatorom z ziemi byłoby trudniej w ogóle dostrzec te pociski. Do rozmowy wtrącił się teraz także Harris Thurman.

- Nie łudźmy się, ten nalot miał być wyraźnym sygnałem dla Polaków i Czechów. A tym samym także i dla nas.

- Sygnałem, niech pana diabli! Przecież to wypowiedzenie wojny! - nie wytrzymał Galloway. - Nikt nie pakuje dwudziestu pięciu ton materiału wybuchowego w obce lotniska w ramach jakiejś gry dyplomatycznej, co?

- Przypominam panu, generale, że atak nastąpił dopiero po tym, jak lotnictwo Polski i Czech zaczęło atakować niemieckie i francuskie samoloty nad Węgrami...

- Moi państwo!

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę prezydenta, który siedział samotnie przy końcu stołu. W jego oczach dało się wyczytać złość i determinację. - Jeśli chodzi o moje zdanie, nie ma wielkiego znaczenia, jaki był pretekst tych ataków raketowych. Nasza polityka względem Węgier nie uległa zmianie. Co za tym idzie, sojusznicy Ameryki mają pełne prawo dopomóc Węgom odeprzeć bezczelną agresję ze strony Francji i Niemiec. Co więcej, mamy prawo wesprzeć sojuszników pomocą wojskową i techniczną. Czy to jasne?

Thurman stropił się bardzo.

- Oczywiście, jasne...

Prezydent spojrzął z kolei na Gallowaya.

- Czy Polacy i Czesi planują odwet?

- Planują. Sztab polskich wojsk lotniczych poprosił o najnowsze zdjęcia satelitarne lotnisk niemieckich. A także o wsparcie akcji przez nasze samoloty AWACS.

- Akcji? Kiedy?

- Czwartego czerwca, to znaczy pojutrze. - Galloway zasepił się.

-- Wcześniej nie mogą, nie zdążą do tego czasu uporządkować lotniska we Wrocławiu, i tak dalej. - A wsparcie powietrzne nad Węgrami?

- Na razie zawiesili loty. I bez tych ataków mieli duże straty.

Pierwszy dywizjon, jak wszedł do walki, wykrwawił się zupełnie.

A co dopiero teraz, kiedy Konfederacja bombarduje ich własne terytorium? - Galloway wzruszył ramionami. - Moim zdaniem Polacy będą teraz potrzebować wszystkich dywizjonów u siebie, do nalotów

odwetowych, a potem jako przeciwwagi dla Konfederacji. Niewesołe prognozy generała przygnębiły zebranych. Było oczywiste, że bez sojuszniczego wsparcia w powietrzu, Węgry upadną, zdławione przewagą liczebną i ogniową przeciwnika. Flaga Konfederacji nad Budapesztem i kres demokratycznego porządku na Węgrzech musiały z kolei załamać całą dotychczasową politykę gospodarczą i zagraniczną. Na krótką metę upadek Węgier umocniłby w Europie siły protekcyjistów, chroniących rodzimy przemysł. Przybrałaby więc jeszcze bardziej na sile wojna handlowa, wyniszczająca całą światową gospodarkę. Inne mniejsze kraje mogły potraktować upadek Węgier jako znak losu i również przystąpić do wspólnoty. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie Danii i Holandii. Na dłuższą metę pozostawienie Konfederacji wolnej ręki w agresji na mniejszy kraj stwarzało złowrogi precedens. Można się było kłócić z chwiejnymi i niepewnymi zasadami prawa międzynarodowego i prawa narodów do samostanowienia, lecz wszystkie te zasady były o niebo lepsze niż zasada nagiej siły. Uznać, że racja leży po stronie silniejszego oznaczało zgodzić się na nową nawałę wojen i konfliktów na całym świecie. Nagłą ciszę przerwał dopiero prezydent.

- Moim zdaniem została nam ostatnia szansa, żeby coś zrobić.

W przeciwnym razie w Europie zrobią się straszne jatki. Ostatnia szansa, żeby przemówić tym pajacom do rozumu. Zgadzą się? Huntington przytaknął prędko, a za nim pozostali członkowie Rady. Cóż im jednak pozostało? Wysiłki, by znaleźć pokojowe rozwiązanie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ były z góry skazane na niepowodzenie

- Francja dysponowała w tym gremium prawem weta. Inne rozwiązania? Huntington przeżył nagle chwilę olśnienia.

- A więc Biały Dom zamierza wystosować wobec Konfederacji ultimatum? - upewnił się w imieniu pozostałych.

- Dokładnie tak. Rozmawiałem już z przewodniczącym większości w Senacie i z przewodniczącym Izby Reprezentantów. -

Zgadzą się, że musimy działać, i to natychmiast - zapewnił prezydent z coraz bardziej zdecydowaną miną. - Zmarnowaliśmy już dosyć czasu na zabawy z tymi panami. Chcę im dać jasno i wyraźnie do zrozumienia, że robiąc to, co robią, wystawiają się pod lufę.

I to sporą lufę.

Doniesienie serwisu prasowego Associated Press

WASZYNGTON (AP) - Podajemy pełny tekst oświadczenia, jakie o 7.00

czasu miejscowego wystosowano w Białym Domu. „O 3.30 nad ranem czasu waszyngtońskiego, francuskie i niemieckie lotnictwo dokonało serii ataków rakietowych na lotniska w Polsce i Republice Czeskiej, zabijając i raniąc kilkaset osób. Szczególnie tragiczny jest fakt, że wśród ofiar znalazło się ponad trzydziestu doradców amerykańskich. Podobnie jak wcześniejsza inwazja na Węgry, najnowszy akt francuskiej i niemieckiej agresji dowodzi, że oba te państwa drogą pogroźek, siły i okupacji wojskowej zamierzają sobie podporządkować całość terytorium Europy. Stany Zjednoczone nie zgadzają się i nie zgodzą, by najnowsze ataki uszły agresorom bezkarnie. Apelujemy do rządów Francji i Niemiec o powstrzymanie się od dalszych wrogich posunięć wobec własnych sąsiadów zanim nie będzie za późno - dla Francji i Niemiec, dla Europy i wreszcie dla całego świata. Co za tym idzie, Stany Zjednoczone, w porozumieniu z Wielką Brytanią, Polską, Republiką Czeską, Słowacją i Węgrami wzywają Francję i Niemcy do bezwarunkowego i natychmiastowego wycofania sił zbrojnych z Węgier do północy 3 czerwca czasu Greenwich. Jeśli oba te państwa nie posłuchają apelu, zastrzegamy sobie prawo zastosowania wszelkich środków, by zaprowadzić sprawiedliwy i trwały pokój, nie wykluczając użycia amerykańskich i brytyjskich sił zbrojnych". Rzecznik prasowy Białego Domu, Michael Kennett zapowiedział, że o 9.00 prezydent USA wystąpi z telewizyjnym orędziem do narodu. Przemówienie będą transmitować na żywo wszystkie sieci radiowe i telewizyjne.

18

Grom

3 czerwca - na pokładzie USS „Leyte Gulf”, niedaleko wyspy Anholt w cieśninie Kattegat między Danią a Szwecją

Wiceadmirał Jack Ward najbardziej kojarzył tę sytuację ze starym filmem, zresztą jednym ze swoich ulubionych: bohaterowie zapuścili się w poszukiwaniu skarbu w ruiny starej świątyni i w jednym z pomieszczeń niechcący uruchomili pułapkę. Znienacka zatrzasnęły się za nimi drzwi, ściany zaczęły przybliżać się do siebie z głuchym pomrukiem, a z podłogi wyskoczyły rzędy zatrutych, ostrych jak igła kolców. W podobną kabałę wpakowały się okręty Warda.

Oczywiście na filmie wszystko okazało się łatwiejsze niż tutaj - służący za przewodnika tubylec, który wcześniej gdzieś zniknął,

w mig odnalazł podróżników i zablokował mechanizm w chwili, gdy nieustraszeni ale gapowaci bohaterowie już już mieli się zmienić w siekane kotlety. Niestety, Ward nie wiedział nawet, gdzie szukać tubylca-przewodnika. Wrota pułapki mogły się zatrzasnąć w każdej chwili. Admirał zaś nie miał zielonego pojęcia, jak tego uniknąć. Nie pomagała nawet obserwacja komputerowych ekranów w centrali bojowej okrętu, jako że od piętnastu minut sytuacja pozostawała wciąż taka sama. Poza tym, gdyby Ward za długo tkwił przy ekranach, jego zdenerwowanie mogło się udzielić sztabowcom. W takich chwilach człowiek musi zacisnąć zęby i udawać przed załogą, że naprawdę jest spokojnym i opanowanym „starym”, którego podziwia za zimną krew cała flota. Ward wychylił się przez reling lewego skrzydła pomostu. W gasnącym świetle rozbłyskiwała w oddali pława nawigacyjna na Kobbergrund, zachodnim cyplu wyspy Anholt - cyplu, a właściwie mieliźnie ukrytej trzy metry pod powierzchnią. Właściwa wyspa Anholt leżała parę kilometrów dalej, widoczna teraz jako ciemniejszy pas na mrocznym horyzoncie. Anholt leżała w połowie szlaku żeglugowego przez Kattegat, wąską cieśniną między Danią a Szwecją, zakończoną od północy i od południa jeszcze ciaśniejszymi przesmykami. Nawet od wątpliwego zacisza Skagerraku dzieliło konwój Warda jeszcze trzy godziny rejsu. Wyspa Anholt należała do Danii. Admirał mógł się założyć, że z jej terytorium obserwuje eskadrę wiele par ciekawskich oczu. Choć Dania ogłosiła neutralność, bliskość Niemiec oznaczała, że nawet jej wybrzeża należy uznać za terytorium przeciwnika. Prawdziwą neutralność zachowywała na szczęście Szwecja, która zazdrośnie strzegła własnych wód terytorialnych w przekonaniu, że nie warto opowiadać się po żadnej ze stron. Ładna pociecha, że ostre kolce sterczą tylko z jednej ściany, nie z obu! Ward odwrócił się i zaczął krążyć z kąta w kąt wąskiego pomostu. Wiele by dał za to, żeby się znów znaleźć na otwartym morzu, na głębinach. A tu? Nie dość, że na Bałtyku płycizna na płyciźnie, nierówne zasolenie wód wyprawia hece z akustyką, to jeszcze przychodzi żeglować przez Kattegat - dużo węższy i płytszy. Przy głębokościach rzędu dwudziestu albo i dziesięciu sążni można sobie darować holowanie pław hydrolokacyjnych i w ogóle wszelkie próby dalekiego namierzania pod wodą. Kattegat był, co gorsza, ważnym szlakiem żeglugowym, gdzie co chwila natrafiało się na nowy kontakt powierzchniowy.

Najgorsza ze wszystkiego była sytuacja w powietrzu. Po prostu koszmar. W tak bliskiej odległości od baz w Niemczech, lotnictwo przeciwnika siedziało eskadrze na karku praktycznie bez przerwy, a czas wykrycia ataku malał do zera. Ekran radiolokatorów Grupy Bojowej 22.1 wyłapywały setki ech na raz. Które z nich należały do samolotów bojowych przeciwnika? Nie było tego jak sprawdzić. Ward miał poza tym wielką nadzieję, że nie będzie musiał tego sprawdzać na własnej skórze przed upływem terminu amerykańskiego ultimatum. Konfederacja miała jeszcze cztery godziny do namysłu. Cholera w bok mędrkom z Waszyngtonu, którzy wymyślili to wszystko! Jednodobowe ultimatum, tak? Ward zgadzał się, że trzeba było postawić sprawę na ostrzu noża i sam zgadzał się, na swój sposób, z rozumowaniem władz. Szkoda tylko, że żaden z polityków nie pofatygował się zapytać, co o tak krótkim terminie sądzi Pentagon. Mogłoby się okazać, że część gróźb z ultimatum dobrze brzmi wyłącznie na papierze. Kiedy Konfederacja wystrzeliła rakiety samosterujące w lotniska w Polsce i Czechach, Grupa Bojowa 22.1 była absolutnie nie przygotowana do poważnego starcia na morzu. Na południe, w stronę Gdańska, płynęły trzy osobne konwoje, każdy złożony z dwóch, trzech transportowców i eskorty. Transportowce jak zwykle wiozły ważny sprzęt wojskowy, ropę naftową i skroplony gaz ziemny, toteż by je ochronić, trzeba było rozczłonkować grupę. Ward zgodził się na to bez większej ochoty: pojedyncza fregata, para niszczycieli czy krążownik nadają się w sam raz do kurtuazyjnej wizyty, lecz wobec zmasowanego ataku torpedowego czy rakietowego wskórają bardzo niewiele. Reszta Grupy Uderzeniowej 22 rozsypała się po jeszcze dalszych akwenach Morza Północnego i Atlantyku. Admirał postanowił zostać na pokładzie „Leyte Gulf, gdzie komputery systemu Aegis pozwalały mu mieć na oku cały region. Waszyngton nalegał, by do ostatniej chwili puszczać na Bałtyk konwoje z uzbrojeniem i ropą naftową. Walki na Węgrzech sprawiały, że rezerwy topniały w oczach. Polska, Czechy i Słowacja nie mogły się obyć bez ładunku z pokładu statków Warda, więc nie można było w żaden sposób przełożyć dostaw na bezpieczniejsze czasy. Inna rzecz, że choć nikt o zdrowych zmysłach nie spodziewał się, iż konflikt na Węgrzech może się przerodzić w wojnę na wielką skalę, Ward zastanawiał się po cichu czy aby się nie zagalopował w optymizmie. Jeden z jego konwojów powinien do 11 w nocy, na

godzinę przed upływem terminu ultimatum, opłynąć Skagen - północny cypel Półwyspu Jutlandzkiego. Drugi konwój miał w tym samym czasie wyjść ze Skagerraku i ruszyć na północ wzdłuż wybrzeży Norwegii. Nad statkami drugiego konwoju czuwały już myśliwce morskie z lotniskowca. Niestety, cztery jednostki pod bezpośrednim dowództwem Warda, to znaczy krążownik rakietowy klasy Ticonderoga „Leyte Gulf, fregata „Simpson" (klasy Perry) oraz dwa statki handlowe, wpakowały się w sam środek tarczy strzelniczej, w jaką się zmienił cały akwen. Dwa pierwsze konwoje wracały na północ, gdyż nie miały szans dotrzeć do Gdańska przed upływem ultimatum. Gdyby Francuzi i Niemcy odmówili wycofania wojsk z Węgier albo pierwsi zaczęli strzelać, konflikt zastałby oba transporty w pobliżu baz Konfederacji. Choć amerykańskie okręty nawet wówczas miały szansę przebić się do polskiego portu, odniosłyby uszkodzenia, wyczerpały trudno odnawialne zapasy amunicji i tkwiły wystawione na kolejny cios. Decyzja nie należała wcale do łatwych, lecz koniec końców Ward nakazał, by oba konwoje zawróciły i z maksymalną szybkością odeszły na północ. Konfederacja śledziła każdy krok amerykańskich okrętów na Bałtyku, Od wybuchu otwartej wojny na Węgrzech ustały, co ciekawe, wszystkie pozorowane ataki na konwoje. Francuzi i Niemcy chcieli najwyraźniej dać swoim siłom odpocząć i przygotowywali nowy plan. Amerykanie czuli jednak na sobie nieustannie wzrok operatorów nadbrzeżnych stacji radiolokacyjnych i obserwatorów na pokładach samolotów patrolowych. Ward nie czuł się może zupełnie bezbronny, lecz pamiętał, że na tym podwórku Konfederacja rządzi się jak u siebie. Najgorszy okazywał się brak wsparcia logistycznego. Działając w pojedynkę, okręty wojenne potrafią działać nie tak znów wiele. By okaleczyć najpotężniejszy okręt wystarczy jedno pechowe trafienie rakieta, lub zwykła awaria urządzeń. Dlatego lepszym rozwiązaniem jest działanie w grupie, w której poszczególne jednostki mogą się nawzajem osłaniać, łączyć siły i nie wystawiać przeciwnikowi słabych stron. Nawet wówczas eskadra posiada jednak skończony zapas amunicji, zaledwie kilka czy kilkanaście radarów i parę śmigłowców. Natomiast jeśli włączy się do grupy statki z zaopatrzeniem, jej wartość bojowa wzrasta w sposób niepomiarowy: okręty mogą teraz stoczyć walkę, uzupełnić zapasy i znów zaatakować. Jeśli do grupy dołączy jeszcze lotniskowiec, potężna

formacja może wykryć nieprzyjaciela z odległości setek mil morskich i atakować go pod ochronnym parasolem własnych myśliwców i bombowców. Najbliższy lotniskowiec, USS „George Washington”, jak na nieszczęście znajdował się daleko na Morzu Północnym.

„Ptaszarnia” potrzebuje mnóstwo miejsca na manewrowanie przy startach i lądowaniach samolotów, a także po to, by ukryć własne położenie. Lotniskowce stanowią zbyt cenny atut, by pozwalać im działać na niebezpiecznych wodach przybrzeżnych. Admirał Ward mógł się zatem nie łudzić, że przyjdą mu na pomoc samoloty z „Żorzyka” - w każdym razie na pewno nie natychmiast. Ogłaszając neutralność w konflikcie, Duńczycy zamknęli własną przestrzeń powietrzną dla samolotów bojowych wszystkich stron. Było jasne, że jeśli dojdzie do wymiany strzałów, deklaracje zdadzą się psu na budę. Admirał nie miał zbyt wysokiego zdania o lotnictwie Danii, zbyt słabym, by zagrozić drogę nad swoje terytorium któremukolwiek z państw. Trudno było liczyć, że w imię zasady siły zbrojne niewielkiego i neutralnego państwa zdecydują się na zbiorowe samobójstwo. Myśliwce przechwytyjące i bombardujące z pokładu amerykańskiego lotniskowca miały więc teoretycznie swobodne pole działania, lecz wiele wskazywało na to, że w razie czego zwyczajnie i po prostu nie zdążą. Osamotnione okręty i zmęczone załogi grupy Warda mogły liczyć wyłącznie na siebie. Załogi rzeczywiście padały z nóg.

Kiedy prezydent wystosował wobec Konfederacji ultimatum, Ward ogłosił na wszystkich jednostkach pogotowie drugiego stopnia. Stopień pierwszy oznaczał, że wszyscy mają zająć stanowiska bojowe i przygotować się do starcia. Przy stopniu drugim na stanowiskach czuwała połowa załogi, podczas gdy druga połowa próbowała coś zjeść, nadrobić zaległości w spaniu i zająć się najniezbędniejszą konserwacją okrętu. Pogotowie tego typu można było utrzymywać dłużej niż pełną gotowość bojową, lecz podział na „lewą” i „prawą” burtę i tak dawał marynarzom dobry wycisk. Ward także stłumił ziewnięcie, spojrzął za rufę ku obu transportowcom idącym w ślad za „Leyte Gulf” i jęknął w duchu. Pierwszym z pary podopiecznych był zbiornikowiec „Dallas Star”, wyładowany benzyną lotniczą. „Tartu” z kolei wiózł w setkach kontenerów pociski przeciwlotnicze Patriot, sprzęt radarowy i amunicję do czołgów - wszystko, czego na gwałt potrzebowała Polska i jej południowi sąsiedzi. Jakże w takiej sytuacji

odwracać się tyłkiem i umykać? Nie było jednak innej rady. Układ sił mówił jasno i wyraźnie, że jeśli konwój nie zawróci, oba statki zamiast dotrzeć do Gdańska spoczną na dnie Morza Bałtyckiego. Słońce schowało się za horyzont. Na wodzie migotała jeszcze coraz słabsza, czerwona zorza. Krótkie fale Kattegatu z wolna stapiały się z ciemniejącym niebem i pasami ciemnego lądu po obu stronach cieśniny. Na nieboskłonie zdążyły się pokazać gwiazdy, na razie blade i migotliwe. Księżyc miał dziś wzejść w pierwszej kwadrze, pogoda nadal dobra. Tyle mówiły prognozy. Zaciemnione statki i okręty wkrótce miały stać się niewidzialne, choć tylko dla nie uzbrojonych oczu. Szlak konwoju śledziło z wybrzeży mnóstwo radarów. Pracowały też wszystkie anteny radiolokacyjne na okrętach. Amerykanie wypatrywali pierwszych oznak, że zaczyna się dziać coś niedobrego. Przez otwarte drzwi wszedł na lewe skrzydło pomostu wysoki oficer o wyrazistych rysach twarzy. Nawet w półmroku Ward dostrzegł cierpiętniczy wyraz oblicza komandora Jenyego Shapiro, szefa sztabu grupy. - Panie admirale, Polacy nadają pilną wiadomość. Z tonu głosu wynikało jasno, że nowina będzie bolesna. Ward przeszedł prędko do kabiny nawigacyjnej i usłyszał w radiu głos o chropawym, obcym akcencie. - ... ma silny przechył. Wezwaliśmy holowniki, ale chyba nie zdążą. - Eksplozja pod kadłubem „Canyon”! - wyjaśnił Shapiro, wskazując na głośnik. - Wygląda, że wpadli na minę. W tamtym rejonie nie było okrętów podwodnych. Ward aż się zakrztusił wiadomością. „Canyon” był kontenerowcem, wyładowanym po brzegi pociskami powietrze-powietrze, sprzętem komputerowym i częściami zamiennymi. Na górnym pokładzie płynęła ponadto bateria haubic samobieżnych. Kontenerowiec płynął do tej pory w konwoju najbliższym Gdańska, od którego dzieliło go raptem parę godzin żeglugi. Eskortę nad konwojem niewiele wcześniej przejęły okręty polskie, a dwie jednostki amerykańskie - USS „Scott”, który był niszczycielem klasy Kidd i fregata USS „Aubrey Fitch” klasy Perry - zawróciły ku Cieśninom i z prędkością ponad trzydziestu węzłów pędziły na północ. - ... nadal przeczesujemy akwen hydrolokatorami - kontynuował daleki głos. - Zero kontaktu. Naszym zdaniem transportowiec wpadł na minę. Radzimy przygotować na taką możliwość resztę statków. Radiooperator „Leyte Gult” potwierdził odbiór meldunku i wyłączył

się. Ward pomyślał, że zwyczajne środki ostrożności już tu nie wystarczą i odwrócił się do dowódcy krążownika. - Komandorze, cała załoga na stanowiska bojowe.

Polecenie otrzymał również Shapiro.

- Proszę przekazać ten rozkaz innym okrętom i poinformować dowództwo floty. W trybie pilnym.

W ślad za zbiegającym do centrali bojowej „Leyte Gulf” admirałem niósł się ostry, przeraźliwy dźwięk syren alarmowych. W wypełnionym elektroniką pomieszczeniu czuło się nastrój skupienia i jeszcze większą ciszę niż zwykle. Jako że połowa załogi czuwała na stanowiskach bojowych od wielu godzin, przy alarmie obyło się bez harmideru i bieganiny. Marynarze ze słuchawkami na uszach pochylili się nad płonącymi ekranami i pulpitemi, wydając do mikrofonów serie przyciszonych rozkazów i poleceń. Ward również pacnął w fotel. Po jego prawej ręce zasiadł chwilę później dowódca „Leyte Gulf”. Główny ekran ukazywał kontury Kattegatu, a na ich tle wszystkie echa samolotów, statków i okrętów podwodnych. Lewy ekran informował, co się dzieje na Bałtyku. Elektronika stwarzała wrażenie, że oficerowie w centrali bojowej wiedzą dosłownie wszystko i czytają w ekranach jak w kryształowej kuli. Admirał często powtarzał sobie, że wrażenie jest najzupełniej fałszywe. Kółka, kwadraciki i trójkąty oznaczały siły własne, Konfederacji i te nie rozpoznane. Ward przyjrzał im się dokładnie. Oderwał go od tej czynności dopiero Shapiro.

- Rozmawiałem z dowódcą floty. Pytali, czy przewidujemy zmianę planów. Powiedziałem, że nie.

- I bardzo dobrześ im powiedział, Jeny - ucieszył się Ward. Dobry szef sztabu pojmuje bez pytania zamiary dowódcy i potrafi wyrazić zdanie za niego - zwłaszcza gdy sytuacja staje się tak jasna, jak w tej chwili. Ward wiedział aż za dobrze, iż gdyby trzymał w zanadrzu jakiś genialny fortel, dawno by z niego skorzystał. W sytuacji, jaka zaistniała, decyzje narzucały się same. -

Skontaktuj się ze „Scottem” i „Finchem”. Niech pędzą pod osłonę polskiego wybrzeża. Nie ma siły, żeby wydostali się na czas poza Bałtyk. Nie rozumiesz? Moim zdaniem lada chwila zrobi się tu wesoło.

- Ale, jak to... W zasięgu polskiego lotnictwa znajdują się dopiero za godzinę, a bez osłony...

- Sam wiem, Jeny - westchnął admirał. - Ale gdzie mają teraz

szukać schronienia, jeśli nie w Gdańsku? Niech gnają ile pary w kotłach! Tak, żeby im się woda w tyłku zagotowała!

Shapiro pobiegł przekazać rozkaz. Ward obracał tymczasem w myślach informacje, jakie posiadał. Nie znał jednego, dość podstawowego faktu: ile czasu pozostało, zanim walec drogowy Konfederacji rozpląszczy cały konwój? Ward nie mógł zaatakować pierwszy - nie otrzymał takich rozkazów, a poza tym nie bardzo się palił do tego, by własnoręcznie rozpętać wojnę. Z każdą minutą pokoju jego okręty przybliżały się o pół mili morskiej do bezpiecznej bazy. Wiadomość o ataku na transportowiec „Canyon” musiała już dotrzeć drogą służbową do sztabu Floty Atlantyckiej, stamtąd do głównego dowództwa sił na Atlantyku i do Zwierzchnika Sił Zbrojnych, czyli mówiąc po ludzku do prezydenta. Dzięki nowoczesnym środkom łączności prezydent powinien dowiedzieć się o nowej sytuacji w parę minut. Ile minut zajmie mu przekazanie decyzji z powrotem, tą samą drogą, na okręty Warda? - Nie siedź jak ten głupi, Jack - upomniał Ward samego siebie. Termin amerykańskiego ultimatum jeszcze nie upłynął. Dlaczego zaczęto więc strzelać? Na dobrą sprawę dla okrętów Warda wojna już się zaczęła. A skoro tak, nie wolno oddawać przeciwnikowi inicjatywy. Ward chciał przede wszystkim zastanowić się spokojnie. Siły Konfederacji uszkodziły kontenerowiec, w porządku. Gdzie się zaczęły samoloty, wyrzutnie pocisków rakietowych i okręty podwodne, których ciosy niewątpliwie lada chwila zwałą się na konwój? Krążownik „Leyte Gulf” stanowił cel zbyt cenny, aby go pominąć bądź zlekceważyć - choć trudny, biorąc pod uwagę amerykańskie uzbrojenie. Napastników na pewno jednak skuszą korzyści polityczne z zatopienia w pierwszych godzinach wojny amerykańskiego krążownika rakietowego wyposażonego w system przeciwlotniczy Aegis. Najgłupszy sztabowiec nie zdecyduje się na odosobniony, częściowy atak, taki jak ten na „Canyon”. Jeśli Francuzi i Niemcy naprawdę chcą się bawić w wojnę, dlaczego dali eskadrze tego rodzaju ostrzeżenie, dlaczego uczulili Waszyngton na to, co się dzieje, dlaczego robią wszystko, czego nie powinni? Ward zupełnie tego nie rozumiał, tym bardziej że nie bardzo wierzył w polskie hipotezy, iż „Canyon” wpadł na minę. Miny to urządzenia precyzyjne. Stawiając je, Konfederacja zadbałaby na pewno o to, by zapalniki uzbroiły się dopiero o ustalonym czasie, w chwili nagłego rozpoczęcia działań na wszystkich frontach.

Admirał był święcie przekonany, że zaszło coś innego: widząc sunący beztrosko „Canyon”, francuski albo niemiecki dowódca okrętu podwodnego puścił torpedę, choć do końca ultimatum był jeszcze czas. To, co znajdowało się w ładowniach statku było ważniejsze niż wszystkie inne względy. Tak. Ta hipoteza bardziej już pasowała do faktów.

Ktoś nie wytrzymał nerwowo i popełnił falstart - a skoro tak, sztaby marynarek wojennych Konfederacji muszą kipieć ze złości jeszcze bardziej niż Amerykanie. Pora działania miała przyjść natychmiast po szyfrówce z Paryża albo Berlina, lecz na pewno nie wcześniej, bo nie zakończyły się wszystkie przygotowania do fali zmasowanych ataków. Jeden błąd anonimowego podwodniaka pozwalał amerykańskim okrętom zaoszczędzić kilkadziesiąt krytycznych minut. Ward miał prywatną listę zagrożeń i zaczął ją przepatrywać od pierwszej pozycji do ostatniej. Pierwszą pozycją były oczywiście okręty podwodne, bo skoro torpeda mogła zatopić statek z konwoju na południu, w ten sam sposób można łatwo puścić na dno krążownik raketowy - zwłaszcza taki, który zapędził się w wąską cieśninę, gdzie hydroakustycy bezradnie rozkładają ręce. Admirał wystukał serię liczb na klawiaturze po lewej stronie.

Dotychczasowy obraz na ekranie zastąpiła gmatwanina zakrzywionych linii, które przedstawiały głębokość cieśnin i topografię dna.

Ekran ukazywał również planowany kurs flotylli, idącej teraz ku północy, z leciuteńkim odchyleniem na wschód. Przy szybkości 22 węzłów, za godzinę powinni się znaleźć na wysokości ławicy Groves Flak i ławicy Fladen, dwóch płycizn, które dla małego okrętu podwodnego stanowiły wymarzoną kryjówkę. Wąski kanał żeglugowy zwęzał się w tamtym miejscu jeszcze bardziej. Niedobrze. Bardzo, bardzo niedobrze. Ward wywołał przez mikrofon szefa sekcji śmigłowcowej. - Mike, poślij któregoś z chłopaków na dach, niech mi sprawdzą te dwie ławice. Na razie tylko namierzanie pasywne, żadnych echosond. Jeżeli siedzą tam pod wodą Niemcy albo Francuzi, mamy ich znaleźć tak, żeby nikt się nie połapał.

- Aye, aye, sir.

Ward słuchał, jak kapitan wydaje polecenia załogom. W patrolu miało wziąć udział po jednym śmigłowcu z „Leyte” i z „Simpsona”. Działając w parze, obie maszyny typu SH-60 Seahawk zamierzały przeczesać wskazany akwen, wykorzystując do tego wykrywacze anomalii magnetycznych i tuziny pław akustycznych LOFAR. Tylko

w ten sposób można wykryć okręt podwodny, który położył się na dnie w klasycznej pozycji „zdechł pies”. Tylko co dalej, nawet jeśli śmigłowce znajdą przeciwnika? W świetle obecnych rozkazów, Ward mógł otworzyć ogień tylko wówczas, gdy ktoś go zaatakuje pierwszy. Kattegat był zbyt wąski, by utrzymywać wokół konwoju strefę zamkniętą dla żeglugi. Nasłuchując dalekich głosów w słuchawkach, Ward jeszcze dokładniej sprawdził wskazania ekranów. 401, czyli drugi śmigłowiec z pokładu „Simpsona”, patrolował cieśninę na południe od konwoju. - Jak tylko tamci wystartują, ściągnijcie 401 na pokład, zatankujcie i podczepcie mu pociski przeciwpodwodne. Wygląda, że się mogą przydać.

Po ekranie posłusznie zaczęły przepływać nowe grupy znaków. Mijały kolejne minuty. Ward po raz kolejny liczył opcje, których pozostało mu nader niewiele. Dla dowódcy eskadry morskiej najgorsza ze wszystkiego jest niepewność i oczekiwanie. Kiedy zaczyna się bitwa, naddźwiękowe pociski zostawiają minimum czasu na decyzję i ani chwili na smętne refleksje. Za to przedtem...

Shapiro przystanął bez słowa za fotelem Warda. Wiadomości, które przyniósł, mogły poczekać. Admirał sprawdził na ekranie dodatkowe szczegóły i okręcił się na obrotowym fotelu. - Waszyngton kazał zwiększyć czujność, nic poza tym. Nadal nie wolno nam otwierać ognia, chyba że w obronie własnej. - A widząc reakcje Warda, szef sztabu dodał: - Admirał Macmillan powiedział, że jeśli trzeba, mamy strzelać. On już się później za nas wytłumaczy.

Ward westchnął. Miło, że dowódca Floty Atlantyckiej zdobył się na taki gest, tylko co z tego? Trzeba zaatakować, nie pozwolić Konfederacji... - Panie admirale! - dziwnie piskliwym głosem przerwał ciszę kapitan dowodzący śmigłowcami grupy. - 401 melduje, że widzą smugi ognia, idą z zachodu na wschód, prosto na nas!

Za późno. Szansa, by uprzędzić cios, rozwiąła się w jednej sekundzie. Admirał nie miał już wątpliwości, że Konfederacja postanowiła uderzyć pierwsza.

SH-60 Seahawk 401

Siedzący za sterami śmigłowca 401 porucznik marynarki Bili Alvarez przeniósł pełen niedowierzania wzrok na kolegę przy aparaturze. Kapitan Tom Calhoun odbywał piątą turę na okręcie, a na śmigłowcach Seahawk wylatał ponad pięćset godzin, gdy

tymczasem Alvarez był w rejsie pierwszy raz, więc to, co się działo, przekraczało trochę jego zdolności pojmowania. - No i co teraz robi „Leyte”?

- Przypierdoli, komu trzeba, przyjacielu - odburknął Calhoun, ani na sekundę nie odrywając oczu od przyrządów. - Zwrot w lewo, nowy kurs trzy trzy zero, prędkość siedemdziesiąt. Aha, zejźmy trochę niżej!

Alvarez siedział może za sterami, lecz ze swoim miejscem przy czujnikach i doświadczeniem, prawdziwym dowódcą patrolu pozostał Calhoun. Musiał na dobrą sprawę działać sam, bo Alvarez, jak każdy pilot śmigłowca, miał pełne ręce roboty. By obrócić maszynę w lewo, musiał manewrować jednocześnie drążkiem skoku okresowego, dźwignią zespoloną i przepustnicą. Seahawk wytracił prędkość i gładko spłynął na wysokość dziesięciu metrów nad ciemnymi wodami Kattegatu. Gdy Alvarez manewrował, Calhoun zdołał uzupełnić pierwszy meldunek. - Nie widzę wampirów na radarach.

Powtarzam, kontakt

z wampirami wzrokowy i w podczerwieni, radary ślepe.

Przypuszczalna liczba: ponad dziesięć. Lecą na niskiej wysokości.

Na prowadzenia radiowego nie słyszę.

Konfederacja postanowiła po raz kolejny wypróbować najnowszą generację pocisków samosterujących, niewidzialnych dla radarów. Broń spisywała się jak należy, skoro pokładowe radiolokatory APS-124 na śmigłowcu nie umiały wychwycić ech pocisków na tle wzburzonej, falującej wody Kattegatu. Calhoun wyłączył się, przerywając połączenie z „Leyte”. - Reszty zaraz się dowiedzą sami. Zrobiliśmy dla Wuja Sama, ile się dało, a teraz chodu!

Zwrot w lewo, nowy kurs dwa dwa pięć!

Alvarez odruchowo usłuchał. Przywykł bez namysłu wykonywać rozkazy, a polecenia Calhouna miały w dodatku sens. Samoloty, które wystrzeliły pociski w krążownik, mogły nadal się kręcić w pobliżu konwoju. Najlepiej było więc nie zwracać na siebie ich uwagi, zmniejszyć obroty silników, zejść jak się da najniżej i przeczekać, udając nocną chmurkę. Na mniejszych obrotach oszczędzało się też paliwo, zyskując w zamian dodatkową godzinę lotu. W sytuacji, w której ku macierzystym okrętom mknęło kilkanaście rakiet cruise, nocny lot Seahawka 401 mógł się zakończyć lądowaniem w Szwecji. Prócz tego nowy kurs pozwalał odskoczyć od „Leyte Gulf i „Simpsona”. Alvarezowi i Calhounowi

wcale nie zależało na tym, by w zamieszaniu dostać własnym pociskiem raketowym. W ciemnościach po prawej burcie śmigłowca wykwitły naraz rozbłyski. Alvarez odruchowo zacisnął prawą powiekę, by nie dać się oślepić. Pod pokładem „Leyte Gulf” czekała ponad setka pocisków powietrze-powietrze, wystrzeliwanych z podwójnych prowadnic na dziobie i rufie krążownika. Alvarez poznał, że ogień prowadzą obie wyrzutnie. Pierwszym pociskom towarzyszył silny pomarańczowy rozbłysk, który na tle nocnego morza dokładnie obrysował sylwetkę dalekiego okrętu. Po sekundzie krążownik zniknął w obłokach raketowego dymu, rozświetlanego ogniem z dysz kolejnych par rakiet. Pierwsze dwa pociski wyprysnęły ponad wirującą dymną chmurę i ciągnąc za sobą jasną smugę odrzutu, zaczęły się wspinać. Nawet z odległości ponad trzydziestu kilometrów wyglądały jak dwa zawieszony na niebie lampiony, tak jasne, że kłuły w oczy. widok zapierał dech, a zarazem przerażał. Sekundę później, kiedy pierwsza para pocisków zaczęła zakreślać wierzchołek łuku, pomiędzy nowych kłębow dymu skoczyły w górę dwa następne, a za nimi kolejne pary. Sunący po wodzie krążownik stał się podstawą wielkiego ognistego łuku, rozpiętego po całym niebie. Alvarez spojrzał wstecz, w stronę, z której powinien wypuścić pociski także ich własny okręt. Nic - ciemno.

- Co, „Simpson” nie strzela?

- A, skąd! - zgasił pilota Calhoun. - Nie mają takich zabójczych radarów jak system Aegis, więc siedzą cicho. I mają rację - dorzucił, kalkulując coś w myślach. - Przeciwno pociskom 5fe-akh może im pójść bardzo różnie. Nie, zaczekaj! Masz, „Simpson” też strzela.

Znad horyzontu wyprysnęła nowa para ognistych krech. Z początku pociski „Simpsona” leciały wprost na śmigłowiec, lecz po paru sekundach odchyliły się w prawo i przemknęły po lewej burcie Seahawka. Rakiety z „Leyte Gulf” - niewidoczne po zgaśnięciu silników - przybliżyły się tymczasem do pocisków samosterujących Konfederacji.. Daleko po lewej stronie, w połowie odległości do horyzontu, pokazała się nagle seria oślepiających, białych błysków - znak, że zadziałały zapalniki zbliżeniowe głowic.

Błyski przybliżyły się mimo to, w miarę, jak ku okrętom zaczynały mknąć kolejne salwy EuroConu. Trafiły.

Przestrzeń morza między parą amerykańskich okrętów wojennych

rozświetliła nagle olbrzymia eksplozja. Jej rozbłysk rozpruł nocny mrok tak prędko, że Alvarez dopiero po chwili zrozumiał, czego stał się świadkiem. W ułamku sekundy, zanim odwrócił oczy, ujrzał pękający od wewnątrz, ogarnięty żółtym płomieniem kadłub statku transportowego. Pilot zamrugał, odpędzając spod powiek powidoki i znów omiół wzrokiem horyzont. Błysk zastąpiła mętna, pomarańczowej barwy poświata. Na ekranach termowizora szara sylwetka transportowca na tle ciemnego morza zaczęła bieleć, nabiegając od strony dziobu coraz większym gorącem. Wreszcie nad białą kreskę pokładu wystrzeliły jęzory ognia. Transportowiec stał w płomieniach. O, rany. Alvarez poczuł, że pod przepoconym kombinezonem robi mu się zimno. - Zwrot w prawo, nowy kurs dwa siedem zero - poleciał Calhoun. - Włączę radar, zobaczę, co się dzieje.

Alvarez okręcił śmigłowiec wokół osi, czujnie śledząc wysokościomierz. Mógł przysiąc, że przez grzmot silników słyszy, jak pod kadłubem przewalają się fale. Nawet tak zwrotną maszynę jak Seahawk nisko nad wodą mogła spotkać głupia przygoda, po której nie będzie już czasu, żeby wyjść w górę. Calhoun zgarbił się nad wielofunkcyjnym ekranem, zeszywniał nagle i pospiesznie włączył mikrofon. - Atol Pięć, tu 401. Dziesięć ech, odległość pięćdziesiąt mil, pułap trzy zero zero, prędkość sześć zero zero. Brak emisji. W ciemnościach sunęła ponad morzem grupa nieprzyjacielskich samolotów, próbując bez pomocy radarów podkraść się do osaczonego konwoju. Calhoun prędko pstryknął wyłącznikiem. - Wygaszam radar. Zwrot na kurs zero trzy zero, prędko! Śmigłowiec znów się okręcił, jak gdyby poderwany tym głosem.

- Zwiększ prędkość!

Alvarez wszedł na nowy kurs i popchnął dźwignię zespoloną, rozpędzając śmigłowiec do prawie dwustu kilometrów na godzinę. Calhoun z obawą obserwował północno-zachodni sektor horyzontu, lecz na tak małej wysokości pilot musiał skupić się nie na niebezpieczeństwie, lecz na wskazaniach instrumentów pokładowych. Jeśli odrywał od nich wzrok, to tylko po to, by zerknąć na przebieg starcia. Nisko nad wodą przemknęła w kierunku konwoju nowa gromada ogników, tym razem z południa. Rany boskie, Konfederacja bierze grupę w dwa ognie! Z tej odległości Alvarez nie widział wszystkiego dokładnie, lecz szlak, jaki zakreślały

ogniki, wystarczał mu za szczegółowy opis. Alvarez domyślał się, jak się czują ludzie na okręcie, widząc nad falami coraz bliższe iskry. Wiedział też, że marynarze robią swoje, skupieni nad ekranami i spoceni ze strachu, że popełnią pierwszy błąd. Nawet za najmniejszą pomyłkę płaciło się teraz własnym życiem, no i zagładą konwoju. Pociski rakietowe wypuszczały teraz jednocześnie „Simpson” i „Leyte Gulf. W nocną ciemność unosiła się seria za serią. - Uważaj, Bili! Przed tobą, z lewej!

Alvarez przekręcił głowę w kierunku, w którym Calhoun wyciągał ramię. Obok śmigłowca gwizdnął podłużny, spiczasty kształt. Włączony choćby na parę sekund radar działał na myśliwce jak płachta na byka. Piloci Konfederacji rozpoczęli polowanie na 401, kierując się zamiarem radarowego echa ze śmigłowca. Ich własne radary tak nisko nad wodą były bezużyteczne. Calhoun prędko włączył czujniki termowizyjne śmigłowca. Nagrodą za chwilę strachu był widok białoszarej sylwetki francuskiego Mirage, który gnał tuż nad falami, wielokrotnie szybciej niż śmigłowiec. Obaj Amerykanie wstrzymali oddech. Jeżeli Francuz ich wypatrzył, koniec balu. Po trzydziestu sekundach nerwów, które wydawały się wiecznością, myśliwiec skręcił w lewo i oddalił się na północ. Zrezygnował z poszukiwań, wołąc zapewne lepsze albo bardziej widoczne cele. Alvarez upewnił się, co z konwojem. Na tle skłębionego dymu poprzednich salw migały nad okrętami nowe rakietowe błyski. W kierunku 401 leciało tylko parę pocisków woda-powietrze. Większość kierowała się na zachód i południe, a niektóre wprost ku północy. Czyżby Konfederacja atakowała również od tamtej strony? Oprócz odpalanych rakiet wokół okrętów widać było serie prędkich rozbłysków, które oznaczały, że strzelają także działa i szybkostrzelne artyleryjskie systemy antyrakietowe Phalanx. Widocznie samoloty i pociski samosterujące Euro-Conu przedostały się poza zewnętrzny pierścień obrony rakietowej. Lecąc obecnym kursem, śmigłowiec zbliżał się prędko do konwoju. Widać było teraz wyraźnie, że jeden z parę statków transportowych ogarniają płomienie i coraz gęstszy, czarny dym. Alvarez przyłapał się na tym, że zaciska pięści i marzy o tym, by wypuścić w przeciwnika pocisk rakietowy, serię z działka, cokolwiek. Miał wielką ochotę ruszyć w ślad za Mirage, który na nich polował i zwalić skurkocjada do wody. Kątem oka zauważył na północy kolejny błysk, przypominający płonącą w wielu miejscach

firanke. Wykryta przez nich formacja samolotów Konfederacji wystrzeliwała kolejną salwę pocisków powietrze-woda. Calhoun podniósł do oczu lornetkę i przez moment śledził fajerwerki, po czym przekazał przez radio nowe ostrzeżenie, a rozłączając się z „Leyte Gulf podjął nową decyzję. - Bili, przejdź na kurs trzy pięć zero i zwolnij tak jak przedtem. Alvarez uczynił to.

Właściwie przestał się przejmować wzburzonym morzem tuż pod kabiną. W prawym oknie miał konwój, zasłonięty kurtyną dymów. Tylko skaczące za nią iskry mówiły, że w stronę przeciwnika idą kolejne pociski. Poza obrębem dymnej chmury trwał tylko znieruchomiały, płonący transportowiec. Alvarez wystraszył się trochę, gdyż kolejny, duży rozbłysk zapalił się nad tym punktem formacji, gdzie płynął „Simpson”, lecz nasłuchujący przez radio Calhoun uspokoił go zaraz: - Phalanx zrąbał kolejnego!

Automatycznie naprowadzane, sześciolufowe działko fregaty strąciło następny pocisk samosterujący zaledwie kilkaset metrów od burty, sekundę przed trafieniem. Przy następnym meldunku radiowym Calhoun spowaźniał i dopiero po dłuższej chwili szepnął: - „Tartu” się pali.

Nad wodami przesunął się następny rząd ognistych iskieł.

Nadlatywała kolejna salwa pocisków samosterujących. Alvarez nie widział, co się dzieje na ekranach, lecz zdawał sobie sprawę, iż system obrony przeciwrakietowej na okrętach lada chwila puści. - Zmiana kursu. Teraz na północ.

Znów odruchowa reakcja, znów bezradne spojrzenie na konwój. Dym zdążył już całkowicie spowić okręty. Alvarez nie wiedział, co oznaczają błyskające wewnątrz czarnej chmury pojedyncze eksplozje. Mógł mu to wyjaśnić tylko Calhoun, który obserwował emisje radarowe wokół okrętów, - „Simpson” stracił swój Mk92 - obwieścił nagle Calhoun. Kurwa, jeszcze i to. Brak głównego radaru systemów ogniowych oznaczał, że któraś z rakiet trafiła. Co gorsza, fregata stawała się bezbronna wobec następnej salwy pocisków samosterujących. - Może włączymy radar? - zaproponował Alvarez.

- Czyś ty zgłupiał? Nie dowiemy się nawet czy toną, czy tylko ich zahaczyło. Weź się w garść, Bili. Pewnie zmiotło im po prostu antenę.

Obaj wiedzieli, że to tylko pobożne życzenia. Trafienie pociskiem powietrze-woda oznaczało dla okrętu wielkości „Simpsona”

prawdziwe piekło, śmierć dziesiątków marynarzy, mnóstwo ran od odłamków... Chodziło w dodatku o kolegów Alvareza i Calhouna, ludzi, z którymi pływali. Starszy i bardziej doświadczony dowódca próbował uspokoić zielonego, młodego pilota. Może zresztą nie tylko jego, bo i siebie także. Chmurę rozświetliły od wewnątrz nowe wybuchy, tak silne, że mogły oznaczać jedynie trafienia rakietami. Zanim dwaj ludzie w kabinie 401 zrozumieli, co oznaczają rozbłyski, płonący „Tartu” zniknął w białym, płomienistym grzybie eksplozji. Alvarez spojrzął na elektroniczny zegar na tablicy przyrządów, bezwiednie rejestrując dokładny czas zagłady kontenerowca. - Wieźli pełno rakiet Patriot - przypomniał słabym głosem i przeżegnał się.

- Aha- odburknął Calhoun, zajęty swoimi ekranami. Chodziło mu w tej chwili tylko o to, by wycisnąć z aparatury jak najwięcej danych o ataku. Dopiero teraz dobiegł ich huk eksplozji, słyszalny pomimo pracy silników. Alvarez spodziewał się, że porządnie nimi zakołysze, ale z odległości piętnastu mil morskich tylko basowy grzmot powiadomił świat o śmierci „Tartu”.

Niebo i morze pociemniały na nowo. Gdzieś tam tylko błyskały w mroku łuny pożarów na okrętach. Calhoun wyprostował się, gdyż przez chwilę dowódca sekcji śmigłowców z „Leyte Gulf” przekazał mu nowe instrukcje. - Zrozumiałem. Za trzydzieści minut. Wyłączam się! - rzucił do mikrofonu, a odwracając się do pilota westchnął:

- Mówią, że na razie tyle. Możemy odzipnąć. Wyjdź na sześćdziesiąt metrów do góry i leć tam, gdzie się palił „Tartu”. Mamy poszukać rozbitków, a potem wracać nad „Leyte Gulf” po paliwo.

- A co z „Simpsonem”? Wiesz coś?

- A, wiem. Dostali, i to zdrowo. Pała się, chyba nawet w kilku miejscach. - Najgorszą wiadomość, przynajmniej dla załogi 401, operator zostawił na koniec. - Aha, rozwalilo im pokład. Dopiero za pół godziny będzie wiadomo, czy w ogóle możemy tam wylądować. „Leyte” też dostał, w dziób i w rufę.

-Beznamiętny ton dowódcy i jego nowe polecenia sprawiły, że Alvarez nie zadawał dalszych pytań na temat losu kolegów i stanu okrętów. Zamiast tego popchnął dźwignię przepustnicy i nakierował nos śmigłowca na dryfujący, ogarnięty płomieniami wrak. Być może załoga opuściła statek przed ostatnią eksplozją - a może wybuch zmiotł kogoś z żywych do wody? Alvarez nie łudził się specjalnie,

że tak będzie. Ciągąc nad coraz burzliwszymi falami Kattegatu z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, 401 w krótkim czasie zbliżył się znów do poszarpanego konwoju. Pięć mil morskich od „Tartu” napotkali wreszcie pierwszą oznakę, że wymiana ciosów dotknęła także drugą stronę. Na wodzie kołysał się na wpół zatopiony wrak myśliwca z rozprutym kadłubem. Za zalaną kabiną ciągnęły się po falach linki i podarta czasza spadochronu. Przy uderzeniu w morze katapulta zadziałała samoczynnie. Zamiast napawać się tym widokiem, Calhoun włączył termowizory i przyjrzał się tonącemu statkowi, z którego pozostał tylko gorący, przetrawiony płomieniami kadłub. Obaj piloci aż się zachłysnęli na widok czarno-białego obrazu na ekranach. Elegancka sylwetka kontenerowca zmieniła się nie do poznania. Pokład „Tartu” zapadł się i porozrywał. Nad statkiem unosiły się kłęby przegrzanej pary, świadczące, że do płonącego kadłuba wlewa się woda. W burcie ziała ogromna wyrwa, zupełnie jak gdyby gigantyczny morski potwór wygryzł w tym miejscu poszycie. „Tartu” miał przechył na rufę i na lewą burtę - coraz silniejszy, w miarę jak do rozerwanego kadłuba właczały się kolejne tony wody. - Chryste Panie, Tom! Zaraz zatonie! - odezwał się bez pytania Alvarez. Śmigłowiec zahuczał nad skazanym na zagładę statkiem, podskakując w kolumnach rozgrzanego pożarami powietrza. Alvarez zatoczył nad „Tartu” ciasny krąg i zawrócił na zachód. Calhoun tylko skinął głową.

- Dobra, jeszcze jedno okrążenie, żeby się upewnić czy nikt nie został na pokładzie, a potem pokręcimy się nad wodą... Przez prawe okno maszyny wlał się w tejsze sekundzie olśniewająco jasny, trupiobiały rozblysłk. W ułamku sekundy Alvarez pomyślał, że ktoś upolował wreszcie ich śmigłowiec, lecz silniki grały tak samo równo, jak przedtem. Nie widział nic, gdyż oślepiiony dalekim wybuchem zacisnął powieki. Słyszał za to głos Calhouna, który krzyknął: - „Simpson”!

Z trzech pocisków raketowych, które trafiły „Simpsona”, pierwszym okazał się AMRAT do zwalczania radarów - jeden z czterech wystrzelonych w amerykańską fregatę. Pocisk rozerwał się dokładnie trzydzieści metrów nad okrętem, rozsyłając po całym pokładzie rój rozpedzonych odłamków, które zniszczyły anteny radarowe i zabiły bądź poraniły nielicznych marynarzy na odsłoniętych stanowiskach. Druga fala samolotów odpaliła pociski

powietrze-woda do zwalczania okrętów i chociaż „Simpson” stanowił drugorzędny cel w tym ataku, skupiając na nim ogień można było liczyć na to, że dzięki temu w pobliże konwoju prześlizną się inne samoloty. W kierunku fregaty pomknęły tuż nad wodą cztery ponaddźwiękowe pociski ANL Pozbawiony radarów, a więc praktycznie bezbronny okręt nie mógł wystrzelić własnych pocisków rakietowych. W stronę ANL wysłał więc tylko chmurę zwykłych artyleryjskich pocisków kalibru 76 milimetrów, które nic nie wskórały przeciwko opancerzonym głowicom francuskich rakiet. W ostatnich sekundach przed trafieniem okrętowe miotacze na obu burtach wypuściły w górę obłok dipoli. W ciemnościach widać było tylko rozrywające się pociski artyleryjskie, lecz radary czterech francuskich rakiet „dostrzegły” nagle ponad okrętem całe mnóstwo celów, jasnych i odbijających sygnał jak pancernik. Kiedy AM. dzieliły od fregaty już tylko dziesiąte części kilometra, sześciolufowe, naprowadzane radarowo działko Phalanx wypuściło trzy serie wolframowych pocisków. Trzecia seria musnęła wreszcie cel. Rakietą zboczyła z kursu, wpadła do wody i eksplodowała, tak blisko okrętu, że na pokład zwała się kaskada wody. Trzy pozostałe pociski ANL były zbyt blisko nawet jak na Phalanx Jedna ominęła okręt, gdyż zmylona odbiciami dipoli, zamiast na okręt rzuciła się na obłok posrebrzanych plastikowych pasków. Dwie pozostałe, które nakierowały się na kadłub fregaty zanim jeszcze załoga wystrzeliła dipole, nadal szły prosto w cel i trafiły go z prędkością dźwięku: pierwsza przed mostkiem, pod wyrzutnią pocisków rakietowych Standard, a druga pośrodku nadbudówki, tuż nad maszynownią. Sam impet trafienia wystarczył, by położyć „Simpsona” na burtę i cisnąć wszystkich marynarzy o pokład. Opóźniające zapalniki obu głowic zadziałały dopiero we wnętrzu okrętu. Każda z AM. niosła 150 kilogramów materiału wybuchowego w cyrkonowym płaszczu zapalającym. Metalowa otulina przy wybuchu rozerwała się na setki rozpalonych fragmentów, które rozprysnęły się po wnętrzu okrętu. Każdy odłamek pozostawiał za sobą strugę ognia. Przed odłamkami uchroniło się tylko kilka najważniejszych przedziałów okrętu, chronionych pancierzem z kevlaru. We wszystkich innych pomieszczeniach marynarze ginęli od eksplozji, odłamków i pożarów, jakie ogarnęły fregatę. Dowódca „Simpsona” od razu - od chwili, gdy nad okrętem wyrósł grzyb podwójnej eksplozji - wiedział, że to koniec. Kiedy z dołu zaczął się

wlewać na pomost duszący, trujący dym, kapitan wydał rozkaz opuszczenia okrętu i dopilnował, by wszyscy żywi znaleźli się w porę za burtą. W chwili, gdy Alvarez i Calhoun zataczali pierwszy krąg nad „Tartu”, rozkaz dowódcy „Simpsona” zdążył dotrzeć najwyżej do trzydziestu marynarzy. Nawet lodowata woda Cieśnin Duńskich wydawała im się zbawieniem w porównaniu z ognistym piekłem na pokładzie okrętu. Marynarze próbowali odpłynąć możliwie najdalej od pływającego domu, który stał się rozpaloną trumną. Kres „Simpsona” przyszedł zupełnie nagle, w chwili, gdy pożary na pokładzie okaleczonej fregaty ogarnęły komory amunicyjne i magazyny pocisków raketowych. „Simpson” rozerwał się w ułamku sekundy, rozdarty na strzępy seria pojedynczych wybuchów, które wydawały się jednym, przeciągłym grzmotem. Gdy kilka minut później nad podziurawionym wrakiem zamknęły się fale Kattegatu, wraz z okrętem poszło na dno ponad trzy czwarte z liczącej 215 osób załogi.

4 czerwca - USS „Leyte Gulf”

Ward patrzył z ulgą na serię półkoli, przybliżających się coraz bardziej do resztek konwoju na ekranie centrali bojowej. Komputerowe znaki, z których każdy opatrzony był kreseczką wymierzoną w okręt, oznaczały myśliwce F-14 z pokładu lotniskowca „George Washington”, lecz Wardowi najbardziej przypominały w tej chwili stadko zbawczych aniołów. Choć uszkodzony krążownik wyciągał najwyżej dwadzieścia węzłów, całonocny rejs przybliżył grupę o 150 mil morskich do potężnego lotniskowca. Bój nie przyniósł rozstrzygnięcia. Ward trochę się cieszył, a trochę nie, bo siły Konfederacji zdołały tak czy owak zatopić dwie z czterech jednostek konwoju, a trzecią uszkodzić. Przeciwnikom nie udało się natomiast osiągnąć zasadniczego celu, to znaczy roznieść Grupy Bojowej 22.1 pociskami raketowymi i torpedami, korzystając z tego, że Amerykanie rozciągnęli okręty po całym Bałtyku. Konfederacja okupiła atak ciężkimi stratami, owszem - admirał pamiętał, że sporo niemieckich i francuskich samolotów nie wróciło tej nocy do baz, Ward naczytał się w życiu mnóstwo książek i prac o bitwach morskich. Uczono go też na ten temat w akademii Marynarki Wojennej. Co więcej, admirał walczył już na wodach Zatoki Perskiej i wraz z kolegami śledził każdy szczegół współczesnych konfliktów zbrojnych, by czegoś się z nich nauczyć. Jednak nawet Zatoka Perska stanowiła po prostu pryszcz w

porównaniu z tym, co działo się poprzedniej nocy. Żadne z wcześniejszych doświadczeń nie przygotowało Warda na starcie tak szybkie, tak gwałtowne i tak chaotyczne jak nocna walka z pociskami samo-sterującymi i lotnictwem. Przez całą noc Ward bał się, po prostu przeraźliwie bał się, że popełni błąd. Strach prawie związał mu ręce. Taki sam lęk widział na twarzach innych oficerów i marynarzy. Tylko ze względu na nich Ward udawał, że się nie boi, tylko dla nich myślał i walczył. A kiedy już podjął walkę, wszystko działo się tak szybko, że strach odsunął się gdzieś daleko na bok. Ward rozkaszał się nagle i prawie zachłysnął, tak zaboląło go w tchawicy. Gęsty dym nocnych pożarów na okręcie osadził się grubą warstwą kopciucha w płucach całej załogi. Admirał oprócz bólu w płucach czuł zmęczenie, od pół dnia nie jadł, a utrata „Simpsona” i „Tartu” również nie poprawiała mu samopoczucia. Po cichu cieszył się, że jako dowódca grupy może się wygodnie rozwalić w fotelu. Nie przyznałby się do tego przed światem za nic, lecz sam także uważał, iż gdyby nie Tomcaty, które pojawiły się w porę na horyzoncie, razem z resztą załogi leżałby pewnie teraz na dnie cieśnin. „Leyte Gulf” także dostał pociskiem raketowym, tuż za pomostem nawigacyjnym. Eksplozja potrząsnęła całą centralą bojową, uszkodziła jedną z anten radaru SPY-1 i zmieniła w pocięty złom dziobową wyrzutnię raketową. Ward mógł dziękować Bogu, że w chwili trafienia na prowadnicach wyrzutni nie było akurat pocisków. Druga rakietka, jaka trafiła krążownik, narobiła jeszcze większych szkód, bo wzniciła pożar w maszynowni, gdzie zginęło dwanaście osób. Mały figiel, a krążownik poszedłby na dno w ślad za „Simpsonem”. Tylko umiejętności wyszkolonej załogi pozwoliły w porę zlokalizować i zdusić pożar. Dzięki temu nadal płynęli. Na krążowniku kończyły się pociski raketowe, nie pracowała połowa silników, a szpital okrętowy pękał w szwach od rannych marynarzy „Leyte” i poparzonych rozbitków, których udało się wyłowić z wody tam, gdzie zatoneły „Simpson” i „Tartu”. Jeden ze śmigłowców „Simpsona”, który przeżył śmierć fregaty, usiadł ostatecznie na platformie pokładowej „Dallas Star”. Od bezpiecznego schronienia w szyku grupy „George'a Washingtona” nadal dzieliło konwój dwieście mil morskich. „Leyte Gulf” czekała jednak dłuższa trasa - do amerykańskiej stoczni, w celu dokonania niezbędnych napraw. Na razie jednak „Leyte Gulf” pozostawał okrętem wojennym,

większość uzbrojenia działała jak należy, a radar SFY-1 i komputery systemu Aegis udało się prowizorycznie doprowadzić do porządku. Krążownik nadal mógł walczyć. - Gotowe, panie admirale - zameldował dowódca „Leyte”, komandor Ralph Gunston, który przejął obowiązki szefa sztabu grupy. Jeny Shapiro ze złamaną nogą i klatką piersiową naszpikowaną odłamkami wylądował tej nocy w szpitalu okrętowym. Tęgi, wysoki i ostrzyżony na jeża Gunston przypominał oficera piechoty morskiej, nie marynarza.

- Wszystko działa jak trzeba?

- Dokładnie. Obluzowało się parę obwodów elektronicznych, ale posprawdzaliśmy, co trzeba i jeszcze raz wprowadziliśmy dane o celach, tak jak pan kazał.

- Dzięki, komandorze. Odpalamy zgodnie z planem.

- Rozkaz!

Ward podniósł się ociężale, tak osłabiony, że musiał się dobrze wesprzeć o oparcie fotela. Dłuższą chwilę wspinał się do kabiny nawigacyjnej, a stamtąd na skrzydło pomostu, lecz wysiłek opłacił się. Ward chciał się stać świadkiem ciosu, jaki krążownik zada prosto w zęby Francuzom i Niemcom. Rześkie powietrze na pomoście otrzeźwiło go trochę. Kurs, jakim szli, w połączeniu z prędkością, zmieniały chłodną bryzę w lodowaty huragan. Powiew ucichł dopiero gdy krążownik zrobił zwrot i zmniejszył obroty maszyn. Choć wiatr nie przekraczał dopuszczalnej prędkości, Ward nie miał zamiaru ryzykować. W takiej sytuacji jak obecna poprostu nie wypadało spudłować. W głębinach okrętowej nadbudówki Gunston wydał ostatnią serię rozkazów. Okrętowe głośniki odezwały się ponad pokładem: - Uwaga, uwaga! Cała załoga pokładowa, opuścić rufę!

Trzecie już i ostatnie ostrzeżenie stanowiło zwykłą formalność.

Ward usłyszał jeszcze w głośnikach trzy alarmowe brzęczyki.

Później wszystko zagłuszył pojedynczy huk gromu. Ward przekonał się, jak wielkie wrażenie robi odpalenie pocisków z pokładu.

Poprzedniej nocy wyrzutnie „Leyte Gulf” również nie milkły, lecz cała załoga obsadziła stanowiska bojowe, a szczelne drzwi centrali prawie nie przepuszczały hałasu. Ward miał poza tym nocą inne zmartwienia niż huk rakiet - na przykład, musiał przenosić ogień z burty na burtę, by zwalczyć pociski nadciągające kolejno ze wszystkich stron widnokregu. Na przykład, musiał się zająć rannymi i konającymi ludźmi, którzy mu zaufali.

Napawać się całą sceną mógł więc dopiero teraz. Co dziesięć sekund nad rufą krążownika wychodził w górę następny szary pocisk ze statecznikami, długi na siedem metrów i podobny do ognistego słupa, który łukiem oddala się na południe. Dwadzieścia pocisków samosterujących Tomahawk - cały zapas, jaki był na krążowniku - ruszało w kierunku baz lotniczych Konfederacji w północnych Niemczech, by choć częściowo pomścić zatopione statki i poległych marynarzy. Ostatni Tomahawk podniósł się już w gęstej chmurze białego dymu, jaka zdążyła wyrosnąć za rufą „Leyte Gulf”. Ward zszedł z pomostu. Okropnie zachciało mu się teraz spać, lecz najpierw czekały go najpilniejsze sprawy i meldunki, które trzeba wysłać do dowództwa. Czas wyrównywania rachunku dopiero się zaczynał.

Amerykański Ośrodek Walki Orbitalnej

Generał brygady Howard Noonan z Sił Powietrznych USA czuwał na posterunku - w tym wypadku za biurkiem w pomieszczeniu od góry do dołu wypełnionym rzędami pulpity, konsoli, klawiatur komputerowych, mikrofonów i ekranów. Łagodne, przyćmione oświetlenie i niegłośny pomruk klimatyzacji stwarzały wrażenie, że jest się w zwyczajnym biurze albo zakładach przemysłowych. Oficerowie dyżurni Ośrodka Walki Orbitalnej siedzieli w wygodnych fotelach, każdy przy swoim pulpicie, śledząc napływające dane - optyczne, radarowe, z niskich orbit, z orbit geostacjonarnych, zewsząd. Wszystkie pulpity zwrócone były ku ogromnemu, bo na całą ścianę, ekranowi sterowanemu przez komputer i ukazującemu wszystkie kontynenty oraz większość sztucznych satelitów Ziemi. Na codzień pracujący w ośrodku mężczyźni i kobiety śledzili lot orbitalny ponad sześciu tysięcy rozmaitych satelitów. Tym razem jednak po głównym ekranie poruszało się zaledwie kilka wybranych, nadzwyczaj ważnych obiektów. Dla każdego z nich wykreślono na elektronicznym ekranie przewidywaną orbitę, a przekreślając ją strzałki wskazywały aktualne położenie celu. Noonan, który mimo masywnej budowy wcale się jakoś nie roztył przy tej pracy, pokiwał sam do siebie głową, zadowolony z wyników obserwacji. W młodości marzył o podróżach kosmicznych, a jako młody oficer miał nawet szansę dostać się do grona kandydatów na astronautów. Kiedy się to nie udało, nie przejął się i postanowił dopomóc Ameryce w inny sposób. Teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, mógł śmiało twierdzić, że dowodzi najnowocześniejszymi siłami

kosmicznymi na świecie.

Po długich latach badań, eksperymentów i użerania się z Kongresem o pieniądze, na orbicie wokółziemskiej znalazły się i rozpoczęły służbę pierwsze elementy systemu G-PALS. Skrót miał oznaczać w tłumaczeniu „globalne przeciwdziałanie atakom lokalnym i strategicznym”. Na ekranie generalskiego monitora zabłysnął czerwony symbol telefonu, oznaczający bezpośrednie połączenie z szefostwem Połączonych Sztabów. Nareszcie. Noonan stuknął w jeden z klawiszy na konsoli, sprawdził czy palą się światełka oznaczające odbiór szyfrowanych sygnałów i wizji, po czym przełączył się na rozmowę. Na ekranie monitora pojawiło się znajome, wymęczone oblicze generała Reida Gallowaya, szefa Połączonych Sztabów. Trudno się było dziwić jego znużeniu: od chwili pierwszych ataków Konfederacji na amerykańską i brytyjską żeglugę, Narodowa Rada Bezpieczeństwa obradowała bez chwili przerwy. - Słucham, generale.

- Nie będę ci długo truł, Howard. Na początek deser: prezydent zatwierdził twój plan. Masz wykonać „Zaciemnienie”. Kiedy zaczynasz?

- Jak to, kiedy? Natychmiast! Godzinę temu moi ludzie skończyli korektę oprogramowania, sprawdzili program walki, wszystko gra. Reid wyglądał na ucieszonego z tej wiadomości, lecz mniej beztróskim tonem rozkazał: - Howard, masz im powybyjać wszystkie szyby. Musimy, poprostu musimy uzyskać jakąś przewagę.

- Zrobię, co trzeba. Nie ma obawy - uspokoił go Noonan, który zdążył się zapoznać z wstępnym bilansem strat Marynarki Wojennej. Było jasne, że francuskie i niemieckie lotnictwo wygrało pierwsze starcie tej wojny. Noonan uznał za punkt honoru odebrać im następną rundę.

Pięć minut później Noonan usiadł w fotelu i ze słuchawkami na uszach skupił się nad zadaniem. Mniejszy, pusty prostokąt na głównym ekranie wypełnił się nagle mnóstwem liczb i znaków. Prezydent przekazywał zakodowane hasło, oznaczające zgodę na akcję. Kod zniknął prawie natychmiast, zastąpiony wielkimi literami: ZGODA NA START. Noonan przełączył się na kanał łączności z naziemną centralą G-PALS. - Wszystko gra, Zack?

- Gra, jak trzeba - potwierdził pułkownik dowodzący automatycznym systemem orbitalnym, - Mam na ekranie potwierdzenie zgody na start.

-- Doskonale! - Noonan po raz ostatni sprawdził wzrokiem wskazania komputerów, dotyczące położenia celu i gotowości systemu. Wszystko rzeczywiście się zgadzało. Generał wyprostował się.

- No, to jedźmy, pułkowniku. Otworzyć ogień.

Konstelacja Bravo-jeden systemu G-PALS na orbicie wokółziemskiej Sześćset kilometrów ponad zielonobłękitną, upstrzoną obłokami krzywizną planety, orbitowało pięćdziesiąt niewielkich pocisków, które okręzały glob z prędkością 27 tysięcy kilometrów na godzinę. Każdy „Kolorowy Kamyk” liczył sobie zaledwie metr długości i trzydzieści centymetrów średnicy, przy masie około pięćdziesięciu kilogramów. Wewnątrz powłoki czuwało kilka krzemowych układów elektronicznych, które dzięki mikrominiaturyzacji potrafiły rozwinąć niesamowitą moc obliczeniową. Nie większy od ludzkiej pięści superkomputer odbierał dane optyczne z umieszczonej w nosie pocisku kamery telewizyjnej z szerokokątnym obiektywem typu „rybie oko”. Resztę wolnej przestrzeni wewnątrz obudowy zajmowały silniki manewrowe i zapas paliwa. Rozkaz przekazany po łączach dowodzenia G-PALS uaktywnił pięć pocisków. Miały one wykonać nowy program, przed zaledwie godziną przekazany z Ziemi i zakodowany w pamięci każdego z nich. Z dysz silniczków manewrowych zaczęły ulatywać w przestrzeń strugi gazu. Powoli lecz nieubłaganie pięć „Kamyków” odpłynęła od reszty konstelacji i przeszła na nową orbitę. Głowice czujników, ustawione dotąd na obserwację dolnych warstw atmosfery, skupiły się na pustej przestrzeni kilkaset kilometrów nad powierzchnią planety. W miejscu, które obserwowały, wyrósł po pewnym czasie nowy kształt - wynurzył się zupełnie nagle znad ziemskiej krzywizny i zaczął się prędko przybliżać. W taflach baterii słonecznych po obu bokach dwutonowego pudła rozbłyskiwały promienie słoneczne. HELIOS był francuskim satelitą rozpoznawczym - czyli szpiegowskim - a jego nowoczesne kamery potrafiły wyłapać przedmioty wielkości piłki futbolowej, i to nawet z tak wysokiej orbity. Nad Węgrami, Polską, Czechami i Słowacją wstawał świt, pora długich cieni, tak lubianych przez analityków od zdjęć satelitarnych. Kiedy zdobywcza weszła w pole widzenia, rozkręciły się systemy naprowadzania i kierunku we wnętrzach „Kolorowych Kamyków”. Pokładowe superkomputery rozłożyły na części składowe

obraz, jaki przekazała kamera, porównały go z konturami dozwolonego celu i nakazały przejście do ataku. W przestrzeń umknęły nowe obłoki gazu, gdyż ożyły główne silniki „Kamyków”. Pięć orbitalnych strzałek skoczyło naprzód, jak gdyby ścigały się, która pierwsza dosięgnie francuskiego satelity. Malejącą wciąż odległość od celu pokonały w minutę i osiem sekund. HELIOS zniknął w oślepiającym rozbłysku, zderzając się czołowo z pierwszym „Kamykiem”. Łączna prędkość kolizji przekraczała 50 tysięcy kilometrów na godzinę. Po kilometrach sześciennych próżni rozprzeczła się chmura milionów metalowych odłamków. Dwa „Kamyki”, które spóźniły się o tysięczne części sekundy za pierwszym, wpadły w sam środek chmury i rozprysnęły się również. Dwa pozostałe przemknęły bokiem i zaczęły spadać ku gęstszym warstwom atmosfery, gdzie miały się spalić. Pośród konstelacji G-PALS ożyło pięć następnych „Kamyków”, gdyż nad horyzontem ukazał się nowy cel - francusko-niemiecki satelita radarowy SAR, pędzący ku własnej zgubie. Nim upłynęła godzina, ten sam los spotkał wszystkie niemieckie i francuskie obiekty na niskich orbitach wokółziemskich. Kiedy na zachodnie ziemie Polski wtaczały się pierwsze kolumny obcych czołgów, wylupiono Konfederacji jej ultranowoczesne, orbitalne oczy.

19

Ześrodkowanie

5 czerwca - Sztab 19. Brygady Grenadierów Pancernych w Cottbus
W koszarach paliły się wszystkie lampy, rozjaśniając czarne, wygwieżdżone niebo nad obiektem. Chociaż było już dobrze po północy, oficerowie i żołnierze 19. Brygady Grenadierów Pancernych zapomnieli o capstrzyku i zamiast spać, przygotowywali broń i pojazdy. Przygotowywali je do wojny. Sekcje rozładunkowe tłoczyły się wokół krytych brezentem ciężarówek i pospiesznie zdejmowały skrzynki z amunicją, pojemniki racji żywnościowych i paki z częściami zamiennymi. Dowódcy kompanii i plutonów wraz z pomocnikami krążyli czujnie wokół stosów skrzyń, próbując upolować sprzęt, którego akurat brakowało w ich pododdziałach. Niedostatek zapasów nie był niczym wyjątkowym, przeciwnie, stał się ostatnio regułą. Pierwsze wystrzały, jakie padły na morzu 3 czerwca, zastały 19. Brygadę rozrzuconą po całych Niemczech, zaskoczyły ją bowiem w trakcie przyspieszonego przegrupowania do Cottbus. Niektóre bataliony zdążyły już się wprowadzić do nowych

kwater, chociaż słowo „nowe” raczej nie pasowało do prowizorycznych koszar, wzniesionych na łapu capu w 1945 roku dla radzieckich wojsk okupacyjnych. Inne bataliony tkwiły do tej pory w starych koszarach pod Ahlen, czekając aż zwolni się dla nich trochę miejsca na zatłoczonych niemieckich autostradach i liniach kolejowych, i dopiero w ostatnich dniach dotarły do Cottbus, ponaglone rozkazami o gotowości do wojny ze sztabu II Korpusu. O wiele trudniejszy od przerzutu ludzi i czołgów okazał się transport setek ton zapasów, niezbędnych do choćby kilkudniowej walki. Podpułkownik Willi von Seelow z niezbyt wesołą miną tkwił przy oknie kancelarii dowództwa brygady. Od paru dni wraz z resztą sztabowców stawał na głowie, żeby na czas opanować chaos w zaopatrzeniu. Wyglądało jednak na to, że nie zdążyli: mimo najlepszych wysiłków, 19. Brygada musiała iść w bój z połową przewidzianej amunicji, prowiantu i paliwa. Willemu mało się to podobało, ale trudna rada. Z tego, co słyszał, wynikało, że mało który związek w świeżo pożenionych wojskach Konfederacji ma komplet zapasów i sprzętu. Cała armijna logistyka trzeszczała w szwach, zwłaszcza wobec konieczności szybkiego przerzutu oddziałów nad polską granicę. Zacięte walki na Węgrzech zmieniły tę trudną sytuację w tragiczną. Von Seelow z gniewem myślał o sztabowcach i politykach z rządu, którym podejrzenie łatwo przechodzą przez usta zwroty typu „wojna improwizowana”. Niechby spróbowali sami powalczyć w „improwizowanej” wojnie, szczególnie z połową amunicji i paliwa w składach o drobne czterysta kilometrów za linią frontu! Von Seelow odwrócił się od okna dopiero, gdy na biurku pułkownika Bremera zaterkotał telefon. - Bremer! - rzucił w słuchawkę dowódca brygady i nagle, na oczach Willego, wyprostował się, zeszytniał i innym już tonem podjął: - Tak jest, panie generale! Prędko zaczął notować coś w bloku, a kiedy odłożył ołówek, von Seelow zdumiał się na widok jego ściągniętej twarzy. - Tak jest, panie generale. Instrukcję zrozumiałem. Może pan na nas liczyć. Dziękuję, panie generale, ja też życzę powodzenia. Odłożył słuchawkę i nie pytany wyjaśnił: - Leibnitz dzwonił. Von Seelow tylko przytaknął. Generał Karl Leibnitz dowodził 7. Dywizją Pancerną, w której skład wchodziła ich brygada. Bremer podniósł się zza biurka i obciągnął mundur. - Już wiadomo.

O czwartej nad ranem mamy przekroczyć granicę z Polską. Plan „Letnia Błyskawica”.

Von Seelow poczuł na skórze nieprzyjemny chłód. Wobec coraz gorszych stosunków z Polską, Czechami i Słowacją, sztab generalny przygotował kilka planów operacyjnych dla wojsk nad wschodnią granicą kraju. „Letnia Błyskawica” stanowiła najśmielszy z nich. Jako oficer operacyjny brygady, von Seelow znał oczywiście każdy szczegół tych zamierzeń, lecz nigdy by się nie spodziewał, że przyjdzie mu wprowadzać je w życie. Nawet kiedy kryzys międzynarodowy rozpałił się na dobre, podpułkownik liczył, że jakoś to będzie, albo że po obu stronach nad zapalczywością przeważą ostatecznie rozsądek. Realizując plan „Letniej Błyskawicy”, dwa pełne korpusy Konfederacji - konkretnie II i III - miały przekroczyć Nysę Łużycką poniżej Frankfurtu i ujścia Nysy do Odry. Łącznie korpusy liczyły 1400 czołgów, prawie tysiąc transporterów opancerzonych i sześć tysięcy dział, wszystko to obsługiwane przez 120 tysięcy zawodowych, świetnie wyszkolonych żołnierzy. Jako wsparcie służyć miały korpusom dywizjony myśliwców bombardujących i ponad setka śmigłowców szturmowych. Trzy dalsze niemieckie i francuskie dywizje, tworzące I Korpus EuroConu, miały zaatakować polskie siły na północ od Frankfurtu, udając, że forsują Odrę. Wyglądało na to, że uda im się związać tam dalsze polskie dywizje. IV Korpus i pomocnicze oddziały austriackie miały z kolei obsadzić granicę z Czechami, by uciekając się do demonstracji siły odwieść Pragę od pomysłów włączenia się do konfliktu. Rezerwę stanowił V. Korpus, którego dwie niemieckie dywizje pancerne pozostały w środkowej części Niemiec. Gdyby się wszystko powiodło, szóstka dywizji II i III Korpusu miały wszelkie dane, by rozbić w puch zagradzające im drogę dwie polskie dywizje zmechanizowane. Dobrze, rozbić, ale co dalej? Von Seelow poczuł, że nareszcie trafia się okazja, by zapytać o to głośno. - Jaki jest dalszy cel zadania? Powiedzmy, strategiczny?

- Mamy „ukarać” polskie siły zbrojne - wyjaśnił Bremer i sam wzruszył ramionami. - Proszę mnie tylko nie pytać, co to znaczy, bo za diabła nie wiem!

Von Seelow stropił się jeszcze bardziej. Bez jasno określonego zadania - wojskowego, a w dalszym rządzie politycznego - groziło im, że będą się bezsensownie uganiać po Polsce, trwoniąc czas i

siły. Ten, kto to wymyślił, powinien wiedzieć, że nie walczy się po to, żeby walczyć. Bremer w mig dostrzegł niepewność podwładnego.

- Mnie też nie za bardzo się podoba to wszystko. Cała pociecha, że przynajmniej rozkazy dla brygady są zupełnie jasne.

- I z lekkim uśmiechem dodał: - Nie zdziw się, Willi, jeżeli wreszcie odegramy te twoje fantazje na żywo.

Plany operacyjne tworzone na szczeblu frontu, takie jak „Letnia Błyskawica”, zawierały jedynie ogólny zarys kampanii. Szczegóły działań na szczeblu brygady, dywizji czy korpusu należały już do oficerów operacyjnych w rodzaju von Seelowa, którzy marzenia sztabów musieli przetłumaczyć na konkretną, frontową dłubaninę. Obecne plany taktyczne w związkach II Korpusu wykrystalizowały się podczas wiosennych manewrów sztabowych sprzed kilku miesięcy, Von Seelow sam nie wiedział czy się cieszyć, że jego śmiałe plany sprawdzą się - albo i zawiodą - w ogniu walki. Jako żołnierz czuł dumę, że przełożeni i koledzy poznali się wreszcie na jego talentach wojskowych, lecz zarazem nie potrafił się otrząsnąć z wrażenia, że nadchodząca wojna jest w założeniu bezsensowna. Naczytał się dosyć o naciskach władz Francji, a poniekąd i Niemiec, na Polskę i oba mniejsze kraje Europy Wschodniej, by wiedzieć swoje o prawdziwych przyczynach konfliktu. Podobne wrażenia musiał odnieść Bremer, który wreszcie przerwał milczenie i orzekł: - Przynajmniej mamy tę pociechę, Willi, że o niczym nie musimy decydować. To sprawy polityków, nie żołnierzy. My robimy, co do nas należy, a reszta to już zmartwienie wyborców. Sam przyznasz, Willi? Willi von Seelow wcale nie był tego taki pewien. Zawodowi żołnierze III Rzeszy również tłumaczyli się, że „tylko wykonywali rozkazy”. Ładne „tylko”. Willi nie uznawał ślepego posłuszeństwa. Gdzie nauczył się słowa „sumienie”? Chyba nie w Armii Ludowej NRD? Po wszystkim, czego się naoglądał przez ostatnie lata, wiedział już na pewno, iż cokolwiek się uczyni, choćby i pod cudzymi rozkazami, będzie się z tego rozliczonym. Przełożeni w wojsku i politycy rządzący krajem mogli wmawiać sobie i innym, że chodzi o słuszną sprawę, historyczną sprawiedliwość i co tam jeszcze. Willi słyszał to nie po raz pierwszy. Kanclerska decyzja o wprowadzeniu stanu wyjątkowego wydawała mu się z początku złem koniecznym, lecz w miarę upływu miesięcy trudno było nie zauważyć, że tymczasowe i

doraźne prawa, przepisy i rozporządzenia zamiast zniknąć, trwają w najlepsze. Z czymś takim nie mógł już się pogodzić zupełnie. Nie po to pierwsze lata służby strawił pod rozkazami komunistycznych bonzów, by teraz spokojnie wypełniać życzenia następnych dyktatorów. Dwie godziny później 19. Brygada Grenadierów Pancernych sformowała kolumnę marszową - długi wąż zaciemnionych czołgów i wozów piechoty, który w klekocie gąsienic zaczął się niespiesznie toczyć w stronę nadgranicznego Forst. Trasa przemarszu wiodła przez zrujnowane, zapuszczone wioseczki i pośród wymarłych, uschłych lasów - pamiętce po odkrywkowych kopalniach węgla brunatnego, które całą tę ziemię zmieniły w strefę klęski ekologicznej. Za brygadą szły następne oddziały pancerne i zmechanizowane, kilometrowymi kolumnami wlewając się w ulice Cottbus. Wokół miasta zgrupowała się większość sił II Korpusu, przygotowując się do wejścia w wyłom, jaki mieli uczynić wybrańcy - żołnierze pułkownika Bremera.

Pod Forst, na granicy polsko-niemieckiej Świtało.

Mimo że las na polskim brzegu Nysy nadal zasnuwał cień, słońce zdążyło już wspiąć się nad horyzont, podobne do płomienistej kuli na bezchmurnym niebie. W migotaniu pierwszych promieni rozbłysły czerwienią zardzewiałe kratownice mostu kolejowego w Forst. Lekki wiatr z południa i południowego wschodu zapowiadały suchą, upalną resztę dnia. Na moście roilo się od postaci w panterkach. Saperzy zakrywali szyny i podkłady drewnianym poszyciem, po którym bezpiecznie mogły przejść na drugą stronę wozy pancerne. Inne pododdziały inżynieryjne, przydzielone do brygady z 7. Dywizji i z II Korpusu, pospiesznie stawiały w poprzek Nysy dwa mosty pontonowe. Pontony miały własny napęd, toteż dawały się szybko spiąć, a do rzeki co chwila pluskały z ciężarówek nowe. Obie kołyszące się wstęgi sięgały już drugiego brzegu rzeki. Tuż obok podstawy przyczółka, ale jeszcze na zachodnim brzegu, zgrupowały się wozy pancerne. Samobieżne zestawy przeciwlotnicze Gepard celowały w niebo 35 milimetrowymi lufami i antenami radarów, wypatrując nad Forst intruzów w postaci polskiego lotnictwa. Nieco z tyłu, poza miejscowością stanęły baterie pocisków przeciwlotniczych Roland, o dużo dalszym zasięgu niż działka Gepardów. Na wąskich uliczkach Forst czekały tymczasem burta w burtę Mardery i Leopardy 19. Brygady Grenadierów, sposobiąc się

do przeprawy. Piechurzy w panterkach i hełmach wyciągnęli się przy swoich wozach bojowych, próbując nadrobić choć trochę z zarwanej nocy. Czołgiści w oliwkowych kombinezonach i czarnych beretach stawali na pancerzach i przez lornetki obserwowali milczący las na drugim brzegu Nysy. Obok starego, amerykańskiego wozu dowodzenia M577 w uliczce wychodzącej na most kolejowy stanęła grupka oficerów i starszych podoficerów brygady.

Pudełkowaty pojazd na gąsienicach służył jako centrum taktyczne brygady. Podpułkownik Willi von Seelow podniósł się znad pulpitu i ostrożnie, by nie zahaczyć głową o niski dach M577, zszedł po odłożonej tylnej rampie do kolegów. Coraz jaśniejsze słońce raziło go w oczy, przekrwione po nocy wśród map i radiostacji we wnętrzu wozu. - Coś już wiadomo?

Von Seelow przytaknął, że owszem.

- Major Hausser ręczy, że dokończy mosty tak jak było ustalone. Za pół godziny możemy przekraczać rzekę, Wiedzą panowie, jaki z niego pies na drobiazgi, więc chyba możemy go wziąć za słowo.

Żartobliwy ton Willego wywołał wśród podwładnych salwę głupkowatego śmiechu - trochę zbyt głośnego jak na ten marny dowcip. Von Seelow zdał sobie nagle sprawę, że pod maską nonszalancji -jego młodzi podwładni trzęsą się ze strachu, przerażeni perspektywą strzelania do ludzi i krycia się przed strzałami... W porównaniu z okropnościami nowoczesnej wojny pacyfikowanie demonstracji albo uliczne patrole były po prostu niczym. Von Seelow dziwił się, że sam zupełnie nie odczuwa takich lęków. Fakt, że zdążył już się nałykać strachu na Bałkanach, pod ogniem Serbów, Chorwatów, Bośniaków i kogo tam jeszcze, ale tym razem nie bał się z innej przyczyny. Owszem, obawiał się śmierci albo porażki, lecz wszystkie te odczucia zeszły na daleki plan - zapewne dlatego że tym razem von Seelow nie był już młodziutkim oficerem, któremu mógł rozkazywać kto chciał, lecz dowódcą. A może po prostu nie miał czasu na lęk. Po drugiej stronie mostu zauważył podejrzany ruch, więc prędko spojrzął na drugi brzeg. Przez most kolejowy szła gęsiego kolumna polskich jeńców, ponurych piechurów w charakterystycznych zielonkawych „moro”. Jeńców prowadzili na muszce niemieccy fizylierzy z twarzami i dłońmi pomazanymi czarną farbą maskującą. Polaków wzięto do niewoli w trakcie pierwszej, najbardziej ryzykownej fazy

forsowania rzeki. Przed świtem przeprawiła się przez Nysę na dmuchanych pontonach kompania zwiadu z batalionu rozpoznania 7. Dywizji Pancерnej. Na brzegu zwiadowcom udało się zaskoczyć strzegący mostu kolejowego polski posterunek w wiosce Zasięki i zdjąć polskie czujki. Przy wsparciu specjalnej kompanii piechoty z dywizyjnego batalionu zmechanizowanego, zwiadowcy rozsypali się półkolem po okolicznych lasach, strzegąc przyczółka do chwili, kiedy po mostach przejdą wreszcie ciężkie czołgi i pancerne wozy brygady. Willi gotów był iść o zakład, że ten odcinek granicy okaże się obsadzony najslabiej ze wszystkich. Wydarzenia poranka dowodziły, że wygrał. Mając zaledwie cztery dywizje i aż czterystukilometrowy odcinek granicy, Polacy rozciągnęli obronę, a tym samym rozproszyli siły. Na tym odcinku granicy skupili większość wojsk na wysokości mostu drogowego w Olszynie, czyli o dziesięć kilometrów na południe. Wieś Zasięki, otoczona lasami i prawie pozbawiona dróg dojazdowych, nie przedstawiała się jako prawdopodobny cel niemieckiego ataku.

Von Seelow chciał udowodnić Polakom, że się przeliczyli. Po przejściu Nysy, 19. Brygada Grenadierów miała zatoczyć łuk na południowy wschód, idąc wzdłuż nasypu linii kolejowej i przez lasy. Wśród tych ostatnich przeważały młodniki, bez gęstego poszycia, w którym by grzęzły wozy bojowe brygady, a dodatkowe ułatwienie stanowiły liczne przesieki i dukty leśne. Większość przesiek docierała aż do autostrady pod Olszyną, dzięki czemu Mardery i Leopardy Niemców mogły uderzyć z flanki i od zaplecza na wzmocniony polski batalion przy moście. Polski dowódca nie zdążył nawet się połapać, co się dzieje.

Aufklarungs Battalion (batalion rozpoznania) 7. Dywizji Pancерnej pod Tupikami

Batalion rozpoznawczy 7. Dywizji Pancерnej ostrożnie, klinem o podstawie jednego kilometra, przekradał się przez gęsty las. Słońce wesoło przeświecało między pniami, a rozproszony pośród liści i gałęzi blask tańczył grą światła i cienia na zamaskowanych kadłubach i wieżach pancernych. Przodem jechały ośmiokołowe transportery zwiadowcze Luchs, wypatrując nowych punktów oporu Polaków. Nieco za nimi, paręset metrów z tyłu, trzymały się czołgi i sześciokołowe transportery Fuchs z desantem piechoty. Major Max Lauer jechał dumnie wychylony z górnego włazu Leoparda 1 z dodatkową radiostacją dowodzenia. Starszy typ

Leoparda miał słabszy pancierz i mniejszego kalibru armatę niż Leopardy 2, lecz mimo wszystko trzydzieści sześć czołgów dostarczało batalionowi potężnych argumentów w każdym starciu. Zwiadowcy mogli w ten sposób stawić opór prawie każdemu równemu liczebnie przeciwnikowi, który zastąpił im drogę, a liczniejszego przeciwnika wymanewrować i obejść. Z południowego zachodu zagrzmiało. Dudnienie ciężkiej artylerii głużyła odległość i zadrzewiony teren. Lauer na chwilę zsunął z uszu słuchawki i wsłuchał się w kanonadę. Z satysfakcją pokiwał głową. W Polaków broniących mostu drogowego tłukło co najmniej dwanaście baterii. Lauer nie zazdrościł obrońcom. Znów nasunął słuchawki, pospiesznie, bo walki w Olszynie nic go nie powinny obchodzić, przynajmniej nie w sposób bezpośredni. Z Olszyną miała sobie poradzić 19. Brygada Grenadierów, natomiast batalion rozpoznawczy otrzymał zupełnie inne zadanie: opanować i utrzymać skrzyżowanie dróg w Jagłowicach, sześć kilometrów w dół autostrady. Z Jagłowic czołgi i piechota Lauera mogły zagrozić albo przynajmniej opóźnić marsz polskiego drugiego rzutu, który pospieszy na pomoc. Jednocześnie Lauer chciał zacisnąć pętlę wokół tych polskich oddziałów, które przetrwają walki o Olszynę i będą próbowały uciekać na wschód.

Stanowisko dowodzenia 411. Batalionu

Zmechanizowanego Wojska Polskiego w Olszynie

Major Marek Malanowski padł jak długi, gdy tuż obok ziemianki dowództwa wybuchł kolejny pocisk, tym razem prawie celny. Kurz i dym eksplozji wlały się do środka przez strzelnice i szczeliny obserwacyjne u zarzuconej workami z piaskiem, belkowanej powały. Któryś z sierżantów pozbiierał Malanowskiego z ziemi. Major już bez pomocy zgarnął z klepiska hełm i znów nasadził go na krótko przystrzyżone, ciemne włosy. - Coś mi się widzi, panie Janku, żeśmy komuś podpadli! Sierżant zaśmiał się, ukazując czarne od papierosów zęby. Czarniejsza od nich była jednak jego twarz, usmarowana ziemią. - Chyba i owszem, panie majorze!

Malanowski znów wyjrzał przez szczelinę. Miał wrażenie, że spogląda prosto w rozpędzony, ryczący wir, w którym wodę i pianę zastąpiły dym i płomienie. Brzeg Nysy i pobliski zagajnik orały wciąż nowe pociski. Odłamki ścinały wierzchołki drzew, a nowe eksplozje omiatały ziemię gradem drzazg i kęsów metalu. Podmuchał liście z ocalałych drzew i obłąkańczo kręcił nimi w

powietrzu, a z kilku rozbitych bezpośrednimi trafieniami pojazdów biły w niebo kłęby czarnego, oleistego dymu. Mimo artyleryjskiego lania wyglądało jednak, że większość pozycji obronnych batalionu stoi nietknięta. Dla wyszkolonych i dobrze ukrytych żołnierzy przetrwanie nawet takiej nawały jest głównie kwestią nerwów, szarpanych na strzepy nieustannym, rozdzierającym uszy hukiem.

411. Batalion Zmechanizowany na razie trwał na miejscu. Malanowski był święcie przekonany, że jeśli wytrwają tak jeszcze trochę, poszatkują na strzepy każde zgrupowanie Konfederacji, które spróbuje sforsować rzekę. Batalion Malanowskiego zdążył już przejąć amerykański schemat organizacyjny, lecz broń miał nadal starą, radziecką. Trzy kompanie bojowych wozów piechoty BWP-1 wkopały się w ziemię na skraju nadbrzeżnego lasu w taki sposób, że w polu rażenia ich gładkolufowych armat kalibru 73 milimetry i kierowanych pocisków przeciwpancernych znajdował się zarówno most, jak i pozostałe miejsca ewentualnej przeprawy. Drużyny piechoty okopały się poza wozami, osobno, na pozycjach przykrytych od góry, a więc chroniących przed odłamkami. Dodatkowym wsparciem była dla Malanowskiego kompania czołgów T-72. Pod ogniem takiej ilości luf, niemieckie czołgi próbujące przerwać się przez most na Nysie nie ujechałyby nawet stu metrów. A co z piechotą na pontonach i łodziach desantowych? Malanowski miał sposób i na nią. Niech no tylko który sukinsyn spróbuje popływać -jak mu przyfasolą z moździerzy i karabinów maszynowych! Nawet najgęstsza zasłona dymna niewiele pomoże pod krzyżowym ogniem broni maszynowej. Wystarczy się dobrze wstrzelać i nie żałować amunicji, skutek gwarantowany. Malanowski wołałby oczywiście od razu wysadzić most, i kwita, ale niestety - po pierwsze, samo minowanie konstrukcji zajęłoby mnóstwo czasu, to jasne, a poza tym trudno byłoby uczynić to dyskretnie. Dowództwo, mimo trwającej już wymiany ciosów w powietrzu, nadal nie chciało dawać Konfederacji najmniejszego pretekstu do eskalacji konfliktu. Malanowski pochylił się nad podporucznikiem przykucniętym przy batalionowej radiostacji. - Dalej nie ma łączności z dozorem Zasięki?

Wykrzyczał te słowa, by podwładny w ogóle cokolwiek zrozumiał pośród kanonady.

- Nie, panie majorze.

- A meldunki od porucznika Leśniaka?

- Nie było, panie majorze!

Malanowski przygryzł dolną wargę. Cisza zaniepokoiła go nie na żarty. Łączność z placówką w Zasiękach utracili przeszło godzinę temu, niedługo po tym, jak zaczęła się nawała ogniowa. Oczywiście kabel telefoniczny, który położyli niedawno łącznościowcy, mogły przeciąć pociski zza rzeki. Pociski, albo i nie pociski.

Zaniepokojony dziwną ciszą na prawym skrzydle, major wysłał na północ, wzdłuż brzegu rzeki, patrol pod dowództwem podporucznika Leśniaka. Patrol miał dotrzeć do placówki i zameldować o

sytuacji. Wyglądało na to, że i Leśniak gdzieś przepadł. Może przygwoździła go do ziemi artyleria? Może próbował się połączyć, ale Niemcy włączyli zagłuszarki? A może żołnierze Leśniaka natknęli się na coś lub na kogoś, przed kim nie zdążyli uciec?

Po pierwszym meldunku Malanowskiego o ruchach przeciwnika za rzeką, dowódca pułku obiecał przysłać mu posiłki w pierwszej kolejności. Co nie oznaczało, że natychmiast. Zmuszona do obrony tak długiego odcinka granicy, 4. Dywizja Zmechanizowana została prawie bez odwodów na własnym zapleczu. To zaś oznaczało, że 411.

Batalion musiał radzić sobie sam. Zamiast daremnie wypatrywać posiłków, Malanowski kazał własnemu odwodowi, w postaci kompanii D, okopać się od północy, pod kątem prostym do rzeki i w ten sposób zabezpieczyć całe prawe skrzydło batalionu. Pozycja nie była bardzo silna, bo obsadzona tylko przez setkę żołnierzy z czternastoma wozami BWP - cóż, kiedy kompania D stanowiła naprawdę ostatnią rezerwę.

Ostrzał złagodniał i osłabł, a jego tempo zwolniło.

Malanowski kolejny raz przepatrzył pochyły teren za Nysą. Nadal widział wzdłuż brzegu krzaczaste wybuchy pocisków, lecz zamiast rozbłysków w miejscach trafień widać było gęsty, szary dym.

Niemcy stawiali sobie zasłonę przed atakiem! Major drapieźnie wyszczerzył zęby, nareszcie zadowolony z widoku. Nareszcie koniec chowania się po schronach i ukryciach. Batalion miał wreszcie szansę odpłacić Niemcom za to wszystko z nawiązką. - Dawajcie ten termowizor!

Sierżant ze sztabu podał dowódcy przyrząd, zdjęty poprzedniego dnia z jednego z amerykańskich granatników przeciwpancernych typu Dragon. Malanowski oburącz podniósł kanciastą kasetę do oczu i oparł ją o dolną krawędź otworu strzelniczego. Termowizor „widział” różnice temperatur między poszczególnymi obiektami w

terenie - nawet w nocy i przez zasłonę dymną dawało nim się odróżnić pojedyncze liście i kałuże, nie mówiąc już o ludziach i rozgrzanych pojazdach. Obraz w okularze wydawał się płaski i jednobarwny: cieplejsze przedmioty wyglądały na szarobiałe, zimniejsze zaś były popielate i czarne. Malanowski dokładnie zlustrował most drogowy, ruiny przejścia granicznego i teren za rzeką. Szukał oznak, że przeciwnik szykuje się do forsowania Nysy. Nic - przynajmniej na razie. Było jasne, że Niemcy nie mogą sobie pozwolić na zbyt długą zwłokę. Pod adresem podporucznika przy radiostacji Malanowski krzyknął: - Gotowość dla wszystkich kompanii!

- Tak jest!

Major jeszcze raz przyjrzał się rzece. Przeciwnika ani widu. W co, u diabła, sobie grają ci Niemcy? Z każdą upływającą minutą dawali Polakom szansę powrotu na stanowiska ogniowe, gdzie wystarczyło tylko odsunąć ziemię i gałęzie blokujące pole ostrzału. Kiedy nad pozycją rozległ się wreszcie trzask broni maszynowej, dobiegał nie znad rzeki, lecz z prawego skrzydła, na którym najpierw padł pojedynczy wystrzał. Potem rozległ już nieustanny, wierzący uszy jazgot broni automatycznej i karabinów maszynowych, a po nim huk czołgowych armat. - Panie majorze! Atakują kompanię D! - wybełkotał młody podporucznik, tak oszołomiony wypadkami, że nadal przyciskał słuchawkę do ucha. - Idą na nich czołgi i piechota! Co najmniej w sile batalionu! Malanowski przyskoczył do północnego otworu obserwacyjnego. Szara mgła wydawała się tu jeszcze gęstsza, bo między drzewami rozpryskiwały się nowe pociski dymne, a ich opar mieszał się z czarnym dymem z palących się transporterów.

Wśród kłębow dymu migały w termowizorze ogniki wystrzałów - tam, gdzie broniła się kompania D i tam, gdzie linia niemieckich czołgów i transporterów wychodziła już na skrzydło i tyły polskiego batalionu. Rany boskie! Malanowski odwrócił się do pobladłego podporucznika i prędko, bez namysłu wykrzyczał nową serię rozkazów. - Niech kompania A leci wzmocnić prawe skrzydło! Kapitan Stachniak też ma zwrócić czołgi na północ, na północ, słyszysz? Jeśli kompania D utrzyma pozycję jeszcze przez parę minut, może uda się przegrupować siły? Nie uda się. Za późno. Malanowski widział, jak jego ludzie wycofują się w kłębach dymu, jak okręcają się i z biodra, na oślep strzelają za siebie

i znów biegają, jak padają, podcięci ogniem z północy. Na obalony pień zważyło się kolejne, zakrwawione ciało. W górze wciąż rozrywały się pociski. Grupkę uciekających piechurów minął sunący z klekotem w stronę przeciwnika pojedynczy T-72, który włókł za sobą siatkę maskującą. Wieża czołgu obracała się to w jedną, to w drugą stronę, wypatrując celów. Nowy huk. T-72 zniknął w jaskrawopomarańczowym rozbłysku, trafiony niemieckim pociskiem przeciwpancernym. Owalna wieża podskoczyła i spadła na ziemię obok płonącego kadłuba, wstrząsanego eksplozjami pocisków i paliwa. Kiedy dym zrzędł na chwilę, Malanowski dojrzał tyralierę w charakterystycznych szwabskich hełmach, tyle że nie ze stali, lecz z kevlaru. Grenadierzy posuwali się skokami przez las, obrzucając granatami kolejne polskie okopy i ziemianki. Prawe skrzydło topniało w oczach - Niemcy wdarli się w obręb głównej pozycji batalionu. Malanowski nie zwlekał dłużej z decyzją. Atak zaskoczył batalion i nie dawał najmniejszych szans na skuteczną obronę. Trwać na barykadzie do końca opłaca się tylko w poematach. Lepiej spróbować ocalić choć część batalionu. Major oderwał się od strzelnicy i wrzasnął: - Do wszystkich kompanii! Niech się wycofują! Odwrót na południe na zapasowy punkt zborny! Wyrywać!

Podporucznik co tchu przekazywał polecenie tym pododdziałom, które jeszcze nie straciły łączności ze sztabem batalionu.

Malanowski oddał termowizor sierżantowi i porwał z kąta ziemianki karabinek AKM i tornister. Reszta sztabu zdążyła już się ustawić przy wyjściu. Batalionowe dokumenty, szyfrogramy i mapy, których nie było czasu spakować, leżały na kupce, gotowe do podpalenia. Gdzieś niedaleko zagrzechotał karabin maszynowy. Zabłąkane pociski rozpruły worki z piaskiem i ze stukotem wbiły się w belki powały- znak, że Niemcy są coraz bliżej. Pora była się zbierać. Malanowski i sierżant ruszyli przodem - wyskoczyli z ziemianki z wycelowaną bronią i chyłkiem ruszyli w stronę lasu. Za nimi biegła reszta grupy. Ostatni żołnierz odwrócił się, wyciągnął zawleczkę i cisnął do ziemianki granat. Głuchemu wybuchowi towarzyszyła fontanna ziemi, piasku i skrawków papieru, jaka wyprysnęła przez szczeliny obserwacyjne i drzwi ukrycia. Schyleni żołnierze odsadzili się od ziemianki i dobiegli do wkopanego nieopodal BWP dowódcy batalionu. Głębokie ukrycie przykrywała od góry siatka maskująca. Załoga zdążyła już zapuścić silnik i

otworzyć oba skrzydła tylnych drzwi desantowych. Sto metrów dalej wypadł nagle spomiędzy kłębow dymu niemiecki Leopard. Wieżę z długolufą armatą zwrócił w lewo, celując nią w brzeg rzeki. -

Padnij! - wrzasnął Malanowski i przykleił się do ziemi.

Armata BWP stęknęła, posyłając w Leoparda pocisk przeciwpancerny, który z tej odległości nie mógł chybić. Niemiecki czołg zatrząsł się i znieruchomiał, a z wydartej w pancerzu dziury buchnął dym.

Ciało niemieckiego dowódcy zważyło się bezwładnie na karabin maszynowy przy górnym włączniku. Zanim Malanowski zdążył się uśmiechnąć, kolejny Leopard, niewidoczny w siwym oparzu, zemścił się, posyłając pojedynczy pocisk. Trafienie rozniosło BWP w kawałki i rozprysnęło na wszystkie strony kawałki cienkiego pancerza. Malanowskiemu wydało się, że słyszy wycie uwięzionej, palącej się załogi. Tym, co usłyszał na pewno, były niemieckie wrzaski, dolatujące z północy i wschodu. Las był już niedaleko, ale jeszcze bliżej zdążyła podejść tyraliera niemieckich grenadierów pancernych. - Ruszać się! Jazda! Jazda! -

Malanowski ocknął się i poderwał ludzi. Do niektórych przemówiły dopiero kopniaki. Biegiem puścili się na południe, ku zaroślom, byle dalej od płonącego BWP. Idąc za przykładem dowódcy, resztki batalionu odskakiwały w las, byle dalej.

Grupka Malanowskiego zatrzymała się wyczerpana dopiero kilka godzin później, wiele kilometrów od bronionej pozycji. Zbliżało się południe. Malanowski jeszcze raz przełknął ciepłą wodę z manierki, powoli, zwilżając spieczoną gardło każdą kroplą.

Resztką wody namoczył chusteczkę i otarł z twarzy pot, kopeć i kurz. Słońce doskwierało niemiłosiernie, ale na szczęście w zagajniku, w którym się ukryli, znalazło się trochę cienia. Major odłożył manierkę i ciężko przysiadł pod pnem, przyglądając się spod oka resztkom batalionu. Do szóstki ocalałych sztabowców dołączyło na punkcie zbornym dwudziestu czy trzydziestu wyczerpanych piechurów i kuśtykających kierowców. Wspólnie ruszyli dalej, na południe, by odsadzić się możliwie daleko od zwycięskich Niemców. Odkąd zatrzymali się w zagajniku, co rusz dołączali do nich następni żołnierze, parami albo pojedynczo, wszyscy skonani i przygnębieni. Malanowski miał więc pod sobą około pięćdziesięciu ludzi z bronią strzelecką i paroma lekkimi granatnikami przeciwpancernymi. Nie było się z czego cieszyć. Oddział stanowił jedną dziesiątą sił, które major poprowadził o

świcie do walki. Reszta poległa, trafiła do niewoli, albo rozbiegła się po lasach. Malanowski umyślił sobie, że po zapadnięciu zmroku poprowadzi obdartusów jeszcze dalej na południe, trzymając się linii lasów. Przy odrobinie szczęścia powinni znaleźć cywilne ciężarówki czy choćby wozy osobowe, zarekwirować je i spróbować dołączyć do głównych sił dywizji. A jeśli się nie uda? Malanowski podniósł się nieco. Trudno, przyjdzie się zabawiać w partyzantów, napadając na konwoje i tyłowe oddziały Konfederacji. Klęska spotykała polskie oddziały nie pierwszy raz - za każdym razem zaś historia pouczała, że nie warto składać broni. W szkole oficerskiej Malanowski nasłuchiwał się do znudzenia o wyczynach dzielnych partyzantów. Nie miał wówczas pojęcia, że samemu przyjdzie mu biegać po lasach, na tyłach wroga. Trudno, przegrali bitwę, ale na szczęście nie wojnę.

19. Brygada Grenadierów Pancernych na szosie numer 12 pod Lubieszowem

Rozmyta czerwona zorza na zachodnim niebie rzucała na szosę długie, czarne cienie. Pod szpalerem drzew na poboczach było już zupełnie ciemno. Huk silników niósł się w promieniu wielu kilometrów od szosy. Miarowy łoskot potężnych diesli mieszał się z klekotaniem i dzwonieniem gąsienic, żłobiących szczyrby w asfalcie. Tysiące pojazdów - czołgów, transporterów i ciężarówek - torowało sobie drogę w coraz gęstszej ciemności, zapuszczając się coraz głębiej w polskie terytorium. W szpicy 7. Dywizji Pancernej nadal szła 19. Brygada Grenadierów. Podpułkownik Willi von Seelow zgarbił się w kiepsko oświetlonym wnętrzu swojego M577 i próbował kreślić coś na mapie. Drugą ręką kurczowo złapał się uchwytu, bo transporterem kiwało jak cholera. Awangarda brygady pod osobistym dowództwem Bremera wdarła się już trzydzieści dwa kilometry za Nysę. Wzmocnione patrole dywizyjnego batalionu rozpoznania zapuściły się jeszcze dalej, pracowicie zrywając linie telefoniczne i zastawiając zasadzki. Chodziło o to, by przeciwnik jak najpóźniej dowiedział się o przełamaniu linii obrony. Chociaż straty własne brygady pod Olszyną okazały się nadspodziewanie duże, natarcie przebiegało pomyślnie. Od chwili porannego starcia brygada tylko sporadycznie napotykała słaby opór. Jak dotąd „Letnia Błyskawica” uderzała zgodnie z planem. Wczesnie rano pod Zgorzelcem ruszył przez Nysę III Korpus, w

gorszym terenie, bo odkrytym, a więc bardziej sprzyjającym dla czołgów. Tam też Polacy zmasowali większość sił. Meldunki informowały, że polskie związki - poważne siły 4. Dywizji Zmechanizowanej i całość sił 11. Zmechanizowanej - w bardzo zaciętych walkach utrzymały dotychczasowe pozycje. Dokładnie o tym marzyło po cichu naczelne dowództwo wojsk Konfederacji. Kiedy III Korpus nie dawał odetchnąć głównym siłom przeciwnika, 7. Dywizja Pancerna wraz z resztą II Korpusu przerwała się za Nysę i przez Bory Dolnośląskie sunęła na zachód, w kierunku Legnicy. Przed Legnicą zagon miał zakreślić na południe, by wziąć w kocioł i zniszczyć obie polskie dywizje zmechanizowane. Politykom rządzącym Konfederacją wydawało się czymś oczywistym, że klęska o takich rozmiarach rzuci Warszawę na kolana i zaprowadzi władze do stołu rokowań. Kapitulacja największego sojusznika zmusi rządy Czech i Słowacji, a także rebeliantów na Węgrzech, do identycznej decyzji - a wówczas pod rządami Konfederacji znajdzie się cały kontynent, od Atlantyku aż po granicę rosyjską. Kiedy wschodnioeuropejscy sojusznicy zmieniają front, Ameryka i Wielka Brytania będą musiały zrewidować politykę i zmądrzeć. Bez przyczółka na kontynencie, kraje anglosaskie stawały wobec groźby długiej, krwawej i niepewnej w skutkach wojny, najzupełniej już w dodatku niepotrzebnej. W obu państwach dawały o sobie znać silne nastroje izolacjonistyczne. Znużona toczoną nie wiedzieć po co wojną ludność z pewnością prędko zmusi Waszyngton i Londyn do zawarcia osobnego pokoju z nowym europejskim supermocarstwem. Przynajmniej w teorii, bo von Seelow jakoś nie bardzo w to wierzył. Jak na jego gust, zbyt wiele planów Konfederacji opierało się na założeniach, że przeciwnik zareaguje ślamazarnie i stereotypowo, że zatańczy dokładnie tak, jak mu zagrają Francuzi i Niemcy. Tylko co będzie, jeśli władze w Warszawie i Waszyngtonie wynajdą dla siebie nowy, wspólny rytm?

6 czerwca - Warszawa,

Ministerstwo Obrony Narodowej

Generał Wiesław Staroń, polski minister obrony narodowej, zawisł nad mapą Dolnego Śląska i jeszcze raz przyjrzał się sieci dróg i rzeźbie terenu. Na dobrą sprawę nie musiał tego robić, bo znał cały obszar równie dobrze jak topografię własnej twarzy przy goleniu. Trzydzieści lat w mundurze nauczyło go odczytywać z mapy nie poziomice i odległości, lecz od razu prędkość przerzutu

wojsk, dogodne rubieże obrony, słabe punkty, ośrodki łączności... Przez dwadzieścia pięć spośród tych trzydziestu lat, Staroń przerzucał te wojska osobiście, nie palcem po mapie - najpierw jako dowódca plutonu, potem kompanii, wreszcie całego okręgu wojskowego. Nawet tych niewielu polskich oficerów, którzy zdobyli prawdziwe doświadczenie bojowe, nie potrafiło lepiej od Starania dowodzić polskim wojskiem w autentycznym starciu.

Generał zmarszczył krzaczaste brwi, wyprostował się i powoli pokręcił głową. - Coś jest tu bardzo nie tak, Ignacy.

- Też tak myślę - zgodził się generał brygady, Ignacy Zdański, szef sztabu generalnego. Udało mu się przy tym zachować obojętną i spokojną minę.

- Bardzo, ale to bardzo nie tak! - Staroń znów wpatrzył się w mapę i postukał w niebieską linię rzeki niedaleko Zgorzelca. - Powiadasz, że mają tu dwie dywizje pancerne? I trzecią w odwodzie?

Podwładny, młodszy i szczuplejszy od Starania, przytaknął. - Owszem. Tu stoi 5. Pancerna, tu 7. Dywizja Grenadierów Pancernych, tutaj francuska 3. Pancerna. W paru miejscach włamali się za rzekę, ale niezbyt głęboko.

- Ciekawe, dlaczego? - burknął minister obrony.

- Mają za małą przewagę, żeby się przebić.

Owszem, Staroń zgadzał się z takim argumentem, i dlatego wrócił do mapy. Wpatrywał się w nią tak, jak gdyby znów był młodym czołgistą, a nie podtatusiałym biurokratą, który w środku nocy ślęczy w warszawskim sztabie. Atakując trójką dywizji dwie polskie dywizje w obronie, Francuzi i Niemcy nie mogli liczyć na to, że wyjdą poza Zgorzelec. Z najnowszych obserwacji satelitarnych i nasłuchów, jakie nadesłali Amerykanie, wynikało że Konfederacja trzyma nad granicą jeszcze dwie, a może nawet trzy dywizje. Co tu jest grane, ha? Im dłużej generał się nad tym zastanawiał, tym bardziej kiełkowała w nim myśl, że Konfederacja wcale nie ma zamiaru przełamywać obrony wokół Zgorzelca.

Wcale, a wcale. Niemcom i Francuzom chodziło zupełnie o coś innego. Staroń wyczytał kiedyś, że natchnienie „przeszywa mózg jak błyskawica”. Bzdury - natchnienie, które do niego przyszło w tej chwili, najbardziej przypominało wolno unoszącą się kurtynę, która odsłania dziwnie znajome dekoracje. - Ardeny chcą nam zrobić, skurwysyny!

- Proszę?

Staroń znów pacnął grubym palcem w mapę.

- Ardeny! Obejście Linii Maginota, zapomniawszy? To samo chcą nam wyciąć tutaj. O, patrz! - palec nakreślił linię od mostu w Olszynie aż po Legnicę. - Puścili główne siły tędy, lasami. Przez nasze własne poligony. Jeszcze trochę, i wejdą na nasze tyły. Sam sobie zobacz, Ignacy. Niestety, wszystko się zgadza!

- O, Matko Boska! - Zdański zbladł, bo to, co mówił Staroń, miało ręce i nogi. Od wczorajszego poranka coraz trudniej było nawiązać łączność z tym odcinkiem frontu. Czyżby nie było to tylko dziełem przypadku czy ataków grup dywersyjnych? Czyżby właśnie tamtędy miała wlać się w polskie granice fala powodziowa?

Staroń stuknął pięściami w blat stołu, zły na siebie, że dał się przekonać i ze względów politycznych rozciągnął połowę polskiej armii wzdłuż zachodniej granicy. Demonstracje siły to jeszcze nie powód, by powtarzać tragiczny błąd z 1939 roku i narażać rozproszone siły na okrążenie przez niemieckie zagony pancerne. Znów się Blitzkriegu zachciało, tak? Minister obrony bez chwili zwłoki wydał nowe rozkazy.

- 4. i 11. Zmechanizowane mają się wycofać. Natychmiast. Niech zerwą styczność z przeciwnikiem i odejdą na rubież... O, tutaj! - Staroń zakreślił na mapie pozycję w pobliżu Wrocławia, prawie osiemdziesiąt kilometrów na wschód od linii Nysy. Jeżeli dowódcy się pospieszą, obie dywizje mogły się jeszcze wymknąć spomiędzy stalowych szczęk Konfederacji.

- Może skonsultujemy się najpierw z prezydentem, z premierem? Zgodzą się, żeby bez walki oddać taki kawał kraju?

- Zgodzą się! - uciał Staroń. - Ziemię zawsze można odzyskać, gorzej z żołnierzami. Dopóki mamy armię, mamy jeszcze coś do powiedzenia!

Zdański wyszedł, by przekazać rozkazy niżej, a minister obrony powrócił do mapy. Nawet najbardziej udany odwrót mógł jedynie opóźnić to, co nieuniknione. Tylko szalenie mógł rzucić przeciwko korpusom przeciwnika dwie gołe dywizje. Generał wiedział, że musi wesprzeć je nowymi siłami. Tylko które z nich wybrać? Dywizje z nad wschodniej granicy nie wchodziły w rachubę. Jeszcze nie teraz. Fakt, że Rosja z góry ogłosiła neutralność, znaczył bardzo niewiele. Marszałek Kaminow i spółka zadali już Polsce jeden cios w plecy, za francuskie złoto wprowadzając

embargo paliwowe. Kto zaręczy, że nie przyjdzie im do głowy następny taki pomysł? Wzrok Starania przewędrował na północ, wzdłuż linii Odry. Między Gubinem a wybrzeżem Bałtyku siły EuroConu dokonały zaledwie kilku uderzeń przez rzekę, siłami batalionu czy kompanii. Mogło oczywiście być i tak, że chciano uśpić czujność Polaków przed kolejną, większą ofensywą. Czy tak? Zdaniem Starania, raczej nie. Francja i Niemcy parły do zdecydowanego starcia i pomyślnego, nieskomplikowanego, szybkiego zakończenia wojny. Dlatego główny wysiłek ich wojsk skupił się na południu. Starań pokiwał głową. Na północy, nad Odrą, przyjdzie po prostu zaryzykować.

Sztab polskiej 5. Dywizji Zmechanizowanej pod Świeckiem Wysoki i chudy jak szczapa pułkownik z dywizyjnego oddziału rozpoznania prowadził naradę bez pomocy notatek, posługując się wyłącznie mapą i długim wskaźnikiem. - Podsumowując, w okolicy Forst i Olszyny sforsowały Nysę co najmniej trzy nieprzyjacielskie dywizje. Na ile możemy się zorientować, chcą dojść do Legnicy, z zamiarem obejścia i okrążenia naszych wojsk, które wycofują się spod Zgorzelca.

Generał Jerzy Nowaczuk z ciekawością przyglądał się reakcji oficerów, ściśniętych w namiocie sztabowym jak śledzie.

Wszystkich co do jednego zaniepokoiła wiadomość o uderzeniu Konfederacji na południowym odcinku, lecz zaskoczeni byli tylko nieliczni. Decyzja Warszawy z początków kryzysu, aby demonstracyjnie obsadzić wojskiem całą zachodnią granicę, miała sens tylko w okresie pokoju. W chwili wybuchu walk, utrzymywanie tej cienkiej firanki groziło nieodwracalną katastrofą. Nowaczuk wyszedł przed mapę i surowo spojrzał na podwładnych. - Panowie, nie będę się bawił w Wersal. Sytuacja jest do dupy. Odpowiedział mu pomruk zgody.

- Na szczęście „do dupy” nie znaczy jeszcze „beznadziejnie”. -

Nowaczuk zamilkł na chwilę, po czym ciągnął: - Nasza dywizja ma przejść na południe i włączyć się do walki. Dwa pułki, to znaczy 51. i 52., wyruszą natychmiast. 53. utrzyma dotychczasową linię obrony do czasu, kiedy zluzuje go 20. Dywizja Zmechanizowana. ??????????????????Oficerowie szeroko otworzyli oczy. Warszawa postanowiła iść na całość. Ściągnięcie 5. Dywizji z linii Odry oznaczało, że odcinka tego będzie bronić jedna, jedyna dywizja i kiepsko uzbrojone bataliony obrony terytorialnej. - Pułki

ruszą do Wrocławia następującą trasą... - Nowaczuk podniósł wskaźnik i zatoczył nim półkole, najpierw na wschód, w kierunku Poznania, a stamtąd na południe. Planowana trasa przemarszu szerokim łukiem obchodziła tereny, na które szosą numer 12 wlewały się już wojska Konfederacji. - Sytuacja zmusza nas, panowie, do forsownego marszu. Najważniejszy jest teraz pośpiech. Uszkodzone wozy porzucać, załogi dołączą do reszty sił później. W miarę możliwości jeść i wypoczywać w marszu. To będzie sprint, panowie, i to pod wiatr. Wygrywa tylko pierwszy zawodnik, inni niech na nic nie liczą. Siedzący pod lampą oficerowie spowaznieli. 5. Dywizja Zmechanizowana miała wziąć udział w wyścigu, w którym stawką było nic innego, jak dalszy niepodległy byt i wolność Polski.

Ambasada amerykańska w Moskwie

Erin McKenna uśmiechnęła się szczerze na widok zaglądnącego do jej pokoju Alexa. Od paru dni mieli obydwójce tyle zajęć, że prawie się nie widywali, zwłaszcza w godzinach pracy. Walki, jakie ogarnęły wschodnie połacie Europy, kazały obydwójgu jeszcze pilniej przysiąść nad analizami stanu rosyjskich sił zbrojnych i przemysłu. Uśmiech Erin zgasł prędko. Banich umiał może trzymać maskę pokerzysty przy innych, ale nie przy niej. Widać było, że coś go gnębi. - Co się dzieje?

- Z naszej kolacji nici. Obowiązki wzywają.

- Cienkim, ochrypłym głosem?

- Bardzo ochrypłym i bardzo niemiłym - potwierdził Banich, który wszedł wreszcie do środka i starannie zamknął drzwi. - Odbyłem przed chwilą nową pogawędkę z Kutnerem, a ten z kolei miał pilną rozmowę z Langley.

Erin skrzywiła się, jak gdyby nadgryzła cytrynę.

- Czego chcą się dowiedzieć tym razem? Jaki jest telefon najnowszej lubej Kaminowa?

- Niezupełnie. - Banich pieczołowicie odłożył na bok stertę wydruków i jak zwykle usadowił się na krawędzi biurka. Erin zastanawiała się czasami czy Banich w dzieciństwie nie nabral przypadkiem jakiegoś urazu do krzesel.

- W takim razie o co im chodzi?

- Mamy się dowiedzieć, czy Rosja planuje zbrojną interwencję w Polsce - wyjaśnił Banich doskonale obojętnym i znudzonym głosem.

Erin posłała mu złe spojrzenie.

- Ciekawe, w jaki sposób? Może chcą, żeby któreś z nas skoczyło się zapytać na Kreml?

Banich wzruszył ramionami.

- Górę interesują wyniki. Metoda to już nasze zmartwienie. - Co ty powiesz?

- Żebyś wiedziała... Zostawili mi zupełnie wolną rękę. Nawet gdybym musiał posmarować parę łapek w Ministerstwie Obrony. - Zwariowałeś! Albo oni zwariowali! - Erin odepchnęła od siebie klawiaturę komputera i odwróciła się do Banicha. - Sam wiesz, że FSD obsadzi tam teraz każdy zakamarek!

- Pewnie i tak.

- Wleżą pod boazerię i zaczają się na pierwszego szpiega, który wpadnie do ministerstwa z workiem pieniędzy i miniaparatem w kształcie wykałaczki!

- To już prędzej - zauważył Banich, nagle czymś ucieszony. - Co tam, bez ryzyka nie ma życia! Gdybym chciał spokojnego fachu, dawno bym posłuchał babci i zapisał się na linoskoczka do cyrku. Dowcip był okropny, ale Erin zmusiła się do uśmiechu. Podczas miesięcy pracy z Banichem zdążyła dawno spostrzec, że Alex żartuje ilekroć naprawdę się czegoś obawia. Sam dobrze wiedział, czym ryzykuje. Nie warto było suszyć mu głowy, żeby na siebie uważał. Banich uważnie śledził grę twarzy Erin, jak gdyby chciał zapamiętać ten wyraz na zawsze. Potem spojrział prędko na zegarek i podniósł się z biurka. - No, muszę lecieć. Uszenko umówił się na dziesiątą w jednej ważnej sprawie. Tylko bez życzeń, bo to przynosi pecha - przestrzegł jeszcze Erin.

- I tak ci życzę - poinformowała go beztrąsko. - Mimo że wpadasz do mnie tylko, żeby mnie nastraszyć. Mój tatuś kazałby cię za to oćwiczyć szpicrutą!

Banich roześmiał się, tym razem szczerze, wymknął się z pokoju i zniknął w głębi korytarza. Erin oparła czoło o krawędź monitora, wściekła, że ktoś, na kim zaczynała jej bardzo zależeć, musi nadstawiać karku, podczas gdy ona w niczym nie potrafi pomóc. Okręciła się na obrotowym krześle i kolnęła palcem w klawiaturę. Oburzony komputer zapiszczał przenikliwie. Erin McKenna przestawała być potrzebna w Moskwie. Mając stale na karku obstawę z Federalnej Służby Dochodzeniowej, nie mogła ryzykować kontaktów z potencjalnymi informatorami.

Pozostawało elektroniczne szpiegowanie na odległość, lecz i tutaj grupy rosyjskich informatyków krok po kroku zaczynały kitować i zalepiać dziury, którymi dotąd uciekały z państwowych banków danych cenne i poufne informacje. Trudna rada, niedługo przyjdzie wrócić do zacisznych biur w Waszyngtonie i znów zabrać się za stosy bezsensownych sprawozdań dla Departamentu Handlu. Erin McKenna zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w ekran. Kiedy Europa stała w ogniu, ona sama musiała tkwić bezczynnie, uwięziona w budynku moskiewskiej ambasady.

20

Bój spotkaniowy

7 czerwca - sztab niemieckiej 7. Dywizji Pancерnej w Legnickim Polu

Wioska Legnickie Pole była może niewielka, ale za to jej burzliwa historia sięgała w zamierzchłą przeszłość, bo aż po rok 1241, kiedy śląscy rycerze polskiego księcia Henryka Pobożnego starli się tu z mongolskimi łucznikami. Skutek bitwy okazał się tragiczny - dla Henryka, nie dla zwycięskich Mongołów, którzy wylali się ze wschodnich stepów. Na cześć poległego księcia benedyktyńscy mnisi wzniesli na pobojuwisku klasztor, lecz wkrótce sami musieli brać nogi za pas, przegnani przez niemieckich magnatów sprzyjających Reformacji. Benedyktyni powrócili dopiero kilkaset lat później i naprzeciwko pierwszego opactwa wzniesli następny klasztor. Znow jednak mieli pecha do świeckiej ręki, bo na prawie sto następnych lat w zabudowaniach klasztornych urządzono pruską akademię wojskową. Jednym z jej wychowanków był Paul von Hindenburg, ostatni marszałek armii niemieckiej podczas pierwszej wojny światowej, a zarazem polityk, który wyniósł do godności kanclerskiej niejakiemu Adolfo Hitlera. Tym razem Legnickie Pole musiało pełnić rolę polowego sztabu kolejnej armii najezdniczej. Łąka na skraju wsi zmieniła się w biwak, pełen wozów terenowych, ciężarówek i wozów pancernych należących do wysuniętego stanowiska dowodzenia 7. Dywizji Pancерnej. Wokół całego terenu trzymali straż niemieccy piechurzy, obsługa granatników przeciwpancernych Milan i drużyny przeciwlotnicze - nie tylko dla zasady, bo niedobitki polskich oddziałów rozproszonych nagłym natarciem sił Konfederacji, ku ogólnemu utrapieniu wcale nie chciały się poddawać. Przeciwnie, Polacy dawali o sobie znać gdzie tylko mogli, atakując kolumny

transportowe, sztaby, a czasem wręcz jednostki liniowe. Dlatego niezbędna była stała czujność - zwłaszcza po zmroku. Podpułkownik Willi von Seelow zatrzymał się na chwilę przed wejściem do namiotu sztabowego, w którym zniknął już pułkownik Bremer. Od początku działań wojennych Willi po osiemnaście i dwadzieścia godzin na dobę tkwił w ciasnym wnętrzu M577, w miarę rozwoju sytuacji taktycznej przygotowując, odrzucając i wprowadzając w życie kolejne plany działania. Nic dziwnego, że chętnie korzystał z lada okazji, by trochę rozprostować kości. Nareszcie mógł też odetchnąć świeżym powietrzem, w którym czuło się tylko trochę dieslowskich spalin, dymu i potu. Nocne niebo rozświetlały od południa rozbłyski, w ślad za którymi z sekundową zwłoką dobiegał miarowy pomruk ciężkiej artylerii. Działony III Korpusu zmiękczały upartą polską straż tylną, która nadal blokowała skrzyżowanie szos w Jaworze. Bliżej, po zachodniej stronie horyzontu, różowawy poblask wskazywał miejsce, w którym jeszcze za dnia stanęła w ogniu mniejsza wioska. Do von Seelowa dobiegał także łoskot ciężkich pojazdów, toczących się na wschód i południe po autostradzie i sąsiednich szosach. Niedobrze: front o szerokości pięćdziesięciu kilometrów zajmowało aż sześć dywizji, toteż zatkały się dokładnie wszystkie drogi dojazdowe. Najważniejsze dostawy - amunicja czołgowa i artyleryjska, a zwłaszcza paliwo - dochodziły na pierwszą linię w ślimaczym tempie. Albo uda się jak najszybciej odkorkować drogi na zaplecze, albo cała ofensywa gotowa stracić impet i utknać w miejscu. Von Seelow szybko dał spokój tym rozważaniom. Sytuacją strategiczną niech się martwi wyższy szczebel, od tego w końcu jest. Pora do namiotu. Zaraz za wejściem Willi natknął się na Bremera. Niski, czarniawy dowódca 19. Brygady Grenadierów Pancernych stał obok pary stojaków z mapami, dokładnie przykrytych sukniem. Towarzyszył mu wianuszek innych pułkowników, wśród których Willi rozpoznał dowódców obu brygad pancernych 7. Dywizji. Willi musiał się przeciskać przez tłum w tamtą stronę. Było jasne, że generał Karl Leibnitz wezwał tej nocy na spóźnioną naradę wszystkich wyższych dowódców i ich oficerów operacyjnych. Nie wzbudziło to w Willim zdziwienia. Bieg wypadków coraz bardziej wypaczał przedwojenne plany bojowe. 7. Dywizji, a z nią wszystkim innym związkom Konfederacji na Dolnym Śląsku, na gwałt stawały się potrzebne nowe instrukcje, a przede wszystkim nowe

zadania. - Achtung!

- Spocznij, spocznij, panowie! - odezwał się Leibnitz od zaciemnionego wejścia do namiotu i przeszedł na przód zgromadzenia. - Szkoda czasu na regulamin! - dodał, po czym ściągnął pokrowiec z lewego stojaka z mapą.

-Zebrani rozpoznali obecne pozycje wojsk EuroConu, a także przedni skraj polskiej obrony. - „Letnia Błyskawica” nie spełniła głównego zadania, to znaczy nie doprowadziła do okrążenia i likwidacji 4. i 11. Dywizji Zmechanizowanej sił polskich. Polacy zdążyli się oderwać na odległość, która uniemożliwia nam wyjście na ich tyły.

Oficerowie, a wśród nich Willi, również zgadzali się z taką oceną. Mimo ogromnych wysiłków, błyskawiczne natarcie czołgów 7. Dywizji przez lasy Dolnego Śląska schwytało w potrzask jedynie maruderów - oddziały w sile co najwyżej kompanii zabytkowych czołgów T-55 czy ośmiokołowych Skotów. Trzon polskich sił wymknął się z pułapki, a „stalowe szczęki” obmyślane przez sztab generalny zatrzasnęły się w pustce, nie ogarniając nawet najbliższych obszarów przemysłowych. - Co za tym idzie, dowództwo II Korpusu wyznaczyło nam nowe zadanie.

Generał Leibnitz odsłonił z kolei drugą mapę. Ukazywała ona grupę czerwonych strzałek, które idąc na północ, łukiem omijały Legnicę i wiele kilometrów dalej skręcały znów na południe. - Ruszymy z natarciem na północny wschód, wzdłuż osi kilku bocznych szos, które tu panowie widzą. Zadaniem bliższym jest uchwycenie mostu w Kawicach, na rzece Cicha Woda. - Generał stuknął wskaźnikiem w wioskę u ujścia rzeki do Odry.

- Z tej rubieży wyprowadzimy z kolei natarcie na Środę Śląską i na Kąty Wrocławskie, jako ochronę lewej flanki wykorzystując Odrę. - Generał rozejrzał się po twarzach podwładnych i powtórzył: - Dokładnie tak, jak usłyszeliście, panowie. Jeśli się pospieszymy, i to bardzo, okrążymy polskie pozycje obronne i odetniemy je od Wrocławia zanim przeciwnik zdąży przeprowadzić kolejny odwrót.

Willi nie wiedział tylko jednego: który to dupek ze sztabu korpusu wypichcił taki niedorzeczny, połowiczny plan? Zamiast zastanowić się, czy warto się tak wychylać, podpułkownik wstał i uczynił krok w stronę mapy. Ruch ten nie uszedł uwagi Leibnitza. - Zdaje się, że zadanie nie przypadło panu do gustu,

von Seelow?

Willi poczuł na plecach wzrok wszystkich uczestników narady, lecz dzielnie przytaknął: - Właśnie, panie generale.

- Może zechce pan jaśniej?

Willi miał wielką ochotę dać dyla, lecz jego oficerskim obowiązkiem było wyrazić własne zdanie. - Uważam ten manewr za zbyt płytki, Herr General Kiedy

Polacy zorientują się, o co nam chodzi, bez trudności mogą podciągnąć dodatkowe siły albo wręcz zablokować nasz marsz. Zamiast manewru skończy się to bezpośrednim bojem spotkaniowym, krwawym i na dodatek niepotrzebnym. - I cóżby pan zaproponował nam w zamian? - Ton głosu generała Leibniza zwiastował, że jeśli von Seelow natychmiast nie powie czegoś naprawdę mądrego, mogą być kłopoty.

- Proponuję, żebyśmy przedłużyli po prostu natarcie z całych tych Kawic, na wysokości Lubiąża przeszli Odrę i dopiero wtedy zawrócili na wschód - Willi próbował wykrzesać z siebie nader pewny ton. - Rzeka będzie wówczas chronić naszą prawą flankę, nie lewą, a co więcej, może nam się udać okrążyć Wrocław od północy. Jeśli III Korpus uczyni to samo od południa, schwytemy spore polskie siły w kotle wokół miasta, no i w samym Wrocławiu. Leibnitz zaczął studiować mapę w dręczącej ciszy, która przedłużała się w nieskończoność. Wreszcie jednak potrząsnął głową. - Nasze rozkazy brzmią zupełnie jasno, pułkowniku. Wydał je osobiście generał Montagne, który nie ma czasu ani ochoty na wysłuchiwanie popisów sztabowych teoretyków! Rozumiemy się? - Tak, panie generale - odrzekł von Seelow i jęknął w duchu. Do tej pory francuski dowódca chętnie i bez zastrzeżeń oddawał takie decyzje w ręce własnego sztabu albo dowódców poszczególnych dywizji. Von Seelow bał się nawet pomyśleć, jaki się okaże w praktyce genialny plan, który wyszykował Montagne. - W takim razie doskonale! - Leibnitz jeszcze raz zmierzył podwładnych spojrzeniem. - Natarcie rusza o pierwszym brzasku. Niech panowie dopilnują, żeby wszystkie pododdziały uzupełniły paliwo i amunicję. Kiedy wyjdziemy na dalekie zaplecze przeciwnika, należy się spodziewać przerw w dowozie, więc proszę z góry zwrócić na to uwagę.

Wzrok generała padł z kolei na dowódcę batalionu rozpoznania. - W szpicy pójdą czołgi i wozy zwiadowcze majora Lauera. Max,

pamiętaj: szybkość i jeszcze raz szybkość. Gaz do dechy! Willi von Seelow, który dobrze rozumiał przycinek generała, czuł, że płoną mu uszy. Przez resztę narady nie wydusił z siebie nawet jednego słowa.

8 czerwca - batalion rozpoznania niemieckiej 7. Dywizji Pancерnej, na podejściach do Kawic

Sześćdziesiąt czołgów Leopard I, wozów rozpoznawczych Luchs i transporterów Fučhs z desantem piechoty gnało na wschód, prac na przełaj przez pola wysokiej pszenicy, żyta i kukurydzy. W ślad za tyralierą pojazdów były w niebo obłoki kurzu.

Kilka upalnych dni, rzadkich tutaj w początkach lata, wysuszyło ziemię i polne drogi na pieprz. Major Max Lauer wypluł kurz i dłonią w skórzanej rękawicy spróbował przetrzeć gogle. Chciał przepatrzeć ciągnącą się przed czołgiem gruntową drogę, bo z mapy wynikało, że lada chwila przed batalionem zamajaczą zabudowania Kawic. Ze szczytu łagodnego wzgórza, na które wspinały się koleiny polnej drogi, Lauer rzeczywiście ujrzał wieś: ni to murowaną, ni drewnianą kościelną dzwonnice i dachy zabudowań. Od Kawic dzieliło Niemców ledwie parę kilometrów. Wzdłuż krętej, śmierdzącej rzeczki, która rozcinała Kawice na dwie części, rosły tu i tam kępy drzew. Mostu pośrodku wsi nie było stąd widać, lecz przy tej szybkości batalion powinien wpaść między domy już za kilka minut. W słuchawkach zatrzeszczał pierwszy meldunek.

- Wagabunda Jeden, tu Wagabunda Cezar Jeden - odezwał się dowódca kompanii C, złożonej z Leopardów i zwiadowczych Luchsów.

- Kontakt wzrokowy z przeciwnikiem! W stronę wsi jadą pojazdy! Zaraz za rzeką!

Lauer prędko przekręcił szyję w tamtą stronę i podniósł do oczu lornetkę. Z początku ujrzał tylko brązowożółty tuman spod kół i gąsienic, lecz po chwili nawet z tej odległości dojrzał sznur zielonych i brązowych kropek. Przeciwnik nadciągał na dużej prędkości główną szosą, od strony Środy Śląskiej. W słuchawkach rozległy się kolejne meldunki z czołowych wozów batalionu. - Pojazdy przeciwnika to BRDM-y, trochę BWP i czołgi T-72 w sile co najmniej kompanii.

Niech to piorun strzeli! Lauer nie miał wątpliwości, że natknęli się na szpicę rozpoznawczą Polaków, którzy również chcieli uchwycić wioskę. W dodatku Polacy byli bliżej Kawic - a tym samym bliżej mostu. - Tu Wagabunda Cezar Jeden. Jestem w zasięgu

ognia. Otwieram ogień!

Lauer obserwował, jak czołgi i transportery kompanii C zjeżdżają z polnej drogi prosto w zboże, próbując zająć polską kolumnę od skrzydła. Lauer uczyniłby dokładnie to samo. Jeśli uda się zatrzymać Polaków i zmusić ich do przyjęcia walki, być może batalion wygra jeszcze wyścig do Kawic. Lauer pstryknął włącznikiem mikrofonu. - Wagabunda, uwaga! Tu Wagabunda Jeden. Gnać do wsi! Nie zatrzymywać się, tylko jazda!

W oddali stęknęła czołgowa armata. Leopardy kompanii C weszły do akcji, w biegu rąbiąc pociskami kalibru 105 milimetrów w coraz bliższego przeciwnika. Kilka chwil później nad polami rozniosło się szczekanie 20 milimetrowych działek szybkostrzelnych z wież wozów Luchs. Tuman kurzu zaczął się mieszać z dymem - znak, że Leopardy strzelają celnie. Na oczach Lauera co najmniej jeden BRDM zmienił się w ognistą kulę, a drugi przewrócił się na bok i również zajął płomieniem. Podziurawiony pociskami kalibru 20 milimetrów gąsienicowy BWP zamarł w miejscu, a z komory silnika zaczął mu wypełzać dym. Z tylnych drzwi wysypały się postacie w płonących mundurach i padły zaraz na ziemię. Na poboczu szosy dymił T-72 z utraconą wieżą. Mimo to większość polskiej kolumny nadal szarżowała na Kawice, na dużej szybkości omijając płonące i uszkodzone maszyny. Lauer zaklął wściekle. Zaraz pokaże się tym skurwysynom ułańską fantazję! Obok wieży Leoparda przemknęła naraz jasna smuga, a ciągnąca się za nią fala uderzeniowa ogłuszyła Niemca, zrywając mu z głowy берет i słuchawki. Spłoszony Lauer skulił się i znowu zaklął. Polskie T-72 ostrzeliwały się w ruchu. Całe szczęście, że na dystans powyżej 1500 metrów ich rosyjskie działa kalibru 125 milimetrów miały znikomą celność! Lauer tak się zapamiętał w dowodzeniu batalionem, że sam na chwilę zapomniał, gdzie jest - w wieży rozpędzonego czołgu. Nie zwlekając dłużej, zanurkował do środka, na krzeselko dowódcy, i złapał uchwyty celownika, obracając ciężką kwadratową wieżę w prawo. Z okiem przy celowniku szukał czołgu, który przed chwilą omal ich nie wykończył. Jest! W wizjerze pojawiła się niska sylweta z owalną wieżą. T-72 zakołysał się mocno w dół i w górę, gdyż przeskakiwał przez rów na następne pszeniczne pole. - Działonowy! Czołg dwie w prawo! - Na celowniku! - zameldował ze swojego krzeselka z przodu i w dole wieży czołgista przy głównym celowniku armaty.

- Podkalibrowy!

- Gotowe! - potwierdził ładowniczy na znak, że pocisk siedzi w lufie, a on sam z boku, w bezpiecznej odległości.

- Ognia!

Armata wypaliła i szarpnęła się w tył, pochylając czołg w lewo. Z lufy wyprysnął granat przeciwpancerny z wolframowym rdzeniem, otoczonym metalowym elementem przewodzącym. Za wylotem lufy element przewodzący odpadł od rdzenia, a cała energia kinetyczna skupiła się w mniejszym i bardzo ciężkim wolframowym pręcie. Na krótką chwilę dym wystrzału zasłonił wszystko, lecz Leopard skoczył naprzód i wyszedł na otwartą przestrzeń. T-72 toczył się nadal. Chybili! Lauer skrzywił się wściekle. - Działonowy!

Powtórzyć!

Przed polskim czołgiem wykwitły dym i kurz - znak, że Polacy wystrzelili następny pocisk, również niecelny. - Gotowe!

- Ognia!

Kolejny huk i błysk, kolejna chmura dymu. Tym razem Lauer dostrzegł w celowniku, jak T-72 skręca w bok, jak okrywa się czarnym dymem, jak eksploduje w nim amunicja i paliwo. Major trafił działonowego w ramię. - Macie oko, sierżancie. Ogniem dowolnym po wszystkich celach!

Lauer znów wystawił z włazu głowę i ramiona. Żeby dobić głupi T-72 musiał niestety oderwać się od całej sytuacji taktycznej. Pora była się zorientować, co się dzieje. Najwyższa pora! Jego własny Leopard był już prawie w Kawicach, rwąc na pełnym gazie w kierunku grupki zabudowań z cegły i muru pruskiego, ogródków ogrodzonych siatką i wąskich, nie asfaltowanych bocznych uliczek. Ariergarda batalionu wdarła się do wsi. Niemieckie pojazdy pancerne i transportery kotłowały się między budynkami, szykując się do ostatecznego natarcia na most. Lauer w myślach zaczął poganiać żołnierzy. Liczyła się tylko prędkość. Batalion nie miał innego wyjścia, jak tylko przekroczyć rzekę i opanować drugą połowę wsi zanim rozwiną tam siły Polacy. Kątem oka major dostrzegł za rzeczką błysk, a po nim biały kłęb dymu, a kiedy spojrzał w tamtą stronę, ujrzał jak metr nad ziemią sunie ku nim ognisty punkt. - Rakiet! Manewrować! - zdążył krzyknąć i na oślep spróbował nacisnąć guzik wieżowego miotacza granatów dymnych.

Chybił jednak i poleciał na pokrywę włazu, bo Leopard szarpnął

nieoczekiwanie w prawo. W następnej sekundzie grzmotnęła armata w wieży, a Lauer poleciał z kolei do tyłu.

Polski pocisk raketowy z wyciem przemknął obok wieży i wrył się w ziemię kilka metrów od czołgu, zostawiając na pancerzu Leoparda zahaczony przewód sterujący. Trudno było o lepszy dowód, że Lauer miał tym razem więcej szczęścia niż rozumu. Major zdawał sobie sprawę, że gdyby nie nagły manewr kierowcy i jednoczesny wystrzał, który spłoszył polskiego strzelca przy dźwigni kontrolnej, pocisk nie chybiłby celu.

Odpalenie pocisku raketowego zauważono także w innych niemieckich czołgach, które natychmiast zasypały drewnianą stodołę gradem pocisków burzących. Z domu została tylko sterta desek, rozsadzana krwawymi eksplozjami. Kawałki drewna i belki szybowały z wolna w powietrzu i z pluskiem spadały do rzeki. Przy sąsiednim Leopardzie wyprysnęły nagle w niebo grudy ziemi. Kilka sekund później czołg sąsiadów Lauera eksplodował, trafiony w burtę następnym 125 milimetrowym pociskiem z T-72 zaczązonego po drugiej stronie rzeczki. Nim którakolwiek z załóg zdążyła odpowiedzieć ogniem, polski czołg skrył się pośród zabudowań.

Lauer znów usłyszał w słuchawkach głos dowódcy kompanii C, prawie niesłyszalny w kanonadzie i grzechocie karabinów maszynowych. - Wagabunda Jeden, tu Wagabunda Cezar Jeden! Wjechałem na most! Widzę...

Przekaz urwał się nagle. Lauer z przerażeniem ujrzał nad dachami Kawic kolumnę czarnego dymu. - Wagabunda jeden, Cezar jeden dostał, palą się! Most zablokowany! Powtarzam, zator na moście! Major bluznął przekleństwem. Chociaż na szosie przed Kawicami zostało tyle płonących i uszkodzonych wozów, do wsi przedostało się ich jeszcze więcej - na pewno zbyt wiele, by batalion Lauera mógł wziąć Polaków pod gasienice. Wyrzutnie rakiet przeciwpancernych i granatniki piechoty rozsypanej po podwórkach i ogródkach w jednej chwili zmieniły wieś w gniazdo szerszeni. Batalion zwiadowczy 7. Dywizji Pancerniej przegrał wyścig. Lauer westchnął i wcisnął przełącznik nadawania.

- Wagabunda Dunaj, tu Wagabunda Jeden. Rozwiń piechotę, niech osłaniają podejścia do mostu!

Piechurzy z kompanii D mieli większą szansę przetrwania w polu, a nie w lekko opancerzonych transporterach. - Wagabunda Jeden do wszystkich! Wycofać się tysiąc pięćset metrów na zachód!

Kiedy z eteru napływały kolejno potwierdzenia, Lauer ze złością zastanawiał się, co dalej. Rozwiązań było nie za wiele. Żeby wykurzyć Polaków z Kawic, trzeba zgrać działania czołgów, piechoty i ciężkiej artylerii. Batalion miał za mało piechoty, to raz. Dwa, dywizyjna artyleria samobieżna została gdzieś daleko z tyłu. Trzy, szarża Leopardów prosto pod lufy zaczajonych T-72 równała się zagładzie batalionu. Nie tędy droga. Niestety, Lauer musiał poczekać na główne siły 19. Brygady. Dopiero one mogły opanować miejscowość. Po ich nadejściu, Lauer chciał uczynić wypad na południe, w górę rzeczki, w poszukiwaniu dogodnego miejsca, leopardy były w końcu przystosowane do przepraw po dnie. Jeśli się nie uda znaleźć brodu, przyjdzie czekać na saperów z dywizji. Może oni zmontują przeprawę. „Blitz” 7. Dywizji skierowany w skrzydło polskiej obrony powoli zmieniał się w pełzanie.

19. Brygada Grenadierów Pancernych, pod Wilczkowem Podpułkownik Willi von Seelow leżał plackiem pod szczytem niewielkiego pagórka i obserwował, jak artyleria tłucze w skraj lasu, na którym okopali się Polacy. Ponieważ do akcji weszło trzydzieści sześć haubic kalibru 155 milimetrów, na las zwałił się grad trotylu. Wóz dowodzenia brygady i reszta pojazdów sztabowych stały zamaskowane w wyrobisku żwirowni. Słońce zmieniło się w potężną czerwoną kulę nad zachodnią częścią horyzontu. Z wnętrza M577 von Seelowa wynurzył się pułkownik Georg Bremer, który zaraz dołączył do leżącego. Przed chwilą usiłował połączyć się przez radiostację wozu ze sztabami dywizji II korpusu. - Mówię ci, Willi, wściku wszyscy dostali, no, po prostu obłąd! Teraz, kiedy wiadomo na pewno, że nie okrażymy Polaków, każą nam ich wypchnąć z Wrocławia. Frontalnym natarciem! Góra twierdzi, że wystarczy wziąć Wrocław, a zwycięstwo mamy w kieszeni! Wyobrażasz sobie?

Von Seelow wyobrażał to sobie z najwyższym trudem. Faktycznie, sztaby poszalały. Rezygnacja z wojny manewrowej na korzyść strategii spod Verdun klóciła się ze wszystkimi trzema zasadami niemieckiej sztuki wojskowej - zasadą ruchu, elastyczności i szybkości działania. Walka na wyniszczenie rzeczywiście wyniszczała wszystko i wszystkich, bo marnowało się w niej życie ludzkie, sprzęt i czas. Co gorsza, walka taka była najzupełniej zbędna. Ostatecznie, z połową sił uwiązaną na wschodniej granicy,

Polacy musieli pozostawić dziury i dlatego natarcie szóstką dywizji wprost na ich główną pozycję obronną graniczyło z idiotyzmem. Zaczynały się oto spełniać najczarniejsze sny Willego. Żądni jak najszybszego zwycięstwa politycy Konfederacji bali się przedłużyć konflikt i dlatego postanowili zagrać *va banque*. Willi opuścił lornetkę i spojrzął z ukosa na Bremera.

- Czyli atakujemy tak jak w planie?

Pułkownik bez słowa przytaknął. Nie było zresztą o czym gadać. Obaj z Willim naciskali, żeby znowu spróbować obejść polskie jednostki blokujące szosę na Środę Śląską. Poganiany z góry generał Montagne miał inne plany wobec brygady: polecił jej bowiem uderzyć czołowo na przeciwnika - i już. Leibnitz, choć był dowódcą dywizji, nie chciał, a może nie odważył się kwestionować decyzji francuskiego zwierzchnika. Ostrzał urwał się zupełnie nagle, a w jego miejsce nad polami zaległa upiorna cisza. Nie potrwiała długo. Nisko nad ziemią przemknęła równą ławą dwunastka śmigłowców szturmowych PAH-1. Za każdą maszyną ciągnęły się oślepiająco białe race. Przeworność okazała się jak najbardziej na miejscu, bo pomiędzy połamanymi i pociętymi odłamkami drzew wyprysnęło ku śmigłowcom kilka białych smug dymu. Polacy strzelali ręcznymi rakietami przeciwlotniczymi, nie wiadomo tylko czy amerykańskimi Stingerami czy rosyjskimi Strzałami-2. Von Seelow wstrzymał oddech, patrząc jak rakiety łukiem przybliżają się do celów. Na szczęście chybiły, zmylone blaskiem i gorącym opadającym na spadochronach rac. Ogień otworzyły z kolei wszystkie PAH-1, zasypując las setkami niekierowanych pocisków rakietowych, które z tej odległości przypominały snop iskier. Pod śmigłowcami zakreślił się brunatny dym silników rakietowych, skłębiony podmuchem wirników. Wzdłuż linii lasu przebiegły wybuchy. Śmigłowce znów wyrzuciły race, zawróciły na zachód i wytraciły wysokość, umykając ku własnym pozycjom ledwie parę metrów nad ziemią. Koordynator bitwy tym razem doskonale zgrał uderzenia, bo natychmiast nastąpił kolejny atak. Cztery odrzutowe Tornado o skośnych skrzydłach przemknęły ku północy wzdłuż krawędzi lasu, a spod ich skrzydeł i kadłubów oderwały się kilkusetkilogramowe bomby, po dwanaście od każdej maszyny. Tornado prawie już zawracały, kiedy zmlócił je ogień polskiej Szyjki - zestawu przeciwlotniczego ZSU-23-4. Pociski smugowe kalibru 23 milimetry wybiegły tysiącami naprzeciw samolotom.

Jedno wielokrotnie trafione Tornado przetoczyło się na skrzydło, znurkowało ku ziemi i wybuchło ognistym grzybem. Pozostała trójka z wyciem odrzutowych silników przemknęła nad głowami obu oficerów i przepadła na horyzoncie. Skraj lasu zmienił się w ciąg oślepiających, białych rozbłysków. Kiedy Willi odzyskał zdolność widzenia, ujrzał między drzewami ogień i czarny dym - znak, że palą się tam polskie czołgi i transportery.

- Ostatnia część przygotowania - przypomniał Bremerowi.

- Wiem, wiem - uspokoił go pułkownik i przeczołgał się rakiem z powrotem do miejsca, gdzie można już się było wyprostować.

Podnieśli się i ruszyli truchtem do samochodów sztabowych w zwirowni, w biegu wykrzykując pierwsze rozkazy. Bataliony 19. Brygady zaczynały kolejne natarcie.

Von Seelow zerknął przez ramię na grupy wozów bojowych, które jedna po drugiej wychodziły z ukryć i zaczynały sunąć w kierunku lasu. W pierwszej linii szło czterdzieści Leopardów 2, a kilkaset metrów za nimi Mardery z desantem piechoty pod pancernem. Między drzewami, w zrytej, dymiącej ziemi, znowu zaczęły się rozrywać pociski artyleryjskie. Niemieckie baterie otrzymały zadanie, by „prowadzić” pierwszą linię, to jest strzelać w las do chwili, kiedy pierwsze czołgi i grenadierzy pancerni dotrą do pierwszej linii obrony. Willi zauważył, że słońce znika już za horyzontem. Właściwie widok ten wstrząsnął nim bardziej niż natarcie. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że natarcie o takiej sile wyrzuci Polaków z lasu i odepchnie ich następnych parę kilometrów pod Wrocław, lecz nie łudził się, że uda się w ten sposób rozerwać całą polską obronę. Za późno. Zanim rozplące się pomieszane bataliony czołgów i grenadierów, zanim ewakuuje się uszkodzone wozy, zanim się uzupełni paliwo oraz amunicję, miną całe godziny - tym bardziej że wszystko to przyjdzie robić w ciemnościach lasu. Niemiecko-francuska ofensywa utykała raz za razem, tępiła ostrze w kolejnych czołowych starciach z coraz bardziej doświadczonym, coraz lepiej przygotowanym przeciwnikiem.

9 czerwca - pozycje 5. Dywizji Zmechanizowanej pod Środą Śląską
Po coraz jaśniejszym nadranym niebie przeskakiwały błyski.

Niemcy wznowili ostrzał polskich batalionów na pozycjach wzdłuż linii kolejowej na zachodnim skraju Środy Śląskiej. Generał dywizji, Jerzy Nowaczuk, zatrzymał się w wysokiej trawie na poboczu obwodnicy i przyglądał się odwrotowi resztek jednego z

pododdziałów. Każdy czołg i transporter znaczyły ślady walki - dzioby od odłamków i kopeć. Z wycofującymi się czołgami M1 i Bradleyami przemieszały się sanitarki, którymi odsyłano najciężej rannych do wrocławskich szpitali. Część rannych, tych upartych i z lżejszymi obrażeniami, zdecydowała się zostać przy kolegach. Jedna trzecia ludzi, których Nowaczuk poprowadził do walki, nie żyła - spalili się w czołgach albo padli rozszarpani odłamkami w dymiących lejach od pocisków.

Utykającą, nierówną kolumnę minęła następna. Kolejne czołgi i bojowe wozy piechoty szły w stronę pierwszej linii. Wycofujący się żołnierze Nowaczuka bronili się dopóty, dopóki nie nadeszły posiłki - czyli w tych warunkach bardzo długo. 5. Dywizja ścigała pod Wrocław po kawałku. Przemarsz opóźniały nieustanne naloty Konfederacji, a także tłumy uchodźców, którzy zatkali wszystkie drogi wylotowe z Wrocławia na północ i na wschód. Każdy nowy oddział natychmiast wchodził więc do walki. Generał zmarszczył krzaczaste brwi. Właśnie. Dywizji udawało się na razie opóźnić marsz przeciwnika, ale opóźnić a zatrzymać to dwie zupełnie różne sprawy. Przez granicę przelało się zbyt wiele niemieckich i francuskich czołgów. Zatrzymywanie ich siłami trzech wykrwawionych dywizji musiało przypominać gaszenie pożaru dziecinnym wiaderkiem. Najgorsza ze wszystkiego okazała się coraz wyraźniejsza przewaga Konfederacji w powietrzu. Przez cały dzień Nowaczuk musiał patrzeć, jak niemieckie i francuskie samoloty, a po nich śmigłowce, bezkarnie bombardują i ostrzeliwują dywizję. Konfederacja hulała nad polem walki bez najmniejszych przeszkód. Gdzie, do ciężkiej cholery, podziało się to słynne, bohaterskie polskie lotnictwo?

10 czerwca - 11. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego we Wrocławiu
- Panie poruczniku! Panie poruczniku!

Tadeusz Wójcik poczuł, że ktoś szarpie go za ramię i siłą wyciąga z ciemnego, ciepłego kokonu. W jednej sekundzie powróciła świadomość tego, gdzie jest i co się dzieje. Rzeczywistość przypominała bardziej senny koszmar niż jawę. Wójcik pojął, że jest na kwaterze, że pora wstawać i że czeka go za chwilę kolejny lot bojowy. Ten, kto go zbudził, nadal coś mówił, lecz do Wójcika dopiero po kilkunastu sekundach zaczęła docierać treść polskich słów. Nawet żeby powiedzieć proste „dziękuję” pilot musiał dłuższą chwilę zbierać myśli. Na codzień urodzony w USA Wójcik

mówił po polsku zupełnie płynnie, ale w obecnym zamroczeniu plątał się nawet w angielskim. Po pięciu dobach walki i przy trzech albo wręcz czterech lotach bojowych dziennie, cztery godziny snu, zamiast odświeżyć, przytępiły tylko najgorsze zmęczenie. Kapral powstał jeszcze chwilę, upewniając się, że porucznik zbudził się na dobre, a potem zabrał się za następną ofiarę. Zegarek Tada wskazywał trzecią nad ranem - dokładniej 3:04

- co oznaczało, że najwyższa pora zwlec się z łóżka. O świcie lot. Każdy ruch okazywał się nową męczarnią. Długie godziny w fotelu lotniczym przy dużych przeciążeniach sprawiły, że Wójcika potwornie bolał grzbiet i siedzenie. Przez cztery godziny snu zmęczone mięśnie zdążyły zeszywnieć, toteż pilot czuł się kompletnie rozklejony. Zupełnie, jak gdyby go ktoś pobił. Dzisiejsze loty mogły tylko pogorszyć ten stan. Wójcika czekało osiem do dwunastu godzin za sterami - oczywiście pod warunkiem, że uda mu się przeżyć aż tyle. Bardzo mu zależało na tym, aby przeżyć. Udawało mu się to zresztą coraz lepiej. Od czasu pierwszego, nocnego starcia nad Węgrami, Wójcik wyostrzył w sobie niesamowity instynkt. Na rozkładzie miał już osiem strąconych samolotów, przeważnie szturmowych, choć mógłby przytroczyć sobie do pasa skalpy pilotów niemieckich z Migów-29 i Francuzów w Mirage. Było jednak oczywiste, że latanie - zawsze na granicy ryzyka i wytrzymałości - coraz bardziej męczy go i wyczerpuje. Zimny prysznic rozjaśnił mu trochę w głowie, lecz nie potrafił złagodzić przeraźliwego, otepiałającego znużenia. Już w mundurze, Wójcik spojrział na ekran telewizora w kącie zbiorowej kwatery. Telewizor był włączony, dokładnie tak samo jak w chwili, gdy pilot zwałił się do łóżka. Tad wsłuchał się w komentarz prezentera sieci CNN. Znów coś o „rozpaczliwych apelach Warszawy i Pragi o natychmiastową pomoc wojskową”. Słowa dziennikarza rozdrażniły pilota, choć bez specjalnej przyczyny, bo na dobrą sprawę trafnie oddawały tragizm sytuacji, w jakiej znalazła się przybrana ojczyzna Tada. A może lepiej byłoby zamilczeć? Może nie powinno się wymądrzać pewnym tonem z bezpiecznej odległości, tysiące kilometrów za oceanem? Dopinając mundur, Wójcik wyszedł przed kwaterę, wprost w chłodny mrok nocy, i ruszył do ośrodka operacyjnego lotniska. Budynek nadal naprawiano. Obsługa naziemna przy świetle zaciemnionych lamp wywoziła gruz, a ciężkie

ładowarki obkładały blokami betonu odsłoniętą powierzchnię bunkra. Część szkód pochodziła jeszcze z czasu ataku rakiet samosterujących, czyli sprzed tygodnia. Inne uszkodzenia były zupełnie świeże. Dwa dni wcześniej, pod osłoną nocy, nieprzyjacielskie samoloty zbombardowały bazę. Tym razem podziurawiły pas startowy swoimi Durandalami, a budynki i schrony dla samolotów obrzuciły pociskami raketowymi i kierowanymi laserowo bombami. Na ziemi udało im się zniszczyć cztery maszyny, a piątą zestrzeliły, gdy polski pilot wzbijał się w powietrze, aby bronić lotniska. Na szczęście rosyjscy budowniczowie bazy znali się na rzeczy.

Bomby zdmuchnęły znad betonowych stropów ośrodka dowodzenia grubą warstwę ziemi i osłabiły zewnętrzne ściany.

oficerowie nadal mogli urzędować we wnętrzu, planując loty bojowe i rozdzielając zadania. Oczywiście płyty ustawiane na stropie i worki z piaskiem nie zapewniały, skutecznej ochrony jak żelazobeton. Przy następnym takim trafieniu bunkier musiał się zamienić w sarkofag. Te same brygady, które naprawiały bunkier, w ciągu dnia doprowadziły do porządku oba pasy startowe. Liczba samolotów w trafionych schronach nie stanowiła problemu, bo przy kurczącej się liczbie pilotów, na lotnisku stało i tak za dużo maszyn. Nalot okazał się kosztowną zabawą. Lotnictwo Konfederacji przekonało się o skuteczności wrocławskich baterii przeciwlotniczych Hawk i Patriot. Nieźle spisały się także polskiej produkcji działka przeciwlotnicze. Tad odruchowo spojrzął na kupę pogiętego metalu, piętrzącą się na murawie między pasami startowymi. Tylko po kształcie skrzydeł i ramionach czarnego, maltańskiego krzyża na płatach blachy mógł w niej rozpoznać wrak niemieckiego Miga-29. Widok, ponury, natychmiast wprawił Wójcika w lepszy nastrój. Wnętrze sztabowego bunkra roilo się od ludzi. Wszedł najpierw do sali odpraw, zamienionej teraz także w stołówkę. Tu także siedziało sporo lotników i innych oficerów dywizjonu oficer służb rozpoznania przekazywał im przebieg walk ostatniej nocy. Większość obecnych jadła. Prawie wszyscy mieli ściągnięte szare twarze. Od zapachu jedzenia Tad poczuł burczenie w żołądku. Prędko wypatrzył z boku sali stół pełen kanapek i termosów z kawą i sokiem. Obok stał termos z kołdunami rOcOie Tad nałożył sobie cały fajansowy talerz i zasluchał się. - ...baterię

powietrze-powietrze w Legnicy wzmocnili do siły batalionu, więc nie warto tam podlatywać bliżej niż na trzydzieści kilometrów. Chyba że na minimalnym pułapie. w nocy Konfederacja zdobyła Kostomłoty. - Na widok oszołomionych twarzy kolegów, oficer rozpoznania prędko dodał - Owszem, walki toczą się coraz bliżej, ale tak czy siak nie mieliśmy zamiaru długo trzymać tego punktu. Konfederacja ponosi tam ciężkie straty. Może i poniosła. Nie zmieniało to faktu, że francuskie i niemieckie zagony znalazły się dwadzieścia pięć kilometrów od wrocławskich przedmieść. - Nie zapominajmy, panowie, że nasza strategia to opóźnić działania przeciwnika i zadawać mu jak największe straty.

Jeszcze trochę wytrzymamy, ani się obejrzymy, jak wylądują u nas znajomi Tada. Zajęty kołdunami Wójcik wrzucił ramionami i tylko na wszelki wypadek zrobił dziarską minę. Z racji amerykańskiego rodowodu co chwila wylewano mu teraz na głowę kubły pomyj. Dlaczego Amerykanie i Brytyjczycy tak się grzebią z interwencją, co? Najostrzejsze w tonie deklaracje z Białego Domu i kamieniczki przy Downing Street, najbardziej stanowcze oświadczenia dla prasy, wszystko to ani trochę nie zmieniało faktów. Fakty zaś mówiły, że francuskie i niemieckie wojska wdzierają się coraz głębiej na zachodnie ziemie Polski. - Sztab generalny potwierdził, że główne uderzenie Konfederacji idzie prosto na nas. Jeśli EuroCon weźmie Wrocław, odetnie nasze główne połączenia z Czechami i otworzy sobie drogę na Warszawę. Nie mówiąc o tym, że narobi zamieszania w najlepszym pułku lotnictwa myśliwskiego w całej Polsce!

Nieliczne śmiechy, jakimi skwitowano żart, dowodziły że piloci nie załamali się jeszcze do reszty. Do Wójcika podszedł tymczasem sierżant z obsługi naziemnej. - Panie poruczniku, major Mróz czeka.

Wójcik podniósł talerz i wyszedł na ciasny korytarz, gdzie kręciło się paru znajomych. Przepchnął się między żołnierzami i krawędzią talerza zastukał do drzwi z tabliczką działu planowania lotów. Oficerem operacyjnym pierwszego dywizjonu był major Mróz, który rzeczywiście czekał przy biurku. Nie było się do niego jak zbliżyć, bo w pokoiku, gdzie miejsca było najwyżej na dwa biurka, wepchnięto ich aż cztery. Wójcik minął się w drzwiach z poprzednim pilotem. Mróz zmęczonym gestem poprosił go, aby

usiadł. Na blacie miał przed sobą resztki śniadania, mapy, wydruki komputerowe, podręcznik planowania lotów na F-15, a także złowieszczy przycisk na papiery, w postaci pistoletu kalibru 9 milimetrów. - Na początek polecicie w pojedynkę, Wójcik - obwieścił Mróz. - Bombardowanie autostrady A4, dwie trzecie drogi pod Legnicę.

Jednocześnie major podał Wójcikowi skoroszyt z opisem zadania, kartą kodową radiostacji i resztą niezbędnych informacji. F-15 Eagle były zasadniczo maszynami myśliwskimi, lecz w razie potrzeby z powodzeniem mogły pełnić rolę szturmowców - przynajmniej w dzień i przy dobrej pogodzie. Na szczęście widzialność była jak na zamówienie. Na szczęście, gdyż przyparte do muru polskie lotnictwo wysyłało teraz do akcji przeciwko kolumnom wojsk Konfederacji wszystko, co tylko mogło latać, łącznie z treningowymi Iskrami i resztą wysłużonych gratów. Celów do walki powietrznej także ostatnio nie brakowało. Chodziło jednak nie o to, by strącać samoloty, lecz o to, aby zatrzymać idące na Wrocław czołgi. Tad miał świeżo w pamięci słowa oficera rozpoznania. Upadek Wrocławia przecięłby główne połączenia kolejowe z Czechami. Wówczas zaś okrążeni Czesi zamiast czuwać z głową na karabinie, mogliby zwyczajnie rzucić broń. Uważnie przestudiował treść zadania. Uderzyła go różnorodność uzbrojenia, które przygotowano mu pod skrzydłami. F-15 miał zabrać dwanaście rosyjskich bomb kasetowych KMGU w dwóch wielokomorowych zasobnikach, a także, do obrony w powietrzu, amerykańskie pociski rakietowe Sidewinder i Sparrow. Lotnictwo dawnego radzieckiego imperium zastosowało identyczne zamki bombowe jak w samolotach państw NATO. Identyczne były też gniazdka elektryczne i instalacja paliwowa -wszystko po to, by w czasie konfliktu, po szybkim opanowaniu lotnisk NATO, skorzystać z tamtejszych zapasów i urządzeń. Dzięki temu F-15 Wójcika mógł teraz unieść w powietrze tak pstrokate uzbrojenie. Jeszcze jedno ironiczne zrządzenie losu, jakich nie brakowało w tej wojnie. Mróz dopowiedział jeszcze parę szczegółów i skinął Wójcikowi głową. Pora do maszyny. Na dworze Tad puścił się szybkim krokiem w stronę kostropatych od odłamków, przysadzistych betonowych schronów. Lotnicy i mechanicy, których mijał po drodze, wyglądali jeszcze marniej niż on sam. Zwłaszcza mechanicy, bo regulamin przewidywał dla pilotów ściśle określoną

ilość snu, podczas gdy obsługa naziemna pracowała na okrągło, do chwili, kiedy żołnierze walili się już z nóg. Pozwalano im wówczas się trochę zdrzemnąć, a potem znów budzono, bez litości. Wójcik gryzł się tym wszystkim. Było czym: uszkodzona baza, coraz większe straty w samolotach, obsługa prawie nieprzytomna ze zmęczenia. Polskie siły lądowe ogłosiły o następnym „przegrupowaniu” w obliczu przewagi wojsk Konfederacji. Pilot nie miał złudzeń: jeśli armia sama się nie przegrupuje w te pędy, zadbają o to Niemcy i Francuzi. A wtedy będzie po wszystkim. Ulgę poczuł Wójcik dopiero w schronie. Sfatygowany ale doprowadzony do idealnego porządku Eagle stał gotowy do lotu, a gruby, nieogolony sierżant z obsługi nie zapomniał jeszcze, jak się salutuje i składa meldunek. Tam dokładnie przejrzał samolot. Zmęczeni mechanicy często się mylą, a za ich pomyłki płaci nie kto inny, jak piloci. Dlatego starannie sprawdził czy domknięto wszystkie klapy obsługowe i dobrze podwieszono bomby oraz pociski raketowe. Przy bombach znów przydał się sierżant, bo Wójcik ani w ząb nie mógł się połapać w ich rosyjskiej instalacji elektrycznej. Wspinając się do kabiny F-15, Wójcik zlustrował jeszcze górną powierzchnię skrzydeł, a potem z bolesnym grymasem usadowił się w wyrzucanym fotelu, podłączył hełm i sprawdził czy wszystko działa. Zadowolony, wcisnął starter i podkręcił obroty. Tablica przyrządów ożyła. Na obu silnikach wytoczył F-15 przed pancerne wrota schronu i wyjechał na pas. Wieża natychmiast zezwoliła mu na kołowanie i start, byle prędzej. Polskim samolotom więcej groziło nie w powietrzu, lecz właśnie na lotniskach. Nawet z pełnym ładunkiem bomb i rakiet Eagle lekko wystrzelił w niebo. Wójcik poczuł, że na ziemi pozostawił część zmęczenia. Z radością zakręcił na północ i tuż nad ziemią doleciał nad koryto Odry. Następny zwrot uczynił na północny zachód, z biegiem rzeki, opuszczając maszynę tuż nad jej powierzchnię. Decydując się na taki objazd, Wójcik chciał ominąć główne skupiska przeciwnika na osi autostrady A4. Oddziały z pierwszej linii - okopane, ukryte i gotowe na wszelką ewentualność - zaliczały się do najtrudniejszych celów. W starciu z nimi Wójcik miał dość marne szanse. Co innego druga linia Konfederacji, w odległości pół godziny lotu od Wrocławia - oczywiście okrężnego lotu, najpierw z biegiem Odry, a później szerokim łukiem na południe. Wójcik przycisnął brzuch samolotu

do iskrzącego się w pierwszym słońcu nurtu i czujnie przepatrywał to niebo, to znów ekrany tablicy przyrządów. Samoloty EuroConu nie uzyskały pełnego panowania w powietrzu, co nie oznaczało, że nie mają przewagi liczebnej. Walka powietrzna była najgorszą przygodą, jaka mogła teraz spotkać Wójcika: nie dość, że musiałyby rzucić bomby i zrezygnować z nalotu, to jeszcze mógłby stracić życie i samolot. Polska potrzebowała każdej maszyny. Podczas porannej odprawy Mróz wyraźnie nakazał, by „oszczędzać” F-15, a także oczywiście siebie. Samolot będzie potrzebny także nazajutrz, i pojutrze, nie tylko dzisiaj. Rzeka skręcała w tym miejscu prosto, na zachód. Tad poznał, że jest nad Brzegiem Dolnym, przemysłową osadą, która nadal pozostawała w polskich rękach. Wykres marszruty na wyświetlaczu HUD zmienił położenie po raz kolejny. Tad delikatnie popchnął manetki ciągu, położył się na lewe skrzydło i wysunął się poza krawędź doliny Odry. Lecąc na południowy zachód, przemykał nad zagajnikami i pasmami wiejskich zabudowań wśród dojrzewających pól. W tak gęsto zaludnionym terenie natychmiast widać było skutki inwazji. Wszystkie szosy i drożki na zachód zatykały kolumny pojazdów wojskowych, zapewne polskie, bo nikt nie strzelał stamtąd do F-15. Pieszo albo na zatłoczonych ciężarówkach wędrowali z kolei uchodźcy - w przeciwną stronę, na wschód. Widok ten przypomniawszy Wójcikowi opowieści rodziców. Ciekawe, czy takie same sceny przeżyli jako małe dzieci podczas panicznej ucieczki we wrześniu 1939 roku? Wówczas także trzeba się było kryć po rowach przed bezlitosnym wrogiem. Wójcik bezwiednie zacisnął dłoń na drążku sterowym. Tyle lat, i znowu trzeba się pakować i uciekać. Rodzice mieszkali we Wrocławiu. Wójcik nie wiedział nawet, czy jeszcze tam są. Ostatni raz dodzwonił się do nich trzy dni wcześniej. Ojciec mówił, że w mieście jest coraz ciężiej, ale na pewno bezpieczniej niż w powietrzu. Tad nie bardzo chciał w to uwierzyć. O wiele łatwiej jest wykonywać rozkazy niż czekać. Zwłaszcza gdy rozkazy każą strzelać do Niemców. Rodzice pytali czy jego zdaniem mają zostać w mieście, czy uciekać. Mało przyjemne pytanie dla obrońcy Wrocławia. Pamiętając o wszystkich tragicznych faktach, jakich się dowiedział w sztabie pułku, Tad doradził im, by próbowali wyjechać. Ostrożność nie zawadzi. Być może zdążyli wyruszyć w drogę, na wschód, ku centralnej Polsce i Warszawie - na razie jeszcze bezpieczniej. Wójcik chciał

wylądować nagły gniew, a przynajmniej poskromić go, przekuć w żelazną koncentrację nad zadaniem. Każdy lot bojowy zwiększał szansę, że rodzice zdążą w porę dotrzeć w bezpieczne miejsce. O ile oczywiście w Polsce były jeszcze takie miejsca. Wielka szkoda, że rodzice schowali amerykańskie papiery na dno szuflady. Przy odrobinie szczęścia może udałoby się znaleźć dla nich miejsce w samolocie ewakuacyjnym do Stanów? Połowę południowo-zachodniego odcinka lotu wyznaczała główna szosa na Środę Śląską i Wrocław. Z nocnych meldunków rozpoznania wynikało, że w Środzie nadal stoją Polacy. Tad postanowił więc przemknąć na zachód od miasta, za torami. Meldunki okazały się nieaktualne. Kiedy Eagle mknął z wyciem silników nad chałupkami na przedmieściu Środy Śląskiej, zapłonęła nagle cała prawa strona tablicy przyrządów. Ostrzeżenie przed rakietą zapaliło się jednocześnie z sygnałem obcej wiązki radarowej. Antena wyrzutni musiała się znajdować tuż przed dziobem samolotu. Tad podniósł wzrok i ujrzał, jak od ziemi odrywają się dwa słupy białego dymu, zakończone parą czarnych punktów. Rakiety! Odruchowo Wójcik skręcił bardzo ostro w prawo - prawie za ostro. Nos F-15 wycelował wprost w coraz bliższą ziemię, a pilot dopiero w ostatniej chwili skorygował lot i dodał gazu, a jednocześnie kciukiem zwolnił wyrzutnię dipoli przeciwradarowych i rac. Dipole, w postaci tysięcy pasków staniolu, miały oślepić radar naprowadzający pocisk, a race mogły się przydać, gdyby rakietą miała dodatkowe naprowadzanie na podczerwień. Nos F-15 skręcił teraz w lewo. Obie rakiety zostały z tyłu i po prawej. Wójcik nie miał szans odskoczyć od nich, lecz pod tym kątem samolot stanowił minimalny cel. Gdyby jeszcze udało się zejść poniżej horyzontu pracy radaru, który naprowadzał z ziemi oba pociski... Wójcik pchnął manetki ciągu do samego końca i obniżył nos samolotu, nurkując jeszcze niżej. W labiryncie domów i linii wysokiego napięcia, w jakim mu przyszło uciekać, lot tuż nad ziemią graniczył z samobójstwem. Lepsze jednak samobójstwo niż rakietą prosto w ogon. Porucznik miał ochotę obejrzeć się za siebie i sprawdzić, gdzie się podziały obie rakiety, lecz nie uczynił tego. Przy tej szybkości nie mógł ani na sekundę spuścić oka z terenu. Eagle rozpedził się błyskawicznie, choć przy oporze, jaki stawały bomby i rakiety, o prędkości ponaddźwiękowej nie mogło być mowy. Trudno, dobre i to. Wójcik po cichu odliczał sekundy,

próbując przekalkulować je na zasięg i prędkość. Urządzenie ostrzegawcze zgasło wreszcie, równie nagle, jak się zaświeciło. Porucznik wyszedł w górę, zmniejszył ciąg i ostrożnie spojrzął za siebie. Kropłowa osłona kabiny w F-15 pozwalała doskonale się rozejrzeć. Daleko z tyłu wciąż widać było dwa słupy białego dymu, idące coraz wyżej w niebo. Rakiety odchodziły w lewo. Udało się! Zasańcy przy celownikach tym razem nie mieli się czym pochwalić. Ufff! Teraz znów mógł zająć się celem. Wyświetlacz HUD wskazywał zmienioną trasę i podawał kurs. Porucznik odnotował w pamięci, by przekazać rozpoznaniu, że oddziały Konfederacji wysforowały się już za Środę Śląską. W przodzie zamajaczyła kolejna wioska - grupa domów, ciasno zbitych pośród uprawnych pól i sadów. Pora się zbierać.

Wójcik przełączył celowniki, wybierając zamiast Sidewindera bomby kasetowe, jeszcze raz sprawdził kurs i położenie... Naraz znów zapaliło się urządzenie ostrzegawcze. Obcy radar przepatrywał niebo przed samolotem. Wójcik znalazł źródło tej wiązki: radiolokator wspomagał baterię pocisków przeciwlotniczych przy wiadukcie na Cichej Wodzie. Wycofując się, polscy saperzy zerwali wiadukt drogowy legnickiej autostrady nad Cichą Wodą. Choć rzeczka była wąska, siły Konfederacji musiały położyć obok nowy most i zorganizować objazd. Cel Wójcikowego nalotu był jednak inny, bo pontonowe przęsła łatwo zastąpić nowymi. Wójcik miał zamiar zająć się kolumnami transportowymi, ściśniętymi na podjazdach do wąskiej przeprawy. W porównaniu z czteropasmowym wiaduktem, przepustowość nowego mostu okazała się znikoma. Co za tym idzie, wszystkie podejścia do przeprawy zakorkowały czołgi, transportery i najrozmaitsze ciężarówki przeciwnika. Fachowy termin wojskowy na to zjawisko brzmi „wąskie gardło”. Wściekli, zablokowani kierowcy twierdzili, że tkwią zupełnie gdzie indziej. Teraz jeszcze raz obniżył nos samolotu i zszedł z pułapu stu metrów na dwadzieścia. Radarowy ostrzegacz zgasł. Nie było jasne czy bateria zgubiła echo, czy wyłączyła antenę. Nieważne. F-15 wtopił się bezpiecznie w tło terenu, co było jedynym na świecie powodem, dla którego pilot przy zdrowych zmysłach ryzykuje tak niski lot. Porucznik z napięcia prawie przestał oddychać. Nisko, bo nisko, ale przynajmniej nie strzelają. Muskając łąny, Wójcik wystrzelił przez lukę w długiej topolowej alei. Modlił się, by za drzewami nie było linii wysokiego napięcia. A zresztą, wszystko jedno,

lepiej zahaczyć o druty niż dostać rakieta albo pociskami z działek. Patrząc na krajobraz przed maszyną także nie było po co, bo nawet na niewielkim ciągu pejzaż zmienił się w rząd rozmazanych pasów. Porucznik orientował się w wysokości lotu spoglądając w bok, gdzie za punkty orientacyjne służyły mu drzewa i zabudowania. Za ogonem samolotu zostawały kolejne pola i zagajniki. Lot tuż nad ziemią przerażał, a zarazem upajał jak narkotyk. Niech się schowają kolejki grozy w wesołym miasteczku! Porucznik co pewien czas próbował czytać wskazania wyświetlacza na szybie, ale nie odważał się przenieść wzroku na ekran z mapą. Wystarczyły mu zresztą zapamiętane przed lotem punkty orientacyjne i obliczenia, jakich dokonywał w myślach. Wszystko i tak miało się zdarzyć w ułamkach sekund. Pod samolotem przemknęła grupa zabudowań przy skrzyżowaniu dróg - znak, że samolot osiągnął początkowy punkt celowania. Pilot z radością poderwał F-15 w górę, zadowolony że to już koniec diabelskiej przejażdżki, rozwinął pełny ciąg bojowy i wspinał się wyżej, nieco poprawiając kurs, by zgrać się z linią szosy. Miotacze dipoli i rac ustawił na ogień automatyczny i czekał. Niedługo, bo kiedy tylko Eagle wyszedł w górę, urządzenie ostrzegawcze zapaliło się jak choinka, kompletem wszystkich lampek i wskaźników. Baterie przeciwlotnicze EuroConu zapraszały. Wójcik nie zwrócił uwagi na sygnały, zajęty już tylko prowadzeniem maszyny i starannie przemyślanym manewrem. Kiedy samolot się wspinał, Wójcik stracił z oczu obszar celu. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko obrócić myśliwiec brzuchem do góry i w ten sposób przyjrzeć się terenowi. Z takiej pozycji rzeczywiście widać było linię Cichej Wody i wstęgę autostrady, która przecinała rzeczkę. Obok zwalonych w nurt, betonowych przesł zamajaczył szarozielony most pontonowy i wydarte w ziemnej skarpie wyrwy w miejscach, gdzie ciężkie spychacze usypały zjazdy z betonowej szosy ku nowej przeprawie. Most i wszystkie pasma po zachodniej stronie rzeki zastawiały najróżniejsze pojazdy - ciężarówki, transportery z piechotą, czołgi, łaziki i wozy inżynieryjne. Tad zdążył jeszcze zauważyć, jak kierowcy wyskakują z szoferek i rozbiegają się na wszystkie strony. Więcej nie widział, bo z szosy były w jego stronę serie pocisków smugowych. Każdy pojazd, który tylko posiadał karabin maszynowy, pruł w pojedynczy polski myśliwiec. Inne serie szły ku F-15 od strony baterii działek

szybkostrzelnych po południowej stronie autostrady. Wójcik sam się zdziwił, jak mało mu przeszkadza ostrzał. Doświadczenie bojowe kazało mu zajmować się tylko rzeczami, na które miał wpływ lub przed którymi mógł uciec. Ogień z ziemi to nie pocisk raketowy: kwestia przypadku. Jeśli któryś ze wzbijających się w niebo pocisków był przeznaczony dla Wójcika, to trudno. I tak nic się na to nie poradzi. Wyświetlacz HUD wskazał, że wysokość jest już dostateczna. Wójcik mocno napał na drążek, wyrównał lot i obniżył nos myśliwca ku ziemi. F-15 przeszedł w lot poziomy na dwustu metrach - minimalnej wysokości, na której nie mogły go porazić odłamki własnych bomb. Teraz tylko gazu! Całą uwagę porucznik skupił na nalocie nad cel w postaci długich rzędów nieprzyjacielskiego sprzętu. Smugi pocisków z ziemi i szare obłoczki wybuchów widział teraz wyraźniej niż przedtem, coraz groźniejsze. Ułamki sekund odliczanych na wyświetlaczu dłużyły się jak całe lata. Teraz nie można już było zmienić kursu. Unik oznaczał, że bomby chybią celu. Kiedy linia celowania wyświetlona pośrodku przedniej szyby skurczyła się w pojedynczą kropkę, Wójcik zwolnił bomby. Zasobniki opróżniły się, uwalniając co ćwierć sekundy kolejną bombę kasetową. Po stu metrach spadania kasety otworzyły się, zasypując przeciwnika deszczem dwukilogramowych podpocisków. W prostokącie o bokach 750 na 50 metrów spadło ponad pięćset śmiertelnych kul. Cały teren pod samolotem zmienił się w dywan utkany z wybuchów. Kurz przesłonił natychmiast widzialność. W tumanie wciąż migały czerwone ogniki rozprysków. Pojedyncze bombki, choć niewielkie, przy trafieniu z góry potrafiły zniszczyć czołg, nie mówiąc o innych pojazdach, a przy wybuchu posyłały dodatkowo na wszystkie strony mnóstwo krojących powietrze odłamków. Wskaźnik uzbrojenia pokazał, że spod kadłuba odpadła ostatnia bomba. Eagle od razu przyspieszył, uwolniony od trzytonowego balastu i dodatkowego oporu powietrza. Porucznik spostrzegł, że dalsze odcinki autostrady są także zapchane francuskimi i niemieckimi pojazdami. Zmiana decyzji. Zamiast uciekać, Tad znurkował i przycisnął spusty działka, puszczając w kolumnę serię 20 milimetrowych pocisków. Chodziło w końcu o to, by powstrzymać przeciwnika, by zadać mu tak wiele strat, jak to tylko możliwe. Porucznik strzelał dopóki mógł, lecz widząc że za bardzo traci wysokość, odskoczył ostro w prawo i wycelował nosem myśliwca w linię horyzontu. Pełen przeszkód teren

był niebezpiecznym kompanem, ale dawało się z nim oswoić. Porucznik automatycznie przestawił celowniki i komputery z bombardowania na walkę powietrzną i wybrał Sidewindera. Nareszcie znów mógł się bronić. Oby tylko nie zaszła taka potrzeba. F-15 Wójcika gnał prosto na północ, a potem zrobił zwrot na północny wschód, lecąc nisko nad wioskami i gruntami uprawnymi. Gdzieś tam widać było na polach wypalone miejsca albo grupki pojazdów, które wzięły się tam nie wiadomo skąd. Wskazania wyświetlacza podpowiedziały, żeby zmniejszyć prędkość z bojowej na optymalną. Porucznik uczynił tak i ostrożnie zawrócił na południowy wschód. Minuta lotu na dopalaczach pozwoliła mu odsadzić się dwadzieścia pięć kilometrów od przeprawy. Cała nadzieja, że zbombardowani zameldują, iż polski samolot ucieka na północ. Manewr powinien zmylić pogonię i doprowadzić F-15 prościutko do bazy. Na dość bezpiecznej wysokości, bo na stu metrach, porucznik zwolnił na dobre. Od Wrocławia dzieliły go już tylko minuty. Wskazania kierunku na wyświetlaczu uspokajały się, kiedy znów zapłonęła światłem prawa strona tablicy przyrządów. Tam na sekundę oderwał oczy od zamazanego terenu i sprawdził ekran ostrzegacza. Dwa echa radarowe, każde oznaczone literkami „RDX/RAFALE”. W tejże sekundzie symbole zmieniły się jeszcze raz. Przeciwnicy włączyli radary naprowadzania rakiet. Gdzieś wyżej krążyły dwa najnowocześniejsze francuskie myśliwce. Na dodatek oba doskonale wiedziały, gdzie szukać F-15 Wójcika. Porucznika aż zakłuło w piersi. Niewiele myśląc, włączył pełny ciąg na dopalaczach i naprowadził nos maszyny wprost na obce myśliwce. Przy okazji włączył własne radary, choć nie spodziewał się po nich zbyt wiele. Po ekranie przemknęło jedynie parę niewyraźnych ech. Rafale nie był samolotem stealth w pełnym znaczeniu tego słowa, lecz odbijał promienie radarowe wielokrotnie słabiej, niż inne samoloty. Poza tym nawet gdyby udało się znaleźć Rafale za pomocą własnego radiolokatora, potężne zagłuszacze na pokładzie francuskiego myśliwca potrafiły zmylić każdą raketę. Tam pamiętał o tym wszystkim. Od pierwszej, haniebnej -choć tylko pozorowanej - walki z Rafale przez granicę na Nysie, zastanawiał się nieustannie nad odpowiednią taktyką. Jak przechytrzyć Rafale? Kierując się ku przeciwnikom, porucznik obniżył lot, ponownie zszedł tuż nad ziemię i wprawnymi ruchami przełączył celowniki. Z olbrzymią uwagą śledził wszystkie wskazania wyświetlacza.

Nagroda za utratę wysokości była coraz większa prędkość. Tad znał maksymalną prędkość własną przy tym ładunku rakiet i paliwa; znał też górny zasięg francuskich pocisków Mica klasy powietrze-powietrze - około pięćdziesięciu kilometrów. Odliczał kolejne sekundy, modląc się, by francuskie radary nie wychwyciły go w przyziemnej strefie ech. Francuscy piloci z pewnością czuli się bezpieczni i zamiast się pospieszyć, starannie przygotowywali polowanie. Rozumowanie poprawne, bo cóż innego mógł robić mknący tuż nad ziemią samolot, jak tylko uciekać? Wystraszony pilot rzadko decyduje się na przyjęcie walki. Tad musiał podzielić uwagę między wyświetlacz HUD na przedniej szybie, tablicę urządzenia ostrzegawczego i migającą coraz bliżej ziemię. Ostrzeżenie o wiaźce naprowadzającej paliło się nadal, lampka oznaczająca obcą raketę nadal się nie zaświeciła. Wójcik wyrzucił za maszyną dwie paczki dipoli, .pewien, że nikogo nie zmylą. I rzeczywiście: ostrzeżenie, że ktoś bierze F-15 na cel paliło się nadal. Teraz! Porucznik bez ceregieli pociągnął drążek na siebie i przygotował się na przeciążenie. Siła, która wgniatała w fotel, potęgowała się do chwili, kiedy pilot nie mógł już oddychać, a przed oczami ujrzał szare plamy. Wyświetlacz pokrył się zygzakami linii i symboli. Przyspieszeniomierz wskazywał 7 g z kawałkiem. Na szybie zapalił się nagle świetlisty kwadrat. Wójcik nieco zwolnił nacisk na drążek i naprowadził nos maszyny ku górze, do chwili, kiedy kwadrat znalazł się wewnątrz okręgu. Wyświetlone na szybie koło oznaczało stożek rażenia, czyli przestrzeń, w której rakiety F-15 miały największą skuteczność. Myśliwiec szedł teraz do góry prawie pionową świecą. By manewrować w lewo i w prawo, a także w pionie, porucznik manipulował ciągiem w obu potężnych, turbowentylatorowych silnikach. Dla pocisków z naprowadzaniem radarowym Rafale stanowił najłatwiejszy cel bezpośrednio od dołu lub od góry- Radiolokatory F-15 złapały nareszcie echo na tyle silne, by wczepić się w cel. Gdy tylko kwadrat celownika znalazł się wewnątrz okręgu, Tad przycisnął spust. Odpowiedział mu natychmiast ryk raketowego silnika i kłęb dymu. Pierwszy Sparrow wystrzelił pionowo w niebo. Tad nie czekał, aż przyrządy potwierdzą odpalenie uzbrojonej rakiety. Przełączył spusty umieszczone na drążku. Świetlne literki w lewym dolnym narożniku pola wyświetlacza zmieniły się z „AIM-7” na „AIM-9”. Znów nie

czekając na brzęczyk, porucznik odpalił Sidewindera. Pokładowy radar wciąż prowadził pierwszą rakietę, która zdażyła się już rozpędzić do czterokrotnej prędkości dźwięku. Jeszcze parę sekund. Świetlisty kwadrat zgasł. Jakim cudem Rafale strząsnął z siebie wiązkę radiolokatora? Czy sprawił to manewr, wystrzelone dipole, czy zagłuszanie, nie miało znaczenia. Bez naprowadzania szansę, że wystrzelony Sparrow trafi Francuza, stały się minimalne. Tad przestawił się na przedni celownik i omiótł przestrzeń przed nosem myśliwca kolejną wiązką promieni radarowych. Bez skutku. Rafale zniknął. Tad prawie przyklepił nos do osłony kabiny. Gdzie się podziali ci Francuzi? Rozdzielili się może? Jeśli odskoczyli w bok, niedobrze, bo... Całą uwagę Tada przykuło nowe światełko na urządzeniu ostrzegawczym. Rakietą z prawej. Porucznik wykręcił szyję. Z prawej tylnej ćwiartki horyzontu pędził wprost ku niemu pocisk. Panowie, kurwa, bez przesady! Porucznik nie myślał już czy Sparrow trafi w cel. Dał

nagłego susa w bok, przekonany, że zadecydują tu ułamki sekund. Oddychał płytko i szybko, bo tylko w ten sposób mógł zwalczyć skutki przeciążenia. Nieprzyjacielską rakietę miał teraz przed sobą i z lewej. Dobrze, teraz dipole, i korkociągiem w dół! Goniąc manewrujący F-15, pocisk wytracał energię na nagłe zmiany kursu. Świat zawirował wokół osłony kabiny. Przeciążenia cisnęły porucznika w lewo i w prawo, i znów w lewo. Kątem oka dostrzegł jeszcze na tle błękitnego nieba dwie białe linie. Cieńsza musiała się ciągnąć za pociskiem Sparrow, i zaraz zatarła się, idąc prosto w górę. Druga biała kreska zmieniła się nagle w szary rozprysk. Tad, choć czuł się jak na rozpędzonej karuzeli, uśmiechnął się w duchu. Sparrow rzeczywiście chybił, ale naprowadzany na podczerwień Sidewinder wychwycił smugę ciepłą za próbującym uniku Rafale - i trafił. Wybuch, który zatrzęsł naraz F-15, prawie ogłuszył porucznika. Czując dzwonięcie pod czaszką i ostry ból w skroniach, Tad przeraził się. Czy trzasnęły mu kręgi szyjne? Poszycie samolotu grzechotało jak pod gradem kamieni. Francuska rakietą trafiła! Korkociąg myśliwca z kontrolowanego manewru zmienił się w ostatni lot ku ziemi. Wójcik spróbował wyjść z korkociągu, lecz kiedy położył maszynę na prawe skrzydło, F-15 przewrócił się brzuchem do góry i wirując spadał nadal. Porucznik zdażył zmniejszyć ciąg. Próbował wyprowadzić

samolot, choć nie miał nawet pewności czy stery jeszcze działają i czy została jakakolwiek szansa. Na tablicy paliły się wszystkie czerwone światełka, po wyświetlaczu HUD przemykały kolejne ciągi liczb. Porucznik czuł, że świat rozmywa mu się przed oczami, a przy każdym przewrocie maszyny czuł w głowie przeszywający ból. Wyjść z tego wszystkiego udało mu się chyba tylko przypadkiem, lecz nagle znów miał niebo nad sobą, a ziemię w dole.

Błyskawicznie, aby nie zmarnować tej szansy, nadepnął z całej siły na prawy pedał orczyka i popchnął drążek od siebie w nadziei, że zdąży jeszcze wyjść w górę. Krzywiąc się z bólu okręcił się w fotelu i poszukał drugiego, ocalałego Rafale. Niebo wydawało się czyste, milczało także urządzenie ostrzegawcze. Być może Francuz miał pilniejsze zajęcia, lub - co bardziej prawdopodobne - widział jak polski pilot traci panowanie nad maszyną i uznał, że rakieta zrobiła swoje. Horyzont powrócił na miejsce. Tam przez dłuższą chwilę próbował się zorientować, gdzie jest i dokąd leci, a potem, zawrócił na południowy wschód, ku lotnisku odległemu zaledwie o dwadzieścia parę kilometrów. Myśliwiec zachowywał się dziwnie i kiedy się go kładło na skrzydło, natychmiast znów próbował wpadać w korkociąg. Żeby utrzymać nos samolotu w poziomie, Wójcik musiał dobrze naprzeć na stery. Skąd to znoszenie w lewo? Francuski pocisk trafił właśnie od tamtej strony. Opory aerodynamiczne poszarpanego poszycia sprawiały, że samolot mocno ściągało w tym kierunku. Nic, jakoś się doleci. Walcząc ze sterami, porucznik prędko sprawdził wskazania instrumentów. System nawigacyjny wysiadł, nie świeciły się wskaźniki uzbrojenia, sztuczny horyzont zwariował. Obroty lewej turbiny spadły o połowę, a lewa dysza przegrzała się niebezpiecznie, co wskazywało, że odłamki francuskiego pocisku pocięły silnik. Wójcik i tak miał szczęście, że odłamki nie trafiły w wirniki turbiny. Tak czy owak, pora wyłączyć lewy silnik, zamiast czekać, aż się zapali. Lewą ręką porucznik przyciągnął lewą dźwignię ciągu i zwiększył obroty prawą. Jak tam paliwo? Lewy zbiornik pusty. Zasługa odłamków. Niedobrze, tym bardziej że dwa skoki na dopalaczu, chociaż niezbyt długie, dobrze ogołociły myśliwiec z paliwa. A tu jeszcze strata lewego zbiornika... Wyskalowany po amerykańsku wskaźnik pokazywał, że całego zapasu Wójcik ma 1200 funtów. Czyli pół tony. Może wystarczy, jeśli uda się szybko posadzić myśliwiec.

Jeżeli, bo w tym stanie lądowanie mogło wyglądać bardzo różnie. Decydując się lądować wprost z pierwszego podejścia, Wójcik wywołał wrocławską wieżę. Na tej samej częstotliwości odpowiedziała mu jednak naziemna kontrola lotniska. - Zebra Jeden, zmień kurs na Łask albo Oleśnicę. Wrocław pod ostrzałem! W pospiesznych, niewyraźnych słowach kontrolera czuło się lęk. - Zebra, straciliśmy wieżę, bombardują nasze baterie Obrony. Wrocław zamknięty!

Tad poczuł, jak narasta w nim panika. Opanowanie jej kosztowało go dużo wysiłku. Jak to możliwe, żeby Konfederacja podeszła tak blisko do miasta? Przerwali front? Nieistotne, na pewno nie w tej chwili. Łask leżał 150 kilometrów na wschód, czyli za daleko. Przy tym stanie paliwa, no i samolotu, pozostawał jedynie Wrocław. - Baza, muszę siadać! - zameldował i jeszcze raz upewnił się co do wskazań przyrządów. - Nie mam paliwa, samolot uszkodzony. Nie wiem, ile mam jeszcze minut. Czy pas wolny? - Tad nie wspomniał nawet o bólu pod czaszką. Nie krwawił i nie stracił panowania nad maszyną, więc na razie się nie przejmował. Czarny humor podpowiadał mu, że ból jest tylko chwilowy, bo i tak przyjdzie się roztrzaskać przy lądowaniu. F-15 rozlatywał się na kawałki. - Zebra, zgoda na lądowanie. Pas na razie nie uszkodzony. Innych maszyn nie ma, możesz schodzić prosto na pas. Powodzenia. Tad dwukrotnie pstryknął włącznikiem mikrofonu i skupił się na zadaniu. Samolot coraz bardziej znosiło w dół i w lewo. Porucznik przestawił trymery, by temu zapobiec, a potem rozejrzał się po horyzoncie. Teren wokół Wrocławia znał jak własną kieszeń - lotnisko jednak zniknęło. Nad całym obszarem wisiał szarobury opar. To, że porucznik w ogóle zauważył pas, zawdzięczał tylko doświadczeniu. Schodzić ku ziemi zaczął więc dwa razy bliżej niż normalnie. Pierwsza przyjemna niespodzianka: trzy zielone światełka obwieściły, że podwozie wyszło prawidłowo. Kiedy jednak Wójcik zaczął wysuwać klapy, Eagle znów szarpnął w lewo, tak ostro, że ledwie się go udało wyprowadzić z wirażu. Uszkodzone powierzchnie lewego skrzydła. Na szczęście nie trzeba było wytracać prędkości: na jednym silniku i ze zniosem w lewo, myśliwiec leciał i tak niebezpiecznie powoli. Oprócz zbawczego pasa Tad widział teraz resztę bazy. Ponad godzinę temu mimo uszkodzeń wszystko kipiało tu życiem, a teraz? Ani śladu ludzi, ani jednego samolotu. Przepisy nakazywały, by w razie ataku

natychmiast ewakuować lotnisko. Porucznik sam brał udział w ćwiczeniach, w których pułk przechodził na lotnisko zapasowe, lecz tym razem nie chodziło o ćwiczenia. 11. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego opuścił Wrocław. Porucznik poczuł się jak rozbitek na pełnym morzu. Na jego oczach obok hangaru rozerwały się dwa pociski artyleryjskie. W górę poleciała ziemia, a rozbłyśki widać było z odległości paru kilometrów. Ich huk przebił się nawet przez grzmot odrzutowego silnika. Podejście udało się jakoś. Tad delikatnie i ostrożnie posadził myśliwiec na pasie. Przy tej prędkości schodzenia miejsca na dobieg miał aż za wiele. Lekki boczny wiatr prawie nie przeszkadzał. Żarty, nie lądowanie - tylko siadać i raz dwa kołować pod schron. Pod kołami mignął szary, chropowaty beton pasa. Tad przycisnął F-15 do ziemi, a kiedy opony musnęły pas, zadarł jeszcze bardziej nos myśliwca, by wytracić prędkość.

Nagły huk zdezorientował porucznika. Samolot toczył się nieubłaganie w lewo. Przez sekundę Tad był przekonany, że tuż obok wylądował kolejny pocisk i dopiero później zdał sobie sprawę, że strzeliła lewa opona. Pocięte odłamkami ogumienie nie wytrzymało uderzenia o pas. Z lewego podwozia F-15 została tylko wleczona po ziemi stalowa rura, spod której sypały się fontanny iskiei. Porucznik instynktownie zdusił obroty i z całej siły naparł na prawy hamulec. Zanim zdążył zareagować, okaleczony Eagle okręcił się wokół własnej osi i zaczynał już następny obrót, wciąż nie wytracając prędkości. Pilot poczuł dreszcz, słysząc zgrzyt metalu o podłoże. Lewa goleń podwozia F-15, być może przedtem nadwyrężona przy trafieniu, złamała się wreszcie i odpadła wyrywając spod skrzydła swój mechanizm. Lewe skrzydło zahaczyło o ziemię, a samolot przechylił się gwałtownie.

Porucznik przeżegnał się w myślach i położył rękę na dźwigni katapulty. Wystrzelić się? Trąc skrzydłem o ziemię, samolot coraz bardziej wytracał impet. A nuż się uda? Myśliwiec podskakując zatoczył jeszcze jedno półkole wokół własnej osi i zatrzymał się w chmurze pyłu albo dymu. Oby tylko nie dymu! Porucznik zwolnił osłonę kabiny, lecz przezroczyta kopuła nie drgnęła. Zadziałał dopiero rezerwowy zamek, zasilany z akumulatorów. Poznaczona kurzem kopuła zaczęła się unosić. Tad pospiesznie rozpiął uprząż, kombinezon ciśnieniowy i przewody łączności. W ostatniej chwili złapał jeszcze dokumenty i mapy, po czym precyzyjnie się przez

coraz szerszą szczelinę i prędko zeskokczył na ziemię. Myślał tylko o tym, by odbiec jak najdalej. Nawet teraz paliwo, instalacja tlenowa i głowice pocisków raketowych mogły w jednej sekundzie zmienić myśliwiec w przysmak dla strażaka. Kiedy pozbierał się z ziemi i zaczął biec, ujrzał pędzący mu na spotkanie przez pole wzlotów pułkowy łązik. UAZ zatrzymał się parę metrów od pilota. W kierowcy Tad rozpoznał starszego sierżanta z obsługi technicznej. Tylko po co mu ten kanister? - Nie jest pan ranny?

Oszołomiony porucznik pokręcił tylko głową. Sierżant wskazał mu łązik. - Niech pan wskakuje, prędko!

Zanim Tad zdążył o cokolwiek zapytać, sierżant podbiegł do rozkraczonego na ziemi F-15, wyszarpnął wciągana do kadłuba drabinkę, wspiął się do kabiny i odkorkował kanister. Metodycznie oblał benzyną fotel, tablicę przyrządów, a potem górną powierzchnię kadłuba, a potem z kanistrem w ręku zeskokczył na ziemię. Na drugim końcu pola wzlotów znów zaczęły się rozrywać pociski, zapalając kilka budynków. Tad przez drobną chwilę przyglądał się niezrozumiałym wyczynom sierżanta, dopóki wreszcie nie zdał sobie sprawy, co się dzieje. Zapominając o bólu pod czaszką, co prędzej wgramolił się do UAZ-a. Sierżant wcisnął się pod przekrzywione skrzydło myśliwca, postawił kanister i przewrócił go kopniakiem. Po betonie rozlała się długa struga benzyny lotniczej. Zadowolony podoficer truchcikiem ruszył do łązika, wskoczył za kierownicę i odjechał kawałek dalej, uważając by ustawić się na wiatr. Potem wyciągnął i załadował raketnicę. Tad pożegnał spojrzeniem swój uszkodzony myśliwiec, sterczący na samym skraju pasa. Przy takich uszkodzeniach i tak trzeba go było zapewne spisać na straty. Chodziło tylko o to, by myśliwiec nie wpadł w ręce przeciwnika. Niemieckie i francuskie czołgi podchodziły widocznie coraz bliżej. Rakietka świetlna wyprysnęła białą krechą z lufy i stuknęła o przód kadłuba F-15. Od fontanny iskier, parująca benzyna za jąła się z głuchym stęknięciem. Sierżant zdążył już zawrócić i przycisnąć gaz.

- Ewakuacja, panie poruczniku. Wszystkie maszyny przeszły na punkt zapasowy. Reszta pułku dołączy za godzinę, dwie. Pan z pierwszego dywizjonu, prawda?

Tad przytaknął i skrzywił się, bo pod czaszką znów poczuł kolnięcie rozżarzonych gwoździ. - Kadra siedzi jeszcze w bunkrze

sztabowym - poinformował go sierżant. W bezpiecznej odległości od myśliwca zwolnił nieco, choć dalej gnał na złamanie karku. - To jak się udał lot? Ponad hukiem pocisków artyleryjskich przetoczyło się nagle echo jeszcze głośniejszej eksplozji. Tad obejrzał się tam, gdzie nad porzuconym myśliwcem piętrzył się grzyb czarnego dymu, i westchnął. Taki sam dym buchał przed pół godziną z ciężarówek i transporterów przy moście nad Cichą Wodą. - Lot? Świetnie. Ale do dupy.

21

Korytarze

11 czerwca - Waszyngton, Biały Dom

Ross Huntington z ciekawością przyglądał się ogrodnikom z Białego Domu, którzy niespiesznie przesuwali się od klombu do klombu, pieląc, gracując i podlewając każdy kwiatek, by ogród zachwycał pięknem i porządkiem. Widok tak pokojowego zajęcia wydawał się czymś dziwnym, przynajmniej w oczach Huntingtona, który większość czasu spędzał pochłonięty wojną, jaka się przetaczała nad północną i wschodnią częścią Europy. Co najgorsze wyglądało, że Ameryka i jej sojusznicy przegrywają tę wojnę. Polskie siły zbrojne znowu znalazły się w odwrocie, porzucając Wrocław w obliczu miażdżącej przewagi francuskich i niemieckich wojsk pancernych. Czechy stały z bronią u nogi, bojąc się teraz choćby pisnąć, a cóż dopiero iść Polakom z pomocą. Na Węgrzech tamtejsze wojska ledwo sobie radziły z opóźnieniem nieubłaganego marszu sił Konfederacji na Budapeszt. Wszystkim tym krajom potrzebna była jak najszybsza pomoc. Tylko co z tego, skoro zarówno Stany Zjednoczone jak i Wielka Brytania pomocy tej ofiarować nie mogły? A przynajmniej nie w dostatecznej ilości? Od chwili, kiedy na polskim terytorium rozerwały się pierwsze francuskie pociski samosterujące, prezydent USA i premier Wielkiej Brytanii prowadzili nieustanną kampanię, publiczną a także zakulisową, na rzecz rozszerzenia antyfrancuskiej i antyniemieckiej koalicji o nowe państwa, tak aby móc zwiększyć strefę działań wojennych. Huntington najlepiej sobie zdawał sprawę, jak nikłe rezultaty przyniosły wszystkie te działania. Holandia, zasadniczo wierna zasadom wolnego rynku, obawiała się namacalnej niemieckiej i francuskiej obecności wojskowej tuż za progiem tak bardzo, że - choć niechętnie - ogłosiła neutralność. Było jasne, że władze w Hadze nie zmienią tego nastawienia, tym bardziej w sytuacji, gdy

EuroCon odnosi jedno zwycięstwo za drugim. Poza boiskiem uparły się także trwać

Włochy i Hiszpania. Huntingtonowi trudno było za to winić oba kraje, które wstępując do koalicji niewiele zyskiwały, za to ryzykowały rozszerzeniem konfliktu zbrojnego na resztę Europy. Na północy neutralni Duńczycy nie potrafili wyegzekwować posłuszeństwa we własnej przestrzeni powietrznej. Odrzutowce bojowe Konfederacji raz za razem ścierały się nad Danią z aliantami, zupełnie bez reakcji niewielkiego liczebnie duńskiego lotnictwa. Szwecja zadowolona się patrolami wzdłuż własnych granic, a wobec wszystkich walczących stron wystosowała surowe ostrzeżenia, by nie ważyli się tknąć szwedzkich statków. Jak dotychczas, rzeczywiście nikt nie atakował frachtowców z żółtoniebieską flagą. Po stronie dawnych sojuszników stanęła więc tylko Norwegia, która i tak zmarnowała parę dni, usiłując podjąć się mediacji pokojowych. Wreszcie, w przekonaniu, że nic i nikt nie potrafi przemówić Francji i Niemcom do rozumu, Norwegowie zgodzili się udostępnić lotniska amerykańskim i brytyjskim dywizjom. Pierwsze grupy myśliwców F-15 i F-16 ze Stanów Zjednoczonych miały tam wylądować za kilka godzin. - Rozumiem oczywiście pani położenie - mówił tymczasem prezydent. Jedyne leciutka nutka napięcia w jego głosie zdradzała, jak bardzo mu zależy na wyniku rozmowy. - Jako premier musi pani sobie jednak zdawać sprawę, że zorganizowanie ogólnej kampanii powietrzno-morskiej to sprawa, z którą po prostu nie możemy czekać.

Huntington z żalem oderwał się od ogrodowych widoków. Prezydent rozmawiał przez szyfrowe łącza z panią premier Norwegii, próbując zawczasu uzgodnić wszystkie drażliwe aspekty działań pod wspólnym dowództwem. Przy drugim aparacie czuwał młody tłumacz z Departamentu Stanu, gotów pomóc przy terminach technicznych. Jak dotąd, nie przydał się specjalnie, jako że Brigitte Petersen mówiła płynnie po angielsku. Odpowiedź pani premier wyraźnie uspokoiła prezydenta, który rozluźnił się wreszcie. Jego twarz złagodniała, a w głosie pojawił się nowy, cieplejszy ton. - Aha, rozumiem... Zgoda, rzeczywiście powinno się udać. Doskonale, powiem moim wojskowym, żeby się skontaktowali z pani Ministerstwem Obrony i zwierzchnikami rodzajów wojsk, niech wspólnie ustalają każdy szczegół. Dziękuję, pani premier. Co? Zgoda, wszyscy trzymajmy kciuki.

Amerykański przywódca powoli odłożył słuchawkę i obdarzył Huntingtona weselszym już, zawadiackim spojrzeniem. - Niech to gęś, Ross, czasem myślę sobie, że lepiej by było prowadzić tę wojnę samemu, bez żadnych tam koalicji. Przynajmniej musiałbym się wtedy użerać tylko z Połączonymi Sztabami, Kongresem, prasą i doradcami. - Założę się, że tak samo myśleli Roosevelt z Churchillem... - skwitował to Ross i naraz zamilkł. W głowie zaświtał mu nowy pomysł, na razie nader niewyraźny. Gdyby tak się skupić... - Co jest? - zagadnął prezydent, zdziwiony milczeniem długoletniego przyjaciela, a obecnie doradcy. - No, gadaj, Ross. Znam cię na wylot, chłopie. Ostatni raz miałeś taką minę, kiedy wyciągnąłeś cztery asy!

- E, tam - zbył go Huntington. - Żadne asy, co to, to nie. Po prostu, uświadomiłem sobie nagle coś oczywistego.

- Co niby?

- To, że Konfederacja to także koalicja, zupełnie jak my z Wielką Brytanią i tak dalej. Koalicja, rozumiesz? Nie żaden ogromniasty, francusko-niemiecki monolit. Mówimy i myślimy o jednorodnym EuroConie, a tymczasem...

- Nie wydaje mi się, żeby Konfederacja była jakąś prowizorką - przerwał mu prezydent.

- Wszyscy tak mówią. Mówią, co im się wydaje! - napierał Huntington. - Tylko co tak naprawdę wiemy o Konfederacji, o tym, w jaki sposób EuroCon podejmuje decyzje? W jakim trybie? Czy Niemcy i Francja zapytały mniejsze kraje o zdanie, na przykład w kwestii tej wojny? Czy mniejsze kraje mają ochotę poświęcić własne wojsko? Nie znamy całej masy szczegółów. Co trzyma Konfederację w kupie? A może nic jej nie trzyma?

- Mów konkretnie, o co ci chodzi, Ross.

- Moim zdaniem w tym ich monolicie znajdzie się mnóstwo rys, pęknięć. Wystarczy trochę podrażnić, a znajdziemy rozbieżności: polityczne, wojskowe, jakie chcesz. Słabe punkty, które da się wykorzystać.

Prezydent zapadł w wielki, obity skórą fotel i zastanowił się poważnie nad tym, co usłyszał. Potem wycelował palcem w Huntingtona. - Dobra, sprzedałeś mi kota w worku.

- Rozumiem, że uczulisz na te sprawy Departament Stanu, a oni już...

- Nic podobnego. - Prezydent znów się uśmiechnął, po dawnemu,

odmładzając się o wiele lat. Huntington dawno nie widział go w tak dobrym nastroju. - Tobie akurat nie muszę tłumaczyć, Ross, co by powiedzieli chłopcy z departamentu. Klauzula NNS, kolego. Huntington musiał przytaknąć tym słowom. Za żartobliwym skrótem od słów „Nie nasza sprawa” krył się autentyczny problem waszyngtońskiej administracji. Poszczególne piętra rozpętniałej biurokracji rządowej z reguły pokazywały plecy - albo i gorzej - pomysłem, propozycjom i rozwiązaniom proponowanym przez ludzi z zewnątrz. To, czy pomysły mają sens, dają się zastosować i przynoszą oszczędności, nie miało tu najmniejszego znaczenia. - W takim razie kto ma się tym zająć? CIA? Pentagon?

- Nie Pentagon, tylko ty, Ross. Raz już miałeś nosa z tym gazowcem wysadzonym przez zabójców. Quinn i jego silnoręcy zachodzili w głowę, co i kto, a ty, proszę! Ba, w kwestii moich haseł wyborczych i wystąpień w telewizji też miałeś świętą rację. Dobra, ale tak poważnie - rzucam ci piłkę. Łap i leć.

12 czerwca - Narodowa Agencja Bezpieczeństwa w Fort Meade w stanie Maryland

Narodowa Agencja Bezpieczeństwa to jedna z największych i najpotężniejszych organizacji amerykańskiego wywiadu. W centrali w Fort Meade pracuje prawie czterdzieści tysięcy osób, a dalsze tysiące obsługują placówki w innych częściach globu. Do głównych zadań Agencji należy nasłuch i łamanie szyfrów, a także ochrona amerykańskiej łączności i tajemnic państwowych. Oprócz rozmiarów, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa wyróżnia się spośród pokrewnych instytucji także dyskrecją. Tym razem dyskrecję posunięto do tego stopnia, że Ross Huntington nie miał nawet gwarancji, iż nieciekawy człowieczek, z którym przyszło mu rozmawiać, przedstawił się prawdziwym nazwiskiem. Dyrektor centrum nasłuchowego NAB wyglądał jak wzór anonimowego urzędnika. Huntington nie zdziwiłby się, gdyby nawet własna żona zwracała się do niego per „panie dyrektorze”. Urzędnik rzeczywiście nie emanował serdecznością i na każdym kroku dawał to odczuć - na przykład kiedy przenosił chłodny wzrok z listu polecającego, jaki wystosowano dla Huntingtona w Białym Domu, na spis spraw, które interesowały Rossa. Kiedy skończył studiować oba dokumenty, skrzywił się. - Nie bardzo wiem, w jaki sposób możemy tu panu w czymkolwiek pomóc, panie Huntington.

Po tych słowach dyrektor zacisnął usta, znów podniósł do oczu

drugi dokument i odczytał na głos: - „Centrum nasłuchowe Narodowej Agencji Bezpieczeństwa ma dołożyć wszelkich starań, by poznać treść komunikatów dyplomatycznych i rządowych na liniach łączności między mniejszymi państwami Konfederacji Europejskiej”. Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że moi ludzie i bez tego mają się czym zająć. Pański plan, panie Huntington, zmusi nas do odwołania pracowników od innych zadań. Dyrektor nie powiedział „od innych, ważniejszych spraw”, lecz znaczenie jego słów nie ulegało wątpliwości. - Żeby cokolwiek zrobić w tym kierunku, potrzebne mi jest osobiste polecenie moich bezpośrednich przełożonych. Rozumie pan, że nie mogę lekką ręką poświęcać naszych cennych środków. Huntington pokiwał głową. Nie spodziewał się czułego przyjęcia, lecz przed spotkaniem postanowił spróbować wszystko załatwić po dobroci. Teraz jednak wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki sztywny kartonik z numerem telefonu i położył go na blacie biurka. - Proponuję w takim razie, żeby był pan uprzejmy zadzwonić pod ten numer. Skoro już o pańskich zwierzchnikach mowa. Dyrektor ośrodka nasłuchowego spojrział na karteczkę i leciutko uniósł brwi. Kod rozpoczynający serię cyfr oznaczał specjalną tajną linię w Białym Domu. Urzędnik podniósł wzrok na Huntingтона, zrobił minę mówiącą, że nie wzrusza go nawet perspektywa rozmowy z członkiem Narodowej Rady Bezpieczeństwa, po czym sięgnął po słuchawkę. Jego blada twarz pobladła jednak jeszcze bardziej, gdy rozmówca na drugim końcu linii oświadczył mu krótko i zwięźle, że albo dyrektor pomoże Huntingtonowi albo „pojedzie na Alaskę, prowadzić nasłuch tybetańskich pogadank radiowych”. Huntington z trudem ukrył uśmiech. Trafnie domyślił się z góry, że nie obejdzie się bez takich sposobów. Ha, czasem dobrze jest grać po tej samej stronie boiska, co prezydent USA.

Moskwa, Ministerstwo Obrony

Alex Banich sterczał w korytarzu obok biura Pawła Sorokina i z coraz większą niecierpliwością, nadaremnie wypatrywał windy. Jakże ci Rosjanie mogli marzyć o podboju świata, skoro nawet na własnym podwórku mają taki chlew? Jeszcze jedna moskiewska tajemnica. Banich skończył przed chwilą kolejną rozmowę z korpulentnym naczelnym zaopatrzeniowcem ministerstwa. Udawał, że próbuje wycygnąć od ministerstwa następny kontrakt na dostawę żywności, lecz tak naprawdę chciał wyciągnąć jakiegokolwiek

informacje na temat przesunięć rosyjskich dywizji w stronę wschodnich granic Polski. Wiadomości o ruchach wojsk miały podstawowe znaczenie dla analizy moskiewskich planów wobec trwającego konfliktu. Cóż, kiedy Sorokin odesłał handlarza z kwitkiem. Banich omal nie zaklął. Nie ulegało kwestii, że grubas coraz bardziej się obawia interwencji służb specjalnych. Dłużej nie da się go naciskać, bo wystraszony machnie ręką na zarzuty łapownictwa i poleci donieść gdzie trzeba na Uszenkę, niby to handlarza, ale tak naprawdę, rozumie się, szpiega... - Witam, witam, Uszenko? Wpadło się do ministerstwa na pogawędkę? - rozległ się za plecami Banicha czyjś niespieszny, arogancki głos. Banich odwrócił się i natychmiast rozpoznał szczupłego, arystokratycznego oficera - tego samego, który go tak nastraszył przy spotkaniu w październiku zeszłego roku. Rozmawiali wówczas dosłownie na parę dni przed datą, kiedy cywilne władze Rosji „dobrowolnie przekazały” brzemień władzy żołnierzom.

Pułkownik Walentin Sołowiew nadal był jednym z najbliższych doradców marszałka Kaminowa -jednym z tych, którym marszałek powierzał wyjątkowo brudną robotę. Egzekucje, czystki i resztę przyjemności. Banich prawie zmusił się do przymilnej miny. - Jakże miło powitać pułkownika!

- Miło, powiadacie? - Sołowiew uniósł jasną brew. - A cóż takiego was tu sprowadza, Uszenko? Pewnie znowu w interesach, co? - Właśnie, właśnie. Próbuję wycisnąć jeszcze parę oficjalnych zamówień, normalnie.

- A, widać spodobało się wam sprzedawać ze stratą? Normalnie, powiadacie? - Sołowiew przystąpił bliżej. - Swoją drogą, ciekawy z was egzemplarz, Uszenko. Powiedziałbym, że wcale nie taki normalny. Unikat!

Amerykanin na szczęście zmilczał. Na słabo zawoalowane dociekania pułkownika nie było zresztą dobrej odpowiedzi. Sołowiew tymczasem zmierzył go uważnym spojrzeniem, po czym rozpromienił się. Zimne pozostały tylko jego szare oczy. - Powiem wam, ot tak, serdecznie, Uszenko, żebyście się tu nie pętali po tych korytarzach. Przeciagi, rozumiecie? Kapitału człowiek nie zbije, a tylko lumbago złapie. Na waszym miejscu zająłbym się czymś bardziej dochodowym. Czymś, co nie dotyczy kierownika Sorokina i w ogóle nikogo z ministerstwa. Widzicie, paru moich znajomych, i to takich zupełnie bez poczucia humoru, coraz bardziej ciekawią

te Sorokinowe machinacje. Ciekawi ich, jak on to robi, że tyle może sobie schować do kieszeni. I co wy na to, Uszenko? Nareszcie nadjechała winda.

Kiedy za wysokim rosyjskim pułkownikiem zamknęły się rozsuwane drzwi, Banich odetchnął z ulgą. Mały figiel, a byłoby już po alibi, i pewnie po nim. Jak to się właściwie stało? Banich wciąż zachodził w głowę czy Sołowiew próbował go szantażować - czy też ostrzec? Tylko co bliskiego doradcę Kaminowa obchodzi jakiś tam ukraiński handlarz? Banich obracał w myślach te pytania przez całą drogę na parter. Trudno - szantaż czy przestroga, słowa pułkownika skuteczniej niż jakikolwiek szlaban wzbraniały mu dostępu do ministerstwa.

Zapasowy Sztab Admiralicji Royal Navy, Northwood pod Londynem Budynek sztabowy Royal Navy zbudowano z tej samej jasnej cegły co zwieńczony drutem kolczastym, wysoki mur wokół całego terenu. Z zewnątrz budowla przedstawiała się niezbyt imponująco, lecz zewnętrzne pozory często kłóca się z rzeczywistą rangą obiektów. Pomieszczenia sztabowe w Northwood służyły obecnie nie tylko odchudzonej Royal Navy, lecz także oficerom z amerykańskiej, norweskiej i polskiej Marynarki Wojennej. Dlatego mimo początkowego luzu budynek zapełnił się do tego stopnia, że na dziedzińcu ustawiono kilka wynajętych naprędce przyczep mieszkalnych. Wiceadmirał Jack Ward nie musiał na szczęście gnieździć się w przyczepie. Przeciwnie, wraz z osobistym sztabem zajmował jedno z najlepszych pomieszczeń w całej kwaterze. Ładniejszym gabinetem mógł się poszczycić tylko admirał brytyjskiej floty, Sir Geoffrey Stone, dowodzący całością sił Royal Navy. Amerykanin nie zazdrościł zresztą pierwszemu lordowi admiralicji tych zabytkowych pieleszy i gdyby go zapytać o zdanie, najchętniej znów znalazłby się na morzu. Niestety, zgrywanie wysiłków na morzu i w powietrzu nad całą północną częścią Europy wymagało takiej ilości współpracowników i sprzętu łączności, że nie pomieściłby jej żaden lotniskowiec czy krążownik rakietowy. Ward siedział więc w świeżo odnowionej sali posiedzeń w Northwood, której wykwintne wnętrze pełne było boazerii i mebli na oko starszych niż wszyscy oficerowie sztabu razem wzięci. Niektóre z mebli pochodziły z pewnością z głównego gmachu admiralicji. Przysłuchując się porannej naradzie, Ward zachodził w głowę czy antyczny stół, przy jakim siedzieli był tym

samym, na którym dwieście lat wcześniej admirał Howe planował ekspedycję karną przeciwko zbuntowanym amerykańskim koloniom. Rzadkie u Amerykanina poczucie taktu powstrzymało na szczęście Warda od tego, by zasięgnąć tej informacji u któregoś z brytyjskich kolegów. Wiadomości okazały się fatalne. Nowe, duże straty na Morzu Północnym sprawiły, że szanse przyjscia Polakom i Czechom z efektywną pomocą spadły praktycznie do zera. Najnowsza próba przełamania blokady zakończyła się krwawym fiaskiem. Dwa szybkie transportowce, załadowane po sam czubek amunicją i częściami zamiennymi, których tak brakowało walczącym, próbowały się przemknąć przez cieśniny pod osłoną ciemności i sztormowej pogody. Na pokładach ustawiono rakiety przeciwlotnicze i całą resztę wynalazków. Sztab Połączonych Sił, organizacja koordynująca działania bojowe USA, Wielkiej Brytanii i Norwegii, usiłował jednocześnie odwrócić uwagę przeciwnika szeregiem ataków i wypadów, w tym dużym nalotem na Wilhelmshaven. Wszystko na nic. W pobliżu Skagerraku niemiecki U-boot wykrył i storpedował oba transportowce. Większość marynarzy straciła życie. W dodatku mimo sukcesu nalotu na Wilhelmsaven, Amerykanie spowodowali w niemieckiej bazie jedynie nieznaczne zniszczenia, łatwe do usunięcia w krótkim czasie. Reszta machiny wojennej EuroConu wciąż pozostawała nietknięta. Oba transportowce nie stanowiły oczywiście jedynego wsparcia, z jakim koalicja szła na pomoc wschodniej Europie. Dostawy kontynuowano za pomocą samolotów transportowych, lecących po okężnej trasie i pod silną eskortą. Strumyk dostaw płynął więc nadal, choć bardzo cienką strugą, gdyż załadowane paliwem i nisko lecące maszyny zabierały tylko znikomą część zapasów niezbędnych Polsce i Węgrom. Każdy statek konwojów, które Ward prowadził przedtem na Bałtyk, zabierał na pokład więcej niż cała setka samolotów transportowych. Mając w pamięci nocną klęskę, Ward był przekonany, że jego wniosek - tak niechętnie zatwierdzony przez rządy trzech krajów zachodnich - jest najzupełniej słuszny, przynajmniej z wojskowego punktu widzenia. Do chwili, kiedy alianci wzmocnią własne siły, trzeba zawiesić wszystkie konwoje do Polski. Jediną pocieszającą częścią narady okazała się wiadomość o posiłkach ze Stanów Zjednoczonych. Lotniskowiec „George Washington” i jego eskorta były już gotowe do wyjścia w morze. Druga grupa z lotniskowcem - tym ostatnim był USS „Theodore Roosevelt” - wypłynęła z bazy w Norfolk dwa dni po

wybuchu otwartej wojny i nazajutrz miała się znaleźć w strefie działania. Kończono też w pośpiechu remont na pokładzie USS „Vinson”, którego wybuch konfliktu zastał w suchym doku. Dowódca floty

atlantyckiej obiecywał, że najdalej za tydzień również „Vinson” ruszy za ocean. Kłopot polegał na tym, że przez tydzień Polska mogła przegrać całą wojnę. Oficer prowadzący naradę wyliczył na zakończenie długą listę dywizjonów lotniczych, transportowców i oddziałów, których należało się spodziewać w ciągu najbliższej doby. Zgodnie z ustaleniami, „George Washington” miał eskortować brytyjskie i norweskie patrole przeciwpodwodne, a także poświęcić w tym celu własne samoloty i śmigłowce do zwalczania okrętów podwodnych. Sztaby miały koordynować plany współdziałania, udało się też, choć nie bez zgrzytów, znaleźć kwatery dla wojsk i zapewnić im bezpieczeństwo. Po zakończeniu narady, gdy uczestnicy zaczęli wychodzić z sali, do Warda przecisnął się jego pierwszy adiutant, kapitan Harada. Minę miał niewyraźną, a kiedy się odezwał, uczynił to szeptem. - Panie admirale, w gabinecie czeka komandor Zaruba. Mówi, że w pilnej sprawie.

- Nie powiedział, jaka to sprawa?

- Nie, nie powiedział. Wygląda, że się denerwuje...

Ward chętnie w to uwierzył. Wnosząc z miny dyskretnego Harady, Polak musiał być bliski furii. Admirał zmusił się więc do beztroskiego tonu. - Cóż, trudno się komandorowi dziwić.

Chodźmy, zobaczymy, co mu siedzi na wątrobie.

Gabinet Warda, jeszcze bardziej wykwintny od sali posiedzeń, stanowił wymarzoną poczekalnię - ale nie dla komandora Kazimierza Zaruby, który nie mógł czekać ani chwili dłużej. Wysoki, wyprostowany jak struna oficer przygarbił się przez ostatni tydzień. Za dużo harówki i nerwów. Jako oficjalny delegat polskiego rządu, komandor dbał o każdy

szczególność
powierzchności, lecz
przy spotkaniu bardziej
od wyprasowanego
munduru uderzała
ziemistość twarzy i
sińce pod oczami
Zaruby. Nie mówiąc już

o jego minie, która zwiastowała w tej chwili jednocześnie smutek, niepokój i wściekłość. Na widok admirała Zaruba stanął na baczność, po czym przysiadł na wskazanym mu fotelu. Ward rozsiadł się także, w fotelu, który mógł pewnie służyć jeszcze królowej Annie. Polak z miejsca przeszedł do rzeczy. - Panie admirale, mój rząd polecił mi przekazać jasno

i wyraźnie, że jesteśmy skrajnie zaniepokojeni decyzją o przerwaniu dostaw.

Ward dłuższą chwilę obracał w myślach odpowiedź, jaką sobie przygotował. Zaruba wziął zapewne jego milczenie za cały komentarz, bo dodał co prędzej: - Zdajemy sobie sprawę, ile ryzykowaliście, żeby nam pomóc, znamy także wasze straty. Jesteśmy wam winni wdzięczność, a poległym coś jeszcze więcej. Ci wszyscy ludzie zginęli za Polskę, zgoda! - Zaruba prawie podniósł głos. - Tyle, że taka ofiara na nic się nie przyda, jeżeli nagle zabraknie tej Polski! Bardziej ugodowym tonem komandor dodał:

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby chronić wasze konwoje. Sami też ponieśliśmy duże straty. Tylko tyle mogliśmy dać, chyba że... Może chcecie czegoś więcej?

Ward zaprzeczył ruchem głowy.

- Nic podobnego, komandorze. Wasze siły dały z siebie wszystko, a nawet jeszcze więcej. Naprawdę nie chodzi o to, które państwo ile dokonało, a które się nie popisało. W tej chwili i tak dociera do was zaledwie ułamek poprzednich dostaw...

- Może właśnie ten ułamek utrzyma nas przy życiu.

- Nie sądzę, panie komandorze - uciał Ward. - Nie mamy

zresztą środków nawet na ułamki. Większość statków, które poszły na dno Bałtyku, zaczynałaby teraz kolejny rejs. Nowych statków nie mamy i nie będziemy mieli. Podobnie jak nie odtworzymy części zatopionych dostaw.

Admirał nachylił się ku rozmówcy i przyjaznym lecz stanowczym głosem oznajmił: - Komandorze, niczego nie zwojujemy pchając na Bałtyk nowe konwoje. Nie będę wysyłać floty na niewielki akwen, gdzie roi się od obcych baz. Konfederacja rządzi się na Bałtyku jak u siebie, i nic dziwnego, podczas gdy nam brakuje w tej chwili okrętów i samolotów, żeby ochronić Anglię. Poza tym - ciągnął Ward - tutaj nie wystarczą polowania na osobne samoloty i okręty przeciwnika. Musimy uderzyć w jego bazy i roznieść je pod butami. Ale w tym celu musimy najpierw nagromadzić środki. Nie wolno rozmieniać się na drobne, bo nie pomożemy w ten sposób ani sobie, ani wam. Zaczęliśmy już ściągać tutaj siły, komandorze. Kiedy się znajdą na miejscu, damy nimi Konfederacji takiego kopa, że się nie pozbierają.

Zaruba nie dał się przekonać.

- Niech pan pamięta, panie admirale, że możecie się spóźnić z tą akcją. W tym tempie Niemcy i Francuzi mogą się zjawić w Gdańsku przed wami. A wtedy pozostanie wam tylko desant morski, bo w porcie będzie już kto inny. Admirał zastanowił się przez chwilę.

- Coś panu w takim razie pokażę, komandorze - oznajmił wstając i z koperty wydobytej z głębin biurka wyciągnął pojedynczą kartkę.

- Proszę spojrzeć, co nadeszło wczoraj pocztą dyplomatyczną. Własnoręczne pismo prezydenta. Jak pan widzi, notatka jest prywatna. Prezydent popiera moją decyzję o zawieszeniu konwojów i zostawia mi wolną rękę. Dla mnie najważniejsze jest to, co napisał o tu, w środkowym akapicie. Moim zdaniem trudno o wyraźniejszą deklarację polityki USA i woli, by dopomóc pańskim władzom.

Zaruba przeczytał zdanie na głos.

- „Pańska próba przebicia się na Bałtyk drogą unicestwienia sił morskich EuroConu wydaje mi się być kluczem do ocalenia Polski i reszty Europy Wschodniej. Bez korytarza na Bałtyk nic tu nie wskóra nawet najsilniejsza armia świata. Proszę podjąć stosowne decyzje. Wiem, że nie maruje Pan czasu, ale powtórzę

jeszcze raz: natychmiast gdy zgromadzi Pan dostateczne siły i środki, proszę uderzać i to mocno. Kiedy raz uchwycimy Bałtyk, reszta będzie już łatwa".

Zaruba oddał list admirałowi i zauważył z cicha:

- Polska nigdy nie zwątpiła w pańskie intencje ani w pańskie wysiłki, admirale. Rzecz tylko w tym, że... Chyba pan rozumie, dlaczego tak nas to wszystko niepokoi?

- Owszem. Rozumiem.

Ward zdążył już podjąć decyzję, lecz początkowo zamierzał przedstawić ją najpierw własnym oficerom. Ważniejsze było jednak, by odzyskać zaufanie Zaruby. - Zgoda, komandorze. Wyraził pan zdanie pańskiej strony. Teraz moja kolej. To, co powiem, nie może się wydostać poza obręb tego gabinetu, dobrze? Nie wolno panu przekazać tej informacji pańskiemu Ministerstwu Obrony, a już w żadnym wypadku politykom. Musi pan ich uspokoić tak, żeby nie wychlapać najważniejszego. Jasne?

Zaruba przytaknął, zły, lecz oczywiście świadomy, ile szkody potrafi narobić byle gaduła z Warszawy czy Londynu. Ward podniósł się z fotela i stanął nad komandorem. - Dobrze, proszę posłuchać.

Czekamy jeszcze tylko na

Roosevelta" z eskortą i na dwa okręty podwodne. Potem,

komandorze, planuję dla Konfederacji małą niespodziankę.

Za czterdzieści osiem godzin zaczynamy operację „Odważnik”.

22

Front burzowy

13 czerwca - Komisja Obrony przy Konfederacji Europejskiej, Ministerstwo Obrony w Paryżu

Barokowy splendor sali obrad w Ministerstwie Obrony byłby bardziej na miejscu w Wersalu albo w Pałacu Elizejskim. Światło kryształowych żyrandoli spływało kaskadami na olejne malowidła i antyczne meble, a także na najważniejszą część wystroju, w postaci wielkiego i niemiłosiernie długiego stołu, przy którym mogło na raz zasiąść trzydzieści osób. Następnych kilkudziesięciu adiutantów i sekretarzy swobodnie się mieściło pod ścianami. Sala zappełniała się z wolna. Wśród przybyszy przeważali mężczyźni w średnim wieku i starsi, ubrani w kosztowne garnitury i mundury obwieszane orderami. Francuscy delegaci do komisji obrony mieli już tak dosyć spartańskich wnętrz w bunkrach Rochonvillers i oddalenia od stolicy, że pod ich naciskiem przeniesiono obrady

do Paryża. Sytuację na morzach miał nakreślić admirał Henri Gibierge, postawny - a właściwie otyły - lecz dziwnie niespokojny, wnosząc z nerwowych zabaw blokiem z notatkami i plikiem map. Mimo że Gibierge był szefem sztabu całej Marynarki Wojennej, większość zebranych dysponowała władzą po wielekroć większą. Admirał pamiętał, że jedno słowo z ich ust może wynieść na szczyty, lub przeciwnie, złamać najwspanialszą karierę. Nerwowość oficera tylko po części wynikała z onieśmienia obecnością tyłu luminarzy. Najgorsze zmartwienie wywoływały wiadomości, które trzeba im było za chwilę przekazać. Kiedy delikatny, odmierzony gong barokowego zegara wybił pełną godzinę i oznajmił, że zaczęto obrady, Gibierge zaczął więc pospiesznie:

- Mamy powody przypuszczać, że już wkrótce zwrócą się przeciwko nam Amerykanie i Brytyjczycy, jest to prawdopodobnie kwestią dni. W sytuacji, kiedy nasze wojska prą na północ w kierunku Poznania, polskie władze z pewnością ponowiły apele o natychmiastową pomoc. Mają zresztą po temu wszelkie powody, bo zdobycie Poznania oznacza, że opanowaliśmy już dwa z pięciu ich największych miast. Taki obrót spraw zmusi Polaków, tym razem już na pewno, aby przystąpili do rokowań i przyjęli pokój na naszych warunkach. Poza tym zabraknie im paliwa, części zamiennych i amunicji. Nasz wywiad ocenia, że został im już tylko dwutygodniowy zapas materiałów wojennych. - To samo słyszeliśmy trzy dni temu, admirale. Nie chce nam pan chyba zasugerować, że wśród Polaków pojawił się jakiś nowy święty, który zmienia wodę w olej napędowy, a polne kamienie w pociski do czołgów? - przerwał Nicolas Desaix, niezbyt głośno lecz na pewno bezceremonialnie. Jadowity ton zaczepki wymagał natychmiastowej riposty - to jedno Gibierge wiedział na pewno i dlatego dumnie zadarł głowę. Słyszał nie raz, że Desaix jeszcze bardziej od rezonerów nie znosi tchórzy i przypochebców. - Nie słyszałem o żadnych świętych, panie ministrze. Rzecz w tym, że zła pogoda, jaka panuje nad Polską od czterdziestu ośmiu godzin, zmniejszyła tempo operacji wojskowych, a tym samym zużycie podstawowych materiałów i sprzętu.

Kilku umundurowanych uczestników narady przytaknęło roztropnie. Nie ulegało wątpliwości, że Gibierge ma w ministerstwie wielu popleczników. Sam był żołnierzem nie z przypadku, lecz dlatego, iż tak nakazywała wiekowa tradycja. Krążyły w wojsku plotki, że

Gibierge to kawał zarozumiałego skurwysyna - oficer pewny siebie, lecz zarazem niesłuchanie kompetentny. Podobnie jak Desaix, Gibierge marzył o wielkiej Francji. Nie był w tym odosobniony, bo o tym samym marzyły tysiące innych. - Domyślamy się ponadto, że Polacy ogołocili z zapasów i sprzętu własne dywizje nad granicą białoruską. Oczywiście nie mogą się w tym posunąć za daleko, toteż nie ulega wątpliwości, że Warszawie nieubłagane kończą się zapasy. Jeszcze trochę, a zawali im się cała logistyka. .

Admirał starannie pominął milczeniem fakt, że identyczne kłopoty zaczynają odczuwać również francuskie i niemieckie dywizje, które się zapędziły w głąb Polski. Jeśli sprawa się wyda, bekną za to generałowie sił lądowych, którzy temu zawinili, nie on. Desaix niecierpliwym gestem ponaglił Gibierge.

- Tak, tak. Obecne siły przeciwnika to całość Royal Navy z baz brytyjskich, a także całe lotnictwo RAF, oprócz tych samolotów i niewielkich okrętów, którymi zdążyliśmy się już zająć. Co więcej, Stany Zjednoczone skierowały w nasz rejon cztery skrzydła lotnicze i dwie grupy morskie, każda w sile lotniskowca z eskortą. - Admirał zaczął mówić głośniejszym głosem. - Wywiadowcy donieśli ponadto, że w Anglii wylądowały pierwsze oddziały amerykańskiej 101. Dywizji Desantowej. Pewna liczba ciężkich dywizji amerykańskich jest w trakcie mobilizacji albo już w drodze do portów. Następne słowa admirała miały zabrzmieć umyślnie złowieszczo. - Panowie, krótko mówiąc, jeśli przeciwnikowi uda się utworzyć i utrzymać szlak żeglugowy na Bałtyk, a stamtąd do Gdańska, do Europy mogą wlać się hordy amerykańskiego żołdactwa, nie mówiąc o nowej broni dla Polaków. Szczegóły znajdą panowie na stronie czwartej Wytycznych.

Kilku uczestników spojrzało na leżące przed nimi tomy. Każdy, kto brał udział w naradzie, otrzymał osobną, oprawną księgę z napisem „ściśle tajne”, pełną map, danych statystycznych i innych informacji. Staroświecka metoda pasowała do barokowego wnętrza znacznie bardziej niż wideo czy ekran komputerowy. Książka wydawała się organizatorom środkiem o wiele bardziej wysmakowanym. Pozostali spojrzeli wyczekująco na admirała, czekając na ciąg dalszy. - Jestem przekonany, że Amerykanie i Brytyjczycy, a więc tak zwane „połączone siły”, oszczędzają środki. Zbierają okręty i samoloty po to, żeby w odpowiedniej

chwili odebrać nam panowanie na Morzu Bałtyckim. W odpowiedniej chwili, panowie. Czyli teraz!

- W ostatnich godzinach byliśmy świadkami wstępnych działań w tej nowej kampanii. Brytyjczycy wzmocnili na całym Morzu Północnym patrole przeciwpodwodne. Wiemy, że w pobliżu naszych wybrzeży grasują amerykańskie okręty podwodne. Coraz częściej docierają do nas meldunki o amerykańskich lotach zwiadowczych.

Gibierge nareszcie złapał rytm. Nawet Desaix słuchał jego słów z coraz większym zaciekawieniem. - Wiadomo, że zaatakują, więc nie spodziewajmy się koronkowego planu. Przeciwnik nie potrzebuje koronkowych planów, bo ma nad nami przewagę. Ich bombowce mają większy zasięg niż nasze. Przeciwnik ma więcej sprzętu, w tym także rakiet samosterujących i samolotów stealth, które przechwycić będzie nam niesłychanie trudno. Pod niektórymi względami, na przykład jeśli chodzi o okręty podwodne, przeciwnicy górują nad nami tak liczebnością jak i wyszkoleniem. Każdy punkt admirał wbijał słuchaczom do głów tonem pewnym i zdecydowanym. Ogromnie mu zależało na tym, by zebrani pojęli niebezpieczeństwo grożące morskim i powietrznym flotom Konfederacji. Tylko pod tym warunkiem miał szansę ich przekonać, że dla zwycięstwa muszą podjąć trudną i bardzo niebezpieczną decyzję. - Kontynuować nasze operacje morskie na Morzu Północnym nie miałyby w tych warunkach najmniejszego sensu. W sytuacji, gdy wschodnie i północne wybrzeża to obecnie bazy przeciwnika, jest to dla nas wrogi akwen. Straciliśmy już tam dwa okręty podwodne, na szczęście nie atomowe, a sami nie zadaliśmy żadnych strat. Nie, panowie! Naszym prawdziwym atutem jest Bałtyk. Dzięki bazom w Niemczech i nowym polom minowym możemy tam

śmiało nie dopuścić ani jednego okrętu i statku aliantów. Już teraz ich samoloty transportowe muszą korzystać z określonych tras w obawie przed naszymi myśliwcami. Amerykanie i Brytyjczycy zdają sobie jasno sprawę, że dopóki mamy w rękę przejście z Morza Północnego na Bałtyk, nie są w stanie zaopatrywać Polaków ani w ogóle nikogo w tym regionie.

Gibierge znów uczynił pauzę i rozejrzał się po sali. Wpatrując się uważnie w kolejne twarze, pomyślał, że następne słowa zadecydują o wszystkim. - Próba przebicia się na Bałtyk przez atak na nasze bazy nad Morzem Północnym to posunięcie nie tyle

oczywiste, ile jedyne, jakie pozostało aliantom. Jedyne. Co gorsza, posunięcie to na pewno się im powiedzie!

Słabe pomruki protestu i pytania z sali utonęły w głośniej perrorze Gibierge. - Tak, panowie! Wynik jest tu prawie tak oczywisty jak w normalnym równaniu matematycznym. Dysponujemy dobrym rozeznaniem co do możliwości przeciwnika, a co więcej, znamy nasze własne, słabe strony. Amerykanie i Brytyjczycy górują nad nami liczebnością, uzbrojeniem i wyposażeniem. Kampania zabierze im trochę czasu, lecz koniec końców wypchną nas z Bałtyku, to jasne. Tym samym zniknie dla nas ostatnia nadzieja, że doprowadzimy tę wojnę do szybkiego i pomyślnego rozstrzygnięcia.

Ostatnie słowa admirał wypowiedział pod adresem Nicolasa Desabc, który wśród znamienitego gremium był największym z wielkich. Pozostali zgadzali się zwykle na wszystko, co zaproponował minister spraw zagranicznych. - Wychodząc z takich założeń, sztab Marynarki Wojennej widzi tylko jedno wyjście: zmasowane, silne uderzenie wszystkimi środkami na pierwszy z amerykańskich lotniskowców, który wejdzie w zasięg samolotów z naszych baz na wybrzeżu. Zniszczenie jednego z dwóch lotniskowców nadwątlili całą kampanię, a przy okazji wyświadczy Stanom poważne szkody polityczne. Desabc i pozostali zgodzili się bez oporów.

Rzeczywiście, w sytuacji gdy na pokładzie każdego lotniskowca znajdowało się pięć do sześciu tysięcy marynarzy i lotników, zatopienie takiego okrętu musiało niechybnie wstrząsnąć opinią publiczną USA, a być może nawet skłonić Amerykanów do zaniechania interwencji w Europie. Gibierge ucieszył się w duchu. Doskonale, najważniejsze to rozbudzić w słuchaczach nadzieje. A potem je prędko zburzyć. - Niestety, panowie, plan taki nie może się nam powieść. Na pewno nie w obecnej postaci.

Słuchacze podnieśli głowy, zdziwieni i nieprzyjemnie zaskoczeni.

- Tak, właśnie. Bez pocisków rakietowych dalekiego zasięgu i z potężnymi głowicami, każdy atak lotniczy na amerykańskie lotniskowce musielibyśmy okupić wielkimi stratami w samolotach, tak czy inaczej z nader niepewnym skutkiem. Radziecka doktryna przewidywała do takich działań uderzenia rakietowe z odległości pięciuset kilometrów, pociskami o tonowym ładunku. Nasze własne lotnicze pociski rakietowe mają dużo mniejszy zasięg i lżejsze głowice. Musielibyśmy to zrekompensować liczbą pocisków, a tym

samym i samolotów, które je wystrzelą, do tego zaś mamy za mało myśliwców. Przy słabej eskorcie amerykańskie Tomcaty i Hornety poszatkują nasz atak na strzępki za nim wypuścimy choćby jeden pocisk.

Admirał wyprostował się i zadał ostateczny sztych:

- Panowie, istnieje jeden i tylko jeden sposób, żeby zatopić taki lotniskowiec. Musimy zastosować taktyczną broń jądrową. Tym razem cała sala zatrzęsa się od okrzyków i wzbudzonych głosów, wśród których słyhać było słowa „szaleństwo!” i „niemożliwe!” Gibierge odczekał cierpliwie, aż członkowie komisji trochę się uspokoją. Nie zdziwiło go, że na to samo czeka spokojnie Desaix. Minister spraw zagranicznych zmierzył Gibierge długim i badawczym spojrzeniem, po czym oświadczył: - Chciałbym usłyszeć pańskie argumenty, admirale.

Ton głosu oznaczał tylko jedno: albo nas pan przekona, albo... - Naturalnie, panie ministrze - zapewnił go Gibierge, któremu przez ostatni tydzień nawet w nocy śniły się te obliczenia. Z naszych konwencjonalnych pocisków do zwalczania okrętów najdalszy zasięg ma ANL, skuteczny do 180 kilometrów. ANL jest niewidzialny dla radarów, leci tuż nad falami i powoduje wielkie szkody. Już jedno czy dwa trafienia posyłają na dno niszczyciel albo fregatę. Niestety, żeby zatopić lotniskowiec, trzeba go trafić tuzinem takich rakiet. Dodam, że szansa by taka liczba pocisków przebiła się przez obronę powietrzną nad amerykańską eskadrą wymaga wystrzelenia co najmniej pięćdziesięciu AM. Jeżeli uwzględnić straty własne w starciu z amerykańskimi myśliwcami, powinniśmy rzucić przeciwko Amerykanom cztery dywizjony lotnictwa, że nie wspomnę już o koniecznej eskorcie. Cztery dywizjony, których nie mamy i które musielibyśmy ściągnąć z innych frontów. - Nasz ponaddzwiękowy pocisk raketowy ASMP przenosi nie tylko głowicę jądrową, ale ma ponadto większy zasięg. Trzysta kiloton mocy ładunku atomowego oznacza, że jedno trafienie to dosyć nawet na największy lotniskowiec. - Gibierge zawiesił głos, by zgromadzeni politycy i oficerowie docenili wagę tego faktu. - Przesłanki militarne są tu zupełnie jasne, admirale. Nam chodzi bardziej o ryzyko eskalacji jądrowej. Nie zapominajmy, że Stany Zjednoczone także posiadają broń jądrową. Co więcej, mają jej więcej niż my - zauważył Desaix rozmyślnie beznamiętnym i neutralnym tonem. Gibierge zrozumiał, że werdykt

jeszcze nie zapadł, a ponieważ spodziewał się, że ktoś postawi tę kwestię, odparł: - Panie ministrze, jeśli ograniczymy się do ataku jądrowego na cele morskie, możliwie daleko od lądu, nie przypuszczam, by Amerykanie odważyli się na odwetowe użycie tej broni. Za duże ryzyko, zbyt nikłe korzyści polityczne. Większość naszych baz lotniczych i morskich leży w pobliżu gęsto zaludnionych ośrodków. Atak atomowy spowodowałby więc śmierć dziesiątków tysięcy niewinnych ludzi. Na coś podobnego nie pozwoli sobie żaden amerykański czy brytyjski przywódca, zwłaszcza jeśli sami zagrozimy odwetem. Wprawdzie nasza broń strategiczna nie dosięgnie Ameryki, lecz możemy obrócić w perzynę całą Wielką Brytanię, o czym tamci doskonale wiedzą. Tym razem Desaix i inni politycy pokiwali głowami. Amerykański system antyrakietowy na orbicie nie był w stanie strącić wszystkich francuskich pocisków strategicznych, zwłaszcza przy tak krótkim czasie lotu. Prócz tego francuskie lotnictwo bombowe mogło zasypać Wyspy Brytyjskie bombami atomowymi i nawet bez pomocy rakiet balistycznych uczynić z nich radioaktywną pustynię. Przerażone miny mieli tylko nieliczni uczestnicy posiedzenia, przeważnie Niemcy. Zapewne nie tak wyobrażali sobie plany wojenne Francji. Gibierge miał gdzieś ich zdanie. - Jeżeli uderzenie się powiedzie, a wszystko na to wskazuje, możemy je powtórzyć i zatopić Amerykanom drugi lotniskowiec!

Przy ostatnich słowach poczuł nareszcie przyływ entuzjazmu. Jako doświadczony wojskowy, sam był święcie przekonany, że taktyczne użycie broni jądrowej to jedyna rozsądna opcja. Każdy inny plan oznaczał zagładę jego ukochanej floty. - Utrata już jednej grupy uderzeniowej osłabi napór aliantów i zdeorganizuje ich działania do czasu, kiedy Polakom wyczerpią się zapasy paliwa i amunicji, to znaczy do chwili, kiedy rzucimy Warszawę i Pragę na kolana.

Z min słuchaczy Gibierge wyczytał, że argumenty przypadły im do przekonania. To samo musiał chyba wyczuć Desabc, który zapytał: - Jak prędko umiałby pan zorganizować takie uderzenie?

- Oba lotniskowce wpłynęły już na Morze Północne. Na razie są poza naszym zasięgiem. Wątpię, czy uda nam się je zaatakować dopóki same się nie zbliżą do naszych wybrzeży. A zbliżą się na pewno, żeby bombardować nasze bazy.

- Więc dobrze! - zgodził się Desaix i spojrział na kolegów. -

Wprawdzie uważam, że przed zatwierdzeniem tej decyzji nie zbędne są dalsze konsultacje, lecz proponuję, admirale, by podjął pan przygotowania do akcji.

Guichy, Morin i pozostali zgodzili się bez oporu. Biorąc pod uwagę przewagę Francuzów w strukturach wojskowych Konfederacji, „dalsze konsultacje” można było uznać za czystą formalność. Mimo sojuszu z Niemcami, Francja mocno trzymała w rękę atomowy arsenał i nie zamierzała się wyrzec własnego monopolu. Gibierge czuł ulgę, a zarazem nowe napięcie. Nawet jeśli samemu wystąpiło się z taką propozycją, perspektywa użycia broni jądrowej mogła rzeczywiście przerażać. Ulga admirała brała się z faktu, że w obecnej sytuacji naprawdę nie widział innego rozwiązania - przynajmniej wojskowego. Desabc przystał na plan bardzo prędko - dla admirała wręcz zaskakująco prędko. Na szczęście się zgodził, zamiast oponować. Podobnie jak admirał lubił działać szybko i skutecznie. Planowana akcja miała taki właśnie charakter. -

Będziemy gotowi na długo, zanim te lotniskowce zdążą się do nas zbliżyć, panie ministrze - zapewnił jeszcze Gibierge. -

Doskonale. A tymczasem... - przerwał mu Desaix - Zgodzą się panowie, że warto nakazać dowódcom naszych wojsk w Polsce, by przyspieszyli ofensywę. Ukręćmy kark tym Polakom za nim Amerykanie zdążą się wtrącić w nasze sprawy.

Ostatnie słowa Desabc wypowiedział pod adresem Michela Guichy: - Niech nasi dowódcy pokażą, co potrafią!

14 czerwca - baza lotnicza w Gdyni

- Alarm!

Ryk nieprzytomnie głośniejszy syreny sprawił, że zaspany Tad Wójcik zerwał się z leżaka, w którym drzemał. W pomieszczeniach bojowych bazy automatycznie zapaliły się wszystkie światła, automatycznie otworzyły się również drzwi. Gnany nawykiem i dawką adrenaliny porucznik pomknął korytarzem ku podwójnym wrotom bunkra i wypadł na pas. Na dworze dniało, choć do wschodu słońca brakowało jeszcze paru minut. Łapiąc w płuca rześkie powietrze poranka, piloci pobiegli do czekających łazików. Na stanowiska biegli też artylerzyści z obrony przeciwlotniczej i obsługa naziemna.

Schrony gdyńskiej bazy pękały w szwach od samolotów. Przerzucono tu prawie wszystkie jednostki myśliwskie, jakie ocalały w polskim lotnictwie, w tym także dywizjon Wójcika. Ze swoim doświadczeniem i dziewięcioma samolotami na koncie kapitan doczekał się nowej

maszyny - jednego z drogocennych F-15, które zdążyły nadejść ze Stanów. Skonani mechanicy znaleźli nawet czas, by na kadłubie pod kabiną myśliwca wymalować pięć niemieckich krzyży maltańskich i cztery francuskie kokardy, a pod nimi nazwisko Wójcika i jego nową rangę. Kiedy zakręciła się turbina startowa, pompując ciąg w główne silniki Eagle, Tad podłączył się do radiostacji. - Orlik Jeden, próba łączności.

Pozostała trójka pilotów klucza zameldowała się prawie natychmiast Podobnie jak Wójcik latali od dawna i niczego nie trzeba ich było uczyć. Tad prędko uruchomił systemy pokładowe. Tym razem procedura startowa różniła się od normalnej długością; lotnikom spieszyło się jak do pożaru. Inercjalne systemy nawigacyjne F-15 potrzebują pięciu minut na stabilizację żyroskopów. Zamiast czekać, kapitan postanowił lecieć na czuja, polegając na wskazaniach kontrolerów z bazy. W locie przechwytyjącym nad własnym terytorium wystarczy zwykła busola magnetyczna. Na tej samej częstotliwości rozbrzmiały następne głosy, z innych kluczy. Niektóre z nich Wójcik umiał rozpoznać natychmiast Inne, nieznanym, należały do pilotów z 34 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego. Polskie straty w powietrzu okazały się tak znaczne, że sztab generalny połączył 34 i 11 Pułk w jedną całość. W połowie procedury startowej przez radio odezwał się major Dymowski, oficer operacyjny 34 Pułku. - Klucze Orlik, Rower i Profil, czterdziestu pięciu bandytów w drodze, zagłuszają radary. Po starcie azymut dwa osiem zero na busoli.

Zajęty przygotowaniami Tad aż gwizdnął z wrażenia. Tak zmasowanego nalotu jeszcze nie widzieli. Trudno się dziwić Konfederacji: lotnictwo nie mogło w Gdańsku narzekać na brak celów. Wskazówki dwóch zegarów pośrodku tablicy przyrządów F-15 drgnęły i podjechały do góry. Temperatura obu dysz stabilna. Wójcik dał znak obsłudze, która posłusznie wysunęła klocki spod kół i rozsunęła pancerne wrota schronu. Wójcik delikatnie zwiększył ciąg i rozpoczął kołowanie do startu. W radiu Dymowski wydawał polecenia co do formacji bojowej dwunastki polskich myśliwców. - Klucze, wejść kolejno na tysiąc, dwa i trzy tysiące metrów. Atakować wszystkich, którzy lecą bez naszego identyfikatora. Tad obejrzał się. Po pasie kołowały za nim trzy pozostałe myśliwce klucza Orlik. Dalej ustawiały się kolejne F-15. Przyspieszył, skręcił na pas startowy i zaczekał, aż zrówna

się z nim maszyna skrzydłowego. - Uwaga, wszystkie klucze, nowy meldunek. Za pierwszą formacją bandytów idzie następna.

Liczebność nie jest znana, na pewno duża. Chwileczkę...

Tad przesunął w przód manetki ciągu i popatrzył na uciekający spod myśliwca pas. Cokolwiek się działo, trzeba jak najszybciej wyjść w powietrze. Ścisnął dźwignię i z miejsca poszedł ostro w górę. W głosie majora Dymowskiego słyszało się zdenerwowanie: - Uwaga wszystkie klucze, tu Zamek. Nie ma łączności z Basztą, bombardują Szaniec. Wszystkie klucze szukają celów na własną rękę. Powodzenia!

Ostatnie słowa zabrzmiały najzupełniej szczerze.

Przeciwnik zabrał się energicznie za polskie systemy obrony powietrznej i stacje radiolokacyjne, próbując oślepić Tada i resztę polskich pilotów myśliwskich. Bez wskazówek z ziemi nie wiedzieli, gdzie szukać obcych maszyn. - Orlik, tu Orlik Jeden, włączyć radary, zwrot w lewo - zakomenderował Tad i sam wcisnął włącznik pokładowego radiolokatora. Nos F-15 celował prosto na zachód. Ekran zaroił się z miejsca od kropek i migotliwych „śnieżek”. Zapaliło się także urządzenie ostrzegawcze, i to tyłoma światełkami naraz, że kapitan miał ochotę je wyłączyć.

Mimo zagłuszania, radar pokładowy myśliwca zdążył już wyłapać pierwszy cel, na razie odległy o sto kilometrów. Chodziło tylko o to, by razem z resztą klucza cało i bezpiecznie pomniejszyć ten dystans, Tad Wójcik poczuł, że poci się pod maską tlenową. Dzień zapowiadał się dosyć ciekawie.

Dolina Loary pod Saumur we Francji

Wymyślając Loarę - najdłuższą rzekę we Francji - Bóg uparł się najwyraźniej, by doprowadzić do rozpaczliwej, którzy chcieli wykorzystać jej wody. Czy chodziło o handel, czy wypoczynek, ruchome piaski, wiry i silne prądy czyniły z wód Loary prawdziwą pułapkę. W rzece nie dawało się pływać, ani nawet spławiać barek szlakiem nadbrzeżnych miast. Loara pozwalała ludzkiemu rodzajowi się oglądać, ale jeździć sobie po grzbiecie - przenigdy. Znaleźli się jednak tacy, którzy okiełznali rzekę.

Większość z nich przyszła na świat i wychowała się w cieniu nadrzecznych grobli i wałów. Nie bali się Loary, przeciwnie, nauczyli się czytać w niej jak w księdze i orientować się w jej kapryśkach. Ludzie ci znali także ukryte w nurtach pułapki i

bezpieczne przesmyki wśród przeszkód. Jacques Liboge zaliczał się właśnie do tych, którzy się nie bali Loary. Choć dobiegał siedemdziesiątki, poruszał się jak młodzik i co rano, bladym świtem, wyruszał łódką na ryby. Wędkować zaczął jeszcze jako chłopiec, podczas wojny, żeby pomóc wyżywić rodzinę. Nawyk tak Liboge wszedł w krew, że stary Francuz dochował mu wierności przez następne pół wieku - nie po to, żeby złowić coś na obiad, lecz dlatego, iż na rzece miał nareszcie święty spokój. Kiedy człapał stromą ścieżką w stronę pomostu i łódki, czuł mimo wczesnej pory, że niedziela będzie upalna. Wijąca się ku dalekiej Zatoce Biskajskiej rzeka lśniła nieruchomą gładzią niczym szkło. Liboge ostrożnie stawiał kroki, bo w półmroku przedświtu łatwo się było potknąć. Wędkę i przynętę powędrowały do łódki. Liboge odwiązał cumę, wprawnym ruchem zagłębił wiosła w wodzie i lekko, zręcznie wypłynął na rzekę. Na południu krajobraz podnosił się stopniowo, a coraz bardziej strome zbocza porastały winnice i zagony jaskrawożółtych słoneczników. Niedaleko brzegu stało gospodarstwo rodziny liboge, przejęte jakiś czas temu przez synów, a dalej zabudowania sąsiadów. Na ogrodzonych pastwiskach i pod drzewami sadów krowy pracownice żuły trawę. Gospodarstwo rodziny Liboge nie imponowało rozmiarami - ot, dwadzieścia hektarów. Dwustuletni dom postawili na tym miejscu pradiadowie rybaka, który z wiekiem sam się upodobił do graniastego, szarego przybytku, nie oszczędzanego przez pogodę. We Francji wciąż istniały tysiące takich gospodarstw, i tysiące gospodarzy podobnych do Liboge. Wędkowało mu się dzisiaj świetnie. Najbardziej lubił właśnie tę porę świtu, kiedy w dolinę Loary wsącza się z wolna łagodne, przyćmione światło dnia. Wokoło widać najpierw tylko mrok, potem coraz wyraźniejsze cienie, wreszcie kalejdoskop barw, toczących się od wschodu wraz ze słońcem. Liboge siedział zadowolony na ławeczce i co pewien czas zerkał na cebrzyk. Złapał już dwie piękne sztuki. Zostać jeszcze trochę na rzece, póki biorą, czy płynąć z powrotem do domu, oporządzić gospodarstwo i ubrać się do kościoła? Daleko od Loary były już niedzielne dzwony, wzywając wiernych na pierwszą poranną mszę. Rybak przekrzywił głowę i uśmiechnął się sam do siebie. Jeśli znów daruje sobie wizytę w kościele, stara się wścieknąć! A, niech się wścieka, piekielnica. Bóg i tak zrozumie starego Liboge. Święty Piotr też był rybakiem,

i co wy na to? Nie po to zresztą dobry Pan Bóg stworzył takie poranki i takie ryby, żeby nimi wzgardzić, nawet w niedziele. Tym bardziej że ryby biorą jak szalone. Ciszę wczesnego poranka rozdarł dziwny dźwięk: trochę łoskot, ale też jakby wycie. Ki diabeł? Liboge oderwał wzrok od sławika i ujrzał dziwny, podłużny kształt. Rozpędzony przedmiot przemknął mu paręnaście metrów nad głową i przepadł w oddali. Liboge aż upuścił wędkę. Złapał ją w samą porę, żeby zobaczyć następny gwizdzący kij, a dwie sekundy później jeszcze jeden. Za trzecim razem rybak przyjrzał się wreszcie dziwnemu przedmiotowi, który najbardziej przypominał rozpędzony w poziomym locie słup telegraficzny ze skrzydełkami na końcu. Kij czy słup, przedmiot leciał tuż nad wodą i przy starym wiatraku skręcił w prawo, dokładnie pod prąd rzeki. Czwarły słup zatoczył łuk dokładnie w tym samym miejscu. Po nim następny. Liboge naliczył ich ostatecznie aż dwanaście. Ani chybi, rakiety! Bo przecież nie samoloty. Samolotów Liboge naoglądał się z bliska w czasie wojny. Nikt mu nie wmówi, że w takiej cienkiej rurze może siedzieć pilot. Rakiety leciały na wschód, w górę rzeki. Nic, tylko wojna. Dla Francji nie pierwszozna. Nasze rakiety czy obce? Liboge cieszył się, że tak czy siak, żadna nie wyląduje na szczęście w wiosce. Kiedy ostatni pocisk zniknął po wschodniej stronie nieba, Liboge złożył wędkę i chwycił za wiosła. Prędko do pomostu! Trzeba powiedzieć merowi, co się święci. Mer już będzie wiedział najlepiej, co dalej. Pociski samosterujące Tomahawk leciały równym rzędkiem, dokładnie w obrębie doliny. Punkty orientacyjne w rodzaju starego wiatraka nad brzegiem Loary dostarczały pokładowym komputerom informacji o położeniu. System nawigacyjny porównywał wychwycony przez kamerę obraz ze zdjęciami w pamięci komputera i stosownie do tego zmieniał kurs. Wszystkie dwanaście pocisków odpalił amerykański okręt podwodny, który się wynurzył w tym celu sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża. Leciały razem, choć w normalnych warunkach podzielono by je na mniejsze grupy, które lecąc po osobnych trasach byłyby trudniejsze do zestrzelenia. Londyński sztab nie miał jednak czasu ani sił na subtelności. Tym razem musiała wystarczyć jedna trasa. Wystarczała w zupełności, bo radiolokatory Konfederacji, nawet te na pokładach kupionych od Amerykanów samolotów E-3 AWACS, nie mogły w żaden sposób wychwycić dwunastu niewielkich i pociągniętych specjalną tłumiącą

farbą pocisków, zwłaszcza tuż nad powierzchnią wody. Co więcej francuskie straże czuwały na północy i na wschodzie, nie tutaj. Kiedy Liboge spostrzegł nad Loarą latające słupy telegraficzne, pierwszy Tomahawk znajdował się o cztery minuty od celu. Loara służyła pociskom jako autostrada. Wychodziły w górę tylko wówczas, gdy na trasie pojawiał się most albo inna przeszkoda. Dopiero szesnaście kilometrów przed Tours pierwszy pocisk skręcił raptownie w prawo, poderwał się wyżej, by po raz ostatni złapać namiar terenu i wykrył cel. Tym ostatnim były zakłady elektroniczne Thompson-CSF, należące do francuskiego koncernu zbrojeniowego i zajmujące się produkcją oraz naprawami radarów w samolotach myśliwskich. Amerykańscy eksperci przemysłowi starannie wybrali miejsce trafienia dla każdego z dwunastu Tomahawków. Znali się na rzeczy, bo sami od lat budowali albo zarządzali identycznymi zakładami u siebie, a poproszeni o wybranie dwunastu czułych punktów na zdjęciach satelitarnych, bez namysłu wskazali ważne linie produkcyjne, magazyny części, warsztaty mechaniczne i inne miejsca. Półtonowa głowica bojowa pierwszego pocisku trzasnęła w biura dyrekcji zakładów. Wybuch i pożar, jaki potem nastąpił, zamiast radarów zniszczyły coś o wiele ważniejszego, bo komputery, w których zmagazynowano dane projektowe i informacje o produkcji. Utrata tych danych przesądzała o dalszych losach zakładów nawet po remoncie. Następne pociski samosterujące jeden po drugim wyrastały ponad horyzontem i nurkowały w stronę hal i magazynów. Seria eksplozji była tak potężna, że w całym Tours wyleciały wszystkie szyby. Kiedy zaległa wreszcie cisza, trzy z pięciu rozległych hal zmieniły się w hałdy betonu i poskręcanej stali, a dwie paliły się jak pochodnie. W gruzach leżały dziesiątki zwłok. Mimo wczesnej pory i niedzieli, wykwalifikowani robotnicy Thompsona pracowali na trzy zmiany, by dostarczyć niezbędnego sprzętu lotnictwu Konfederacji. Pod wodzą Desaix i jego zaufanych ludzi, Francja zdążyła już wykrwawić połowę Europy w dążeniu do podporządkowania sobie kontynentu. Stany Zjednoczone chciały pokazać Francuzom, jaką cenę zapłacą, jeśli nie zaprzestaną agresji. Kiedy kilka godzin później nad okolicą Tours przelatywał amerykański satelita rozpoznawczy, przekazane z orbity zdjęcia pozwoliły ekspertom ustalić, że zakłady Thompson-CSF zniszczono w 80 procentach. Żeby uruchomić choćby jedną linię produkcyjną,

potrzebny był półroczny remont, a doprowadzenie zakładów do pierwotnego stanu zajęłoby aż trzy lata i oznaczało wydatek kilkudziesięciu milionów dolarów. Doniesienie starego Liboge o widzianych nad Loarą raketach dotarło do sztabu francuskich sił powietrznych w tym samym czasie, kiedy oficerowie rozpoznania kładli zdjęcia satelitarne znad Tours na waszyngtońskim biurku prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Morze Północne w pobliżu niemieckiej bazy morskiej w Wilhelmshaven

Wilhelmshaven znano z dużego portu handlowego i stoczni, chociaż nie było tajemnicą, że jest to również największa nad Morzem Północnym baza niemieckiej Marynarki Wojennej. Na Bałtyku wystarczały niewielkie kutry raketowe, lecz tu, na groźnym Morzu Północnym, potrzeba było większych i dzielniejszych okrętów. W Wilhelmshaven stacjonowała zatem większość niemieckich niszczycieli i fregat. Co za tym idzie, bazy pilnie strzeżono. Nieustannym patrolom lotniczym i śmigłowcowym nad wodą towarzyszyły dozory okrętów podwodnych i liczne pola minowe. Sztab niemieckiej marynarki polegał w zupełności na tych środkach. Myśliwce przechwytyjące, baterie pocisków raketowych ziemia-powietrze i działa przeciwlotnicze przegnały już znad bazy pierwszy amerykański nalot i zadały przeciwnikowi, jak meldowano, poważne straty. Z obrony trzeba było jednak przejść do działań zaczepnych: okręty cumujące bezpiecznie w Wilhelmshaven otrzymały zadanie, by wzmocnić inne nadmorskie bazy. W tym celu stawiacz min „Sachsenwald” miał pod eskortą dwóch fregat i pary trałowców postawić kolejną przegrodę minową w poprzek ujścia Łaby - w pobliżu portowego Cux-haven i początku ważnej dla wojska i gospodarki trasy w postaci Kanału Kilońskiego, łączącego Morze Północne z Bałtykiem. Siedemdziesiąt kilometrów w górę Łaby leży ponadto Hamburg, drugie co do wielkości miasto Niemiec i najważniejszy port tego kraju. Szerokie ujście obiecywało łatwy dostęp w górę Łaby, lecz w rzeczywistości użyteczny kanał żeglugowy był długi i bardzo wąski. Resztę lejkowego ujścia zagradzały mielizny i płytkie obszary namułu. By zaryglować bramy Hamburga, wystarczała więc nieduża zagroda minowa. Bezpieczne przejścia mieli poznać jedynie niemieccy piloci. W tej sytuacji każda próba skrytego ataku na Hamburg lub ujście Kanału Kilońskiego stawała się nader

ryzykowna. Zagrody minowe stanowią istotną część działań morskich, choć słyszy się o nich nie tak wiele. Miny, nawet skomplikowane i nowoczesne, są tanie, zawsze czujne i niesłychanie trudne do usunięcia. Na morzach stosuje się je od ponad stu lat. Kiedy podczas bitwy w zatoce Mobile bohater amerykańskiej wojny secesyjnej, admirał Farragut, krzyknął „Diabła tam torpedy, całą naprzód!”, termin ten oznaczał dla niego właśnie miny Konfederatów - prawdziwych torped jeszcze wówczas nie wynaleziono. Okręty Unii rzeczywiście przebiły się wówczas przez prymitywne zagrody minowe i zdobyły port, ale gdyby spytać o zdanie niemieckich następców Farraguta, nie daliby admirałowi żadnych szans na powtórzenie wyczynu dzisiaj. Słońce kładło się matowym blaskiem na szarych i czarnych łatach farby na nadbudówkach. Niemieckie okręty wypłynęły z Vadebusen i skierowały się ku szerokiemu wylotowi zatoki. Zamiast płynąć wyznaczonym rzędem boi torem żegludowym, Niemcy obrali inną trasę, zaznaczoną na specjalnych mapach. Wilhelmshaven także postawiło obronną zaporę minową. Przodem ruszyły oba trałowce, które echosondami wysokiej częstotliwości przeczesywały tor wodny szukając min, jakie przez ostatnich kilka dni mogły postawić okręty podwodne albo lotnictwo przeciwnika. Za trałowcami płynął „Sachsenwald” w asyście fregat rakietowych, które włączyły wszystkie radary i hydrolokatory, broniąc stawiacz min przed atakiem z powietrza, z wody i spod jej powierzchni. Krycie się i maskowanie działań nie miało najmniejszego sensu, tym bardziej że w bliskości własnego wybrzeża flotylla mogła liczyć na natychmiastowe wsparcie. Na wszelki wypadek jednak między okrętami uwijał się śmigłowiec do zwalczania okrętów podwodnych, który co pewien czas zanurzał w fale pławę swojego hydrolokatora. W pobliżu trzymały się także klucze samolotów myśliwskich. Sunąc z prędkością piętnastu węzłów, flotylla przez cztery godziny płynęła na północny wschód, ku Łabie, mijając po drodze ujście Wezery i portowe miasto Bremerhaven. Rejs zabrał aż tyle czasu, gdyż niemieckie okręty musiały wyjść daleko w morze, by obejść przybrzeżne mielizny. Dopiero za nimi flotylla zmieniła kurs na Cuxhaven. Okręty płynęły nie niepokojone. Za zachodnim cyplem ujścia rzeki, eskorta odpłynęła w bezpieczne miejsce, a stawiacz min zabrał się do dzieła. „Sachsenwald” nie należał do

najnowszych okrętów, lecz jednostki tej klasy nie potrzebują wymyślnych czujników elektronicznych ani wyrzutni raketowych. Niemieckiemu okrętowi wystarczał najnowszy sprzęt nawigacyjny i ładownie, w których mieściło się prawie tysiąc min kotwicznych typu SAI. Pełznąc ustalonym kursem, marynarze mieli przez okrągły dzień wytaczać niebezpieczne rogata kule przez klapy zrzutowe na rufie. Każda kolejna mina trafiała na własne, precyzyjnie ustalone miejsce w szachownicy, tworząc zabójczą, prawie nierozrywalną sieć. Wybuch wojny zastał brytyjski okręt podwodny HMS „Ursula” w macierzystym porcie. Alarmowe rozkazy admiralicji kazały załodze wyładować torpedy Tigerfish i Spearfish, zastępując je mniejszym lecz równie groźnym ładunkiem, w postaci min morskich Stonefish. Tej samej nocy „Ursula” opuściła szkocką bazę i cztery dni później znalazła się u ujścia Łaby - nietknięta, choć kilka razy o okręt otarły się patrole przeciwpodwodne EuroConu. Morskie płycizny zatruwały życie nie tylko amerykańskim hydroakustykom - druga strona także bywała bezradna. Pełznąc bezszelestnie na silnikach elektrycznych, mały okręt podwodny podszedł pod niemieckie wybrzeże, gdzie roiło się od płycizn i rwących prądów. Wiry utrudniały nawigację, pomagały za to uniknąć namierzenia. Ekran hydrolokatorów wariowały na tych akwenach, gdzie słone masy wód Morza Północnego mieszają się ze słodkimi wodami Łaby. Zamiast torped „Ursula” miała w wyrzutniach rzędy min. Stawiała je kolejno w przewidzianych miejscach, co zabrało jej ponad godzinę, a załogę kosztowało poszarpane nerwy - i nic dziwnego, gdyż okręt pełznął środkiem niemieckiego toru żeglugowego. Kiedy ostatnia mina znalazła się na dnie, „Ursula” powróciła tą samą drogą do portu. Nikt nie zorientował się nawet w jej wizycie. Jedna z zastawionych min Stonefish znalazła się na trasie, którą sunął teraz „Sachsenwald”. Nad zagrzebaną do połowy w mule brytyjską miną zdążyło już przepłynąć wiele obcych statków, lecz miniaturowy procesor w zapalniku miny za każdym razem odrzucał potencjalny cel, identyfikując większość z nich jako trawlerzy albo kutry patrolowe. Ciśnieniomierz miny sprawdzał kolejne ślady i informował, że jednostka ma za małe wymiary. Większe statki - frachtowce albo barki - odpowiadały rozmiarami, lecz odrzucały je z kolei czujniki akustyczne. Szum silników nie pokrywał się z dźwiękiem z góry utrwalonym w pamięci miny. Jednym

z okrętów, który bez szkody przeszedł nad pudłem Stonefish był trałowiec z echosondą i holowaną pławą magnetyczną. Niemiecki kadłub, a po nim pława, przesunęły się blisko miny, która jednak leżała nieco z boku, a jej plastikowe wnętrze i gumowana obudowa niweczyły szansę wykrycia. W ślad za trałowcem nadpływał teraz „Sachsenwald”. Okręt przecinał te wody już po raz trzeci, z prędkością dwunastu węzłów taranując krótkie, silne fale ujścia. Fala ciśnieniowa stawiacza min odpowiadała rozmiarom niszczyciela, a charakterystyczny szum wysokoprężnych silników odpowiadał echu zapisanemu w pamięci miny. Brytyjski ładunek czekał jednak cierpliwie. Mogło się zdarzyć, że nieprzyjacielski okręt nie podejdzie na dostatecznie bliską odległość. Łoskot maszyn „Sachsenwald” nadal się nasilał. Kiedy czujniki akustyczne wyliczyły, że Niemiec wszedł w pole rażenia, mina uzbroiła się sama, lecz ciągle nie wybuchała. Od obcego okrętu dzieliło ją siedemdziesiąt metrów, a szum maszyn nadal się nasilał.

„Sachsenwald” sunął przed siebie, a z rufowych klap w regularnych odstępach spadały kolejne ładunki. Brytyjska mina nasłuchiwała, choć oczywiście jej procesory nie potrafiły zrozumieć, że hałas oznacza dudnienie maszyn i bicie śrub o wodę. Okręt przeszedł o dziesięć metrów na lewo od miny i zaczął się oddalać. Czujniki Stonefish dosłyszały natychmiast, że echo słabnie i uruchomiły zapalnik. Na dnie morskim 32 metry pod stalowym kadłubem „Sachsenwald” rozerwało się pięćset kilo nowoczesnego materiału wybuchowego PBX. Siła eksplozji cisnęła stawiacz min na lewą burtę i położyła go prawie poziono. Pięćdziesięciometrowa kolumna mętnej wody wystrzeliła do góry i miażdżącą kaskadą spadła na zanurzony burtą minowiec. Marynarze polecili na pokład i stalowe grodzie. Impet wybuchu mógł strzaskać kości, a przetaczając się przez kadłub na pewno strzaskał kilkadziesiąt urządzeń elektronicznych i maszyn. Obie śruby, zwrócone w kierunku wybuchu, pogięły się i odmówiły posłuszeństwa. Wygięły się także wały napędowe, a co najgorsze, oba silniki wysokoprężne, wielotonowe bloki ze stali, zerwały się z posad i poleciały na grodzie. Siła wybuchu wstrząsnęła całym kadłubem, obluźowała kilka płyt poszycia i połamała niektóre wręgi, a w miejscu najbliższym eksplozji wgniotła kadłub, zginając stępkę.

„Sachsenwald” zachował jednak pływalność. Wnętrze kadłuba pozostało suche. Zgubą okrętu stała się nie woda, lecz ogień.

Przewody paliwowe obu silników pękły przy wstrząsie, a ponieważ pompy wtryskowe działały nadal, maszynownia wypełniła się mgiełką oleju dieslowskiego. Stawiacz min zdążył tymczasem wrócić na równą stępkę i zaczął się kłaść na drugą burłę, gdy przypadkowa iskra podpała mieszankę paliwa i powietrza. Okrętem wstrząsnął nowy wybuch, od którego zginęła na miejscu cała obsada maszynowni. Wachta podnosiła się już z pokładu pomostu, kiedy od rufy doleciał ich huk i wstrząs. Rzut oka w tamtą stronę potwierdzał najgorsze obawy: nad okręt buchnęła szeroka, skłębiona kolumna dymu, a u jej podstawy pełgały czerwone płomienie. Dowódca okrętu, siedzący na pokładzie z nogą złamaną w kostce, rozkazał, by sekcje pożarnicze natychmiast ruszały pod pokład. Chciał walczyć o jednostkę dopóty, dopóki pływała - głównie dlatego że nie miał innego wyboru. Gdyby pożar rozszerzył się poza maszynownię, załoga nie miała najmniejszych szans, by w porę się oddalić w szalupach na bezpieczną odległość. Niestety, ogień rzeczywiście zdążył już ogarnąć następne przedziały. Przez przebite grodzie, płomienie dostały się do rufowej ładowni pełnej min, a pęknięta w parunastu miejscach automatyczna instalacja przeciwpożarowa podawała za mało wody, by schłodzić ładunek. „Sachsenwald” zdążył postawić zaledwie jedną piątą zapasu min. W ładowni było więc nadal pełno. Kilka rozpalonych prawie do czerwoności min morskich najbliżej grodzi podsmażyło się i wybuchło, dając początek prawdziwej reakcji łańcuchowej. Miny SAI były mniejsze od brytyjskich Stonefish, lecz na pokładzie niemieckiego okrętu było ich osiemset. Na niewielkiej przestrzeni zmagazynowano w ładowni ponad sześćdziesiąt ton silnego materiału wybuchowego.

„Sachsenwald” zniknął za ścianą wody, płomienia, dymu i rozsypujących się na wszystkie strony szczątków. Łomot seryjnych eksplozji, z których każda w pojedynkę zatopiłaby okręt tej wielkości, przeszył „Sachsenwald” i złał się w jeden przeciągły grzmot. Od eksplozji pierwszej miny do wybuchu ostatniej z nich minęło czterdzieści pięć sekund. Ostatnie wybuchały już w wodzie albo w powietrzu, wyrzucone wysoko do góry. Fala uderzeniowa, która się rozbiegła od punktu, gdzie znajdował się przedtem „Sachsenwald” była tak silna, że położyła na burłę najbliższy okręt „Köln”. „Köln”, fregatę klasy Bremen, dzieliła od stawiacza min odległość trzech kilometrów, ale mimo to na jej pokład

zwaliała się lawina metalowych szczątków poszarpanego kadłuba. Odłamki pocięły anteny radarowe i radiowe „Köln”. Zabiły także kilku marynarzy, których daleki wybuch zaskoczył na pokładzie. Rozlatując się, szczątki minowca uszkodziły wszystkie okręty eskorty. Najgorsze miało się jednak dopiero zdarzyć.

Druga fregata z eskorty, „Bayern” ruszyła na pomoc i zaraz wpadła na kolejną minę z tych, które zastawiła „Ursula”. Wybuch był tak silny, że okręt wkrótce zatonął, choć w tym przypadku większość załogi zdołała się uratować.

Paryż, Ministerstwo Obrony

Stare piwniczne magazyny pod gmachem ministerstwa wyremontowano dobre kilka lat przed konfliktem i obrócono w supernowoczesny sztab. Nie było to wprawdzie prawdziwe stanowisko dowodzenia, lecz kierownictwo ministerstwa, a także inni członkowie francuskiej elity politycznej, mogli dzięki nowemu przybytkowi śledzić wszystko, co działo się na pierwszej linii bez oddalania się od wygodnych paryskich rezydencji. Wypucowana „centrala”, rozmigotana od podłogi po sufit kolorowymi ekranami kartograficznymi i monitorami komputerów, stanowiła chlubę francuskiej elektroniki. Często zabierano tutaj zagranicznych gości republiki, by olśnić ich urządzeniami, które ich państwa mogą sobie obstać we Francji - oczywiście nie za darmo. Obszerne pomieszczenia okazały się teraz nader ciasne, i nic dziwnego, skoro większość członków komisji obrony przy Konfederacji Europejskiej tkwiła tu dzień i noc. Francuscy i niemieccy oficerowie ze wszystkich rodzajów wojsk po cichu przekazywali sobie ostatnie wiadomości. Z boku, na niewielkim podwyższeniu, siedział w fotelu Nicolas Desaix, a obok niego czuwał admirał Gibierge.

Sztabowcy i ich goście obserwowali nową bitwę.

Poprzedniego wieczora Gibierge ostrzegł przełożonych, że połączone siły alianckie podejmują działania. U przeciwnika zaobserwowano zwiększoną liczbę lotów rozpoznawczych, raptowny skok ilości szyfrowanych rozmów radiowych i duży ruch na brytyjskich lotniskach. Admirał ręczył, że wszystko to oznacza początek ofensywy, której się spodziewał. Nie mylił się. Część sztabowców, w tym przede wszystkim minister obrony ze świtą, przybyła do piwnicznej centrali jeszcze przed świtem. Zdażyli w samą porę, by kibicować huraganowym atakom pocisków Tomahawk na

cele we Francji i w Niemczech, zapoznać się z meldunkami o eksplozji „Sachsenwald” i zatonięciu „Bayern”, a także usłyszeć o ataku nieprzyjacielskich komandosów na bazę w Breście. Same te wiadomości mogły przyprawić o ból głowy; oficerowie wiedzieli jednak, że to dopiero wstępne posunięcia. Na podobieństwo pierwszych kropel deszczu, nieprzyjacielskie ataki nakłuwały Konfederację Europejską od zewnątrz i miały odtąd trwać tak długo, dopóki cała burza nie ucichnie. A skoro zaczęło padać, w każdej chwili można się było spodziewać uderzenia pioruna. Ekran w centrum dowodzenia nastawiono tak, by ukazywały wybrzeża Kanału La Manche, brzegi Holandii, północne wybrzeże Niemiec i dolną - na mapie - część Morza Północnego. Na końcowy obraz składały się dane z bezliku źródeł, w tym z pokładów amerykańskiej produkcji samolotów E-3 AWACS. Kiedy zjawił się Desaix, z bazy w Avord startował właśnie drugi AWACS, by wspomóc pierwszą maszynę. Różnokolorowe znaczniki pojawiały się na ekranach wszędzie tam, gdzie działały samoloty i okręty. Można więc było nawet z podziemi Paryża odczytać ich pozycje, kurs i prędkości. Dostrzec w tych ruchach pewien porządek umiałby nawet kompletny laik: myśliwce i samoloty przeciwpodwodne czuwały wzdłuż wybrzeży, okręty patrolowe wchodziły i wychodziły z portów, a pośrodku ekranu coraz bardziej rosły liczebnie dwie gromady czerwonych punktów. Wyśledzenie obu amerykańskich lotniskowców i ich eskort przyszło bez trudności. Jako że na ciasnym Morzu Północnym Amerykanom zależało bardziej na skutecznej informacji niż na maskowaniu się, włączyli prawie wszystkie radary. Patrole Konfederacji zlokalizowały kolejne źródła sygnałów i porównując ich częstotliwości z katalogiem typów radiolokatorów, zidentyfikowały poszczególne jednostki. Te okręty, które wyłączyły radary, zauważyli z kolei operatorzy na pokładach francuskich samolotów AWACS.

Wokół symbolu „George Washington” i drugiego, oznaczonego „Theodore Roosevelt” widać było mnóstwo mniejszych, czerwonych punktów, które oznaczały okręty eskorty, zbiornikowce z paliwem i statki zaopatrzeniowe. Zakreślone wokół obu lotniskowców okręgi miały oznaczać zasięg samolotów pokładowych i pole rażenia pocisków samosterujących z wyrzutni amerykańskich krążowników. Zasięg własnych maszyn symbolizowały również okręgi wokół francuskich i niemieckich lotnisk na wybrzeżach. Okrąg zakreślony

wokół „George Washington” zaczynał już dotykać niemieckiego wybrzeża w okolicach Wilhelmshaven. Gibierge sprawdził, która godzina i nachylając się ku Desabc szepnął: - W tej chwili rozpoczęliśmy atak, panie ministrze. Jak dobrze pójdzie, przyłapiemy Amerykanów na gorącym uczynku, kiedy zaczną wysyłać bombowce.

- Jak to, nie zauważą nas wcześniej?

Admirał zrobił triumfującą minę.

- Naszą formację bombową ochrania specjalna grupa samolotów zagłuszania radarowego. Możemy ukryć zarówno nasz start, jak i przelot. Kiedy Amerykanie zorientują się w końcu, co się dzieje, będziemy już nad nimi.

Gibierge oblizał się jak głodny wilk.

- Proszę zauważyć, panie ministrze, że alianckie siły postępują dokładnie tak, jak przewidywałem. Brak wyobraźni, nieprawdaż? A za brak wyobraźni przychodzi czasem drogo zapłacić. Pierwszy Mustang, operacja „Odważnik”, przestrzeń nad lotniskowcem USS „George Washington”

Wysoko nad falami Morza Północnego zaczęła już krążyć dobra setka samolotów. Aluminiowa chmara powiększała się z każdą chwilą, w huku silników i kłębach pary z katapult na pokładzie startowym lotniskowca. Dziesięć tysięcy metrów nad lustrem wody komandor lotnictwa morskiego, Rudy Mann, obserwował, jak maszyny dywizjonu tworzą szyk bojowy. Do tej pory wszystko szło jak w zegarku, ale nie było to ostatecznie niczym niezwykłym. Sformowanie szyku było zaledwie wstępem do atrakcji, jakie czekały pilotów dywizjonu jeszcze przed drugim śniadaniem. Młoda twarz Manna zniknęła całkowicie za zasłoną hełmu, maski tlenowej i przyciemnianej przyłbicy. Tylko rzednące i zwyczajem wielu pilotów przystrzyżone na jeża włosy zdradzały, ile lat liczy sobie naprawdę komandor. Po trzydziestce zwykle obejmowało się dowództwo dywizjonu, albo szło się szukać innej pracy. W wypadku Manna ta druga ewentualność nie wchodziła w rachubę: zbyt wiele lat zaliczył z sukcesem za sterami Hornetów. Myśliwiec bombardujący F/A-18 Hornet Manna miał najkrótszy zasięg, a co za tym idzie, startował zwykle na końcu. Nie to, by dywizjon tych maszyn miał jakikolwiek kłopot z doścignięciem reszty amerykańskiej formacji bombowej. - Tu Bizon! - rzucił Mann, po raz ostatni omiatając wzrokiem przyrzady. - Wszystkie Mustangi, zwrot na kurs zero osiem pięć!

Oglądając się przez ramię znów spojrział, jak jedenaście pozostałych maszyn dywizjonu podążyła za pierwszą. Nowy kurs pozwalał im szybko dogonić resztę formacji. Nawet lecąc ze stateczną prędkością 370 węzłów - prawie 700 kilometrów na godzinę - każdy Hornet miał przewagę niemal dwustu kilometrów na godzinę nad resztą maszyn. W przezroczystym powietrzu ranka Mann dostrzegł wokół siebie całe tuziny samolotów z pokładów „George'a Washingtona” i „Theodore Roosevelta”. Tworzona przez nie formacja nosiła kryptonim Alfa, a stosowano ją przy nalotach na cele lądowe. Do zwalczania celów morskich ustawiano się w formację Sierra. Wielkość formacji zależała tylko od ważności celu, no i determinacji, by go zniszczyć. Tym razem formacja Alfa oznaczała koszmarny tłum samolotów. Admirał Ward przez pół dnia tasował samoloty z obu lotniskowców w taki sposób, by wszystkie maszyny rzeczywiście lecące na Wilhelmshaven znalazły się na pokładzie „Washingtona”. Myśliwce z „Roosevelta”, który trzymał się wciąż poza zasięgiem nieprzyjaciela, miały służyć jako eskorta grupy. Eskortą lotniskowców z kolei miały stać się brytyjskie Tornado i amerykańskie F-15 oraz F-16 z baz lądowych w Wielkiej Brytanii. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, po akcji poszczególne grupy formacji miały lądować już na macierzystych lotniskowcach. Dywizjon Manna był jednym z czterech ugrupowań Hornetów. Wyznaczono mu miejsce na czele formacji, na lewej flance. Między F/A-18 komandora leciała szóstka samolotów zagłuszania radiolokacyjnego, rozprzestrzeniając dookoła elektroniczną mgłę. Niżej, w jeszcze dalszej odległości od głównej grupy, ciągnęły dwa klucze maszyn typu A-6 Intruder z rakietami Harpoon do zwalczania okrętów. Ich zadaniem było zatopić wszystkie jednostki morskie przeciwnika, jakie napotkają na swej drodze. Dowódca grupy lotniczej z „George'a Washingtona” leciał na pokładzie jednego z pary E-2Hawkeye, która towarzyszyła formacji. Potężne radary pokładowe E-2- morskiego, dużo mniejszego odpowiednika E-3AWACS- pozwalały śledzić cały przebieg akcji i stosownie do rozwoju wypadków podejmować następne decyzje. Niewidoczne dla oczu Manna lecz obecne gdzieś niedaleko, nad Morzem Północnym czuwały pozostałe samoloty wsparcia: wojskowy RC-135 i ES-3 Marynarki Wojennej USA. Oba nie spiesząc się zataczały kręgi na dużej wysokości i za pomocą wielkich anten nadsluchiwały sygnałów radiowych obu stron. Mann włączył radar

i znów skierował wzrok w stronę horyzontu. Skoro lecą w paszczę smoka, warto zawczasu uważać na wszystko, co się dzieje.

Paryż, Ministerstwo Obrony

- Zwiększony ruch samolotów w pobliżu „George'a Washingtona"! - zameldował jeden z młodszych rangą oficerów. Rzeczywiście, wokół bliższej z dwóch amerykańskich eskadr pokazało się więcej czerwonych punktów. Desaix spojrzał na Gibierge i pytająco uniósł brew. Admirał przytaknął bez wahania.

- Wygląda, że się przygotowują do nalotu, panie ministrze. Te nowe samoloty to nie myśliwce przechwytyjące, a zresztą nasza formacja zbiera się poza zasięgiem amerykańskich radarów.

Amerykanie wyślą przeciwko niej myśliwce dopiero, kiedy się zorientują w naszej liczebności i kierunku ataku, nie wcześniej.

Tak... - Admirał jeszcze raz wpatrzył się w ekran. - Proszę spojrzeć, tworzą formację na dużej wysokości, a więc w polu widzenia naszych radarów. W ogóle nie próbują ukryć zamiarów, dokładnie tak jak myśleliśmy. Uznali, że zduszą nas samą przewagą liczebną.

Desaix uznał, że Gibierge wie, co mówi. Ten ton absolutnej pewności... Znalazłoby się jednak parę pytań. - Pamiętam pana słowa, że zaatakujemy te lotniskowce zanim nam zdążą zaszkodzić. I co?

Minister powiedział to spokojnym głosem, lecz admirał wyczuł w jego słowach nutę zdenerwowania i czym prędzej zapewnił: -

Owszem, dokładnie tak mówiłem, panie ministrze, ale nawet taki obrót sytuacji może nam dopomóc, i to bardziej niż przedtem.

Atakujące amerykańskie samoloty nie polecą przecież bez eskorty myśliwców, których z kolei zabraknie do obrony lotniskowca.

Jeżeli chcą zrobić nalot na Wilhelmshaven, nasza i ich formacja spotkają się dosłownie oko w oko. Amerykanie zrezygnują wówczas z ataku i skupią wysiłki na obronie.

- Dobrze, tylko czy damy im radę?

- Oczywiście, że damy, panie ministrze. Ściągnęliśmy specjalnie do tej akcji połowę myśliwców z frontu wschodniego.

Słowa musiały trafić Desaix do przekonania, bo nic już nie powiedział. Admirał mógł znów zająć się ekranem. - Są jakieś nowe wiadomości o ich formacji? - zapytał oficerów przy konsoli.

- Owszem - pospieszył z odpowiedzią młody podporucznik.

- Zidentyfikowaliśmy radary, emisja pokrywa się z echami F/A-18

i A-6. Grupie towarzyszą dwa E-2 Hawkeye. Niestety, panie admirale, nie mamy jeszcze dokładnych danych co do ich liczebności. Okropnie zagłuszają.

- Znowu, dokładnie jakżeśmy się spodziewali - burknął uspokojony Gibierge.

Rzeczywiście, wszystko przebiegało zgodnie z wcześniejszymi oczekiwaniami. Amerykanie nie marnowaliby drogocennych samolotów doзору i dowodzenia E-2 do wsparcia byle wypadu nad Niemcy. Jeśli opracowali akcję zgodnie z uświęconymi zasadami - tymi samymi, które Gibierge poznał przy parunastu okazjach jeszcze jako obserwator pokojowych manewrów państw NATO - w skład atakującej formacji wejdą dwa dywizjony Intruderów A-6, dwa dywizjony Hornetów, eskorta w postaci dywizjonu samolotów F-14 Tomcat i para Prowlerów EA-6B do walki z francuskimi i niemieckimi radarami. Obecność pary Hawkeye mogła oznaczać, że Amerykanie pchnęli do akcji maszyny z obu lotniskowców. Proszę, proszę! Konfederacja już z nimi zatańczy. Admirał odwrócił się znowu do Desaix, który spytał: - Jak pan sądzi, czy Amerykanie przygotowali sobie zapasowy plan, na wypadek starcia?

- Zapewne nie zrezygnują z nalotu. Uznają, że powinny im wystarczyć pociski przeciwlotnicze na okrętach, no i resztkę myśliwców. Tylko na tym skorzystamy.

- W takim razie co będzie, jeśli zbombardują Wilhelmshaven? Gibierge odpowiedział klasycznym galijskim wzruszeniem ramion.

- Trochę nam się wtedy dostanie, owszem. Z tym, że portu pilnują myśliwce i baterie przeciwlotnicze. Ja bym się tam nie martwił.

Desaix ze zrozumieniem skinął głową. Ani on, ani admirał nie powiedzieli oczywiście głośno, że skutki nalotu na Wilhelmshaven to już zmartwienie Niemców. Admirał nachylił się jeszcze bliżej i wytoczył ostateczny argument. - Panie ministrze, dla mnie liczy się tylko to, że cokolwiek postanowią Amerykanie, jest to ich pierwszy i ostatni atak. Kiedy ich maszyny zawrócą do bazy, zamiast lotniskowca znajdą tylko radioaktywną plamę.

USS „George Washington”

- Panie admirale!

Kapitan Harada musiał krzyknąć, by Jack Ward w ogóle go dosłyszał na odsłoniętym skrzydle pomostu nawigacyjnego. Wiatr o sile sześćdziesięciu kilometrów na godzinę ma to do siebie, że wtlacza

słowa z powrotem do gardła. By już nie wspomnieć o ryku dziesięciu silników odrzutowych na pokładzie. Największe szansę mieliby tu głuchoniemi z językiem migowym. Admirał dosłyszał jednak i odwrócił się do adiutanta. Harada po raz kolejny stwierdził w duchu, że na morzu szef wrócił do siebie i wygląda znacznie bardziej świeżo, niż kiedy tkwił na lądzie. Nie zmieniało to faktu, że przez parę ostatnich dni okropnie się postarzał. Widok samolotów, podrywających się do operacji „Odważnik”, koił nerwy jak nic innego. Trudno było zachować obojętność, kiedy z pokładu lotniskowca ulatywała jedna maszyna za drugą, idąc do boju. Nareszcie! Kiedy samoloty znajdą się nad celem, urzędą Konfederacji mało przyjemną pobudkę. Harada z niechęcią odwoływał admirała do środka, ale nie było wyjścia. Złożył dłonie w trąbkę wokół ust i wrzasnął: - Nowe echa przeciwnika, panie admirale! Ruch nad bazami w Niemczech! Ward słysząc to przytaknął i prędko zszedł ze skrzydła pomostu do wnętrza nadbudówki. Taktyczne stanowisko dowodzenia eskadrą stanowiło jego ukochane miejsce na okręcie. Dziesiątki czujników pompowały dane z pola walki w dziesiątki ekranów i wskaźników, a szyfrowe łącza pozwalały w każdej chwili porozumieć się z dowódcami jednostek. W odróżnieniu od dowódcy pododdziału czołgów czy oficera piechoty morskiej, Ward nie mógł liczyć na to, że się osobiście naogląda pola walki. Musiało mu wystarczyć właśnie TSD, z którego Ward kierował wojną na Morzu Północnym i Bałtyku. Taktyczne stanowisko dowodzenia było zaciemnionym pomieszczeniem, w którym ściszony gwar rozmów znamionował wyszkoloną i karną obsługę. Odpowiedzialny za pracę personelu oficer, komandor Harry March - zarazem szef sztabu na okręcie - spotkał admirała w drzwiach. Na pierwszy rzut oka można go było wziąć za adwokata albo dyplomowanego księgowego, lecz na nieszczęście dla innych profesji, March wybrał Marynarkę Wojenną. Na studia na kierunku zarządzania i administracji nie miał pieniędzy, gdy tymczasem Akademia Marynarki Wojennej oferowała czarnym chłopakom z murzyńskiego getta pełne stypendium. Pasja, z jaką March zajmował się najdrobniejszymi szczegółami stanowiła jedną z tajnych broni admirała Warda. Nie marnowali czasu. Pierwszy odezwał się March: - Samoloty nasłuchu wychwyciły dużą liczbę rozmów nad niemieckimi lotniskami Bremershaven, Cuxhaven. Rozmowy po niemiecku i francusku. W powietrzu pracuje parę radarów EuroConu.

March powiedział to wszystko spokojnie, lecz wyczuwało się w nim niepokój. - I jak to oceniasz, Harry? Szykują atak lotniczy?

- Zdaje się, że tak. Jedynym logicznym celem jesteśmy my

- dodał March z westchnieniem. - Cały szkopał, że za mało wiemy o tym, co się tam dzieje. Nie sięgamy tam radarami.

Ward zmarszczył czoło. Oficerowie rozpoznania zaklinali się, że w ich ocenie Konfederacja nie zdecyduje się na atak lotniczy na amerykańskie okręty. Symulacje komputerowe i analiza gier wojennych wskazywały, że tego typu akcja pochłonięłaby zbyt wiele środków, jak na ilość samolotów będących w posiadaniu Niemców i Francuzów. Przeciwnik widocznie nie okazał się aż takim pesymistą. Ward podzielił się tą uwagą z komandorem. - Owszem, panie admirale, z tym że przeliczyłem jeszcze raz te wszystkie dane. Z tego, co wiemy i z zasięgu ich lotnictwa wynika, że jedyny godny uwagi cel to właśnie nasze ugrupowanie.

Ward poczuł na ciele lekki chłód.

- Skoro się zdecydowali w nas rąbnąć, Harry, pójdą na całego - przestrzegł. Nie musiał nawet dodawać, że atakujące samoloty przeciwnika zderzą się w powietrzu z ciągnącą nad Wilhelmshaven formacją amerykańską.

- Kiedy będziemy mieli jakąś pewność co do ich zamiarów?

- Mniej więcej za dziesięć minut - odrzekł bez wahania March. -

Tak można wywnioskować z ich kursu i obecnej prędkości, no i z czasu, jaki im został w powietrzu. Moim zdaniem nasze samoloty powinny teraz zatankować w powietrzu. Przydałoby się też podesłać trochę paliwa naszym myśliwcom z eskorty. Przekazałem już te dane na „Roosevelta”.

- Jednym słowem szefostwo grupy na „Rosim” już wie, co się święci? - Ward przetarł zmęczone oczy i przez minutę bez słowa wpatrywał się w ekran. - Jeśli damy im zatankować teraz, przed czasem, skróci się zasięg formacji, ale dobrze, zgadzam się.

Wyślij na dach następnego E-2 i ogłoś pogotowie dla śmigłowców ratowniczych.

Admirał zerknął na zegarek.

- Za dziesięć minut postanowimy czy się tam pchać.

? Paryż, Ministerstwo Obrony

- Nasze ugrupowanie jest już w drodze nad cel - zameldował operator.

Gibierge z satysfakcją przyjrzał się gromadzie niebieskich

punktów na północ od Cuxhaven. Dwa dywizjony Mirage 2000M z raketowymi pociskami atomowymi powietrze-woda. Dwa dywizjony niemieckich Tornado z pociskami do zwalczania radarów i konwencjonalnymi pociskami powietrze-woda. Dywizjon Rafale, dwa dywizjony Mirage 2000 i jeszcze dwa myśliwców niemieckich, czyli eskorta. Gibierge i jego sztab rzucili do tej bitwy prawie sto dwadzieścia samolotów - śmietankę lotnictwa Konfederacji. ?

USS „George Washington”

- Panie admirale, lecą prosto na nas - zameldował tym razem wcale nie beznamyślnym głosem March. - Trochę zagłuszają, ale bez przesady. Rzecz w tym, że atakują siłami ponad stu maszyn. Ward wyprostował się. Kiedy z jego twarzy zniknęły wszystkie wątpliwości i niepokoje, dręczące go od tygodni, wyglądał o całe lata młodziej. Wszystko stało się jasne. - Niech Kowboj wykona polecenie, kiedy tylko skończą tankowanie.

? Pierwszy Mustang

Mann widział, jak nos ostatniego F-14 dotyka teleskopowej rury samolotu-cysterny i prędko pobiera paliwo. Dzięki Bogu, że przyszło to robić już za dnia. Tankowanie w powietrzu jest sztuką subtelną i wymagającą niemałych umiejętności. W porównaniu z takimi zabawami podanie sobie rąk z okien dwóch samochodów pędzących po autostradzie to zabawa jak w piaskownicy.

Tankowałyby jednak nawet w ciemności, bo paliwo stało się teraz niezbędne. Samoloty lecące w kierunku niemieckiego wybrzeża wypaliły już ćwierć zapasu, a kilka minut walki powietrznej mogło opróżnić ich zbiorniki do reszty. Dlatego aż dwa dywizjony samolotów A-6 Intruder zajmowały się wyłącznie uzupełnianiem paliwa u innych i właśnie kończyły zadanie. Hornety komandora Manna zdążyły już zatankować swoją porcję. - Wszystkie grupy „Odważnika”, tu Kowboj. Wozy i Dylizanse na tył!

Komandor Macmillan, który jako dowódca formacji wybrał kryptonimy, rzeczywiście miał trochę ziemi w Montanie i stąd właśnie brało się jego upodobanie do westernowych przezwisk. Mann znał Montanę jedynie z kina, lecz w duchu musiał przyznać, że ten sposób łączności bardziej odpowiada sytuacji niż epitety, jakie wyniósł z własnego dzieciństwa w Brooklynie. Mann był też pewien, że Macmillan wolałby siedzieć za sterami F-14 niż przy pulpitych na pokładzie Hawkeye. Inna sprawa, że z myśliwca nie mógłby kierować walką - a ktoś przecież musiał nią

pokierować. Kowboj odesłał do domu latające cysterny A-6 i samoloty z pociskami do zwalczania okrętów, odchudzając ugrupowanie. Samoloty zagłuszania radarowego rozpięzły się na boki, byle dalej od obszaru starcia, a myśliwce chroniące E-2 zbliżyły się do podopiecznych. - Kowboj do całego Rancza, wykonać napad.

Mann mocno pchnął dźwignię ciągu.

Paryż, Ministerstwo Obrony

Gibierge patrzył zafascynowany, jak dwie gromady świetlnych punktów przybliżają się do siebie. Dzielilo je wciąż ponad trzysta kilometrów, ale przy tej prędkości w ciągu kwadransa miały się znaleźć we wzajemnym zasięgu pocisków raketowych. Amerykańskie F-14 mogły wystrzelić swoje dalekosiężne rakiety Phoenix jeszcze wcześniej, z tym zastrzeżeniem, że na taką odległość pociski te były skuteczne jedynie wobec ślamazarnych i dużych bombowców. Admirał skupił całą uwagę na Amerykanach. W którą stronę odskoczą? Jeden z bocznych ekranów głównej sali sztabowej ukazywał zbliżenie sytuacji nad Morzem Północnym. Każdy francuski i niemiecki samolot był dokładnie oznaczony. Można więc było odczytać nie tylko jego kurs, prędkość i pułap lotu, lecz także typ maszyny i kryptonim klucza, do którego należała. Podobnego porządku trudno było szukać w formacji przeciwnika. Na ekranie widać było tylko echa samolotów i wykryte wiązki promieni radarowych. W miejscach styku tych ostatnich linii komputery podawały typ radaru, a także odpowiadający mu typ samolotu. Kilka mniejszych grup na samym skraju formacji nosiło więc oznaczenie „APG-65/Hornet” j „AWG9/Tomcat”. Środek powietrznego ugrupowania wypełniały znaczki „APQ-156/Intruder”. Własne radary i analiza emisji przeciwnika pozwalały się dobrze zorientować w składzie nieprzyjacielskiej formacji. Gibierge ucieszył się, że tak dobrze udało mu się odgadnąć skład grupy. Admirał przymrużył oczy. Amerykanie powinni lada chwila podjąć decyzję. Tylko jaką? Czy nadal będą lecieć nad Wilhelmshaven, czy zawrócą, by bronić własnych okrętów? Odległość skurczyła się do 150 mil morskich. Niektóre amerykańskie echa zmieniły położenie w stosunku do reszty ugrupowania. Jednocześnie zniknęło kilka linii oznaczających sygnały radarowe Intruderów. Na ekranie pozostały tylko ślady radarów na pokładach myśliwców. Zaciekawiony Desaix zbliżył się do admirała. Gibierge jednak zwlekał z odpowiedzią. -

Wygląda na to, że odesłali bombowce z powrotem na lotniskowiec, panie ministrze. Bardzo logiczna decyzja. Ostrzegłem już dowódcę naszej grupy. Za chwilę zaczniemy... Desaix słuchał tych słów, nie odrywając oczu od ekranu. Nagle otworzył je szeroko i drgnął. Gibierge prędko spojrzął na ekran i nagle opadła mu szczęka. Wśród amerykańskiej formacji zamigotała nowa siatka radarowych kresek, grubsza od pajęczyny i oznaczona w każdym przypadku symbolem „APG-65” albo „AWG-9”. Co więcej, z ekranu zniknęła tylko garstka ech. Większość amerykańskich samolotów nie dość, że nie zawracała, to zwiększała prędkość. Admirał z niedowierzaniem patrzył na liczby wskazujące prędkość Amerykanów. Dlaczego ciągle rosły? Ponad tysiąc kilometrów na godzinę... Obładowany bombami i rakietami Intruder nie wyciągnie nawet dziewięciuset, więc dlaczego? - Gibierge, co się tu dzieje! - nie wytrzymał Desaix. Admirał zdążył już sięgnąć po słuchawkę czerwonego telefonu.

Pierwszy Mustang

Kiedy samoloty-cysterny i te z pociskami powietrze-woda opuściły formację, Mann poczuł się jak więzień, któremu zdjęto kajdany. W ślad za rozkazem Kowboja, samoloty operacji „Odważnik” z prędkości marszowej bombowców przyspieszyły do tempa właściwego grupie myśliwców przechwytyjących. Ekran radiolokatorów pokładowych zaroily się od punkcików oznaczających nieprzyjaciela, choć francuskie urządzenia zagłuszające powlekały część radarowego horyzontu białymi rozpryskami. Mann prawie nie miał czasu patrzeć na własny ekran, co nie miało znaczenia, bo większość danych komputery przekazywały samoczynnie do wyświetlacza HUD na przedniej szybie Horneta. Pilot, który za dużo się gapi na przyrządy, zamiast przed siebie, naraża się na rozmaite niespodzianki, a w walce powietrznej niespodzianki rzadko bywają przyjemne i przeważnie kończą się zgonem delikwenta. Mann przepatrzył horyzont i upewnił się, że uzbroił pociski rakietowe. Jeszcze kilka minut i pierwszy Sparrow znajdzie się w odległości skutecznego strzału. Mann pamiętał oczywiście, że pierwsze osiągną tę odległość amerykańskie F-14, których klucze sunęły w dole, pod Hornetami. Skośnoskrzydłe F-14 nadal rozsuwały się na boki, przechodząc z ciasnej formacji, typowej dla grup samolotów z bombami, w luźne ugrupowanie dostosowane do pojedynków na dużej wysokości. -

Kaktus, Lasso, Krowa, zezwalam na walkę, cele zgodne z rozkazem. Kowboj wydał trzem dywizjom swoich Tomcatów rozkaz ataku. Każdy z trzydziestki F-14 miał pod skrzydłami cztery dalekosiężne pociski powietrze-powietrze typu Phoenix, dwa pociski Sparrow o krótszym zasięgu i dwa pociski Sidewinder do pojedynków na bliską odległość. Podobnie jak Hornety komandora Manna, Tomcaty dźwigały też odrzucane zbiorniki paliwa, co trochę je spowalniało, lecz pozwalało do ostatniej chwili korzystać z dodatkowego zapasu. Odrzucało się je dopiero po opróżnieniu albo wówczas, gdy się przechodziło do pościgu, względnie uników. Wówczas liczyła się tylko szybkość. Zanim Kowboj zdążył się wyłączyć, każdy F-14 wystrzelił pierwszego Phoenixa. Przed grupę F-14 wystrzelił rząd białych smug, każda z ognikiem na końcu. Przez ułamek sekundy pociski oddalały się od wielkich myśliwców po linii prostej, by zaraz błyskawicznie wspiąć się w górę i zniknąć. Za amerykańską formacją pozostały na niebie splątane smugi dymu. Mann śledził lot Phoenixów do końca. Kiedy zniknęły w górze, trzy dywizjony F-14 oddały następną salwę. Również i ona zniknęła w ślad za pierwszą w troposferze. Posłuszne zakodowanym w elektronicznej pamięci rozkazom, rakiety wyrównały lot na wysokości trzydziestu kilometrów. Nikła na tej wysokości gęstość atmosfery pozwoliła im rozwinąć prędkość pięciokrotnie większą od prędkości dźwięku i zachować ją nawet po wypaleniu się silników. Od samolotów Konfederacji dzieliło pociski ponad sto kilometrów w ukośnej linii ku dołowi - odległość odpowiadała więc znakomicie ich zasięgowi. Sto kilometrów i półtorej minuty lotu.

Paryż, Ministerstwo Obrony

Gibierge prawie nie słyszał wokół siebie okrzyków paniki i zaskoczenia, pytań i oskarżeń, jakimi wypełniła się nagle cała pełna ludzi podziemna sala. Admirał próbował za wszelką cenę dosłyszeć rozmówcę po drugiej stronie czerwonej słuchawki. Desaix także zerwał się z fotela i potrząsał Gibierge za ramię, domagając się, by ten ruszył się, zaczął działać. Przekrzykując rozgardiasz, admirał wrzasnął w końcu do telefonu:

- Atakować od razu, nie czekać! Nalot na pełnej prędkości!

Pamiętajcie, nam wystarczy jedno trafienie!

Dopiero kiedy cisnął słuchawkę na miejsce, uświadomił sobie, że szarpie go za ramię nie adiutant, lecz minister spraw zagranicznych Francji, człowiek, który trzyma w ręku wszystkie

nici Konfederacji Europejskiej. - Żądam wyjaśnień! - oznajmił Desaix głosem człowieka do prowadzonego do ostateczności.

- Mamy do czynienia z ugrupowaniem myśliwców, panie ministrze. Wnosząc z dostępnych informacji - Gibierge wskazał ręką na ekrany - mamy do czynienia z połączonymi eskadrami myśliwców z obu lotniskowców. Coś takiego! Amerykanie wcale nie chcieli bombardować Wilhelmshaven czy innej z naszych baz na lądzie. Ustawili się w formację bombową i wmieszali w jej skład pewną liczbę samolotów bombardujących, żeby nas zmylić.

Przy tych ostatnich słowach Gibierge z trudem ukrył nutę uznania. Amerykański dowódca - ponoć jakiś admirał Ward -okazał się nadpodziw zręcznym fachowcem. Desaix nadal nic z tego nie rozumiał. Nie spuszczać oka z ekranu, admirał pośpiesznie wtajemniczył go w swoje domysły. - Gdyby nie to, że sami wysłaliśmy nad morze tę formację, żeby zaatakowała okręty, rzucilibyśmy przeciwko Amerykanom wszystkie dostępne myśliwce. Amerykanie liczyli na to, wysyłając własne. Chcieli podstępem uzyskać przewagę liczebną, okaleczyć nasze siły i dopiero wtedy wysłać bombowce. Teraz rozumiem.

- A ja rozumiem, że zamiast obrony przeciwlotniczej zdziesiątkują, jak pan to nazwał, „śmietankę naszego lotnictwa”. Musimy natychmiast odwołać atak, dopóki jest jeszcze czas.

- Przy tej odległości od przeciwnika to właściwie niemożliwe, panie ministrze. A poza tym niepotrzebne - upierał się Gibierge coraz bardziej proszącym tonem. - Nasze myśliwce prawie dorównują przeciwnikowi liczebnością. Zwiążą Amerykanów walką i pozwolą naszym Mirage przyspieszyć do maksymalnej prędkości. Mirage zdążą się prześliznąć i w parę minut podejną na odległość odpalenia rakiet.

Desaix chciał jeszcze oponować, lecz Gibierge nie słuchał. -Za późno, panie ministrze. Tu idzie walka powietrzna, a nie koktaile. Wydałem rozkaz i kropka.

Ogólny gwar przeciął głos obserwatora znad pulpitu.

- Dowódca formacji melduje, że zaatakowano ich rakietami.

? Przestrzeń nad ugrupowaniem lotniczym Konfederacji

Idąc za sygnałami z samolotów, z których je wystrzelono, pociski raketowe Phoenix skrzyły w dół i niemal pionowo runęły na sunące kilkanaście kilometrów w dół nieprzyjacielskie myśliwce. Obie salwy amerykańskich pocisków powietrze-powietrze w mgnieniu

oka rozcięty ugrupowanie Konfederacji. Myśliwce EuroConu zareagowały wspinaczką na wyższy pułap i zygzakowaniem, w nadziei, że zmuszone do szybkich zmian kierunku rakiety wytracą pęd. Załogi Mirage 2000 i Tornado miały do wyboru, zwalić ładunek pocisków raketowych do morza albo zdać się na łaskę szczęścia. Z paroma wyjątkami załogi nie pozbyły się balastu, bez którego cała akcja musiała się okazać kompletną porażką. Manewry i wyrzucona w powietrze masa dipoli rzeczywiście zmyliły większość Phoenixów. Najgorszy los spotkał samoloty osłony radioelektronicznej, w postaci szóstki sędziwych Mirage F1 z półtonowymi gondolami pod kadłubem. Gondole rozsyłały dookoła chmurę elektronicznego śmiecia, w której mógł się skryć przed radarami cały dywizjon, jeśli oczywiście maszyny leciały dostatecznie blisko. Elektroniczny szum stał się jednak doskonałym drogowskazem dla Phoenixów, które posiadały czujnik naprowadzający na źródła zagłuszania. Skutek był taki, że w każdego Mirage próbowało uderzyć po kilka pocisków. Połowa pilotów spostrzegła w porę, co się dzieje, i wyłączyła aparaturę, lecz nie mogło już im to w niczym pomóc. Ocalał tylko jeden Mirage F1. Zadany z tak daleka cios pozbawił ugrupowanie Konfederacji osłony radioelektronicznej, a ucieczka przed salwami rakiet dodatkowo okradła samoloty z paliwa. Nie było nawet czasu, by uporządkować szyki. Rozkazy brzmiały jednak jasno. Samoloty Konfederacji przeszły w płytki lot nurkujący i włączyły dopalacze. ?

Nad Morzem Północnym

Kiedy z ekranów radarowych zniknęły wreszcie białe rozbryzgi, nowe rozkazy kazały amerykańskim dywizjom również przyspieszyć i ruszyć na formację przeciwnika. Dwie lecące na dziesięciu tysiącach metrów chmary samolotów dzieliło od siebie w tym momencie sześćdziesiąt kilometrów. Ponieważ łączna prędkość obu lecących ku sobie grup przekraczała 2200 kilometrów na godzinę, odległość kurczyła się w oczach. Konfederacja rzuciła przeciwko amerykańskim siłom na Morzu Północnym około sześćdziesięciu myśliwców trzech różnych typów, wszystkie uzbrojone w pociski raketowe dalekiego zasięgu. Najnowszą i najbardziej groźną częścią tych sił był oczywiście dywizjon Rafale. Oprócz najnowszych maszyn Francuzi wysłali grupę Mirage 2000 z trójkątnymi skrzydłami, starych lecz nadal

przydatnych. Wkład lotnictwa niemieckiego ograniczał się do starych Phantomów IIF-4F, których zadaniem było eskortowanie obciążonych rakietami francuskimi i niemieckimi szturmowców Tornado i Mirage. Amerykanie, którzy mieli w powietrzu ponad osiemdziesiąt maszyn, pierwsi otworzyli ogień. Dwa dywizjony Hornetów były uzbrojone w „inteligentne” rakiety powietrze-powietrze typu AM-RAAM, o dużo dłuższym zasięgu niż pociski francuskie i niemieckie. Przed obydwoma grupami F/A-18 wyrosły teraz dwadzieścia cztery smugi białego dymu. AMRAAM zupełnie nie zwróciły uwagi na szumy z jedynej ocalałej zagłuszacza i spadły prosto w przemieszaną gromadę myśliwców Konfederacji. Nacelowano je na najbardziej niebezpiecznego przeciwnika, to jest na dywizjon francuskich Rafale. Myśliwce rozprzeczły się na boki, próbując uników - na tyle skutecznie, że część rakiet chybiła. Nie zmieniało to faktu, że pięć spośród najlepszych maszyn w arsenale Konfederacji zmieniło się w chmurki czarnego i szarego dymu. Reszta zaś uciekając przez dobrą chwilę nie mogła odpalić własnych pocisków. Inne myśliwce EuroConu nie musiały uciekać. Grupa Mirage 2000 co prędzej wystrzeliła w Amerykanów salwę samonaprowadzających się pocisków Mica. W ślad za Francuzami poszły niemieckie Phantomy, wysyłając salwę pocisków Sparrow - amerykańskiej produkcji. W kierunku Amerykanów gnało więc pięćdziesiąt pocisków raketowych. Zamiast czekać, co będzie dalej, Amerykanie odpalili kolejną serię pocisków. Spod pociągniętych specjalną szarą farbą skrzydeł wyprysnęły nowe AMRAAM-y i pociski Sparrow. Od samolotów Konfederacji dzieliło je trochę ponad trzydzieści kilometrów. Piloci obu stron widzieli przeciwnika jedynie w postaci świetlnych kropek na radarowych ekranach i kwadracików oznaczających cel na wyświetlaczach HUD. Właśnie ten fakt sprawiał teraz największy kłopot Niemcom i Francuzom, których ekrany nadal zasnuwała elektroniczna mgła. Mogli wprawdzie wystrzelić własne pociski raketowe, lecz musieli działać wolniej niż przeciwnik, a w walce powietrznej czas to dużo więcej niż pieniądze. Wokół amerykańskich myśliwców ciągnęło sześć samolotów walki elektronicznej EA-6B Prowler naszpikowanych sprzętem i antenami. Ich pokładowe nadajniki szumów były tak potężne, że na ziemi wysyłany sygnał mógł zabić ludzi, którzy się znaleźli w pobliżu. Aparatura przeczesywała cały zakres częstotliwości,

wychwytywała nieprzyjacielskie sygnały radarowe i radiowe, po czym wlewała w te same zakresy wodospad elektronicznych szumów. Komputery całej szóstki Prowlerów współdziałały ze sobą, dzieląc się informacją i wskazując sobie nawzajem cele. Od amerykańskich samolotów skoczyła naprzód kolejna falanga rakiet. Konfederacja odpowiedziała tą samą monetą, choć mniejszą liczbą pocisków. Samoloty obu stron znalazły się w zasięgu wzroku, a w powietrzu między nimi widać było smugi parunastu pocisków rakietowych. Gdy obie formacje zmieszały się ze sobą, pociski wciąż jeszcze doganiały swoje ofiary.

Paryż, Ministerstwo Obrony

Radarowa mapa obu grup samolotów przypominała teraz kącik szaradzysty. Na lewym ekranie Gibierge miał przed oczami chaotyczną gmatwaninę niebieskich i czerwonych znaczków. Jedno było natomiast pewne: niebieskich punkcików stale ubywało. Jedyne rozmowy, jakie słychać było w sali, płynęły z łącz radiowych między pilotami. Jak dowódcy armii sprzed pół wieku, sztabowcy mogli wylapywać jedynie strzępy informacji z okrzyków pilotów, walczących z przeciwnikiem setki kilometrów dalej. - ... trzy samoloty z lewej... odpalam pociski... uwaga, pryskać na boki!... dostałem, urwało mi lewe skrzydło... Każdemu z głosów towarzyszyło tło w postaci radiowego wycia i pisków. Czasem słychać też było huk startującego pocisku rakietowego. Na osobnej częstotliwości docierały do sztabu sygnały SOS, oznaczające miejsca, gdzie spadli do wody strąceni piloci. Również te miejsca widać było na osobnym ekranie, choć nie dało się stwierdzić, jakiej narodowości są rozbitkowie. Jasne było tylko to, że sygnałów jest sporo i stale ich przybywa.

Pierwszy Mustang

Mann miał nadzieję, że jego skrzydłowemu nic się nie stało. Drugi F/A-18 zniknął z oczu minutę temu, w ferworze walki. Mann mimo szczerych chęci nie miał czasu, żeby go szukać. Zbyt wiele samolotów wspinało się, nurkowało i krążyło w ciasnej przestrzeni, żeby się rozglądać za gapami. Połowę uwagi komandor musiał skupić po prostu na tym, by uniknąć zderzenia w powietrzu. W takim młynie jak ten, walka schodziła na dalszy plan. Mann raz już prawie się pożegnał z życiem, gdy unikając pocisku rakietowego prawie wrąbał w rozpędzonego niemieckiego Phantoma. Rozejrzał się prędko po niebie, na którym tylko migiała

chmara spiczastych sylwetek. Za maszynami obu stron ciągnęły się białe smugi pocisków rakietowych, widać też było, jak rozsnuwa się dym ze strąconych myśliwców. Wokół najniżej lecących samolotów opadało sporo różnobarwnych spadochronów. Bitwa przypominała połączenie strzelnicy z grą w berka. Na samym początku Mann rozłożył pierwszego przeciwnika serią z działka. Strzelił instynktownie, bez zastanowienia, bo tuż przed przednią szybą wyrósł mu nagle Mirage. Francuski myśliwiec eksplodował tak blisko, że impet cisnął Hornetem w bok. Komandor coraz bardziej rozumiał, jak musi się czuć stalowa kulka w bilardzie automatycznym. Zupełnie znikąd wyskoczył Tomcat i z wielką prędkością przeszedł Mannowi tuż przed nosem. Dalej widać było Rafale, który z zadartym nosem wspinał się, by uniknąć F-14. Mann, który zdążył uzbroić Sidewindera, również poderwał samolot i rzucił się za Francuzem, czekając aż brzęczyk potwierdzi, że pocisk „widzi” cel. Nic, cisza. Niech to szlag! Mann przełączył się na działko i zwiększył ciąg, by przyskoczyć do przeciwnika nim wystrzeli. Natychmiast jednak zapaliło się światełko urządzenia ostrzegawczego na znak, że jego samego ktoś oświetla radarem. Mann obejrzał się w popłochu i rzeczywiście dostrzegł za sobą, nieco z prawej, francuski Mirage. Trzeba było porzucić zdobycz, i to szybko. Mann przyciągnął manetkę ciągu i pchnął drążek w przód, odciążając skrzydła Horneta, a potem ostro skreślił w lewo, wprost na francuski myśliwiec. Oba samoloty minęły się o kilkanaście metrów. Mann mógłby przysiąc, że prawie stuknęły się kabinami. W tę samą stronę pędził w ślad za Mirage następny Tomcat, na ślepo, bo wprost na samolot Manna. Komandor przytomnie uskoczył w prawo. Nagrodą był fantastyczny widok Sidewindera startującego spod skrzydła amerykańskiego myśliwca. Czy trafił, nie było czasu sprawdzać. Mann dostrzegł po lewej i w górze zabłąkanego niemieckiego Phantoma. Zwiększył ciąg, zadarł odrobinę do góry nos Horneta i ryzykując, że zapłaci za to przepadaniem, złapał Niemca na celownik. Silniki Phantoma zostawiały wyraźniejszy ślad niż Rafale. Tym razem naprowadzany na podczerwień pocisk zabrzęczał w słuchawkach głośno i pewnie. Tylko tak dalej! Mann dotknął kciukiem przycisku na drążku sterowym. Sidewinder zeskokczył z prowadnicy i w ułamku sekundy przeskoczył kilkaset metrów, jakie dzieliły oba myśliwce. Trafił bezpośrednio w Niemca, pod lewe skrzydło, urywając je całkowicie.

Mann obserwował, jak Phantom wpada w korkociąg - niewiarygodnie powoli, w tym samym tempie, w jakim odpadła osłona kabiny, a wewnątrz błysnął odpalany ładunek prochowy. Ze spadającego samolotu wyskoczył odrzucany fotel pilota i pod rozwiniętym spadochronem zaczął opadać ku bezpiecznemu schronieniu w postaci fal Morza Północnego. - Mustang, tu Kowboj. Wszystkie samoloty, kurs trzy zero pięć. Bandyci idą na formację, pułap trzy. Bójka. Powtarzam, Bójka. Mann wcisnął włącznik mikrofonu.

- Kowboj, odebrałem. Uwaga, wszystkie Mustangi, nowy kurs trzy zero pięć. Bizon, wyłączam się.

Po tych słowach Mann niezwłocznie przesunął w przód manetkę ciągu swojego F/A-18 i poczuł, jak samolot podrywa się w przód, mknąc w poszukiwaniu nowego przeciwnika. Pozostało jeszcze skorygować kurs i prędko spojrzeć za siebie. Na dopalaczach silniki stanowiły rzadką zachętę dla rakiet z naprowadzaniem na podczerwień. Na szczęście nikt nie usiadł na ogonie Horneta. W pobliżu Mann spostrzegł jeszcze kilka F/A-18, idących tym samym kursem, choć na różnych pułapach. Radar informował o skupisku celów trzydzieści kilometrów w przodzie. Mniejsze ugrupowanie Konfederacji z dużą prędkością szło prosto na lotniskowiec. Na razie przeciwnik pozostawał poza zasięgiem strzału - na razie. Hornet szedł teraz bardzo lekko, bo bez dodatkowych zbiorników i połowy rakiet. Mann dojrzał nagle, jak zapala się wskaźnik paliwa. Ostatni skok na dopalaczu osuszył do reszty zbiorniki. Trzeba będzie rozejrzeć się za samolotem-cysterną, i to prędko. Komandor uzbroił ostatni pocisk typu Sparrow i naprowadził go na cel. - Pierwszy Mustang, atakuję.

USS „George Washington”

- Admirale, atak siłami ponad dziesięciu samolotów, prędkość tysiąc kilometrów na godzinę. Myśliwce próbują je zatrzymać. Po tej stronie szyku czuwa „Dale”, przygotowali rakiety. Lada chwila będą w zasięgu strzału, ale najpierw musimy odesłać myśliwce. Meldunek Marcha i zawarta w nim wskazówka stanowiły na dobrą sprawę formalność. Decyzję musiał jednak podjąć osobiście Ward, który okrcił się w fotelu, spojrzął na ekrany i nagle poczuł się tu zbędny - nie do końca, ale jednak.

- Odesłać myśliwce, okrętom nakazać ogłosić gotowość ogniową. Decyzja była jedynym logicznym wyjściem z sytuacji. Droge nadciągającej formacji zagradzały okręty rakietowe, które nie

mogły strzelać, by nie porazić własnych samolotów. Zezwalając okrętom na otwarcie ognia, pozwalało im się lepiej wykorzystać pociski. Każdy cel nie zidentyfikowany jako własny stawał się teraz - właśnie celem. Mając na myśli grupę symboli oznaczających własne myśliwce pościgowe, Ward zapytał: - Jak stoją z paliwem? - Wysłaliśmy już w ich pobliże cysterny.

Zadowolony z odpowiedzi Ward zatopił się znowu w ekranach. Nie, tak naprawdę nie czuł się niepotrzebny. Szło o to, że nie miał już żadnego wpływu na bieg wypadków. Jego plan wcielano w życie, toteż wszyscy mieli pełne ręce roboty - wszyscy, prócz niego właśnie.

Pierwszy Mustang

- Uwaga, wszystkie samoloty, tu Kowboj, przerwać pościg, nowy kurs zero cztery pięć.

Mann rzutem oka na przyrządy ocenił odległość od nieprzyjacielskiej formacji i z niechęcią zmienił kurs na ten wskazany przez radio. Oddalali się teraz zarówno od „George'a Washingto-na” jak i od przeciwnika. Samoloty Konfederacji wysforowały się zbyt daleko w przód, a tym samym zbyt blisko granicy zasięgu pocisków raketowych z okrętów. Trzeba było zrezygnować z pogoni. Dlatego Mann przekazał polecenie podwładnym i kiwając skrzydłami, uzupełnił je hasłem: - Mustangi, formować szyk za mną.

Pora była przeliczyć szeregi. Daleko w tyle resztki czterech dywizjonów Konfederacji zbiły się w dwie osobne grupki. Z prawie pięćdziesięciu myśliwców bombardujących, jakie wyprawiły się przeciwko amerykańskim okrętom, ocalało jedynie osiem. Część umykała do baz. Ich uszkodzenia wykluczały dalszą akcję.

Większość jednak spadła do morza, strącona ogniem działek i pociskami raketowymi. Trzy maszyny na przodzie grupy okazały się niemieckimi Tornado, a ciągnąca za nimi następna piątka składała się z Mirage 2000 z pociskami atomowymi pod kadłubem.

Zdziesiątkowani ogniem maszyn z lotniskowców francuscy i niemieccy piloci wiedzieli, że czas pracuje przeciwko nim. Nie patrzyli już nawet na wskaźniki paliwa, a tylko parli naprzód, świadomi, że jedyna nadzieja to osiągnąć odległość strzału i odpalić pociski. Kiedy to się stanie, będzie można zawrócić do bazy i próbować tam dociągnąć korzystając z faktu, że Amerykanie będą zajęci raketami. Nawet gumowy ponton wydawał się czymś

lepszym niż piekło, które przeżyli ocalali piloci. Zgodnie z ustalonym planem, idące daleko w przodzie Tornado przekazywały francuskim pilotom dane o położeniu celu -z konieczności, bo radary Mirage miały zbyt mały zasięg, by z tej odległości wykryć grupę amerykańskich okrętów, a precyzja była tu absolutnie konieczna. Pociski atomowe ASMPnie miały naprowadzania radarowego, które pomogłoby im trafić w ruchomy cel. Zaprojektowano je z myślą o atakach na stałe obiekty na lądzie i wyposażono w zwyczajny, inercjalny układ nawigacyjny. Tuż przed startem pilot samolotu-nosiciela wprowadzał do pocisku współrzędne geograficzne celu. Lotnicy w kabinach Mirage odebrali odległość od lotniskowca i podany przez Niemców kurs, a znając własną prędkość i prędkość okrętów mogli z grubsza obliczyć punkt celowania. Nawet pocisk z głowicą atomową musiał wylądować w promieniu trzech kilometrów od celu, by go zatopić, a w promieniu sześciu kilometrów, by go ciężko uszkodzić. Przy obecnej odległości margines błędu w celowaniu wynosił niecałe 2 procent. Trudno, wystarczy jedno celne trafienie... Po przeliczeniu danych, Mirage odpaliły pociski. Pięć opatrzonych statecznikami rakiet odpadło od zaczepów pod kadłubem każdego samolotu i pomknęło na północny zachód, błyskawicznie przekraczając barierę dźwięku. Kiedy Francuzi położyli się na skrzydło i zawrócili w stronę bazy, niemieckie Tornado znurkowały tuż nad wodę, wyrównując lot dopiero pięćdziesiąt metrów nad falami. Atomowe ASMP miały zasięg 150 mil morskich, natomiast niemieckie pociski Kormoran można było odpalić dopiero z jednej piątej tej odległości.

USS „Dale”

Dowódca „Dale” zdecydował się otworzyć ogień zanim jeszcze przez radio napłynął rozkaz, jaki wydał w tej sprawie admirał Ward. Wobec ataku nieprzyjacielskich samolotów niesubordynacja stawała się koniecznością - tym bardziej że „Dale” - krążownik rakietowy klasy Leahy - wraz z fregatą eskortową „Klakring” zajmowały wysuniętą pozycję trzydziści mil morskich przed dziobem lotniskowca, o tyleż samo powiększając zasięg pokładowych pocisków SM-2ER. Krążownik stanowił pierwszą linię obrony morskiego kolosa, jakim był „George Washington”. Załoga „Dale” sterczała na stanowiskach bojowych od wielu godzin. Od początku batalii doskonale wyćwiczony zespół centrali bojowej śledził

każdy etap walki powietrznej i z uwagą obserwował przybliżanie się samolotów. Radiolokatory wykryły grupkę maszyn Konfederacji, które wyrwały się poza obręb bitwy i ruszyły ku okrętom.

Obserwatorzy dostrzegli także, jak przed samolotami pojawia się kilka nowych, mniejszych ech. Dowódca krążownika ze ściągniętą twarzą śledził punkciki, upewniając się, że to nie przywidzenie.

- Nadal wspinają się i przyspieszają, panie kapitanie - zameldował szef baterii rakietowych. - Będą w moim zasięgu dopiero za minutę. Pięć ech.

- Dobra jest, Steve. Co to za pociski?

- Nie wiemy. Zaraz... - Podwładny przekartkował instrukcję w czerwonej plastikowej okładce. - Ponadźwiękowe, lecą wysoko, charakterystyka nie pasuje ani do francuskich, ani do niemieckich pocisków powietrze-woda. Brak emisji radarowej... Pociski przeciwradarowe? Chcą nam zdmuchnąć anteny?

Oficer zamiast meldować zastanawiał się na głos. Kiedy przeniósł wzrok z powrotem na ekran, widniała tam nowa informacja. -

Pociski przyspieszyły do Mach 3!

Oficer wrócił do opisów i nagle zeszywniał. Jeszcze raz starannie porównał dane zawarte w książce z liczbami na ekranie i zbladł.

USS „George Washington”

Lot tych samych pocisków śledzono w centrali bojowej lotniskowca i ze stanowiska dowodzenia eskadry. Sztabowcy Warda zorientowali się w sytuacji jednocześnie z oficerem na pokładzie „Dale”.

Zduszonym głosem dowódca obrony powietrznej okrętu zameldował admirałowi: - Pociski mogą mieć głowice atomowe! Charakterystyka pasuje do ASMP. Czas lotu dwie minuty.

Ward miał ochotę schować się gdzieś głęboko, lecz powściągnął absurdalny odruch. Na razie miał jeszcze co robić. - Za późno, żeby rozproszyć okręty. Uwaga, manewr alarmowy! Wszystkie jednostki mają się ustawić rufą do rakiet i odchodzić z maksymalną prędkością. Wszyscy mają zejść z pokładów! Aha, i natychmiast zawiadomcie sztab marynarki!

Ustawiając się rufą do kierunku eksplozji jądrowej mogło chociaż trochę ochronić okręty, choć oczywiście nie do końca. Idąc wzdłuż osi okrętu, fala uderzeniowa napotykała najmniejszy opór. Z kolei duża prędkość pozwalała zachować manewrowość na wzburzonych od wybuchu falach. Ward odszukał wzrokiem swego szefa sztabu. -Czy

o czymś zapomniałem, Harry?

- Powinniśmy wyłączyć wszystkie zbędne radary. Chodzi o skutki impulsu elektromagnetycznego.

- Zgoda - rzucił Ward. - Nie mamy czasu na nic więcej. A to skurwysyny... Zapłacą mi za to - mruknął pod nosem, choć we wewnętrzny głos podpowiadał mu, że aby spełnić pogroźkę, trzeba najpierw ocaleć.

- „Dale” otwiera ogień za trzydzieści sekund.

? Klucz niemieckich Tornado

Początkowe plany określały, że niemieckie Tornado jako pierwsze zaatakują Amerykanów pociskami powietrze-woda i zdezorganizują obronę zanim nadlecą atomowe ASMP. Zamiast wiązać obronę, trzem ocalałym maszynom przyszło jednak atakować główny i najważniejszy cel, w nadziei, że a nuż się uda. Kiedy Niemcy przekazywali Mirage położenie amerykańskiej eskadry, ich radary odnalazły zarazem dozorujący w przodzie krążownik rakietowy. Piloci wprowadzili więc do komputerów pokładowych dane o położeniu, kursie i prędkości „Dale” i zeszli jeszcze niżej nad powierzchnię morza. Pięćdziesiąt metrów nad falami, pędzące z rykiem silników Tornado schowały się pod horyzont radarów na pokładzie „Dale”, a tym samym przestały stanowić cel. Oczywiście same także zgubiły echo amerykańskiego krążownika. Położenie „Dale” znały jednak komputery, które nieomylnie poprowadziły Niemców w pobliże krążownika. Trzydzieści mil morskich od celu wskazania wyświetlaczy HUD kazały załogom odpalić pociski. Tornado wyskoczyły w górę, do pułapu dwustu metrów i odpaliły po dwa pociski każdy. Uwolnione od ciężaru, z ulgą zawróciły. Czekał je długi i pełen pułapek powrót. Kilkanaście kilometrów wyżej pędziła piątka rakiet ASMP.

? USS „Dale”

- Nowy atak z kursu jeden sześć trzy, zamiar zgadza się z tamtą poprzednią grupą Tornado. Oceniam, że wystrzelili pociski - odezwał się oficer obrony taktycznej krążownika do dowódcy. Za kilka sekund „Dale” miał wystrzelić pierwszą parę rakietowych pocisków przeciwlotniczych Standard 2ER. Kapitan nie miał nawet czasu od wrócić się do podwładnego. Za bardzo pochłaniały go zmagania z pierwszą rakietową salwą przeciwnika.

- Jeśli wystrzelili te swoje Kormorany, będziemy je mieli na ekranach dopiero na granicy dwudziestu mil, to znaczy za minutę.

Przy ich zasięgu mogą celować tylko w nas albo w „Klakringa”.

- To niech „Klakring” włączy radary i strzela.

- Panie kapitanie, widzę ponad pięć pocisków. „Klakring” sam nie da im rady.

Tym razem dowódca „Dale” odwrócił się do oficera obrony taktycznej i bardzo poważnym głosem oznajmił: - Rozumiem, Tom. Najważniejszy był lotniskowiec. Musieli go bronić choćby kosztem własnej skóry. - Rakiety poszły - zameldował od konsoli porucznik. Jego słowa natychmiast potwierdził rozdzierający uszy ryk dziobowych i rufowych wyrzutni.

Ramiona potężnych, podwójnych wyrzutni raketowych na obu końcach okrętu wróciły do pozycji poziomej, a w metalowym pancerzu krążownika otworzyły się podwójne drzwiczki. Wyjechały nimi błyskawicznie dwie następne ostronose rakiety - tak prędko, jak gdyby nie ważyły wcale półtony każda. Obciążone nową parą ramiona wyrzutni obróciły się do pionu, a potem skośnie ku niebu. Przeładowanie każdej wyrzutni zabierało około pół minuty. Przez ten czas pierwsza czwórka pocisków z „Dale” zdążyła przemierzyć połowę dystansu do coraz bliższych celów. Pociski wystrzelił także „Klakring”, którego pojedyncze wyrzutnie były uzbrojone w starszą wersję raket. Pojedyncza wyrzutnia strzelała prędej, bo co dziesięć sekund. Pokład i nadbudówki fregaty stały się wkrótce zupełnie czarne od dymu raketowych silników i osmalonej farby. Pociski SM1 miały trudne zadanie w starciu z ciągnącą tuż nad falami salwą Kormoranów. Dwa metry nad wodą radiolokatory naprowadzające SM1 głuśniały pośród bezliku ech odbijanych przez powierzchnię morza. Tymczasem pierwsza czwórka dalekosiężnych pocisków, które wystrzelił „Dale”, sięgała już francuskich ASMP. Pierwsza raketa z „Klakringa” chybiła i nie zestrzeliła Kormorana. Obie grupy celów nastęrczały wielkiego kłopotu: pierwsza leciała bardzo prędko i bardzo wysoko, druga wprawdzie wolniej, ale bardzo nisko. Pociski z „Dale” były nowocześniejsze i lepiej „widziały” cele. Dwie z czterech raket trafiły, szatkując odłamkami kadłuby i głowice atomowe ASMP. Drugi pocisk SM1 z „Klakringa” również trafił Kormorana, w fontannie piany strącając go do wody. Trzeci, celujący w to samo miejsce, chybił. Oficer ogniowy amerykańskiej fregaty co prędej skierował na niemieckie pociski raketowe następną salwę. Kormorany były coraz bliżej. Kiedy wyrzutnie „Dale” opuszczała trzecia czwórka

pocisków, nad obydwoma okrętami rozpękły się naboje z dipolami, a 76 milimetrowe działko fregaty otworzyło ogień, wysyłając jeden pocisk na sekundę w stronę nadlatujących Kormoranów. Eksplozje widać było tylko w postaci obłoczków szarego dymu. Trajektorię lotu francuskich ASMP przecięła druga grupa rakiet wystrzelonych z „Dale”. Do wody wpadły zestrzelone dwa następne pociski atomowe. Pozostał już tylko jeden. Pojedyncza wyrzutnia na „Klakringu” zdążyła wypluć osiem pocisków raketowych, lecz tylko jeden z nich okazał się celny. Ostatni również chybił, a Kormorany skrzyły łukiem w stronę krążownika. W ładowniach fregaty pozostało jeszcze mnóstwo pocisków, lecz na tę odległość łatwo było porazić nimi sąsiedni okręt. Od celu dzieliły niemieckie pociski już tylko sekundy. Na lewej burcie „Dale” ożył artyleryjski system przeciwrakietowy Phalanx, zasypując Kormorany ćwierćsekundowymi ciosami w postaci serii wolframowych pocisków. Podwójny radar sześciolufowego działka śledził lot zarówno celu, jak i własnych pocisków, odpowiednio korygując celowniki. Dwa kilometry od krążownika czarna kropka zmieniła się nagle w wielki szary rozprysk. Zamiast przerwać ogień i napawać się własną celnością, automatyczne działko puściło następną serię, zestrzeliwując kolejnego Kormorana. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Dwa niemieckie pociski rozerwały się w powietrzu, lecz trzy dosięgnęły okrętu. Dwa pierwsze lecąc prawie z prędkością dźwięku trafiły w lewą burtę „Dale” -jeden w rufową nadbudówkę, drugi pod pomost nawigacyjny. Głowica każdego Kormorana zawierała dwieście kilogramów materiału wybuchowego. „Dale” w mgnieniu oka straciła obie nadbudówki, a całe wnętrze kadłuba zbryzgał deszcz rozpalonych odłamków. W ciągu niewielu sekund krążownik zmienił się w płonący stos. Ostatnia czwórka wystrzelonych pocisków, pozbawiona nagle komend z okrętu, bez szkody przeleciała z daleka od francuskiej rakiety z głowicą atomową. W odległości skutecznego strzału znalazły się teraz okręty wewnętrznej strefy obrony. Rakiety odpaliły nierówną salwą zarówno krążownik raketowy idący za lotniskowcem, jak też fregata klasy Perry i niszczyciel raketowy klasy Kidd. Dwadzieścia mil morskich przed lotniskowcem, na wysokości jedenastu tysięcy metrów, jedna z amerykańskich rakiet nareszcie trafiła. W odróżnieniu od zestrzelonych do tej pory ASMP, ostatnia francuska rakietka

zdażyła uzbroić głowicę. Przy trafieniu, „wyczuwając” że to koniec, zapalniki zadziały i zdetonowały głowicę. Marynarze, którzy nie zdążyli jeszcze ukryć się pod pokładem, ujrzeli na niebie jasny krąg, wielkości niedużej monety i czerwony jak zachodzące słońce. Przy tej odległości wybuch jądrowy nie stanowił zagrożenia dla okrętów. Ci, którzy odwrócili oczy od błysku, patrzyli teraz na złowrogi omen apokalipsy. Po dwudziestu sekundach pokłady okrętów owionął podmuch gorącego wiatru - jedyny wyczuwalny znak, że gdzieś niedaleko temperatura i ciśnienie na chwilę dorównały wnętrzu słońca. Genialny plan admirała Gibierge zrobił klapę.

USS „George Washington”

Ward miał najwięcej roboty z ratowaniem rozbitków i strąconych pilotów. Kiedy wyszedł na skrzydło pomostu, resztki kuli ognistej zdażyły się prawie rozwiać. Na południowym wschodzie całe niebo pokrywały białe krechy rakietowych dymów, a czarna skłębiona kolumna wyznaczała miejsce, w którym zginął „Dale”. Ward musiał przyznać, że mieli cholerne szczęście. Gdyby nie zaskakujący plan, który pomieszał szyki przeciwnikowi, mogło być bardzo różnie. Strona amerykańska straciła krążownik i ponad dwadzieścia myśliwców, lecz za tę cenę zdziesiątkowała siły lotnicze Konfederacji. Kosztowało to życie pięciuset marynarzy i lotników. Ilu ludzi straciłoby życie, gdyby zamiast zwycięstwa eskadrę spotkał przeciwny los? Na miejsce szyku, w którym zabrakło „Dale” zmierzał już następny okręt rakietowy. Dywizjony myśliwców ścigały kolejno na pokład obu lotniskowców. Kiedy lotnicy odpoczną i zdążą coś przegryźć, każda „ptaszarnia” miała uderzyć siłami kilku grup naraz na bazy morskie i nadbrzeżne lotniska. Admirał Ward postanowił pokazać Francuzom i Niemcom, że za pomyłki drogo się płaci. Pocieszające było również to, że już za kilka dni miał tutaj ściągnąć trzeci lotniskowiec, „Vinson”. Dzięki temu dwa okręty tego typu mogły stale przebywać w linii, gdy załogi trzeciego odpoczywały i uzupełniały zapasy. Pozostawało jeszcze zastanowić się poważnie, co dalej. Fakt, że Konfederacja zdecydowała się przekroczyć próg konfliktu jądrowego, stanowił nowe wyzwanie dla admirała. Po pierwsze, oznaczał, że trzeba będzie rozproszyć na stałe szyk. To samo, co pomaga przy odpieraniu ataków konwencjonalnych, przy celnym ciosie atomowym tylko pomnaża straty. Ważniejsze decyzje Ward

musiał pozostawić politykom w Waszyngtonie i Londynie. Jedno było natomiast całkowicie jasne: w mgnieniu oka zmienił się całkowicie charakter nowej wojny.

23

Koleje losu

15 czerwca - Biały Dom,

posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa

Ross Huntington tylko jednym uchem słuchał zażartej dyskusji, jaka się wywiązała. Tym razem naprawdę postanowił zostawić wszystko w rękach członków Rady, przekonany, że poradzą sobie znakomicie bez wymądrzań się z jego strony. Poza tym wojskowe reperkusje atomowego ataku Francuzów na lotniskowiec „George Washington” i tak nie mieściły mu się w głowie. Huntington widział może siebie jako doradcę politycznego, ale na pewno nie jako eksperta od spraw wojskowych, a poza tym miał własne zmartwienia - i to tyle, że we własnym odczuciu postarzał się o dobrych piętnaście lat. Każdą wolną od snu godzinę Huntington spędzał w Fort Meade, doglądając analiz Narodowej Agencji Bezpieczeństwa na temat przechwyconych rozmów międzyrządowych i depesz dyplomatycznych. Materiału było mnóstwo, lecz nawet najteżsi specje od rozpoznania elektronicznego nie potrafili wyłapać żadnych konkretów. Szukali w eterze oznak kłótni, sporów i konfliktów w łonie Konfederacji, lecz w Europie panowała cisza. Prawdziwe pandemonium rozgrywało się natomiast w Waszyngtonie, gdzie od dwóch dni politycy i kibice wykłócali się na łamach prasy i w telewizji, przedstawiając sprzeczne poglądy na to, co dalej. Zgoda panowała tylko co do jednej sprawy, mianowicie, że działać należy natychmiast. Natychmiast, zgoda, ale w którą stronę? Ugodowo nastawieni liberałowie co sił wzywali do przerwania ognia, szukania kompromisu, a nade wszystko przystąpienia do rokowań. O wszystkim ich zdaniem powinny zdecydować rozmowy. Z kolei rozsierdzeni konserwatyści domagali się zmasowanych nalotów na Francję i Niemcy, albo wręcz użycia taktycznej broni jądrowej przeciwko wojskom Konfederacji na lądzie. Izolacjoniści znów, niezależnie od przekonań politycznych twierdzili, że incydent czarno na białym dowiódł, na jakie szaleństwo waży się Ameryka, mieszając się w „wewnętrzne swary” Europy. Całe widowisko wydawało się Huntingtonowi tak nedorzeczne, że ilekroć odrywał

się od nasłuchu radiowego i mikrofalowego, łapał się za głowę. Choć fakt, że Waszyngton bije rekordy świata w bełkocie nie był niczym nowym, Huntingtona doprowadzały do białej gorączki popisy dziennikarzy i „zaproszonych ekspertów”. Proszę, znawcy tyle razy już się pomylili, i znowu ładują się na antenę - ci sami, którzy w przeszłości zapewniali wszystkich czy kto chciał słuchać, czy nie, że Boeing KAL 007 Koreańskich Linii Lotniczych leciał w misji szpiegowskiej dla CIA, że ZSRR nie odważy się użyć broni chemicznej przeciwko afgańskiej ludności, i że najlepszy sposób, by skłonić Saddama Husseina do opuszczenia Kuwejtu to sankcje gospodarcze. Nawet dla Huntingtona było jasne, że przy całej rozbieżności poglądów, gadające głowy z ekranu wypowiadają się w imieniu nie tylko swoim, lecz także milionów Amerykanów. Nie był więc niespodzianką fakt, że identyczne podziały wystąpiły wśród ścisłej elity rządzącej krajem. Ci sami członkowie gabinetu, którzy głośno sprzeciwiali się dostawom ropy i gazu do Europy Wschodniej, w ataku atomowym na okręty widzieli pewny znak, iż Polska i jej sąsiedzi nie są dla Ameryki warte aż takiej ceny. Lucier, Scofield i Quinn dla odmiany z identyczną pogardą odrzucali wszelkie sugestie, by ugiąć się pod wojskową presję Konfederacji Europejskiej. Thurman natomiast miotał się wciąż pomiędzy frakcjami, próbując utrzymać się okrakiem na barykadzie. Z kolei gdy przychodziło decydować o życiu mężczyzn i kobiet w amerykańskich mundurach, szefowie sił zbrojnych stawali się niesłychanie ostrożni. Nie proponowali wprawdzie, by odtrąbić odwrot, lecz domagali się wyraźnych gwarancji, że w razie gdyby konflikt się zaognił, najwyższe władze kraju nie zostawią sił wysłanych za ocean na łasce losu. Prezydent na razie miał swoje własne zdanie i nie przychylił się do opinii żadnej z tych grup - nawet teraz, gdy rozmawiał z szefem Połączonych Sztabów. - Jak wyglądamy z planem przemieszczeń, generale? Zmieścimy się w limicie?

- Owszem - zapewnił prezydenta Reid Galloway. - Lada chwila powinniśmy wysłać do Gdańska pierwsze samoloty ze 101. i 82. Dywizją. Trochę to potrwa i uwiąże masę samolotów, ale przierzucimy te dywizje jak należy.

Huntington miał okazję zapoznać się z planem. Aby przeczucić za ocean jedną tylko brygadę ze 101. Dywizji Desantowej i jej etatowe wsparcie lotnicze, trzeba było przetransportować

2800 żołnierzy, ponad setkę śmigłowców i prawie pięćset pojazdów mechanicznych. Podczas przygotowań do operacji Pustynna Burza, sto samolotów transportowych typu C-5 i C-141 latało dzień i noc przez trzynaście dni, by uporać się z podobnym zadaniem. Tym razem operacji sprzyjały dwa nowe czynniki: po pierwsze, dwie brygady ze 101. Dywizji były gotowe do przerzutu, gdyż w chwili wybuchu wojny przygotowywały się do wspólnych lotnych manewrów w Wielkiej Brytanii. Po drugie Polska leżała bliżej USA niż Arabia Saudyjska, co pozwalało skrócić loty, a tym samym lepiej wykorzystać załogi i sprzęt. Zadanie było jednak przeogromne. -

A co z regularnymi dywizjami?

Szef operacji morskich w Pentagonie, szczupły, szpakowaty generał o wyraźnym bostońskim akcencie, uprzedził odpowiedź Gallowaya. - Ciągłe zbieramy potrzebne statki, panie prezydencie.

Załadunek też potrwa kilka dni. Mogę tylko z grubsza określić, że pierwsze konwoje powinny wypłynąć za siedem, góra dziesięć dni.

Thurman, który przezornie usadowił się u boku prezydenta, odchrząknął znacząco. - O co chodzi, Harris?

Sekretarz stanu splótł dłonie i przybrał możliwie poważną pozę. - Uważam, że nie powinniśmy wypuszczać tych statków z portu. Przynajmniej na razie, dopóki w pełni nie panujemy nad sytuacją, - A konkretnie dlaczego?

- Cóż, nie ulega wątpliwości, że posyłać powolny, cenny konwój pod francuskie rakiety atomowe to czysta głupota. Nim wyślemy te statki, powinniśmy uzyskać od Paryża solenne zapewnienie, że nie sięgną powtórnie po broń nuklearną. Bez takiego zapewnienia skusimy tylko Francuzów, a sami niepotrzebnie narazimy flotę i obie dywizje na zniszczenie.

Izolacjoniści, których nie brakowało wśród członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego, pomrukiem wyrazili swoją aprobatę wobec tych słów. - Niepotrzebnie?! - wtrącił się Huntington, który nie mógł nie zareagować, choć tyle razy przysięgał sobie w duchu, że zamilczy. Był tak rozgniewany i zły, że nawet nie czuł dudnienia pulsu w skroniach. - Czytał pan te same co i ja meldunki z pola walki. Bez tych dywizji Polska padnie, i koniec! Nie wolno nam zwlekać. Musimy...

Nie dokończył, gdyż pierś rozdarł mu przeraźliwy ból. Wielki Boże! Zadrzał, czując na całym ciele zimny pot. Zabrakło mu

powietrza. Wbił wzrok w stół i zaczął dyszeć, próbując złapać oddech. - Ross? Ross? Co się stało?!

Huntington z ogromnym wysiłkiem podniósł głowę. Prezydent z wyraźnym zaniepokojeniem przyglądał mu się z drugiego końca stołu. - Rany boskie, Ross, wyglądasz jak półtora nieszczęścia! - Żona też mi to mówiła... - Ross próbował zażartować, lecz zdjęty nowym paroksyzmem bólu zwinął się w fotelu. Czuł, że płuca zaciskają mu się jak ściśnięte rozpalonymi obcęgami. Gabinet zaczął zacierać mu się przed oczami. Przez szum, jaki miał teraz w uszach, przerwały się jeszcze ostatnie słowa prezydenta: - Dyżurny lekarz do sali sztabowej! Raz dwa, do cholery!

Godzinę później Huntington siedział na zimnej w dotyku kozetce w ambulatorium Białego Domu i otulał się połami idiotycznego, sterylnego fartucha z papieru. Klatka piersiowa piekła go nadal, lecz tylko w miejscach, z których pielęgniarka zerwała razem z włosami plastry przytrzymujące elektrody od EKG. Zapis znalazł się już w rękach szczupłego lekarza w białym fartuchu, z zaciśniętymi wargami wczytującego się w skaczącą po papierze linię. - I co tam pan widzi?

Francis Pardolesi, osobisty lekarz prezydenta Stanów Zjednoczonych, jeszcze raz przesunął wzrokiem po papierowej wstędze. - Zapis ma pan już normalny, ale tak często bywa przy dusznicy. Wszystkie objawy, tak samo jak pańskie dawne przejścia z sercem, wskazują, że to właśnie angina pectoris tak pana łupnęła. Sam pan widzi: zimne poty, zadyszka, dławiący ból w klatce piersiowej. Trochę niepokoją mnie te oznaki, panie Huntington.

- Proszę bez kitu, doktorze. Miałem następny zawał, tak?

- Nie sądzę - z wahaniem odezwał się doktor, dużo młodszy od Huntingtona. - Z tym, że w mojej ocenie zawał pana nie ominie. Zwłaszcza jeśli nadal będzie pan się tak męczył.

Huntington próbował oponować, lecz lekarz wszedł mu w słowo i zapowiedział następną serię badań. - To na wszelki wypadek, żeby potwierdzić diagnozę. Parę dni w klinice Waltera Reeda na pewno panu nie zaszkodzi.

- Nie pójdę do szpitala.

- To bardzo nierozsądne, co pan mówi. Naprawdę musi pan trochę odpocząć.

-- Doktorze, ja zwyczajnie nie mam czasu, żeby sobie

odpoczywać. Trwa wojna, muszę się zająć tyłoma sprawami... -
Huntington wstał i zaczął się rozglądać za swoją koszulą.
Pardolesi westchnął ciężko.

- Jak pan chce. Powtarzam, że robi pan wielki błąd. Naprawdę wielki błąd.

Po tych słowach lekarz wzruszył ramionami i zaczął czegoś szukać w szufladzie kartoteki. - Zanim pan wyjdzie, chciałbym, żeby mi pan podpisał pewien formularz.

- Mam zapisać klinice jakiś organ?

- Nic podobnego. Ma pan oświadczyć na piśmie, że rozmyślnie decyduje się pan nie skorzystać z porady. Że z całą świadomością odrzuca pan moje zalecenia.

- I jeżeli mnie trafi szlag, rodzina nie będzie mogła pana oskarżyć o błąd w sztuce, tak?

- Mniej więcej.

Przez uchylone drzwi gabinetu zabiegowego zajrzał nagle sam prezydent. - Jak tam pacjent, Frank?

- Pan Huntington spieszy się na cmentarz! - Pardolesi bezradnie zamachał rękami. - Odmówił pójścia do szpitala.

- Jego prawo. - Prezydent wszedł w końcu i odwrócił się do Huntingтона. - Trochę ci przeszło, Ross?

- Zupełnie przeszło. Głupstwo. - Huntington zdobył się na potulny uśmiech. - Przepraszam, że narobiłem takiego zamieszania. Dopadła mnie jakaś niestrawność, czy coś.

- Niestrawność, tak? - Prezydent i lekarz zamienili spojrzenia. - Posłuchaj, Ross, nie chcę mieć wśród przyjaciół samobójców. Masz parę dni odpocząć. Nabrać sił. Potem wrócisz do obowiązków, zgoda?

Huntington poczuł się niby dziecko przyłapano nad skorupami rozbitego wazonu - choć sprawa była jasna, postanowił łączyć jak najęty. Dlatego z uporem potrząsnął głową. - Z całym szacunkiem... Nie mam zamiaru leżeć plackiem w jakimś szpitalu, kiedy dzieją się takie rzeczy!

- Nie będziesz leżał w szpitalu, tylko tutaj. - Prezydent wskazał na sufit. Nad ambulatorium mieściły się pokoje gościnne Białego Domu. - Zaraz powiem, żeby personel przygotował ci pokoik. Doktor Pardolesi też będzie mógł cię mieć na oku. Dla ciebie to może głupstwo, a dla niego wprost przeciwnie. Co ty na to, Frank?
Lekarz skinął głową na znak zgody.

- Ale co z moim zadaniem? - Huntington chwycił się najpoważniejszego argumentu. Znalezienie jakiegokolwiek rysy w fundamentach Konfederacji rzeczywiście było zadaniem ważniejszym od wszystkich innych. Prezydent posłał przyjacielowi wieloznaczne spojrzenie.

- Uważasz, że ci analitycy z Agencji to ofermy?

- Nie, ale...

- Powiedz mi, Ross, czy kiedy prowadziłeś firmę, sterczałeś cały czas przy taśmie i zaglądałeś monterom przez ramię?

Huntington pojał, o co chodzi prezydentowi i uśmiechnął się jeszcze potulniej. - W takim razie zastanów się na litość boską czy musisz tak sterczeć przy moich fachowcach. Niech Agencja sama oddzieli ziarno od plew, a jeżeli trafią na coś ciekawego, specjalny posłaniec doręczy ci te materiały do łóżka czy nawet do wanny. Co, zgoda?

Huntington z wolna skinął głową, godząc się z tym, co nieuniknione, a potem podniósł nagle wzrok na prezydenta. -

Zaraz, ale... Co się stało po tym, jak... Jak wyszedłem?

Coście postanowili z konwojami, z francuskimi raketami, i tak dalej? Na twarzy prezydenta pojawił się nowy wyraz, zacięty i zdecydowany. Prezydent spojrzał krótko na Pardolesiego i odrzekł:

- Umówmy się, że podjąłem pewne ważne decyzje. Wszystko zabierze nam trochę więcej czasu niż myślałem, ale konwoje wypłyną tak jak było zaplanowane.

Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej

Generał Wiesław Staroń bez słowa wpatrywał się w mapę z naniesioną sytuacją. Nie zwracał najmniejszej uwagi na czuwających w pobliżu oficerów, którzy czekali na pytania, zadania albo przekleństwa. Zamiast krzyczeć, Staroń tylko westchnął. Przegrywał wojnę i nie mogły tego faktu zmienić ani wysiłki sztabu ani też męstwo żołnierzy. Francuskie i niemieckie oddziały umocniły się we Wrocławiu i od południa zaczęły podchodzić pod Poznań. Obie strony w dalszym ciągu ponosiły ciężkie straty, lecz najbardziej dotyczyło to trzech polskich dywizji, próbujących opóźnić pochód wojsk Konfederacji. Gdyby nie to, że polskie oddziały wycofywały się, gdy tylko przeciwnik skoncentrował przeważające siły, dawno zostałyby rozbite i rozproszone. Sytuacja w powietrzu wyglądała niewiele lepiej. W ponad dwu tygodniowych walkach z wielokrotnie liczniejszym

lotnictwem EuroConu polskie siły powietrzne utraciły większość najlepszych samolotów i najlepszych pilotów. Straty Konfederacji okazały się

jeszcze wyższe, a co więcej, amerykańskie zwycięstwo w przestrzeni nad Morzem Północnym oznaczało, że Konfederacja nie będzie mogła uzupełnić luki świeżymi dywizjonami z odwodów w Niemczech i Francji. Staroń wzruszył ramionami, bo nawet najpomysłniejsze nowiny niewiele zmieniały. Nawet bez całkowitego panowania w powietrzu, przeciwnik dysponował dostateczną przewagą liczebną i ogniową, by rozbić wykrwawioną polską armię w puch na długo, zanim do boju włączą się posiłki amerykańskie i brytyjskie. Skąd tu wyczarować trochę wojska, na tyle, by odmienić ten niekorzystny rachunek sił? Przynajmniej na chwilę, by zamieszać szyki Konfederacji i zyskać na czasie? Piwne oczy generała omiotły wschodnią część mapy. Wpatrując się w nią, Staroń wygrzebał z kieszeni wygniecioną paczkę papierosów. Adiutant podskoczył natychmiast z zapalniczką. Minister obrony pochylił głowę, rozdmuchał żar i podziękował mruknięciem - ani na chwilę nie odwracając się od mapy. Dym z generalskiego papierosa śmierdział nie tyle tytoniem ile piekielną mieszanką palonych liści i tektury. W początkach służby oficerskiej Staroniowi i jego rówieśnikom nawet się śniło o amerykańskich czy choćby francuskich papierosach. Po dziś dzień palił „Popularne”, mimo że teraz stać go było na lepsze gatunki. Kiedy go o to pytano, odpowiadał, że wszystkie inne papierosy smakują jak nieprawdziwe. Stąd „Popularne”, cuchnące rosyjską machorką. A, właśnie. Rosja. Staroń w dalszym ciągu trzymał na wschodnich rubieżach kraju pełne cztery dywizje, wypatrując zagrożenia z Białorusi, Ukrainy, a zwłaszcza ze strony ukrytego za nimi Wielkiego Brata. Połowa sił zbrojnych państwa tkwiła bezużytecznie setki kilometrów od ogarniętego wojną terytorium. Równie dobrze Polska mogła wysłać te dywizje na Księżyc, tym bardziej że rozpoznanie nie wykryło u Rosjan żadnych podejrzanych ruchów wojsk. Przemieszczenia, jakie zaobserwowano, wydawały się rzeczą normalną w sytuacji, gdy tuż za granicą wrze wojna. Takie wnioski można było przynajmniej wysnuć z amerykańskich zdjęć satelitarnych. Staroń długo się zastanawiał czy to prawda. Rozpoznanie z orbity miało swoje wady. Można było na przykład z góry przewidzieć, kiedy kolejny satelita będzie przelatywał nad

danym obszarem. Orbitalne czujniki dawało się zmylić. Staroń zamarzył po cichu, by umieścić wtyczkę gdzieś wysoko na Kremlu. Wtedy wszystko byłoby wiadomo. Ech! Czemu od razu nie wymarzyć sobie maszyny do odczytywania myśli przeciwnika? W tej branży wszystkie decyzje, zwłaszcza te najbardziej ryzykowne, podejmuje się na podstawie niekompletnych informacji. Na pociechę człowiek dostaje srebrne gwiazdki i generalski wężyk. Staroń odwrócił się do oficera łączności z siedzibami okręgów. - Niech mnie pan połączy z dowódcą 8. Zmechanizowanej.

17 czerwca - Leszno, punkt zborny 19. Dywizji Grenadierów Pancernych

Upchane burta w burtę czołgi Leopard 2 i Mardery zapełniały cały rynek Leszna i odchodzące od niego uliczki. Podziobane odłamkami wieże, obłożone gaśienice i ich obłuzowane osłony kontrastowały dziwnie z wielobarwnymi fasadami barokowych kamieniczek.

Niemieccy żołnierze z otępiąłym wzrokiem rozsiedli się wprost na bruku albo rozłożyli się na pancerzach. Wszyscy nie rozstawali się z hełmami i ani na chwilę nie spuszczała oka z broni.

Żołnierze niemieckiej 7. Dywizji Pancерnej walczyli niemal bez przerwy od dwunastu dni i znajdowali się na granicy wyczerpania.

Wiele wozów bojowych utknęło w drodze albo wymagało pilnej naprawy. Straty bojowe i uszkodzenia sprawiły, że niektóre bataliony liczyły zaledwie połowę etatowego stanu maszyn. Całej dywizji potrzebne było kilka dni wytchnienia. Z sąsiednich, szerokich ulic dobiegał klekot i zgrzyt gaśienic. Czołgi LeClerc i transportery AMX-10 sunęły na front. Francuska 5. Dywizja Pancerna, która dotychczas szła w drugim rzucie, przejmowała inicjatywę z rąk Niemców. Podpułkownik Willi von Seelow poskrobał się po brodzie, wściekły na blond szczecinę, jaką czuł pod palcami. Od dwóch dni nie miał czasu się ogolić. Czuł, że śmierdzi potem, cała skóra swędziała go i piekła. W polu higiena ograniczała się do przecierania oczu wodą z manierki, w próżnym wysiłku by zmyć zapieczzone błoto i kurz. Opuścił rękę i dalej gapił się na sunącą przez Leszno francuską kolumnę pancerną. - Jak ci się podobają nasi gogusie? - mruknął do von Seelowa podpułkownik Otto Yorck. - Ciekawe, kto też ich przekonał, że muszą zakurzyć te wszystkie nowiuteńkie czołgi?

Willego mało to obchodziło. Bez sympatii obserwował nie kończący się korowód pojazdów. - Ja też już myślałem, że nasz Montagne

oszczędza je na defiladę zwycięstwa.

- W defiladach to akurat Francuzi są nie do pobicia - dorzucił Yorck.

Willi pokiwał głową, bo w zupełności podzielał gorycz kolegi. Za długo kazano im czekać na złuzowanie. Wśród oficerów znaleźli się wręcz tacy, którzy głośno pytali czy Montagne otrzymał z Paryża tajne wytyczne, by ograniczyć do minimum francuskie straty w coraz dłuższej i coraz mniej popularnej wojnie. Nareszcie jednak, mając francuską szpicę, cały II Korpus Konfederacji mógł ruszyć na północny wschód, spychając w tył broniących się zażarcie Polaków. Celem manewru było uchwycenie przeprawy na Warcie - nad Poznaniem, w miasteczku, które się nazywało Śrem. Po przekroczeniu rzeki, korpus miał znów zatoczyć łuk ku północy, nacierając wzdłuż prawego brzegu Warty w kierunku miasta. Montagne, Leibnitz i pozostali generałowie uważali, że w ten sposób uda się oskrzydlić najsilniejsze pozycje obronne Polaków. Na północ od Poznania mieli się połączyć z idącymi spod Zielonej Góry trzema dywizjami III Korpusu Konfederacji. A potem? Co potem? Seelow dałby sobie głowę uciąć, że nawet po utracie czy okrążeniu Poznania Polacy nie usiądą do rozmów. Ten, kto tak myślał, był niebezpiecznym fantastą. Wzdłuż całego wybrzeża Bałtyku Amerykanie rozwalali na miazgę kolejne niemieckie bazy, lotniska i umocnienia. Było jasne, że kiedy się z tym uporają, otworzą cały akwen dla konwojów z własnym i brytyjskim wojskiem. A skoro czas pracował dla Polaków czy można się było spodziewać, że Warszawa zacznie myśleć o kapitulacji? Von Seelow zerwał się i szybkim krokiem ruszył ku budynkowi zarekwirowanemu na sztab brygady. Nie mógł się opędzić od myśli, że cała brygada wpakowała się po kolana w bagno i wciąż głębiej zapada się w rzadką, bulgoczącą maź.

20 czerwca - oddział Malanowskiego, na południe od Warty Od północy zaczęła dudnić artyleria, jak daleki odgłos burzy w szary i pochmurny dzień. Ukryta w brzeziniaku czterdziestka brudnych, obszarpanych polskich żołnierzy poderwała się z ziemi, lecz po chwili zobojętniała. Strzelano gdzieś daleko, więc nie było się czym przejmować. Wrócili ponownie do przerwanej zajęcia i znów zaczęli czyścić broń - najrozmaitszą, bo oprócz polskich karabinków widziało się też niemieckie i francuskie. Paru innych

żołnierzy grzebało pod maskami pojazdów, także pościąganych z najróżniejszych miejsc. Oprócz dwóch samochodów osobowych w brzeziniaku stał polski UAZ, amerykańskiej produkcji terenowy Humvee i niemiecka ciężarówka z plandeką. Major Marek Malanowski przysiadł wygodnie na polance po środku zagajnika i nie przerywając słuchał perory chłopa z pobliskiego gospodarstwa, który znalazł ich tu dziś rano, przynosząc ciekawe nowiny. - Ale czy to na pewno sztab? Nie żaden szpital albo magazyn polowy?

- Co to ja, panie majorze, w wojsku nie był? - obruszył się gospodarz. - Gdzie tak salutują, że mało im się ręce nie pourywają? Tylko w sztabie! Anten se nastawiali tyle, że chałupy spod nich nie widać! O, co ja jeszcze widział... Lekarze też sobie salutowali. Widać, że sztab blisko!

- Co racja, to racja - Malanowski uśmiechnął się wesoło i za patrzył się we własne, splecione dłonie. Nieprzyjacielski punkt dowodzenia, i to tuż pod nosem. Hmm.

- Dużo posterunków rozstawili?

Stary gospodarz zaśmiał się skrzypliwie i splunął.

- Zaś ale, gdzie tam! Paru piechurów stoi, i tyle. Ze dwa karabiny maszynowe, do tego jeszcze parę ciężarówek.

- A nie zbierali się czasem, nie przenosili w inne miejsce? - E, nie! - Rolnik z przekonaniem pokręcił siwą głową. - Musieliby, panie, połowę aut zostawić. Porozkręcali, co się da, w motorach gmera jeden z drugim...

Malanowski wstał i przeciągnął się z wysiłkiem. Piekielnie bolały go łydki. Dziwnym trafem ostatnio ciągle był na nogach. Trudno, będzie jeszcze okazja wymoczyć nogi. - Wiecie co, gospodarzu? Może i ja bym rzucił okiem na ten wasz sztab? - Malanowski rozejrzał się po polance i uśmiechnął się chłodno. - Coś mi się wydaje, że wpadniemy tam z wizytą. Ot, wieczorkiem. Co, chłopaki? Podwładni zgodnie pokiwali głowami.

Malanowskiemu zupełnie wystarczyła taka odpowiedź. Wiedział, że żołnierze zrobią wszystko, by się odegrać na przeciwniku.

Niektórzy byli rozbitkami z jego starego batalionu; inni przyłączyli się podczas długiej, pełnej niebezpieczeństw wędrówki znad Nysy przez Bory Dolnośląskie. Po drodze nie próżnowali - co rusz schodzili z drogi patrolom Konfederacji i przy każdej sposobności napadali na łączników albo ciężarówki z

zaopatrzeniem. Nadarzała się jednak okazja, by zapolować na grubszą zwierzynę.

Nochowo, stanowisko dowodzenia 19. Brygady Grenadierów Pancernych Sztab 19. Brygady Grenadierów ukryto w rozległym sadzie przy szosie łączącej Leszno ze Śremem i tamtejszym mostem na Warcie. Od najbliższej osady, którą było Nochowo, oddzielało tę pozycję pięćset metrów otwartej przestrzeni. Von Seelow wygramolił się z wozu dowodzenia, starego amerykańskiego M577 i cierpliwie czekał, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności. Od zachodu słońca minęły dwie godziny, tak, że księżyc miał rozjaśnić okolicę dopiero później. Sztabowcy musieli sobie tymczasem radzić za pomocą kilku osłoniętych lamp i generatora. Od północnego wschodu na horyzoncie co chwila pojawiały się rozbłyski, którym towarzyszył daleki, przytłumiony huk. Von Seelow nadal nie wiedział, co się właściwie dzieje. Sztab korpusu nie powiadomił brygady o rozwoju sytuacji, lecz nie ulegało wątpliwości, iż Polacy urządzili francuskiej dywizji popisowe łanie. Skąd, u diabła, znaleźli dostateczną ilość sił do kontrataku? Który odcinek frontu ogołocili z ludzi, by przysłać posiłki właśnie tu? Von Seelow ogarnął wzrokiem grupkę oficerów skulonych nad sztabowym stołem z lampką. Idąc w stronę kolegów, uświadomił sobie, że jeśli sytuacja taktyczna na drugim brzegu Warty rzeczywiście się pogorszy, brygada znów pójdzie na front. Wiedział to również pułkownik Bremer, który przyzwał do siebie dowódców wszystkich batalionów na krótką odprawę. Rozpostarta na stole mapa ukazywała rozmiary klina, jaki wojska Konfederacji wbiły w polskie terytorium. Von Seelow zdumiał się, jak bardzo tereny opanowane przez EuroCon przypominają haczyk rybacki. Zamiast przec w kierunku Górnego Śląska, za Wrocławiem wojska Konfederacji ostro skrzyły na północ. Von Seelow miał cichą nadzieję, że Polaków manewr zdumiał i zaskoczył jeszcze bardziej niż jego własną brygadę. Ktoś szarpnął go za rękaw.

- Panie pułkowniku!

Von Seelow rozpoznał ochryply głos szeregowca Neumanna.

Łącznościowiec wybiegł widać w ślad za nim z wozu dowodzenia. - O co chodzi?

- Dywizja na linii, panie pułkowniku. Mówią, że pilne.

Von Seelow zdusił przekleństwo, bo z oficerem operacyjnym 7.

Dywizji rozmawiał ledwo parę minut wcześniej. Wszystko sobie już

powiedzieli, więc o co znowu chodzi? Na pytające spojrzenie Bremera Willi wskazał podbródkiem na wóz z radiostacją i kiwnął głową na znak, że zaraz wróci. Dowódca brygady przytaknął również i podjął kwestię, wprowadzając oficerów w szczegóły bitwy, jaka wywiązała się za rzeką. Podpułkownik pomknął z powrotem do pękatego i osmolonego wozu, zauważając mimochodem, że tej nocy prawie nikt nie

pilnuje terenu. Postanowił w duchu porozmawiać o tym, ciepło i serdecznie, z podporucznikiem Preussnerem, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo sztabu. Pododdziały wartownicze tworzyli zwykle żandarmi i służby ochrony tyłów z 7. Dywizji, lecz obie formacje zdążyły się rozproszyć po całym Dolnym Śląsku, by strzec mostów i ochraniać transporty z zaopatrzeniem. Na ich miejsce Bremer kazał Preussnerowi pozbierać zbędnych ludzi ze wszystkich batalionów. Von Seelow miał dziwne wrażenie, że decyzja pułkownika jest grubym błędem. Czy można się dziwić, że dowódcy batalionów natychmiast skorzystali z takiej okazji, by się pozbyć najbardziej niezgułowatych albo podpadniętych żołnierzy?

Wprawdzie nawet z takiej zbieraniny doświadczony dowódca umiałby prędko zrobić wojsko, ale Preussner? Szczuplutki podporucznik do tej pory kierował szyfrantami brygady i był doskonałym sztabowcem, ale na pewno ostatnim człowiekiem, któremu von Seelow powierzyłby komendę na pierwszej linii. W normalnych warunkach Preusser dowodziłby co najwyżej księgowością, ale tym razem warunki raczej trudno było określić jako normalne, a po dwóch tygodniach walk w brygadzie zaczęło dziwnie brakować młodszych oficerów. Dobieranie osoby do stanowiska to luksus, który skończył się wraz z pierwszym wystrzałem. Po opuszczonej tylnej rampie von Seelow wszedł do wozu i przez zaciemniającą kotarę dał nura do ciasnego przedziału łączności. Któryś z operatorów podał mu słuchawki. Trudno, rozmowę z Preussnerem trzeba było odłożyć na inną okazję. Było jasne, że II Korpus zamierza zwalić brygadzie na łeb nowe, jakże odpowiedzialne zadanie. W obłożonym workami z piaskiem posterunku wartowniczym przy drodze do Nochowa, dwieście metrów od sadu, błysnęła zapalana zapalka. - Co wy wyrabiacie, Vogler?! - syknął podporucznik Paul Preussner. - Ja wam zaraz... Zaraz wam każę zjeść tego papierosa, nie myślcie sobie! Tu nie Berlin, a warta to nie przystanek autobusowy! - Już dobrze, dobrze - odmruknął szeregowiec i

pstryknął papierosem pod nogi. Preussner popatrzył na żarzący się ognek i rozduśił papierosa obcasem. Czuł, że lada chwila wyjdzie z siebie. Włosy dęba stają! Ile się człowiek naużera z tymi idiotami! Same łajzy. Ech, gdzie ci kompetentni i posłuszni fachowcy, którymi dowodził w sekcji szyfrów...

Z zadumy wyrwał go coraz bliższy hurgot wysokoprężnego silnika. Z szosy na polną drogę skręciła wojskowa ciężarówka i skrzypiąc na wybojach ruszyła w stronę sadu. Preussner podniósł głowę. - No, co jest, Vogler, meldujcie co widać!

- Widać ciężarówkę, panie poruczniku, a co?

Zamiast gołymi rękami udusić ofermę Voglera, Preussner tylko westchnął. Gdyby miał podawać do raportu za pyskowanie, połowa sekcji wartowniczej dawno siedziałaby w pace. - I co dalej?

- To nasza ciężarówka, panie poruczniku.

Preussner złapał się za głowę i zdobywając się na niebiańską cierpliwość zaproponował: - Szeregowy, a może byście się tak zechcieli upewnić czy to naprawdę nasi?

Vogler odmruknął coś, co podporucznik wolał odczytać jako oznakę zgody, z kwaśną miną przerzucił karabinek przez ramię i wygramolił się zza worków między koleiny drogi. Kiedy ciężarówka była blisko, zaciemnioną latarką dał znak, by się zatrzymała.

Preussner ciężko opadł na worki z piaskiem i cierpliwie czekał, co jeszcze zmałuje podwładny. Drzwi szoferki otworzyły się ze skrzypnięciem. Kierowca lekko zeskoczył na ziemię i stanął tuż przed Voglerem. W mętym świetle latarki Preussner spostrzegł, że mundur kierowcy jest jakiś dziwny, niezupełnie w ten deseń, co trzeba. Vogler tymczasem zeszywniał i okręcając się do porucznika, nieswoim głosem wycharczał: - To są Pola...

Coś błysnęło w ciemności i wbiło się w plecy szeregowca, który jęknął i osunął się na ziemię. Preussner nadal stał z szeroko otwartymi ustami, czując że nie może zrobić kroku. Nieruchomym wzrokiem chłonał widok skulonego ciała Voglera i postacie w polskich mundurach, wyskakujące spod plandeki na drogę. Wszystko toczyło się powoli niby we śnie. Naraz jednak Preussnerowi wróciła przytomność umysłu. Już zaczął się szamotać z kaburą, kiedy z ciemności wyfrunął ciężki, okrągły przedmiot i upadł między worki z piaskiem, tuż pod nogi Niemca. Paul Preussner okiem analityka zdążył jeszcze rozpoznać w tym przedmiocie polski granat obronny F-1. Zanim nad nocnymi polami ucichł grzmot

eksplozji, postaci w mundurach zerwały się z wysokiej trawy i nie zżętego zboża, okrażając dymiące, rozsypane worki z piaskiem. Zgodnie z obietnicą, Major Malanowski rzeczywiście zjawił się z kurtuazyjną wizytą. - ... Francuzi wycofują się, Willi... Do rana musicie wejść w lukę, bo inaczej tamci przerwą front... To już nie są żarty...

Willi von Seelow mocniej przycisnął słuchawki do uszu, próbując wyłapać głos dywizyjnego sztabowca spośród szumów i zniekształceń. Polskie zagłuszarki działały coraz skuteczniej, korpus zaś nie miał czasu, by rozciągnąć kable telefoniczne czy rozstawić radiolinie. Dwie rzeczy wiadomo było jednak na pewno - że skubani Francuzi dostali w dupę i uciekają, to po pierwsze. Po drugie, że Montagne i jego zgraja chcieli się wykpić od klęski posyłając w bój 19. Brygadę Grenadierów Pancernych. Któryż to już raz? Von Seelow przełączył się na nadawanie.

- Odebrałem wiadomość. Tylko że...

Na zewnątrz wozu coś ciężko grzmotnęło.

- Jedną sekundę! - Von Seelow zdarł z głowy słuchawki i prędko spojrzał na usadowionego obok sierżanta. - Co tam się, kurwa, dzieje?

Przez pancierz wozu dowodzenia dały się teraz słyszeć wystrzały - prędkie kasłanie karabinu maszynowego i trzeszczące serie z Kałasznikowów. Przez strzelaninę przebijały się wrzaski i przenikliwe krzyki. Polacy atakują! Von Seelow cisnął słuchawki sierżantowi.

- Wzywać pomocy, prędko!

Nie czekając na odpowiedź zerwał się z metalowego siedziska, odryglował kopulasty właz dowódcy i ostrożnie wyjrzał przez szczelinę. Zaparkowane wokół sztabowego obozowiska ciężarówki zdążyły się już zająć jasnym płomieniem, podsycanym ropą z przestrzelonych baków. Serie pocisków kosiły ludzi na całym placu. Ci, którzy zdążyli uskoczyć pod wozy pancerne albo schowali się za sprzętem, próbowali się ostrzeliwać. Nocną ciemność rozciął pocisk kumulacyjny z ręcznego granatnika. Rozpruty trafieniem Marder zapalił się natychmiast, a rój ostrych jak brzytwa odłamków ściał z nóg i rozszarpał dwóch niemieckich oficerów, którzy ukryli się za transporterem. Z ciemności wzdłuż obozowiska błyskały ognie wystrzałów. Polacy nie zdążyli się jeszcze wedrzeć w obręb obiektu, lecz tu i tam migały w mroku

przygięte, skradające się sylwetki. Widać było, że lada chwila dokończą dzieła. Następny granat rozerwał się dokładnie pod sztabowym stołem z mapami. Von Seelow odchylił do końca pokrywę wjazdu, złapał rękojeść osadzonego przy władze karabinu maszynowego MG3, przeładował broń i wypuścił długą serię w kierunku nacierających żołnierzy wroga. W blasku płomieni widać było, jak kilku napastników osuwa się na ziemię, a inni padają, szukając ukrycia.

Nieco z boku jeden z Polaków podniósł się jednak na klęczki i przyłożył oko do celownika ręcznego granatnika przeciwpancernego. Willi bardziej wyczuł ten ruch niż go spostrzegł i nie zdejmując palca ze spustu, szarpnął karabinem w tamtą stronę. Cztery pociski 7,62 mm z prędkością 900 metrów na sekundę przeszły strzelca z RPG, zanim jeszcze zdążył wystrzelić. Korzystając z osłony ogniowej i tego, że Polacy zalegli, kilka niemieckich załóg zdołało po omacku wsiaść do transporterów i również otworzyć ogień. Noc rozdarły nitki pocisków smugowych, szybując daleko w pola. Atak zakończył się równie nagle, jak zaczął. Polacy zniknęli w ciemnościach, wlokąc za sobą rannych i zabitych. Uciekając, zostawiali za sobą doszczętnie rozbitą sztab 19. Brygady. Pół godziny później von Seelow bezradnie patrzył na znajomą postać, rozciągniętą bezwładnie na pokieroszowanym stole sztabowym. Sanitariusz z niewesołą miną podniósł się z klęczek i potrząsnął głową. Pułkownik Georg Bremer poległ. Willi przełknął ślinę i odwrócił się, załamany rozmiarami klęski. Tyłu zabitych, tyłu ciężko rannych... Wśród tych ostatnich znalazł się zastępca dowódcy brygady, Jurgen Greif, a także stary kumpel, Otto Yorck. Polscy komandosi zdziesiątkowali cały sztab 19.

Brygady. - Panie pułkowniku!

- Znowu wy, Neumann?

Szeregowy nadal nie mógł przyjść do siebie. Kiedy zaczęto strzelać, stał tuż obok Bremera. - Znowu II Korpus. Pytają, czy możemy rozpocząć przemarsz. Mówią, że za rzeką jest jeszcze gorzej, niż było.

- Pewnie myślą, że jesteśmy na majówce, co? Że motyle tu, kurwa, łapiemy?! - wybuchnął von Seelow i natychmiast ugryzł się w język. Neumann nie był tu ostatecznie niczemu winien. Willi klepnął go w ramię, a wciąż przestraszony szeregowy drgnął nerwowo. - Powiedzcie kapitanowi Weberowi, że ma się połączyć z

korpusem i zameldować, że za godzinę ruszamy dwoma batalionami. Niech tamci dopilnują, żebyśmy nie czekali na przeprawach. Zapamiętaliście?

Neumann przytaknął i oddalił się czym prędzej.

Will wziął głęboki oddech, po czym zanurzył się w płataninie wypalonych i podziobanych kulami transporterów, zwołując ocalałych oficerów. Wobec śmierci Bremera i ran, jakie odniósł Greif, dowództwo brygady przechodziło w ręce podpułkownika von Seelowa - czy się to komuś podobało, czy nie.

24

Koncentracja

21 czerwca - 19. Brygada Grenadierów Pancernych, przeprawa mostowa na rzece Warcie

Von Seelow zmrużył oczy, oślepiony wstającym słońcem, i puścił kolejną wiązaną przekleństw. Obietnice II Korpusu okazały się głównie warte: wszystkie trzy mosty pontonowe były zapchane francuskimi oddziałami, zmykającymi co sił w nogach i gąsienicach. Czołgi LeClerc ze znamionami stoczony bitwy - w postaci podziobanych pancerzy, zablokowanych wież czy dymiących silników - rwały z powrotem za rzekę przemieszane z innymi, z których nie zdrapała się nawet farba. Piechurzy maszerowali powoli, w otepiałym rytmie, byle dalej, a ciężarówki, które pośród upału utknęły na moście, zamiast odholować, co prędzej spychano do wody. Willi dopadł kapitana francuskiej żandarmerii, kierującego ruchem kolumn i wskazując na trzy wstążki pontonowych mostów wrzasnął. - O nic pana nie proszę, kapitanie, tylko żądam, jasne? Ma pan oczyścić dla mojej brygady przynajmniej jeden most. Nie zaraz, natychmiast!

Żandarm obliznął spieczoną wargi i nerwowo wzruszył ramionami. - W niczym panu nie mogę pomóc, pułkowniku. Generał Belliard osobiście wydał mi rozkaz, żeby wszystkie mosty zarezerwować dla 5. Pancerniej.

Von Seelow nawet się nie zdziwił. Ostatecznie generał Belliard dowodził właśnie francuską 5. Dywizją Pancerną. Zamiast krzyżeć, obejrzał się na niemiecką kolumnę. Leopardy 2 i Mardery zdążyły już utknąć w ciasnym szyku, daremnie czekając na przeprawę.

Rozproszyć się nie było jak, cofać się także zresztą nie.

Wprawdzie w szeregach mówiono na czołgi Leopard „Der Schimpanse”, bo były tak proste w obsłudze, że kierować mogła nimi nawet

małpa, ale nie znaczyło to jeszcze, iż szympanse potrafią pływać. Pozostawało się modlić, by przez sieć patrolujących samolotów i naziemnych baterii rakiet przeciwlotniczych nie przedarł się jakiś zabłąkany polski myśliwiec bombardujący, albo by nieprzyjacielska artyleria nie zajęła się potwornym korkiem nad rzeką. - Gdzie w takim razie znajdę generała Belliarda? Znów to samo niepewne wzruszenie ramion.

- Dokładnie nie wiem, panie pułkowniku, jego wóz dowodzenia przejeżdżał tędy parę godzin temu.

Niech to szlag! Willi poczuł, że gniew wzbiera w nim jak rozżarzony do białości płynny metal. Tchórz Belliard na pewno dawno prysnął na tyły, żeby się schować za lampasami generała Montagne! Pułkownik miał właściwie ochotę rozsiać się na brzegu i uznać, że w tym stanie rzeczy nie da się rzucić brygady do walki, trudno, świetnie. Przeważało w nim jednak inne uczucie, które ktoś staroświecki nazwałby pewnie honorem, wspomnieniem przysięgi czy żołnierskim obowiązkiem. Von Seelow wyśmiałyby takie teorie, lecz nie zmieniało to wcale jego decyzji. Nie zwlekając dłużej, złapał francuskiego kapitana za kłapy, okrecił go i ustawił na wprost lufy 120 milimetrowej armaty czołowego Leoparda 2. - Widzi pan tę armatę, kapitanie?

- Widzę.

- Znakomicie. - Von Seelow nachylił się, by spojrzeć wystraszonemu kapitanowi prosto w oczy. - W takim razie niech pan uważnie posłucha. Albo natychmiast znajdzie się dla nas przeprawa, albo moje czołgi rozwalą wszystkie trzy mosty i spławią

je w dół Warty. Czy pańscy ludzie zdążą z nich zejść, to już mnie mało obchodzi. Rozumiemy się?

Francuz stał z rozdziawionymi ustami i z ogromnym niedowierzaniem spoglądał na twarz von Seelowa. Potem zamknął paszczę i pospiesznie pokiwał głową. Pułkownik puścił go i nie odwracając się pomaszerował z powrotem do swojego wozu. Pod komendą Willego von Seelowa 19. Brygada Grenadierów znów szła na pierwszą linię.

21 czerwca - baseny portowe w Savannah w stanie Georgia

Na nadbrzeżach portowych Savannah dźwięk dzwonów wzywających na niedzielne nabożeństwo tonął bez śladu, zagłuszony nieustającym rykiem dieslowskich silników i łomotem ciężkiego

sprzętu. Hałas i gorączkowa krzątanina nie przeszkadzały tylko chmarom gzów i muszek, bzyczącym leniwie w parnym, wilgotnym powietrzu nad brudną wodą basenów portowych wśród pordzewiałych, stalowych kadłubów. Coraz to nowe statki zapychały port, biorąc na pokład ładunek dla wojsk walczących w Europie. Kilka spośród tych jednostek było wyposażone w furty rufowe i burtowe, przez które łatwo było wtaczać i wytaczać kontenery i pojazdy, lecz większość statków stanowiły zwykłe frachtowce. Nad otwartymi pokrywami ładowni pochylały się rytmicznie portowe żurawie, przytłaczające rozmiarami wszystkie ładowane skrzynie, kontenery i palety, ułożone stosami na brzegu. Mike Decker znalazł sobie niską skrzynię, położył na niej pudełko z drugim śniadaniem i ostrożnie, z uwagi na drzazgi, rozsiadł się na deskach. Nie miał nic do zarzucenia krzeselkom w kabinach żurawi portowych, ale po ośmiu godzinach w stalowej klatce, człowiek miał ochotę klapnąć sobie wygodnie na czymś innym - na przykład na skrzyni. Wielką chustką otarł pot z opalonej twarzy i łysiejącej głowy.

Poprzednia noc była gorąca, wilgotna, a przede wszystkim wyczerpująca. Deckerowi nie zbywało na siłę, nadal rządził się w dokach jak na własnym podwórku, ale miał już swoje lata. Kiedy się odlicza miesiące pozostałe do emerytury, bywa, że człowiekowi coś strzyknie w krzyżu. W robocie Decker nie ustępował młodszym, ale wysiłek kosztował go znacznie więcej niż gówniarzy z młodszych roczników. Znacznie więcej. Całą nocną zmianę - na szczęście za podwójną stawkę - Decker ładował kolejne skrzynie, pojazdy, działa i resztę wojskowych zabawek, lecz kiedy nad portem wstał ranek, wyglądało, że z równym skutkiem mógł przez te osiem godzin chrapać w kabinie. Caluteński port zawałony był zapasami, długimi rzędami łaciatych czołgów, ciężarówek, samobieżnych haubic na gąsienicach i masą innych pojazdów. Następne falangi wozów bojowych czekały już na kolejowych platformach, ustawionych na portowych bocznicach. Bliżej nadbrzeża trudno się było przecisnąć między skrzyniami i paletami, którymi zastawiono każdy skrawek wolnej przestrzeni. Z portu z Savannah miały wyruszyć do Polski dwie amerykańskie dywizje lądowe - 24. Zmechanizowana i 1. Pancerna. Inne jednostki ładowano razem z całym sprzętem w sąsiednich portach wschodniego wybrzeża, gdzie w ładowniach statków niknęły kolejne pociągi z ludźmi i czołgami. W załadunku pomagali cywilnym dokerom

marynarze ze zmobilizowanych jednostek i specjalne ekipy Marynarki Wojennej. Praca trwała na trzy zmiany, dzień i noc. Decker pracował w porcie od trzydziestu lat. Niegdyś na pokładzie podobnego statku sam ruszył za morze, do Korei. Kiedy wrócił, znalazł sobie zajęcie przy załadunku - czasem, tak jak teraz, przy załadunku wojska. Wszystkie gazety trąbiły o nowej wojnie w Europie. Ojciec Deckera, staruszek, ale bardzo jeszcze bystry, co chwila zaczynał swoje opowieści o tym, jak to Amerykanie walczyli za Atlantykiem - poprzednim razem. Podobnie jak syn, stary Decker był portowcem. Kiedy wyładowane wojskiem statki szły w morze, nieodmiennie życzył im po cichu szczęścia. Decker junior również życzył im szczęścia.

22 czerwca - Kompania Alfa z 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty, nad Gdańskiem

Mimo że paliły się wszystkie wewnętrzne lampki, w przepastnej ładowni ciężkiego samolotu transportowego typu C-141 trwała jeszcze ciemność. Kapitan Mike Reynolds prawie nie widział podoficera od załadunku - zwalistego sierżanta, który z ręcznym megafonem w ręku pojawił się na drugim końcu ładowni i trzymając się wystającej wręgi, poprzez jednostajny huk odrzutowych silników wykrzyczał: - Panowie wojsko, uwaga! Lądowanie będzie bojowe, na raz dwa. Nikomu się nie pali dostać bombą od jakiegoś Szwaba czy żabojada, więc na pasie postoiemy tylko tyle, ile trzeba. Każdy ma sprawdzić czy wszystko zabrał i biegiem wypieprzać z samolotu. Na tym lotnisku, panowie, nie ma biura rzeczy znalezionych.

Ściśnięci w ładowni żołnierze zaśmiali się krótko.

- Kiedy tylko dotkniemy betonu i trochę wyhamujemy, dam sygnał, żeby rozpiąć pasy. Wszyscy mają wstać i ustawić się przy drzwiach, każdy powinien wiedzieć, przy których. Kiedy się otworzą, hop i już was nie ma! Za poprzednim razem opróżniliśmy tę ciężarówkę w dziesięć minut, chociaż była jeszcze bardziej nabita niż teraz. Reynolds przyjrzał się swoim ludziom. Większość tylko pokiwała głowami, gotowa pobić dziesięciominutowy rekord. Kto nie lubi być lepszy od innych? Poza tym nie chodziło o pietruszkę, bo chociaż samoloty alianckie strzegły przestrzeni powietrznej nad Gdańskiem, niespodziewany atak maszyn Konfederacji na lotnisko mógł przynieść skutki, dla których opłacało się rzucić na szalę ładnych parę samolotów. EuroCon mógł

też poczęstować Rębiechowo salwą rakiet samosterujących. O chybieniu nie było mowy, bo całą okolicę pola wzlotów zastawiały samoloty i sprzęt, a u początku pasa maszyny czekały na start w długiej kolejce. Gdańskie lotnisko było zapętlonym końcem pępowiny, tłoczącej życiodajne substancje ponad oceanem. Zniecierpliwiony Reynolds rozpiął pas i przeszedł się między rzędami ciasno usadzonych żołnierzy, udając, że sprawdza gotowość. Nie znosił zamknięcia w ciasnej ładowni Starliftera, bok w bok z sąsiadem na identycznym wąskim krzeselku. Jak by się człowiek nie usadowił, wielki, kanciasty plecak i uprząż od oporządzenia wrzynały się w ciało albo kłuły w coraz to inne fragmenty anatomii. Co tu kryć, Reynolds był zwyczajnie za duży jak na lotnicze krzeselko. Był też chudy i miał krótko, prawie na jeża przystryżone ciemnoblonde włosy. Okulary w drucianej oprawie stanowiły jedyne odstępstwo Reynoldsa od regulaminu. W strefie walk musiał je teoretycznie zastąpić prawidłowymi, w wojskowej, czarnej plastikowej oprawie. Z powodu brzydoty, nazywano te regulaminowe okulary najskuteczniejszym środkiem antykoncepcyjnym na świecie. Pododdział Reynoldsa, czyli kompania Alfa z 3. batalionu 187. Pułku Piechoty, zajmowała prawie całą ładownię Starliftera. Resztę miejsca wypełniał ładunek na paletach i skrzynki z amunicją do broni strzeleckiej. Batalion Reynoldsa składał się z trzech takich kompanii, wspartych kompanią przeciwpancerną i kompanią służb tyłowych - w sumie liczył więc 800 żołnierzy. Pułk, choć dawno przekształcony w brygadę, wslawił się na frontach drugiej wojny światowej. Również z tamtych czasów pochodził przydomek kompanii, który brzmiał „Anioły z Piekła”. Oficerowie i żołnierze używali tej nazwy z pełną powagą.

Trójka batalionów desantowych tworzyła łącznie 3. Brygadę 101. Dywizji - związku słynącego jako Screaming Eagles- pikujące orły. W skład 101. Dywizji, określanej rozmaicie jako „lekka” lub „desantowa” wchodziły trzy brygady piechoty i jedna brygada śmigłowców. U samego dołu tych struktur znajdowała się właśnie kompania Alfa: setka zawodowych żołnierzy szkolona przez Reynoldsa, który przez kilka lat zdążył dokładnie poznać, ile są warci poszczególni żołnierze. Wielu z sierżantów walczyło w kilku wojnach - w odróżnieniu od dowódcy, który promocję oficerską uzyskał już po zakończeniu operacji Pustynna Burza. Lata w West

Point, a po nich kurs oficerów piechoty i reszta szkolenia, nauczyły Reynoldsa wszystkiego, oprócz tej jednej rzeczy, to jest doświadczenia w walce. I właśnie dlatego kapitan zadawał sobie w tej chwili to samo pytanie, co najbardziej zieleni z szeregowców: co będzie, kiedy zacznie się strzelanina? C-141 zakołysał się, wpadając w turbulencję, lecz nie skłoniło to wcale Reynoldsa do powrotu na krzeselko. Na stojąco czuł się pewniej, nie dlatego że cierpiał na klaustrofobię, tylko z tej prostej przyczyny, że po dziesięciu godzinach nieprzerwanego lotu z Fort Campbell w stanie Kentucky nie mógł już dłużej wysiedzieć. Jedyne urozmaicenie w locie stanowiło tankowanie w powietrzu, które przeszli na zachód od Wysp Brytyjskich. Nie to, żeby wiele zobaczyli, bo tylko kilku żołnierzy spostrzegło nagle eskortujące myśliwce i narobiło krzyku. Na szczęście pilot Star-liftera prędko zapewnił pasażerów, że to ich własne myśliwce. Reynolds uśmiechnął się na wspomnienie szyderczej uwagi któregoś z sierżantów: "Jeśli to nie nasze myśliwce, szeregowy Wilson, to dlaczego jeszcze się nie zameldowali w trumnie?" Cała kompania tkwiła na przyśrubowanych do podłogi transportowca, metalowych krzeselkach z płóciennymi oparciami. W polowych mundurach, w oporządzeniu i z plecakami na kolanach, siedzieli tak przez cały lot. Tylko nielicznym szczęśliwcom udało się złożyć plecaki w sterty w wolnej przestrzeni między ładunkiem. Żołnierze przeważnie spali, wiedząc że na jakiś czas będzie to dla nich ostatnia okazja, żeby zmrużyć oko. Skonany tasiemcowymi przygotowaniem do wylotu Reynolds zasnął zaraz po starcie. Ocknął się po paru godzinach, zeszywniały i nerwowy. Próbował czytać, rozmawiać, zjeść rację żywnościową, potem znów się zdrzemnął, cały czas modląc się, by nareszcie skończył się ten lot. Rozsądek podpowiadał, by skorzystać ze sposobności odpoczynku, lecz nie pozwalał na to natłok myśli w głowie Reynoldsa. Starlifter zbliżał się powoli do celu, a żołnierze zaczęli się podnosić, poprawiać oporządzenie i zbierać swoje manele. Kapitan jeszcze raz przeszedł wzdłuż rzędu krzesel, kończąc inspekcję. Znał wszystkich podwładnych z nazwiska. Ten, który skulony zatopił się w lekturze powieści o wampirach, to kapral Cook. Szeregowy Kwim spał dzielnie do samego końca. Trzecim w ich rzędzie był Ford - starszy sierżant Andy Ford. Ford był prawdziwym weteranem i jednym z najpotrzebniejszych ludzi w

całej kompanii Alfa. Jego wyłącznym zadaniem jako szefa kompanii było ułatwiać Reynoldsowi życie, czyli pilnować, by wszystko grało. Żołnierze przezywali go „Zimny”, bo Ford rzadko kiedy się denerwował. Nawet w tej chwili najspokojniej w świecie spojrzął na Reynoldsa i skinął mu głową, że wszystko jest w porządku. Kapitan pomyślał, że przydałoby mu się trochę takiej pewności siebie. Rzeczywiście, im bardziej się zbliżali do Polski, tym częściej nachodziły Reynoldsowi niespokojne myśli o starciu z czołgami i opancerzonymi transporterami Konfederacji Europejskiej. 101. Dywizja służyła jako siły szybkiego reagowania i łatwo było ją przerzucić do punktów zapalnych w dowolnym rejonie kuli ziemskiej, lecz za manewrowość płaciło się pewną cenę. Żaden z batalionów nie miał na wyposażeniu czołgów M1 Abrams ani bojowych wozów piechoty, w miejsce których musiały im wystarczyć wyrzutnie rakiet przeciwpancernych i śmigłowce szturmowe - argumenty potężne, ale nie zawsze wystarczające w starciu z opancerzonym przeciwnikiem. Co gorsza, bez pancerza i gąsienic nawet dywizja szybkiego reagowania nie mogła na polu walki reagować dostatecznie szybko i sprawnie, bo etatowa brygada śmigłowców transportowych mogła jednorazowo przerzucić tylko część żołnierzy. Prócz tego wrażliwe na ogień śmigłowce mogły działać jedynie pod stałą osłoną własnego lotnictwa. Nos Starliftera poszedł w dół, a transportowiec zaczął prędko wytracać wysokość. Znowu rozległ się głos sierżanta od rozładunku.

- Panowie, podchodzimy do lądowania.

Reynolds chwiejnie wrócił na swoje krzeselko - przy oknie, jak przystało dowódcy - i przyjrzał się z ciekawością miastu, nad którym przelatywali. Okopcone, ciasno zbite domy Gdańska spowijało dodatkowo zaciemnienie, toteż miasto, które mignęło kapitanowi przez lukę w chmurach wydało mu się prawie jednolitą czarną plamą. Gdańsk i okolice stanowiły zupełnie inny świat niż Teksas, gdzie Reynolds się urodził i wychował, inny też niż Fort Campbell, gdzie kwaterowała 101. Dywizja. Od czasu promocji wojsko co chwila pomagało Reynoldsowi zmieniać klimat, przenosząc go z miejsca na miejsce - jeszcze jeden powód, dla którego lubił służbę. Jako nastolatek mógł co najwyżej marzyć o wycieczce do pobliskiego miasteczka. Od północy w okienku zamajaczyła tafla Bałtyku, stalowoszara lecz powoli rozświetlana pierwszym słońcem. Cały port był zastawiony statkami. Okolice wokół Gdańska -

sfałdowane połacie morenowych wzgórz i jezior - wyglądały niesamowicie spokojnie. Trwające walki jeszcze nie dosięgły miasta. Linia frontu zatrzymała się dwieście kilometrów od wybrzeża, lecz coraz częściej słyszało się pogłoski, że Konfederacja lada dzień zacznie nową ofensywę. Większość sił 3. Brygady czekała już pod Gdańskiem. Dzisiejszy lot był jednym z ostatnich, jakie zaplanowano. 3. batalion miał spędzić resztę dnia na kompletowaniu ciężkiego sprzętu i przygotowaniach do wymarszu. Jeszcze tego samego wieczora mieli wyruszyć w rejon zgrupowania w pobliżu linii frontu. Za kilka dni czekało ich wejście w strefę walk. Reynolds zmusił się do uśmiechu. Wiedział, że żołnierze zauważą każdą minę dowódcy. Wątpliwości i lęki musiał zachować dla siebie.

Wielkie koła Starliftera uderzyły o beton lądowiska. Tym razem kompania Alfa naprawdę ruszała na wojnę.

22 czerwca - Paryż, Palais Royal

Za oknami gabinetu Nicolasa Desaix Paryż jaśniał splendorem - wszystkich lamp, neonów i latarni ulicznych, od którego nocne niebo nad miastem zabarwiło się pomarańczową luną. W epoce czujników noktowizyjnych i celowników na podczerwień zaciemnienie przestało być skutecznym środkiem obronnym, toteż władze postanowiły zrezygnować z ostrożności, aby dodatkowo nie deprymować obywateli kraju. Nie zmieniało to faktu, że na - szerokich bulwarach, w restauracjach i teatrach miasta było zupełnie pusto. W Paryżu nadal obowiązywała bądź co bądź godzina policyjna.

Trzy osoby w fotelach wokół niskiego stolika nie osiągnęły zgody jedynie w kwestii trunków. Stojące na srebrnej tacy dwa kieliszki z winem przeznaczone były dla Desaix i dla Jacquesa Morina, nowego dyrektora DGSE. Michel Guichy pił dla odmiany calvados - winiak z jabłek, specjalność jego rodzimej Normandii. Wspólnie Desaix, Morin i Guichy tworzyli triumwirat, który rządził nie tylko Francją, lecz - za pośrednictwem sekretariatów Konfederacji - także większością pozostałych krajów Europy. Spotkanie miało ocenić postępy w wojnie, którą tej samej trójce udało się rozniecić niewiele wcześniej. Postępy, albo może raczej brak postępów. Desaix nie mógł się dziś nijak pozbyć pesymistycznego nastroju. - W Polsce wylądowali zarówno Amerykanie, jak i Brytyjczycy, tak?

- W pobliżu Gdańska - potwierdził Guichy. Sińce i worki pod oczami zaświadczały, jak wiele czasu generał spędza w sali sztabowej Ministerstwa Obrony i w samolotach, wożących go z Paryża do sztabu operacyjnego połączonych sił EuroConu w pobliżu granicy niemieckiej. - Na razie słyszeliśmy tylko o lekko uzbrojonych oddziałach desantowych i o komandosach z piechoty morskiej, ale w ślad za nimi na pewno wylądują też niedługo cięższe jednostki. To kwestia najwyżej paru dni.

-Desabc zaniemówił. Zamiast odstraszyć połączone siły alianckie, niewydarzona atomowa zagrywka admirała Gibierge skłoniła tylko Waszyngton i Londyn do podwyższenia stawki. Desaix obrócił się nieznacznie w fotelu, odwracając się do drugiego współpracownika.

- A jak tam Polacy?

- Coraz szybciej przerzucają na zachód siły znad wschodniej granicy - rzucił Morin, dziwnym trafem nie bawiąc się w dyplomację. Szef wywiadu wołał opatrywać swoje uwagi słowami „zapewne” i „przypuszczalnie”, ale tym razem ciągnął po prostu: - Kiedy przekraczaliśmy granicę, Polacy trzymali na wschodzie cztery ze swoich ośmiu dywizji, żeby pilnować Rosjan. Jedna z tych dywizji dwa dni temu przetrzepała skórę naszej 5. Pancерnej. Niemcy twierdzą, że w stronę strefy walk ciągnie już następny polski związek, a ja nie mam powodów, żeby im nie wierzyć. Desaix słuchał tych wiadomości bez słowa, bo chociaż nigdy go nie ciekawiły kwestie strategii wojskowej, umiał dodawać. Po przybyciu nowych posiłków, alianci mogli rzucić do walki osiem i pół dywizji - sześć polskich, dwie amerykańskie i jedną brygadę brytyjską. Nawet gdyby wysłać na front pozostający w rezerwie V. Korpus Konfederacji, Francja i Niemcy mogły tym siłom przeciwstawić zaledwie jednaście dywizji, działających w dodatku na obcym terenie i daleko od baz zaopatrzenia. Desaix wiedział, że w razie potrzeby dałoby się ściągnąć dodatkowe siły z Francji, Niemiec i frontu czesko-węgierskiego. Wiązało się z tym jednak spore ryzyko, bo im bardziej rosła liczba zabitych i rannych, tym gorsze stawały się nastroje wśród cywilnej ludności Niemiec i Francji, i bez tego zmęczonej ciągnącym się w nieskończoność stanem wyjątkowym. Ostatnia akcja poboru okazała się zupełnym niewypałem, bo zamiast stawić się do jednostek, by strzec linii transportu i obiektów wojskowych, rezerwiści woleli gremialnie zmienić adresy. By zapanować nad coraz dokuczliwszym niepokojem,

Desaix podniósł do ust kieliszek i odruchowo obrócił na języku łyk wina, delektując się bukietem. Być może właśnie wino sprawiło, że minister poczuł nowy przyływ natchnienia, ba, geniuszu! Całą niewesołą sytuację strategiczną da się odwrócić jednym posunięciem. Desaix z uśmiechem odstawił kieliszek. - Coś cię jeszcze w tym wszystkim bawi, Nicolas? - burknął ze złością Guichy.

- Skądże znowu, przyjacielu! - Desaix z triumfem spojrzął na kolegów. - Zrozumiałem po prostu, że z tego wszystkiego zapomnieliśmy o ważnej sprawie. To, że Polacy przerzucają wojska -na zachód, nie jest katastrofą, wręcz przeciwnie. Dzięki nim, o ile się pospieszymy, zapewnimy sobie decydujące zwycięstwo, i to zaraz! Morin i Guichy zaniemówili. Oczywiście nadal nic nie rozumieli. Desaix pospiesznie nakreślił na ich użytek nowy plan, nie wdając się na razie w szczegóły. Guichy tylko wybałuszył oczy. - Ale co na to Boschell Dostaną kota! Za nic się nie zgodzą na takie posunięcie!

- Trudno ci odmówić racji, Michel - zgodził się Desaix i zniżył głos. - Właśnie dlatego nie możemy pisać Niemcom jednego słowa na ten temat. Postawimy ich przed faktem dokonanym.

23 czerwca - Moskwa, lotnisko Wnukowo

Wnukowo, jedno z czterech wielkich lotnisk pod Moskwą, leży dwadzieścia dziewięć kilometrów na południowy zachód od centrum miasta, nie opodal Szosy Kijowskiej. Na codzień korzystały z Wnukowa jedynie samoloty linii wewnętrznych i maszyny z sąsiednich republik. Cały ruch międzynarodowy skupiał się w portach lotniczych Szeremietiewo Jeden i Dwa, po północnej stronie miasta. Nic dziwnego, że w normalnych warunkach lądowanie poza-rejsowego Airbusa A340 ze znakami linii Air France wywołałoby sensację wśród kontrolerów lotów, obsługi naziemnej i mechaników. Przed niezdrowym sensacjonalizmem ustrzegły jednak pracowników Wnukowa setki agentów FSD i żołnierzy, którzy obsiedli każdy korytarz, salę i warsztat dworca lotniczego. Pod dyktatorskimi rządami marszałka Kaminowa pracownicy lotniska przypomnieli sobie nagle, że przysłowie „ciszej jedziesz, dalej zajedziesz” pozwala czasami uniknąć bardzo już dalekich podróży. Toteż milczeli wszyscy jak zakłęci. Zgodnie z instrukcjami z wieży, Airbus zjechał z głównego pasa Wnukowa i zatrzymał się przed czekającą z boku kompanią honorową, orkiestrą dętą i rzędem

długich, czarnych samochodów. Obsługa naziemna pospiesznie przyciągnęła schodki pod przednie drzwi francuskiego samolotu. Zagrały werble, setka dłoni w rękawiczkach trzasnęła o zamki karabinów, w letnim słońcu błysnął rząd bagnetów: kompania honorowa sprezentowała broń. Dwie trójkolorowe flagi - francuska i rosyjska - pochyliły się w salucie. Pasażerowie Airbusa powoli zeszli ku czekającej w dole grupce rosyjskich oficerów. Niektórzy z Francuzów mieli na sobie eleganckie, ciemne garnitury, inni mundury trzech rodzajów sił zbrojnych. W grzmocie mosiężnych talerzy i trąb orkiestra huknęła „Marsyliankę”. Po długim, okrężnym locie nad terytorium państw neutralnych, osobiście wybrani wysłannicy Nicolasa Desabc i ich eksperci dotarli bezpiecznie do Moskwy. Major Paul Duroc stał na baczność tuż za plecami ambasadora Saureta i jego przybocznej świty. W cywilnym ubraniu zupełnie się nie rzucał w oczy w gronie asystentów i rzeczoznawców delegacji. Kiedy zerwały się pierwsze dźwięki hymnu, przyłożył rękę do piersi, czując pod marynarką twarde dotyk kabury z pistoletem. Dotyk broni stanowił pewną pociechę, jedyne pewne oparcie w dniach niełaski. W ciągu paru dni Durocowi przyszło się przeistoczyć z samodzielnego kierownika operacji specjalnych w zwykłego szefa obstawy delegacji. Tyle niełaski i wzgardy, a dlaczego? Słusznie czy niesłusznie, obarczono Duroca całą winą za fiasko operacji w Budapeszcie. Nawet fakt, że osobiście ujął węgierskiego watażkę, Kusina, nie uśmierzył gniewu zwierzchników. Szefostwo DGSE, nie przygotowane do porażki i wściekłe, że wałą mu się wszystkie plany, na gwałt szukało kozła ofiarnego - kogoś z wyższego szczebla, ale bez wpływów pozwalających się wyłgać od odpowiedzialności. Duroc nadawał się do tego znakomicie. I właśnie dlatego stał dziś na płycie moskiewskiego lotniska. Dano mu jeszcze jedną szansę, zwłaszcza że wysoki rangą oficer wywiadu potrzebny był delegacji wyłącznie w celach reprezentacyjnych. Paryż wysłał Duroca do Moskwy z jasnym zaleceniem, by trzymał gębę na kłódkę, miał oczy otwarte, a przede wszystkim, by się nie ośmielił kiwnąć palcem przeciwko rosyjskim gospodarzom delegacji. Zezwolono mu na „robocze kontakty” z przedstawicielami wywiadu Rosji i na nic więcej. Major doskonale wiedział, że ma w Moskwie pełnić rolę dyskretnego, ugrzecznionego portiera z hotelu. Na myśl o tym upokorzeniu zacisnął zęby. Proszę bardzo, skoro tak trzeba,

będzie portierem, cieciem, będzie co do joty trzymał się instrukcji! Przynajmniej na razie. A jeżeli nadarzy się szansa, by kosztem instrukcji naprawić nadwątloną reputację? Duroc gotów był się wypiąć na wskazówki przełożonych. W terenie, Paryż i tamtejsi nadęci biurokraci mogli mu spokojnie nadmuchać.

24 czerwca - ambasada USA w Moskwie

Erin McKenna zatrzymała się na progu, przypięła plakietkę z nazwiskiem i zajrzała ciekawie do wnętrza balowej sali, która zmieniła się na ten wieczór w morze smokingów, galowych mundurów i sukni wieczorowych. Ambasadę zaszczyliły dziś swoją obecnością największe rekiny i najgrubsze ryby w całej rosyjskiej stolicy. Każdego zresztą zwabiłaby ta obfitość jedzenia, wina i mocniejszych trunków. Pulpity i krzeselka orkiestry w jednym z kątów sali zapowiadały występ big bandu, zamówionego specjalnie na tę okazję przez amerykańskiego ambasadora. Im bardziej rozkręcała się tuż obok wojna, tym więcej czasu poświęcała dyplomacja amerykańska, by zjednać sobie rosyjskie elity rządowe i wojskowe - a już zwłaszcza ludzi, którzy odbierali rozkazy wyłącznie z ust marszałka Kaminowa. Właśnie dlatego zaproszono dzisiaj gości na „wieczór porozumienia, przyjaźni i pokojowej współpracy między wielkimi narodami Stanów Zjednoczonych i Republiki Rosyjskiej”. Erin obśmiała się z tej szumnej nazwy jak norka. Być może Moskwa uczyniła z niej cynika, lecz Erin nie mogła się opędzić od myśli, że dla Kaminowa ulubioną metodą osiągnięcia porozumienia, przyjaźni i współpracy jest kulka w potylicę. Wybierając się tu, Erin miała słabą nadzieję, że dołączy do niej także Alex Banich. Ten jednak raz rzucił okiem na listę zaproszonych gości i potrząsnął głową. - Zdążono mnie już przedstawić niektórym z tych panów. Znają mnie jako Nikołaja Uszenkę, więc po co mam im wszystko poplątać? Argument był z tych nie do odparcia - niestety, Erin musiała bawić się dzisiaj sama. Na początek przeszła się po sali, po cichu zadowolona z łakomych spojrzeń, jakimi obdarzali ją zarówno dyplomaci, jak i goście. Przeworność nakazywała ubrać się w coś dyskretnego, odpowiednio ponurego i szaroburego. Ostatecznie Erin McKenna była domniemanym agentem CIA, na dobrą sprawę zatem więźniem ambasady i pariasem wśród miłujących pokój i szczerłość dyplomatów. Właściwie byłoby najlepiej, gdyby się nie zjawiała w ogóle. Erin rzeczywiście rozważała i taką możliwość, lecz w końcu przeważała w niej złość

i przekora. Skoro już ginąć, to z trzaskiem - tak, żeby widział cały świat! Rolę trzasku pełniła w tym wypadku szmaragdowej barwy, satynowa suknia bez pleców. Efektu dopełniały wysokie obcasy, szmaragdowe kolczyki oraz upięta wysoko, elegancko ułożona fryzura. Po dyskretnych spojrzeniach i prędkości, z jaką goście tręcali się w bok na jej widok Erin mogła się zorientować, że nie pomyliła się wcale w rachubach. Jej kreacja nie miała wprawdzie wiele wspólnego z dyplomacją czy dyskrecją, za to na pewno była oszałamiająca. Erin podniosła kieliszek szampana z tacy kelnera krążącego

w tłumie i znów zajęła się obserwacją gości. Oderwał ją od tego dopiero widok wysokiego, przystojnego oficera, który wyrósł nagle tuż przed nią. Nie mogła nie zauważyć, że oficer nosi mundur armii rosyjskiej. Nie wiedziała, jakie odznaczenia kryją się za rzędem baretek i dystynkcji, potrafiła za to odczytać nazwisko z tabliczki na kieszeni gościa. Pułkownik Walentin Sołowiew. Nazwisko jak gdyby znajome... I nagle wszystko stało się jasne. Tego właśnie, nie innego oficera Alex nazywał „katem Kaminowa”. Dziwne - wyobrażała go sobie zupełnie inaczej. Erin zdała sobie nagle sprawę, że Sołowiew odwzajemnia jej badawcze spojrzenie. - O, panna McKenna? - zapytał z lekkim uśmiechem. - Podobno jest pani szpiegiem?

- Pułkownik Sołowiew, tak? Podobno jest pan oprawcą?

- Okropna z nas para, prawda? - zakpił rosyjski pułkownik. - Nie mam pojęcia, jakim cudem w ogóle tu nas zaproszono. Erin była zła na siebie za mimowolny uśmiech, ale w końcu zaśmiała się zupełnie otwarcie. - Ja też nie wiem, jak to się stało, pułkowniku.

Powinniśmy wspólnie klęczeć w kącie, na grochu.

- Powiem szczerze, że znam gorsze zajęcia.

Erin nie miała dotąd pojęcia, ile błysku może się kryć w szarych oczach. Gdzieś w tle rozległy się pierwsze tony melodii Cole Portera. Sołowiew nastawił ucha i zaraz wyciągając dłoń odwrócił się z powrotem do Erin. - Czy pozwoli pani, że wspólnie zaczniemy tego beguina?

Zaproszenie zaskoczyło Erin mniej, niż jej własna odpowiedź. - Z radością.

Sołowiew poprowadził ją przez tłum ku wolnemu skrawkowi parkietu niedaleko orkiestry, gdzie płaśły już dwie czy trzy pary, wirując prawie do taktu muzyki. Na widok Erin pod ramię z

rosyjskim oficerem jej koledzy z ambasady zrobili wielkie oczy. Rozbawiło ją to trochę. Sołowiew mógł sobie być rogatym diabłem, lecz konwenanse umiał lekceważyć jak urodzony arystokrata. Trudno przypuszczać, by wysocy rangą dostojnicy z elity wokół marszałka Kaminowa mogli bezkarnie wirować po parkiecie z domniemanymi agentami wywiadu USA. Na szczęście Sołowiew tańczył po prostu świetnie.

Kiedy niespiesznie zataczali taneczne kręgi po parkiecie, Sołowiew szepnął jej do ucha; - Muszę przyznać, że bardzo niezwykły z pani szpieg. Zwykle przysyłają nam tu do Moskwy nudziarzy, każdy z fajką i w tweedowej marynarce.

Erin znowu się roześmiała, wyobrażając sobie Banicha z fajką w zębach. Wyglądałby jak ostatni kretyn. - Przykro mi, że wypada mi pana rozczarować, pułkowniku, ale naprawdę jestem tylko pospolitym i nudnym attache handlowym. Jeśli szuka pan szpiegów, to zdaje się, że widziałam paru, przypiętych do bufetu. - Erin wskazała głową na wianuszek Rosjan, energicznie walczących z amerykańskimi zapasami wódki. - Wierzę pani, naturalnie - uśmiechnął się do niej Sołowiew. Zamilkli, lecz nadal tańczyli, każde najwyraźniej zadowolone z miłej ciszy. Orkiestra dograła utwór, rozległy się uprzejme oklaski, a Sołowiew jeszcze na mgnienie przytrzymał Erin w objęciach, odstąpił i uklonił się. - Dziękuję pani za taniec.

Erin skamieniała - nie dlatego że z rzadką w Moskwie i nader staroświecką galanterią Sołowiew musnął ustami jej wyciągniętą dłoń, lecz z tej przyczyny, że składając pocałunek, zdołał wcisnąć jej do ręki ciasno złożony papierek. Kiedy się wyprostował, jego twarz była zupełnie spokojna i pozbawiona śladu napięcia. - Z kimś takim jak pani, to i porozmawiać przyjemnie, pani McKenna. Może zdarzy nam się jeszcze okazja do tańca.

Zamiast odpowiedzieć, Erin skinęła tylko głową i dość tym wszystkim oszołomiona odprowadziła pułkownika wzrokiem. Nie uszło jej uwagi, że sporo kobiet również patrzy na Sołowiewa, dziwnie tęsknie. Mężczyźni z kolei przyglądali mu się z mieszaniną podziwu i zawiści. Pora była jednak wrócić do rzeczywistości. Czego właściwie chciał od niej Sołowiew? Pierwszy raz tego wieczora Erin pożałowała, że nie zdecydowała się na szarą albo burą kreację, najlepiej z koca albo worka. Dopiero po paru

minutach udało jej się zejść z widoku i ukradkiem, na osobności przeczytać to, co przekazał jej rosyjski oficer. Notka okazała się krótka, nakreślona mocnym charakterem pisma. „Musimy porozmawiać. Umówmy się na przebieżkę. Bez towarzystwa. Pojutrze o szóstej rano przed Klasztorem Nowo-diewiczym. Sprawa bardzo ważna”. Zdumiona Erin podniosła wzrok, odruchowo szukając wśród kilkuset twarzy tej jednej - twarzy Sołowiewa. Pułkownik zdążył się jednak ulotnić. Złożyła więc z powrotem jego kartkę i ruszyła po schodach na górę, do bezpiecznej od podsłuchu części kancelarii. Nie wiedziała, o co tutaj chodzi, ale pewnych decyzji na pewno nie mogła podjąć sama.

Pół godziny później Alex Banich siedział już przed biurkiem Lena Kutnera. Rezydent po raz setny spojrzał na leżący przed nim świstek i niecierpliwym ruchem rozluźnił kołnierzyk smokingu.

- A ty, Alex, co o tym myślisz?

- Podpucha - uciał z miejsca Banich. - Skurwysyn Sołowiew chce nas sprowokować. Nie pierwszy raz. Pułkownik, tak? Pytanie, wojska czy KGB?

- KGB nam zdechło, biedactwo - przypomniała Erin.

- W takim razie już dziesięć razy zmartwychwstało! - wybuchnął Banich. - Co z tego, że zmienili szyld na FSD czy na co tam jeszcze? Czekiści, jak za Wuję Józefa!

- Moim zdaniem, to nie tak - uparcie pokręciła głową Erin. - Nie wydaje mi się, żeby Sołowiew dla nich pracował.

- I właśnie to stanowi najlepszy dowód, że jednak się mylisz - napierał Banich. - Nie zapominaj poza tym, że miałem już przyjemność się spotkać z tym panem. Rzeczywiście, maniere ma, inteligentny, słowem śliski gość. Nawet się nie obejrzysz, jak ci wbije nóż w plecy.

Kutner nachylił się i wbił łokcie w blat biurka.

- Może i racja, ale ja dalej nie rozumiem, dlaczego ktoś z najbliższego kręgu Kaminowa miałby maczać palce w jakiejś pospolitej prowokacji.

- Dlaczego? Dlatego że się świetnie nadaje na przynętę. Sam pomyśl, ustawiony, na stanowisku... Tamci dobrze wiedzą, że damy się złapać, że nie przepuścimy okazji, bo a nuż? - Banich wzruszył ramionami. - Jeszcze jeden powód, żeby sobie dać z nim spokój.

- Ale dlaczego podeszli mnie właśnie teraz? - zapytała znów Erin.

- FSD uznało mnie za agentkę ładnych parę miesięcy temu. Dlaczego tyle zwlekali, nim poszli moim tropem?

- Może mieli swoje powody. Dyskretne powody. Może coś się u nich szykuje. Na przykład w związku z Polską, nie wiem. -A odwracając się do Kutnera Banich dodał: - Sam widziałeś mój meldunek o tej obstawie na lotnisku. Nawet Kaminow nie wysłałby tyłu tajniaków na Wnukowo, ot, tak sobie.

- Racja.

- Właśnie, a resztę możesz już sobie sam dośpiewać. Skurwysyny wyobrażają sobie, że nas rozpracują. Wiedzą, że mamy w Moskwie nową siatkę i próbują do niej dotrzeć. Jak? Powiedzmy - Banich wskazał na Erin - więc powiedzmy, że wywabią pannę McKenna poza teren ambasady, przekażą jej parę byle jakich tajemniczek państwowych, a potem cap! FSD dostanie od Kremla piątkę z plusem, za to, że zerwali nam siatkę i za to, że będziemy musieli pójść na wymianę i zwolnić kogoś z ich ludzi albo wykupić Erin. Oczywiście najpierw wyciągną z niej, co się tylko da. Naprawdę, Len, Erin za dużo wie, żebyśmy mogli zaryzykować. Zna moje nazwisko, moje alibi, nazwę tej mojej lewej firmy, słowem wszystko. Pieprzeni Rosjanie już z niej to wszystko wyduszą. Erin obruszyła się na posądzenia, że załamie się w śledztwie, ale prędko przyznała w myślach, że Banich trafnie ocenia sytuację. Ostatecznie była analitykiem, nie agentem operacyjnym. Nikt jej nie uczył, jak się zachowywać i jak kłamać w śledztwie. By już nie wspomnieć o użyciu tortur i narkotyków. Niemniej, zdaniem Erin Banich za bardzo się upierał przy najczarniejszych teoriach. Ciekawe, czy wykazałby taki sam upór, gdyby zamiast z nią, pułkownik Sołowiew zdecydował się zatańczyć z Mike'm Hennessym? Na pewno nie. Może warto przypomnieć, że butelka w połowie pusta to także butelka do połowy pełna? - A jeżeli Sołowiew nie montuje żadnej prowokacji, tylko na prawdę chce nam przekazać ważne informacje? Co wtedy? Sam mówiłeś, Alex, że u Rosjan coś się szykuje. Czy któryś z twoich informatorów powiedział ci cokolwiek konkretnego?

Banich zaprzeczył z ociąganiem.

- W takim razie może warto zaryzykować i czegoś się wreszcie dowiedzieć?

Tym razem Banich zaprzeczył energicznie i stanowczo.

- Nie w ten sposób. Nie tak. Nic mnie nie obchodzi czy się

czegoś dowiemy. Jeżeli ktoś ci powie, żebyś mu pokazała, że się nie boisz skoczyć z dachu, skoczysz?

Erin odwróciła się więc do Kutnera.

- Tak po prostu? Mamy się odwrócić tyłkiem od człowieka, który może nas wprowadzić między elitę Kaminowa? Może mi powiecie, że będzie jeszcze pełno podobnych okazji?

Rezydent CIA pomilczał dłuższą chwilę, udając, że studiuje pomięty karteluszek na biurku. Kiedy podniósł głowę, nie patrzył na Erin, lecz na Banicha, pod którego adresem zauważył z nader kwaśną miną: - Obawiam się, Alex, że tym razem rację może mieć pani McKenna. Widzisz, czasem opłaca się nawet skoczyć z dachu.

26

Sekundy nad celem

? 25 czerwca - przestrzeń powietrzna nad Anglią

Cztery Mirage 2000, łatwe do rozpoznania po trójkątnych skrzydłach, z wyciem silników przemknęły tuż nad wierzchołkami sfałdowanych Wzgórz Lambourn, zmierzając na północ. Francuskie myśliwce leciały tak nisko, że prawie najeżdżały na własne cienie w wysokiej murawie. Spłoszone konie w pobliskiej stadninie wyrwały się stajennym i poniosły, rozsypując się po rozległej pustaci niczym ziarna śrutu wystrzelone z lufy dubeltówki. Pilot prowadzącego Mirage pociągnął drążek nieco bardziej na siebie, wychodząc w górę. Teren podnosił się stopniowo w stronę horyzontu, zamkniętego od wschodu i zachodu linią niskich, kredowych wzgórz. Pułap sto metrów. Dwieście. Trzysta. Trawiaste łąki pod maszynami opadły nagle, zmieniając się w strome stoki gęsto zaludnionej kotliny, pełnej wiosek i pól uprawnych. Francuskie samoloty leciały nad Doliną Białego Konia. Nurkując z powrotem tuż nad powierzchnię terenu, pilot usłyszał w słuchawkach serię niskich, basowych dźwięków. Sygnał oznaczał, że jego maszynę wychwyciły nieprzyjacielskie radiolokatory. Amerykanie albo Brytyjczycy musieli wysłać nad Anglię któryś ze swoich samolotów dozoru radioelektronicznego AWACS. Pilot sprawdził moc sygnału. Była duża. Za duża - znak, że rajd został rzeczywiście wykryty. Niczego to już nie zmieniało. AWACS spóźnił się tym razem, bo cztery francuskie maszyny dzieliło od celu tylko dwadzieścia kilometrów, to znaczy półtorej minuty lotu. Pilot zakołysał skrzydłami Mirage, dając pozostałym umówiony znak, po czym przesunął do samego końca dźwignię ciągu.

Program sieci CNN, bezpośredni reportaż z bazy lotniczej RAF w Brize Norton niedaleko Oksfordu

Telewizjowicze, którzy wybrali CNN, mogli się napawać transmisją na żywo z gigantycznej operacji desantowej. Ogromne amerykańskie transportowce - prezydent wyjaśnił, że chodzi o typ C-5A - z wyglądu bardziej przypominały kawałki potężnych rur niż statki powietrzne. Na betonie pola wzlotów stały także mniejsze samoloty transportowe z opuszczonymi rampami załadunkowymi, C-141 i C-17. Wokół nich widać było całe mnóstwo ciężarówek, wyrzutni rakietowych i niezliczonych palet transportowych z zaopatrzeniem. Kolorowe kadłuby cywilnych samolotów pasażerskich, wykorzystywanych do przetransportowania wojsk, mieszały się z szarymi maszynami wojskowymi. Po schodkach wspinały się do środka długie ogonki żołnierzy, zgiętych pod ciężarem plecaków, broni i oporządzenia. Każdy żołnierz dźwigał ponad pięćdziesiąt kilo tego bagażu.

Ze swoim trzykilometrowej długości pasem startowym, baza lotnicza RAF w Brize Norton stanowiła jeden z filarów mostu powietrznego, którym bez przerwy płynęły do Polski oddziały wojska, sprzęt i zapasy. Dziennikarz CNN znakomicie wpasował się w tło, bo miał na sobie spodnie koloru khaki, oliwkową koszulę i za obszerną kamizelkę kuloodporną. Z powodu huków odrzutowców i pojazdów, musiał wykrzyknąć do mikrofonu swój komentarz. Brytyjska 1. Pancerna to tylko jedna z...

Urwał, gdyż w połowie zdania nad lotniskiem rozległ się przenikliwy, narastający, to znów cichnący jęk. Zaraz dowiedzą się państwo, co to za sygnał.

- Zaczął dziennikarz dość wystraszonym głosem, choć było jasne, że nad całym terenem rozjęczały się syreny alarmowe. Nie spuszczać wzroku z obiektywu kamery, wyjął jeszcze: Zapewne chodzi o próbny alarm...

- i odwrócił się do asystenta, szukając potwierdzenia. Obraz na ekranach telewizorów zmienił się nagle. Błady podporucznik RAF zaczął machać rękoma do kamerzysty i całej ekipy, jak gdyby chciał, żeby padli na ziemię.

Kryć się! Kryć się, mówię!

Jęk syren zginął nagle w huk eksplodujących bomb. Obraz na ekranach zamazał się na chwilę. Kamera upadła bokiem na ziemię i ukazywała teraz grupę budynków - hangarów i kwater

mieszkalnych. Włączony mikrofon wychwycił z tła głos: Nic panu nie jest? O, Jezus! Patrz, jak dostał. Gdzie kamera?! Obraz powtórnie zawirował i powrócił do normalnej pozycji.

Tym razem nad całym polem wzlotów unosiły się kłęby dymu, podsycane w dole morzem płomieni. Jęzory ognia wyskakiwały wysoko ponad ciężarówki i sylwetki uciekających ludzi, rozlewając się aż po horyzont. Operator CNN drżącą dłonią odwrócił kamerę, łapiąc panoramiczne ujęcie bazy. Gdziekolwiek skierował obiektyw, widać było tylko dym. Tam, gdzie przedtem stały długie rzędy żołnierzy, teraz widać było wijących się rannych i stosy nieruchomych ciał w mundurach. Na pasie co rusz eksplodowały kolejne płonące samoloty, a z rozerwanych kadłubów buchały w niebo pomarańczowe kłęby ognia.

Ujście Tamizy

Komandor Theodor Ritter położył okręt podwodny na dnie ujścia Tamizy, burta w burtę z wrakiem, spoczywającym tam jeszcze od wojny. Od Londynu dzieliło go czterdzieści kilometrów. Niemieckie okręty podwodne nie nosiły nazw, a jedynie numery taktyczne. Okręt Rittera nie był wyjątkiem. Nazywano go po prostu „U-32”, przy czym litera U oznaczała Unterseeboot, dosłownie łódź podwodną. „U-32” był niewielki, bo pięć razy mniejszy od atomowych okrętów podwodnych klasy Los Angeles, i w odróżnieniu od jednostek amerykańskich miał dość ograniczony zasięg pływania. Niemieckie U-booty nie wypływały w tysiącmilowe rejsy, ograniczając się do działań przybrzeżnych, w pobliżu macierzystych portów. „U-32” był okrętem nowej klasy 212, a więc prosto spod igły. Przewagę nad przeciwnikiem zapewniały mu liczne nowinki konstrukcyjne. Zamiast dużego i kosztownego reaktora, napęd stanowił zespół „niezależnych” silników dieslowskich. Dawniej, kiedy okrętom podwodnym wyczerpywały się akumulatory, do żeglugi pod wodą na silnikach spalinowych stosowano „chrapy” - specjalne rury, czerpiące powietrze z atmosfery. Płynąc na chrapach czyni się jednak sporo hałasu, a tym samym podpisuje się na własny okręt wyrok śmierci. „U-32” i pozostałe okręty tego typu zamiast chrap i diesli stosowały bardzo nowoczesne silniki spalinowe, zasilane oprócz paliwa także ciekłym tlenem ze specjalnego zbiornika. Oznaczało to, że mogły ładować akumulatory nawet w zanurzeniu, by potem bezszelestnie się skradać na silnikach elektrycznych. Połączenie super cichego, niezależnego

od powietrza atmosferycznego, napędu z antymagnetycznym kadłubem o obrysie zniekształcającym echa hydrolokatorów przeciwnika, wsparte dodatkowo doskonałym sprzętem hydroakustycznym i niezawodnymi celownikami torpedowymi, czyniło z „U-32” i siostrzanych okrętów jednostki mimo małych rozmiarów bardzo niebezpieczne narzędzie walki. Prześliznąć się aż tak daleko poza strefę alianckich patroli przeciwpodwodnych wcale nie było łatwo, lecz niemiecki okręt rozmyślnie unikał walki i mogąc manewrować pod wodą z równą swobodą co jednostki z napędem atomowym, wycofywał się bądź omijał wszystkich wykrytych w porę myśliwych. Kapitan i załoga wiedzieli, że w powrotnym rejsie na pewno się nadarzy okazja, by się zabawić z pojedynczymi niszczycielami czy fregatami przeciwnika. Prócz tego wojna trwała już trzeci tydzień, toteż coraz łatwiej dawało się przewidzieć przeważnie wciąż te same trasy amerykańskich i brytyjskich patroli. Przewidzieć oznaczało oczywiście także wykorzystać wiedzę. Właśnie dlatego „U-32” spoczywała bez ruchu w mule, z wyłączonymi silnikami i pompami obiegu powietrza. Żaden pasywny hydrolokator nie mógł wychwycić jej echa, podobnie zresztą jak echosondy, których fale rozmywały się w warstwie przydennych osadów. Istniało jednak pewne „ale” - Royal Navy od dawna przywykła do działań na przybrzeżnych płyciznach, więc wszystkie jej jednostki miały na wyposażeniu specjalne hydrolokatory wysokiej częstotliwości. Za ich pomocą dawało się wykryć nawet spoczywający na dnie stary nocnik. Niemieckie okręty podwodne radziły sobie z tą groźbą na różne sposoby. „U-32” miała w wynurzeniu zaledwie tysiąc ton wyporności. Małe rozmiary, a tym samym niska wykrywalność, to jednak nie wszystko. Dodatkowym atutem była specjalna, chłonna fale dźwiękowe warstwa izolacyjna na poszyciu i odpowiedni, bo rozpraszający odbite fale, kształt kadłuba. Co najistotniejsze, niemiecki okręt osiadł na dnie tuż obok wraka, kryjąc się w hydrolokacyjnym i magnetycznym martwym polu wokół starego kadłuba. Ritter i jego załoga pogodzili się z myślą, że przyjdzie im tak czuwać bardzo długo, i to oddychając powietrzem coraz uboższym w tlen. „U-32” czekał na zdobycz niczym pająk, przycupnięty pośrodku sieci. HMS „Brecon” siedł na czele konwoju do Gdańska nieprzypadkowo: ze swoim kadłubem z włókna szklanego i plastiku, parą zdalnie sterowanych podwodnych robotów i hydrolokatorem wysokiej częstotliwości, poławiacze min klasy

Hunt dowiodły już swej przydatności po wojnie falklandzkiej, podczas rozminowywania wód wokół Port Stanley. „Brecon” sunął w dół Tamizy ze stateczną prędkością dziesięciu węzłów, zygzakując po coraz szerszym rozlewisku. Za trałowcem płynęły dwie fregaty klasy Type 22, HMS „Chatham” i HMS „London”, a za nimi trzy statki handlowe. Konwój zamykała fregata klasy Type 23, HMS „Argyll”. Na pokładach obsadzono wszystkie stanowiska bojowe, w każdej chwili spodziewając się najgorszego. Trzy statki transportowe - frachtowiec i dwa kontenerowce - wiozły na pokładach czołgi, części zamienne i amunicję dla całego pułku pancernego wojsk brytyjskich. Załoga „U-32”, drzemiąca do tej pory na stanowiskach, zerwała się z miejsc na pierwszy pisk obcego hydrolokatora w głośniku pod sufitem centrali okrętu. Ritter także nastawił ucha, śledząc zbliżanie się brytyjskich okrętów. Piskliwe sygnały hydrolokatora nasilały się coraz bardziej, podczas gdy w tle dało się słyszeć niskie, dudniące echo silników trałowca. Kolejne dźwięki w głośniku obwieściły, że za pierwszym brytyjskim okrętem idą następne. Aktywny hydrolokator na pokładzie „Chatham” rozsyłał niższy, mniej piskliwy sygnał niż ten zamontowany na „Breconie”. Im bliżej słychać było silniki, tym bardziej narastało zdenerwowanie niemieckiej załogi. Teoretycznie nic im nie groziło w obecnym ukryciu, ale teoria była dla nich tylko ubogą krewną praktyki w postaci serii piskliwych ech, wibrujących w całym kadłubie „U-32”. Dyżurny podoficer hydrolokatora wysokiej częstotliwości na pokładzie „Brecona” uważnie śledził ekran. Znał te wody jak własną kieszeń i dobrze, bo nie tylko z map, pamiętał wrak kabotażowca zatopionego przez Stukasyw 1940 roku. Rzut oka na elektroniczny zegar nad ekranem pocieszył go, że na razie konwój nie złapał opóźnienia. Wrak jak zwykle wykwitł na ekranie hydrolokatora i stopniowo przesuwał się w dół, w miarę jak „Brecon” podpływał coraz bliżej. Podoficer przyjrzał się bacznie zarysom dna wokół wraka. Nic. Nic, oprócz normalnej gmatwaniny białozielonych cieni. Zarys okrętu podwodnego byłoby teraz widać jak na dłoni. Wrażliwy hydrolokator „U-32” wychwycił szum maszyn nadpływającego konwoju i wprowadził zapis do pamięci komputera torpedowego. Porównując szумы z przedwojennymi zapisami na dyskach, pokładowe komputery pomagały błyskawicznie zidentyfikować każdy okręt przeciwnika. Przydawała się tu, jak

w każdej wojnie, wiedza zdobyta zawczasu w trakcie pokojowych manewrów. Ritter zawisł nad konsolą komputera, czekając na wynik analiz.

Ruchome kropki oznaczały siódmkę obiektów, ciągnących na wschód środkiem kanału żeglugowego. Palce komandora zabębniły po obudowie ekranu. Kusily go trzy okręty wojenne z eskorty, lecz otrzymane instrukcje nakazywały zupełnie co innego. Najważniejsze były transportowce z wojskiem. - Przygotować się do ataku - rozkazał. - Dwie torpedy w pierwszy frachtowiec, po trzy w oba następne.

Cała załoga wstrzymała oddech, wiedząc, jak blisko znajduje się przeciwnik. Świszczący poszum śrub poławiacza min powoli zaczynał się zacierać. Ritter śledził ekran, obserwując szóstkę jednostek za rufą „Brecona”. Namiar bez zmian. Odległość, malejąca.

Komandor odwrócił się do oficera balastowego. - Podnieś z dna.

Dawka sprężonego powietrza wyrwała się przez otwarte zawory do zbiorników balastowych „U-32”, nieznacznie zmieniając pływalność okrętu z ujemnej na dodatnią. Okręt gładko oderwał się od dna, a jednocześnie z wolna ruszyły obie bezszelestne śruby, pozwalając na minimalny manewr. Z nową szybkością i na wskazanej głębokości, oficer balastowy dał znak dowódcy. Osiągnęli pozycję do ataku. - Gotowi? - zapytał Ritter oficera torpedowego.

- Trójkąat rozwiązany i sprawdzony.

Ritter chwycił się mocniej wspornika nad głową i odetchnął głęboko. Nareszcie. - Ognia!

Osiem torped Seal 3, wypchniętych uderzeniem wody, wyskoczyło jedna po drugiej z dziobowych wyrzutni, ożyło i pomknęło w kierunku poszczególnych celów. Za każdą z nich ciągnęła się para przewodów, wybiegających z kadłuba „U-32” i z pokładowego komputera. Dzięki temu załoga okrętu mogła do ostatniej chwili sterować pociskami i z odległości obserwować wszystko, co docierało do czujników torped. Przy tej ilości śrub, jaka mełła wodę, brytyjskie okręty nie usłyszały, jak niemiecki okręt podwodny przedmuchuje zbiorniki i odrywa się od dna. Trudno było jednak nie dosłyszeć przenikliwego świstu śrub ośmiu torped, zbliżających się z prędkością trzydziestu pięciu węzłów czyli ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W ciągu paru sekund ekrany hydrolokatorów na pokładach trójki fregat wyświetliły bieg torped i przypuszczalny punkt, z którego zostały wystrzelone. Za

późno. Pierwsze cygara zdążyły się już znaleźć w celu. „Van Dyck”, masowiec o nośności 20 tysięcy ton DWT, dostał w dziób, a zaraz potem w maszynownię. Mimo że każda z Seal 3 niosła w głowicy ćwierć tony materiału wybuchowego PBX, statek nie zatonął, a tylko osiadł w wodzie i przechylił się na prawą burtę. Przeciążone brytyjskie stocznie remontowe czekało nowe zadanie. Trzy torpedy, które trafiły kontenerowiec „Falmount Bay” - o takiej samej nośności co „Van Dyck” - przy tej prędkości celu i braku środków pozoracyjnych miały bardzo ułatwione zadanie. W powietrze wystrzeliły trzy kolumny mulistej wody i dymu. „Falmount Bay” przełamał się na pół i zatonął. Następnego kontenerowca, czyli „St. Louis”, dosięgnęły jedynie dwie z trójki pozostałych torped. Trzecia chybiła i mknęła w górę Tamizy do chwili wyczerpania się paliwa, po czym zwyczajnie utonęła w błocie. „St. Louis” był jednak najmniejszym z frachtowców i miał na pokładzie łatwopalny ładunek. Wewnętrzne eksplozje w parę minut rozszarpały kadłub, a kolumna dymu wzbiła się wysoko pod niebo. „Chatham” i „London” rzuciły się całą mocą maszyn w kierunku podwodnego wraka, na wyścigi omiatając hydrolokatorami cały akwen. „Argyll” pozostał z tyłu, pomagając się ewakuować załogę „Van Dycka”. By dopomóc w łowach, „Argyll” wysłał jednak z pokładu oba swoje śmigłowce Lynx. Ritter nie miał czasu klepać podwładnych po plecach. Z gratulacjami trzeba się było wstrzymać do czasu, aż „U-32” znajdzie się bezpiecznie w porcie. - Ster w lewo, cała naprzód!

„U-32” nie próbował już zachowywać ciszy. Jedyłą nadzieję na ucieczkę dawała prędkość. Na szczęście dla Rittera i załogi, ich okręt nawet w zanurzeniu potrafił wyciągnąć dwadzieścia trzy węzły. „U-32” odskoczył od wraka i przemknął prosto pod kilem szarżującego „Chathama”. Ritter ryzykował trafieniem z potrójnych burtowych wyrzutni torpedowych brytyjskiej fregaty, lecz przy tej prędkości zbliżenia, torpedyści z „Chathama” nie zdążyli nawet wziąć namiaru. Kapitan niemieckiego okrętu podwodnego patrzył teraz to na hydrolokator, to na wykres kursu. Każda minuta na pełnej prędkości kosztowała okręt pięć godzin ładowania akumulatorów. Jak wszyscy podwodniacy z okrętów bez napędu atomowego, Ritter musiał bezustannie wybierać między prędkością a groźbą wyczerpania się akumulatorów. - Naprzód, dwie trzecie mocy.

Plan ucieczki, jaki obmyślił Ritter, należał do najprostszych na świecie. Okręt musiał tylko zerwać kontakt z trójką brytyjskich fregat, by już bez żadnych przeszkód dotrzeć do Morza Północnego. Przy marszu na dwóch trzecich mocy, akumulatory zapewniały dostateczny zapas energii, aby w porę ukryć się w głębinie, gdzie okręty brytyjskie miały o wiele trudniejsze zadanie. Ritter zapomniał tylko o śmigłowcach z pokładu fregaty „Argyll”. Choć podwodny sprint „U-32” trwał tylko minutę, pozostawił na powierzchni płytkich wód wyraźny ślad torowy, w kształcie szeroko rozwartej litery V. Kiedy U-boot zwalniał, pokładowy Lynx przemknął nad masztami „Chathama” i zrzucił dwie bomby głębinowe dokładnie u zbiegu obu ramion klina. Bomby plusnęły w wodę, zatoneły i ułamki sekund później wybuchły na oznaczonej głębokości. Pierwszą z nich dzieliło od niemieckiego kadłuba dziesięć metrów, drugą tylko pięć. Ściśnięty kleszczami dwóch bań eksplodującego gazu, „U-32” zatrzęsł się i zakołysał. Wstrząs podwójnej fali uderzeniowej wyrwał z łoża silniki, cisnął marynarzy o stalowe grodzie i wgniół kadłub ciśnieniowy. Okręt stracił wszystkie akumulatory, a uszkodzony silnik spalinowy zasilany tlenem ze zbiorników wyłączył się automatycznie. W snopach iskier z rozbitych tablic rozdzielczych zawiodły nawet systemy gaśnicze. Kierując się na śmigłowiec, „Chatham” podpłynął bliżej, zataczając na dużej prędkości ciasny krąg. Aktywny hydrolokator fregaty z tak bliskiej odległości natychmiast wymacał w wodzie niemiecki okręt podwodny. Do wody plusnęła pojedyncza torpeda Stingray. We wnętrzu „U-32” załoga próbowała jeszcze uruchomić silniki i aparaturę torpedową, lecz po całym kadłubie bębniły już sygnały brytyjskich hydrolokatorów. Nowy pisk w wodzie sprawił, że przerażeni marynarze odwrócili się w stronę rufy. - Torpeda, namiar dwa cztery pięć! - zameldował właściwie bez potrzeby dyżurny hydroakustyk.

Ritter ostatni raz spojrzął na wykres kursu, a potem na załogę. Koniec balu. Uszkodzenia okrętu były zbyt poważne, a przeciwnik zbyt blisko. Walka nie miała sensu. Załoga „U-32” liczyła tylko dwudziestu trzech ludzi, lecz Ritter nie widział powodów, by wysyłać na pewną śmierć choćby jednego marynarza. Pozostało się poddać. - Szasować zbiorniki! Wynurzenie alarmowe!

Torpeda z pokładu brytyjskiej fregaty znalazła cel zanim jeszcze zdążyła wyrównać zanurzenie. Pozbawiony zdolności manewrowania

„U-32” czekał tuż przed dziobem pocisku, Stingray wbił się w niemiecki kadłub dokładnie w chwili, kiedy nad powierzchnią wody ukazał się kiosk „U-32”. Kumulacyjna głowica bojowa, zaprojektowana z myślą o znacznie potężniejszych przeciwnikach, trafiła w rufę Niemca i wybuchając rozniosła maszynownię. Rozerwane zbiorniki balastowe nie mogły utrzymać okrętu na powierzchni wody. Z zatopionego okrętu uratowała się zaledwie piątka marynarzy, którzy w porę wyczołgali się z kiosku. W wirze piany, rozlanej ropy i pływających szczątków, „U-32” poszedł na dno, dołączając do swoich ofiar.

Londyn, Ministerstwo Obrony

Choć bez entuzjazmu, gwardziści strzegący najważniejszych obiektów i gmachów rządowych Londynu ze względu na trwającą na kontynencie wojnę zgodzili się zamienić różnokolorowe uniformy na zwyczajne mundury polowe. Zamiast czerwonych kubraków i wysokich futrzanych czap przyszło im więc nosić na sobie łaciate kamizelki kuloodporne i hełmy z kevlaru. Gwardziści sprezentowali broń, gdyż na wewnętrzny dziedziniec ministerstwa wypadł szybkim krokiem admirał Jack Ward, a za nim jego adiutant, kapitan Harada. Na obu oficerów czekała taksówka na Heathrow, w postaci małego śmigłowca łącznikowego Gazelle. Wirnik brytyjskiej maszyny zaczął już się powoli obracać. Na Heathrow Amerykanie mieli się przesiąść w łącznikowego Grummana, którym mieli wrócić na pełne morze, na pokład swojego lotniskowca. Admirał schylił się, by przejść pod łopatami wirnika Gazelle, wsiadł i przycupnął na wąskiej ławeczce za plecami pary pilotów. Harada także wcisnął się do kabiny i dokładnie zasunął boczne drzwi. Admirał nachylił się ku chorążemu, który pilotował śmigłowiec. - Jeśli o nas chodzi, gotowe.

- Oczywiście, sir. Sekunda, i ruszamy. - Jasnowłose chorąży uśmiechnął się i dodał żartem: - Czekamy na pozwolenie od niani, z dowództwa obrony powietrznej. Słyszysz coś, Tony? Drugi pilot podniósł głowę znad przełączników.

- Słyszę tylko, że fryce i żabojady znów próbują sztuczek. Tym razem nalot na Southampton. Podobno straszna siekanina. Ward skrzywił się i oparł wygodniej. Zwłoka, tym bardziej że spowodowana nieprzyjacielskim nalotem, była mu bardzo nie na rękę. Nie teraz, koledzy! Za dużo pilnych spraw czeka na decyzję. W samej rzeczy, nagle nasilenie się ataków przeciwko

brytyjskim lotniskom i portom stanowiło bardzo przykrą niespodziankę. Ale czy na pewno niespodziankę? Nie mogąc w żaden sposób dobrać się do trzech karawan admirała Warda - czyli trzech flotylli z lotniskowcami - sztaby Konfederacji postanowiły najwidoczniej skupić cały wysiłek sił powietrznych i morskich na najsłabszym ogniwie linii transportowych do Polski, to jest właśnie na Zjednoczonym Królestwie. Oszczędności budżetowe w początkach lat dziewięćdziesiątych bardzo spowolniły rozbudowę słabiutkiego brytyjskiego systemu obrony powietrznej. Dzięki samolotom wczesnego ostrzegania E-3 z sił RAF, garstce skołatanych dywizjonów przechwytyjących Tornado, tudzież bateriom pocisków przeciwlotniczych Patriot, udawało się strącić po kilka nieprzyjacielskich maszyn, lecz codziennie następowały nowe naloty - tym groźniejsze, że lotnictwo Konfederacji działało z baz we Francji, odległych zaledwie o kilka minut lotu od celów na południu Anglii. Przy wielkiej liczbie obiektów i znikomej ilości przeciwlotniczych baterii raketowych, Brytyjczycy borykali się z trudnym zadaniem. Ward wiedział, że w tej sytuacji już pierwsze naloty, jakich udało się dokonać Konfederacji, musiały przynieść zastraszające skutki. Rajd samolotów Mirage na bazę w Brize Norton spowodował śmierć prawie stu żołnierzy i lotników alianckich. Setki innych odniosło rany, w tym bardzo wielu ciężkie. Następne naloty na inne brytyjskie bazy również spowodowały znaczne zniszczenia, a pierwsza fala powietrznych i podwodnych ataków na samoloty transportowe i statki kosztowała Wielką Brytanię utratę wielu drogocennych maszyn i jednostek pływających. Przywódcy Konfederacji Europejskiej najwyraźniej liczyli na to, że przenosząc ciężar walk nad Wielką Brytanię, zachwieją poczynaniami aliantów. Owszem, fala nalotów zakłóciła wysyłkę brytyjskich oddziałów do Polski. Sztabowcy z kontynentu spodziewali się też zapewne, że alianckie lotnictwo wzmocni siły nad Wielką Brytanią dywizjonami amerykańskich F-15 i F-16, które dotychczas bombardowały obiekty wojskowe na terenie Francji i Niemiec. Jedno udało się Konfederacji na pewno: nowe naloty skłoniły Waszyngton i Londyn do podjęcia drastycznych kroków odwetowych. Ward chichotał w duchu na myśl, że panowie z Paryża i Berlina już niedługo będą się sami mogli przekonać, jak trudno czasem przewidzieć wszystkie konsekwencje własnych poczynań. Poprzedniego wieczora wezwano admirała ze środka Atlantyku do

Londynu. Wiązało się to z długim, chwiejnym lotem na niskiej wysokości, ale tylko w ten sposób Ward zdołał dotrzeć na poranne posiedzenie w szefostwie połączonych sztabów alianckich. Powieki piekły go z niewyspania, dokuczały zesztywniały kark i posiniaczone siedzenie, lecz koniec końców admirał musiał przyznać, że opłaciło mu się pomęczyć w napowietrznym tramwaju. Mimo rangi, admirał okazał się jedną z płotek. Jak się prędko okazało, w naradzie oprócz grupki milczących i gorliwych adiutantów uczestniczył sam premier Wielkiej Brytanii, naczelni dowódcy brytyjskich wojsk lądowych, lotnictwa i Royal Navy, a także szef amerykańskich operacji morskich i generał lotnictwa USA, który w Pentagonie piastował stanowisko wiceprzewodniczącego Połączonych Sztabów USA. Pierwsze słowa premiera rozwiewały wszelkie domysły co do celu spotkania. Nie chodziło bynajmniej o przegląd sytuacji czy o nawiązanie roboczych kontaktów.

- Panowie, rozmawiałem przed chwilą z prezydentem USA i z panią premier Norwegii - zakomunikował Brytyjczyk. - Otrzymujecie nowe zadanie, równorzędne z wysyłką oddziałów i zaopatrzenia do Polski. Od tej pory macie wykorzystać wszelkie środki, by zniszczyć francuski arsenał jądrowy. Taktyczny, ale przede wszystkim strategiczny.

Ward dobrze zapamiętał nagły szmer, z jakim przyjęto spokojne i nader rzeczowe słowa premiera. Zamach na francuską broń atomową oznaczał co najmniej potrojenie stawki. Waszyngton ostrzegł wprawdzie swoich dowódców, że można się spodziewać podobnych posunięć, lecz Ward gotów był iść o zakład, że politykom zadrzy ręka i nie zdecydują się na tak poważny krok. - Jak dotąd, dzięki Bogu, brak oznak, że przeciwnik zamierza użyć broni jądrowej przeciwko terytorium Wielkiej Brytanii czy Norwegii, ale fakt, że tak łatwo przyszło im sięgnąć po ten arsenał jest dla nas raczej mało pocieszający.

Ward uśmiechnął się w duchu, słysząc stonowaną, typowo brytyjską retorykę. Rzeczywiście, „mało pocieszające” fakty! Ktoś, komu przyszło oglądać atomową kulę w pobliżu własnych okrętów, miał na to bardziej dosadne określenia. Perspektywa kolejnych atomowych grzybów, tym razem nad miastami, była zbyt przerażająca, by spokojnie o niej myśleć. - Jeśli zaczniemy w tej wojnie odnosić zwycięstwo, a wiele wskazuje, że tak się

właśnie stanie, przydusimy Paryż do muru - podjął myśl brytyjski premier. - Trudno przewidzieć, do czego mogą być wówczas skłonni nasi przeciwnicy. Zdajemy sobie sprawę, że operacja pochłonie znaczne środki, lecz nie zmienia to faktu, że musimy za wszelką cenę ustrzec nasze kraje przed groźbą odwetowego ataku jądrowego. Niektóre spośród posunięć, jakie wyliczył premier, brzmiały w uszach Warda dość znajomo. Ostatecznie sam przyłożył rękę do tych planów. Inne planowane akcje przyprawiły admirała o zimne poty. Kapitanowie kilku amerykańskich okrętów podwodnych klasy Ohio z rakietami balistycznymi na pokładzie otrzymali zadanie, by wycelować wielogłowicowe pociski we Francję, a po części również w Niemcy. Główną grupę celów tworzyły francuskie siły atomowe i ośrodki dowodzenia sił zbrojnych w obu tych krajach. Atomowe okręty brytyjskie otrzymały odrębną rolę w tej apokaliptycznej inscenizacji. Co gorsza, także taktyczna broń jądrowa z arsenałów RAF miała zostać przetransportowana ze strzeżonych magazynów do poszczególnych baz, w celu szybkiego użycia -gdyby zaszła taka potrzeba. Wybrane amerykańskie okręty podwodne i nawodne otrzymały polecenie, by konwencjonalne głowice pocisków samosterujących Tomahawk zastąpić atomowymi i zająć dogodne pozycje w pobliżu francuskich wybrzeży. Ustalono, że siły alianckie nie użyją broni jądrowej przeciwko terenom zaludnionym i miastom. Nie zmieniało to jednak ogólnej zasady, w myśl której Francuzi powinni się prędko dowiedzieć, która ze stron ma większą szansę wygranej w pojedynku na broń jądrową. Z melancholijnych rozmyślań wyrwał admirała głos pilota Gazelle. - Lwie Serce, zrozumiałem. Wolny korytarz do Heathrow, kurs dwa sześć dwa, pułap sto pięćdziesiąt metrów. - Pilot okręcił się w fotelu. - Panowie, może by tak zapiąć pasy? Ruszamy. - Dostaliśmy zgodę? - upewnił się Ward, posłuszny dyskretnemu poleceniu. Pilot przytaknął. - Centrala mówi, że żabojady odskakują od Southampton. Mamy czysty korytarz aż do Heathrow. Kapitan Harada trzasnął zapięciem pasa, poprawił uprząż na ramionach i zaciekawiony spytał: - To znaczy, że poza korytarzem coś się dzieje? Co będzie, jeśli zboczymy? - Wtedy może nas ustrzelić byle frajer z rakieta albo działkiem -

zaśmiał się jasnowłosy chorąży, odwrócił się do przodu i pociągnął za dźwignię sterowania, automatycznie wchodząc na pełne obroty. Śmigłowiec zatrząsł się i poderwał do góry, powoli unosząc się znad dziedzińca. Sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią - pilot okręcił Gazelle w lewo i lekko opuścił dziób maszyny, przechodząc do lotu poziomego. Ward przykleił się do bocznego okienka, urzeczony panoramą Londynu z tak niewielkiej wysokości. Rankiem przybyli do ministerstwa w zupełnych ciemnościach, za to teraz widać było w dole całe ogromne miasto - kilometrowe połączenie gmachów, domów mieszkalnych, ładnych i okropnych biurowców, dzwonnice kościołów i puszystą zieleń parków. Gazelle przemknęła nisko nad wypielegnowanym parkiem St. James i masywnymi murami Pałacu Buckingham. Słyszając łoskot silnika, przechodnie w popłochu zadzierali głowy, zupełnie jak przed półwieczem, podczas wojny. Kolejne komunikaty BBC, które napływały od samego świtu, rzeczywiście brzmiały jak powtórka z Bitwy o Anglię. W oddali, a potem coraz bliżej, rozjęczały się syreny alarmowe. Słysząc je było nawet przez ogłuszający klekot wirnika Gazelle. - Kurczę, znowu! - zauważył pilot, niezwłocznie skręcił w prawo i zszedł nad pas drzew, trawników i ścieżek, jaki otworzył się nagle pod śmigłowcem. Słońce rozbłyskiwało w ponad kilometrowej toni stawu Serpentine. Lecieli nad Hyde Parkiem. Ward i Harada oprócz nazwy parku usłyszeli w swoich słuchawkach także następne słowa pilota: - Kontrola lotów ogłasza Pogotowie C! Chyba chodzi o nalot, i to na Londyn! Kazali nam usiąść gdzie się da, i siedzieć. Jak dam znać, mają panowie wyskoczyć i natychmiast gnać w ukrycie! Gazelle przemknęła nad parkiem i zawisała w pobliżu kępy drzew. Płozy stuknęły lekko, a potem już pewnie wparły się w trawnik. Podmuch wirnika uniósł na wszystkie strony źdźbła świeżo skoszonej trawy. - Teraz! Prędko!

Harada co tchu rozpiął pas, z rozmachem otworzył boczne drzwi śmigłowca i wyskoczył. Za nim pospieszył Ward. Wir powietrza idący od łopat omal nie zdarł z nich mundurów. Pochylając głowy, obaj Amerykanie pognali w stronę najbliższych drzew, którymi okazała się grupa rozłożystych dębów. Kiedy się odsadzili kawałek od śmigłowca, znów dotarł do nich znad miasta jęk syren alarmowych. W biegu Ward rozejrzał się w lewo i w prawo w poszukiwaniu najbliższych budynków. Może uda się w porę dobiec do schronu? Nie, nic z tego. Hyde Park rozciągał się w tym

miejscu prawie na kilometr, a śmigłowiec wylądował niemal dokładnie pośrodku terenu. Nie było rady, musieli przeczekać nalot na otwartej przestrzeni. Obaj brytyjscy lotnicy pospiesznie wyłączyli silnik Gazelle i również wygramolili się z kabiny. Po krótkim sprincie przez trawniki dobiegli do tej samej grupy drzew, pod którą zdążyli się schronić Amerykanie. Pośrodku trawnika został tylko pusty śmigłowiec z zapraszająco otwartymi drzwiami. Ward dobiegł do pierwszego dębu i dysząc padł na ziemię. Pozostali poszli jego śladem, jak się okazało, w samą porę. Po niebie z niewiarygodną szybkością przemknęła grupa jasnych punktów, pędząc na południe i na wschód. Rozstawione wokół najważniejszych obiektów Londynu baterie rakiet Patriot otworzyły ogień do wciąż jeszcze niewidocznych napastników. Mijały sekundy. Po południowej stronie horyzontu Ward dojrzał oślepiający błysk. Potem znów nic. Parkiem wstrząsnęła nagle seria stłumionych eksplozji. Zza wysokich biurowców w centrum miasta, na wschodzie, wyrósł nowy obłok dymu, tym razem czarny. Drugi pilot śmigłowca zrobił z dłoni daszek i przyjrzał się smolistym kłębowom. - Ropa się pali. Skurwysyny musiały trafić w nabrzeża. Wyglądało na to, że ma rację. Frachtowce i zbiornikowce zakotwiczone w dokach nad Tamizą stanowiły kuszący cel, duży i bezbronny. Ward zmrużył oczy, próbując sobie uzmysłowić, jakie szkody może wyrządzić błyskawiczny francuski nalot. Dymu rzeczywiście co niemiara. Bomby trafiły kilka statków na raz. Admirał nie mógł sobie przypomnieć czy w pobliżu doków znajdują się składowiska paliw. - A to co? - zapytał, wskazując lotnikom poruszający się na tle chmury, jaśniejszy punkt, który rósł z każdą sekundą. Tuż nad drzewami parku z przeraźliwym rykiem przemknął spiczasty kształt i natychmiast wyrwał z powrotem do góry. Czwórka pasażerów Gazelle z ukrycia pod dębem dostrzegła przez mgnienie trójkątne skrzydła typu „delta”, szarą i jasnoniebieską, maskującą farbę, wreszcie trójkolorowe kokardy na kadłubie. Znad doków uciekał francuski Mirage! Ward odwrócił się, śledząc wzlot francuskiej maszyny, i zdał sobie nagle sprawę, że pierwszy raz na własne oczy ogląda samolot przeciwnika. Dotychczas obserwował wszystkie starcia z klinicznie czystych, umyślnie spokojnych pomieszczeń centrum bojowego na okręcie, skąd śledził różnokształtne punkty na ekranach radiolokacyjnych i monitorach komputerów pokładowych. Tym razem

miał przed sobą samo życie. - Panie admirale! - Harada wskazał na wschód, w kierunku, z którego nadleciał Mirage. Nad park nadlatywał kolejny odrzutowiec, większy i ze skrzydłami o zmiennej geometrii. Leciał wyżej niż Mirage lecz prędko się do niego zbliżał. Ward rozpoznał sylwetkę Tornado. Tylko czyj Tornado? Niemiecki czy brytyjski? Odpowiedzi dostarczyły niebiesko-biało-czerwone kręgi kokard na skrzydłach. Brytyjski myśliwiec przechwytyjący! Tornado przemknął nad parkiem, robiąc zwrot w kierunku Mirage. Przez parę sekund oba samoloty krążyły wokół siebie, nabierając wysokości - coraz wolniej, gdyż manewrując wytracały prędkość i pęd. Później na mgnienie zwróciły się dziobami do siebie, odpaliły rakiety i rozleciały się w dwie strony. Za śladem cieplnym każdego samolotu pędził pocisk raketowy. Ward śledził każdy zwrot i manewr Mirage. Francuski pilot bez powodzenia próbował umknąć pociskowi Sidewinder, rozrzucając za sobą oślepiające race, które miały zmylić rakietę. Nic z tego. Zapalnik zbliżeniowy Sidewindera zdetonował ładunek pocisku zaledwie kilka metrów od samolotu, a chmura odłamków przebiła zbiorniki paliwa Mirage. Francuski myśliwiec rozerwał się w powietrzu i w postaci ognistej kuli runął ku ziemi. Na dachy i ulice miasta posypał się rój płonących szczątków. - O, Chryste! - westchnął ktoś za plecami admirała. Ward odwrócił się i zdumiał na widok wyrazu twarzy pilota Gazelle. Jasnowłosej Anglik cały czas obserwował lot Tornado. Brytyjski myśliwiec również otrzymał trafienie i ciągnąc za sobą smugę dymu, kołysząc się ze skrzydła na skrzydło, zakreślał na południe. Spod kadłuba myśliwca buchał rudoczerwony płomień, coraz jaśniejszy, bo podsycany wyciekającym paliwem. - Skaczcicie! Skaczcicie! - Chorąży zacisnął obie dłonie w pięści. - No, co jest, chłopaki? Skakać!

Dwuosobowa załoga Tornado nie opuściła okaleczonej maszyny, próbując ją doprowadzić nad Tamizę. Ward dopiero po chwili pojął, że lotnicy nie chcą, by płonący samolot spadł na domy, pełne kobiet i dzieci. Pasażerowie śmigłowca patrzyli bez słowa, jak Tornado znika za linią budynków na południowym obrzeżu Hyde Parku.

USS „Boston”, w pobliżu francuskich wybrzeży Atlantyku Niski, czarnowłosej kapitan USS „Boston” miał w sobie tyle samo irlandzkiej krwi co miasto, które użyczyło nazwy jego jednostce.

Prawdziwie irlandzkiej naturze komandor Pete Conroy zawdzięczał między innymi wrodzoną niecierpliwość i dlatego okropnie go denerwowały ostatnie rozkazy. Nie takie rozwiązania podpowiadał mu instynkt podwodniaka i lata szkolenia! „Boston” i dwa inne okręty podwodne klasy Los Angeles polowały na francuski okręt z raketami balistycznymi na pokładzie. Ba, co z tego, że polowały, kiedy sposób, w jaki się do tego zabrały, wydawał się komandorowi zupełnie bez sensu. „Boston” płynął na środkowej pozycji, o trzy mile od każdego z pozostałej pary okrętów. Conroy czuł się jak tarcza strzelnicza, płynąc prościutko przed siebie z prędkością pięciu węzłów, nieco poniżej warstwy styku - odbijającej fale dźwiękowe płaszczyzny między ciepłą wodą powierzchniową i zimną warstwą wód głębinowych. Amerykanie znajdowali się na francuskich wodach terytorialnych, we francuskiej przestrzeni powietrznej. Co z tego, że dowództwo połączonych sił morskich obiecało wysłać myśliwce, które przepłoszą francuskie samoloty obrony przeciw-podwodnej? wystarczy, że raz się zagapia i nieszczęście gotowe. A co będzie, jeżeli żabojady wyślą w ślad za swoimi Atlantique jeszcze silniejszą eskortę własnych myśliwców? Plusk zasranej torpedy przeciwpodwodnej o powierzchnię fal był naprawdę ostatnim dźwiękiem, jaki Conroy miał ochotę usłyszeć podczas tego rejsu. Co najgorsze, było prawie pewne, że załoga USS „Boston” wróci z tego rejsu z niczym. Sztab dowództwa połączonych flot miał powody przypuszczać, że przeczesywany akwen to strefa patrolowa podwodnej floty atomowej Francji. „Powody” były raczej zbieraniną domysłów, osnutych na obserwacji tras lotnictwa przeciwpodwodnego, głębokości i stanu wód, a także na doniesieniach wywiadu. Jeśli chodzi o ten ostatni temat, sztabowcy okazali się dziwnie małomówni. Opierając się na wszystkich tych informacjach, sztab floty szedł o zakład, że gdzieś w pobliżu znajduje się jeden z nielicznych francuskich okrętów podwodnych z raketami balistycznymi na pokładzie. Francuz zaczął się pod wodą i tylko czekał na rozkaz, by odpalić szesnaście wielogłowicowych pocisków dalekiego zasięgu. Jedyny kłopot brał się z faktu, że podwodne okręty raketowe bardzo nie lubią walczyć. Cały sens ich istnienia polega na tym, by nie dać się nikomu wykryć. W tym celu mają na pokładzie nadzwyczaj czułe hydrolokatory, dzięki którym potrafią na odległość dosłyszeć

skradającego się przeciwnika. Na pierwszy odgłos podwodnego albo nawodnego pościgu, atomowy boomer odpływa po cichutku w stronę dal. Conroy zamyślił się. Owszem, okręty patrolowe klasy Los Angeles nie robiły pod wodą zbyt wiele hałasu, tym bardziej przy prędkości pięciu węzłów, ale trochę jednak hałasowały. Na pewno dość, żeby zasygnalizować własną obecność. Co dopiero, gdy zamiast działać w pojedynkę, na tym samym akwenie zaczynała ich węszyć aż trójka! Wojna podwodna to zajęcie dla samotników. Siła kryje się tu nie w stadnym instynkcie i nie w przewadze liczebnej, a w zaskoczeniu i skrytości działań. Po wykryciu pierwszego amerykańskiego okrętu, francuski dowódca zapewne równie szybko spostrzeże pozostałe dwa. Amerykanie przeczesywali całość przypuszczalnego sektora patrolowego, ale i tak przeciwnik miał mnóstwo miejsca na unik, a gdyby się zrobiło naprawdę gorąco, mógł zwyczajnie opuścić sektor i tyle by go widziano. Conroy nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Wyglądało na to, że „Bostonowi” i pozostałym okrętom przypadła robota głupiego. Gdyby nawet udało się wykryć w głębinie inny okręt, przed wystrzeleniem torpedy trzeba go zidentyfikować. Przy tej liczbie własnych jednostek na małej przestrzeni, strzelanie do pierwszego napotkanego celu to pewny sposób na upolowanie któregoś z własnych okrętów. Właśnie z tej przyczyny trzy amerykańskie patrolowce musiały się ściśle trzymać wyznaczonego kursu... - Centrala, tu sonar. Melduję kontakt, kurs jeden trzy pięć, prawie dokładnie przed dziobem.

Conroy truchcikiem ruszył do przedziału hydrolokatora. Zwolnił jednak, by nie dać po sobie poznać zdenerwowania. Do hydrolokatora miał zresztą ledwie parę kroków. Zajrzał dyskretnie do ciasnego przedziału i zapytał: - Jak wygląda ten kontakt?

- Pojedyncze echo, panie kapitanie. Głośne, w szerokim zakresie częstotliwości. Z kąta odbicia widać, że gdzieś głęboko - odrzekł szef hydroakustyków zza pleców pary dyżurnych nad konsolą. Conroy zrozumiał, że akustyk chce, by dowódca wyręczył go w odpowiedzi. Opis pasował tylko do jednego przypadku.

- Wybuch podwodny?

- Zgadza się - przytaknął akustyk. - Nie wiadomo, kto strzelał, do kogo i czy celnie. Cholernie daleko od nas, więc nie wiadomo.

Dyżurni poderwali nagle głowy, a jeden z nich postukał w ekran. -

Panie bosmanie, te same echa. Tym razem dwa, tuż obok siebie. Najprawdopodobniej torpedy.

Conroy i szef hydroakustyków pochylili się także nad ekranem, na którym wyrosły nagle dwa świetlne punkty. Kolejna seria dalekich eksplozji. Ktoś tonął. Ale kto? Pozostawało tylko nasłuchiwać, no i modlić się, że nie chodzi o okręt amerykański. Pięć minut później na ekranie hydrolokatora pokazał się nowy sygnał-szyfrowy dźwięk z łącznościowej boi hydroakustycznej. Boję zrzucił do wody amerykański samolot z patrolu przeciw-podwodnego. Wszystkie okręty patrolujące rejon miały się wynurzyć na głębokość peryskopową i nawiązać łączność. Załodze „Bostonu” zabrało to kilka następnych minut. Polowanie na francuski okręt zakończono - tak mówił sygnał z przelatującego nad akwenem Oriona P-3. Na dno poszedł francuski okręt podwodny klasy Le Triomphant. Czwarty okręt podwodny klasy Los Angeles, USS „Louisville” spełnił rolę myśliwego. Pozostała trójka, w tym „Boston”, była tylko nagonką, idącą od jednego z brzegów sektora. „Louisville” zakradł się przez ten czas od drugiej strony i dryfując, prawie bez pomocy pojedynczej śruby, zagroził Francuzom najbardziej prawdopodobną drogę ucieczki. Francuzi zawrócili, umykając przed „Bostonem” i sąsiadami. Nie obeszło się przy tym bez zwiększonej emisji hałasu. Na „Louisville” wiedziano już, gdzie szukać zdobyczy. W cel trafiła z początku tylko jedna z pary wystrzelonych torped. By dobić francuski okręt, potrzebna była druga salwa. Francja pożegnała się z okrętem i z szesnastoma pociskami raketowymi - a więc z 96 głowicami atomowymi o mocy 150 kiloton każda. Zginęło też wszystkich 135 marynarzy. W ślad za krótkim sprawozdaniem, z Oriona nadeszły nowe instrukcje. Jednostki miały wziąć udział w łowach na drugi francuski okręt, jaki wyszedł w morze. Za wcześnie więc było świętować. Niech szlag trafi tych szczęściarzy z „Louisville”
Conroy miał szczerą nadzieję, że następnym razem uda się i jemu.
26 czerwca - baza pocisków raketowych średniego zasięgu na Płaskowyżu de Albion we Francji
Płaskowyż d'Albion leży na wschód od Awinionu, w górnej Prowansji. Od wschodu z płaskowyżu wyrastają pierwsze strome stoki Alp, od zachodu natomiast teren urywa się, opadając stromo ku winnicom doliny Rodanu. Właśnie tu mieściła się baza z osiemnastoma silosami, w których ukryto tyleż raketowych

pocisków strategicznych średniego zasięgu - całą lądową część francuskich strategicznych sił jądrowych. Podzielone na dwa dywizjony, pociski S3 uzbrojone były w pojedyncze głowice wodorowe o mocy 1,2 megatony, a ich zasięg wynosił ponad trzy i pół tysiąca kilometrów. Jedno ich trafienie mogło obrócić w radioaktywne rumowisko miasto wielkości Moskwy czy Londynu. Kolejne francuskie rządy utopiły miliardy franków w budowie i kolejnych modernizacjach „broni ostatniej szansy”, w przekonaniu, że ich kraj musi zachować niezależną pozycję strategiczną i status supermocarstwa. Dalsze setki milionów franków kosztowała ochrona bazy przed atakiem z lądu i z powietrza. Cały teren otaczał pas pół minowych i bunkrów, obsadzonych przez żołnierzy w granatowych beretach 27. Dywizji Górskiej. Wokół silosów rozstawiono baterie pocisków przeciwlotniczych Roland i zmodernizowanych Hawków. Jednak największej ochrony dostarczała bazie sama konstrukcja silosów, przykrytych od góry wielowarstwowymi czapami żelazobetonu, odpornymi nawet na bliską eksplozję jądrową.

Bateria A, 5. Pułk Obrony Przeciwlotniczej

Wóz radioelektroniczny Baterii A stał pod siatką maskującą niedaleko własnego radaru, osadzonego na specjalnej przyczepie. Załoga nie zatrzasnęła za sobą drzwi, chcąc złapać do wnętrza choć trochę miłego, nocnego powiewu, przesyconego zapachem sosny i eukaliptusa. Wokół wozu i przyczepy z radarem stały trzy trójprzewodnicowe wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych Hawk. - Znowu to samo, panie kapitanie - zauważył z niechęcią sierżant, pilnujący ekranu. - Namiar taki sam jak przedtem, tylko odległość mniejsza.

Kapitan Claude Jussey z westchnieniem odłożył instrukcję obsługi sprzętu, w którą się zagłębił. Melancholijnie pomyślał, że dużo przyjemniej byłoby leżeć w łóżku, a nie cisnąć się w blaszanym pudle i pilnować żołnierzy przy pustych ekranach. Ale co zrobić: od czasu, kiedy się rozpoczęły brytyjskie i amerykańskie naloty na Niemcy i północną Francję, okresowe ćwiczenia i fałszywe alarmy co rusz wyrzywały jednostkę ze snu. Wysoki Jussey zgarbił się jeszcze bardziej i podsunął krzeselko do konsoli. - Pokażcie. - Nie mogę, znowu mi uciekło - oświadczył słabym głosem sierżant, który w życiu lubił pewniki, a nie duchy skaczące po radarowym ekranie. - Nie umiem złapać trwałego odbicia, same tylko

rozsypane echa, to tu, to tam, potem znowu nic... O, znowu jest! Jussey zamrugał, niepewny czy rzeczywiście coś widzi. Kropki na ekranie radiolokatora pojawiały się i rozmywały po sekundzie, zupełnie jak gdyby komputer stacji oszalał. A może naprawdę radar wykrył kogoś w powietrzu? Kogoś, kogo nie miały się impulsy radiolokatorów? Czy to możliwe, żeby Amerykanie zaryzykowali użycie swoich drogocennych maszyn typu Stealth tak daleko od Anglii? Zamiast się dłużej złościć, Jussey z ponurą miną podniósł słuchawkę, łącząc się bezpośrednio z dowództwem obrony powietrznej kraju. Przez nocne niebo ponad dachem wozu z elektroniką spadała ku ziemi bomba. Kilka sekund przed uderzeniem w ziemię, czujnik Paveway III umieszczony na jej czubku „dostrzegł” laserową ścieżkę, podświetlającą cel, i wysłał serię poleceń do sterów na statecznikach ogonowych. Tysiąckilogramowa GBU-27 zboczyła, ustawiła się na nieco innym kursie i kontynuowała lot ku ziemi. - Dowództwo obrony powietrznej! Jussey nie odrywał wzroku od ekranu, na którym znów zajaśniały niewyraźne kropki. - Tu bateria A z płaskowyżu d'Albion, złapaliśmy przypuszczalne echo z kierunku... Wóz z elektroniką eksplodował, rozerwany na drobne strzępy wybuchem, który rozrzucił po całym terenie odłamki płonącego wraka. Jussey, sierżant i pięciu pozostałych żołnierzy zginęło na miejscu. W ciągu paru sekund dokładnie obliczona i wycelowana salwa sterowanych laserem bomb zmiotła także resztę baterii rakietowych 5. Pułku Obrony Przeciwlotniczej. Dziesięć kilometrów dalej i dwa tysiące metrów ponad płaskowyżem, dwanaście samolotów o dziwnym kształcie zawracało na północ. Gołym okiem prawie nie można było dostrzec ich czarnych kadłubów na atramentowym niebie. Jeszcze bardziej liczył się fakt, że myśliwców bombardujących F-117A z 45. Skrzydła Taktycznego amerykańskich sił powietrznych praktycznie nie wykrywały instalacje radiolokacyjne. Częściowo stanowiło to zasługę materiału, który pochłaniał promieniowanie, a także specjalnych drobnych siatek na wlotach powietrza. Prawdziwa tajemnica niewidzialności kryła się jednak w osobliwym kształcie kadłuba i skrzydeł. Każdy F-117A przypominał z kształtu nie tyle zwykły samolot, ile czarny, spłaszczony wielościan o licznych, zwróconych w najrozmaitsze strony płaskich powierzchniach. Wiązki promieni radarowych powracają w postaci echa do urządzeń radiolokacyjnych, tylko wtedy, gdy odbijają się

od powierzchni równoległych w stosunku do anteny radaru. Podczas lotu, każda z tych powierzchni odsyłała więc sygnał jedynie przez ułamki sekund, dzięki czemu samolot pojawiał się i w mgnieniu oka zniknął z ekranów, myląc obsługę i uniemożliwiając bateriom pocisków przeciwlotniczych otwarcie celnego ognia. W 1991 roku amerykańskie samoloty Stealth pokazały co potrafią nad Irakiem. Siedem lat później tej samej sztuki dokonały nad Francją. Po wykonaniu zadania dwunastka F-117A ruszyła w drogę powrotną do bazy w południowej Anglii, zostawiając bramy płaskowyżu 1de Albion wyważone z zawiasów i odarte ze straży.

„Dyrektor”, grupa uderzeniowa „Cyrk”, przestrzeń nad Francją. Jeśli nawet ludzie na pokładzie wielkiego i powolnego samolotu rozpoznania elektronicznego AWACS E-3 denerwowali się zmuszeni do działania tak daleko nad terytorium Francji, zdumiewająco dobrze potrafili tego nie okazywać po sobie. Tak się przynajmniej wydawało generałowi brygady, Robertowi Kellerowi. Głosy, jakie słyszał w słuchawkach, brzmiały pewnie i zdecydowanie. Generał oderwał wzrok od monitora radiolokacyjnego w konsoli dowodzenia. Podobnych konsoli w kadłubie przebudowanego Boeinga 707 ciągnął się cały rząd. Oficerowie amerykańskiego lotnictwa, którzy przy nich siedzieli, co pewien czas poprawiali coś albo przesuwali pokrętki, lecz przeważnie po prostu obserwowali sytuację na ekranach. Ich zadaniem była koordynacja działań ponad osiemdziesięciu samolotów amerykańskich sił powietrznych. - Treser opuszcza arenę. Rakiety unieszkodliwione - rozbrzmiał w słuchawkach głos jednego z koordynatorów nalotu. Keller poprawił się w fotelu, wiedząc, że zbliża się zasadnicza chwila. Niewidzialne dla radarów myśliwce zrobiły, co do nich należało. Reszta powietrznej armady musiała teraz dokończyć dzieła. Przez łącza zaczęły napływać kolejne, precyzyjne meldunki: - Kosmici potwierdzają, Zwierciadło za pięć minut będzie nad celem. Generał pokiwał sam do siebie głową. Jeden z amerykańskich satelitów szpiegowskich KH-11 miał za pięć minut znaleźć się nad właściwym obszarem, gotów przekazać serię zdjęć wprost w ręce analityków w Waszyngtonie. Tym razem ocena skutków nalotu miała naprawdę podstawowe znaczenie. Ameryka nie mogła sobie pozwolić na to, by na płaskowyżu pozostała choćby jedna rakietka. - Woltyżer, Siłacz, Akrobata i Pajac meldują się na pozycji wyjściowej.

Towarzyszące samoloty szturmowe, myśliwce z osłony, maszyny rozpoznania elektronicznego i powietrzne zagłuszarki meldowały gotowość. Keller przycisnął guzik nadawania przy laryngofonie. - Uwaga wszyscy Cyrkowcy, tu Dyrektor! Rozpocząć atak! Gmatwanina kropek, oznaczająca na ekranach grupę uderzeniową, skoczyła naprzód. Generał uważnie obserwował każdy ruch, wypatrując nieprzewidzianych komplikacji albo nagłego przeciwdziałania ze strony nieprzyjaciela. Co rusz zerkał także na zegar zawieszony tuż obok konsoli. Nikt, ale to nikt, nie mógł przewidzieć, jak naczelne dowództwo francuskie zareaguje na groźbę zagłady drogocennych sił jądrowych. Nie można było wykluczyć, że Francuzi postanowią wystrzelić pociski z atakowanej bazy. Gdyby Paryż wydał taki rozkaz, samolotom Kellera pozostałoby dokładnie dwieście sekund na zniszczenie silosów zanim wyprysną z nich ku stratosferze pierwsze S3.

Prowadzący Woltyżer, przestrzeń nad płaskowyżem DWIbion Pułkownik Neil Campos obserwował ciemny krajobraz, przesuwający się pod skrzydłami F-15E Strike Eagle. Wianuszek pomarańczowych punktów wyznaczał miejsca, gdzie dopalały się francuskie baterie pocisków Hawk. Ognie prędko zniknęły za ogonem samolotu. - Widzisz już coś, Mac?

- Na razie nic - odpowiedział z tylnego siedzenia bombardier, Jeff McRae. - Według komputera kurs prawidłowy.

Trzydzieści sześć myśliwców bombardujących F-15E pod wodzą pułkownika Camposa z maksymalną prędkością nadciągało nad jądro francuskiej bazy rakietowej. Wszystkie maszyny poruszały się w bezpiecznym korytarzu, utworzonym przez urządzenia zagłuszające i antyradarowe na pokładach dwóch samolotów radioelektronicznych EF-111. Z tyłu ciągnęły dwa dywizjony myśliwców F-16, gotowe rzucić się na francuskie myśliwce, jeśli te spróbują powstrzymać wyprawę. Szturmowe Eagle miały pod skrzydłami odrzucane zbiorniki paliwa i po dwie gondole systemu LANTRIN, pierwszą do naprowadzania na cel, drugą zaś do nawigacji. Naprowadzane radarowo dwa pociski Sparrow zapewniały samolotom minimum bezpieczeństwa w walce powietrznej. Najważniejsza w każdej maszynie była jednak uwieszona pod kadłubem, ciężka bomba GBU-28 z naprowadzeniem laserowym. GBU-28 ważyły ponad dwie tony każda. Wymyślono je i wyprodukowano w dość niezwykłych okolicznościach: podczas operacji Pustynna Burza okazało się, że tonowe bomby

amerykańskie po prostu odbijają się od wielometrowych betonowych stropów, bez szkody dla bagdadzkich bunkrów dowodzenia. Rozpaczliwe apele o skuteczniejszą broń przyniosły skutek w postaci bomby burzącej GBU-28, pieszczotliwie zwanej „Głębokim gardłem”. Zaprojektowano tę broń, wyprodukowano i wysłano na pole walki w siedemdziesiąt dwie godziny. Bomba łączyła w sobie techniczny geniusz i skrajną improwizację. „Głębokie gardło” było też najbrzydszą bombą w historii. By ją wyprodukować, amerykańscy specjaliści przywłaszczyli sobie zapas niepotrzebnych luf armatnich kalibru 203 milimetry. Lufy dodatkowo wydrążono i zakopano pionowo w ziemi. Następnie ekipy żołnierzy w ochronnych kombinezonach zaczęły pracować wlewać w wylot każdej z luf kolejne wiaderka roztopionego materiału wybuchowego. Kiedy materiał ostygł i stężał, specjaliści wyposażyli bomby w przedni zapalnik opóźnieniowy i laserowy system naprowadzania, a z tyłu w stateczniki z lotkami. Całość wyglądała jak monstrualny granat domowej roboty - pospolita sidolówka. Broń okazała się jednak niesamowicie skuteczna. Zrzucone na irackie obiekty GBU-28 udowodniły, że można spokojnie przebić bombą siedem metrów żelazobetonu albo trzydzieści metrów ubitej ziemi. Bomba wybuchała dopiero po przebiciu stropu. Tym razem amerykańscy specjaliści wojskowi założyli, że taką samą bombą uda się przebić pokrywy silosów francuskich wyrzutni rakietowych. Campos miał nadzieję, że to prawda. Wolał nawet nie myśleć o tym, co będzie, jeśli się okaże, iż planiści są w błędzie. Jeszcze raz sprawdził czas i upewnił się czy skrzydłowy leci tam, gdzie powinien - gotowy do zrzucenia bomby natychmiast, gdy McRae zejdzie znad celu. Eagle miały przeprowadzić nalot parami. Rozkazy były całkowicie jasne: nawet jeśli pierwsza bomba trafi prościuteńko w cel, natychmiast trzeba poprawić drugim „Głębokim gardłem”. Kiedy się atakuje umocnioną wyrzutnię rakiet, które mogą zgładzić miliony ludzi, doktryna wojny powietrznej nakazuje „rozdmuchać gruz”. - Tuś mi! - mruknął McRae, który kilka kilometrów z przodu dostrzegł wreszcie swoją wyrzutnię. Na wyświetlaczu HUD w kabinie F15E pokazał się nowy znak. McRae ze swojego tylnego fotela wpatrzył się w ekran urządzenia celowniczego. Mimo ciemności, kamery działające w podczerwieni wychwytywały dokładny obraz terenu w obrębie ogrodzenia z drutu kolczastego. Widać było także pobliski maszt radiostacji. Bombardier poszukał wzrokiem płaskiej

betonowej pokrywy, chroniącej wylot silosu. Jest! Ręka McRae ścisnęła wybierak celów, włączyła go i skupiła laserowy promień dokładnie na środku pokrywy. - Mów tylko, kiedy, Neil. Jestem gotowy.

Campos delikatnie skierował nos myśliwca w dół, idąc wciąż tym samym kursem, tak aby nie stracić laserowego kontaktu z celem. Upewnił się, że wszystko jest jak trzeba i przycisnął guzik na drążku sterowym, zwalniając bombę. GBU-28 oderwała się od brzucha F-15 i zaczęła spadać na francuską wyrzutnię pocisków raketowych.

Wyrzutnia numer 5, 1. Dywizjon Francuskich Strategicznych Sił Raketowych

Sterowana laserem przez Jeffa McRae bomba trafiła w grubą pokrywę silosu i z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę przebiła się przez kolejne warstwy betonu i stali. Ekspłodowała dopiero we wnętrzu silosu, kilka metrów od piętnastometrowego cygara rakiety balistycznej S3. Rozpalone odłamki rozszarpały delikatny mechanizm głowicy atomowej, zmieniając śmiertelny pocisk w złom. Inne kęsy stali rozdarły poszycie pocisku, nabitego stałym materiałem pędnym. Paliwo raketowe zajęło się natychmiast. Cała olbrzymia pokrywa silosu wydeła się, a potem odfrunęła w bok, odrzucona największym ogniem bengalskim w historii. Słup oślepiającego płomienia i gazu wystrzelił na setki metrów w powietrze, zmieniając noc nad płaskowyżem d'Albion w jasny dzień. ? Aliancka stacja przekaznikowa wojskowej łączności satelitarnej, baza lotnicza woomera w Australii

Obraz przekazywany z orbity 35 tysięcy kilometrów nad równikiem ukazywał nocną półkulę planety. Nad wschodni horyzont zaczynała już wypełzać jasna pręga dnia. Amerykańskie satelity ostrzegawcze DSP, krążące na stacjonarnych orbitach nad Oceanem Indyjskim, transmitowały dane za pośrednictwem stacji w Woomera już od ponad dwudziestu

lat. Przekaznik w Woomera, znany pod kryptonimem „Kasyno” przekazywał transmisje z orbity do USA, prosto i zwyczajnie. Jednak tego ranka w Woomera nic nie działało się prosto i zwyczajnie. Lotnicy skupieni nad ekranami wypatrywali najmniejszej oznaki, że francuskie rakiety wśród dymu i płomieni opuszczają szyby, rozpoczynając lot. Nalot „Cyrkowców” tak zgrano w czasie, by zbiegł się z przelotem jednej z dwóch konstelacji

pocisków orbitalnych G-PALS nad północną Europą, lecz oczywiście nie było gwarancji, że system rzeczywiście zatrzyma prawdziwy atak raketowy. Nikt nie miał ochoty sprawdzać tego w praktyce.

Orbitalna broń w rodzaju „Świejących kamyków” nadawała się do strącania satelitów, krążących stale po tych samych orbitach.

Wykrycie i zniszczenie pocisków balistycznych, wychodzących łukiem ponad warstwę atmosfery stanowiło już znacznie trudniejsze zadanie. Nad skrawkiem południowej części Francji wykwitło nagle mnóstwo białych ogników. Pułkownik dowodzący stacją zbladł jak chusta. - Pilna depesza do Narodowego Ośrodka Dowodzenia.

Prawdopodobne odpalenie raket z wyrzutni na d'Albion!

W tejże sekundzie przerwał mu drugi oficer, śledzący do tej pory transmisje radiowe z formacji bombowej nad Francją: - Odwołać informację! Na radarach „Cyrku” brak ech pocisków! Powtarzam, brak śladów francuskich pocisków! To ognie wybuchów, a nie silników!

Oficerowie stłoczeni przy ekranach aż gwizdnęli z podziwu.

Osiemnaście białych jezorów płomienia wystrzeliło nad Górą Prowansję nieomal jednocześnie. Całą połąć kraju omyło blade, niesamowite światło. Załogi F-15 generała Kellera nadleciały nad cel z dokładnością komputera. Francja nie mogła już nikomu zagrozić raketową bronią strategiczną.

Baza lotnicza Juterbog w Niemczech

Od długiego betonowego pasa odrywały się kolejne pary Mirage F1E, wspinając się w szarzące, poranne niebo. W widoku nie było nic nadzwyczajnego, bo myśliwce przechwytyjące i bombardujące z Juterbog harcowały nad polskim terytorium od chwili rozpoczęcia wojny. Tym razem jednak Mirage leciały na zachód - z powrotem do Francji. Pułkownik Manfred Wutz przystanął przy oknie wieży kontrolnej i z rękoma na biodrach gniewnie obserwował całą scenę. W środku cały kipiał. Ten pośpiech, z jakim Francuzi pakują manatki...!

Francuska obsługa naziemna w brudnych od smaru kombinezonach rzeczywiście uganiała się między schronami dla samolotów, składami bomb i warsztatami, ładując co się tylko da na ciężarówki strzeżone przez francuską żandarmerię. Inne ekipy stały już w dwuszeręgu obok zamaskowanego transportowca C1 30 Hercules. Wbrew protestom strony niemieckiej, dywizjon francuskich sił powietrznych wycofywał się z Juterbog - posłuszny

rozkazom z Paryża. Wutz zdążył się już dowiedzieć, że nie jest to jedyny powracający dywizjon. Sam miał w rękę depesze na temat odwołania jeszcze dwóch jednostek lotniczych, a także kilku baterii pocisków ziemia-powietrze. W sytuacji, gdy amerykańskie i brytyjskie lotnictwo zaczynało sobie poczynać coraz śmielej nad Francją, Paryż wyłaził ze skóry, by wzmocnić obronę własnego terytorium. Pułkownik skrzywił się, przekonany, że ogołocenie polskiego frontu z takiej ilości samolotów to czyste szaleństwo. Zwłaszcza w takiej chwili. Rzeczywiście, wobec dużych strat własnych i ciągłego napływu amerykańskich posiłków lotniczych, Luftwaffe i francuskie siły powietrzne w coraz mniejszym stopniu panowały nad polem bitwy. Ostatnie posunięcia musiały przynieść katastrofę. Wutz odwrócił się i prędko odszedł od okna wieży kontrolnej. Młodszy oficerowie i technicy co prędzej zajęli się swoją pracą. Często powtarzali sobie, że na wojnie nie ma gorszej rzeczy niż wkurwiony pułkownik. Wutz z goryczą myślał o francuskich idiotach, którzy najpierw umyślnie wdepnęli w gniazdo os, a teraz zabierają się do domu. Połączone siły alianckie coraz dotkliwiej dobierały się do lotnictwa Konfederacji. Nieustanne naloty i ataki pocisków samosterujących posłały na dno większość floty wojennej Francji i Niemiec. Garstka ocalałych okrętów nawodnych i podwodnych tkwiła w portach, zablokowana zagrodami minowymi przeciwnika. Szczytem wszystkiego były ostatnie amerykańskie i brytyjskie ataki na francuskie siły jądrowe. Pułkownik zdawał sobie jasno sprawę, że po uporaniu się z bronią atomową, następnym celem za jaki się wezmą Amerykanie będą lotniska wojskowe Konfederacji.

27

Zwiastowanie

26 czerwca - Moskwa

Rezydujący w rosyjskiej stolicy dyplomaci, szczególnie ci z bogatszych państw, korzystali z przywilejów przerastających najśmielsze marzenia Moskwian. Na przykład mogli się bez kłopotu zaopatrzyć w świeże warzywa i w ogóle w żywność, podczas kiedy szary obywatel musiał się zadowolić kartkowym przydziałem mięsa i sera dwa razy w miesiącu. Nawet za ruble cudzoziemcy mogli w sieci specjalnych sklepów kupić, co tylko chcieli. System ten był jedyną oszczędzoną przez wojskowe władze Rosji pozostałością wolnego rynku. Trójki wywiadowców z Federalnej Służby

Dochodzeniowej, obserwujących bramę ambasady USA, nie zdziwił więc widok furgonetki ze Spółdzielni Towarowo-Żywnościowej w Kuskowie, zajeżdżającej przed świtem pod wejście. Wiadomo, Amerykanie naród wybredny. Lubią dobrze zjeść, a zresztą stać ich na to. - Patrzaj no tylko! O, rany! - zdumiał się Pawka Woroncow, najmłodszy i najmniej oblatany z całej trójki, śledząc scenę przez lornetę na trójnogu. Furgonetka objechała ceglany gmach kancelarii i zatrzymała się przy bocznym wejściu.

- Niby na co mam patrzeć, Pawka? - Kolega Woroncowa zsunął z uszu słuchawki i podniósł wzrok znad rzędu szpulowych magnetofonów. Mikrofony kierunkowe nie wychwyciły jeszcze tej nocy niczego ciekawego - ot, normalne wiązanki z ust milicjantów przed ambasadą, a także kompletnie niezrozumiałe komentarze wartowników z amerykańskiej piechoty morskiej, służbę przy bramie umilających sobie rozmową o baseballu.

- Na co? Patrz! Kiełbasa' Marchew! Całe skrzynki... - Patrząc na konwojentów w waciakach, wnoszących dostawę do środka, wywiadowca sam poczuł ślinę w ustach. - Boże mój, całą tuszę wołową sobie zamówili! A to co? Pomarańcze...?

- Zamknąłbyś się, a nie buczał jak krowa na siano! Nie masz już się na co gapić? - warknął ze złością dowódca dozoru. - Szpiegów szukaj, a nie jakiejś marchwi!

-Złość była uzasadniona o tyle, że mimo specjalnych kartek funkcjonariusze państwowych służb specjalnych - pod koniec miesiąca zwłaszcza - jedli to samo, co wszyscy. Oficer FSD spożył poprzedniego dnia na obiad czerstwy chleb z odrobiną margaryny, talerz podejrzanego zalatującego kapuśniaku, a do tego słabą herbatkę. Objechawszy podwładnego, oficer postanowił nie zwracać uwagi na burczący brzuch i na powrót zajął się spisywaniem meldunku. Skruszony Woroncow obrócił szkła lornety ku oknom kancelarii. W budynku paliło się niewiele świateł, wszystkie na tym samym piętrze, tam gdzie Amerykanie na okrągło utrzymywali dyżur przy środkach łączności. Rosjanin dałby sobie głowę uciąć, że amerykańscy dyżurni nudzą się dokładnie tak samo jak on, albo i gorzej. O tyle lepiej, że mogli sobie coś przegryźć. Na pewno dostali po tabliczce czekolady. Może nawet po hamburgerze, takim, jakie kiedyś sprzedawano w moskiewskim McDo-naldzie. Woroncow westchnął i bezwiednie znów się zapatrzył w furgonetkę. Niestety, za późno. Konwojenci ze spółdzielni w Kuskowie zakończyli

rozładunek i zbierali się do odjazdu. A to dranie! Tym się powodzi! Na pewno uszczkną sobie po kawałku z każdej dostawy! Zniechęcony Woroncow odwrócił wzrok. Nie interesowała go pusta furgonetka, tylko żywność, jaka trafiła do spiżarni ambasady. Nie przyszło mu jakoś do głowy, że furgonetka wcale nie musi być pusta, albo że przy rozładunku ktoś mógł się niespostrzeżenie wśliznąć do samochodu. Tymczasem furgon ze Spółdzielni Towarowo-Żywnościowej w Kuskowie (zakładu będącego skądinąd własnością Nowego Kijowskiego Przedsiębiorstwa Handlowego, a tym samym również CIA) za główną bramą skręciła w lewo i pędem ruszyła przez Moskwę. Chwiejąc się do wtóru podskoków furgonetki, Erin McKenna ściągnęła z siebie drelichowe spodnie i cisnęła je na podłogę w ślad za kufajką. Za spodniami poleciała czapka-leninówka, maskująca dotąd upięte pod nią, kasztanowe włosy. Amerykanka została w zwyczajnej, niebieskiej koszulce, szortach i butach sportowych. Najważniejsze, by się nie rzucać w oczy. Podniosła wzrok, napotykać obojętne spojrzenie Alexa Banicha. Obojętne przynajmniej z pozoru. Erin zdawała sobie sprawę, że Banich uważa jej spotkanie z pułkownikiem Sołowiewem za głupotę i niepotrzebne ryzyko. Pomagał w akcji zmuszony bezpośrednim poleceniem Lena Kutnera i instrukcjami z Langley, nie dlatego że tak chciał. Zgodził się opornie i tylko pod warunkiem, że podjęte zostaną wszystkie środki ostrożności. Na przykład w postaci elektronicznej uprząży pod koszulką Erin. Amerykanka prawie przy każdym poruszeniu czuła mikrofonik, przyklejony plastrem tuż u nasady szyi. Między piersiami wyczuwała też cienki jak włos przewód, biegnący stamtąd ku przyklejonym do pleców, miniaturowym bateriom, mikromagnetofonowi i nadajnikowi radiowemu. System działał niezależnie od tragarza, by Erin nie musiała niczego włączać i wyłączać podczas biegu. - Najważniejsze, żebyś się nie pociła - przestrzegł ją w ambasadzie Banich z krzywym uśmiechem. Uśmiech był może krzywy, ale za to pierwszy, jakim agent obdarzył ją od czasu pamiętnej rozmowy z pułkownikiem Sołowiewem. Rozmyślnie ryzykowali, nagrywając rozmowę. Jeżeli prośba rzeczywiście była pułapką, magnetofon i reszta sprzętu Erin demaskowały ją jako szpiega, koniec rozmowy. Inna sprawa, że dzięki nagraniu Banich i Mike Hennessy mogli od początku do końca śledzić przebieg spotkania i gdyby coś poszło nie tak, mieli czas przyjść Erin z pomocą. Mieli, albo i nie mieli. -

Powtórz, co masz robić, jeśli się coś zdarzy, albo jeśli wyczujesz w rozmowie coś dziwnego - polecił Banich.

Erin pamiętała każdy szczegół. Poprzedniego wieczora dobrych kilka godzin wbijała sobie w pamięć niedługą listę niewinnych sformułowań, które stanowiły umówiony znak dla Banicha i Hennessy'ego. Banich uparł się też, by się zapoznała z broszurką na temat techniki ucieczki i ukrywania się w tłumie. Dał jej też adres jednej ze śródmiejskich skrzynek CIA. - Pamiętaj, Sołowiew niech mówi, ty tylko słuchaj. Nie wdawaj się w szczegóły, niczego mu nie tłumacz. Zapamiętasz?

McKenna przytaknęła, trochę zła, że się ją traktuje jak zagubioną sierotkę albo kretynkę, lecz trochę także ujęta faktem, że Banich tak się troszczy o jej bezpieczeństwo. Sam Banich także wiedział, że McKenna wykuła na pamięć wszystkie instrukcje, więc pytał tylko na wszelki wypadek. Jak na człowieka, którego w całej ambasadzie przezywano Lodowcem, Alex Banich trząśł się nad Erin niczym stara babcia. Gdyby go zapytać o przyczynę, odburknąłby, że wpadka może narazić całą sieć wywiadowczą w Rosji, lecz Erin domyślała się, że chodzi o coś jeszcze. Przywiązali się do siebie z Banichem podczas miesięcy wspólnych posiłków, rozmów, pracy i żartów. Żadne z nich nie chciało się do tego na razie przyznać, ale tak właśnie było.

Furgonetka zwolniła i zatrzymała się.

- Jesteśmy na miejscu, Alex. Na prawo Klasztor Nowodiewiczy, na lewo zieleń miejska - obwieścił zza kierownicy Hennessy, niewidoczny za przegrodą kabiny.

- Czysto było, jak jechaliśmy? - upewnił się Banich.

- Chyba czysto. Alcott i Teppler też nic nie zauważyli. Druga dwójka agentów jechała w pewnej odległości za furgonetką, sprawdzając, czy nikt nie śledzi Banicha i jego ludzi. - To chyba dobrze, co? - zagadnęła Erin.

- Może i dobrze - odburknął Banich bez przekonania. - A mo że FSD nas nie śledzi, bo wie, dokąd jedziemy. Ostatnia szansa, żeby się wycofać, McKenna. Naprawdę nikt nie będzie miał pretensji, że nie chcesz pchać palców między drzwi.

- Coś ty! - Erin potrząsnęła energicznie głową, odpędzając wątpliwości i wahania, które sama zaczynała już odczuwać na myśl o atrakcjach, jakie mogli przygotować dla niej Rosjanie. Oczami wyobraźni ujrzała scenę aresztowania, tortury, więzienną celę...

Poczuła, jak mocniej uderza w niej serce.

- Jak chcesz - odpowiedział krótko Banich, odwrócił się i szybko wyjrzał przez zasłonkę na tylnej szybie. - Jazda, póki czysto!

W błyskawicznym tempie otworzył tylne drzwi wozu, lekko zeskoczył na jezdnię i pomógł Erin wysiąść. Erin podejrzewała, że Banich tak się spieszy z obawy, że lada chwila sam się rozmyśli co do sensu akcji. - Za dwie szósta. Pamiętaj, jeśli Sołowiew się nie pokaże do pięć po szóstej, wracaj do wozu. Żadnego czekania, słyszysz? Zamiast odpowiedzieć, Erin zrobiła to, na co od dawna miała ochotę: nachyliła się ku Banichowi i cmoknęła go w policzek, a potem odwróciła się i ruszyła truchcikiem w stronę klasztoru. Alex Banich stał oszołomiony, odprowadzając ją wzrokiem. W przodzie wyrósł przed Erin moskiewski Klasztor Nowodiewiczy - zespół zwalistych budowli, otoczonych zębatym murem o dwunastu basztach. Ponad murem piętrzyły się budynki, niektóre zwieńczone cebulastymi kopułami i prawosławnymi krzyżami. - Tylko nie waż się wchodzić za mur - przestrzegł ją Banich zanim wyruszyli. - Natychmiast stracimy z tobą łączność.

Dopiero teraz Erin zrozumiała, o co mu chodziło. Sygnały radiowe z jej słabiutkiego nadajnika żadną miarą nie mogły się przebić przez mury odporne na kule armatnie i maszyny oblężnicze.

Założony w 1524 roku klasztor wyglądał z zewnątrz bardziej jak forteca albo więzienie. Niektórzy z carów w samej rzeczy trzymali tu pod kluczem swoje faworyty, kobiety zbyt niebezpieczne albo zbyt wpływowe. Czyżby nowy omen i dla niej? Z boku rozbłyskiwały w pierwszym słońcu wody rzeki Moskwy, która omijając łukiem zespół stadionów, hal sportowych i basenów rozbudowany z okazji olimpiady w 1980 roku, omywała teren klasztoru od północy.

Walentin Sołowiew rzeczywiście czekał na Erin przy głównej bramie, której łuk wspierały grube filary. W koszulce i w szortach-dynamówkach, rosyjski pułkownik wyglądał korzystniej niż w mundurze, bo wydawał się mniej sztywny i mniej onieśmiał Amerykankę. Czekał, przyglądał się pracy pary brodatych i dość obdartych malarzy. Malarzy czy przebranych agentów? Zaniepokojona Erin zwolniła kroku. Wiedziała skądinąd, że moskiewscy niedzielni artyści uwielbiają przychodzić tu ze sztalugami, ale o tak wczesnej porze brama klasztoru była jeszcze zamknięta. Erin nie

spiesząc się podeszła bliżej. Obaj brodacze pracowali każdy nad własną akwarelkową wersją klasztoru o wschodzie słońca. Dwa pędzle skakały szybko po papierze, zakrywając biały obszar bladymi plamami koloru. Erin poczuła na ten widok pewną ulgę. Albo FSD miała na swych usługach niezłych artystów, albo też brodacze rzeczywiście byli tymi, na kogo wyglądali - parą chudych studentów, próbujących zarobić parę rubli na sprzedaży wizerunków jednego z najznamienitszych moskiewskich zabytków. Słyszając kroki, Sołowiew odwrócił się - z uśmiechem, choć dziwnie powściągliwym. Musiał się mieć na baczności równie mocno, co Erin. Po rosyjsku odezwał się: - Przyszła pani jednak! Świetnie!

- Skąd to zaskoczenie? - zapytała McKenna również po rosyjsku, siląc się na jak najpoprawniejszy akcent.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Skąd mogłem wiedzieć czy znajdzie pani dla mnie wolną chwilę? Założę się, że w tych czasach nie narzeka pani na brak zajęć. - Sołowiew spojrział na parę malarzy, a potem na asfalt ulicy. - To co, przebiegniemy się?

Erin spostrzegła, że Rosjanin rozmyślnie nie zwraca się do niej po nazwisku. - Biegnijmy. Tylko nie wiem czy pan za mną nadaży. Tym razem Sołowiew uśmiechnął się zupełnie szczerze i pierwszy wybiegł ze sklepionej bramy, skręcając w prawo, ku rzece. Erin z łatwością podchwyciła tempo. Przez kilka minut biegli w milczeniu, a potem skręcili w nadbrzeżną ulicę, przed sobą mając w oddali beżowe wieżycy Hotelu Ukraina. Na ulicy prawie się nie widziało aut ani ciężarówek - jeszcze jedna oznaka, że racjonowanie benzyny i zakaz poruszania się prywatnymi samochodami odnoszą skutek. Erin nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

- I co, pułkowniku? To pan chciał rozmawiać, więc może pan mi wyjaśni, dlaczego?

Gdy Sołowiew się odwrócił, ujrzała w jego szarych oczach wesołość. Uniósł brew i zapytał: - Dlaczego zaraz „dlaczego”?

Może się zwyczajnie stęskniłem za pani towarzystwem?

- Wątpię - ucięła Erin, która wiedziała, że podoba się niejednemu, lecz bardzo wątpiła czy dla kaprysu albo nawet uczucia Sołowiew umiałby zaryzykować karierą. Domyślała się poza tym, że przystojny, arystokratyczny pułkownik nie może się opędzić od pięknych Rosjanek, które w dodatku na pewno nie

wtykają sobie gdzie się tylko da miniaturowych mikrofonów.

- I słusznie - rzucił pułkownik, poważniejąc. - Owszem, są jeszcze inne powody.

Erin milczała, biegnąc ramię w ramię z wojskowym.

Sołowiew pomilczał chwilę, lecz wreszcie się zdecydował i nie zwalniając biegu skręcił do niewielkiego parczku przy zachodnim skraju klasztoru. Żwirowana ścieżka prowadziła ku dwóm stawom i pachnącym, zapuszczonym klombom. Przy kolejnej ławce pułkownik zatrzymał się i spojrzał Erin prosto w oczy. - Zaufała mi pani, decydując się przyjść - zauważył. - Mogłem się przecież okazać prowokatorem, prawda?

- Zastanawiałam się nad tym - przyznała Erin.

- Nie dziwię się. - Rosjanin obojętnie wzruszył ramionami. -

Rzeczywiście, są w Rosji tacy, dla których oszustwo to sprawa normalna, ale ja do nich nie należę. Z tym, że... - Sołowiew znów przyjrzał się McKennie. - Musi pani zrozumieć, ile ryzykuję taką rozmową. Jeżeli choć jedno słowo trafi w niepowołane uszy...

Sołowiew przeciągnął krawędzią dłoni po grdyce i spochmurniał. -

Niestety, nie próbuję pani straszyć. Naprawdę się to zdarza.

Sam o tym wiem najlepiej.

Erin McKenna poczuła, jak przyspieszają biegu jej wszystkie myśli. Widoki, zapachy i dźwięki stały się dla niej nagle wyraźniejsze niż przedtem, jak gdyby ożyły. Wrażenie było znajome. To samo odczuwała, ilekroć natrafiła wreszcie na klucz do szczególnie zawikłanej i trudnej zagadki. Zdała sobie nagle sprawę, że ożywienie bierze się też z lęku. Ostatecznie Sołowiew mógł umyślnie kłamać, dopomagając rosyjskiemu kontrwywiadowi. Instynktownie Erin odrzucała jednak tę możliwość i coraz mniej brała ją pod uwagę. Rozłożyła bezradnie ręce: - Mogę tylko obiecać, że się postaram o dyskrecję.

- Dobrze i to - ożywił się Sołowiew i usiadł na ławce, twarzą ku rzece. Erin usiadła obok niego, zerkając kątem oka na szare pudełko furgonu Banicha, zaparkowane kilka przecznic dalej. Oby tylko nie zerwała się łączność.

- Francuzi chcą nas skłonić do interwencji wojskowej w Polsce - odezwał się nieoczekiwanie Sołowiew. - Wysłali delegację na rozmowy na wysokim szczyblu. Chcą rozmawiać bezpośrednio z Kaminowem i resztą rady wojskowej.

Erin zatrzęśło. Dzień, choć słoneczny, wydał jej się nagle

przeraźliwie chłodny. Od samego początku w Waszyngtonie obawiano się takiej przerażającej sytuacji. Ani Stany Zjednoczone, ani oczywiście Wielka Brytania, nie mogły wysłać wojsk do Polski na tyle szybko, by zahamować francusko-niemieckie uderzenie z zachodu w połączeniu z rosyjską lawiną na wschodzie. Starając się przywołać spokojny ton głosu, zapytała więc: - A co na to Kaminow i jego ludzie? Zgodzili się?

- Jeszcze nie. Żądają więcej, niż Francuzi są skłonni zapłacić. - Pogardliwa nuta w słowach pułkownika zdradzała, co myśli o motywach generalicji.

- A ile są skłonni zapłacić?

- Obiecują pomoc finansową i udostępnienie nowych technologii. W sumie kilka miliardów dolarów.

- Czyli nie tak wiele?

- Czyli garść miedziaków! - Sołowiew zgarbił się i wyjaśnił: - Kaminow wie, że im dłużej będzie zwlekał, tym usilniej Paryż zacznie zabiegać o naszą pomoc. Potrzebujemy też czasu, żeby przerzucić odpowiednie siły wojsk na Białoruś, nad granicę z Polską. - Dobrze, ale ile w takim razie zażądacie?

- Ile? Więcej. Więcej pieniędzy, więcej nowoczesnych technologii zbrojeniowych. Poza tym Kaminow żąda dla Rosji równego z niemieckim i francuskim statusu w Konfederacji. A do tego... - najgorszą wiadomość pułkownik zostawił na sam koniec, bo zaciskając zęby ciągnął: - Do tego Kaminow chce, żeby mu zostawić wolną rękę w kwestii Ukrainy, republik bałtyckich, Kazachstanu, Zakaukazia... Wie pani, że znajdzie się w moim kraju niejeden, któremu się marzy odbudowa radzieckiego imperium. Ech, marzy im się Rosja jak za cara! Nieważne oczywiście, za jaką cenę, bo przecież to nie oni będą płacić. Oni tylko wezmą władzę, a ludzie, jak to ludzie, pójda za nimi. Rosja ma dosyć głodu, Rosja ma dosyć poniżenia. Rosja chce dla siebie dobrobytu i należnego miejsca na światowej arenie. Erin siedziała jak przymurowana. A już myślała, że najgorsza ze wszystkiego będzie wizja Europy zdominowanej przez Francję i Niemcy! Zjednoczone na powrót i w dodatku agresywne rosyjskie imperium plus nowa Europa - to już się nie mieściło w głowie. Zakręciła w palcach koński ogon, zastanawiając się, od czego zacząć. W słowach Sołowiewa uderzył ją pewien znaczący szczegół. - Mówi pan tylko o Francuzach. Co w takim razie z Niemcami? Także biorą udział w

tych rozmowach?

- Nie wydaje mi się. Wszyscy negocjatorzy, z jakimi się zetknąłem, to Francuzi. Rokowania są prowadzone w najściślejszej tajemnicy, w dacy pod Moskwą. - Pułkownik uśmiechnął się pod nosem. - Mam wrażenie, że Niemcom nawet się nie śni, że ich sojusznicy wycinają im takiego hołubca.

Wiadomość była nie tylko ciekawa, lecz co więcej pasowała do znanych faktów. Trudno podejrzewać Niemców o entuzjazm wobec pomysłów odbudowy wielkiej Rosji. Co więcej, skwapliwość z jaką Francuzi zasiedli do rozmów za plecami najbliższych przyjaciół, mówiła niezmiernie wiele o arogancji, a może o rozpaczliwej determinacji Paryża. Albo o jednym i drugim po trosze. Łoskot toczącej się ulicą ciężarówka wyrwał Erin z zamyślenia. Czas uciekał, Moskwa wstawiała do pracy. Trzeba zaraz zakończyć tę rozmowę, inaczej ktoś gotów ich tu przyuważyć. Trudno o bardziej podejrzany widok niż para Rosjan, która zamiast pracować albo stać w kolejce, wysiaduje sobie na ławeczce. - Ma pan jakiegokolwiek dowody co do tych rokowań?

- Nie mam i nie będę miał, pani McKenna - nachmurzył się Sołowiew. - Jak powiedziałem, rokowania są utajnione, a obrady ściśle strzeżone.

Erin spochmurniała również, wiedząc, że bez konkretów na poparcie posiadanych informacji, Stany Zjednoczone nie mogą oficjalnie poinformować świata o tym, co w tajemnicy szykują Rosjanie i Francuzi. Oba państwa określiłyby takie rewelacje jako brednie, Sołowiew wylądowałby w nowym oddziale Gułagu albo poszedł do piachu, a rokowania potoczyłyby się dalej. Podniosła oczy na pułkownika.

- Naprawdę nie może pan zdobyć dowodów?

Sołowiew patrzył na McKennę przez długą, bardzo długą chwilę, a potem z wolna skinął głową.

- Może i mogę... Ale to nie takie proste.

- Jak prędko?

- Nie mam pojęcia. Nie mogę ot, tak, wynieść za bramę dokumentów czy taśm. Trzeba się dobrze zastanowić, co i jak. No, i mieć szczęście. Zastanowić się, owszem, mogę. Co do szczęścia, niczego nie zagwarantuję.

- To ogromnie ważne, pułkowniku. Ogromnie.

- Przecież rozumiem. - Sołowiew sprawdził, która godzina i

podniósł się z ławki. - Chodźmy, za długo już tu siedzimy. -
Kiedy mogę się z panem skontaktować?

- Rzecz w tym, że nie może pani. FSD robi się coraz bardziej
wszędobylskie. Na pewno mają na podsłuchu wszystkie telefony w
ministerstwie.

Erin podjęła w duchu decyzję. Banich nie bez oporów dał jej numer
zaufanego telefonu, który miała przekazać Sołowiewowi, choć tylko
i wyłącznie pod warunkiem, że Rosjanin okaże się godny zaufania.

- Okej, pułkowniku. W takim razie niech pan sam zadzwoni, żeby
się umówić. Tylko niech pan znajdzie w tym mieście telefon nie
na podsłuchu. Proszę zapamiętać ten numer: 253 2462.

Sołowiew bez zająknięcia powtórzył serię liczb i nagle uśmiechnął
się, zapominając o poprzednim nastroju. - Jak na zwykłego
attache handlowego ma pani zaskakujące pomysły.

Erin zarumieniła się, zła na siebie jak diabli.

- Cóż, to tymczasem - pułkownik cmoknął ją w rękę i odwrócił się.

- Chwileczkę!

- Co takiego?

- Mam jedno pytanie - rzekła Erin, podchodząc jeszcze bliżej. -

Dlaczego mi pan to wszystko mówi?

- Bo jestem patriotą, pani McKenna - uśmiechnął się sarkastycznie
Sołowiew. - Matka Rosja jest mi droższa niż jej słudzy, jak to
się wyraził marszałek Kaminow, kiedy wyrwał prezydentowi władzę
i rozpętał obecne szaleństwo. Jeśli marszałek nie przewidział,
że to samo dotyczy także jego służących, tym gorzej dla niego.

27 czerwca - Białoruś, odcinek szosy Smoleńsk-Brześć pod
Stołpcami

Główna szosa łącząca Smoleńsk z polsko-białoruskim przejściem
granicznym w Brześciu przecinała tu szeroką dolinę Niemna. Od
północy dolinę okalały ciche, cieniste lasy i zielone łąki.

Od południa okolica zniknęła na dobre w tumanach żółtego kurzu
spod kół i gąsienic korkujących szosę pojazdów wojskowych.

Milicjanci i żandarmi strzegli wszystkich skrzyżowań, zawracając
cywilne ciężarówki i wozy osobowe na boczne, polne drogi. By
oszczędzić na czasie, trzy przerzucane na zachód dywizje sunęły
całą szerokością szosy. Monstrualne przyczepy niskoosiowe, na
których pod pokrowcami jechały czołgi T-80 i gąsienicowe bojowe
wozy piechoty BWP-2 mieszały się z ciężarowymi KRAZami i
ośmiokołowymi transporterami BTR-80 pełnymi wojska. Ku polskiej

granicy ciągnęło dwa tysiące pojazdów i sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, tworząc kolumnę marszową rozciągniętą na siedemdziesiąt kilometrów. Tą samą trasą, równoległe do trójki dywizji, ciągnęły składy kolejowe z paliwem i amunicją. Choć podwładni nadal prowadzili targi z Francuzami, marszałek Jurij Kaminow postanowił zawczasu zgromadzić atuty.

Paryż

Nicolas Desaix patrzył na siedzącą przed nim parę z mieszaniną irytacji i pogardy, bo też obydwójce Belgowie prezentowali się nader przeciętnie. Czy jest na świecie ktoś, kto potraktuje poważnie ministra obrony, którym jest kobieta? I to kobieta z wyglądu najbardziej podobna do tłustej, siwowłosej gosposi? Poczwórnny podbródek i obfita talia szefa sztabu generalnego belgijskiej armii również nie wzbudzały zaufania. Dobrze przynajmniej, że belgijskiej parze wystarczyło przytomności, by się zdecydować na hołd wobec osoby numer jeden w całej Konfederacji. - Nie zgadzam się! - oświadczył Desaix kategorycznym tonem. - Nie, pani minister, nie ma mowy o taryfie ulgowej dla belgijskiej armii. Wasze dwie brygady nie przepracują się przy ochronie obiektów, a bardzo się przysłużą Konfederacji. - Ależ dwie brygady to połowa całej naszej armii, monsieur! - zaoponowała pani minister obrony. - Nie dość na tym, bo wysyłając je do was złamiemy przysięgę. Mój rząd zobowiązał się wobec wyborców, że poborowi nie będą służyć poza granicami Desaix zmierzył upartą babę groźnym spojrzeniem. Bądź co bądź osobiście wpadł na pomysł, by wycyganić od Belgów dwie brygady wojska. Meldunki z Moskwy wskazywały niezbitcie, że nie uda się tak szybko ani tak tanio wciągnąć Rosji do wojny. Tymczasem francuskie i niemieckie siły tkwiące w Polsce na gwałt dopominały się o posiłki, o uzupełnienia, o nowe czołgi, dzięki którym będzie można znów ruszyć z ofensywą. Jedynym sposobem na odkomenderowanie drugiego rzutu - strzegącego zaplecza - na front, było zastąpienie tych jednostek belgijskimi. Desaix nie spodziewał się zupełnie przeszkody w postaci oślego uporu pary belgijskich polityków. - Uroczyste przyrzeczenia waszego rządu wobec Konfederacji wydają mi się ważniejsze, niż egoistyczne przesłanki polityki wewnętrznej, madame. Jeżeli jest pani innego zdania, proponuję jeszcze raz przestudiować odnośne traktaty.

Desaix nie bawił się tym razem w dyplomację. Rozmawiał w końcu z wysłannikami słabego, bezbronno kraiku, który graniczył zarówno z Francją, jak i z Niemcami. Szkoda, że Belgowie zapomnieli o tym fakcie. Jeżeli od razu potraktować ich z góry, złamią się i bez oporów przyklasną dużo ważniejszym prośbom. Desaix nachylił się ku gościom.

- Polecenia sekretariatu obrony są nieodwołalne i muszą zostać wykonane natychmiast. Dlatego proponuję jak najszybciej wydać waszym sztabom stosowne instrukcje.

Po tych słowach odwrócił się, zadowolony z oszołomienia i przestachu, jakie się odmalowały na twarzach dwójki gości. Gdy asystenci wyprowadzali przejętych Belgów z gabinetu, De-saix myślał już o innych sprawach, o wiele ważniejszych niż Belgia i jej dwie brygady.

28

Przyczółek

27 czerwca - sztab niemieckiej 19. Brygady Grenadierów Pancernych na południowych przedpolach Bydgoszczy Na polach i na poboczach polskich szos co chwila napotykało się ślady trwającej wojny.

Przy szosie numer 5, pośród poczerniałej trawy i nadtopionych stalowych odłamków straszyla para wypalonych T-72, które próbowały zatrzymać natarcie wojsk Konfederacji. Wraki roztaczały mdlący odór dymu, dieslowskich spalin i zwęglonego mięsa.

Wyglądały niczym dwie rany w sielskim pejzażu, przepojonym wonią spieczonej ziemi, siana i nawozu. Na wszelki wypadek podpułkownik Willi von Seelow trzymał się przeciwległego pobocza szosy, z którego obserwował długą kolumnę Marderów i Leopardów 2 własnej brygady. Jej pancerna kolumna sunęła na północ, wraz z tysiącami innych wozów bojowych i dział, za którymi ciągnęły się obłoki kurzu. Po pięciu dniach na tyłach, podczas których udało się trochę odetchnąć i uzupełnić straty, II Korpus wojsk Konfederacji Europejskiej ponownie szedł w bój - jak zwykle prowadzony przez niemiecką 7. Dywizję Pancerną. Na pancerzach Marderów jechały grupki osowiałych, milczących piechurów. Większość aby ochronić nozdrza przed gęstym, dławiącym pyłem spod gąsienic, obwiązała sobie twarze chustami. Smród oleju napędowego i spalin w połączeniu z upałem sprawiał, że pod pancerzem w przedziałach desantowych transporterów nie dawało się wytrzymać ani chwili. Von Seelow znał niektóre twarze na pancerzach, lecz większość

grenadierów widział pierwszy raz, co stanowiło zły znak. Choć do szeregów wróciła część żołnierzy lekko rannych w pierwszych dniach wojny, większość uzupełnień stanowili poborowi z jednostek obrony terytorialnej, w trybie alarmowym powołani w szeregi. Niemiecka obrona terytorialna - odpowiednik amerykańskiej Gwardii Narodowej - miała za zadanie bronić własnego kraju, nie zaś prowadzić działania zaczepne w obcych państwach. Nieoczekiwanie wysokie straty w ludziach kazały władzom Niemiec zmienić tę zasadę. Krok nie spodobał się nikomu - ani dowódcom, którym przyszło uczyć od podstaw leciwych i nie przygotowanych do walki podwładnych, ani tym bardziej samym dziadkom-rezerwistom. Spośród tych ostatnich większość stanowili zwyczajni urzędnicy, sklepikarze i robotnicy, którzy wstępując do sił terytorialnych, zobowiązali się bronić Niemiec przed radziecką inwazją na Europę, a nie najeżdżać wciąż na tych samych sąsiadów. Doszło do tego, że część niemieckich rezerwistów zamiast się zgłosić w terminie, wołała się ukrywać. Inni umieli sobie znaleźć odpowiednie zaświadczenia lekarskie i tym sposobem wykręcić się od służby. Koniec końców niemieckie dywizje, które walczyły w Polsce, uzupełniła tylko połowa przewidzianej liczby gwardzistów. Willi sam aż westchnął na widok tyłu przybitych, ponurych twarzy. Na papierze brygada powróciła prawie do stanów wyjściowych, lecz tak naprawdę coraz mniej przypominała bitny, świetnie wyszkolony związek, który dwadzieścia dwa dni wcześniej przekroczył Nyse. Od idącej szosą kolumny odłączył się jeden z Marderów i zjechał na pobocze, zatrzymując się burta w burtę z wozem dowodzenia von Seelowa. Z namazanych kredą na pancerzu liter i cyfr wynikało, że transporter należy do podpułkownika Klause von Oldena, dowódcy 192. Batalionu Grenadierów Pancernych. Willi spostrzegł nie bez rozbawienia, że zwiastujący dotąd to samo jaskrawy herb na burcie starannie zamalowano ciemną farbą. Widocznie rozsądek i ambicja, by wyjść z opresji z życiem, przeważały nad dumą z pruskiego rodowodu. Von Olden, także ponury i jeszcze chudszy niż zwykle, podźwignął się z włazu Mardera i lekko zeskoczył na ziemię. Willi ruszył mu na spotkanie, próbując zachować obojętną minę. Zarozumiały, nieznośny i ambitny dowódca 192. Batalionu zdążył mu dobrze zaleźć za skórę od samego początku służby w brygadzie. Von Olden nie cierpiał Ossich z dawnego NRD -zwłaszcza takich, którzy jak von Seelow wyprzedzili go w awansach. Willi pomyślał,

że mówi się trudno. Póki trwa wojna, chcąc nie chcąc musieli obaj współpracować. Nagły przeskok von Seelowa na stanowisko dowódcy brygady dodatkowo pogłębił antypatię von Oldena, który nie taił wobec otoczenia, iż uważa się za znacznie lepszego kandydata - na pewno bardziej odpowiedniego niż Jakiś nadgorliwy komunista". Willi miał powody przypuszczać, że oprócz von Oldena podobnymi uczuciami darzy go jeszcze kilku sztabowców 7. Dywizji i II Korpusu. Tylko co z tego? Na razie mogli mu skoczyć. Przejął dowodzenie brygadą w skrajnie trudnej, wręcz niewyobrażalnej sytuacji i umiał z niej wybrnąć. Na szczęście wojna zepchnęła na dalszy plan zwykle podgryzania i przepychania. Póki co, liczyły się tylko umiejętności. Von Olden zaczepnie wysunął dolną szczękę, wziął się pod boki i zapytał na przywitanie: - Podobno mnie szukałeś?

Całą postawą, począwszy od sarkastycznego tonu aż po zawadiacko przekrzywiony beret, von Olden dawał do zrozumienia, gdzie ma nowego dowódcę. Willi spokojnie czekał, nie odzywając się ani słowem. Za bezczelność i brak subordynacji można było beknać, nawet jeśli się nosiło rangę podpułkownika. Jeżeli dowódca 192. Batalionu ma ochotę się przekonać, co mu wolno, a co nie, proszę bardzo. Stopniowo z twarzy von Oldena ulotniła się pewność siebie. Wobec milczenia dowódcy, wściekły podpułkownik wyprostował się, udając że staje na baczność, po czym syknął: - Melduję się na rozkaz!

Widać było, ile wysiłku kosztują go te słowa. Von Seelow przywitał je skinieniem głowy. - Otrzymaliśmy nowe zadania. Wykonasz je ty i twój batalion - oznajmił i zrobił w tył zwrot, kierując się do wozu dowodzenia. W ciasnym wnętrzu M577 czekał już ze szczegółowymi instrukcjami major Thiessen. Von Olden nie miał innego wyboru, jak tylko się pofatygować w ślad za przełożonym.

Naczelne dowództwo wojsk Konfederacji, zaskoczone polskim kontrnatarciem, które powstrzymało II Korpus na południe od Poznania, musiało rzucić do walki zazdrośnie dotąd hołubione odwody. Przez dwa dni na wyczerpanych walką Polaków nacierały dwie świeże dywizje pancerne V. Korpusu, które w krwawej walce, krok po kroku i cios za ciosem oczyszczały wschodnie i zachodnie podejścia do miasta. Wobec groźby okrążenia i zamknięcia się pierścienia wojsk Konfederacji wokół Poznania, Polacy cofnęli się

i wznowili działania opóźniające na nowych pozycjach. Woleli widać oddać miasto, zyskując w zamian na czasie. Liczyli wyraźnie na przybycie posiłków znad wschodniej granicy, no i na lądowanie wojsk alianckich. Dwie spośród uwikłanych w walkę polskich dywizji cofnęły się ku Wiśle, blokując trasy na Warszawę, na wypadek, gdyby Francuzi i Niemcy zdecydowali się ruszyć na polską stolicę. Reszta wojsk wycofywała się w kierunku Gdańska, z każdym kilometrem przybliżając się do dogodniejszych pozycji obronnych na linii Borów Tucholskich, a także do portów, w których miały wylądować ciągnące już przez morze konwoje z amerykańskimi i brytyjskimi dywizjami. Siły Konfederacji Europejskiej skierowały pościg nie na wschód, a właśnie na północ. Nowe zadanie strategiczne, już trzecie w ciągu tyluż tygodni, nakazywało im zdobyć Gdańsk i tym samym odciąć przeciwnikom dopływ posiłków i zaopatrzenia. Odizolowani, wycieńczeni walką Polacy nie będą dłużej zwlekać i na pierwszą zachętę z Paryża i Berlina zasiądą do rokowań. Konfederacja miała gwarancję, że rozmowy będzie toczyć z pozycji siły. Von Seelow znał mapę zachodnich ziem Polski na pamięć i po cichu uważał, że od samego początku trzeba było iść właśnie na Gdańsk. Zdobycie Wrocławia i Poznania dawało Konfederacji jedynie zyski terytorialne. Tylko wzięcie portów w Zatoce Gdańskiej przynosiło nadzieję, że uda się w szybkim tempie zakończyć całą tę idiotyczną wojnę i zwyciężyć, albo przynajmniej wynegocjować dla siebie jak najlepsze warunki pokoju. Jak na złość wyglądało, że Konfederacja będzie się musiała zdrowo napocić, by uchwycić Gdańsk zanim wylądują tam regularne amerykańskie dywizje pancerne i zmechanizowane. W ciągu trzech dni nieustannych walk pościgowych od chwili zdobycia Poznania, wojska EuroConu wyrwały się ponad osiemdziesiąt kilometrów do przodu i powoli zbliżały się do przemysłowej Bydgoszczy. Tylko co z tego, skoro z Bydgoszczy było do Gdańska jeszcze 150 kilometrów trudnego terenu, a i na samej Bydgoszczy można sobie było połamać zęby? Każdy dowódca, któremu przyszło nacierać bezpośrednio przez Bydgoszcz lub okrążając miasto, musiał sforsować Noteć, a potem przejść z wojskami przez Bory Tucholskie. Szeroki manewr oskrzydłający od zachodu nie wchodził w rachubę, jako zbyt czasochłonny, o ile w ogóle możliwy w lesistym i pełnym jezior terenie środkowego Pomorza. Za dużo rzek, wzgórz, za dużo przeszkód. Manewr od wschodu także miał

niewielkie szansę powodzenia, bo szeroka w tym miejscu Wisła uniemożliwiała szybkie rozwinięcie sił. Willi zżymał się okropnie, gdyż teren i istniejąca sieć drogowa niczym lejek ścieśniały natarcie Konfederacji, zmuszając do czołowego uderzenia na Bydgoszcz. Jeśli przeciwnik miał gdzieś szansę zatrzymać pochód II Korpusu, to właśnie tutaj. Noteć, choć znacznie mniej szeroka niż Wisła, z taktycznego punktu widzenia stanowiła sporą przeszkodę. Mając dostateczny zapas czasu, Polacy mogli się umocnić na jej linii i doszczętnie zakorkować główną szosę na Gdańsk.

Sztab II Korpusu polecił 19. Brygadzie Grenadierów Pancernych natychmiast uchwycić przyczółek na Noteci. Zgoda, ale w którym miejscu? Niepewność dowódcy prędko rozwiązał major Thiessen, który pochylił się nad mapą i pokazał wioskę odległą o kilka kilometrów od obecnych pozycji brygady. - O, tutaj, Herr Oberstleutnant. Most drogowy w miejscowości Rynarzewo.

Willi skinął głową, choć gotowało w nim się coraz mocniej. II Korpus wyobrażał sobie, że brygada uchwyci największy most, na głównej szosie, na wprost głównego kierunku działania! Nawet jeśli Polacy nadal się wycofują, wysadzą ten most prosto przed nosem brygady, i po zabawie. Jeszcze gorzej, jeżeli obsadzili linię rzeki większymi siłami. Wówczas 192. Batalion nacierając na most wsadzi głowę w śliską pętlę. Z zatroskanej miny von Oldena można było się domyślić, że ma na tę sprawę identyczny pogląd, co dowódca. Kąciki wąskich ust opadły, a ton z butnego zmienił się nagle w proszący i pokorny. - Na jakie wsparcie mogę liczyć, majorze?

- Niestety, na bardzo mizerne, panie pułkowniku - przepraszającym tonem oznajmił Thiessen. Von Olden wycelował palcem w zieloną plamę lasu tuż za mostem - idealne ukrycie dla czekających w zasadzce polskich czołgów i transporterów.

- Może by tak jakiś nalot? Palnęliby w ten las napalmem czy bombami kasetowymi, zaraz byłoby lżej atakować.

- Nie możemy liczyć na wsparcie lotnicze - przypomniał major. Willi nawet się już temu nie dziwił. Wir wojny powietrznej przeniósł się w ostatnich dniach na zachód, nad Francję i Niemcy, a nieliczne, przetrzebione dywizjony myśliwskie i szturmowe po obu stronach rzucano tylko do obrony lub w celu niszczenia nadzwyczaj ważnych obiektów. Ani Konfederacja, ani Polacy nie

mogli już twierdzić, że zdobyli panowanie w powietrzu. Von Olden zakołysał się na obcasach.

- No dobrze, a artyleria? Ile luf będzie mnie wspierać? -Tylko haubice i moździerze naszej brygady, panie pułkowniku. Zdaje się, że całą artylerię dywizji i korpusu wyznaczono do innych działań - odrzekł Thiessen.

Dotychczasowe podejrzenia Willego zmieniły się w niemal całkowitą pewność. Generał Montagne, dowódca D Korpusu, najwyraźniej knuł coś po cichu. Trudno było przypuszczać, że siłami gołej brygady i bez żadnego dodatkowego wsparcia uda się uchwycić most w Rynarzewie. Przeciwnie, wyglądało na to, że Francuzi pragną, by niemiecki batalion poległ śmiercią walecznych markując główne uderzenie. Kiedy Polacy skupią w tym miejscu wszystkie siły, a tym samym urządzą 19. Brygadzie kolejne jatki, Montagne sforsuje rzekę i kanały w innym miejscu, napotykając słabszy opór. Willi zatrzęsł się ze złości. Ktoś tu poświęca jego żołnierzy lekką rączką, a w dodatku ma go za dumnia. Co ten Montagne sobie myśli, dlaczego nie uprzedził Niemców co do reszty planu? Może uznał, że jeśli 19. Brygada pozna prawdziwy stan rzeczy, nie będzie się chciała bić? Przez chwilę von Seelow zastanawiał się czy nie odmówić wykonania rozkazu, lecz zaraz wróciło mu poczucie rzeczywistości. Bunt był jak najbardziej na miejscu, lecz w praktyce nic się w ten sposób nie zyskiwało, przeciwnie. Montagne i generał Leibnitz natychmiast skorzystałoby ze sposobności, by von Seelowa zastąpić Oldenem lub innym oficerem tego pokroju. Dlatego zamiast się spierać, spojrzął znowu na mapę, świadomy, że Thiessen i von Olden patrzą na niego i czekają na wskazówki. Przez chwilę miał w głowie zupełną pustkę, lecz powoli zaczęły się pojawiać jego świadomości pierwsze zarysy planu. Skoro nie można obejść umocnionych pozycji przeciwnika ani wgnieść go w ziemię przewagą ogniową, zostaje tylko jedno wyjście. Jak powiadają piloci myśliwscy, przeżywa ten, kto jest szybszy. Ta sama zasada dotyczy w równym stopniu wojny lądowej: kluczem do przejęcia inicjatywy i udaremnienia planów przeciwnika jest manewr i jeszcze raz manewr. Niemiecka doktryna operacyjna powtarzała tę zasadę od początków stulecia. Willi podniósł więc wzrok na dowódcę 192. Batalionu 'Grenadierów i zapytał: - Kiedy możecie rozpocząć natarcie?

- Najprędzej za godzinę, albo za dwie - Von Olden wzruszył ramionami. - Gdy podejdziemy do rzeki, muszę rozwinąć kompanie, rozpoznać teren i przekazać zadania oficerom. Aha, po trzeba mi będzie wsparcie czołgów ze 194.

- Nic z tego - uciał von Seelow i skinął w stronę północnego skraju horyzontu. - Im więcej czasu zmitrzymy, tym więcej damy go Polakom. Okopią się, i co wtedy? Gówno! Dlatego do roboty, pułkowniku! Uderzać od razu, z miejsca, i mocno, zanim się poderwą do obrony! Z kolumny marszowej przejść prosto do ataku, jasne? Każdy kolejny batalion będzie od razu wchodził do walki w ślad za wami.

Dowódca 192. Batalionu przytaknął z niechęcią. Widać było, że nie zachwyca go cała perspektywa. Mimo buty, w głębi serca Klaus von Olden był człowiekiem ostrożnym. Willi von Seelow

zamiast komentować ten brak pewności, odwrócił się do Thiessena.

- Proszę mnie połączyć z kapitanem Brandtem i powiedzieć, że ma w te pędy sprawdzić podejścia do tej cholernej wiochy! Major pospieszył ku radiostacji. Gunther Brandt dowodził strażą przednią brygady - pododdziałem złożonym z etatowych wozów zwiadowczych Luchs oraz z kompanii Leopardów ze składu 194. Batalionu czołgów, które wzmacniały grupę. Od świtu Brandt i jego ludzie toczyli potyczki z cofającymi się polskimi czołgami i piechotą, otwierając ogień z dystansu i obchodząc szosę polami, by oskrzydlić Polaków ilekroć ci zaczęli stawiać opór. W ten sposób zmniejszało się straty własne i zdobywało teren - za cenę czasu. Nowe rozkazy von Seelowa miały zmienić ten stan rzeczy. Niezależnie od tego, co sobie wyobrażał generał Montagne i jego francuscy sztabowcy, dowódca 19. Brygady Grenadierów Pancernych powziął mocne postanowienie, że - choćby miał się skichać - zdobędzie most w Rynarzewie nietknięty.

Kompania C polskiego 421. Batalionu Zmechanizowanego na pozycji obronnej Rynarzewo

Murowane i drewniane zabudowania Rynarzewa wyrastały po obu stronach szosy na południowym brzegu Noteci. W całej wiosce rzucały się w oczy tylko dwa budynki: stary ceglany kościół i piętrowy pawilon z pustaków, w którym mieściła się miejscowa poczta, biblioteka i urzędy. Za pasem zabudowań jak okiem sięgnąć rozciągały się uprawne pola, pastwiska, pojedyncze zagrody i sady jabłkowe, a w oddali czerniała wstążka lasu. Wśród zielonych i

zółknących już pól wiała się strużka jednego z dopływów Noteci, przecinająca szosę na południowym skraju wsi. Dwa kilometry na zachód od Rynarzewa nurt Noteci opływał zwałone do wody, pogięte przesła mostu kolejowego. Kilka dni wcześniej francuskie odrzutowce zdmuchnęły kratownice z filarów celnymi trafieniami bomb laserowych, próbując w ten sposób nie dopuścić polskich posiłków pod Poznań. Most drogowy stał jednak nadal. W tej chwili wciąż przewalały się przez niego transportery opancerzone, ciężarówki i inne polskie pojazdy umykające przed armią Konfederacji Europejskiej. Transportery i samochody wycofywały się w ogonie polskich sił, co natychmiast rzucało się w oczy. Choć mimo trzech tygodni walk Polacy nie ponieśli jeszcze zdecydowanej klęski, nieustanny odwrót zaczynał poważnie nadszarpywać morale wojska. Ilekroć ponad łoskot silników przebijała się daleka kanonada, żołnierze bojaźliwie zwracali głowy na południe. Odwrót osłaniały wprawdzie własne jednostki, lecz było jasne, że Niemcy i Francuzi są dosłownie tuż tuż. Wzdłuż całego mostu, co rusz uskakując przed ciężarówkami, uwijali się gorączkowo saperzy, którzy minowali betonowe przesła. Kilku zwiesiło się na sznurach i mocowało ładunki wybuchowe bezpośrednio na filarach mostu. Dwieście metrów od południowego skraju mostu niski, ciemnoblond polski oficer biegał między zabudowaniami na skraju wsi, sprawdzając pozycje. Kapitan Konrad Baliński dowodził kompanią zmechanizowaną, której rozkazano utrzymać Rynarzewo do chwili, dopóki saperzy nie dokończą roboty. Jako doświadczony oficer, Baliński mógł o sytuacji taktycznej kompanii powiedzieć jedynie tyle, że jest do dupy. Nie uśmiechało mu się wcale walczyć mając za plecami rzekę, zwłaszcza że saperzy lada chwila mieli wysadzić w powietrze jedyne przejście na drugą stronę. Trudno było także marzyć, że siłami jednej kompanii powstrzyma się zdecydowane natarcie wojsk Konfederacji, tym bardziej że skierowana do wsi w ostatniej chwili kompania C nie miała czasu zaminować przedpola, rozciągnąć zasieków czy choćby tylko porządnie się okopać. Z lasu za rzeką miały ich podobno wspierać T-72, lecz przy tej odległości mogły sobie strzelać do woli. W dodatku pole ostrzału zasłaniały im zabudowania Rynarzewa. Nawet najlepsi czołgowi artylerzyści na świecie nie umieją trafić w cel, którego nie widzą. Myśl o posiłkach można sobie było od razu wybić z głowy, bo reszta kompanii

zmechanizowanych 421. Batalionu odskoczyła kilka kilometrów za Noteć w celu „przegrupowania się” to jest opanowania ogólnego bałaganu przed powrotem na pozycję obronną. Kapitan przycupnął za podmurówką ogrodzenia i podniósł do oczu lornetkę. Daleko na samej granicy widzialności w niebo wzbiły się słupy czarnego dymu. Baliński wykrzywił usta pod rudym wąsem. Na przedpolach Rynarzewa zaczynała się regularna bitwa, nie żadna tam pukanina. Szpica Konfederacji próbuje się zapewne przebić przez siły osłonowe, które ochraniają odwrót. Domysły potwierdził wkrótce łącznościowiec, chudy, osiemnastoletni kapral. - Panie kapitanie! Turoń melduje, że pod Kołaczkowem natknęli się na poważne siły niemieckie! Czołgi i transportery! Baliński zaklął, bo Kołaczkowo było wsią najbliższą od Rynarzewa. Osiedle leżało przy tej samej szosie, zaledwie o cztery kilometry na południe. Jeśli niemieckie straże przednie zdążyły dojść aż tak daleko, za parę minut będą tutaj.

- Pogotowie dla wszystkich plutonów!

- Tak jest!

Polski kapitan bezradnie obejrzał się na zapchany pojazdami most. Saperzy uwijali się tam nadal. Ile jeszcze czasu im potrzeba? I drugie pytanie: ile jeszcze czasu dadzą im Niemcy?

Niemiecka kompania A ze 194. Batalionu czołgów, pod Kołaczkowem Dymy płonących budynków, pojazdów i granatów dymnych z wyrzutni na wieżach zmieniły pole starcia pod Kołaczkowem w szary, mglisty wir błyskawicznych pojedynków, uników i śmiertelnych ciosów. -

W prawo! Kurwa, w prawo! - wrzasnął porucznik Werner Gerhardt, który zdążył już ochrypnąć od wykrzykiwania rozkazów w tym ogłuszającym huku. Mocniej chwycił się pokrywy wjazdu, gdyż jego gigantyczny Leopard 2 wyskoczył przed zasłonę dymną własnych granatów i skręcił nagle, by nie wpaść na płonący pojazd. Pięćdziesiąt pięć ton rozpędzonej stali zahaczyło ogarnięty płomieniami rozpoznawczy Luchs i w zgrzycie rozdieranego metalu odrzuciło wrak daleko na bok. W przodzie ukazał się następny kształt - tym razem sylwetka polskiego czołgu T-72, który wyjeżdżając tyłem zza chłopskiej zagrody wciąż włókł za sobą podartą siatkę maskującą. Na szczęście 125 milimetrowa armata celowała w zupełnie inną stronę niż ta, z której zbliżał się Leopard niemieckiego porucznika.

- Działonowy! Czołg w prawo na wprost! - Gerhard przejął kontrolę

nad obrotem wieży, osobiście nakierowując armatę Leoparda na cel.

- Podkalibrowy gotów!

- Ognia!

Trafiony bliskim strzałem na wprost, T-72 szarpnął się w bok i eksplodował. Stalowe odłamki przedziurawionego pancerza zadzwoniły o wieżę Leoparda i świstnęły Gerhardtowi nad głową. Porucznik schylił się, lecz zaraz wyprostował i sprawdził czy gdzieś z boku nie czai się nowe niebezpieczeństwo. Z dymu wyłoniły się tymczasem kolejne niemieckie czołgi, rozciągnięte w pojedynczy szereg. Porucznik przeliczył je prędko i dalej rozglądał się za przeciwnikiem. Wliczając jego własnego Leoparda, pojedynkę przetrwało dziesięć spośród dwunastu wozów kompanii A. Kiedy dym podniósł się trochę, Gerhardt mógł się wreszcie zorientować, że polskim strażom tylnym i kompanii zwiadowców kapitana Brandta poszczyło się o wiele gorzej. Na polach Po obu stronach szosy dymiły polskie T-72 i BWP, przemieszane z niemieckimi wozami Luchs. Ich lufy celowały we wszystkie strony świata, jakby dla podkreślenia, jak zażarte i chaotyczne okazało się to krótkie starcie. Jedynie czołgi Gerhardta nadal szły do przodu. Porucznik przełączył radiostację na częstotliwość brygady. - Kocur Jeden, tu Sokolnik Jeden.

- Melduj, co u ciebie, Sokolnik! - rozległ się słabo głos majora Thiessena, przerywany trzaskami i szumem. Radiostacja sztabowa 19. Brygady nadawała widocznie w trakcie przemarszu. Gerhardt przycisnął przełącznik nadawania.

- Wyszliśmy za pierwszą wioskę. Idziemy w kierunku rzeki. - Sokolnik, zrozumiałem. Co z Kłusownikiem Jeden?

Porucznik obejrzał się na pobojuwisko i przełknął ślinę.

- Kocur Jeden, kapitan Brandt i jego ludzie zginęli. Wszyscy, co do jednego.

Na częstotliwości brygady rozległ się spokojny, zdecydowany głos samego von Seelowa. Nie było czasu na żałobę po zwiadowcach Brandta. Opanowując się, Willi powiedział do mikrofonu: - Zrozumiałem, poruczniku. Czy możecie prowadzić natarcie? Gerhardt kurzowo ścisnął krawędź włazu i także siłąc się na spokój odrzekł:

- Tak, możemy.

- To dobrze. Macie iść naprzód, Sokolnik! - dorzucił już ostrzej von Seelow. - Macie cisnąć i nie dać im się przegrupować!

Tuż za wami idzie Jastrząb Jeden.

Gerhard odwrócił się ku szosie, by przekonać się, że pułkownik nie kłamie. Mardery z grenadierami 192. Batalionu wjeżdżały już kolumną między zabudowania Kołaczkowa. Gerhardt odmeldował się i wydał załogom nowe polecenia. Dziesięć ocalałych leopardów kompanii A z łoskotem ruszyło na północ, prosto na most w Rynarzewie.

Kompania C na pozycji obronnej Rynarzewo

Baliński skrycie odetchnął z ulgą, bo w kierunku rynarzewskiego mostu szły już ostatnie ciężarówki, bojowe wozy piechoty i łaziki terenowe. Od południa zamiast niekończącej się kolumny widać było nareszcie czarną wstążkę asfaltu. Ucichła nawet strzelanina.

Tylna straż kapitana Kubiaka zatrzymała na pewno w pół kroku pierwsze czujki nieprzyjaciela. Świetnie. Saperzy nie zdążyli jeszcze zakończyć minowania mostu, liczyła się więc każda zyskiwana minuta. Baliński obejrzał się na drepczącego przy nim nerwowo łącznościowca.

- Kapral! Znajdźcie mi Turonia, zapytajcie, jak jeszcze się długo utrzymają, zanim przejmemy obronę.

Kiedy łącznościowiec zaczął kręcić gałkami, Baliński znowu podniósł lornetkę. Za odległym o kilometr łagodnym wzniesieniem podniosły się w niebo szarobłękitne kity czołgowych spalin.

Silniki wysokoprężne - tylko one tak dymią przy podejściu Czyje to czołgi? Dlaczego Kubiak nie zameldował, że wycofuje swoje T-72 aż pod Rynarzewo? - Panie kapitanie! Turoń nie odpowiada! - wyjąkał przejęty kapral od radiostacji.

- Jezu Chryste!

Baliński wyszeptał te słowa wcale nie dlatego że stracił łączność z Kubiakiem: wzdłuż skłonu wzgórza, które obserwował, wyrosła jak wyczarowana jakąś sztuczką długa linia pojazdów pancernych. Po wielkich, graniastych wieżach i pancierzach w maskujące łąty można było natychmiast poznać, że to nie polskie T-72, tylko niemieckie Leopardy. Balińskiemu opadła szczeka. Niemcy! Leopardy odezwały się pierwszą, długą i nierówną salwą. Pociski z wyciem przemknęły nad ogrodem i ugodziły w ciężarówki zbite w gromadę na moście, zmieniając je w pochodnie. Leopardy strzelały metodycznie, od czoła kolumny przenosząc ogień na ostatnie wozy. Pociski burzące rozszarpały wciąż nowe samochody. Przerażony tym widokiem Baliński wypuścił z rąk lornetkę, okręcił się i złapał kaprala

za ramię. - Zjeżdżamy! - wrzasnął i popchnął podwładnego w stronę piętrowego pawilonu, w którym urządził stanowisko dowodzenia kompanii. - Z powrotem na punkt! Rzucili się boczną uliczką przed siebie, omijając w pędzie pierwsze dymiące ciężarówki i łaziki. Na jezdni ujrzeli porozrzucane ludzkie zwłoki, pogięte wybuchem odłamki metalu i kęsy rozszarpanych opon. Baliński skoczył w otwarte drzwi urzędu pocztowego i po dwa stopnie na raz popędził na górę. Stanowisko dowodzenia mieściło się na piętrze, w wiejskiej bibliotece. Na stołach w małej czytelni podwładni rozłożyli mapy i drugą, silniejszą radiostację, a okna założyli workami z piaskiem, półkami i stosami lektur szkolnych, co chociaż trochę chroniło od kul karabinowych i odłamków. Zastępca Balińskiego, wystraszony podporucznik, z wyraźną ulgą podniósł głowę znad radiostacji, - Kapitanie! Z batalionu pytają, co się dzieje!

Dowódca wyrwał mu słuchawki i mikrofon.

- Tu Baliński!

-- A tu major Korzycki! Co się tam u was, kurwa, wyprawia?!

Baliński sam o mało nie zaklął, bo nie znosił majora, a ten darzył go równie ciepłym uczuciem. Zbigniew Korzycki nadawał się najwyżej na sztabowca, a już najbardziej na zawodowego pierdołę, lecz objął komendę batalionu, gdy pod Poznaniem zginął poprzedni dowódca. Od tamtej pory żołnierze na pierwszej linii i oficerowie batalionu prawie go nie oglądali, bo zdecydowanie wolał dowodzić na odległość, z bezpiecznych tyłów, najlepiej w ogóle nie wyściubiając nosa z transportera opancerzonego. - Jesteśmy pod ostrzałem, idzie na nas co najmniej kompania czołgów! Panie majorze, proszę o posiłki!

- Nie przyśle! - oznajmił z miejsca Korzycki. - Przecież macie swoją broń przeciwczołgową, nie? No, to jak macie, to zróbcie z niej użytek! Rozkaz brzmiał, żebyście się utrzymali, dopóki saperzy nie uwiną się z mostem, tak? Wykonać, Baliński, i bez dyskusji! Meldować, jak poszło. Korzycki, wyłączam się.

Baliński zerwał z uszu parę słuchawek i cisnął ją podporucznikowi. Zamiast krzyczeć, rozkazał mu zduszonym głosem:

- Spróbujmy się połączyć z dowódcą tych naszych czołgów za mostem. Muszą nam pomóc. Pieprzone Leopardy!

Podporucznik natychmiast zajął się radiostacją.

- Panie kapitanie! - wrzasnął od okna sierżant. - Transportery

idą! Pełno ich!

Baliński także wyjrzał przez szczelinę w zabarykadowanym oknie i przekonał się, że w ślad za czołgami z łagodnej pochyłości zaczynają zjeżdżać Mardery w liczbie co najmniej dwudziestu, albo i większej. No, to klops. Tu jedna kompania, a tam batalion grenadierów pancernych. Baliński okręcił się na pięcie i zawołał do łącznościowca: - Wszystkie plutony, otworzyć ogień!

Mardery podchodziły coraz bliżej, gnając przez otwarte pole i z kolumny przechodząc stopniowo w wachlarz. Kapitan znów zmełł przekleństwo, uświadamiając sobie, że na jego oczach przeciwnik rozwija szyk do ataku. Śmiało sobie poczynają, skurwysyny! W kierunku niemieckich wozów piechoty pomknęły trzy pociski raketowe TOW. Dwa trafiły i eksplodowały. W innych, dalszych punktach obrony, otworzyły ogień polskie BWP-1, posyłając z gładkolufowych armat kalibru 73 milimetry pociski przeciwpancerne - co osiem sekund kolejny. Następne niemieckie transportery zaryły się w polu i zadymiły. Na odwet nie trzeba było długo czekać.

Prawie natychmiast celny ogień z ubezpieczających natarcie Leopardów i serie 25 milimetrowych działek w Marderach zmieniły w kłęby płomienia i dymu trzy kompanijne wozy terenowe Humvee z raketami TOW. Palila się też trzecia część polskich BWP.

Następne pociski zdruzgotały zabudowania na skraju Rynarzewa, zasypując wąskie uliczki stosami gruzu i belek. Baliński nie odrywał wzroku od szczeliny obserwacyjnej. Próbował wśród dymów i kurzu zorientować się, jak przebiega niemieckie natarcie. Czy grenadierzy ruszą prosto na linię polskiej obrony? Nie! Ocalałe Mardery schowały się za wyszukanymi naprędce ukryciami - za zabudowaniami, kępami krzaków, w sadach, a nawet za kadłubami trafionych wozów. Z tylnych drzwi transporterów wysypali się piechurzy. Niemcy podeszli na czterysta metrów do polskich stanowisk i kontynuowali natarcie pieszo. Kapitan Baliński obmierzył wzrokiem spłacheć otwartego terenu, jaki dzielił Niemców od wsi, wyszczerzył zęby w lekkim uśmiechu i zawołał do podporucznika: - Józek, łącz się z artylerią! Mam dla nich zadanie!

192. Batalion Grenadierów Pancernych, pod wsią Rynarzewo Podpułkownik Willi von Seelow z zaciętą miną trzymał się uchwytu w przedziale desantowym Mardera. Transporter zakręcił nagle,

zanurkował do rowu i podskoczył, wychodząc w górę. I tym razem kierowca nawet nie zwolnił - na całe szczęście, bo tuż obok wozu rozerwał się następny pocisk. Marder zakołysał się, a o burtowy pancerz zadzwoniły odłamki i kamienie. Nawet przy zaryglowanych włazach huk szarpał bębrenki uszne i mógł doprowadzić człowieka do obłądu. Von Seelow przełączył się na telefon wewnętrzny transportera. - Daleko jeszcze, Gerd? - zapytał. Odpowiedź uprzedziła następna bliska eksplozja.

- Niedaleko, panie pułkowniku! - odkrzyknął w słuchawkach dowódca transportera. - Mam już w peryskopie Jastrzębia Jeden! - Pięknie. Walmy prosto do niego!

Marder podskoczył, pokonując kolejny rów melioracyjny, zazgrzytał gąsienicami po jakiejś podmurówce i zahamował. Kiedy ucichły obroty rozpedzonego silnika, jeszcze głośniejsze i groźniejsze zahuczała polska zapała artyleryjska. Von Seelow nie marnował czasu. Rozpiął pas bezpieczeństwa i pochylając się, by nie zahaczyć głową o niski pancerz, ruszył ku drzwiom. Nie zapomniał odpiąć z uchwytów przy siedzeniu swojego karabinka automatycznego G3. W jego ślady poszedł adiutant, kapitan Meyer i łącznościowiec, szeregowy Neumann. Obaj sprawdzili jeszcze czy wzięli zapasowe magazynki i szarpnięciem przekonali się, czy dobrze dociągnęli zapięcia kamizelek kuloodpornych z kevlaru. Willi położył palec na przycisku opuszczania tylnej rampy Mardera i obejrzał się na żołnierzy w przedziale desantowym. - Gotowi panowie?

Meyer, Neumann i reszta grenadierów przytaknęli.

- Tak? To dobrze. Tylko pamiętajcie, rozbiec się, nie zbijać się w grupę. Każdy ma gnać jak z rozwolnieniem! Zbiórka przy wozie pułkownika von Oldena! Zrozumiano?

- Tak jest! - zapewnił dziwnie drżącym głosem kapitan Meyer. Na jego łysinie pokazały się kropelki potu. - Ale... Panie pułkowniku, naprawdę proszę, żeby pan został w wozie. Tu będzie bezpieczniej... Chociaż trochę... Sam przyprowadzę tu pułkownika von Oldena.

- Bzdura! - Willi zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy. Są takie sytuacje, kiedy trzeba samemu nadstawić tyłka - tak jak w tej chwili. Willi parę razy zaczerpnął tchu, a potem nacisnął włącznik rampy.

- Jazda!

Tylna klapa Mardera z wizgiem opadła w dół, zmieniając się w pomost. Willi przekonał się, że transporter stoi pośrodku wiejskiego obejścia, wewnątrz prostokątnego, otoczonego murkiem podwórka, za osłoną zrujnowanej stodoły i drewnianej chałupy, rozwalonej w drzazgi trafieniem polskiego pocisku. W ruinach domu pełgały jeszcze płomienie, osmalając dwie ocalałe ściany. Koło stodoły leżał przewrócony na bok stary traktor, a w rozbitym, zabłoconym chlewie widać było martwą maciorę z prosiętami. Za zabudowaniami otwierała się aż po Rynarzewo uprawna przestrzeń. Wśród dojrzewającego owsa i żyta, tu i tam stały płonące niemieckie transportery, a w niewysokim zbożu leżały plackiem setki postaci w hełmach i panterkach, bezbronne pod deszczem artyleryjskich pocisków. Polska zapora ogniowa przydusiła natarcie 192. Batalionu do ziemi. Marder von Oldena stał paręnaście metrów od podwórka, częściowo przesłonięty dymem. Willi bez namysłu rzucił się w stronę transportera. Jednocześnie z hukiem towarowego pociągu zagrzmiała nad okolicą następna polska salwa. - Znowu wałą! - krzyknął Willi i przypadł do ziemi tuż przy gąsienicy wozu von Oldena.

Polami zatrzęsła potrójna eksplozja. Gleba zadrżała, podskoczyła i odsunęła się spod nóg. Kolejne pociski lądowały tuż obok zagrody, rozpryskując się gradem płomienistych odłamków. Czując jeszcze, jak mu dzwoni w uszach, Willi poderwał się i splunął, by się pozbyć dziwnego smaku w ustach, a potem kolbą karabinka zabębnił w burtę Mardera. - Otwórzcie! No, już!

Tylny właz transportera odchylił się ku ziemi, odsłaniając przedział desantowy zastawiony dwoma stolikami na mapy i sprzętem radiowym. W środku siedziała też trójka osowiałych postaci w osobach von Oldena, oficera operacyjnego jego batalionu i sierżanta ze służby łączności. Willi, Neumann i Meyer z trudem wcisnęli się do wnętrza. Opuszczana rampa podniosła się natychmiast, dzięki czemu choć trochę przycichł odgłos kanonady. Willi przepchnął się do krzeselka dowódcy batalionu. -

Pułkowniku, proszę o meldunek sytuacyjny.

Von Olden spojrzał na Willego z nieukrywaną wściekłością. - A co, nie widać? - warknął i kurczowo zacisnął pięści. - Te polskie działa wymordują mi wszystkich ludzi! Ani iść naprzód, ani się wycofać! Katastrofa!

Willi zmarszczył brwi, bo drżenie głosu von Oldena dowodziło, że

dowódca batalionu jest na skraju wytrzymałości nerwowej. Na szczęście z boku wtrącił się sierżant-łącznościowiec. - Panie pułkowniku, Kilof Jeden na linii. Zajęli stanowiska. Nareszcie dobra wiadomość. Osiemnaście samobieżnych haubic kalibru 155 milimetrów z batalionu artylerii 19. Brygady mogło wreszcie wspomóc natarcie. - Dadzą radę przydusić te polskie baterie? - zapytał Willi. - Nie, panie pułkowniku. Polacy są za daleko. Willi nie spodziewał się innego obrotu rzeczy. Polakom wystarczyło utrzymać się na linii Noteci, toteż własną artylerię cofnęli daleko za pierwszą linię, by nie narażać baterii na niemiecki ostrzał. Niedobrze. Na wojnie zwycięstwo przypada zwykle tej stronie, która popełni mniej błędów. Polscy dowódcy mylili się, niestety, coraz rzadziej. - Niech strzelają pociskami dymnymi, osłonią mi odwrót! -zażądał nieoczekiwanie von Olden i trącił oficera operacyjnego. - Przekaż do wszystkich kompanii, że mają się natychmiast wycofywać. Przegrupowanie na rubieży Kołaczkowa.

- Nie tak prędko, majorze!

W tonie głosu Willego było coś, co kazało oficerowi zastygnąć w półobrocie. Von Seelow zgniótł wzrokiem dowódcę batalionu i wycedził: - Nikt się tu nie wycofuje. Nie bierzemy ogona pod siebie, jasne? Na pewno nie teraz, kiedy jesteśmy o krok od mostu! Podnieś żołnierzy do ataku. Zgoda, niech haubice postawią zasłonę dymną, ale po to, żeby osłonić natarcie, a nie odwrót, do cholery!

Von Olden poczerwieniał.

- Nic z tego, von Seelow. Nie będę wysyłał ludzi na pewną śmierć! Zresztą i tak się nie poderwą, mają dosyć.

- Ciekawe, skąd to wiesz? - Willi palnął pięścią w ścianę przedziału i nie kryjąc szyderstwa zapytał: - Nie powiesz mi, że widzisz przez pancierz?

Pogardliwy ton był jak najbardziej na miejscu, bo zamiast kryć się w transporterze, von Olden powinien się uwijać pomiędzy ludźmi, podrywając ich do ataku - wszystko jedno, prośbą czy kopniakami. Tymczasem von Olden urządza sobie pogawędkę przez radio! Głos Willego stwardniał. - Wydałem rozkaz. Masz go wykonać.

- Spierdalaj! - zawarczał von Olden, dotknięty do żywego zniewagą. - Nie mam obowiązku cię słuchać, ty... Ty zdrajco, ty

komunisto, ty ruski lokaju!

- Tak? To ci odbieram dowództwo! - wybuchnął z kolei Willi i pod adresem zaszokowanego oficera operacyjnego rzucił: - Majorze, przejmuję taktyczne dowodzenie batalionem. Przekazać informację wszystkim dowódcom kompanii i rozkazać im wznowić atak na mój sygnał.

Von Olden przez parę sekund siedział bez słowa, z szeroko otwartymi ustami, by wreszcie wyjąkać: - Nie możesz tego zrobić? Ja się odwołam, ja cię jeszcze... - Odwołuj się, ile chcesz, byle nie tutaj - uciał Willi. - Kapitanie Meyer!

- Słucham, panie pułkowniku!

- Proszę poczekać, aż przycichnie ten ostrzał, odprowadzić tego oficera do mojego wozu i dopilnować, żeby znalazł się bezpiecznie na tyłach.

- Rozkaz, panie pułkowniku! - Mayer usiadł naprzeciwko oszołomionego dowódcy - byłego dowódcy - 192. Batalionu Grenadierów Pancernych i nieznacznym gestem oparł dłoń na kaburze pistoletu. Willi nie zwrócił nawet na to uwagi, zajęty tym, co czekało go za chwilę.

- Sierżancie, dawać mi jeszcze raz artylerię. Mają natychmiast zadymić cały teren między nami a wioską. Ale tak, żeby ten dym człowiek mógł nożem krajać!

Sierżant usłuchał w pośpiechu, a zadowolony Willi znalazł karabinek i opuścił tylne drzwi Mardera. - To co, Neumann?

Ruszamy?

- Zaraz!

VWilli odwrócił się, Von Olden przygarbiony i nagle postarzały, kurczowo trzymał się krawędzi wjazdu.

-Dokąd idziesz,

Odpowiedź von Seelowa okazała się brutalnie szczerą.

- Odwalić za ciebie robotę... Pułkowniku.

Po tych słowach Willi okręcił się na pięcie i ruszył przez pole, na którym zalegli grenadierzy 192. Batalionu. Zgięty pod ciężarem radiostacji Neumann dzielnie dreptał z tyłu. Po bokach zaś rozrywały się wciąż nowe polskie pociski. Willi przeczołgał się przez murek i pomógł go przesadzić łącznościowcowi. Wszędzie, gdzie tylko popatrzył, widział zabitych i rannych, skoszonych pociskami dział i ogniem karabinów maszynowych ze stanowisk w Rynarzewie. Zatrzymał się czujnie, by poszukać wzrokiem witki

radiostacji. W miejscu, gdzie sterczała antena, należało zapewne szukać dowództwa grupy. Gdzie ta antena? Jest! Willi spostrzegł ją w pobliżu grupki grenadierów przycupniętych przy wraku kolejnego Mardera. Natychmiast puścili się z Neumannem przez otwarty teren, zalegając za każdym razem, kiedy na polu rozrywał się pocisk. Na szczęście Polakom zaczęły wreszcie odpowiadać niemieckie haubice. Tam, gdzie padały ich pociski, podnosiły się z ziemi kłęby szarobiałego dymu, łącząc się w wielką, nieprzeniknioną chmurę, która wolno dryfowała z wiatrem. Von Seelowa i Neumanna przynaglał w biegu ciemnowłosy oficer z trzema szarymi kapitańskimi „pestkami” na naramiennikach, skulony przy dymiącym Marderze. - Szybciej, idioci, szybciej! Spacery sobie, kurwa, urządzać? Życie się wam znudziło, durnie jedni? Willi dobiegł do żołnierzy i rzucił się między nich, dysząc ciężko. Na widok dowódcy brygady grenadierzy zrobili wielkie oczy. Willi skrzywił się tylko. - Dzień dobry, moi panowie. Kapitan jękając się zaczął przeproszać.

- Nie ma sprawy - uspokoił go Willi. - Miał pan świętą rację. W ogóle trzeba mieć źle w głowie, żeby tu obozować. Kiepskie miejsce na majówkę.

Paru żołnierzy zaśmiało się nerwowo, a reszta przytuliła się do ziemi, bo następna polska salwa wylądowała zaledwie dwieście metrów dalej. W niesamowitym kontrapunkcie świstały też nad głowami niemieckie pociski dymne. Willi spojrzał ciekawie na dymną chmurę, która zaczynała się unosić nad pochyłymi dachami Rynarzewa. Tak, teraz dużo lepiej. Dym utrudniał albo wręcz uniemożliwiał zadanie polskim obserwatorom artyleryjskim.

Wystarczyło jeszcze wyprowadzić batalion ze strefy ostrzału i przesunąć go tuż pod linię obrony przeciwnika, by mieć gwarancję, że Polacy nie zdążą skorygować ognia. Willi odnalazł wzrokiem młodego kapitana, który go tak obrugał. - Z którego pododdziału pan jest, kapitanie?

- Kompania B, Herr Oberstleutnant!

Willi przyjrzał się wystraszoną twarzą piechurów. Same słowa zachęty na pewno nie wystarczą, by ludzie znowu poszli pod ogień. Przy tak wysokich stratach i pod takim ostrzałem, lada chwila gotowi się rozkleić. Grenadierom potrzebny był przykład. Przykład z góry. Trudno, niech będzie. Czasem nawet wysoka ranga nie uchroni człowieka przed ryzykiem. Willi podniósł się z ziemi i

kilka sekund stał nieruchomo, nie zwracając uwagi na rwące ziemię pociski. Chciał, by zauważyli go wszyscy podwładni. Jego słowa z trudem przebijały się przez huk artylerii. - Kompania B, powstań! No, jazda, wstawać! Kompania B, ruszać się! Ponaglani teraz również przez kapitana, grenadierzy zaczęli się podnosić z łańców, początkowo pojedynczo i parami, a później gromadnie, gdy spostrzegli, że inni czynią to samo. Kadra dwóch pozostałych kompanii także zauważyła ruch na polu i zaczęła podnosić z ziemi własne plutony. Von Seelow uniósł karabinek nad głowę i machnął nim w kierunku polskiej wioski, skrytej teraz już zupełnie za kurtyną sztucznej mgły. - Naprzód! - zawrzeszczał. - Macie mi zdobyć tę wiochę! Brać wioskę i most! Za mną, wszyscy na most!

Nie oglądając się dłużej ruszył szybkim krokiem, choć nie biegiem, w stronę zabudowań Rynarzewa. Tuż za nim, krok w krok, stapał Neumann. Spośród wszystkich żołnierzy tylko Willi słyszał, że w marszu łącznościowiec powtarza zapamiętaną z dzieciństwa modlitwę. Sam miał ochotę powtarzać za Neumannem ten paciorek: „Boże, racz mnie ocalić. Panie Boże, użyż mi siły”. Inny, dorosły głos, podszeptował Willemu: "I daj odwagę tym, którzy pójdą za mną". Bóg widocznie dosłyszał modlitwę, bo ze słabym okrzykiem na ustach, żołnierze 192. Batalionu Grenadierów Pancernych poderwali się z ziemi i w biegu minęli dowódcę, znikając w kłębach dymu.

Stanowisko dowodzenia, pozycja obronna Rynarzewo
Paliło się już pół wsi. Słupy czarnego dymu z płonących zabudowań mieszały się z siwą mgłą niemieckich pocisków dymnych Na szosie i w bocznych drózkach pełno było rozbitych pojazdów. Wokół wielu z nich leżały ludzkie zwłoki. Inne samochody wyglądały na nietknięte - być może kierowcy porzucili je po prostu.

Ze stanowiska obserwacyjnego na piętrze poczty, kapitan Konrad Baliński dostrzegł nad samą rzeką jakiś ruch. W obserwacji przeszkadzał mu unoszony powiewem dym. Tylko na chwilę wiatr otworzył okno w mgielnej chmurze, na tyle szerokie, że Baliński dostrzegł pośród zabudowań postacie w niemieckich mundurach. Niemcy przeskakiwali od domu do domu i w biegu strzelali z biodra. Wdarli się do Rynarzewa! A co najgorsze, zdążyli już odciąć ludziom Balińskiego jedyną drogę odwrotu za Noteć... Kapitan wiedział już, jak się to wszystko skończy i powoli

odwrócił się do kaprała przy radiostacji. - Dawać tego saper! -

- Major Bocian z tamtej strony. - Łącznościowiec podał dowódcy słuchawki.

- O co chodzi, kapitanie? - zapytał Bocian złym tonem. Inna sprawa, że miał się czym denerwować, bo jeśli Niemcy przedarli się przez linię obrony Balińskiego, za chwilę mogli usiąść saperom na karku.

- Założył pan ładunki?

- Prawie. Dajcie mi jeszcze pięć minut.

Tuż przy poczcie zagrzechotał niemiecki karabin maszynowy. Serie pocisków wdarły się z zewnątrz przez strzelnice. Baliński hycnął pod gruby, dębowy stół, lecz na szczęście nie wypuścił słuchawek i mikrofonu. - Do ciężkiej kurwy, Bocian, jakie pięć minut?!

W Rynarzewie

Willi von Seelow skulił się przy parapecie okna na piętrze domu nad samą rzeką, skąd doskonale widział całe przesło mostu. Polscy saperzy nadal uwijali się, zakładając ładunki wybuchowe, lecz na moście stale ich ubywało - coraz liczniej uciekali na bezpieczny, północny brzeg. Oznaczało to, że skończyli minowanie. Willi zrozumiał, że jego batalion się spóźnił. Od mostu dzieliło ich już tylko dwieście metrów, lecz równie dobrze ich cel mógł się znajdować na Księżycu. Było jasne, że Polacy za chwilę wysadzą most w Rynarzewie i nic się już na to nie poradzi. Klęska.

Odwracając się, Willi zatrzymał wzrok na radiostacji Neumanna.

Jeszcze nie klęska. Została mu jedna, jedyna karta. - Łączyć z Kilofem Jeden!

Kiedy w słuchawkach rozbrzmiał głos dowódcy artylerii 19.

Brygady, von Seelow wyrwał Neumannowi mikrofon. - Kilof Jeden, tu Kocur. Natychmiast wykonać zadanie ogniowe! - Podaj współrzędne, Kocur. Haubice czekają.

Willi przycisnął mikrofon.

- Współrzędne celu: środkowe przesło mostu drogowego w Rynarzewie. Siła żywa na otwartej przestrzeni.

- Kocur, zrozumiałem. Jedną chwilę.

Von Seelow znów przykucnął przy oknie i z rosnącą niecierpliwością patrzył na polskich saperów. Jazda, no, pospieszcie się, łby haubiczne... Nie ma czasu... Znów zatrzeszczało radio.

- Namierzamy się.

Pojedynczy pocisk zaświstał nad głowami saperów i rozerwał się na pastwisku na drugim brzegu Noteci. Willi przycisnął guzik mikrofonu i ryknął: - Za długa! Skróć celownik o sto metrów i grzać!

BWP dowodzenia 421. Batalionu Zmechanizowanego na północnym brzegu Noteci

- O, Boże!

Major Zygmunt Korzycki mógł już tylko wzdychać i patrzeć w przerażeniu, jak pięć niemieckich pocisków odłamkowych rozrywa się tuż nad głowami saperów na moście. Każda eksplozja rozsyłała na wszystkie strony tysiące ostrych jak brzytwa strzępów stali, które z tą samą morderczą bezstronnością dziobały asfalt na moście, wodę rzeki i ludzkie ciała. Saperów, którzy przeżyli pierwszą salwę, położyła druga, a po niej trzecia. Kiedy rozerwał się ostatni szrapnel, cały most zalegały ciała w zielonych mundurach, wiele z nich tak zmasakrowanych odłamkami, że przypominały kupy zakrwawionych szmat. Korzycki poczuł, że trzęsą mu się ręce. Naprawdę miał już tego wszystkiego dosyć. Naprawdę nie chciał już oglądać ciągłej rzezi. W gardle zaczął mu narastać gorzki smak. Sprawdzały się oto jego wszystkie, najgorsze przewidywania. Kiedy sam musiał patrzeć na walkę, mąciła się jego zdolność podejmowania decyzji. Logika... Gdzie w tej wojnie logika? Korzycki z trudem oderwał wzrok od przęsła. Na drugim brzegu Noteci widać już było nacierających Niemców, którzy zajmowali kolejne domy i podchodzili coraz bliżej do mostu. Od wsi dobiegały serie polskich karabinów maszynowych i automatów. Korzycki smętnie pokręcił głową. Parę rozproszonych drużyn kompanii C nadal stawiało opór, lecz wobec tak wielkiej przewagi liczebnej i ogniowej Niemców, żołnierze nie mieli szans. Major omiótł lornetką przedpole, bo zauważył nowy ruch na skraju płonącej wsi. Przez resztki siwych dymów toczyły się niemieckie Leopardy, coraz bliżej mostu. Coraz bliżej miejsca, gdzie siedział major Korzycki.

Oficer zamarł na kilka bezcennych sekund. Myślał tylko o tym, że za chwilę może zginąć. Kiedy odzyskał zdolność poruszania się, okręcił się we włązie BWP i zaczął rozglądać za dowódcą zdziesiątkowanych saperów, klęczącym do tej pory w okopie. -Gdzie major Bocian!?

Gdy starszawy major w okularach podniósł głowę, Korzycki

spozstrzegł na jego twarzy ślady łez. - Wysadzać most! Bocian spojrział na Korzyckiego jak na wariata.

- Ale co z pana ludźmi? Co z żołnierzami we wsi?

- Moi ludzie nie żyją, majorze, tak samo jak pańscy - odwarknął Korzycki i wycelował palcem w przeciwległy brzeg. - No, wypierdalać ten most, do kurwy nędzy!

Powoli i niechętnie, walcząc sam ze sobą, saper sięgnął po szarą skrzynkę zapalarki i przekręcił klucz minerski.

192. Batalion Grenadierów Pancernych

Po całej długości prześła mostu w Rynarzewie przebiegła seria wybuchów. Konstrukcję zakrył na chwilę gęsty dym, rozświetlany nowymi wybuchami mniejszych ładunków. Von Seelow złapał się za głowę i odtoczył się od okna. Wszystko na nic. Miał wrażenie, że wysłał swoich ludzi na śmierć dla głupiego kaprysu. - Panie pułkowniku, most! - wrzasnął Neumann. Willi prędko podniósł głowę. Rzeczywiście, most trwał na dawnym miejscu, choć konstrukcja skrzywiła się, a jezdnia zapadła w wielu miejscach. Ziało w niej parę głębokich kraterów i dziur, lecz prześła nadal trwały na filarach. Willi nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Odłamki pocisków, które uporały się z polskimi saperami, musiały przy okazji poszarpać niektóre przewody od detonatorów. Nie wszystkie, oczywiście, ale na pewno dosyć, by prześła ocalały.

O tym, by na drugi brzeg mogły przejść czołgi i inne ciężkie pojazdy, nie było na razie mowy. Saperzy brygady muszą najpierw załatać jezdnię. Ale piechota? Piechota mogła atakować, i to od razu! Willi porwał z podłogi mikrofon. - Uwaga, Jastrząb, wszystkie kompanie, tu Kocur! Atakować przez most! Powtarzam, przejść most i atakować!

Posłuszni rozkazom, grenadierzy zaczęli grupkami biec od ukrycia do ukrycia, a po chwili wdarli się na most, nie zważając już na uporczywy ogień nielicznych Polaków na drugim brzegu Noteci. Paru Niemców padło, skoszonych ogniem karabinów maszynowych i broni ręcznej, ale reszta rozbiegała się już po północnym brzegu, próbując umocnić się na przyczółku. Willi spostrzegł, że kilka polskich T-72 i wozów BWPM na pełnym gazie ucieka szosą, byle dalej od rzeki. Skąd taki pośpiech?

Wystraszyli się niemieckiej piechoty? Co jest grane? Za odpowiedź posłużył mu nagły grzmot potężnych silników wysokopiętnych i huk czołgowych armat. Porucznik Gerhardt nareszcie doprowadził swoje

Leopardy na sam brzeg rzeki i zaczął ogniem z dział okładać uciekających Polaków. Dopóki strzelał, ocalali piechurzy 192. Batalionu mieli czas, by się okopać po drugiej stronie Noteci. Przy Leopardach zaczęły się zatrzymywać następne wozy pancerne - Mardery kolejnego batalionu, 191. Willi mógł nareszcie odetchnąć z ulgą. Z nadejściem pierwszych oddziałów reszty sił brygady, miał nareszcie dosyć ludzi i luf, by zlikwidować resztki polskiego oporu w Rynarzewie. Kiedy to nastąpi, przyjdzie pora na to, by przerzucić przez most nowe siły i rozszerzyć przyczółek na północnym brzegu Noteci. Czołgi i transportery będą musiały poczekać, aż saperzy trochę naprawią most i ułożą dodatkową przeprawę na pontonach. Myślami błędząc już przy następnych etapach walki, von Seelow odwrócił się od okna i zszedł na parter, by porozmawiać z dowódcami batalionów i kompanii. Czuł uniesienie, lecz zarazem także przeraźliwy smutek. Mimo wszystko, choć za cenę ogromnych strat w ludziach, uchwycił most. Dla brygady było to ogromne zwycięstwo. Niemieccy grenadierzy pancerni przełamali obronę na Noteci zanim Polacy zdążyli zablokować pochód na Bydgoszcz na linii rzeki. II. Korpus wojsk Konfederacji Europejskiej uchwycił przyczółek na głównym kierunku na Gdańsk.

Dowództwo 3. Brygady 101. Dywizji

Powietrzno-Desantowej w gdańskim ratuszu

Kilkudziesięcioosobowa grupa amerykańskich oficerów w polowych panterkach i oporządzeniu obsiadła zakamarki Czerwonej Komnaty - głównej sali gdańskiego ratusza. Widok łaciatych, maskujących mundurów kłócił się okropnie z zabytkowym, szesnastowiecznym wystrojem, a także z barokowymi malowidłami na sklepieniu. Polacy udostępniłi tę salę Amerykanom jako miejsce dywizyjnych odpraw. Pod jedną ze ścian ustawiono stojaki z mapami topograficznymi północnej Polski i mapami morskimi Bałtyku. W tej chwili królowali przy stojakach sztabowcy 3. Brygady, a tłum oficerów liniowych trzymał się na razie z boku, nie wiedząc, czego się spodziewać. Jasne było tylko to, że szykuje się pierwsza grubsza akcja. Dowódca 3. Brygady, pułkownik Gunnar Iverson wezwał swoich oficerów na odprawę niespodziewanie, niektórych ściągając z łóżek. Na dworze, na ulicach Gdańska dudniły silniki polskich i amerykańskich pojazdów wojskowych, które wszystkie szły na południe. Obecność uzbrojonych wartowników przed drzwiami sali

również świadczyła, że dzieje się coś niedobrego. Kapitan Mark Reynolds, który usiadł w jednym z tylnych rzędów pośród reszty dowódców kompanii, stłumił kolejne ziewnięcie. W ciągu ostatniej doby udało mu się złapać zaledwie cztery godziny snu, a i to nie w jednym kawałku, lecz w postaci krótkich drzemek. Niestety, niewyspanie zaczynało mu już wchodzić w krew. Pierwszy dzień w Polsce okazał się męką, z powodu zmiany czasu, gmatwaniny ulic o dziwnych nazwach i gorączkowych poszukiwań kompanijnego sprzętu. Następne cztery dni okazały się jeszcze gorsze i jeszcze bardziej męczące. Wsadzono ich do samolotów i pognano do Polski w takim pośpiechu, że wielu żołnierzy nie mogło wyjść ze zdumienia, dlaczego poszczególne brygady 101. Dywizji zamiast iść na front siedzą na tyłkach zaledwie parę kilometrów od lotniska w Rębiechowie. Wielu spadochroniarzom przypominało to typowe wojskowe metody w stylu „kompania, gnać na złamanie karku i czekać!” Reynolds mógł się jednak założyć, że nie chodzi wcale o zwykły bałagan.

W sztabie brygady słyszało się tu i ówdzie pogłoski, że 101. i część 82. Dywizji będą trzymane w odwodzie jako „rezerwa strategiczna” - coś w rodzaju amerykańskiego jeża, którym udławiają się Rosjanie, jeśli zgodzą się wkroczyć do Polski po stronie Konfederacji. Pogłoski przerodziły się w zupełną pewność, kiedy wszystkich oficerów operacyjnych i rozpoznania z całej dywizji wezwano na specjalną odprawę, dotyczącą ostatniej reduty polskiej obrony, bezpośrednio wokół Warszawy. Dowcip polegał na tym, że planowane pozycje obronne zwrócone były na wschód, nie na zachód. Świadomość, że do konfliktu mogą się włączyć wojska Rosji, przyprawiała Reynoldsa o zimne poty. Jednoczesna wojna lądowa z Francuzami, Niemcami i Rosjanami wydawała mu się stuprocentową receptą na krótką walkę i długie lata w obozie jenieckim - lub jeszcze dłuższy, bo wieczny, pobyt w gronie aniołków. Reynolds wiercił się niecierpliwie na krześle, świadomy, że jego kompania nie zmarnowała tych pięciu darowanych dni. Już po paru godzinach od lądowania w Gdańsku gotowi byli do walki, więc dodatkowe godziny przydały się głównie po to, by doprowadzić jednostkę do porządku. Z drugiej strony czas był bardzo istotny, bo w trakcie alarmowego przerzutu do Polski, całą broń i pojazdy brygady zapakowano „półregulaminowo” - to znaczy jak się dało najciaśniej - by do końca wykorzystać drogocenne miejsce

w samolotach transportowych. W Gdańsku, który stał się wysuniętą bazą wyjściową 101. Dywizji, cały ten ładunek trzeba było poskładać i sprawdzić, zanim śmigłowce transportowe przerzuciły kolejne bataliony na front. Kiedy wszystko zaczęło grać, dowódcy brygad i batalionów odbyli ze swymi ludźmi serię intensywnych ćwiczeń taktycznych i sprawnościowych, by zapoznać ich z miejscowym terenem i doszlifować - i bez tego - umiejętności żołnierzy 101. Dywizji. Teraz jednak wyglądało, że miniaturowa dziwna wojna dobiega końca. - Baczność!

Reynolds i reszta oficerów zerwali się z miejsc, a ich wojskowe buty trzasnęły o posadzkę. Przed zgromadzonych wyszedł pułkownik Iverson, tym razem jedynie w towarzystwie oficera rozpoznania. - Siadajcie już, panowie! - W głosie Iversona pobrzmiwała niecierpliwość. - Dyskutować będziemy po wojnie, na razie będę się streszczał. Tym razem to nie ćwiczenia. Ruszamy na front, bić się z Konfederacją. Tyle miałem panom do powiedzenia -i nie zwracając uwagi na poruszenie podwładnych, Iverson odwrócił się do szefa S-2, czyli dywizyjnej sekcji rozpoznania. - John, twój cyrk, twoje małpy. Wyjaśnij zadanie. Przed zapadnięciem zmroku brygada ma być w drodze!

Reynolds wcale się nie zdziwił, bo znał Iversona i nie spodziewał się po nim kwiecistych przemówień. Pułkownik słynął z prostego, szorstkiego wręcz sposobu bycia. Kiedy się do niego szło z jakąś sprawą, trzeba było mówić prędko i konkretnie, o co chodzi - w przeciwnym razie nie warto było się fatygować. Przed rzędą oficerów wystąpił szef S-2. To on był głównym bohaterem odprawy, gdyż najlepiej znał temat, który ich tu wszystkich sprowadził: najnowsze działania przeciwnika. Wprowadzając oficerów w sytuację, szef rozpoznania pokazywał poszczególne miejscowości na wielkiej mapie kraju. Sytuacja była nieskomplikowana. Dwie pierwsze próby wzięcia polskich dywizji w kleszcze nie powiodły się, toteż Konfederacja zawróciła wojska na północ i ruszyła w kierunku Gdańska. Ostatnie meldunki z frontu mówiły, że część sił EuroConu sforsowała Noteć, a pierwsze zagony pancerne zbliżają się do Bydgoszczy, ważnego węzła kolejowego i drogowego, oddalonego zaledwie o 150 kilometrów na południe od portów Trójmiasta. Odległość mogła się wydawać nadal spora, lecz mało który amerykański żołnierz z kontyngentu w Polsce nie słyszał o tym, jak błyskawiczne potrafią być natarcia Konfederacji, a

zwłaszcza jej niemieckich związków taktycznych. Ponieważ niektórzy bohaterowie ze służb tyłowych zaczęli się już martwić o własną skórę, przekonani, że lada chwila francuskie i niemieckie czołgi wtoczą się na Długi Targ i zburzą miasto. Reynolds i jego ludzie mieli w głębokiej pogardzie wszystkich, którzy woleli służyć poza zasięgiem pocisków artyleryjskich przeciwnika, lecz pogłoski zrobiły wrażenie nawet na nich. Mimo wyposażenia w śmigłowce, żołnierze dywizji lekkich nie lubią wojny manewrowej. Owszem, ludzie Reynoldsa byli odważni, ale do walki szli piechotą, nie w czołgach. Jednostki pancerne przeciwnika mogły ich łatwo odciąć od sił głównych i zgnieść pod gąsienicami - zwłaszcza w tak błyskawicznej wojnie, jak ta obecna. Jak jest naprawdę, 101. Dywizja miała się już wkrótce przekonać na własnej skórze. Opór polskich sił zbrojnych, wyczerpanych trzytygodniowymi zmaganiem z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem, zaczynał słabnąć. Pozycje obronne, które jeszcze niedawno utrzymywano przez kilka dni, Konfederacja przełamywała teraz w niewiele godzin. Prócz tego, niezależnie jak się przedstawiała prawda o zagrożeniu ze wschodu, połączone siły alianckie nie mogły sobie pozwolić na utratę Gdańska. - Bacność! - krzyknął nagle Iverson, zaskakując zajętego instruktorem szefa rozpoznania. Reynolds i pozostali znów musieli się zerwać na równe nogi, bo do sali wszedł generał dywizji, Robert J. Thompson - dla przyjaciół „Butch” - przywódca tego stada, lub, według oficjalnej nomenklatury, dowódca 101. Dywizji Desantowej.

Z dużej odległości Thompson wydawał się normalnego wzrostu, lecz kiedy stał w otoczeniu innych ludzi, przewyższał ich o pół głowy i więcej. Dotyczyło to nawet Reynoldsa, który sam miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Jasne, siwiejące, przystrzyżone na jeża włosy, kwadratowa szczęka i niebieskie, zimne jak lód oczy dopełniały portretu. Thompson dowodził 101. Dywizją od ponad roku i zdążył przez ten czas zaszczepić swoją energią nawet ostatnim ciurom.

- Panowie, po pierwsze chcę pochwalić waszą brygadę za przerzut i tempo przygotowań - zaczął z miejsca, stając przed mapami i wykresami, jakie pokazywał szef rozpoznania. Omiótł je wzrokiem, lecz natychmiast znów skupił całą uwagę na podwładnych, - Sam wiem, jaką macie ochotę wyrwać się do przodu

i przyładować, komu trzeba. Niektórzy z was już walczyli, ale dla wielu będzie to pierwsze starcie. Wiadomo, każdy się zastanawia, jak wypadnie, kiedy zaczną świstać kule. Mam tylko dwie

uwagi: nie zapominać o tym, co robiliście na ćwiczeniach, to raz, a dwa - nie zapominać o własnych ludziach. Dostaliście najlepsze wyszkolenie i najlepszych żołnierzy na świecie, więc zróbcie z tego użytek. - Dalej, nie myślcie sobie, że zamierzamy jedną czy dwoma dywizjami uporać się z Konfederacją. Sam słyszałem, że mówi się o nas „straż pożarna”. Siły Szybkiego Reagowania to nie straż pożarna. Sami nie ugasimy tego ognia, co najwyżej zatrzymamy pożar, żeby się nie rozpełzał jeszcze dalej. Dosłownie. Moim zamiarem jest powstrzymać przeciwnika i na wszelkie sposoby opóźnić jego działania, oszczędzając siły własne. Nie o to chodzi, że naszą ambicją jest umrzeć w łóżku w otoczeniu wnucząt. Rzecz w tym, że nasza dywizja to jedyne wsparcie, na jakie mogą liczyć Polacy w najbliższym czasie. Zadanie jest więc następujące: powstrzymać natarcie wojsk Konfederacji do czasu, aż wylądują w Gdańsku nasze siły główne.

Thompson zamilkł, chcąc by jego słowa utrwaliły się wszystkim w pamięci. - Zadanie jest cholernie trudne, co do tego nie ma dwóch zdań. Starcie będzie zacięte, czyli w sam raz dla naszej dywizji. Musimy się bić tak, żeby Konfederacja zapamiętała sobie do końca życia, że nie warto z nami zaczynać. To wszystko, panowie. Powodzenia i niech Bóg prowadzi. Desant!

Ostatnie słowa stanowiły tradycyjne zawołanie 101. Dywizji. Kiedy Thompson wyszedł, sztabowcy 3. Brygady dokończyli odprawy, wprowadzając oficerów w setki szczegółów niezbędnych podczas przemarszu i w walce na obcym terytorium. Dla Mike'a Reynoldsa padające z szybkością karabinu maszynowego fakty na temat tras przemarszu, stanu dróg, zaopatrzenia w paliwo i rozmieszczenia składów amunicyjnych zlały się w jeden potok słów, w którym uderzało go wciąż tylko jedno - to, że tym razem nikt tutaj nie żartował. Długie lata szkolenia w akademii w West Point, lata nauki, ćwiczeń i przygotowań, miały za chwilę przynieść owoc - za chwilę kapitan Reynolds i inni mieli poprowadzić żołnierzy na wojnę. Kiedy sztabowcy skończyli mówić, na środek wyszedł znów pułkownik Iverson, który miał podwładnym do powiedzenia tylko tyle: - Macie im zerznąć dupę. Rozejść się!

Karta atutowa

27 czerwca - Waszyngton, Biały Dom

Ross Huntington chodził nachmurzony z kąta w kąt, tak uporczywie, że na dobrą sprawę zdążył już wydeptać ścieżkę w puszystym dywanie. Spacerując, przerzucał stronicę zapisu tajnych radiogramów między państwami członkowskimi Konfederacji. Kurier z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa dostarczał je na piętro Białego Domu błyskawicznie. O wiele wolniej szło to, co Ross Huntington z tak lekkim sercem zaproponował prezydentowi niewiele dni wcześniej: szukanie słabych ogniw w koalicji przeciwnika. Początkowo pomysł wydawał się Huntingtonowi znakomity, lecz z upływem dni coraz bardziej przypominał mu poszukiwania kamienia filozoficznego. Fizycznie Huntington czuł się jak nigdy. Dawno nie był w podobnej formie, a zawdzięczał ją nie cudownemu ozdrowieniu, lecz reżimowi ćwiczeń i diecie, jaką mu narzucił prezydencki lekarz. Najgorsze objawy, takie jak bóle w piersi i zadyszka, cofnęły się prawie zupełnie, i nawet arytmia serca powróciła do normy, być może dzięki stałemu nadzorowi lekarskiemu. Za to z dnia na dzień Huntington coraz bardziej czuł się niby zamknięty w klatce. Gościnny apartament Białego Domu, który mu przydzielono, był nie tylko wygodny - wręcz luksusowy! - lecz Amerykanin miał już najserdeczniej dosyć beczynności i siedzenia w łóżku. Doktor Pardolesi i jego medykusi ostrzegali go, że tylko mu się wydaje, iż jest w lepszej formie, ale kto by im tam wierzył? Huntington czuł się tak wspaniale i tak pilno mu było do pracy, że rozmawiało się z nim jak z głuchym. Niecierpliwił się tym bardziej że kiedy gnił w łóżku, wydarzenia nabierały coraz bardziej dramatycznego tempa. W świecie ogarniętym wojną na skalę planety, dwanaście dni równało się wieczności. Huntington marzył tylko o tym, by włączyć się we wszystko, co się dzieje i nadrobić zaległości zanim życie wyniesie go na boczny tor. Na razie przymusowy pobyt na boczniczy nie groził mu jeszcze, bo prezydent zaglądał od czasu do czasu na piętro, żeby w przelocie zamienić parę słów i wtajemniczyć Huntingtona w najważniejsze sprawy. Prócz tego Huntington nadal dostawał codzienne raporty wywiadowcze z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Tylko co z tego? Wzięte do kupy, wojskowe i polityczne meldunki

z Europy odmalowywały mocno ponury obraz - ponury nie dla Konfederacji, lecz właśnie dla Stanów Zjednoczonych i krajów sojuszniczych. Mimo niedawnej serii zwycięstw na morzu i w powietrzu, w Europie Wschodniej alianci nadal cofali się na całej linii. Na północy wojska EuroConu wdarły się daleko na ziemie Polski i sunęły naprzód, napotykać coraz słabszy opór obrońców, pozbawionych rezerw ludzkich, nowego sprzętu, a przede wszystkim chwili oddechu. W drodze do Polski znajdowało się kilka amerykańskich i brytyjskich dywizji z ciężkim sprzętem. Co z tego, skoro najbliższy konwój dzieliły od Gdańska całe dni żeglugi? Na południu francuscy i niemieccy okupanci zawładnęli połową Węgier, a pośrodku frontu Czesi i Słowacy czuwali z głową na karabinie i nie było jasne czy w pewnej chwili nie cisną tej broni pod nogi. O tym, by wysłać swoje wojska do sąsiednich państw, w ogóle nie było mowy. Nawet gdyby Polska i jej sąsiedzi dotrwali do chwili, gdy wylądują alianckie dywizje, połączone siły czekała najprawdopodobniej długa, mozolna i krwawa kampania. Powszechnie uważano, że nie tak łatwo będzie zepchnąć Konfederację z powrotem w obręb jej granic przed konfliktem - na pewno nie w Polsce. Po obu stronach padły już dziesiątki tysięcy zabitych. Huntington zastanawiał się, ilu jeszcze ludzi da gardła, zanim szaleńcy z Paryża i Berlina opamiętają się chociaż trochę. Na tym tle wczorajsza błyskawiczna depecha z placówki CIA w Moskwie nabierała nader żałobnej wymowy. Wiadomość o tajnych rokowaniach wojskowych między Francją i Rosją uderzyła w prezydencki sztab niczym cios kilofem między oczy. Tu już nie było żartów. Wojskowa interwencja Rosji nieodwołalnie przechylała szalę we wschodniej i środkowej Europie na niekorzyść aliantów. Nawet w kryzysie Rosja mogła wysłać w pole prawie pół miliona żołnierzy, jej marynarka wojenna nadal była druga co do wielkości na całym świecie, a mocno odchudzone lotnictwo składało się z dużej ilości doskonałych myśliwców przechwytyjących i bombardujących. Jeszcze bardziej złowieszczy musiał się wydać fakt, że Rosja utrzymała spory zapas strategicznej i taktycznej broni jądrowej, a gdyby włączyła się do wojny, świat mógłby znowu stanąć wobec widma ogólnego konfliktu i termonuklearnej zagłady. Od chwili gdy przeznaczone tylko dla nielicznych oczu meldunki z Moskwy wywołały w Waszyngtonie pierwszy wstrząs, Narodowa Rada Bezpieczeństwa i brytyjski gabinet wojenny obradowały w

permanencji, na gwałt usiłując znaleźć sposób, by utrzymać Rosję poza europejskim boiskiem. Jak dotąd, wszystkie te wysiłki okazały się licho warte. Jeżeli CIA nie pomyliło się w moskiewskich raportach, Francuzi oferowali Kaminowowi i reszcie obwieszonych orderami marszałków ustępstwa wojskowe, gospodarcze i polityczne w skali, o której Waszyngton i Londyn mogły tylko śnić - i to nawet gdyby nie zdawały sobie sprawy, że godząc się na moskiewskie warunki, budzą ze snu potwora, który przez pięćdziesiąt lat drapał szponami w drzwi Zachodu, próbując się wdrzeć do środka. Poskromienie mocarstwowych zapędów dawnego sowieckiego imperium kosztowało Zachód wiele istnień ludzkich i biliony dolarów. Nie było więc w Waszyngtonie i Londynie nikogo, kto u progu XXI stulecia życzył sobie powtórek z mrocznej historii. Elektroniczny zegarek Huntingtona pisał krótko, przypominając mu, że pora znowu wziąć lekarstwo, jakie przepisał Pardolesi. Huntington posłusznie przystanął i wyłuskał z fiolki kolejną pomarańczową pigułkę. Już pierwsze chwile spędzone z przybocznym medykiem prezydenta nauczyły go ściśle przestrzegać wskazówek. Tylko posłuszeństwo mogło go z biegiem czasu uwolnić ze złotej klatki na piętrze Białego Domu. Huntington przełknął pigułkę, wcisnął fiolkę z powrotem do kieszeni spodni i spróbował się skupić na najważniejszej sprawie, jaką mu powierzono. Gdy chodziło o Rosjan, prezydent mógł liczyć na poradę setek znakomitych ekspertów, z którymi Huntington nawet nie śmiał konkurować. Chodziło jednak o to, by znaleźć sposób na rozsadzenie Konfederacji Europejskiej od wewnątrz. Przyszło jeszcze raz przerzucić najnowszą porcję meldunków z nasłuchu. Po dwóch tygodniach próżnego przetrząsania kolejnych arkuszy papieru, genialny plan Huntingtona nawet jemu samemu zaczynał się wydawać interesem na zdechłe ryby. Nie to, żeby mniejszym państwom europejskim podobały się porządki, jakie zaprowadzili Francuzi i Niemcy - gdzieżby tam! W eterze i na łączach telefonicznych między Paryżem i poszczególnymi stolicami co chwila można się było natknąć na nową porcję skarg na aroganckich Francuzów. Od skarg, pretensji i jojczenia bardzo jednak daleko do konkretnych posunięć. Na razie Huntington nie zdołał się jeszcze natknąć na cień konkretności. Mało który z europejskich rządów żywił jeszcze iluzję, co do własnej ważności w strukturach Konfederacji, lecz żaden też nie chciał

się narażać Niemcom i Francuzom i otwarcie łamać przyjętych umów - zwłaszcza w chwili, gdy losy wojny dopiero się decydują.

Większość polityków postanowiła przycupnąć i nie mieszać się w kampanię wojskową w nadziei, że uda się przeczekać nieprzyjemne czasy. Władze Konfederacji miały w końcu dość zawracania głowy ze wschodem Europy, by naciskać dodatkowo na pomniejszych członków koalicji. Czy tak? Jeśli nawet, to obecnie Paryż zmienił zdanie.

Huntington zamarł w pół kroku i wbił wzrok w czytany dokument. Jeśli wierzyć analitykom z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, miał przed sobą stenogram rozmowy między premierem i ministrem obrony Królestwa Belgii. Stenogram był jednym z dziesiątków depeesz, jakie satelity Agencji i posterunki nasłuchowe na całym świecie przejmowały dzień w dzień z eteru, łącz radiotelefonicznych, telefonów, teleksów i telefaksów. Wbrew pozorom, posortować tę masę informacji było znacznie trudniej niż pozbierać ją i podsłuchać. Depesze i rozmowy, których nie zaszyfrowano, szły prosto do pamięci superkomputera, który potrafił rozpoznawać i wychwytywać kilkaset kluczowych słów i zwrotów. Wszystko, co zaszyfrowano, automatycznie lądowało w pracowniach specjalnych zespołów, wyposażonych w komputery do łamania kodów. Informatyka pomagała uporać się z częścią wstępnej, mrówczej roboty, lecz tysiące usadzonych przy komputerach ekspertów Agencji i tak nie mogło narzekać na nudę. To jest, owszem, przeważnie się nudzili, lecz czasem w ich sitach błyskało prawdziwe złoto. Huntington jeszcze raz przebiegł wzrokiem stenogram - tym razem uważniej, aby się przekonać czy pierwsze wrażenie nie okaże się mylne. W skupieniu uniósł brwi, wyobrażając sobie nieobecny na papierze ton głosu i gamę ukrytych znaczeń. Instynkt podpowiadał mu, że jeśli w ogóle można gdzieś liczyć na szansę, to właśnie tutaj. Stenogram nasłuchu - Północna Grupa Robocza Konfederacji Europejskiej Stacja nasłuchowa: Oddział Zabezpieczenia Elektronicznego Sił Powietrznych USA, baza lotnicza RAF w Chicksands, Anglia

Czas:

Godzina 12.16, 27 czerwca

Sposób transmisji:

szyfrowy, na łączach mikrofalowych

Belgijski minister obrony (MO): Niestety, przynoszę bardzo złe

wiadomości, panie premierze. Desaix nie chciał nawet wysłuchać naszych zastrzeżeń co do użycia belgijskiej armii. Powiedział...

Premier Belgii (PB): Co takiego? Odmówił naszej prośbie? I to z miejsca? MO: Tak, właśnie. A nawet gorzej, bo jeszcze raz powtórzył ostrzeżenie sekretariatu obrony. Mamy 72 godziny, żeby skierować naszą 1. i 4. Brygadę na wyznaczone placówki. PB: Boże, ale chyba nie na front?

MO: Nie, panie premierze, to znaczy nie bezpośrednio do walki. Zapewniono nas, że nasi żołnierze będą użyci do pilnowania magazynów i węzłów komunikacyjnych - częściowo w Metz, a częściowo w Niemczech, pod Monachium. Na pewno nie grozi im walka na froncie wschodnim. PB: Dobrze, ale przecież na te obiekty na zapleczu cały czas lecą amerykańskie bomby, prawda? (Uwaga: w zapisie 6.5 sekundy ciszy) MO: Prawda, panie ministrze. Niestety, to prawda.

PB: No, dobrze. Kiedy pani wraca do Brukseli, Madeleine?

MO: Natychmiast. Nie mamy tu już czego szukać, ani ja, ani Leman. (Uwaga: „Leman” zidentyfikowany jako generał Alexandre Le-man, szef sztabu generalnego armii belgijskiej). PB: Cóż, rozumiem.

Postaram się zaraz kiedy się pani zjawi zwołać nadzwyczajne posiedzenie gabinetu. MO: Jak pan sobie życzy, panie premierze.

Obawiam się tylko, że nie mamy innego wyjścia, jak tylko się zastosować do tej dyrektywy. PB: No, tak... Niewątpliwie ma pani rację, ale najpierw chciałbym, MO: Dziękuję, dziękuję. A więc do zobaczenia.

Koniec połączenia

Stopień identyfikacji rozmówców:

Niemal całkowita pewność. Częstotliwości głosowe obydwójga rozmówców pokrywają się z przeszłymi zapisami w banku danych. Huntington uśmiechnął się sam do siebie, przekonany, że tym razem miał nosa. Kiedy jeszcze zarządzał własną firmą, nie raz zdarzyło mu się gościć w Belgii - w czasach, kiedy Bruksela stanowiła jeszcze stolicę dawnej Wspólnoty Europejskiej. Znał więc osobiście wielu czołowych przemysłowców, finansistów i polityków kieszonkowej monarchii konstytucyjnej, jeśli zagrać im trochę na ambicji, najnowszy przejaw francuskiego zarozumiałstwa może spowodować pierwsze pęknięcie, na które tak czekano.

Tylko czy Stany Zjednoczone i ich sojusznicy zareagują dostatecznie szybko, by wykorzystać atut? Huntington odłożył

resztę papierów i szybko sięgnął po telefon. - Tu Ross Huntington, muszę natychmiast porozmawiać z prezydentem... Nie, naprawdę natychmiast.

Gabinet Ovalny

Nim upłynęła godzina, Ross Huntington siedział w fotelu przed imponującym biurkiem prezydenta. Przy jednym boku miał generała Reida Gallowaya, a przy drugim Waltera Quinna. Kiedy prezydent wysłuchał na osobności tego, co ma mu do powiedzenia bliski przyjaciel i doradca, natychmiast wezwał do siebie szefa Połączonych Sztabów i dyrektora CIA, a Huntingтона wysłał po dalsze materiały - przy zielonym stoliku warto mieć jak najmocniejszą kartę. Prezydent nie poprosił natomiast do siebie Harrisa Thurmana. Ultraostrożny i bojaźliwy sekretarz stanu świecił więc nieobecnością. - Co wy na to, panowie? - zapytał prezydent, gdy Huntington przedstawił plan. - Udałoby nam się? Galloway, który do tej pory zajmował się oglądaniem własnych, wielkich dłoni, ożywił się. - Z czysto wojskowego punktu widzenia to, co nam tutaj

proponuje Ross, to łatwizna. Na parę dni postawimy na głowie cały plan bombardowań, ale poza tym mamy na tym teatrze wojennym dosyć samolotów i uzbrojenia, żeby uklepać ziemię na tych obiektach. Z tym, że...

- Z tym, że co? - zaniepokoił się prezydent.

- Szczerze mówiąc, bardziej od pierwszego etapu niepokoją mnie następne. - Generał obejrzał się na Huntingтона. - Moim zdaniem, cholernie ryzykujemy, wysyłając cywila, i to jeszcze tak wysoko postawionego jak Ross, w głąb nieprzyjacielskiego terytorium. Sam nie wiem czy gra jest warta świeczki.

Prezydenta uprzedził w odpowiedzi sam Huntington.

- Nie znaleźliśmy się z Belgią w stanie wojny, generale, przynajmniej teoretycznie! - I uprzedzając gestem dłoni kolejne zastrzeżenia, Huntington dodał: - Nie, nie, nie zapomniałem, że Belgia także przystąpiła do Konfederacji, lecz proszę także pamiętać, że nie uznaliśmy do tej pory Konfederacji jako legalnej struktury rządowej. Tymczasem Bruksela nigdy nie wypowiedziała nam wojny, a tym samym mam prawo podróżować, dokąd chcę - oczywiście z ważnym paszportem i wizą.

- Prawo prawem! - prychnął Galloway - Dobrze wiemy, jak Francuzi przejmują się prawami! Jeżeli wywęczają, do czego -

zmierzamy, może się pan założyć, że DGSE natychmiast siądzie panu na karku. Nawet się nie zapytają czy ma pan jakąś wizję. - Wiem o tym. Dlatego uważam, że powinniśmy działać bardzo ostrożnie, i że powinienem tam się udać osobiście. Nie powierzymy tego przecież nikomu z naszej ambasady w Brukseli. Francuski i niemiecki wywiad włóczy się za dyplomatami dniem i nocą, to raz. A dwa, że sam wiem najlepiej, z kim trzeba porozmawiać w Brukseli. Znajdzie się tam paru ludzi, którzy wiedzą, co to znaczy dyskrecja.

Galloway nie wyglądał na przekonanego, lecz ostatecznie machnął ręką. Nie leżało w jego stylu zgadywanie, co by było gdyby.

Galloway wolał namacalne fakty. A Quinn? Prezydent odwrócił się do dyrektora CIA. - Co o tym wszystkim myślisz, Walt? Masz już jakiś pogląd? - Mam. Uważam, że bez względu na ryzyko musimy spróbować, i tyle.

Pewność, z jaką korpulentny dyrektor CIA wyraził tę opinię, bardzo zaskoczyła pozostałych. - Dziwicie się, że tak uważam? Pomyślcie sami: do tej pory Niemcy i Francuzi bawili się z nami w ganianego. Odcieśli dostawy ropy i gazu do Polski. Co robimy? Wysyłamy statki. Oni na to wysadzają nam zbiornikowiec. Posyłamy razem ze statkami eskortę. Atakują ją. Ciągłe to samo. Oni atakują, my się bronimy. - Quinn zniżył głos. - Moim zdaniem najwyższy czas wziąć

wszystko w ręce, przejąć inicjatywę. Obojętnie, w jaki sposób, choćby i w ten, który nam tu proponuje Ross. Jeśli się nie uda, trudno, niewiele nam to już zaszkodzi. Najwyżej stracimy trochę czasu i prestiżu międzynarodowego.

Prezydent powoli skinął głową i zapadł się na powrót w głęboki skórzany fotel. Pomyślał chwilę i z nowym ożywieniem zwrócił się przyjacielsko do Huntingtona: - I jak brzmi twoja decyzja, Ross? Czujesz się na siłach, żeby to pociągnąć?

- Czuję się jak byk! - zapewnił go Ross, żartobliwym samochwalstwem zasłaniając lęk o to, czy jego organizm poddał się nowym wysiłkom. Dostyc już wysiadania poza boiskiem! Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma ludzi niezastąpionych, i że zamiast niego może polecieć kto inny, lecz jakoś sobie nie wyobrażał, by wypłoszom z Departamentu Stanu wystarczyło znajomości rzeczy i doświadczenia. Poza tym, w odróżnieniu od dyplomatów, Huntington mógł zawsze twierdzić, że reprezentuje

wyłącznie siebie.

Na widok miny przyjaciela, prezydent uśmiechnął się nieznacznie.

- Byk, tak? Może nam jeszcze przedstawiś zaświadczenie od weterynarza?

Ross zniecierpliwiał się nieco.

- Dajcie mi tylko trochę czasu, to przedstawię dowolne zaświadczenie, nawet od kardiochirurga. Naprawdę chcesz, żebym w takiej chwili biegał jeszcze po lekarzach?

Prezydent roześmiał się na głos.

- No nie, bez przesady. Dobra jest, panowie, przekonaliście mnie, jestem wasz - dodał już poważnie, z taką samą miną, jaką miał zawsze, gdy podejmował ważną decyzję. - Generale! - zwrócił się do Gallowaya. - Proszę wydać niezbędne polecenia. Chciałbym, żeby siły zbrojne w ciągu trzydziestu sześciu godzin zrobiły tutaj co trzeba.

- Tak jest.

Prezydent obrócił swój fotel w stronę telefonu i nacisnął guzik interkomu. - Maria? Musisz coś dla mnie pozłatwić. Notujesz? Dobra, po pierwsze wyczaruj dla Huntingtona samolot wojskowy. Jak to dokąd? Do Londynu. Jak już to zorganizujesz, przekreśl na Downing Street i umów mnie na wideokonferencję z premierem, na szyfrowych łączach oczywiście.

Nie odkładając słuchawki, prezydent odszukał wzrokiem Huntingtona. - A ty lepiej leć się pakować, Ross. Jak odłożę słuchawkę, masz już być w drodze.

- Lecę - zapewnił go z łobuzerskim uśmiechem Huntington i wstał, zdumiony nowym przyływem energii. Nie wiedział, czemu tak się dzieje, lecz świadomość, że za chwilę poleci w nowej misji, odmładzała go o dobre dziesięć lat. Przez długie miesiące musiał się przyglądać, jak Paryż i Berlin bezkarnie wyprawiają hocki-klocki z sojusznikami i przyjaciółmi Stanów Zjednoczonych. Nareszcie trafiała się okazja, by się podłączyć do tej zabawy.

29 czerwca - centrala zaopatrzenia wojsk Konfederacji w Metz, we Francji

Metz leży trzysta kilometrów na wschód od Paryża, w pobliżu granicy z Niemcami i Luksemburgiem, w dolinie Mozeli, a więc na północnym skraju Lotaryngii - krainy sielskich zagród i rdzewiejących hut żelaza, od tysiąclecia nękanej ciągłymi wojnami. Od czasów Karola Wielkiego rycerze w kolczugach i

opończach, a po nich dumni muszkietrzy Króla Słońce, utyskujący piechurzy i dziarscy kawalerzyści Napoleona, kajzerowskie pułki w pikielhaubach, bezlitosne, żelazne kolumny Hitlera i wreszcie żołnierze Trzeciej Armii generała Pattona bili się o tę prowincję i użyźniali ją krwią. Metz doświadczyło większości tych zmaganiań, lecz obecnie miasto pomagało w wojnie tylko pośrednio, dzięki obecności rozciągniętych wielkim łukiem na zachodnim skraju miasta wojskowych baz zaopatrzenia, komórek sztabowych i wielkich magazynów. Oprócz innych ról, Metz był bądź co bądź garnizonowym miastem francuskiej Pierwszej Armii i siedzibą sztabu północnego okręgu wojskowego republiki. Chociaż większość sił wojskowych Konfederacji prowadziła zmagania w Polsce i na Węgrzech, bądź też blokowała Czechy, Metz aż kipiał od żołnierzy. Magazyny, składy i warsztaty naprawcze tętniły życiem, a francuscy wojskowi i cywile pracowali bez chwili przerwy na trzy zmiany, śląc kolegom z frontu amunicję, żywność, części zamienne i resztę niezbędnego wyposażenia. Praca ta tylko wspomagała działania wojenne, lecz bez niej trudno było sobie nawet wyobrazić sukces wojsk liniowych. Najbardziej nawet prymitywna armia bez zaplecza materiałowego i technicznego po paru dniach rozpełzłaby się albo odmówiła walki. Szefostwo i pracownicy służby tyłów w Metz dziękowali więc po cichu niebiosom, że pełnią tak odpowiedzialną funkcję, zamiast czołgać się pod huraganowym ostrzałem po kartofliskach. Jedyne niebezpieczeństwo stanowiły oczywiście naloty, tym bardziej że odkąd wojna powietrzna nad Francją nabrała tempa, dwukrotnie już gościły nad bazą amerykańskie bombowce. W obu wypadkach straty materialne i ludzkie okazały się stosunkowo niegroźne - przynajmniej w porównaniu z rzezią na froncie wschodnim. Dlatego nawet pod bombami i pracując całą dobę na okrągło, większość francuskich żołnierzy nie miała nic przeciwko takiej służbie i mało ich zachwyciły pogłoski, że lada dzień zluzują ich bataliony belgijskie. Belgowie mieli podobno ściągnąć do Metz w ciągu najbliższej doby. Przynajmniej tym razem plotki nie kłamały. Belgowie nie zdążyli jednak przejąć bazy w Metz. Wyprzedzili ich amerykańscy lotnicy. Syreny alarmowe rozjęczały się krótko przed świtem - w całym mieście jednocześnie. Gdy obsada baterii przeciwlotniczych biegła na stanowiska, szarzącą noc rozdarły błyski pierwszych eksplozji. Prócz konturów dział i wyrzutni raketowych nieliczni

zaspani obrońcy Metz dostrzegli na niebie kanciaste sylwetki niewidzialnych dla radarów myśliwców F-117. Nim syreny zdażyły ucichnąć, czarne odrzutowce zniknęły. Zaatakowały wyłącznie pozycje obrony przeciwlotniczej, starannie i systematycznie obracając je w perzynę. Amerykanie zastosowali bomby z naprowadzaniem laserowym i bomby kasetowe, niszcząc po kolei wszystkie wyrzutnie, działka, polowe stacje radiolokacyjne, bunkry dowodzenia i składy amunicji i rakiet. Amerykańskie bomby zmiotły też z powierzchni ziemi remizy strażackie na terenie bazy i okolic, pozostawiając na ich miejscu hałdy pokruszonego betonu i pogiętej stali. Francuski generał dowodzący bazą w Metz pojął już, co się święci i rozpaczliwie próbował odtworzyć obronę. Na ściągnięcie nowych środków zabrakło mu czasu, bo w parę minut po tym, jak z nieba nad bazą zniknęły F-117, znad widnokregu, tuż przy ziemi, wyskoczyła z hukiem silników czterdziestka bombowców B-1 Lancer. Wobec zagłady wszystkich radarów, nalot rozpoczął się bez ostrzeżenia. Ci, którzy nie zdążyli uciec do schronów, mogli co najwyżej paść plackiem i modlić się głośno. Potężne bombowce o skośnych skrzydłach żłobiły w zabudowaniach bazy kolejne bruzdy śmierci. Każdy Lancer miał na pokładzie 56 bomb o wadze dwustu kilogramów każda. Z wysokości siedemdziesięciu metrów ich zrzut przypominał dokładnością sadzenie pomidorów na grządce. Po celnym i przy tej liczbie maszyn miażdżącym nalocie, B-1 zniknęły równie nagle, jak się pojawiły, zostawiając za sobą ruiny magazynów, stacji przeładunkowych i warsztatów. Zanim nad pobojuwiskiem zdażył się wzbic dym wybuchów, ogłuszeni francuscy żołnierze ujrzeli ku swemu przerażeniu następną falę samolotów. Tym razem zamiast opływowych sylwetek Lancerów na niebie widać było wielkie, cienkoskrzydłe B-52. Terenami bazy wstrząsnęła następną kaskada eksplozji, równając z ziemią wszystkie konstrukcje większe od budki wartowniczej. Kompletnemu zniszczeniu uległa nawet stacja wodociągowa i oczyszczalnia ścieków. Kilka ocalałych wyrzutni i baterii przeciwlotniczych próbowało przeszkodzić bombowcom, lecz błyskawicznie zajęły się nimi F-111 i inne samoloty eskorty. Nad Metz czuwały dwa pełne dywizjony myśliwców F-15, a tras dolotu strzegły Tomcaty z amerykańskich lotniskowców, polując na nieliczne francuskie myśliwce, które próbowały przegnać Amerykanów. Kiedy ostatni B-52 zawrócił do bazy, słońce nie zdażyło jeszcze wyjść nad skraj horyzontu. Ci,

którzy przeżyli nalot, oszołomieni wynurzali się powoli z bunkrów i schronów, pomagając kolegom uwięzionym pod gruzami. Byli i tacy, którym pod wpływem huk i przestraszu puściły nerwy, i którzy błakali się teraz w szoku pośród morza pożarów i dymu. Godzinę później, kiedy lekki wiatr odpędził znad bazy kłęby ceglanego pyłu i kiedy dogasła część pożarów, syreny alarmowe zawyły powtórnie. Francuzi byli zbyt wyczerpani nawet na to, by uciekać do schronów, lecz tym razem uniknęli śmierci. Zamiast bombowców nad Metz pokazał się amerykański samolot rozpoznawczy, który lecąc pod silną eskortą, zrobił serię zdjęć zdruzgotanej bazy. Ocaleni mogli odetchnąć z ulgą, choć zarazem przeklinali wrogi samolot w żywy kamień. Wiedzieli, że zwiadowczy lot w celu oceny skutków nalotu to ostatnia nuta tej żałobnej pieśni. Mylili się i tym razem, bo około południa nad Metz nadciągnęły cztery obciążone bombami dywizjony myśliwców bombardujących z lotniskowców, w asyście dalszych czterech dywizjonów eskorty. Francuzi, rozbici i zdemoralizowani tym, co się wydarzyło o świcie, na ich widok padali na wznak, płakali albo uciekali na oślep przed siebie. Nieliczni przytomni mieli dużo roboty, by pozapędzać kolegów do schronów. Starannie wybierając cele, Intrudery i Hornety lotnictwa marynarki wojennej rozniosły wszelkie ocalałe budynki, które przedstawiały jakąkolwiek wartość. Jak poprzednio, uniknął tego losu jedynie szpital i osiedla mieszkaniowe wokół bazy. Kiedy pół godziny później z nieba zniknął ostatni samolot, budynki te stały osamotnione w pejzażu, który żywo przypominał Hiroszimę. Ostatnia fala nalotu nie napotkała żadnego oporu. Lecąc w równiutkiej formacji, bez uników i zmian kursu, szturmowe F-15E Strike Eagle lotnictwa USA z baz w Anglii dokończyły dzieła. Niczym gromada siewców, szturmowce rozrzuciły po całym wielkim obszarze miny i bombki o opóźnionym działaniu. Przy tej ilości pułapek nie było mowy o tym, by można było w krótkim czasie odbudować bazę czy choćby tylko uprzątnąć gruzy.

USS „George Washington”, na Morzu Północnym

Admirał Jack Ward stał na odkrytej galerii wysoko ponad pokładem lotniskowca i patrzył, jak kolejno siadają ostatnie samoloty drugiej fali. Huk był tak przeraźliwy, że człowiekowi dzwoniły zęby, lecz admirał cieszył widok każdej następnej maszyny, której koła trzaskały o stalowy pokład. Każde lądowanie

stanowiło dobrą nowinę - szczęśliwe zakończenie długiej opowieści. Ward po cichu liczył samoloty i z każdą chwilą czuł coraz większą ulgę. Rzeczywiście mieli szczęście: wyprawa bombowa straciła tylko dwie maszyny, obie od ognia naziemnej obrony przeciwlotniczej. „Gasząc” francuskie działko, pilot jednego z Hornetów dostał serię i - jak twierdził jego skrzydłowy - zamiast wyjść

z lotu nurkowego, trzasnął po prostu w ziemię. Francuskim artylerzystom udało się też drasnąć jeden z Intruderów A-6, lecz dwuosobowa załoga umiała doprowadzić uszkodzony bombowiec nad Morze Północne i katapultowała się dopiero nad falami. Obu pilotów zdążył pozbierać z wody wysłany w to miejsce z lotniskowca śmigłowiec ratowniczy. Niemal dokładnie w chwili, gdy hak ostatniego samolotu -okazał się nim Viking 5-3, pełniący tym razem funkcję latającej cysterny - zaczepił się o linę hamującą, Ward poczuł, że wiatr zaczyna wiać z innej strony niż dotąd:

„Washington” i „Roosevelt” zawracały na północ z największą prędkością, jaką mogły wydusić z potężnych maszynowni. Metz leżało daleko w głębi ładu, prawie trzysta kilometrów na południe od wybrzeża, a więc niemal na granicy zasięgu taktycznego samolotów z lotniskowca. By piloci nie musieli się aż tak spieszyć nad celem, Ward rozkazał, by oba okręty podkradły się możliwie blisko wrogiego wybrzeża. Nocny rejs na maksymalnej prędkości i start samolotów o bladym świetle kosztowały Warda zarwaną noc, lecz ryzyko opłaciło się stukrotnie. Sporo pilotów wróciło z rajdu na resztkach paliwa, więc gdyby nie decyzja, by podejść do wybrzeża, straty w samolotach mogły się okazać znacznie wyższe. Ward mocniej ścisnął reling - ze złości, bo naprawdę nie rozumiał, po co i dlaczego kazano mu urządzić ten nalot. Przy tym oddaleniu od wybrzeża Metz stanowiło cel w sam raz dla bombowców działających z ładu. Po co mieszać do tego marynarkę? B-1 i B-2 z baz w Wielkiej Brytanii mogły się dostać nad cel z łatwością. Zwykły atak ciężkich bombowców wystarczyłby, aby Francuzi przez tydzień nie mogli skorzystać z urządzeń i magazynów w Metz. Dlaczego więc Waszyngton polecił tak wyraźnie, by nad Metz wysłały wszystkie samoloty również oba lotniskowce? Skąd pomysł, by urządzić najbardziej miażdżący nalot, jaki Ward widział w całym życiu? Z czysto wojskowego punktu widzenia akcja nie miała większego sensu. Metz stanowił dla francuskiej armii

ważny ośrodek, którego zniszczenie z pewnością krzyżowało szyki Konfederacji, ale z drugiej strony ta sama ilość alianckich samolotów potrafiłaby mniejszym nakładem starań zdruzgotać pół tuzina podobnych baz. Samoloty z lotniskowców na Morzu Północnym dzień w dzień atakowały po trzy, cztery albo i pięć obiektów, ściśle według uprzednio sporządzonej listy celów. Organizacja fajerwerków nad Metz stawiała na głowie całą precyzyjnie zaplanowaną kampanię bombardowań.

Czy uwzięli się tak dzisiaj nad Metz dlatego że w innych punktach wybrzeża Morza Północnego i Bałtyku dzieje się coś niesłychanie ważnego? Ward był zdania, że choć udało im się unieszkodliwić całą sieć baz lotniczych i portów wzdłuż północnych granic Konfederacji, jeśli złagodzić tempo walki, marynarka wojenna i lotnictwo przeciwnika wnet dojdą do siebie. O co tu chodzi? Ward niecierpliwie potrząsnął głową. Dzięki bezpośrednim rozkazom z Waszyngtonu, Konfederacja zyskała równą dobę wytchnienia. Admirał miał tylko nadzieję, że zagłada Metz w jakiś sposób opłacała się aliantom.

Nad Morzem Północnym

Dwa śmigłowce Puma w cywilnych barwach nadlatywały wprost od strony słońca, które zaczynało się już chylić za horyzont. Obie maszyny sunęły z wizgiem wirników tuż nad wierzchołkami szarozielonych fal Morza Północnego. Tylko jedna Puma miała na pokładzie pasażerów. Drugi śmigłowiec towarzyszył pierwszemu w rezerwie i miał na pokładzie nurka oraz mechaniczną wyciągarę - na wypadek, gdyby Puma z pasażerami musiała wodować. W kabinie pierwszego śmigłowca Ross Huntington powoli kończył przeglądać serię zdjęć lotniczych ze skutkami nalotu na Metz, którą dostał do rąk tuż przed wyruszeniem w drogę. Kiedy odkładał plik fotografii do teczki, dostrzegł nagle zgrozę i fascynację na twarzy pary agentów Tajnej Służby, przydzielonych mu tym razem jako asysta. - Rany boskie! - Pierwszy agent nachylił się bliżej, bo musiał przekrzykiwać huk silników Pumi. - Słyszałem, że można nalotami cofnąć kogoś do epoki kamienia łupanego... Ale żeby jeszcze dalej?!

Huntington przytaknął niewesoło. Pierwszy raz zdarzyło mu się pośrednio spowodować śmierć i zagładę na taką skalę. Sam nie wiedział czy jest się tu czym zachwycać. Przez całe życie budował zakłady i firmy, więc niszczenie czegokolwiek przychodziło mu z

ciężkim sercem. W słuchawkach usłyszeli teraz nowy głos.

- Pierwsza Puma, tu Strażnik. Czwórka intruzów z kursu zero dziewięć pięć, odległość czterdzieści mil morskich, zbliżają się. Pilot śmigłowca, w osobie rozebranego na tą okazję z munduru chorążego korpusu lotnictwa brytyjskich wojsk lądowych potwierdził odbiór wiadomości z krążącego wysoko E-3 i obejrzał się przez ramię na Huntingtona. ,

- Mamy, czegośmy chcieli, proszę pana. Jeśli Belgowie grają w otwarte karty, te samoloty to nasza nowa eskorta. Poprowadzą nas przez wolny korytarz w obronie przeciwlotniczej. A jeśli grają w co innego... - Chorąży wzruszył ramionami. - Będziemy wracać do Anglii w pław, a to kawał drogi. Trzy minuty później klucz F-16 Falcon w barwach belgijskich sił powietrznych wystrzelił zza horyzontu ku parze śmigłowców, przemknął górą i zawrócił, zwalniając przy Pumach, by dokładnie rozpoznać czy to umówiona grupa. Huntington przyglądał się tym manewrom przez boczne okienko kabiny. Uderzył go widok pilota najbliższego myśliwca. Belg przyglądał mu się, niewidzialny pod przezroczystą czarną przyłbicą hełmu. Pilot Pumy błysnął parokrotnie światłami pozycyjnymi, alfabetem Morse'a podając umówione hasło. W tak bezpośrednim sąsiedztwie francuskiej przestrzeni powietrznej najlepiej było w ogóle nie ryzykować łączności radiowej. Zadowolone z wyniku oględzin, belgijskie F-16 wróciły do normalnej prędkości i zygzakując, by nie odsadzić się zbyt daleko, zajęły pozycję za parą śmigłowców, wysoko w górze. Cała grupa leciała teraz na wschód, w stronę odległych brzegów Belgii, z tej odległości i pod szarą nawałą chmur podobnych do zwykłej ciemnej krechy na horyzoncie.

Belgia, De Haan

Pumy na maksymalnej prędkości przecięły linię brzegową, przemknęły nisko ponad szeroką, piaszczystą plażą i wyszły w górę, bo w przodzie zamajaczyły rzędy różnokolorowych pensjonatów, z których w latach pokoju słynęło uzdrowiskowe De Haan. Przez minutę śmigłowce leciały w głąb lądu, wciąż w asyście F-16 przemierzając płaską, rozległą okolicę, pociętą wąskimi kanałami, wzdłuż których ciągnęły się szpalery drzew. Na kursie grupy pojawił się wreszcie szary, kamienny masyw pałacu, otoczony rozległym pasem zielonej murawy. Huntington zapuścił żurawia przez okienko, by się dokładniej przyjrzeć celowi całej

wycieczki. Gościł już raz w pałacu z całą rodziną, podejmowany przez dwa tygodnie przez belgijskiego przemysłowca. Posiadłość leżała na uboczu i była trudno dostępna - idealna, by zorganizować w niej po cichu ważne spotkanie. Brytyjskie śmigłowce zwolniły i jeszcze raz wytraciły wysokość, przeszły w zawis i opadły na trawnik przy głównym budynku. Obie maszyny otoczyli natychmiast żołnierze w panterkach i beżowych beretach elitarnego Pułku Spadochronowego - czujni, lecz nie zdradzający oznak wrogości. By się trochę uspokoić, Huntington wziął głęboki oddech, a potem odsunął boczne drzwi śmigłowca i zeskoczył na belgijską ziemię. Przy Pumie czekała już grupka osób w cywilnych ubraniach. Huntingtonowi ulżyło trochę, gdy dostrzegł pośród nich starego znajomego - Emile Demblona, ważną figurę w belgijskim Ministerstwie Handlu. Demblon pospieszył z wyciągniętą ręką. - Ross! Nareszcie! Świetnie, że udało się wam dolecieć! - Dzięki, Emile! - Huntington uściśnął dłoń niziutkiego Belga. - I co? Możemy siadać do pracy?

- Oczywiście. Wszystko przygotowane.

Huntington z bijącym sercem ruszył przez trawnik w ślad za Demblonem i zniknął za drzwiami pałacu. Z tyłu, w dyskretnej odległości, podążyła para agentów z Tajnej Służby, belgijscy spadochroniarze i cywile. Demblon zatrzymał się dopiero przed wielkimi dębowymi drzwiami i udając, że składa ceremonialny ukłon, otworzył je na oścież. Huntington ujrzał za nimi niewielki, wykwintnie umeblowany gabinet. - Proszę do środka, przyjacielu.

Huntington aż drgnął, gdyż choć nie znał głosu, w szczupłym, słusznego wzrostu mężczyźnie, który czekał w gabinecie, rozpoznał samego premiera Belgii. Jak na początek, wcale nieźle. Szczeliny w fundamentach Konfederacji poszerzyły się z trzaskiem.

30

Sygnaly alarmowe

29 czerwca - dacza pod Moskwą, miejsce francusko-rosyjskich rokowań

Rozłożyste, kryte gontem domostwo, w którym toczyły się rokowania, leżało w samym środku sosnowego zagajnika piętnaście kilometrów za rogatkami Moskwy. Dawniej bawili tu członkowie komunistycznej elity ZSRR. Obecnym właścicielem i zarządcą stał się nie tak dawno marszałek Jurij Kaminow. Dotrzeć tutaj nie było

łatwo, gdyż jedyny dojazd stanowiła zamknięta i strzeżona dróżka, odchodząca od szosy z Moskwy do Jałty. Wszystkie pojazdy, które skręcały w las, sprawdzano i przeszukiwano na posterunku kilkaset metrów w głębi lasu, a cały zagajnik patrolowali w dzień i w nocy funkcjonariusze FSD i wojsko. W głównej sali starego domostwa siedziały naprzeciwko siebie po dwóch stronach wielkiego stołu dwie grupy wojskowych i cywili. Każdy z uczestników obrad otrzymał przybory do pisania, blok do notatek i trzy butelki wody mineralnej. Za plecami negocjatorów czuwali tłumacze, którzy zdyszonym szeptem streszczali kolejne wypowiedzi. Pod ścianą, w otoczeniu młodszych rangą członków francuskiej delegacji, stał także major Paul Duroc, który po kilku godzinach dyskusji wciąż na ten sam temat, w dodatku prowadzonych niezmiennie monotonnym głosem, nudził się jak mops. Co gorsza czuł, że w każdej chwili byle głupstwo wyprowadzi go ostatecznie z równowagi. Na razie dzielnie przestępował z nogi na nogę, czując jak po plecach ścieka mu pot. Mimo że w domostwie zaciągnięto zasłony, popołudniowe letnie słońce sprawiało, że uczestnikom było po prostu duszno. Długo jeszcze będą się wymądrzać kolejni idioci? Duroc zauważył, że runda negocjacji przeciągnęła się długo poza ustalony limit czasu. Nic jednak nie wskazywało na przełom w rozmowach. Wybrany osobiście przez Desaix wysłannik, ambasador Sauret, gadał aż do znudzenia, a Kaminow bez zmruczenia powieki odpłacał mu się tym samym. Na razie nie było mowy o zbliżeniu stanowisk. Duroc skrzywił się bezwiednie. Nie znał rosyjskiego, ale i bez tego potrafił się zorientować, że rozmowy drepczą w miejscu. Mimo marszałkowskiego munduru i pozycji, Kaminow w głębi duszy pozostał nieufnym kmiotkiem, z tych, jakich pełno w każdym francuskim miasteczku - zaciętym i podejrzliwym dziadkiem, który kupując konia, nie tylko liczy zęby i żebra, lecz także sprawdza czy ogon aby nie przyprawiony, a targując się, utyskuje niezmiennie na złodziejstwo kupca. Dobrze, Kaminow, ale Sauret? Komuś, kto ukończył najlepsze uniwersytety Europy, osobie z najlepszego towarzystwa, nie przystoi chyba targować się jak przekupka? Duroc nic z tego nie rozumiał. Skoro Francja naprawdę potrzebuje rosyjskiej pomocy w wojnie, dlaczego nie obiecać Kaminowowi i spółce, czego tylko zażądatają? Duroc uważał, że obietnice, zwłaszcza w ustach dyplomatów, istnieją tylko po to by pozostać tym, czym są - obietnicami. Zawsze znajdzie się jakiś

wykreć, a poza tym, co za różnica, parę miliardów franków w tę czy wewtę? Jeśli Konfederacja wygra tę wojnę, wycisnie się potrzebne pieniądze z pokonanych - z Polaków, Czechów i Węgrów. A jeśli Konfederacja przegra? Wówczas Rosja zobaczy obiecane pieniądze jak własne uszy. Duroc miał już serdecznie dosyć widoku negocjatorów, którzy nieustannie przekładają papiery albo popijają mineralną - toteż zapatrzył się w stojących pod przeciwległą ścianą rosyjskich braci w niedoli i nudzie. Większość Rosjan miała na twarzach cierpiętniczy wyraz skupionej uwagi, właściwy wszystkim popychadłom w salach posiedzeń, ministerstwach i placówkach wojskowych na całym świecie. Jedynym wyjątkiem okazał się pewien oficer - pułkownik, wysoki, jasnowłosy i przystojny - który wiercił się dziwnie, jak gdyby coś go niepokoiło i męczyło. Duroc przyglądał się spod oka, jak Rosjanin patrzy na zegarek i przejęty podnosi błagalny wzrok ku niebu. Pół minuty później Rosjanin znów sprawdził, która godzina. Za chwilę to samo. Ho, ho... Ciekawe... Duroc zaczął w myślach jeszcze raz przetrząsać tajne teczki na temat rosyjskiej elity, w które się zagłębił przed przylotem do Moskwy. Kim jest ów arystokratyczny z wyglądu pułkownik? Domysły były może bezużyteczne, ale za to pozwalały zabić trochę czasu, no i ćwiczyły pamięć. Duroc nie musiał jej nawet szczególnie wysilać, by uświadomić sobie, że oficer to pułkownik Walentin Aleksiejewicz Sołowiew, jeden z najbardziej zaufanych doradców Kaminowa.

W ślad za nazwiskiem powróciły w pamięci Duroca najistotniejsze fakty. Sołowiew, odznaczony orderami bohater kampanii w Afganistanie, znany z odwagi i zmysłu taktycznego, w polityce jeden z twardogłowych, blisko związany z osobą i linią polityczną Kaminowa. Co więcej, to właśnie pułkownik krył się podobno za najnowszą falą czystek w rosyjskiej armii, których ofiarą padli oficerowie o demokratycznych poglądach albo o „złym” pochodzeniu czy narodowości. Obraz, jaki przygotowała moskiewska placówka DGSE, przedstawiał oficera zdyscyplinowanego, spokojnego i rzetelnego - nie nerwusa, który co chwila spogląda na zegarek. Francuz zacisnął wargi, coraz bardziej zaintrygowany postacią. Jeśli meldunki, z jakimi się zapoznał, pokrywały się z prawdą, nerwowe napięcie pułkownika Sołowiewa musi mieć nader poważną przyczynę - tylko jaką? Duroc znał się na ludziach. Nikt nie

zmienia nawyków i obyczajów bez powodu. Dlaczego rosyjski oficer zamiast trzymać kamienną twarz wierci się jakby go oblażyły mrówki? Korzystając z króciutkiej przerwy, podczas której francuski tłumacz usiłował streścić potok kwiecistej wymowy marszałka Kaminowa, Sołowiew nachylił się i szepnął coś do ucha zwierzchnika. Kaminow nawet nie mrugnął, a tylko niecierpliwie skinął głową i machnął ręką na znak, że pułkownik jest wolny. Wyraźnie tym uradowany Sołowiew wyprostował się i ruszył prosto do wyjścia. Niektórzy z Rosjan wyglądali na mocno zaskoczonych tą rejteradą. Duroc nie posiadał się z zaciekawienia. Sam także wymruczał słowa przeprosin i przepchał się do wyjścia tuż za Sołowiewem. Rosjanin zdążył już dojść do głównego wejścia do daczy. Francuski agent miał nareszcie pewność, że wpadł na dobry trop. Sołowiew nie wybiegł z sali po to, żeby zrobić siusiu - opuszczał miejsce rokowań, nagle i w pośpiechu. Dlaczego? Cóż takiego okazało się dla Sołowiewa ważniejsze niż rządowe negocjacje na najwyższym szczeblu? Dlaczego ryzykował gniewem krewkiego marszałka? Duroc oczywiście nie miał pojęcia dlaczego, lecz postanowił to sprawdzić. Wystarczy już niespodzianek - te na Węgrzech omal nie zrujnowały mu kariery. A więc... Duroc wyszedł na ganek i ujrzał jeszcze, jak Sołowiew siada za kierownicą czarnej, sztabowej Wołgi. Sam, bez kierowcy. Widocznie tam, gdzie jechał, wolał się obyć bez świadków. Nie tak prędko, pułkownikowi. Duroc również biegł po drewnianych schodkach i zbliżył się do grupki kierowców przy czekających z boku samochodach. Kierowcy, jak to kierowcy, gadali między sobą, palili papierosy i cierpliwie czekali na pasażerów.

Choć Duroc bardzo to odradzał, specjalny wysłannik Paryża podróżował wraz ze sztabem z ambasady francuskiej do daczy w kilku opancerzonych limuzynach i w asyście radiowozów. Oficerowi DGSE procedura ta wydawała się dotąd zbyt powolna i nadzwyczaj niedyskretna, lecz dzięki niej mógł w tej chwili wykazać się inicjatywą. - Foret! Verdieri - Major przywołał dwójkę najbliższych stojących agentów, doświadczonych weteranów, którzy widzieli nie jedną akcję specjalną. Zaskoczeni agenci zdeptali papierosy i pospiesznie odwrócili się do szefa.

- Co tam, panie majorze?

Duroc wskazał im wyjeżdżającą z placyku czarną Wołgę.

- Ruszajcie za rosyjskim oficerem w tym samochodzie, ale

ostrożnie, żeby was nie zauważył. Nie wolno go spłoszyć. Sprawdźcie, dokąd jedzie i z kim się spotyka. Macie aparat? - Tak jest! - zapewnił Duroca Foret, drobny agent o szczurzej mordce. - Doskonale. Jeśli się uda, masz zrobić zdjęcia. Verdier, postawniejszy i bardziej przystojny od Foreta wskazał podbródkiem zagajnik i dróżkę dojazdową. - A co mamy powiedzieć żołnierzom z posterunku? Dlaczego wyjeżdżamy przed resztą grupy? - Cokolwiek! - parsknął Duroc. - Macie im powiedzieć, że ambasador wysłał was, żebyście sprawdzili czy mamy dobre wino na kolację. Powiedźcie im, co chcecie, i tak uwierzą. Uradowani agenci przytaknęli gorliwie. Oddanie i pedanteria, z jakimi ambasador Sauret dogadzał swemu żołądkowi, od pewnego czasu stanowiły temat żartów nie tylko wśród grupy Francuzów, lecz nawet pośród Rosjan. - Pytania? - upewnił się Duroc. - Nie ma? No, to jazda! Wołga Sołowiewa zniknęła już między drzewami. Foret i Verdier rzucili się do samochodu, a Duroc zawrócił ku drzwiom daczy, obracając w myślach następne posunięcie. Nawet jeśli się pomylił, agentom nie zaszkodzi pośledzić Sołowiewa - od tego w końcu są. A czy się pomylił? Chyba jednak nie. Wywiad stanowił dla Duroca jeszcze jedną odmianę prastarych łowów, choć zamiast na zwierzynę w leśnej puszczy polowało się na fakty w gęstwinie niepewnych wydarzeń. Nikt nie był w stanie wychwycić świadomie więcej niż ułamek sygnałów, jakie w każdej sekundzie napływają ze wszystkich stron. Major Duroc wierzył jednak w siłę podświadomości, w sprawczą moc domysłów i przebłysków natchnienia. Choć każąc agentom jechać za Sołowiewem kierował się tylko instynktem, Paul Duroc nie zastanawiał się ani chwili. Od dawna nauczył się ufać podszeptom własnego instynktu.

Moskwa, na Arbacie

W pierwszych latach dwudziestego wieku Arbat urósł do rangi najmodniejszej handlowej ulicy Moskwy. Nic dziwnego, że po rewolucji tę samą okolicę wyklęto jako symbol kapitalistycznego wyzysku. Teraz, u schyłku stulecia, wszystko powróciło do punktu wyjścia. Wykupione przez prywatnych właścicieli budynki, zagraniczni inwestorzy i rządowy program ochrony zabytków, wspólnie zmieniły Arbat w kwitnącą, zamkniętą dla ruchu dzielnicę sklepików i galerii, pełną straganów z pamiątkami, wystaw i teatrzyków. Nawet oszczędnościowy program gospodarczy i wprowadzony ręką Kaminowa stan wyjątkowy nie odebrały dzielnicy

resztek żywotności i ruchu. Kiedy kończył się dzień pracy stołecznych ministerstw i urzędów, na brukowane uliczki wylegały tłumy, szukające tanich okazji i rozrywki. Wielu spacerowiczów pracowało na codzień w betonowym masywie rosyjskiego Ministerstwa Obrony, tuż po drugiej stronie alei. Erin McKenna płynęła wraz z tłumem, udając, że ogląda kolejne wystawy, a jednocześnie wypatrywała pułkownika Walentina Sołowiewa. Poszukiwania nie przynosiły skutku, toteż z upływem czasu Erin stawała się coraz bardziej niespokojna. Pułkownik spóźniał się. Było jasne, że jeśli nie pojawi się w ciągu kilku minut, trzeba będzie odwołać spotkanie. Gdzie się podział, do diabła? Utknął w moskiewskim korku ulicznym? Czy też może siedzi w lochu, pod zarzutem zdrady stanu? Najgorsza była dla Erin właśnie niepewność, której nie mogła uśmierzyć nawet wiedza, że gdzieś w pobliżu czuwa Alex Banich, który ma na wszystko oko. Erin podreptała ku następnej witrynie, udając, że pochłania ją widok szachownicy z prześlicznie rżniętymi figurami. Reszta przechodniów sunęła przed siebie, zajęta własnymi sprawami. Erin wydało się aż dziwne, że wokół niej krząta się taka ilość ludzi. Alex miał rację, kiedy mówił, że obecność tłumu zapewnia bardzo szczególny rodzaj anonimowości. Znajoma, nie anonimowa postać, tym razem miała na sobie pełny pułkownikowski mundur. Erin zerknęła na mężczyznę, który zatrzymał się tuż obok niej i powróciła wzrokiem ku wystawie. - Miło, że się pan w końcu zjawił, pułkowniku. - Najmocniej przepraszam, pani McKenna - odezwał się leciuteńko zdyszany Sołowiew. - Obrady nam się przeciągnęły. Nie było rady, musiałem się wymknąć przed zakończeniem. -- Czy to rozsądne? - Może i niezbyt rozsądne, ale nie miałem czasu, żeby ustalić z panią nowy termin. Erin przytaknęła ze zrozumieniem. Gdyby Sołowiew się nie zjawił o umówionej porze, najprawdopodobniej ani Banich ani Len Kutner nie zgodziliby się na następne spotkanie. Zbyt duża możliwość, że przyłapany wreszcie Rosjanin zaczął pracować dla drugiej strony. Erin nawet się nie dziwiła. Kiedy jest się szpiegiem w stolicy obcego mocarstwa, paranoja pomaga zachować rzecz tak cenną jak na przykład życie. Ruszyli Arbatem w stronę następnej wystawy sklepowej, na tyle blisko siebie, by móc rozmawiać, lecz dla postronnych świadków osobno - niczym dwoje przechodniów,

których zainteresowały te same towary w witrynie. - Jak idą rokowania? - spytała prosto z mostu Erin. Nie było czasu na uprzejmą odpowiedź. Dwoje nieznajomych może gwarzyć przez chwilę, nie dłużej, bez zwracania na siebie uwagi. Sołowiew również nie owijał niczego w bawełnę.

- Dobrze, to znaczy niedobrze. Kaminow i ten Francuz niby się kłóca, ale tak naprawdę są coraz bliżej ugody. A nasze przygotowania wojskowe trwają w najlepsze, rzecz jasna. Na Białorusi mamy już osiem dywizji, a następne trzy w drodze. W paru innych ogłoszono pogotowie. Kiedy zwolnią się tory i szosy, ruszą i one. - Sołowiew skrzywił się. - Moim zdaniem marszałek czeka tylko, aż utknie w miejscu ta ostatnia ofensywa Konfederacji. Wydebi własne warunki i zacznie interwencję. Z takimi jak on lepiej nie iść na targ. Kaminow wie najlepiej, że im bardziej wymyka się Francuzom zwycięstwo, tym więcej zapłacą nam za pomoc.

Erin nie zdziwiła się nawet, bo opis pasował do znanych jej faktów na temat charakteru Kaminowa. Pora była zapytać o następny punkt z listy Alexa Banicha. - Co z dowodami? Znajdzie pan coś dla nas, pułkowniku? Mówiąc to, Erin puściła z dłoni jedno ucho plastikowej torby na zakupy. Jeśli Rosjanin wyniósł z daczki dokumenty, miał oto sposobność przekazać je niespostrzeżenie Amerykanom. Sołowiew jednak tylko potrząsnął głową. - Niestety, nic z tego.

- Mówiłam panu, jakie to dla nas ważne...

Sołowiew powstrzymał ją gestem uniesionej dłoni.

- Zapomina pani, McKenna, że choć może jestem zręczny, nie jestem cudotwórcą. Moi rodacy nie potrafią może zbudować porządnego samochodu czy w porę sprzątnąć zboża, ale tajemniczy państwowej strzegą tak, że tylko pozazdrościć! Co, dalej pani nie rozumie? Każdy dokument, który dotyczy tych rokowań, dostaje osobny numer, a poza daczę może go wynieść jedynie ktoś z kierownictwa delegacji. Kserokopiowanie odpada, bo jeśli ktoś chce skopiować choćby harmonogram dnia, robi to pod nadzorem obstawy z obu delegacji. Może i na to znalazłby się jakiś sposób, ale ja tam go na razie nawet nie szukałem. Proszę powtórzyć, komu trzeba, że robię co mogę - tyle, że niewiele mogę. Poza tym zgodzi się pani, że niewiele się przydam, jeśli się dam złapać na próbie kradzieży byle świstka? - Owszem, ma pan rację -

przytaknęła Erin, która w głosie pułkownika wyczuła napięcie i rozżalenie. Sama nie ryzykowała aż tak bardzo, bo nawet w wypadku aresztowania mogła liczyć, że wkrótce Rosjanie wymienią ją w zamian za któregoś z własnych agentów. Gdyby natomiast FSD ujęło Sołowiewa... Wołała o tym w ogóle nie myśleć. Słyszała w końcu o przypadku, kiedy KGB - a może GRU? - żywcem spaliło „zdrajcę” w piecu kotłowni, a co więcej sfilmowało egzekucję, by odstraszyć potencjalnych amatorów zachodniej waluty w szeregach.

- Niech mi pan wierzy, pułkowniku, że jesteśmy bardzo wdzięczni za wszystko, co pan dla nas zrobił.

- Tak? Pani też?

Erin spojrzała na niego poważnie.

- Owszem. Ja też.

Sołowiew uśmiechnął się nieoczekiwanie, beztrąsko i zawiadaczająco, tak samo jak wówczas, gdy tańczyli ze sobą w ambasadzie amerykańskiej. - Dobrze i to! - rzucił i poważniejąc dodał: -

Ale tymczasem musimy się rozstać.

Erin nie zdziwiły te słowa. Nie mieli czasu ani warunków, żeby kontynuować tę rozmowę. - To kiedy pan znowu zadzwoni?

- Jutro.

- Tak prędko?

Sołowiew z niechęcią przytaknął.

- Niestety, pani McKenna, wszystko dzieje się w takim tempie, że nie zdziwię się, jeśli pojutrze pani i mój kraj wypowiedzą sobie wojnę.

Ani pułkownik, ani też Amerykanka, nie spostrzegli człowieka o szurzym obliczu, który stał pośrodku Arbatu i z odległości stu metrów robił im zdjęcia aparatem z teleobiektywem.

Kierunek Gdańsk

29 czerwca - Kompania A z 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty, 101.

Dywizja Desantowa, pod miejscowością Świecie

Zaimprovizowana kolumna pojazdów z ośmiuset żołnierzami „Trójki 187. Pułku” zatrzymała się wreszcie przed kwaterą dowództwa brygady. Widząc, że dotarli wreszcie do miasteczka, kapitan Mike Reynolds podniósł się z wysiłkiem i zadowolony, że to już koniec szosowej męki, pozbierał ekwipunek i wyskoczył z autobusu na plac. Do Świecia dotarli zarekwizowanymi autobusami komunikacji miejskiej, które napędce pociągnięto maskującą farbą. Wyruszyli z Gdańska o szóstej rano, bo choć podróżując za dnia narażali się

na atak z powietrza, najbardziej liczył się czas. Prócz tego dowództwo zapewniło ich solennie, że nad kolumną patrolować będą nieustannie własne myśliwce. Reynolds nie był tego taki pewien, bo po drodze nie zauważył na niebie żadnych samolotów, wszystko jedno, swoich czy obcych, więc dziękował niebiosom, że jego ludzie dotarli cało na miejsce. Ulga, jaką czuł wysiadając, wynikała po części z radości, że nie trzeba już tkwić w powolnym i bezbronnym, a przy tym łatwym do zauważenia pojeździe. Jak przystało na piechura, który na polu bitwy ściera się z czołgami, artylerią i pociskami naprowadzanymi laserem, Reynolds najpewniej czuł się w ukryciu i na swobodzie, nie w blaszanej, przegubowej trumnie. Pokonanie 125 kilometrów między Gdańskiem i zagubionym nad Wisłą Świeciem zabrało im całe cztery godziny. Reynolds domyślał się, że jadą znanym szlakiem turystycznym - szosa numer 5 szła wzdłuż Wisły na południe, przez okolice pełne zabytków architektury, a potem krainę niewielkich gospodarstw rolnych. Malowniczość psuły jednak tysięczne tłumy uchodźców, zatykające drogę. W Gdańsku tylko się wyczuwało wojnę. Dopiero tutaj, na szosie, Reynolds przekonał się na własne oczy, jak zmagania wyglądają z bliska. Obdarci ludzie na drodze nie porzucili domostw dlatego że wystraszyli się wiadomości z gazet. Z południa ciągnęły ku nim najprawdziwsze obce czołgi. Wypalone domy wzdłuż całej trasy przemarszu zaświadczały, że Konfederacja napiera coraz mocniej. Przy szosie uwijali się także polscy saperzy. Z początku Reynolds sądził, że wysadzone mosty i podziurawiona lejami nawierzchnia to pamiątka po nalotach Konfederacji, lecz zmienił zdanie, kiedy pod Grudziądzem z okna autobusu zobaczył na własne oczy, jak grupa saperów wysadza most na Wiśle. - Coś nie bardzo wierzą, że zatrzymamy EuroCon - przeszło mu przez myśl. Przypomniał sobie jednak słowa Thompsona. Przez Polaków przemawiał zwykły realizm. Nie można było wcale wykluczyć, że za paręnaście godzin batalion Reynoldsa znów się nie znajdzie na szosie, uciekając dokładnie w odwrotnym kierunku. Krótki przemarsz uświadomił Reynoldsowi, jak niewiele dzieli francuskie i niemieckie dywizje od celu. Kolumna jechała zaledwie trzydzieści na godzinę, lecz do celu dotarła jeszcze przed południem. Było jasne, że o ile 101. Dywizja natychmiast nie zatrzyma Konfederacji, Gdańsk padnie w ciągu kilku dni. Im bliżej Świecia, tym mniej widziało się na drodze cywilnych uchodźców.

Przybyło za to wojska. Reynolds z ulgą spostrzegł ukrytą w cieniu zagajnika grupę śmigłowców szturmowych AH-64 Apache, a kiedy wjechali do miasteczka, wykrył też baterię rakiet Hawk, strzegącą „latających czołgów”. 3. Brygada obrała Świecie jako wysuniętą bazę dla trójki swoich batalionów, toteż na wąskich uliczkach stały całe rzędy zielonkawych pojazdów wojskowych. Sztab mieścił się w hotelu Piast, jedynym w całej miejscowości. Reynolds domyślał się, że w Świeciu znajdowało się w tej chwili więcej Amerykanów niż Polaków, tym bardziej że większość rdzennych mieszkańców zdążyła uciec na północ. Kiedy się przyglądał, jak rozziewani żołnierze wysiadają i formują szereg, podbiegł do niego goniec w stopniu szeregowca. - Panie kapitanie, za chwilę w hotelu odprawa batalionu. Reynolds odsalutował, pozbierał dowódców plutonów i ruszył do Piasta, który się okazał budynkiem z kamienia i cegły, nie tyle jednak zabytkowym, co starym i zapuszczonym. Sala restauracyjna na parterze prędko zappełniła się oficerami 3. Batalionu, którzy przeważnie milczeli, czekając na ostateczny przydział zadań. Stoliki i krzesła odsunięto na bok, a na wolnej przestrzeni ustawiono stojaki z mapami i wykresami. Reynolds spostrzegł, że dowódca batalionu, podpułkownik

Jeff Colby, rozprawia o czymś z batalionowym oficerem do spraw kontaktów cywilnych. Obowiązki szefa sekcji S-5 obejmowały nadzór nad ewakuacją ludności. Wprawdzie ciągnący na północ pochód uchodźców nie opóźnił aż tak bardzo porannego przemarszu, ale plany zakładały, że szosa będzie pusta. Reynolds mógł się założyć, że niezgułowaty kapitan z S-5 usłyszy zaraz ze szczegółami, co myśli o takiej robocie dowódca batalionu. Colby był lubianym dowódcą, krzykliwym lecz energicznym. Część tej energii udzielała się podwładnym, co w jakiejś mierze wyrównywało milkliwy i powściągliwy styl bycia pułkownika Iversona. Zdaniem Reynoldsa, Colby przesadzał czasem z zapalczywością, jak gdyby koniecznie chciał pokazać, jaki z niego wojak. Nawet wygląd miał regulaminowy: był wysoki, szczupły, miał pociągłą, opaloną twarz i krótko przyszczyżone, ciemnoblonde włosy. Colby walczył w operacji Pustynna Burza, choć nie był wtedy jeszcze dowódcą batalionu. Reynolds westchnął. Tak naprawdę martwił się nie o Colby"ego, tylko o siebie, no i o losy całej jednostki. Co to będzie? Czy się utrzymają? Czy precyzyjna machina, złożona z

ludzi i sprzętu, zadziała jak trzeba? Strzelanina dobiegała na razie z tak wielkiej odległości, że Reynolds nie bał się o własną skórę. Bał się natomiast jak cholera, że coś poknoci. Colby dokończył połajanki, wyprostował się i rozejrzał po sali. Brakowało zaledwie kilku spośród trzydziestu paru oficerów batalionu. Gromkim głosem dowódca odezwał się więc: -Dobra jest, panowie, zaczynamy.

Wojskowi żartownisie twierdzili, że zezwolenia na tak tubalny głos wydaje się dopiero od stopnia podpułkownika wzwyż. Jeden z szeregowców zdążył tymczasem rozdać odbitki rozkazu bojowego dla batalionu. Reynolds prędko przebiegł wzrokiem tekst, upstrzony mnóstwem znajomych skrótów. SCHEMAT TAKTYCZNY GB 3-187 I.K A/3-187

2. C „BASTARD” K B/3-187 5/D/3-187

3. C „CHOP” K C/3-187 3/3/C/326 SAP C „WOLFPACK” K D/3-187 (-) 1/3/C/326 SAP C „COLT’ HELI/3-320

CUBEZP

ROZP

MOZDZ 81 MM

3/C/326 SAP (SZTAB)

3-320 ART (DYW) (105 MM)

213 POLSKA ART (BAT) (1 55 MM) A/1/101 LOTN(DYW)

A) SYTUACJA

i. Siły przeciwnika. II Korpus Konfederacji kontynuuje działania za czepe na kierunku Gdańsk. W naszym sektorze należy się spodziewać jego działań siłami wzmocnionej brygady lub dywizji, ze wsparciem lotniczym i artyleryjskim. Oddziały NPLA liczą 75 do 90 procent stanu wyjściowego, morale dobre.

II. SHy własne. Z przodu walczy polski 314. Bat Zmech. Na lewym skrzydle, za Wisłą, tj. linią rozgraniczenia dywizji i korpusu, stacjonuje polska 9. Dyw Zmech. Po prawej stronie mamy styczność z 2-187. Za plecami mamy Gdańsk. Zadaniem 3. Brygady jest obrona wyznaczonego odcinka w celu osłony odwrotu polskiej 11. Dyw-Zmech. i zniszczenia wysuniętych oddziałów przeciwnika. Na rozkaz wycofać się na zapasową pozycję obronną Laskowice. Odwody i siły wydzielone: brak. B) ZADANIE

G. boj. 3-187 przejmuje obronę poczynając od godz. 2400 czasu lok. i likwiduje NPLA na ode. Świeck oraz wspomaga odwrot polskiego 314. Bat Zmech. Na rozkaz wycofać się... Reszta

dokumentu określała dalsze szczegóły zadania, lecz Reynolds i bez tego w mig pojawił, o co chodzi. Batalion miał się bronić oparty lewym skrzydłem o Wisłę, obsadzając linię obrony siłami trzech kompanii. Kompania B, czyli grupa „Bastard” pilnowała lewego skrzydła. Dalej, na zachód od szosy, miały się rozwinąć grupa „Chopper” czyli kompania C i kompania A, dowodzona przez Reynoldsa. Do każdej kompanii, oprócz tej ostatniej, przydzielono pododdziały saperów i sekcje pocisków przeciwpancernych TOW. Reynolds nie czuł się tym nawet zbyt rozczarowany, domyślając się, że jego kompania uniknie najgorszego ognia walki. Nie oznaczało to, że będą się obijać na zapleczu. 3. Brygada zagroziła II Korpusowi wojsk Konfederacji najkrótszą drogę na Gdańsk. Było jasne, że przeciwnik zrobi wszystko, by otworzyć sobie ten szlak na nowo. Przed linią wyznaczoną dla amerykańskiego batalionu, na północ od Bydgoszczy, bronił się polski 314. zmechanizowany, tak osłabiony walką, że posiadał już tylko czterdzieści czołgów i transporterów. Powinno się go dawno wycofać z pierwszej linii i uzupełnić stan, lecz Polsce kończyły się ostatnie rezerwy. Oznaczało to, że 314. musi bronić się do końca, wykrwawiając przeciwnika i opóźniając jego pochód. Polski oddział miał teraz oderwać się od sił Konfederacji, odskoczyć za pozycję obronną 101. Dywizji i wraz z resztą macierzystego związku taktycznego utworzyć manewrowy odwód, a przy okazji wypocząć i naprawić sprzęt. „Pikujące Orły”, w tym także „Aniołowie z Piekła” pod dowództwem Reynoldsa mieli tymczasem zatrzymać francuskie i niemieckie natarcie w bezpiecznej odległości od zaplecza. Osiągnięcie wyznaczonej pozycji zabrało żołnierzom kompanii A trzydzieści minut forsownego marszu. Choć był jeszcze jasny dzień, Reynolds odliczał w myślach każdą sekundę, jaka ich dzieliła od świtu. Wiedział, że zanim wstanie brzask, musi razem z żołnierzami zająć się milionem rozmaitych spraw. Przed paniką ratowała go znajomość procedury taktycznej. Żołnierze sami wiedzieli, co mają robić, gdy dotrą na miejsce. Oficerowie i podoficerowie i tak nie mogli narzekać na brak zajęcia, gdyż musieli uzupełniać plan stosownie do okoliczności. Reynolds zebrał dowódców plutonów i szybko obszedł z nimi cały odcinek. Prawie zmusił się do umyślnie powolnego tempa i regulaminowych decyzji, bo tylko w ten sposób miał gwarancję, że nie zapomni o czymś ważnym. W celu obrony wyznaczonego odcinka

dysponował trzema plutonami piechoty, po około trzydziestu żołnierzy w każdym. Uzbrojenie stanowiła ręczna broń automatyczna i karabiny maszynowe. Bezpośrednie wsparcie w postaci dwóch lekkich moździerzy kalibru 60 milimetrów mogło się przydać głównie do postawienia zasłony dymnej i ostrzeliwania piechoty na otwartej przestrzeni. Oprócz moździerzy kompania posiadała także sześć wyrzutni pocisków przeciwpancernych Javelin. Nawet w obcej, nieznanym okolicy, znajome czynności i decyzje dodawały otuchy. Mimo pozorów spokoju, Reynolds głowił się jednak i zamęczał sam siebie dziesiątkami pytań. Jak zachowają się jego ludzie pod ogniem? Jak się zachowa on sam? Czy aby na pewno o niczym nie zapomniał? A jeśli zapomniał czy jego żołnierze zapłacą za to życiem? Wreszcie machnął ręką na wszystkie wątpliwości. Odpowiedź przyjdzie sama. Już za kilka godzin. Kiedy w kompanii A zarządzono przerwę na kolację, słońce kładło się już za horyzont. Reynolds z menażką w ręku przycupnął w trawie tuż obok kompanijnego punktu dowodzenia i metodycznie przeżuwał gumiate pulpety. Był nawet dość zadowolony z tego, ile udało się zdziałać żołnierzom. Jedyne kłopot to amunicja, ale poza tym? Łączność nawiązana, zarówno telefoniczna jak radiowa. Batalion obiecał przysłać saperów, którzy rozciągną zasieki i położą miny na przedpolu...

- Ruch pojazdów na południowym zachodzie! - rozległ się naraz krzyk obserwatora. Wszyscy drgnęli, a ci żołnierze, którzy odłożyli broń na bok, natychmiast pożałowali lekkomyślności. Reynolds także skoczył w ukrycie, lecz naraz zwolnił. Pojazdem, który dostrzegli, okazał się terenowy Humvee, na pełnym gazie sunący w ich stronę połą drogą. Kierowca uparł się najwyraźniej, by wypróbować osiągi lotnicze łażnika, bo prawie nie dotykał kołami ziemi. Dowódca kompanii A upewnił się na wszelki wypadek czy za łażnikiem nie pędzi nieprzyjacielski pościg.

Kiedy wóz podjechał bliżej, Reynolds rozpoznał w pasażerach podpułkownika Colby'ego i kapitana Marino, batalionowego oficera rozpoznania. Za kierownicą siedział inny pułkownik, nieznanomy. Humvee podjechał prosto do murowanej stodoły, w której mieściło się stanowisko dowodzenia. Reynolds popędził w tamtą stronę i gdy opadł pierwszy kurz, zatrzymał się przy samochodzie. Colby okazał się tym razem przyjacielski i zadowolony z życia. - Cześć, Mike! Znajdziesz dla nas jeszcze trzy porcje?

- Jasne, pułkowniku - odparł Reynolds, który nie żałował wcale, że zostawił kompanii trochę czasu na ciepły posiłek. Szli do walki, toteż nikt nie miał pojęcia, kiedy znów uda się zjeść coś na gorąco. Dowódca batalionu wskazał tymczasem na nieznanego oficera.

- Poznajcie się, panowie. Ferdie Irizarri, nasz oficer łącznikowy przy polskiej 11. Dywizji Zmechanizowanej. Może się nawet pamiętać, bo byliście przecież razem w Fort Irwin. Reynolds skinął głową, gdyż owszem, doskonale sobie przypominał podpułkownika. Irizarri był średniego wzrostu, miał ciemne włosy, a jego wigoru wystarczyłoby dla dwóch takich jak on. Miał na sobie tym razem polski mundur polowy, choć z amerykańskimi dystynkcjami, a przez plecy przewiesił amerykański pistolet maszynowy Ingram. Bluzy Colby'ego i Marino wydawały się świeżutkie i wyprasowane, czego nie można było powiedzieć o znośnym mundurze Irizarri. Widać było, że podpułkownik od dawna jest w polu i nie ma czasu na toaletę. Ostatni raz Mike Reynolds oglądał podpułkownika z bliska na ćwiczeniach w Fort Irwin. Ferdinand Irizarri dowodził tam batalionem pozoracyjnym przy Narodowym Ośrodku Wyszczolenia. Batalion nosił radzieckie mundury, posługiwał się radziecką bronią i zasadami taktycznymi, jednym słowem udawał idealnego przeciwnika regularnych batalionów amerykańskich, takich jak ten, w którym służył Reynolds. Ludzie podpułkownika potrafili prawie wszystko. W pozorowaniu walki używali wprawdzie ślepej amunicji, a także laserów małej mocy i niewielkich ładunków wybuchowych, lecz poza tym całość obrazu przedstawiała się jak na prawdziwym polu walki. Smutne doświadczenia z Korei i Wietnamu nauczyły amerykańskich dowódców szkolić ludzi często i do upadłego. Oficerowie i żołnierze mieli prawo popełniać błędy na oczach wszędobylskich inspektorów w Fort Irwin, nie na froncie. Reynolds poprowadził gości ku zaimprovizowanej kuchni, gdzie czekał ogonek żołnierzy. - I jak się panu współpracuje z Polakami, pułkowniku?

- Nieźle. Siedzę tu już od dwóch miesięcy. Pomagałem 11. Dywizji przestawiać się na naszą taktykę i sprzęt. Jeszcze parę miesięcy i zamiast tych rosyjskich gratów mielibyśmy amerykańskie czołgi... Na razie próbuję żenić ze sobą nasze i ich zasady taktyczne.

Colby i Marino poprosili podpułkownika Irizarri o to, by pomógł

im skoordynować odwrót 314., który - jak się okazało - odrywając się od naciskających wojsk Konfederacji miał przeciągnąć dokładnie przez pozycję obronną kompanii A. Tego rodzaju manewr zawsze niesie ze sobą spore ryzyko, po pierwsze dlatego że w zamieszaniu nie tak łatwo poznać, kto swój, a kto obcy, a po drugie z tej przyczyny, że dwa splątane zgrupowania walczą o wiele mniej skutecznie niż każdy oddział z osobna. Reynolds znał taką sytuację jako „pożar w burdelu”. - Wyskoczyliśmy na przedpole, żeby się trochę rozejrzeć - obwieścił Colby, żując pulpeta. - Najlepiej byłoby urządzić taką wycieczkę dla wszystkich oficerów batalionu, ale nie ma czasu. Powiem wam tylko tyle... Jutro rano zobaczycie nie batalion, tylko resztki batalionu. Nie ma się z czego śmiać. Naprawdę zjawiamy się tu w samą porę.

Colby dokończył prędko posiłek, obszedł pozycje kompanii A i pożegnał się zaraz. Chciał jeszcze przed zapadnięciem ciemności zajrzeć do dwóch pozostałych kompanii. Nim jednak wsiadł do swojego Humvee, klepnął Reynoldsa po plecach i oznajmił: - Dobrze się spisales, Mike. Tylko tak dalej. Powtórz, co masz robić, kiedy tamci zaczną jutro natarcie.

- Co? Mam im dać w dupę! - roześmiał się Reynolds.

19. Brygada Grenadierów Pancernych, na północ od Bydgoszczy
Podpułkownik Willi von Seelow odłożył mapę i przyjrzał się zmęczonym lecz zadowolonym twarzom oficerów, którzy otaczali go ciasnym kręgiem.

- Tyle miałem do powiedzenia, panowie - rzucił. - Są pytania? - Nie ma, Herr Oberst - zgodnie zapewnili go dowódcy batalionów i sztabowcy.

- Doskonale. - Von Seelow wstał nareszcie, uważając by nie zaczepić głową o niski dach namiotu, rozpostarty między parą wozów dowodzenia. - Zapamiętajcie sobie tylko tyle: kiedy atakujemy, to na całego. Pchnąć kompanie do natarcia na wąskim odcinku, postawić zasłonę dymną i naprzód! Kiedy natraficie na Polaków, zwiążcie ich ogniem i przewalcie się po nich. Macie iść do przodu!

Oficerowie potwierdzili, że rozumieją, stuknęli obcasami i wyszli gęsiego z namiotu, ruszając do swych czołgów i Marderów. Willi wyszedł w ślad za nimi i zapatrzył się w nocny krajobraz. Atak, jaki zaplanował, niósł ze sobą ogromne ryzyko. Nocna akcja

zaczepna oznaczała, że niesłuchanie trudno będzie utrzymać ciągłość dowodzenia i łączności. W ciemnościach poszczególne pododdziały mogą zmylić drogę albo natknąć się na siebie i ostrzelać własne czołgi. Tego typu przypadki zdarzały się dosłownie co chwila. Noc potęgowała strach i mamiła wzrok. Bywało, że natarcie utykało w miejscu, choć przeciwnik prawie nie strzelał. Wiedząc to wszystko, Willi domyślał się, że inny dowódca na jego miejscu postanowiłby zapewne zaczekać choćby do pierwszego brzasku. Sam jednak zamiast pamiętać o uświęconych zasadach, patrzył już tylko na zegar. Dla wojsk Konfederacji Europejskiej w Polsce czas stał się przeciwnikiem równie groźnym jak okopani na północy żołnierze. Każdy dzień i każda godzina zwłoki pozwalały Amerykanom i Brytyjczykom wyładować nowe oddziały wojska, nowe czołgi i haubice, nowe śmigłowce szturmowe. Pierwsze wielkie konwoje dzieliło od Trójmiasta już tylko parę dni żeglugi. Willi zacisnął zęby. Gdyby to od niego zależało, staliby teraz dużo bliżej Gdańska. O wiele bliżej! Zmitrężyli najpierw masę czasu, próbując wykurzyć Polaków z fabryk, rafinerii i osiedli mieszkaniowych wokół Bydgoszczy. Należało to przypisać głównie postawie Francuzów, którzy chcieli uniknąć strat własnych. Ech, ci Francuzi! Willi przekonywał się nie po raz pierwszy, iż najwierniejsi sojusznicy Niemiec wolą marnować czas na starańne przygotowanie artyleryjskie, a potem i tak tylko udają, że atakują. W ten sposób II Korpus dreptał w miejscu. Co z tego, że krok po kroku, ale jednak zdobywali teren? Za wolno! Co to jest, dwadzieścia kilometrów w dwa dni? Było jasne, że w tym tempie zanim na horyzoncie zamajaczą wieże Gdańska, Amerykanie zdążą tam wysadzić wszystkie swoje dywizje! Trudno, pomyślał Willi z goryczą. Znowu pora, by 19. Brygada przyduśiła pedał gazu - jak zwykle oni. Dlaczego znowu oni? Dlaczego trzeba się ciągle użerać z Francuzami, naprawiać ich błędy i nadstawiać za nich karku? Złość niewiele mogła tutaj pomóc. Za późno, żeby coś zmienić. Lepiej jeszcze raz przemyśleć plan natarcia, znaleźć ewentualne słabe punkty i przeoczenia. Na oko wszystko się zgadzało. Jeśli zwiadowcy trafnie ocenili słabość polskiej obrony, nagły nocny atak powinien z łatwością utorować drogę reszcie sił. Willi podniósł głowę i z rezygnacją wziął się za zadanie. Trzeba rozbić Polaków, jeszcze przed świtem przegrupować się, uzupełnić paliwo i o wschodzie słońca wejść w

wyrwę w polskiej obronie. Krótka zwłoka pozwoli żołnierzom pozbierać się po nieuniknionym nocnym zamieszaniu. Polacy i tak nie zdążą przez ten czas odtworzyć obrony. Pozostawało tylko jedno niepokojące pytanie. Gdzie się podziali Amerykanie? Z potwierdzonych meldunków wynikało, że zdążyli przerzucić do Polski prawie w komplecie dwie dywizje lekkie - 82. i 101. Co się z nimi stało? Bez systemu rozpoznania fotograficznego z orbity i bez nasłuchu satelitarnego Francja i Niemcy działały pozbawione podstawowych danych strategicznych. Nawet rozpoznanie lotnicze stawało się problematyczne, gdyż nad Polską z każdym dniem przybywało amerykańskich i brytyjskich myśliwców, a to bardzo utrudniało loty zwiadowcze. Koniec końców, służby rozpoznania w wojskach Konfederacji musiały się zabawiać w zgaduj-zgadulę. Mapy sytuacyjne przedstawiały oba amerykańskie związki na pozycjach obronnych wokół Gdańska i Gdyni. Rozmieszczono je tam podobno na wypadek francusko-niemieckiego desantu spadochronowego na lotniska i porty Trójmiasta. Willi łudził się, że to prawda.

Oczywiście lekko uzbrojone pododdziały piechoty nie mogły się mierzyć z batalionami Leopardów i Marderów, lecz na pewno opóźniłyby marsz na Gdańsk. Wokół obozowiska zalegała ciemność. Willi zaczął sobie zdawać sprawę, że bez danych o nowym przeciwniku, brygada będzie dzisiaj walczyć naprawdę po omacku. Kompania A z 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty

Z drzemki wyrwał Mike'a Reynoldsa dopiero huk pioruna - taki sam głuchy, przeciągły grzmot, jaki na równinach Teksasu słychać podczas letniej burzy. Dopiero po chwili Reynolds przypomniał sobie, że Teksas został bardzo daleko.

- Panie kapitanie, z południowego zachodu bije ciężka artyleria - krzyknął od swoich radiostacji i telefonów kapral Adams, odpowiedzialny za łączność z pozostałymi batalionami i sztabem brygady. - Poza tym silne zagłuszenie na wszystkich częstotliwościach!

Południowy zachód? Znaczyło to, że artyleria bije w Polaków. Reynolds zerwał się z posłania. - Pierwszy pluton melduje ruch na przedpolu!

- Idę, idę! - odkrzyknął Reynolds i wypadł z murowanej stodoły, w której kwaterował sztab kompanii. Odległy huk zmienił tonację. Zamiast miarowego pomruku rozlegały się teraz suche, prędkie trzaski. Ogień z dział czołgowych. EuroCon atakuje polskie

pozycje.

Starszy sierżant Ford dobiegł na miejsce przed dowódcą i czekał już w okopie razem z podporucznikiem Johnem Caruso - młodym i zupełnie zielonym dowódcą plutonu - przepatrując teren noktowizorem. Nad horyzontem co chwila widać było kolejne błyski.

- Co tam macie? - zapytał Reynolds umyślnie beztroskim głosem. Strach jest uczuciem niezmiernie zaraźliwym.

- Ponad sześć wozów gaśnicowych, idą w naszym kierunku - odpowiedział mu Ford i wskazał coś w ciemnościach.

Jeden z pojazdów na przedpolu pędził dużo szybciej niż pozostałe, skacząc po wybojach z włączonymi światłami. Więc chyba swój, tak? A może i nie? Reynolds zdecydował się w końcu i krzyknął: - Podać do plutonów: nie strzelać!

Nie miał ochoty rozpoczynać wojny od masakry na własnych sojusznikach. Pojazd zatrzymał się tuż na skraju pozycji kompanii A. Reynolds poznał nareszcie, że to amerykański Hunwee. Zza kierownicy łazika wyskoczyła jakaś postać i z podniesionymi rękoma ruszyła w stronę okopu. Żołnierze Caruso dla świętego spokoju trzymali jednak przybysza na muszce. Podpułkownik Ferdinand Irizarri dotarł mimo to do okopu, gdzie czekał kapitan Reynolds i jego ludzie. - To polskie czołgi, pułkowniku? - upewnił się Reynolds.

- A polskie... - odburknął Irizarri nim wyjaśnił, co się stało.

Przyduszeni zaporą artyleryjską, a po niej natarciem niemieckiej brygady na odcinku, na którym normalnie działałby najwyższy batalion, Polacy zostali bez szans. Część linii obronnej roztopiła się w oczach, zalana ławą czołgów. Reszta polskiego oddziału zginęła w walce lub uciekała.

Reynolds poczuł mróz na plecach, gdyż uświadomił sobie, że teraz na niego kolej. Jezus Maria!

- Słuchaj, Mike, mam w tym łaziku rannych, a będzie ich jeszcze więcej. Nie zdziw się, jeśli Polacy pójdą tędy w odwrocie. Kazałem każdej grupce zapalić zielonego „światlika”.

Reynolds przytaknął machinalnie, zadowolony że Ford i Caruso bez rozkazu wyznaczają przewodników i przygotowują przejścia w linii obronnej. - Nie ma sprawy, przepuścimy ich.

Po kilku minutach linię obronną kompanii A przekroczyło kilka grupek wozów bojowych. Na pancerzach czołgów i transporterów leżeli ranni. W powietrzu rozniósł się smród dieslowskich spalin,

a wraz z nim woń rozgrzanego metalu i gumy. Kiedy na przedpolu pojawili się już ostatni polscy rozbitkowie, do kompanii A zajrzał jeszcze raz podpułkownik Colby, dowódca batalionu. Minę miał niewesołą. Reynolds wcale się nie zdziwił. Polskie czołgi miały stanowić ruchomy odwód pancerny. Batalion musiał sobie teraz radzić sam. Dlatego Colby pośpiesznie wydał ludziom Reynoldsa nowe rozkazy. Wzmocniona plutonem wyrzutni pocisków przeciwpancernych TOW kompania A miała się okopać tysiąc metrów przed resztą sił batalionu i jak się da najdłużej opóźnić niemieckie natarcie. Jednym słowem, Reynoldsowi przypadło to samo mozolne i krwawe zadanie, co przedtem polskiemu 314. Reynolds westchnął po cichu. Zadanie było oczywiście ważne, ale przy braku szczęścia graniczyło z samobójstwem. - Aha, jeszcze jedno, Mike - zatrzymał go Colby. - Jaki kryptonim wybierasz dla grupy? Wzmocnioną innymi pododdziałami kompanię nazywano grupą bojową. Zwykle grupę opartą na kompanii A nazywano „grupą Alfa”, lecz żaden szanujący się żołnierz nie uznawał tak potulnych i nijakich nazw. Zdając sobie sprawę, na co się puszczają, Reynolds miał tylko jeden pomysł: - Może tak grupa „Kamikaze”? - Może być - przytaknął Colby. - Proszę przekazać swoim ludziom zadania.

19. Brygada Grenadierów Pancernych, na północ od Bydgoszczy Krótka letnia noc dobiegała końca. Na wschodzie, pod kożuchem ciemnoszarych chmur, zamajaczył już różowy brzask. Willi von Seelow ostrożnie upił z kubka łyk gorącej kawy, czując jak kofeina wypłukuje mu z żył zmęczenie i pompuje w niego nową porcję energii. Wokół niego na zrytym gąsienicami polu wszczynął się ruch. Wysunięte stanowisko dowodzenia brygady - zbieranina pokiereszowanych Marderów, amerykańskich M577, ciężarówek i łazików terenowych - mieściło się dokładnie tam, gdzie przedtem centrum polskiej pozycji obronnej. Leje po pociskach i dopalające się wszędzie wraki zaświadczały, jak silne i obezwładniające okazało się niemieckie natarcie. - HerrOberst!

Von Seelow obejrzał się na majora Thiessena, który wytknął głowę z górnego wjazdu M577 pełniącego rolę centrum taktycznego brygady. - Wszystkie bataliony meldują gotowość do natarcia!

Willi chlusnął niedopitą kawą w rozrytą gąsienicami trawę i ruszył pędem ku opuszczonej rampie własnego transportera. - Nadać do wszystkich pododdziałów: nacieramy przez wyrwę w obronie

wzdłuż osi głównej szosy. Zadanie bliższe: Świeck. Kierunek uderzenia: Gdańsk!

Pozycje grupy „Kamikaze”

Pierwszy brzask po wschodniej stronie nieba Reynolds przywitał z mieszaniną radości i niepokoju. W porannym świetle dawało się wprawdzie lepiej obserwować broniony odcinek, lecz nadejście dnia oznaczało, że lada chwila pojawią się tu Niemcy. Ziewnął przeraźliwie, mając słabą nadzieję, że światło nowego dnia pozwoli oszukać senność. Batalionowy grafik służby i wypoczynku diabli wzięli. Kapitan domyślał się po cichu, że to dopiero początek atrakcji. Przez całą noc nikt nie zmrużył oka, i to nie tylko dlatego że nie było na to czasu. Było jasne, że rankiem nastąpi natarcie. Kiedy Reynolds gorączkowo wyznaczał dozory dla artylerii i określał sektory ogniowe, jego ludzie okopywali się i maskowali nowe pozycje. Wszystko po to, by zmienić broniony teren w kieszonkową fortecę. Pomoc Irizarriego okazała się nieoceniona. Podpułkownik zajął się organizacją obrony grupy „Kamikaze” z takim zapalem, jak gdyby poprzedniego dnia osobiście usynowił Reynoldsa i jego żołnierzy. Kapitan miał w pamięci doświadczenie Irizarriego z lat służby w Fort Irwin i był mu szczerze wdzięczny za pomoc w tym naprawdę najważniejszym egzaminie. Przygotowania musiały się odbyć w prawie całkowitym mroku i przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności.

Przedwczesne wykrycie pozycji kompanii A oznaczało, że równie dobrze Amerykanie mogą się od razu poddać. Batalionowi zwiadowcy nie pomylili się jednak, twierdząc, że w okolicznych lasach nie ma Niemców. Reynolds modlił się mimo to, by pododdziały rozpoznawcze przeciwnika nie zaczęły przedwcześnie myszkować na przedpolu. Grupa „Kamikaze” obsadziła skraj rzadkiego zagajnika na lewo od zrujnowanej zagrody. Drzewa były przeważnie stare i grube. Posadzono je niegdyś wzdłuż muru, który z biegiem czasu osypał się w gruz. Między pniami rosło gęste podszycie. Trzystumetrowy dawniej zagajnik rozrósł się na tyle, że mogła się w nim spokojnie ukryć nawet wzmocniona kompania wojska. Jedyne kłopot sprawiały splecione korzenie, które przeszkadzały przy okopywaniu się na pozycji. Drzewa przeszkadzały też, a zarazem pomagały obsłudze wyrzutni pocisków przeciwpancernych. Chcąc jak najlepiej ukryć przed wzrokiem przeciwnika własną pozycję i strugi płomienia podczas wystrzału, żołnierze próbowali odsunąć

wyrzutnie pocisków TOW i Jewelina jak najdalej od skraju zagajnika. Odsuwając się zbyt daleko ryzykowali jednak, że przewody prowadzące pocisków TOW zaplączą się w gałęziach. Biedzili się więc całą noc nad takim umieszczeniem stanowisk, które wreszcie zadowoli Reynoldsa. Na przedpolu kompania miała wąską asfaltową drogę, która ukosem przecinała linię okopów i pięćdziesiąt metrów z tyłu zakręcała na wschód, łącząc się z główną szosą na Gdańsk. Z przodu rozciągał się dwukilometrowy pas pól, łagodnie sfalowany i obrzeżony na horyzoncie pasem niewysokich, zalesionych wzgórz, które stały się grobem żołnierzy z 314. Stamtąd właśnie mieli nadejść Niemcy. Podczas krótkiej nocy, Reynolds co chwila brał się za obserwację pasa wzgórz, próbując się zorientować w siłach i rozmieszczeniu przeciwnika. Co z tego, skoro nawet termowizor okazał się bezużyteczny? Niemcy umieli dobrze ukryć przygotowania. Wiadomo było tylko jedno: że nadciągają. Dwa nocne naloty polskich maszyn na dawne pozycje 314. napotkały ogień obrony przeciwlotniczej, i to jaki! O północy, a później tuż przed świtem, nad pozycją kompanii A przemknęła z wyciem grupa odrzutowców, odchodząc na południe, ku zajętem przez Niemców pagórkom. Kilka sekund później między drzewami wykwitły jasne błyski eksplozji. Reynolds patrzył, jak z kilkunastu punktów naraz wspinają się w niebo paciorki pocisków smugowych. Większość serii biła w niebo na chybił trafił, lecz kilka zdążyło się skupić na odlatujących maszynach. Reynolds nie potrafił powiedzieć czy polskim pilotom udało się celnie zbombardować Niemców. Kilka cieplejszych punktów w okularze termowizora nie poruszało się, a w szarówce świtu widać było nad nimi smużki czarnego dymu. Trafione niemieckie czołgi czy tylko tłące się sterty liści? Reynolds odłożył termowizor i mruknął pod adresem Forda: - Pora na nas, sierżancie. Pogotowie dla wszystkich. Rozkaz okazał się formalnością - żołnierze od dawna czuwali na stanowiskach, a ponieważ zdążyli przygotować broń, obyło się bez hałasu i bieganiny. Wszyscy stężeli i zdwoili czujność. Reynolds przypomniał sobie parę polskich rozbitków z 314., która w nocy przekroczyła linię. Irizarri przed godziną zabrał obu żołnierzy na tyły, chociaż do ostatniej chwili upierali się, że wezmą udział w walce. Jednego z nich, rannego w nogę, trzeba było prawie siłą zawlec do łazika, kiedy z krzykiem domagał się, żeby

mu dać karabin. Reynolds ciasno objął czarną kolbę karabinka M16. Choć w ciągu nocy tyle się napracowali, nowa linia obrony nie umywała się do dawnej - tej, którą przygotowali sobie poprzedniego dnia. Stanowisko dowodzenia kompanią składało się z grupy płytkich szczelin pośrodku kępy drzew, zabezpieczonych dodatkowo wałem ziemnym. Podręczniki wojskowe nazywały taki okop „ukryciem prowizorycznym”, a sami żołnierze „płytkim grobem”. Poprzedniego dnia wykopali sobie okopy o pełnym profilu, toteż opuszczali je naprawdę niechętnie. Reynolds czuł się bezbronny, wręcz nagi. Z ulgą pomyślał, że już niedługo będzie po wszystkim. Żeby już przyszli, żeby się już zaczęło! Na razie zmuszał się do cierpliwości. Każda minuta zwłoki po stronie sił Konfederacji przybliżała zwycięstwo. Zdaniem nie tylko Reynoldsa, najlepiej by było siedzieć tak aż do Bożego Narodzenia, pozwalając niemieckim czołgom spokojnie zardzewieć. Marzenia. Zaterkotał telefon polowy.

- Nasza czata, panie kapitanie - zameldował kapral Adams. Reynolds przejął od niego słuchawkę. Kilka godzin wcześniej wysłał dwóch ludzi, kaprala Teda Browna i szeregowego Gene'a Webstera na pagórek o kilometr przed pozycjami grupy „Kamikaze”, a więc w połowie odległości od przeciwnika. Czata okopała się tam i zamaskowała. Dzięki temu Reynolds mógł liczyć, że dowie się o natarciu z kilkuminutowym wyprzedzeniem. - Widać Niemców, panie kapitanie! Dziesiątki czołgów! - meldował Brown, rozgorączkowany i wyraźnie wystraszony. Nareszcie na własne oczy ujrzał przeciwnika, i to gotowego do starcia. - Na razie nie wyszli spośród drzew, ale widać, jak jadą! - Ile czołgów? Jaki kierunek? - ofuknął go Reynolds, czując jak mocniej uderza mu tętno. Doczekali się. - Nie plećcie mi tu, że dziesiątki, tylko popatrzcie przez LUPKE

Nie był to żart, lecz umowny skrót, pozwalający zwiadowcom zachować pewien porządek w meldunkach. Nawet w chaosie i zgiełku łatwiej im było skupić się kolejno na takich kategoriach jak liczebność przeciwnika, jego ugrupowanie, pozycja, kierunek i aktywność - kolejno, L, U, P, K i A. Chodziło o podstawowe informacje, nie o szczegóły. - Już mówię, już mówię, panie kapitanie. Zaraz... - Liczebność: sześć wozów pancernych. Na kołach, nie na gąsienicach. To chyba te ich Luchsy. Reynolds zapisał sobie tę informację, potwierdził odbiór i

miłosiernie nie zapytał, gdzie podziały się dziesiątki czołgów, które przywidziały się Brownowi przed chwilą. - Aktywność: idą w stronę skraju lasu - odezwał się znów Brown, który odnalazł się już i błyskawicznie przekazał resztę informacji. Wyglądało na to, że pododdział rozpoznawczy niemieckiej dywizji pancernej przygotowuje się do skoku. Dla Reynoldsa wszystko się zgadzało z teorią. Niemcy z zasady wypuszczali przed linię atakujących czołgów grupę wozów zwiadowczych. Z drugiej strony mogli chcieć tylko zamarkować natarcie, a czołgi puścić na innym odcinku. Ciekawe, na co się zdecydowali?

Reynolds sam omiół okolicę przez lornetkę, ale niewiele dostrzegł. Wozy pancerne, o których meldowali Brown i Webster, znajdowały się na razie za daleko. - Innego ruchu nie widać? - upewnił się przez telefon. - Nie ma tam czołgów albo transporterów?

- Nie, panie kapitanie. Tylko te wozy rozpoznawcze. Mnie się zdaje, że zaraz ruszą...

Troska w głosie Browna miała bardzo oczywisty podtekst: „długo mamy tu jeszcze tkwić?” Przy normalnym tempie natarcia, przeciwnik potrzebował trzech czy czterech minut, by dotrzeć do amerykańskiej czaty. Obciążona sprzętem para obserwatorów nie mogła przez tak krótki czas odskoczyć i połączyć się z resztą grupy. Innymi słowy, na pierwszą oznakę, że Niemcy atakują, obaj żołnierze musieli wyrywać, i to w podskokach. Reynolds nie miał najmniejszego zamiaru bez potrzeby narażać ludzi, ale to nie oznaczało jeszcze, że ma się przedwcześnie pozbawić czaty.

Dlatego polecił zwięźle: - Siedzieć tam i obserwować.

Zaraz też przekazał nowe wiadomości do sztabu batalionu i do dowódców swych plutonów. Było jasne, że oczekiwanie skończy się lada chwila. Dwie minuty później znów zatelefonowała czata, z wiadomością, że za wozami rozpoznania idą czołgi - co najmniej dziesięć. Wozy rozpoznawcze wyjechały z lasu. Tym razem kapral Brown darował sobie dyplomację.

- Panie kapitanie, zaraz będziemy ich mieli na karku.

- Dobra. Wrywajcie stamtąd, ale już.

Reynolds przekazał dowódcom plutonu ostrzeżenie czaty i znów przyjrzał się dalekiej krawędzi lasu. Nawet w idealnie płaskim terenie trudno było z odległości dwóch kilometrów dojrzeć niewielkie, szarozielone pojazdy, a cóż dopiero tutaj, wśród

sfalowanych pól uprawnych. Tu nie Teksas, powtórzył w myślach Reynolds. Niemieccy zwiadowcy rozmyślnie szli na ryzyko, prowokując Amerykanów do strzału, a tym samym do odkrycia własnych pozycji. Zostawiali wszystko na los szczęścia czy może uznali, że przeciwnik i tak nie wceluje? Reynolds wiedział, że nie przepuści takiej okazji. Gdyby się ukrył i pozwolił Niemcom harcować po polu, mogliby z bliższej odległości rozpoznać nie tylko pozycję kompanii A, lecz również reszty batalionu. Maskowanie ma swoje granice, zwłaszcza kiedy się ma do czynienia z przeciwnikiem wyposażonym w silne termowizory. Kapitan chciał pozwolić Niemcom podejść bliżej, tak aby się znaleźli w zasięgu pocisków Javelin, otworzyć ogień i upolować kilka wozów na raz. Można było zacząć odliczać minuty. Kompania A odniosła pierwsze zwycięstwo bez jednego strzału. Zakręcający przez pole na lewo od posterunku Reynoldsa wóz rozpoznawczy najechał na minę, którą w nocy postawili saperzy. Nagły, silny wybuch podrzucił Luchsa w górę i cisnął go na burtę. Ze sterty pociętego, dymiącego żelastwa nie wypełził ani jeden członek załogi. Kapitan uśmiechnął się krzywo. Pole minowe było wąziutkie i dosyć rzadkie, ale Niemcy na razie nie mieli o tym pojęcia. Miny to miny, musieli uważać - tym bardziej że zostało im już tylko pięć wozów. Reynolds przyjrzał się im przez lornetkę, uważając, by w szklach nie odbiło się przypadkiem słońce. Wozy Luchs były spore, każdy o ośmiu wielkich kołach i kanciastym, słabo opancerzonym kadłubie. Z wież celowały lufy działek kalibru 20 milimetrów. Luchsy stanowiły łatwy kąsek dla czołgów M1 Abrams czy nawet dla Bradleyów piechoty, ale dla ludzi Reynoldsa stanowiły poważne zagrożenie, zwłaszcza na bliską odległość. Inna sprawa, że Reynolds nie zamierzał pozwolić im podejść za blisko. Trzy z pięciu Luchsów przewaliły się przez szczyt pagórka, który kilka minut wcześniej opuściła amerykańska czata. Odległość siedemset metrów. Wystarczy. Reynolds sięgnął po telefon polowy. -

Ognia!

Odpowiedziało mu kilka głuchych stęknień i świst pocisków raketowych, wylatujących z prowadnic. Strzelała jedna wyrzutnia TOW i cztery Javeliny - po dwie mniejsze rakiety na jeden cel. Reynolds opuścił lornetkę, próbując śledzić wzrokiem jedną z pędzących raket, czarną kropkę, która z niewiarygodną prędkością mknęła nad polami. Kiedy strzelec korygował kierunek

lotu, pocisk miotał się w lewo i w prawo, by w końcu wyskoczyć w górę i zanurkować nad jednym z Luchsów. Nad górnym pancierzem wozu rozpoznawczego rozpełzła się szara chmura dymu. Dym wystrzelił również z żaluzji silnika i z włazów wieży, a po całym pancierze przeskoczyły iskry, jak pod ciosami setek młotków. Reynolds nie zauważył, co się stało z drugą rakieta, ale na szczęście jedno trafienie wystarczyło w zupełności. Wóz zjechał na prawo i zatrzymał się. Z tylnego przedziału silnika bił coraz gęstszy i coraz czarniejszy dym. Strumień rozgrzanego metalu z kumulacyjnej głowicy Jewelina nie tylko wytopił dziurę w pancierze lecz także podpalił wnętrze wozu. Reynolds widział, jak ze środka wyskakują dwóch żołnierzy i prędko zalega na polu. Zasadniczo znajdowali się w zasięgu strzału, lecz zdyscyplinowana amerykańska kompania nie otwierała ognia bez rozkazu. Pozbawieni wozu i dwójki towarzyszy niemieccy zwiadowcy nie byli już groźni. Okolicą zatrzęsły kolejne wybuchy. Udało się trafić jeszcze dwa wozy Luchs. Ten po lewej, ugodzony pociskiem TOW, zmienił się w pochodnię. Duża głowica pocisku spowodowała widać eksplozję zapasu amunicji. Trzeci Luchs, zatrzymany trafieniami dwóch Jewelinów, stał bez ruchu, spowity kurzem i dymem. Reynolds z szacunkiem pokręcił głową. Nie ma dwóch zdań, grupa „Kamikaze” obwieściła Niemcom o swoim istnieniu. W tym tańcu towarzyskim, do Amerykanów należały jedynie pierwsze kroki. Było jasne, że najciekawsze dopiero nastąpi. Reynolds miał okazję brać udział we wspólnych ćwiczeniach z Niemcami i nie lekceważył ich jako przeciwnika. - Kryj się! - Wrzask sierżanta Forda rozległ się w tej samej chwili, co wizg nadlatującego pocisku. Boże święty! Reynolds, który do tej pory tulił się do ziemi, teraz najchętniej by się wkopał między korzenie. Pocisk rozerwał się w odległości stu metrów, ciskając w górę grudy ziemi. Na szczęście trafił dobre dziesięć metrów od okopów na skraju zagajnika. Uff... Reynolds pierwszy raz w życiu widział tak bliską eksplozję pocisku. Widok przeraził go, a zarazem wprowadził w podziw. Na ćwiczeniach używano tylko środków pozoracyjnych, mikroładunków, które udawały artylerię, lecz siłą wybuchu nie przewyższały najzwyczajszej petardy M80. Trzeba było dobrze wysilać wyobraźnię, by traktować taką pukanię jako namiastkę zapory artyleryjskiej. Ha, pomyślał Reynolds cierpko, przynajmniej nie trzeba już

nateżać wyobraźni. Wiedział, że zapamięta ten widok do końca życia. - Kaliber 155 milimetrów - ocenił okiem zawodowca. Macają odległość. Dalszy ciąg nastąpi. Rzeczywiście nastąpił, i to z takim nateżeniem, że przez kilka minut ziemia i powietrze na pozycjach kompanii A zbiły się w jedną całość pod ciosami pocisków burzących. Ilekroć w pobliżu lądował następny pocisk, Reynolds czuł łaskotanie w żołądku. Wtulił twarz w ziemię, gdyż naprawdę bał się o życie, ale po chwili zaryzykował i rozejrzał się. Pierwszą postacią, jaką ujrzał, był Adams, zwinięty w niesamowicie ciasny kłębek w szczelinie między parą pni. Widząc, że pierwsze pociski jakoś go nie zabiły, Reynolds otrząsnął się i zajął tym, czym powinien. Co się dzieje z ludźmi? Okopy powinny ich ochronić nawet od bliskich wybuchów, gorzej, jeśli dostaną odłamkami. Reynolds miał także inne zmartwienie - w końcu dobrze wiedział, co by w tej chwili zrobił na miejscu nieprzyjacielskiego dowódcy. Dlatego znów wystawił głowę i czując falowanie rozrywanego wybuchami powietrza podniósł do oczu lornetkę. Z dalekiego lasu równymi grupkami wysypywały się czołgi. Przyglądał się ich pochodowi przez minutę, a potem wychylił się i trącił Adama. Kiedy kapral otworzył oczy, krzyknął do niego: - Łącz się z artylerią. Niech grzeją, zaporą SADARM, dozór siedem jeden. Zrozumiałeś? Adams przytaknął, podczołgał się do telefonu i tuląc go do siebie, przekazał rozkaz. Musiał przekrzykiwać świst pocisków i bliskie wybuchy, ale przynajmniej miał coś do roboty. Reynolds zdał sobie sprawę, że pod ostrzałem najgorsza jest bezczynność. Żołnierz, który dostaje zadanie, przestaje się bać. Pora pomyśleć, co dalej. Podstawowa zasada taktyczna, którą wpajano wszystkim młodym oficerom, głosiła, że nie wolno dać sobie odebrać inicjatywy. Nie wolno pozwolić przeciwnikowi dyktować warunków. Skoro Niemcy chcą, by kompania schowała głowę w piasek, i to dosłownie, trzeba działać. Nie zwracając już uwagi na deszcz pocisków, Reynolds przyjrzał się nacierającym czołgom. Zdażył się już domyślić, że niemiecka artyleria wali na ślepo, bez obserwatorów, a tylko posługując się mapą. Wysunięte czujki na Luchsach straciły życie albo się cofnęły, wskutek czego przeciwnik nie miał jak korygować ognia z bliska. Było jasne, że artylerzyści biją po prostu między drzewa, i to niezbyt celnie. Nie to, że nie można stracić życia, dodał Reynolds w myślach i

wypluł piach, bo tuż obok rozerwał się następny pocisk. -
Rozkaz przekazany! - krzyknął mu do ucha Adams.
Polska bateria haubic kalibru 155 milimetrów miała wspierać
wszystkie działania 3. Brygady bezpośrednio. W razie potrzeby,
dowódcy mogli wezwać na pomoc pełny batalion artylerii. -
Dobra! - Reynolds znów wbił zęby w ziemię, bo kolejny
niemiecki granat kalibru 155 milimetrów palnął tuż obok, siejąc
odłamkami i drzazgami po całym punkcie dowodzenia. - Łącz się z
plutonami, niech meldują!
Kapral zabrał się do dzieła, dużo spokojniej niż przedtem.
Meldunki okazały się pocieszające. Grupie „Kamikaze” dopisywało
szczęście. Odłamki pocisków i drzazgi z rozszczepionych pni
zraniły kilku żołnierzy, ale na razie wszystkim udało się przeżyć
ostrzał. Na razie. Reynolds rozluźnił się trochę, zadowolony, że
póki co nie musi się pchać z kondolencjami. Mógł się jednak
założyć, że to dopiero początek. Wystarczy, by Niemcy skupili
ogień, a straty zaczną narastać w oczach. - Panie kapitanie!
Hewitt pyta, czy może otworzyć ogień! Sierżant Hewitt dowodził
plutonem wyrzutni TOW, przydzielonych do kompanii A. Niemieckie
Leopardy zdążyły już się znaleźć w zasięgu skutecznego ognia.
Przy tej szybkości natarcia, obsługa wyrzutni miała czas zaledwie
na kilka strzałów. Później trzeba było uciekać albo dać się
rozjechać gaśnicami. Reynolds dobrze to rozumiał, ale miał tym
razem inne plany. - Przekazać, że czekamy jak było umówione.
No, gdzie ta artyleria, do cholery? Reynolds uzbroił się w
cierpliwość i zaczął liczyć nadciągające czołgi. Liczebność,
ugrupowanie... Byleby tylko czymś się zająć, nie siedzieć tak!
Znowu poczuł łaskotanie w trzewiach. Niemcy byli już tylko o
kilometr! Już miał wydać rozkaz, by wyrzutnie TOW otwały jednak
ogień, kiedy wysoko w górze zaświstały pociski własnych baterii,
mknąc w stronę niemieckiej kompanii czołgów. Reynolds skierował
lornetkę w przestwór nad wieżami Leopardów. Niemiecka nawała
artyleryjska ucichła nagle. Spełniła zadanie. Bez pomocy
obserwatorów trudno było liczyć na coś więcej, a poza tym w
takiej odległości od własnego terytorium, Konfederacja musiała
się liczyć z każdym pociskiem. Dopiero po upływie minuty, gdy
Reynolds nadal nie musiał wtulać twarzy w ziemię, zorientował
się, że ostrzał ucichł. Tuż nad szeregiem Leopardów wykwitł w
powietrzu bukiet niewielkich spadochronów, a za nim następny i

następny. Artyleryjskie pociski burzące niewiele mogły wskórać przy ogniu pośrednim przeciwko nacierającym czołgom. Trzeba było niewiarygodnego szczęścia, by trafić w pojedynczy czołg albo przynajmniej rozerwać mu gąsienicę. Odłamki dzwoniły tylko po pancierzach, nie czyniąc wozom bojowym żadnej szkody. Co innego nowe amerykańskie pociski SADARM, dzięki którym amerykańska artyleria miała nareszcie coś do powiedzenia w starciu z bronią pancerną. Pod każdym ze spadochroników opadających w stronę Leopardów dyndał niewielki, nowoczesny podpocisk z miniaturowym radiolokatorem, który omiatał teren. W chwili, gdy czujniki wychwyciły w tle charakterystyczną sylwetkę czołgu, podpocisk uwalniał się i samoczynnie naprowadzany uderzał w cienki górny pancierz niemieckich wozów przepalając go strugą gazów z głowicy kumulacyjnej. Pod chmurą spadochronów rzeczywiście zaczęły się pokazywać obłoczki dymu i długie, białe smugi, zmierzające wprost ku wieżom Leopardów. Trzy niemieckie czołgi zboczyły z kursu i zatrzymały się. Dwa z nich po chwili zajęły się ogniem. W tej samej chwili wystrzeliła pierwszą salwę obsługa wyrzutni TOW i Javelin, trafiając następne Leopardy. Niemcy nie zdążyli się nawet zorientować, że pociski mkną ku nim z dwóch kierunków naraz. Dopiero gdy obsługa wystrzeliła następną salwę, Niemcy spostrzegli wreszcie, co się dzieje. Parę czołgów zdążyło odpalić granaty dymne z wyrzutni po obu bokach wież. Ich sylwetki okrył biały, nieprzezroczysty obłok. Reynolds pamiętał, że dym z granatów pochłania światło na wielu częstotliwościach, i że termowizory są tu zupełnie nieskuteczne. Kurwa, i co teraz? Ocalała z jednego plutonu trójka Leopardów przebiła się przez własny dymny obłok i zakreśliła, próbując szerokim łukiem obejść broniony przez Amerykanów zagajnik. Reynolds patrzył, jak się kolejno natykają na jedno z pól minowych grupy „Kamikaze” i zamierają w miejscu z pozrywanymi gąsienicami i podziurawionym pancierzem dennym. Kapitan nie umiał powściągnąć uśmiechu dzięki satysfakcji. Znając odległość, na którą podpuści się Niemców, mógł łatwo przewidzieć z góry, w którą stronę będą próbowali manewrować. Część czołgów otworzyła ogień, bijąc między drzewa 120 milimetroowymi pociskami i seriami karabinów maszynowych. Niemcy wiedzieli jednak tylko z grubsza, gdzie się kryją Amerykanie. Strzelali na oślep, więc choć furczące tuż nad głowami pociski robiły na żołnierzach potężne wrażenie, nie

czyniły większej szkody. Co nie znaczyło wcale, że Reynolds się nie boi. Zasłonę dymną zdążyły postawić wszystkie ocalałe Leopardy. Niemcy manewrowali po całym przedpolu, nie pozwalając się wstrzelać amerykańskim wyrzutniom. Reynoldsa zdumiała lekkość, z jaką 55 tonowe potwory uganiają się po całym terenie, i to z prędkością normalnego samochodu. Niemcy wstrzymali jednak natarcie, a co więcej, zaczęli się wycofywać i szukać ukrycia w nierównościach terenu. Dobrze. Doskonale! - Hewitt melduje, że nic nie widzi w tym dymie! - odezwał się od telefonu Adams. Kapitan nie spodziewał się niczego innego, toteż potwierdził, że rozumie i przekazał całej kompanii, by przerwała ogień i czekała na dalsze wsparcie artyleryjskie. Potem zaś wykręcił głowę i przyjrzał się wrakom na przedpolu.

Grupie „Kamikaze” udało się solidnie nadszarpnąć szeregi niemieckiej kompanii pancernej. Reynolds nie liczył na aż tak duży sukces. Domyślał się, że dowódcy Leopardów nie spodziewali się napotkać oporu tak daleko za pierwotną linią polskiej obrony. Na radość było i tak zbyt wcześnie: kompania czołgów stanowiła część batalionu pancernego, a ten działał w składzie brygady pancernej albo zmechanizowanej. Jakie siły idą w ślad za brygadą, Pan Bóg raczy wiedzieć. Reynolds ani przez chwilę nie liczył na to, że w pojedynkę zatrzyma Niemców. W rozkazie nie było ani słowa o powtórce z obrony Fortu Apaczy. Wystarczyło, że zgotował Niemcom nieoczekiwane zadanie taktyczne - łatwe do rozwiązania, lecz czasochłonne. Podręczniki wojskowe pouczyły, że nie naciera się czołgami wprost na pozycje dobrze okopanej piechoty. Podręczniki mówiły też, iż aby przegonić pieszego przeciwnika z lasu, należy go przygwoździć ogniem artylerii i wysłać do ataku własną piechotę, bez transporterów, aby w walce wręcz oczyściła teren. Dym rozwiął się na tyle, że znów dało się obserwować las na odległych o dwa kilometry wzgórzach. Reynolds miał teraz w szklach szereg pudełkowatych transporterów opancerzonych. Tym razem naprawdę były ich dziesiątki. Za nimi sunęły nowe grupy Leopardów. Z tej odległości wozy przypominały szare kropki, ale kilka prostych obliczeń wyjaśniało całą sytuację: na pokonanie pierwszego kilometra Marderom potrzebne były trzy minuty. Po osiągnięciu tego punktu, grenadierzy pancerni mieli się wysypać z transporterów i pokonać następny kilometr biegiem. Oznaczało to, że za dziesięć minut znajdą się w zasięgu ognia. Pora była

się zbierać.

- Przekazać do dowódców plutonów: ewakuacja rannych! Pakować manele! Pierwszy i trzeci pluton wycofują się za pięć minut! W tejże chwili znowu się odezwała niemiecka artyleria, okładając leśną pozycję grupy „Kamikaze” Reynolds usłyszał hurgot przypominający hałas pędzącego pociągu towarowego i bez namysłu zanurkował w szczelinę. Ziemia znów się zatrzęsała i podskoczyła pod stopami. W całym lesie waliły się drzewa, ścięte bezpośrednimi trafieniami. Reynolds przykucnął bezradnie w okopie, próbując oddychać powietrzem, w którym było więcej dymu i kurzu niż tlenu. Ostrzał okazał się dużo gorszy niż za pierwszym razem, tym bardziej że niemieccy obserwatorzy z Marderów widzieli, gdzie padają pociski i pomagali dalekim bateriom walcować zagajnik kolejnymi salwami. Kompania Reynoldsa nie była byle grupką maruderów, toteż należało się jej specjalne przyjęcie. Kapitan domyślał się, że Niemcy rzucili do akcji pełen batalion artylerii. Bliski wybuch podrzucił Reynoldsa w górę i rozpląszczył go na ziemi. Nim kapitan zdążył się pozbierać, następna eksplozja obróciła go na plecy. Gdzieś z boku dobiegły przeraźliwe krzyki, które mogły oznaczać tylko jedno - że ludzie z kompanii A giną od pocisków. Reynolds ucieszył się nagle, że udało im się natłuc tyle Leopardów. Pora była opuścić pozycję. Nawała artyleryjska przesunęła się na przedpole. Większość niemieckich pocisków rozrywała się teraz sto metrów przed zagajnikiem. Amerykanie spostrzegli, że zamiast pocisków burzących, haubice przeciwnika wystrzeliwują pociski dymne. Niedobrze. Pod osłoną dymu niemieckie Mardery mogły podjechać pod sam skraj zagajnika i dopiero tam wysadzić desant piechoty. Ha, Reynolds znał prawidłowe rozwiązanie dla tego typu problemu taktycznego: spierdalać w podskokach. Pierwszy i trzeci pluton zgodnie z rozkazem opuściły już stanowiska. Reynolds wyrwał Adamsowi słuchawkę i zdumiał się, że ostrzał nie przeciął żadnej z linii. W paru słowach przekazał reszcie kompanii nowe polecenia. Na miejscu miała zostać jedynie paruosobowa straż tylna. Połączył się też z szefem operacji. - Idzie na mnie batalion niemieckiej piechoty. Mam ich na jeden kilometr. Jeden kilometr! - powtórzył.

- Świetnie ci poszło, Mike - usłyszał od Colby'ego, który zamilkł na sekundę, po czym potwierdził wcześniejszy rozkaz: - Zbieraj

chłopaków i jazda stamtąd.

Reynolds oddał kapralowi słuchawkę i rozejrzał się, by sprawdzić jak przebiega odwrót. Obok mignęli mu żołnierze, gnający grupkami na północ, byle dalej od Niemców. Przedpole pokryło się dryfującymi smugami dymu, przez który nie było nic widać. Za to coraz głośniej dobiegał do Reynoldsa łoskot silników. Trze ba uciekać. Odwrócił się do sierżanta dowodzącego siedmioosobową strażą tylną i krzyknął:

- Robbins! W porządku, wyrywamy!

Chyłkiem, na wypadek gdyby niemiecka zasłona dymna rozwiąła się nagle, pomknęli na tyły zagajnika, uważając aby stąpać po śladach reszty kompanii. Saperzy, którzy nocą zaminowali przedpole grupy „Kamikaze”, położyli też kilka pól na zapleczu. A nuż parę niemieckich czołgów przekona się na własnej skórze, że z minami nie ma żartów? Strefę ewakuacji wytyczono pół kilometra za linią obrony, w ukrytym przed wzrokiem Niemców zapadlisku terenu.

Reynolds pierwszy raz w życiu gnał takim sprintem. Każde sto metrów wydawało mu się wiecznością. Kiedy wypadł wreszcie na szczyt garbu, który osłaniał strefę przed Niemcami, jeszcze głośniej niż dotąd dotarł do niego wizg turbin. W niecce czekały na kompanię śmigłowce transportowe UH-60 Black Hawk. Ich wirniki zaczęły się już obracać. Żołnierze wsiadali do maszyn drużynami, a załadowane śmigłowce podrywały się kolejno w górę i łukiem odchodziły na północny wschód. Jedna z drużyn pierwszego plutonu osłaniała ewakuację, leżąc w gęstej trawie z wycelowaną bronią. Przeciągły ryk silników nad głową zaskoczył Reynoldsa, który dopiero w ostatniej chwili spostrzegł dwa klucze szturmowych śmigłowców AH-64 Apache, ciągnących na dużej szybkości tuż nad ziemią. Jedna z maszyn przemknęła tak blisko, że na przednim fotelu widać było strzelca schylonego nad celownikami. Kiedy usadowiony wyżej i z tyłu pilot odwrócił się i pomachał żołnierzom, lufa 30 milimetrowego działka pod brzuchem śmigłowca odwróciła się posłusznie, w tym samym kierunku, w który lotnik skierował spojrzenie. Apache zniknęły za pagórkiem, rozsypały się na pary i z klekotem wirników ruszyły w kierunku południowym. Reynolds obserwował ze zbocza, jak nikną kolejno w chmurze dymu i pyłu. Ciekawiło go, co będzie dalej. Przy swoim uzbrojeniu pokładowym, ósemka Apache mogła porządnie nadszarpnąć niemiecki batalion. - Panie kapitanie, ostatni śmigłowiec gotowy! -

przywołał go do rzeczywistości głos Andy"ego Forda. Adams i resztką żołnierzy z pierwszego plutonu stłoczyli się już w kabinie.

- Lecę, Andy! - Reynolds rzucił się w ślad za sierżantem, chyląc głowę przebiegł pod wirnikiem i podciągnął się do kabiny. Kiedy przerzucał nogi przez jej krawędź, zawyły turbiny, a podłoga uniosła się w górę. Śmigłowiec pomknął tuż nad ziemią z prędkością 250 kilometrów na godzinę. Wrażenie było oszałamiające, tym bardziej w połączeniu z ulgą, jaką wszyscy czuli. Udało się. Kompania zrobiła, co trzeba, a co ważniejsze, przeszła chrzest bojowy. Zapłaciła za to jednak krwią własnych żołnierzy, co oznaczało, że nie był to już zwykły konflikt ani ćwiczenia z taktyki. Walczyli teraz na śmierć i życie.

Wysunięte stanowisko dowodzenia

niemieckiej 19. Brygady Grenadierów Pancernych

Mimo trzasków, jakie co chwila rozlegały się w słuchawkach wskutek amerykańskiego zagłuszania, do Willego von Seelowa docierały nadal coraz bardziej zdesperowane głosy dowódców.

Nastroje dobrze oddawały przebieg bitwy na podejściach do

Świecka. - Możesz nacierać czy nie?! Jurgen?!

Głos należał do majora dowodzącego 191. Batalionem Grenadierów.

Nieznajomy kapitan z kompanii piechoty, która próbowała się

wedrzeć do miasteczka, odkrzyknął natychmiast: - Nie mogę, Herr

Major! Ci cholerni Jankesi przydusili nas, nie damy rady

doskoczyć do zabudowań... Kurwa, co znowu!? - W radiu rozbrzmiał

wyraźny stukot szybkostrzelnego działka. - Znowu te cholerne

śmigłowce szturmowe... O, Jezus! Trafili Marder Sammiego! Sammi

się pali!

Willi śledził przez radio, co się dzieje na poszczególnych

częstotliwościach batalionów i pododdziałów wsparcia, próbując

na podstawie strzepów rozmów i meldunków wyrobić sobie obraz

sytuacji. Wreszcie z rezygnacją i złością zdarł słuchawki z uszu

i wychylił się z górnego wjazdu Mardera, do którego się przesiadł

przed starciem. Całą północną stronę horyzontu zasnuwał biały

opar pocisków dymnych i czarne kłęby z płonących czołgów i

transporterów. W skłębionej mgłę przeskakiwały tu i tam błyski

eksplozji. Huk armat czołgowych, pocisków artyleryjskich i serii

z broni maszynowej zlewał się w jeden przeciągły, nie kończący

się grzmot. Willi gniewnie zmrużył oczy. Natarcie załamywało się

coraz bardziej, zatrzymane przez Amerykanów, którzy niespodziewanie umocnili się tuż za przerwana w nocy polską linią. Przez chwilę Willi miał ochotę gołymi rękami zatłuc zwiadowców z nowego pododdziału rozpoznawczego. Dosłownie parę dni temu do brygady przybyły dwa plutony wozów pancernych Luchs z żołnierzami z obrony terytorialnej. Widać było, że są zdemoralizowani, źle wyszkoleni i pewni łatwego zwycięstwa nad Polakami. Całą noc siedzieli na dupie, zamiast rozpoznać teren. Skandal! Jeszcze bardziej skandaliczny wydawał się Willemu fakt, że sam dopuścił do takiego niedbalstwa. Zacisnął powieki, jak gdyby nie miał ochoty oglądać toczącej się walki. Wysłać własnych żołnierzy na śmierć tylko dlatego że nie chciało mu się dopilnować szczegółów! Willi czuł wręcz fizyczny ból, jak gdyby ktoś kroił mu brzuch bagnietem. - Herr Oberst!

Słyszając głos szeregowego Neumanna, Willi zanurkował do wnętrza Mardera. - Co jest?

- Na częstotliwości dywizyjnej major Feist. Mówi, że to pilne! Willi nałożył sobie słuchawki. Czego może chcieć zastępca oficera operacyjnego 7. Dywizji? I to w takiej chwili?

- Mówi von Seelow!

- Znakomicie - wycedził Feist, który wśród sztabowców należał do zwolenników von Oldena, zanim tego ostatniego odesłano ciupasem do Niemiec. Mały major z wąsikami był też jednym z założycieli klubu tępicielei Ossich w szeregach. - Panie pułkowniku, mamy nowe rozkazy z dowództwa II Korpusu. 19. Brygada ma się oderwać od przeciwnika i wycofać do Gniezna. - Jak to? Dlaczego? - Willi nawet nie próbował ukryć zaskoczenia. Wioseczka o tej nazwie stanowiła punkt wyjściowy do natarcia z poprzedniej nocy.

- Zidentyfikowaliśmy nowy związek w obronie przeciwnika: 101. Dywizję amerykańską!

- Też nowina! - warknął Willi. - To jeszcze nie powód, żeby się cofać! Trzeba ich cisnąć, zanim się zdążą porządnie okopać! - Rozkazy mówią co innego, Herr Oberst. Generał Montagne ma osobiście dopilnować ich wykonania - zgasił go Feist. - Jednostki z francuskiej 5. Pancernejskiej i całej III Korpus napotkały nie spodziewanie silny opór. W świetle nowych faktów sztab korpusu zarządził przegrupowanie i zmianę planu operacyjnego...

Von Seelow miał ochotę udusić małego majora. Przeciwnikowi

brakowało dotąd przede wszystkim czasu. Montagne i reszta sztabowych idiotów uparli się, by dać go Amerykanom ile zechcą, w prezencie, za darmo! - Sztab korpusu może sobie wsadzić w dupę takie pomysły... - zaczął.

- Szczerze panu radzę wykonać ten rozkaz - przerwał nie zrażony major Feist. - Ma pan trzydzieści minut na rozpoczęcie odwrotu. W przeciwnym razie korpus znajdzie kogoś innego na pana miejsce. To tyle. Feist, wyłączam się.

Willi przez kilka sekund patrzył niewidzącym wzrokiem na swoich sztabowców. Potem przez ściśnięte gardło wydał serię poleceń, które miały zatrzymać 19. Brygadę Grenadierów Pancernych w połowie skoku.

11. i 34. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego, baza lotnicza w Gdyni
Major Tadeusz Wójcik zsunął się po wysuwanej drabince swojego F-15 tak ociężale, jak gdyby przyszło mu przebiec trasę maratonu, a potem bez rękawic boksować się przez kilka rund z dobrze wypasionym gorylem. Całodzienne serie lotów bojowych i nocne ślęczenie nad papierkami odzierały go z resztek wytrzymałości i energii. Nawet teraz, parę chwil po walce powietrznej, nie mógł sobie odzipnąć. Przy samolocie czekał już sierżant sztabowy, Jerzy Pałubin, z wiadomościami o reszcie dywizjonu i kwestionariuszem na temat ostatniego lotu. Nominacja na stanowisko oficera operacyjnego dywizjonu i towarzyszący jej awans przyszły bardzo prędko, czemu jednak trudno się było dziwić, bo ktoś musiał zapełnić wciąż nowe wyrwy w stanie osobowym. Major Wolański zginął śmiercią lotnika, próbując wylądować uszkodzonym F-15. Jeszcze tego samego popołudnia Tad przejął jego obowiązki. Wraz z Wolańskim byli ostatnimi żyjącymi pilotami z pierwotnego składu dywizjonu. Dziś, choć minęło zaledwie kilka dni, Tad miał wrażenie, że przez całe życie był właśnie oficerem operacyjnym. Nadawał się na to stanowisko rzeczywiście świetnie, ze swoimi umiejętnościami pilotażu i instynktem taktycznym. Podobnie jak poprzednik, nadal rzecz jasna latał. We wszystkich dywizjonach bardzo brakowało pilotów. Mimo zmęczenia, Tad był zadowolony jak rzadko kiedy. Po raz pierwszy od wielu dni poszczęściło mu się w locie bojowym. Dziesiątka F-15 zaskoczyła pod Stargardem maszyny Konfederacji, zanim te zdążyły zrzucić bomby na tamtejszy węzeł kolejowy. Francuska i niemiecka osłona myśliwska okazała się mizerna. Na ziemi rozbiła się co

najmniej jedna czwarta spośród trzydziestu maszyn szturmowych napastnika. Dowodzony przez Wójcika klucz czterech F-15-wszystko, co pozostało z 1. Dywizjonu - mógł zapisać na swoim koncie pięć strąconych Mirage z eskorty. - Jaka szkoda, że sami Francuzi. Żadnego Niemca! Przydałoby się kropnąć jeszcze paru szkopów - mruknął Wójcik do Pałubina, kiedy szli do budynku sztabu. Sierżant spojrzał na niego zdziwiony i chyba wręcz odrobinę zgorszony taką wybrednością. - Co za różnica, Niemcy czy nie Niemcy! Napadli, to teraz mają! - wybuchnął i natychmiast przeprosił, uświadomiwszy sobie, z kim rozmawia. Tad tylko machnął ręką.

- Nie ma sprawy, panie Jurku. Co racja, to racja!

Zamyślił się po tych słowach, bo chociaż wypowiedział je zupełnie odruchowo, przyszło mu do głowy, że może naprawdę nie ma sensu tak wyróżniać Niemców? Od przesądów tylko jeden krok do ślepej nienawiści... W końcu Francja zawiniła wojnie co najmniej w tym samym stopniu. Myśli Wójcika zwróciły się ku rodzicom. Udało im się oficjalną drogą przesłać synowi krótką wiadomość. Tad dowiedział się tyle, że żyją, są zdrowi i bezpieczni, a mieszkają w Warszawie. Bezpieczni? Stosunkowo bezpieczni. Co rusz słyszało się pogłoski, że lada dzień Rosjanie przekroczą granicę. A jeśli się tak stanie... Z krótkiej wiadomości nie sposób było wywnioskować, gdzie mieszkają rodzice. Zapewne w którymś z rozległych, brudnych osiedli namiotowych, które coraz większą liczbą wyrastały na przedmieściach stolicy. Czy rodzice aby nie głodują? Pewnie głodują. Wojna utrudniała dowóz żywności z głębi kraju, a dostawy morskie szły przede wszystkim dla wojska. Kiedy ważyły się losy całego kraju, cywile musieli radzić sobie sami. Tad skrzywił się. Może wcale nie tak trudno znienawidzić tych Francuzów? Tylko co człowiekowi po nienawiści? Będzie od niej celniej strzelał? Warto było się nad tym głębiej zastanowić. W budynku sztabu dowódca 1. Dywizjonu, podpułkownik Łyskawa, pogratulował mu dwóch zestrzeleń. W ten sposób na koncie Tada uzbierało się już dziewiętnaście zwycięstw. Pierwszy raz od tygodnia Wójcik ujrzał też na twarzy przełożonego cień uśmiechu.

- Dostaniemy nowe samoloty, majorze. Jutro Amerykanie przyprowadzą nam osiem F-15C. Sztab obiecuje nam poza tym trzech nowych pilotów, też na jutro. Dwie najstarsze maszyny odeślemy do Anglii na przegląd. Tad poczuł gonitwę myśli. Nowe samoloty,

nowi piloci? Pierwsze uzupełnienia od wielu tygodni! A także pierwsza oznaka, że amerykańscy i brytyjscy sojusznicy Polski zwyciężają w bitwie o szlaki żeglugowe na Bałtyk. Dywizjon liczył sobie więcej pilotów niż maszyn, więc uzupełnienia podwajały liczbę dostępnych samolotów. Zadaniem oficera operacyjnego było wyznaczenie zadań bojowych dla całej grupy. Ileż nowych możliwości! Nareszcie można się wykazać, nareszcie można myśleć o zwycięstwie. Przy obecnych brakach nie było mowy o wysłaniu części pilotów na urlop, ale najbardziej wymęczonym trafi się nareszcie dzień odpoczynku. Wójcik poczuł, że jeszcze nie wszystko stracone. Nie chodziło mu nawet o siebie, lecz przede wszystkim o przybraną ojczyznę.

32

Ostrze noża

30 czerwca - ośrodek łączności rosyjskiej 25. Dywizji Pancерnej, puszcza Białowieska nad granicą Białorusi z Polską
Rozległa Puszcza Białowieska przez długie stulecia stanowiła ostoję i bezpieczną kryjówkę - zarówno dla wytopionych gdzie indziej w Europie żubrów jak i - w mniej pokojowych okresach - dla zbrojnych oddziałów partyzanckich, czasem polskich, czasem rosyjskich. U schyłku wiosny las znów stał się wilczym gniazdem. Tym razem pod jego zieloną kopułą ukryła się cała armia, licząc, że w ten sposób uda się jej umknąć obiektywom amerykańskich satelitów z orbity setki kilometrów nad puszcza. Gdy przez gałęzie zaczęły przeświecać pierwsze promienie słońca, po lesie rozniosły się ludzkie głosy, stuk metalu o metal, zapach dymu z kuchni polowych. Żołnierze rosyjskiej 25. Dywizji Pancерnej budzili się do zaprawy po nocy przespanej pod siatkami, maskującymi ich czołgi T-80 i transporterzy BWP-2. Obecność licznych wartowników, namioty sztabowe i krąg zaparkowanych wozów dowodzenia pośrodku rozległego obozowiska zwiastowały, że właśnie w tym miejscu należy szukać sztabu dywizji. W obrębie sztabu po płataninie drutów telefonicznych dało się rozpoznać ośrodek łączności - brezentowy dach rozpięty między dwoma transporterami ETR-80, furgon z zapasową radiostacją, a dalej stoły, na których pełno było nadajników, telefonów polowych, sprzętu szyfrującego i aparatury zagłuszającej. Gdzieś obok pyrkotał rytmicznie generator prądu: Rosjanie oszczędzali akumulatory. Przy jednym ze stołów wysoki brunet rozmawiał przez szyfrową linię łączności

telefonicznej. Mógł się wydawać wręcz przystojny, gdyby nie poszarpana blizna, schodząca mu z czoła przez nos i cały lewy policzek. Blizna była pamiątką z czasów, gdy generał dywizji, Siergiej Rostopczyn, dowodził batalionem w dalekim Afganistanie. Twarz pocięty mu odłamki pocisku mózdzierzowego, wystrzelonego celnie przez mudżahedinów.

- Rozumiem, rozumiem, pułkowniku. Możecie powtórzyć w sztabie generalnym, że 25. będzie gotowa na czas.

Jak na dowódcę dywizji, Rostopczyn był dosyć młody - szczególnie jak na nowe obyczaje w dotkniętej czystkami armii Kaminowa. Stary marszałek przywykł uważać, że doświadczenie i umiejętności przychodzą z wiekiem, toteż obsadził większość stanowisk starą gwardią. Rostopczyn doczekał się jednak dowództwa dywizji bardzo prędko, a dopomogło mu w tym kilka rzeczy na raz - rodzinna tradycja wojskowa, własne wyczyny na wojnie, a co najważniejsze, zupełny brak zainteresowania polityką. Dowódca 25. Dywizji Pancерnej wyznawał tylko jedną, niewzruszoną zasadę, a mianowicie, że rozkazy i polecenia przełożonych trzeba wykonywać natychmiast, bez pytania i bez najmniejszych wątpliwości. Zasada przydawała się bardzo w czasach, kiedy polityczne wiatry co chwila zmieniały kierunek i nie wiadomo było, komu się właściwie służy. Rostopczyn odłożył słuchawkę i odwrócił się ku czekającemu gorliwie na polecenia szefowi sztabu. - Dzwonił pułkownik Sołowiew, Miszka. Rozkaz ataku przyjdzie w ciągu najbliższej doby, góra półtorej.

Pułkownik energicznie skinął głową, gotowy na ciąg dalszy. - Połącz się zaraz z dowództwem wszystkich pułków - przykazał mu Rostopczyn. - Zarządzam na 16.00 odprawę bojową. Służby niech podciągną pod granicę pociągi z zaopatrzeniem. Do zachodu słońca wszystkie czołgi mają napełnić baki.

- Tak toczno!

Rostopczyn wyszedł z namiotu łączności i szybkim krokiem ruszył do wozu mieszkalnego. Szczegółami mógł się już nie przejmować: od czego w końcu wyszkoleni i posłuszni podwładni? Ci już wiedzą, jak przygotować dywizję do boju. Następną parę godzin Rostopczyn potrzebował tylko po to, by jeszcze raz przemyśleć plany operacji. Nie dlatego że spodziewał się jakichkolwiek przeszkód w ich urzeczywistnieniu. Skądże znowu! Z ośmioma dywizjami nad granicą Białorusi i czwórką dywizji drugiego rzutu

już w drodze, rosyjska armia najeźdźcza mogła zdusić opór pojedynczej polskiej dywizji w ciągu paru godzin. Rostopczyn wzruszył ramionami. Z układu sił wynikało, że kampania przeciwko Polsce przypominać będzie bardziej manewry niż prawdziwą wojnę. Sztab 1. Armii Lotniczej,

baza lotnicza w Grodnie na Białorusi

Gdy generał Wasilij Uwarow, dowodzący 1. Armią Lotniczą, obserwował pole wzlotów bazy w Grodnie z tarasu wieży kontrolnej, niekłamana satysfakcja mieszała się na jego twarzy z osobliwą nadzieją - Tysiące godzin pracy sztabowców i długie tygodnie przygotowań dobiegały upragnionego końca: na pasach lądowały właśnie ostatnie dywizjony rosyjskich sił uderzeniowych. W betonowych schronach wzdłuż dróg kołowania pełno już było nowych maszyn, a z baz w głębi Rosji w krótkich odstępach przybywały następne. Skośnoskrzydłe szturmowce Su-24 o dalekim zasięgu kołowały po betonie obok par mniejszych i mocniej opancerzonych Su-25 do zwalczania czołgów - odpowiedników amerykańskich samolotów A10 Thunderbolt- wciśniętych między klocki potężnych schronów. Na całym terenie wielkiej bazy, załogi techniczne i ekipy mechaników uwijały się przy stanowiskach, uskakując co rusz przed wózkami dowożącymi bomby, pociski powietrze-ziemia i amunicję do maszyn przygotowywanych w schronach. W oddali, prawie niewidoczne pośród pagórków i kęp drzew, celowały w niebo pierwsze baterie rakietowych pocisków przeciwlotniczych, których coraz większa liczba strażowała wokół bazy. Uwarow wiedział, że podobne sceny odgrywają się w tejże chwili w dziesiątkach baz na polskim pograniczu. W pobliże Polski ściągali całe pułki szturmowców oraz myśliwców Mig-29 i Mig-23, trzymane dotąd na zapleczu dla zmylenia zachodnich satelitów szpiegowskich. W bazach czekała już ich własna obsługa naziemna, przerzucona kilka dni wcześniej pociągami i ciężarówkami. Natychmiast, gdy marszałek Kaminow uzgodni z Francuzami ostatnie warunki, 1. Armia Lotnicza mogła rzucić nad Polskę prawie tysiąc samolotów bojowych. Generałowi bardzo się podobała taka perspektywa. Jako pilot, a potem dowódca w radzieckich wojskach lotniczych, przez całe życie przygotowywał się do wojny, którą ostatecznie jego kraj przegrał bez jednego wystrzału. Pod trójkolorową flagą Rosji - nową, lecz jakże tradycyjną - Uwarow i jego piloci chcieli nareszcie pokazać światu, co naprawdę potrafią.

Stanowisko dowodzenia bazy raketowej Tejkowo w Rosji
Dwieście metrów pod powierzchnią ziemi generał Wiktor Griszkow upewniał się tymczasem czy wszystkie wskaźniki kontrolne na głównej konsoli wyrzutni zmieniają kolor z bursztynowego na zielony. Poszczególne pociski SS-24 osiągnęły pełną gotowość. Po latach zimowego snu, wymuszonego względami polityki światowej, międzykontynentalne, napędzane paliwem stałym SS-24 znów przekształciły się w prawdziwą broń. Początkowo planowano, że SS-24 będzie się wystrzeliwać ze specjalnych platform kolejowych, lecz później uznano, iż łatwiej będzie - jak właśnie w przypadku rakiet Griszkowa - zainstalować je w starych silosach, wybudowanych jeszcze dla staroświeckich SS-11. Griszkow w skrytości ducha uważał tę decyzję za grubą błąd. Rakiety tkwiące w szybach silosów stanowią łatwy cel, jak to udowodnił ponad wszelką wątpliwość amerykański nalot na bazę raketową na płaskowyżu d'Albion. Na razie jednak radzieckim pociskom nic nie groziło. Każdy z SS-24 miał zasięg ponad dziewięć tysięcy kilometrów i z dużą celnością przenosił dziesięć głowic o sile 550 kiloton każda. Co więcej, w tej odległości od granic Rosji, Amerykanie chcąc dosięgnąć pociski Griszkowa musieliby pierwsi wystrzelić własne rakiet. Kiedy pozieleniało ostatnie z serii światełek, generał podniósł słuchawkę bezpośredniej linii łączności z Moskwą. - Mówi generał Griszkow. Baza Tejkowo uaktywniona. Sprawdzanie systemów zakończone. Załogi w pogotowiu. Rozdałem instrukcje, listy celów i klucze do wyrzutni. Czekam na rozkazy. Na wypadek, gdyby Stany Zjednoczone i Wielka Brytania chciały zapobiec rosyjskiej inwazji na Polskę grożąc Moskwie bronią jądrową, Rosja gotowa była się odplacić tą samą monetą.

Duńska wyspa Bornholm na Morzu Bałtyckim
Dziesięcioletni Christian Petersen z otwartymi ustami gapił się ze szczytu trawiastego pagórka na morze, przejęty widokiem niekończącego się szeregu szarych okrętów. Mijająca Bornholm flota płynęła na wschód. Christian cisnął tornister pod nogi i zapomniał o całym świecie. Ostry wiatr burzył mu jasną czuprynę i szarpał połami żółto-niebieskiej wiatrówki, którą matka wmuszała mu w każdy chłodniejszy poranek. Dziesięć. Dwanaście. Piętnaście. Christian liczył na głos, pożerając wzrokiem statki i okręty, których były całe dziesiątki! Tylu naraz nie widział jeszcze nigdy w życiu. Każda z jednostek była sto razy większa

od promów i kutrów, jakie widywało się zwykle na tych wodach. Oprócz okrętów chłopiec widział teraz pordzewiałe frachtowce, obłe zbiornikowce z ropą i nowiuteńkie kontenerowce, między którymi uwijały się mniejsze, najeżone antenami eskortowce. W przodzie i za flotyllą krążyły szare śmigłowce, a w ich wirnikach rozbłyskiwało słońce. Bardzo zaś już wysoko, na granicy widzialności, orbitowały kropki amerykańskich, brytyjskich i norweskich myśliwców, gotowych bronić konwoju przed napaścią z powietrza. Mały Christian nie miał oczywiście pojęcia, że ogląda pierwszy konwój z amerykańską odsieczą dla Polski. Statki miały w ładowniach czołgi, transportery i działa amerykańskiej 24. Dywizji Zmechanizowanej i 1. Dywizji Pancernej. Od Gdańska dzieliło je już tylko dwieście mil morskich.

Tajna Komórka DCSE na terenie ambasady francuskiej w Moskwie Major Paul Duroc ślęczał nad biurkiem w pozbawionym okien, zabezpieczonym przed podsłuchem pomieszczeniu DGSE i przeglądał zdjęcia, jakie agenci zrobili pułkownikowi Walentinowi Sołowiewowi i kobiecie o kasztanowych włosach. Kiedy wysoki i barczysty Michel Woerner podszedł bliżej, Duroc zapytał natychmiast: - Więc Foret i Verdier twierdzą, że spotkanie było umówione? Że to nie przypadek?

- Dają za to głowę. Rosjanin zostawił samochód na parkingu Ministerstwa Obrony, poszedł prosto na Arbat, spotkał się z tą kobietą i zaraz wrócił do ministerstwa.

- Aha... - Duroc zabębnił palcami w biurko, zastanawiając się, co począć z tym fantem. Z oceną wywiadowców zgadzał się w zupełności. Sołowiew zachowywał się jak ktoś, kto się umówił skrycie na spotkanie. Tylko z kim? Może Woerner zdążył się już czegoś dowiedzieć?

- Ciągłe nie zidentyfikowaliście tej kobiety?

- Nie, panie majorze. Porównaliśmy zdjęcie z kartotekami, tu na miejscu i w Paryżu, przez łącza satelitarne. Tej baby nie ma na listach agentów, rosyjskich, amerykańskich, ani w ogóle na żadnej.

- Wcale mnie to nie dziwi - zauważył nie bez sarkazmu Duroc, któremu lata służby operacyjnej we francuskim wywiadzie wpoły głęboką pogardę dla analityków i teoretyków w łonie organizacji. Zasnani archiwiści, nie agenci.

Kim jest kobieta, która rozmawiała z Sołowiewem? Skąd się wzięła,

do diabła? Nie wyglądała na Rosjankę, ale z drugiej strony pozory mylą. Nawet po oderwaniu się dalszych republik starego ZSRR, wielojęzyczny kraj roił się od rozmaitych narodowości, a więc i typów ludzkich. Inna sprawa, że wszystko w tej kobiecie - obrys twarzy, ubiór, sposób noszenia się - przemawiało za hipotezą, że to cudzoziemka. Dobrze, ale z którego państwa? Brytyjka? Amerykanka? Może Niemka?

- A może zapytamy Rosjan? - podsunął usłużnie Woerner.

- FSD powinno mieć u siebie coś na jej temat.

- FSD? E, gdzie tam! - odwarknął Duroc i w zamyśleniu zmrużył oczy. - Poza tym, Michel, idąc z tym do FSD możemy się paskudnie podłożyć. Skąd wiadomo czy Sołowiewa nie wysłał na tę rozmowę sam Kaminow? Kto zaręczy, że ten ruski kretyn nie prowadzi podwójnej gry, co? Tu układa się z nami, a tu, na boku, z Ameryką?

- To może powinniśmy zawiadomić Paryż? - zaniepokoił się Woerner.

- Odpada - uciał Duroc i wskazał na zdjęcia. - Na razie mamy za mało materiałów.

Duroc w samej rzeczy wątpił czyjego niezbyt lotni przełożeni potraktują poważnie meldunek, że jakiś rosyjski pułkownik spotkał się, i to publicznie, z niebrzydką kobietą. Poza tym depeza do Paryża mogłaby przynieść przeciwny skutek: Duroc mógł dostać po uszach za to, że zamiast siedzieć cicho i robić, co mu każą, na własną rękę rozsyła agentów po Moskwie. Żeby przekonać górę, iż w Moskwie dzieją się jakieś śmierdzące sprawy, musiał mieć w ręku coś więcej niż gołe domysły. Potrzebne były niezbite dowody, że Sołowiew zdradził- dowody, które zdemaskują pułkownika w oczach Rosjan albo też odsłonią podwójną grę Kaminowa. Duroc wyprostował się i niecierpliwie odsunął od siebie plik zdjęć. Jak zdążył się już zorientować, negocjacje marszałka i jego twardogłowej drużyny z Francją wkroczyły w decydującą fazę. Ambasador Sauret uważał, iż dobicie targu jest już kwestią godzin. Rzeczywiście, dla Francji liczyła się teraz każda godzina, a co za tym idzie, Duroc znał tylko jeden sposób, by przerwać tajemnicze kontakty Sołowiewa i zdobyć o nich informacje. Domysły musiały ustąpić miejsca czynom. Akcja, i jeszcze raz akcja.

Park Gorkiego

Korzystając z ciepłego popołudnia, mieszkańcy Moskwy wylegli na ulice taką hurmą, że w całym parku trudno było o skrawek wolnego miejsca. Pary przechadzały się alejkami, a na każdej ławce

wygrzewały się grupki emerytów. Urzędnicy w samych koszulach i sandałach po drodze do domu przysiadali na partyjkę szachów, przeglądali ocenzone gazety, albo w ogrodowych kawiarenkach popijali z kolegami piwo, wzmocnione spirytusem z butli ukrytej pod stolikiem. Liczni gapie obstąpili boiska, na których uganiał się za piłką tłum dzieciaków. Na krętych ścieżkach ścigało się też paru nastolatków na amerykańskich łyżwowrotkach. Kiedy uskakiwali przed pieszymi, ścigały ich przekleństwa i gesty wymachiwania pięścią, ale widać było, że młodzi mają to wszystko gdzieś. Erin McKenna zdążyła uskoczyć przed kolejną rozpedzoną i rozwrzeszczaną watahą, a potem zatrzymała się w cieniu jednego z pary parkowych młynów diabelskich i zaklęła głośno -nie pod adresem wrotkarzy, lecz Kaminowa, Francuzów, Niemców i reszty bęcwałów, którzy pchali świat ku następnej wojnie na skalę planety. Przed chwilą rozstała się z Sołowiewem po kolejnym, pospiesznie umówionym spotkaniu. Wiadomości, jakie niosła Alexowi i reszcie zainteresowanych nie zachwyciły jej specjalnie. Rosyjski pułkownik twierdził, że jego przełożeni są już o krok od ostatecznej umowy z francuską delegacją. Kaminow wydał ponadto wstępne rozkazy siłom lądowym i powietrznym zmasowanym nad polską granicą, a co więcej, postawił w stan gotowości wszystkie pociski międzykontynentalne, jakie pozostały Rosji po ostatnich redukcjach. Erin na chwilę zamknęła oczy. Czowała w skroniach pierwsze ukłucia obłędnej migreny. Wielkie nieba, widmo wojny i konfliktu atomowego między Rosją i Stanami Zjednoczonymi! Czy znów miały się powtórzyć jej najgorsze strachy z dzieciństwa? Krótkowzroczni izolacjoniści z Waszyngtonu mają wreszcie, czego chcieli. Odcinając się od świata i wznosząc bariery dla handlu, kupili sobie popularność u części wyborców, drastycznie obcięli wydatki na zbrojenia i na pomoc dla innych krajów. No, i proszę! Milionom ludzi na całym świecie przyjdzie doświadczyć prawdziwych skutków takich poczynań. Erin trzęsła się ze złości. Kiedy minął ją ostatni wrotkarz, znów ruszyła alejką, kierując się ku szarej furgonetce zaparkowanej przy zdobnym wieżyczkami masywie muzeum paleontologii przy południowym skraju parku. W furgonie czekali Banich i Hennessy, którzy ubezpieczali spotkanie. Teraz chodziło o to, by jak najszybciej dostać się do ambasady. Sto metrów od furgonu parkowa alejka łączyła się z chodnikiem ulicznym. Przy Kałuskiej kręciło się jeszcze więcej ludzi niż w parku. Nowe

tłumy wylewały się z bram urzędów i z wieżowców po drugiej stronie alei. Erin przecisnęła się przez tłumek zapatrzony w popisy żonglera z trzema piłkami i nożem kuchennym, a potem przyspieszyła kroku. Furgonetka była tuż, tuż. Przy krawężniku obok niej zatrzymały się naraz dwa czarne wozy osobowe. Zapiszczały hamulce, a z otwartych nagle, tylnych drzwi wyskoczyli dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach. Na widok ich ponurych twarzy Erin zamarła w przerażeniu. Nim się opamiętała, mężczyźni złapali ją pod ramiona i pchnęli w stronę pierwszego samochodu. Stojący przy drugim wozie, zwalisty osiłek poganiał ich niecierpliwie. - Vite! Vite!

Erin olśniło, że porywacze to Francuzi. Dopiero ta myśl wyrwała ją z niemocy. Paszport dyplomatyczny mógł jej pomóc w przepychankach z Rosjanami, ale nie z agentami DGSE. Świadomość, że to już koniec, przywołała w niej naraz instynkty z lat życia w wielkim mieście, a także lekcje samoobrony u Banicha. Teraz! Erin wyszarpnęła się porywaczom. Pierwszemu z nich wsadziła łokieć w żołądek, określiła się i wbiła cienki obcas w stopę drugiego Francuza. Prześladowcy odskoczyli w zaskoczeniu, Erin zaś zawróciła i nim zdążyli ją znowu pochwycić, ruszyła pędem przez cienisty park, byle dalej od ulicy. - Merde!

Major Paul Duroc wychylił się z okna pierwszego samochodu i wskazał na uciekającą. - Woerner! Foret! Verdier! Gonić ją!

Zaskoczeni własnym gapiostwem agenci rzucili się przez park w ślad za ofiarą. Wściekły jak diabli Duroc zakreślił szybę. Liczył na to, że zaskoczenie i oficjalny wygląd agentów zastraszą kobietę na tyle, że uda się ją prędko sprzątnąć z widoku. Akcja miała być błyskawiczna i dyskretna. Trudno, koniec z subtelnościami. Duroc nachylił się i postukał w plastikową przegrodę między siedzeniami. - Kierowca! Wał na południe i zaraz za muzeum zakreć, a po tem jedź na północ, Nadbrzeżem Puszkina. Nasi zaraz ją wykurzą spomiędzy drzew!

- Rozkaz, panie majorze! - Szofer odbił się od krawężnika i dodał gazu. Zajęci pościgiem agenci nie zauważyli, że tuż za nimi podąża szara furgonetka zaopatrzeniowa.

Erin gnała na oślep przed siebie, uskakując i omijając wlokących się przechodniów. Za sobą słyszała tupot butów i okrzyki. Agenci spychali z alejki gapiów, którzy zatrzymali się, by spojrzeć za pędzącą kobietą. Jak są daleko? Erin wołała się nie oglądać. Na

pewno nie dawali za wygraną. W rosnącym przerażeniu Erin uświadomiła sobie, że popełnia kardynalny błąd uciekając w głąb parku, coraz dalej od zbawczej furgonetki. Pomyłka mogła się okazać ostatnią w jej życiu. Głupota albo panika, wszystko jedno, kazały Erin wybrać najłatwiejsze wyjście. Trudno, za późno, żeby zawrócić. Mogła tylko próbować dobiec do nadbrzeża rzeki Moskwy, zgubić prześladowców i dotrzeć do którejś z bezpiecznych kryjówek CIA. Albo wezwać milicjanta. Erin przedarła się przez stadko roześmianych dzieciaków, puszczających kaczki po stojącej wodzie zarośniętego stawu, wyminęła zaszokowane całą sceną otyłe matki i zniknęła między drzewami. Za sobą usłyszała jeszcze przeraźliwy krzyk i plusk wpadającego do wody dziecka. Nikt jednak nie próbował przyjść jej z pomocą. Czy mogła się temu dziwić? Dziesiątki lat życia pod totalitarną presją nauczyły mieszkańców Moskwy nie mieszać się do takich spraw. Po co? Każdy widzi, że czekał ci czy inne organa gonią cudzoziemkę. Lepiej się nie wtrącać. Erin puściła się sprintem. Coraz bardziej zbliżała się do rzeki. Czy na bulwarze zawrócić na południe czy na północ? Jeśli na południe, szybciej dotrze do miejsca, gdzie po raz ostatni widziała Banicha z resztą grupy. Biegnąc na północ, wracała w stronę środkowej części Parku Gorkiego, a poza tym mogła dotrzeć do Mostu Krymskiego, do kamiennego tortu Hotelu Warszawa i - co najważniejsze - do stacji metra. Ostatni argument przeważał. Erin postanowiła biec na północ, pewna, iż w zakamarkach moskiewskiego metra łatwiej jej będzie się wymknąć prześladowcom i dotrzeć w bezpieczne miejsce. Nadal nie zwalniając, wypadła pomiędzy drzew i z radością spostrzegła słoneczne rozbłyski w wodach rzeki. Na przeciwległym brzegu, na Nadbrzeżu Frunzego, wznosił się długi rząd wieżowców. Zbiegając po łagodnym, trawiastym zboczu, Erin zakręciła na północ. Wściekły okrzyk za plecami - bardziej bawoli ryk niż ludzki głos - upewnił ją, że trójka zadyszanych Francuzów zostaje coraz dalej z tyłu. Może się uda!

Erin poczuła, że jej zdyszany oddech wyrównuje się, a ciało przenika nowa fala energii - drugi oddech, który zawsze pomagał jej zwyciężać na długich dystansach. Odsadzając się coraz bardziej od pogoni, Erin czuła tę samą, co kiedyś, radość z wygranej. Naraz jednak euforię przesłoniła najczarniejsza

rozpacz.

Obok Erin przemknął czarny samochód osobowy, zwolnił i z dzikim zgrzytem hamulców, wjechał na chodnik i zablokował jej drogę. Próbowała odbiec, lecz samochód był już zbyt blisko, a kiedy się rzuciła w bok, wykręciła sobie kostkę, potknęła się i w rozpędzie wyrznęła całym ciałem w drzwiczki czarnego wozu. Poczowała ostry ból. Na kilka sekund cały świat rozmył się jej przed oczami. Kiedy doszła do siebie, zorientowała się, że nadal stoi przy samochodzie, tyle że z rękoma wykręconymi na plecy. Jej nowy prześladowca, niewysoki facecik o ostrych rysach, bladoniebieskich oczach i gadzim wyrazie twarzy, tym razem powziął wszelkie środki ostrożności. Sądząc z tonu rozkazów, jakie wyszczekiwał pod adresem trójki zadyszanych agentów, właśnie on kierował całą akcją. Akcją... Erin trochę zdziwiło to określenie. Bardzo neutralny termin jak na porwanie w biały dzień. Trudno. Uciekała, nie udało się. Francuzi mogli z nią teraz zrobić, co zechcą. Odwróciła głowę w stronę, skąd dobiegł ją bliski warkot silnika. Obok czarnego samochodu zatrzymała się szara, pokieroszowana furgonetka, a z odsuniętych bocznych drzwi wyskoczył na trawę Alex Banich. Minę miał rozmyślnie głupkowatą. Z wnętrza furgonetki patrzyli za nim Hennessy i trzeci agent CIA, Phil Teppler. Banich ruszył ku Erin, robociarską gwarą wypluwając z siebie wiązanek rosyjskich przekleństw. - W co ty tutaj lecisz, mało kaprawa, ja się pytam? Jak ci przypierdołę, zaraz mi puścisz tę dziewczynkę, szujno bosa, za-rzygana! No, do ciebie mówię!

Duroc czuł, że za chwilę trafi go szlag na widok trójki troglodytów z furgonetki. Co się dzieje?! Najpierw ta idiotyczna, jak z niemego filmu, pogoń przez park, a teraz znów wtrącają mu się jacyś niedomyci Ruscy? Chyba robotnicy, wnosząc po brudnych waciakach. Gównu! Gładka akcja, dzieło zawodowców, zaczynała się zmieniać w niebezpieczną farsę. Pierwszy Rosjanin, który wyskoczył z furgonu, niski i w berecie, zabulgotał coś po rosyjsku. Co takiego, Duroc nie wiedział, ale brzmiało to agresywnie i nieprzyjemnie. - Mówi, żeby pan puścił dziewczynę - przetłumaczył skwapliwie Foret.

- Już mu służę! - zakpił Duroc i energicznie potrząsnął głową. Nie było czasu na dżentelmeńskie gesty. Nawet ospała moskiewska milicja musiała się już dowiedzieć o scenie w parku. Agent puścił

rękę rudowłosej kobiety, drugim ramieniem oplótł jej szyję, z kabury pod pachą wyszarpnął 9 milimetrowego Makarowa i celując w brzuch intruza rozkazał:

- Foret! Niech ten kmiotek się odczepi. Powiedz mu, że to sprawa wagi państwowej, albo coś.

Niewiarygodne: na widok pistoletu intruz zamiast uciec, zbliżył się jeszcze bardziej i wziął się pod boki. Zdenerwowany Duroc trzasnął bezpiecznikiem Makarowa i podniósł ramię. Może widok czarnego otworu lufy przemówi Rosjaninowi do zakutej pały? -

Foret, powiedz mu, że ma jeszcze trzy sekundy życia. Raz...

Dwa...

Rudowłosa szarpnęła się nagle w uścisku, próbując złapać Duroca za drugą rękę z pistoletem. - Trzymajcie tę kurwę! -

Rozwścieczony Duroc odwrócił się, szarpnął kobietę za włosy i jednym krótkim ciosem w twarz posłał ją na ziemię.

- Uwaga! - zdążył go jeszcze przestrzec Michel Woerner.

Zaskoczony Duroc odwrócił się w stronę Rosjanina - za późno. Poczuł jak coś zimnego i ostrego wbija mu się w żołądek i zgrzyta po żebrach. Pół sekundy później przyszło uderzenie bólu, przeraźliwe i piekące tak bardzo, że cały świat pociemniał majorowi w oczach. W płucach czuł żywy ogień. Gasnącym wzrokiem omiół Rosjanina, który odstępował do tyłu, nadal ściskając w dłoni okrwawioną finkę. Alex Banich przygotował się na drugie pchnięcie, na wypadek, gdyby Francuz próbował jeszcze strzelać. Niski typek osunął się jednak, opadł na kolana i bezwładnie przewalił się na bok. Jego ciałem wstrząsnęły drgawki i wilgotny kaszel, a z ust wylała się na trawę struga jasnej, tętniczej krwi. Upuszczony pistolet leżał tuż u stóp Banicha, który bez zastanowienia sięgnął tam i podniósł broń. Jak się okazało, w samą porę. Najwyższy z pozostałej czwórki Francuzów warknął coś gardłowym głosem i prędko sięgnął do kabury. Banich zdążył dostrzec ruch zbliżającej się ku niemu lufy. - Alex! - wrzasnęła głośno Erin.

Niech tam. Banich trzykrotnie, raz za razem, przycisnął spust, waląc z minimalnej odległości w osiłka. Pierwszy pocisk kalibru 9 milimetrów ugodził Francuza w klatkę piersiową i pchnął go wstecz, drugi ściał padającemu czubek czaszki. Trzeci chybił. Banich okręcił się błyskawicznie, biorąc na celownik resztę agentów DGSE. Zaszokowani nagłośnością wypadków i śmiercią obu

szefów agencji zbledli i powoli podnieśli ręce do góry. -
Obszukać! - polecił Banich Hennessy'emu i Teplerowi, którzy
posłusznie wydobyli noże i podbiegli do Francuzów. To, że nie
mieli przy sobie broni palnej, miało uzasadnienie. Gdyby
zatrzymała ich i obszukała moskiewska milicja albo tajne służby,
za posiadanie przy sobie pistoletu czekał ich wyrok śmierci. Co
innego finka, finkę może nosić każdy.

Francuzi nie mieli ochoty stawiać oporu. Po wszystkim, co się
wydarzyło, spokojnie poddali się rewizji. Jej owocem były trzy
następne pistolety. - Więcej nie mają - zawołał przez ramię
Hennessy.

- Dobra. Uważajcie, plan jest taki... - zaczął Banich, lecz
przerwał mu rosyjski okrzyk:

- Stać! Ręce do góry! Ręce do góry, bo strzelam!

Krzyczano spomiędzy drzew, spod szczytu łagodnego pagórka. Banich
odwrócił się i ujrzał grupkę młodzieńskich milicjantów. Rosjanie
wyszli spomiędzy drzew z bronią gotową do strzału. Na bulwarze
zamigotały tymczasem czerwone i niebieskie koguty na dachach
radiowozów. Samochody milicyjne zbliżały się pędem z obu końców
nadbrzeża, odcinając jakąkolwiek drogę ucieczki. - Róbcie,
co każą! - polecił cichym głosem Banich, upuścił pistolet i
podniósł ręce nad głowę. Na widok przerażonej twarzy Erin zrobiło
mu się niedobrze. By wyswobodzić dziewczynę, zabił dwóch ludzi,
i co? I nic. Teraz bekną za to wszyscy.

33

Cios z wyprzedzeniem

1 lipca - Komenda Główna moskiewskiej milicji

Moskiewska milicja - którą ostatnio co chwila przemianowywano na
policję, by zaraz znów wrócić do starej nazwy - gnieździła się jak
za dawnych czasów w żółtym gmaszysku na Pietrowce, o kilka
przecznic na północ od Kremla i Teatru Wielkiego. Na sześciu
kondygnacjach mieściły się tu biura śledcze i administracyjne,
laboratoria, zbrojownia, kartoteki i magazyny materiałów
dowodowych. Pijakami i złodziejaskami zajmowały się komisariaty,
rozsiane po dzielnicach i przedmieściach stolicy. Natomiast do
cel w podziemiach budynku na Pietrowce, głęboko pod suterrenami
i piwnicznym garażem, trafiali najniebezpieczniejsi bandyci, a
także więźniowie polityczni, oczekujący na przesłuchanie albo na
rozprawę w trybie doraźnym. Warunki w celi nie nastrajały do snu,

nic więc dziwnego, że Alex Banich przez całą noc nie zmrużył oka, a rankiem nadal siedział skulony na jedynym sprzęcie, w postaci żelaznej pryczy nakrytej szarym kocem. Piekły go oczy, bo pod sufitem jarzyła się goła żarówka - zarówno w dzień, jak i w nocy. Noc, dzień... Banich wyprostował się nieco. Nie miał pojęcia, która godzina, bo w drodze do celi strażnicy zdążyli go obrać z zegarka, ale dokładny czas nie miał znaczenia. Banichowi na razie nigdzie się nie spieszyło. Istotne było to, że na dworze na pewno zaczęło już świtać, co oznaczało, że cała grupa siedzi w areszcie co najmniej od dziesięciu godzin. Dlaczego zatem ani widu oficerów śledczych z FSD? Banich, Hennessy i Teppler mieli przy sobie porządnie podrobione dokumenty, ale trudno było o to samo posądzać Erin czy tych zakichanych Francuzów... Każdą sprawę, która dotyczyła cudzoziemców, natychmiast przejmowała Federalna Służba Dochodzeniowa - szpiegry to nie zajęcie dla milicji. Skąd więc zwłoka? Gdzie się zawieruszył rosyjski kontrwywiad? Czyżby biurokratyczne przepychania? A może ktoś zgubił papiery aresztantów, albo nie zawiadomił, kogo trzeba, o zatrzymaniu? A może chodzi o coś jeszcze innego? Oby tak było...

Co w takim razie z trójką agentów DGSE, która przeżyła krwawe starcie w parkowej alejce? Może ich już wypuszczono? Banich jakiś czas przedtem usłyszał z korytarza szczęknięcie drzwi którejś z cel i stłumione głosy. Tak, na pewno już po wszystkim. W teorii było może inaczej, lecz w praktyce Rosja i Francja stały się już parą sojuszników. Szefowie bezpieczeństwa od Kaminowa mogą się sobie dopytywać, o co właściwie chodziło francuskiej grupie, tylko co z tego? Kaminow tyle się napocił nad porozumieniem, że dla głupiej odpowiedzi na to pytanie służby nie mogły ryzykować nowym zadrażnieniem z Francją - tym bardziej że o to samo ludzie z rosyjskiego kontrwywiadu mogli zapytać pozostałą czwórkę zatrzymanych. Banich sam się zdziwił, jak sprawnie przetrząsa w myślach

kolejne wersje sytuacji i scenariusze na przyszłość. Za mało znał rosyjskie służby bezpieczeństwa i rodzaj zatrudnionych w nich ludzi. Powinien z góry machnąć ręką na podobne szarady, bo z identycznym skutkiem ślepiec mógłby się rozglądać za sprzedawcą lodów na przepełnionym stadionie. Rozważania dostarczały mu jednak zajęcia, lichego wprawdzie, lecz lepszego od lęków na temat losów Erin, swoich ludzi, no i własnej przyszłości. Co do

tej ostatniej, Banich nie miał wielkich złudzeń. Przepisy o stanie wyjątkowym przewidywały za morderstwo tylko jedną karę - wyrok śmierci. Jeśli FSD rozgryzie, kim jest naprawdę Uszenko i odgadnie, że ma do czynienia z agentem CIA, wyrok okaże się identyczny, choć inny będzie sposób egzekucji. Zamiast publicznej kaźni, Banich mógł się wówczas spodziewać marnej śmierci po długich miesiącach przesłuchań i tortur. Francuzi na pewno zadbają, by choć w ten sposób powetować sobie stratę dwójki własnych agentów. Co gorsza, Banich domyślał się, że w jego przypadku i w tej szczególnej sytuacji, centrala w Langley uda, iż nie dostrzegła jego zniknięcia. Wysocy rangą agenci CIA mieli przykazane wystrzegać się „mokrej roboty” jak ognia. Mord na wysłanniku konkurencyjnej agencji, w biały dzień, w stolicy obcego i prawie neutralnego państwa... Nie, moi złoci. Nie - tym bardziej że dał się złapać. Co będzie w takim razie z Erin i pozostałą dwójką? Choć w gorącej celi wisiał duszny smród, Banich poczuł na skórze zimny pot. Doskonale sobie zdawał sprawę, co o tym wszystkim pomyśli Kaminow i jego wierna brygada. Skoro można „zniknąć” jedną osobę, z powodzeniem można sprzątnąć cztery. Nawet łatwiej, bo kiedy nikt nie zostanie przy życiu, nikt także nie podważy oficjalnej wersji, jaką wypichcą rosyjskie służby wywiadowcze.

O betonową posadzkę korytarza zadzwoniły wojskowe buty. Kroki zatrzymały się przed drzwiami celi Banicha, a w zamku szczęknął klucz. Zanim Banich zdążył się zerwać z miejsca, żelazne drzwi uchyliły się, a do celi zajrzała czwórka milicjantów. Dowodził nimi brzuchaty sierżant. Trójka podwładnych, młodziutkich, więc wciąż jeszcze smukłych, trzymała w ręku odbezpieczone pistolety. Banicha trochę to nawet ubawiło, bo milicjanci traktowali go naprawdę jak zbrodniarza stanu. - Ruszaj się, gnoju! - warknął od drzwi sierżant, ruchem pod bródką wskazując korytarz. - Zaraz z tobą pogadają na górze, jak się należy.

Banich westchnął ciężko. Trudno, koniec zabawy w domysły. Rosyjski kontrwywiad ocknął się z biurokratycznego letargu i pofatygował się obmacać zdobycz. Banicha kusiło, by wyprostować się dumnie, lecz prędko uznał, że lepiej będzie się zgarbić i zrobić smętną minę, jak przystało na oszołomionego tym wszystkim, co zaszło, spokojnego i uczciwego Ukraińca, poniekąd i kupca, który niechcący, bez złej woli i w ogóle przypadkiem, wplątał się

w sytuację, której ni w ząb nie rozumie. Banich domyślał się, że już na początku „rozmowy” śledczy wyduszą z niego, jak się naprawdę nazywa, ale postanowił się trzymać jak długo się da. Z każdą upływającą godziną Len Kutner miał szansę dowiedzieć się, gdzie zniknęła czwórka Amerykanów, a poza tym, tak czy owak, zwłoka pomagała się ukryć pozostałym na wolności członkom moskiewskiej siatki. Ostrożnie wyszedł na więzienny korytarz. Milicjanci otoczyli go ciasno i pod wodzą sierżanta ruszyli korytarzem. - Szybciej! - wrzasnął jeden z nich na Banicha, który aż podskoczył, dźgnięty żelazną lufą w okolice nerki i posłusznie przyspieszył kroku. Udało mu się jakoś ukryć błysk gniewu pod pokorną, przerażoną miną człowieka, który - jak Nikołaj Uszenko właśnie - ryzykuje może w interesach ale nigdy w kontaktach z władzą. Przeszli tak wzdłuż długiego rzędu żelaznych, zaryglowanych drzwi. Banich mógł się przekonać, że na tabliczkach na poszczególnych celach widnieją tylko numery aresztantów, nigdy ich nazwiska. Wojskowi władcy Rosji przejęli w całości i ten upodlający zabieg, wypracowany jeszcze w carskich tiummach.

Strażnicy poprowadzili go po schodach, potem po następnych, by wreszcie wmaszerować do pustej poczekalni na tyłach komendy milicji. Marmurowa posadzka, wypłowiałe fotografie i olejne portrety milicyjnych bonzów podpowiedziały Banichowi, że ogląda oficjalną, biurową, nie zaś aresztancką część budynku, O tak wczesnej porze na korytarzach widziało się zaledwie garstkę pracowników, w mundurach i po cywilnemu. To, że za drzwiami gabinetów ktoś już pracuje, można było poznać po smugach światła spod drzwi, a także po klekocie komputerowej klawiatury i cichym poszumie kserokopiarki. Jak cała Moskwa, komenda milicji na Pietrowce dopiero się budziła do nowego dnia. Mimo zmęczenia Banich czuł się świeżo; myślało mu się także najzupełniej jasno. Obrazy, odgłosy i zapachy docierały doń wyraźniej niż zwykle - znak, że zwierzęce warstwy mózgu w przeczuciu niebezpieczeństwa zwiększają obroty, gotując się do walki bądź ucieczki. Świat, choć obecny tylko w postaci nudnego, sterylnego wycinka, wydawał się jaśniejszy i ostrzej zarysowany niż w celi. Sierżant zatrzymał się przed solidnymi drzwiami z ciemnego drewna i zapukał. - Wejść!

Nie wypadając z roli, Banich odwrócił się do podoficera i

proszącym tonem próbował jeszcze oświadczyć: - Ale zaraz, sierżancie, zbawco ty mój, przysięgam, że jestem uczciwym człowiekiem. Jaki tam ze mnie kryminalista...

- Marny, skoroś się dał złapać! - sapnął sierżant i popchnął aresztanta. - Stul ryja i włącz, jak ci każą!

Milicjanci zostali na korytarzu i starannie zamknęli drzwi.

Banich spodziewał się zupełnie innego widoku. Zamiast gołych ścian izby przesłuchań miał przed sobą starannie umeblowany gabinet, gdzie pośród pociemniałej boazerii i dywanów stał długi stół z rzędami porządnie obitych krzeseł. W powietrzu czuło się aromat świeżo parzonej herbaty. Banich nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, więc spokojnie czekał na ciąg dalszy. Kiedy spojrzał w bok, ujrzał samowar i tacę ze szklankami w metalowych uchwytach. Na tacce leżały też łyżeczki, spodek konfitur .prawdziwa rzadkość, krążki cytryny. Amerykanin aż uniósł brew. O co tu chodzi, do diabła? Chcą go zmiękczyć, zanim mu dadzą w miche? Naładowali do herbaty narkotyków? Postał chwilę w niepewności, a potem wzruszył ramionami i podszedł do samowara. Ważne było, aby zachowywać się jak łakomczuch Uszenko, a nie jak zawodowo podejrzliwy amerykański agent. Ukraiński kupiec nawet na milicji nie przepuściłby okazji, by za darmo chlupnąć sobie herbatki. A jeśli w herbacie są narkotyki, nalewając sobie sam, będzie przynajmniej z grubsza wiedział, jaką dawkę przyjmuje. - Zawsze uważałem, że jak na handlarza, prowadzicie nader malowniczy tryb życia, Uszenko. Teraz widać, że miałem rację. Banich stuknął szklanką o blat i odwrócił się pospiesznie, gdyż głos brzmiał znajomo. W drzwiach gabinetu stał pułkownik Walentin Sołowiew z kartonową teczką pod pachą. Jak zawsze, miało się wrażenie, że pułkownikowski mundur przed chwilą wyszedł spod żelazka. Banich prawie się zawstydził, że sam stoi nieogolony i w ubraniu jak psu z gardła. Sołowiew wszedł zaś do środka i dokładnie zamknął drzwi. - Co widać? Wsadzili mnie, ale za co, pułkowniku najdroższy?! - zaprotestował odruchowo Banich, zastanawiając się, któredy drażyć nową szansę. Skąd tu nagle Sołowiew w tym budynku? - Od razu do pudła, tylko za to, że pomogłem jakiejś babie opędzić się od bandziorów? - I że przy okazji zamordowaliście dwóch francuskich agentów - dodał z wyraźnym rozbawieniem Sołowiew. - I nie jakiejś babie", tylko Amerykance z personelu dyplomatycznego, w dodatku

podejrzanej o szpiegostwo. No, ale nic, bywają dziwniejsze zbiegi okoliczności. Takie, w które jeszcze trudniej uwierzyć. Chyba że... - Głos pułkownika stwardniał. - Chyba że się człowiek domyśli, co takiego robił niejaki Uszenko w parku. Wtedy wszystko się nam wyjaśnia, bo w samej rzeczy - po co Nikołaj Uszenko miałby się szwendać po Parku Gorkiego. Powiedzmy sobie uczciwie: po co taki Uszenko miałby się wtrącać w coś, co na kilometr trąci normalnym aresztowaniem, nie „napadem”. Sołowiew uśmiechnął się ironicznie i dokończył:

- Ukrainiec Uszenko może i nie miał tam nic do roboty, ale amerykański agent CIA? To już bardziej prawdopodobne. A jakie jest pańskie zdanie, panie Banich?

O, kurwa. Trudno, trzeba brnąć dalej.

- Co za „Banich”? Uszenko jestem.

- Bez bajeczek, proszę. Ani pan, ani ja, nie mamy czasu na ciuciubabkę. - Sołowiew otworzył kartonową teczkę i cisnął na stół dwie czarno-białe fotografie, robione teleobiektywem. Banich przyjrzał się im. Na obu miał na sobie zamiast skórzanej kurtki marynarkę i krawat, a w ręku cocktail. Zrobiono je podczas któregoś z niezliczonych spotkań handlowych, wkrótce po tym, jak przybył do Moskwy. A, niech to...

Sołowiew zauważył jego zmieszanie.

- Musiałby mi pan wmówić, że ma pan w amerykańskiej ambasadzie sobowtóra. Ale nie ma pan sobowtóra, bo to właśnie pana znamy jako Alexandra Banicha, głupawego, poczciwego pomocnika zastępcy attache handlowego USA. - Mówiąc to, pułkownik udał rozczarowanie. - Wygląda na to, że moi smutni koledzy z FSD zawaliли sprawę, panie Banich. Albo może mister Banich. W pańskiej teczce opisują pana jako „zero”, „bubka po ekskluzywnym uniwersytecie” i „skrajnego alkoholika”. Sam pan widzi. Muszę przyznać, że świetnie się pan zna na tej robocie. Świetnie? Kapitalnie! Sam mógłbym przysiąc, że niejaki Uszenko posyła różne poufne informacje na Ukrainę, ale w głowie by mi nie postało, że mam do czynienia z amerykańskim szpiegiem. Banich poczuł, że robi mu się słabo. Poderwał głowę i zirytowany okrutną zabawą, zapytał: - Skoro jest pan tego taki pewien, pułkowniku, gdzie się za podziali chłopcy z FSD? Dawno powinni mnie stąd odwieźć do siebie, nie?

- Więc dlaczego nie odwieźli? Z dwóch powodów, panie Banich. -

Sołowiew zmierzył rozmówcę zimnym wzrokiem. - Po pierwsze, w odróżnieniu ode mnie chłopcy z FSD nie wiedzą, kim pan jest naprawdę. Po drugie, na razie nie mają pojęcia o tym, co się wczoraj po południu wydarzyło w parku.

- C-co takiego? Jak to „nie wiedzą”?

- Tak to. Trzeba panu wiedzieć, że nie ja jeden mam dosyć tych uzurpatorów i tego, co wyprawiają z Rosją. Mam za sobą generała Pichoję.

Amerykanin miał ochotę gwizdnąć z podziwem, bo generał dywizji, Konstantin Pichoja, był komendantem całej stołecznej milicji. Nic dziwnego, że wieść o strzałach w Parku Gorkiego nie dotarła jeszcze do konkurencji. Na dobrą sprawę wiadomość kazała spojrzeć na Sołowiewa w zupełnie innym świetle, bo obecność sojuszników zmieniała tu bardzo wiele. Zamiast z wilkiem-samotnikiem, Banich miał do czynienia z konspiratorem, którego wspólnicy mimo stanu wyjątkowego opanowali ważne punkty aparatu władzy. Tylko czy to w ogóle możliwe? Zdaniem Banicha, na pewno niewykłuczone.

Czystki, jakie zarządził Kaminow, wymierzono głównie przeciwko demokratom, zarówno w wojsku jak w centralnych urzędach kraju.

Ci oficerowie i urzędnicy państwowi, którzy się nie obnosili z poglądami i potrafili przewidzieć przyszłość, umieli także się utrzymać na stołkach - za cenę hołdu wobec nowej rosyjskiej dyktatury. Do tej grupy zaliczał się z pewnością także Sołowiew.

Hipoteza miała sens tym większy, że podwójna gra nie była niczym nowym dla osób, które do pierwszych godności doszły w schyłkowym okresie świetności ZSRR. Po raz pierwszy dotarło do Banicha, że być może istnieje wyjście ze śmiertelnego potrzasku, w który zapędził Erin i samego siebie. Sołowiewowi, Pichoi, a także ich wspólnikom zależy z pewnością na tym, by wyciszyć całą sprawę. Ale zaraz, nie tak prędko...

- Ale co powiedzą Francuzi? Założę się, że kiedy wrócili do ambasady, narobili potwornego wrzasku. Kiedy FSD zacznie iść po nitce do kłębka, znajdziecie się obaj z Pichoją tam, gdzie ja - na drzewie.

Błękitne oczy Sołowiewa poszarzały nagle.

- Mogę pana zapewnić, że nasi trzej koledzy z DGSE już nigdy nie narobią wrzasku.

Hmm. Banich zrozumiał, że ma przed sobą nie zimnego drania, tak jak myślał, lecz bezlitosnego skurwysyna. Nie mógł się

powstrzymać, by nie wsadzić Rosjaninowi szpili. - Widzę, że pan nie z tych, którzy się patyczkują, pułkowniku? Wystarczy wejść panu w drogę, pif-paf, i po krzyku?

- Powiedzmy, że po krzyku - odrzekł Rosjanin i zacisnął wąskie wargi. - Nawiasem mówiąc, to samo da się powiedzieć i o panu. Zgoda, panie Banich?

Banich uświadomił sobie, że ratując Erin sam bez zmruczenia oka zabił dwóch Francuzów. Może i zgoda. Sołowiew nie czekał zresztą na przeprosiny. Przeciwnie, denerwował się z zupełnie innej przyczyny. - Naprawdę nie o to chodzi, Banich! Obaj stoimy wobec dużo gorszych problemów!

Po tych słowach wskazał Banichowi jedno z krzeseł, sam usiadł także i zmęczonym tonem, wyraźnie wyczerpany tym, co się działo, zaczął cicho tłumaczyć: - Całą noc przysłuchiwałem się rokowaniom, Banich. Kaminow dogadał się z Francuzami. Kiedy wyda ostateczne rozkazy, nasze siły zbrojne wejdą do Polski. Konflikt między Rosją a USA to kwestia godzin.

Banich spodziewał się takiej nowiny, lecz i tak poczuł się jak uderzony kilofem. Wzięte w dwa ognie siły polskie, amerykańskie i brytyjskie czekała pewna zagłada. Rosyjska interwencja zbrojna pozostawiała ludziom w Waszyngtonie i Londynie dwa wyjścia, jedno gorsze od drugiego: politycy mogli skapitulować i pozostawić Europę pod obcą flagą, albo też rozpocząć przygotowania do długotrwałego konfliktu, przy którym druga wojna światowa będzie się wydawać herbatką u cioci. Banich przełknął ślinę i zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w blat stołu. - Kamień na kamieniu nie zostanie...

- Dokładnie - przytaknął smętnie Sołowiew, - Chyba, że zaczniemy działać.

Banich obdarzył go zdumionym spojrzeniem.

- O czym pan w ogóle gada?

We wzroku pułkownika pojawił się jeszcze większy chłód.

- Na razie Kaminow nie wydał rozkazu do inwazji. Co więcej, mój kraj nie wkroczy do wojny zanim marszałek Kaminow i inni członkowie rady wojskowej nie powrócą do Moskwy. Bez dostępu do środków łączności w Ministerstwie Obrony Kaminow nie zacznie wojny, a tak się składa, że na razie Kaminow śpi. Moim zdaniem rachunek jest prosty: jeśli uprzedzimy te rozkazy, może się obyć bez wojny.

Zgoda, pomyślał Banich, tylko jak, na litość boską, odciąć marszałka od dywizji rozwiniętych już na Białorusi? Ciekawe, jak Sołowiew sobie wyobraża... No, tak. Chyba, że tak. Tylko czy... Banich wbił wzrok w rosyjskiego pułkownika, który przytaknął niewesoło. - Rozmawiamy poważnie? - upewnił się Banich. - Śmiertelnie poważnie - upewnił go Sołowiew głosem, z którego zniknął wszelki wyraz.

Komenda Główna Milicji

Pod strażą szeregowców, Erin McKenna ruszyła za brzuchatym sierżantem, który wyrzucił ją z celi. W marszu próbowała się nie garbić i nie pochylać głowy, by nie dawać prześladowcom powodu do zadowolenia. Choć nie tak łatwo było ją zastraszyć, czuła coraz większą panikę. Co przyniosą następne godziny? Alex Banich nie mylił się, kiedy przestrzegał ją przed torturami i męką przesłuchań. Erin stwierdziła jednak nie bez zaskoczenia, że o wiele bardziej od fizycznego bólu i udręki przeraża ją fakt, iż będzie musiała zdradzić, wydać Sołowiewa i jej własnych kolegów. Strażnicy doprowadzili ją do ciężkich, żelaznych drzwi na samym końcu korytarza. Sierżant dłuższą chwilę grzebał się z kluczami, a potem gmerał w zamku, lecz otworzył je wreszcie. Zza drzwi buchnął słodkawy, duszący odór gnijących odpadków i dieslowskich spalin. Erin zakrztusiła się prawie i załzawionym wzrokiem omiotła zaułek, w którym stanęli. Z blaszanych kubłów wysypywały się na bruk sterty śmieci. Bała się pomyśleć, dokąd prowadzą ją strażnicy. Kilku żołnierzy w rosyjskich mundurach pospiesznie ładowało podłużne skrzynie i paki na skrzynie dwóch krytych ciężarówek marki URAL. Załadunek nadzorowało dwóch oficerów. Erin nie widziała ich twarzy, spostrzegła tylko że jeden z nich jest wysoki i szczupły, a drugi dużo niższy. Młody mężczyzna w cywilnym garniturze czekał przy otwartych drzwiczkach czarnej limuzyny ZiŁ z pewnością rządowej albo ministerialnej. Na noszach pod ścianami wąskiego zaułka spoczywało pięć podłużnych kształtów, spowitych szarymi, wojskowymi kocami. Kiedy żołnierze podnieśli pierwszą parę noszy i ruszyli do ciężarówki, spod koca wysunęła się biała ręka i zadyndała przez moment, zanim żołnierz nie utknął jej ponownie pod kocem. Przerażona Erin wiedziała i bez tego, że podłużne kształty na noszach to ludzkie zwłoki. Zatrzymała się jak wryta i nie chciała zrobić ani kroku w głąb zaułka. Lęki, które odpędzała dotąd od siebie jako płód

chorej wyobraźni, nabierały coraz bardziej rzeczywistej postaci.

- Ruszaj, ruszaj, ślicznotko! - burknął na nią sierżant, wykręcił jej rękę i popchnął po schodkach. Erin miała ochotę złapać się framugi, lecz prędko zrezygnowała z tej myśli. Stawiając opór, dawała tylko tłuszczochowi sposobność, by znowu ją złapał brudnymi łapskami. Sierżant nie zwalniając uchwytu podprowadził aresztantkę do wysokiego oficera, strzelił obcasami i zameldował głośno:

- Panie pułkowniku, zatrzymana doprowadzona zgodnie z rozkazem!

Erin z trudem powstrzymała okrzyk zaskoczenia. Podoficer zdążył się już odwrócić, Sołowiew spoglądał jednak na nią jak na obcą osobę. - Niebrzydki okaz, sierżancie, niebrzydki. Pewno się wam miło z nią gwarzyło w celi, co? Jak tam?

- Pewno, że miło, panie pułkowniku - rozpromienił się tłusty milicjant.

- Taką to i potrzymać przyjemnie, nie jak te dziry, co to zwykle u nas siedzą. i złapać jest za co...

- No, proszę! - Sołowiew przeniósł wzrok z Erin na sierżanta, a w jego oczach na krótkie mgnienie błysnęła złość i pogarda. - To tyle, sierżancie. Jesteście wolni. Sam się zajmę zatrzymaną. - Po czym, nieoczekiwanie ostrym głosem Sołowiew dodał: - A rachunki wyrównamy sobie przy okazji.

Choć z pozoru uprzejme, słowa sprawiły, że Erin przeszedł dreszcz. Również na puciołowatej twarzy sierżanta zgasł uśmiech. Podoficer zbladł i czym prędzej zniknął we wnętrzu budynku. Kiedy zatrzasnęły się za nim żelazne drzwi, Sołowiew mógł nareszcie się przywitać z Erin. - Nareszcie! Mam nadzieję, że nic pani nie zrobili?

Erin poczuła tak wielką ulgę, że odjęło jej mowę. Przytaknęła więc tylko, że nic jej nie jest. - To świetnie - ucieszył się pułkownik i skinął na drugiego, niższego oficera, nadal odwróconego plecami. - Nie przedstawię pani mojego nowego adiutanta, bo mam wrażenie, że się znacie. Kapitanie Banich! Erin nie wierzyła własnym oczom, lecz kiedy oficer odwrócił się ku niej, przekonała się, że to naprawdę on. Alex uśmiechnął się nieznacznie. - Cześć, McKenna.

- Alex!

Świadomość, że są bezpieczni, że ocaleli, sprawiła, że Erin

poddała się bez reszty uczuciom, które nabrzmiewały w niej od wielu miesięcy. Przycinki, drwiny i uniki odeszły w przeszłość. Erin zrozumiała, że kocha milkiwego Alexa- po prostu go kocha. Bez namysłu rzuciła mu się w ramiona. Żadne z nich dwojga nie zauważyło rozczarowania i smutku, jakie na mgnienie zawitały na tak zwykle obojętnej twarzy Rosjanina. Wyraz ten zniknął jednak równie nagle, jak się pojawił. Sołowiew odkaszlnął znacząco. Erin puściła Alexa i z ciekawością dotknęła grubego sukna jego munduru. - Boże, skąd wytrzasnąłeś...

- Jego zapytaj. - Banich wskazał jej Sołowiewa i w paru słowach wtajemniczył ją w wydarzenia ostatnich paru godzin. Kiedy doszedł do informacji o tym, że Kaminow chce wspomóc Konfederację w najeździe na Polskę, ściszył głos. Ciągnął jednak: - Pułkownik ma plan, jak powstrzymać Kaminowa, ale bez nas nie da sobie rady.

- Bez nas... - Erin zorientowała się wreszcie, że pośród żołnierzy na ciężarówkach znajdują się także Hennessy i Tepler w rosyjskich mundurach. Obaj agenci zauważyli Erin i pomachali do niej.

- Czy „bez nas” oznacza także „beze mnie”? - zapytała Sołowiewa.

- Niestety, pani McKenna. W odróżnieniu od pani, mister Banich i jego koledzy potrafią strzelać, a o to nam głównie chodzi.

Rosjanin powiedział to nie tyle z żalem, ile z wyraźną ulgą i wskazując na młodego kierowcę ZiŁ-a dodał: - Plecharow odwiezie panią prosto do ambasady. Nie warto, żeby jechała pani z nami.

Korzyść żadna, a ryzyko spore. Banich poparł Sołowiewa.

- Święte słowa. Zresztą ktoś musi zawiadomić Waszyngton, co się wydarzyło i co się jeszcze wydarzy, jeśli się nam nie uda.

Erin przeciągnęła wzrokiem po jego mundurze.

- Powiedzcie mi przynajmniej, co zamierzacie.

- Nie da rady.

- A to dlaczego? - zapytała ostrzej niż zamierzała. Jej szorstkość brała się po prostu ze strachu. - Nie ufasz mi?

-- Wiesz, że ci ufam! - Banich wziął ją pod ramiona i spojrzał jej w oczy, a potem podjął cichym głosem: - Rzecz w tym, że chcemy zrobić coś tak okropnego, że nie ma na to nawet paragrafu. Jeśli się nam nie uda, cześć pieśni, a nawet jeżeli się uda, będę miał na karku Agencję, Kongres, a pewnie także ze dwa trybunały. Obojętnie, co się będzie działo, nie chcę cię w to wciągać i

dlatego nie mogę ci nic powiedzieć. Teraz rozumiesz? - Tak - odszepnęła Erin, czując, że pieką ją powieki. Opanowała się jakoś, bo płacz był najmniej potrzebną rzeczą w takiej chwili. Otarła oczy i przywołała na twarz wąły uśmiech.

- Uważaj, Alex, żeby cię nie zabili. W czerni będzie mi okropnie nie do twarzy.

Banich sam się uśmiechnął, z wysiłkiem, jak gdyby doceniał opanowanie Erin. - To cześć, McKenna - powiedział jeszcze, pocałował ją i ruszył do ciężarówki, przynaglany głosem Sołowiewa.

- Idę, idę, pułkowniku - mruknął, jeszcze raz objął Erin, pocałował ją znów i rzucił: - To na razie.

Zamiast niego przed Erin stanął Sołowiew.

- Nie ma czasu na długie pożegnania, a zresztą, jeśli się nam powinie noga, i tak się nie zobaczymy. - Pułkownik skłonił się lekko, a potem oznajmił z uśmiechem: - Naprawdę myślę, że jest pani niezwykłą kobietą.

Erin miała przez chwilę wrażenie, że Sołowiew powie coś jeszcze. Milczał jednak, a potem odwrócił się i bez słowa odszedł w stronę ciężarówek. Za nim ruszył Banich. Obaj zniknęli w kabinie pierwszego wozu. Kiedy zatrzasnęli drzwiczki, zagrały potężne dieslowskie silniki. Erin patrzyła, jak ciężarówki ruszają, wytaczają się z zaułka na asfalt Pietrowki i znikają za zakrętem.

Pod Moskwą, na szosie jałtańskiej

Dwie ciężarówki z brezentowymi budami sunęły podmoskiewską szosą na południe. Jechały z prędkością 60 kilometrów na godzinę, a więc powoli - trochę dlatego, by nie zwracać na siebie uwagi, a poza tym z tej przyczyny, iż słabe silniki i terenowe przełożenia nie pozwalały na szybszą jazdę. Ciężarówki, ot, jak ciężarówki. Ludzie w kabinach i na skrzyniach obu pojazdów modlili się po cichu, by udało się uniknąć uwagi patroli drogowych. W kabinie pierwszego URALa Sołowiew zbliżył nos do szyby i przyjrzał się krawędzi lasu po prawej stronie szosy, a potem pokazał coś młodemu porucznikowi, który w mundurze szeregowca prowadził wóz.

- Droge dojazdową masz tuż przed nosem, Pasza, zaraz za zakrętem.

Porucznik przytaknął nerwowo i zacisnął dłonie na kierownicy wielkiej ciężarówki. Sołowiew zwrócił się tymczasem do drugiego pasażera ze słowami: - Posterunek jest o dwieście metrów od

głównej szosy. Pamiętasz, co masz robić?

- Pamiętam - upewnił go Alex Banich i jeszcze raz sprawdził czy włożył magazynek i czy dobrze nakręcił tłumik na lufę pistoletu, który trzymał na podołku. Schował pistolet do kieszeni munduru i rozparł się wygodniej, próbując odpędzić od siebie ponure myśli. Plan, który w gabinecie na komendzie milicji wydawał mu się tak realny i pewny, z każdym kilometrem upodobniał się w jego myślach do zwariowanej eskapady bez wyjścia. Otoczona lasem dacza Kaminowa była tymczasem coraz bliżej. Banich miał pewność, że jeśli szaleńczy plan Sołowiewa nie wypali, Rosja znajdzie doskonały pretekst do wystąpienia przeciwko Stanom Zjednoczonym. Specjalne służby Moskwy nie będą się musiały biedzić, żeby spreparować jakiś casus belli. Wyręczy je w tym pewien nasz znajomy.

Na samą myśl Banich wzdrygnął się nerwowo.

Ciężarówka zjechała z szosy na zachód, skręcając w krętą leśną dróżkę, otoczoną sosnami. Niskie gałęzie przepuszczały nieregularne plamy słonecznego blasku. Spłoszone łoskotem silników ptaki podrywały się do lotu i ze skrzekiem krążyły nad lasem. - No, tośmy dojechali.

Słyszając ostrzeżenie kierowcy, Banich podniósł głowę i wyteżył wzrok, by dostrzec coś przez zakurzoną szybę. Rzeczywiście, posterunek był tuż, tuż. Pasiasty, drewniany szlaban ze szklami odblaskowymi udawał tylko przeszkodę. W rzeczywistości drogę zamykały kolczatki, rozciągnięte na asfalcie tuż za barierą. Przy budce wartowniczej na lewo od szlabanu czuwali dwaj żołnierze z karabinkami AK-74. Po błękitnych wyłogach i insygniach z mieczem i tarczą dało się w nich poznać umundurowanych członków oddziału wartowniczego FSD. Czterech innych komandosów z FSD czuwało w obłożonych workami z piaskiem gniazdach karabinów maszynowych, po jednym po każdej stronie drogi. Z budki zdążył się też wysunąć oficer, który w marszu ziewał i poprawiał sobie pas z pistoletem. Banich zmarszczył brwi, bo trochę inaczej to sobie wyobrażał. Przeciwników była siódemka, ich zaś tylko sześciu - on, Sołowiew, Hennessy, Teppler i dwóch młodych rosyjskich oficerów, których Sołowiewowi udało się ściągnąć w ostatniej chwili. Sołowiew otwarcie i nie bez goryczy przyznał, że konspiratorzy w rządzie Kaminowa mają za dużo wodzów, a za mało Indian. Tłumaczył zresztą, że właśnie dlatego tak bardzo nalega na udział

grupy Banicha w zamachu. Agent CIA domyślał się po cichu, że w razie czego pułkownik chce zwalić wszystko na podłych Amerykanów. Sołowiew był może patriotą, ale na pewno nie kandydatem na męczennika - co do tego Banich nie miał żadnych wątpliwości. Ciężarówka zatrzymała się metr przed szlabanem. Za nią przystanąła druga. Kapitan z FSD podszedł do szoferki i zapytał z miejsca: - Przepustka jest?

Widok Sołowiewa mocno go zaskoczył.

- Pułkownik Sołowiew? W ciężarówce? A gdzie wóz służbowy? Sołowiew skrzywił się paskudnie.

- Pytacie, gdzie, Worisow? Na szosie, będzie z pięć kilometrów stąd. Jak znajdę tego idiotę mechanika, jaja mu ukrećę. Samochód sikał olejem od samej Moskwy. Gdyby nie ci chłopcy, musiałbym się tłuc autostopem.

- Ech, jak bym złapał takiego mechanika... - rozmarzył się kapitan FSD, lecz zaraz zapytał podejrzliwie. - Ale co was tu znowu sprowadza, pułkowniku? Nie słyszeliście? Te rozmowy, niby te tajne, już się skończyły. Lada chwila wszyscy wracają do miasta.

- Nie mnie to mówić - uciął Sołowiew. - Sprawa jest prosta, można rzecz, żołnierska. Marszałek wysłał mnie po zaopatrzenie, wiozę parę skrzynek tego dobra, różne tam takie - Sołowiew kantem dłoni dotknął gardła. - Na moje oko, szykuje się niezła zabawa. Banich, choć cały drżał, sam prawie się uśmiechnął. Marszałek Kaminow hołdował tradycyjnej rosyjskiej zasadzie, w myśl której u progu nowego sojuszu wojskowego między Rosją i Francją należało się napić, za pomyślność przedsięwzięcia. Z twarzy kapitana można było wyczytać, że słowa Sołowiewa brzmią dla niego jak najzwyczajniejsza rzecz na świecie. - Zaopatrzenie, tak? - rzekł znacząco do Sołowiewa i poskrobał się po brodzie. Widać było, że usilnie nad czymś deliberuje. Na szczęście w tym wypadku poczucie obowiązku i pokusa nakazywały uczynić dokładnie to samo. Walka wewnętrzna zakończyła się więc nader prędko. - Wiecie, służba... - zaczął. - Moim obowiązkiem jest zajrzeć do tych skrzynek. Na wszelki wypadek.

Sołowiew wcale mu nie wziął za złe tych słów.

- Rozumie się, Iwanie Andriejewiczu. Służba to nie w kij dmuchał. Wiecie, pomogę wam. - Tu zerknął na Banicha. - Chłopcy tymczasem niech rozprostują kości, przesusiają zagadnienie...

Zgoda, kapitanie?

Banich przytaknął, że rozumie. Z trudem ukrywał ulgę. Gdyby nie pokusa, by zacharapcił parę półlitrówek, kapitan FSD mógł im już na samym początku pokrzyżować plany. Sołowiew był jednak przekonany, że pomysł chwyci. Po latach kolejnych oficjalnych kampanii przeciwalkoholowych Rosjanie wyrobili w sobie odruch warunkowy i nie wypuszczali z rąk takich okazji, jak darmowa ciężarówka wódki. Co ważniejsze, niższe stopnie hierarchii ślepo naśladowały górę - nie było zaś tajemnicą, że Kaminow i jego ludzie nie wylewają za kołnierz. Amerykanin wysiadł z szoferki i machnął ręką do Hennessy'ego i ludzi z szoferki drugiego URALa. - Wysiadać! Musimy poczekać. No, ruszcie się!

Kątem oka spostrzegł jeszcze, jak Sołowiew prowadzi oficera FDS ku skrzyni drugiej ciężarówki. Tętno waliło mu jak nigdy w życiu. Już tylko sekundy... Ruszył jak we śnie wprost ku gniazdu karabinu maszynowego, przeciągając się, jak gdyby całą noc przesiedział w niewygodnej szoferce. Ziewnął przeciągle, raz i drugi, choć nie z senności, tylko z lęku. Z wysiłkiem zakrył usta i podszedł jeszcze bliżej. Dwaj komandosi z FSD przy karabinie maszynowym PK nie zwrócili na niego uwagi, tak jak dowódca przejeżdżając do przodu, jakie czeka na skrzyni ciężarówki. Banich zauważył, że jeden z komandosów trąca drugiego pod żebro i mruga. Łudził się najwidoczniej, że kapitan Worisow podzieli się z podwładnymi wynikami inspekcji. Dwa stłumione stuknięcia odpowiedziały Banichowi, że Sołowiew zrobił swoje, i że pora teraz na niego. Prędko wsunął prawą rękę do kieszeni munduru i wyłuskał pistolet z tłumikiem. Adrenalina we krwi sprawiła, że bieg wydarzeń wydawał mu się teraz powolny jak we śnie. Jeden z komandosów spostrzegł pistolet i otworzył usta, by krzyknąć. Banich nacisnął spust i strzelił kilkakrotnie. Trafieni każdy parą pocisków ludzie z FSD padli na worki z piaskiem. Jeden zdążył jeszcze krzyknąć, nim z krwawą dziurą wyszarpaną w plecach opadł na karabin maszynowy, zatrząsł się i znieruchomiał. Drugi strażnik, trafiony w brzuch i w głowę, runął na wznak i skierował niewidzący wzrok prosto w słońce. Amerykanin odwrócił się co prędzej, w obawie, że któryś ze strażników może się wymknąć. Niepotrzebnie się martwił: reszta komandosów leżała już bez ruchu albo dogorywała. Wyszarpnął więc z pistoletu prawie pusty magazynek i zastąpił go nowym. To samo

uczynili Hennessy, Teppler i dwaj rosyjscy oficerowie od Sołowiewa. Pułkownik wracał już od ciężarówki, wlokąc pod ramiona bezwładne ciało kapitana Worisowa. - Co tak stoicie? Ruszać się - ponaglił. - Trupy w krzaki! Nie ma czasu!

Sam powlókł między drzewa ciało kapitana, a potem prędko odszukał kierowcę. - Pasza! Obie ciężarówki na pobocze, raz dwa!

Kilka minut szaleńczego pośpiechu pomogło doprowadzić posterunek mniej więcej do normalnego stanu. Kiedy Banich i pozostali odciągali zabitych do lasu, Sołowiew zanurkował pod plandekę pierwszej ciężarówki i zaczął z niej spychać długie, wąskie skrzynie, pobrane ze zbrojowni w komendzie milicji. W szarych pudłach znajdowały się ręczne granatniki przeciwpancerne RPG-16, amunicja i karabinki automatyczne AK-74. Każdemu z wracających z lasu współników Sołowiew podawał po jednej sztuce broni i po parze rękawic. Wszyscy drgnęli jak oparzeni, gdyż w budce wartowniczej rozdzwonił się telefon, rozdzierając niesamowitą ciszę, jaka zaległa nad posterunkiem. Sołowiew skoczył natychmiast do środka i podniósł słuchawkę. Chwilę słuchał, a potem odwarknął coś, odwiesił telefon i wystawił głowę na zewnątrz. - Przygotować się! Francuska delegacja już rusza, Kaminow i reszta pojedą za chwilę!

Niecałą minutę później zza zakrętu wyskoczyły trzy czarne limuzyny z francuskimi proporczykami na maskach. Czarne wozy zwolniły tylko po to, by „strażnicy” zdążyli uprzątnąć z szosy kolczatki i podnieść szlaban, a potem nie zatrzymując się pomknęły naprzód. Z podpisanym i opieczętowanym tekstem traktatu w rękę, ambasadorowi Sauret i jego negocjatorom wyraźnie spieszyło się do Paryża. Kiedy za drugim zakrętem zniknęła ostatnia francuska limuzyna, Sołowiew, Banich i pozostali rzucili się do roboty. Hennessy, Teppler i dwójka młodych Rosjan spuścili szlaban, rozłożyli kolczatkę i z bronią w rękę rzucili się poboczem drogi w stronę daczy. Banich i pułkownik Sołowiew ruszyli za nimi, każdy z granatnikiem przeciwpancernym RPG-16 i pakunkiem zapasowych granatów kumulacyjnych. W biegu starali się kryć za drzewami. Ubiegli zaledwie sto metrów, kiedy dobiegł ich nowy szum silników. Na szczęście z tej odległości nie było już widać opuszczonego posterunku za zakrętem. Sołowiew machnął ręką. Jego ludzie ukryli się pod drzewami. To samo uczynił Banich. - Wal w pierwszy samochód - przypomniał mu Rosjanin.

- Wiem, wiem! - przytaknął Banich niecierpliwie i poprawił na ramieniu rurę granatnika. Dopiero w ostatniej chwili uświadomił sobie, że musi jeszcze wyjąć zawleczkę z głowicy kumulacyjnej. - Spokojnie! - podpowiedział mu Sołowiew i uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Wiesz, żeby nie te drzewa, wszystko byłoby jak w Afganistanie... Tyle, że to na mnie by się czaili... No, wal, tylko celnie!

Sołowiew klepnął Amerykanina w plecy i z rurą granatnika pod pachą rzucił się naprzód, omijając pnie i słoneczne plamy na ściółce. Silniki słychać było coraz bliżej. Na widok pierwszego pojazdu Banich zamarł w miejscu. Kolumna wyglądała dokładnie tak, jak to opisywał Sołowiew. Na czele jechał terenowy GAZ-69 z karabinem maszynowym na masce. Kierowca, strzelec i dwaj pasażerowie, obaj w randze oficerów, mieli na mundurach błękitne wyłogi sił FSD. Za łazikiem ciągnęły trzy opancerzone limuzyny, czarne, z zaciemnionymi szybami i firankami, które dodatkowo chroniły pasażerów przed wzrokiem ciekawskich. Banich zeszywniał. W którymś z trzech wozów jechał Kaminow, a w pozostałych członkowie jego elity i ochroniarze. Kolumnę zamykał ośmiokołowy transporter opancerzony BTR-80 z wielkokalibrowym karabinem maszynowym w obrotowej wieży. Podobnie jak Blazery z napędem na cztery koła, używane przez amerykańską Tajną Służbę do przewozu agentów, radiostacji i cięższego uzbrojenia, BTR mógł na szosie mierzyć się z każdym przeciwnikiem. W otwartych włazach desantowych widać było hełmy żołnierzy z FSD. Ten w ostatnim włązie trzymał na ramieniu rurę wyrzutni pocisków przeciwlotniczych Strzała-2, na wypadek, gdyby ktoś chciał zagrozić kolumnie z powietrza. Boże święty. Banich zamrugał, czując jak do oczu zaczyna mu spływać pot. Pewny, stuprocentowy plan, jaki nakreślił mu o świcie Sołowiew, wydał mu się teraz idiotyczną mrzonką. Na pewno się nie uda, nie ma szans. I jeszcze to drżenie rąk. Szkoda mi cie, Erin... Łazik prowadzący kolumnę zrównał się z kryjówką. Teraz! Banich poderwał się i zdusił strach. Liczyło się tylko to, żeby trafić. Przycisnął oko do celownika optycznego, naprowadził cel na pierwszy krzyżyk i nacisnął spust. Gnany raketowym impulsem granat mignął tylko między krawędzią lasu a terenówką, trzasnął w maskę samochodu tuż przy kolanach kierowcy i eksplodował. Dwukilogramowy ładunek kumulacyjny omył całą kabinę językiem płomienia. GAZ przewrócił

się do góry kołami i płonąca masa zatarasował drogę. Wśród kłębow dymu Banich widział, jak Sołowiew podnosi się z ukrycia, celuje i puszcza granat kumulacyjny prosto w słabo opancerzoną burtę BTR-a. Transporter zmienił się w ognistą chmurę. Ze wszystkich otwartych włazów trysnęły w górę płomienie, podsycane eksplodującą w środku amunicją i paliwem. Wybuch rozrzucił na wszystkie strony gorejące strzępy ciał i mundurów. W jednej sekundzie nad szosą rozpełtało się piekło.

Pędząca dosłownie parę metrów za łażnikiem pierwsza opancerzona limuzyna wrąbała się z impetem w rozbity granatem Banicha wrak. Przy prędkości 30 kilometrów na godzinę, zderzenie zczepiło ze sobą oba pojazdy i w chmurze iskier cisnęło je między drzewa. Kiedy poskręcana masa metalu zamarła wreszcie, okazało się, że wraki całkowicie tarasują przejazd. Drugi czarny wóz osobowy rozpaczliwie usiłował ominąć przeszkodę, a hamując ustawił się w poprzek szosy. Cudem uniknął zderzenia, lecz niewiele to pomogło. Zagapiony widać kierowca ostatniej limuzyny, być może oślepiony rozbłyskiem w lusterku wstecznym, nie zdążył zareagować. Trzeci wóz wbił się prosto w bok drugiego, ciskając dookoła odłamki szkła, blachy i rozdartej gumy. Na najkrótszy ułamek sekundy wszystko zamarło w miejscu. Rozbite wraki tarasowały drogę ucieczki na obu końcach kolumny. Kaminow znalazł się w klasycznym potrzasku - uciekać się nie dało ani drzwiami, ani oknem. W ciszy zaczęły trzaskać otwierane drzwi, przez które z rozbitych wozów zaczęli wyskakiwać oszołomieni ochroniarze. Ci przytomniejsi pazurami torowali sobie przejście wśród rannych i kontuzjowanych. Kilku najmłodszych ścisnęło w rękę krótkolufę karabinki automatyczne AKR i nieprzytomnym wzrokiem rozglądało się po lesie. Banich zdał sobie sprawę, że ma przed sobą goryli Kaminowa. Niewiele myśląc, przykleknął i zaczął się szamotać z pakunkiem na plecach, wyłuskując z niego następny granat do RPG. Na widok tylu łatwych celów, Mike Hennessy, Teppler i obaj rosyjscy podporucznicy zaczęli strzelać spomiędzy drzew, długimi seriami, byle zabić. Trafieni szamotali się przy samochodach, kręcili się i padali pod dziesiątkami specjalnych, koziołkujących w locie pocisków z przeniesionym środkiem ciężkości. Ponad kanonadą niesły się rozpaczliwe krzyki, które jednak prędko ucichły. Kilku ocalałych po pierwszej salwie zerwało się do ucieczki i próbowało zniknąć między drzewami. Nie odbiegli

daleko. Hennessy, a za nimi pozostali, rzucili się przez szosę, zamiatając las pociskami. Tym razem bili krótkimi seriami i celując. Kiedy ucichł ostatni strzał, nad miejscem zasadzki zaległa głucha cisza, przerywana tylko trzaskaniem płomieni we wrakach łazika i transportera opancerzonego. Sołowiew wyszedł z lasu na zasłaną trupami drogę. W ręku nadal dźwigał rurę granatnika przeciwpancernego. - Pasza! Bierz Wańkę i lećcie po drugą ciężarówkę! Tę z francuskimi umrzykami. Zostawimy ich tu razem z całą bronią.

Młodziutki podporucznik przerzucił karabinek przez ramię i gestem przyzwał do siebie kolegę. Razem puścili się biegiem w stronę posterunku za zakrętem. Hennessy i Teppler także zdążyli już wrócić na drogę. Obaj byli bladzi i przejęci. Rozumieli wprawdzie, że nikt nie ma prawa przeżyć zasadzki, lecz nie znaczyło to jeszcze, że uwielbiają dobijać rannych, na dodatek zupełnie bezbronnych. Banich również wyszedł spomiędzy drzew i wraz z Sołowiewem przystanął przy rozbitej środkowej limuzynie. Krzywił się co chwila, usiłując powstrzymać mdłości na widok rzezi, jaką spowodowali. - Ty, ale po co marnujemy czas, żeby podrzucić Francuzów? Żadna zdrowa na umyśle ekipa śledcza nie uwierzy, że to wszystko oni.

Rosjanin zerknął na bijące ponad lasem kłęby dymu i dopiero po paru chwilach spojrzął na Amerykanina. - Czas? Pierwsze patrole będą tu dopiero za dziesięć minut. A śledztwem też się nie martw. Tu nie Ameryka. Prawda to oczywiście rzecz ważna, ale jeszcze ważniejsze jest to, co mówi władza. Dziś może nie da się oskarżyć o wszystko Francuzów, ale jutro? Jutro nadadzą się jak złoto.

Pułkownik wzruszył ramionami i dorzucił:

- Mam ci tłumaczyć, jaka to przekonywująca historyjka?

Rozwścieczeni heroiczną postawą marszałka Kaminowa, który nie zgodził się, by zadać Polsce haniebnny cios w plecy, zwyrodniali agenci francuskich służb specjalnych zemścili się okrutnie, po czym tchórzliwie uciekli, pozostawiając jednak ciała poległych współników. - Sołowiew wskazał na sztywne już zwłoki u stóp Banicha. - Opowiadka może nie najnowsza, zgoda, ale przecież wiadomo, jakie świny z tych cudzoziemców. Rosjanie na pewno uwierzą. Sam przyznasz, że łatwiej uwierzyć w coś takiego niż w to, że ich ukochany Kaminow sprzedał Rodinę. - Aha - bąknął

Banich i przyjrzał się z kolei zwłokom w samochodzie. Kuloodporna kamizelka marszałka nie zatrzymała serii wystrzelonej z minimalnej odległości. Szumiący w liściach wietrzyk muskał siwe włosy nad szeroką twarzą, usmarowaną świeżą krwią.

- Więc to jest Kaminow?

- Nie jest, tylko był. I nie Kaminow, tylko marszałek Jurij Kaminow - poprawił Sołowiew i odwrócił się, by nie patrzeć na ciało przełożonego i wodza. - A w ogóle, Banich, to zabieraj się ze swoimi ludźmi do miasta. Weź jedną ciężarówkę, druga będzie dla nas. Dokumenty i mundury zatrzymajcie, pomogą wam w ucieczce. Przynajmniej będziecie mieli sposób, żeby się porozumieć z ambasadą.

- A ty? Co z tobą?

Sołowiew już bez emocji spojrział na masę płonącego żelastwa, na rzędy ludzkich ciał... - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia... mister Banich. To tutaj, to tylko początek.

34

Ostrze brzytw

1 lipca - specjalny oddział wartowniczy przy dacy prezydenta Rosji, pod Moskwą

- Majorze!

Zły, że wrzeszczał na niego jak na psa, major Paweł Zubczenko z FSD cisnął gazetę na stół, zapiął haftki mundurowego kołnierza i wyszedł na ganek. - Coście tak pysk rozdarli, sierżancie?

Ja was, kurwa, nauczę manier...

Sierżant, który z twarzy najbardziej przypominał naleśnik, zamiast się przerazić wskazał na odległy las. - Coraz więcej dymu! I śmigłowce się pokazały! Myślałem, że... - Co takiego? -

Zubczenko oparł się o balustradę ganku

i przymrużył oczy, bo jasne, południowe słońce mocno przeszkadzało w obserwacji. Co jest, u Boga ojca? Sierżant jak raz nie łął: dziesięć czy piętnaście kilometrów na zachód, w bezchmurne, błękitne niebo wspinało się kilka czarnych słupów dymu, a krążące nad okolicą ciemne kropki rzeczywiście musiały być patrolami śmigłowców. Major zagryzł wargę, bo widok zaniepokoił go nie na żarty. Sierżant zameldował mu o dymach parę minut wcześniej, lecz Zubczenko tylko wzruszył ramionami. Co z tego, że się dymi gdzieś w pobliżu dacy Kaminowa? Pewno ktoś podpalił kupę starych opon, albo jakiś nadgorliwy oficer oddziału

zabezpieczenia urządził swoim żołnierzom poligon... Właśnie - czy na pewno?

Zubczenko odwrócił się i zniknął z ganku. Piętro daczy zajmował prezydent Rosji z najbliższą rodziną, ale - choć nigdy nie padło słowo „areszt domowy” - cały parter daczy zajmowali jego „aniołowie stróże” z FSD. Major przemknął między podwładnymi, dopadł biurka i podniósł słuchawkę bezpośredniej linii do Moskwy. Sygnału nie było. Nie pomogło naciskanie na widełki. Cisza. Zubczenko zbladł. Na tej linii nie było mowy o awariach.

- Majorze, prędko! - dobiegł go nowy okrzyk z ganku. Zubczenko wyskoczył w samą porę, by ujrzeć kolumnę transporterów - jednaście ośmiokołowych BTR-80 - skręcającą na długi zwirowany podjazd przed daczą. Z otwartych włazów spoglądali czujnie żołnierze w hełmach, i to żołnierze regularnych wojsk, nie FSD. Widząc, że ma do czynienia z pełną kompanią zmechanizowaną, major z wysiłkiem przełknął ślinę. - Sierzancie! Wszyscy na posterunki, ale niech mi się nikt nie waży strzelać bez rozkazu, rozumiano? To mogą być posiłki dla wzmocnienia ochrony!

- Rozkaz! - odrzekł podoficer bez większego przekonania w głosie, lecz odwrócił się i zaczął wydawać polecenia trzydziestoosobowej grupie ochrony. Obstawa zaległa na ganku, a także w drzwiach daczy - część tylko w bieliźnie, gdyż alarm zastał ich w porze wypoczynku. Kiedy w drzwiach pokazał się ostatni rozziewany ochroniarz z FSD, lufa pierwszego transportera celowała już w ganek. Z włazu wyskoczył wysoki, jasnowłosy oficer i pewnym krokiem, z beczelną miną ruszył ku schodkom. Zubczenko zdumiał się na jego widok. Owszem, znał osobistego adiutanta marszałka Kaminowa, pułkownika - jakże mu tam...? Sołowiewa! Tylko czego tu chce ten Sołowiew? Zubczenko zbiegł z ganku i wyszedł pułkownikowi na spotkanie.

- Co za za manewry sobie urządza! Tu jest obiekt zamknięty, pułkowniku! Co się dzieje, do cholery? Sołowiew nawet nie mrugnął.

- Ciszej, majorze, przywożę bardzo złe wiadomości. Marszałek Kaminow i reszta przywódców rady wojskowej nie żyją. Oszołomiony major z FSD otworzył usta, a potem wybełkotał: - Ale jak to? Co, kiedy...?

- Wpadli w zasadzkę. Ktoś rozwalił ich z karabinów maszynowych na dojeździe do daczy. Nikt nie wyszedł żywy. - Sołowiew skrzywił

się, nim dodał: - Właśnie stamtąd wracam.

Zubczence nietrudno było w to uwierzyć. Od pułkownika szedł wyraźny zapach oleistego dymu i potu. - W zasadzkę? - powtórzył.

- Czyją? Czyją?!

- Tego na razie nie wiemy. Powtarzam, na razie. W pobliżu miejsca zamachu znaleźliśmy kilka ciał. Wygląda, że ci ludzie padli od kul ochrony marszałka. Jedne ze zwłok należą do szefa ochrony delegacji francuskiej.

- Matko Boża! - zawołał oszołomiony major i wyjąkał: - A-ale przecież Francuzi... Myślałem, że Francuzi... No, dobrze, ale po coście tu przyjechali, pułkowniku?

Sołowiew uniósł brew, udając zdziwienie.

- Po co? To akurat wydawało mi się zupełnie jasne, majorze.

Trzeba bezpiecznie przewieźć prezydenta do Moskwy.

Zubczenko w skrytości ducha spodziewał się, że usłyszy coś podobnego, lecz siła słów pułkownika omal go nie zwała z nóg.

Odchrząknął, nie bardzo wiedząc, co począć. Niestety, wyglądało że nie zdąży się połączyć z kierownictwem FSD. - Kto wydał takie polecenie? - zapytał w końcu.

- A kto miał wydać? Marszałek Kaminow nie żyje, naród został bez przywódcy, stoimy na krawędzi wojny, a wam się jeszcze zachciewa rozkazów na piśmie?! - Sołowiew omiół majora pogardliwym spojrzeniem. - Mówię do was jak do patrioty, nie jak do biuralisty!

Zubczenko wyprostował się dumnie.

- Znam swoje obowiązki, pułkowniku. Nie zezwolę, by prezydent opuścił obiekt bez pisemnego nakazu rządu, rady wojskowej, albo w ogóle kogoś z władz.

- W tej chwili jedynym żywym członkiem władz jest prezydent! - warknął Sołowiew i podchodząc bliżej, szepnął do Zubczenki: - Radzę się dobrze zastanowić, majorze. Naprawdę macie ochotę stoczyć pierwszą bitwę w nowej wojnie domowej? Mówię od razu, że przegracie.

Tym razem Zubczenko naprawdę się wystraszył. Doświadczenie i charakter czyniły z niego idealnego policjanta. Na wojsku znał się słabiej - umiał jednak liczyć karabiny. Oprócz nierównego układu sił przeważało także zdecydowanie i żelazna wola w głosie Sołowiewa. Stawiając opór, Zubczenko nic nie zyskiwał, podpisywał natomiast na siebie i innych wyrok śmierci. Odwrócił więc wzrok,

nie wytrzymując spojrzenia pułkownika i przez zaciśnięte zęby szczechnął: - Przepuścić!

Sołowiew wyminął poszarzałego na twarzy oficera, wbiegł po schodkach na ganek i wspiął się na piętro daczy. Na schodach ujrzał wysoką, masywną sylwetkę, którą tak dobrze pamiętał; prezydent Rosji wyszedł mu na spotkanie. Zabawne, ale osiem miesięcy przymusowego odosobnienia wyraźnie przywróciło prezydentowi siły. Wyglądał o wiele młodziej i bardziej świeżo niż w dniach, które poprzedziły wojskowy zamach stanu. Na widok Sołowiewa uśmiechnął się nie bez wysiłku i zapytał z ironią: - Co was sprowadza tym razem, Sołowiew? Wpadliście z kurtuazyjną wizytą? Pluton egzekucyjny czeka?

- Ani jedno, ani drugie. Marszałek Kaminow i jego ekipa nie żyją - oznajmił bez ogródek Sołowiew. - Ja i moi ludzie mamy odwieźć pana bezpiecznie do Moskwy.

- Żebym znów objął władzę? Nie mówcie!

- Właśnie, że tak. W mieście powinien już być spokój.

Generałowie Pichoja i Baratow rozbierają niektóre jednostki wojska i FSD... Na wszelki wypadek, zanim się ustalą ich lojalność, i tak dalej.

Podstarzały prezydent wydawał się mało zdziwiony takim obrotem wypadków. - W takim razie cóż... - mruknął i wyprostował się.

Wyraźnie odzyskiwał dawne dostojeństwo. - Jedźmy, pułkowniku. Nie ma co się grzebać. Domyślam się, że nie ma czasu do stracenia, tak? - Niestety, tak. - W głosie Sołowiewa po raz pierwszy dało się słyszeć wahanie. - Nasze siły nad granicą z Polską...

- Dostały rozkaz ataku - dokończył prezydent i roześmiał się głośno na widok zaskoczonej miny Sołowiewa. - Marszałek Kaminow był łaskaw mnie informować, co się dzieje w kraju, którym rządę. Żeby było tak, wicie, demokratyczniej. Ech! Żeby armię odsprzedać Francuzom! Durnie! Zaraz się wezmę za to wszystko. Sołowiew z ulgą skinął głową.

Kiedy ramię w ramię szli po schodach na parter, prezydent położył rękę na ramieniu Sołowiewa i szepnął: - Jeszcze jedna sprawa, pułkowniku. Wiem, ileście z kolegami ryzykowali, żeby przywrócić w kraju demokrację. Chciałbym, żeby oprócz mnie dowiedział się o tym także naród.

Sołowiew zeszywniał.

- To nie jest dobry pomysł - oświadczył. - Spełniliśmy zwyczajny

obowiązek, wobec prezydenta i wobec konstytucji, kropka. Nie trzeba nam sławy...

- Ani rozgłosu.

- Ani rozgłosu - zgodził się Sołowiew. - Co z tego, że Kaminow i jego kumple nie żyją? W rządzie i w wojsku znajdzie się jeszcze masa takich jak oni. Na razie zostali bez przywódców, na razie będą potakiwać albo schowają głowę w piasek, ale za parę lat? - Sołowiew zacisnął wargi. - Kto wie? Może przyjdzie taki dzień, że znów się przydamy?

Prezydent Rosji melancholijnie pokiwał głową i bez słowa ruszył za Sołowiewem w stronę czekających transporterów.

Waszyngton, sala sztabowa w Białym Domu

Najwyżsi rangą wojskowi i polityczni przywódcy Ameryki skupili się wokół jednego z końców stołu w sali sztabowej Białego Domu. Przed sobą mieli rząd kamer wideo i olbrzymi ekran na całą ścianę, ukazujący w tej chwili analogiczne zgromadzenie w sali posiedzeń brytyjskiego gabinetu na londyńskiej Downing Street. W miarę, jak wojna przybierała na zaciętości, wideokonferencje stały się dla obu

grup rzeczą codzienną - a to dzięki liniom łączności satelitarnej. Tym razem zupełnie jednak niecodzienne okazały się wiadomości, jakie od świtu napływały z Moskwy. Elektroniczne mapy, jakie mieli przed sobą zebrani po obu stronach Atlantyku, ukazywały rozmieszczenie i bieżący stan wszystkich jednostek lądowych, powietrznych i morskich z połączonych sił alianckich. Inne grupy znaków, dla odróżnienia czerwone, odzwierciedlały najnowsze dane o wojskach Konfederacji Europejskiej. Rosyjskie dywizje, rozmieszczone wzdłuż wschodnich granic Polski, zaznaczono na razie na biało. Kaminow może nie żył, lecz nadal nikt nie wiedział, z czym jeszcze wyskoczą Rosjanie. Prezydent darował sobie tym razem dłuższy wstęp. Litery „ENG” płonące przy pozycjach amerykańskiej 101. Dywizji Desantowej oznaczały, że związek uwikłał się już w walkę z siłami Francji i Niemiec. Trudno o lepsze memento, że podczas kiedy trwają narady i deliberacje, w polu umierają amerykańscy żołnierze. Kiedy prezydent stuknął ręką w stół, ucichły rozmowy - i w Waszyngtonie, i te na Downing Street. - Do rzeczy, panie i panowie. Słyszeliście zapis mojej rozmowy z prezydentem Rosji. Oświadczył mi, że jego wojska lądowe i lotnictwo wracają do baz.

Pytanie tylko czy możemy mu wierzyć? - Możemy - odezwał się jako pierwszy dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej i przeszedł do szczegółowych argumentów: - Najnowsze zdjęcia satelitarne, jakie dostaliśmy bezpośrednio z nad wschodnich granic Polski wskazują, że kilka związków rosyjskich wycofuje się w głąb Białorusi. Idą na wschód, nie na zachód. Satelita nasłuchowy Vortex przechwycił też nad Europą Wschodnią rozkazy Moskwy dla dowódców kilku jednostek liniowych.

Prezydent przyjrzał się uważnie korpulentnemu dyrektorowi CIA, domyślając się, że jego podwładny dysponuje jeszcze innymi źródłami informacji - źródłami, którymi nie chciał się chwalić w obecności strony brytyjskiej ani cywili. Tuż przed początkiem wideokonferencji Quinn musiał się oddalić, gdyż otrzymał pilną depezę z placówki CIA w Moskwie, a kiedy wrócił do sali sztabowej, miał bardzo dziwną minę - zupełnie, jak gdyby dostał odważnikiem w głowę. Prezydent zanotował w pamięci, że po spotkaniu musi wydusić z Quinna, co się takiego wydarzyło w Moskwie. W obecnej sytuacji przed podjęciem decyzji warto było rozważyć każdy najdrobniejszy fakt. - Czy mamy jakieś inne, konkretne dowody, że Rosjanie odstępują? - zapytał generała Reida Galloway'a.

Szef Połączonych Sztabów sił zbrojnych USA przytaknął bez wahania. - Owszem, mamy. Nasze maszyny AWACS nad wschodnią Polską wykryły dużą ilość rosyjskich samolotów bojowych na trasach z powrotem do Rosji. Nie kryją się, nie uciekają przed radarami, jednym słowem, nic nie wskazuje, że przygotowują zaskakujący atak czy coś takiego.

Galloway'a poparli oficerowie z RAF i amerykańskich sił powietrznych przy obu stołach. Prezydent spojrział prosto w obiektyw kamery i zapytał oficjalnie: - Jakie jest pańskie zdanie, panie premierze?

Anglik łypnął zza grubych szkieł okularów.

- Osobiście sądzę, panie prezydencie, że powinniśmy zdwoić wysiłki, by jak najszybciej pomyślnie zakończyć tę wojnę. - Zgadza się - powiedział prędko prezydent i odetchnął z ulgą, czując jak opada z niego cząstka nerwowego napięcia.

Wojna z Niemcami i Francją stanowiła poważny problem, jednoczesny konflikt z dwójką tych państw i Rosją oznaczał coś więcej - kataklizm.

Dla odmiany prezydent zajął się mapą Morza Północnego, na której zaznaczono własne siły morskie i konwoje. Skoro Rosjanie nie zamierzają się włączać do konfliktu, pora na ostateczną rozprawę z pierwszą parą przeciwników. Trzeba pokazać karty. Prezydent oświadczył więc pod adresem brytyjskiego premiera: - Skoro tak, najwyższy czas, byśmy zaczęli operację „Sianokosy”. Uważam, panie premierze, że powinniśmy jak najszybciej zatwierdzić ten plan.

- Wnoszę, że Ross Huntington skontaktował się z wami? - ożywił się premier.

- Owszem. Dzwonił, dobrze po północy. Potwierdził, że wszystko przygotowane. Kłopot polega na tym, że nasi nowi przyjaciele czekają, aż się pojawimy. Dopiero wtedy użyją własnych wojsk. Przy tych słowach prezydent obejrzał się na własnych doradców, w pełni świadomy, iż wielu z nich uważa plan za rodzaj politycznej ruletki. Gdyby nie powiódł się choć jeden z kilkunastu elementów przedsięwzięcia, straty wojskowe - nie mówiąc już o innych - musiałyby się okazać bardzo wysokie. -Zdaję sobie sprawę z ryzyka, ale i tak uważam, że się nam to opłaci.

Premier Wielkiej Brytanii porozumiał się wzrokiem z pozostałymi członkami gabinetu, po czym oświadczył zdecydowanym tonem: - Zgadzam się w imieniu całego rządu Jej Królewskiej Mości, panie prezydencie. Jeżeli uderzać, to natychmiast.

"- ?? ?"- Zezwalam na operację „Sianokosy” - zwrócił się z kolei prezydent do generała Reida Galloway'a. Szef Połączonych Sztabów uśmiechnął się radośnie, potwierdził rozkaz i przyzwał do siebie grupkę amerykańskich i brytyjskich wojskowych. Kiedy generałowie zaczęli omawiać szczegóły, prezydent skinął na jednego z osobistych sekretarzy.

- Proszę się połączyć przez kanał specjalny z naszą ambasadą w Holandii. Niech mi znajdą Rossa Huntingtona, tak na jednej nodze. Na pokładzie USS „John Hancock”,

Grupa Uderzeniowa 24.1 na Morzu Północnym w pobliżu Skagerraku Nawet w ciasnym szyku, dzięki któremu łatwiej było się bronić przed atakiem z powietrza lub spod wody, drugi wielki konwój z pomocą wojskową dla Polski zajmował ogromną połać morza. Morze Północne orały z prędkością 15 węzłów dziesiątki statków transportowych. W ładowniach wiozły czołgi M1A2, transportery M2, działa samobieżne i resztę sprzętu dwóch regularnych dywizji amerykańskich - 2. Pancерnej i 4. Dywizji Piechoty. USS John

Hancock" płynął trzydzieści mil morskich przed czołem głównego ugrupowania, kursem prosto na wschód. Opuszczona do wody, holowana pława hydroakustyczna szukała ech przeciwnika. Mimo że „Hancock” był okrętem flagowym amerykańskiej, brytyjskiej i norweskiej flotyli eskortującej konwój, tak wysunięta pozycja stanowiła konieczność, gdyż przeciwnikiem były ciche, niewielkie okręty podwodne. W bezpośrednim sąsiedztwie konwoju z jego szumem dziesiątek śrub, podwodnego wroga można było nasłuchiwać z równym skutkiem, co cykania świerszcza podczas galopady stada bizonów. Załoga na mostku i w centrali bojowej „Hancocka” denerwowała się coraz bardziej. Już tylko godziny dzieliły konwój od wejścia w wąski lejek Skagerraku, ulubione miejsce łowów ocalałych do tej pory niemieckich U-bootów. Pesymiści zdążyli już przezwąć cieśninę „cementarzem numer jeden” i choć „Hancock” płynął tą trasą po raz pierwszy, zła sława Skagerraku nie była dla nikogo tajemnicą. Te same wody zamknęły się już nad całym szeregiem okrętów z rejestru amerykańskiej marynarki, a wszystko to za sprawą niemieckich torped. W centrali bojowej niszczyciela komandor, Tom Weygandt, niski, rudowłosy dowódca konwoju, nachylił się nad stołem nawigacyjnym i obserwował jak oficer taktyczny wykreśla nowe kursy patrolowe dla samolotów przeciwpodwodnych P-3 Orion, eskortujących konwój przez Morze Północne. Weygandt także się denerwował w skrytości ducha, gdyż powietrznych aniołów-stróży miało wkrótce zabraknąć. Nad Skagerrakiem P-3 musiały zawrócić do baz, bo nawet przy okazałej eskorcie myśliwskiej, ze swoimi rozmiarami i małą prędkością stanowiły wymarzony cel dla lotnictwa Konfederacji. - Panie komandorze, dzwonek z dowództwa Floty Atlantyckiej. Cichy meldunek łącznościowca rozproszył na chwilę uwagę Weygandta. Komandor podniósł głowę znad mapy. „Dzwonek” oznaczał w marynarskiej gwarze pilną depeszę operacyjną, od której ważniejszy był już tylko „błysk” - depesza o kontakcie bojowym z przeciwnikiem. Co się dzieje? Komandor przebiegł wzrokiem przebitkę z tekstem depeszy. Jej treść okazała się krótka i zupełnie niepojęta, przynajmniej dla Weygandta, który miał słabą nadzieję, że przez lata służby od promocji w Akademii Marynarki w Annapolis, wyrobił sobie mimikę godną pokerzysty. Oficera amerykańskiej marynarki wojennej nie może zaskoczyć żaden rozkaz,

nawet najdziwniejszy - tak głosiła niepisana zasada. Do Weygandta przysunął się kapitan Avery, dowódca „Hancocka”. - Coś nie tak?

- Nie, nie, Rick, wszystko w porządku - zapewnił Weygandt i wrócił do mapy morskiej Skagerraku i okolic. - Wyznaczyli nam inny punkt docelowy. Zawiadom wszystkie okręty, że za pół godziny zmieniamy kurs.

Komandor wziął do ręki linijkę i od obecnej pozycji „Hancocka” odkreślił nową linię. Zamiast do Skagerraku, a stamtąd na Gdańsk, wiodła ona na południowy zachód.

Na pokładzie USS „Inchon”, grupa desantu morskiego na Morzu Północnym Dwieście mil na południowy zachód od „Hancocka”, ku coraz bliższym wybrzeżom płynęło dziesięć amerykańskich okrętów desantowych, wyładowanych piechotą morską, pojazdami desantowymi, amunicją i śmigłowcami. Ochronę stanowiło pięć dalszych okrętów - jeden krążownik klasy Ticonderoga, dwa niszczyciele klasy Spruance i dwie fregaty klasy Perry. Jednostki desantu różniły się między sobą rozmiarami, poczynając od trzystumetrowej długości lotniskowca śmigłowcowego Wasp, aż po zupełnie małe okręty desantowe i transportowe. Okrętem flagowym grupy desantu był USS „Inchon”, lotniskowiec desantowo-śmigłowcowy klasy Iwo Jima o wyporności 20 tysięcy ton. Admirał Jack Ward czekał na skraju dwustumetrowego pokładu startowego lotniskowca, niespokojny, choć przecież po wszystkim, czego się naoglądał, niewiele mogło go wyprowadzić z równowagi. Cóż, może i niewiele. Czy można się jednak nie denerwować wizytą „pełnomocnika prezydenta USA”, który na dodatek ma przybyć drogą powietrzną z Hagi, stolicy rzekomo neutralnej Holandii? Na polecenie dowódcy Floty Atlantyckiej, Ward przeniósł się poprzedniego dnia wraz ze sztabem na pokład „Inchon”, opuszczając lotniskowiec „George Washington”. Zapewne chodziło o nadchodzące spotkanie. Depesza informowała tylko że tajemniczy pełnomocnik przekaże flocie „nowe polecenia” - przypuszczalnie tak poufne, że nie można ich było przesłać liniami łączności czy nawet powierzyć osobie innego kuriera. Dobrze, polecenia, ale w jakiej sprawie? Ward nie znosił szpiegowskich melodramatów, dobrych może w kinie, ale na pewno nie w nowoczesnej organizacji, w której służył. Od kilku minut radary pokładowe „Inchon” śledziły zbliżający się

samolot-pionowzlot V-22 Osprey z lotnictwa piechoty morskiej. Admirał i kilku „niezbędnych specjalistów”, w większości ekspertów od desantów morskich, czekali więc na nieproszonego gościa. Chociaż Ward wiedział, że nie chodzi o nikogo z waszyngtońskiej administracji, nie miał zamiaru lekceważyć osoby, z której zdaniem liczy się prezydent kraju. Gdyby się okazało, że nowy gość rzeczywiście coś może w Białym Domu, Ward miał szczery zamiar wyciągnąć z niego trochę szczegółów. Ostatnio namnożyło się sporo pytań bez odpowiedzi. Na przykład, z jakiej przyczyny dziesięcioletnia brygada sił ekspedycyjnych z piechoty morskiej na pokładzie „Inchon” i pozostałych okrętów czeka na Morzu Północnym, zamiast płynąć prosto do Gdańska? I drugie pytanie, jeszcze bardziej istotne: dlaczego druga grupa regularnych dywizji wojska, tak potrzebna w Polsce, zmieniła kurs na północno-zachodni i płynie w stronę grupy desantowej? Dlaczego sztabowcy z Pentagonu zaczęli się wtrącać w listę celów do bombardowań? Bez żadnego wyjaśnienia kazano Wardowi skupić się na jednych obiektach, a inne zupełnie pominąć. Admirał wydał wargi. Nie było dnia, by jego sztabowcom nie trafiała się okazja do nowej rundy utyskiwań na „ręczne sterowanie” z Waszyngtonu i Londynu.

Samolot - wielki Osprey - pojawił się w polu widzenia i zwolnił lot, a gondole jego silników przekreśliły się z poziomu do pionu. Samolot zawisł w powietrzu jak śmigłowiec i gładko usiadł na pokładzie lotniskowca. Warda mocno ciekawiło, co będzie dalej. Dostojnikom oddawało się zwyczajowo honory wojskowe. Ciekawe, jak wystawnego przyjęcia spodziewa się „specjalny pełnomocnik”? Etykieta miała na okrętach drugorzędne znaczenie - dopóty, oczywiście, dopóki ktoś nie strzelił porządnej gafy. Po dłuższych dyskusjach sztabowcy doradzili, by gościa przywitała kompania honorowa, złożona z żołnierzy piechoty morskiej i zredukowana do siły drużyny. Żołnierze, w połowych mundurach i z pełnym uzbrojeniem, przebiegli pokład i ustawili się jak pod sznurek przy zielonej, łaciatej burcie Ospreya. Kiedy otworzyły się boczne drzwi samolotu, dowodzący grupą sierżant krzyknął: - Pokład, baczność!

Dwunastka żołnierzy wyprężyła się dumnie. Ward także zlustrował drużynę, oceniając w duchu jej prezencję. Wysportowani, zwinni, gotowi do walki - jednym słowem, powinni się spodobać. Zupełnie

inaczej przedstawiał się tajemniczy „pełnomocnik”. Warda zaskoczył najpierw jego wzrost, tak znaczny, że w drzwiach samolotu gość musiał zgiąć się prawie we dwoje. Gdy się powoli wyprostował, jego ciemnopopielaty garnitur i skórzana teczka wyglądały bardzo dziwnie pośród zieleni mundurów. Wysłannik prezydenta był szczupły, wręcz chudy. Szpakowate włosy nadawały mu szlachetny wygląd, lecz było także oczywiste, iż jest bardzo zmęczony i wyczerpany - jak gdyby czas dawnej tężyzny przeminął dla niego bezpowrotnie. Gość zszedł ostrożnie po schodkach, uważnym spojrzeniem omiatając najpierw szereg żołnierzy, a potem resztę scenerii. Nawet z odległości Ward dostrzegł nowy błysk w oku wysłannika, który wyprostował się nareszcie, podszedł do salutującego sierżanta i uściśnął mu dłoń. Po tym geście nieznamy odwrócił się do czekającego parę kroków dalej Warda. - Panie admirałe, dziękuję za to przywitanie. Nazywam się Ross Huntington.

Ward uściśnął mu rękę, instynktownie czując, że nowy znajomy wzbudza w nim zaufanie. Wbrew smętnym oczekiwaniom admirała, zamiast nadętego kutasa, od jakich się roi w Waszyngtonie, prezydent przysłał nareszcie kogoś normalnego. Ward domyślał się, że muszą być z Huntingtonem w tym samym wieku, z tą jednak różnicą, że wysłannik prezydenta wyglądał starzej i był w dużo gorszej formie. Ciekawe, kto to taki i dlaczego wszyscy go traktują jak męża opatrnościowego?

Przeźren powietrzna nad Gdańskiem

Para rozpoznawczych samolotów Mirage UIR ze skrzydłami typu delta na niskiej wysokości przeskoczyła nad Sopotem i skręciła na południe, tam, gdzie rząd żurawi portowych wyznaczał baseny portowe Gdańska. Przy prędkości 1100 kilometrów na godzinę nadmorskie hotele i pensjonaty Sopotu zlały się w migotliwy kalejdoskop dachów, kominów i pasów żółtego piasku. Od wschodu, aż po horyzont, rozpościerała się toń Bałtyku. Kapitan Charles Bertaud, pilot pierwszego Mirage, przycisnął guzik aparatury fotograficznej, umieszczony na drążku sterowym. Wraz ze skrzydłowym, porucznikiem Simonin, znajdowali się już tylko o parę sekund lotu od wyznaczonego terenu. Fantastyczne! Sztab obiecał wprawdzie, że aby odciągnąć znad Trójmiasta lotnictwo myśliwskie przeciwnika rzuci duże siły na inne cele, lecz i tak to, że obie maszyny nie niepokojone dotarły aż nad Gdańsk wydawał

się graniczyć z cudem. Cuda nie trwają jednak długo.

- Rakiet! Uwaga, z tyłu rakie... - Przerażony krzyk porucznika Simonin urwał się nagle, przzerwany hukiem, a potem szumem w słuchawkach. Drugi Mirage zniknął, zmieniony w płomienisty rozbryzg. Bertraud natychmiast znurkował w serii uników, która wyniosła go daleko nad morze. Daleko przed sobą ujrzał mikroskopijną strzałkę, która wlokąc za sobą ogon dymu i płomienia przemknęła po niebie, po czym eksplodowała. Kapitan znów położył Mirage w zakręt, próbując dostrzec myśliwiec, który wypuścił w nich pociski. Nic. Tu też nic. O, tam! Francuski pilot na mgnienie ujrzał za sobą cień dużego myśliwca z podwójnym usterzeniem. F-15! Naraz jednak ścigający go myśliwiec odwrócił się bokiem, błysnął skrzydłami... Dlaczego rezygnuje z pościgu? Przez ułamek sekundy w Bertaud zagrał instynkt drapieżcy. Chociaż jego Mirage był maszyną rozpoznawczą, miał pod skrzydłami - właśnie z myślą o takich okazjach - dwa naprowadzane na podczerwień pociski rakietowe. A gdyby tak ruszyć za uciekającym Eagle i zemścić się? Za porucznika Simonin? Za Francję? Przeważył jednak rozsądek. Pilot F-15 miał wszelkie powody, by zrezygnować z pościgu. Zapewne znajdował się tuż na granicy zasięgu pocisków ziemia-powietrze rozstawionych wokół gdańskiego portu, a zatem prawie wewnątrz strefy, w której każdy samolot zostawał automatycznie uznany za cel dla baterii rakiet Patriot i Hawk. Bertaud mocno przyciągnął do siebie drążek, zawracając Mirage z powrotem na południe. Portowe żurawie Gdańska były już bardzo blisko, jeszcze tylko parę kilometrów... W słuchawkach rozległ się potrójny brzęczyk urządzenia ostrzegawczego. Francuski pilot znurkował tuż nad fale, chowając się przed radarową wiązką z aparatury poszukiwawczej przeciwnika. Lecący dosłownie parę metrów nad powierzchnią morza, Mirage dygotał i chwiał się, przewiercając się przez falujące warstwy powietrza. Bertaud nie miał już nic do stracenia. Mocniej ścisnął drążek i dalej sunął przez powietrzną turbulencję w stronę polskiego portu. Z coraz bliższego wybrzeża wyskoczył mu na spotkanie kolejny pocisk rakietowy, w postaci kolumny dymu wspinając się w niebo. Kapitan zmartwił. Wiedział, że nie ma już ani czasu, ani też zapasu wysokości. Mógł tylko mknąć dotychczasowym kursem i odmawiać pacierz. Przy odrobinie szczęścia amerykański pocisk mógł go zgubić na tak minimalnej wysokości. Szczęście nie opuściło go w

samej rzeczy. Rakieta przeszła górą i eksplodowała daleko za Mirage. Zanim bateria przeciwlotnicza zdążyła odpalić następną, Bertaud był już nad miastem. Popchnął dźwignię, by wyjść ponad dachy domów, magazynów i hal fabrycznych, a jednocześnie znów przycisnął guzik aparatury fotograficznej. Jeszcze sekunda i... Nie zmniejszając prędkości, Mirage z hukiem przemknął nad ostatnim rzędem zabudowań i wypadł nad zatłoczone baseny portowe. Bertaud wyrównał lot i rozpoczął serię zdjęć. Przemknął nad portem tylko raz, jak się dało najszybciej, rozsypując za sobą po niebie race dla zmylenia rakiet przeciwlotniczych z pokładów frachtowców. Przy nadbrzeżach stało na cumach dobre kilkanaście wielkich statków transportowych. Na widok samolotu setki ludzkich sylwetek rzuciły się szukać ukrycia. Wzdłuż brzegu Bertaud zauważył niezliczone rzędy ciasno upchanych pojazdów wojskowych. Wielki Boże! Bertaud przełączył się na nadawanie.

- Oko Baza, tu Oko Jeden! Amerykanie wyładują ciężki sprzęt! Powtarzam, Amerykanie zaczęli wyładunek czołgów! Zadanie wykonane pomyślnie. Bertaud zawrócił maszynę i na dopalaczu zaczął uciekać znad Gdańska. Nie dostrzegł nawet naprowadzanego radarem pocisku, który skoczył za nim ze wzgórz. Potężna głowica bojowa pocisku Hawk wybuchła tuż przy prawym skrzydle odrzutowca, odrywając je całkowicie. Spowity płomieniami Mirage zwałił się do wody i uderzając w nią rozerwał się na strzępy.

Paryż, Palais-Royal

Niekompletny meldunek kapitana Bertaud dotarł do Paryża dobrze po zmroku. Nicolas Desaix, który naradzał się na osobności z ministrem obrony i dyrektorem DGSE, na tak straszliwą wiadomość zgarbił się i zapatrzył tępym wzrokiem w blat biurka. Gdzie podziało się uniesienie, jakie poczuł rankiem, gdy ambasador Sauret zawiadomił go, że Rosjanie chcą się włączyć do wojny? Desaix czuł, że się dusi. Zamrugał oczami, nie patrząc na współpracowników. Wieści z Moskwy były nadal niejasne. Nie ulegało jednak wątpliwości, że marszałek Kaminow i jego zaufani oficerowie nie żyją. Wraz z ich śmiercią, oddaliły się bezpowrotnie widoki na nowy traktat rosyjsko-francuski. Co gorsza, wyglądało na to, że do władzy wróci cywilny prezydent Rosji, który bądź co bądź słynął z pro-amerykańskiego nastawienia. Jak w ogóle do tego doszło? Kto zdradził? Desabc na próżno szukał odpowiedzi u Morina. - Nadal nie zdołał pan się

skontaktować z majorem Duroc?

- Niestety nie - wyznał szef wywiadu z nader wystraszoną miną. - Nikt z naszej ambasady od dwudziestu czterech godzin nie widział majora ani jego ludzi.

- Jak to możliwe?!

Michel Guichy drgnął na te słowa i odezwał się szorstko:

- Możliwe czy niemożliwe, takie są fakty, Nicolas. Agenci zniknęli. Może być i tak, że nie żyją albo siedzą w pudle. Z naszego punktu widzenia żadna różnica, bo nie o to chodzi. Mamy teraz większe zmartwienia. Posłuchaj! Bez wsparcia ze strony Rosjan została nam już tylko jedna szansa. Musimy zdobyć Gdańsk zanim wyląduje tam jeszcze więcej Amerykanów. Inaczej klęska!

- Tyle to wiem i bez ciebie, Guichy! - Zdenerwowanie i rozpacz odarły Desaix z ostatnich pozorów dobrych manier. Choć z trudem, opanował się jednak. - Porozumiałeś się z dowódcami wojsk na wschodzie?

- Owszem. Mówią, że to nadal możliwe.

- Jakim cudem? - prychnął Desabc, lecz po raz pierwszy od wielu godzin poczuł przyływ nadziei. Może uda się jeszcze wygrać tę wojnę?

- Te jednostki pancerne, które zauważył pilot, są na razie w trakcie rozładunku. Polskie i amerykańskie dywizje pod Bydgoszczą walczą osłabione i rozciągnięte na dużym obszarze - tłumaczył minister obrony. - Generał Montagne i jego oficerowie ręczą, że jeśli nasze czołgi przerwą tę linię obronną i ruszą naprzód, zatrzymamy się dopiero w porcie.

- Kiedy wznawiamy natarcie? - zapytał zupełnie odmienionym tonem Desabc.

- Jutro, o pierwszym brzasku.

35

Katakлизм

2 lipca - sztab 19. Brygady Grenadierów Pancernych pod Gnieznem Podpułkownik Willi von Seelow nadal szlifował plan taktyczny, próbując obmyślić manewr, który dałby brygadzie wyraźną przewagę w nadchodzącym starciu. Na topografię i zegarek nie miał wpływu i zdawał sobie aż za dobrze sprawę, iż jeśli jeszcze tego dnia brygada nie przerwie frontu i nie ruszy na północ, przegrają wyścig do Gdańska. Willi wiedział też doskonale, ile są warci

Amerykanie jako żołnierze. Od początku służby w Armii Ludowej NRD szkolono go w walce z „agresorami z NATO”. Po zjednoczeniu z kolei, nie raz brał udział we wspólnych ćwiczeniach z sojusznikami RFN zza oceanu. Gdyby nie pojedyncza dywizja amerykańska oko-pana przed pozycjami Konfederacji, 19. Brygada byłaby już w połowie drogi do Gdańska. Nie dość na tym, bo uporczywy opór, jaki Amerykanie stawili w pierwszym starciu pod Świeciem, stanowił dopiero przedsmak tego, na co się zanosilo w przyszłości. Przy nadbrzeżach polskich portów zdążyła już przycumować cała armada statków, wyładowanych czołgami Abrams, transporterami Bradley, ciężarówkami i amunicją, a na lotniskach co kilka minut lądowały międzykontynentalne odrzutowce pasażerskie z żołnierzami. Uporządkowanie szyków i odnalezienie sprzętu musiało oczywiście zabrać Amerykanom trochę czasu - dokładnie tyle, ile go miała Konfederacja, żeby zdobyć Gdańsk. Sztab II Korpusu powierzył to zadanie generałowi Leibnitzowi i jego 7. Dywizji Pancerniej, a Leibnitz bez namysłu puścił przodem swoją „krwawą dziewiętnastkę”. Willi cieszył się, że generał tak sobie ceni bojowość 19. Brygady Grenadierów. Decyzja wydawała mu się słuszna także z wojskowego, nie tylko ambicjonalnego punktu widzenia. Brygada stanowiła jedyny w 7. Dywizji duży oddział piechoty, toteż nadawała się lepiej od związków pancernych do walki w trudnym, lesistym i sfałdowanym terenie na północ od Bydgoszczy. Grenadierom von Seelowa przyszło torować drogę idącym w drugim rzucie brygadam pancernym. Willi odłożył wreszcie ołówki i rozparł się wygodnie, zadowolony z wyniku przygotowań. Biorąc pod uwagę warunki, plan wydawał mu się idealny. - Czy o czymś nie zapomniałem, majorze? - zapytał na wszelki wypadek swojego oficera operacyjnego. Thiessen także orzekł, że wszystko gra. Wokół nich, w całym obozowisku trwały intensywne przygotowania do nowego natarcia. Od prawie dwóch dni 7. Dywizja Pancerna pozorowała działania pod Błędzimiem, wiążąc tam silnie umocnioną obronę amerykańską. Teren na tamtym odcinku nadawał się doskonale do działań siłami wojsk pancernych. Nietrudno było więc uznać, że właśnie tamtędy pójdzie uderzenie. Jeden z przetrzebionych batalionów pancernych z wielkim powodzeniem straszył Jankesów, hałasując jak cała dywizja. Willi von Seelow i jego żołnierze upatrzyli sobie tymczasem inny cel. Widząc ruch obok transportera, Willi wytknął głowę na zewnątrz

i prędko wyskoczył z wozu, bo na punkt dowodzenia przybył Leibnitz, a z nim francuski generał brygady o twarzy ściągniętej grymasem wiecznej drwiny. Willi omal nie splunął na ten widok, ale przywitał się z Francuzem jak gdyby nigdy nic. Przy okazji przypomniał sobie, jak brzmi jego nazwisko: Cambon, oficer operacyjny II Korpusu. Po przywitaniu Leibnitz zapytał z miejsca: - Są jeszcze jakieś problemy, Willi? Czy wszystko jak trzeba? - Wszystko w porządku. Bataliony idą już na pozycje wyjściowe. - Panowie chyba rozumieją, ile zależy od tego natarcia - wtrącił się Cambon. - Będę z panami szczery. Generał Montagne miał poważne wątpliwości czy można powierzyć zadanie właśnie tej brygadzie, po jej wszystkich wcześniejszych porażkach. Willi miał olbrzymią ochotę przyłać Francuzowi prosto w krzywą gębę. Było jasne, że góra zapamiętała sobie, jak popędził kota uciekającej przez Wartę francuskiej 5. Dywizji i jak zburzył cały misterny plan forsowania Noteci, gdy brawurowym atakiem zdobył most w Rynarzewie. Leibnitz musiał chyba wyczuć złość podwładnego, bo zapewnił prędko: - Osobiście zapoznałem się z planami pułkownika von Seelowa i wydają mi się doskonałe. Pułkownik zna się na taktyce jak mało kto i ma pełne prawo poprowadzić to natarcie, - Jak pan uważa, generale - uciał Cambon, który najwyraźniej nie miał ochoty na dalsze dyskusje i zaraz włączył się w tłumek oficerów wokół mapy. Willi zmarszczył brwi. Ciekawe, dlaczego skoro sztab II Korpusu tak się trzęsie o powodzenie planu, odmówił 19. Brygadzie wsparcia artyleryjskiego? Willi mógł liczyć tylko na garstkę niemieckich baterii z dywizji. Było oczywiste, że francuski dowódca korpusu zamierza po niemieckich trupach wejść w wyłom w obronie amerykańskiej dywizji i -jeśli natarcie rzeczywiście się powiedzie - skierować własnych żołnierzy w gotową lukę. Gdańsk mieli zdobyć Francuzi. Im też miała przypaść cała zasługa. Leibnitz ruszył w ślad za Cambonem, a Willi westchnął w duchu. Co to za dowodzenie, kiedy przez ramię zagląda co rusz dowódca dywizji? Z jednej strony zaszczyt, owszem - miło jest czuć, że brygada stanowi Schwerpunkt całego planu. Ale żeby tak bez przerwy patrzyli człowiekowi na ręce? W dodatku jeszcze ten Francuz... Ciekawe, co napyskuje w sztabie Korpusu? Komu podkabluje? Willi dał sobie spokój z domysłami. Zrobiło mu się dokładnie wszystko jedno, tym bardziej że naprawdę postawił w tym

natarciu wszystko na jedną kartę. Siły przeciwnika były na wyczerpaniu, rozciągnięte na dużym obszarze i pozbawione drugiej linii obrony. Co do tego ostatniego faktu, Willi miał tym razem zupełną pewność. Udane natarcie otwierało drogę ku morzu. Gdyby plan się powiódł, niemiecka 7. Dywizja Pancerna miała szansę zapukać do bram Gdańska przed Francuzami, odciąć amerykańską pomoc wojskową od Polski, jednym słowem - zwyciężyć! A jeśli się nie uda? Ha, wtedy opinia Leibnitza czy Francuzów na temat podpułkownika von Seelowa nie będzie już taka ważna. Dlaczego? Dlatego że Konfederacja przegra wojnę.

Kompania A

Najpierw doleciał do nich z oddali głuchy grzmot artylerii. Reynolds bez słowa popędził prosto na stanowisko dowodzenia. Polscy i amerykańscy żołnierze rzucili się ku okopom i wozom bojowym. Polacy stanowili ocalałą resztkę 314. i wraz z kompanią A tworzyli ruchomy odwód 3. Brygady. Dwadzieścia parę czołgów i transporterów, dowodzonych przez majora Mirosława Prażmę, nie mogło się oczywiście mierzyć z nacierającym korpusem pancernym, ale innego wsparcia nie było. Sierżant Andy Ford i major Prażmo czekali już na stanowisku dowodzenia. Przed chwilą urwała się łączność telefoniczna, - Z brygady cisza. Sprawdzają, co się dzieje z łącznością z dywizją, Polski oficer, niski, ciemnowłosy czołgista, przekrzywił głowę i wsłuchał się w kanonadę, której jednostajny, zbyt miarowy pomruk zupełnie nie przypominał odgłosów burzy. - To chyba poważne... bicie się - zauważył kulawą angielszczyznę. - Muszę do ludzi - dodał jeszcze i wybiegł na dwór. Kompanijny punkt dowodzenia mieścił się w baraku narzędziowym dużego gospodarstwa rolnego na południowym skraju wsi Biała, dziesięć kilometrów na północ od Świecia. Kompania kwaterowała tu od dwóch dni, podczas których panował względny spokój. Niemcy uderzyli na pozycje 101. Dywizji i zaraz odskoczyli, aby zebrać siły. Pogłoski mówiły, że cisza jest tylko chwilowa. Nie było natomiast jasne, któredy ruszy nowe uderzenie. Reynolds, Ford i kapral Adams - łącznościowiec kompanii - stanęli w drzwiach baraku i wbili wzrok w teren po zachodniej stronie, a właściwie nastawili uszu, jako że większość informacji o tym, co się dzieje, musieli wyłapać na słuch. - Chyba tłuką w Błądzim - domyślił się Ford. Reynolds porównał teren z mapą i przytaknął z roztargnieniem.

- Jeśli Niemcy się tamtędy przebijają, będziemy musieli raz dwa zwiewać, bo inaczej gotowi nas tu okrażyć - wymamrotał. Cokolwiek sobie myślał, decyzja o tym, gdzie rzucić kompanię A należała w całości do Colby'ego i sztabowców z wyższego szczebla. Reynoldsowi było aż nieprzyjemnie pomyśleć, że kto inny będzie decydował o jego losie, ale trudno. Nie sterczeli tutaj dla własnej przyjemności.

Na razie nadaremnie szukał sobie zajęcia, by zabić czas oczekiwania. Nie cierpiał przymusowej bezczynności. Kiedy inni się biją, jemu przyjdzie przez cały ranek siedzieć, nasłuchiwać i próbować się zorientować w sytuacji ze strzępów meldunków radiowych i telefonicznych. Trach! Najbliższą okolicą zatrzęsa nagle potrójna eksplozja, tuż obok wsi. Zaskoczony Reynolds skarcił w duchu niemieckich artylerzystów, że aż tak paskudnie chybili i dopiero po paru sekundach uświadomił sobie, że to on sam się myli. Niemcy celowali w jego kompanię! W następnej chwili usłyszał nad głową przenikliwy wizg odrzutowców. A więc to nie artyleria...? Wypadł przed barak i zdążył jeszcze ujrzeć, jak srebrne strzałki samolotów zakręcają na zachód. Nad Białą, a także nad stanowiskami obronnymi kompanii A, kłębiły się obłoki czarnobrunatnego dymu. Kilka sekund później do kapitana doszedł świst pocisków artyleryjskich. Ależ nawała! Reynolds bez namysłu padł na ziemię i przytulił się do podmurówki baraku. Seria przeraźliwych eksplozji była tak długa, jak gdyby Niemcy próbowali rozpruć skorupę ziemską. Na szczęście po kilku salwach ogień przeniósł się w inną stronę. Reynolds podniósł się na klęczki i rozejrzał po okolicy. Niemcy strzelali teraz w pozycje majora Prażmo. Ciekawe, czy Polacy mieli czas się ukryć w wozach? Inne baterie przeciwnika ostrzeliwały dalsze odcinki - nie to, żeby bardzo dalekie, przeciwnie. Co się dzieje? Teorie o ataku na Błędzim można sobie było wybić z głowy. Reynolds wpełzł ostrożnie do baraku. Nachmurzona mina sierżanta Forda zwiastowała najgorsze. Nawet nie warto pytać... - Melduj! - rozkazał jednak. - Drugi pluton dostał, i to mocno - wydusił z siebie sierżant. - Poszły na nich bomby kasetowe, prosto na głowę. Trzech zabitych, około dziesięciu rannych. Podporucznik Riley nie żyje. Dwóch rannych trzeba zaraz odesłać na tyły. Aha, rozwaliło nam jednego Hunwee razem z wyrzutnią pepanc. Reynolds poczuł nagłe dławienie w piersi. Jeden niemiecki nalot

spowodował większe straty niż całe starcie, jakie trzy dni temu stoczyła kompania A. Dlaczego? Niedopatrzenie dowódcy? Reynolds zrobił rachunek sumienia i chociaż uznał, że o wszystko zadbał jak trzeba, wcale nie poprawiło mu to samopoczucia. I co dalej? Wojna to wojna, ludzie giną i trzeba się z tym pogodzić, ale tym razem chodziło o jego własnych żołnierzy. Trudno, nie pora na pytania. Trzeba działać. Kiedy wezwali pomoc medyczną z tyłów, dowiedzieli się przy okazji, że Niemcy atakują brygadę na całym froncie. Z lasów na przedpolu wyszły wozy pancerne, a na pozycje obronne zwała się lawina bomb i pocisków. Silne zagłuszanie na częstotliwościach radarowych i radiowych. Koniec wątpliwości. Niemcy wznawiali natarcie, jeszcze szybsze i brutalniejsze niż te dotychczasowe. Ford musiał dłuższą chwilę opieprzać kaprala na drugim końcu linii. Słychać było, że podoficer ma największą ochotę natychmiast dać drapaką do Gdańska. - Idą na nas - odezwał się Ford do Reynoldsa, kiedy wreszcie odłożył słuchawkę. - Cały arsenał: czołgi, transportery, rowery i bajery.

Do baraku wpadł Prażmo. Jeden rękaw munduru major miał oblepiony krwią, ale chyba cudzą, bo gestykulował jak opętany i zanim Reynolds zdołał go wprowadzić w sytuację, przerwał z krzykiem: - Trzeba się zabierać, kapitanie! Zabierać! My, wy, wszyscy! Niemcy idą prędko. Jak cholera. Wasi generałowie nie wiedzą, jak prędko!

Reynolds próbował oponować, lecz Polak znów przerwał i wskazał mu punkt na mapie, dwa kilometry na wschód od Białej, gdzie wokół szosy numer 5 rozpościerała się kilkukilometrowa plama lasu. - Musimy się bronić, o tutaj! Jak Niemcy ruszą, pójdą w to miejsce, popatrzcie - tłumaczył gorączkowo, sunąc palcem po mapie wzdłuż szosy na Gdańsk. - To ostatnia przeszkoda. Zapora, czy jak to się mówi... Jak przejdą, puszczą czołgi po równym... Reynolds przyjrzał się uważnie mapie, próbując wbrew naleganiom Prażmy przemyśleć najpierw decyzję. Jako odwód brygady, jego pododdział musiał strzec odcinka prawie dziesięciu kilometrów. Przerzut we wskazane miejsce zabierze im jakiś czas. Potem trzeba się będzie okopać... A jeśli nie zdążą? Będą stać w szczerym polu i przyglądać, jak Niemcy biorą ich pod gąsienice?

Z drugiej strony pomysł, żeby zablokować szosę był najbardziej sensowny ze wszystkich. Inne drogi w całej okolicy prowadziły w bok albo wiły się w trudnym, pagórkowatym terenie. Co innego

główna szosa. Kapitan przystał na plan Prażmy i kazał Fordowi przygotować kompanię do przemarszu. W Białej nie mogli zostać tak czy siak - nie w sytuacji, kiedy przeciwnik zna ich pozycję i może spokojnie prowadzić ostrzał. Taki jak przed chwilą, jeśli nie gorszy. Nie wolno było jednak podejmować decyzji bez zgody brygady. Adamsowi udało się połączyć ze sztabem. Iwersona nie było - objeżdżał inne bataliony. Szef sekcji S-3 - operacyjnej - prędko zatwierdził plan Reynoldsa. - Obsadźcie ten las i miejcie oko - polecił i niewesołym tonem ostrzegł: - Tylko uważajcie, bo Niemcy nie manewrują, tylko walą pełnym gazem naprzód. Dudnienie artylerii utonęło na chwilę w łoskocie czołgowych silników. Reynolds wybiegł przed barak, by ujrzeć, jak mija go rozpędzona kolumna T-72 i bojowych wozów piechoty. Tak jak się tego spodziewał, żołnierze kompanii A jechali na górnych pancierzach, a Polacy ścieśnili się w przedziałach desantu. Czołg Prażmy przystanął, czekając aż Reynolds, sierżant Ford i kapral Adams wskoczą na pancierz, a potem znowu wystrzelił na wschód. Rzucano jak wszyscy diabli, toteż Reynolds dziękował Bogu, że teren jest względnie równy. Kierowca T-72 Prażmy pędził na przełaj wprost na las, odległy już tylko o kilometr. A co w Białej? Wyglądało, że ostrzał ucichł. Czyżby Niemcy zauważyli całą ewakuację i szli teraz tropem kompanii?

Kapitan poderwał głowę, gdyż nad czołgami znowu rozległ się świst, dużo głośniejszy niż wizg pocisków. Obok przemknął klucz śmigłowców szturmowych AH-64 Apache, nisko i na pełnej prędkości. Kilka chwil później nad polami przetoczyły się dwa następne klucze Apache. Widok ucieszył Reynoldsa, lecz zarazem zaniepokoił. Taka chmara „latających czołgów” musiała napędzić Niemcom sporego stracha, ale skoro dywizja rzuca tak ważny odwód do boju już na początku walki, sytuacja wygląda pewnie niewesoło. Śledząc ciągnące na południe śmigłowce, Reynolds zauważył na niebie nowe sylwetki, dalekie lecz wyraźnie widoczne ponad horyzontem. Myśliwce. Kiedy przechyliły się na skrzydło, zakręcając w kierunku pola bitwy, kapitan rozpoznał w nich Phantomy F-4. Produkcji amerykańskiej, lecz w barwach Luftwaffe. No, to klops. Tym razem piloci Apache nie mogli już wyczyniać, co zechcą. Reynolds znowu poczuł się bezbronny. Korciło go, żeby zeskoczyć i ukryć się pod byle drzewem, zejść myśliwcom z widoku. Stalowe pudło czołgu było twarde jak kamień - wymarzone kowadło

dla młota niemieckiej bomby. Reynolds mimo lęku próbował jednak zebrać myśli. Za sobą, po prawej stronie, widział cały pas terenu między lasem i zabudowaniami Świecka. Na północnym skraju miejscowości, tuż za pasem zabudowań, rozpościerały się pola zbóż i ugory. Samo Świecie zmieniło się w kłębowisko czarnego i szarego dymu, z którego nawet na tę odległość dobiegał trzask armat czołgowych i pocisków artyleryjskich. Przy skraju lasu, kiedy kierowca T-72 zmniejszył obroty, do uszu Reynoldsa dotarł nawet odgłos broni maszynowej. Między skrajem lasu i polami nie było żadnych zarośli. Drzewa były stare, dość rzadkie i prawie bez podszycia, przeważnie iglaste - na tyle grube, by dać schronienie piechurom, ale w sam raz, by od biedy mogły między nimi manewrować czołgi. Od południowego zachodu na północny wschód, na odcinku kilkuset metrów, przecinała las krecha niedawno poszerzonej czteropasmowej szosy numer 5. Za szosą i skrajem lasu, otwarty, podmokły teren opadał ku Wiśle. Czołgi Prażmy zatrzymały się przy linii drzew, by Amerykanie mogli zeskoczyć. Po skoku z pancerza T-72 Reynolds pozbierał się i znalazł sierżanta Forda. - Teraz tak, Andy... Po pierwsze, trzeba rozstawić czujki. Rozprowadź pierwszy pluton, niech pilnują, żeby się nam tutaj kto nie podkradł. Ja tymczasem obejdę teren i wybiorę stanowiska dla wyrzutni... Kapitan nie dokończył, gdyż podbiegł do nich Prażmo. Ford z zakłopotaną miną odezwał się pierwszy:

- Ja tam nie wiem, panie kapitanie, czy mamy czas, żeby...

Przenikliwe wycie, jakie przetoczyło się naraz nad lasem, sprawiło, że wszyscy padli na ziemię. W górze mignęły trójkątne skrzydła Phantoma z maltańskimi czarnymi krzyżami Luftwaffe. Myśliwiec nie zaatakował, ale wystarczało, że wykrył nową pozycję obronną. Reynolds nadal próbował w tym hałasie wydawać Fordowi rozkazy, choć musiał przekrzykiwać Prażmę, który wydawał głośnie polecenia Polakom. Słuchająca go grupka oficerów i dowódców drużyn zaszalutowała i rozbiegła się do maszyn. Polak odwrócił się i niecierpliwie czekał, aż amerykański kapitan dokończy kwestii. Ford nadal miał wątpliwości.

- Szefie, nie ma czasu na takie zabiegi. Z tego, co mówili druciarze, Szwaby popędziły kota całej reszcie brygady. Prażmo krzyknął coś niespodziewanie i wskazał na południe, a potem zachłystując się wydał po polsku nowe rozkazy. Zaraz też

wyjaśnił po angielsku, o co mu chodzi. - Czołgi! Od południa niemieckie czołgi! Są w Świeciu! Chryste Panie! Reynolds pochwyił lornetkę. Rzeczywiście, pomiędzy budynkami kręciły się kanciaste sylwetki Leopardów. 120 milimetrowe pociski burzące obracały w gruzy kolejne domy, gdzie bronili się Amerykanie. Ponad hukiem czołgowych armat niosły się gęste serie karabinów maszynowych. Reynolds zdusił w sobie uczucie paniki. Najpierw walka! Nie zdążyli się przygotować, więc do roboty! Gdyby mieli trochę więcej czasu... Gdyby, gdyby! Było jasne, że Niemcy nadciągną lada chwila. Kapitan wypuścił lornetkę i zwrócił się do Forda:

- Wszyscy mają się ukryć, a najlepiej niech odskoczą ze czterdzieści metrów od skraju lasu, żeby nam nie przywalili, jak będą ostrzeliwać krawędź pola. Jazda, ja zaraz dołączę! Kierowca majora Prażmy cofał już swój T-72 między drzewa, wykręcając tak, jak mu pokazywał młodziutki kolega z załogi. Reynolds omiół wzrokiem teren i zaproponował: - Majorze, ja wezmę cały odcinek na wschód od tego miejsca, a wasze czołgi i transportery ten zachodni, od lasu do Białej, zgoda? - Dobrze, dobrze! - uspokoił go Prażmo. - Powiedziałem ludziom, co robimy. Tylko się pospiesz, kapitan - tu wskazał ręką na południe. - Mamy pięć minut, a potem już Niemcy.

Reynolds mógł sobie oszczędzić wzorowego umacniania pozycji obronnej. W myślach cisnął do rowu podręcznik taktyki FM 100-5 i truchcikiem ruszył w głąb lasu. Co trzeba postanowić, a czym się nie przejmować? W szkole wojskowej uczono go, że nie ma spraw nieważnych. Dobra, dobra...

Pierdolić podręczniki. Liczy się tylko to, żeby mieć czym przyładować w przeciwnika. Reszta spraw może sobie czekać. Pozostawało więc przywołać dowódców plutonów. Reynolds przydzielił do każdego plutonu po dwie wyrzutnie pocisków Javelin. Pierwszy pluton miał bronić odcinka na wschód od szosy, dwa pozostałe zaś terenu na zachód od niej, aż do czołgu Prażmy. Żołnierzom pierwszego plutonu trafił się też prezent w postaci sierżanta Forda. Nikt lepiej od niego nie umiał pokierować obroną izolowanego od reszty sił plutonu. Nie było rady, musieli bronić lasu na wschód od szosy, bo w przeciwnym wypadku niemieckie czołgi mogły łatwo przeskoczyć tamtą stroną całą pozycję obronną. Reynolds został przy drugim plutonie, tym samym, który dopiero

co stracił w bombardowaniu dowódcę. Zamiast podporucznika Riley'ego trafiał im się na pociechę Reynolds - też na „r”.

Dowódcy plutonów rozbiegli się po lesie. Ledwie to uczynili, nowy świst obwieścił początek kolejnej nawały artyleryjskiej. Pierwsza salwa uderzyła w pole, w sporej odległości od lasu. Reynolds czuł się wreszcie bezpiecznie za grubymi pniami -mniej więcej tak, jak pod namiotem, podczas okropnej burzy. Sam wiedział, jak złudne jest to bezpieczeństwo i modlił się, by żołnierze w porę odskoczyli od skraju lasu, czyli od miejsca, gdzie w tejże chwili zaczęła lądować następna salwa. Adams dwoił się i troił, rozstawiając radiostację i żłobiąc sobie ukrycie. - Rzuć tę łopatkę i łącz z brygadą! - polecił mu Reynolds. Kapral przytaknął i sięgnął do pokręteł radiostacji, ostrzegając:

- Strasznie zagłuszają! Już raz próbowałem się łączyć! Musieli krzyczeć, by się nawzajem usłyszeć w huku rozrywających się pocisków.

- To próbuj dalej, do skutku! Muszę się połączyć, i tyle!

Adams posłusznie podniósł słuchawkę radiotelefonu. Reynolds machnął ręką na pociski i przebiegając od drzewa do drzewa, odszukał dowódców plutonów. Wspólnie wybrali stanowiska dla wyrzutni. Javeliny były w kompanii jedyną bronią dalekiego zasięgu i należała im się szczególna troska. Wszystkie sześć wyrzutni miało ostrzeliwać okolicę szosy. Poszczególne drużyny posiadały też po jednym granatniku przeciwpancernym AT-4, o mniejszej donośności i o wiele mniej skutecznym. By upolować czołg pociskiem z AT-4, trzeba było wcelować w tylny albo w boczny pancerz. Inaczej nic z tego. - Jada! - krzyknął operator jednej z wyrzutni, wyciągając rękę w kierunku dymów nad Świeciem. W oddali widać było teraz zamaskowane czołgi, sunące okrakiem wzdłuż osi szosy na północny wschód - czyli prosto na kompanię A. Meldunek o natarciu zaskoczył Reynoldsa podczas szybkiej narady z Fordem i podporucznikiem Caruso, dowódcą pierwszego plutonu. Kapitan ruszył kłusem ku szosie, wracając na stanowisko dowodzenia. Żołnierze uwijali się nadal, kopiąc sobie - jak twierdzili - „mogiłki” albo wycinając zarośla w miejscach, gdzie stanęły wyrzutnie pocisków Javelin. Adams ze zdziwieniem patrzył, jak dowódca przeskakuje z trzaskiem przez krzaki i pada plackiem na ziemię. - Panie kapitanie, połączyłem się z brygadą. Podałem im,

gdzieśmy się schowali razem z Polakami.

- Doskonale! Masz u mnie punkt! - odkrzyknął Reynolds, który zdążył zauważyć, iż kapral wyrył dla nich obu ukrycia. Skorzystał z tego natychmiast, zaległ i szarpnął zapięciami mapnika. Po chwili notował już na kartce współrzędne i dozory.

- Łącz jeszcze raz z brygadą, Adams!

Stłumione stęknięcie wyrzutni oznajmiło, że obsługa Javelinów otworzyła ogień. Pierwsza fala niemieckiego natarcia podeszła na odległość poniżej dwóch kilometrów. Adams podał dowódcy słuchawkę. - Mam pilne zadanie ogniowe, na już! Czołgi w otwartym terenie, współrzędne jeden siedem dziewięć i dwa pięć sześć! - wrzasnął Reynolds, podnosząc się na łokciach na tyle, by zlustrować przedpole przez lornetkę. - Cel ponad czterdzieści czołgów i transporterów, z tyłu idą następne!

Kiedy liczył niemieckie wozy pancerne, ujrzał jak nad jednym z nich wykwita szary obłoczek. Po sekundzie czołg eksplodował, trafiony jednym z Javelinów. Nad polem przemknęły następne pociski raketowe, ale ze swoimi sześcioma wyrzutniami Amerykanie musieli rozproszyc ogień. Niemieckie Leopardy i Mardery parły tymczasem naprzód, waląc po odkrytym terenie na pełnej prędkości. Reynolds zaklął. Zamiast przesuwac się od ukrycia do ukrycia, niemieccy czołgisti urządzili sobie szarżę kawaleryjską! A co najgorsze, ponieważ atakowali piechotę i garstkę czołgów Prażmy, wyczyn mógł im się udać. Z prawego skrzydła zawarczały gładkolufowe armaty kalibru 125 milimetrów. Basowe wystrzały z luf polskich czołgów rozlegały się raz za razem, częściej niż świst amerykańskich pocisków raketowych. T-72 musiały jednak strzelać w przód kadłuba i w wieże Leopardów, gdzie wielowarstwowe niemieckie pancerze były najgrubsze. Wyrzutnie kierowanych pocisków przeciwpancernych Malutka na wieżach BWP oddziału Prażmy milczały.

Stary typ głowicy kumulacyjnej był zupełnie bezradny wobec czołowego pancerza Niemców. Leopardy na razie prawie nie strzelały. Nawet za pomocą termowizorów trudno im było wypatrzeć cokolwiek pośród gęstych drzew. Las znajdował się poza tym na granicy zasięgu ich 120 milimetrowych armat w stabilizowanych wieżach. W zbożu przystawało coraz więcej płonących Leopardów - osiem albo dziesięć. Obrońcy strzelali bardzo celnie, tylko co z tego? Pierwsze niemieckie wozy zdążyły podejść na tysiąc metrów

od lasu. Tuż za nimi ciągnęły Mardery z desantem piechoty. Zapaliły się pierwsze trafione T-72 i BWP. Leopardy coraz liczniej odpowiadały ogniem, a ich karabiny maszynowe i 25 milimetrowe działka w wieżyczkach Marderów smagały seriami cały las, zrywając z drzew strugi liści i kory. Reynolds wtulił się w dno ukrycia, świadomy, że transportery przeciwnika usiłują porazić obsługę amerykańskich wyrzutni. Znow potrójna eksplozja. Tym razem krzaczaste wybuchy wyrosły pomiędzy atakującymi czołgami. Reynolds jeszcze raz wyrwał Adamsowi słuchawkę. - Pociski w celu! W celu! Walić do skutku!

Na pole spadły następne salwy, już tylko kilkaset metrów od lasu. Ostrzał nie mógł powstrzymać natarcia czołgów, ale mógł je opóźnić. Co najważniejsze, pod gradem zabójczych odłamków niemieccy dowódcy musieli grzecznie tkwić pod pancierzem, na wpół ślepi i głusi. Artyleria nie pozwalała też Niemcom wysadzić z Marderów desantu piechoty, przynajmniej na razie. Co innego w lesie. W miarę, jak Niemcy podchodzili bliżej, Reynolds na podstawie mapy podawał artylerzystom przez radio nowe współrzędne, „prowadząc” zaporę ogniową na północ, w ślad za niemieckim ugrupowaniem. Trafienia otrzymało kilka następnych Marderów i Leopardów, lecz stawało się coraz bardziej jasne, że większość niemieckich sił zdoła się wedrzeć do lasu. Fatalnie? Jeszcze fatalniejszy był fakt, że kompania A nie miała już czasu na odwrót. Gdy Leopardy znalazły się dwieście metrów od lasu, ostrzał nieprzyjacielskiej artylerii ucichł, aby przypadkiem nie porazić własnych sił. Czołgi wydawały się teraz ogromne jak domy. Instykt podszeptował Reynoldsowi, by brać nogi za pas i zmykać, lecz byłoby to równoznaczne z samobójstwem. Nie mówiąc o tym, że nie wolno tak zostawiać własnych ludzi. Podwładni mieli prawo liczyć na to, że Reynolds przynajmniej część z nich doprowadzi bezpiecznie do domu.

Po chwili Niemcy znaleźli się w obrębie lasu.

- Padnij!

Powietrze nad ukryciem przekosiła salwa z działka, a po niej seria bliskich eksplozji. Reynolds wypluł piach pomieszany z krwią i podniósł głowę. Niemiecki Marder przystanął o pięćdziesiąt metrów od pozycji, celując nieco w lewo od Reynoldsa i Adamsa. Widać było jak na dłoni pochyły pancierz przedni i pudełkowaty tył" gdzie w przedziale desantowym jechała drużyna

piechoty. W niezgrabnej wieży transportera mieściło się działko kalibru 25 milimetrów, wyrzutnia rakiet przeciwpancernych i obiektyw termowizora. Marder nadal celował lufą w tę stronę, lecz wyraźnie wyżej. Działonowy puścił pewnie pierwszą serię na wszelki wypadek, dla kurażu, a teraz wyszukiwał sobie pośród drzew prawdziwe cele. Z jazgotem otworzyła się tylna rampa wozu, a z jego wnętrza zaczęły wyskakiwać postacie w panterkach. Niektórzy grenadierzy z miejsca otwierali chaotyczny ogień w kierunku pozycji drugiego plutonu, z biodra, byle prędzej. Reynolds sięgnął po swój M16 i wypuścił z niego kilka krótkich serii, starannie celując. To samo uczynił Adams. Trochę się bali wycelowanej w siebie lufy działka, ale jak tu przegapić taką okazję? Tak czy owak, grenadierzy za chwilę też ich zauważą. Jeden Niemiec padł od razu, trafiony kilkoma pociskami na raz. Drugi krzyknął krótko i osunął się na gąsienicę Mardera, obejmując się dłońmi za rozszarpaną twarz. Reszta Niemców przypadła do ziemi i zaległa między pniami albo w gęstej trawie wokół transportera. Widząc, jak niemieckie hełmy znikają, Reynolds i Adams także przypadli do ziemi. W samą porę, bo seria eksplodujących pocisków z działka warknęła im tuż nad głowami, obsypując ich ziemią i deszczem drzazg. Bryzgająca ołowiem lufa transportera schylała się coraz niżej. Pum! Z tej odległości pocisk raketowy wyglądał jak ognista smuga, która dotyka nagle lewej burty Mardera. Reynolds nie wiedział nawet czy iskry, które widzi to skutek uderzenia głowicy o pancierz, czy płomień wewnętrznej eksplozji. Po chwili cały transporter spowił siwy dym, rozświetlany płomieniami palącej się ropy i amunicji. Z Mardera wyskoczyło jeszcze paru Niemców, umykając przed ogniem. Reynolds i łącznościowiec próbowali strzelać, ale Niemcy zniknęły im nietknięci pośród dymu. Ze wszystkich stron dobiegała ich strzelanina i łoskot wysokoprężnych silników. W kłębach dymu, spalin i kurzu widzialność spadła właściwie do zera, zmieniając walkę w serię osobnych starć. Jedynie co pewien czas dym rozjaśniały rozbłyski serii albo płomień trafionego wozu pancernego. Przebiegające między drzewami ludzkie sylwetki strzelały, zrywały się znów do biegu i padały. Uwagę Reynolds i Adamsa zwróciła gwałtowna strzelanina z lewej. Puścili się biegiem w kierunku pozycji drugiego plutonu, lecz upadli zaraz za drzewo, gdyż z dymów wyłonił się niemiecki czołg, z trzaskiem

tratający młodnik. Obaj Amerykanie patrzyli bezradnie, jak opancerzony potwór przepelza tuż obok nich i ginie w oparze. - Kurwa! - skrzeknął nagle Reynolds, bo tuż przy twarzy bzyknęła mu seria. W ślad za Leopardem biegło pięciu grenadierów pancernych, strzelając na wszystkie strony. Reynolds poderwał do ramienia M16 i puścił w nich długą serię, ale odrzut poderwał mu lufę i wszystkie pociski przeniosły. Iglica stuknęła w pustkę. Koniec magazynka. Kapitan obrócił się na prawy bok, za drzewo, po omacku szarpiąc oporządzenie w poszukiwaniu nowego magazynka. Wiedział, że już po wszystkim. Za chwilę Niemcy dobiegną do niego. A wtedy do widzenia, ślepa Gienia. Tuż za nim podniósł się jednak Adams i łukiem posłał między Niemców jajowaty granat obronny. Jajo rozerwało się z ogłuszającym hukiem. Dwóch Niemców zważyło się we krwi na ziemię. Nie żyli albo stracili przytomność. Pozostała trójka zawahała się w oszołomieniu, dając Reynoldsowi sekundę na wciśnięcie nowego magazynka. Trafieni kolejną długą serią grenadierzy zwalili się bezwładnie, tworząc stertę ciał. Reynolds podniósł się, nie spuszczając ich z celownika. Było jednak oczywiste, że nie żyją. Skinieniem głowy podziękował tyczkowatemu kapralowi i rozejrzał się po przeoranych pociskami lesie. Nie miał pojęcia, gdzie ich zaniósł. Wciąż miał ochotę biec - nie po to, by uciekać, lecz aby odnaleźć drugi pluton. Trzeba zebrać żołnierzy i walczyć. Przemykając od drzewa do drzewa i co rusz padając na ziemię, Reynolds i Adams dobiegli jakoś do okopów drugiego plutonu. Chwilami dym i ścięte wybuchami drzewa zupełnie przesłaniały widzialność, zupełnie tak, jak gdyby biegnących otaczał szarozielony mur. Wszechobecny huk broni maszynowej także nie ułatwiał poszukiwań. Obaj Amerykanie starali się kierować na wschód. Każdy metr urastał w kilometry, a każda sekunda zdawała się trwać całe dni. Nareszcie jednak Reynolds dostrzegł sierżanta Robbinsa, skulonego pod drzewem wraz z parą innych żołnierzy. Po śmierci Rileya, niski, czarnoskóry sierżant przejął komendę nad plutonem. Na widok nadbiegającego Reynoldsa i Adamsa zawołał: - Przedarli się, panie kapitanie! Reynolds nie wiedział czy słyszy w tych słowach więcej rozpaczy, czy też zmęczenia. - Rozwaliliśmy im z dziesięć czołgów, może i więcej, ale i tak się przebili... Dobiegający od południa trzask czołgowych armat zwiastował, że przeciwnik podciąga tam nowe siły. - Jakie macie straty? -

chciał się przede wszystkim dowiedzieć Reynolds.

- Trzech zabitych na pewno, może więcej. Ośmiu, nie, zaraz, dziewięciu rannych.

Reynoldswi odjęło mowę. Straty byłyby poważne nawet gdyby pluton walczył z pełnym stanem 38 żołnierzy. Co dopiero w sytuacji, gdy wielu ludzi pluton stracił jeszcze przed starciem? A przecież do końca walki ciągle daleko. Na pociechę mieli to, że zniszczyli masę niemieckich czołgów. Tylko czy warto było tak się starać? Reynolds nie miał pojęcia, co opłaciłoby im się bardziej - walka czy odwrót. Z tego, co widział, mógł się zorientować, że jego kompania przyhamowała i zdeorganizowała pierwszą falę niemieckiego natarcia. W całym lesie pełno było płonących czołgów. Resztki Niemców nadal walczyły albo parły na północny wschód, mając gwarancję, że z tyłu ciągnie druga fala wozów pancernych, której Amerykanie już nie są w stanie zatrzymać. Na pewno nie bronią ręczną, Reynolds podszedł do Adamsa i wydał mu serię niegłośnych poleceń. - Połącz się z brygadą. Niech przeniosą ogień tych haubic. O, tutaj masz nowe współrzędne. Dozór siedem cztery, zapalniki czasowe, granaty rozpryskowe nad celem. Dokładnie za pięć minut. Niech grzeją z wszystkich luf! Sierżant Robbins spojrział na punkt zaznaczony przez Reynoldsa na mapie i omal nie zemdlął. Dopiero gdy się otrząsnął, złapał obu przycupniętych szeregowców za kołnierze i wrzasnął im: - Gońcie, ty do pierwszego, ty do trzeciego plutonu, że nasi zaraz zaczną rąbać w las rozpryskowymi! Żeby mi się wszyscy pod ziemię zapadli! No, jazda!

Żołnierze pokłusowali, jeden na wschód, drugi na zachód, Robbins osobiście ruszył ostrzec ludzi ze swojego plutonu. Reynolds i łącznościowiec zdążyli się już schować pod opuszczonym wrakiem Leoparda, gdzie zaraz dołączyli do nich dwaj szeregowcy. Cała czwórka próbowała obserwować las wokół wraku. Huk armat czołgowych i działek szybkostrzelnych mieszał się ze szczeniem ręcznej broni maszynowej. Na południowy wschód biegli przez las jacyś ludzie, ale Reynolds zdążył powstrzymać swoich nadgorliwców. Równie dobrze mogli w ten sposób ostrzelać kogoś ze swoich. Kanonadę zagłuszył po chwili nowy grzmot. Ciężka artyleria zmieniła cały las w nieckę pełną płomieni i dymu. Obyło się tym razem bez próbnych strzałów. Nadlatujące od strony wielu baterii naraz pociski nastawiono w taki sposób, by się rozerwały

nad pasmem lasu nieomal jednocześnie. Reynoldsowi wydawało się, że wybucha nawet powietrze; między drzewami, rozmigotane rojami odłamków. Skulony pod czołgiem Reynolds zdumiał się straszliwością tej nawałnicy. W las strzelał co najmniej batalion haubic, a być może nawet artyleria ze szczebła korpusu. Co parę sekund padały następne drzewa, a inne traciły czuby. Amerykańskie pociski rozpryskiwały się na wysokości od dziesięciu do dwudziestu metrów nad ziemią, rozszarpując kaskadą odłamków wszystko, co napotkały na drodze, a ziemię okrył gruby dywan oberwanych liści i igliwia. Słyszając brzęk odłamków o stalową wieżę i kadłub Leoparda, Reynolds próbował sobie wyobrazić, co czują żołnierze zaskoczeni przez tę nawałnicę na otwartej przestrzeni. O własnych ludzi bał się trochę mniej, bo w końcu zdążył ich ostrzec, co się święci, ale Niemcy? Ci nie mieli pojęcia, co się będzie działo. Doświadczenie uczy, że przy nawale ogniowej większość ludzi ginie w trakcie pierwszych trzydziestu sekund ostrzału, czyli w czasie, jakiego doświadczonym żołnierzom potrzeba, by znaleźć sobie ukrycie. Wynikało stąd, że wszyscy Niemcy w całym lesie nie żyją albo zalegli pod drzewami. Najważniejsze, że nie będą już przeszkadzać. Kiedy ustał ostrzał, nad lasem zaległa prawie całkowita cisza, pośród której do uszu Reynoldsa dotarł nowy dźwięk: basowy pomruk dziesiątków silników wysokoprężnych. Kapitan na wyścigi wyczołgał się spod wraka i popędził razem z Adamsem w kierunku skraju lasu, gdzie przez lornetkę mógł obserwować teren na południowych podejściach do lasu. Wśród snujących się jeszcze dymów i kurzu ujrzał z przerażeniem, jak na las ciągnie mowe ugrupowanie Leopardów 2. Po dzielony porządnie na plutony i kompanie niemiecki batalion pancerny szedł jak na defiladzie, a za nim postępowała druga linia, złożona z Marderów. Reynolds mógł się założyć, że za pierwszymi Marderami idą dalsze pododdziały piechoty, kto wie, czy nie wsparte czołgami. W momencie, gdy pierwszy rzut uczynił wyłom w obronie - nieważne, za jaką cenę - w lukę rzuciła się całość sił niemieckiej brygady zmechanizowanej, wypoczętej, gotowej do walki i niczym już nie niepokojonej. Od lasu dzieliło Niemców kilka minut jazdy. Reynolds mógł już tylko rozkazać żołnierzom, by powtarzali za nim „Ojcze święty, któryś jest w niebie...” Po chwili przypadł do niego zdyszany sierżant Robbins. - Pluton mi się rozsypał! Mam jeszcze pięciu zabitych i sześciu,

siedmiu rannych. Oba kaemy sprawne, ale wybiło nam obsadę Javelinów. Nieważne, i tak zostały tylko dwa granaty. Zaraz zbiorę resztę ludzi! - Ciekawe, po co? - Reynolds nie powiedział tego na głos, lecz zdawał sobie sprawę, że w drugim plutonie pozostała ledwie garstka zdolnych do walki. Najwyżej tuzin żołnierzy. Tak samo pewnie jest w innych plutonach. Oho, ciekawe, jak tam major Prażmo? W ferworze walki Reynolds na śmierć zapomniał o Polakach. Gdy spojrzął na krawędź lasu po prawej ręce, w stronę pozycji majora, ujrzał wśród potrzaskanych drzew słupy czarnego dymu. Trudno. Najważniejsze, to pozbierać rozproszoną kompanię. Zanim znów przyjdzie walczyć, ludziom należy się chwila wytchnienia. Trzeba się odszukać, opatrzyć rannych... Szkoda tylko, że nie ma na to czasu. Za chwilę będą tu Niemcy. Kiedy wydawał pierwsze polecenia, głuchy wyrzutni z wyrzutni przeciwpancernej podpowiedział mu, że kompania A znowu zaczyna się bić. Odgłos doleciał z lewej strony, z pobliza miejsca, w którym niemieckie czołgi zawracały i pociskami z dział zaczynały już ostrzeliwać ocalałą wyrzutnię. Z kierunku, w który obracały lufy, można było wywnioskować, że ostrzeliwuje je pierwszy pluton. Co najmniej jedna z pary wyrzutni, jakie się dostały Caruso, miała jeszcze obsługę i pociski. Reynolds poczuł dumę na myśl, że po takim piekle jego ludziom nadal nie brakuje zapachu do walki. Inna sprawa, że z dwiema sekcjami przeciwpancernymi przeciwko batalionowi czołgów zanosilo się na dość nierówną walkę, delikatnie mówiąc. W końcu nawet biblijny Dawid musiał się potykać tylko z jednym Goliatem. Spod drzew wystrzelił ku Niemcom następny pocisk raketowy, a za nim kolejne, osobno szukające celów. Gorzka дума Reynoldsa przerodziła się w niedowierzanie. Kilkanaście rakiet? I żeby jeszcze niektóre szły daleko poza zasięg Javelinów? Kto tak strzela, i czym?

W poblizu rozległ się trzask deptanych zarośli i nawoływanie. Głos należał do sierżanta Andy"ego Forda. Reynolds krzykiem wskazał mu własną kryjówkę i zdumiał się jeszcze bardziej na widok oficera, którego ciągnął za sobą Ford. Nieznajomy miał na sobie amerykański mundur z dystynkcjami podpułkownika i znaczkami wojsk pancernych na kołnierzu, a na jego rękawie widniała plakietka 1. Dywizji Pancerniej. Obaj przybysze przycupnęli obok Reynoldsa. - Jim Kelly, 1. Batalion 37. Pułku, 3. Brygada. Mam

na szosie czterdzieści dwa czołgi M1. Potrzebuję przewodników i kogoś, kto powyznacza stanowiska, ale tak raz dwa!

Reynolds milczał przez chwilę, a potem z wysiłkiem zamknął usta i wskazał na wschód. - Więc te rakiety zza szosy...

- 7. Batalion 6. Pułku, piechota zmechanizowana na Bradleyach - wyjaśnił pospiesznie Kelly, złapał Reynoldsa za ramię i potrząsnął solidnie. - Mój batalion ma się rozstawić na zachód od szosy. Jeżeli Bradleye już zaczęły strzelać, to znaczy, że naprawdę nie ma czasu.

- Ale skąd żeście...?

Kelly uśmiechnął się łobuzersko.

- Takeśmy sobie myśleli, że możemy się wam przydać. Moi ludzie szarpali się całą noc, żeby poskładać wozy i sprzęt, a potem zapuścili sobie w dupach śmigła i proszę! Na razie tylko nasze dwa bataliony. Reszta dywizji grzebie się jeszcze w porcie. Reynolds nadal nie wierzył własnym oczom, ale co prędzej wydał polecenia i wysłał gońców z drugiego i trzeciego plutonu, by przeprowadzili czołgi Kelly'ego przez las. Żołnierze powrócili po kilku minutach, wiodąc za sobą niczym oswojone słonie kolejne plutony Abramsów, po cztery czołgi w każdym. Reynolds pilnował, by żaden z podwładnych nie zapalał się pod pełzające między drzewami maszyny, a przy okazji rozstawiał w lukach między czołgami sekcje ogniowe i obsługę karabinów maszynowych. Miał z tym niewiele roboty o tyle, że zostało mu bardzo mało żołnierzy. Mniej niż połowa stanu, z jakim kompania lądowała w Gdańsku, nadawała się jeszcze do walki. Ze skraju lasu widać było, jak niemieckie czołgi i transportery manewrują wśród zboża, unikając niekończącej się kaskady rakiet, W równym dotąd szyku ziały szczyrby, niektóre wozy płonęły, a inne wystrzeliwały granaty dymne, zasnuwając podejścia do lasu białoszarą mgłą. Dziesiątki czołgów M1A2 zdążyło tymczasem rozstawić się nierównym szeregiem wzdłuż skraju lasu. Pośród drzew rozniósł się przenikliwy, przeciągły wizg ich turbin gazowych. Reynolds martwił się, że Niemcy dosłyszą ten zgiełk, lecz doświadczenie podpowiadało mu co innego. Amerykanie mogli się spokojnie zaciąć, nie zauważeni aż do chwili pierwszej salwy. Później niech się dzieje co chce. Reynolds stał przy czołgu dowódcy jednej z kompanii, usiłując naprędce zgrać plan ognia. Naraz jednak dowódca kompanii wyprostował się we włazie wieży, słuchał

chwile, co mówią do niego przez radio, po czym odpowiedział: - Przypuszczalna odległość siedemset. Nie macaliśmy laserem. Po następnej kwestii potwierdził jeszcze, że zrozumiał, wyłączył się i krzyknął do Reynoldsa: - Nie czekamy na resztę! Ludzie ukryci? - Pewnie! Ich zmartwienie, żeby...

Nim dokończył, trzask salwy z czterdziestu armat prawie rzucił nim i omal nie zdarł z niego munduru. Reynolds odkrył, że ma w ustach pełno ziemi i liści, a w nozdrzach zamiast powietrza czuł tylko dym prochowych ładunków. Na polu, pośród rozgniecionych gąsienicami łańców, między czołgami niemieckiej brygady wyrosły rozpryski wybuchów. Tam, gdzie granaty Abramsów dosięgnęły celu - a udało się to dwóm trzecim działonów - niemieckie wozy pancerne płonęły jak pochodnie. Zanim Reynolds zdążył się pozbierać, znów prawie równocześnie wypaliła następna salwa. Impet powietrza był tak potężny, że Reynolds, który czuł, że zaraz odfrunie między drzewa, zrobił przepisowe padnij. Trzecia salwa nie była już tak równa, bo niektóre załogi okazały się bardziej zgrane i miały lepszych ładowniczych niż inne. Po czwartej serii wystrzałów huk nie milkł już ani na sekundę. Zaskoczeni w otwartym polu Niemcy liczyli na to, że pierwsza fala oczyściła las z przeciwnika.

Zamiast tego natknęli się na mur pocisków przeciwpancernych. Z odległości pół kilometra, 120 milimetrowe armaty Abramsów biły w Leopardy jak w rząd tarcz, a gorzej opancerzone Mardery ich pociski wprost odzierały ze skóry. Amerykanie strzelali na dodatek z ukrycia, podczas gdy załogi Leopardów z najwyższą trudnością celowały w zamaskowane między drzewami, rozmazane sylwetki. Niemcy mieli trzy wyjścia: ustrzelić przeciwnika, znaleźć dla swojego czołgu ukrycie, lub spokojnie umrzeć.

Nieliczne Leopardy próbowały odpowiedzieć ogniem. Między drzewa pomknęły z trzaskiem pierwsze podkalibrowe pociski. Większość jednak chybiła, a amerykański batalion nie dał Niemcom czasu na skorygowanie ognia. Leopardy strzeliły jeszcze parę razy i zrezygnowały z walki. Niektóre czołgi i transportery paliły się, inne poukrywały się w zagłębieniach terenu. Reynolds, który nadal nie mógł się otrząsnąć po tym wszystkim, ostrożnie wytknął głowę. Trzy minuty ostrzału wystarczyły, by osadzić w miejscu niemieckie natarcie. Przez lornetkę Reynolds naliczył trzydzieści rozbitych czołgów i podobną liczbę Marderów. Pancerne pudła stały wśród pszenicy, przechylone pod najdziwniejszymi kątami i nieruchome.

Na całym przedpolu nie poruszał się ani jeden pojazd. Wielkie natarcie Konfederacji utknęło w miejscu. Czy tylko utknęło? Reynolds pomyślał bez cienia współczucia, że Niemcy, którzy tak butnie, w defiladowym szyku sunęli przez pola, niechcący zabłądzili do rzeźni. Nieprędko uda im się pozbierać po takich jatkach. Kompania A nie broniła się więc na darmo. Ogłuszony Reynolds wstał z wolna i wzdrygnął się jak niedoszły topielec. Stopniowo zamiast dzwonienia w uszach zaczęły doń docierać huk silników i głosy, ale dopiero po chwili pojął, że przez jakiś czas nikt nie będzie już do niego strzelał. Kiedy zbierał ocalałe resztki kompanii i łączył się z brygadą, aby sprawdzić czy sztab nie wpadł na jakieś nowe pomysły, przeraził się jednak znowu, i to zupełnie bezwiednie, gdyż niebo ponad lasem rozdarł ryk silników odrzutowych. Rzut oka w górę uświadomił mu jednak, że to polskie i amerykańskie myśliwce, które obładowane bombami ciągną na południowy zachód. Nad lasem przeciągał klucz za kluczem, tuląc się do ziemi w drodze nad wyznaczone cele. Dla Konfederacji starcie oznaczało kres pochodu. Za chwilę wahadło miało ruszyć w drugą stronę.

Sztab 19. Brygady Grenadierów Pancernych

Nie kończący się pochód uszkodzonych czołgów i straszliwie okaleczonych żołnierzy, idący od Świecia, wystarczał za najlepszy opis klęski i cierpienia. Meldunki radiowe potwierdzały wszystkie najgorsze przeczucia. Poblady von Seelow zdjął z uszu słuchawki i spojrzał Leibnitzowi prosto w oczy. - Rozmawiałem z majorem Schisserem. Pułkownik Baum nie żyje, w ogóle możemy się pożegnać z 21. Brygadą. Szosę na północ blokuje duża ilość czołgów i ruchomych wyrzutni przeciwpancernych. Tuż przed lasem nasz oddział wpadł w zasadzkę ogniową - Willi czuł, że zasycha mu w gardle. - Ponieśli bardzo ciężkie straty. Co najmniej 40 procent stanu, a prawdopodobnie znacznie więcej. Na twarzy Leibnitza odmalowało się oszołomienie i chyba cień żalu. Willi pamiętał, że pułkownik Baum był przyjacielem generała. Najtragiczniejsza była jednak wiadomość o zagładzie 21. Brygady Pancerniej, która szła w ślad za zdziesiątkowanymi batalionami grenadierów. Jeszcze parę minut temu Leopardy i Mardery Bauma bez przeszkód wlewały się w wyłom i na pełnej prędkości gnały wzdłuż osi głównej szosy. Przy prawie pełnych stanach, wypoczęte załogi Bauma mogły sobie dać radę z

dowolnymi siłami, jakie rzucili przeciwko nim Polacy i Amerykanie. I co? Baum utknął pod pierwszym lasem, a jego czołgi paliły się albo uszkodzone stały w miejscu. Generał Cambon, który do tej pory stał bez słowa obok milczącego dowódcy 7. Dywizji, wykrzyknął nagle złym głosem: - Sami mówiliście, że las jest już czysty! A pan, von Seelow... Osobiście meldował mi pan, że 19. Brygada rozniosła tam na gąsienicach amerykańską piechotę. Ci pańscy idioci musieli chyba coś przegapić, co? No, panowie? Pytam się, co teraz? Co teraz?! Willi zacisnął zęby. Leibnitz zapytał natomiast:

- Nie wiem, czy generał Montagne zgodzi się wysłać na ten odcinek grupę pościgową? Jeśli utrzymamy ten wyłom i podciągniemy siły...

- Kryj się! - kwiknął za ich plecami major Thiessen. Jego ostrzeżenie tylko o ułamek sekundy wyprzedziło ryk nadlatujących na niskim pułapie samolotów. Bomby i ładunki kasetowe oderwały się od skrzydeł i w mgnieniu oka zasypały całe miejsce postoju brygady. Wtulając twarz w trawę, von Seelow poczuł wokół siebie tłusty, dławiący dym. Odrzutowce zniknęły w chwilę później tak samo nagle, jak się pojawiły. Wraz z ich nalotem do drzwi sztabu 19. Brygady znowu zapukała wojna. Dookoła słychać było jęki i przeraźliwe krzyki rannych.

Willi, Leibnitz i Cambon podnieśli się z ziemi i otrzepali mundury z ziemi i żdźbeł trawy. Kiedy jednak obaj Niemcy znów zaproponowali Francuzowi swój plan, Cambon zwyczajnie ich wyśmiał. - Chcecie, żebyśmy lekką rączką poświęcili całą 5.

Pancerną, skoro nie mamy pojęcia o siłach przeciwnika na północ od Świecia? To samobójstwo! Mamy wysłać następne czołgi w tę samą zasadzkę! Proszę popatrzeć tutaj! - Generał stuknął w mapę. - Pozbierajcie swoją 20. Brygadę i spróbujcie obejść tędy. Kiedy wykryjecie główne ośrodki obrony przeciwnika, sami zdecydujemy czy atakować, czy okrążyć.

Leibnitz znieruchomiał.

- Niemożliwe! - warknął. - 20. Brygada ma ledwo połowę stanu. Dlatego między innymi nie wysłaliśmy ich do ataku. Poza tym są za daleko. A w ogóle... A w ogóle, pytam się, dlaczego mamy trwonić czas, żeby ściągać moją ostatnią brygadę, kiedy w pobliżu czeka cała francuska dywizja pancerna, świeżutka, z zapuszczonymi silnikami. Wyślijcie w wyłom 5., a nie nas! - To śmieszne! - ofuknął go Cambon. - Trudno, przypomnę

panu, generale, co mówił rozkaz bojowy II Korpusu. „Grupa pościgowa wejdzie do walki w chwili, gdy 7. Dywizja Pancerna zabezpieczy wylom”. Ha, okazuje się, że pańscy ludzie nie są jednak tacy świetni. Nie raz mówiłem generałowi, że Niemcy nadają się tylko do pilnowania garnizonów.

Willi von Seelow nie zdzierzył.

- Co racja, to racja! - palnął. - W czasie ostatniej wojny pilnowaliśmy garnizonów w Paryżu, Lionie, Cherbourgu...

Dziwna sprawa, Leibnitz zamiast krzyżeć tylko się uśmiechnął. -

Nie będę słuchał tych zniewag! - wykrztusił oniemiały Cambon.

- W takim razie żegnam - oznajmił chłodno Leibnitz. - Walczyliśmy jak się da najlepiej. Wystarczy spojrzeć na nasze straty. Okupić je może tylko udane natarcie - dorzucił bardziej zapalczywym głosem, a następne słowa wykrzyczał Francuzowi prosto w twarz. - Mówię, udane natarcie! A o takim nie ma mowy, bo paru francuskim skurwysynom nie chce się nadstawiać tyłka! A skoro tak, to cała ta wojna jest gównem warta! Nie poświęcę już ani jednego żołnierza, zapamiętajcie to sobie!

Zaskoczony takim obrotem spraw Cambon odszedł co prędzej. Kiedy nie mógł już ich dosłyszeć, Leibnitz odwrócił się do von Seelowa.

Na jego twarzy zamiast wściekłości zagościł ogromny smutek. -

Willi, wycofaj ludzi na pozycje wyjściowe. Major Schisser niech zrobi to samo. To dobry teren do obrony. Przegrupujemy się i zaczniemy planować odwrót. Jeśli będzie trzeba, będziemy się przebijać do samych Niemiec.

Francusko-niemieckie przymierze zawaliło się z trzaskiem, choć na razie tylko w jednej części Polski.

.

36

Ciosy na punkt

2 lipca - Paryż

Nicolas Desaix nie wierzył własnym oczom. Nie wierzył, gdyż nie chciał uwierzyć. Zmiał trzymaną w rękę depeszę i zwrócił się do Michela Guichy z krótkim: - Montagne aby nie zmyśla?

- Skądże znowu - zapewnił go minister obrony. - Ten cały Leibnitz i jego ludzie odmówili wykonania rozkazu. II Korpus kazał im wznowić natarcie, a ci nie dość, że tego nie zrobili, to jeszcze się wycofali z zajętego terenu! Kto wie, czy się w ogóle nie szykują do odwrotu.

- Skurwysyńskie bosche! - Przekleństwo sprawiło Desaix taką radość, że powtórzył je niezwłocznie, a potem cisnął depezę na biurko. - Czy w Berlinie wiedzą już, co się stało?

- A bo ja wiem? - Guichy wzruszył ramionami. - II Korpus pilnuje wszystkich łączy telefonicznych do 7. Pancерnej, ale od czego Niemcy mają radio?

Desaix znowu zaklął. Na samą myśl, że niemiecka dywizja odmówiła wykonania rozkazu Konfederacji, kanclerza Schraedera i członków jego gabinetu powinna zdjąć zgroza. Niestety, Desaix nie był już w stanie przewidzieć, jak zareaguje na tę sytuację jego przyjaciel Heinz, bo rosyjska telewizja państwowa zdążyła już roztrąbić na cały świat o tajnych rokowaniach Kaminowa z Francją. Co za tym idzie, wyraźnie zmaląła w Berlinie ochota, z jaką się dotąd podporządkowywano politycznym i wojskowym życzeniom Paryża. Podczas kilku ostatnich rozmów telefonicznych Heinz Schraeder brzmiał jakoś mało serdecznie - wręcz chłodno. Desaix miał poza tym jeszcze inne wątpliwości. - Chwileczkę! Przecież Montagne ma w sztabie pełno niemieckich oficerów. Może by ich przypilnować?

- Tym się też nie przejmuj, Nicolas - uspokoił go minister obrony. - Nasze służby już się zajęły generałem Wismarem i całą resztą. Areszt przewencyjny.

-Desaix odetchnął. Decyzja generała Montagne była może brutalna, lecz przynajmniej zapobiegała rozszerzeniu się buntu 7. Pancерnej na inne szczeble. Najważniejsze to zdławić rebelię. Potem przeprosi się aresztowanych, da się im odszkodowania, paru przyzna się wręcz awanse, i po krzyku. Trzeba znać Niemców. - Cóż, doskonale - rzucił. - Jakie środki powzięliśmy, żeby odizolować Leibnitza i jego żołnierzy.

- Dostateczne. Wszystkich dróg dojazdowych do odcinka 7 Pancерnej strzegą czołgi generała Belliarda z 5.. Wstrzymaliśmy wszelkie dostawy. Ostatecznie skoro tym tchórzom nie chce się atakować, niepotrzebne im paliwo ani amunicja. Ani żywność, rzecz prosta.

- Doskonale. Doskonale! - ucieszył się Desaix, ale prędko spochmurniał, świadomy, że sama izolacja nie poskutkuje. Nie wolno czekać, trzeba się spieszyć. Do Polski przybywało z każdą chwilą coraz więcej amerykańskiego i brytyjskiego wojska. Konfederacja nie mogła sobie pozwolić na luksus wzięcia 7. Dywizji Pancерnej głodem. Minister podzielił się tą wątpliwością

z Guichy, który bezradnie rozłożył ręce.

- A ty nie masz jakiegoś pomysłu?

Owszem, Desaix najchętniej pozwoliłby wykonać brudną robotę przeciwnikowi i tym sposobem zlikwidować buntowników. Grasujące po Polsce oddziały amerykańskich, brytyjskich i rodzimych komandosów, a także leśna partyzantka, zdążyły zmienić życie rozrzuconych po zdobytym terytorium posterunków Konfederacji w prawdziwe piekło. Tylko jak namówić komandosów, żeby przy okazji trzasnęli generała Leibnitza wraz z całym sztabem? Desaix poczuł, że zaczyna mu świtać pewien pomysł. Śmiały i ryzykowny, to prawda, ale na pewno opłacalny. Byleby się udało! Czas nie sprzyjał ostrożnym zabiegom w sytuacji, gdy dookoła waliły się w gruzy o wiele bardziej koronkowe plany. Nicolas Desaix czuł, że znów budzi się w nim hazardzista. Zniżył głos i prędko przedstawił ministrowi obrony sposób na poskromienie niemieckich buntowników. Podstawą każdej zdyscyplinowanej armii jest zasada ścisłej hierarchii. Młodszy oficerowie, kadra podoficerska i szeregowcy uczą się od samego początku bez namysłu słuchać przełożonych. A skoro tak, jeżeli Montagne utnie rebelii głowę, to jest jeśli się rozprawi z dowództwem 7. Dywizji, reszta związku podporządkuje mu się bez szemrania. Otyły Guichy milczał w oszołomieniu, a potem sapnął przerażonym głosem: - Boże, coś ty wymyślił, Nicolas... Jeżeli się nie uda... Albo jeżeli ktoś się wygada... Sam rozumiesz, że będzie katastrofa!

- Zgadza się - oświadczył twardo Desaix. - I właśnie dlatego musi się udać. Nikt się nie wygada, chyba że z trumny. Rozumiesz, oczywiście?

Minister obrony tylko skinął głową.

- Skoro tak, proponuję żebyś wydał generałowi Montagne stosowne rozkazy, i po krzyku. - Desaix cisnął depezę do kosza. Asystenci co wieczór przepuszczali zawartość kosza przez niszczarkę, a strzępy odnosili prosto do spalarni.

Kiedy Guichy się pożegnał, Desaix zaczął obracać w myślach inne aspekty sytuacji na froncie. Minę miał niewesołą. Czego się tylko tknął, pech albo niekompetencja podwładnych niweczyła wysiłki. Najpierw Duroc sknocił akcję w Budapeszcie, potem generałowie obiecali, że rozprawią się z Polską w ciągu kilku dni. W ich przewidywaniach nie było ani słowa o długich tygodniach uporczywych zmaganiach. A później? Atomowy cios admirała Gibierge,

na nic. Zagłada francuskich sił jądrowych. Katastrofa w Moskwie... A teraz znowu nieudane natarcie na Gdańsk. Nieoczekiwanie Desaix rąbnął pięściami w biurko. Idioci! Głupcy! Przecież wystarczy spojrzeć na mapę! Zdobycie portów Trójmiasta to jedyny sposób na wygraną w tym konflikcie. Wojskowi mogli sobie udawać, że o tym nie wiedzą, ale Desaix wiedział to na pewno. Eksperci z wywiadu nadal utrzymywali, że w Polsce wylądowała dotąd zaledwie para alianckich dywizji pancernych. Żeby zdobyć porty wystarczy nowa ofensywa, oczywiście wspierana świeżymi siłami z zaplecza. Tylko gdzie szukać tych sił? Na pewno nie w Niemczech. Rządowi Schraedera pozostało zaledwie kilka batalionów obrony terytorialnej i jedna dywizja grenadierów pancernych - akurat tyle, żeby przypilnować własnych granic i ośrodków przemysłowych. Miesiąc walk wykrwawił do cna tak niegdyś potężną Bundeswehrę. Po twarzy Desaix przemknął zły uśmieszek. Przynajmniej tyle dobrego z tej wojny. Wojska francuskie miały się dużo lepiej. Może pchnąć do akcji Force d'Action Rapide? Oddziały spadochroniarzy, piechoty morskiej, śmigłowców i lekkie jednostki pancerne z Sił Szybkiego Reagowania liczyły bądź co bądź 50 tysięcy żołnierzy. Desaix zasepił się. Potrzebował tych oddziałów we Francji, by strzegły obiektów wojskowych przez atakami nieprzyjacielskich komandosów. A także - niestety - po to, by trzymały krótko przy pysku szemrzącą coraz bardziej ludność. W miarę, jak walki przeciągały się w nieskończoność, w wielkich miastach Francji coraz częściej dochodziło do rozruchów - w Paryżu, w Lionie, w Lille i gdzie tam jeszcze. Tymczasem żandarmeria znowu nie miała ochoty pacyfikować cywilów. Desaix wpatrywał się ponuro w mapę. Kto wie, czy się nie obejdzie bez opuszczenia zajętej do tej pory części Węgier? Wysłać PV Korpus generała Fabvier na północ? Desaix wzdrygnął się na samą myśl o takim zabiegu. Idealna pożywka dla propagandy wśród węgierskich buntowników. Zaraz roztrąbią wszem i wobec, że Konfederacja się wali... Belgia! Do diabła, gdzie się podziały obie belgijskie brygady, które kazał przysłać władzom w Brukseli? Belgowie stawali się wręcz niezbędni. Zluzują Francuzów na zapleczu, uwolnione jednostki wyśle się na front... Niech nikt nie mówi, że amerykańskie lotnictwo pozrywało sieć kolejową w Niemczech i we Francji! Przez ten czas Belgowie zdążyliby już piechotą dojść na swoje miejsce! Desaix zanotował w myśli, by

niezwłocznie poruszyć tę kwestię w rozmowie z niezgułowatym belgijskim ambasadorem, po czym wrócił do pilniejszych spraw.

3 lipca - sztab niemieckiej

7. Dywizji Pancерnej na północ od Bydgoszczy

Upalny lipcowy ranek włókł się niemiłosiernie. Generał Karl Leibnitz, Willi von Seelow i dwaj dowódcy pozostałych brygad pocili się w mizernym cieniu, jakiego użyczało drzewo na skraju pastwiska. Po dwóch bezsennych nocach czuli się wymęczeni i brudni. Ten upał! Brak wiatru pasował do całej reszty sytuacji. Wszystko utknęło w niartwym punkcie. Na otwartym terenie byłoby może przewiewniej, ale sztabowcy czuli się bezpieczniej między drzewami. Obozowisko rozbito pięćdziesięciometrowym pasem wzdłuż krawędzi niewielkiego lasu. W samym środku stała czwórka dywizyjnych transporterów M577, zwróconych do siebie tyłem na planie krzyża. Między czwórką wozów żołnierze rozwiesili na tyczkach płócienny dach. Dalej rozstawiono następne wozy, ciężarówki i rząd namiotów sztabowych. Wszystko to starannie zamaskowano, a teren biwaku otoczono pierścieniem okopów i pozycji strzeleckich dla pododdziału wartowniczego. Obronę wzmacniało kilka rozstawionych na wszystkich kierunkach Marderów. Willi znów spojrzął na zegarek. Minuty wlokły się w ślimaczym tempie. Zapowiedziany gość wyraźnie postanowił się spóźnić. Nie pierwszy raz. W ciągu doby, jaka minęła odkąd kazali idiocie Cambonowi spakować manatki, Leibnitz zlekceważył następny oficjalny rozkaz wznowienia natarcia, a polecenie, by z całym sztabem przy-

być na miejsce postoju II Korpusu na „pilną naradę” po prostu wyśmiał. Najnowszy szyfrogram z korpusu brzmiał dużo bardziej zachęcająco. Francuzi domagali się spotkania w celu „przedyskutowania spornych kwestii dotyczących dowodzenia”.

Generał Montagne miał się osobiście pofatygować do sztabu 7.

Dywizji. Czekali więc posłusznie na śmigłowiec dowódcy korpusu, który powinien już dawno wylądować. Ciekawe, co będzie im miał do powiedzenia Montagne? Dobrze, że przynajmniej chce się dogadać. - Pierwsza inteligentna decyzja tych Francuzów - mruknął Leibnitz kiedy przeczytał depeszę. Willi zgadzał się w zupełności z tą oceną. Niepokoiły go natomiast inne środki, jakie przedsięwzięły francuskie dywizje. Po odcięciu dostaw z zaplecza, 7. Pancerna miała zapas paliwa i amunicji na jedną bitwę obronną,

i nic poza tym. Zwiadowcy donosili, że wszystkich dróg dojazdowych, nawet polnych, strzegą silne posterunki. Nie ulegało wątpliwości, że każdy nowy manewr sił niemieckich doprowadzi nieuchronnie do konfliktu, tym razem z byłymi sojusznikami. Na obcym terytorium, w obecności nieprzyjacielskiej armii, bratobójcze starcie oznaczało niechybną zagładę. Sytuacja urągała wszystkim zasadom, które wpojono Willemu w szkole oficerskiej. Było jasne, że trzeba jak najszybciej coś postanowić. Żywność i paliwo stanowiły błahy szczegół w porównaniu z aspektem strategicznym tej nowej sytuacji. Na szczęście Amerykanie nie zdecydowali się do tej pory na kontrnatarcie. Nie było jasne, czy przecieki na temat „buntu” w ogóle dotarły do przeciwnika, tym bardziej że i Francuzi i Niemcy dokładali starań, by nie rozgłaszać takich wieści, niczym zwaśnieni członkowie rodziny, którzy kłócą się między sobą szeptem, aby nie usłyszeli ich przypadkiem sąsiedzi. Oficerów poderwał na nogi dopiero okrzyk obserwatora. W polu widzenia ukazał się śmigłowiec Puma w szare i zielone maskujące łaty. Maszyna sunęła powoli, na niskim pułapie i zawisała w powietrzu tuż obok namiotów sztabu. Willi rozejrzał się na boki. Żołnierze w pobliskich okopach zdążyli wziąć Pumę na muszkę. Najlepszy dowód, do jakiego stopnia popsuły się stosunki z „sojusznikami”. Śmigłowiec przy siadł na pastwisku w wirze kurzu i suchych źdźbeł trawy. Wirnik kręcił się jeszcze dobrych parę minut. Dopiero gdy się zatrzymał, otwarto boczne drzwi maszyny. Naraz Willi usłyszał tuż za sobą trzask wystrzałów i huk pojedynczej eksplozji. Strzelano zza drzew. Obejrzał się w popłochu w tamtą stronę. Strzelanina nasiliła się jeszcze bardziej. Następne serie trzasnęły dużo bliżej. Grenadierzy ukryci w okopach pruli w znieruchomiałą Pumę, z której zamiast pary francuskich generałów wysypywały się właśnie dwie drużyny francuskich strzelców w pełnym oporządzeniu, waląc długimi seriami po lesie. Kule świsnęły nad głową Willego i wbiły się w pień drzewa, pod którym leżał. Rany boskie! Willi przyklęknął i sięgnął po pistolet maszynowy MP5, z którym się nie rozstawał. Leibnitz i dowódcy pozostałych brygad zdążyli paść na ziemię i także sięgnęli po broń. Kto nie chciał, skończyć tak, jak Brenner, nosił pistolet maszynowy przy sobie W przodzie, za pastwiskiem, wyskoczyły zza drzew jeden po drugim dwa francuskie śmigłowce szturmowe Gazelle i nisko przy ziemi pomknęły w stronę krawędzi

lasu, szukając celów. Willi dostrzegł kłębek dymu przy kadłubie pierwszej maszyny, a potem jaskrawą smugę odpalonego pocisku raketowego. Okopany kilkadziesiąt metrów dalej jeden z Marderów eksplodował, trafiony w bok rakieta przeznaczoną do niszczenia czołgów. Przerazająco głośny wybuch zdarł wieżę transportera i podrzucił ją wysoko w powietrze. Na swoje szczęście, obsada niemieckich Marderów także posiadała wyrzutnie pocisków przeciwpancernych Milan. Nie zważając na następne HOT odpalone z wyrzutni na śmigłowcach, załoga zniszczonego transportera zemściła się prędko. Z pobliskiego okopu wyprysnął pierwszy Milan, lecąc prosto na śmigłowca, który akurat zawisł w powietrzu i nie miał już czasu na unik. Pocisk raketowy trafił Gazelle tuż pod tarczą sterującą wirnika, którego łopaty rozsypały się na wszystkie strony. Bezwładny, płonący kadłub śmigłowca wyrznięt w niedaleką ziemię. W odpowiedzi, druga Gazelle ostrzelała krawędź lasu, posyłając prawie od niechcienia długą serię z 20 milimetrowego działka. Do von Seelowa doszedł z okopów krzyk żołnierzy, rozszarpywanych wybuchami pocisków. Przyduszając piechotę, Francuzi stracili jednak cenne sekundy, które wykorzystwała załoga drugiego Mardera, wciąż przykrytego siatką maskującą. Transporter obrócił wieżę, podniósł cienką lufę działka i wypluł z niej długą, hałaśliwą serię pocisków kalibru 25 milimetrów. Pociski przeciwpancerne zerwały z drugiej Gazelle całe płaty poszycia i posłały płonący śmigłowca w ślad za pierwszym. Na pastwisku płonęły teraz dwie sterty pogiętego metalu. Następną serię załoga Mardera wymierzyła w Pumę.

Kilkanaście

trafień i wybuchów wystarczyło, by śmigłowca przewrócił się na bok i okrył płomieniami. Przygwożdżeni do murawy komandosi ostrzeliwali się nadal, lecz mogli się pożegnać zarówno z czynnikiem zaskoczenia jak i ze wsparciem ogniowym z Ga-zelle. Kilku Francuzów leżało już bez ruchu na ziemi, a resztę lada chwila miał spotkać ten sam los. Willi postanowił osobiście tego dopilnować. Z tyłu, z głębi lasu, nadal słychać było strzelaninę i huk granatów. Dopiero teraz Willi zrozumiał, że Francuzi biorą ich w dwa ognie. Jedna grupa podkradła się między drzewami, by uderzyć na tyły sztabu, podczas gdy grupa z Pumi miała odciąć Niemcom drogę ucieczki. Leibnitz pierwszy pozbierał się z ziemi.

- Chodźmy, panowie. Trzeba pomóc naszym - odezwał się, wskazując

kierunek, z którego dobiegały wystrzały. - No, chodźcie! Willi poszedł w jego ślady i mocniej ścisnął rękojeść pistoletu maszynowego. Z bronią gotową do strzału, czwórka oficerów zanurkowała w głąb lasu. Dwadzieścia metrów od ciężarówek znów musieli jednak paść na ziemię, ostrzelani długą, pojedynczą serią. Jansen, dowódca 20. Brygady Pancерnej, krzyknął krótko i runął z przestreloną czaszką. W całym lesie co krok widać było zwłoki w niemieckich i francuskich mundurach. Mili znieruchomiał i z bijącym sercem wypatrywał kryjówek przeciwnika. Skąd wystrzelono w nich tę serię? Udało im się przypaść do ziemi parę metrów od płonącej ciężarówki, lecz wiatr zaczął zwiewać dym w inną stronę, pozbawiając ich osłony. Także od najbliższych drzew dzieliło ich ładnych parę metrów. Wokół ani krzaczka - za to kawałek dalej zaczynała się gęstwina, w której nie sposób było nic zobaczyć. Dookoła w dalszym ciągu rozlegały się co i rusz serie, a płomień i dym pożerające z trzaskiem ciężarówkę dodatkowo utrudniały obserwację. Z zarośli wyskoczyła nieoczekiwanie para francuskich żołnierzy, kierując się na prawo od miejsca, w którym leżał Willi. Prawie natychmiast spostrzegli rozciągniętych na ziemi Niemców i zwrócili w ich kierunku automaty, lecz nie zdążyli wystrzelić. Von Seelow pociągnął za spust pistoletu maszynowego i kilkoma krótkimi, celnymi seriami położył obu komandosów. Trafieni raz po raz Francuzi zwalili się w drgawkach na ziemię. Niestety, strzały przywabiły następnych przeciwników. Willi kątem oka spostrzegł przez zarośla dwóch następnych komandosów, którzy natychmiast przypadli do ziemi. Obrócił jeszcze w ich kierunku lufę MP5, ale wiedział, że już nie zdąży. Z zarośli poszybowały w jego stronę dwa granaty ręczne. - Kryj się! - zawołał nieswoim głosem i wtulił twarz w trawę. Pierwszy granat poszedł w prawo i wybuchnął nie czyniąc im szkody. Drugi pacnął w ziemię dwa metry od miejsca, gdzie leżeli Niemcy. Willego trzepnęła fala powietrza, uderzając go jak gorący mur. Rozpaczliwie wrył pazury w ziemię, by nie dać się wyrzucić w górę, między rój stalowych odłamków rozpryskujących się na wszystkie strony. Nie słyszał nawet świstu, z jakim kęsy stali przemknęły mu o centymetry nad głową, bo wybuch ogłuszył go doszczętnie. Kiedy się wreszcie wystraszył, było po wszystkim. Żył. Wyszkolenie podpowiedziało mu, że nie wolno tkwić

bezczylnie. Zmuszając ciało do wysiłku i walcząc z zawrotami głowy, Willi podniósł lufę pistoletu maszynowego. Wydawało mu się, że broń waży tonę, a drżenie rąk na dobrą sprawę uniemożliwiało celowanie. Granat oślepił go przy okazji, bo zasypał mu oczy ziemią i kurzem. Nie podnosząc się z ziemi, Willi wycelował jednak broń i puścił w obu przeciwników długą serię, niecelnie, ale za to prędko. To zaś wystarczyło. Zaskoczeni Francuzi, zamiast rzucić się w ślad za granatami i dobić Niemców, musieli znów zaleć. Leibnitz i Schisser, który przejął dowodzenie nad 21. Brygadą, również strzelili krótkimi seriami prosto w kępę zarośli, z których rozległy się krzyki, a potem coraz cichszy, bulgotliwy jęk. Nad lasem znowu zaległa cisza, która szarpała Willemu nerwy jeszcze gorzej niż przed chwilą strzelanina. Dzwoniło mu okropnie w uszach. Nadal omiatał las pistoletem maszynowym. A nuż między drzewami kryją się nowi napastnicy, którzy tylko czekają, aż Niemcy wyjdą z ukrycia? Czy też może naprawdę udało się odpędzić Francuzów? Tego ostatniego dowodził choćby fakt, że udało się przeżyć. W pierwszym wypadku leżenie plackiem miało głębokie uzasadnienie, natomiast w tym drugim, człowiek wychodził na durnia. - Herr General! - rozległo się nawoływanie. Głos należał do majora Feista. Willi podskoczył i dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że się cały trzęsie. Leibnitz odkrzyknął coś zaraz. Nie bezpieczeństwo minęło, i to zaledwie w kilka minut po rozpo częciu walki.

Willi wstał z wolna i otrząsnął się. Zaczynał dochodzić do siebie. Spacerkiem dotarł do kępy zarośli, którą przed chwilą szatkowali ogniem z pistoletów maszynowych. Między krzewami leżały dwa bezwładne ciała.

Czubkiem buta Willi obrócił pierwszego trupa na plecy i przyjrzał się mundurowi. Odznaka ze srebrnym skrzydłem i mieczykiem, a także czerwony beret zdradzały, że zabity komandos należał do 13. Pułku Desantowego Dragonów, elitarniej jednostki podobnej do niemieckich oddziałów Dalekiego Zwiadu i amerykańskich Sił Specjalnych. A mimo to daliśmy im w kość, pomyślał Willi z satysfakcją. Nieźle, jak na gromadę taborytów. Największą zasługę miał w tym oczywiście Leibnitz, który podobnie jak Willi wyciągnął wnioski z lekcji, jaką stał się napad polskich maruderów i śmierć George'a Bremera. Generał uczynił wszystko, by zapewnić sztabowi dywizji względne bezpieczeństwo. Kiedy Willi

odstąpił od zabitych Francuzów, natknął się na zdyszanego Feista, który w pośpiechu meldował Leibnitzowi: - Nie, panie generale, nie było meldunków o żadnych innych akcjach. Na pozostałych odcinkach ani Francuzi, ani Polacy nie atakowali. Dotąd naliczyłem dwudziestu zabitych spadochronia rzy. Próbujemy wybadać, w jaki sposób zdołali podejść aż tak blisko. Wygląda, że się skradali całą noc, ja przynajmniej nie widzę innego sposobu.

Leibnitz wydał z siebie warknięcie godne wilczura. A więc Francuzi od początku nie zamierzali z nim rozmawiać? Rozejrzał się po łące, usłanej zabitymi i rannymi grenadierami, po czym zauważył: - Wygląda na to, panowie, że doszedł nam jeszcze jedno przeciwnik.

- Nie, został już tylko jeden - sprostował Willi, nie zważając że zwraca się do zwierzchnika. Sam także kipiał ze złości, choć do tej pory w gorączce starcia nie pomyślał nawet, jak zdradzieckie okazują się metody generała Montagne. Do tej pory Willi nie cierpiał Francuzów jako samolubów, lecz teraz mógł ich uznać tylko za zbrodniarzy.

Generał Leibnitz był tego samego zdania.

- Proszę się połączyć z wszystkimi brygadami - zwrócił się do Feista. - Rozkazuję strzelać do wszystkich francuskich oddziałów. A potem... Potem proszę mi włączyć szyfrówkę. Muszę się połączyć z Berlinem.

4 lipca - na pokładzie USS „Inchon”, Grupa Inwazyjna u wybrzeży Belgii

O tym, by niespokojnie krążyć po zaciemnionym mostku USS „Inchon” nie było nawet mowy. W całym niewielkim pomieszczeniu, między przyrządami, tłoczyli się ludzie, więc w panującym mroku nietrudno było o zderzenie. Admirał Jack Ward mimo to nie dawał za wygraną i dreptał pod jedną z grodzi, niczym nerwowy przyszły ojciec w komediach z lat trzydziestych. Ponieważ oczekiwanie przedłużało się coraz bardziej, spacer pozwalał spalić choć część adrenaliny. Pół godziny wlokło się niczym pół tysiąclecia. Ward zdjął z wieszaka nocną lornetkę i jeszcze raz wyszedł na zewnątrz, na skrzydło mostku. Chłodne powietrze Morza Północnego i wiatr od czoła idącej z prędkością 15 węzłów formacji kazały Wardowi podnieść kołnierz zielonej, wojskowej kurtki, którą pożyczył sobie od piechoty morskiej. Wybrzeże

Belgii przypominała cienką kreskę, widoczną tylko w postaci ciągu wybrzuszeń po wschodniej stronie horyzontu. Nieliczne światelka wskazywały położenie mniejszych miejscowości, a ich największe skupisko zdradzało, gdzie dokładnie leży port w Ostendzie. Fala była niewielka, a noc dosyć ciemna, bo rozświetlana tylko rąbkiem Księżycy. Ciemność pomagała w ukryciu. Komu? Na przykład grupie zaciemnionych jednostek desantowych, zmierzających ku plażom. Pierwsza fala LCAC - szybkich i wszędobylskich poduszkowców desantu - odbiła od burt USS „Inchon” piętnaście minut temu. Wybrzeże wydawało się odległe, lecz Ward zdawał sobie sprawę, iż co najmniej od północy flotylla igra z ogniem. Płynęli wprawdzie poza zasięgiem artylerii z lądu, lecz nadbrzeżne baterie rakietowe miały ruchome wyrzutnie, toteż znalezienie ich było po prostu niemożliwością. Dotychczas jednak Wardowi i jego dowódcom dopisywało szczęście. Wykorzystując aliancką przewagę na całym akwenie, admirał zaryzykował wczoraj przejście morzem w biały dzień. Kilkugodzinny skok już po zapadnięciu ciemności pozwolił grupie desantowej osiągnąć planowaną pozycję i skorzystać z osłony nocy przy lądowaniu. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, o świcie pierwsza fala desantu zdąży się już umocnić na plażach. Nie oznaczało to, że nie ma się już czym denerwować. Skryte działania i pogoda pozwoliły bezboleśnie wykonać pierwsze posunięcia, lecz zaskoczenie mogło się ulotnić w jednej chwili - wystarczy jeden rybak z radiotelefonem albo bystrooki nocny plażowicz. Przy desantach morskich liczy się wyłącznie umiejętność skrytego podejścia do celu. Po niebie krążyło chyba całe lotnictwo połączonych sił alianckich. Myśliwce eskortowały grupę, atakowały wszystkie pobliskie stacje radarowe i radiowe i bombardowały bazy morskie. Naloty na Dunkierkę, Calais i Lilie powinny dostarczyć Francuzom zajęcia na tyle, by desant mógł lądować bez przeszkód.

Gdyby Francuzi wykryli grupę tak blisko wybrzeża, z żołnierzami już na barkach i w śmigłowcach, nawet osłabione lotnictwo Konfederacji mogło sobie urządzać niezłe łowy. Ward zdawał sobie sprawę, jak wiele ryzykuje.

Spojrzał z mostku w dół, na pokład startowy USS „Inchon”, gdzie czekał już rząd Ospreyów. Drużyny piechoty morskiej przycupnęły przy pionowzlotach, wiedząc, że za kilka minut znajdą się w powietrzu, a z nimi siostrzane oddziały z innych okrętów.

Samoloty pionowego startu pozwalały przerzucić ludzi na brzeg w błyskawicznym tempie, lecz miały tę wadę, że łatwo je było zestrzelić. Pierwsza fala desantu ruszyła więc na brzeg drogą morską. Ward podszedł do okutanej płaszczem postaci, która zdawała się drzemać w admiralskim fotelu. Zważywszy na porę, drzemka miała wszelkie uzasadnienie. Ward wiedział jednak, że jego gość nie śpi. - Niedługo się dowiemy... - odezwał się.

- Jak szybko poruszają się te poduszkowce, admirale? - zapytał go cicho Ross Huntington.

- Z obciążeniem takim jak teraz, czterdzieści węzłów. Ponad siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Dotarcie do plaży powinno im zająć z pół godziny. W czasie drugiej wojny światowej trwało to dwa razy dłużej, i to przy siłach głównych tuż przy wybrzeżu!

- Jeszcze dłużej? - zdumiał się Ross Huntington. - Mnie się zdawało, że tkwię tu całą wieczność!

Kompania C 3. Batalionu 5. Brygady sił ekspedycyjnych piechoty morskiej

Kapitan Charlie Gates z piechoty morskiej stał na obłym dziobie poduszkowca i kurczowo trzymając się relingu, wypatrywał czegoś w ciemności. Poduszkowcem rzucało wściekle, lecz kapitan udawał, że tego nie zauważa, podobnie jak nie zwracał uwagi na porywisty wiatr od dziobu. Klął za to głośno na widzialność, która nawet w goglach noktowizyjnych wynosiła zero. Na razie byli za daleko od brzegu, by cokolwiek widzieć. Kłopot tylko, że kiedy z plaż błysną ogniki wystrzałów, będzie już za późno na ucieczkę. Gates miał mętną nadzieję, że skoro sam nie widzi plaży, obserwatorzy z wybrzeża nie widzą jego poduszkowca. Chyba, że mają noktowizory, które w tych czasach może sobie zafundować każdy głupi. Co gorsza, było jasne, że przeciwnik zanim zacznie strzelać, podpuści desant na bliską odległość i zaczeka, aż poduszkowce wjadą na plażę, opuszczą pomosty... A wtedy sypną się serie! - Kurwa, bez kitu - mruknął Gates sam do siebie. Rozkaz mówił co innego, oficer rozpoznania zapewniał, że plaże będą czyste. O co chodzi? Dla zabicia czasu Gates sprawdził gotowość swoich ludzi. W mroku widział tylko zarysy poszczególnych postaci. Żołnierze siedzieli albo stali na swoich miejscach, próbując spokojnie przeczekać półgodziną przejażdżkę na plażę. Obładowani bronią i sprzętem nie mogli nawet odpocząć przez ten czas, ale też kto to widział, żeby piechota morska robiła sobie

co chwila odpoczynek? Gates domyślał się, że są już bardzo blisko brzegu, więc dwukrotnie machnął zaciśniętą pięścią w stronę zakątka pokładu, gdzie siedzieli jego podporucznicy. Na ten sygnał oficerowie zerwali się, odszukali sierżantów i wraz z nimi zaczęli ustawiać kompanię w szyku desantowym. Kapitan pamiętał, co mówiono mu na odprawie o plaży. Łagodne, długie zbocze wspinało się od strony morza ku niskiej, murowanej skarpie nadmorskiej szosy. Po drugiej stronie drogi stały magazyny i parterowe hale fabryczne - idealne schronienie przed ogniem czołgów i piechoty przeciwnika. Jeśli oczywiście pokaże się jakiś przeciwnik. Ryk turbin poduszkowca zmienił tonację. Szybujący tuż nad wodą pojazd zwalniał, by nie wyrznąć w brzeg z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nawet na niskich obrotach silniki skowyczały ogłuszająco. Gates uznał, że równie dyskretnie dałoby się podkraść do plaży w kabinie wozu strażackiego na sygnale. Wojska okopane na brzegu wcale nie musiały przepatrywać ciemności. Wystarczyło, że wartownicy nastavili uszu. -

Kapitan Gates? Mam kontakt wzrokowy! - oznajmił w słuchawkach głos pilota poduszkowca. Gates drgnął nerwowo i podniósł wzrok w kierunku oszklonej sterówki. Podoficer pełniący rolę „woźnicy” wskazywał ręką na punkt plaży, gdzie zapłonęła przed chwilą grupa światełek.

Gates nie potrzebował tej wskazówki, by spostrzec sygnał, mający postać trójkąta o czerwonym, białym i niebieskim wierzchołku. Nieco na prawo - dokładnie w umówionym miejscu - zapaliła się następna trójka światełek. Nie widać było serii pocisków smugowych ani w ogóle śladów życia. Gates zsunął z oczu noktowizyjne gogle i rzucił do mikrofonu: - Jedziemy! Natychmiast zapaliły się światła pozycyjne i reflektory poduszkowca, prawie oślepiając nawykłych do ciemności żołnierzy. Potężny pojazd wypełził z wody na plażę, rozpryskując podmuchem wodę i kamyki. Turbiny zwolniły biegu i przycichły. Kiedy dziobowy pomost desantowy dotknął piasku, Gates sprintem ruszył przed siebie, byle dalej od bezbronego poduszkowca. W biegu i w ciemnościach ślizgał się co chwila na kamykach, które grubą warstwą zalegały plażę, lecz twardy grunt pod nogami koił mu nerwy niczym balsam. Najgorsze już minęło. Kompania C zgodnie z planem rozsypała się w wachlarz, ubezpieczając lądowanie następnej fali desantu, ciągnącej kilka minut za pierwszą. Gates

ruszył biegiem ku kolorowym światłom. Za nim gnał radiowiec i drużyna pożyczona z pierwszego plutonu. Pod metalowym rusztowaniem, do którego przyczepiono światła, stało kilku ludzi. Z początku Gates widział tylko zarys ich sylwetek, ale po paru krokach ujrzał wyraźnie łaty maskujące na ich polowych mundurach. Zamiast hełmów wojskowi mieli jednak na głowach miękkie berety. Gates zwolnił biegu, zdjął z ramienia M16 i bezwiednie poprawił na sobie oporządzenie. Dwaj spośród trójki wojskowych wyszli mu na spotkanie. Mimo mroku Amerykanin spostrzegł, że pierwszy z nich jest wysoki, z czarnym, nastroszonym wąsikiem, a drugi mniejszy i bez zarostu. Najbardziej go zdumiały nieznajome insygnia oficerskie. Zasadniczo Gates powinien mieć tej nocy inne zmartwienia niż ranga, ale żołnierskie nawyki okazały się silniejsze. Wyższy z oficerów oszczędził mu wątpliwości, bo pierwszy zasalutował i z zabawnym akcentem oznajmił po angielsku: - Jestem major Vandendries z Belgijskich Sił Zbrojnych, a to pułkownik Luiten z Królewskiej Armii Holenderskiej. Witamy w Belgii! - dodał półżartem.

Gates prędko odsalutował.

- Kapitan Gates z korpusu piechoty morskiej USA. Cholernie się cieszę! Radiowiec! Masz łączność? Nadawaj hasło „Bagnet”!

Na pokładzie USS „Inchon”

- Sygnał z pierwszej fali desantu, panie admirale!

Komunikat z głośników sprawił, że wszyscy ludzie w kabinie nawigacyjnej USS „Inchon” zamarli.

- Piechota morska nadaje: „Bagnet”!

Ward odetchnął głęboko, a potem wręcz się rozpromienił. Zupełnie się nie przejmował w tej chwili zasadą, że dowódca nie powinien robić z siebie idioty, lecz mimo wszystko powstrzymał się od tańców po pokładzie. Oficerowie floty także znaleźli w sobie dość dyscypliny, by nie wiwatować i nie śpiewać, ale uśmiechali się co najmniej tak szeroko jak admirał. Hasło „Bagnet” oznaczało, że piechota morska nawiązała przyjazny kontakt z wojskiem belgijskim. „Sztylet” miał sygnalizować pomyślnie lądowanie bez nawiązania kontaktu, a „Miecz”, że Belgowie bronią się przed desantem, a reszcie floty inwazyjnej pozostaje tylko zwinąć żagle. Ward dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wszyscy oficerowie patrzą na niego, jak gdyby na coś czekali. Komandor March stanął tuż obok, z cierpliwą miną.

Cierpliwą czy cierpiętniczą? Ward ocknął się natychmiast. - Wysłać drugą falę desantu i przekazać flocie: lądowanie wśród sojuszników. March potwierdził rozkaz i oddalił się natychmiast. Zanim admirał miał czas stanąć przy poręczy mostka, ruszyły potężne śmigła Ospreyów, a w kadłubach zniknęli ostatni żołnierze piechoty morskiej. Admirala ciekawiło, co czują ludzie z desantu, którzy dowiedzieli się nieoczekiwanie, że zamiast szturmować wrogi brzeg, przybyli wesprzeć siły nowego sojusznika USA. Śmigła obracały się coraz prędzej, a odgłos ósemki rozpędzonych silników o mocy 6 tysięcy koni mechanicznych każdy, przeszedł w ciągły łoskot. Kiedy hałas sięgnął zenitu, cztery Ospreye oderwały się kolejno od pokładu, gładko wzbiły do góry i pomknęły w kierunku belgijskiego wybrzeża. Za niewiele minut żołnierze mieli się znaleźć na brzegu, gdzie do świtu powinien dotrzeć cały batalion, a obok niego reszta sił brygady z pokładów Grupy Inwazyjnej. Rankiem, kiedy się zrobi jaśniej, do portów Belgii i Holandii wpłyną statki transportowe ze sprzętem, czołgami i amunicją 2. Dywizji Pancерnej i 4. Dywizji Piechoty. Rozładunek nastąpi nie na plaży, lecz w basenach portowych, co pozwoli zaoszczędzić sobie strat, a co najważniejsze, przyniesie zysk czasowy. Nie inwazja, tylko rozładunek! Ward uświadomił sobie w tejże chwili, że na śmierć zapomniał o Huntingtonie. Podeszedł prędko do fotela, by pogratulować, lecz zaraz zatrzymał się wpół kroku i odstał na palcach. Co szkodzi zaczekać, aż prezydencki doradca ocknie się z drzemki?

Paryż

Nie zwracając uwagi na zegar, Desaix aż do bladego świtu ślęczał przy biurku, usiłując zaradzić skutkom najnowszego fiaska w siłach zbrojnych. Meldunki wywiadu i inne dokumenty leżały ułożone w równy stosik na jednym z rogów biurka. Środek zakrywała mapa, a na niej talerz z resztkami późnej kolacji. Desaix nie interesowały w tym momencie szczegóły. Próbował znaleźć sposób, by ocalić Francję i nie mogły mu w tym pomóc żadne papierki. Akcja komandosów generała Montagne przeciwko zbuntowanym dowódcom

7. Dywizji zakończyła się sromotną porażką. Jej jedynym skutkiem była zmiana postawy generała Leibnitza, który zarzucił bezczynność i przeszedł do otwartych działań przeciwko armii francuskiej. Desaix miał więc nowe zmartwienie. Do tej pory

musiał sobie radzić z jedną zbuntowaną dywizją i dalszymi losami natarcia na Gdańsk. Przyszłość rysowała się o wiele bardziej tragicznie. Na wieść o niesubordynacji 7. Dywizji, rząd w Berlinie nabrał wody w usta i nie obiecał nawet, że odsunie Leibnitza od dowodzenia czy aresztuje go jako buntownika. W chwili, gdy tysiące niemieckich żołnierzy zbuntowało się przeciwko prawowitej władzy, Berlin ogarnął osobliwy paraliż. Dla Desabc było jasne, że dopóki nie rozwiąże się kwestii buntu, nie można liczyć na współpracę niemieckich wojsk - w Polsce ani gdziekolwiek indziej. Ofensywa Konfederacji utknęła w miejscu, i nic dziwnego, bo ostatecznie trudno się spodziewać po francuskich dywizjach, że będą skutecznie walczyć mając z przodu Polaków i Amerykanów, a na zapleczu drugiego wroga w postaci Niemców. Co najgorsze, wszystkie linie zaopatrzenia wojsk wiodły przez Niemcy, a co za tym idzie, w każdej chwili mogły zostać przerwane. Co się stanie, jeśli na przykład niemieccy kolejarze albo żołnierze z oddziałów strzegących kolei pójną za przykładem 7. Dywizji? Co wtedy? A co się będzie działo, kiedy o buncie dowiedzą się Amerykanie? Jak długo będą zwlekać, zanim skorzystają z okazji i wejdą między podzieloną obronę Konfederacji? Desabc zamknął oczy, czując, że lampa na biurku razi go coraz bardziej. I jeszcze ta cholerna migrena...

Uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że kończą mu się pomysły. -
Panie ministrze!

Do gabinetu wszedł dyżurujący sekretarz, Radet, ale zanim De-saix zdążył go o cokolwiek zapytać, cisnął na biurko kartkę z telefonogramem i czmychnął. Desaix zrozumiał, że znowu stało się coś złego. Ano, spójrzmy. Ciekawe, co znowu wymyślili ci Niemcy? Przepracowany minister spojrzał na kartkę, lecz dopiero po chwili zrozumiał, że tym razem wcale nie chodzi o Niemców i wystraszony przeczytał meldunek jeszcze raz. Belgia zamknęła wszystkie granice lądowe i powietrzne. Przyczyna nieznana, nie działają także wszystkie linie łączności z tym krajem. Łączy telefoniczne i komputerowe milczą, przerwały nadawanie wszystkie stacje radiowe i telewizyjne. Nawet łączność radiowa jest utrudniona, gdyż alianci bombardują bazy w północnej Francji i zastosowali silne zagłuszanie.

Podwładnym Desaix z Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie udało się także połączyć z ambasadą w Brukseli ani z francuskimi

konsulatami na terenie Belgii. Desaix poczuł mróz na plecach. Cokolwiek się działo, nie wymyślili tego sami Belgowie. Posterunki nasłuchowe DGSE meldowały, że stacje telewizyjne i radiowe na terenie neutralnej Holandii przerwały normalny program, by ogłosić komunikat o natychmiastowej mobilizacji wszystkich rezerwistów, Francuska ambasada w Hadze zawiadamiała, że Holendrzy skontaktowali się z ambasadorem i nakazali mu czekać na „nadmierzalną notę” ze strony holenderskiego rządu. Przez chwilę Desaix zastanawiał się czy wszystko to nie jest jakąś kolosalną mistyfikacją, diabelskim podstępem amerykańskich i brytyjskich służb szpiegowskich, lecz skala wydarzeń kazała mu w to wątpić. W głowie ministra wirował rój pytań. A może to sprawa Niemców? Ale skąd? Jakim cudem? Desaix złapał za telefon i wystukał specjalny numer Morina. Czuł, że się już nie obejdzie bez pomocy szefa DGSE. - Biuro dyrektora - odezwał się nerwowy głos na drugim końcu linii.

- Mówi Desaix. Natychmiast łączyć z Morinem!

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Najmocniej przepraszam, panie ministrze, ale niestety, pan dyrektor nie może w tej chwili z panem rozmawiać.

Desaix ogarnęła furia.

- Dawać go w tej chwili! Gównu mnie obchodzi czy siedzi w klozecie, śpi, czy rżnie jakąś kurwę! Macie go w tej chwili znaleźć, rozumiano?!

Dziwna sprawa, gniewny ton zwiększył tylko upór rozmówcy. -

Obawiam się, że to niemożliwe, panie ministrze. Przekażę pańską wiadomość, gdy tylko pan dyrektor znajdzie dla mnie chwilę czasu.

Szczęknięta odkładana słuchawka.

Nicolas Desaix z obłędem w oczach spoglądał na przyciski telefonu. Wyglądało na to, że z pokładu zaczynają uciekać pierwsze szczury.

Sztab 7. Dywizji Pancерnej

Willi von Seelow ocknął się z płytkiego snu. Na dworze ktoś krzychał „alarm”, a w tle słychać było tupot żołnierzy, biegnących na stanowiska. Podpułkownik poczuł, że znów go zdejmują panika. Nie wiedział czy atakują ich Francuzi, tym razem większymi siłami, czy też może szukają na nich pomsty Polacy i Amerykanie? Sturlał

się z polowego łóżka, wyszarpnął spod poduszki MP5 i wypadł przed namiot, gdzie zaczynało już szarzyć. Generał Leibnitz i Schis-ser zerwali się także. Miny mieli nietęgę. Wspólnie ruszyli biegiem w stronę, skąd krzyczano i z ulgą spostrzegli, że przyczyną całego zamieszania jest niemiłosiernie ubłocony niemiecki porucznik na cywilnym motocyklu. Na widok sztabowców porucznik zapomniał o zmęczeniu. Zerwał się natychmiast i stanął na baczność. - Panie generale, melduje się porucznik Meyer ze sztabu 2. Dywizji Grenadierów Pancernych!

Willi natychmiast nastawił uszu, bo 2. Dywizja Grenadierów była ich siostrzanym niemieckim związkiem taktycznym w składzie II Korpusu. Godzinę po ataku na sztab 7. Dywizji, Francuzi rozpoczęli zagłuszanie wszystkich kanałów łączności, nie pozwalając Leibnitzowi porozumieć się z resztą sił niemieckich. Wysłani z wiadomościami gońcy na razie jeszcze nie powrócili i nie wiadomo było czy wrócą. Leibnitz odsalutował z uwagą.

- Spocznij, poruczniku.

Meyer wyraźnie odetchnął, lecz nadal stał na baczność.

- Panie generale, generał Berg przesyła pozdrowienia i wiadomość - wyrecytował.

- Proszę mówić! - przynaglił Leibnitz, nie zważając na tłumek ciekawskich. Wiadomość musiała być naprawdę ważna, skoro kurier niósł ją w pamięci, a nie w formie pisemnej.

- „Dowiedzieliśmy się o francuskim napadzie na wasz sztab, a także o waszych stratach” - zaczął porucznik. - Jesteśmy z wami i daliśmy łupnia oddziałom francuskim, które do nas podeszły.

Wiadomość o zbrodniczym napadzie przekazałem wszystkim jednostkom niemieckim, z którymi mamy łączność”. To wszystko, panie generale - oznajmił Meyer, któremu bardzo ulżyło.

- Mogę przekazać pańską wiadomość z powrotem do dywizji, albo zostać u pana jako kurier, jeżeli jest taka potrzeba. Któryś ze sztabowców podał Meyerowi kubek kawy.

Porucznik przyjął to z wdzięcznością. - Dobrze, proszę zostać - polecił mu Leibnitz. - Czy macie łączność z Berlinem?

- Nie, panie generale. Zagłuszanie na wszystkich liniach dowodzenia, radiowych i telefonicznych też. Dotarł do nas tylko rozkaz, żeby czekać.

- Doskonale. Będziemy zatem czekali - oznajmił poważnym tonem Leibnitz. Willi i reszta oficerów nie mieli nic przeciwko temu.

Nawet siedząc beczynn timer, sypali piach w tryby Konfederacji. -
USS „Inchon”

Admirał Jack Ward zaszył się w centrali bojowej lotniskowca, śledząc na ekranie radaru przebieg bitwy powietrznej nad Francją. Paryż rzucił przeciwko jego samolotom całą flotę powietrzną, jaka została w zapasie. Czyli nie tak znów wiele. Francuskie ataki wydawały mu się źle przemyślane i zbyt pospieszne. Najciekawsze było jednak to, że Niemcy w ogóle nie wspomagali sojuszników. Luftwaffe pozostała na lotniskach. Pozbawieni wsparcia Francuzi napotykali w powietrzu nie-przebity mur F-14 i F-18 z obu lotniskowców, które ubezpieczały desant, a oprócz tego F-15 i Tornado z lotnisk w Anglii. Najbardziej cieszył Warda udział belgijskich i holenderskich F-16. Walka była krwawa i nader nierówna, wręcz niesprawiedliwa - jak każde dobrze zaplanowane starcie. Na odcinku północnym, czołgi, ciężarówki i działa 4. Dywizji Piechoty wysypywały się ze statków na nadbrzeża Rotterdamu. Przerzucone z Wielkiej Brytanii drogą powietrzną czołowe oddziały dywizji ruszyły już w kierunku niemieckiej granicy. Na południu, w Belgii, 5. Brygada sił piechoty morskiej wylądowała całością sił pod Ostendą i posuwała się na zachód. Do południa na brzegu miała się znaleźć 2. Dywizja Pancerna i jeszcze tego samego dnia ruszyć na południe, niczym miecz przystawiony do gardła Francji. - Admirale!

Ward obejrzał się i ujrzał za sobą Rossa Huntingtona, za którym dreptał drugi cywil, dużo, dużo niższy i o wiele młodszy. -
Znajdzie pan dla nas parę minut? Mam coś, co chyba powinno pana zaciekawiać. Po chwili obaj cywile ruszyli w ślad za admirałem, który z centrali bojowej zszedł na niższy pokład i korytarzykiem doprowadził gości do prywatnej kajuty. Królestwo admirała okazało się pierwszorzędnie urządzone, choć może nie luksusowe i stanowiło połączenie sypialni, kancelarii i saloniku. Gdy usiedli, Ward nie mógł się nadziwić zmianom w wyglądzie Huntingtona. Poprzedniej nocy facet chwiał się na nogach, a teraz proszę! Przyjaciół i doradca prezydenta USA rzeczywiście wyglądał jak po długim urlopie. Widać było, że zapomniał o dolegliwościach i bólach. Ciekawe, czemu to zawdzięcza? Na pewno nie ośmiu godzinom snu, w tym czterem w admirałskim fotelu na pomoście. Sam Ward, ilekroć zdarzyło mu się zdrzemnąć w tym fotelu, nazajutrz czuł strzykanie w karku. Steward przyniósł srebrną tacę z kawą

i ciepłymi bułeczkami, po czym ulotnił się dyskretnie. Kiedy się znaleźli sami, Huntington mógł nareszcie przedstawić nieznanego - eksperta z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Młody przybysz na samo brzmienie tej owianej tajemnicą nazwy zakręcił się nerwowo, jak gdyby miał ochotę wszystkiemu zaprzeczyć. Ward wiedział oczywiście, że Huntington otrzymuje przez kuriera regularne przesyłki z meldunkami wywiadu, lecz dotychczas nikt go nie wtajemniczał w ich treść. Huntington uczynił gest w stronę kuriera i wyjaśnił:

- Paul siedział od świtu na tylnym fotelu F-14. Ciekawa trasa, bo z Waszyngtonu do Londynu, a stamtąd na pokład „George'a Washingtona”. A potem śmigłowcem na „Inchon”. To najnowsze informacje, bo sprzed sześciu godzin. I to jakie! Wychodzi na to, że połowa niemieckich wojsk ogłosiła strajk. Ich działania bojowe na froncie polskim ustały, i to w chaotyczny sposób. Pomimo bardzo silnego zagłuszenia, udało nam się wyłapać kilka niezaszyfrowanych transmisji. Mówiąc o przeciwniku, Niemcy mają w nich na myśli Francuzów, a nie nas czy też Polaków.

Ward gwizdnął z wrażenia. Nic dziwnego, że Luftwaffe nie wyściubiła nosa poza własną przestrzeń powietrzną. - I co my na to?

- Co my na to? Mam dla prezydenta parę nowych pomysłów.

Zaprowadzi mnie pan do kabiny łączności?

Kompania A 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty na pozycjach pod Świeciem

Kompania A doszła już prawie całkowicie do siebie po ostatnim boju, na tyle, na ile to możliwe w przypadku jednostki, która utraciła prawie połowę stanu. Mike Reynolds i tak mógł się uważać za szczęściarza. Reszta batalionu wzięła na siebie największy impet niemieckiego uderzenia, wskutek czego w niektórych drużynach nikt nie ocalał, a z paru plutonów uskładałoby się najwyżej kilka sekcji ogniowych. W całej dywizji straty w zabitych i rannych wyniosły podobno ponad tysiąc żołnierzy. Reynoldsowi nie mieściło się to w głowie. Jeszcze parę takich bitew, a z dywizji zostaną sami telefoniści i sztandar. Na szczęście póki co Niemcy nie atakowali. Przestali nawet wysyłać szpice rozpoznawcze. Dywizja i cały korpus wykorzystaly tę zwłokę, by umocnić się na pozycjach i podciągnąć tak niezbędne uzupełnienia oraz zapasy. Co najważniejsze, z Gdańska zaczęły

nadciągać kolejne bataliony 1. dywizji Pancерnej i 24. Zmechanizowanej, tworząc potężny ruchomy odwód tuż za pierwszą linią obrony. Myśl, że Niemcy przerwali natarcie, również przyprawiała Reynoldsa o zawrót głowy. Może wyczerpali siły? Może szykują jakiś genialny manewr taktyczny? Niezależnie od przyczyny, kapitan miał pewność, że kiedy Konfederacja wznowi ofensywę, natknie się już na zupełnie innego przeciwnika. Kompania A zlurowała część sił 2. Batalionu na odcinku na wschód od Świecia. Reynolds pamiętał rozmowy w szeregach w trakcie przemarszu i przechwałki żołnierzy, dumnych, że się bili najdzielniej z całej brygady. Dopiero na widok pozycji 2. Batalionu i gruzów, w jakie się zmieniło Świecie, zrozumieli że wcale nie są wyjątkiem i przestali pleść. - Zbiórka oficerów! - zameldował Adams, podbiegając. -

Wszyscy dowódcy plutonów i kompanii. W hotelu. Hotel Piast także zamienił się w wypaloną ruinę. Z górnych pięter nie zostało nic, oprócz osmalonych ścian. Ocalała natomiast część parteru. Colby został na dawnej kwaterze, gdyż w Świeciu trudno było teraz znaleźć jakikolwiek dach nad głową. Sam pułkownik również dostosował się wyglądem do hotelu Piast. Wybuch bomby, która wyrznęła w budynek, omal go nie zasypał pod gruzami. Wykręcił się zaledwie poparzeniami pierwszego stopnia, osmalonymi włosami i mnóstwem zadrapań. Wyglądał jak niedoszły kandydat na pieczonego kurczaka. Kontuzja nie odebrała mu jednak energii, a cisza na froncie wprawiła go w doskonały nastrój. - Panowie, mam nowiny! W baseballa gra się odtąd bez kija, a wojnę także prowadzimy po nowemu! Dostaliśmy nowe wytyczne. Oficerowie i sierżanci nastawili uszu, całkowicie zaskoczeni wiadomością. Wokół nich trwała najprawdziwsza wojna, toczona na całego. Sztab upadł na głowę, jeżeli myśli, że da się tu cokolwiek zmienić. - Uwaga! - ciągnął Colby. - Do Niemców strzelamy tylko wtedy, jeżeli zaczną strzelać pierwsi. W całym pomieszczeniu rozniosły się oburzone głosy protestu. Colby gestem nakazał ciszę. 3. Batalion wiedział, czym jest dyscyplina, lecz sprawa była wyjątkowa. Czyżby koniec wojny? Czy może sztab dywizji zwariował? - To nie są rozkazy z dywizji tylko z Pentagonu! - uciął te uwagi Colby. - Z najwyższego szczebla! Jak wam się nie podoba, to walcie z pretensjami do Białego Domu!

Reynolds postanowił się jednak wychylić. Gdy chodziło o życie jego żołnierzy, nie było miejsca na niedomówienia. - Co mamy robić, jeśli na nas ruszą?

- Macie mnie zaraz zawiadomić. Jeżeli podejda na odległość - strzału, walcie w nich, a martwić się będziemy potem. Z tym, że jeżeli to wy ich wypatrzycie, macie nie strzelać. Chodzi o to, żeby ich zostawić w spokoju. Nie wysyłamy patrolów, nie ostrzeliwujemy z dział, nie bombardujemy. Macie siedzieć na dupie i obserwować. - Ale co z Francuzami? - znowu nie wytrzymał Reynolds.

- To co innego. Jeśli zidentyfikujecie cel jako francuski, macie rąbać ze wszystkich luf.

37

Klęska

5 lipca - szpica amerykańskiej 2. Dywizji Pancерnej pod Mons w Belgii

Dziewiętnaście bojowych wozów piechoty M3 Bradley szło klinem na południowy zachód. Pod ich gąsienice kładły się kolejne kilometry płaskiej, nieciekawej krainy, oznaczonej zagonami buraków, sadami owocowymi i szarymi kopcami hałd. Nad transporterami uwijały się niewielkie śmigłowce, które wzbijały się wyżej tylko po to, by przeskoczyć nad liniami wysokiego napięcia: dywizyjne OH-58 Kiowa wypatrywały pierwszych stanowisk obronnych Konfederacji. W ślad za OH-58, lecz jeszcze niżej, ciągnęły podobne do czarnych rekinów „latające czołgi” Apache, gotowe w każdej chwili wyjść w górę i wypuścić salwę kierowanych laserem, zabójczo skutecznych rakietowych pocisków przeciwpancernych Hellfire. Od granicy z Francją dzieliło oddział już tylko dwadzieścia kilometrów. W ślad za szpicą i ubezpieczeniem czołowym, kilka kilometrów z tyłu, szła kolumnami reszta sił amerykańskiej 2. Dywizji Pancерnej, w postaci setek czołgów M1 i bojowych wozów piechoty M2. Z tej odległości przemarsz kolumn wyznaczały jedynie chmury kurzu i niski, jednostajny, brzękliwy pomruk. Od zachodu widać było na horyzoncie nowe obłoki kurzu. Czołgi armii belgijskiej nacierały z tamtego kierunku, wspomagając pochód Amerykanów. Podpułkownik John Chandler, dowódca szwadronu kawalerii pancерnej z 2. Dywizji, jechał wychylony z otwartego włazu i uważnie, prawie z nabożeństwem obserwował teren - tę samą ziemię, na której 84 lata wcześniej

stoczyli pod Mons pierwsze boje brytyjscy strzelcy w mundurach khaki i kajzerowska piechota w pikielhaubach. Po obu stronach padły tysiące zabitych. Stulecie chyliło się ku końcowi, lecz przeciwnicy nadal gotowi byli bić się i umierać na tej samej, płaskiej, brudnej i ponurej ziemi, Chandler widział w tym ironię losu, lecz zamiast się zamyślać, pilnie śledził potok meldunków w trzeszczących słuchawkach.

Ostatecznie to Francuzi i Niemcy wszczęli nową, bezsensowną wojnę. Jeśli przyjdzie im do głowy znów się bić, i to z o wiele silniejszym przeciwnikiem, Chandler nie miał nic przeciwko małej lekcji pogładowej.

6 lipca - Berlin, Urząd Kanclerza w gmachu Reichstagu

Nowy gmach Reichstagu niczym Feniks z kamienia i szkła odrodził się pośrodku kamiennej pustacji Placu Republiki. W ciemnościach świeciły się tylko nieliczne okna - wśród nich okno narożnego gabinetu we wschodnim skrzydle gmachu. Kanclerz Heinz Schraeder oderwał wreszcie wzrok od dachów zaciemnionej stolicy i spojrzał na zegar na biurku. Minęła północ. Schraeder przyłapał się na ironicznej myśli, że pora doskonale odpowiada sytuacji. Po drugiej stronie biurka czekała piątka nocnych gości, napiętych i zdecydowanych na wszystko: niemiecki minister obrony, niemiecki minister spraw zagranicznych i trójka generałów z poszczególnych rodzajów wojsk. Stali bez ruchu, jak gdyby spodziewali się zachęty, nim przemówią. Zresztą pewne formy obowiązywały ich nawet w chwili nieuniknionej klęski. - A zatem, z czym przychodzicie, panowie?

- Panie kanclerzu! Sytuacja strategiczna jest beznadziejna! - oświadczył prosto z mostu minister obrony, Jurgen Lettow. - Zdrada Belgii i przystąpienie Holandii do wojny przeciw Konfederacji oznaczają tylko jedno. Jesteśmy skończeni.

Schraeder nawet się nie sprzeciwił. Rzeczywiście, Amerykanie, Brytyjczycy i para ich nowych sojuszników rzucili łącznie do walki 150 tysięcy żołnierzy i prawie dwa tysiące czołgów, a co gorsza, zmasowali je tuż pod bokiem niebronionego, przemysłowego centrum Niemiec. Większość niemieckich wojsk ugrzęzła w Polsce i nadal odmawiała wykonywania rozkazów z Kwatery Głównej. To zaś oznaczało, że Amerykanom mogą zagrozić drogę tylko oddziały terytorialne i osamotniona dywizja grenadierów pancernych. A to za mało. Kanclerz odchrząknął. - Cóż pan w takim razie proponuje,

Lettow?

- Musimy zgodzić się na rozejm dopóki tamci chcą jeszcze rozmawiać - odrzekł minister obrony i czując aprobatę pozostałych dodał z pasją: - Bez oglądania się na Francuzów!

Niemcy rzeczywiście nie zaciągnęli w Paryżu długów wdzięczności, pomyślał ze złością Schraeder. Owszem, roztaczana wciąż przez Desaix wizja Europy zjednoczonej pod berłem Francji i Niemiec porwała kanclerza na tyle, że popierał każdą francuską decyzję, lecz co z tego? Francuzi co krok nadużywali tego zaufania, a fakt, że prowadzili z Rosjanami tajne rokowania dowiódł czarno na białym, iż dla własnej korzyści bez wahania poświęcą najżywotniejsze interesy niemieckiego partnera. Zbrodnicza napaść Francuzów na sztab niemieckiej 7. Dywizji Pancерnej rozwiąła w Niemczech wszelkie wątpliwości: zamiast być dla Paryża równorzędnym partnerem, stanowili rodzaj chłopca na posyłki, służącego, którego po wykonaniu brudnej roboty odsyła się na ulicę. Schraeder wahał się jednak. W sojusz z Francją zainwestował bądź co bądź cały polityczny kapitał. Czy uda mu się tak łatwo odciąć od Desaix? Jego słowa uprzedził zza biurka Lettow. - Panie kanclerzu, mówię to wszystko w imieniu całej reszty rządu i kierownictwa sił zbrojnych. Porzućmy ten idiotyczny sojusz, wycofajmy się z przegranej wojny, bo niedługo będzie za późno!

Wszyscy nocni goście w gabinecie Schraedera pokiwali głowami. Pamiętali, jak straszliwą cenę zapłacili Niemcy pół wieku wcześniej za decyzję, by walczyć do końca. Schraeder osunął się na fotel i zgarbił. - A jeśli się zgodzę? Co wtedy?

- Wtedy musi pan podpisać pewne dokumenty - wyjaśnił Lettow i bez zbędnych słów zaczął wykladać na blat kolejne arkusze.

Postarzały, zgnębiony kanclerz wziął się za pobieżną lekturę. Pierwszy dokument oficjalnie zawiadamiał Paryż, iż Niemcy wycofują się z wszelkich zobowiązań członkowskich w ramach Konfederacji Europejskiej. Drugi rozkaz zezwalał ministrowi spraw zagranicznych na natychmiastowe przystąpienie do rokowań pokojowych z aliantami. Dokument trzeci i ostatni nakazywał obu wewnętrznym sieciom kolejowym - w postaci Deutsche Bundesbahn i Deutsche Reichsbahn - natychmiastowe wstrzymanie wszelkich transportów dla sił francuskich w Niemczech i na wschodzie Europy. Schraeder powoli i z wyraźną niechęcią odkręcił pióro,

by pod każdym z poleceń złożyć niewyraźny podpis. Nim zdążył schować pióro, jeden z czekających już oficerów porwał dokumenty z biurka i wybiegł z gabinetu. Wówczas Lettow położył na blacie czwarty arkusz i lodowatym głosem oświadczył: - Podpisze pan jeszcze jeden dokument, panie kanclerzu.

- To znaczy co? - zdziwił się nieprzyjemnie Schraeder.

- Pańską dymisję.

Kompania A 3. Batalionu 187. Pułku Piechoty, na stanowiskach pod Świeciem

- Ruch przeciwnika na przedpolu!

Krzyk wartownika wyrwał kapitana Mike'a Reynoldsa z poobiedniej drzemki. Dwa dni ciszy i przerwy w walkach sprawiły, że Reynolds spłoszył się prawie jak podczas pierwszych dni w Polsce, lecz natychmiast przeważały w nim wojskowe nawyki. W jednej sekundzie, z bronią w ręku, był już za drzwiami kwatery. Refleks dopisywał także reszcie kompanii A: żołnierze wskoczyli do okopów,

obsadzili stanowiska ogniowe i już przepatrywali teren w poszukiwaniu przeciwnika. Choć czy można było nadal mówić o

„przeciwniku”? Stugębna plotka z zaplecza frontu powtarzała uparcie, że Konfederacja rozpada się w oczach. Czyżby już po wojnie? Reynolds nie był tego wcale taki pewien. Wypraktykowany cynizm podpowiada w takich wypadkach żołnierzom z pierwszej linii, że warto poczekać i nie spieszyć się z optymizmem.

Stanowisko dowodzenia mieściło się pięćdziesiąt metrów za środkowym sektorem kompanijnej linii obronnej. Reynoldsowi wydawało się, że pokonał tę odległość trzema susami. Kiedy wślizgiwał się do okopu, sierżant Robbins zaczął już meldować. -

Panie kapitanie, pojedynczy Marder na szosie. Poza tym nikogo!

Reynolds zauważył, że nie odrywając lornetki od oczu, zdziwiony sierżant wzrusza ramionami. Rzeczywiście, ciekawe. Reynolds również spojrzął przez szkła. Niemiecki transporter dzieliło od ich pozycji już tylko pół kilometra. - Nie wychylać się z okopów! Nie warto ryzykować.

Marder dawno wszedł w zasięg pocisków przeciwpancernych Javelin. Jeśli zapuszkowanym w transporterze klientom chodziło o to, żeby narobić zamieszania, czekała ich efektowna śmierć.

Reynolds przyjrzał się sylwetce transportera, jak gdyby chciał wzrokiem przewiercić stal i upewnić się co do zamiarów Niemców.

W samej rzeczy, przekonał się po chwili, że Marder jedzie z wieżą i lufą 25 milimetrowego działka odwróconymi do tyłu.

- Zawiadomić batalion, że Niemcy chcą rozmawiać! - Reynolds był już niemal pewien, że nie chodzi o prowokację. Jeśli się pomylił, oznaczało to, że Niemcom bardzo się spieszy do nieba. Marder zatrzymał się w sporej odległości, bo dobre sto metrów od okopów. Po opuszczonej tylnej rampie wyszło z przedziału desantu dwóch niemieckich oficerów w mundurach polowych. Pierwszy był wysoki i chudy, lecz na oko wysportowany i miał na głowie zielony beret piechoty zmotoryzowanej. Drugi oficer, niższy i starszy, nosił czarny beret czołgisty. Wyglądało, że nie mają przy sobie broni, choć nie zdjęli regulaminowych kamizelek kuloodpornych. Obaj ruszyli pewnym krokiem przed siebie, prosto ku stanowiskom ogniowym drugiego plutonu. Reynolds wbrew wszystkiemu, co mu podpowiadał instynkt, lecz przekonany że tak właśnie trzeba, wysunął się z okopu i wraz z sierżantem Robbinsem ruszył Niemcom na spotkanie. Własny M16 niósł nonszalancko pod pachą, na wszelki wypadek. Podczas dwóch krwawych starć, jakie kompania A stoczyła z Niemcami, bywało różnie, lecz w końcu się udało przeżyć. Reynoldsowi zależało na tym, by dobra passa potrwała jeszcze trochę. Zatrzymał się parę kroków od Niemców i dobrze się im przyjrzał. Jeszcze parę lat wcześniej musiałby im pewnie salutować jako żołnierz zaprzyjaźnionej armii. Jeszcze parę dni temu puściłby w nich serię bez ostrzeżenia. Pierwszy odezwał się wyższy z Niemców, chropawą, twardą angielszczyzną. - Witam, kapitanie. Jestem podpułkownik Wilhelm von Seelow, dowódca 19. Brygady Grenadierów, a to generał Karl Leibnitz, dowódca 7. Dywizji Pancерnej. Chcemy rozmawiać z dowódcą amerykańskiej dywizji. Mamy omówić tymczasowe zawieszenie broni do czasu, aż rządy naszych krajów zawrą pokój. Reynoldsowi odjęło mowę. Prawie nie wierzył, że przynajmniej raz pogłoski sprawdziły się w stu procentach.

7 lipca - główne wiadomości sieci CNN

Przy krawężniku londyńskiego Picadilly Circus główny komentator polityczny sieci CNN musiał się co chwila odsuwać pod naporem wiwatującego tłumu. Proszę państwa, to nie karnawał w Rio! Świętujący zwycięstwo tłum nie opuszcza Picadilly, a kolejne komunikaty o kapitulacji i rozpadzie nowych państw Konfederacji sprawiają, że ludzi nadal przybywa. Choć wydawałoby się to

niemożliwe, przybywa też entuzjazmu! Kamera ukazała z góry tłum wiwatujący na placu. Całe rondo zappełniło morze ludzkich głów, wśród których jak latarnia morska sterczał postument z posągiem Erosa. Przy zbliżeniu widać było, jak Londyńczycy - ci w dżinsach i ci w garniturach - wymachują rękami, krzyczą coś i tańczą w takt muzyki z radia. Potem kamera znów najechała na reportera CNN. To, co państwo oglądają, jest reakcją zgromadzonych na wiadomość o decyzji Austrii, jak wiadomo, przed chwilą Austria ogłosiła oficjalnie, że występuje z Konfederacji Europejskiej. Po władzach w Wiedniu spodziewano się tego kroku już wczoraj wieczór, lecz zanim mógł on nastąpić, niezbędne okazały się -jak to określił austriacki rzecznik - „wewnętrzne przesunięcia polityczne”, co w bardziej prozaicznym języku oznaczają zazwyczaj zamach stanu. Na ekranach pojawiła się mapa Europy z zaznaczonymi na czerwono, przedwojennymi krajami członkowskimi EuroConu. Poczynając od Belgii, która uczyniła to trzy dni temu, państwa członkowskie wycofują się kolejno ze zdominowanej przez Francuzów Konfederacji. Decyzja Belgii wstrząsnęła całym kontynentem... Na mapie, Belgia, a po niej kolejne kraje, zaczęły zmieniać kolor z czerwonego na niebieski. Decydująca dla losów sojuszu okazała się jednak kapitulacja Niemiec... Na ekranie pozostała jedynie czerwona plama Francji i kilka mniejszych kropek. Od tamtej chwili, kolejne mniejsze państwa czy to ulegając naciskom wewnętrznym, czy to wyswobodzone spod paryskiego jarzma, jak jeden mąż przyłączają się do zwycięskiego pochodu połączonych sił alianckich...

Na mapie świeciła czerwienią już tylko Francja.

8 lipca - pod miejscowością Tatabanya na Węgrzech Pułkownik Zoltan Hradetsky i Oskar Kiraly jechali na niskim biegu wskazaną im szosą, która przecinała las na północ od Tatabany, sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Budapesztu. Z meldunków wynikało, że okolica roi się od francuskich żołnierzy, lecz na szosie i poboczach obaj Węgrzy nie zauważyli nikogo. Nie komentowali tego między sobą, lecz natychmiast zwiększyli czujność, bo mimo solennych zapewnień ze strony Francuzów o nietykalności, tygodnie wojny wpoili Hradetskyemu i Kirayemu rzadką podejrzliwość. Szkoda ginąć, gdy po rozpadzie Konfederacji Węgry znalazły się o krok od zwycięstwa. Posłuszne surowym

rozkazom z Berlina, pozostałe jeszcze na Węgrzech jednostki niemieckie wycofywały się nie niepokojone, a często wręcz wspomagane przez Węgrów. Miejskowa żandarmeria wojskowa sama zaczęła regulować ruch na trasie odwrotu niemieckiej 10. Dywizji Pancernej, by jak najszybciej pozbyć się intruzów z terytorium kraju. Niemiecki odwrót oznaczał, że pozostałe w IV Korpusie dwie słabe liczebnie francuskie dywizje pancerne nie mogą liczyć na jakiegokolwiek wsparcie. Ostatnie decyzje Austrii odcięły też Francuzów od źródeł zaopatrzenia. Hradetsky pozwolił sobie na lekki uśmiech. Francuskie wojska stanęły nad skrajem przepaści. Teraz wystarczyło tylko lekko popchnąć. - Stać!

Francuscy żołnierze, którzy nagle wysypali się z lasu, kazali obu Węgrom zostawić samochód na leśnej polance i przesiaść się do wojskowego łązika, gdzie czekał na nich ponury francuski podporucznik. Tuż za łązikiem ruszyli uzbrojeni strzelcy w transporterze AMX-10. Hradetsky domyślił się, że wszystko to stanowi próbę zastraszenia, ale w obecnej sytuacji naprawdę trudno go było czymkolwiek zastraszyć. Kiedy spojrzał na Kiraly'ego, przekonał się, że barczysty blondas prawie się śmieje Francuzom w oczy. Stanowisko dowodzenia IV Korpusu mogło dostarczyć wzorca autorom podręczników wojskowych. Wytyczono je w głębi lasu, dokładnie zamaskowano i obsadzono wojskiem, jak przystało na serce i mózg operacji wojskowej. Na Hradetsky'm wszystko to zrobiło pewne wrażenie, a obyty z wojskiem Kiraly poważnie pokiwał głową. Z jego ust nie zniknął jednak uśmiech. Łazik zatrzymał się. Parę Węgrów poprowadzono pod eskortą do namiotu pośrodku obozowiska, gdzie za rozkładanym stołem czekał generał Claude Fabvier w nienagannie odprasowanej panterce. Kiedy niski, drobny Francuz podnosił się na przywitanie gości, Hradetsky"emu wydało się, że widzi na jego twarzy zły grymas, natychmiast zastąpiony wystudiowaną obojętnością. Niecierpliwość słysząc było także w pierwszych słowach Fabviera. - Siadajcie, siadajcie, panowie. Jak widzicie, jesteśmy w komplecie. Jakie to tematy mamy więc przedyskutować?

- Waszą kapitulację - odwzajemnił się natychmiast Hradetsky. Choć bardzo się starał, nie mógł się powstrzymać, by nie okazać gniewu. Fabvier osobiście dowodził najazdem na Węgry i po Nicolasie Desaix był osobą bezpośrednio odpowiedzialną za wszystko, co wycierpiał kraj.

Fabvier spąsował pod ciemną opalenizną i bez słowa wskazał obu Węgrom miejsca po drugiej stronie stołu. Kiedy usiedli, wycedził:
- Wydawało mi się, że spotykamy się po to, by omówić szczegóły wycofania moich wojsk z Węgier.

- Niezupełnie, panie generale - sprostował Hradetsky. - Nasz komunikat mówił, że chcemy się spotkać w sprawie „rozwiązania kwestii reszty obcych wojsk na węgierskim terytorium”, a to nie to samo. Nie przypuszcza pan chyba, że pozwolimy wam się, ot tak, wycofać? Po tym, jak najechaliście nasz kraj?

-Fabvier zmrużył oczy.

- Mam wszelki zamiar wycofać się z Węgier nie niepokoiony, a kapitulację możecie sobie wybić z głowy. Jeśli będzie trzeba, przebijemy się do granicy - ostrzegł.

- Odważne słowa - odezwał się po raz pierwszy Kiraly. - Tyle, że wiemy, jak stoicie z zapasami. Pańskim dywizjom zostało dwadzieścia ton paliwa, amunicji tyle, że wystarczy na jedną krótką potyczkę, a co do żywności, sam pan wysłał patrole, żeby ogołociły okolicę...

Fabvier nie zważając na uśmiech Węgra siedział bez ruchu. Nie wiadomo było czy zgadza się z prawdziwością ostatnich liczb. Widząc to, Hradetsky sięgnął po silniejsze argumenty. - Zgoda, wystarczy wam paliwa na przemarsz do granicy austriackiej, tylko co dalej? Przecież Austriacy też się od was zdążyli odwrócić, a poza tym kto powiedział, że pozwolimy wam spokojnie przeprowadzić odwrót?

- Właśnie! - poparł pułkownika Kiraly. - Szosy na wschód od Tatabanya blokują nasze dwie dywizje zmechanizowane, obie świeże i gotowe do walki. Z północy ściągają dodatkowe jednostki węgierskie i słowackie. Nie macie już przewagi liczebnej, a za kilka godzin znajdziecie się w całkowitym okrążeniu. Fabvier, choć nadal milczał, pochylił głowę.

- Oto nasze warunki, generale - Hradetsky wydobył z kieszeni marynarki odnośny dokument. - Pańscy żołnierze mają złożyć broń i zgromadzić się w miejscach, jakie wskażemy. Muszą nam przekazać w stanie nietkniętym cały sprzęt i uzbrojenie, do ostatniego pistoletu i radiostacji. Przy sobie mogą zatrzymać tylko osobisty ekwipunek- mundury, śpiwory, plecaki i tak dalej. Czołgi i broń traktujemy jako częściową rekompensatę za zniszczenia, jakie zdążyliście tu wyrządzić. W zamian za to odstawimy pana i

wszystkich żołnierzy do granicy austriackiej. Co więcej, zagwarantujemy im nietykalność w oczach węgierskiego wymiaru sprawiedliwości.

- Co takiego?! - wybuchnął Fabvier. - Jak śmiecie grozić nam więzieniem! Prowadzimy wojnę, a na wojnie...

- Na wojnie popełnia się czasem zbrodnie wojenne - przerwał mu Kiraly. - Dotyczy to także pańskich ludzi, generale. Pan także zdążył sobie ubrudzić ręce. Rozstrzeliwanie zakładników bez wyroku, podpalanie wiosek przez siły okupacyjne...

- Może pan sobie darować oskarżenia. Sam wiem, że pokonani nie mają racji! - parsknął Fabvier. Hradetsky zignorował zaczepkę. - Jak brzmi pańska decyzja, generale? - zapytał, - Podda się pan, czy dla honoru zmasakruje pan własnych ludzi?

-- Wasi żołnierze też zginą.

- Dla nas to nic nowego - zaznaczył beznamiętnie Hradetsky. Fabvier przyjrzał się obu nieubłaganym Węgrom, a potem odwrócił wzrok, jak gdyby rozwiązania dylematu szukał wypisanego na ścianie namiotu. - Jak chcecie. Poddajemy się - powiedział wreszcie, nadal odwrócony plecami do zwycięzców.

Sześć godzin później 25 tysięcy francuskich żołnierzy maszerowało do zaimprovizowanych obozów jenieckich. Nim zapadł zmierzch, ten sam los spotkał dalsze dziesiątki tysięcy Francuzów, rozsianych po Niemczech i Polsce.

9 lipca - Paryż

Nicolasa Desabc zdążyli opuścić najwierniejsi współpracownicy i podwładni. Właśnie dlatego siedział w gabinecie zupełnie sam. Nawet tak mu ślepo oddany Morin zniknął gdzieś, gdy tylko dotarła do niego wieść o kapitulacji Niemiec. Guichy, przerażony klęską i niepewną przyszłością, na wiadomość o kapitulacji wszystkich francuskich oddziałów w Niemczech i na wschodzie Europy zastrzelił się z własnego pistoletu. Desabc siedział z zaciętą miną, rozpamiętując tchórzostwo dyrektora DGSE i ministra obrony. Sam nie był z tych, którzy się tak łatwo poddają. Od paru godzin rozpaczliwie próbował przywrócić w kraju porządek, ocalić od katastrofy Francję i własne, ambitne plany. Skutek był jednak żaden. Jego polecenia zwyczajnie ignorowano albo nie odbierano telefonów. Francja miała dosyć Nicolasa Desaix i jego pomysłów. Nawet jednak gdyby go posłuchano, cóż mógł wskórać? Sam uświadamiał sobie, że niewiele. Z siłami rozciągniętymi od Morza

Śródziemnego do portów nad kanałem La Manche, resztki francuskiej armii lądowej i lotnictwa musiały się borykać z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem. Ostatni meldunek, jaki dotarł do Desabc, mówił, że siły amerykańskie, brytyjskie i belgijskie minęły Cambrai i napotykając żalosny opór idą prosto na Paryż. Większość Francuzów wołała się schronić w domach i czekać na zmianę rządu, wszystko jedno, wewnętrzną czy też narzuconą z zewnątrz. Czarna rozpacz tak owładnęła Desabc, że ledwo spostrzegł czterech potężnie zbudowanych mężczyzn, którzy pojawili się w przedsionku gabinetu. Nawet w cywilnych garniturach przybysze wyglądali na policjantów albo agentów tajnych służb, tyle biło z nich buty i pewności siebie. - Nicolas Desabc to pan? - zapytał pierwszy agent niespiesznym, znudzonym głosem.

Desaix poderwał głowę. Idioci! Ciekawe, kogo spodziewali się tu zastać? Zabębnił palcami po biurku i głośno oświadczył: - To ja. - W takim razie muszę pana poinformować, że jest pan aresztowany. W Desabc na moment odżył dawny ogień. Wstał i wyprostował się dumnie. - Macie do czynienia z ministrem Republiki! Z czyjego rozkazu przychodzicie? Słucham?

W odpowiedzi tajniak podał mu zapieczętowaną kopertę z nakazem aresztowania. Dokument, podpisany przez wszystkich członków gabinetu rządowego oprócz Guichy i Morina, nosił też sygnaturę prezydenta kraju. Desabc nie posiadał się ze zdumienia. Rządowe robactwo nie dość, że ośmieliło się wystąpić przeciw niemu, to jeszcze posunęło się do tego, by wyrwać Bonnarda ze starczego odrętwienia - a wszystko po to, by wbić mu nóż w plecy! W obawie o własną skórę, prezydent i cała reszta cisnęli go na pożarcie wilkom. Przytłoczony kolejną porażką, Nicolas Desabc pozwolił się wyprowadzić do czekającego samochodu bez oznaczeń. Klęska ministra zaledwie o kilka godzin wyprzedziła upadek całej Piątej Republiki.

38

Od nowa

15 lipca Waszyngton, Biały Dom

Pierwszym, co rzuciło się w oczy Rossa Huntingtona, gdy przekroczył próg Owального Gabinetu, była uśmiechnięta twarz prezydenta. W rozpromienionym polityku trudno mu było rozpoznać tego samego, gotowego w tamtej chwili na wszystko przywódcę,

który go wysłał do Europy z misją politycznego poćwiartowania Konfederacji. - Ross! Nareszcie! Ląduj i opowiadaj.

Huntington z radością rozsiadł się w fotelu, sam zdumiony odkryciem, że od wielu lat nie czuł się równie świetnie. Osobliwa sprawa, biorąc pod uwagę tryb życia w ostatnich tygodniach: najpierw bezsenne dni i noce na pełnym morzu, na podejściach do obcego wybrzeża, a później długie doby, podczas których przychodziło kursować na okrągło między europejskimi stolicami, by utrwalić tymczasowe zawieszenie broni. Potem zaś Huntington spędził wiele godzin w samolocie w drodze powrotnej do domu.

Według wszelkich znaków powinien się walić z nóg. Zresztą przy jego stanie zdrowia sam fakt, że w ogóle żyje, wydawał się graniczyć z cudem. Było jasne, że wizja zwycięstwa i trwałego pokoju są lepszym lekarstwem niż najdłuższy pobyt w łóżku. Huntington oznajmił to z miejsca prezydentowi, który przytaknął wesoło. - Niech cię diabli, masz świętą rację. Sam czuję się jak nowo narodzony!

Huntington trochę w to wątpił, gdy uważnie obserwował twarz przyjaciela. Na chłopcim nigdy obliczu prezydenta pokazały się nowe zmarszczki. Wojenne napięcia i udreki odcisnęły na jego twarzy kolejne piętno. Nic jednak nie było w stanie stłumić wiecznego optymizmu prezydenta, co wyszło na jaw natychmiast, gdy zaczęli z Huntingtonem rozmawiać na temat najbliższej przyszłości. - Nareszcie mamy jakąś szansę, żeby popchnąć świat

we właściwą stronę, stary! Taka okazja nadarza się raz w życiu!

Huntington był podobnego zdania, bo skompromitowani wojną apostołowie szowinizmu i protekcjonizmu gospodarczego cofali się na całej linii. Politycy i zwykli obywatele, zaszokowani widokiem tylu nowych, krwawych pobjawisk, bez oporów godzili się puścić w niepamięć zadawnione spory i chore ambicje. Jak długo potrwa ta sielanka? - Boję się tylko, że ani się obejrzymy, będzie po okazji - mruknął Huntington.

- Mnie nie musisz mówić. - Prezydent zamyślił się na chwilę. - Dobrze, pokój, ale żeby aż za taką cenę? Zapłaciliśmy tyle, że nie wolno nam zmarnować szansy. Nie tym razem.

Huntington domyślał się oczywiście, czego dotyczą te ostatnie słowa. Zajęte wewnętrznymi utarczkami najbogatsze państwa świata z wybiciem końca zimnej wojny zajęły się głównie sobą i sporami

z konkurencją. Recesja w światowej gospodarce przyniosła skutek uboczny w postaci resentymentów, a często wręcz nienawiści do wszystkiego, co obce - do cudzoziemców, do „obcych” towarów... Cyniczni politycy natychmiast wykorzystali te nastroje, by dopomóc sobie w karierze. Odpowiedzią na zaporowe cła i taryfy stały się nowe taryfy i nowe restrykcje handlowe, tworzące błędne koło odwetów i odwetów na odwet. Połączenie wojny handlowej z falą nienawiści względem ludzi innych ras i narodowości dało początek gniewnym nastrojom, które w nieubłagany sposób doprowadziły świat na krawędź wojny. Nikt nie zdziwił się nawet, gdy sąsiedzi rzeczywiście zaczęli podpalać domy sąsiadów, a wojska jednych krajów najechały na drugie. - Masz jakiś konkretny plan? - zapytał Huntington z nadzieją. - A, mam. Wyobraź sobie nową wspólnotę państw, zrzeszenie, oparte tylko na czterech zasadach: wolnego handlu międzynarodowego, wolnego rynku, swobody inicjatyw gospodarczych i demokratycznych rządów. Nie żaden pakt atlantycki czy wspólnota europejska. Należać będzie mógł, kto tylko zechce. Zasady skromne i oczywiste, co? - prezydent roześmiał się szczerze i poważniejąc dodał: - Owszem, Ross, ale ja osobiście nie znam lepszego sposobu na utrwalenie pokoju. Pokaż mi demokratyczne i bogate państwo, które napada na sąsiadów. Wszystkie traktaty i solenne obietnice na świecie można cisnąć do ustępu, jeżeli nie idzie za nimi dobra wola i wspólny interes.

- Nie wyobrażaj sobie tylko, że łatwo będzie stworzyć coś takiego.

- Ale skąd! Pewnie, że to ciężka sprawa - zgodził się prezydent.

- Ale popatrz sam: już trzeci raz w tym stuleciu przychodzi - nam stawiać Europę na nogi. Wygraliśmy wojnę, zdobyliśmy autorytet moralny, więc możemy proponować rozmaite warunki. A skoro możemy, nie widzę powodu, żeby z tego nie skorzystać. A, właśnie... - Prezydent wskazał na jeden z telefonów na biurku. - Przed chwilą rozmawiałem z Brytyjczykami. Ustaliliśmy, że jak się da najszybciej zorganizujemy w Londynie wielostronne rozmowy na ten temat. - Tak? A kogo zaprosicie?

Prezydent uśmiechnął się znowu.

- Na początek wystarczy, jeżeli weźmie w tym udział Europa, Kanada, Meksyk i Stany Zjednoczone, ale potem, powiedzmy za parę miesięcy, kto wie? Może i cały świat. Czeka nas masa roboty, i

to finezyjnej. Nie zazdroszczę temu, komu przypadnie bezpośredni nadzór nad konferencją i końcowym traktatem.

Z miny prezydenta można było łatwo wywnioskować, kogo uważa za najlepszego kandydata do tej roli. Zaskoczony Huntington stropił się nieco. - I co ty na to, Ross? No, chyba że masz jakieś inne plany, sprawy nie cierpiące zwłoki, bo ja wiem, golf? Tenis? Wakacje na plaży?

Ross zaczął się wiercić na fotelu.

- Nie, ale zaraz, chwileczkę... Rozmawiamy serio? Przecież nie jestem politykiem.

- Propozycja jest zupełnie serio - uciał prezydent. - Znam cię. Jesteś uczciwy, inteligentny i nie da ci się wcisnąć kitu. Świat potrzebuje dokładnie kogoś takiego, jak ty.

Podniósł się po tych słowach zza biurka i położył dłoń na ramieniu Huntingtona. - Dostyc już służenia ojczyźnie zza kulis, Ross. Najwyższa pora wyjść na scenę.

16 lipca - port lotniczy w Budapeszcie

Zoltan Hradetsky czuł się dziwnie sztywno w nowiuteńkim mundurze, zwłaszcza że przyszło mu stać w upale na betonie lotniska w otoczeniu reszty dostojników. Wszyscy czekali niecierpliwie, aż samolot British Airways z Paryża zjedzie z pasa i podkołuje bliżej. Hradetsky"emu wydawało się, że każda z par generalskich gwiazdek na naramiennikach waży przynajmniej tonę. - Trudno, może się przyzwyczaję - przemknęło mu przez głowę. Rzeczywiście, na razie generalski stopień bardziej mu przeszkadzał niż pomagał. Co nie oznaczało, że Hradetsky nie lubił swojego nowego zajęcia.

Jako nowy komendant główny węgierskiej policji, Hradetsky musiał zreformować i zreorganizować całą strukturę aparatu władzy. Inna sprawa, że przez całe dorosłe życie marzył o chwili, kiedy będzie mógł zrobić porządek w macierzystej organizacji. Na razie zdążył już uzyskać obietnicę pomocy organizacyjnej i szkoleniowej od amerykańskich służb FBI i brytyjskiego CIC i miał nadzieję, że zagraniczni specjaliści zajmą się prawdziwym szkoleniem, a nie konspiracją z myślą o zawładnięciu krajem. Pasażerski odrzutowiec podtoczył się nareszcie do miejsca, gdzie oczekiwał wielotysięczny tłum. Obsługa lotniska prędko przystawiła do przednich drzwi schodki. Kompania honorowa sprezentowała broń, zawarczały werble, a orkiestra zagrała pierwsze takty hymnu

narodowego. Hradetsky wstrzymał oddech, patrząc jak Vlad Kusin, wyprostowany i zupełnie nie załamany więzieniem, wychodzi na światło dzienne. Węgry witały nowego prezydenta kraju.

17 lipca - Paryż, prefektura policji

Nicolas Desabc spacerował nerwowo z kąta w kąt w zupełnych ciemnościach. Od kilku dni trzymano go w specjalnej celi, nie pozwalając na żadne kontakty ze światem zewnętrznym. Nowo utworzona Szósta Republika przygotowywała przeciwko niemu proces o zbrodnie przeciwko ludzkości i przeciwko narodowi francuskiemu.

Oprócz prokuratorów odwiedzała Desaix w celi jedynie para lekarzy, którzy ostrzegli go, że ma za wysokie ciśnienie i wręczyli pigułki. Desaix cisnął im fiolką w twarz, śmiertelnie urażony całą tą farsą. Absurdalne, żeby się tak przejmowano jego nadciśnieniem! Nowemu reżimowi zależało widocznie, aby kozioł ofiarny jak najdłużej gnił w więziennym lochu. Desaix zastanawiał się czasami czy Guichy nie miał aby racji. Kula prosto w mózg mogła się wydawać lepszym wyjściem, niż rozwlekła parodia procesu. Trudno, trzeba walczyć do końca, nawet w celi. Lata pracy w kierownictwie wywiadu i w rządzie sprawiły, że Desaix znał sporo tajemnic, i to nadzwyczaj niewygodnych dla wielu luminarzy świata polityki. Jeśli nie uda się doprowadzić do ugody, przyjdzie w czasie publicznego procesu pociągnąć za sobą na dno kogo się tylko da. Desaix liczył przynajmniej na tę satysfakcję. W drzwiach celi zgrzytnął zamek Desabc odwrócił się zaskoczony. Widzenie? O tej porze? Przez otwarte wreszcie drzwi weszło do środka trzech ludzi. Desaix znał tylko jednego z nich, szefa pionu operacyjnego DGSE nazwiskiem Philippe Gille. Człowiek do zadań specjalnych. Dwaj

pozostali okazali się tylko pomocnikami, bezimiennymi bandziorami, którymi pion operacyjny często wysługiwał się w co bardziej podejrzanych akcjach. Niepokój Desaix zmienił się w panikę dopiero na widok rękawic chirurgicznych na dłoniach trójki mężczyzn. Otworzył usta, by krzykiem wezwać pomocy, lecz było już za późno. Coś zimnego i ostrego ukłuło go w przedramię, klatkę piersiową przeszył ból, a przed oczami zawirowała coraz czarniejsza ciemność. Kilka godzin później dyżurny lekarz prefektury podniósł się z wysiłkiem znad zwłok, skreconych w ostatnich konwulsjach, westchnął i wyjął z uszu słuchawki stetoskopu. - I co pan powie? - zapytał gniewnie prokurator

generalny. Trudno się było dziwić jego wściekłości, bo zeznania Desaix miały odegrać arcyważną rolę w pracach nowego rządu nad reformą policji i służb specjalnych. Zgon byłego ministra stanowił nieprzewidzianą komplikację, choć z drugiej strony mógł służyć za dowód, że wielostronne śledztwo zaczęło niepokoić osoby, o które chodzi.

- Niestety, panie prokuratorze, mogę jedynie orzec, że minister zmarł późną nocą na rozległy zawał serca. Sam go ostrzegąłem, żeby uważał na nadciśnienie - dodał doktor Arnault, stary, niziutki i siwowłosy. - Szkoda człowieka.

- Powiada pan, zawał? Bardzo wygodny zawał, przynajmniej dla niektórych. Zgodzi się pan ze mną, doktorze? - Prokurator przez chwilę przyglądał się medykowi spod oka, jak gdyby czekał na dalszy ciąg diagnozy, a kiedy Arnault nadal milczał, zacisnął usta i dał znak ludziom przy drzwiach. Do celi weszła następna para lekarzy. Pod adresem wyraźnie zdenerwowanego tym widokiem Arnaulta prokurator zauważył:

- Rozumie pan chyba, że moi specjaliści mają tylko potwierdzić pańską diagnozę. Panowie... Sprawdźcie czy na ciele nie ma żadnych śladów, powiedzmy takich jak siniaki, nakłucia, sami zresztą wiecie.

Lekarze zabrali się do dzieła.

Policyjny lekarz zadrzał, leciutko lecz wyraźnie. Ludzie z DGSE obiecywali mu ochronę przed dociekliwością zaciętego, mało skłonnego do żartów urzędnika, z którym przyszło mu rozmawiać. Arnault zaczynał podejrzewać, że agenci mocno przecenili zasięg władzy, jaką jeszcze dysponują. Nie docenili natomiast uporu, z jakim ich nowi zwierzchnicy zabrali się za porządki. -

Chwileczkę, panie prokuratorze. Po namyśle muszę przyznać, że zauważyłem pewne oznaki, które stoją w sprzeczności z moją pierwszą i jak to podkreślałem, wstępną diagnozą. - Ach tak? -

Prokurator lekko przekrzywił głowę. - To fascynujące, doktorze Arnault. Może byśmy się tak przeszli do mojego gabinetu i przypomnieli sobie coś jeszcze? Albo kogoś jeszcze?

1 sierpnia - Biały Dom

Erin McKenna siedziała w poczekalni przed Owalnym Gabinetem jak na szpilkach i nie mogła się powstrzymać, by nie zerkać co chwila na zegarek. Ostatecznie sama nie widziała w tym nic dziwnego. Ilu Amerykanów doczekało się zaproszenia na prywatną pogawędkę z

prezydentem? Spojrzała w prawo, na Alexa Banicha, dodając sobie otuchy. Alex posłał jej uśmiech. Wbrew najlepszym chęciom, od wyjazdu z Moskwy mieli dla siebie bardzo mało czasu. Przerazony ryzykiem, na jakie się zdecydowali i uradowany sukcesem akcji Len Kutner wykorzystał pierwszą bezpieczną sposobność, by odesłać ich obydwójce do Waszyngtonu. Od tamtej pory byli w ciągłym ruchu, przesłuchiwanie chyba przez wszystkich szefów działów i archiwistów w CIA na temat wydarzeń w Rosji. Na bardzo wyraźne polecenie dyrektora CIA Banich i McKenna zachowywali jednak w tajemnicy okoliczności zgonu marszałka Kaminowa. Nie wolno było ich wyjawiać pod żadnym, ale to żadnym pozorem. Przenigdy. Pan gębę na kłódkę, pani buzię w ciup. - Pani McKenna? Pan Banich? Para podniosła wzrok na sekretarza, który przyzywał ich od drzwi gabinetu. - Prezydent prosi do siebie.

Erin wstała i z bijącym sercem ruszyła w ślad za Alexem do środka. Prezydent czekał przy oknie wychodzącym na słynny różany ogród Białego Domu. Na widok gości uśmiechnął się szeroko, ruszył im na spotkanie i wymienił mocny uścisk dłoni. - Pani McKenna i pan Banich! Nareszcie się spotykamy!

Prezydent wyglądał starzej niż w telewizji, lecz zarazem o wiele bardziej zwyczajnie. W jego wzroku Erin czuła autentyczne ciepło. Przez kilka minut wymieniali między sobą uprzejmości i rozmawiali, lecz w pewnej chwili prezydent zmienił ton na bardziej oficjalny i otworzył dwa pudełeczka, leżące do tej pory na biurku. W każdym z nich znajdował się niewielki medal ze wstęgą orderową. - Mam zaszczyt odznaczyć panią Erin McKenna i pana Alexandra Banicha naszym Medalem Wolności - najwyższym cywilnym odznaczeniem, jaki może przyznać naszym obywatelom za ich zasługi wdzięczne państwu. Erin i Alex zarumienili się i pochylili głowy, czekając aż prezydent zawiesi im na szyjach odznaczenia. Prezydent uczynił to i, rzecz niewiarygodna, sam nagle zaczął się jękać. - N-niestety, muszę państwa za chwilę oczywiście poprosić, by zwrócili mi państwo te medale. Nie ma powodu, żeby się chwalić przed całym światem, w jaki sposób pozbyliśmy się tego sukinsyna. Wasze medale są tajne i takimi pozostaną.

Erin nie wytrzymała i roześmiała się na cały głos. Czegóż się można spodziewać po władzy? Nawet jeśli już dadzą człowiekowi medal, to taki, z którym się nie można obnosić, ani go nawet

pokazać mamie. Prezydent śmiał się także, a kiedy Erin wyjąkała kilka słów przeprosin, powstrzymał ją zaraz. - Ależ skąd, pani McKenna! Ma pani absolutną rację. Mam nadzieję, że pani nie uraziłem i przyjmie pani bardziej konkretną propozycję? Już nie w charakterze nagrody, oczywiście. Chcę pani zaproponować nową posadę. Chyba równie ciężką jak poprzednia. - Pewnie! Słucham, panie prezydencie.

- Ma pani jeszcze ochotę z nami popracować? Doskonale.

Chcę panią wysłać do Wielkiej Brytanii w charakterze starszego negocjatora delegacji USA na Konferencję Londyńską. Ross Huntington potrzebuje eksperta od spraw handlu, i to takiego, który umie odróżnić złoto od tombaku.

Prezydent podniósł brew i sceptycznym tonem dodał:

- Świat może sobie od nowa wyśpiewywać hymny o dobrej woli i braterstwie, ale Ross i ja uważamy, że trochę za wcześnie, żeby śpiewać „alleluja!” Ciągle pełno wokół nas ludzi i krajów, które warto mieć na oku.

Erin i Alex byli dokładnie tego samego zdania. Dowodów na prawdziwość słów prezydenta nie trzeba było daleko szukać. Na szczęście to i owo udało się jednak osiągnąć. Prasa i telewizja na przykład zaczęły się ostatnio zachłystywać wiadomościami z Paryża. Twardogłowe kierownictwo francuskiego wywiadu zabiło Desaix, aby mu zamknąć usta, lecz skutek okazał się przeciwny do zamierzonego. Wyglądało wręcz na to, że morderstwo zdwoiło energię, z jaką prokuratura Szóstej Republiki wyciąga na jaw brudne sprawy i praktyki poprzednich ekip. Dziesiątki agentów DGSE wysokiego i średniego szczebla wylądowało w areszcie albo poszło na przymusową emeryturę. Zanosiło się na to, że pierwszy raz od wielu dziesięcioleci władze Francji odzyskają pewną kontrolę nad poczynaniami „rządu w rządzie” w postaci własnych tajnych służb.

Prezydent zwrócił się z kolei do Banicha, zauważając:

- Nie myślę się chyba, że jako agent jest pan zupełnie spalony?

Oficer CIA przytaknął z niechęcią. Odkąd Sołowiew rozgryzł go jako agenta, wiedział, że pora się wycofać. Ciężko mu było jednak pogodzić się z wiedzą, że powrót do dawnego zajęcia ma odcięty na zawsze. Prezydent USA przypatrywał mu się z uwagą.

- A co by pan powiedział na posadę szefa placówki?

Erin zacisnęła zęby. Wiedziała, że dla Alexa będzie to olbrzymi

awans, zresztą najzupełniej zasłużony. Niestety, oznaczało to przy okazji, że trzeba się będzie rozstać, rozjechać w dwie strony świata. Same telefony nie wystarczą... Obydwoje niepostrzeżenie zaczną osobne życie, pochłonie ich własna praca... Erin odwróciła się, nie chcąc w żaden sposób okazać własnych uczuć. Nie miała zamiaru wpływać na decyzję Alexa. Bo niby jakim prawem? Dlatego że go kocha? W oku prezydenta pojawił się filuterny błysk.

- Mówiono mi, że jest z pana specjalista od języków. Podobno zna pan biegle rosyjski, ukraiński i parę innych?

- Owszem, znam.

- Tak myślałem - westchnął prezydent. - Chyba najwyższy czas, żeby podszlifował pan swój angielski. Walt Quinn i ja proponujemy panu objęcie kierownictwa placówki CIA w Londynie. Za cztery tygodnie. Mam nadzieję, że się pan zgodzi?

Banich ucieszył się jak dziecko i oświadczył:

- Może pan na mnie liczyć, panie prezydencie.

Erin odwróciła się ku niemu z roziskrzonym wzrokiem. Londyn stanowił jedną z najważniejszych i najbardziej prestiżowych placówek CIA na świecie. Jeszcze istotniejsze było dla niej to, że obędzie się bez rozstania.

3 września - Norfolk w stanie Wirginia

Jack Ward z westchnieniem rozejrzał się po nowiuteńkim, pustym gabinecie. Chociaż oficjalnie zaczynał emeryturę dopiero za trzy miesiące, kiedy tylko przeniesiono go do służby na lądzie, zafundował sobie biuro, na tyle pełne boazerii i wykładziny dywanowej, że wygodnie się w nim siedziało, na tyle skromne, że nie kłuło ludzi w oczy. W porównaniu z gołym metalem okrętowych grodzi gabinet wydawał mu się wręcz luksusowy. Usiadł za biurkiem i omiół wzrokiem puste ściany i pustą przegrodkę na bieżącą dokumentację. Na razie nie miał zbyt wiele do roboty, lecz jakoś mu to nie przeszkadzało. Miał trochę dosyć dowodzenia największą amerykańską armadą od czasów

drugiej wojny światowej - a zwłaszcza dosyć widoku zabitych marynarzy i tonących okrętów, więc nudę przyjmował z uczuciem pewnej ulgi. Wielu przyjaciół dziwiło się, że chce iść na emeryturę. Gdyby został w marynarce, czekał go pewny awans na szefa Sztabu Operacji Morskich. Stanowisko to było najwyższą godnością we flocie. Praca sztabowca wydawała mu się jednak

zadaniem niewdzięcznym i nudnym. Zamiast dowodzić, podpisywałyby tylko papierki. W skrytości ducha uważał się zaś za marynarza, a nie urzędnika. Miał okazję dowodzić flotą wojenną podczas prawdziwego konfliktu zbrojnego i czuł, że w zupełności mu to wystarczy. Pora się wycofać, póki czas. Przyszłość zapowiadała się może nieciekawie, ale na pewno pracowicie. Trzeba będzie usiąść do pamiętników, jak przystało na emeryta. Spisywanie wspomnień zabierze rok albo dwa, a poza tym? Od lat obiecywali sobie z Elizabeth przeprowadzkę do domku na wybrzeżu Południowej Karoliny. Tak... Marynarze spędzają stanowczo zbyt wiele czasu z dala od rodzin. Nareszcie będzie można odrobić zaległości. Świergot telefonu zupełnie zaskoczył Warda. Numer zainstalowano dosłownie poprzedniego dnia, więc na razie znali go tylko nieliczni. Pewnie żona dzwoni. Przy drugim sygnale Ward podniósł słuchawkę, ale zamiast głosu Elizabeth usłyszał: - Witam, admirale. Mówi Ross Huntington. Pańska żona powiedziała mi, jak pana znaleźć.

- Aha - bąknął Ward w pomieszczeniu. Na dobrą sprawę nie bardzo wiedział, jaką rolę odegrał Huntington w czasie wojny. Zaufany człowiek prezydenta, to jasne, ale poza tym? Natomiast od samego końca konfliktu gazety rozpisywały się na temat Konferencji Londyńskiej i jej głównego organizatora, Huntingtona. Telefon od tak ważnej osoby ucieszył admirała i mile połechtął jego dumę. Ucieszyła go też energia i wigor w głosie nowego znajomego.

Przez chwilę rozmawiali o tym co sływać, jak tam żona, jak dzieci, lecz po chwili, gdy Ward pogratulował Huntingtonowi nominacji na szefa konferencji i zapytał, jak idą przygotowania, rozmówca przeszedł do rzeczy. - Przygotowania? Świetnie.

Zyskaliśmy dla tego pomysłu poparcie w całej Europie. Francuzi i Niemcy też nie dali się długo prosić, przeciwnie. Okropnie im zależy, żeby się podłączyć. Właściwie mam tylko jeden kłopot.

- Ciekawe, jaki? - zagadnął Ward.

- Brakuje mi jednego negocjatora, a konkretnie doradcy wojskowego. Połowa gospodarki europejskiej pracuje dla wojska. Szukam specjalisty, który by umiał się tym wszystkim zająć. Jeśli nie znajdę kogoś odpowiedniego, leżymy. Nie zgodziłby się pan czasem? Kiedy Huntington ciągnął namowy, Ward poczuł w głowie wir myśli. Rokowania z tuzinem państw europejskich, tak? - Byłby mi

pan potrzebny co najmniej przez rok.

Tworzenie obrazu sytuacji militarnej w powojennej Europie. Tak? - Nie będę pana okłamywał. Będzie pan z tym miał cholerną masę roboty.

Budowa nowego systemu bezpieczeństwa dla całego świata. Tak? - - Zrobię, co tylko trzeba - przerwał dalsze namowy admirała.

Niech szlag trafi emeryturę. Pamiętniki też mogą poczekać.

Najwyżej się dopisze jeszcze parę rozdziałów.

10 września - baza 11. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego we Wrocławiu Major Tadeusz Wójcik z ponurą miną zasiadł nad stołem konspektów kursu z taktyki, jaki przyszło mu prowadzić za kilka tygodni.

Największa trudność polegała na tym, by bezszmerowo zgrać wykłady z istniejącym już grafikiem wyszkolenia pułku. Do działu szkolenia przesunięto go tuż po wojnie, twierdząc, że to w charakterze urlopu. Tad dowiedział się przy okazji, że należy mu się wypoczynek, i że musi trochę się otrząsnąć z pracą administracyjną. To zaś oznaczało, że polatać mógł sobie teraz tylko raz w tygodniu. Brakowało mu codziennych ćwiczeń, w jakich brał udział jako normalny pilot dywizjonu. Kiedy siedział przy biurku, mógł przysiąc, że czuje, jak zwapniają mu się arterie.

Kiedy zapukano w otwarte drzwi, Tad zdziwił się na widok jednego z podoficerów sztabu. - Panie majorze, ktoś chce się z panem widzieć - wyjąkał kapral, lecz z jego oszołomionej miny wynikało, iż nie będzie to zwykła rozmowa. Przez sekundę Tadowi przeszło przez głowę, że sam generalny inspektor wojsk lotniczych przybywa z niespodziewaną inspekcją i za chwilę każe mu dać lewatywę z kwasu solnego za zgubienie jakichś ważnych dokumentów. Kiedy kapral usunął się na bok, major ujrzał jednak tylko cywila w fatalnie dopasowanym garniturze. Jeszcze bardziej zaskoczyło Tada, że cywil odezwał się chropawą, łamaną angielszczyzną. W ostatnich czasach major rozmawiał prawie wyłącznie po polsku. Nieznajomy podszedł bliżej i entuzjastycznie uściśnął prawicę Wójcika, który ledwie zdążył się podnieść zza biurka.

- Nareszcie się spotykamy, majorze Woj-czyk - zaczął gość z uśmiechem. - To znaczy nie, bo już raz się spotkaliśmy, ja? Tad pogubił się już zupełnie. Nieznajomy miał dosyć długie, czarne włosy i niebieskie oczy. Szczupły, trochę młodszy od Wójcika. Spotkali się już? Zaraz, kiedy? Co to za facet i skąd się tu wziął? - Przepraszam, ale nie bardzo sobie...

Nieznajomy uśmiechnął się jeszcze radośniej.

- No, tak... - westchnął i stanął na baczność. - Leutnant Dieter Kurtz z Luftwaffe! Trzeci Jagdgeschwader!

Niemiec? Wójcik był w kropce. Pierwszy raz widział tego gościa na oczy. Kurtz wcale się nie zraził jego miną. - Ósmego czerwca leciałem Migiem-29. Patrol wzdłuż pogranicza.

Tad nareszcie zrozumiał.

- Waszą parę zaskoczyły dwa F-15. Pamiętam, oczywiście, bo sam siedziałem w tym pierwszym.

- Musiałem skakać! - potwierdził Niemiec.

W pamięci Tada mignął obraz nocnego starcia, które przerodziło się w dwa klasyczne pojedynki, każdy elegancki i precyzyjny jak partia szachów rozgrywana przez arcymistrzów. W samej rzeczy, walka wlokła się jeszcze gorzej od partii szachów. Na każdy manewr jednego myśliwca, ten drugi odpowiadał unikiem i sam przechodził do ataku, aż wreszcie zniecierpliwiony Tad zaryzykował, prawie na ślepo puścił serię z działka i trafił, zestrzelując swój szósty samolot. Zwycięstwo utwierdziło na dobre jego pozycję jako największego asa w całym pułku. Tad zapamiętał także sylwetkę Miga pośród błyskających w ciemności pocisków smugowych i korkociąg, w jaki wpadł trafiony, płonący, odarty ze skrzydła myśliwiec przeciwnika. W tamtej chwili nie zastanawiał się zupełnie nad tym, co się stało z niemieckim pilotem. Liczyła się tylko ponura radość ze zwycięstwa i z tego, że uszedł z życiem. Jakże porównać nocnego wroga z rozpromienionym Niemcem, który wpadł, ot tak, na pogawędkę? Na szczęście

przypomniawszy sobie o dobrych manierach, podsunął Kurtzowi krzesło, sam także usiadł i zapytał: - I co? Katapultował się pan?

- Pewnie. Tylko, że się przekręciłem, o tak - Niemiec próbował zademonstrować swoją pozycję w momencie, kiedy zadziałał mechanizm wyrzucania fotela, lecz zaraz skrzywił się boleśnie i wyprostował. Wójcik ze zrozumieniem pokiwał głową. Uszkodzenia kręgosłupa były

częstym przypadkiem u pilotów, którzy nie zdążyli się idealnie wyprostować w chwili katapultowania. -

Kurtz miał latanie z głowy na resztę życia, ale jeśli pomyśleć, że mógł się zamienić w mokłą plamę... - Niestety, lądowałem w

Polsce. Wasi żołnierze znaleźli mnie i zabrali do szpitala. A tam mnie wzięto w całą górę gipsu. Pewnie się bali, że będę latał za pielęgniarzkami - Kurtz aż się uśmiechnął na myśl o odzyskanej swobodzie ruchów. - Teraz, jak się skończyła wojna, wypuścili mnie wreszcie. Jadę do domu... No, właśnie. Zapytałem w szpitalu czy wiedzą, kto mnie zestrzelił. Po prostu, z ciekawości. I proszę sobie wyobrazić, że się dowiedzieli! Niespodzianka, ja? Ale już nie niespodzianka, że zestrzelił mnie as dywizjonu! Tadowi powróciło wspomnienie zażartej nocnej walki.

- Pan też nieźle walczył - odwzajemnił komplement.

Niemiec nachylił się konfidencjonalnie.

- A tamta seria z działka? Przypadek, prawda?

- Jasne, że przypadek! - zapewnił go zupełnie szczerze Tad.

- Bo to było tak... Przy tamtym ostatnim zakręcie zszedł pan niżej niż się spodziewałem, zgoda? Jak szedłem akurat do góry...

- Ręce majora automatycznie wskazały wzajemną pozycję obu myśliwców i ich następne akrobacje.

- Próbowałem tak zrobić, żeby pan przeszedł górą i wsiąść na ogon. Otworzyłem hamulce, zdusiłem ciąg...

- Faktycznie przeszedłem górą - zgodził się Tad. - Ale najpierw puściłem tamtą serię.

Spojrzał na papiery na biurku, a potem na zegarek. Niby dopiero druga po południu, ale warto się dowiedzieć czegoś czegoś więcej o tej walce i o niemieckim pilocie, tak samo młodym i w ogóle podobnym... Wstał więc nieoczekiwanie i sięgnął na wieszak po czapkę. - Lepiej chodźmy sobie pogadać do kantyny. Ja stawiam. Obaj piloci wyszli na korytarz, w marszu znów zataczając rękoma szerokie kręgi. Eagle i Mig jeszcze raz złączyły się w walce.

19 września - Berlin

Garnitur doradzono mu właśnie taki, porządny, jak u bankowca.

Wyborcy nie lubią ryzykantów, wolą ludzi solidnych i godnych zaufania. Jedyne barwne akcent stanowił modny krawat. W doborze krawata Willi von Seelow również zdał się na opinię innych ludzi. Zakupy były konieczne, bo wszystkie stare cywilne ubrania Willego dawno wyszły z mody. Stary żołnierski obrazek: znoszony mundur i prawie nieużywany, niemodny garnitur. Willi stał teraz otoczony rosnącym z dnia na dzień wianuszkami doradców, współpracowników i sponsorów w sali balowej

w eleganckim berlińskim hotelu, obserwując rząd wielkich ekranów

telewizyjnych na jednej ze ścian. „Bal zwycięstwa” zaczęli bardzo wcześnie, bo zaraz po zamknięciu lokali wyborczych. Wyżerka, piwo i orkiestra pomagały trochę skrócić oczekiwanie, które i tak się wlokło w nieskończoność. Willi wiedział wprawdzie, że się dobrze spisał w kampanii, lecz to wcale jeszcze nie przesądzało o wyniku. Pewni zwycięstwa byli tylko jego liczni zwolennicy nowej gwiazdy na politycznej scenie Niemiec. Okazało się koniec końców, że kibice mają świętą rację. Prezenter ze studia federalnego oznajmił nareszcie, wielce namaszczone głosem: Dotychczasowe wyniki wyborów na obszarze Berlina wskazują na wyraźną przewagę Wilhelma von Seelowa, kandydata Nowej Partii Demokratycznej, który z 55 procentami głosów wyprzedził Ernsta Ketteringa z SDP oraz... W całej sali balowej rozległy się oklaski, a orkiestra w połowie taktu zagrała marsza. Zwycięstwo nie było aż tak nieoczekiwane, lecz stanowiło pierwszą, naprawdę poważną próbę popularności nowej partii, założonej dosłownie tydzień po dymisji Schraedera. Nadzwyczajne wybory - jeszcze jeden skutek ostatniej wojny - miały wyłonić nowe, nie splamione błędami przeszłości władze kraju. Po burzy oklasków w sali zaległa cisza. Na ekranie pokazał się sam von Seelow - w migawce z niedawnego wiecu wyborczego. Widzowie patrzyli, jak Willi staje na podium, mając za plecami wielką mapę berlińskiego okręgu, w którym kandydował. Realizatorzy migawki bezbłędnie wmontowali się w ostatnie słowa przemówienia: Powiedzmy to sobie bez ogródek. Niemcy były i pozostaną silnym państwem, zarówno w skali Europy, jak i świata. Z tym jednak zastrzeżeniem, że musimy korzystać z tej siły mądrzej niż dotychczas. Opuściłem szeregi wojska nie dlatego, żebym się wstydził munduru. Wojsko musi jednak służyć, a komu służy? Tym, których wyniosła do władzy demokracja. Tak się jakoś składa, że ludzie, którzy sami nie wachali prochu i nigdy nie słyszeli krzyku rannych, sami bardzo chętnie wysyłają żołnierzy na wojnę. Nie możemy pozwolić, aby kwiat naszej młodzieży musiał w przyszłości znowu przelewać krew nie za własny kraj, lecz podczas haniebnej agresji na sąsiadów. Nigdy więcej! W blasku reflektorów, kamery telewizyjne umiały świetnie uchwycić arystokratyczną sylwetkę kandydata, bijący z niego rozsądek i uczciwość. Jakiż kontrast w porównaniu z ludźmi Schraedera o gębach jak z półświatka! Jeśli do tego dodać jeszcze program wyborczy, w którym Willi podkreślał znaczenie wolnego

rynku, obiecywał zmniejszyć podatki i zapowiadał nową, lepszą przyszłość, której zarysy mozolnie wypracowywano już w Londynie, wynik wyborów był naprawdę nietrudny do przewidzenia. Niektórzy spośród zwolenników proponowali, by Willi stanął na czele całej partii. Nowym Demokratom niezbędny był przywódca i rzecznik, a Willi nadawał się do takiej roli wprost idealnie. Odmówił jednak. Po pierwsze, brakowało mu politycznego doświadczenia, a po drugie, interesowała go konkretna robota, a nie wygłaszanie przemówień. Nic z tego. Na razie Willi widział swoje właściwe miejsce w Bundestagu. Ludzie z jego otoczenia szli o zakład, że ich kandydat nie poprzestanie na mandacie poselskim. Kilka kadencji w ciałach ustawodawczych, żeby się otrząsnąć z rządem, zgoda, a potem zapewne teka ministerialna. A jeszcze później, kto wie?

24 września - Gdańsk

Kapitan Mike Reynolds odprowadzał wzrokiem ostatnie drużyny kompanii A, znikające jedna za drugą w przepastnym brzuchu Starliftera C-141. W odróżnieniu od większości podwładnych opuszczał Polskę z prawdziwym żalem. Ludzie chcieli jednak do domu, wymęczeni pracą nad odbudowywaniem kraju tak spustoszonego przez wojnę. Owszem, pomogli, ale teraz - w drogę! Reynolds nawet się im nie dziwił. Sam czułby to samo, gdyby w Stanach czekała na niego rodzina, ale cóż takiego miały mu do zaoferowania zachodni Teksas czy Fort Campbell? W Polsce było o wiele ciekawiej. Rozkaz mówił jednak, że pora się zbierać.

Przemówienia, defilada pożegnalna, nowe odznaczenie na sztandarze 3. Batalionu 187. Pułku. Polegli spoczęli w ziemi - pochowani na nowym cmentarzu pod Świeciem, żywi otrzymali odznaczenia i maszerując na północ, raz za razem świętowali zwycięstwo w kolejnych miasteczkach. Żegnano ich jak bohaterów. Reynolds wyprostował się, czując jak w kieszeni uwiera go pudełko z medalem Srebrnej Gwiazdy. Był oczywiście dumny z odznaczenia, ale jeszcze bardziej z tego, co udało się wywalczyć kompanii, którą dowodził. Poza tym jednak czuł przygnębienie. Żał mu było poległych Amerykanów, zabitych Polaków, z którymi wspólnie walczyli, żał mu było, co dziwniejsze, nawet Niemców i Francuzów. Żołnierze wchodzili gęsiego do samolotu dopóki nie przyszła kolej na dowódcę. Reynolds opuścił polską ziemię jako ostatni żołnierz kompanii A i ruszył w górę tylnej rampy C-141. Choć mieli już

koniec września, popołudniowy upał niemiłosiernie rozgrzał duszną ładownię samolotu. Miało się to zmienić dopiero, gdy znajdą się w powietrzu. Nazajutrz wylądują z powrotem w Fort Campbell. Mike Reynolds próbował już układać w myślach plany, przestawić się na normalny rytm pokojowych zajęć i szkolenia. Wojna się skończyła - pora się znowu zanurzyć w wojskową rutynę, w tok ciągłych, trudnych ćwiczeń, które pozwolą utrzymać gotowość. Bo kto wie? Może niedługo znów przyjdzie walczyć.

KONIEC

* * *

Słowniczek

AEGIS- Zintegrowany pokładowy system obrony przed atakiem z powietrza, stanowiący skuteczne połączenie wyrzutni raketowych, radiolokatorów i komputerów. Wyposażone w system Aegis amerykańskie krążowniki klasy Tikonderoga (nazywane czasem krążownikami klasy Aegis) należą do najgroźniejszych okrętów wojennych świata.

AH-64 APACHE - Nowoczesny śmigłowiec szturmowy, „latający czołg”. Uzbrojenie Apache stanowią przeciwpancerne, kierowane pociski raketowe Hellfire, wyrzutnie niekierowanych pocisków raketowych i szybkostrzelne działko kalibru 30 mm. Pokładowe urządzenia nawigacyjne i termowizory pozwalają Apache na skuteczne działanie o każdej porze dnia i nocy. W boju dużą zaletą tego śmigłowca jest także silne opancerzenie.

ATM.-7 SPARROW - Naprowadzany radarowo pocisk raketowy klasy powietrze-

powietrze średniego zasięgu (30 do 40 km). Sparrow stanowi uzbrojenie większości amerykańskich myśliwców, a także maszyn innych krajów zachodnich. Jest to broń dosyć skuteczna, lecz coraz mniej nowoczesna, szczególnie z tego względu, że po odpaleniu rakiety, pilot myśliwca musi na dłuższą chwilę zgrać nos swojej maszyny z celem. Sparrow leci wprawdzie z czterokrotną prędkością dźwięku, lecz w walce powietrznej nawet kilka sekund to zbyt długo. Z tego względu pociski Sparrow zastępuje się obecnie w USA nowocześniejszymi pociskami AM-RAAM. AB4-9 SIDEWINDER - Pociski powietrze-powietrze typu Sidewinder słyną z niezawodności i prostej budowy. Istnieją liczne wersje Sidewindera, dostosowane do dziesiątków typów samolotów bojowych. Pocisk ten skopiowano także w wielu innych krajach. Układ naprowadzający

Sidewindera wychwytuje promieniowanie cieplne celu, zwykle w postaci strugi gorącego powietrza z silnika odrzutowego.

Nowocześniejsze wersje potrafią jednak wychwycić nawet rozgrzane poszycie pędzącego samolotu. Sidewinder ma niewielki zasięg, nie przekraczający 15 km, a w starszych wersjach nawet krótszy. AM-S4 PHOENIX- Żaden inny pocisk klasy powietrze-powietrze nie dorównuje Phoenixowi zasięgiem, lecz używają tej broni wyłącznie piloci myśliwców F14 Tomcat z lotnictwa amerykańskiej Marynarki Wojennej. Dzięki komputerowej aparaturze Tomcatów, pociski te mogą atakować cele powietrzne z odległości ponad 150 km. Wobec dużych rozmiarów

.???.?????

są niezbyt zwrotne, lecz w locie poruszają się pięciokrotnie szybciej niż dźwięk. AJM-120 AMRAAM - Następca pocisków Sparrow, w postaci opracowywanego przez wiele lat, średniodystansowego pocisku powietrze-powietrze, pozwalającego nosicielowi swobodnie manewrować w drodze do celu. AMRAAM dysponuje bowiem własnym radiolokatorem, umieszczonym w części dziobowej, a ponadto w razie potrzeby odbiera poprawki kursu z pokładu samolotu-nosiciela. Na podobnej zasadzie oparta jest również nowa generacja analogicznych francuskich pocisków Mica. AMRAAM ma nieco lepszy zasięg niż Sparrow, bo prawie 50 km. AK-74/AKR - Broń strzelecka, która zastąpiła słynny rosyjski karabin automatyczny AK-47 zarówno w siłach zbrojnych Rosji, jak i w wielu innych krajach. Karabinek ten ma kaliber 5,45 mm i magazynek o pojemności 30 naboji. AK-74 bez magazynka waży 3,6 kg. AKR jest wersją specjalną, o krótkiej lufie i składanej kolbie. AKM- Zmodernizowana i ulepszona wersja karabinka automatycznego AK-47, ma ten sam kaliber - 7,62 mm - i podobne osiągi. Waga AKM wynosi 4,25 kg, a magazynek mieści 30 naboji typu pośredniego. AMX-1QP- Francuski transporter gąsienicowy, łatwy do rozpoznania po pudełkowatej sylwetce i prawie pionowej przedniej płycie pancerza. Transporter zabiera trzyosobową załogę i ośmiu żołnierzy desantu. W napędzanej elektrycznie wieży znajduje się automatyczne działko kalibru 20 mm i karabin maszynowy kalibru 7,62 mm. Podobnie jak inne transportery piechoty, AMX-10P jest bardzo słabo opancerzony. AMX-10RC- Sześciokołowy francuski samochód pancerny, uzbrojony w działko kalibru 105 mm i wyposażony w komputerowy system kierowania ogniem, dalmierz i aparaturę

termowizyjną. Mimo słabego opancerzenia bardzo skuteczny jako pojazd rozpoznawczy. AN-26 - W nomenklaturze NATO Curl, lekki samolot transportowy, napędzany dwoma silnikami turbośmigłowymi. Od pasażerskiego AN-24 różni go tylna rampa załadunkowa. Jego prędkość wynosi 450 km/h. Zabiera 6 ton ładunku albo 40 pasażerów. ANL/ANS- Pociski te są następcami słynnej francuskiej rakiety Exocet. Według założeń, wystrzeliwany z ziemi ANS i odpalany z samolotu ANL mają mieć ponaddźwiękową prędkość lotu i zasięg około 200 km. Będą też niewidzialne dla radarów, stanowiąc tym samym poważne zagrożenie dla większości współczesnych systemów obrony powietrznej. Pociski te mają wejść do służby w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. AKM - Rakieta antyradarowa, rodzaj wystrzeliwanych z samolotów pocisków raketowych, które nakierowują się na cel idąc za echem stacji radiolokacyjnej nieprzyjaciela. Przy odpaleniu można je „dostroić”, aby szukały określonego typu radaru. ARM eksploduje nad celem, niszcząc jego anteny radarowe. Do tej klasy pocisków należą amerykańskie HARM i francuskie ARMAT. ASMP - Francuski pocisk raketowy z głowicą jądrową, przenoszony przez samoloty. Leci z trzykrotną prędkością dźwięku, a moc głowicy wynosi 150 kiloton. 7n->

ATA - Szwedzki raketowy pocisk przeciwpancerny, odpalany z ramienia. Broń tę zakupiły w dużych ilościach siły zbrojne USA. AT-4 waży niecałe 6 kg, a jego zasięg skuteczny wynosi 300 metrów. AWACS - Angielski skrót od słów „Airborne Warning and Control System” - napowietrzny system ostrzegania i dowodzenia, stosowany często jako określenie amerykańskich samolotów E-3 Sentry. B-1B LANCER - Zaprojektowany początkowo jako bombowiec strategiczny, B-1 może operować z dużą prędkością na minimalnym pułapie. W ostatnim czasie przystosowano te bombowce do działań konwencjonalnych, w tej wersji B-1 przenosi ponad 30 ton bomb burzących. B-1 może również zrzucić bomby z naprowadzaniem laserowym lub optycznym. B-S2 STRATOFORTRESS - Zaprojektowany w latach pięćdziesiątych bombowiec strategiczny do lotów poddźwiękowych na dużych wysokościach. W ciągu kilkudziesięciu lat służby stosowany do najrozmaitszych zadań. Może zrzucić zarówno bomby jądrowe jak i konwencjonalne. BATALION - Oddział wojska składający się z 3 do 5 kompanii o łącznej sile 800 do

1200 żołnierzy z 50 czołgami lub transporterami opancerzonymi, jeżeli batalion jest pancerny albo zmechanizowany. W armii amerykańskiej kilka batalionów tworzy brygadę. BATERIA - Grupa czterech do ośmiu dział artyleryjskich, także samobieżnych. Z reguły wszystkie działa baterii prowadzą ogień do tego samego celu. Kilka baterii tworzy łącznie batalion artylerii. BfV - Skrót niemieckiej nazwy „Bundesamt für Verfassungsschutz”, oznaczającej federalny urząd ochrony konstytucji, niemiecki odpowiednik amerykańskich służb FBI. BRDM - Niewielki, lekko opancerzony, czterokołowy pojazd rozpoznawczy produkcji rosyjskiej, uzbrojony w najcięższy karabin maszynowy kalibru 14,5 mm, a w niektórych wersjach także w raketowe pociski przeciwpancerne. Stosowany w armiach wielu krajów. BRYGADA - Oddział wojska składający się z trzech do czterech batalionów, wzmocnionych pododdziałami specjalnymi. Kilka brygad tworzy łącznie dywizję. BTR-80- Ośmiokołowy transporter opancerzony produkcji rosyjskiej. Ma słabe opancerzenie, a jego jedynym uzbrojeniem jest karabin maszynowy. Wewnątrz mieści się 14 żołnierzy desantu. BURKĘ - Klasa amerykańskiego niszczyciela eskortowo-raketowego, wyposażona w miniaturową wersję systemu Aegis i odpowiednio mniejszą liczbę pocisków raketowych. Jednostki te mają także na pokładzie nowoczesną aparaturę hydrolokacyjną oraz wyrzutnie rakiet do zwalczania okrętów. Ich wadą natomiast jest brak śmigłowca, bo wprowadzicie w planach umieszczono na rufie platformę do lądowania, lecz zapomniano o hangarze. CENTRALA BOJOWA - Przedział we wnętrzu okrętu wojennego, w którym zbiera się, przedstawia i analizuje informacje z aparatury pokładowej (radarów, hydrolokatorów, itd.) i na tej podstawie podejmuje decyzje taktyczne. Kapitanowie współczesnych okrętów dowodzą walką nie z pomostu nawigacyjnego, a właśnie z centrali.

CIA - Zadaniem Centralnej Agencji Wywiadowczej jest zbieranie informacji o zagrożeniach dotyczących Stanów Zjednoczonych poza granicami kraju. Personel CIA działa w placówkach dyplomatycznych USA na całym świecie. Część agentów CIA działa jawnie, część natomiast podaje się za „wiceattaché handlowych” itp. DGSE - Direction Generale de Securite Bcterieur, czyli dosłownie główny zarząd bezpieczeństwa zewnętrznego jest nową nazwą francuskiego wywiadu, odpowiednika amerykańskiej CIA. DRUŻYNA - W armii

amerykańskiej grupa 10 do 14 żołnierzy pod dowództwem sierżanta, podzielona zwykle na 2 do 3 sekcji. Kilka drużyn tworzy pluton.

DYWIZJA - Dywizje armii państw zachodnich składają się z kilku brygad, natomiast w modelu radzieckim z kilku pułków.

DURANDAL - Typ francuskich bomb z dodatkowym silnikiem raketowym, zrzuconych z niskiej wysokości i przeznaczonych do niszczenia celów opancerzonych i umocnień. Zrzucone seriami Durandale są szczególnie użyteczne przy „dziurawieniu” betonowych pasów startowych na lotniskach.

E-2C HAWKEYE- Dwusilnikowy samolot o napędzie turbośmigłowym, działający z lotniskowców. Nie ma uzbrojenia, jest natomiast wyposażony w potężny radar APS-145. Łatwy do rozpoznania właśnie ze względu na wielką talerzową antenę na tylnej części kadłuba. Załogę oprócz pilotów stanowią operatorzy radiolokatorów i oficerowie dowodzący walką. E-2C wykrywa cele powietrzne i morskie z odległości do 400 km.

E-3 SENTRY - Supernowoczesny samolot wczesnego wykrywania i dowodzenia, oparty na konstrukcji Boeinga 707. Podobnie jak E-2C Hawkeye, E-3 ma na kadłubie wielką talerzową antenę, pozwalającą wykrywać cele powietrzne i morskie na odległościach do 500 km i kierować ku nim własne lotnictwo.

EA-6B PROWLER - Wersja morskiego samolotu szturmowego Intruder, bez uzbrojenia i z czteroosobową załogą. Zamiast bomb i rakiet, Prowler dźwiga potężne zagłuszarki, uniemożliwiające pracę radarów i radiostacji przeciwnika.

F-14 TOMCAT- Duży, dwusilnikowy myśliwiec lotnictwa morskiego. Jego zadaniem jest walka z samolotami przeciwnika na dużych odległościach, za pomocą kierowanych radarowo pocisków raketowych Phoenix i Sparrow. Do walki na bliższą odległość Tomcat jest uzbrojony w pociski Sidewinder i działko kalibru 20 mm. Załoga liczy 2 osoby.

F-15 EAGLE- Myśliwiec ten wszedł do służby we wczesnych latach siedemdziesiątych. Jego zalety to doskonały radar pokładowy APG-70, silne uzbrojenie w postaci ośmiu pocisków raketowych i sześciolufowe-go działka 20 mm, duży zasięg i niezła manewrowość. Wadą F-15 są jednak pokaźne rozmiary i masa.

F-15E SIFUKE EAGLE - Dwuosobowa wersja F-15, również uzbrojona w pociski powietrze-powietrze, lecz przeznaczona głównie do atakowania celów naziemnych na dalekim zapleczu przeciwnika z niskiego pułapu.

F-117A-Słynny z niespotykanej sylwetki „czarny myśliwiec”, używany przez siły powietrzne USA do atakowania szczególnie ważnych

i silnie bronionych celów naziemnych. Nadaje się też znakomicie do nalotów na ogniwa systemów obrony powietrznej, torując drogę formacjom bombowym. Połączenie specjalnych materiałów i wielopłaszczyznowego kadłuba sprawia, że samoloty F-117A są praktycznie niewykrywalne przez urządzenia radiolokacyjne. Oficjalna, lecz rzadko używana nazwa tego myśliwca to Nighthawk. F/A-18 HORNET - Dwusilnikowy, jednomiejscowy odrzutowiec lotnictwa morskiego, następca samolotu A-7 Corsair II. Przeznaczony do walki zarówno w charakterze myśliwca jak i samolotu szturmowego, bardzo zwinnie. Działa z lotniskowców. FA MAS- Jeden z najmniejszych karabinków automatycznych świata, powszechnie używany we francuskich siłach zbrojnych. Chwył i spust znajdują się przed magazynkiem na 25 naboń kalibru 5,56 mm. Z powodu charakterystycznego kształtu broń tę przezwano we Francji „trąbką”. FSD - Federalna Służba Dochodzeniowa, rosyjski następca dawnego KGB. fUCHS- Niemiecki transporter opancerzony, sześciokołowy i lekko opancerzony. Zabiera 14 żołnierzy desantu. Często używany do zadań specjalnych, jako nosiciel radiolokatorów rozpoznawczych, wóz zaopatrzenia pierwszej linii albo wóz dowodzenia. G3A3 - Broń osobista żołnierza piechoty niemieckiej. Waży prawie 5 kg. Kaliber 7,62 mm, magazynek na 20 naboń. Sprzedawany do wielu krajów świata. Gil - Projektowany następca karabinka G3A3, charakteryzujący się ultranowoczesnym kształtem, z magazynkiem na 50 bezłuskowych naboń kalibru 4,7 mm i ważący niecałe 4 kg. Bardzo celny i szybkostrzelny. GAZELLE- Lekki śmigłowiec łącznikowy produkcji francuskiej, eksportowany do wielu innych krajów. Zabiera dwóch pasażerów, można go uzbroić w raketowe pociski przeciwpancerne lub działko szybkostrzelne. Stosowany zwykle do celów zwiadowczych. GRENADIERZY PANCERNI - Niemieckie określenie piechoty zmechanizowanej, walczącej przy użyciu transporterów opancerzonych. HOT- Raketowy pocisk przeciwpancerny produkcji francusko-niemieckiej. Odznacza się dalekim zasięgiem (do 4000 m) i silną głowicą bojową. Skutecznością przypomina amerykańskie pociski TOW. HUD - Skrót od angielskiej nazwy „heads-up display”, rodzaj wskaźnika w postaci przezroczystego ekranu umieszczonego przed przednią szybą osłony kabiny na poziomie oczu pilota. Wyświetlacz HUD umożliwia pilotowi kontrolowanie podstawowych danych dotyczących prędkości,

pułapu lotu, systemów uzbrojenia, położenia celu i innych bez konieczności opuszczania wzroku na tablicę przyrządów, HUMVEE- Właściwa nazwa tego pojazdu to HMMWV, lecz uproszczono ją niebawem po wprowadzeniu „ham-wi” lub „hummera” do służby. Humvee to nowy, większy następca słynnej terenówki Jeep. W odróżnieniu od Jeepa ma jednak niezawodny silnik wysokoprężny.

iiii

HT - Skrót od angielskiej nazwy „identification friend or foe”, identyfikator „swoj-obcy”. System radarowy montowany w samolotach bojowych pozwala rozpoznać typ i przynależność państwową innych maszyn. Składa się ze specjalnej przystawki radarowej wysyłającej zakodowane impulsy w kierunku nadlatującej maszyny i odbierający sygnał identyfikacyjny. W wypadku braku odpowiedzi wiadomo, że samolot należy do nieprzyjaciela. IWOJIMA - Klasa amerykańskich lekkich lotniskowców desantowych. Okręty te są lotniskowcami tylko z nazwy, gdyż zamiast samolotów odrzutowych mają w pokładowych hangarach śmigłowce. Zabierają też do batalionu piechoty morskiej. JAVEUN - Przeciwpancerny pocisk kierowany, który zastąpił nieskuteczne pociski Dragon. Ma zasięg do 2000 m. Przebija cienki pancierz górny lub pancierz burtowy czołgu. Zamiast sterowania przewodowego, w Jave-linach zastosowano własny system naprowadzania typu „wyrzuci i zapomnij”. Obsługę przenośnej wyrzutni stanowi 3 żołnierzy. Javelin wejdzie na wyposażenie armii amerykańskiej w połowie lat dziewięćdziesiątych. KOMPANIA - Grupa 100 do 200 żołnierzy, złożona z 3 do 4 plutonów i dowodzona zwykle przez kapitana. Kompania czołgów lub transporterów składa się z 10 do 15 wozów bojowych. KORMORAN 2- Niemiecki pocisk raketowy do zwalczania okrętów. Ma stosunkowo mały zasięg (do 50 km), lecz leci tuż nad powierzchnią morza, co utrudnia przeciwdziałanie. Głowica bojowa waży 170 kg. KORPUS - Związek 2 do 4 dywizji. W jego skład wchodzi zwykle 40 tysięcy żołnierzy i ponad tysiąc wozów bojowych. LEAHY- Klasa dużych eskortowców amerykańskich, przeznaczonych głównie do obrony przeciwlotniczej lotniskowców. Okręty te mają również uzbrojenie przeciwpodwodne i artyleryjskie, lecz ich głównym atutem jest para podwójnych wyrzutni raketowych, po jednej na dziobie i rufie. LECLERC - Nowoczesny francuski czołg średni, który w połowie lat dziewięćdziesiątych ma zastąpić przestarzałe AMX-30. Ma pancierz warstwowy i armatę kalibru 120 mm z automatycznym

ładowaniem. LeCkrc dorównuje klasą amerykańskim czołgom M1A1 i niemieckim Leopardom 2. LEKKA DYWIZJA - Do tego rodzaju wojsk zalicza się w Ameryce oddziały spadochronowe, jak również te przerzucane drogą powietrzną i specjalne. Ten rodzaj wojsk obywają się bez ciężkich wozów bojowych, a w niektórych przypadkach nawet bez ciężarówek. W odpowiednim terenie oddziały lekkie potrafią jednak dawać sobie radę z regularnymi, „ciężkimi” dywizjami przeciwnika. Z powodu łatwości przerzutu, stosuje się te wojska jako siły szybkiego reagowania. LEOPARD I - Pierwszy czołg zaprojektowany w Niemczech po drugiej wojnie światowej. W latach sześćdziesiątych był rewelacją z powodu niskiej sylwetki, dużej prędkości i armaty kalibru 105 mm. W tamtych czasach mógł śmiało konkurować z radzieckimi T-55 i T-62, lecz w latach siedemdziesiątych zastąpił go nowocześniejszy Leopard 2, LEOPARD 2 - Większy i cięższy od poprzednika, Leopard 2 dorównuje amerykańskim czołgom M1A2 Abrams. Uzbrojony w armatę kalibru 120 mm, nowoczesny system prowadzenia ognia i pancerz, który skutecznie chroni przed raketowymi pociskami przeciwpancernymi. LOS ANGELES- Najliczniej reprezentowana klasa amerykańskich patrolowych okrętów podwodnych z napędem atomowym. Uzbrojenie stanowią cztery wyrzutnie torpedowe, a wyposażenie potężny zestaw aparatury hydrolokacyjnej. Choć okręty te weszły do służby przed ponad dwudziestu laty, nadal należą do najskuteczniejszych jednostek tego rodzaju. LUCHS- Ośmiokołowy wóz rozpoznawczy armii niemieckiej, uzbrojony w 20 mm działko w obrotowej wieży. Lekko opancerzony, lecz bardzo zwrotny. M1A2 ABRAMS - Zasadniczy typ czołgu w amerykańskich siłach zbrojnych. Najnowsza wersja ma armatę kalibru 120 mm i warstwowy pancerz z wkładką ze zubożonego uranu. Bardzo szybki, wyposażony w doskonały system prowadzenia ognia, skuteczny w walce ze wszystkimi typami czołgów na świecie. M2/M3 BRADLEY - Transporter gąsienicowy, określany także jako bojowy wóz piechoty. Uzbrojony w szybkostrzelne działko Chain Gun kalibru 25 mm i wyrzutnię pocisków przeciwpancernych TOW. M16- Karabinek automatyczny kalibru 5,56 mm, podstawowa broń strzelecka w armii amerykańskiej. Waży niecałe 4 kg. M113- Jeden z pierwszych typów transportera opancerzonego, produkowany w dużych ilościach w USA i używany na całym świecie. W zasadzie M113 to nic innego, jak blaszane pudło na gąsienicach, zabierające 11 żołnierzy. MS77- Wersja transportera M113

stosowana jako wóz dowodzenia i w tym celu wyposażona w kilka radiostacji oraz stoliki na mapy. MARDER - Bojowy wóz piechoty wojsk niemieckich, gaśnicowy, uzbrojony w 20 mm działko i wyrzutnię pocisków przeciwpancernych na niewielkiej wieży. W latach dziewięćdziesiątych Bundeswehra zamierza przebroić wszystkie Mardery w automatyczne działka kalibru 25 mm. MCA - Nowy francuski pocisk raketowy powietrze-powietrze, tej samej klasy co nowe amerykańskie pociski AMRAAM. Wystrzeliwany z myśliwców Mirage 2000 oraz Rafale. Może być wyposażony w system naprowadzania na podczerwień bądź też radarowy. Zasięg około 50 km. MIG-29 - W nomenklaturze NATO znany jako Fulcrum. Nowoczesny myśliwiec produkcji rosyjskiej, dorównujący osiąganiami amerykańskim maszynom F/A-18 Hornet i francuskim Mirage 2000. Uzbrojony w pociski powietrze-powietrze z naprowadzaniem radarowym i na podczerwień, a także w działko kalibru 30 mm i radar nowej generacji, skopiowany z wzorów amerykańskich. MBAN- Francusko-niemiecki przeciwpancerny pocisk raketowy, kierowany przewodowo, lecz o wiele skuteczniejszy niż analogiczny amerykański pocisk Dragon. Zasięg do 2000 m.

MIRAGE 2000- Francuski odrzutowiec myśliwski o skrzydłach delta, oprócz pocisków powietrze-powietrze uzbrojony także w rakiety powietrze-ziemia i pociski do zwalczania okrętów. MIRAGE F1 - Starszy typ francuskich samolotów myśliwskich o skośnych skrzydłach. Uzbrojony w pocisk powietrze-powietrze typu Super 530, a także w bomby i niekierowane pociski raketowe. MPS - Pistolet maszynowy kalibru 9 mm z magazynkiem na 15 lub 30 naboj, używany przez załogi wozów bojowych i żołnierzy, którzy ze względu na charakter służby nie mogą się posługiwać karabinkiem automatycznym. NIMTTZ - Klasa amerykańskiego lotniskowca o napędzie atomowym, której przedstawicielami są na przykład USS „George Washington” i USS „Theodore Roosevelt”. Wyporność około 100 tysięcy ton, długość ponad 300 m. Uzbrojone w 80 do 90 samolotów różnych typów. Załoga liczy 6 tysięcy osób. PAH-2 - Śmigłowiec szturmowy produkcji francusko-niemieckiej, silnie opancerzony i uzbrojony w działko kalibru 30 mm oraz kierowane pociski przeciwpancerne. Załoga liczy 2 osoby. PERRY- Klasa amerykańskiej fregaty eskortowej, skuteczna w walce z celami powietrznymi, nawodnymi i podwodnymi, lecz ze względu na niewielkie rozmiary słabo opancerzona, a więc wrażliwa na

trafienia. PHALANX - Automatyczny okrętowy artyleryjski system obrony powietrznej, złożony z radaru wysokiej częstotliwości i sprzężonego z nim sześciolufowego działka kalibru 20 mm. W kierunku bliskich celów Pha-lanx wystrzeliwuje serie pocisków ze zubożonego uranu. Odznacza się niezwykle dużą celnością. PLUTON - Grupa 3 do 4 drużyn, w sumie 30 do 40 żołnierzy pod dowództwem podporucznika lub porucznika. Pluton czołgów składa się z 3 do 5 wozów. PUŁK- W nomenklaturze Układu Warszawskiego, oddział wojska złożony z 3 do 4 batalionów. Cztery pułki tworzą dywizję. PUŁKOWY SYSTEM - W armii amerykańskiej na strukturę brygada-bataliony nakłada się w nazewnictwie tradycja, w której 3 bataliony tworzyły pułk. Ponieważ w wielu wypadkach tradycja sięga jeszcze lat wojny o niepodległość USA, zachowano dawne nazwy. Na przykład 3. Brygada ze 101. Dywizji Desantowej składa się ze wszystkich trzech batalionów 187. Pułku Piechoty. PUMA - Francuski śmigłowiec do transportu żołnierzy, zabiera 16 ludzi wraz z uzbrojeniem. Eksportowany do wielu krajów. R 550 MAG1C 2 - Francuski pocisk powietrze-powietrze z naprowadzaniem na podczerwień, podobny do amerykańskich Sidewinderów. Zasięg około 20 km. RAFALE - Ultranowoczesny myśliwiec francuski o komputerowym układzie sterowania i z usterzeniem typu „kaczka”, dzięki któremu ma ogromną manewrowość. Choć nie jest to samolot typu stealth, obecne radiolokatory i aparatura do naprowadzania w podczerwieni okazują się wobec Rafale nader nieskuteczne. RPG-16 - Rosyjski ręczny granatnik przeciwpancerny, obsługiwany przez jednego żołnierza i przeznaczony do walki z pojazdami pancernymi na odległość do 500 metrów. Najnowszy rosyjski RPG-16 wystrzeliwuje granat z głowicą kumulacyjną z rurowej wyrzutni jednorazowego użytku. SEAHAWK - Śmigłowce SH-60B Seahawk amerykańskiej firmy Sikor-sky działają z pokładu wielu okrętów amerykańskich. Stosuje się je do tropienia okrętów podwodnych oraz do lotów rozpoznawczych. Wyposażone w całą gamę czujników. SPRUANCE- Klasa amerykańskich niszczycieli, która weszła do służby w połowie lat siedemdziesiątych. Bardzo skuteczny w walce z okrętami podwodnymi, może także atakować cele nawodne. Ten sam kadłub posiadają amerykańskie krążowniki wyposażone w system Aegis. SPY-1 - Radiolokator typu SPY stanowi jądro systemu obrony przeciwlotniczej Aegis na krążownikach klasy Ticonderoga. Składa się z czterech nieruchomych, wielkich anten i komputerowego

systemu rozsyłania wiązki promieniowania. Wykrywa cele nawodne i powietrzne na odległość ponad 300 km. SEKCJA - Najmniejsza część drużyny piechoty. Także para dział, wyrzutni raketowych lub pojazdów wojskowych, działająca wspólnie na polu walki.

STEALTH - Ogólna nazwa stosunkowo nowych środków technicznych, pozwalających ukryć samolot przed wykrywaczami radarowymi, czujnikami promieniowania cieplnego, a nawet wykrywaczami hałasu.

Samoloty rzeczywiście „niewidzialne” są niesłychanie kosztowne; dlatego najczęściej redukuje się tylko ich „echo” radarowe i cieplne. Technologia stealth pozwala nie tylko uniknąć wykrycia, lecz również zestrzelenia, gdyż samonaprowadzające się pociski nie potrafią „złapać” celu w postaci niewykrywalnego samolotu.

SZTABOWE SEKCJE - W zależności od szczebla czasem nazywane też oddziałami. Komórki działające przy dowództwie batalionu, pułku, brygady i wyższych związków. W armii amerykańskiej posiadają jednolity schemat organizacyjny. Sekcja S-1 zajmuje się sprawami kadrowymi, S-2 rozpoznaniem, S-3 zadaniami operacyjnymi, S-4 zaopatrzeniem, a S-5 kontaktami pozawojskowymi. T-SS - Czołg rosyjski z lat pięćdziesiątych, uzbrojony w armatę kalibru 100 mm. Ustępuje znacznie prawie wszystkim czołgom zachodnim, a jego

jedyną zaletą jest niska sylwetka. T-72 - Czołg rosyjski zaprojektowany w latach siedemdziesiątych. Uzbrojony w armatę kalibru 125 mm z laserowym celownikiem i ładowaniem automatycznym. Znacznie gorszy od czołgów M1 Abrams, niemieckich Leopardów 2 i francuskich czołgów LeClerc. Podobnie jak T-55, eksportowany do bardzo wielu krajów świata. TSO - Współczesny czołg rosyjski, uzbrojony w armatę 125 mm i nowoczesny system prowadzenia ognia. Kadłub o pancerzu warstwowym i aktywnym. Główna armata może oprócz pocisków wystrzeliwać także kierowane laserem rakiety przeciwpancerne o zasięgu kilku kilometrów.

Pod względem osiągnięć T-80 tylko nieznacznie ustępuje amerykańskiemu M1A2. TERMOWIZOR - Kamera telewizyjna wychwytyjąca

promieniowanie cieplne i ukazująca przedmioty w postaci czarno-białego obrazu niezależnie od pory dnia i oświetlenia.

Termowizory „widzą” otoczenie nie tylko w nocy, lecz także przez kłęby pyłu, a także przez niektóre rodzaje dymu. Powszechnie

stosowane na polu walki przy obserwacji i w celownikach. TOMAHAWK - Wystrzeliwany z okrętów nawodnych i podwodnych amerykański

pocisk samosterujący. W zależności od wariantu, może zwalczać cele nawodne lub lądowe. Istniała również wersja z głowicą jądrową, obecnie wycofana ze służby. Głowica burząca lub kasetowa z podpociskami. Tomahawk jest bronią bardzo celną, a jej nowe wersje mają ulepszony system nawigacyjny i są niewykrywalne przez radary. TOW- Rurowa wyrzutnia raketowych pocisków przeciwpancernych z celownikiem optycznym i sterowaniem przewodowym. Tow należy do wyrzutni typu ciężkiego (w odróżnieniu np. od ręcznych granatników) i doczekała się wielu ulepszeń.

Wyrzutnię montuje się na pojazdach lub na specjalnym trójnogu.

UH-60 BLACKHAWK - Podstawowy typ śmigłowca transportowego w wojskach amerykańskich. Zabiera 11 żołnierzy i dzięki różnym ulepszeniom jest stosunkowo mało wrażliwy na uszkodzenia na polu walki. V-22 OSPREY- Następca śmigłowców marynarki wojennej USA CH-46 Sea King, samolot pionowego startu i lądowania z silnikami w obrotowych gondolach. Po starcie ze śmigłami w płaszczyźnie poziomej, Osprey odchyła je do pionu i przechodzi do normalnego lotu. Osprey odznacza się świetnymi osiągnięciami, lecz z powodu trudności budżetowych i kosztów wciąż pozostaje w stadium prototypu.

WAMPIRY - W slangu radarowców na okrętach, nieprzyjacielskie pociski samosterujące.

ZAPALNIK ZBLIŻENIOWY - Typ detonatora powszechny zwłaszcza w uzbrojeniu

lotnictwa,

detonuje pocisk artyleryjski bądź raketowy gdy ten znajdzie się w sąsiedztwie celu. Zapalniki tego typu mierzą odległość od celu za pomocą czujników radarowych, laserowych lub cieplnych.

ZSU-23-4 SZYŁKA - Gąsienicowy szybkostrzelny zestaw przeciwlotniczy produkcji rosyjskiej. Uzbrojony w poczwórnie sprzężone działko kalibru 23 mm w obrotowej wieży, sprzężone z radiolokatorem. Choć konstrukcja pochodzi z lat sześćdziesiątych, zachowała duże walory bojowe.

* * *

„O Larrym Bondzie usłyszałem jako o autorze strategicznej gry komputerowej Harpoon. Okazała się niebywale przydatna przy konstruowaniu powieści Polowanie na "Czerwony Październik". Latem 1982 roku osobiście poznałem Larry'ego i wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi. Nie minął rok jak zabraliśmy się wspólnie do

pisania powieści, tym razem opartej na kolejnej grze komputerowej Bonda, zatytułowanej Konwój-84. I tak powstał Czerwony Sztorm... Choć nazwisko Larry'ego nie widnieje na karcie tytułowej, książka jest naszym wspólnym dziełem."

Tom Clancy

jest byłym oficerem marynarki USA. Po przejściu do rezerwy pracował jako analityk wojskowy. W połowie lat osiemdziesiątych rozpoczął pracę nad książką USS "Red Phoenix", która odniosła niebywały sukces (w ciągu pierwszych sześciu miesięcy tylko w USA sprzedano 1.800.000 egzemplarzy w twardej oprawie). Akcja kolejnej powieści Wir, której fragment prezentujemy obok, rozgrywa się w Republice Południowej Afryki, zaatakowanej przez... kubański korpus ekspedycyjny, przy cichym poparciu Rosji. Tylko militarna interwencja Stanów Zjednoczonych może uratować świat przed katastrofą ekonomiczną...

Wir

Eskadra Jerycho

Cztery odrzutowce Mirage leciały tysiąc metrów nad uśpionymi wioskami, kierując się na kubańską Grupę Taktyczną Trzeciej Brygady. Kapitan Sił Powietrznych RPA Jon Heersfeld pilotował prowadzący samolot. Czuł wyraźnie, że jest zdenerwowany. No cóż, pomyślał, kto by nie był podczas takiej misji? Heersfeld był zawodowcem. Latał już nad Angolą w czasie długiej, nigdy nie wypowiedzianej wojny. Od kilku miesięcy walczył też nad Namibią, a w ciągu ostatnich tygodni kilkanaście razy latał przeciw Kubańczykom w Transvaalu. Znał swoją robotę nie gorzej, niż każdy inny weteran Sił Powietrznych. Właśnie dlatego został wybrany do tego zadania. Tylko, czy szefowie Sił Powietrznych musieli robić wokół tego tyle szumu? Najpierw odsunięto go od wszelkich operacji i kazano mu się wyspać, nie podając przy tym żadnych wyjaśnień. Następnie dowódca dywizjonu osobiście przekazał mu rozkaz ataku. Na dodatek jeszcze ta odprawa. Jezu! Każdy wyższy oficer z bazy, nawet sam de Wet, oklaskiwali go, gdy wchodził do sali. Czyżby dowództwo nie miało już nic lepszego do roboty? Heersfeld nachmurzył się. Dobrze, że od razu wystartowali, gdyż szansę na utrzymanie tajemnicy były równe zeru. Nawet sam sprawdzian przed lotem był zdumiewający. Stary Mirage, który często miał sprawne tylko podstawowe instrumenty nawigacyjne, został dokładnie wyremontowany, sprawdzony a nawet

wyczyszczony, aż lśnił jak nowy. Technicy pracowali cały dzień, instalując instrumenty kontrolne dla „specjalnej” broni. Dowódca dywizjonu i oficer techniczny nie odstępowali go na krok, gdy obchodził samolot, szukając jakichś usterek. Na szczęście nie było żadnych. Sam sprawdził broń, chociaż obejrzenie jej niewiele mu dało. Bomba została podczepiona dokładnie pośrodku, pod kadłubem. Na bocznych węzłach zawieszono dwa odrzucane zbiorniki i dwie rakiety Kukri. Rakiety dodano z przyzwyczajenia, gdyż jego eskorta zapewniała, że nie będzie miał okazji zrobić z nich użytku. I tak nie ważyły wiele, a na końcach skrzydeł niczego innego nie można było umocować. Zresztą Heersfeld nienawidził latać bez uzbrojenia. Miał już na swoim koncie jednego MiGa-23 i z niecierpliwością myślał o kolejnych. „Specjalna” broń miała wygląd standardowej bomby, może była trochę większa, ale na pewno nie cięższa. Zupełnie nie rzucała się w oczy i Heersfeld zaufał technikom, że jest uzbrojona. Jego skrzydłowy został wezwany na podobną odprawę. Mirage Muldera prznosił drugą bombę na wypadek, gdyby samolot Heersfelda został zestrzelony. Start miał na szczęście czysty i gdy wzbili się w powietrze, uciekając od zamieszania bazy, miał zamiar potraktować ten lot jak każdy inny. Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady Kubańskiego Korpusu Ekspedycyjnego

Sierżant Jorge Jimenez wpatrywał się w ekran monitora radaru. Zawsze traktował swoją pracę poważnie. Oczekiwał z utęsknieniem świtu, kiedy kolumna ruszy w dalszą drogę i będzie mógł się wreszcie położyć spać. Jimenez pełnił służbę w jednej z czterech samobieżnych wyrzutni rakiet przeciwlotniczych Romb. Lekko opancerzony transporter był wyposażony w cztery rakiety typu ziemia-powietrze SA-8 Cecko i radar kontroli obszaru o nazwie kodowej NATO Land Roli. Każdy pojazd był samowystarczalnym stanowiskiem bojowym i cztery wozy, ustawione w kwadracie, zapewniały całkowitą ochronę brygadzie. Na krawędzi monitora pojawiła się plamka i, mimo jej oczywistego znaczenia, sierżant poczuł ulgę. W końcu coś się będzie działo. Włączył interkom. - Towarzyszu poruczniku, mam cel w odległości trzy dziesiętu kilometrów. Żadnej odpowiedzi na IFF. Wygląda to na cztery samoloty, chyba myśliwce. Zastępca dowódcy baterii otrząsnął się ze snu i pochylił się nad

jego ramieniem. - Jaka jest ich szybkość i wysokość?

- Naddźwiękowa. Pułap...-Jimenez zmienił ustawienie pokręteł - tysiąc dwieście metrów.

- Szybko leca! Dobra. Nie ma czasu na zabawę. Włącz radar śledzący i przygotuj rakiety.

Kiedy Jimenez potwierdził przyjęcie rozkazu, porucznik zaalarmował dowódcę baterii i pozostałe pojazdy SAM. - Uważajcie na swoje sektory. To może być pozorowa na akcja, mająca na celu odwrócenie naszej uwagi od prawdziwego ataku.

Na zewnątrz rozległy się okrzyki:

- Alarm lotniczy!

Jimenez przypomniał sobie poprzedni atak. Mimo iż dali z siebie wszystko, południowoafrykańskie samoloty zwiadowcze uciekły, nie ponosząc żadnych strat. Tym razem muszą mieć więcej szczęścia. Zobaczył, że układ punkcików przybrał inną postać. Nachylił się nad monitorem. - Towarzyszu poruczniku, rozdzielili się! Dwa samolo

ty zawracają. - Dwa punkty zbliżały się nieustannie. -

Prędkość ponad tysiąc kilometrów na godzinę. Pułap cztery tysiące metrów.

- Pewnie to kolejny lot zwiadowczy z maksymalną prędkością. Może to jednak nie jest atak - zastanawiał się porucznik.

Jimenez wzruszył ramionami. Nie miało to żadnego znaczenia. I tak zestrzela tych drani. Na sąsiednim monitorze pokazywały się kolumny liczb. - Komputer mówi, że zasięg efektywny wynosi osiem i pół kilometra.

- Strzelaj, jak tylko znajdą się w zasięgu.

-

Eskadra Jerycho

Heersfeld musiał przeprowadzać kilka obliczeń na raz. Szybkość i pułap musiały być utrzymane dokładne w ustalonych granicach i musiał trzymać się idealnie na kursie. Zdawał sobie sprawę, że jest na pułapie, na którym może go zobaczyć każdy Kubanczyk aż do Hawany. Niemal czuł, jak promienie radarów SAM-a prześlizgują się po kadłubie Mirage'a. Zazwyczaj ataki przeprowadzano z pułapu stu, dwustu metrów. Piloci używali wzniesień terenu do maskowania swojej pozycji i szaleńczo manewrowali, żeby zmylić obronę

przeciwlotniczą. Taki spokojny lot mógł każdego przyprawić o dreszcze. Teraz!

Wprawnym ruchem pociągnął na siebie drążek i samolot rozpoczął pętlę. Nos Mirage wycelował w zenit. Igła wysokościomierza zaczęła szybko posuwać się do góry, gdy myśliwiec leciał prosto w nocne niebo. Na wysokości siedmiu tysięcy siedmiuset metrów, przy prędkości tysiąca stu kilometrów na godzinę i przy kącie czterdziestu pięciu stopni, Heersfeld nacisnął guzik na drążku sterowym. Poczł szarpnięcie samolotu, gdy bomba uwolniła się - miał nadzieję, że czysto. Misja była praktycznie zakończona i musiał się teraz szybko zająć własną skórą. Zwiększył prędkość do maksimum i mocniej przyciągnął drążek, tak iż Mirage odwrócił się na plecy, kończąc pętlę. Na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nos samolotu wzbił się nad horyzont i nadał leciał do góry. Heersfeld wisiał teraz w pasach i patrzył na ciemną ziemię „nad” nim. Szybko wrócił się do normalnej pozycji, patrząc, jak igła szybkościomierza cały czas wędruje do góry. Leciał już z prędkością ponad jednego Macha i zamierzał wycisnąć wszystko, co tylko było możliwe z tego starego trupa. Za nim, bomba leciała wzdłuż własnej krzywej balistycznej.

Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady

Sierżant Jimenez odliczał, patrząc na zbliżający się pojedynczy samolot. - Czternaście kilometrów. Dwanaście kilometrów. Dziesięć kilometrów. Dziesięć kilometrów! - Wyprostował się, patrząc na ekran. - Zawraca! Odległość wynosi dwanaście kilometrów. Drugi samolot także zawraca! Jego spojrzenie podążało za mrugającymi punktami, które kierowały się ku górze ekranu. Wyglądało, że południowoafrykańczycy nie spróbują przetestować dokładności jego rakiet - przynajmniej nie tej nocy. Jimenez nigdy jeszcze nie widział takiego sposobu zrzucania bomby. Nigdy też nie miała mu się nadarzyć podobna okazja. Bomba wleciała łukiem na wysokość dwunastu tysięcy metrów i dopiero wtedy zaczęła spadać na ziemię. Po zażartej debacie, planiści południowoafrykańscy zdecydowali się wybrać na cel kubańską kolumnę czołgów T-62. Lecąc ku ziemi, bomba minęła wysokość tysiąca metrów, którą wyczuły zapalniki ciśnieniowe i zamknęły obwód. Tysięczną część sekundy później, bomba wybuchła. Bomba przeleciała prawie szesnaście kilometrów, całkowicie niekierowana. Podczas, gdy moment jej wypuszczenia mieścił się w ustalonej normie, wiatry

na dużej wysokości zmieniły nieznacznie tor lotu. W rezultacie, dwudziestokilatonowa bomba atomowa spadła trzysta metrów na prawo od środka celu. Nastawiona na wybuch w powietrzu, detonowała nad północnym końcem obozowiska czołgów. Oślepiająca biała kula o ponad dwustumetrowej średnicy rozświetliła noc - zamieniając ją, na kilka śmiertelnych sekund, w nienormalnie jasny dzień. Każdy, kto widział wybuch, zginął natychmiast. Fale gorąca i promieniowania rozchodziły się z prędkością bliską prędkości światła i żołnierze, którzy nie znajdowali się pod osłoną, doznali oparzeń drugiego stopnia, które popaliły im skórę. W promieniu 500 metrów od punktu Zero ludzie doznali oparzeń trzeciego stopnia, kiedy najpierw ich ubrania i włosy a potem oni sami spłonęli żywym ogniem. Pół sekundy później, nadciągnęła fala uderzeniowa, kończąc ich cierpienia. Twarda jak stal masa powietrza rozrywała płuca i wyrzucała ludzi w powietrze, niczym piłki. Nawet ochrona pancerzy nie mogła ocalić żołnierzy przed śmiercią. Większość z nich zginęła na miejscu. Czołgi nie poddały się tak łatwo, jednak okropny żar detonował zbiorniki z paliwem, a także amunicję znajdującą się wewnątrz pojazdów. Pałace się wozy pancerne wybuchały jeden po drugim. Te, które stały bokiem do wybuchu, zostały przewrócone przez falę uderzeniową. Sierżant Jimenez siedział w wozie baterii SAM, pięćset metrów od punktu Zero. Jego pojazd był o wiele łatwiejszy do zniszczenia niż czołg. Najpierw impuls elektromagnetyczny zepsuł wszelkie urządzenia w wozie, obsypując Jimeneza, porucznika i pozostałych ludzi snopami iskier. W tym samym czasie, rakiety SA-8 zaczęły się topić w wyrzutniach. Zanim wybuchły, nadleciała fala uderzeniowa. Ściana powietrza rozerwała anteny radarów i wyrzutnie rakiet na strzępy, a następnie zmiażdżyła stalowy pancerz pojazdu. W tym czasie Jimenez i pozostali już nie żyli. Fala uderzeniowa rozchodziła się coraz dalej, siejąc po drodze zniszczenie. Czołgi T-62 były niskie, przysadziste i potężnie opancerzone. Słabo opancerzone, duże transportery BTR-60 kolejnego batalionu, oddalone od punktu Zero o 1000 metrów, zostały poszarpane i wyrzucone w powietrze niczym dziecinne zabawki. Następny batalion był oddalony o dalsze pięćset metrów ale ten dystans wystarczył, by osłabić falę uderzeniową o połowę. Kilka ciężkich wozów saperskich przetrwało wybuch, ale transportery opancerzone i piechota zostały niemal zdmuchnięte

z powierzchni ziemi. Jeszcze dalej stała kubańska artyleria, trzy baterie 122mm dział samobieżnych. Z tej odległości, wybuch powyracał działa, wozy dowodzenia i ciężarówki z amunicją, która zaczęła wybuchać. Jedynie żołnierze ostatniego batalionu mieli jakąś szansę na przeżycie. Śpiący w transporterach, oraz ci którzy okopali się trochę głębiej, zostali osłonięci przed falą ciepłą i promieniowaniem. Każdy, kto nie rzucił się do kryjówki, widząc rozbłyskującą kulę, został poważnie poparzony a następnie zabity przez uderzenie powietrza, które nadal rozchodziło się z siłą zdolną zdmuchnąć ceglany dom. Na bezbronnych żołnierzy zaczęły spadać odłamki, kawałki skał, drewna i metalu. Dwa wysunięte bataliony Grupy Taktycznej Trzeciej Brygady zostały doszczętnie zniszczone w ciągu ułamka sekundy. Dwa środkowe bataliony zginęły pięć sekund później. Po dziesięciu sekundach od wybuchu, piąty, ostatni batalion leżał zdziesiątkowany i zasypywany odłamkami. Pośród setek zniszczonych pojazdów, na ziemi leżały tysiące zabitych i umierających ludzi. Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady generała Antonio Vegi, została unicestwiona.

KONIEC